Giovanni Boccaccio

Dekameron

Książka dostępna na stronie Bryk.pl

tłum. Edward Boyé

Prolog

Zaczyna się księga Dekameron, w której zawiera się sto nowel, opowiedzianych przez siedem białogłów i trzech młodzieńców

Ludzka to rzecz współczucie dla nieszczęśliwych; jeśli jest ono każdemu właściwe, to tym bardziej winno być znane człekowi, co sam, litości potrzebując, od drugich jej doznawał. Należę do liczby tych, którzy w potrzebie przyjaźni się nurzają, uczucie to wielce sobie cenią i niejedną miłą chwilę mu zawdzięczają. Od najwcześniejszych lat mojej młodości aż po dzień dzisiejszy szlachetną i wzniosłą miłością jestem ożywiony, bardziej może — gdybym chciał o tym opowiadać — niżby tego niska moja kondycja oczekiwać pozwalała. A chociaż zyskiwałem pochwały i estymę ludzi pełnych ogłady, co o tych sprawach zasłyszeli, to przecież wiele srogiego bólu miłość ta mi sprawiła; przyczyną jego było jednakoż nie okrucieństwo miłowanej damy, lecz zbytni ogień mojej duszy, trafionej niepowściągliwym *appetitem*. Żądze te nie pozwalały mi się kontentować tym, co posiadałem, i przyczyniały mi więcej boleści, niżby należało. Wpośród tych wielkich cierpień rozmowy z jednym z moich przyjaciół i pociechy od niego doznawane były dla mnie wsporem, bez którego z pewnością bólu mego bym przeżyć nie mógł. Jednakoż według niezmiennego prawa, ustanowionego zrządzeniem Tego, kto sam jest nieskończony, każda ziemska sprawa koniec swój mieć musi; tak się też stało z moją, nazbyt płomienną namiętnością, której ani zdrowy rozsądek, ani żadna rada, ani myśl o czekających na mnie niebezpieczeństwach i sromie przełamać i zwyciężyć nie mogły; dopiero wszechmocna siła czasu powoli ją przytłumiała, tak iż dzisiaj ostało po niej jeno uczucie ukontentowania, znane każdemu, komu obcy jest azard puszczania się na burzliwe namiętności odmęty. Ciężko mi było na duszy, aliści ból minął i ostały mi się tylko miłe wspomnienia.

Boleść sczezła, lecz żyje i do grobowej deski trwać będzie pamięć o dobrodziejstwach, okazanych mi przez tych, co gwoli litości, odczuwanej dla mnie, moim cierpieniem cierpieli. Nie ma, według mego zdania, szlachetniejszego uczucia niźli uczucie wdzięczności. Zasługuje ono na najwyższą pochwałę, gdy przeciwnie, jego brak godzien jest jeno wzgardy. Wdzięcznością powodowany, chciałbym w miarę sił moich w zamian za to, co otrzymałem, teraz gdy już swobodny jestem, pewne ulżenie sprawić, jeśli już nie tym, co mi dobrodziejstwa okazywali i którzy, być może, dzięki

swej rozwadze lub szczęściu usług mych nie potrzebują, to przynajmniej tym, którym się one na coś zdadzą. A chocia moja pomoc i wspór niewielkimi by się okazały, wszakoż, zgodnie z swym mniemaniem, winienem je nieść tam, gdzie się na nie najbardziej czeka i gdzie przez to lepiej ocenione będą i większą korzyść przyniosą. Któż zaprzeczyć może, że z taką pociechą obracać się należy do pięknych dam, którym bardziej niźli mężczyznom jest ona potrzebna? One to, strachając się i wstydząc, w swej delikatnej piersi płomienie miłosne skrywają. O ile zaś ów skryty płomień silniejszy jest od jawnego, wiedzą o tym ludzie, co go doznali. Posłuszne woli i rozkazaniu ojców, matek, braci i mężów, całe dnie w zamknionych komnatach jak gdyby na próżnowaniu trawią. Chcąc czy nie chcąc, o wielu rzeczach myśleć muszą, a przecie myśli te nie zawsze wesołymi się okazać mogą. Niejednokrotnie próżne pragnienia do ciężkiej melankolii damy te przywodzą; jeśli się jej miłą rozmową nie rozproszy, w ciężkie strapienie może się łatwie przemienić.

Nietrudno się przekonać, że u mężczyzn, którzy miłują, to się nie zdarza; gdy ich bowiem melankolia i przykre myśli ogarną, dość mają na to środków, aby się rozweselić i ulgę znaleźć. Mogą pójść, gdzie chcą, usłyszeć i obaczyć to, na co chęć mają, polować, ryby łowić, jeździć konno, grze lub handlowi się oddawać. Każde z tych zajęć może umysł zająć i choćby na czas pewien smutne myśli rozproszyć; później tą lub inną drogą przyjdzie pociecha i boleść sczeźnie.

Los niesprawiedliwie postąpił skąpiąc podpory tam, gdzie sił jest niedostatek, tak jak to widzimy na przykładzie słabych niewiast. Chcąc tedy choćby w części ten błąd fortuny naprawić i pomoc tym damom, które miłość poznały, okazać (dla pozostałych wystarczą igły, wrzeciona i krosna), zamyślam powtórzyć sto nowel, bajek albo przypowieści, jak je pospolicie nazywają, opowiedzianych w ciągu dziesięciu dni przez zacne grono siedmiu dam i trzech młodzieńców, gdy we Florencji niedawny mór się srożył; przypomnę takoż kilka pieśni, śpiewanych dla rozrywki przez te białogłowy.

W nowelach mych zawierają się różne ucieszne i smutne przypadki miłosne, a takoż inne zdarzenia przeszłych i dzisiejszych czasów. Damy, które je czytać będą, ukontentowanie z opisanych wypadków odniosą i otrzymają dobrą radę, czego unikać należy i za czym iść trzeba. Mniemam, że jedno i drugie nudy im nie przyczyni, przeciwnie, odegna ją całkiem. Jeżeli tak się stanie (co oby Bóg sprawić raczył), to niechaj czytelniczki moje złożą dank Amorowi, który mnie z pęt swoich oswobodził i dał mi przez to możność podjęcia trudu, co radość ich ma na celu.

Dzień pierwszy

Zaczyna się pierwszy dzień Dekameronu, w którym po wyjaśnieniach autora, dla jakiej przyczyny osoby, mające następnie wystąpić, zebrały się tutaj i gawędzą społem, pod przewodem Pampinei rozprawia się o tym, co każdemu najbardziej przypada do smaku.

Ilokrotnie, miłe damy, pomyślę o wrodzonym wam współczuciu, zaraz wystawiam sobie, że dzieło niniejsze będzie miało dla was smutny i przykry początek. Zaczyna się ono bowiem od wspomnienia morowej zarazy, strasznej i żałosnej dla każdego, kto był jej świadkiem albo też jakimkolwiek sposobem o niej uznał. Nie chciałbym jednak, abyście przeraziły się, nim czytać poczniecie, i pomyślały, że przez cały czas czytania płakać i wzdychać będziecie. Niechajże ów smutny początek będzie dla was tym samym, czym dla wędrowców stroma i spadzista góra, za którą skrywa się miła i piękna równina. Im trudniejsze było wejście i zejście, tym słodsze jest później odetchnienie.

Nieskończona radość boleścią się kończy, a po boleści znów radość nastaje. Po tym krótkotrwałym smutku (mówię krótkotrwałym, bowiem w niewielu słowach on się wyraża) wkrótce nastąpi wesele i radość, które wam już przyobiecałem. Bez stosownego uprzedzenia, po tak posępnym początku, nie mogłybyście wróżyć sobie później nijakiego ukontentowania. Gdyby to możliwe było, powiódłbym was tam, gdzie chcę, całkiem inną drogą niż tą kamienistą ścieżką. Aliści, nie dotknąwszy tego wspomnienia, objaśnić bym wam nie mógł, jakim sposobem zdarzyły się te rzeczy, o których czytać będziecie; zatem k'temu konieczność mnie czysta przywodzi.

Powiem więc, że w roku od narodzenia Pana naszego, Jezusa Chrystusa, tysiąc trzysta czterdziestym ósmym, w sławnym mieście Florencji, klejnot miast włoskich stanowiącym, wybuchła zaraza morowa, sprowadzona wpływem ciał niebieskich albo też słusznie przez Boga zesłana dla ukarania grzechów naszych. Mór zaczął się na kilka lat przedtem na Wschodzie i spowodował tam wielkie spustoszenia. Powoli, z miejsca na miejsce się przenosząc, zaraza do krajów zachodnich dotarła. Zapobieżenia ludzkie na nic się wobec niej zdały. Nie pomogło oczyszczanie miast przez ludzi do tego najętych, zakaz wprowadzania chorych do grodu, różne przestrzeżenia, co czynić należy, aby zdrowie zachować, ani też pokorne modlitwy, procesje i wszelkie pobożne dzieła.

Wiosną tego roku mór począł w przedziwny sposób okrutne spustoszenia czynić. Choroba nie objawiała się u nas tak jak na Wschodzie, gdzie zwykłym znamieniem

niechybnej śmierci był upływ krwi z nosa. Zaczynała się ona równie u mężczyzn, jak u kobiet od tego, że w pachwinach i pod pachą pojawiały się nabrzmienia, przyjmujące kształt jabłka albo jajka i zwane przez lud szyszkami. Wkrótce te śmiertelne opuchliny pojawiały się i na innych częściach ciała; od tej chwili zmieniał się charakter choroby: na rękach, biodrach i indziej występowały czarne albo sine plamy; u jednych były one wielkie i rzadkie, u drugich skupione i drobne. Na chorobę tę nie miała środka sztuka medyczna; bezsilni byli też wszyscy lekarze. Możliwą jest rzeczą, że przyrodzenie choroby już takim było, albo też, że lekarze nic nie wiedzieli. Medyków wówczas pojawiło się siła, tak mężczyzn jak i kobiet, nie mających, mówiąc po prawdzie, najmniejszego pojęcia o medycznym kunszcie. Nikt nie mógł odgadnąć przyczyny choroby ani znaleźć na nią stosownego remedium. Dlatego też jedynie nieliczni z chorujących do zdrowia powracali, wszyscy pozostali umierali trzeciego dnia, od chwili gdy te znamiona na ciele się pojawiały; przy tym nawet gorączka zazwyczaj nie występowała. Morowa zaraza grasowała z wielką siłą; od chorych udzielała się łatwo zdrowym, którzy z zarażonymi przebywali, podobnie do ognia, co łatwopalne przedmioty obejmuje. Aliści zło jeszcze szło dalej; wystarczyło dotknąć się sukien chorego lub jakiejkolwiek rzeczy, którą miał w ręku, aby się zarazić. To, o czym teraz powiem, może się wydawać rzeczą zadziwiającą. Gdybym jej na własne oczy nie widział i gdyby nie świadectwo wielu, sam bym jej nie dał wiary ani poważyłbym się jej tu opisywać. Siła zarazy była tak wielka, że przenosiła się ona nie tylko letko z jednego człeka na drugiego, ale i tak bywało, że jeśli do przedmiotu, stanowiącego własność chorego, zbliżyło się jakieś zwierzę, zaraz mór się go chwytał i w krótkim czasie je uśmiercał. Jakem to już nadmienił, sam byłem takiego przypadku świadkiem. Strzępy odzieży pewnego nieboraka, zmarłego z powodu tej choroby, na ulicę wyrzucone zostały. Do szat podeszły dwie świnie i jęły je, wedle swego obyczaju, ryjami i zębami poruszać. Nie minęła ani godzina, a zwierzęta, jakby trucizny się najadły, zatoczyły się i padły nieżywe. Wypadki te wzbudziły w umysłach nieopisaną trwogę i napełniły je różnymi wyobrażeniami. Wszyscy bezlitośnie tylko o to się starali, aby społeczeństwa z chorymi unikać. To zdawało się powszechnie jedynym ocalenia sposobem. Niektórzy mniemali, że strzemięźliwość przeciwko zarazie zabezpieczyć może, dlatego też wszelkiego nieumiarkowania się wystrzegali. Zgromadzali się w domach swoich, gdzie żyli odcięci od świata całego. Jadali letkie potrawy, pili powściągliwie wyborne wina i chuciom cielesnym nie folgując, czas swój na muzyce i innych dostępnych im

przyjemnościach trawili dla zapomnienia o zarazie i śmierci, o których ani słyszeć nie chcieli.

Inni zasię całkiem przeciwnie postępowali twierdząc, że najlepszym lekarstwem na zarazę jest nie myśleć o niej, pić tęgo i żyć wesoło, śpiewać i żartować, wszystkie swoje pragnienia zaspokajać i śmiać się z tego, co się wokół dzieje.

Tak też i czynili. Dzień i noc włóczyli się po oberżach, pili na umór, a częściej swywolili w cudzych domach, opuszczonych przez prawych właścicieli, tak iż każdy mógł je zajmować rządząc się tam do woli. Jednakowoż i ci, raczej do zwierząt niźli do ludzi podobni, unikali skrzętnie obcowania z zarażonymi. Wpośród takich opresyj i takiej żądzy osłabła, a nawet całkiem sczezła siła tak człowieczych, jak i bożych praw. Jej stróże i wykonawcy bądź to poumierali, bądź chorzeli albo też tylu podwładnych utracili, że obowiązków urzędu swego dopełniać nie mogli. Każdy przeto mógł czynić, co chciał. Wielu ludzi wybrało sobie sposób życia pośredni między tymi dwoma, o których już nadmieniłem. Ci nie ograniczali się w jadle, na podobieństwo pierwszych, nie pili i rozpuście się nie oddawali, żyli jeno zgodnie z swym gustem a życzeniem. Nie zamykali się w domach, ale chodzili wszędzie, nosząc w rękach kwiaty, zioła pachnące i różne korzenie, które do nosa przykładali, w mniemaniu, że podobne zapachy siły żywotne w nich skrzepią. Powietrze w tym czasie było bowiem ciężkie, gęste i nasiąkłe smrodem gnijących trupów, wyziewami chorych i lekarstw.

Inni wreszcie, bardziej nieużyci i bezlitośni, twierdzili, że najlepszym środkiem na zarazę jest ucieczka od niej. Myśląc tylko o sobie, siła mężczyzn i kobiet opuściło miasto, domy, majętności, krewniaków i przeniosło się do posiadłości swoich, za bramami grodu leżących, albo też u ludzi obcych schronu szukało. Mniemali widocznie, że gniew Boga, karzącego ludzi za ich nieprawość, dosięgnie tylko tych, co w obrębie miasta pozostaną, innych zasię oszczędzi, tak jakby cała ludność miasta na zagładę skazana została i jakby dla niej ostatnia godzina wybiła. Wprawdzie pomarli nie wszyscy z tych, co podobne mniemania żywili, ale i nie wszyscy zarazę przeżyli; owszem, pośród wszystkich tych stronnictw choroba szerzyła się srodze. Liczni, gdy się jeszcze zdrowiem cieszyli, opuszczali w niedoli swoich krewniaków i przyjaciół i tym dawali przykład drugim, którzy gdy na nich kolej przyszła, to samo czynili, zdając bliskich na pastwę losu. Gdyby to jeszcze sąsiad sąsiada bez pomocy ostawiał, gdyby tylko znajomi i krewniacy wystrzegali się wzajemnych odwiedzin! Niestety, powszechna klęska taką trwogę w umysłach mężczyzn i kobiet sprawiała, że brat opuszczał brata, wuj siostrzeńca, siostra brata, a często nawet żona męża swego. Gorzej

jeszcze, że ojcowie i matki ostawiali dzieci swoje nie troskając się o nie zupełnie, tak jakby obcymi im były. Wielu spośród mnogich mężczyzn i białogłów, dotkniętych zarazą, mogło tylko u kilku tkliwych przyjaciół albo też u sług najętych pomocy szukać. Słudzy ci, chciwością powodowani, otrzymawszy wielką zapłatę, mieli pieczę nad chorymi. Aliści i takich niewielu znaleźć można było; byli to przy tym ludzie grubi i z podobnymi posługami wobec chorych wcale nie obeznani. Umieli jeno podać czasem to, czego chory żądał, a także po śmierci przybrać go do trumny. Zgarniali wielkie zyski, ale i sami umierali.

Skutkiem tego, że chorych opuszczali krewniacy, przyjaciele i sąsiedzi i że sług dostać nie można było, weszła w obyczaj rzecz dotąd niesłychana: białogłowy, choćby najpiękniejsze i z najlepszych rodów idące, nie wzdragały się, zachorowawszy, mężczyzn do posług przyjmować, nie wchodząc w to, czyli są starzy, czy też młodzi, i obnażały przed nimi najwstydliwsze części ciała swojego. Może być, że te, które później do zdrowia przyszły, z zwyczaju tego pobudkę do rozpusty wzięły. Siła umarło z tych, co gdyby pieczę nad sobą mieli, ani chybi by wyzdrowieli. Przy braku opieki i przy gwałtownym szerzeniu się zarazy codziennie tyle narodu ginęło, że strach i zgroza brała nie tylko świadków, ale i tych, co o tym słyszeli.

Pośród ludzi przy życiu pozostałych pojawiło się wiele nowych obyczajów, całkiem przeciwnych do tych, co dawniej istniały. Dotychczas zwyczajem było, że w domu zmarłego zbierały się krewniaczki i sąsiadki, które go pospołu z domownikami opłakiwały; przed domem zasię skupiali się przyjaciele i sąsiedzi oraz liczni współobywatele; do nich później, według godności zmarłego, dołączało się duchowieństwo. Zebrani brali mary na ramiona i ze śpiewem, przy blasku gromnic, zwłoki odprowadzali do kościoła, który zmarły wybrał był przed zgonem. Gdy tylko mór się pojawił, obyczaje te zanikły ustępując miejsca nowym. Umarłego nie tylko ciżba niewiast nie otaczała, ale niejeden człek samotnie z tego świata schodził, nie będąc żegnany łzami i wzdychaniami swoich krewniaków. Miast szlochów rozbrzmiewały żarty, śmiech i wesołość na stypach.

Nowy ten obyczaj zwłaszcza dbałym o swe zdrowie białogłowom do smaku przypadł, zadając kłam ich płci tkliwości. Rzadko się zdarzało, aby szczątki doczesne przez więcej niż dziesięć albo dwanaście osób do kościoła odprowadzane były. Orszak żałobny składał się przy tym nie z czcigodnych mieszczan, lecz z zwykłych grabarzy, którzy zwali się służbą moru i za zapłatą pracowali. Ci, trumnę jak najśpieszniej pochwyciwszy, nieśli ją zazwyczaj do najbliższego kościoła, a nie tam, gdzie zmarły pragnął, aby nad

jego ciałem modły odprawiono. Czterech albo sześciu księży, z zapalonymi świecami, a czasem i bez nich, odprowadzało zwłoki do pierwszej napotkanej mogiły i powierzało je ziemi bez zbytnich modłów. Los ludzi ubogich, a nawet tych, co w miernym dostatku żyli, godzien był najżywszej litości. Ci, pozostawszy z powodu ubóstwa albo też z przyczyny ufności, jaką w miłosierdziu bożym pokładali, w domach swoich, wpośród sąsiadów, tysiącami co dnia ulegali chorobie, a nie zaznając znikąd żadnej pomocy ginęli bez ratunku. Wielu dniem i nocą na ulicach padało, inni umierali w swoich domach, a sąsiedzi po trupim zaduchu dopiero o ich śmierci się dowiadywali. Znaczna część mieszkańców, bądź to z obawy zarażenia się, bądź też z miłosierdzia dla zmarłych, przyjęła obyczaj wynoszenia zwłok przed dom własnymi rękami czy też przy pomocy grabarzy; kładli je przed progiem, tak że w tych miejscach, zwłaszcza rankiem, niezliczoną ilość zwłok obaczyć można było. Później przynoszono mary, a gdy ich brakło, proste deski; zdarzało się, że na jedne mary dwa albo trzy trupy kładziono, tak iż często można było obaczyć zwłoki męża obok zwłok żony, szczątki dwu albo trzech braci, trupa ojca pospołu z trupem syna leżącego. Za dwoma księżmi, niosącymi krzyże, trzy albo cztery mary niesiono. Duchowni, którzy sądzili, że tylko jednego zmarłego na miejsce wiecznego spoczynku wiodą, przy grzebaniu sześciu albo ośmiu trupów musieli być przytomni. Umarłym nie okazywano czci nijakiej, nie odprowadzano ich do grobu z zapalonymi pochodniami ani też nad nimi łez nie roniono. Wreszcie k'temu przyszło, że równie o umarłych się troskano, co o zdechłe kozy. Jawnym się wówczas stało, że powszechna niedola uczy nawet głupców cierpliwie poddawać się losowi, czego w zwykłych czasach ludzie najmądrzejsi, małymi tylko przeciwieństwami nękani, nauczyć się nie są w stanie. Gdy z powodu mnogości trupów na cmentarzach poświęconej ziemi nie stało, tak iż nie lza już i myśleć było, aby każdy zmarły miał swoją mogiłę, poczęto kopać głębokie jamy, w które trupy setkami jedne na drugie rzucano na kształt towarów na okręcie. Zwłoki ledwie cienką warstwą ziemi przysypywano, póki jama po brzegi się nie napełniła.

Nie będę się zbytnio szerzył nad szczegółami tej niedoli, co nasz gród dotknęła; powiem jeno, że zaraza nie mniej rozszerzyła się po miejscowościach okolicznych. Nie wspominam o zamkach, bowiem te do małych grodów podobieństwo mają, chcę natomiast powiedzieć o wsiach, gdzie nieszczęśliwi kmiecie wraz z rodzinami, pozbawieni pomocy medyków i jakiejkolwiek pieczy, marli na polach, drogach i w domach nie jak ludzie, ale jak bydlęta. We wsiach nastąpiło to samo, co i w miastach, a więc obyczajów rozwiązłość i brak dbałości na obowiązki swoje i sprawy. Ludzie jakby

na śmierć każdego dnia czekali i dlatego też nie przykładali nijakiej pilności do uprawy pól, do utrzymywania trzód i dobytku swego; przeciwnie całkiem, starali się roztrwonić płody swej pracy.

Doszło do tego, że woły, osły, owce, kozy, świnie, kury, a także najwierniejszych przyjaciół człeka, psy, wyganiano z obejścia, tak iż zwierzęta wałęsały się po polach, gdzie nie zżęte żyto przepadało. Niektóre bydlęta, napasłszy się do syta na opuszczonych polach, wieczorem bez pomocy pastucha, niby rozumne istoty do swych stajen i obór powracały.

Ale ostawmy już wsie okoliczne i do miasta powróćmy. Tutaj z srogiego niebios wyroku, a także z przyczyny ludzkiego okrucieństwa, w czasie od marca do czerwca więcej niż sto tysięcy osób życie straciło. Ginęli od strasznej zarazy, a także z braku pieczy i pomocy, skąpionej im przez zdrowych, którymi trwoga owładła. Dawniej nikt by może nie był pomyślał, że w Florencji można naliczyć tylu żywych mieszkańców, ile w niej się później okazało zmarłych. Ileż to pięknych domów, wspaniałych pałaców, przedtem przez mnogie rodziny, przez rycerzy i znamienite damy zamieszkałych, teraz pustką stanęło! Wymarli w nich wszyscy, aż do ostatniego sługi!

Ileż to świetnych rodów, nieprzejrzanych bogactw i skarbów bez dziedziców ostało! Iluż dzielnych mężów, urodziwych kobiet i młodzieńców, których by Eskulap, Gallen i Hipokrat za obraz kwitnącego zdrowia, ani chybi, poczytali, rano jeszcze obiadowało w społeczności swych przyjaciół i krewniaków, zasię nazajutrz już wieczerzało pospołu z swymi zmarłymi przodkami. Ciężko mi jest na sercu, kiedy błądzę myślą pośród tej okrutnej niedoli, dlatego też wszystko, co mogę, milczeniem pokryję.

A owóż w tym czasie, gdy gród nasz prawie całkiem opustoszał (słyszałem o tym później od człeka godnego wiary), zdarzyło się, że we wtorek rano, w starożytnym kościele Santa Maria Novella siedem młodych kobiet się zeszło. Wysłuchały mszy w szatach żałobnych, jakie przystały chwilom takim. Krom nich nikogo bez mała w kościele nie było. Damy te więzami pokrewieństwa, przyjaźni i sąsiedztwa zbliżone do siebie były. Żadna z nich jeszcze dwudziestego ósmego roku życia nie ukończyła, najmłodsza zaś ledwie osiemnaście lat liczyła. Były to białogłowy szlachetnej krwi, dobrych obyczajów, roztropne, skromne i wdzięczne. Nazwisk ich tutaj nie wymienię, nie chcę bowiem, aby się w przyszłości wstydzić miały za rzeczy, które opowiadały czy też słuchały ich. Obyczaje teraz sroższe nastały i nie lza już zażywać uciech i rozrywek, które podówczas dozwolone były nie tylko osobom w ich wieku, ale i starszym o wiele. Nie chciałbym także dać sposobności ludziom zawistnym (gotowym oczernić

najniewinniejszego!), aby swymi niesprawiedliwymi posądzeniami mogli dobrą sławę tych białogłów splamić. Aby jednak omyłek uniknąć, pragnę nazwać je imionami, stosownymi do ich natur. Pierwszą, latami starszą, przezwiemy Pampineą, drugą — Fiammettą, trzecią — Filomeną, czwartą — Emilią, piąta niechaj się zwie Laurettą, szósta Neifile, siódmą zasię, nie bez przyczyny, Elizą zwać będziemy. Tych siedem niewiast, bez żadnego poprzedniego ułożenia, zeszło się trafunkiem w kościele. Usiadły wkoło, wzdychały długo, a później, skończywszy modlitwy, jęły mówić dużo o tym, co się dzieje. Po niejakim czasie, gdy wszystkie umilkły, Pampinea z takimi słowy do nich się obróciła:

— Drogie przyjaciółki! Wiecie równie dobrze jak ja, że nikomu tego naganiać nie można, iż uczciwie praw swoich używa. Każdy, co na świat przyszedł, ma naturalne prawo podtrzymywać i ochraniać życie swoje. Uznają to wszyscy tak dobrze, że jeszcze nikomu, jeżeli w obronie własnej drugiego zabił, za występek tego nie poczytano. Jeżeli zaś prawa, dla dobra ludzi ustanowione, takie rzeczy czynić dozwalają, o ileż więcej wolno nam być winno użyć wszelkich środków dla ochrony życia naszego? Gdy pomyślę o tym, cośmy robiły dzisiaj i w dni poprzednie, gdy wspomnę nasze rozmyślania i rozmowy, widzę jawnie, że każda z nas drży o życie swoje. Nie ma w tym, wierę, nic dziwnego! Dziwuję się jeno, że my, białogłowy, nie przyjęłyśmy dotychczas stosownych miar w stosunku do rzeczy, co naszą trwogę tak powodują. Zdaje mi się, iż pozostajemy tu tylko dlatego, aby liczyć, ilu umarłych na cmentarz niosą, i patrzyć, czy bracia z tego klasztoru, których niewielu już pozostało, dobrze służbę bożą w właściwym czasie pełnią, albo też po to, by żałobą naszych szat wszystkim ukazywać, ile i jakich nieszczęść nas spotkało. Gdy stąd wyjdziemy, znowu, obaczymy chorych i umarłych, co ich ze wszystkich stron niosą, ujrzymy takoż różnych łotrzyków, których z miasta za ich zbrodnie wygnano, a którzy, teraz jawnie z praw szydząc, skoro ich strażnicy martwi albo chorzy leżą, zuchwale po mieście się uganiają. Obaczymy również pospólstwo, naszą krwią utuczone, i owych posługaczy moru, wałęsających się wszędzie i bezwstydne pieśni śpiewających. Słyszymy tylko o tym, że ten lub ów umarł, a tamten ze śmiercią się pasuje. Gdyby było jeszcze komu płakać, powszędy rozlegałyby się szlochy i jęki. Gdy zasię powracamy do domu i widzimy, że z całej rodziny przy życiu jeno służka ostała, taki strach za gardło chwyta, że włosy na głowie się podnoszą. Dokądkolwiek bym nie poszła, wszędzie mnie cienie zmarłych gonią, w kształtach swoich odmienione, z przerażającymi pozory, które nie wiem, skąd się u nich wzięły. Dlatego też w domu, tutaj i wszędzie ciężko mi jest na duszy, zwłaszcza że, jak mi się

zdaje, krom nas nie ma już tu człeka, w którym by trochę siły żywotnej ostało. Słyszałam i widziałam, jak często ludzie (nie wiem, czy jeszcze są przy życiu) zatracają wszelką różnicę między rzeczą obyczajną a bezecną i jedynie swoim pragnieniem się powodując, dniem i nocą to jeno czynią, na co ochotę mają. Robią to nie tylko ludzie świeccy, ale i zakonnicy. Przekonani, że nie jest wzbronione im to, co innym dozwolone być może, znieważają śluby swoje, chuciom swoim folgują i myślą tym kształtem życie swoje ocalić. Jeżeli zaś w samej rzeczy tak się dzieje, cóż my tu czynimy, na co czekamy, o czym myślimy, dlaczegóż niedbalej od innych o utrzymanie życia naszego zabiegamy? Zaliż gorszymi być się mniemamy czy też sądzimy, że życie do ciał naszych silniejszym łańcuchem niż u innych jest przytwierdzone, tak iż obawiać się o nie wcale nie trzeba? Wierę, w srogim błędzie byśmy były, bowiem myśleć tą modłą tylko głupiec może. Zważmy, ilu młodzieńców i kobiet od srogiej zarazy zginęło, a obaczymy w tym najlepszy dowód naszego błędnego mniemania. Dlatego też, abyśmy, dzięki naszej niedbałości, nie wpadły w gorszą biedę, której przecież uniknąć możemy, umyśliłam coś; nie wiem tylko, czy ten środek ratunku wam do smaku przypadnie. Mniemam, że najlepiej będzie uczynić to, co wielu już przed nami czyniło i ani chybi, potem uczyni, to jest, miejsca te opuścić. Na równi ze śmiercią unikać będziemy przykładów bezwstydnych, jeno po prostu z miasta wyjdziemy i udamy się do którejkolwiek z naszych wiejskich posiadłości, gdzie wśród wesela i rozrywek, granic obyczajności nie przekraczając, żyć poczniemy. Rozlegają się tam radosne ptasząt śpiewy; ujrzymy zielone szczyty i doliny, pola, na których jak morze kołyszą się zboża, a takoż drzewa różnorodne i niebo odkryte; chocia się ono i na nas zagniewało, przecie nie skąpi nam przez to swej wiecznej krasy; trzeba przyznać, że milej będzie wpatrywać się weń niż patrzeć na puste domy naszego grodu. Krom tego powietrze tamtejsze czystsze jest, a co się tyczy żywności, to znajdziemy tam jej teraz więcej, a przykrości o wiele mniej niż tutaj. Prawda, że kmiecie podobnie jak mieszczanie umierają, jednakowoż mniej tam ludności i domów, dzięki czemu i mniej się trupów widzi. Przy tym, zdaje mi się, że nie opuścimy tu nikogo, bowiem raczej powiedzieć można, iż same opuszczone jesteśmy. Wszyscy, co nam bliscy byli albo umarli, albo też uciekając od śmierci, nas odbieżeli. Żaden wyrzut więc gryźć naszych sumień nie będzie, jeżeli zamysł swój wypełnimy, jeśli jednak się go wyrzeczemy, troska, cierpienie, a być może, i śmierć nas spotka. Tedy, jeżeli się zgadzacie, weźmiemy z sobą służbę, opatrzymy się w rzeczy niezbędne i będziemy spędzały czas raz w jednym miejscu, to znów w drugim, weseląc się w miarę tego, jak nam okoliczności pozwolą; mniemam, że najrozumniejszym postępkiem to się

okaże. Będziemy wiodły takie życie, aż niebo nie położy kresu temu, co się teraz dzieje, chyba że śmierć nas wcześniej dopadnie. Sądzę, że oddalić się stąd jest lepiej niż tu pozostawać i żyć nieobyczajnie, jak to inni czynią.

Pozostałe damy, wysłuchawszy Pampinei, nie tylko zamiar jej pochwaliły, ale pragnąc go w czyn wcielić, jęły myśleć nad wszelkimi szczegółami, tak jakby wprost z kościoła miały w drogę wyruszyć. Wówczas Filomena, nader roztropna białogłowa, w te słowa rzekła:

— Wszystko, co Pampinea powiedziała, jest rozumne, wielce, aliści nie mamy potrzeby tak się śpieszyć, jak tego pragnąć się zdajecie. Zważcie, że wszystkie kobietami jesteśmy, a przecież i dziecku wiadome jest, że białogłowom trudno jest coś przedsięwziąć bez pomocy mężczyzn. Jesteśmy niestałe, bojaźliwe, uparte i podejrzliwe. Mniemam, że gdy same swoimi przewodnikami będziemy, to społeczność nasza długo trwać nie będzie. Musimy najpierw za jakimś przewodnikiem się rozejrzeć.

— Prawda jest — rzekła Eliza — mężczyźni są naturalnymi przewodnikami białogłów i bez nich rzadko jakiekolwiek niewiast przedsięwzięcie do pomyślnego końca przychodzi. Ale gdzież mamy tych mężczyzn szukać? Wiadomo nam, że nasi najbliżsi prawie wszyscy pomarli lub też rozbiegli się w różne strony, uciekając nie wiedzieć gdzie od klęski, od której i my salwować się chcemy. Przyzwoitość zabrania nieznajomych zapraszać; zresztą miast wesela i wczasu wstyd i przykrość znaleźć byśmy mogły.

Gdy damy tak z sobą rozmawiały, weszli do kościoła trzej mężczyźni. Nie byli to młodzieńcy, bowiem najmłodszy dwadzieścia pięć lat już liczył. Ani przeciwności tego czasu, strata przyjaciół i krewniaków, ani też lęk o życie własne nie zdołały w ich sercach ognia miłości przytłumić, a tym mniej zagasić.

Pierwszy z nich zwał się Panfilo, drugi — Filostrato, trzeci — Dioneo. Byli to ludzie krotochwilni, ale i obyczajni. W powszechnym zamęcie jednej pociechy szukali: dam swoich, które trafunkiem znajdowały się pośród siedmiu białogłów, w kościele zebranych. Niektóre zaś z nich spokrewnione z trzema mężczyznami były. Pampinea ujrzawszy ich rzekła z uśmiechem:

— Los sprzyja, widać, naszym poczynaniom, przysyła nam bowiem rozumnych i układnych mężów, którzy naszymi przewodnikami i sługami będą, jeśli tylko na służbę przyjąć ich zechcemy.

Neifile, będąca przedmiotem miłości jednego z przybyłych, zarumieniwszy się z pomieszania, rzekła:

— Na Boga! Pampineo, zważ na to, co mówisz! Znam ich i wiem, że nic złego o nich powiedzieć nie lza; poczytuję ich za zdolnych do znacznie ważniejszych przedsięwzięć niż to oto, a takoż upewniona jestem, że towarzystwo ich miłe by było każdym damom, piękniejszym i znaczniejszym od nas. Rzecz jednak w tym, że niektórzy z nich, jak o tym wszystkim wiadomo, niektóre z nas miłują; obawiać się zatem trzeba, że skoro ich zaprosimy, bez ich ani naszej winy ludzie nas osławić mogą.

— Błahe są to sprawy — odparła Filomena — dopóki postępuję tak jak należy i dopóki sumienie mnie nie dręczy, niechaj każdy gada o mnie, co mu się podoba, Bóg i prawda będą po mojej stronie. Jeżeli tylko będą skłonni nam towarzyszyć, to powinniśmy radować się, jak to słusznie Pampinea zauważyła, że los naszym poczynaniom sprzyja.

Pozostałe damy, usłyszawszy te słowa, umilkły i zaraz postanowiły przywołać młodzieńców, opowiedzieć im o swych zamysłach i poprosić, aby im towarzystwa w podróży dotrzymali. Pampinea, krewniaczka jednego z nich, podniosła się, zbliżyła się do nich, spoglądających na nie z daleka, z uśmiechem ich powitała, opowiedziała, w czym rzecz, i w imieniu wszystkich dam poprosiła, aby się zgodzili szczerze i po bratersku do ich kompanii przystać. Z początku młodzi ludzie pomyśleli, że damy z nich żartują, ale potem przekonawszy się, że wysłanniczka poważnie mówi, odparli wesoło, że zaproszenie ochotnie przyjmują. Bez zwłoki umówiono się o wszystko, w co należało się opatrzyć wyruszając w drogę.

Przygotowawszy wszystko jak należy, posłali uwiadomienie do tego miejsca, gdzie się udać zamierzali. Następnego dnia, w środę rano, skoro świt, damy w otoczeniu służebnic swoich, a młodzieńcy pospołu z sługami opuścili miasto i wyruszyli w drogę. Przeszedłszy ze dwie mile, dosięgli umówionego miejsca. Leżało ono na niewielkiej górze, oddalonej od dróg i ścieżek, pokryte różnymi krzewami i roślinami, że miło spojrzeć było na gąszcz zielonych pędów. Na szczycie góry stał dom z obszernym dziedzińcem pośrodku; wspaniałe komnaty, sale i krużganki tego domu malowidłami upiększone były. Wokół ciągnęły się pola i sady, widać było studnie pełne przezroczej wody i piwnice opatrzone w wina najwyborniejsze, które by lepiej znawcy niźli skromne białogłowy ocenić umieli. Przybysze z wielkim zadowoleniem znaleźli wszystko gotowe na ich przyjęcie. Komnaty były ochędożone i przystrojone, łoża pokryte świeżą pościelą; wszędzie rozstawiono świeże kwiaty, jakie w tej porze roku należć można było.

Gdy po przybyciu na miejsce wszyscy usiedli, aby wczasu zażyć, wesoły i krotochwilny Dioneo rzekł do dam:

— Raczej wasz zmysł zdrowy i wasza przezorność niźli nasza wola nas tutaj przywiodły. Nie wiem, coście w myślach swoich uczynić postanowiły, co się jednak tyczy moich, to ostawiłem je za bramą miasta, gdym co dopiero koło niej przechodził. Jeżeli pragniecie śpiewać i weselić się pospołu ze mną, zapraszam was do tego, zachowując wszelkie względy waszej przystojności należne, jeżeli zaś nie, pozwólcie mi wracać z powrotem do moich myśli i do nieszczęsnego miasta.

Pampinea, która widać również wszelkich trosk swoich się pozbyła, odpowiedziała wesoło:

— Dioneo dobrze mówi. Będziemy żyły wesoło, po to bowiem z miejsca smutku uszłyśmy. Ponieważ jednak rzeczy bez ustanowionego porządku długo trwać nie mogą, ja więc, która pierwszą pobudkę do rozmów w naszym towarzystwie dałam, zalecam, gwoli zachowania wesołości naszej, abyśmy spośród siebie jakiegoś przodownika wybrali. Wszyscy go będą słuchali i w wielkim go mieli zachowaniu, on zasię starać się będzie o to, aby nam czas miło upływał. Aby zasię każdy z nas troski i słodycz powszechnego uważania jednako poczuł i aby przyczyn do zawiści nie było, mniemam, że dobrze by było, gdyby ciężar ten i zaszczyt co dzień komu innemu przypadał. Pierwszego wybierzemy powszechną głosów elekcją, a ów władca wieczorem tegoż dnia następcę swego mianuje. Wybrany w czasie swego panowania będzie miał możność ustanowić do woli, jak i gdzie dzień spędzić mamy.

Mowę tę powszechny aplauz spotkał i natychmiast jednogłośnie Pampineę królową pierwszego dnia obwołano. Filomena, która słyszała wielokroć o czci, jaką wawrzynowe wyrażają liście, pobiegła duchem do laurowego krzewu, zerwała kilka gałązek, splotła z nich piękny wieniec i włożyła go na głowę Pampinei. Od tych pór wieniec laurowy, póki trwały te zebrania, stał się u nich starszeństwa oznaką.

Pampinea, która królową się stała, rozkazała przywołać trzech sług młodych ludzi i cztery służebnice dam i gdy wszyscy srogie milczenie zachowywali, na ten kształt mówić jęła:

— Chcę wam wszystkim dobrym przykładem służyć, jak należy dbać o nasz związek, tak aby coraz lepszym się stając, mógł się utrzymać długo w porządku i wesołości, bez obrazy przystojności i naszej dobrej sławy, i dlatego mianuję sługę Dionea, Parmena, marszałkiem moim, nakładając nań obowiązek pieczy nad kuchnią i domem. Sługa Panfila, Sirisco, zostanie skarbnikiem i rachmistrzem. Tiridaro niechaj służy wszystkim trzem kawalerom, wyręczając Parmena i Siriska, którym nowy urząd tego już czynić nie pozwoli. Moja pokojowa, Misia, i służebnica Filomeny, Licisca, będą w kuchni

przyprawiały potrawy wedle Parmena rozkazu. Chimera i Stratilia, służebnice Lauretty i Fiammetty, będą usługiwały w komnatach naszych dam i utrzymywały w czystości miejsca zebrań naszych. Każdemu zaś wiadomym czynię, jeśli łask naszych utracić nie chce, że wzbrania mu się surowie złych wieści przynosić, co bądź i gdziekolwiek by usłyszał.

Wydawszy te rozkazania, ochotnie przez wszystkich przyjęte, królowa wstała i rzekła wesoło:

— Wabią nas okoliczne ogrody, świeże łąki i inne przyjemne miejsca, niechaj zatem każdy uda się tam, gdzie chce. O trzeciej znów się zejdziemy i będziemy pożywali obiad w chłodzie.

Wesołe towarzystwo dam i kawalerów za pozwoleniem królowej udało się tedy do sadu. Poczęto przechadzać się po ogrodzie, wesołą rozmową się bawiąc, równianki kwiatów wiążąc i pieśni miłosne nucąc.

Gdy nadszedł czas oznaczony, wszyscy powrócili do domu i przekonali się, jak gorliwie Parmeno z obowiązków nań nałożonych się wywiązywał. Wszedłszy do jadalni ujrzeli stoły zasłane śnieżnobiałymi obrusami i srebrnymi — zdało się — naczyniami zastawione oraz kwiatami janowca przybrane. Królowa rozkazała podać wody do rąk obmycia; za czym wszyscy zajęli miejsca, ukazane im przez Parmena. Przyniesiono smakowite potrawy i wyborne wina; trzech pokojowców usługiwało do stołu. Wszystko tak znakomicie przygotowane było, że towarzystwo, pełne ukontentowania, żartując i śmiejąc się, z wielką ochotą jadło. Po obiedzie, gdy ze stołów uprzątnięto, królowa kazała muzyczne instrumenty przynieść. Niektórzy z młodzieńców (jako i z dam niektóre) pięknie śpiewali i grali, co się zaś tyczy tańców, to pląsać wszyscy umieli. Dioneo chwycił lutnię, Fiammetta wzięła wiolę i oboje do tańca zagrali. Królowa służbę na obiad odesłała, a potem z pozostałymi damami i dwoma kawalerami taniec kołowy powolnym krokiem zawiodła. Później wesołe i powabne piosenki śpiewać jęli. Na takich uciechach czas trawili, aż wreszcie królowa dała znak, że już pora na spoczynek. Wszyscy do swoich komnat się rozeszli. Młodzieńcy zastali w swoich pokojach łoża w puchy opatrzone i mnóstwo kwiatów. Damy także do komnat swoich odeszły i rozdziawszy się, wczasu zażywać jęły.

Gdy dziewiąta godzina nadeszła, królowa powstała, obudziła damy i kawalerów, twierdząc, że zbyt długi sen w ciągu dnia zdrowiu szkodzi. Towarzystwo udało się na łąkę, wysoką i świeżą trawą porosłą i od słońca osłonioną. Tutaj w chłodzie lekkiego

wietrzyka wszyscy wkoło na trawie zasiedli, jak przykazała królowa, a wówczas ona z taką mową się do nich obróciła:

— Widzicie, że słońce jeszcze na niebie wysoko i że żar jest dokuczliwy wielce; nic wokół nie słychać krom cykania świerszczy na oliwkach. Nierozsądną rzeczą by było teraz na przechadzkę się wybierać. Tutaj uroczo jest i chłodno! Oto szachy i szachownice, niech każdy upodobaniu swemu zadosyć uczyni. Jeśli jednak posłuchać mnie zechcecie, lepiej będzie grę tę ostawić. Przy grze zawsze jedna strona w nieukontentowanie popada, które przyjemności przecie ani przeciwnikowi, ani przyglądającym się sprawić nie może. Gdy się jednak historie opowiada, wszyscy chętnie słuchają i skwarny czas dnia szybko przechodzi. Nie zdążymy nawet wszyscy po jednej noweli opowiedzieć, gdy słońce ku zachodowi się schyli. Wówczas pójdziemy, gdzie chęć będziemy mieli. Nie niewolę nikogo i gotowa jestem ogólnemu życzeniu się nie sprzeciwiać, jeśli jednak moje ułożenie wam się podoba, to zaraz je w czyn wcielmy, w przeciwnym razie niech każdy do wieczora czyni to, na co ma ochotę.

Damy i młodzieńcy oświadczyli się wszyscy za opowiadaniem.

— Skoro tak — rzekła królowa — to niechaj w tym pierwszym dniu każdy, jaką chce, materię do opowieści wybierze.

Później, obróciwszy się łaskawie do Panfila, siedzącego obok niej po prawej ręce, kazała mu, aby swoją powiastką innym dał początek. Panfilo, słowom królowej posłuszny, zaczął swoją opowieść wśród natężonej wszystkich przytomnych uwagi.

Opowieść pierwsza. Spowiedź Ciappelletta

Ser Cepparello, fałszywą spowiedzią zwiódłszy świętego braciszka, umiera. Za życia był hultajem co się zowie, po śmierci obwołano go świętym, mianując go świętym Ciappelletto.

— Stosowną rzeczą jest, miłe białogłowy, aby człek każdą sprawę zaczynał w święte i podziwienia godne imię Tego, kto był twórcą wszystkich rzeczy. Jako że mnie opowieści nasze zacząć przypadło, chcę tedy na początek rzec o jednym z cudów bożych, tak aby po wysłuchaniu tej przypowieści nadzieja nasza, którą w Bogu pokładamy, okrzepła, niewzruszoną się stała i aby Jego imię zawsze było wychwalane.

Wszystkie sprawy tego świata są znikome i marne, pełne wnątrz siebie i wokół trosk, trudów i goryczy i nieskończonym niebezpieczeństwom podległe. Żyjąc pośród nich i będąc ich cząstką, nie moglibyśmy dać im odporu ani obronić się, gdyby szczególna

łaska boska nie dodawała nam sił i przezorności. Ta łaska spływa na nas nie wskutek jakichś zasług naszych, lecz dzięki dobrodziejstwu bożemu i modlitwom tych, którzy żyjąc na świecie, z woli Boga byli śmiertelnymi, tak jak my jesteśmy, teraz zasię, dzieląc z Nim wieczność, są błogosławieni. Do nich, jako do orędowników, wiedzących przez eksperiencję o naszej słabości, obracamy się z naszymi sprawami i potrzebami, nie śmiąc zanosić próśb naszych do Najwyższego Sędzi. Co więcej, Bóg, pełen wielkiego dla nas miłosierdzia, rozeznawa, że śmiertelnymi oczami naszymi nie możemy przeniknąć tajemnicy Jego boskiej mądrości. Nieraz przytrafia się może, że powszechnym mniemaniem omyleni, wybieramy naszym orędownikiem przed Nim tego, kto na wieczne wygnanie jest osądzony. Ale jako że dla Boga nic skrytym nie jest, tedy patrzy on bardziej na czystość myśli modlącego się niźli na jego niewiedzę i potępienie orędownika, ku któremu modlący się obracają, i wysłuchuje ich próśb, tak jakby one do błogosławionego zaniesione były. Jawnie to widać z tej noweli, którą teraz wam opowiedzieć zamierzam, i jawnie, powiadam, nie wedle osądu bożego, ale ludzkiego mniemania.

„Powiadają tedy, że Musciatto Franzesi, z wielkiego i bogatego kupca we Francji stawszy się rycerzem, miał ciągnąć do Toskanii wraz z bratem króla francuskiego, Karolem bez Ziemi, przyzwanym i do przybycia naglonym przez papieża Bonifacego. Jak to często u kupców się przytrafia, sprawy Musciatta w wielkim były zawikłaniu. Nie mogąc ich łatwo i szybko do porządku doprowadzić, umyślił polecić to różnym ludziom. Na wszystko znalazł sposób, jedna tylko wątpliwość mu pozostała: nie wiedział, komu poruczyć wydobycie długów, jakie mu się należały od różnych Burgundczyków. Dobrze wiedział zasię, że Burgundczycy są ludźmi wiarołomnymi, występnymi i złej wiary.

Nie mógł w myślach natrafić na człeka tak szczwanego, co by się potrafił niegodziwości Burgundczyków przeciwstawić. Gdy się długo nad tym głowił, przyszedł mu nagle na pamięć niejaki ser Cepparello z Prato, który go często w jego domu w Paryżu odwiedzał. Był to człek niskiej postury i w stroju swym wielce wymuskany. Francuzi nie wiedząc, co oznacza włoskie słowo »cepparello«, myśleli, że to »cappello« — czyli wianek, a ponieważ był niskiego wzrostu, nazwali go nie Cappello, lecz Ciappelletto; pod tym imieniem znany był wszędzie, chocia niektórzy i wiedzieli, że się zwie Cepparello.

A owóż i jego życie: będąc notariuszem, za wielki srom sobie by to poczytywał, gdyby choć jeden dokument, spośród tych nielicznych aktów, które sporządzał, prawdziwym, a nie fałszywym się okazał. Fałszywych aktów dostarczał, ile kto chciał, a czynił to

czasem za darmo z większą ochotą niż ten, co by za to sowitą zapłatę miał otrzymać. Świadczył fałszywie z wielkim upodobaniem, proszony lub nie proszony. W owych czasach we Francji wiara w przysięgę była niewzruszona. Toteż nie troszcząc się o to, że krzywoprzysięga, zawsze brał górę we wszystkich sprawach, które miały być jego przysięgą rozstrzygnięte. Z lubością dokładał starań, aby kłótnie wzniecać między krewniakami lub przyjaciółmi; im więcej z tych sporów nienawiści i zła płynęło, tym ukontentowanie jego większe było. Nigdy nie odmawiał, przeciwnie, ochotnie się zgadzał brać udział w morderstwach i innych zbrodniach; nieraz też własnymi rękoma ludzi mordował lub srogie rany im zadawał. Z lada powodu bluźnił Bogu i wszystkim świętym, będąc z przyrodzenia człekiem porywczym wielce. Do kościoła nie chodził nigdy; plugawymi słowy szydził z wszelkich sakramentów, za to chętnie i często odwiedzał szynki, bordele i inne miejsca hańbiące. Białogłowy miłował jak pies kije, natomiast lubował się w występku przeciw naturze. Rabować i kraść znaczyło dlań tyle, co dla świętego jałmużnę dawać. Obżerał się i pił, nie dbając, że nieraz zdrowie na szwank naraża. Był także zawołanym szulerem.

Ale po cóż się nad nim w tylu słowach rozwodzę? Wystarczy powiedzieć, że był to może najgorszy człek, jaki kiedykolwiek na świat przyszedł. Władza i wpływ Musciatta przez długi czas ochraniały występnika przed pomstą różnych osób, którym krzywdę wyrządził, a takoż przed sprawiedliwymi wyrokami sądów. Ów to Cepparello przyszedł na myśl panu Musciatto. Musciatto, znając doskonale jego życie, umyślił, że jest to człek ze wszech miar do wypełnienia jego zamysłów sposobny.

Przyzwał go do siebie i rzekł:

— Jak ci wiadomo, mości Ciappelletto, wkrótce stąd ze wszystkim odjechać muszę; krom innych, pozostają mi jeszcze sprawy z tymi oszustami, Burgundczykami; wiem, że nikt nie jest od ciebie zdatniejszy do tego, aby od nich dług mój wydobyć. Niewiele teraz masz do roboty, weź na siebie tę sprawę, a ja przyrzekam ci, że będziesz się cieszył faworem sądów i że dam ci z odebranych pieniędzy część należną i sprawiedliwą.

Imć Ciappelletto w samej rzeczy nic wówczas do roboty nie miał i biedę wielką znosił, widząc zasię, że jedyny obrońca i opiekun go opuszcza, bez zbytnich tedy namysłów, koniecznością przymuszony, rzekł, że chętnie służyć jest gotów.

Gdy już wszystkie warunki omówione zostały, Ciappelletto otrzymał pełnomocnictwo i piernacz od króla i zaraz po odjeździe messera Musciatto wyruszył do Burgundii, gdzie go nikt nie znał. Tutaj, wbrew swojej naturze, zaczął łagodnie i pokornie z dłużnikami postępować, byle celu dopiąć, ostawiając sobie na koniec inne

środki. Zamieszkał w domu dwóch braci, Florentczyków, którzy na lichwę pieniądze pożyczali. Przez wzgląd na pana Musciatto gospodarze w wielkim go mieli zachowaniu. Zdarzyło się, że tam Ciappelletto zachorzał. Bracia zraz przyzwali medyków i sługi, aby go mieli na pieczy i czynili wszystko, by mu zdrowie przywrócić. Aliści wszelki ratunek daremny się okazał. Poczciwina był już stary, a przy tym zdrowie miał nadwątlone hulaszczym trybem życia; według orzeczenia medyków z każdym dniem musiało mu się pogarszać, jako człekowi na nieuchronną śmierć skazanemu. Dwaj bracia wielce się tym trapili. Pewnego dnia, znajdując się w izbie, przyległej do komnaty, w której Ciappelletto chory leżał, zaczęli mówić z sobą w te słowa:

— Co mamy począć z tym człekiem? — spytał jeden drugiego. — Zaiste, niemały kłopot nam sprawił. Wydalić go teraz z naszego domu, tak ciężko chorego, byłoby to dla nas hańbą i dowodem niewielkiego rozumu. Ludzie widzieli przecie, żeśmy go przyjęli, gościli, a potem i leczyć troskliwie kazali, teraz zasię mieliby ujrzeć, że wypędzamy go z domu śmiertelnie chorego, chocia nam nic złego uczynić nie mógł.

Z drugiej strony, jest to taki hultaj, że, ani chybi, nie będzie się chciał wyspowiadać ani przyjąć ostatnich sakramentów. Gdy umrze bez spowiedzi, żaden kościół jego ciała nie przyjmie. Jak zdechłego psa wrzucą go do pierwszego lepszego dołu. Gdyby się zasię i wyspowiadał, to grzechy jego są tak wielkie i straszne, że nie znajdzie się taki ksiądz lub braciszek, co by go mógł rozgrzeszyć. Nie otrzymawszy zaś rozgrzeszenia, równie do jamy wrzucony będzie. Jeśli tak się stanie, lud tutejszy, który, nienawidząc profesji przez nas sprawowanej, źle o nas mówi i tylko czeka sposobności, aby nas ograbić, powstanie przeciwko nam z okrzykiem: »Nie ścierpimy tutaj dłużej tych psów lombardzkich, od których nawet kościół się odwrócił!«

Napadną na nasze domy i nie tylko dobra nasze złupią, ale jeszcze i życia nas pozbawić mogą. Tak więc czy inaczej, na przypadek jego śmierci, źle z nami będzie.

Ser Ciappelletto, który leżał niedaleko od miejsca ich rozmowy, mając słuch wyostrzony, jak to się często u chorych zdarza, słyszał wszystko, co dwaj bracia mówili. Za czym przywołał ich i rzekł:

— Nie chciałbym wam niepokoju sprawiać i szkód przyczyniać. Słyszałem, coście o mnie mówili, i jestem pewien, że nastąpiłoby to, czego się obawiacie, jeśliby rzeczy poszły tym trybem, jakeście przypuszczali. Aliści będzie inaczej. W ciągu mego życia tyle nagrzeszyłem przeciwko Bogu, że teraz, w godzinie śmierci mojej, jeden grzech więcej żadnej różnicy nie sprawi. Przyzwijcie do mnie najbardziej świątobliwego

mnicha, jeśli taki się znajdzie, i ostawcie mi swobodę działania, a ja wasze i moje sprawy taką modłą uładzę, że wszystko dobry obrót weźmie, ku waszemu ukontentowaniu.

Dwaj bracia, chocia niewielką ufność w jego słowa pokładali, jednakoż udali się do klasztoru i poprosili, aby któryś z mądrych i świętych mnichów wyspowiadał Lombardczyka leżącego na łożu niemocy w ich domu. Dano im mnicha sędziwego, słynącego z świątobliwości żywota i w Piśmie świętym wielce zawołanego. Ten człek czcigodny cieszył się szczególnie wielką estymą wszystkich mieszczan.

Wszedłszy do komnaty, w której ser Ciappelletto leżał, siadł na jego łożu i z początku jął go łagodnie pocieszać, później zasię zapytał, kiedy ostatni raz się był spowiadał. Na to Ciappelletto, który nigdy, jako żywo, do spowiedzi nie przystępował, odparł:

— Jest moim obyczajem, ojcze, spowiadać się przynajmniej raz na tydzień, jednakoż były mnogie tygodnie, gdy to częściej czyniłem. Ale wyznać muszę, że od czasu gdy zachorowałem, już osiem dni przeszło bez spowiedzi, tyle bowiem cierpienia mi ta boleść przyczyniła.

Na to mnich odparł:

— Dobrześ czynił, mój synu, i na przyszłość czyń takoż. Widzę, że niewiele trudu będę miał z wysłuchiwaniem cię, skoroś tak często się spowiadał.

Ser Ciappelletto rzecze:

— Nie mówcie tak, mój ojcze! Nie spowiadałem się nigdy bez tego, abym na każdej spowiedzi nie miał przypomnieć sobie i wyznać wszystkich grzechów, popełnionych od dnia mego urodzenia aż do dnia spowiedzi. Dlatego też proszę was, ojcze wielebny, abyście o każdą rzecz szczegółowie się wypytali, tak jakbym nigdy się nie był spowiadał, nie zważając przy tym wcale na to, że jestem chory. Wolę raczej udręczyć mój zewłok cielesny niźli, folgując mu, narazić na zgubę duszę moją, odkupioną drogocenną krwią Zbawiciela.

Słowa te wielce przypadły do smaku wielebnemu ojcu, gdyż zdały mu się oznaką świątobliwego stanu duszy. Pochwaliwszy Ciappelletto za jego dobry obyczaj, zapytał się go, zali się rozpustą z jaką białogłową nie splugawił?

Ser Ciappelletto odparł z westchnieniem:

— W tej materii, wielebny ojcze, wstydzę się wyznać prawdę, obawiając się, abym nie popadł w grzech chełpliwości.

— Mów śmiało, moj synu — rzecze mnich — nikomu za grzech nie było jeszcze poczytane wyznanie prawdy, czy to na spowiedzi, czy gdzie indziej.

— Z tym zapewnieniem — odparł Ciappelletto — wyznam wam całą prawdę. Jestem do tych pór jeszcze tak dziewiczy, jak wówczas gdy wychodziłem z żywota matki mojej.

— O, niechże Bóg cię błogosławi! — zawołał mnich — jakżeś zacnie sobie poczynał! Zasługa twoja jest tym większa, że mogłeś czynić przeciwnie z większą swobodą niźli my i ci wszyscy, co surowym regułom są poddani.

Później ojciec wielebny zapytał go, zali zbytnim obżarstwem przeciwko Bogu nie zgrzeszył. Na to Ciappelletto z głębokim westchnieniem odparł, że siła razy tak zawinił. Prawda, że krom wielkiego postu, który ludzie nabożni każdego roku zachowują, przywykł jeszcze do postów o chlebie i wodzie trzy razy w tygodniu, jednakoż pił tę wodę z taką lubością i tak chciwie, jak pijacy wino piją, osobliwie gdy się czuł utrudzonym pielgrzymkami do miejsc świętych lub ćwiczeniami nabożnymi. Krom tego nieraz przychodziła mu chętka na sałatę z traw, jaką przyrządzają kobiety na wiejskich wywczasach. Jadł ją nieraz z większym ukontentowaniem, niż to przystoi człekowi, który pości dla bojaźni bożej.

— Bracie mój — rzecze mnich — wszystko to są grzechy letkie i płynące z przyrodzenia naszego. Nie udręczaj zatem nimi sumienia swego więcej niż potrzeba. Nawet najświętszemu człekowi wybaczyć należy, jeśli po długim poście w jedzeniu smak znajduje, a po wielkim utrudzeniu wodę pije z ochotą.

— Ach, mój ojcze! — zawołał Ciappelletto — nie powiadajcie mi tego na pocieszenie! Wiem o tym dobrze, jako i wy wiecie, że ten, kto chce służyć Bogu, winien tę służbę sprawiać w czystości myśli i bez nijakiej zmazy; kto zaś inaczej czyni, grzeszy.

Mnich, wielce ukontentowany, rzekł:

— Raduję się, że tak myślisz, i chwalę czystość sumienia twego. Powiedz mi jednak, czyś chciwością nie grzeszył i nie żądał więcej, niż się należało, albo też czyś nie owładał dobrem cudzym?

— Nie sądź o mnie źle, ojcze — odparł Ciappelletto — widząc mnie w domu tych lichwiarzy. Nie mam z nimi nic wspólnego; przeciwnie, przybyłem tutaj, aby ich zawstydzić, ukarać i odwieść od tego bezecnego rzemiosła. Mniemam, że byłoby się mi to i udało, gdyby Bóg niemocy na mnie nie spuścił. Musicie wiedzieć, mój ojcze, że po śmierci ojca mego stałem się bogatym człowiekiem. Znaczną część jego majętności rozdałem na zacne cele, Bogu na chwałę, później, aby siebie utrzymać i móc dopomagać ubogim chrześcijanom, zająłem się małym handelkiem, chcąc pieniędzy sobie przysporzyć. Wszystko, co zarobiłem, dzieliłem na dwie części, połowę oddawałem

biedakom, a drugą obracałem na swoje potrzeby. Bóg mi pomagał i sprawy moje szły z dnia na dzień coraz to lepiej.

— Doskonale czyniłeś, zaiste — rzekł mnich — ale powiedz mi, czyś się nigdy gniewem nie zapalał?

— Mówiąc prawdę — odparł Ciappelletto — nader często się to zdarzało. Któż jednak może swój gniew zdzierżyć, widząc codziennie, jak ludzie występki popełniają, przekraczają przykazania boskie i nie boją się sądu Boga. Nieraz wolałbym był raczej umrzeć niż patrzeć, jak młodzieńcy marnym rzeczom świata tego hołdują, jak przysięgają i fałszywie świadczą, i jak miast kościołów odwiedzają szynki, wybierając nie drogi boże, lecz drogi doczesnego świata.

— Sprawiedliwy jest to gniew, mój synu — rzekł mnich — i nie mógłbym zań na ciebie pokuty nałożyć. Ale czy przypadkiem gniew nie zrobił cię tak zapamiętałym, żeś posunął się aż do morderstwa, uczynienia komuś niesprawiedliwości lub zelżenia bliźniego twego?

— Ach, ojcze wielebny — zawołał Ciappelletto — zdajecie mi się być świątobliwym człekiem, a takie rzeczy powiadacie! Gdyby mi choć na myśl przyszło uczynić jedną z tych rzeczy, o jakich mówicie, zaliżby mnie Bóg tak długo na świecie utrzymał? Do takich postępków zdolni są tylko łotrzy i morderce. Gdy takiego grzesznika ujrzałem, zawsze mówiłem mu: »Idź i niech cię Bóg na prawą drogę sprowadzi«.

— Rzeknij mi teraz, synu mój (oby ci Bóg błogosławił), czyś nie świadczył fałszywie o bliźnich swoich, czyś nie osławił nikogo lub nie przywłaszczył sobie cudzego dobra bez zgody i woli posiadacza?

— Tak, ojcze — odparł Ciappelletto — mawiałem źle o innych. Miałem niegdyś sąsiada, który bez żadnej przyczyny bił nieustannie swoją żonę. Jednego razu taka litość mnie zdjęła nad tą nieszczęśliwą, bitą ciągle a okrutnie przez pijaka, że wiele złego powiedziałem nań do krewniaków jego żony.

— Powiedziałeś mi — rzekł mnich — żeś się handlem parał. Zaliżeś nie oszukał kogoś, jak to często kupcy czynią?

— Na mą duszę, ojcze — zawołał Ciappelletto — muszę wyznać, że tak! Zdarzyło się pewnego razu, iż jeden człek oddał mi należność za sprzedany postaw sukna, a ja nie licząc rzuciłem pieniądze do skrzyni; po miesiącu spostrzegłem, że było tam o cztery grosze za dużo. Przechowałem je przez cały rok, chcąc mu je zwrócić, ponieważ jednak właściciel się nie zjawił, więc rozdałem te grosze ubogim.

— Błaha to jest rzecz, mój synu — odparł mnich — uczyniłeś tak, jak uczynić należało.

Mnich pytał się jeszcze o wiele rzeczy, a na pytania te Ciappelletto w podobny sposób odpowiadał. Gdy już chciał mu rozgrzeszenia udzielić, Ciappelletto rzekł:

— Mam jeszcze jeden grzech, ojcze, o którym wam nie powiedziałem. Przypominam sobie, że kiedyś w sobotę wieczorem, po dziewiątej godzinie, kazałem służącemu zamieść podłogę w domu, przez co uchybiłem świętej niedzieli.

— Niewielki to grzech, mój synu — odparł mnich.

— Nie mówcie tak, mój ojcze, niedzielę, jako dzień święty, wielce czcić należy, bowiem w dniu tym nasz Zbawiciel zmartwychwstał.

— Czy popełniłeś jeszcze jaki grzech? — zapytał mnich.

— Tak, ojcze — odparł Ciappelletto — raz w kościele bożym przez brak baczenia splunąłem.

Mnich zaczął się śmiać i rzekł:

— Nie dręcz się tym, mój synu! My, którzy jesteśmy zakonnikami, cały dzień w kościele spluwamy.

— I bardzo źle czynicie, gdyż niczego tak w czystości utrzymywać nie należy, jak kościoła, w którym się Bogu cześć oddaje.

Jeszcze siła podobnych rzeczy naopowiadał mnichowi, wreszcie zaczął wzdychać ciężko i gorzko płakać (a był w tym wszystkim mistrzem zawołanym).

— Co ci się stało, mój synu? — zapytał mnich.

— Biada mi, ojcze wielebny — odparł ser Ciappelletto — jeszcze mi zostaje jeden grzech, z któregom się nigdy nie wyspowiadał, tak się go bowiem sromam okrutnie. Ilekroć go sobie przypomnę, płaczę, jako to teraz widzicie. Wydaje mi się, że dla tej winy Bóg nie będzie miał dla mnie miłosierdzia.

— Co mówisz, mój synu? — rzekł mnich. Gdyby wszystkie grzechy, jakie kiedykolwiek ludzie popełnili albo jeszcze popełnią, dopóki świat trwa, w jednym człeku się skupiły i gdyby ten grzesznik tak się skruszył jak teraz ty, to miłosierdzie boże jest tak wielkie, że przy spowiedzi wszystko byłoby mu odpuszczone. Mów zatem śmiało.

Wówczas ser Ciappelletto rzekł płacząc gorzko:

— Grzech mój, wielebny ojcze, jest tak wielki, że wątpię, aby mi go Bóg odpuścił, choćbyście się i wstawili za mną swymi modlitwami.

— Mów śmiało — odparł mnich — przyrzekam ci, że będę błagał Boga za tobą.

Ser Ciappelletto, ciągle płacząc, nie mógł wymówić jednego słowa, chocia go mnich nieustannie pocieszał. Wreszcie gdy już kęs czasu mnicha w takiej niepewności trzymał, westchnął ciężko i rzekł:

— Ponieważ obiecaliście mi, ojcze, modlić się za mną do Boga, wyznam wam więc mój grzech. Wiedzcie, że raz, gdy jeszcze byłem dzieckiem, przekląłem rodzoną matkę moją.

Rzekłszy to, znów obfitymi łzami się zalał.

— Zali, synu mój — rzekł mnich — grzech ten za tak ciężki poczytujesz? Ludzie bluźnią przez cały dzień Bogu, a Bóg przebacza chętnie bluźniercy, który się skruszył. Czy sądzisz, że ci Stwórca tej winy nie odpuści? Osusz łzy i pociesz się. Gdybyś był nawet jednym z tych, co Zbawiciela ukrzyżowali, to On, widząc twoją skruchę, na pewno by ci przebaczył.

— Cóż wy mówicie, ojcze wielebny! — zawołał Ciappelletto. — Przekląć drogą matkę, która mnie przez dziewięć miesięcy dniem i nocą w żywocie nosiła, a później niezliczoną ilość razy na rękach, jakże ciężkim jest grzechem! Jeżeli nie będziecie, ojcze, błagali za mną Boga, Bóg mi nigdy tego nie przebaczy.

Mnich widząc, że Ciappelletto nic więcej do wyznania nie ma, udzielił mu absolucji i dał mu błogosławieństwo, będąc upewniony, że jest on świątobliwym człowiekiem; wierzył bowiem niezachwianie, że wszystkie jego słowa są szczerą prawdą. Któż by zresztą nie uwierzył, słysząc człeka tak mówiącego na łożu śmierci!

— Przy boskiej pomocy — rzekł mnich — wkrótce wyzdrowiejesz, Ciappelletto. Gdyby się jednak zdarzyło, że Bóg twoją pobłogosławioną i dobrze przygotowaną duszę do siebie powoła, zalibyś zezwolił, aby ciało twoje w naszym klasztorze pogrzebione zostało?

— O tak, mój ojcze — odparł Ciappelletto — i nie chciałbym być pochowanym gdzie indziej, bowiem przyrzekliście mi modlić się za moją duszę; przy tym miałem zawsze cześć osobliwą dla waszego zakonu. Teraz zasię proszę was, abyście, wróciwszy do klasztoru, przysłali mi tu bez zwłoki najświętsze ciało Chrystusowe, pobłogosławione dziś rankiem na ołtarzu. Chociaż niegodny jestem, pragnę za waszym pozwoleniem je przyjąć, a potem i ostatniego namaszczenia dostąpić, abym, choć żyłem jak grzesznik, umarł, jak na prawego chrześcijanina przystało.

Świątobliwy braciszek pochwalił go i zapewnił, że wkrótce wszystko mu zostanie dostarczone. Tak się też i stało. Tymczasem dwaj bracia, mocno niepewni, czy ich Ciappelletto przypadkiem zwieść nie chce, ukrywszy się za przepierzeniem, które

komnatę chorego od sąsiedniej izby dzieliło, wysłuchali łatwie wszystkiego, co Ciappelletto do braciszka mówił. Słysząc o grzechach, z których się spowiadał, po wiele razy o mały włos śmiechem nie wybuchnęli.

— Cóż to za człek — mówili do siebie — którego ani starość, ani choroba, ani strach przed bliską śmiercią czy przed Bogiem, przed sądem którego ma wkrótce stanąć, nie mogą odwieść od niegodziwości i k'temu przywieść, aby umarł inaczej, niźli żył. — Aliści uznawszy, że po tych wyznaniach kościół przyjmie jego ciało, nie troskali się już o resztę. Ser Ciappelletto przyjął wnet komunię świętą, a potem i ostatnie namaszczenia, ponieważ znacznie gorzej mu się uczyniło. Wieczorem tego dnia, w którym się cnotliwie spowiadał, umarł. Dwaj bracia, rozporządziwszy jego mieniem, przeznaczyli uzyskane pieniądze na przystojny pogrzeb i posłali do klasztoru, prosząc braci, aby przybyli wieczorem odprawić, wedle obyczaju, wigilie, a rankiem drugiego dnia ciało zabrali. Świątobliwy mnich, który Ciappelletta był spowiadał, usłyszawszy o jego śmierci odbył naradę z przeorem, później zasię biciem w dzwony przywołał wszystkich mnichów znajdujących się w klasztorze i oznajmił im, że ser Ciappelletto był człowiekiem świątobliwym, jak to dowodnie widać z tego, co na spowiedzi wyznał. Wierząc głęboko, że Bóg za jego sprawą niejeden wielki cud uczynić może, łatwo przekonał mnichów, że ciało zmarłego przyjąć należy uroczyście i z wielką czcią.

Łatwowierni bracia wraz z przeorem zgodzili się na to. Wieczorem udali się wszyscy do domu, w którym ciało Ciappelletta spoczywało; odprawili nad zwłokami uroczyste wigilie, a nazajutrz rano, ubrani w komże i kapy, z książkami w rękach, poprzedzani krzyżem, śpiewając modły, zabrali ciało i z wielką pompą ponieśli je do swego kościoła. Za tym orszakiem szli mężczyźni i białogłowy; wylegla prawie cała ludność miasta. Gdy mary postawiono w kościele, mnich, który zmarłego był spowiadał, wszedł na kazalnicę i począł powiadać cudowną historię o jego życiu, postach, czystości, niewinności i świątobliwości. Między innymi opowiedział to, co mu Ciappelletto, płacząc, jako swój największy grzech wyznał, i jak on ledwo go zdołał przekonać, że mu Bóg przebaczy. Potem zwrócił się do przytomnych i gromiąc ich a strofując, rzekł:

— A wy, od Boga przeklęci, z powodu lada słomki, co wam pod nogi padnie, bluźnicie Bogu, Najświętszej Pannie i całemu dworowi niebieskiemu!

Krom tego siła jeszcze prawił o prawości i niewinności nieboszczyka. Słowa te, którym cały lud uwierzył, wielki skutek sprawiły, tak że po skończonym nabożeństwie wszyscy co do jednego rzucili się całować ręce i nogi nieboszczyka; porwano przy tym na nim suknie, a każdy, kto posiadł choćby strzępek materii, już się za szczęśliwego

poczytywał. Ciało było wystawione przez cały dzień w kościele, tak aby każdy mógł je odwiedzać i oglądać. Gdy noc zapadła, złożono nieboszczyka do marmurowego grobu i pochowano uroczyście w kaplicy. Następnego dnia lud zaczął odwiedzać jego grób, zapalać świece, śluby czynić i stosownie do ślubów wota woskowe zawieszać.

Sława jego świętości tak wzrosła, że prawie nikt w potrzebach i uciskach swoich do innego świętego się nie uciekał. Nazwali go, jako i teraz zowią: świętym Ciappelletto, utrzymując, że Bóg wielkie cuda przez niego uczynił i nadal czyni każdemu, co z osobnym nabożeństwem do Ciappelletta się obraca".

Tak tedy żył i umarł ser Cepparello z Prato, który stał się świętym, jakoście to słyszeli. Nie chcę twierdzić, iżby nie mógł zbawienia w obliczu Boga dostąpić, chocia bowiem życie jego było występne i plugawe, to przecie w ostatniej godzinie pokajawszy się i skruszywszy mógł miłosierdzia boskiego zaznać i do raju przyjęty zostać. Ale jako że wszystko to jest dla nas tajne, tedy sądzę po tym, co dostępne jest oczom naszym, że raczej znajduje się w rękach szatana niż w raju. Jeśli tak jest, uznać musimy, że nieskończona jest wobec nas dobroć Boga, który patrzy nie na błędy nasze, lecz na czystość naszej wiary. Czynimy naszym orędownikiem wroga bożego, mniemając, że jest on Bogu miły, a Bóg nas wysłuchuje, jakbyśmy do prawdziwego świętego modły zanosili. Aby łaska boska, w tym wesołym towarzystwie i pośród losów dzisiejszych przeciwności, zdrowych i całych nas zachować mogła, wychwalajmy Jego imię, które położyliśmy na wstępie tej powieści, i w potrzebach naszych do Niego się uciekajmy, pewni, że wysłuchani będziemy. Tu opowiadający mowę swoją zawarł.

Opowieść druga.

Podróż Abrahama z Paryża do Rzymu

Abraham, Żydowin, zachęcony do podróży przez Giannotta di Civigni, udaje się do Rzymu. Ujrzawszy zepsucie kleru wraca do Paryża i staje się chrześcijaninem.

Opowieść Panfila została pochwalona przez białogłowy, które, słuchając jej, często śmiechem wybuchały. Gdy już opowiadanie, z wielką uwagą słuchane, do końca doprowadzone zostało, królowa siedzącej obok Panfila Neifile rozkazała opowiedzieć nową historię, według ustanowionej kolei. Dama ta, równie pięknością, jak dwornymi obyczajami ozdobiona, z radością na to żądanie przystała i zaczęła na ten kształt:

— Panfilo w swojej opowieści ukazał nam, że miłosierdzie boże nie liczy nam błędów naszych, gdy one z nieświadomości naszej wypływają, ja zasię w swojej opowieści

pragnę pokazać, iż miłosierdzie to z cierpliwością znosi grzechy tych, którzy swymi uczynkami i słowami będąc obowiązani jawnym świadectwem mu służyć, wcale przeciwnie postępują. Tą drogą Bóg daje dowody niezachwianej prawdy, abyśmy z większą duszy stałością szli za tym, w co wierzymy.

Słyszałam kiedyś, miłe towarzyszki, taką opowieść: „Mieszkał ongiś w Paryżu bogaty kupiec i człek zacny, Giannotto di Civigni zwany. Był to człek sprawiedliwy i uczciwy; zajmował się rozległym handlem suknami. Wielka przyjaźń łączyła go z bogatym Żydem, zwanym Abrahamem, który także się kupiectwem parał, a był człekiem równie uczciwym i zacnym. Giannotto, widząc przymioty przyjaciela, wielce nad tym bolał, że dusza tak mądrego i dobrego człeka, dzięki błędom jego wiary, na potępienie wieczne skazana zostanie. Dlatego też jął go prosić dobrotliwie, aby porzucił błędy wiary żydowskiej i wiarę chrześcijańską przyjął, która (jak to sam dowodnie widzi) dzięki swojej świętości i prawdzie ciągle się rozpowszechnia i kwitnie, gdy tymczasem jego wiara coraz bardziej zanika, tak iż wreszcie wniwecz rozwiać się może. Żyd odparł, że krom wiary żydowskiej żadnej innej za dobrą i świętą nie uznaje, że zamierza umrzeć w tej, w której się narodził i wzrósł, że nie ma takiej siły, co by go od niej odwrócić mogła. Odpowiedź ta nie odwiodła Giannotta od tego, aby po kilku dniach nie obrócił się do swego przyjaciela z podobną mową, starając mu się dowieść na nadto grubych przykładach (jak to nieraz kupcy czynić umieją), dla jakich to racyj nasza wiara jest lepsza od żydowskiej.

A chocia Żydowin był w rzeczach wiary żydowskiej mistrzem zawołanym, przecie przyjaźń wielka, którą do Giannotta żywił, a może i słowa, włożone w usta tego prostego człeka przez Ducha Świętego, to sprawiły, że Żydowinowi wielce do smaku dowody Giannotta przypadać poczęły. Przecie jednak w wierze swojej błędliwej nadal trwał z uporem.

Im bardziej się w swoim uporze zacinał, tym więcej na niego Giannotto nastawał, aż wreszcie Żydowin, uległszy jego natarczywym prośbom, rzekł:

— Chcesz, Giannotto, abym wiarę chrześcijańską przyjął? Ja się od tego nie uchylam. Jednakoż przedtem chcę się udać do Rzymu, obaczyć tego, którego ty namiestnikiem bożym na ziemi zowiesz, zważyć jego postępki i obyczaje, a także życie jego braci-kardynałów. Jeśli wydadzą mi się takimi, że wedle ich życia sądząc poznam, iż wiara twoja jest lepsza od naszej, jak to starałeś się mi dowieść, uczynię to, com przyrzekł. Jeśli nie, pozostanę nadal żydem.

Giannotto, usłyszawszy o tym jego postanowieniu, wielce się strapił i rzekł do siebie: »Stracone są wszystkie moje zachody i trudy, których nie szczędziłem, aby go do przyjęcia chrześcijaństwa nakłonić, co zdawało się być rzeczą bliską. Pojedzie do Rzymu, obaczy na własne oczy, jak plugawe i występne życie księża wiodą, i nie tylko wiary naszej nie przyjmie, ale nawet gdyby i chrześcijaninem został, na judaizm powróciłby«. Obrócił się tedy do Abrahama i rzekł:

— Po cóż chcesz przedsiębrać tak uciążliwą i kosztowną podróż do Rzymu? Na tak bogatego człeka, jak ty, czyha tysiąc niebezpieczeństw na ziemi i na morzu. Zali nie znajdziesz tu kogoś, kto by cię ochrzcił? Jeżeli zaś żywisz jakieś wątpliwości co do wiary, którą ci wykładam, gdzież znajdziesz mądrzejszych i światlejszych ludzi jak tu? Dadzą ci oni wszelkie objaśnienia. Według mnie zatem ta twoja podróż wcale potrzebna nie jest. Pomyśl, że prałaci w Rzymie są podobni do tych, których tu widzisz, a może i świątobliwsi, jako że żyją w pobliżu najwyższego pasterza. Zachowaj swoje siły na inny raz, do czasu pielgrzymki po miejscach świętych, w której może i ja towarzyszyć ci będę.

— Wierzę, Giannotto — odparł Żydowin — że racja jest po twojej stronie, ale jeśli chcesz, abym spełnił to, o co mnie prosisz, to powiem ci w dwóch słowach, iż muszę jechać. W przeciwnym razie nic nie uczynię.

Giannotto uznawszy jego twarde postanowienie rzekł:

— Jedź zatem; szczęśliwej drogi ci życzę.

Pomyślał przy tym, że Żydowin, ujrzawszy dwór papieski, nigdy już chrześcijaninem się nie stanie. Aliści, nic na tym nie tracąc, już mu nie doradzał, aby pozostał.

Żydowin dosiadł rumaka i pośpieszył do Rzymu, gdzie przez Żydów z wielką okazałością przyjęty został. Przebywając w mieście, nie zdradzał się przed nikim, po co tu przybył, a tylko w tajemnicy śledził życie papieża, prałatów i kardynałów, i całego papieskiego dworu.

Jako człek bystry, niejedno sam spostrzegł, a i wiele od drugich uznał. Z tego wszystkiego wniósł, że każdy ksiądz, od najmniejszego do największego, rozpustą grzeszy i hołduje nie tylko naturalnej rozkoszy, ale i sodomskiej, nie znając hamulca, wyrzutów sumienia i wstydu. Dzięki przemożnemu wpływowi nierządnic i młodzieniaszków nie lada rzeczy można było w Rzymie uzyskać. Obaczył także, że wszyscy są żarłokami i pijanicami, że na kształt dzikich zwierząt jeno brzuchom swoim służą, nie mówiąc już o rozpuście. Jeszcze baczniej się im przyjrzawszy, poznał, że są skąpi i tak na grosz chciwi, że nie wstydzą się kupczyć wszystkim, poczynając od krwi ludzkiej, nawet chrześcijańskiej, a kończąc na rzeczach świętych, odpustach i

beneficjach. Kupując i sprzedając, większy handel prowadzą i liczniejszych mają pośredników niż w Paryżu kupcy sukna i innych towarów. Jawną symonię ochrzcili mianem »zastępstwa«, a obżarstwo ukryli pod skromną nazwa »pokrzepienia sił«, tak jakby Boga można było oszukać znaczeniem tych słów i jakby On nie widział plugawych intencyj ich niskich dusz. Mniemali, widać, że Bóg, tak jak ludzie, imieniem rzeczy da się okłamać. Wszystkie te rzeczy a takoż i te, o których zmilczeć należy, nie podobały się wielce Żydowinowi, człekowi umiarkowanemu i obyczajnemu. Zdało mu się, że już dość widział, postanowił tedy do Paryża powrócić; tak też uczynił. Giannotto, dowiedziawszy się o jego powrocie, udał się do niego, straciwszy już wszelką nadzieję na to, aby Żydowin chciał chrześcijaństwo przyjąć. Spotkali się pełni ukontentowania i wielkiej radości.

Po kilku dniach odpocznienia Giannotto zapytał się go, co myśli o Ojcu świętym, kardynałach i innych dworakach.

Żydowin odparł:

— Wydaje mi się, że Bóg źle czyni, łaskawością swoją ich darząc. Powiem ci, iż jeśli dobrze zważać i sądzić umiałem, w żadnym księdzu nie znalazłem ani krztyny świętości, pobożności czy przykładu godnego naśladowania. Rozpusta, chciwość, obżarstwo, wiarołomstwo, zawiść, pycha i inne gorsze występki (jeśli sobie można tylko gorsze wystawić) tak im weszły w obyczaj, że dwór papieski jest dla mnie raczej kuźnią diabelskich poczynań niż dzieł świętych. Według mego mniemania, wasz pasterz najwyższy, jako i wszyscy jego duchowni, z wielką pilnością a staraniem i umiejętnością chcą religię chrześcijańską poniżyć i z oblicza świata ją zetrzeć, chocia winni przecie być jej wsporem i obroną. A jako że, mimo tych ich wysiłków, wasza wiara coraz bardziej się rozpowszechnia i coraz jaśniejszą i doskonalszą się staje, tedy musiał Duch Święty w nią wstąpić, aby stanęła wyżej od wszystkich wiar świata. Dlatego też, jeśli dawniej głuchy byłem na twoje prośby i nie chciałem chrześcijaństwa przyjąć, to teraz mówię ci jawnie, że nic nie będzie w stanie mnie od tego powstrzymać. Chodźmy zatem do kościoła, pragnę przyjąć chrzest zgodnie z obyczajem waszej świętej wiary.

Giannotto, który spodziewał się całkiem przeciwnego postanowienia, usłyszawszy te słowa stał się najszczęśliwszym na ziemi człowiekiem. Udał się z Żydem do kościoła Najświętszej Marii Panny w Paryżu i poprosił księży, aby obrządku chrztu nad Abrahamem dopełnili. Prośbie tej zaraz było uczynione zadość. Giannotto był jego ojcem chrzestnym. Nawrócony imię Jana otrzymał. Później Giannotto polecił go

światłym ludziom, którzy go wkrótce w rzeczach wiary świętej całkowicie wyćwiczyli. Jan zasłynął też później jako człek wielce zacny i świątobliwy".

Opowieść trzecia.

Trzy pierścienie

Melchisedech, Żydowin, opowieścią o trzech pierścieniach salwuje się z niebezpieczeństwa, jakie mu Saladyn gotował.

Gdy opowieść Neifile, przez wszystkich chwalona, do kresu dobiegła, zgodnie z wolą królowej mówić zaczęła Filomena:

— Nowela Neifile przypomniała mi niemiły przypadek, który się zdarzył pewnemu Żydowi. Ponieważ o Bogu i o prawdzie naszej wiary już dość rzeczone zostało, wydaje mi się teraz nie od rzeczy zstąpić ku przypadkom i dziełom ludzkim. Wysłuchawszy mojej opowieści, może ostrożniej odpowiadać będziemy na stawiane nam pytania. Należy, abyście wiedziały, drogie przyjaciółki, że głupota nierzadko odbiera człekowi wszelkie dobro i w wielkie nieszczęścia go wtrąca, gdy tymczasem mądrość z największych niebezpieczeństw wyprowadza i do spokojnego a błogiego stanu przywodzi. Przykładów na to, że głupota pozbawia nas szczęścia i do srogich mizeryj doprowadza, istnieje mnóstwo, aliści o nich tutaj rozpowiadać nie będę, bowiem widać je jawnie z tysiąca codziennych zdarzeń. W krótkiej mojej opowieści ukażę tylko, jak to rozum wybawić nas może z obierzy.

„Saladyn, który dzięki swej osobistej dzielności nie tylko z człeka nikczemnego stanu na tron Babilonu się wyniósł, ale i siła królów tak chrześcijańskich, jak i saraceńskich zwyciężył, roztrwonił swój skarbiec na częste wojny i niesłychany zbytek. Zdarzyło się, że potrzebował pilnie większej sumy pieniędzy, a nie wiedząc, skąd by ją tak nagle wydostać, przypomniał sobie o bogatym Żydowinie, zwanym Melchisedech, który w Aleksandrii na lichwę pożyczał. Pomyślał Saladyn, że ten mógłby mu, gdyby tylko chciał, przyjść z pomocą; ponieważ jednak znał jego skąpstwo, więc nie bardzo wierzył, aby mu po dobrej woli usłużył, gwałtem zasię przymuszać go nie chciał. Naglony potrzebą, jął Saladyn przemyśliwać, jak by tę sprawę z Żydowinem ułatwić, aż wreszcie postanowił użyć gwałtu, ale tą modłą, aby miał on pozór słuszności.

Kazał przywołać Żyda, przyjął go serdecznie, posadził obok siebie i rzekł:

— Od wielu ludzi słyszałem, mężu zacny, że jesteś wielkim mędrcem i w rzeczach wiary osobliwie wyćwiczonym, dlatego też chciałbym się dowiedzieć od ciebie, która z trzech wiar jest najlepsza: żydowska, saraceńska czy chrześcijańska?

Żydowin, który w samej rzeczy był mądrym człowiekiem, wraz spostrzegł, że Saladyn chce go pochwycić za słowa, oczywiście nie bez ukrytej myśli; pojął zatem, że gdyby którejkolwiek z tych trzech wiar wyższość przyznał, władca swój zamierzony cel osiągnie. Skupił umysł jak ten, kto, do odpowiedzi przynaglony, nie chce się dać przyłapać na niej, i zaraz umyślił, jaki mu respons dać należy.

— Panie mój i władco — rzekł — zadaliście mi ważkie pytanie; abym mógł jednak mój sąd wyrazić, muszę wam powtórzyć pewną opowieść. Przypominam sobie, o ile mnie pamięć nie zwodzi, że nieraz słyszałem o jednym bogatym i znacznym człeku, który między innymi klejnotami posiadał w swym skarbcu szacowny i piękny pierścień. Aby jego wartość i piękność należycie uczcić i na wieczność ostawić go swoim potomkom, rozkazał, by ten z jego synów, w posiadaniu którego pierścień ów się znajdzie, za dziedzica uchodził, był za głowę rodu poczytywan i jako taki uważany i czczony. Spadkobierca pierścienia podobnie z potomkami swymi postąpił jak jego poprzednik. Pierścień przechodził z rąk do rąk, aż wreszcie dostał się człekowi, który miał trzech urodziwych, cnotliwych i posłusznych jego woli synów; dla tej przyczyny równą miłością ich darzył. Młodzieńcy, którzy wiedzieli o tym zwyczaju z pierścieniem, chcieli jeden przez drugiego klejnotem zawładnąć, jako że każdy z nich za najgodniejszego pragnął być uważany. Każdy prosił tedy usilnie sędziwego ojca, który już do śmierci się zbliżał, aby jemu pierścień ten pozostawił. Zacny człek, wszystkich synów jednako miłujący, nie umiał uczynić wyboru, aż wreszcie umyślił, że najlepiej będzie przyrzec go każdemu z nich; aby wszystkich po równu ukontentować. Polecił zaś w tajemnicy zręcznemu złotnikowi sporządzić jeszcze dwa pierścienie, które tak do prawdziwego podobne się okazały, że on sam, co uczynić je polecił, zaledwie mógł rozeznać pierścień prawdziwy. Przed śmiercią wręczył w tajemnicy każdemu synowi jeden pierścień. Po śmierci rodzica każdy z synów o dziedzictwo i o cześć należną się upominał i jeden zaprzeczał praw drugiemu, przedstawiając na dowód swój pierścień. Ponieważ trzy pierścienie tak podobne się okazały, że prawdziwego poznać nie można było, nie rozstrzygnięte po dziś dzień zostało, kto jest właściwym dziedzicem.

Podobnie rzecz się ma, mój panie i władco, z trzema religiami, danymi przez Boga trzem nacjom. Każda z nich mniema, że posiada istotną spuściznę i prawdziwe prawo

boże; która jednak ma słuszność, nie wiadomo, jak i nie wiadomo, kto prawdziwy pierścień posiada.

Saladyn spostrzegł, iż Żydowin uniknął zręcznie zastawionych nań sieci. Postanowił zatem otwarcie o potrzebach swoich go uwiadomić, aby przekonać się, zali mu usłużyć zechce, zdradził mu przy tym, co zamyślał z nim uczynić i co by, ani chybi, zrobił, gdyby tak rozumnej odpowiedzi nie otrzymał.

Żydowin dał Saladynowi po dobrej woli żądaną sumę. Saladyn zaś nie tylko po pewnym czasie dług swój w całości spłacił, ale jeszcze wspaniałymi darami go obsypał, uważał go za swego przyjaciela i zatrzymał przy sobie z oznakami czci wielkiej".

Opowieść czwarta.

Ciężki grzech

Mnich, który w ciężki grzech popadł, gani przeora za tę samą przewinę i w ten sposób od kary się uwalnia.

Gdy Filomena, skończywszy swoją opowieść, zamilkła, siedzący obok niej Dioneo, nie czekając na rozkaz królowej (wiedział bowiem, że na niego teraz kolej przypada), tym kształtem mówić zaczął:

— Miłe damy! Jeśli dobrze nasze powszechne życzenie pojmuję, to zebraliśmy się tutaj po to, aby się opowieściami wzajemnie rozweselić. Mniemam, że każdemu zostawiona jest swoboda w wyborze materii, byleby tylko opowieść nie sprzeciwiała się ogólnemu prawidłu, to jest, zajmującą była. Takie było bowiem życzenie królowej. Wysłuchaliśmy już opowieści o tym, jak to Abraham, za radą Giannotta di Civigni idąc, duszę swoją zbawił oraz jak roztropny Melchisedech obronił swoje bogactwa przed zasadzkami Saladyna. Sądzę, że na wasze przygany nie zasłużę, gdy wam opowiem o chytrej sztuczce, dzięki której udało się pewnemu mnichowi srogiej kary cielesnej uniknąć.

„W Lunigianie, niedaleko stąd leżącej, znajdował się klasztor słynący dawniej z mnogości i świątobliwości braciszków, teraz zasię opustoszały. W klasztorze przebywał pewien mnich, człek młody i krzepkiego ciała złożenia. Sił jego ani posty, ani modlitwy, ani czuwania nocne nadwątlić nie zdołały. Pewnego razu, w samo południe, gdy inni braciszkowie wczasu zażywali, mnich ów, przechadzając się koło kościoła znajdującego się w okolicy pustej i oddalonej, napotkał urodziwą wielce młódkę, która, ani chybi, córką jakiegoś okolicznego kmiecia być musiała. Dzieweczka zatrudniona była

zbieraniem ziół. Ledwie mnich ją ujrzał, gdy chucie w nim rozgorzały. Dlatego też, zbliżywszy się do niej, w grzeczny dyskurs z nią wstąpił. Od słowa do słowa przechodząc, to wreszcie na niej wymógł, że zgodziła się pójść cichaczem do jego celi, tak iż nikt tego nie spostrzegł.

Tutaj mnich, żądzami swymi zbytnio pobudzany, jął figlować z nią mniej ostrożnie, jak by należało. Tymczasem zdarzyło się, że przeor ze snu wyczmucony, przechodząc obok celi mnicha, posłyszał rumor okrutny, który tamci czynili. Chcąc lepiej głosy rozróżnić, zbliżył się cicho do drzwi celi, nadsłuchiwać począł i wówczas poznał dowodnie, że wewnątrz białogłowa się znajduje. Z początku chciał rozkazać, aby drzwi otworzono, później jednak inaczej postąpić umyślił. Wrócił zatem do swej komnaty i czekał, aż mnich z celi wyjdzie. Mnich zasię, chocia z całego serca rozkoszy używał, przecie miał się na baczności. Posłyszawszy, jak mu się zdawało, odgłos kroków na korytarzu, podszedł do drzwi, spojrzał przez szparę i ujrzał przeora, który podsłuchiwał. Dorozumiał się od razu, że przeor uznał o bytności białogłowy w jego celi, a wspomniawszy, jak surowa kara mu za to zagraża, stropił się wielce. Nie dawszy jednak młódce żadnej o swym strapieniu poznaki, jął się głowić nie na żarty, szukając jakiegoś stosownego wybiegu. Wreszcie przyszła mu na myśl pewna chytra sztuka, o skuteczności której był twardo przekonany. Uczyniwszy pozór, że dość ma już miłosnych igraszek, rzekł do białogłowy:

— Idę teraz, chcąc wynaleźć skuteczny sposób na to, byś stąd niepostrzeżenie wyjść mogła. Dlatego też czekaj tutaj, aż do mego powrotu.

Rzekłszy te słowa, wyszedł z celi, zamknął drzwi na klucz i zaraz udał się do komnaty przeora. Oddał przeorowi klucz, jak to każdy mnich miał w obyczaju czynić, kiedy z klasztoru się wydalał, i rzekł:

— Dzisiaj z rana, mój ojcze, nie zdążyli przewieźć wszystkich drew, co są przygotowane; za waszym pozwoleniem tedy chcę się udać do lasu, aby zwózki dopilnować.

Przeor, pragnąc dowiedzieć się szczegółowiej o grzechu, przez mnicha popełnionym, i mniemając, że grzesznik niczego się nie dorozumiewa, uradował się z tego przypadku. Wziął klucz i dał swoje przyzwolenie. Gdy mnich odszedł, przeor jął rozmyślać, jak mu postąpić należy: zali w przytomności wszystkich mnichów drzwi celi otworzyć i sprośny grzech na jaśnię podać, tak aby braciszkowie szemrać później nie mogli, gdy srogą karę rozpustnikowi wymierzy, zali też wprzód o wszystkim od onej niewiasty uznać szczegółowie? Pomyślał przy tym, że owa młódka może się okazać

córką lub żoną jakiegoś czcigodnego człeka, któremu nie chciałby despektu sprawić, jawnie ją osławiając. Dlatego też postanowił dowiedzieć się wprzód, kim jest owa białogłowa, a później dopiero stosowne miary przyjąć. Z tym zamysłem podszedł do drzwi celi, otworzył je, wszedł do środka i znów drzwi za sobą zawarł. Młódka obaczywszy przeora zmieszała się wielce, od sromu i trwogi gorzko płakać poczęła.

Świątobliwy przeor, spojrzawszy na nią, przekonał się, że dzieweczka piękna jest i świeża. Chocia był już człekiem szedziwym, przecie poczuł, że nim chucie okrutne owładają, na podobieństwo tych, którym młody mnich oprzeć się nie zdołał. Tedy rzekł do się na ten kształt: »Dlaczegóż bym nie miał uciechy zażyć, skoro sposobność się nadarza? Radości i wesela niewiele mamy, trosk zasię i zła zawsze pod dostatkiem. To piękna dzieweczka, na honor! Nikt nie dowie się o tym, że tutaj była. Czemuż miałbym nie spróbować, czy mi się nie uda woli swej ją powolną uczynić? Grzech w tajemnicy to pół grzechu tylko! Korzystajmy ze szczęśliwej okazji, co się może już nigdy nie powtórzy, i nie pogardzajmy nierozważnie dobrem, którym Bóg bliźniego obdarza!«.

Tak myśląc, zbliżył się do płaczącej dzieweczki, zamysł swój pierwotny całkiem odmienił, pocieszać ją półgłosem począł i prosić, aby płakać przestała. Po czym w ostrożnych słowach pragnienie swoje jej odkrył. Dzieweczka, która nie była z żelaza ani z kamienia, zbytniego nie stawiała oporu. Przeor, obłapiwszy ją ciasno i ucałowawszy czule, pociągnął ją do wąskiego łoża mnicha. Mając jednak może należny wzgląd na czcigodność swojej osoby, a takoż obawiając się, aby jej ciężarem swoim zbytnio nie urazić, miast się na wątłej młódce położyć, na brzuchu swym ją posadził i tą modłą długo z nią igrał. Mnich, który udał, że do lasu wyrusza, ukrył się w kącie korytarza. Obaczywszy, że przeor sam do celi wchodzi i drzwi za sobą zamyka, miał już za najzupełniej pewne, że jego fortel skutecznym się okaże. Podkradł się więc do drzwi i przez szparę obaczył wszystko, co przeor czynił. Ów, po długiej miłosnej rozprawie, zamknął młódkę w celi i do swej komnaty się udał. Wkrótce usłyszał mnicha i sądził, że ten już z lasu powrócił. Zamierzając go skarcić surowo i do ciemnicy wtrącić, tak aby z miłej zdobyczy bez podziału korzystać, kazał go przywołać, a później przyjąwszy go z zagniewanym obliczem, rzekł, że go więzieniem ukarze.

Mnich odparł na to:

— Przewielebny ojcze; zbyt niedawno jestem w zakonie świętego Benedykta, ażebym mógł znać szczegółowie wszystkie reguły. Nie wiedziałem na przykład, że mnisi krom wigilij i postów winni są jeszcze i dziewczęta na siebie nakładać. Teraz jednak, skoroście

mi już stosowny przykład dali, przyrzekam nigdy pod tym względem nie chybić. Jeśli mi na ten raz przebaczycie, będę czynił tak, jak widziałem, żeście wy czynili.

Przeor, który był człowiekiem o bystrym przyrodzeniu, zaraz pojął, że mnich nie tylko lepiej od niego w sedno utrafił, ale wszystkie jego figle widzieć musiał. Zawstydził się postępku swego i nie chciał karać mnicha za to, czym sam zgrzeszył. Przebaczył mu przeto, pod warunkiem, że ścisłe milczenie zachowa. Później postarali się dziewczynę ukradkiem z klasztoru wyprowadzić. Mniemać należy, że młódka jeszcze nieraz tam powracała".

Opowieść piąta.

Kury

Markiza z Monferratu gasi bezrozumną miłość króla francuskiego, częstując go samymi kurami i obracając się do niego ze stosownymi słowami.

Opowieść Dionea zawstydziła nieco białogłowy, czego dowodem były rumieńce na ich obliczach; później ledwie się od śmiechu wstrzymać mogły. Jedna na drugą poglądając słuchały noweli z uśmiechem na ustach. Gdy Dioneo dobiegł do końca, łagodnymi słowy zwróciły mu uwagę, że podobnych rzeczy przy białogłowach opowiadać się nie godzi. Królowa obróciwszy się do Fiammetty, siedzącej obok niego na murawie, rzekła, że teraz na nią kolej przychodzi. Fiammetta wdzięcznie się uśmiechając w te słowa zaczęła:

— W poprzednich opowieściach okazane zostało na przykładach, jakie znaczenie mieć może szybka i bystra odpowiedź. Pomyślałam sobie, że jeśli mężczyzna rozumnie czyni szukając zawsze miłości tej kobiety, której ród jest znaczniejszy od niego, to natomiast białogłowa winna ponad wszystko strzec się miłości do takiego męża, co stanem swym nad nią góruje. Dlatego też postanowiłam w tej noweli, którą teraz mam opowiedzieć, pokazać wam, miłe towarzyszki, jak to pewnej znacznej damie udało się słowem i uczynkiem od takiego afektu uchronić i drugiego od miłości odwieść.

„Markiz z Monferratu, człek wielkiej dzielności i chorąży Kościoła, wziął udział w powszechnej wyprawie krzyżowej za morze. Na dworze króla francuskiego Filipa Krzywookiego, który również do tej wyprawy się gotował, jeden z rycerzy oznajmił w rozmowie, że nie ma na ziemi takiej pary jak markiz i jego żona. Jeśli bowiem markiz słynie pośród rycerstwa swymi wielkimi przymiotami, to żona jego jest najpiękniejsza i najcnotliwsza z wszystkich kobiet. Słowa te tak wielkie wrażenie na królu Francji

sprawiły, iż zakochał się namiętnie w żonie markiza, chociaż jej dotychczas nie widział. Umyślił zatem dopiero w Genui wsiąść na okręt, aby stamtąd się przez morze przeprawić, do Genui zaś dotrzeć lądem, a po drodze, mając po temu sposobność tak godziwą, odwiedzić markizę. Miał nadzieję, że pragnienia swoje do lubego przywiedzie skutku, zważywszy na to, że markiza sama w domu pozostawała. Zamysły swoje zaraz w czyn wcielił. Wysławszy naprzód swoje wojska, sam z nieliczną świtą w drogę wyruszył. Zbliżywszy się do włości markizy, pchnął umyślnego, aby powiadomić markizę, że następnego dnia przybędzie do niej na obiad. Roztropna i układna dama odparła, że wielce sobie zaszczyt ten ceni i że przyjmie króla jak najmilszego gościa. Później jęła się nad tym głowić, co króla tak znacznego k'temu przywodzi, aby ją odwiedzać w czasie, gdy mąż jej przytomny nie jest, i odgadła, że sława jej piękności tu go przynęciła.

Tym niemniej postanowiła przyjąć gościa, jak się należało. Przywołała wszystkich znaczniejszych ludzi, pozostałych w domu, i zasięgnąwszy ich rady przygotowała wszystko na godne przyjęcie; tylko ucztą i wyborem potraw sama się zajęła. Kazała zarznąć wszystkie kury, jakie pod rękę podpadną, i tylko z nich przyrządzić kucharzom wiele rozlicznych potraw. Naznaczonego dnia przybył król i został godnie i wspaniale przyjęty. Ujrzawszy markizę, przekonał się, że piękność jej, osobny wdzięk i przymioty znacznie przechodzą wszystkie opowiadania rycerza. Zadziwił się wielce i tym większym płomieniem rozgorzał, im bardziej piękność markizy przewyższała tej piękności famę. Król zażył wczasu w komnatach, przybranych okazale i stosownie na przyjęcie tak znacznego gościa, gdy zaś nastała pora obiadu, usiadł z markizą za stołem. Innym przytomnym dano miejsce wedle ich godności za sąsiednimi stołami. Król niewypowiedzianej rozkoszy zażywał smakując w wyszukanym jadle, próbując win znamienitych i nie odrywając wzroku od pięknej markizy. Jednakże w miarę jak półmiski wciąż zmieniano, zaczął się nieco dziwować, spostrzegłszy, że jeśli i potrawy różne były, to przyrządzono je wszystkie tylko z samych kur. Król dobrze wiedział, że okolice tamtejsze obfitują w dziczyznę, w którą, na wieść o jego przyjeździe, był jeszcze czas się opatrzyć. Mimo swego zdziwienia z tej osobliwości, od onych kur właśnie chciał zacząć, by przygadać markizie, i obrócił się do niej z takim żartem:

— Zali, Wasza Miłość — rzecze z wesołym uśmiechem — w kraju tym kury rodzą się bez koguta?

Markiza w lot pojęła, do czego król pytaniem swym zmierza, i widząc, że sam Bóg zsyła jej sposobność wyjawienia gościowi swojej intencji, odparła swobodnie:

— Nie, Miłościwy Królu! Białogłowy tutejsze są takie same jak wszędzie, chocia w swych strojach i obyczajach od innych nieco się różnią.

Król, usłyszawszy ten respons, zrozumiał zarówno ukryte znaczenie słów markizy, jak i przyczynę, dlaczego obiad z samych kur się składał. Pojął, że z taką białogłową na nic się zdadzą cukrowane słówka, a takoż i gwałtem niczego się nie sprawi. A chocia nieopatrznie żądze się w nim wielkie zażegły, przecie osądził, że lepiej będzie dla jego czci, jeśli ten płomień niestosowny przygasi. Zaprzestał żartów, obawiając się, aby markiza znów mu ostro nie przymówiła, i zbył się wszelkiej nadziei. Skończywszy obiad podziękował za przyjęcie, jakie go spotkało, polecił markizę Bogu i do Genui zaraz się udał, aby śpiesznym odjazdem zatrzeć nieprzystojny powód swego przybycia".

Opowieść szósta.

Sto za jedno

Pewien czcigodny człek trafnym słówkiem karze szpetną obłudę mnichów.

Siedząca obok Fiammetty Emilia zaczęła swoją opowieść, gdy już wszyscy przytomni dość wysławili mądrość markizy, która podobną odprawę francuskiemu królowi dała.

— I ja — rzekła z wdziękiem — opowiem o podobnym responsie, danym przez pewnego mądrego, a świeckiego człeka skąpemu mnichowi. Ze słów tych nie tylko śmiać się trzeba, ale i je zachwalić.

„Żył niedawno we Florencji mnich z zakonu braci mniejszych, inkwizytor kacerskich błędów. Jak i wielu innych, chciał on uchodzić za świętoszka i człeka żarliwego w wierze chrześcijańskiej, co mu nie wadziło śledzić równie za tymi, których mieszki dobrze nabite były, jak i za heretykami.

Przypadek nadarzył mu kiedyś poczciwca uposażonego więcej w dukaty niźli w rozum. Ów, nie dla słabej wiary, ale z prostoty ducha, może podochocony winem lub zabawą nieumiarkowaną, rzekł pewnego dnia do swojej kompanii, że ma wino tak dobre, iż sam Chrystus piłby je z ochotą. Słuch o tym doszedł do ojca inkwizytora, który dowiedziawszy się, że bluźnierca ma wielkie włości i dobrze nabity mieszek, cum gladiis et fustibus srogie śledztwo rozpoczął. Miał na myśli nie tyle sprowadzenie grzesznika na drogę prawej wiary, ile napełnienie swojej kieszeni jego dukatami. Przywoławszy go, zapytał, zali prawdą jest, co przeciw niemu mówią? Prostak odpowiedział, że tak, i wyjaśnił, jak było. Świątobliwy inkwizytor i czciciel św. Jana Złotobrodego rzekł:

— Tedy uczyniłeś z Chrystusa opoja i smakosza win, na podobieństwo Moczygęby lub innego pijanicy, nie wychodzącego z szynkowni, teraz zasię przyznając się pokornie, chcesz w nas wmówić, że błaha to sprawa. Nie jest jednak tak, jak ci się zdaje. Zasłużyłeś na stos i pójdziesz w ogień, jeśli zechcemy postąpić z tobą według prawa!

I ze srogą miną jął gromić biedaka, jakby był on samym Epikurem, co duszom nieśmiertelności zaprzeczał. Mówiąc pokrótce, tak go przeraził, że poczciwina przez pośredników posmarował tłusto balsamem św. Jana Złotoustego ręce inkwizytora (balsam ten jest wielce skuteczny na zarazę chciwości pośród księży, a zwłaszcza braci mniejszych, którym nie lza się pieniędzy dotykać), aby ów więcej litośnie chciał z nim postąpić.

Cudotwórczości maści, o której wszakoż Galen w swoich medycznych księgach nie wspomina, w tak wielkiej ilości użył, że płomień stosu, grożący mu, zamienił się w znak krzyża; dali mu żółty krzyż na czarnym polu, niby proporzec rycerzowi, co na wyprawę krzyżową się gotuje. Nie dość tego. Wziąwszy pieniądze ojciec inkwizytor zatrzymał grzesznika na kilka dni przy sobie, przykazawszy mu, aby dla pokuty słuchał codziennie mszy u Świętego Krzyża, a w godzinie posiłku stawał przed jego obliczem; przez resztę dnia mógł czynić, co zechciał.

Grzesznik, odbywając pilnie pokutę, usłyszał pewnego dnia podczas mszy, jak śpiewano te słowa Ewangelii: »Sto za jedno oddane wam będzie i posiądziecie żywot wieczny«.

Zachował je dobrze w pamięci. W oznaczonej godzinie, spełniając rozkaz, zjawił się u inkwizytora, który właśnie obiad spożywał.

Mnich zapytał go, zali dnia tego mszy świętej wysłuchał, a usłyszawszy, że tak, rzekł:

— Zaliżeś nie słyszał czego, co by wątpliwość w tobie pewną wzbudziło i przeto wyjaśnień się domagało?

— Nie, ojcze — odparł poczciwiec — wierzę we wszystko i najmniejszej wątpliwości nie mam. Usłyszałem jednak coś, co mnie wielką litością dla was i braci waszego zakonu natchnęło. Ciężko wam będzie na tamtym świecie, ojcowie czcigodni!

— Jakież to słowa — zapytał inkwizytor — takim współczuciem dla nas cię napełniły?

— Był to ustęp z Ewangelii — odparł prostak — który powiada: »Sto za jedno otrzymacie!«.

— Nie masz nic prawdziwszego nad to — rzecze mnich — ale czemuż cię te słowa tak wzruszyły?

— Zaraz wam wszystko wytłumaczę, ojcze wielebny. Od czasu jak przebywam w waszym klasztorze, widzę, że codziennie wynosicie żebrakom kocioł albo i dwa kotły zupy, która z obiadu wam została. A owóż, jeśli na tamtym świecie za każdy kocioł sto wam oddadzą, wszyscy się w zupie potopicie!

Ci, co pospołu z inkwizytorem biesiadowali, wybuchnęli głośnym śmiechem. Inkwizytor pojął, że słowa te przeciwko obłudnej dobroczynności mnichów wymierzone zostały, i wielce się tym stropił. Gdyby nie przygana, jaką zyskał poprzednim swoim przyznaniem, ani chybi, wszczął by przeciw niemu drugi proces mszcząc się za zniewagę swoją i innych braci-pasibrzuchów. Rozgniewany, puścił go swobodnie i przykazał, aby mu się więcej na oczy nie pokazywał".

Opowieść siódma.

Poskromienie skąpca

Bergamino opowieścią o Prymasie i opacie z Cluny zawstydza niespodzianie skąpego Cane della Scala.

Gdy Emilia opowiadała zabawnie o niepowszednim rzeczeniu krzyżowca, całe towarzystwo pospołu z królową śmiało się serdecznie i pochwał nie szczędziło. Gdy śmiech umilkł i wszyscy uspokoili się, Filostrato, na którego kolej nadeszła, zaczął na ten kształt:

— Piękną rzeczą jest, miłe damy, trafić w cel nieruchomy, ale gdy łucznik popadnie strzałą w przedmiot mu nie znany, który się nagle pojawia — to kunszt nad kunsztami. Występne i brudne życie mnichów jest jawnym dowodem ich zepsucia, z czego każdy łacno może śmiać się i drwić do woli. Jeśli poczciwiec dobrze uczynił, dworując sobie z inkwizytora i obłudnej dobroczynności mnichów, którzy dają ubogim strawę, stosowną dla świń, to nie mniej wychwalać należy tego człeka, co mi go poprzednia opowieść na pamięć przywiodła. Ów niezwykłe a niespodziane skąpstwo udzielnego i bogatego księcia Cane della Scala w swojej wesołej opowieści wyszydził, wkładając w usta drugiego to, co o sobie i o nim chciał powiedzieć.

„Ten Cane della Scala, jak to fama po całym świecie głosi, był wielkim wybrańcem fortuny, a przy tym jednym z najsławniejszych i najwspanialszych książąt Italii od czasów Fryderyka II, cesarza, po dzień dzisiejszy. Pewnego razu książę umyślił wyprawić w Weronie ucztę wspaniałą. Sprosił na nią zewsząd co znaczniejsze osoby i dworzan, ale gdy przybyli, nagle zamysł swój odmienił; szczodrze obdarzył swoich gości

i z powrotem ich odprawił. Jeden tylko Bergamino, zawołany gaduła i człek bystrego dowcipu (o czym sądzić może tylko ten, co go słyszał), żadnej nagrody nie otrzymawszy ani też nie odprawiony, pozostał na miejscu, a przecie się nie trapił zbytnio, mniemając, że w przyszłości sowicie sobie to odbije. Aliści Cane della Scala pomyślał, że dać cośkolwiek Bergaminowi to gorzej niźli w ogień rzucić, dlatego też milczał i wcale się doń nie zwracał. Bergamino czekał przez kilka dni, ale widząc, że nikt po niego nie przysyła ani umiejętności jego na próbę nie wystawia i że pobyt w gospodzie wraz ze służbą i końmi drogo go kosztuje, jął się nie na żarty trapić. Mimo to przecie czekał ciągle, myśląc, że nie byłoby rzeczą roztropną teraz odjeżdżać. Przywiózł zaś był z sobą trzy bogate i strojne suknie, które od innych książąt otrzymał, aby móc godnie na uczcie wystąpić.

W zapłatę za postój oddał oberżyście z początku jedną suknię, po niejakim czasie drugą, wreszcie jął żyć na koszt trzeciej szaty, postanowiwszy zostać tam dopóty, dopóki pieniędzy za nią wystarczy, później zaś puścić się w drogę powrotną.

Gdy już ostatnią suknię przejadł, zjawił się pewnego dnia z zatroskaną miną przed panem Cane della Scala, w chwili gdy ów za stołem siedział. Pan Cane della Scala, chcąc raczej zadworować z niego niźli rozweselić się jakimś jego trafnym słowem, rzecze:

— Co ci jest, Bergamino? Powiedz, dlaczegoś taki strapiony?

Wówczas Bergamino bez namysłu, jak gdyby już wszystko z dawna dobrze obmyślił, jął opowiadać nowelę, która jawnie jego położenie ukazać miała.

— Wiecie zapewne, Wasza Miłość, że Prymas był nie tylko człekiem w gramatyce zawołanym, ale i świetnym a zręcznym wierszopisem. Jego nauka i umiejętność uczyniły go tak sławnym, że z imienia był on znany każdemu, nawet tym, co go nigdy na oczy nie widzieli. Bawiąc kiedyś w Paryżu, gdy wielki niedostatek znosił, jak mu się to często zdarzało, bowiem możni tego świata nie bardzo się kwapili, aby talenty jego wynagradzać, usłyszał o opacie z Cluny, który jak powszechna fama głosiła, był, krom papieża, najbogatszym dostojnikiem Kościoła. Ludzie opowiadali o nim dziwy, wysławiali jego szczodrość i wspaniałość, twierdzili, że w jego domu wieczne święto panuje i że każdy, kto się tam zjawi, ugoszczony zostanie, byle tylko poprosił o to, gdy opat jest przy stole. Prymas, który z ludźmi znacznymi przestawać lubił, umyślił udać się tam, aby przekonać się o szczodrobliwości opata. Zapytał się, czy opat daleko od Paryża przemieszkuje, na co mu odpowiedziano, że jego dwór znajduje się o jakoweś sześć mil od Paryża. Wybrał się zatem w drogę wcześnie rano, aby stanąć na miejscu w obiadowej porze. Dowiedziawszy się, którędy mu iść należy, nie natrafił na nikogo, kto

by w tę samą stronę dążył, przeto, pełen obawy, że zabłądzić może w takie miejsce, gdzie nic do jedzenia nie znajdzie, opatrzył się w trzy chleby, aby po drodze nie głodować, co się zaś wody tyczy, to myślał (chociaż nie był zbytnim jej lubownikiem), że wszędzie ją napotka.

Włożył chleby za pazuchę i ruszył w drogę. Poszczęściło mu się tak, iż przybył na dwór opata jeszcze przed obiadem. Wszedłszy do domu, jął się na wszystkie strony rozglądać i ujrzał liczne stoły dokoła rozstawione, kredensy obficie opatrzone i różne rzeczy do obiadu przygotowane; z tego wniósł, że opat musi być naprawdę szczodry tak, jak fama głosi. Tymczasem zbliżyła się godzina obiadu. Marszałek dworu kazał podać wody do obmycia rąk, a potem każdemu miejsce za stołem wskazał. Zdarzyło się, iż Prymas zajął miejsce naprzeciw drzwi, przez które opat miał wejść do komnaty. Było to na tym dworze w obyczaju, że dopóki opat nie zasiadł za stołem, nie podawano niczego, wina ani chleba, jadła ani napojów. Zastawiwszy stoły, marszałek oznajmił opatowi, że obiad już gotów. Opat rozkazał otworzyć drzwi, które do jadalni wiodły; ledwie stanął na progu, wzrok jego padł na Prymasa. Był on nędznie ubrany, a przy tym opat nie znał go wcale. Gdy go obaczył, przyszła mu do głowy po raz pierwszy myśl niegodna. »Kogóż to ja nie karmię za swoim stołem?« — rzekł do siebie. Cofnął się od proga, przykazał zamknąć komnatę i zapytał tych, co w pobliżu niego stali, zali nie znają tego włóczęgi, co naprzeciw drzwi za stołem siedzi. Wszyscy odparli, że nie wiedzą, kto by to był.

Prymas, jako człek do postów nieprzywykły, a przy tym wygłodniały po przebyciu wielkiego szmatu drogi, poczekał chwilę, ale widząc, że opat nie nadchodzi, wyciągnął jeden z trzech bochenków chleba tkwiących za pazuchą i jeść go począł.

Opat po pewnym czasie posłał do komnaty jednego z swych sług, aby obaczył, czy nieznajomy już odszedł.

Sługa doniósł, że spożywa chleb, który ani chybi, przyniósł z sobą.

— Niechaj je, jeśli ma własny — odparł opat — naszym się dzisiaj nie pożywi!

Opat chciał, aby Prymas sam się z swego miejsca ruszył, bowiem niegodną rzeczą mu się zdało za drzwi go wyrzucać. Prymas tymczasem zjadł jeden chleb, a widząc, że opat nie nadchodzi, do drugiego bochenka się zabrał. Powiadomiono o tym opata, który znów kazał słudze obaczyć, czy przybysz siedzi za stołem.

Prymas, zjadłszy drugi bochen chleba, wydobył trzeci. Opat, dowiedziawszy się o tym, zamyślił się i rzekł do siebie: »Co mnie do głowy dzisiaj przyszło? Skąd to skąpstwo i ta wzgardliwość w stosunku do tego człeka? Od tylu lat już karmię tych, co są zgłodniali, nie pytając, czy to szlachcice, czy chłopi, bogacze czy biedacy, kupcy czy

oszuści. Widziałem, jak z mego dobra korzystali włóczędzy, a przecie nigdy nie owładały mną myśli takie jak teraz; gdy na tego człeka patrzę. Należy mniemać, iż takie skąpstwo nie mogło się zrodzić we mnie w odniesieniu do nikczemnego człeka. Ów nieznajomy, co włóczęgą mi się zdawa, musi być znamienitym człowiekiem, skoro mnie coś tknęło, aby go uczcić należycie".

Rzekłszy to, chciał się dowiedzieć, kto był ów przybysz. Gdy mu powiedziano, że jest to Prymas, który tu przybył, aby przekonać się na własne oczy, czy wysławiana szczodrość opata jest taką w samej rzeczy, opat zawstydził się szczerze, bowiem słyszał już był wiele o tym człeku i o jego umiejętnościach.

Chcąc błąd swój naprawić, jął mu wielką cześć okazywać. Ugościwszy go u stołu, obdarzył go szatami, stosownymi do jego godności, mieszkiem złota i pięknym rumakiem, i dał mu do wyboru: pozostać na jego dworze czyli też odjechać. Prymas, wielce ukontentowany, gorący dank mu złożył i powrócił na koniu do Paryża, skąd przybył piechotą.

Pan Cane della Scala, człek rozumny, pojął od razu, co Bergamino chciał rzec przez to, i odezwał się doń z uśmiechem.

— Udatnie, mój Bergamino, podałeś na jaśnię swoje krzywdy i wartość, a takoż i moje sknerstwo; dałeś mi poznać dowodnie, czego pragniesz ode mnie. Wierę, powiem ci, że nigdy dotąd nie byłem dla nikogo tak nieużyty i skąpy. Przepędzę to skąpstwo tym kijem, który mi ukazałeś.

To rzekłszy zapłacił oberżyście za Bergamina, obdarzył go wspaniałą własną szatą, sakwą pełną złota, rumakiem i przyzwolił mu — albo pozostać przy sobie, albo też swobodnie odjechać".

Opowieść ósma.

Skąpiec Grimaldi

Wilhelm Borsiere gładkimi słowy wyszydza skąpstwo Imć Ermina de'Grimaldi.

Siedząca obok Filostrata Lauretta, wysłuchawszy pochwał nad sprytem Bergamina i widząc, że na nią kolej nadchodzi, nie czekając wezwania jęła mówić w te słowa:

— Poprzednia nowela przywiodła mnie k'temu, aby wam opowiedzieć, jak to pewien dworzanin w podobny sposób skutecznie ukarał i wyśmiał chciwość bogatego kupca. Moja opowieść podobna będzie do opowieści Filostrata, jednakoż sądzę, że nie mniej wam do smaku przypadnie, bowiem koniec ma szczęśliwy.

„Żył ongiś w Genui szlachcic, Ermino de'Grimaldi, który według powszechnego mniemania był wówczas najbogatszym człekiem we Włoszech; żaden bogacz nie mógł mu dorównać majętnościami i nagromadzonymi pieniędzmi. Ale górując nad wszystkimi bogactwem, przewyższał takoż swym sknerstwem wszystkie kutwy na świecie. Nie trza nawet i wspominać, że dla bliźnich sakwy jego szczelnie zamknięte były; nie dosyć na tym, sam sobie bowiem odmawiał rzeczy najniezbędniejszych, skąpiąc na jedzenie, picie i odzież, przeciwnie do obyczaju Genueńczyków, którzy wystawnie a wspaniale ubierać się lubią. Wreszcie k'temu przyszło, że puszczono w niepamięć jego nazwisko Grimaldi i Erminem-Sknerą zwać go poczęto.

Zdarzyło się, iż w tym czasie, gdy Ermino przez stałe sknerstwo bogactwa swoje powiększał, przybył do Genui obyczajny i gładki dworak, a przy tym zawołany mówca, Wilhelm Borsiere. Mało był podobny do wielu dzisiejszych panków, którzy mimo swych skażonych i występnych obyczajów za ludzi znamienitych chcą uchodzić i nosić szlacheckie tytuły. Podobni są oni do osłów, bowiem wzrośli raczej wśród wszelakiej brzydliwości i ludzkiej ohydy, niźli na dworach wychowani zostali. W owych czasach dworzanie z usilnością starali się o zgodę, jeśli gdzieś wybuchła kłótnia lub nienawiść; przyczyniali się do kojarzenia małżeństw i zacieśniania związków przyjacielskich; trafnym a wdzięcznym słowem rozweselali umysły po dniu pracy, zasię cierpką, ale ojcowską przymówką występki nikczemników razili. Wszystko to czynili za niewielkim wynagrodzeniem. Dzisiaj natomiast trawią swój czas tylko na tym, że plotki roznoszą, sieją niezgody, wzbudzają waśnie, mówią rzeczy niegodziwe, a co gorsza, czynią je na oczach ludzkich, ganią jeden drugiego za rzekome czy też prawdziwe bezeceństwa, zasię ludzi zacnych fałszywymi pochlebstwami ku różnym szkaradnościom podwodzą. Na wstyd naszemu wiekowi, prawie zawsze największych łask i dobrodziejstw od niegodnych panów dostępuje, kto najwięcej zdrożności i plugastw czyni lub mówi. Wszystko to jest hańbą wielką czasów naszych i jawnym dowodem, że cnoty nas już opuściły ostawiając nas na pastwę występków i nieszczęść.

Ale powracając do właściwego wątku, od którego gniew słuszny oderwał mnie na dłużej, niż się tego spodziewać mogłam, powiem, że ów Wilhelm cieszył się w Genui osobnymi względami i przyjaźnią wszystkich. Przebywszy w mieście kilka dni usłyszał o skąpstwie i niegodziwości Ermina i widzieć go zapragnął. Ermino ze swej strony usłyszał także o Wilhelmie Borsiere jako o człeku wielce zacnym, a jako że mimo przyrodzonego skąpstwa tliła się w nim jeszcze iskierka ludzkości, tedy przyjął go z twarzą wesołą, uprzejmymi słowy go powitał i rozprawiać o różnych rzeczach począł.

Później wraz z innymi Genueńczykami wwiódł go do swego nowego i pięknego domu. Oprowadziwszy go po nim, rzekł:

— Siła rzeczy widzieliście na świecie, panie Wilhelmie! Rad bym dowiedzieć się od was, jaką rzecz osobliwą i nigdy nie widzianą mógłbym wymalować w tej sali?

Wilhelm, usłyszawszy to śmieszne żądanie, odparł:

— Nie mogę wam, panie, powiedzieć nic o rzeczy, której nikt jeszcze nie widział. Chyba byłoby to kichanie albo jakaś rzecz podobna. Jeśli jednak pragniecie, mogę poradzić wam coś, czegoście wy dotąd jako żywo nie widzieli.

— Proszę was, powiedzcie mi, co to takiego — rzekł Ermino, który nie spodziewał się wcale, jaka będzie odpowiedź Borsiere.

— Każcie odmalować szczodrość — odparł żywo Wilhelm.

Usłyszawszy te słowa Ermino tak się zasromał, że w jednej chwili całkiem się odmienił, a potem rzekł:

— Każę ją odmalować, panie Wilhelmie, w taki sposób, że ani wy, ani nikt inny już powiedzieć nie będzie mógł, iż jej nie widziałem i nie poznałem.

Istotnie, od tego dnia — taka była skuteczność słów Wilhelma — stał się Ermino najhojniejszym i najmilszym człekiem w Genui i nikt z tych, co żyli tam za jego czasów, nie okazał więcej serca swoim i obcym."

Opowieść dziewiąta.

Pątniczka

Król Cypru, wydrwiony przez pewną Gaskonkę, staje się z człeka tchórzliwego dzielnym.

Teraz przyszła kolej, aby Eliza, jako ostatnia, wypełniła rozkaz królowej.

Eliza, nie mieszkając, zaczęła opowiadać wesoło:

— Nieraz się przytrafia, miłe białogłowy, że nagany i srogie kary nie mogą tego sprawić, co jedno słowo, często przypadkiem, a nie ex proposito rzeczone. Jawnie to widać z opowieści Lauretty; w swej krótkiej noweli chciałabym to samo ukazać. Dobre opowieści zasługują na to, aby ich słuchać z uwagą, bez względu na to, kto je opowiada, mogą bowiem zawsze oddać pożytek.

„Za czasów pierwszego króla Cypru, gdy już Gotfryd z Bouillon Ziemię Świętą zdobył, zdarzyło się, iż pewna dama gaskońska wybrała się z pielgrzymką do grobu Chrystusa. W powrotnej drodze zatrzymała się na wyspie Cypr, gdzie ją znieważyło

kilku niegodziwców. Obracała się z swymi skargami powszędy, ale nigdzie nic wskórać nie mogąc postanowiła wreszcie skargę swą królowi przedłożyć. Nie radzili jej tego czynić, tłumacząc, że wszystkie starania pójdą na marne, bowiem król jest tak gnuśnego i tchórzliwego przyrodzenia, iż nie tylko nie mści się za obelgi innym wyrządzone, ale nawet puszcza płazem niezliczone zniewagi sobie uczynione. Kto w duszy jakąś urazę lub rankor żywi, staje zwykle przed królem i swobodny upust swej złości daje czyniąc mu, jaką chce, zniewagę. Usłyszawszy o tym dama gaskońska, która już traciła nadzieję na odwet za krzywdy swoje, postanowiła przynajmniej dla jakiegoś zadośćuczynienia małoduszność króla zgromić. Stanęła przed nim i rzekła ze łzami:

— Przyszłam do ciebie, panie, nie po to, aby żądać sprawiedliwości za zniewagę mi uczynioną. Zamiast uczynić jej zadość racz tylko nauczyć mnie, jak należy znosić obelgi i osławy, których, jak słyszę, nikt ci nie szczędzi. Za twoim przykładem ścierpię może tę hańbę, którą bym ci chętnie odstąpiła, wiedząc, z jaką cierpliwością wszelkie szkalowania znosisz.

Król, dotychczas na wszystko głuchy i nieczuły, nagle jakby się z głębokiego snu ocknął. Przede wszystkim surowo ukarał tych, co krzywdę damie wyrządzili, a później ścigał nieubłaganie ludzi koronę jego znieważających".

Opowieść dziesiąta.

Zakochany starzec

Mistrz Albert z Bolonii zawstydza białogłowę, która chciała sobie zeń zadrwić dlatego, że ją miłował.

Po Elizie miała głos zabrać jeszcze królowa, która z wielkim wdziękiem w te słowa jęła mówić:

— Miłe białogłowy, podobnie jak gwiazdy w świetliste noce upiększają niebo, a kwiaty wiosną ziemię, tak wdzięczne słowa kraszą wesołą gawędę i dobre obyczaje. Krótkie słowa przystoją bardziej białogłowom niż mężom, nie powinny też one bez potrzeby wiele i długo mówić. Tym więcej, że teraz, ku wielkiemu sromowi wszystkich, niewiele ostało takich białogłów, co dowcipne słowo rozumiejąc, odpowiedzieć na nie są w stanie. Wielki to wstyd dla nas i dla wszystkich pań naszej doby. Co u dawnych niewiast ozdobą umysłu było, to dzisiejsze białogłowy tracą na ukraszenie ciała swego; ta, która się w najbardziej pstre suknie lamówką obramione przystroi, już się sobie wielkiej czci godną wydaje, a i nie pomyśli o tym, że na osła można by władować jeszcze

więcej sukien niż na nią; osioł by je nosił, nie przestając być jednakowoż osłem. Wstyd mi to mówić, bowiem nie mogę prawić przeciwko innym tak, abym sama siebie oszczędzić mogła. Owe białogłowy, tak upstrzone, umalowane i przystrojone, stoją niby nieme i nieruchome posągi z marmuru; jeśli się je o co zapytać, odpowiadają tak, że lepiej by było, gdyby zmilczały. Starają się przy tym wmówić w nas, że ich niezdarność i nieumiejętność prowadzenia rozmowy w towarzystwie niewiast i zacnych mężów płynie tylko z niewinności i prostoty duszy; głupotę swoją cnotliwością zowią, tak jakby tylko ta białogłowa cnotliwą była, co umie gadać jeno z praczką, służącą lub piekarką. Pragną, abyśmy uwierzyli, że takimi już je natura stworzyła, jednak natura przecie inny środek znaleźć by mogła, chcąc ich gadulstwo ograniczyć. We wszystkim trzeba znać miarę i w tym, jak w innych przypadkach, brać pod uwagę czas, miejsce oraz i to, z kim się mówi, inaczej bowiem, gdy zechcemy ostrym słówkiem kogoś w pomieszanie wprawić, łacno zdarzyć się może, że przeliczywszy się z swymi siłami, sami pokraśniejemy od wstydu.

Abyście przeto ostrożności się nauczyły i aby na was nie sprawdziło się przysłowie, że kobiecie we wszystkim zawsze gorszy udział przypada, opowiem wam ostatnią na ten wieczór nowelę, jako że na mnie teraz kolej przychodzi. Niechże opowieść ta sprawi, — abyście nie tylko szlachetnością duszy od innych się odróżniały, ale i polerownością obyczajów.

„Przed niedawnymi czasy żył w Bolonii znakomity lekarz, którego imię sława prawie po całym świecie rozniosła. (Może być, że żyje on jeszcze po dziś dzień). Medyk ten zwał się mistrz Albert. Liczył sobie pod siedemdziesiąt lat życia i chocia już utracił przyrodzony żar ciała, przecie duch w nim był tak krzepki, że na miłosne płomienie nieczuły nie pozostawał. Ujrzawszy pewnego razu na uczcie urodziwą wdowę, która jak powiadają, zwała się Margarytą de'Ghisolieri, zapłonął do niej strzelistym afektem niby młodzieniaszek jaki. Zdało mu się, że nie uśnie nocą, jeśli w dzień nie obaczy świeżego i cudownego jej lica. Jął więc krążyć koło jej domu czasem pieszo, to znów konno, jak przypadło, tak iż po niejakim czasie wdowa jako też i inne białogłowy odgadły powód tych przechadzek i nieraz bawiły się widokiem sędziwego człeka, wiekiem i rozumem górującego nad innymi, którym miłość owładła. Wierę, mniemały zapewne, że namiętność miłosna tylko w piersiachi głupich młodzieniaszków przemieszkiwać może.

Pewnego dnia świątecznego, gdy mistrz Albert koło domu się przechadzał, zdarzyło się, że wdowa w otoczeniu innych białogłów siedziała przed wrotami domu. Ujrzawszy z dala Alberta, postanowiły przyjąć go z oznakami wielkiej czci, a później jego afekt

wyszydzić. Tak też i uczyniły. Poszły mu na spotkanie i zaprosiły go do cienistego chłodnika, gdzie znakomitymi winami i słodyczami ugoszczony został. Później wielce grzecznymi i subtelnymi słowy wypytywać go jęły, jak mógł się zakochać w białogłowie, której tylu układnych i urodziwych młodzieńców hołduje? Doktor widząc, jak oględnie go ukłuto, roześmiał się wesoło i odparł:

— Nikt rozważny temu się dziwować nie może, madonno, że miłuję, a zwłaszcza was, bowiem w pełni na tę miłość zasługujecie. My, ludzie sędziwi, nie mamy oczywista tych sił, których trza do igr miłosnych, jednakoż nie brak nam dobrej woli ani rozumu, którym poznajemy, co jest miłości godne, a umiemy to czynić lepiej niż młodzieńcy, bo więcej od nich mamy rozeznania. Nadzieja, co pobudza mnie k'temu, abym miłował was, uwielbianą od tych otroków, na tym się zasadza: często widywałem, jak białogłowy jadają łubin i pory, a chocia nie masz w tej roślinie nic dobrego i tylko w główce jest smak niejaki, przecie one, fałszywym apetytem znęcone, główkę w rękach trzymając, obgryzają liście, które nie tylko są nic warte, ale i posmak przykry zostawiają. Zaliż można wiedzieć, czy przy wyborze miłośników podobną modłą nie postąpiłyście? Jeśliby tak było, ja sam pozostałbym na placu, a inni zalotnicy byliby precz przegnani.

Słowa te zawstydziły nieco układną damę i jej towarzyszki.

— Trafnie i dwornie ukaraliście, mistrzu, naszą pewność siebie i złośliwość — rzekła. — Afekt, który dla mnie żywicie, jest mi drogi, jako afekt mądrego i czcigodnego człeka. Krom mojej cnoty, wszystko gotowam jest wam oddać, wedle upodobania waszego.

Mistrz Albert podniósł się z ławy, podziękował pięknej pani i śmiejąc się, pożegnał się z niewiastami. I tak owa dama, nie bacząc na to, z kogo dworuje, miast zwyciężyć, sama zwyciężona została. Łacno się od takiej klęski ustrzeżecie, gdy roztropnymi będziecie".

Już słońce chyliło się ku zachodowi i żar dzienny się zmniejszał, gdy skończyły się opowieści młodych dam i trzech młodzieńców. Królowa rzekła tedy żartobliwie:

— Dzisiaj, gdy władzę piastuję, nic mi już innego uczynić nie pozostaje, jak przystąpić do wyboru nowej królowej, która według swej woli porządek na jutro ustanowi, tak aby życie nasze dalej gorliwej rozrywce podległe było. Do nocy wiele jeszcze czasu nam ostaje, ale kto w porę się nie przygotowi, tego przyszłość zaskoczy. Tedy, zgodnie z wolą nowej królowej, należy przygotować wszystko, co jutro potrzebne okazać się może. O tej też porze i dni następne zaczynać nam przyjdzie. Tak więc, w imię Tego, przez kogo wszystko na świecie dla naszej radości żyje, królewską władzę na dzień następny oddajemy rozumnej młódce, Filomenie.

To rzekłszy podniosła się z miejsca i laurową koronę z głowy zdjąwszy oddała ją Filomenie, a potem pierwsza jej hołd złożyła. Za tym przykładem poszli wszyscy, pozdrawiając ją jako królową i jej władzy poddając się. Filomena widząc się ukoronowaną pokraśniała ze zmieszania, a wspomniawszy niedawne słowa Pampinei, która przed nieroztropnym poczynaniem przestrzegała, wszystkie jej rozrządzenia potwierdziła, a potem i ułożyła, co na jutrzejszy dzień i wieczerzę uczynić należy, pozostając w dotychczasowym miejscu.

— Miłe towarzyszki — rzecze następnie — aczkolwiek Pampinea, bardziej przyrodzoną sobie uprzejmością niż względem na moje przymioty powodowana, uczyniła mnie waszą królową, to w wyborze naszych rozrywek chcę iść nie tylko za moim mniemaniem, ale i z waszymi życzeniami się liczyć. Opowiem wam pokrótce, co według mnie przedsięwziąć by należało, abyście wszyscy mogli to i owo dopełnić i poprawić, zgodnie ze swym gustem a życzeniem. Dobrze zważyłam na rozrządzenia Pampinei; znalazłam je chwalebnymi i dobrze ku powszechnemu ukontentowaniu zmierzającymi, dlatego też zdawa mi się, że nic w nich zmieniać nie należy, dopóki niedostatków w nich się nie odkryje lub dopóki nudnymi nam się nie staną. Teraz zasię, gdyśmy już wszystko ustanowiły, wstańmy i zażyjmy przechadzki; o zachodzie słońca, ciesząc się chłodem, wieczerzę spożyjemy, a potem kancony odśpiewawszy i zabawiwszy się udamy się na spoczynek. Wstaniemy rankiem przed jutrznią, każdy zażywając wczasów będzie czynił, co zechce, później w oznaczonej porze, jako i dzisiaj, obiad zjemy, potańczymy i snem pokrzepieni, znów przystąpimy do opowiadań, które według mego zdania, wiele pożytku i uciechy nam sprawiają. Chciałabym tylko pewien porządek do tych opowiadań wprowadzić, czego Pampinea uczynić nie zdołała, będąc późno królową obwołana. Mniemam, że dobrze by było, gdyby każda wiązanka opowieści jakimś wspólnym rodzajem objęta została, tak aby każdy miał czas przygotować piękną jakąś opowieść i obmyślić ją zgodnie z materią wprzód wybraną. Na początek tedy taki grunt rzeczy podawam: jak wszystkim wiadome jest, od stworzenia świata ludzie wiecznemu niestatkowi fortuny podlegają, niechajże zatem każdy przygotuje opowieść o tych, co wbrew nadziei z przeciwnymi losami walcząc szczęśliwie cel osiągnęli.

Damy i młodzieńcy przyklasnęli temu ułożeniu. Gdy wszyscy umilkli, rzekł Dioneo:

— Zgadzam się, królowo, ze wszystkimi, że wasze ułożenie na pochwałę zasługuje, ale jako o łaskę osobną was proszę, abyście mi pozwolili, dopóki tu w kompanii jesteśmy, nie podlegać temu ogólnemu prawidłu i opowiadać to, co mi na myśl

przyjdzie. Aby zasię nikt nie pomyślał, że o łaskę tę proszę jako człek, któremu materii do nowel braknie, zgadzam się zawsze na końcu głos zabierać.

Królowa wiedząc, że Dioneo jest zawołanym żartownisiem, domyśliła się snadnie, że idzie mu o tę wolność, aby w przypadku gdy towarzystwo już znużone będzie, rozweselić wszystkich nieoczekiwanie jakąś zabawną historią; dlatego też, naradziwszy się z innymi, na prośbę jego przystała.

Później wszyscy podnieśli się i skierowali kroki swoje ku przezroczej rzece, która wody swoje toczyła z pagórka w dolinę, gęsto zacienioną drzewami, płynąc pośród kamyków i traw zielonych. Tutaj buty zdjąwszy i ramiona obnażywszy weszli do wody i igrali w niej wesoło. Gdy się godzina wieczerzy zbliżyła, wrócili do pałacu i pożywili się ze smakiem. Po wieczerzy przyniesiono instrumenty muzyczne. Królowa dała znak, aby rozpoczęto tańce, którym Lauretta przewodzić miała. Emilia, pod dźwięk lutni Dionea, odśpiewała kanconę miłosną:

Tak jestem dumna z lic moich piękności,
Że nigdy inne kochanie
Mną nie owładnie ni w sercu zagości.
Patrzę na siebie i w piękna odbiciu
Znajduję wieczne źródło upojenia.
Zdarzenia, myśli, sny o przyszłym życiu
Nigdy mi mego nie zaćmią marzenia.
Jakież to inne żądze czy pragnienia
I jakież inne kochanie
Mogłoby przybyć tu, do serca w gości?
Gdy kiedykolwiek je dla swej rozkoszy
Przywołam — dąży już na me spotkanie,
Cierpienie z serca, smutek z myśli płoszy.
A tak jest piękne, że nie znajdzie na nie
Stosownych pochwał ten, komu kochanie
Z podobną siłą w duszy się zagości.
Gdy wzrok oderwę od swojej postaci,
Tęsknota serce w piersiach rozpłomienia
I krew goręcej w żyłach mi szkarłaci.
Snów najtajniejszych oglądam wcielenia,

Bo czar piękności wszystko w krąg przemienia
W szczęście i zachwyt, co przychodzi w gości
Do ludzi własną miłujących krasę.

Pieśń dobiegła do kresu. Wszyscy wesoło jej wtórowali, aczkolwiek słowa niektórym dziwne wielce się wydały. Później pląsali jeszcze z ochotą, ponieważ jednak większa część krótkiej nocy już upłynęła, królowa oznajmiła, że pierwszy dzień się skończył. Zapalono pochodnie i towarzystwo, jak przykazała, na spoczynek do komnat swoich się udało.

Kończy się pierwszy dzień Dekameronu i zaczyna drugi, w którym, pod przewodem Filomeny, mówi się o tych, co przeciwnym losom podlegając, przecie, wbrew nadziei, do pomyślnego skutku sprawy swoje przywiedli.

Dzień drugi

Słońce promieniami swymi już nowy dzień ozłociło, a ptaszkowie na zielonych gałęziach miłe nucąc pienia świadectwo temu dawali, gdy młodzieńcy i damy, podniósłszy się z posłania, do ogrodu się udali. Cicho po rośnej stąpając trawie, tam i sam krążyli i piękne wieńce splatali, a później rozprószyli się w różne strony — uczynili to, co i poprzedniego dnia: posilili się w chłodzie, potańczyli nieco i wczasowi się oddali.

O dziewiątej wstali i spełniając wolę królowej zebrali się na zielonej łączce, i wokół Filomeny zasiedli. Wielce urodziwa królowa, miły pozór oblicza mająca, wawrzynowym wieńcem ozdobiona była. Siedząc, w milczeniu pilnie na wszystkich patrzyła, aż wreszcie poleciła Neifile, aby pierwsza opowiadać zaczęła.

Neifile, nie szukając wymówek, zaraz wesołym głosem mówić poczęła:

Opowieść pierwsza. Martellino-kaleka

Martellino, rzekomy kaleka, udaje, że ozdrowiał, zbliżywszy się do szczątków świętego. Gdy oszustwo na jaw wychodzi, biją go i powiesić pragną; aliści udaje mu się wyjść cało z opresji.

— Często się zdarza, miłe damy, że ten, kto chce dworować lub szydzić z innych, a zwłaszcza z rzeczy na cześć zasługujących, sam wyszydzonym się widzi i wielką szkodę ponosi. Będąc posłuszna życzeniu królowej, zaczynam opowieść zgodnie z materią

wprzód obraną. Z opowieści tej obaczycie, jakiemu to niefortunnemu przypadkowi podległ jeden z naszych rodaków, który wbrew swym nadziejom i oczekiwaniom ujrzał, jak jego sprawy następnie pomyślny obrót wzięły.

„Przed niedawnym czasem żył w Treviso pewien Niemiec, zwany Henrykiem. Wielką biedę cierpiąc, stał się nosicielem ciężarów i służył każdemu, kto mu płacił. Wszyscy jednakoż w wielkim go mieli zachowaniu, wiedząc, że jest człekiem świątobliwego żywota i zacnych obyczajów. Trevisanie twierdzili nawet (nie wiedzieć, czy to prawda, czy nie), że w godzinie jego śmierci dzwony największego w Treviso kościoła same dzwonić jęły. Zdarzenie to za cud uznane zostało i odtąd Henryk już za świętego uchodził. Z całego miasta lud zbiegł się do domu, w którym ciało jego spoczywało, i odprowadził je do katedry, niby szczątki doczesne świętego. Do kościoła sprowadzono ślepych, chromych i garbatych, którzy ozdrowieć mieli, dotknąwszy się zwłok świętego.

Gdy taki tumult i zamieszanie panowało, przybyli do Treviso trzej nasi rodacy. Jeden z nich nazywał się Stecchi, drugi Martellino, a trzeci Marchese. Byli to franci wędrujący po wielkopańskich dworach, gdzie zabawiali widzów przedrzeźnianiem najrozmaitszych ludzi. Nigdy dotychczas nie byli w Treviso; zdziwili się przeto, ujrzawszy takie zbiegowisko. Gdy się dowiedzieli o przyczynie, zapragnęli swoją ciekawość zaspokoić. Ostawili swoje toboły podróżne w gospodzie. Marchese rzekł do towarzyszy:

— Pójdziemy zobaczyć tego świętego, tylko, dalibóg, nie wiem, jak się do niego dostaniemy, gdyż słyszałem, że plac przed kościołem jest pełen Niemców i band zbrojnych, które pan tej ziemi zawsze w gotowości trzyma, aby nieporządkom zapobiegały. Zresztą, jak powiadają, kościół jest tak natłoczony, że ani jedna osoba więcej już się tam nie pomieści.

Aliści Martellino, który gwałtem pragnął ujrzeć święte szczątki rzekł:

— Już ja znajdę sposób, aby się przez ciżbę przedostać.

— Jakiż to sposób? — zapytał Marchese.

— Udam kalekę, ty zasię z jednej strony, a Stecchi z drugiej będziecie mnie podtrzymywali tak, jakbym iść nie mógł i jakbyście mnie wiedli do szczątków świętego po to, abym zdrowie odzyskał. Wówczas wszyscy wolne przejście nam dadzą.

Obu towarzyszom Martellina wielce się podobała jego chytra sztuczka. Nie mieszkając zatem, wyszli z gospody, a gdy w ustronne miejsce przybyli, Martellino powyginał sobie ręce, ramiona i nogi i tak gębę wykrzywił, a oczy przewrócił, że jego

pozór stał się szpetny wielce. Każdy na pierwszym pojrzeniu musiałby go wziąć za człeka, którego na całym ciele połamało. Marchese i Stecchi schwycili go pod ramiona i powlekli do kościoła. Udając wielce miłosiernych, błagali pokornie każdego stojącego na drodze, aby w imię miłości Boga przepuścił ich swobodnie. Ściągnęli na siebie uwagę przytomnych, którzy wołać poczęli: »Miejsca, miejsca dla chorego!«. Wkrótce też dotarli do ciała Henryka. Ci, co blisko trumny stali, wzięli Martellina na ręce i położyli go na trupa, tak aby łaski cudu mógł dostąpić. Martellino, wiedząc, że wszyscy z zapartym tchem czekają na to, co się stać ma, poleżał przez chwilę spokojnie, a później, jako mistrz udawania, wyprostował jeden palec, rękę, ramię i wreszcie całe ciało. Lud, widząc to, jął wznosić tak gromkie okrzyki na chwałę świętego Henryka, że przy nich trudno by było grzmoty nawet usłyszeć.

Tymczasem nieszczęsny traf zdarzył, że blisko trupa świętego znajdował się pewien Florentczyk, który dobrze znał Martellina. Nie poznał go był tak pokręconego, gdy go wlekli do grobu Henryka, teraz jednak, widząc go wyprostowanego, parsknął śmiechem i zawołał:

— A niech mu kat świeci! Któż z nas, widząc, jak go wloką, nie uwierzyłby, że istotnie jest kaleką?

Kilku Trevisańczyków, usłyszawszy te słowa, rzekło:

— Więc ten człek nie był połamany?

— Broń Boże! — odparł Florentczyk — zawsze był prosty, jak każdy z nas, jak to widzieć mogliście, umie tylko różne chytre sztuczki na schwał czynić i przybierać na się, jaki chce, pozór.

Ledwie słowa te wyrzekł, gdy tamci co sił runęli naprzód, wołając gromkim głosem:

— Chwytajcie tego zdrajcę, co drwi z Boga i świętych! Udaje kalekę, chcąc w pośmiewisko nas i naszego świętego podawać!

Tak krzycząc, rzucili się na niego, ściągnęli w dół, schwycili go za włosy, porwali w strzępy jego suknię i jęli go tęgo kopać i grzmocić pięściami; ten, co by go kułakiem nie poczęstował, nie uważałby się za męża.

Martellino wrzeszczał ze wszystkich sił, prosząc o zmiłowanie, i bronił się, jak mógł, ale wszystko to na nic się zdawało, gdyż razy coraz gęściej się na niego sypały. Stecchi i Marchese, widząc to, pojęli, że sprawy nader zły obrót biorą, jednakoż nie spieszyli mu na pomoc, o własną się obawiając skórę. Przeciwnie wcale, pospołu z innymi krzyczeli, że go zabić należy. Nie przestawali jednak głowić się nad tym, jak by go wydrzeć z rąk pospólstwa. Ani chybi, gdyby nie szczęśliwa myśl, która Marchesemu do głowy

przyszła, nieborak życie by postradał. Cała straż miejska znajdowała się na mieście; Marchese podbiegł co tchu do zastępcy burmistrza i rzekł:

— Na miłosierdzie boskie, ów hultaj wyciągnął mi sakiewkę z setką złotych florenów, błagam was, każcie go przytrzymać, abym mógł pieniądze moje odzyskać.

Natychmiast dwunastu pachołków rzuciło się tam, gdzie nieboraka Martellina czesano bez grzebienia; z wielkim trudem przecisnąwszy się przez ciżbę, wyrwali go, tęgo wymłóconego i podeptanego, z rąk pospólstwa i powiedli na ratusz, dokąd udało się za nimi wielu tych, co uważali, że Martellino z nich zakpił. Każdy, gdy usłyszał, że Martellina schwytano za to, iż sakiew ukradł, pomyślał, że jest to najlepsza sposobność do zalania mu sadła za skórę. Jeden przez drugiego jął tedy twierdzić, że Martellino jego mieszek zwędził.

Sędzia miejski, człek wielce surowy, wziąwszy go czym prędzej na stronę, do badania przystąpił. Aliści Martellino odpowiadał mu jeno żarcikami, tak jakby niewiele sobie z tego pochwycenia robił. Sędzia wpadł w gniew i kazał go wziąć na powróz i kilkakroć dobrze naciągnąć, aby zeznanie winy zeń wymusić, a potem posłać go na szubienicę. Gdy go już na ziemi postawili z powrotem, sędzia znów go zapytał, zali słusznie go obwiniają. Martellino, wiedząc, że zapieranie się nie zda się na nic, rzekł:

— Jestem gotów wyznać całą prawdę, Wasza Wielmożność, ale niechaj przedtem każdy, co mnie oskarża, powie, gdzie i kiedy mu sakiew ukradłem, później i ja opowiem wszystko, com uczynił i czego nie popełniłem.

Sędzia zgodził się na to ochotnie i kilku oskarżycieli przywołał. Jeden twierdził, że Martellino ukradł mu mieszek osiem dni temu, drugi, że przed sześciu dniami, trzeci, że od kradzieży cztery dni upłynęły; niektórzy zasię upewniali, że sakiew zginęła im dnia dzisiejszego.

Martellino, usłyszawszy to, rzekł:

— Ha, na mą duszę, wielmożny panie, wszyscy kłamią plugawie; łatwie mi jest dowieść tego. Oby nigdy noga moja nie była postała w tym mieście, gdzie zaledwie od kilku godzin bawię. Na nieszczęście poszedłem zaraz do kościoła, aby obaczyć święte szczątki, i tam mnie oporządzono na schwał, jako to sami widzicie. Prawdę słów moich może poświadczyć urzędnik grodzki, który zapisuje do księgi imiona tych, co do grodu przybywają, oraz mój gospodarz. Gdy się upewnicie, że jest tak, jak mówię, nie każecie mnie chyba męczyć i zabijać, folgując tym hultajom.

Tymczasem Marchese i Stecchi, dowiedziawszy się, że sędzia podesty okrutnie sobie z nim poczyna i już go na tortury bierze, drżąc o jego los, tak do siebie mówić jęli:

— Na ładnyśmy fortel wpadli, wyciągnęliśmy przyjaciela z patelni po to, aby go w ogień wrzucić!

Nie mieszkając pobiegli do gospodarza i opowiedzieli mu, jak się sprawa miała. Ów, pośmiawszy się należycie, powiódł ich do niejakiego Sandra Agolanti, który mieszkał w Treviso i wielkiego poważania u księcia zażywał. Opowiedziawszy mu wszystko szczegółowie, prosili go, aby się nad nieborakiem Martellinem zmiłował. Agolanti, śmiejąc się z całego serca, udał się do księcia i tyle wskórał, że zaraz posłano po Martellina.

Wysłańcy znaleźli go stojącego w koszulinie przed sędzią i drżącego ze strachu. Sędzia był głuchy na wszystkie wywody; żywiąc zasię przypadkiem jakiś wielki do Florentczyków rankor, umyślił go powiesić i żadną modłą zgodzić się nie chciał na wydanie go księciu. W końcu jednak musiał ustąpić i oswobodzić Martellina.

Stanąwszy przed księciem, Martellino opowiedział mu swoje przypadki i jak o szczególną łaskę prosił, aby mu zezwolone zostało miasto opuścić, dopóki bowiem nie ujrzy się we Florencji, będzie czuł stryczek na gardle. Książę z przypadku tego uśmiał się serdecznie, a później obdarował wszystkich trzech pięknymi szatami i puścił ich swobodnie. Tak tedy, wielkiego niebezpieczeństwa ponad spodziewanie uszedłszy, zdrowi i cali do domu powrócili".

Opowieść druga. Modlitwa do świętego Juliana

Rinaldo d'Esti, złupiony przez łotrzyków, przybywa do Castel Guiglielmo, gdzie go przyjmuje pewna wdowa. Wynagrodzony za swoje szkody, zdrów i cały do domu powraca.

Długo śmiały się damy z przypadków Martellina, o których Neifile opowiadała. Z młodych ludzi najbardziej weselił się Filostrato. Ponieważ siedział obok Neifile, więc królowa jemu dalej ciągnąć opowieść kazała. Nie mieszkając zaczął w te słowa:

— Pragnę wam, miłe damy, opowiedzieć historię, co się zarazem katolickiej wiary, nieszczęśliwych przypadków jak i miłości tyczy. Wysłuchanie jej będzie pożyteczną rzeczą, zwłaszcza dla tych, co po niebezpiecznych krainach Amora wędrując, nie odmawiają modlitwy do świętego Juliana i dlatego też nieraz złą znajdują gospodę, chociaż i dobre łoże im przypadnie.

„Działo się to jeszcze za życia markiza Azzo z Ferrary; pewien kupiec, Rinaldo d'Esti zwany, bawił za swymi sprawami w Bolonii. W drodze powrotnej, gdy już z Ferrary

wyjechał i ku Weronie się obrócił, napotkał jakichś ludzi, których za kupców wziął; byli to łotrzykowie i rozbójnicy. Rinaldo zawiązał z nimi rozmowę i nierozważnie przyłączył się do nich. Ci, uznawszy, że jest kupcem, wnieśli z tego zaraz, że musi mieć pieniądze przy sobie, dlatego też postanowili napaść na niego, gdy tylko sposobność się zdarzy. Aby zaś żadnego podejrzenia co do nich żywić nie mógł, poczynali sobie jako ludzie skromni i zacni, rozprawiając z nim tylko o uczciwości i wierności danemu słowu, udając, że są wobec towarzysza pokorni i dobrotliwi, tak iż Rinaldo spotkanie z nimi za wielkie szczęście sobie poczytywał i był rad, że nie potrzebuje jechać jedynie w towarzystwie swego konnego sługi. Przechodząc z jednego przedmiotu na drugi, jako się to często w rozmowach zdarza, jęli wreszcie mówić o modlitwach, jakie ludzie do Boga zanoszą. Jeden z trzech hultajów zapytał Rinalda:

— Powiedzcie mi, panie, jaką modlitwę odmawiać zwykliście, bawiąc w drodze?

— Mówiąc po prawdzie — odparł Rinaldo — jestem w tych rzeczach człowiekiem nieuczonym i dobra doczesne lubiącym, dlatego też niewiele znam modlitw, żyję na dawną modłę i puszczam dwa soldy za dwadzieścia cztery denary. Wszakoż mam to w obyczaju, że rano, wychodząc z gospody, odmawiam Pater noster i Ave Maria za spokój dusz rodziców świętego Juliana. Później modlę się do Boga i do tego świętego, abym następnej nocy dobry schron mógł znaleźć. Nieraz już w życiu, w czasie podróży, wielkie niebezpieczeństwa mi zagrażały, przecieżem zawsze szczęśliwie ich unikał najdując zacną gościnę i nocleg bezpieczny. Mocno w to wierzę, że święty Julian, do którego z modlitwą się obracam, łaskę tę dla mnie u Boga wyprosił. Gdybym jej rano odmówić przepomniał, uwierzyć bym nie zdołał, by dzień mógł upłynąć dla mnie szczęśliwie, a noc wytchnienie mi przynieść.

— Zaliście dzisiaj ją odmówili? — zapytał łotrzyk.

— Oczywista! — odparł Rinaldo.

Tamten wiedząc już, jakie jest ich ułożenie, rzekł do siebie: »Niechaj ci ta modlitwa będzie ku pomocy. Jeżeli jednak dzisiejszej nocy nic nam nie stanie na wstręcie, zaiste nie najlepiej noclegować będziesz«. Później rzekł głośno:

— Ja także wiele po świecie jeździłem, jednakoż chocia wielu mi modlitwę tę zachwalało, przecieżem jej nie odmawiał. Mimo to nie zdarzyło mi się, abym zły schron znalazł. Dzisiejszego wieczora obaczym, kto z nas lepszą gościnę znajdzie, czy wy, coście tę modlitwę odmówili, czy też ja, com jej nie odmawiał. Po prawdzie, to zamiast niej mam zwyczaj recytować Dirupisti, Intemerata i De profundis, które jak moja babka powiadała, wielką skuteczność mają.

Taką rozmową się bawiąc, kęs drogi przebyli; łotrzykowie czekali tylko sposobnej pory, aby swój szkaradny zamysł uskutecznić. Późną godziną podjechali do Castel Guiglielmo, aby się przez rzekę w bród przeprawić. Trzej hultaje widząc, że znajdują się na pustkowiu, rzucili się na Rinalda, ograbili go całkiem i pozostawili go w jednej koszuli. Odjeżdżając zaś, rzekli doń:

— Idź i obacz, czy twój święty Julian ześle ci dzisiaj zacną gościnę, taką, jaką my od naszego świętego otrzymamy. — Rzekłszy to przeprawili się przez rzekę i wkrótce z oczu mu zniknęli.

Strachliwy sługa Rinalda widząc, że rozbójnicy napadają na jego pana, nie pośpieszył mu z pomocą, lecz zawróciwszy konia, puścił go na wyskok i zatrzymał się dopiero w Castel Guiglielmo. Nie kłopocząc się o nic, legł tam na spoczynek, bowiem noc już późna była.

Rinaldo ostał się w jednej tylko koszuli na ciele, a do tego bosy; tymczasem zimno było srogie i śnieg padał gęsty.

Nieborak widząc, że noc zapada, nie wiedział, co mu począć należy. Drżał całym ciałem, szczękał zębami i rozglądał się wokół, szukając jakiegoś schronu na noc, aby nie umrzeć z zimna. Jednakoż nic znaleźć nie mógł, bowiem niedawna wojna cały kraj spustoszyła. Nękany zimnem, powlókł się w stronę Castel Guiglielmo, chocia nie wiedział, zali jego sługa tam właśnie uciekł. Miał nadzieję, że jeśli tylko zdoła dostać się do zamku, Bóg mu jakąś pomoc ześle. Aliści o milę drogi od zamku noc gęsta go zaskoczyła; stanął na miejscu tak późno, że bramy były już zamknięte, a mosty zwiedzione. Pełen rozpaczy, jęcząc i płacząc, jął się rozglądać, aby gdzieś przynajmniej przed śniegiem się ukryć. Nagle obaczył mały domek wychylający się nieco poza mur zamkowy. Umyślił schronić się pod tym występem i tam świtu się doczekać. Udał się tam zatem i natknął się na zamknięte drzwi. Rinaldo zgarnął trochę słomy w pobliżu i legł pod progiem, skarżąc się żałośnie i szemrząc na świętego Juliana, który tak zawiódł jego zaufanie. Aliści święty Julian zatroskał się o Rinalda i wkrótce dał mu zacne schronienie.

W domku na wałach mieszkała młoda wdowa, mająca tak piękne ciało jak żadna inna białogłowa. Markiz Azzo miłował ją nad życie i trzymał ją tutaj, aby mieć sposobność chuciom swym dogadzać. Zdarzyło się, że markiz przybył tam poprzedniego dnia i obiecał, że tę noc razem z nią spędzi. Wdowa kazała w tajemnicy przygotować kąpiel i wystawną wieczerzę. Gdy już wszystko przysposobione było, a dama tylko na kochanka czekała, do markiza przybył goniec z takimi wieściami, że

markiz zaraz w drogę wyruszył, do wdowy zasię pchnął umyślnego, aby jej doniósł, że dziś przybyć nie może.

Wdowie nie bardzo to w smak poszło; rada nierada, postanowiła sama zażyć kąpieli, później zjeść wieczerzę i na spoczynek się udać. Kąpała się obok drzwi, za którymi leżał na ziemi nieborak Rinaldo. Siedząc w wodzie, wdowa usłyszała nagle, jak ktoś jęczy i zębami klekota, niby bocian dziobem. Przywoławszy tedy służkę, rzekła do niej:

— Idź i obacz poprzez mur, kto tam leży u progu za drzwiami i czego tutaj chce.

Służka poszła, a że noc była jasna, obaczyła w półmroku Rinalda, który bosy, w jednej koszuli na ciele, drżał z zimna. Zapytała go, kim by był?

Rinaldo tak się trząsł okrutnie, że ledwie mógł kilka słów wymówić; opowiedział jej pokrótce, kim jest i w jaki sposób się tu dostał, później zasię jął ją prosić żałośnie, aby mu tu z zimna umrzeć nie dozwoliła. Służka, litością zmiękczona, powróciła do swej pani i opowiedziała jej wszystko.

Dama, równie litością tknięta, przypomniała sobie, że ma klucz od tych drzwi, przez które markiz, nie chcąc, aby go widziano, niekiedy do domu wchodził, i rzekła:

— Idź i otwórz mu cichaczem; wieczerza jest przygotowana, tylko jeść jej nie ma komu, miejsca na nocleg także wystarczy.

Służka, wychwalając ludzkość swej pani, drzwi odparła i wpuściła Rinalda do środka. Wdowa, widząc go zmarzniętego na kość, kazała mu wejść do ciepłej jeszcze kąpieli. Ów, nie czekając, aż zaproszenie powtórzą, wszedł ochotnie do wody; gdy go ciepło przeniknęło, poczuł, że ze śmierci do życia powraca. Wdowa kazała dlań przysposobić szaty swojego męża, który zmarł był przed niedawnym czasem. A gdy je przywdział wydawały się jakby na niego skrojone. Czekając, co mu rozkaże, począł dziękczynienia czynić Bogu i świętemu Julianowi, którzy ponad spodziewanie od tak złej nocy go uchronili i do dobrej gospody, jako się zdało, przywiedli. Wdowa, zażywszy wczasu po kąpieli, kazała rozpalić wielki ogień w komnacie, a później spytała służki, co jej nieborak porabia.

— Gdy się w szaty przybrał — odparła służka — okazał się wielce urodziwym mężem. Wygląda przy tym na człeka obyczajnego i zacnego stanu.

— Przywołaj go tu zatem — rzekła dama — i powiedz mu, że ogrzeje się przy ogniu i zje wieczerzę, wiem bowiem, że jeszcze z pewnością nie wieczerzał.

Rinaldo wszedł do sali, a obaczywszy białogłowę, która prawdziwą damą mu się wydała, pozdrowił ją dwornie i za okazane mu dobrodziejstwo podziękował, jak mógł najlepiej. Dama, upewniwszy się, że jej służka prawdę powiedziała, przyjęła go

serdecznie i posadziła go koło ognia, obok siebie, prosząc, aby opowiedział jej o nieszczęściu, co go tu przywiodło. Rinaldo opowiedział wszystko szczegółowie. Ponieważ wdowę doszły już o nim słuchy, gdy służący jego do zamku przybył, tedy uwierzyła bez trudu w jego słowa i oznajmiła mu, co wie o słudze, którego jutro łatwo będzie mógł odszukać. Gdy już stół zastawiono, Rinaldo na wezwanie wdowy ręce umył pospołu z nią i wieczerzać począł. Rinaldo był człekiem słusznego wzrostu, o wielce dwornym obejściu i o urodziwym obliczu, a przy tym młodzieńcem w kwiecie lat. Wdowa nie spuszczała zeń zachwyconych oczu, a że gdy na markiza czekała, chucie w niej rozgorzały, już widziała się z Rinaldem sparzoną. Po wieczerzy, wstawszy od stołu, jęła się naradzać ze służką, zali wolno jej skorzystać z dobra, przez fortunę zesłanego, skoro markiz zawód jej sprawił. Służka wiedząc, jakie jest życzenie jej pani, podwodzić ją jęła k'temu, aby chętkom swym pofolgowała. Wdowa wróciwszy do kominka, przy którym siedział Rinaldo, spojrzała nań miłośnie i rzekła:

— Czemuście tak zamyśleni, Rinaldo? Zali mniemacie, że strata rumaka i szat jest niepowetowana? Pocieszcie się i rozweselcie, bowiem znajdujecie się u siebie w domu. Gdy patrzę na was, ubranego w strój mojego nieboszczyka męża, wydaje mi się, że to on we własnej osobie. Sto razy już mi przychodziła chętka pocałować was i uściskać. Gdyby nie obawa, że wam to nie będzie miłe, dawno bym to już uczyniła.

Rinaldo, usłyszawszy te słowa i widząc ogień w jej oczach, stanął przed nią, rozwarł ramiona i rzekł jak człek, którego nie w ciemię bito:

— Wszakże wam życie dłużny jestem; zawsze to powiem, wspomniawszy, od czegoście mnie wybawili. Szkaradną nikczemnością z mojej strony by było, gdybym nie starał się wszystkich waszych życzeń spełnić. Obejmijcie mnie zatem i całujcie mnie, ile tylko zapragniecie, ja jeszcze z większą chęcią wam odpowiem.

Więcej mówić nie było trza. Wdowa, miłosnymi płomieniami gorejąca, rzuciła mu się w ramiona i ciasno go obłapiwszy obsypała go gradem pocałunków, które Rinaldo z lichwą jej oddał.

Później podnieśli się, udali się do jej komnaty i nie mieszkając położyli się do łoża. Nim dzień nastał, wiele razy do woli pragnienia swoje nasycili. Gdy jutrznia na niebie zajaśniała, Rinaldo, zgodnie z życzeniem wdowy, podniósł się z łożnicy. Aby nikt nic podejrzewać nie mógł, dała mu mocno wyszarzałe suknie i napełnioną złotem sakiew, prosząc, by ścisłą tajność zachował. Później wskazawszy mu, którędy ma wejść do grodu i gdzie swego sługi szukać, wypuściła go tymi samymi drzwiami, którymi wszedł do niej.

Dzień się tymczasem zrobił zupełny. Rinaldo, udając, że przybywa z dala, wszedł do zamku, gdy tylko bramy otworzono, i swego sługę odszukał. Ubrawszy się w swoje szaty, które sługa miał w tłomoku, chciał już rumaka pachołka swego dosiadać, gdy wtem zdarzyło się jakby przez cud boski, że trzej hultaje, co go wczoraj ograbili, zostali na nowej swej niecnocie schwytani i do zamku pod strażą przywiedzeni. Złodzieje przyznali się do wszystkiego. Rinaldo otrzymał z powrotem rumaka, odzież i pieniądze, nie odzyskał jeno pary swych podwiązek, które łotrzyki gdzieś zatracili.

Rinaldo, stokrotne dzięki Bogu i świętemu Julianowi złożywszy, odjechał do domu zdrów i cały, zasię trzej hultaje następnego dnia jęli się huśtać na wietrze".

Opowieść trzecia. Dziwne małżeństwo

Trzej bracia trwonią swoje majątki, popadając w ubóstwo. Jeden z ich siostrzeńców, wracając zrujnowany do kraju, zaznajamia się z pewnym opatem, który okazuje się córką króla angielskiego. Młódka wychodzi za niego za mąż i wynagradza straty jego wujom, przywracając im dawną pomyślność.

Z podziwieniem wysłuchano opowieści o przypadkach Rinalda d'Esti; wszyscy wychwalali jego pobożność i dziękowali Bogu oraz świętemu Julianowi, który wyrwał go z tej srogiej opresji. Powszechnie się też na to zgodzono (chocia cichaczem), że wdowa niegłupio postąpiła, nie gardząc dobrem, które jej niebo zesłało. Gdy rozprawiano, żartując o przyjemnej nocy, jaką spędziła, Pampinea, obok Filostrata siedząca, pojęła, że na nią teraz kolej przychodzi, zatem władze umysłu zebrawszy, obmyśliła historię, którą opowiedzieć miała. Zgodnie z rozkazem królowej, śmiało i wesoło jęła mówić w te słowa:

— Im więcej się o zrządzeniach fortuny mówi, tym więcej do rozpowiedzenia pozostawa temu, co w pamięci swej dobrze poszpera. Nikt temu nie winien się dziwować, zważywszy, że wszystkie rzeczy, które przez głupotę swoją własnością zowiemy, w rękach losu się znajdują i zgodnie z jego tajnym rozrządzeniem bezustannie od jednego człeka do drugiego kolejno przechodzą. Wszystko się zmienia z wyroku fortuny, jeno my porządku tych przemian określić nie możemy. Chocia ta losu niestałość każdego dnia nam się na jaśnie podaje i chocia o niej już w poprzednich opowieściach rzecz szła, przecie zgodnie z wolą królowej, która pragnie, aby o tym właśnie przedmiocie mówić, do tamtych nowel i moją nowelę dołączam, może być, iż nie bez pożytku dla słuchaczy. Mniemam, że im ona do smaku przypadnie.

„Żył ongiś w naszym mieście pewien szlachcic, imieniem Tedaldo. Według jednych, wywodził się z rodu Lamberti, według drugich z rodu Agolanti. Ci ostatni, twierdząc tak, opierają się może na zajęciu bankierskim jego synów, któremu wszyscy Agolanti oddawali się i oddają. Aliści nie szerząc się zbytnio nad tym, do którego z dwóch tych rodów należał, powiem jeno, że był jednym z najbogatszych w swoim czasie szlachciców i że miał trzech synów. Pierwszy z nich zwał się Lamberto, drugi Tedaldo, a trzeci Agolante. Byli to urodziwi i kształtowni młodzieńcy. Zaledwie najstarszy do osiemnastego roku życia doszedł, gdy ojciec umarł, ostawiwszy im w dziedzictwie wszystkie swoje dobra ruchome i nieruchome. Młodzieńcy, ocknąwszy się pośród takich posiadłości i bogactw, a krom chęci własnej rozkoszy innego preceptora nie mając, zaczęli majętności bez opamiętania marnotrawić.

Trzymali mnóstwo sług, mieli piękne rumaki, psy i sokoły, wyprawiali nieustanne uczty i turnieje, czyniąc nie tylko to, co szlachcicowi przystoi, ale i folgując wszystkim swoim młodzieńczym zachceniom. Niedługo tą modłą żyli, gdyż skarb pozostawiony im przez rodzica stopniał szybko.

Ponieważ na wydatki dochodów im nie starczało, jęli więc sprzedawać i w zastaw majętności oddawać. I tak jednej po drugiej się pozbywając, spostrzegli wreszcie, że im prawie nic nie pozostało. Bieda otwarła im oczy, które bogactwo oślepiło. Wówczas najstarszy, Lamberto, przywołał pewnego dnia swoich dwóch braci i wspomniawszy, w jakim to poważaniu żył ich rodzic, ukazał im, w jak nędznym się teraz znajdują stanie, do którego przywiodła ich szaleńcza rozrzutność. Później jął ich z wszystkich sił nakłaniać, aby, nim nędza ich całkiem nie przydusi, sprzedali pospołu z nim tę resztę niewielką, co im jeszcze pozostawa, i w świat wyruszyli. Tak też uczynili.

Nie żegnając się z nikim, cichaczem opuścili Florencję i nigdzie po drodze nie zatrzymując się odpłynęli do Anglii. Przybywszy do Londynu, wynajęli niewielki domek i jęli żyć wielce skromnie, wszystkie pieniądze na lichwę obracając. Fortuna tak im sprzyjała, że przez kilka lat wielką moc grosza zebrali. Wróciwszy jeden po drugim do Florencji, nie tylko znaczną część swoich majętności odkupili, ale nabyli także i mnogie nowe dobra. Później w stadła małżeńskie wstąpili.

A jako że w Anglii nadal na lichwę pożyczali, wyprawili tam młodego swego siostrzeńca, Aleksandra, który miał mieć nadzór nad ich pieniędzmi. Sami zaś, żyjąc we Florencji, zapomnieli, do czego ich rozrzutność już raz przywiodła, i jęli znów pieniądze marnotrawić, bez myśli o tym, że przecież każdy z nich ma rodzinę. U kupców we Florencji takie mieli zaufanie, że mogli pożyczyć największą nawet sumę. W ciągu lat

kilku żyli w podobny sposób dzięki pieniądzom, które im Aleksander przysyłał. Ów pożyczał bowiem baronom pod zastaw ich zamków i innych posiadłości, wielkie z tego ciągnąc korzyści. Gdy trzej bracia rozrzutne życie prowadzili i skoro zabrakło im grosza, brnęli w długi, niezachwianą nadzieję w Anglii pokładając. Tam, wbrew wszelkim oczekiwaniom, rozgorzała wojna między królem a jego synem. Cała ludność rozdzieliła się na dwa wrogie obozy. Wskutek wojny Aleksander utracił zamki baronów i znikąd już dochodów czerpać nie mógł. Mając nadzieję, że lada dzień między ojcem a synem do zgody przyjdzie, Aleksander nie opuszczał Anglii, jeno czekał, aż mu dobra jego z nawiązką zwrócone zostaną. Trzej bracia, żyjący we Florencji, nie ograniczali wcale swoich wydatków, ale przeciwnie, w coraz większe długi brnęli.

Aliści, jako że w ciągu lat kilku nic nie potwierdzało pokładanej w nich nadziei, trzej bracia nie tylko zaufanie u ludzi utracili, ale zostali wtrąceni do więzienia na żądanie tych, którym dłużni byli. Ponieważ na pokrycie długów nie starczyły ich majętności, tedy zostali pod kluczem. Żony ich i maleńkie dzieciątka jęły się tułać to tu, to tam, także po okolicznych wsiach, ubrane w nędzną odzież i żadnej nadziei na przyszłość nie mające.

Aleksander jeszcze przez kilka lat na pokój czekał; widząc jednak, że wojna trwa ciągle i że jego pobyt w Anglii nie tylko jest bezużyteczny, ale i niebezpieczny dla niego, umyślił do Włoch powrócić. Wyruszył w drogę sam jeden. Wyjeżdżając z Brugge, obaczył, że jakiś opat w białym habicie takoż miasto opuszcza. Towarzyszyło mu wielu mnichów i siła służby z mnogim sprzętem podróżnym na przedzie. Orszak zamykali dwaj znakomici rycerze z królewskiego domu. Aleksander, który ich znał, wstąpił z nimi w rozmowę i do ich kompanii ochotnie dopuszczony został. Po drodze uprzejmie zapytał ich, co to są za mnisi, jadący przodem z tak wielkim pocztem sług, i dokąd zmierzają?

Na to odparł jeden z rycerzy:

— Młodzieniec, jadący na czele orszaku, jest naszym krewniakiem, który teraz właśnie otrzymał jedno z najbogatszych opactw w Anglii. Ponieważ jednak zbyt jest młody, aby móc prawnie tę godność sprawować, więc jedziemy z nim do Rzymu, chcąc od Ojca świętego otrzymać dlań dyspensę i zatwierdzenie go na urzędzie. Proszę was jeno, abyście tego nie rozgłaszali.

Młody opat, jadący na czele orszaku, to znów obok sług swoich, obyczajem panów będących w podróży, znalazł się trafunkiem koło Aleksandra. Ów, jako młodzieniec wielce urodziwy, obyczajny i pełen wdzięku, z pierwszego wejrzenia przypadł opatowi

do serca. Opat, przyzwawszy go, jął uprzejmie z nim rozmawiać pytając, kim jest, skąd i dokąd jedzie? Aleksander, chcąc jego ciekawość zaspokoić opowiedział mu szczerze o wszystkich swoich sprawach i chociaż niewiele mógł sprawić, cne usługi swoje mu ofiarował.

Opat, wysłuchawszy jego rozumnej i pięknej mowy i dworność jego zważywszy, pomyślał, że ten człek, mimo sprawianego przez się rzemiosła, musi być zacnie urodzonym, i wielce sobie go upodobał. Pełen współczucia dla jego nieszczęść, jął go pocieszać, zachęcając, aby nadziei nie tracił. Jeśli tylko dzielnym i wytrwałym będzie, Bóg nie tylko do poprzedniego go powróci stanu, ale jeszcze i wyżej go podniesie. A dowiedziawszy się, że Aleksander także do Toskanii zmierza, prosił go, aby razem drogę odbywali.

Aleksander podziękował mu za słowa pociechy i oświadczył, że gotów jest we wszystkim przyrzec mu posłuszeństwo.

Spotkanie z Aleksandrem wzbudziło w opacie nowe uczucia i myśli. Podróżując razem, po kilku dniach przybyli do pewnego miasteczka, gdzie nie było zbyt wiele gospód. Ponieważ opat chciał się tam na nocleg zatrzymać, więc Aleksander umieścił go u pewnego oberżysty, którego znał dobrze, i kazał mu przygotować najlepszą w domu komnatę. A jakby był już jego marszałkiem, wielką mając biegłość w tych sprawach, zakrzątnął się, jak mógł najlepiej, i sługom opata dał różne kwatery w mieście.

Gdy opat wieczerzę skończył i gdy już znaczna część nocy minęła, a wszyscy na spoczynek się udali, Aleksander zapytał gospodarza, gdzie ma nocować?

— Wierę, nie wiem tego — odparł gospodarz. — Widzicie przecie, że cały dom jest pełen i że ja wraz z moją rodziną muszę spać na ławach. Jednakoż w komnacie opata znajduje się kilka worów z żytem, narychtuję wam z nich łoże; mniemam, że jakoś noc spędzicie.

— Jakże to? — odparł Aleksander — komnata opata jest tak mała, że z przyczyny jej ciasnoty nie mógł się w niej pomieścić ni jeden z jego mnichów. Gdybym sobie był wcześniej z tego sprawę zdał, wówczas gdy zasłony przybijano, kazałbym spać na worach jego mnichom, a sam udał się tam, gdzie oni noclegują.

— Już temu teraz zaradzić nie sposób — rzekł oberżysta — możecie wszakoż ułożyć się tam wygodnie. Opat śpi na łożu, którego zasłony są opuszczone. Przyniosę wam po cichu kołdrę i będziecie spali jak suseł.

Aleksander, widząc, że niepokoju opatowi nie przyczyni, zgodził się wreszcie i na palcach wszedł do komnaty. Aliści opat, który nie spał, na łup nowych swoich pragnień zdany, nie uronił ani słowa z rozmowy Aleksandra z oberżystą, a takoż spostrzegł, gdzie Aleksander legł na spoczynek. Wielce z tego ukontentowany, rzekł do siebie: »Oto sam Bóg daje mi sposobność do zaspokojenia mych pragnień. Jeśli jej w lot nie schwycę, lepsza może mi się nigdy nie nadarzy«.

Postanowiwszy zatem ze sposobności skorzystać, poczekał chwilę, aby wszyscy w domu zasnęli, a później cichym głosem zawołał na Aleksandra, by legł koło niego na łożu. Aleksander wzbraniał się długo, lecz wreszcie rozdział się i wszedł do łoża.

Opat położył mu rękę na piersiach i jął go macać, nie inaczej, jak to czynią młode dziewczęta ze swymi kochankami. Aleksander zadziwił się wielce, nie wątpiąc, że opat, występnym pragnieniem powodowany, na niego dybie. Ów, żywszym poruszeniem Aleksandra na ślad podejrzeń jego naprowadzony, uśmiechnął się, a ściągnąwszy z ramion swoją koszulę, schwycił Aleksandra za rękę, położył ją na swoich piersiach i rzekł:

— Oddal od siebie głupie myśli, Aleksandrze, i przekonaj się, jaką prawdę tutaj ukrywam.

Aleksander poczuł pod dłonią dwa krągłe i miłe cycuszki, tak twarde, jakby z kości słoniowej uczynione były. Znalazłszy je pojął, że opat jest białogłową; nie czekając tedy na zaproszenie, obłapił ją ciasno i już chciał ją całować, gdy wtem ona rzekła:

— Nim bardziej jeszcze zbliżysz się do mnie, wysłuchaj, co ci powiedzieć pragnę. Jak to dowodnie widzisz, jestem nie mężem, lecz białogłową. Jako dziewica opuściłam dom rodzicielski; wybrałam się w drogę do papieża z prośbą, aby mnie za mąż wydał. Jednakoż na twoje szczęście, czyli też na moją zgubę, ledwiem cię ujrzała, rozgorzałam do ciebie taką miłością, jaką żadna białogłowa nigdy mężczyzny nie obdarzała. Umyśliłam zatem ciebie za małżonka sobie wybrać. Jeśli jednak zostać nim nie chcesz, idź precz z mego łoża i wracaj na swoje posłanie.

Aleksander, chocia jej nie znał, wniósł przecie z jej orszaku, że musi być białogłową bogatą i wysoko urodzoną. Ujrzawszy zasię jej piękność ani chwili się nie wahał, jeno odparł, że jeśli taka jest jej wola, to i on innej nie ma.

Wówczas usiadła na łożu i przed obrazem, na którym był wizerunek Pana naszego, włożywszy mu pierścień na palec, zaślubiła go. Po czym uścisnęli się i resztę nocy z wielkim obojga ukontentowaniem na przyjemnych igrach spędzili. Umówili się, co im dalej czynić należy. Przed świtem Aleksander wyszedł z komnaty równie cicho, jak i

wszedł do niej. Nikt nie wiedział, gdzie tę noc przepędził. Na drugi dzień, pełen niewysłowionej szczęśliwości, pospołu z opatem i jego świtą w dalszą drogę ruszył. Po wielu dniach podróży przybyli do Rzymu. Odetchnąwszy nieco po trudach drogi, opat w towarzystwie dwóch rycerzy i Aleksandra udał się do papieża i należną cześć mu złożywszy, w te słowa przemówił:

— Wiadomo Wam lepiej niż komukolwiek, Ojcze święty, iż ten, co zacnie i szlachetnie żyć pragnie, winien, ile zdoła, unikać wszelakich sposobności, które by go od prawej drogi odstrychnąć mogły. Takoż i ja, iż do cnoty dążę, by móc temu zadośćuczynić, przebrałam się w ten strój, w jakim mnie widzicie, uciekłszy skrycie od mego ojca, króla Anglii, z częścią jego skarbów. Ojciec mój bowiem, nie zważając na mój młody wiek, chciał mnie oddać w stadło sędziwemu królowi Szkocji. Umyśliłam zatem wybrać się do Was, Ojcze święty, abyście mi męża wybrali. Nie tyle trwoga przed sędziwym królem Szkocji do ucieczki mnie pobudziła, ile obawy, abym zostawszy jego małżonką nie pofolgowała mojej młodości i nie uczyniła czegoś wbrew prawom boskim i czci królewskiego rodu. Gdy z takimi zamysłami tu zdążałam, Bóg, który wie najlepiej, czego nam do szczęścia potrzeba, w swym niezmierzonym miłosierdziu posłał mi na spotkanie tego, kogo na małżonka mi przeznaczył. Jest nim ten oto młodzieniec (tu na Aleksandra ukazała), obok mnie stojący.

Dla swych przymiotów i obyczajów godzien jest miłości każdej znamienitej damy, chocia jego krew nie jest tak zacna, jak krew królewska. Przeto jegom wybrała i jego tylko na męża pragnę, choćby wola mego rodzica i wszystkich ludzi przeciwna temu być miała. Tak tedy znikła główna przyczyna, dla której w drogę się wybrałam. Zdało mi się jednak rzeczą słuszną do Rzymu dotrzeć, aby odwiedzić wszystkie miejsca święte, Was, Ojcze święty, obaczyć, a takoż, abym nasz związek, tylko przed Bogiem zawarty, Wam objawiła, a przeto i wszystkim innym do wiadomości podała. Pokornie tedy Was błagam, abyście raczyli przychylnie odnieść się do tego, co się podobało Bogu i mnie, i uszczęśliwili nas swoim błogosławieństwem. Otrzymawszy je, jeszcze bardziej wierzyć będziemy w życzliwość Tego, czyim namiestnikiem jesteście. Będziemy żyli, wielbiąc Boga i Was do ostatniego dnia żywota naszego.

Aleksander osłupiał usłyszawszy, że jego żona jest córką króla angielskiego, i ucieszył się z tego wielce w głębi duszy. Aliści jeszcze więcej zdumieli się dwaj rycerze; pełni rankoru i głębokiego nieukontentowania, ani chybi wyrządziliby krzywdę Aleksandrowi, a może i księżniczce, gdyby nie przytomność papieża. Papież także

niemało się zadziwił tak z ubioru księżniczki, jako i z jej wyboru, jednakoż wiedząc, że cofnąć się już nie lza, nie chciał jej prośbie odmówić.

Przede wszystkim uspokoił obu rycerzy, widząc ich pomieszanie, pogodził ich z księżniczką i Aleksandrem i zarządził, co czynić należy. W dniu oznaczonym przez niego na uroczystość zaślubin, na której byli przytomni wszyscy kardynałowie i różne osoby znamienite, zjawiła się panna młoda w królewskich szatach; piękność jej i wdzięk osobny powszechny zachwyt wzbudziły. Aleksander przybył także wspaniale przyodziany; nikt z pozoru i ułożenia nie mógłby go wziąć za młodzieńca, który na lichwę pożyczał; raczej królewiczem być się zdawał. Dwaj rycerze osobną cześć mu teraz okazywali. Papież przykazał uroczyście zaślubiny odprawić, a później wspaniałe wesele im zgotował i udzielił im błogosławieństwa.

Aleksander z małżonką wyjechał z Rzymu do Florencji, dokąd już wieść o nich dotarła.

Mieszkańcy Florencji spotkali ich z oznakami czci i głębokiego hołdu. Księżniczka uwolniła z więzienia trzech braci, zapłaciwszy wszystkie ich długi i wprowadziwszy ich oraz ich żony z powrotem w posiadanie utraconych majętności. Później wraz z mężem i Agolantem wyjechała do Paryża, gdzie ją król francuski wielce uroczyście przyjął. Dwaj rycerze udali się do Anglii i tyle sprawili, że król angielski, uradowany wielce, przyjął z powrotem do swej łaski córkę i zięcia, Aleksandra niebawem do stanu szlacheckiego podniósł i hrabstwem go obdarzył. Aleksander zasię tyle starań dołożył i tak umiał się wziąć do rzeczy, że udało mu się ojca z synem pogodzić. Siła pomyślności stąd na Anglię spłynęło, co Aleksandrowi zjednało miłość i wdzięczność wszystkich mieszkańców. Agolante otrzymał z powrotem pieniądze, które mu się u ludzi należały, i do Florencji jako bogacz wielki powrócił. Jeszcze przedtem hrabia Aleksander szlachcicem go uczynił.

Aleksander żył szczęśliwie z swoją małżonką. Niektórzy powiadają, że dzięki swemu rozumowi i męstwu, przy pomocy teścia, zdobył Szkocję, której królem miał rzekomo zostać ukoronowany".

Opowieść czwarta. Landolfo Rufolo

Zubożały Landolfo Rufolo staje się korsarzem. Genueńczycy biorą go w niewolę. Rozbiwszy się na morzu, ratuje się dzięki skrzyni pełnej klejnotów. Na Korfu gości w domu pewnej białogłowy, a później, bogaty, do kraju wraca.

Lauretta, siedząca obok Pampinei, postrzegłszy, że ta do szczęśliwego kresu opowieść swoją doprowadziła, bez zwłoki w te słowa mówić poczęła:

— Nie ma, miłe panie, według mego mniemania, większego fortuny dzieła, jak podniesienie kogoś z nędznej kondycji do królewskiego stanu; ukazała nam to Pampinea w swej opowieści o Aleksandrze. Jako że każdy z nas opowiadać winien zgodnie z materią wprzód określoną, nie będę się wzbraniała opowiedzieć noweli, która chocia większe jeszcze niedole w sobie zamyka, przecie tak pomyślnego końca nie ma. Wiem dobrze, że nie będziecie mnie słuchali z równą ciekawością, aliści nie stać mnie na nic innego i dlatego proszę, abyście mi wybaczyli.

„Powszechnie twierdzą, że wybrzeże między Reggio a Gaetą najpiękniejszą część Italii stanowi. Tutaj, opodal Salerno, ku morzu obrócona, rozciąga się górzysta przestrzeń, którą mieszkańcy zwą wybrzeżem Amalfi, usiana miasteczkami, ogrodami i fontannami; tutaj mieszkają bogacze, głównie handlem się parający. Wśród tych miasteczek jest jedno, zwane Ravello, gdzie i dziś nie brak ludzi bogatych; a gdzie podówczas mieszkał niezwykle bogaty kupiec, Landolfo Rufolo. Ów, chcąc majętność swoją podwoić (bowiem to, co miał, mu nie wystarczało), o mały włos nie zginął pospołu ze swymi skarbami. Landolfo, wszystko poprzednio dobrze zważywszy, jak to pospolicie kupcy czynią, nabył wielki statek, naładował go towarem kupionym za swoje pieniądze i popłynął do Cypru. Tutaj jednak obaczył, że do portu zawinęło wiele okrętów z takim samym ładunkiem; dla tej przyczyny nie tylko wypadło mu towar swój tanio sprzedać, ale nawet prawie darmo go oddać, dzięki czemu do ruiny został przywiedziony. Zrozpaczony tym wszystkim, nie wiedział, co począć, a widząc, że z bogatego człeka ma się stać w krótkim czasie nędzarzem, postanowił albo zginąć, albo też grabieżą straty swoje powetować, byleby tylko nie wracać ubogim tam, skąd bogatym wyjechał.

Znalazłszy kupca na swój wielki drewniany korab, za pieniądze stąd i za sprzedaż towarów otrzymane, nabył mały statek korsarski, opatrzył go we wszystko, w co należy, uzbroił i jął się trudnić grabieżą, napadając na wszystkich, osobliwie zasię na Turków. W tej profesji fortuna była mu przychylniejsza niźli w handlu. W ciągu może jednego roku tyle tureckich okrętów ograbił, że nie tylko wszystkie straty sobie powetował, ale i majętność podwoił. Nauczony już poprzednim niepowodzeniem, nie chcąc po raz wtóry podobnego nieszczęścia doświadczać, rzekł do siebie, że dość mu tego, co już posiada. Dlatego też umyślił z bogactwem swoim do domu powrócić. Nie mając już do

handlu ufności, poniechał wszelkich zakupów za zyskane pieniądze, jeno na tym samym statku, który mu do korsarstwa służył, puścił się w drogę powrotną.

Gdy się już do Archipelagu zbliżał, podniósł się wiatr przeciwny, który morze poburzył. Jego mały statek nie mógł walczyć z falami, dlatego też Landolfo zawinął do zatoki na małej wysepce i skrywszy się od wiatru, jął czekać lepszej pogody. Do tej zatoki zawinęły niebawem dwa potężne genueńskie okręty. Płynąc z Konstantynopola i one schroniły się przed burzą, i z trudem do zatoki dotarły. Ludzie na tych okrętach, ujrzawszy mały statek, zamknęli mu drogę i zapytali, skąd on płynie i do kogo należy. Znali już z wieści, że właściciel statku jest wielce bogatym człekiem, i dlatego umyślili okrętem zawładnąć. Byli to ludzie chytrzy i żądni rabunku. Wysadziwszy na brzeg kilku ludzi z kuszami i inną bronią, tak ich rozmieścili, aby nikt nie mógł wysiąść ze statku, pod grozą, że strzałami przeszyty zostanie, sami zasię na łodziach, wspomagani falą morską, zbliżyli się do statku Landolfa i zawładnęli nim bez trudu, wraz z całą załogą, nie straciwszy ani jednego człeka. Genueńczycy zabrali Landolfa na pokład jednej z barek, a później jego stateczek zatopili, wszystko z niego uniósłszy. Landolfo w jednym tylko kaftanie pozostał. Następnego dnia wiatr się odmienił i okręty podniósłszy żagle popłynęły na zachód. Tego dnia podróż szczęśliwą była, lecz wieczorem jął dąć silny wicher, który wielkimi bałwanami oba statki od siebie oddzielił. Wicher był tak potężny, że barka, na której znajdował się nieborak Landolfo, uderzywszy powyżej wyspy Kefalonia o mieliznę, uległa rozbiciu, niby szklanka o ścianę rzucona. Morze, jak to w podobnych wypadkach pospolicie bywa, upstrzyło się różnym sprzętem: towarami, skrzyniami i deskami. Noc była ciemna, morze wzburzone i groźne. Ci spośród nieszczęsnych rozbitków, którzy umieli, pływali uczepiwszy się rzeczy, co trafunkiem im pod ręce podpadły. Wśród tych nieszczęśliwców był i Landolfo. Ów, chocia poprzedniego dnia śmierć często przyzywał mówiąc, że raczej umrzeć woli niż do domu nędzarzem powracać, teraz śmierci w oczy zajrzawszy, przeraził się jej i czepił się deski, jaka wpadła mu w ręce, mając nadzieję, że jeśli od utonięcia się uchroni, Bóg pomoc jakąś mu ześle. Usiadłszy na niej, czuł, jak morze i wicher miotają nim na wsze strony; tak trwało do świtu. Przy świetle dnia ujrzał przed sobą tylko obłoki, morze i skrzynię unoszącą się na falach, ilekroć się zbliżała, obawiał się, że ta skrzynia, uderzywszy o deskę, spowoduje jego upadek i przyczyną zatonięcia się stanie. Ilekroć skrzynia się doń zbliżała, odpychał ją ręką, walcząc ostatkami sił. Wkrótce jednak wicher utworzył wir powietrzny, morze wzburzył i tak silnie uderzył skrzynią o deskę, na której Landolfo siedział, że ów, obawiając się, że sił mu zabraknie, by do niej dopłynąć, wypuściwszy ją

z rąk, poszedł pod fale. Raczej strach niż siła na powierzchnię go wydobył; wówczas ujrzał, że deska płynie już na znacznej odeń odległości; zbliżył się zatem do skrzyni, która była bliżej, i oparłszy pierś na jej wieku jął ją rękami popychać. Rzucany falami to tu, to tam, nie wiedząc, gdzie się znajduje, i nie widząc nic wokół krom morza, Landolfo męczył się tak przez cały dzień i noc następną. Nic nie jadł, jeno pił więcej, niźli miał chęć na to.

Następnego dnia był już podobny do gąbki; wpił się obiema rękoma w brzeg skrzyni, jak to pospolicie czynią tonący, gdy tylko coś pochwycą. Aliści z woli Boga czy też dzięki sile wiatru dopłynął do brzegu wyspy Korfu, gdzie właśnie pewna uboga białogłowa czyściła swoje naczynia piaskiem i myła wodą. Białogłowa ta, ujrzawszy zbliżającego się Landolfa, nie mogła rozeznać, co to jest, i dlatego przeraziła się, i z krzykiem cofnęła się od brzegu. Landolfo nie mógł już mówić, niewiele także widział, przeto nic do niej nie rzekł. Gdy jednakże fale do brzegu go zbliżyły, białogłowa baczniej spojrzawszy rozeznała najpierw kształt skrzyni, a następnie, wytężywszy wzrok, ramiona leżące na wieku, a później oblicze, i zrozumiała, w czym rzecz. Powodowana litością, weszła do morza, które już uspokoiło się, i schwyciwszy Landolfa za włosy, wydobyła go na brzeg wraz ze skrzynią. Z trudem oderwała jego ręce od skrzyni, oddała ją córce, która była z nią razem, sama zasię wzięła Landolfa na ramiona niby małe dziecię i zaniosła go do łaźni. Tam go tarła i gorącą wodą zlewała, że wróciło weń ciepło i zemdlone siły. Następnie, zabrawszy go stamtąd, pokrzepiła go winem i słodyczami i przez kilka dni miała nad nim staranie. Landolfo, wróciwszy do sił, poznał wreszcie, gdzie się znajduje. Zacna białogłowa postanowiła wówczas oddać mu skrzynię, która mu życie ocaliła, i powierzyć go jego losowi.

Tak też uczyniła. Landolfo zapomniał już o skrzyni, mimo to wziął ją z rąk białogłowy, myśląc, że chocia jej szacunek wielki nie jest, przecie będzie mógł, sprzedawszy ją, kilka dni przeżyć. Jednakoż znalazłszy ją wielce letką i tę nadzieję postradał. Gdy gospodyni z domu wyszła, oderwał wieko, chcąc się przekonać, co wewnątrz skrzyni się mieściło. Ujrzał wiele klejnotów w oprawie i bez oprawy. Znając się nieco na klejnotach, poznał ich wielką wartość. Złożywszy dzięki Bogu, który go raz jeszcze w potrzebie nie opuścił, pocieszył się znacznie i otuchy nabrał. Jako człek, który w krótkim czasie dwa razy przeciwnemu losowi podlegał, teraz trzeciego nieszczęścia wielce się obawiał. Postanowił tedy bardzo ostrożnie sobie poczynać, aby te skarby móc do domu dowieźć szczęśliwie. Owinął klejnoty w strzępy łachmanów i oznajmił białogłowie, że mu już skrzynia potrzebna nie jest. Poprosił ją, aby mu dała worek, a

skrzynię w zamian sobie zatrzymała. Białogłowa ochotnie się na to zgodziła. Landolfo, podziękowawszy jej za wyświadczone mu dobrodziejstwa, pożegnał się z nią, wziął worek na plecy, wsiadł na barkę i popłynął do Brindisi. Stamtąd wzdłuż brzegu dotarł do Trani, gdzie spotkał kilku rodaków, sukienników. Opowiedział im o wszystkich swoich przypadkach, zataiwszy tylko znalezienie skrzyni, oni zasię przyodzieli go, pożyczyli mu rumaka, dali przewodnika i odesłali do Ravello, dokąd udać się pragnął.

Tutaj bezpiecznym się poczytując, należny dank Bogu złożył i rozwiązał worek; pilniej niż poprzednio każdy klejnot wiele razy obejrzał i przekonał się, że tyle szacownych skarbów posiada, iż sprzedawszy je za stosowną sumę, a nawet i taniej, będzie dwa razy bogatszy niźli wtedy, gdy wyjeżdżał. Znalazłszy możność sprzedaży klejnotów, posłał znaczną kwotę tej cnej białogłowie, która go z wody wyciągnęła, a takoż i tym, co go w Trani przyodzieli. Resztę pieniędzy zatrzymał dla siebie. Odrzekł się handlu i żył w dostatku do końca dni swoich".

Opowieść piąta. Andreuccio z Perugii

Andreuccio z Perugii przybywa do Neapolu, aby zakupić konie. W nocy spotykają go trzy niebezpieczne przygody, z których wychodzi szczęśliwie, wracając z rubinem do domu.

— Znalezione przez Landolfa kamienie — rzekła Fiammetta, na którą teraz kolej nadeszła — przywiodły mi na pamięć pewną opowieść, nie mniej niebezpieczeństw w sobie zawierającą niźli historia Lauretty, tym wszakoż od niej różną, że tam zdarzenia zapewne przez szereg lat trwały, tu zasię, jak usłyszycie, wszystko się w ciągu jednej nocy stało.

„Żył ongiś w Perugii pewien młodzieniec, handlarz końmi, Andreuccio di Pietro zwany. Zasłyszawszy, że w Neapolu jest dobry targ na rumaki, włożył do mieszka pięćset złotych florenów i ruszył w drogę w towarzystwie innych kupców, chocia do tych pór nigdy za bramami swego miasta nie bywał. Do Neapolu przybył w niedzielę wieczorem; zasięgnąwszy języka od oberżysty, nazajutrz rano na targ się udał. Wiele koni obejrzał; niektóre mu się podobały i wiele z nich targował, jednakoż przy kupnie nie mógł się na cenę zgodzić. Chcąc dać dowód, że o kupnie myśli, niezbyt chytrze sobie poczynał, bowiem kilka razy wyciągnął kiesę, pełną złota, na oczach przechodniów. W takiej chwili właśnie, gdy się swoją sakiewką pysznił, przechodziła mimo pewna urodziwa Sycylijka, gotowa zawsze pierwszemu lepszemu za lada grosz wdzięki swoje

ofiarować. Minęła Andreuccia, nie będąc przezeń spostrzeżona. Zajrzawszy w sakiewkę jego, zaraz rzekła do się: »Komuż lepiej by było na świecie niż mnie, gdyby pieniądze te do mnie należały?«. Z dziewczyną tą szła pospołu pewna starucha, także Sycylijka, która ujrzawszy Andreuccia opuściła natychmiast swoją towarzyszkę i pobiegła doń, aby go serdecznie uściskać. Młódka, ujrzawszy to, zatrzymała się na stronie i milcząc czekała na nią. Andreuccio obrócił się, a poznawszy staruchę, wielce się uradował. Ta obiecała, że go odwiedzi w oberży, i po krótkiej rozmowie odeszła. Andreuccio zasię znowu na targ się udał, ale nic tego ranka nie kupił. Dziewczyna, która widziała mieszek Andreuccia i jego powitanie ze staruchą, jęła się głowić nad tym, jakim by sposobem wyciągnąć odeń pieniądze w całości albo choćby w części. Zapytała się przeto ostrożnie staruchy, jak go poznała, kim on jest, skąd pochodzi i co tutaj robi.

Starucha opowiedziała jej o Andreucciu z takimi szczegółami, że i on sam by lepiej nie potrafił, bowiem długo mieszkała na Sycylii, a potem w Perugii pospołu z jego ojcem. Powiadomiła ją także, po co Andreuccio tu przyjechał i gdzie się w tej chwili udał.

Młódka, zebrawszy wiadomości o jego rodzinie i krewniakach, postanowiła na tych wiadomościach swój zamysł chytrze osnować, aby tylko zaspokoić apetyt na jego pieniądze. Po powrocie do domu dała starusze robotę na cały dzień, tak aby z Andreucciem spotkać się nie mogła, i wziąwszy pewną młódkę, do podobnych posług zaprawioną, wysłała ją wieczorem do oberży Andreuccia. Ta zastała go trafunkiem samego u bramy oberży i zaraz jęła rozpytywać, gdzie niejakiego Andreuccia spotkać może. Usłyszawszy, że on właśnie jest tym Andreucciem, odwiodła go na stronę i rzekła:

— Pewna piękna i szlachetna dama z tego miasta pragnęłaby, jeśli można, widzieć się z wami.

Andreuccio, poczytujący siebie za urodziwego młodzieńca, zaraz wystawił sobie, że dama musi być w nim zakochana, tak jakby piękniejszego odeń mężczyzny w całym Neapolu naówczas nie było, i odparł, że jest gotów; potem zapytał, gdzie i kiedy zobaczyć się z nią może.

— Jeśli tylko przyjść zechcecie, panie — odparła młódka — znajdziecie ją u siebie w domu.

Andreuccio podniósł się natychmiast i nikomu w oberży o zamyśle swoim nic nie powiedziawszy, rzekł:

— Idź naprzód, pójdę zaraz za tobą.

Filutka zaprowadziła go do domu, który znajdował się w dzielnicy miasta, zwanej Malpertuggio. Jak zacną była ta dzielnica, już sama nazwa wskazuje. Andreuccio, nic nie wiedząc ani nic nie podejrzewając, przeciwnie, wierząc, że do szlachetnej białogłowy się udaje, swobodnie wszedł do domu, poprzedzany przez służkę. Gdy wstępował na schody, dziewczyna zawołała na swoją panią, że Andreuccio przybył. Wówczas Andreuccio ujrzał ją, stojącą w oczekiwaniu na najwyższym stopniu schodów. Była jeszcze białogłową młodą, słusznego wzrostu, o pięknym obliczu, a przy tym obyczajnie i strojnie ubraną. Gdy się Andreuccio do niej zbliżył, zeszła o trzy stopnie mu naprzeciw z rozwartymi ramionami i obłapiwszy go za szyję trwała tak w milczeniu, jak gdyby zbytek czułości mowę jej odjął. Później ze łzami w oczach ucałowała go w czoło i rzekła głosem od szlochów przerywanym:

— Bądź pozdrowiony, Andreuccio, w moim domu!

Andreuccio, zdumiony tymi czułościami i całkiem osłupiały, odparł:

— Witam was, szlachetna damo.

Wówczas zalotnica schwyciła go za rękę, wprowadziła na górę do sali, a stamtąd, nic nie mówiąc, do swojej komnaty pachnącej różami, kwiatem pomarańczowym i innymi wonnościami. Andreuccio ujrzał drogocenne zasłanie łoża pod baldachimem, wiele wspaniałych strojów rozwieszonych na drążkach, wedle tamtejszego obyczaju, a takoż siła rozlicznych a bogatych sprzętów. Na ten widok Andreuccio uwierzył najmocniej, że z nader dostojną damą ma do czynienia. Usiedli pospołu na skrzyni stojącej w nogach jej łoża, a wówczas dama jęła mówić w te słowa:

— Jestem pewna, Andreuccio, że dziwią cię zarówno łzy moje, jak i pieszczoty, bowiem nie znasz mnie i zapewne nigdy o mnie nie słyszałeś. Aliści usłyszysz zaraz rzecz, która w jeszcze większe zadziwienie cię wprawi; wiedz bowiem, że jestem twoją siostrą. Bóg okazał mi wielką łaskę, pozwoliwszy mi ujrzeć przed zgonem jednego z moich braci (o jakże bym chciała wszystkich ich oglądać), dlatego też, kiedy mi umrzeć przyjdzie, będę umierała pełna pociechy. Ponieważ, jak mniemam, nic o tym wszystkim nie słyszałeś, tedy ci opowiem. Pietro, twój i mój rodzic, jak wiesz pewnie, długo w Palermo przebywał. Dla swojej dobroci i łaskawości cieszył się i cieszy jeszcze osobnymi względami wszystkich, którzy go znali. Z tych, co go kochali, moja matka, szlachetnego rodu niewiasta, podówczas będąca wdową, miłowała go najbardziej. Nie bacząc na strach przed ojcem swym i braćmi, a także na cześć swoją, w tak ścisłym związku z nim żyć poczęła, że ja na świat przyszłam i wyrosłam na taką, jaką mnie tu widzisz. Wkrótce potem Pietro musiał wyjechać z Sycylii i do Perugii się udać. Ostawił matkę moją i mnie,

małą dziewczynkę, i odtąd, jakem słyszała, nie dał najmniejszego znaku swojej pamięci o nas. Gdyby nie był moim ojcem, silnie bym mu naganiała tę niewdzięczność wobec mojej matki (nie mówiąc już o miłości, jaką był winien dla mnie żywić, jako dla swej córki, urodzonej przecie nie z jakiejś służebnicy albo gamratki!). Moja matka oddała mu samą siebie i wszystko, co posiadała, nie znając go nawet dostatecznie, wierną miłością jeno się powodując. Ale cóż? Dawne winy łatwiej jest naganiać niźli naprawiać. Rzecz się tak miała.

Ojciec pozostawił mnie w Palermo małym dziecięciem. Gdy wyrosłam już prawie na taką, jaką dzisiaj jestem, matka moja, kobieta bogata, wydała mnie za mąż za jednego mieszkańca Girgenti, zacnego człeka, z dobrego rodu idącego. Ów dla miłości do mnie i do mojej matki przeniósł się na stały pobyt do Palermo. Będąc zagorzałym gwelfem, wdał się w tajny spisek z naszym królem Karolem, aliści król Fryderyk, o wszystkim powiadomiony, zamysły ich udaremnił. Mąż mój musiał uciekać z Sycylii właśnie wówczas, gdy ja myślałam, że stanę się tak znaczną damą, jakiej nigdy na tej wyspie jeszcze nie było. Unieśliśmy z sobą tylko tę małą część mienia, jaką wziąć w drogę mogliśmy (małą, powiadam, w odniesieniu do tego, cośmy posiadali), i pozostawiwszy ziemie i pałace udaliśmy się tam, gdzie król Karol przebywał. Ów, wielce dla nas łaskawy, wynagrodził nas w części za straty, poniesione z przyczyny naszych dla niego usług. Dał nam we władanie ziemie i domy: teraz zasię opatruje ciągle we wszystko łaskawie mego męża, twego szwagra, jak to będziesz mógł sam obaczyć. Oto jak się znalazłam tutaj, gdzie dzięki łasce boskiej, a nie twojej woli, oglądać cię mogę, mój miły bracie!

Rzekłszy to, znów go obłapiła za szyję i rzewnie płacząc, pocałowała go w czoło.

Andreuccio, słysząc tę bajdę, tak misternie utkaną i opowiedzianą tak składnie (tej, co ją opowiadała, głos ani razu nie zadrżał i słowa jej w gardle nie uwięzły), przypomniał sobie, że w samej rzeczy ojciec jego długo w Palermo przebywał. Zresztą, według siebie sądząc, wiedział, że młodzi ludzie pochopni są do miłości, poruszony zasię będąc łzami, pocałunkami i oznakami wielkiej czułości, uwierzył, że wszystko to jest prawda, przeto odparł:

— Nie powinno się to wam wydawać niczym szczególnym, żem się tak zadziwił, bowiem ojciec mój, nie wiedzieć z jakiej przyczyny, nigdy o was ani o waszej matce nie wspominał, a jeśli i mówił, to do mnie te słowa nie doszły; w każdym razie nic o was nie wiedziałem, tak jakbyście wcale na świecie nie istnieli. Tym więcej się cieszę ze znalezienia siostry, im mniej się tego spodziewałem, tutaj, gdzie jestem tak samotny.

Każdemu człowiekowi, najwyższej nawet godności, sprawiłoby radość poznanie was, a co dopiero mnie, nędznemu kupcowi? Proszę was jeno, abyście mi zechcieli wyjaśnić, skąd dowiedzieliście się o moim pobycie w tym mieście.

— Powiadomiła mnie o tym dziś rano — odparła białogłowa — pewna uboga niewiasta, która często w domu moim przebywa. Mówi, że długo mieszkała pospołu z naszym rodzicem w Perugii i na Sycylii. Już bym była dawno pośpieszyła do was, gdyby nie wzgląd na to, że obyczajniej będzie gościć was w moim domu niźli was w zajeździe odwiedzać.

To rzekłszy, poczęła go wypytywać troskliwie o wszystkich jego krewniaków, wymieniając ich po imionach. Andreuccio na wszystko odpowiadał, utwierdzając się w wierze, w co niezbyt mu wierzyć należało. Ponieważ rozmowa się przeciągała, a żar doskwierał okrutnie, gospodyni kazała podać greckie wino i słodycze i poczęstowała nimi Andreuccia, który następnie do wyjścia się zbierał, bowiem już zbliżała się pora wieczerzy. Dama jednak przystać na jego odejście nie chciała; uczyniwszy pozór bardzo strapionej, objęła go i rzekła:

— Ach, ja nieszczęśliwa! Widzę teraz, jak mało dbasz o mnie. Nie myślisz wcale o tym, że znajdujesz się w przytomności swojej siostry, nigdy dotychczas niewidzianej, że jesteś tu w moim domu, gdzieś powinien był zaraz po przybyciu do miasta zajrzeć, a tylko śpieszysz się na wieczerzę do gospody. Będziesz jednak wieczerzał dzisiaj u mnie. Chocia męża mego nie ma w domu, co mi jest bardzo nie po myśli, przecież jako gospodyni będę cię umiała godnie przyjąć.

Andreuccio nie wiedząc, co odpowiedzieć, rzekł:

— Jesteście mi drodzy, tak jak tylko siostra drogą być mi może, jeśli jednak nie pójdę, postąpię nieobyczajnie wobec tych, co na mnie przez cały wieczór będą czekali za stołem.

— Ach, na miłość boską! — zawołała białogłowa — zali u mnie w domu nie ma nikogo, kogo bym mogła posłać z wieścią do gospody, aby nie czekali na was z wieczerzą? Lepiej by nawet było, gdybyście zaprosili swoich towarzyszy na wieczerzę do mnie, potem, gdybyście na noc odejść zapragnęli, mielibyście w powrotnej drodze kompanię.

Andreuccio odparł, że nie ma wielkiej ochoty widzieć się tego wieczora z towarzyszami, jednakoż jeżeli taka jest jej wola, to on jej posłuszny będzie. Wówczas dama udała, że wysyła umyślnego do gospody z wiadomością, aby na Andreuccia nie czekali za stołem. Po wielu gawędach zasiedli wreszcie do wieczerzy, z wyśmienitych

potraw złożonej. Gospodyni przeciągnęła chytrze tę ucztę aż do późnej nocy. Gdy wstali od stołu, Andreuccio chciał się oddalić, ale filutka rzekła, że nigdy na to nie przystanie.

— Neapol nie jest miastem stosownym do przechadzek nocnych, zwłaszcza zaś dla przybyszów.

I zapewniła go, że wysyłając wiadomość, by go nie czekano z wieczerzą, donieść kazała zarazem, iż na noc do gospody nie wróci.

Andreuccio, dając wiarę wszystkiemu i znajdując ukontentowanie w jej towarzystwie, przystał. Po wieczerzy znów długimi — nie bez powodu — rozmowami się zabawiali. Gdy już część nocy minęła, zostawiła Andreuccia w swojej komnacie, wraz z małym pacholęciem, które miało mu być pomocne, gdyby czegoś potrzebował, sama zasię ze swymi służebnicami udała się do innej. Żar był okrutny, dlatego też Andreuccio, pozostawszy sam, zdjął kaftan i spodnie i położył szaty na wezgłowiu swego łoża. Wkrótce poczuł przyrodzoną potrzebę uwolnienia żołądka od nadmiernego ciężaru; spytał zatem chłopca, gdzie by ją zaspokoić było można. Chłopiec pokazał mu drzwi znajdujące się w rogu komnaty i rzekł: »Idźcie tędy«. Andreuccio wszedł tam śmiało, lecz postawiwszy trafunkiem nogę na deskę, która z przeciwnej strony oderwana była od belki, zleciał z nią pospołu w dół. Bóg był mu na tyle miłościwy, że żadnych obrażeń przy upadku nie doznał, mimo że się z znacznej wysokości zwalił; ubabrał się za to cały nieczystościami, których to miejsce pełne było.

Dla lepszego rzeczy pojęcia opowiem szczegółowie, jak owo miejsce wyglądało. Zajmowało ono wąską przestrzeń między dwoma domami. Na dwóch belkach, łączących w górze jeden dom z drugim, ułożono kilka desek, a na nich umieszczono siedzenie. Andreuccio poleciał na dół z jedną z tych desek. Ocknąwszy się w jamie, srodze zmartwiony tym przytrafieniem, jął wołać na chłopca, aliści ów, usłyszawszy odgłos spadającego ciała, pobiegł zaraz opowiedzieć o wszystkim swojej pani. Ta wbiegła natychmiast do komnaty Andreuccia i jęła szukać szat. Znalazła je wraz z ukrytymi w nich pieniędzmi, które Andreuccio, nikomu nie dowierzając, zawsze jak głupiec, przy sobie nosił. Owładnąwszy skarbem, dla którego ona, mieszkanka Palermo, stała się siostrą Perugijczyka i tę pułapkę chytrą wymyśliła, nie dbała już o Andreuccia, jeno zamknęła co prędzej drzwi, przez które ów wyszedł przed chwilą.

Gdy chłopiec nie odpowiadał, Andreuccio jął głośniej wołać, ale wszystko było na próżno. Wtedy zbudziło się w nim podejrzenie i jął domyślać się zasadzki, niestety zbyt późno. Przeskoczył przez murek, oddzielający smrodliwą jamę od ulicy, i udał się wprost do bramy domu, którą doskonale rozpoznał. Długo tutaj wołał, stukał do drzwi

i łomotał na próżno. Wreszcie zapłakał, upewniwszy się o swym nieszczęściu, i jął mówić:

— O ja nieszczęśliwy, w tak krótkim przeciągu czasu straciłem pięćset florenów i siostrę!

Po wielu takich skargach znów zaczął do drzwi kołatać i krzyczeć; tak się przy tym tłukł, że ten hałas wielu sąsiadów przebudził i z łoża wywabił. Jedna ze służebnic damy, udając srodze zaspaną, ukazała się w oknie i rzekła:

— Kto tam do drzwi łomota?

— Zali mnie nie znasz — odparł — jestem Andreuccio, brat madonny Fiordaliso.

— Mój poczciwcze — rzekła służka — jeżeliś zbytnio wypił, idź się wyspać i wróć tutaj rano. Nie znam żadnego Andreuccia i nie rozumiem twoich bredni. Idź z Bogiem i pozwól nam spać spokojnie.

— Jak to? — odparł Andreuccio — nie rozumiesz, co mówię? Rozumiesz na pewno. Jeżeli jednak krewniacy z Sycylii są już tacy, że tak prędko o sobie zapominają, to oddaj mi przynajmniej moje szaty, które u was zostawiłem, a z radością odejdę.

Na to służebna zaśmiawszy się rzekła:

— Bredzisz widać coś przez sen, mój poczciwcze.

Powiedziawszy te słowa obróciła się i zatrzasnęła okno.

Wówczas Andreuccio, przekonany już całkiem o swojej szkodzie i prawie oszalały z rozpaczy, wpadł z gniewu w wściekłość i postanowił siłą odzyskać to, czego prośbami zdobyć nie mógł. Schwycił wielki kamień i jął nim walić w drzwi silniej niż przedtem. Mnodzy sąsiedzi, ze snu już przedtem wyrwani, pomyśleli, że to łże jakiś hultaj, co usadza się na biedną niewiastę; poruszeni do żywego wszczętym przez Andreuccia hałasem, ukazali się w oknach i na podobieństwo psów z jednej dzielnicy, szczekających na psa-przybłędę, krzyczeć jęli:

— Wstyd to i nieobyczajność o podobnej porze przychodzić do domu poczciwych białogłów i takie brednie pleść! Idź z Bogiem, poczciwcze, i pozwól nam spać. Jeżeli masz jakąś sprawę do tej damy, przyjdź jutro, a nocą tumultu nie wzniecaj!

Pewien miłośnik naszej filutki, w tym samym domu przebywający, ośmielony widać tymi słowami (Andreuccio ani go nie widział na oczy, ani o nim nie słyszał), pokazał się w oknie i grubym a dzikim głosem wrzasnął:

— Kto tam zacz?

Andreuccio podniósł głowę i o ile mógł dostrzec, ujrzał jakiegoś zbója z czarną, zmierzwioną brodą, zakrywającą mu pół oblicza. Ów wyglądał, jakby przed chwilą z łoża się podniósł; ziewał, niby z głębokiego snu wyrwany, i przecierał sobie ręką oczy.

Andreuccio rzekł z trwogą w głosie:

— Jestem bratem damy, która tutaj mieszka.

Tamten nie czekał, aż Andreuccio mówić skończy, i wykrzyknął sroższym jeszcze głosem:

— Nie wiem, wierę, co mnie wstrzymuje od tego, aby zejść na dół i wymierzyć ci tyle kijów, abyś więcej nie powstał. Idź precz, ośle naprzykrzony, pijaku, co nam w nocy spać nie pozwalasz!

To rzekłszy, cofnął się i okna z hukiem zatrzasnął.

Niektórzy z sąsiadów, lepiej znający naturę tego człowieka, jęli radzić Andreucciowi:

— Na miłość boską, oddal się, przyjacielu, a jeżeli nie chcesz, aby cię jeszcze tej nocy zabito, umykaj stąd, pókiś cały.

Andreuccio, przerażony głosem i widokiem grubianina, zachęcony radami, które jak mu się zdało, z dobroci serca płynęły, i zrozpaczony stratą pieniędzy, udał się w stronę gospody tą samą drogą, którą niedawno wiodła go służka, nieświadomego, dokąd idzie. Nie mogąc znieść fetoru, którym całe jego ciało tchnęło, zapragnął wykąpać się i wymyć w morzu, dlatego też obrócił się na lewo i puścił się po drodze, Ruga Catalana zwanej. Dochodząc do górnej dzielnicy miasta, ujrzał nagle dwóch ludzi, idących mu naprzeciw z latarnią. Andreuccio przeraził się na myśl, że są to może zbiry albo jacyś łotrzykowie, i chcąc spotkania z nimi uniknąć, ukrył się, nie mieszkając, w jakiejś opuszczonej ruderze, stojącej w pobliżu. Aliści nieznajomi weszli tam także po chwili, jakby umyślnie do tego miejsca dążyli. Jeden z nich zdjął z pleców jakieś żelazne narzędzia i jął je pospołu z towarzyszem uważnie oglądać, różne uwagi czyniąc. Nagle rzekł:

— Co to jest? Czuję zaduch tak obrzydliwy, jakiego w życiu nigdy nie zdarzyło mi się wąchać.

Rzekłszy to, podniósł nieco latarnię i ujrzał nieboraka Andreuccia.

— Kto tu? — zawołali zdumieni.

Andreuccio milczał; nieznajomi podeszli z latarnią i zapytali się go, co tu czyni, taki zacuchnięty.

Andreuccio opowiedział im wówczas szczerze, co z nim zaszło. Dwaj ludzie, odgadując, gdzie się podobna rzecz zdarzyć mogła, wymienili dom Karalucha-Podpalacza. Jeden z nich, zwróciwszy się do Andreuccia, rzekł:

— Chociaż straciłeś pieniądze, przyjacielu, winieneś błogosławić Boga za to, żeś wpadł w ową jamę i żeś nie mógł się dostać na powrót do tego domu. Bądź upewniony, że gdybyś nie spadł i zasnął w komnacie, zamordowano by cię bezlitośnie, tak iż razem z pieniędzmi i żywot byś utracił. Płacze i narzekania na nic się teraz nie zdadzą. Prędzej zdejmiesz gwiazdę z nieba, niźli pieniądze swoje otrzymasz. Jeśli piśniesz o tym choćby słowo, on cię zabić gotów.

Rzekłszy to, jęli się naradzać, a potem jeden z nich obrócił się do Andreuccia z tymi słowami:

— Mamy wiele litości dla cię. Jeśli zechcesz do nas przymknąć i pomóc nam w jednej robocie, to ci przyrzekniemy, że otrzymasz zdobycz, która pokryje z nawiązką twoje straty.

Andreuccio, obłąkany rozpaczą, odparł, że się zgadza. Owóż trzeba wiedzieć, że tego dnia pochowano neapolitańskiego arcybiskupa, zwanego Filippo Minutolo. Złożono go do grobu w wspaniałych szatach i z pierścieniem rubinowym na palcu. Kamień w pierścieniu wartał więcej niż pięćset złotych florenów. Zamiarem hultajów było ograbić trupa i wyjawili to Andreucciowi. Chciwość przemogła w Andreucciu rozsądek, tak iż udał się z nimi w drogę. Gdy szli do katedry, Andreuccio tak szkaradną woń z siebie wyziewał, że jeden z łotrzyków rzekł:

— Zaliżby nie można było obmyć go trochę, aby nie śmierdział tak okrutnie?

— Jesteśmy wszak blisko studni — odparł drugi — gdzie zwykle wisi powróz i znajduje się wiadro. Chodźmy tam i wymyjmy go co prędzej.

Doszedłszy do studni przekonali się, że powróz wisi, ale że wiadra nie ma ani śladu. Wówczas umyślili przewiązać go powrozem i spuścić do studni, aby się tam opłukał od stóp do głowy. Gdy już będzie czysty, pociągnie za powróz, a wówczas wydobędą go na wierzch. Tak też uczynili. Kiedy Andreuccio w studni siedział, zdarzyło się, że ludzie ze straży miejskiej podeszli do studni, aby wody zaczerpnąć. Widocznie goniąc za kimś albo na skutek upału poczuli pragnienie. Dwaj hultaje, obaczywszy ich, rzucili się do ucieczki i umknęli niepostrzeżenie. Andreuccio, siedzący w głębi studni i już obmyty, szarpał za sznur. Stróże porządku, nękani pragnieniem, złożywszy na ziemi broń swoją, tarcze i zwierzchnie szaty, jęli ciągnąć za powróz, przekonani, że u jego końca znajduje się wiadro pełne wody po brzegi. Andreuccio, znalazłszy się u wylotu cembrowiny, puścił sznur i schwycił się rękoma brzegu studni, ci zaś ujrzawszy go, zdjęci trwogą, rzucili powróz i zemknęli co tchu. Andreuccio zadziwił się srodze i tak osłupiał, że gdyby się nie był dobrze trzymał krawędzi, spadłby znowu niewątpliwie na dno i albo się zabił,

albo też poranił okrutnie. Stanąwszy na ziemi i znalazłszy broń, której jego towarzysze nie mieli, jeszcze więcej się zadziwił. Stał tak chwilę jak wryty, nie wiedząc, co ma myśleć; złorzeczył swemu losowi, wreszcie postanowił oddalić się z tego miejsca i pójść, gdzie go oczy poniosą. Wkrótce jednak spotkał znowu dwóch nieznajomych, którzy powracali, aby go ze studni wydobyć. Ujrzawszy go, jęli pytać ze zdziwieniem, kto go wyciągnął. Andreuccio odparł, że nie wie, i opowiedział im szczegółowie, jak się rzecz miała i co znalazł koło studni. Ci odgadli, jak było, i ze śmiechem wytłumaczyli mu, jacy to ludzie go wydobyli.

Nie tracąc słów po próżnicy, bowiem już północ się zbliżała, udali się do katedry. Wszedłszy cichaczem do wnętrza, podkradli się do marmurowego wielkiego grobowca i żelaznym łomem podnieśli ciężką płytę tak, że jeden człowiek mógł się przez szparę wcisnąć do środka. Gdy płytę podparli, jeden z nich spytał:

— Kto z nas wejdzie?

— Ja nie — odparł drugi.

— Ani ja — rzekł pierwszy — niech włazi Andreuccio!

— Za nic na świecie! — zawołał Andreuccio.

Wówczas dwaj łotrzykowie obrócili się doń z tymi słowy:

— Co? Powiadasz, że nie wejdziesz? Do krocset, jeżeli tego zaraz nie uczynisz, łupniemy cię przez łeb tym żelazem tak, iż na miejscu ducha wyzioniesz.

Andreuccio, zestraszony nie na żarty, spuścił się do grobowca, a schodząc pomyślał sobie: »Kazali mi wleźć do grobowca, aby mnie później na hak przywieść, bo gdy im całą zdobycz oddam i będę się z grobowca dobywał, uciekną i pozostawią mnie z kwitkiem«.

Dlatego też postanowił najpierw o sobie pomyśleć. Wspomniawszy o drogocennym pierścieniu, który jak mówili, znajdował się na palcu arcybiskupa, ściągnął go z trupa i na swój palec go nałożył. Później wziął pastorał, infułę, rękawiczki i szaty, tak iż zwłoki w jednej tylko koszuli pozostały, i wręczył to wszystko towarzyszom, oświadczając, że nic więcej nie znalazł. Ci, twierdząc, że powinien być jeszcze pierścień, nastawali na niego, aby dobrze szukał, lecz Andreuccio, udając, że szuka, przecie nic nie znajdował i trzymał ich przez pewien czas w niepewności. Łotrzykowie byli nie mniej chytrzy od Andreuccia — powtarzając mu, aby dobrze szukał, w odpowiedniej chwili wyjęli podporę spod płyty grobowca i uciekli. Andreuccio pozostał zamknięty w grobowcu. Łatwo sobie wystawić można, co czuć i myśleć musiał. Kilka razy próbował podnieść głaz barkami i głową, ale trudził się po próżnicy. Przenikniony boleścią niezmierną,

przytomność stracił i zwalił się na ciało arcybiskupa. Gdyby ich ktoś ujrzał w tej chwili, z trudem by odróżnił żywego od umarłego. Przyszedłszy do zmysłów, jął gorzko płakać, bowiem wiedział, że albo, jeśli nikt już grobowca nie otworzy, będzie tu musiał zginąć z głodu i z zaduchu, wśród robactwa rozkładającego się ciała, albo też, gdy go tu ktoś zdybie, zawiśnie jak złoczyńca na szubienicy. Ponurzony w takich rozpacznych myślach, usłyszał nagle w kościele kroki i rozmowę kilku osób, o których wniósł, że przyszli tutaj uczynić to, co on już z swymi towarzyszami uczynił. Strach jego wzrósł niepomiernie. Przybysze, otworzywszy grobowiec i płytę podparłszy, jęli się sprzeczać, kto pierwszy z nich wejdzie. Nikt się nie chciał zgodzić. Po długim sporze ksiądz, należący do bandy, rzekł:

— Czegóż się obawiacie? Zaliż sądzicie, że was umarły pokąsa? Trupy nie jadają ludzi; ja tam wlezę.

Rzekłszy te słowa, położył się na piersiach na skraju grobowca, głowę zwrócił na zewnątrz i spuścił już nogi, aby się do wnętrza dostać. Andreuccio podniósł się wówczas, chwycił księdza za jedną nogę, tak jakby go chciał na dół wciągnąć. Ksiądz poczuwszy dotknięcie wrzasnął strasznym głosem i jednym susem z grobowca wyskoczył. Pozostali jego towarzysze, zestrachani okrutnie, pognali, jakby ich sto tysięcy diabłów goniło, zostawiając grobowiec otwarty.

Andreuccio, wielce uradowany z tak niezwykłego obrotu sprawy, zaraz wylazł z grobowca i tą samą drogą, co wszedł, wyszedł z kościoła.

Już dzień świtać zaczynał; Andreuccio szedł z pierścieniem na palcu, gdzie go oczy poniosą, aż wreszcie stanął na brzegu morza i gospodę swoją odnalazł. Jego towarzysze i oberżysta całą noc czekali na niego, trwożąc się o jego losy.

Opowiedział im o swoich zdarzeniach i słuszną wydała im się rada oberżysty, aby natychmiast Neapol opuścił. Andreuccio tak też czym prędzej uczynił i wrócił do Perugii, całe swoje mienie umieściwszy nie w zakupionych koniach, lecz w pierścieniu".

Opowieść szósta. Znalezione dzieci

Pani Beritola, odnaleziona wraz z dwoma koźlętami na wyspie, straciwszy dwóch swoich synów, udaje się do Lunigiany. Jeden z jej synów wstępuje tam na służbę do jej pana i za miłość do jego córki zostaje wtrącony do więzienia. Sycylia buntuje się przeciwko królowi Karolowi. Syn, przez matkę poznany, żeni się z córką swego pana i odnajduje brata. Za czym powracają do dawnej świetności.

Damy i młodzieńcy wielce się śmieli z przypadków Andreuccia, opowiedzianych przez Fiammettę. Gdy opowieść skończona została, zgodnie z rozkazem królowej głos zabrała Emilia.

— Ważkie i przykre zdarzenia są spowodowane różnymi obrotami fortuny, o których nieraz mówimy, nie zaprzątając sobie jednak nimi zbytnio głowy. Umysły nasze łaskami fortuny letko usypiać się pozwalają. Pamiętać o tym winni zarówno szczęśliwi, jak i strapieni. Pierwszych uczyni ta pamięć przezornymi, drugich pocieszy. Chocia o tej materii wiele już rozprawiano, przecie chcę wam o tym jeszcze opowiedzieć nowelę, równie prawdziwą, jak i wzruszającą. Kończy się ona pomyślnie, jednakoż smutek i cierpienie były tak wielkie i długotrwałe, że nie wiem, czy późniejsza radość zatrzeć je zdołała.

„Musicie wiedzieć, miłe damy, że po śmierci Fryderyka II, cesarza, królem Sycylii ukoronowany został Manfred, przy którym wysoką godność piastował pewien szlachcic z Neapolu, Arrighettem Capece zwany. Miał on za żonę cną i urodziwą białogłowę, madonnę Beritolę Caracciola, również z Neapolu pochodzącą. Arrighetto był wielkorządcą wyspy. Ujrzawszy, że król Karol zwyciężył pod Benewentem Manfreda i życia go pozbawił, a całe państwo zhołdował, niezbyt dowierzał już krótkotrwałej wierności Sycylijczyków. Nie chcąc zasię przymknąć do wrogów swego pana, gotował się do ucieczki. Sycylijczycy dowiedzieli się o tym i nagle Arrighetto pospołu z wielu przyjaciółmi, sługami króla Manfreda, został jako jeniec wydany królowi Karolowi, któremu też wkrótce wydano całą Sycylię.

Madonna Beritola, nie wiedząc, co wśród losów przeciwności z Arrighettem stać się mogło, pełna trwogi na myśl o tych wypadkach, przy tym o cześć własną lękając się, ostawiła całą majętność i z ośmioletnim synaczkiem, Giusfredi, ciężarna i nieszczęściem złamana, siadła na korab i odpłynęła do Lipari. Tu wydała na świat drugiego synka, którego nazwała Scacciato. Przyjęła do niego mamkę i znów z wszystkimi pospołu na okręt wsiadła, aby dostać się do Neapolu, do swoich rodziców. Stało się jednak inaczej, niż myślała.

Galera, zmierzająca do Neapolu, siłą wichru zagnana została do wyspy Ponzo. Tam podróżni, ukrywszy się w morskiej buchcie, jęli czekać pomyślnej pogody. Beritola, wysiadłszy pospołu z innymi na ląd, znalazła odosobnione miejsce, gdzie mogła w samotności pofolgować łzom swym i żalom po stracie Arrighetta. Każdego dnia tak czyniła, ponurzona w ostatniej rozpaczy; tymczasem pewnego poranku podpłynęła niepostrzeżenie do korabia galera korsarska i wszystkich pochwyciła w niewolę.

Beritola po całodziennych rozmyślaniach wróciła jak zwykle na brzeg, aby ujrzeć swoje dzieci, aliści nikogo nie znalazła. Z początku wielce się zadziwiła, później domyśliwszy się, co się stać mogło, wpiła wzrok w dal morską i ujrzała niedaleko jeszcze galerę ciągnącą za sobą korab. Wówczas pojęła, że w ślad za mężem i dzieci swoje straciła. Samotna, biedna, przez wszystkich opuszczona, nie wiedząc, czy kogoś ze swoich kiedykolwiek jeszcze obaczy, upadła na piasek i przyzywała żałosnym głosem męża i synaczków. Nie było nikogo, co by zimną wodą albo innym jakimś sposobem do utraconych zmysłów ją przywiódł. Duch jej mógł się nosić na swobodzie, gdzie chciał. Gdy utracona świadomość wraz ze łzami i skargami do słabego ciała wróciła, jęła znów wołać na swoje dzieci, zaglądając do każdej pieczary. Ujrzawszy, że trudy jej są daremne i że noc się zbliża, pomyślała o sobie i wróciła znad brzegu do jaskini, gdzie zwykle miała obyczaj płakać i żalić się. Minęła noc, pełna troski i śmiertelnej trwogi, nowy dzień nastąpił: była czwarta godzina nad ranem. Beritola, która poprzedniego wieczora nic w ustach nie miała, głodem nękana, jęła jeść korzonki. Nasyciwszy się, jak mogła, oddała się, gorzko płacząc, rozmyślaniom nad okropną przyszłością swoją. Gdy się tak żaliła, spostrzegła nagle łanię wchodzącą do sąsiedniej pieczary. Po chwili łania wyszła i powróciła do lasu. Beritola weszła do pieczary i ujrzała tam dwa koźlątka, tego samego dnia, widać, urodzone. Widok ten był jej milszy i piękniejszy nad wszystko w świecie. Miała jeszcze mleko w piersiach po niedawnym rodzeniu, wzięła zatem koźlęta łagodnie na ręce i do piersi swych je przystawiła. Zwierzątka nie wzgardziły ofiarą i ssały Beritolę, niby własną matkę. Od tej pory nie odróżniały już Beritoli od łani. Stroskanej białogłowie zdało się, że znalazła sobie towarzystwo na tej pustyni. Jadła korzonki, piła wodę i płakała gorzko, ilekroć wspomniała przeszłe swoje życie, synaczków i męża. Postanowiła tu żyć i umierać; z łanią oraz z jej dziećmi wielce się zaprzyjaźniła. Żyjąc tą modłą, Beritola całkiem zdziczała. Po kilku miesiącach zdarzyło się, że do tego samego miejsca na wyspie, gdzie i ona wylądowała, przypłynął okręt pizański, który przez kilka dni stał na kotwicy. Na okręcie tym znajdował się szlachcic pewien, zwany Currado, z markizów Malespini ród swój wiodący, wraz ze swą dzielną i cnotliwą żoną.

Wracali z pielgrzymki do miejsc świętych, które w królestwie Apulii się znajdują. Markiz, chcąc melankolię swoją rozproszyć, udał się pewnego dnia w głąb wyspy wraz z swoją żoną, sługami i psami. Opodal miejsca, gdzie znajdowała się Beritola, psy Currada zwęszyły dwa koźlątka, które, podrósłszy już, na trawie się pasły. Koźlątka, uciekając przed psami, nie szukały schronienia gdzie indziej, tylko w grocie, w której Beritola miała mieszkanie. Na ów widok Beritola podniosła się, schwyciła kij i

przegnała psy. Currado i jego żona, idący za psami, zbliżyli się i ujrzeli chudą, poczerniałą i włochatą białogłowę. Wielce się zdziwili, ona zasię jeszcze bardziej od nich. Gdy na jej prośbę Currado psy odwołał, wszyscy zaczęli ją błagać, aby powiedziała im, kim jest i co tutaj porabia. Beritola, nic wówczas nie zatajając, oznajmiła im imię swoje i opowiedziała o swych nieszczęsnych przypadkach, a takoż o twardym zamyśle pozostania tutaj na zawsze. Currado, który dobrze znał Arrighetta Capece, usłyszawszy to, zapłakał z litości i trafnymi słowy starał się ją odwrócić od okrutnego zamysłu; przyrzekał, że ją do jej domu odwiezie albo też w swoim domu zatrzyma, gdzie powszechną czcią, niby jego siostra rodzona, cieszyć się będzie, aż do czasu, gdy Bóg lepszej jej nie ześle doli. Beritola przystać na to nie chciała. Currado pozostawił przy niej swoją żonę i rzekł odchodząc, by żywność tu przynieść kazała i dała Beritoli jedną z swoich sukien, a później czyniła wszystko, by przywieźć ją z sobą. Markiza długo wraz z Beritolą nieszczęście jej opłakiwała. Gdy przyniesiono żywność i suknię, z wielkim trudem tego dopięła, że Beritola odziała się i kęs strawy zjadła. W końcu, po wielu prośbach i przełożeniach, Beritola oznajmiła, że nigdy nie powróci tam, gdzie ją przedtem znali. Markiza wymogła przeto na niej obietnicę udania się z nimi do Lunigiany wraz z koźlętami i łanią, która właśnie powróciła do legowiska i ku zdumieniu markizy tysiące przymilań Beritoli czyniła. Gdy powiał wiatr pomyślny, Beritola, Currado i jego żona wsiedli na okręt, zabierając z sobą łanię i koźlęta (od których Beritola nazwana została Cavriuolą, aby nie wszyscy jej prawdziwe imię znali). Żegluga odbyła się pomyślnie, tak iż wkrótce przybyli do ujścia Magry, a tam wylądowawszy udali się do zamku markiza. Tutaj żona Currada dała Beritoli wdowie szaty. Beritola, jako dama dworu markizy, żyła odtąd skromnie, cnotliwie i cicho, troskliwą opieką otaczając łanię i nie zapominając o paszy dla zwierząt.

Korsarze, owładnąwszy w Ponzo okrętem, który Beritolę przywiózł, nie spostrzegli jej na wyspie i odpłynęli z jeńcami do Genui, gdzie podzielili się łupem. Mamka i dwoje dzieci przypadły w udziale niejakiemu Guasparrino d'Oria.

Odesłał on jeńców do swego domu, przeznaczając ich do różnych niskich posług. Mamka, zrozpaczona stratą swojej pani, przeklinała okrutny los swój i los dzieci, nie przestając głośno szlochać. Wkrótce obaczyła jednak, że łzy nic nie pomogą i że pospołu z dziećmi służyć musi. Chocia była biedną białogłową, przecie na bystrym rozumie jej nie zbywało. Skrzepiła, jak mogła, swoje upadłe siły, a później rozejrzawszy się wokół i uznawszy, dokąd przybyli, do tej myśli przyszła, że jeśli pochodzenie dzieci się odkryje, wyniknąć stąd mogą dla nich znaczne niebezpieczeństwa. Żywiła przy tym nadzieję, że

los ich się odmieni i że jeśli tylko przy życiu pozostaną, to do stanu sobie właściwego powrócą; dlatego też postanowiła przed nikim nie zdradzać nazwiska ich i rodu, aż do chwili gdy czas stosowny przyjdzie. Gdy się ktoś o nie pytał, odpowiadała, że to jej dzieci. Starszego chłopca zwała odtąd nie Giusfredi, lecz Giannotto di Procida, młodszemu imienia nie odmieniła. Z wielką pilnością wyjaśniła Giusfrediemu powody, które ją do przezwania go tak skłoniły, i wystawiła mu niebezpieczeństwo, na jakie by się naraził, dając się poznać — powtarzała mu to zaś siła razy. Dzieciuk, rozumny nad podziw, postępował zgodnie z przestrogą. Dwaj chłopcy, nędznie odziani i jeszcze gorzej obuci, do wszelkich niskich posług używani, cierpliwie żyli pospołu z mamką przez wiele lat w domu pana Guasparrina. Giannotto już szesnasty rok życia ukończył; mając duszę szlachetniejszą, niż na niewolnika przystało, buntował się przeciwko swemu podłemu stanowi. Pewnego dnia wsiadł na galerę, która do Aleksandrii zmierzała, i w ten sposób porzucił służbę u Guasparrina. Wiele krajów zwędrował, aliści na wierzch wypłynąć nijak nie mógł. Po trzech czy czterech latach, które upłynęły od ucieczki z domu Guasparrina, Giusfredi, będący już urodziwym, słusznego wzrostu młodzieńcem, usłyszał nagle, że rodzic jego, którego miał już za umarłego, żyje, znachodząc się w więzieniu, jak niewolnik strzeżony przez króla Karola. Straciwszy wszelką nadzieję, jął się błąkać po świecie, aż wreszcie przybył do Lunigiany, gdzie losu zrządzeniem służby swoje ofiarował Curradowi Malespina, spełniając je ku wielkiemu jego ukontentowaniu. Gdy więc Giannotto na służbie u markiza pozostawał, zdarzyło się, że córka Currada, zwana Spina, ostawszy wdową po niejakim Niccolo da Grignano, do domu swoich rodziców powróciła. Spina była nader urodziwa i młoda, gdyż zaledwie szesnasty rok jej minął. Gdy jej wzrok padł na Giannotta, a wzrok Giannotta na nią, oboje wielką miłością do siebie zapłonęli. Miłość ta niedługo bez zwykłych sobie skutków pozostawała, chocia przez kilka miesięcy nikt niczego się nie domyślał. Jednakoż kochankowie, poczuwszy się przez to bezpiecznymi, jęli poczynać sobie mniej ostrożnie, niżby w takich okolicznościach należało.

Przechadzając się pewnego dnia po pięknym gaju, pełnym drzew cienistych, Spina wraz z Giannottem oddzieliła się od towarzystwa i w gąszcz się zaszyła. Sądząc się być dosyć oddalonymi od ludzi, usiedli w ustroniu, pełnym kwiatów i ziół i otoczonym drzewami. Tam, radościom wzajemnej miłości folgując, dłuższy czas spędzili, który przez rozkosz odczuwaną jednej chwili mgnieniem im się zdawał, aż ich zaszła matka Spiny, a za nią w ślad i Currado.

Ów, pełen rozpaczy i gniewu, kazał ich bez słów trzem swoim sługom pojmać i odprowadzić w dybach do jednego z swoich zamków, sam zasię, drżąc z wściekłości, oddalił się z zamysłem skazania ich na śmierć niesławną.

Matka Spiny, chociaż równie poburzona i przekonana, że córka jej twardej kary jest godna, poznawszy ze słów Currada, z jakim zamiarem w stosunku do winowajców się nosi, przenieść tego po sobie nie mogła. Pośpieszyła zatem do rozgniewanego męża i jęła go błagać, aby zapamiętałości unieść się nie dozwalał i nie starał się tak pochopnie stać się pod starość zabójcą swojej córki, brukając zarazem ręce krwią swego sługi. Znajdzie się przecie inny sposób, aby gniew jego słuszny zaspokoić; można wszak wtrącić ich do więzienia, gdzie będą cierpieli, opłakując grzech popełniony.

Zacna białogłowa tak długo mężowi to przekładała, aż wreszcie odwróciła go od zamysłu zabicia ich. Currado rozkazał, aby więziono ich oddzielnie i pilnie strzeżono. Mieli przy tym mało strawy otrzymywać i różnym prywacjom podlegać, aż do czasu, gdy Currado coś o ich dalszych losach postanowi. Tak się też stało. Nietrudno sobie wystawić, jak im musiało płynąć życie wśród łez, niewczasów i nieskończonego postu, którego potrzeby nie uczuwali. Giannotto i Spina cały rok wśród takich mizeryj spędzili, a Currado ani razu nawet o nich nie wspomniał. W tym czasie zdarzyło się, że król Piotr Aragoński pospołu z Gianem di Procida całą Sycylię poburzył i królowi Karolowi ją wydarł. Currado, jako gibelin, wielce się z tego radował.

Giannotto, usłyszawszy o tym od jednego ze straży, westchnął głęboko i rzekł:

— O, ja nieszczęśliwy! Już od czternastu lat błąkam się po świecie i srogą biedę cierpię, niczego tak nie oczekując, jak tej chwili, która teraz nastąpiła. I cóż mi po niej, skoro już żadnej nadziei żywić nie mogę; jestem w więzieniu, skąd zapewne nie wyjdę żywym.

— Zaliż — zapytał strażnik — dotyczyć ciebie może, co wielcy królowie czynią? Cóż byś ty robił na Sycylii?

— Zdawa mi się — odparł Giannotto — że serce mi pęka, ilekroć pomyślę, kim tam był niegdyś mój rodzic. Chocia byłem dzieckiem wówczas, gdyśmy ucieczką się salwowali, przecie pamiętam, że za życia króla Manfreda ojciec mój wielki urząd sprawował.

— Kim był twój ojciec? — zapytał strażnik.

— Kim rodzic mój — odparł Giannotto — mogę już teraz jawnie to wyznać, popadłem już bowiem w to niebezpieczeństwo, którego lękałem się, gdybym był się zdradził. Zwał się on (i zwie się, jeśli jest jeszcze przy życiu) Arrighetto Capece, ja zasię jestem nie

Giannottem, jeno Giusfredim. Nie wątpię, że gdyby mnie z więzienia wypuszczono i gdybym na Sycylię się udał, na jakiś urząd znamienity zostałbym tam zaraz wysadzony.

Strażnik, o nic więcej się już nie rozpytując, doniósł o wszystkim Curradowi. Currado, chocia udał, że go nic losy więźnia nie obchodzą, przecie pośpieszył do Beritoli i zapytał ją, zali miała z Arrighettem syna, imieniem Giusfredi? Beritola odparła z płaczem, że jeśliby starszy z jej synów przy życiu się znajdował, zwałby się Giusfredi i miałby teraz dwadzieścia dwa lata.

Currado, usłyszawszy o tym, upewnił się, że więzień jest prawowitym Giusfredim, i rozważył, że skoro tak jest, może spełnić czyn wielkiego miłosierdzia, a zarazem zmazać plamę na czci swojej córki, dając ją w stadło Giannottowi. Dlatego też kazał go tajnie do siebie przywołać i szczegółowie wypytywać się go począł o całą przeszłość jego. Mając już dostateczne dowody, rzekł:

— Wiesz, Giannotto, jak ciężką zniewagę mi uczyniłeś przez osławę córki mojej. Odnosiłem się do ciebie zawsze łaskawie i przyjaźnie, ty zasię, jak na sługę poczciwego przystało, winieneś był czci mojej i mego dobra strzec. Zaiste, wielu ludzi, gdybyś im podobne plugastwo wyrządził, na śmierć niesławną by cię skazało, ja jednakże, mając serce litosne, nie byłem zdolny uczynić tego. Otóż, ponieważ jesteś, jak twierdzisz, synem szlachetnych rodziców, pragnę utrapieniom twoim koniec położyć i jeśli ty też tego zechcesz, wydobyć cię z opresyj, wśród których pozostajesz, i w jednym oka mgnieniu sobie i tobie honor powrócić. Spina, z którą niegodny jej ani ciebie związek miłosny cię łączył, jest wdową, mającą uczciwe wiano. Jakie są jej obyczaje i kto jest jej matką i ojcem, sam wiesz najlepiej. O twoim dzisiejszym stanie nie rzeknę nic. Jeśli zatem chcesz, Spina, która twoją miłośnicą była, stanie się twoją prawą małżonką, a ty pozostaniesz przy mnie, niby mój syn rodzony.

Siły Giannotta długie więzienie bardzo nadwątliło, aliści duch jego, od urodzenia szlachetny, wcale nie osłabł, tak jak i gorąca miłość, którą dla córki markiza żywił. Chociaż z całej duszy pragnął tego, co mu Currado ofiarował, i widział, że jest w jego ręku, przecie ani na krok nie cofnął się przed wypowiedzeniem tego, co wielkość jego ducha powiedzieć mu kazała.

— Currado — rzekł — ani chciwość władzy i pieniędzy, ani inna jakaś przyczyna nie skłoni mnie nigdy do tego, abym na życie i mienie twoje dybał zdradziecko. Pokochałem twoją córkę, kocham ją i zawsze ją miłować będę, bowiem poczytuję ją za godną miłości mojej. Jeśli, wedle pospolitego mniemania, niezbyt przystojnie sobie z nią poczynałem, to popełniłem jeno grzech, który zwykle z młodością chadza w parze, tak iż aby go

wykorzenić, trzeba by i młodość ze świata zgładzić. Gdyby ludzie sędziwi zechcieli przypomnieć sobie, że i oni niegdyś młodymi byli, i gdyby cudze błędy swoimi mierzyli, nie byliby tak surowi i twardzi jak ty i inni. Popełniłem ten występek nie jako wróg, lecz jako przyjaciel. To, co mi teraz ofiarowujesz, zawsze było moim pragnieniem. Jeślibym na szczęśliwy skutek mych starań mógł liczyć, już dawno o rękę Spiny bym cię prosił. Szczęście jest mi dzisiaj tym droższe, im się mniej go spodziewałem. Jeśli jednak w duszy masz co innego, niż to w słowach okazujesz, proszę, nie oszukuj mnie nadzieją kłamliwą, pozwól mi wrócić do więzienia i rób tam ze mną, co chcesz. Tak miłuję Spinę, że przez miłość dla niej i ciebie miłować będę, a choćbyś mi największe katusze zadał, zawsze cię będę miał w zachowaniu i czci.

Currado, usłyszawszy te słowa, zadziwił się wielce, poznał godność i wielkoduszność młodzieńca, przekonał się o jego gorącej miłości do Spiny, tym bardziej więc go sobie upodobał. Zatem wstał, schwycił go w objęcia, ucałował i nie mieszkając rozkazał przywołać Spinę. I ona w więzieniu wielce się zmieniła: wychudła, pobladła i opadła z sił tak, iż równie jak i Giannotto innym człowiekiem być się zdawała. W przytomności Currada, z nieprzymuszonej woli zaręczyli się z sobą wedle miejscowego obyczaju. Potem w ciągu kilku dni, gdy jeszcze nikt o niczym nie wiedział, Currado rozkazał posyłać oblubieńcom wszystko, czego by potrzebowali lub co by im przyjemność sprawić mogło. Gdy zaś mu się zdawało, że nadeszła pora, aby i matkom pociechę sprawić, przyzwał do się żonę i Cavriuolę i z takimi słowy do nich się obrócił:

— Co byście rzekli, pani, gdybym wam powrócił starszego syna waszego, już jako męża jednej z moich córek?

Na to Cavriuola odparła:

— Mogłabym wam tylko rzec, że wdzięczna bym wam była przez całe życie jeszcze bardziej, niż jestem, jeśli to możliwe. Powrócilibyście mi to, co mi jest droższe nad życie własne, i moje zgasłe nadzieje na nowo ożywili.

Tu umilkła i zapłakała. Wówczas Currado do swojej żony się obrócił:

— Cóż byś rzekła, gdybym takim zięciem cię obdarzył?

— Nie tylko mąż z tak szlachetnego rodu — odparła markiza — ale i najniższej kondycji miłym mi będzie, jeżeli tylko tobie do serca przypadnie.

— Tedy — rzekł Currado — wkrótce wam wielką radość sprawię.

Stwierdziwszy, że młodzi odzyskali już dawny wygląd, Currado zapytał Giusfrediego:

— Nieprawdaż, że do zupełnej szczęśliwości tylko ci matki twojej brakuje?

— Niestety — odparł Giusfredi — nie wierzę, żeby srogiego losu dopusty do grobu wtrącić jej nie miały. Gdyby jednak przy życiu się znajdowała, byłbym nad wyraz szczęśliwy. Dzięki jej radom odzyskałbym też, jak sądzę, część znaczną moich majętności na Sycylii.

Wówczas Currado obie białogłowy przywołał. Niemało też uradowały się na widok oblubienicy i nie mogły pojąć, jaki to dobry duch Currada do takiej łaskawości przywiódł, że zezwolił on na stadło córki z Giannottem.

Tymczasem Beritola, mając w pamięci słowa Currada, jęła się baczniej młodzieńcowi przyglądać. Jakaś tajemnicza siła ożywiła w jej pamięci dziecinne rysy jej syna. Nie czekając na inne dowody, rzuciła się w ramiona Giusfrediego. Zbytek radości i czułości matczynej jednego słowa przemówić jej nie dozwolił, tak ją przy tym siły opuściły, że prawie jak martwa w ramionach syna leżała. Chociaż Giusfredi był całkiem osłupiały, przecie przypomniał sobie, że nieraz tę białogłowę w zamku widywał, nie poznając jej wcale. Ale głos krwi niezwłocznie dał mu poznać matkę i teraz wyrzucał sobie to zaniedbanie, trzymając ją zapłakaną w ramionach i całując gorąco jej ręce.

Gdy już Beritola, dzięki staraniom markizy i Spiny, które wodą jej twarz orzeźwiły, innych nie szczędząc zabiegów, do utraconych zmysłów przyszła, znowu schwyciła syna w ramiona, płacząc z radości i pieszczone słowa szepcąc. Pełna macierzyńskiej czułości, całowała go bez końca, a on pieszczotom tym się poddając patrzył na nią uszczęśliwiony. Powtórzyły się kilkakrotnie te uniesienia powitalne, a wszyscy przytomni, widząc to, wielką radość odnieśli.

Gdy syn i matka już sobie nawzajem o swoich przypadkach opowiedzieli, Currado oznajmił przyjaciołom o małżeństwie swojej córki i rozkazał przygotować wszystko do świetnej uczty.

— Currado — rzekł doń Giusfredi — wiele radości mi przysporzyliście i przez długi czas matkę moją mieliście w czci należnej: abyście zaś teraz nie poniechali niczego, co w waszej mocy leży, proszę was, uradujcie matkę moją i uświetnijcie uroczystość weselną przytomnością brata mego, którego jako sługę niejaki Guasparrin d'Oria w domu swoim trzyma. Ów, jak wam już nadmieniałem, mnie i jego na morzu uprowadził. Krom tego poślijcie kogoś na Sycylię, aby dowiedział się, co dzieje się w tym kraju, i zasięgnął języka o moim rodzicu Arrighetto: żyw on li czy też martwy, a jeśli żyw, to w jakim znajduje się stanie?

Ta prośba Giusfrediego wielce do serca Curradowi przypadła; nie mieszkając wyprawił kilku rozumnych ludzi do Genui i na Sycylię. Ten, co do Genui się udał,

odnalazłszy Guasparrina, jął go prosić w imieniu Currada, aby mu wydał Scacciata i jego mamkę. Opowiedział mu zarazem szczegółowie o wszystkim, co Currado w stosunku do Giusfrediego i jego matki uczynił. Messer Guasparrin, to usłyszawszy, wielce się zadziwił i rzekł:

— Dla zadowolenia Currada gotów jestem uczynić wszystko, co mogę. W samej rzeczy w domu moim już od czternastu lat żyje chłopiec, o którym mówicie, a takoż jego mamka. Ochotnie odeślę ich Curradowi. Powiedzcie jednak swemu panu, żeby miał się na baczności i nie dawał wiary baśniom Giannotta, który twierdził, że się zwie Giusfredi. Jest to bowiem większy frant, niżby ktokolwiek myślał.

To rzekłszy, godnie przyjął wysłańca, a potem kazał przyzwać tajnie mamkę i o wszystko ją się wypytał. Mamka usłyszawszy, że na Sycylii wybuchło powstanie i że Arrighetto żyje, pozbyła się wszelkiej trwogi i opowiedziała mu po kolei wszystko, wyjaśniając zarazem przyczyny, dla których w ten, a nie inny sposób sobie poczynała.

Messer Guasparrin poznawszy, że słowa mamki zgadzają się całkiem ze słowami wysłańca, począł niejaką wiarę do wszystkiego tego przykładać, jednakoż, jako człek wielce chytry, na wszelkie sposoby wypytał jeszcze o rozliczne szczegóły. Wszystko wszakże coraz bardziej prawdę tej historii potwierdzało. Wówczas, zawstydziwszy się swego złego obchodzenia się z chłopcem, w nagrodę dał mu za żonę jedną z pięknych córek swoich i obdarzył ją znacznym wianem, wiedział bowiem, kim był i jest Arrighetto. Dzieweczce dopiero jedenasty rok życia minął. Po świetnej uroczystości on sam z młodzieńcem, córką, mamką i wysłańcem Currada wsiadł na niewielką, lecz zbrojną galerę. Popłynęli do Lerici, gdzie ich Currado przyjął. Później udali się do jego pobliskiego zamku, gdzie wspaniała uczta już na nich czekała. Nie można słowami wyrazić, jaka była radość matki oglądającej swego syna, szczęście obu braci i mamki, ich wesele na widok Guasparrina i jego córki, a takoż uciecha Guasparrina z ich przytomności oraz powszechna szczęśliwość wszystkich pospołu z Curradem, jego żoną, synami i przyjaciółmi.

Dla dopełnienia tej radości podobało się jeszcze Bogu, hojnemu i szczodremu dawcy, przesłać im radosne wieści o pomyślnym stanie Arrighetta Capece. W czasie uczty, gdy liczni zaproszeni goście dopiero pierwszą potrawę spożywali, zjawił się poseł przybywający z Sycylii i oznajmił, że Arrighetto, do więzienia przez króla Karola wtrącony, uwolniony został przez lud, który po wybuchu powstania na wyspie rzucił się na więzienia, wyciął w pień straż i obwołał Arrighetta, jako głównego wroga króla Karola, swoim wodzem. Pod jego rozkazami wyrżnięto i przegnano Francuzów. Za ten

czyn król Piotr do największej swej łaski Arrighetta przypuścił, powracając mu wszystkie utracone dobra, tak iż nie zbywa mu na niczym. Posłaniec dodał, że Arrighetto przyjął go godnie i że wielce się uradował z wieści o żonie i synach, o których nie wiedział nic od czasu swego uwięzienia; wysłał takoż w ślad za nim fregatę z gronem dworzan, którzy wkrótce tu przybędą. Słów wysłańca z wielką radością wysłuchano. Potem Currado w otoczeniu swych ludzi ruszył na spotkanie dworzan, posłanych po Beritolę i Giusfrediego, i przywiódł ich na ucztę, której jeszcze do końca daleko było. Beritola, Giusfredi i wszyscy pozostali przyjęli ich z taką radością, o jakiej dotychczas na świecie nie słyszano. Dworzanie, zanim za stołem zasiedli, pokłonili się Curradowi i jego małżonce i w najgorętszych słowach, w imieniu Arrighetta, za pomoc okazaną Beritoli i jego synowi dank mu złożyli, wraz z zapewnieniem wszelkich służb swego pana. Później obróciwszy się do Guasparrina (dla którego było to niespodzianą łaskawością), rzekli, iż są upewnieni, że skoro Arrighetto uzna o dobrodziejstwie okazanym Scacciatowi, to odpowie mu równym albo i większym jeszcze dobrodziejstwem. Potem jęli wesoło ucztować, wznosząc okrzyki na cześć dwu par nowo poślubionych. Currado jeszcze przez wiele dni zięcia swego, krewniaków i przyjaciół gościł. Wreszcie Beritola, Giusfredi i inni postanowili odjechać. Żegnani łzami Currada i jego małżonki a takoż Guasparrina, wsiedli na fregatę pospołu ze Spiną. Mając wiatr pomyślny, wkrótce do brzegów Sycylii przybyli, gdzie Arrighetto z taką świetnością powitał w Palermo i synów, i niewiasty, że tego wysłowić nie lza. Jak powiadają, długo jeszcze żyli wszyscy szczęśliwie, przyjaźnie, pomnąc o Bogu, który im tyle dobrodziejstw wyświadczył".

Opowieść siódma. Alatiel, narzeczona króla Algarbii

Babiloński sułtan oddaje w zamęście córkę królowi Algarbii. Wskutek różnych przypadków, w ciągu czterech lat przechodzi ona w różnych miejscach przez ręce dziewięciu mężczyzn. W końcu, zwrócona ojcu jako dziewica, znowu posłana zostaje królowi Algarbii, aby się stać jego żoną.

Gdyby opowieść Emilii była się jeszcze nieco przeciągnęła, litość, jaką młode damy dla nieszczęść Beritoli odczuwały, ani chybi, zapłakać by im kazała. Gdy jednak opowieść do kresu dowiedziona została, królowa wyraziła życzenie, aby Panfilo dalej opowiadał. Panfilo tedy posłusznie zaczął w te słowa:

— Trudno odgadnąć, miłe damy, co nam pożytek przynosi. Wielu mniema, że wzbogaciwszy się mogliby żyć bez trosk i w szczęśliwości, dlatego też nie tylko proszą o to Boga w modlitwach, ale i uporczywie, trudów i wysiłków nie szczędząc, bogactwo to zdobyć się starają. Gdy jednak już cel swój osięgną, zaraz znajdują się ludzie, co z żądzy na wielkie dziedzictwo życia ich pozbawiają, które tak miłowali nawet wtedy, gdy nie byli jeszcze bogaci. Inni z podłego stanu idąc, przez tysiące niebezpieczeństw, krew braci i przyjaciół, na stopnie tronu się wznoszą, mniemając, że tam największa szczęśliwość stanie się ich udziałem. Jednakoż spostrzegają, że życie możnych tego świata pełne jest niezliczonych trosk i trwóg, a nieraz także dowodnie na sobie się upewniają, że z królewskiego pucharu truciznę wypić można. Siła było na świecie tych, co gorąco pragnęli mocy i piękności ciała swego albo marzyli o zwierzchnich życia ozdobach, a upewnili się, że ich pragnienia złe były, dopiero wówczas, gdy stały się one przyczyną ich zguby lub mizeryj wszelakich. Nie będę tu mówił szczegółowie o wszystkich ludzkich dążeniach, twierdzę jeno i za pewne to trzymam, że nie masz ani jednego, o którym by powiedzieć można, że jest ono bezpieczne od losów niestatku i że śmiertelni je wybrać powinni. Jeżeli chcemy trafnie postępować, musimy przyjmować i zachować to, co Bóg nam zsyła. Bóg jeden wie dobrze, czego nam trza, i On nam posłać to może. Gdy mężczyźni grzeszą pragnieniem owładnięcia wielu rzeczami, wy, białogłowy, grzeszycie przede wszystkim żądzą piękności. Nie wystarcza wam uroda, której natura wam udzieliła. Pragniecie ją jeszcze osobnymi kunszty podnosić.

Dlatego też chcę wam opowiedzieć o pewnej Saracence, która na swe nieszczęście wielką pięknością celowała. Dzięki tej urodzie przez cztery lata dziewięć razy na nowo wesele odprawiać musiała.

„W dawnych czasach sułtanem Babilonu był Beminedab, któremu jak najlepiej wszystko się wiodło. Miał on wiele dzieci, a pomiędzy nimi jedną córkę, zwaną Alatiel. Piękność jej, wedle słów każdego, co ją widział, zaćmiewała urodę wszystkich białogłów żyjących wówczas na świecie. W wojnie, jaką sułtan toczył z Arabami, którzy tłumnie napadli na niego, wielką pomoc okazał mu król Algarbii. Gdy ów w nagrodę za usługi swoje poprosił, aby sułtan dał mu Alatiel za żonę, Beminedab nie mógł mu tego odmówić. Wyprawił Alatiel do króla z odpowiednią świtą, z dam i mężów złożoną, z mnóstwem drogocennych sprzętów, na dobrze zbrojnym i we wszystko opatrzonym okręcie. Wprzód opiece boskiej ją polecił. Marynarze, widząc, że pogoda sprzyja, rozpięli żagle, opuścili port w Aleksandrii i przez kilka dni szczęśliwie płynęli. Minęli już Sardynię i sądzili się być bliskimi celu swej podróży, gdy nagle podniosły się

gwałtowne i przeciwne wiatry, które okrętem księżniczki tak miotać jęły, że wszyscy nadzieję ratunku stracili. Mimo to majtkowie, jako ludzie dzielni, walczyli bez przerwy z burzliwymi żywioły. Dwie doby wichry szalały, na trzecią noc rozpętała się okrutna burza. Załoga okrętu nie wiedziała, gdzie się teraz znajduje, i nie mogła tego określić ani przyrządami morskimi, ani wzrokiem. Niebo pokryło się czarnymi chmurami, niby mrokiem północnym. W pobliżu Majorki postrzegli, że okręt wody nabiera. Nie widząc już żadnego ratunku, każdy myślał tylko o sobie. Spuszczono na wodę łódź, mniemając, że większe ona bezpieczeństwo przedstawia niźli dziurawy okręt. Do łódki wsiedli dowódcy załogi. Ich śladem rzucili się hurmem i inni, a chocia ci, co przedtem miejsca zajęli, starali się ich odegnać nożami, przecież nikt na to nie zważał. Sądząc, że uchodzą przed śmiercią, ku niej właśnie śpieszyli. Łódź, nie mogąc wśród nawałnicy wytrzymać ciężaru tylu ludzi, poszła z wszystkimi na dno. Tymczasem okrętem dalej wichry miotały, choć był on ze wszech stron dziurawy i wody pełen. Na pokładzie znajdowała się tylko Alatiel z sługami swymi. Leżały one jak martwe, przejęte trwogą i od zmysłów odchodzące. Okręt rzucony został wreszcie przez bałwany na mieliznę przy brzegach Majorki. Zarył się w piasek z wściekłą siłą, na rzut kamieniem od brzegu. Bałwany biły oń przez noc całą, jednakoż z miejsca go już ruszyć nie mogły. Gdy dzień jasny nastał i burza ucichła, ledwie żywa Alatiel podniosła głowę i jęła słabym głosem sługi przyzywać. Na próżno jednak wołała, bowiem zbyt daleko były. Nie otrzymując żadnego responsu i nikogo nie widząc, z początku zadziwiła się, a potem okrutnie zestrachała. Dźwignęła się ostatkiem sił i ujrzała, że wszystkie jej towarzyszki nieruchomie na pokładzie leżą. To jedną, to drugą wstrząsała, aliści niewiele z nich się ocknęło; pozostałe umarły ze strachu lub też z okrutnych bólów żołądka. To jeszcze bardziej Alatiel zatrwożyło. Czując potrzebę rady, bowiem nie wiedziała całkiem, gdzie się znajduje, przez wszystkich opuszczona, jęła tak szarpać i wstrząsać pozostałe przy życiu służki swoje, że te wreszcie podniosły się na nogi. Alatiel usłyszała, że i one nie wiedzą, co się z mężczyznami stało, i ujrzawszy, że okręt pełen wody wrył się w ławicę piasku, wraz z nimi gorzko płakać jęła. Była już dziewiąta godzina rano, jednakoż na brzegu ani gdzie indziej nie pokazywał się nikt, w kim litość i chęć pomocy wzbudzić by mogły.

Około godziny dziesiątej przejeżdżał tamtędy trafunkiem, wracając z swojej majętności, pewien młody szlachcic, Pericone da Visalgo, w otoczeniu konnych sług swoich. Ów, ujrzawszy okręt, zaraz domyślił się, w czym rzecz, i kazał jednemu ze sług dostać się nań, a potem donieść, co się tam dzieje. Sługa z trudem przebrał się na okręt i znalazł na nim urodziwą dzieweczkę kryjącą się bojaźliwie wraz z nielicznymi

towarzyszkami u dzioba statku. Zaledwie wszedł na pokład, zaczęły go ze łzami o litość błagać, postrzegłszy jednak, że mowy ich nie pojmuje ani też one słów jego, starały się znakami wytłumaczyć mu nieszczęsne położenie swoje. Sługa, rozejrzawszy się dobrze we wszystkim, wrócił do Pericona z doniesieniem, co widział. Pericone rozkazał natychmiast sprowadzić na ląd niewiasty wraz ze wszystkim, co im jeszcze z drogocenniejszych rzeczy pozostało, i zabrał je z sobą do zamku. Tutaj białogłowy skrzepiły nieco swoje siły wczasem i jadłem. Pericone poznał z wspaniałych szat Alatiel i z objawów czci, z jaką się inne do niej zwracały, że musi to być dzieweczka znacznego rodu. Chocia Alatiel była blada i po przejściach na morzu wynędzniała, przecie rysy jej oblicza nad wszystko piękne mu się wydały. Postanowił tedy, nie myśląc wiele, że ją w stadło pojmie, jeżeli jeszcze męża nie ma, jeśli zasię ożenić się z nią nie będzie mógł, to ją swoją miłośnicą uczyni. Pericone był człowiekiem wielkiej postury i śmiałego wejrzenia. Po kilku dniach, w ciągu których ugaszczał troskliwie Alatiel, odzyskała ona całą świeżość swoją, tak iż nad podziw piękną mu się zdała. Pericone rozpaczał jeno, że się porozumieć z nią nie może, aby uznać, kim ona jest. Trawiony żądzą, spojrzeniami, znakami i osobliwą grzecznością starał się ją przywieść do tego, aby była powolna jego zachceniom. Ale wszystko na próżno. Alatiel nieprzystępna po dawnemu była, przez co chucie Pericone jeszcze bardziej rozgorzały. Alatiel spostrzegła to. Po kilku dniach pobytu na zamku domyśliła się już, że znajduje się między chrześcijanami, sądziła zatem, że niebezpiecznie by było odkryć godność swoją bez względu na to, w jakim jest miejscu. Zdawała sobie sprawę, że prędzej czy później będzie musiała ulec woli Pericona, który siłą albo miłością swego wreszcie dopnie. W wielkoduszności serca postanowiła walczyć przeciwko złym losom swoim. Towarzyszkom swoim, z których tylko trzy przy życiu pozostały, przykazała, aby nikomu nigdy nie wyjawiały, kim są, chyba że by znalazł się ktoś, od kogo nieoczekiwana pomoc przyjść by mogła. Zaklęła je, aby strzegły swego dziewictwa, przydając, że z jej wdzięków cieszyć się będzie jeno jej prawy małżonek. Towarzyszki pochwaliły jej cnotliwy zamiar i obiecały, że ze wszystkich sił starać się będą o wypełnienie jej rozkazów.

Pericone tym większą chucią z dnia na dzień gorzał, im bliżej widział przedmiot swoich pragnień, których nasycić nie mógł. Widząc, że zachody ani prośby nic nie wskórają, postanowił użyć chytrego podstępu, a gwałt na ostatek zachować.

Nieraz już spostrzegł, że Alatiel szczególny smak znajdowała w winie, którego przedtem nigdy nie piła, bowiem religia tego jej zabraniała. Pericone postanowił użyć wina, najlepszego pomocnika bogini Wenus, aby owładnąć wdziękami Alatiel.

Udawszy, że niewiele sobie czyni z jej odmów, wydał z jakiejś okazji pewnego wieczora wspaniałą ucztę, w której Alatiel także udział wzięła. Uczta była wesoła i gwarna. Pericone przykazał temu, kto Alatiel usługiwał, aby podawał jej napój, utworzony z wielu gatunków wina. Sługa wywiązał się z swego zadania na schwał.

Alatiel, nic nie podejrzewając, zasmakowała w tym przyjemnym trunku i wypiła więcej niż zwyczajnie.

Zapomniawszy o poprzednich swoich niedolach, stała się wesołą, a widząc, że niektóre dziewczęta tańczą taniec z Majorki, sama według aleksandryjskiego obyczaju pląsać zaczęła. Pericone, ujrzawszy to, nie wątpił już, że dochodzi do celu pragnień swoich. Przeciągając ucztę do późna w noc, kazał podawać wciąż nowe potrawy i napoje. Na koniec, skoro biesiadnicy się oddalili, sam odprowadził Alatiel do komnaty. Dzieweczka, bardziej rozgrzana niźli przystojnością na wodzy trzymana, zrzuciła bez żadnego wstydu w jego przytomności szatki, tak jakby Pericone był jedną z jej służek, i położyła się do łoża. Pericone, nie mieszkając, poszedł w jej ślady. Zgasiwszy światła legł obok niej, obłapił ją ciasno i nie napotykając żadnego oporu jął z nią igrać miłośnie. Alatiel, poznawszy, jakim to rogiem mężczyźni bodą (o czym przedtem, jako żywo, nie wiedziała), nie mogła niemal odżałować, że już dawniej na prośby Pericona nie przystała. Nie czekając, aż ją na tak słodką ucztę zaproszą, sama się często zapraszała, nie słowami co prawda, gdyż nie mogła się nimi porozumieć, lecz znakami i gestami. Gdy Pericone i Alatiel w takich rozkoszach smakowali, fortuna nie będąc ukontentowana z tego, że z żony króla nałożnicę wasala uczyniła, sposobiła jej inny, bardziej grozą przejmujący związek.

Pericone miał brata, dwudziestopięcioletniego młodzieńca, pięknego i świeżego jak róża. Zwał się on Marato. Alatiel niezwykle mu do gustu przypadła. Zdało mu się z jej znaków, że i ona również upodobanie do niego żywi. Myśląc, że od zaspokojenia jego chuci nic nie wstrzymuje Alatiel krom czujności, jaką ją otaczał Pericone, uknuł występny plan, który zaraz do zbrodniczego przywiódł skutku.

W porcie miasta stał podówczas okręt napełniony towarami, które miał zabrać do Chiarenzy w Romanii. Właścicielami jego byli dwaj młodzi Genueńczycy. Żagle już podniesiono, oczekując pomyślnego wiatru. Marato ułożył się z Genueńczykami, że zabiorą go następnej nocy na pokład wraz z damą, którą z sobą przywiedzie.

Wszystko to uładziwszy, udał się, gdy noc zapadła, do domu Pericona, który z jego strony niczego nie podejrzewał. Wszedł niepostrzeżenie do komnat, pospołu z najbardziej zaufanymi towarzyszami, którzy mieli mu pomóc w tym przedsięwzięciu, i

ukrył się zgodnie z planem poprzednio ustalonym. Gdy już większa część nocy minęła, otworzył swoim wspołecznikom, wiodąc ich, gdzie Pericone zwykle z swoją miłośnicą sypiał. Zbiry, wtargnąwszy do komnaty, zabili Pericona, we śnie spoczywającego, i pochwycili płaczącą białogłowę, grożąc jej śmiercią, gdyby tumult podniosła. Później zabrali najcenniejsze rzeczy, które pod ręką znaleźli, nie zauważeni chyłkiem wypadli z domu i na morski brzeg się przebrali. Marato nie mieszkając wszedł z Alatiel na pokład, towarzysze jego zasię do miasta powrócili. Marynarze, mając wiatr pomyślny, wypłynęli na pełne morze. Alatiel żaliła się równie gorzko na wtóre swoje nieszczęście, jak ongiś na pierwsze, aliści Marato tym wisiorkiem, co mu go Bóg dał, jął ją pocieszać tak żarliwie, że wkrótce o Pericone zapomniała i do nowego miłośnika przywykła.

Już miała się za zupełnie szczęśliwą, gdy los, uważając widać, że przeszłych doświadczeń było mało, nowe nieszczęście jej zgotował. Nieraz już mówiliśmy, że Alatiel była nad podziw piękną białogłową, a do tego wielce w obejściu miłą dworną. Dwaj młodzi Genueńczycy tak się w niej rozmiłowali, że o wszystkim zapominając, na usługach i zalotach cały czas spędzali. Strzegli się jedynie, aby tych przymileń Marato nie spostrzegł. Postrzegłszy nawzajem swoje upały miłosne i naradziwszy się potajemnie, postanowili, że razem przedmiotem miłości cieszyć się będą, tak jak gdyby miłość dzielona być mogła na podobieństwo łupu lub towaru. Ujrzeli jednakoż, że Marato czujnie Alatiel strzeże, przeszkadzając ich zamysłom. Pewnego dnia, gdy okręt mknął chyżo pod pełnymi żaglami, Marato stał na rufie i patrzył na morze, nic nie podejrzewając. Genueńczycy podkradli się do niego i schwyciwszy go silnie z tyłu, wrzucili do morza. Gdy okręt już się na milę oddalił, spostrzeżono dopiero, że Marato wpadł do morza. Alatiel, usłyszawszy o tym i ujrzawszy, że wszelki ratunek byłby daremny, jęła od nowa żale swoje rozwodzić. Dwaj Genueńczycy pocieszali ją, jak mogli, miłymi słówkami i obietnicami, chocia Alatiel i niewiele z tego wszystkiego pojmowała. Opłakiwała nie tyle stratę Marato, ile nad swoją okrutną dolą rozpaczała. Po długich przełożeniach a prośbach zdało się im, że ją wreszcie pocieszyli. Udali się zatem na stronę, aby naradzić się, kto z nich ma ją pierwszy posiadać. Każdy chciał zaraz tych słodyczy zaznać, tak iż mowy o zgodzie być nie mogło. Od grubych słów i wymysłów przyszło do bójki. Schwycili za noże i mnóstwo ciosów sobie zadali, bowiem ci, co na okręcie się znajdowali, rozdzielić ich nie mogli. Jeden z walczących padł wkrótce martwy, drugi, ciężkimi ranami pokryty, przy życiu pozostał. Alatiel wielce się tym zasmuciła. Czuła się samotna, pozbawiona pomocy i rady, a do tego obawiała się, aby się na nią nie obrócił gniew krewniaków i przyjaciół obu Genueńczyków.

Aliści prośby rannego, jak i szybkie przybycie okrętu do Chiarenzy wybawiły ją z śmiertelnych niebezpieczeństw. Wyszła na ląd pospołu z rannym i zamieszkała z nim w jednej gospodzie. Wkrótce wieść o piękności Alatiel rozeszła się po całym mieście. Słuchy o niej doszły do księcia Morei, który podówczas w Chiarenzy bawił. Książę zapragnął ją widzieć. Alatiel zdała mu się piękniejsza nad wszelkie opowiadania. Rozkochał się w niej od razu tak gwałtownie, że o niczym innym myśleć nie mógł. Usłyszawszy zasię, jakim sposobem tu przybyła, powziął nadzieję pozyskania jej łask. Gdy nad stosownymi środkami rozmyślał, krewniacy rannego, o pragnieniach księcia uwiadomieni, niewiele myśląc, posłali mu czym prędzej Alatiel. To napełniło wielką radością księcia, a takoż i Alatiel, która mniemała, że już jest bezpieczna od wszelkich niebezpieczeństw. Chocia książę nie wiedział, kto ona zacz, przecie obyczaje jej szlachetne, a także niepospolita piękność wnosić mu kazały, że ze znamienitego rodu pochodzić musi; zdwoiło to miłość jego. Cześć należną jej okazując, obchodził się z nią jak z małżonką, nie jak z nałożnicą. Alatiel, zapomniawszy w obecnej pomyślności o wszystkim, co było, powróciła do przyrodzonej sobie wesołości, a wdzięki jej tak odkwitły, że w całej Romanii mówiono jeno o jej piękności. Dlatego też młody, urodziwy i dzielny książę ateński, przyjaciel i krewniak księcia Morei, wyraził życzenie obaczenia Alatiel. Pod pokrywką, że chce odwiedzić księcia, jak to nieraz czynić miał w obyczaju, z świetnym pocztem do Chiarenzy zawitał, gdzie godnie i uroczyście go przyjęto. Po kilku dniach rozmawiać poczęli o piękności Alatiel. Książę spytał, zali naprawdę jest tak urodziwa, jak o tym powszechna fama głosi.

— Jeszcze urodziwsza — odparł książę Morei — i pragnę, abyś na własne oczy o tym się przekonał.

Książę ateński ochotnie przystał na to i obaj książęta udali się do komnat Alatiel. Ta, uprzedzona o ich odwiedzinach, przyjęła gości uprzejmie, z wesołym obliczem. Posadzili ją między sobą, ale nie mogli zażyć przyjemności z rozmowy z nią, bowiem niewiele, a raczej nic wcale z mowy ich nie pojmowała. Dlatego też każdy spoglądał na nią jak na dziw albo i cud jakowyś, osobliwie zaś książę ateński, ledwo zdolny pojąć, że jest ona istotą śmiertelną. Nie spostrzegł, że gdy patrzył na nią, oczy jego upiły się jadem namiętności. Myślał, że zachwycając się nią — sobie ukontentowanie sprawia, tymczasem zaplątał się w sidła i najżywszą miłością do Alatiel rozgorzał. Opuściwszy zasię pospołu z księciem Alatiel i znalazłszy stosowną do rozmyślań chwilę, do tej myśli przyszedł, że książę jest najszczęśliwszym na ziemi człowiekiem, mogąc w takim skarbie smakować do upodobania. Tysiąc myśli w nim się ścierało, wreszcie gdy szał miłosny

uczciwość przemógł, postanowił wydrzeć ten klejnot księciu Morei i sam nim owładnąć, choćby i do najgorszych rzeczy przy tym przyjść miało. Pobudzany pragnieniem, nie dbając na głos rozsądku i sprawiedliwości, zamysł swój na zdradzie i podstępie osnuł. Pewnego dnia, skumawszy się z zaufanym sługą księcia Morei, zwanym Ciuriaci, kazał cichaczem przygotować do podróży swoje konie oraz wszystko, co mu w drodze przydatne być mogło. Gdy noc nastała, książę ateński wraz z swym towarzyszem weszli, uzbrojeni, cichaczem do komnaty księcia, dokąd ich wpuścił ów rzeczony Ciuriaci.

Napastnicy ujrzeli, że książę z powodu upału stoi całkiem nagi przy oknie, obrócony twarzą ku morzu, i ochładza się lekkim wietrzykiem. Alatiel spała mocnym snem. Towarzysz księcia ateńskiego, uwiadomiony wcześniej, co mu czynić należy, podkradł się do okna na palcach i uderzył księcia tak silnie nożem między żebra, iż ostrze na wylot przeszło. Potem szybko pochwyciwszy ciało, wyrzucił je przez okno. Zamek księcia stał wysoko nad powierzchnią morza; z okna zaś tego widać było tylko kilka lepianek, zburzonych w części przypływem fal; nikt tu prawie nigdy nie zachodził, dlatego też, jak to przewidział książę ateński, nikt nie mógł zauważyć upadku ciała. Towarzysz księcia, obaczywszy, że zadanie uskutecznione zostało, schwycił co prędzej za sznur, przygotowany uprzednio, i pod pozorem żartu zarzucił stryczek na szyję Ciuriaciego. Później zacisnął węzeł tak silnie, że sługa nawet zipnąć nie zdołał. Ateńczyk pośpieszył na pomoc swemu towarzyszowi. Dodusiwszy Ciuriaciego, ciało jego takoż do morza wrzucili.

Spełniwszy to i upewniwszy się, że ani dama, ani nikt inny nic nie zauważył, książę ateński ze świecą w ręku cicho podszedł do łożnicy i odkrył całkiem wciąż jeszcze śpiącą głęboko Alatiel. Obejrzawszy ją szczegółowie, słów zachwytu i podziwu nie znajdował. Jeśli podobała mu się w ubraniu, to naga nad wszelki wyraz go zachwyciła. Na ten widok, nowymi żądzami zapalony i nie powstrzymywany wspomnieniem dokonanej przed chwilą zbrodni, ze skrwawionymi rękami legł obok niej. Półsenna Alatiel, myśląc, że to książę Morei, pieszczot mu swoich nie szczędziła.

Siła rozkoszy zażywszy, powstał i przywoławszy kilku z swoich ludzi kazał porwać Alatiel tak, aby najmniejszego tumultu słychać nie było, i wyprowadzić ją tajnymi drzwiami, przez które wszedł do zamku. Jak najciszej usadzili Alatiel na konia i popędzili drogą do Aten. Ponieważ jednak książę był żonaty, więc nie wprowadził okrutnie zasmuconej Alatiel do miasta, jeno umieścił ją w jednej z swoich nadmorskich posiadłości, w pobliżu Aten leżącej. Trzymał ją tam w tajności, przykazawszy, aby na niczym jej nie zbywało.

Następnego dnia dworzanie księcia Morei aż do dziewiątej czekali na jego obudzenie się, jednakoż, najmniejszego szmeru nie słysząc, pchnęli drzwi komnaty, które jeno przymknięte były, i do środka weszli. Nie znalazłszy nikogo pomyśleli, że książę wyruszył gdzieś w tajemnicy wraz z swą damą, aby dni kilka na swobodzie i w radości spędzić; uspokoili się przeto i już się nie turbowali. Następnego dnia jednak zdarzyło się, że pewien człek na umyśle pomieszany wszedł między rudery, gdzie leżały ciała księcia Morei i Ciuriaciego, wyciągnął zwłoki sługi i jął je na stryczku wlec za sobą. Z wielkim zdziwieniem wiele osób rozpoznało trupa, a wówczas przymilaniem się skłoniono głuptaka, by wskazał miejsce, skąd zwłoki wydobył. Tam, ku boleści całego miasta, także i trupa księcia znaleziono. Pochowali go z należnymi honorami i jęli szukać winowajców tak zbrodniczego czynu. Spostrzegłszy nieobecność księcia ateńskiego, który w wielkiej tajności z miasta wyjechał, domyślili się, że on to zbrodnię tę popełnił i damę uprowadził. Szybko tedy obwołali księciem brata zabitego i wezwali go najżywiej do pomsty. Ten, ugruntowawszy się w swoich podejrzeniach, dzięki różnym innym jeszcze dowodom co do winy ateńskiego księcia, wezwał swoich krewniaków, przyjaciół i poddanych, zgromadził silną armię i do wojny z ateńczykiem jął się gotować. Usłyszawszy o tym, książę ateński zebrał wszystkie siły swoje, aby wrogom dać odpór stosowny. Wielu znacznych władców przybyło na pomoc k'niemu. Cesarz Konstantynopola posłał mu swego syna Konstantyna oraz siostrzeńca Emanuela ze znacznym wojskiem. Z należną czcią przyjął ich książę, a zwłaszcza księżna, która siostrą Konstantyna była.

Gdy tak wszyscy z dnia na dzień najścia nieprzyjaciół się spodziewali, księżna, stosowną chwilę ułowiwszy, przywołała obu braci i ze łzami w oczach wyjaśniła im przyczynę wojny i całą historię szczegółowo opowiedziała przedstawiając zniewagę, jaką jej małżonek wyrządza przez związek miłosny z cudzoziemką, o czym jakoby nikt nie wie. Żaląc się wielce na to, prosiła ich, aby cześć księcia i jej pocieszenie na pieczy mieli, czyniąc, co wyda im się najbardziej stosowne. Młodzieńcy wiedzieli już o wszystkich tych zdarzeniach, dlatego też nie pytając wiele, pocieszyli, jak mogli, księżnę, napełnili jej serce nadzieją i odjechali dowiedziawszy się wprzód, gdzie Alatiel się znajduje.

Nieraz już dochodziły ich słuchy o zadziwiającej piękności Saracenki, zapragnęli tedy ją zobaczyć i poprosili księcia, aby im ją ukazał. Ów zapomniawszy, czym książę Morei za spełnienie podobnej prośby zapłacił, obiecał, że to uczyni. W samej rzeczy wydał wspaniałą ucztę w pięknym ogrodzie, znajdującym się koło domu, w którym

Alatiel przebywała, i obu młodzieńców w nielicznej kompanii na nią zaprosił. Konstantyn, siedząc za stołem obok Alatiel, utkwił w niej wzrok zachwycony i pomyślał, że podobnej piękności jeszcze nigdy na świecie nie widział. Jego zdaniem, należało rozgrzeszyć księcia, jak i każdego, kto by dla owładnięcia podobnym skarbem zdradę albo i inny plugawy czyn popełnił. Brnąc dalej, raz po raz na nią poglądał i podobał sobie w niej coraz bardziej, doświadczając tego, co i książę. Odjechał rozmiłowany w Alatiel i wszelką myśl o wojnie ostawiwszy, jął się głowić tylko nad tym, jak by ją odjąć księciu; miał się jednak na baczności i niczym swojej namiętności nie zdradzał. Gdy tak chuciami gorzał, nadeszła pora wyruszenia w pole przeciwko wojskom nieprzyjacielskim, które już do dzierżaw księcia się zbliżały. Książę bowiem, Konstantyn i pozostali, zgodnie z rozkazem, opuścili Ateny, aby umocnić granice i nie dopuścić, by wraża armia w nie wtargnąć miała.

Stojąc przez kilka dni na granicy, Konstantyn ani przez chwilę o damie swej myśleć nie przestał. W przekonaniu, że teraz, gdy książę od niej się oddalił, łatwiej mu będzie zamiary swoje do skutku przywieść, postanowił do Aten powrócić pod pokrywką, że niedomaga na zdrowiu. Poruczywszy, za zgodą księcia, władzę nad wojskiem Emanuelowi, powrócił do Aten, do swej siostry. Po kilku dniach wszczął rozmowę o zniewadze, jaką jej mąż uczynił, inną mając przy sobie niewiastę, i oznajmił, że jeśli tylko zechce, on nieszczęściom jej kres postawi, wykradając Alatiel i uprowadzając ją za granice państwa. Księżna, myśląc, że Konstantyn chce to uczynić przez miłość do niej, a nie do Alatiel, odparła, że zgadza się na to ochotnie, pod tą jednak kondycją, aby książę nigdy o jej zgodzie nie uznał. Konstantyn przyrzekł jej to. Wówczas księżna rzekła, aby poczynał sobie tak, jak uważa, że będzie najlepiej. Konstantyn kazał cichaczem przysposobić lekką barkę i pewnego wieczoru podpłynął na niej pod ogród będący schronieniem Alatiel. Uświadomiwszy pozostałych na brzegu ludzi, co im działać należy, sam z kilku towarzyszami udał się do pałacu. Służba Alatiel, jako też i ona sama uprzejmie go powitała. Alatiel z Konstantynem w otoczeniu jej sług i jego towarzyszy wyszli do ogrodu. Tam, chcąc jakoby pomówić z damą w imieniu księcia, odwiódł ją na stronę i zaprowadził do bramy wychodzącej na morze. Jeden z jego towarzyszy już ją był otworzył; na dany znak barka się przybliżyła.

Wówczas pochwycili Alatiel i do barki ją zanieśli. Konstantyn rzekł do jej sług:

— Niech nikt się nie waży ruszyć z miejsca lub parę z gęby puścić, jeśli wam życie miłe. Nie chcę porywać kochanki księciu, jeno uwolnić od hańby siostrę moją.

Nikt nie śmiał odpowiedzieć na to. Konstantyn z swymi towarzyszami wsiadł do barki i nie opuszczając ani na chwilę płaczącej Alatiel, kazał tęgo wiosłami robić. Barka zdawała się nie płynąć, ale lecieć, i następnego dnia o świcie przybyła do Eginy. Wyszedłszy na ląd odpoczęli, a Konstantyn nacieszył się swą branką, która piękność swoją nieszczęsną gorzko opłakiwała. Później wsiedli z powrotem do barek i po upływie dni kilku przybyli do Chios. Obawiając się gniewu cesarza i utracenia Alatiel, Konstantyn tutaj, jako w miejscu bezpiecznym, zatrzymać się postanowił. Długo płakała Saracenka nad swą nieszczęsną dolą, aliści gdy Konstantyn pocieszył ją niezawodnym sposobem, jęła znów znajdować upodobanie w tym, co los jej zesłał.

Gdy rzeczy tym trybem szły, Osbech, podówczas królem Turków będący i w ciągłej wojnie pozostający z cesarzem, przyjechał trafunkiem do Smyrny. Usłyszawszy, że Konstantyn wiedzie rozpustne życie z białogłową przez się pochwyconą i że przebywa w Chios bez żadnej ochrony, uzbroił kilka lekkich galer i zawinął nocą do portu. Wyszedłszy cicho z wojskiem na brzeg, wielu nieprzyjaciół w pościeli zdybał, jeszcze nim się spostrzegli, że wróg wdarł się do miasta, ci zasię, nieliczni, co pobudzeni za broń schwycili, zaraz gardła dali. Osbech spalił całe miasto, naładował łupem okręty i z jeńcami do Smyrny powrócił.

Tam pośród niewolników spostrzegł urodziwą wielce białogłowę. Uznawszy, że ją to właśnie wzięto, gdy spała z Konstantynem w jednym łożu, jako mąż młody wielce się uradował i bez zwłoki żoną ją swoją uczynił, ceremonię ślubu w łożnicy odprawiając. Później przez kilka miesięcy gorliwie jej wdzięków używał.

Nim te rzeczy się trafiły, cesarz sprzymierzył się z Basanem, królem Kapadocji, który miał z częścią swych wojsk na Osbecha uderzyć, podczas gdy on sam, cesarz, z drugiej strony na niego napadnie. Jednakoż zamysły te na niczym spełzły dla niedogodnych warunków przymierza, jakie mu Basan stawiał, a których cesarz przyjąć nie chciał. Gdy jednakże usłyszał, co się z jego synem stało, wpadł w taką turbację, że na wszystkie żądania króla Kapadocji bez zwłoki przystał, prosząc go jeno, aby nieodwłocznie na Osbecha ruszył, sam zaś gotował się z tyłu na niego uderzyć. Osbech, o niebezpieczeństwie uwiadomiony, ściągnął wszystkie swoje wojska, zanim dwaj potężni sprzymierzeńcy mogli ująć go w kleszcze, i pośpieszył na spotkanie króla Kapadocji. Alatiel ostała w Smyrnie pod opieką a poruczeństwem wiernego sługi i przyjaciela. Osbech wnet zetknął się i starł z Basanem, kładąc głowę w bitwie. Wojsko jego zwyciężone i rozproszone zostało.

Zwycięski Basan, żadnego oporu nie spotykając, szedł na Smyrnę. Wszyscy go z wielką pokorą przyjmowali. Sługa Osbecha, Antiochem zwany, chocia był człekiem szedziwym, przecie nie obronił się przed pięknością Alatiel, którą miał pod strażą. Rozmiłował się w niej, nie zdzierżywszy przysięgi na wierność swemu panu. Antioch znał język, jakim Alatiel mówiła. Wielce był rad z tego, a i ona nie mniej, bowiem już od lat kilku skazana była na życie głuchej i niemowy; ani ona nikogo nie pojmowała, ani jej nikt nie rozumiał. Antioch, chuciami swymi pobudzany, jął poczynać sobie z Alatiel wielce poufale, a po kilku dniach, nie bacząc na swego pana, który wojnę toczył, wstąpił z nią nie tylko w przyjacielskie, ale i w miłosne związki. Sypiali pospołu pod jednym nakryciem i baraszkowali do woli. Usłyszawszy, że Osbech porażony i zabit i że Basan następuje, wszystko w perzynę obracając, postanowili nie czekać na niego. Zabrali z sobą drogocenne rzeczy, które Osbech zostawił, i umknęli chyłkiem na wyspę Rodos. Tam jednakoż niedługo żyli. Antioch zaniemógł i czuł się bliskim śmierci. W tym czasie przybył do Rodos pewien kupiec cypryjski, wielki przyjaciel Antiocha. Ten, widząc, że koniec jego już bliski, zapragnął pozostawić mu w dziedzictwie swoją majętność i umiłowaną białogłowę. Odchodząc ku wieczności, przywołał ich oboje i rzekł:

— Wiem, że nadchodzi moja ostatnia godzina. Ciężko mi umierać, bowiem nigdy mi życie milsze nie było jak teraz. Umieram jednak pełen pociechy, chocia się bowiem z życiem rozstać muszę, konam na rękach tych ludzi, których najbardziej na świecie miłowałem, to jest na rękach twoich, miły przyjacielu, i na rękach tej białogłowy, co mi bliższa była niż życie własne, odkąd ją poznałem. Ciężko mi myśleć, że ostanie ona tutaj, na obczyźnie, sama bez pomocy i rady, aliści wierzę, że opieką ją swoją otoczysz dla tej miłości, jaką dla mnie żywiłeś. Dlatego też zaklinam cię, abyś, skoro mi już umrzeć sądzono, wszedł w posiadanie majętności moich i aby Alatiel przy tobie pozostała. Postępuj później z nimi tak, jak to, zdaniem twoim, będzie trza dla spokojności duszy mojej. Ciebie zaś, najmilsza Alatiel, proszę, abyś mnie nie zapomniała po śmierci. Niechże i tam będę się mógł pochwalić, że miłuje mnie na ziemi najpiękniejsza białogłowa, jaką kiedykolwiek natura stworzyła. Jeśli mi twardo przyrzekniecie, że obie te prośby wypełnicie, zamknę oczy pełen pociechy.

Kupiec i Alatiel, słysząc te słowa, płakali gorzko. Później pocieszali go, jak mogli, i przysięgali uroczyście, że na wypadek jego śmierci postąpią zgodnie z jego wolą. Antioch umarł wkrótce i z należną czcią został przez nich pogrzebany.

Po upływie kilku dni kupiec cypryjski, załatwiwszy swoje sprawy na wyspie Rodos, zapragnął powrócić do domu na stojącym w porcie małym katalońskim korabiu.

Obrócił się zatem do pięknej damy z zapytaniem, co czynić zamierza, gdyż on musi na Cypr powrócić. Alatiel odparła, że pojedzie z nim ochotnie, bowiem ma nadzieję, że przez miłość do Antiocha będzie ją uważał za siostrę i jak z siostrą z nią postępował.

Kupiec odparł, że każde jej życzenie wypełni. Chcąc zaś ochronić ją od jakiej bądź zniewagi lub krzywdy, która by ją w czasie podróży spotkać mogła, powiedział wszystkim na okręcie, że jest jego żoną. Dano im małą kajutę na tyle okrętu. Nie chcąc, aby słowa czynom się sprzeciwiały, kupiec spał z Alatiel w maleńkim łożu. Z tego poszło — choć żadne z nich nie miało takich myśli przy opuszczaniu Rodos — że pobudzeni ciepłem łoża, zachęceni mrokiem i samotnością (a są to niemałe podniety), zapomniawszy o przyjaźni i miłości do zmarłego Antiocha, równą niemal po temu odczuwając ochotę, jęli się nawzajem trykać, nim jeszcze przybyli do Baffy, skąd Cypryjczyk był rodem. W Baffie Alatiel przez długi czas z kupcem żyła. Pewnego dnia przybył do Baffy za swymi sprawami pewien szlachcic, imieniem Antygon. Lat miał wiele, rozumu dużo, jeno dostatków mało. Fortuna przeciwna mu była we wszystkim, w czym brał udział, ostając na służbie u cypryjskiego króla. Antygon, przechodząc pewnego razu koło domu, w którym Alatiel mieszkała (kupca cypryjskiego podówczas w mieście nie było, udał się bowiem z towarami do Armenii), ujrzał ją w oknie i jął przyglądać się jej uporczywie, bowiem uderzyła go jej piękność, a nie mógł przypomnieć sobie, gdzie ją już był widział. Urodziwa białogłowa, przez tak długi czas igraszką losów będąca, a teraz zbliżająca się już do nieszczęść swoich kresu, ujrzawszy Antygona, poznała w nim od razu jednego ze znaczniejszych sług swego ojca w Aleksandrii. Dlatego też nagłą nadzieję powzięła, że przy pomocy tego człeka do utraconej swej królewskiej godności powrócić może. Wiedząc, że kupca w domu nie ma, kazała bez zwłoki przywołać Antygona. Gdy wszedł do komnaty, zapytała nieśmiało, zali nie jest Antygonem z Famagosty, jak się to jej zdawa? Odpowiedział, że tak, i przydał:

— Pewien jestem, pani, że was już nieraz widziałem, nie mogę jeno przypomnieć sobie, gdzie to było. Proszę was przeto, jeśli wam to przykrości nie sprawi, abyście raczyli mi odkryć, kim jesteście.

Alatiel, usłyszawszy, że przybysz jest Antygonem, rzuciła mu się z płaczem na szyję i spytała go, zadziwionego mocno, zali jej przypadkiem w Aleksandrii nie widział? Na te słowa Antygon zaraz poznał w niej Alatiel, córkę sułtana, o której mniemano, że w morzu zginęła. Pragnął jej należną cześć oddać, ale Alatiel nie dopuściła do tego, prosząc go, aby na chwilę usiadł obok niej. Uczyniwszy zadość jej żądaniu, Antygon

spytał ją z czcią w głosie, jak, kiedy, skąd do tego miejsca przybyła? Wszak w całym Egipcie za pewne to trzymają, że przed wielu już laty w morzu śmierć znalazła.

— Wolałabym, wierę, żeby się tak stało — odparła Alatiel — nie potrzebowałabym bowiem wieść takiego życia, jakie wiodłam. I sądzę, że ojciec mój wolałby to również, o ile kiedykolwiek dowie się prawdy.

Rzekłszy to, znów gorzko płakać poczęła. Antygon rzekł:

— Nie dręczcie się i nie smućcie przed czasem, pani! Raczcie lepiej mi opowiedzieć wasze nieszczęścia i całe życie wasze. Ani chybi, przy pomocy bożej rzeczy pójdą tym trybem, że na wszystko zaradzenie skuteczne znajdziemy.

— Gdy ujrzałam ciebie, Antygonie — rzekła Alatiel — zdało mi się, że widzę mego ojca. Pod wpływem tego tkliwego uczucia, jakie do niego żywię, odsłoniłam ci się, chociaż mogłam się przecie ukryć przed tobą. Niewielu jest na świecie ludzi, co by mnie równie mili byli jak ty. Dlatego też, jak ojcu, wyznam ci to, co pośród największych nieszczęść moich zawsze taiłam przed światem. Jeżeli po wysłuchaniu mojej spowiedzi uznasz za stosowne dopomóc mi jakimkolwiek sposobem do odzyskania dawnych godności, proszę, uczyń to. Jeżeli jednak rzecz ta niemożebna ci się wyda, zaklinam cię, abyś nikomu na świecie nie mówił, żeś mnie widział albo słyszał o mnie cokolwiek.

Rzekłszy to, opowiedziała mu z płaczem wszystkie przypadki swoje, od rozbicia się okrętu przy brzegach Majorki, aż do chwili ich spotkania. Antygon, tknięty współczuciem, zapłakał z nią razem, a po chwili namysłu rzekł w te słowa:

— Ponieważ pośród tych wszystkich przeciwności nikt nie znał prawdziwego waszego nazwiska, pani, przyrzekam wam więc, że powrócę was ojcu, jeszcze milszą niż kiedykolwiek, a potem i żoną króla Algarbii uczynię.

Gdy Alatiel spytała, jak tego dokona, Antygon uwiadomił ją szczegółowie, co zrobić należy. Aby zasię z powodu zwłoki jakieś zawikłania nie wynikły, powrócił nie mieszkając do Famagosty i stanąwszy przed królem rzekł:

— Możecie, jeżeli taka będzie wasza wola, panie, spełnić czyn wielce chlubny dla siebie, mnie zaś, co biedę w służbie waszej znoszę, bez nijakiej trudności korzyść wielką wyświadczyć.

— Jakim sposobem? — zapytał król.

— Do Baffy przybyła młoda i urodziwa córka sułtana, o której słuchy chodziły, że zginęła w morzu. Dla zachowania czci swojej wielu nieszczęściom podlegała, a dzisiaj w wielkim niedostatku się znajduje. Pragnęłaby ona gorąco powrócić do ojca swego. Jeżeli przystaniecie na to, aby pod moją opieką do ojca ją wyprawić, pewien jestem, że

sułtan nigdy wam podobnej usługi nie zapomni, co wam cześć wielką, a mnie korzyść znaczną przyniesie.

Król, chcąc pokazać swoją naturę szlachetną, odparł, że przyzwala. Wyprawił godnie po Alatiel posłów i na dwór w Famagosta ją sprowadził, gdzie pospołu z królewną pełne wspaniałości przyjęcie jej zgotował. Gdy się jej pytano o jej zdarzenia, odpowiadała wedle wskazówek przez Antygona danych.

Po kilku dniach na jej życzenie król wysłał ją do ojca ze znaczną świtą, z mężczyzn i z białogłów złożoną, której Antygon przewodził.

Nie lza wysłowić, z jaką radością sułtan ją powitał i jakie przyjęcie zgotował Antygonowi oraz jego towarzyszom. Gdy Alatiel już nieco wczasu zażyła, sułtan takoż zapragnął uznać, jak to się stało, że ocalała i że przez tak długi czas nie dała najmniejszego uwiadomienia o sobie. Alatiel, mając dobrze w pamięci pouczenia Antygona, zaczęła w te słowa:

— Dowiedz się, mój ojcze, że mniej więcej w dwadzieścia dni po moim stąd odjeździe burza strzaskała nasz okręt i wyrzuciła go nocą na brzeg zachodni w pobliżu Aiguesmortes. Co się stało z ludźmi załogi znajdującymi się na pokładzie, nie wiem, przypominam sobie tylko, że za nadejściem dnia powróciłam do utraconych zmysłów. Tymczasem mieszkańcy okoliczni okręt rozbity spostrzegli. Zbiegli się ławą dla złupienia szczątków. Wyciągnęli mnie na brzeg pospołu z dwiema towarzyszkami. Biedne dziewice porwane zostały przez dwóch młodzieńców i uprowadzone, każda w inną stronę. Nie wiem, co się z nimi stało, bowiem nigdy już słuch o nich do mnie nie dotarł. I mnie także dwóch młodzieńców za włosy schwyciło; płakałam i broniłam się ze wszystkich sił. Zaciągnęli mnie do pobliskiego lasu. Nagle z lasu wynurzyło się czterech jeźdźców. Gdy prześladowcy moi ich ujrzeli, natychmiast puścili mnie, a sami rzucili się do ucieczki. Czterej konni, którzy ludźmi znacznymi mi się wydali, przybliżyli się do mnie i jęli mi mnóstwo pytań zadawać. Ja także wiele mówiłam, ale nie mogliśmy się pojąć nawzajem. Naradziwszy się z sobą, posadzili mnie na rumaka, i zawieźli do klasztoru mniszek wedle ich religii. Nie wiem, co przeoryszy powiedzieli, dość, że przyjęta zostałam nader uprzejmie. Uwielbiałam pospołu z nimi św. Stoisława w Wąwozie, do którego szczególne nabożeństwo żywią niewiasty tego kraju. Gdy już pewien czas z nimi pozostawałam i nauczyłam się trochę ich mowy, spytały mnie, kim jestem i skąd pochodzę. Wiedząc, gdzie się znajduję, i obawiając się, że gdy poznają prawdę, przegnać mnie mogą, jako że do ich religii nie należę, odparłam, że jestem córką pewnego znacznego człeka z Cypru, który mnie wysłał do przyszłego małżonka

na Kretę. Na nieszczęście okręt tutaj uległ rozbiciu. Nie raz i nie dwa przy różnych okolicznościach ze strachu obyczajów ich przestrzegałam. Zapytana przez najstarszą z tych niewiast, którą nazywają przeoryszą, zalibym na Cypr powrócić nie chciała, odparłam, że niczego tak nie pragnę, jak tego powrotu. Przeorysza, dbając o moją przystojność białogłowską, nie chciała mnie powierzyć nikomu z tych, co na Cypr jechali. Przed dwoma miesiącami dopiero przybyło do klasztoru kilku szlachciców Francji wraz ze swymi żonami. Jedna z nich była krewniaczką przeoryszy. Ta, usłyszawszy, że udają się do Jerozolimy, aby odwiedzić grób tego, kogo Bogiem swym zowią (zabit od Żydów, jest on tam pono pogrzebiony), poleciła mnie im, prosząc, aby mnie na Cypr do ojca odwieźli. Musiałabym długo w słowach się szerzyć, chcąc opowiedzieć, jakimi staraniami i względami panowie ci i ich żony w czasie podróży mnie otaczali.

Wsiedliśmy na okręt i po kilku dniach przypłynęliśmy do Baffy. Zatrudniło mnie to niemało, bowiem nie znałam nikogo w tym mieście i nie wiedziałam, co mam powiedzieć moim przewodnikom, którzy pragnęli mnie ojcu powrócić, jak im to poleciła czcigodna matrona. Bóg jednak, widać, ulitował się nade mną i w chwili gdyśmy do portu zawijali, posłał na brzeg Antygona. Poznałam go natychmiast i przyzwałam go, obracając się doń w naszym języku, ażeby nikt mnie zrozumieć nie mógł, i prosząc go, aby mnie tu jako córkę powitał. Pojął zaraz, w czym rzecz, wielce się z mego przybycia uradował, przyjął Francuzów, jak mu tylko na to jego skromne środki pozwalały, a później zawiódł mnie na dwór króla Cypru. Ów przyjął mnie, a potem i do was wyprawił z taką okazałością, że tego i wysłowić nie można.

Jeśli coś jeszcze przydać trzeba, to niech dalej opowiada Antygon, który o mej historii nieraz słyszał.

— Panie mój — rzekł Antygon, obracając się do sułtana — to, coście słyszeli od księżniczki, zgadza się na wszem z jej dawniejszymi opowieściami, jako też ze słowami szlachciców i ich żon, co ją przywieźli na Cypr. O jednym tylko omieszkała wam powiedzieć, bowiem skromność przyrodzona zmilczeć jej kazała, a mianowicie o pochwałach, jakie z ust tych chrześcijan słyszałem, jej niepokalanego życia w klasztorze, szlachetnych i wzniosłych uczuć i przykładnych obyczajów. Nie uważała także za stosowne wspomnieć wam o żalu i łzach, jakie przewodnicy jej wylewali przy pożegnaniu. Gdybym chciał powtórzyć wszystko, co mówili, nie starczyłoby dzisiejszej nocy i dnia jutrzejszego. Poprzestanę jeno na uwiadomieniu was, że pysznić się możecie z posiadania najzacniejszej i najcnotliwszej córki, jaką kiedykolwiek miał na ziemi

władca, koronę na skroniach noszący (tak panowie francuscy powiadali i tak ja sam pomiarkowałem).

Sułtan, niezwykle uszczęśliwiony, wspaniałą ucztę wyprawił. Prosił także wielekroć razy Boga, aby dał mu możność odwdzięczenia się kiedykolwiek za usługi jego córce okazane. Obligowany był zwłaszcza królowi Cypru, który z wielką okazałością córkę mu odesłał. Po kilku dniach wyprawił Antygona z drogocennymi darami na Cypr. Wysłał też umyślnych z listami, w których osobną wdzięczność swoją mu wyrażał.

Następnie, pragnąc dokończyć tego, co rozpoczęte zostało, to jest połączyć córkę swoją z królem Algarbii, wyjaśnił mu wszystko i w liście napomknął, że jeśliby ją chciał za żonę, to niechaj po nią przyśle.

Król wielce się z tego uradował, wyprawił po narzeczoną świetne poselstwo, a później wspaniale Alatiel na swym dworze przyjął.

Alatiel, która z ośmiu mężami może dziesięć tysięcy razy miłośnie figlowała, w łożnicę mężowską jako rzekoma dziewica wstąpiła i sprawiła, że król w to uwierzył. Żyła przy jego boku długo i szczęśliwie jako królowa. Nie darmo powiadają, że od pocałunków usta nie bledną, a raczej odnawiają się jak księżyc".

Opowieść ósma. Przypadki grabiego Antwerpii

Grabia Antwerpii, fałszywie oskarżony, idzie na wygnanie. Zostawia dwoje swoich dzieci w różnych miejscowościach w Anglii. Powraca ze Szkocji, nie będąc od nich poznany, i znajduje je w szczęściu i w pomyślności. Później służy jako prosty żołnierz pod rozkazami króla francuskiego. Gdy jego niewinność na jaw wychodzi, do pierwotnego swego stanu powraca.

Damy wzdychały często, słuchając opowieści o rozlicznych przypadkach pięknej Alatiel. Któż jednak mógł wiedzieć, co było tych westchnień przyczyną? Być może, poniektóre wzdychały tak nie z litości nad nieszczęściami Saracenki, lecz przez zazdrość dla jej częstych miłosnych igraszek. Ostawmy jednak na ten czas tę sprawę. Przy ostatnich słowach opowieści Panfila wszyscy śmiechem wybuchnęli. Królowa, widząc, że opowieść już skończona, obróciła się do Elizy i dalej jej ciągnąć kazała. Eliza z wesołym uśmiechem zaczęła w te słowa:

— Obszerne jest to pole, po którym się dziś przechadzamy. Każdy w szranki wychodząc mógłby nie jedną, lecz dziesięć opowieści do końca doprowadzić, tak wiele

bowiem srogich i niespodziewanych zdarzeń fortuna na ludzi sprowadza. Wybrawszy jedno z nich, opowieść swoją zaczynam:

„Gdy cesarstwo rzymskie od Francuzów do Niemców przeszło, zrodziła się między tymi nacjami wielka nienawiść, której skutkiem uporczywa i długa wojna była. Król francuski, widząc konieczność obrony swego kraju i napaści na wroga, pospołu ze swym synem zebrał wszystkie siły swego państwa, do których dołączył jeszcze i te, co mu je krewniacy i przyjaciele przysłali, i z wielkim wojskiem na wroga wyruszył. Nim jednak to się stało, nie chcąc kraju bez rządcy ostawić, poruczył władzę nad Francją Gualtieriemu, grabiemu Antwerpii. Grabia był wielce rozumnym i szlachetnym człekiem, przyjacielem i wiernym sługą króla, a także rycerzem w sztuce wojennej zawołanym. Król i królewicz jednakowoż sądzili go sposobniejszym do trudów rządzenia niźli do czynów wojennych. Obaj ruszyli w drogę, a grabia jął rządzić rozumnie i sprawiedliwie, nie gardząc radami królowej i jej synowej. Aczkolwiek obie te damy powierzono jego pieczy i władzy, on wszelako należną cześć im okazywał i jak do swych władczyń się do nich odnosił.

Gualtieri był mężczyzną czterdziestoletnim, wielce urodziwym i tak obyczajnym, jak tylko szlachcic i dworzanin być nim może, krom tego był najpowabniejszym i najwdzięczniejszym rycerzem swego czasu, troskającym się wciąż o swój urodziwy pozór i stroje.

Gdy król wraz z synem na wojnie przebywał, grabiemu umarła żona, ostawiając mu dwoje maleńkich dzieci: chłopca i dziewczynkę. W tym czasie Gualtieri ciągle na dworze bawił, odwiedzając królową i jej synową i rozprawiając z nimi o potrzebach państwa. Żona młodego królewicza obróciła nań swoje oczy i zważywszy jego urodę i polerowane obyczaje tkliwą miłość potajemnie do niego uczuła. Widząc się świeżą i młodą i wiedząc, że grabia bez żony ostał, sądziła, że nietrudno jej będzie miłość jego pozyskać. Nie było innych przeszkód jak wstyd, aliści postanowiła go przemóc i odkryć Gualtieriemu szczerze tajemnicę serca swego. Pewnego dnia będąc sama, a myśląc, że czas nadszedł, posłała po grabiego, pod pokrywką, że chce się naradzić z nim nad sprawami państwa. Gualtieri, który nie podejrzewał wcale, jakie są zamysły księżniczki, przybył bez zwłoki. Jak chciała, usiadł obok niej w komnacie, gdzie byli sami, a później spytał się, dla jakiej przyczyny go przyzwała. Aliści księżniczka milczała. Wreszcie miłością pobudzona, czerwona od wstydu i cała drżąca, zaczęła mówić urywanym głosem i z płaczem na poły.

— Najmilszy mój przyjacielu i panie! Jako człek rozumny, bez trudu pojąć możecie, jak wielka jest skłonność i słabość zarówno mężczyzn, jak i białogłów, zrozumiecie takoż, dlaczego u niewiast z większą siłą niedostatki te występują. Sprawiedliwy sędzia nie wymierzy jednakiej kary za ten sam grzech, popełniony przez różne osoby i w różnych okolicznościach. Któż nie zgodzi się na to, że biedny człek albo uboga białogłowa, którzy w pocie czoła na życie pracują, o wiele większej godni są nagany, gdy się urokom i powabom miłości poddają, niźli bogata dama, na próżnowaniu czas swój trawiąca i zwyczajna posiadać wszystko, czego zapragnie? Nikt, jak sądzę. Dlatego też mniemam, że dostatki i swoboda w znacznej mierze usprawiedliwiają kobietę, która, zbytkiem otoczona, głosowi miłości ulega. Jeśli zaś wybierze nadto za przedmiot swego uczucia rozumnego i dzielnego kochanka, wydaje mi się nie tylko godną pobłażania, ale i całkiem usprawiedliwioną. Zdawa mi się, że we mnie oba te warunki się łączą, a przy tym do miłości przynaglają mnie jeszcze i inne przyczyny, jak moja młodość i nieobecność męża. Niechajże to wszystko w oczach waszych będzie wytłumaczeniem mojej gorącej miłości i niechaj was przekona, tak jak każdego rozumnego człeka przekonać winno. Gdy się tak stanie, proszę, abyście mi nie odmawiali pomocy swojej i rady. Powiem wam jeszcze, że w czasie nieobecności męża chuciom moim cielesnym ani sile miłości stosownego nie mogę dać odporu.

Jakże zresztą mogę przeciwiać się temu, czego zwalczyć nie jest w stanie nie tylko słaba białogłowa, ale i każdy z silnych mężów, których co dzień miłość zwycięża i hołduje. Pędząc życie swoje wśród dostatków i próżnowania, jako to sami widzicie, ulec namiętności musiałam. Wiem sama najlepiej, że to rzecz sromotna, aliści, jeśli wszystko w tajności pozostanie, zaledwie mój postępek za nieobyczajny poczytać będzie można. Amor był dla mnie tak łaskawy, że nie tylko mi rozumu nie odjął przy wyborze kochanka, ale jeszcze wskazał na was, jako na człeka mojej miłości godnego. Mniemam, że się nie mylę, poczytując was za najurodziwszego, najdworniejszego i najmądrzejszego rycerza, jakiego w naszym królestwie spotkać można. Ja żywię — rzec można — bez męża, wy bez żony ostaliście! Błagam was tedy, w imię tak wielkiego afektu mego do was, ulitujcie się nad młodością moją, która zaiste z waszej przyczyny jak lód od ognia topnieje.

Gdy słowa te wyrzekła, łzy rzuciły się do jej oczu z taką siłą, że już nic powiedzieć nie mogła, chocia i chciała jeszcze wiele zaklęć i próśb do grabi obrócić. Skłoniła jeno głowę, jakby zbytkiem uczuć zwyciężona, i płacząc osunęła się na piersi Gualtieriego. Grabia, jako rycerz prawy, surowymi słowy zgromił tę jej namiętność bezrozumną, a widząc, że

dama chce mu się rzucić na szyję, odepchnął ją i rzekł, iż prędzej da się poćwiartować lub kołem połamać, niż sobie albo komukolwiek na taką zakałę czci swego pana pozwoli.

Księżniczka, usłyszawszy to, zapomniała w jednej chwili o swojej miłości i w porywie pierwszego gniewu dumnie zawołała:

— Mniemasz, że pozwolę z podobną wzgardą moje pragnienia odtrącać? Klnę się, niegodny rycerzu, który chcesz mojej śmierci, że ja ciebie pierwej żywota pozbawię.

Rzekłszy te słowa, schwyciła się za włosy, potargała je, a później rozerwała na sobie szaty i jęła krzyczeć z wszystkich sił:

— Na pomoc, na pomoc! Grabia Antwerpii gwałt mi zadać pragnie!

Grabia, obawiając się podłej zawiści dworaków więcej niźli czystego sumienia swego i wiedząc, że oskarżeniom księżniczki łatwiej uwierzą niż jego niewinności, opuścił co żywo komnatę i pałac i uciekł do swego domu. Tam, nie tracąc po próżnicy czasu, dziatki swoje na konia wsadził, sam na siodło wskoczył i pomknął jak wicher w stronę Calais.

Tymczasem na krzyki księżny zbiegła się siła ludzi. Ci, ujrzawszy ją w takim nieładzie, nie tylko słowom jej uwierzyli, ale krom tego, przypomniawszy sobie układność, dworność i frantostwo grabi, ku tej myśli przyszli, że rycerz od dawna już do tego haniebnego celu zmierzał.

Rzucili się więc pełni gniewu na dom Gualtieriego, aby rycerza uwięzić. Nie znalazłszy go, ograbili całą jego majętność i dom z ziemią zrównali. Wieść o tym zdarzeniu doszła w końcu do króla i jego syna pośród wojska. Ci, zapaleni gniewem, skazali grabię wraz z jego potomstwem na wieczne wygnanie i wielką nagrodę przyrzekli temu, kto go dostawi żywym lub umarłym.

Tymczasem Gualtieri, zrozpaczony tym, że z niewinnego, na skutek swej ucieczki, stał się przestępcą, zdążył przebrać się wraz z dziatkami do Calais, nie będąc od nikogo poznany, a wkrótce potem dostał się do Anglii. Wdziawszy na się wielce nędzne szaty, przybył do Londynu. Nim wszedł do miasta, zalecił dzieciom swoim dwie rzeczy: cierpliwość w znoszeniu nędzy i nieszczęść, w które los wraz z nim niewinnie je wtrącił, i tajemnicę najściślejszą przed wszystkimi, skąd pochodzą i kto jest ich rodzicem, jeżeli tylko życie im jest miłe. Syn Gualtieriego liczył zaledwie dziewięć lat; córka, zwana Violantą, nie więcej jak siedem. Mimo tak młodego wieku dzieci pojęły wybornie pouczenie ojca i dowiodły tego później czynami. Gualtieri postanowił, że lepiej będzie, jeśli dzieciom zmieni imiona, dlatego też przezwał chłopca Perotto, a dziewczynę

Giannettą. Przebrawszy się w łachmany podobne do tych, co je żebracy francuscy noszą, weszli do Londynu i o jałmużnę prosić jęli. Pewnego dnia, kiedy trafunkiem znajdowali się w kościele, zdarzyło się, że pewna dama, żona jednego z marszałków króla angielskiego, wychodząc z głównej nawy, ujrzała grabiego i jego dzieci, proszących o wsparcie. Dama spytała go, skąd jest rodem i zali to jego dzieci? Odparł, że pochodzi z Pikardii i że musiał porzucić kraj ojczysty pospołu z tymi drobnymi dziećmi z powodu pewnego występnego czynu, jaki popełnił jego najstarszy syn, hultaj niegodziwy. Szlachetna i tkliwa dama popatrzyła na dzieweczkę, którą wielce wdzięczną i urodziwą znalazła, i rzekła w te słowa:

— Jeżeli się zgodzisz, przyjacielu, wezmę chętnie do siebie tę miłą dzieweczkę, której dobrze z oczu patrzy. Gdy na uczciwą kobietę wyrośnie, zatroskam się o to, aby w stosownym czasie dobrze za mąż ją wydać i wianem obdarzyć.

Grabiemu bardzo te słowa do serca przypadły. Zaraz swą zgodę wyraził i ze łzami polecił córkę łaskom damy. Znalazłszy dobry schron dla Giannetty, postanowił nie pozostawać tu dłużej. Przeszedł całą wyspę o żebranym chlebie, pospołu z Perottem, i wreszcie przybył do księstwa Walii, srodze zmęczony, bowiem do chodzenia piechotą nie był nawykły. W księstwie Walii przemieszkiwał drugi marszałek króla, człek wielce bogaty i trzymający na swym dworze liczną służbę. Grabia ze swym synem często na dwór ten zachodził, bowiem nie skąpiono mu tam strawy. Na dziedzińcu zamku bawił się zwykle syn marszałka pospołu z synami szlachciców, biegając, skacząc i inne igraszki czyniąc. Perotto przyjmował nieraz w tych igrach udział, taką zręczność po sobie pokazując, że w każdej sztuce innym był równy albo przed nimi brał przodek. Marszałek, przyglądający się igraszkom dzieci, wielce sobie w zręczności i zachowaniu się chłopca upodobał i zapytał, kim on by był? Odpowiedziano mu, że jest synem nędzarza, który nieraz do zamku po jałmużnę przychodzi.

Marszałek kazał żebrakowi powiedzieć, że rad by był zatrzymać jego syna przy sobie. Grabia, który o nic lepszego Boga prosić nie mógł, zgodził się na to chętnie, chocia ciężko mu było z synaczkiem się rozstawać. Po czym, uspokojony o los syna i córki, opuścił Anglię i przebrał się do Irlandii. Przybywszy do miasta Strangford, przystał na służbę do rycerza pewnego grabi za parobka i spełniał najniższe posługi, do jakich są obligowani masztalerze i inni słudzy. Nie będąc od nikogo uznany, w trudach i niewczasach życie pędził. Tymczasem Violanta, Giannettą zwana, żyła u szlachetnej damy w Londynie, wyrastając na mądrą i wielce urodziwą panienkę. Dama, jej mąż i wszyscy, co ją znali, w osobliwym stopniu łaskami i przychylnością swoją ją darzyli. Nie

było nikogo, co by pomiarkowawszy jej obyczaje, pozór i dworność nie rzekł, iż godna jest największej szczęśliwości i czci. Dama, która ją od ojca wzięła, wiedziała o nim tylko to, co on jej sam o sobie opowiedział, umyśliła więc wydać ją za mąż godziwie, lecz stosownie do jej niskiej, jak mniemała, kondycji. Aliści Bóg, sprawiedliwy sędzia dzieł ludzkich, wiedział, że szlachetna dzieweczka niewinnie za cudzy grzech poniżona została, i dlatego całkiem inaczej ustanowił. Szlachetnej panience nie sądzone było wstąpić w stadło z człekiem podłego stanu; to, co się z nią stało, trzeba przypisać szczególnej łasce bożej. Marszałek i jego żona mieli tylko jednego syna, którego czułą miłością darzyli, nie tylko dlatego, że był ich dzieckiem, ale takoż dla cnót jego, przymiotów, męstwa i urodziwej postaci. Ów młodzian, o sześć lat starszy od Giannetty, wdziękiem i pięknością jej oczarowany, tak się w niej zakochał, że o żadnej innej myśleć już nie chciał. Ponieważ jednak mniemał, że jest to dzieweczka niziuchnego stanu, nie miał śmiałości poprosić rodziców o przyzwolenie poślubienia jej, a nawet obawiał się zdradzić ze swym afektem, bowiem myślał, że go osądzą surowie za wybranie tak niegodnego przedmiotu miłości. Skryte płomienie tym większą udrękę mu sprawiały. Z tego poszło, że ciężko zachorzał. Zwołano co najtęższych medyków, aliści ci, jakkolwiek uważnie za objawami niemocy śledzili, przecie żadną miarą wpaść nie mogli na jej właściwą przyczynę i poczęli już o uzdrowieniu wątpić. Rodzice otroka w tak wielką boleść i melankolię popadli, że większej siły ludzkie przenieść by już nie mogły. Nie raz i nie dwa błagali go, aby im odkrył przyczynę swego cierpienia, on jednakoż tylko im westchnieniami odpowiadał i mówił, iż czuje swój bliski koniec. Pewnego dnia przy łożu chorego siedział młody, wielce uczony lekarz, trzymając go za rękę i puls mierząc. W tym trakcie do komnaty weszła Giannetta, która o chorego miała troskliwe staranie przez cześć, jaką dla jego matki żywiła. Młodzieniec, ujrzawszy ją, nie mówiąc ani słowa i nie zdradzając się żadnym poruszeniem, poczuł, że w sercu jego zwiększają się miłosne płomienie, przez co i puls począł bić silniej niż zazwyczaj. Medyk to zaraz z wielkim zadziwieniem zauważył i w milczeniu jął badać, jak długo trwać będzie to przyśpieszone bicie. Gdy Giannetta wyszła z komnaty, puls słabł. Wówczas zdało się medykowi, że odkrył prawdziwą przyczynę choroby. Trzymając po dawnemu chorego za rękę, kazał przywołać Giannettę, pod pozorem, że chce ją o coś zapytać. Giannetta zjawiła się nie mieszkając; nim jeszcze przez próg komnaty przestąpiła, już puls z pierwszą mocą bić począł, a później znów po jej wyjściu osłabł. Wówczas medyk, upewniony już co do słuszności swoich podejrzeń, podniósł się i wziąwszy na stronę rodziców, rzekł do nich:

— Uzdrowienie waszego syna nie zależy od kunsztu lekarzy, spoczywa ono w rękach Giannetty, którą młodzieniec miłuje z całej duszy, jak to poznałem z różnych znaków. Ona zasię, jak ze wszystkiego wnosić można, ani się nawet tego domyśla. Jeśli wam życie jego miłe, osądźcie sami, co wam czynić wypada.

Marszałek i jego żona ucieszyli się wielce, ponieważ wiedzieli już, jakiego środka trza użyć, aby syna ocalić. Nie było im jednak po myśli synowi za żonę Giannettę dawać. Po wyjściu lekarza udali się do komnaty chorego.

— Synu mój — rzekła matka — nigdy bym nie uwierzyła, że będziesz mógł ukrywać przede mną jakiekolwiek z swoich pragnień, a zwłaszcza to, które niespełnionym będąc, do takiego cię przywodzi stanu. Mogłeś być przecie pewien, że nie ma na świecie takiej rzeczy, której bym dla ciebie nie uczyniła jak dla siebie samej, choćby ona i niegodną była. Mimo żeś mi to zataił, Bóg okazał się bardziej litosny dla cię niż ty sam dla siebie, i aby cię od śmierci uchronić, ukazał mi przyczynę niemocy twojej. Wiem, że jest nią zbytek miłości, jaką żywisz do pewnej dzieweczki. Nie trza ci się było wstydzić swego afektu, bez względu na to, kim by twoja wybranka była. Wiek twój miłości się domaga i powiem ci nawet, że gdybyś nie miłował, gorsze mniemanie bym o tobie miała. Zatem nie sromaj się przede mną, mój synu, jeno szczerze wszystkie pragnienia swoje mi odkryj. Zbądź się melankolii i tej myśli przykrej, co niemoc twoją powoduje, nabierz otuchy i pamiętaj, że nie ma na świecie nic takiego, czego bym dla cię nie uczyniła, bowiem miłuję cię bardziej niż życie własne. Porzuć więc wstyd fałszywy i strach i rzeknij mi, jak i czym mogę ci w twojej miłości dopomóc? Jeżeli obaczysz, że nie uczynię wszystkiego, co w mojej mocy leży, i że do pomyślnego skutku rzeczy nie przywiodę, będziesz mógł mnie nazwać najokrutniejszą matką, jaka kiedykolwiek dzieci na świat wydała.

Młodzieniec, usłyszawszy słowa matki, najpierw się ze wstydu zarumienił, lecz później pomyślawszy, że nikt skuteczniej od niej w tej sprawie mu nie dopomoże, przemógł wstyd i rzekł:

— Jeśli, droga matko, do tych pór moją miłość skrywałem, to przyczyną tego było, iż patrząc na wielu ludzi to przeświadczenie wyniosłem, iż gdy człowiek do sędziwego wieku przychodzi, nie chce wspominać o tym, że i sam był kiedyś młodym. Aliści, widząc po waszych słowach, że jesteście pełni wyrozumienia, nie tylko nie będę przeczył temu, czego się domyślacie, lecz i szczerze wam wszystko wyznam pod warunkiem, że zdziałacie wszystko, aby swoją obietnicę, o ile to w mocy waszej, wypełnić tak, abym wrychle do zdrowia mógł powrócić.

Dama (która zamyśliwszy już coś, zbytnio wierzyła w uskutecznienie swoich zamysłów, chocia niesądzone im było spełnić się w takiej właśnie postaci) ponowiła swoje zaręczenia, prosząc, aby uwiadomił ją o swoich pragnieniach, i przyrzekając, że bez odwłoki całą sprawę uładzi, zgodnie z jego życzeniem.

— Do tego stanu, w jakim mnie teraz widzicie — rzekł młodzieniec — dowiodła mnie nieszczęśliwa miłość do Giannetty. Jej piękność, obyczajność i nieśmiałość, co mi nie tylko liczyć na jej wzajemność, ale afektów swych wyznać nie dozwalała, a takoż obawa zdradzenia się z mą miłością przed kimkolwiek — oto co mnie w niemoc wtrąciło. Jeśli się wam nie uda dopełnić w tej czy innej postaci tego, coście mi obiecali, bądźcie pewni, że nie będę żył już długo.

Matka widząc, że teraz nie czas gromić syna, przeciwnie, że raczej otuchy dodawać mu należy, odparła z uśmiechem:

— Czyż trza było, mój synu, dla tej przyczyny aż w chorobę popadać? Bądź teraz cierpliwy, pozwól mi działać, a obaczysz, że do zdrowia powrócisz.

Młodzieniec, pełen nadziei, zaczął wkrótce do sił przychodzić; matka, wielce tym uradowana, myślała tylko nad tym, jak by spełnić daną mu obietnicę.

Pewnego dnia przywołała Giannettę i łaskawymi a żartobliwymi słowy wypytywać ją jęła, zali ma jakiego miłośnika? Giannetta pokraśniała od wstydu i rzekła:

— Niestosowna to rzecz myśleć o miłości, gdy się jest biedną dziewczyną, wygnaną z domu i żyjącą z łaski obcych ludzi, tak jak ja.

— Jeśli kochanka nie masz — odparła dama — to my ci go znajdziemy. Będziesz z nim żyła szczęśliwie, ciesząc się swoją pięknością. Nie przystoi przecie tak urodziwej dzieweczce bez miłośnika ostawać.

— Szlachetna pani — rzecze Giannetta — wziąwszy mnie od ojca-nędzarza, wychowywaliście mnie jak córkę rodzoną; za to gotowa jestem być wam posłuszną we wszystkim, w tym tylko jednym nie mogę się przecie poddać waszej woli i mniemam, że dobrze tak czynię. Jeśli się wam podoba dać mi męża, jego tylko miłować będę. Z dziedzictwa przodków moich nic mi nie pozostało krom czci, której strzec i chronić będę do końca dni moich.

Odpowiedź panienki była na wszem przeciwna życzeniom damy, która chciała dopełnić obietnicy, danej synowi, i choć w głębi serca, jako wielce cnotliwa białogłowa, rację Giannetcie przyznać musiała, przecie jeszcze na niej próbowała zgodę wymóc.

— Jak to, Giannetto — rzekła — a gdyby tak sam król, który jest młodym rycerzem, pragnął się cieszyć twoją miłością, zaliżbyś mu odmówiła?

— Król mógłby mi gwałt zadać — odparła Giannetta — ale mego przyzwolenia nigdy nie otrzymałby na nic, co by cnocie przeciwne było.

Dama, poznawszy jej niezachwiane przedsięwzięcie i wiedząc, że słowami nic nie wskóra, postanowiła ją wystawić na próbę. Rzekła synowi, że skoro do zdrowia powróci, pomieści z nim Giannettę w jednej komnacie, niechajże wówczas sam stara się ją k'temu przywieść, aby powolna mu była, bowiem jej, matce, nie przystoi roli rajfurki odgrywać, namawiając i prosząc dziewczę, aby go względami swymi obdarzyło.

Syn jednak żadną miarą na to zgodzić się nie chciał. Stan jego zdrowia z dnia na dzień znów się pogarszać począł. Dama, spostrzegłszy to, jawnie i szczerze wszystko Giannetcie powiedziała, aliści ta jeszcze bardziej nieustępliwą się okazała. Wówczas oznajmiła o wszystkim mężowi. Chocia im i ciężko to przyszło, postanowili dać synowi Giannettę za żonę, bowiem woleli widzieć syna żywego z nierówną mu stanem żoną niźli go bez żony na marach oglądać. Tak też i uczynili. Giannetta, wielce uszczęśliwiona, gorące dzięki Bogu złożyła za to, że nie zapomniał o niej. Nie zdradziła jednakoż prawdziwego pochodzenia swego i dalej za córkę Pikardczyka uchodziła.

Młodzieniec wkrótce do zdrowia przyszedł, a po zawarciu ślubu z radością najżywszą jął używać bez przeszkód dozwolonych rozkoszy.

Perotto, który w księstwie Walii na dworze marszałka króla angielskiego pozostał, wyrósł na dzielnego młodzieńca. Z każdym dniem zyskiwał coraz większą łaskę u pana swego. Nie było na całej wyspie nikogo, co by mógł mu sprostać na turniejach, w robieniu bronią i w innych rycerskich ćwiczeniach. Dlatego też powszędy jako Perotto-Pikardczyk zasłynął. Bóg, który o jego siostrze nie zapomniał, i o nim także pomyślał. Gdy w Anglii wybuchł mór, niemal połowa mieszkańców życie utraciła, nie mówiąc już o tym, że wielu z tych, co przy życiu ostali, salwowało się ze strachu ucieczką do innych krajów — dzięki czemu cała wyspa sprawiała wrażenie opustoszałej. W czasie zarazy umarł opiekun Perotta, marszałek, zeszli także z tego świata: jego syn, żona, bracia, siostrzeńcy i inni krewniacy. Ocalała tylko jedna córka marszałka, już dorosła, oraz Perotto. Gdy mór srożyć się przestał, dzieweczka poszła za mąż za Perotta. Wiedziała, że jest on człowiekiem rozumnym i szlachetnym, i dlatego też, idąc za radą nielicznych sąsiadów, pozostałych przy życiu, wybrała go sobie na męża i uczyniła go panem majętności, które jej w dziedzictwie przypadły. Król angielski, uwiadomiony o śmierci marszałka i o szczególnych przymiotach Pikardczyka-Perotta, następcą zmarłego, czyli marszałkiem go mianował.

Taki był szczęśliwy los dwojga niewinnych dzieci grabiego Antwerpii, które był on porzucił jakby na pewną zgubę.

Minęło już osiemnaście lat od chwili, gdy grabia Antwerpii uszedł z Paryża. Gualtieri, żyjąc jak nędzarz przez ten cały czas w Irlandii i siła przeciwności znosząc, wielce się zestarzał. Pragnął dowiedzieć się, co się z jego dziećmi stało, zwłaszcza że nie obawiał się już być poznanym; pozór jego był już całkiem od dawnego jego wyglądu odmienny, a dzięki nieustannym ciężkim trudom grabia czuł się krzepszym niż dawniej, gdy to żył pośród wygód i wczasów. Pożegnawszy się z Irlandczykiem, u którego przez tak długi czas przebywał, udał się, w nędzne przyodziany szaty, do tego miasta w Anglii, gdzie Perotta pozostawił. Dowiedziawszy się, że Perotto został marszałkiem i wielkim panem, i ujrzawszy go w dobrym zdrowiu, pięknym i silnym, wielkiej radości doznał, aliści nie chciał dać się poznać synowi do tego czasu, póki nie uzna, gdzie się Giannetta znajduje. Znowu tedy w drogę wyruszył i do Londynu przybył. Tutaj, zasięgnąwszy ostrożnie wiadomości o damie, której córkę swą powierzył, zasłyszał, że Giannetta wyszła za mąż za jej syna. Na wieść o tym tak niewymowną pociechę uczuł, że wszystkie dawne przeciwności małymi mu się być wydały; znalazł bowiem swoje dzieci przy życiu, zdrowe i szczęśliwe. Żądny obaczenia córki, jął krążyć jako żebrak w pobliżu jej domu. Pewnego dnia Giachetto Lamiens (tak się zwał mąż Giannetty), ujrzawszy starca-nędzarza, wielką litość do niego poczuł, i dlatego przykazał słudze do domu go sprowadzić i nakarmić go w imię miłości Chrystusa. Sługa chętnie wolę swego pana wypełnił. Giannetta obdarzyła już męża kilkorgiem dzieci, z których najstarsze ósmy rok życia liczyło. Były to najpiękniejsze i najmilsze dziatki na świecie. Obaczywszy starego grabię, w czasie gdy ten jadł wieczerzę, okrążyły go i jęły się z nim witać czule, tak jakby tajnym przeczuciem wiedzione odgadły, że jest on ich dziadem. Grabia, wiedząc, że dziatki są jego wnuczętami, hołubił je i tulił, w czym dzieci tak sobie upodobały, że mimo wołania swego preceptora odejść od niego nie chciały.

Giannetta, wołania te usłyszawszy, wyszła z komnaty i zagroziła dzieciom, że je ukarze, jeśli swego preceptora słuchać nie będą. Dziatki rzekły z płaczem, że chcą ostać ze staruszkiem, który ich bardziej miłuje niż preceptor, co usłyszawszy Giannetta i grabia serdecznie się uśmieli.

Grabia podniósł się i pozdrowił panią domu, nie jak ojciec swoją córkę rodzoną, lecz jak żebrak bogatą damę. Na widok Giannetty wielką radość z głębi serca uczuł, aliści ona nie poznała go wcale, bowiem do tego stopnia pozór jego się odmienił. Ów brodaty,

chudy, siwy, o ciemnej barwie oblicza starzec podobniejszy był do każdego innego na świecie człowieka niźli do grabiego Antwerpii.

Giannetta, widząc, że dzieci nie chcą odejść od starca i że uderzają w płacz, gdy się je chce siłą zabrać, rzekła preceptorowi, aby je na chwilę w spokoju zostawił. Wkrótce potem wszedł do komnaty ojciec Giachetta, któremu preceptor całą historię opowiedział.

Rodzic Giachetta, będący niechętny Giannetcie, rzekł:

— Ostawcie ich złemu losowi, jaki Bóg im przeznaczył. Są takimi, jakimi być powinny, zgodnie ze swym pochodzeniem. Matka ich jest córką włóczęgi i nędzarza, cóż zatem dziwnego, że lgną do żebraka?

Słowa te boleśnie zraniły grabiego. Jednakoż, zwarłszy ramiona, uniósł w milczeniu tę obelgę, jako i wiele innych zniewag w przeszłości znosił.

Mąż Giannetty, Giachetto, obaczył, z jaką przychylnością dzieci starca przyjmują; chocia niezbyt mu to miłym było, przecie tak je miłował, że chcąc im łez oszczędzić rozkazał, aby starzec w jego domu pozostał, jeśli tylko do jakiej roboty się nadać będzie mógł. Starzec odparł, że pozostałby chętnie, jednakoż nie zna się na niczym, jak tylko na obejściu z końmi, czym przez całe życie swoje się zajmował. Oddano mu zatem pod dozór jednego konia; cały wolny czas na zabawach z dziećmi spędzał. W czasie gdy los takimi drogami wiódł grabiego Antwerpii i jego dzieci, król francuski, który długi rozejm z Niemcami ustanowił, zszedł z tego świata. Na tron wstąpił jego syn, przez którego małżonkę grabia wygnany został. Gdy czas zawieszenia broni upłynął, król francuski okrutną wojnę z Niemcami rozpoczął. Angielski król, będący od niedawna jego krewniakiem, przysłał mu na pomoc liczne swoje wojska pod dowództwem marszałka Perotta i syna marszałka, Giachetta Lamiens. Pospołu z tym ostatnim ruszył na wojnę dzielny starzec, to jest grabia Antwerpii. Służył on przez długi czas przy armii jako masztalerz, nie będąc od nikogo poznany. Jako człek mądry i wielką eksperiencję w rzeczach wojennych mający, radami swymi i czynami więcej pożytku przynosił, niżby się tego po nim ktokolwiek spodziewać mógł. Zdarzyło się, że w czasie wojny królowa Francji ciężko zaniemogła. Widząc się bliską zgonu, wyrzutami sumienia nękana, wyspowiadała się szczerze ze wszystkich grzechów arcybiskupowi z Rouen, znanemu powszechnie z pobożności i zacności. Wyznała mu takoż ciężką krzywdę, jaką wyrządziła grabiemu Antwerpii. Cały przebieg tej sprawy opowiedziała nie tylko jemu, ale i wielu przytomnym, prosząc ich, aby wymogli na królu, by przywrócił grabiego, jeśli

ten jeszcze żyje, do dawnych praw i godności, jeżeli zaś umarł, to aby dziedzictwo na jego dzieci przeszło.

Wkrótce potem królowa zeszła z tego świata i z należną czcią pogrzebana została.

Gdy król o tej spowiedzi żony swojej usłyszał, srogi żal uczuł z powodu krzywdy wyrządzonej tak szlachetnemu człowiekowi i rozkazał natychmiast w całej armii i po całym kraju obwołać, że kto mu da najmniejsze uwiadomienie o grabi lub o jego dzieciach, sowitą nagrodą obdarzony zostanie, bowiem, jak to królowa na łożu śmierci wyznała, Gualtieri nie winien jest występku, za który na wygnanie skazany został. Król postanowił zatem do pierwotnego stanu go przywrócić. Grabia, służący za prostego masztalerza, usłyszawszy o obwieszczeniu i wiedząc, że zgodne to jest z prawdą, udał się zaraz do Giachetta i poprosił go, aby z nim razem do Perotta się udał, chce im bowiem pokazać to, czego król szuka.

Gdy się zeszli we trzech, grabia, który już pragnął prawdziwe imię swe odkryć, rzekł:

— Perotto, przytomny tutaj Giachetto pojął za żoną twoją siostrę, aczkolwiek żadnego wiana nie miała. Aby jednak siostra twoja nie była bez wiana, pragnę, by on, a nie kto inny, otrzymał tę znaczną nagrodę, jaką król obiecał za otrzymane o tobie wieści. Niechaj oznajmi, że jesteś synem grabiego Antwerpii, że jego żoną jest twoja siostra, Violanta, i że ja wreszcie jestem waszym ojcem, grabią Antwerpii.

Perotto, usłyszawszy to i bacznie na starca spojrzawszy, poznał w nim swego rodzica. Rzucił mu się do nóg z płaczem, a potem objąwszy go rzekł:

— Niech będzie po tysiąc razy błogosławiona ta chwila, w której powróciłeś do nas, mój ojcze!

Giachetto na słowa grabi i na postępek Perotta tak osłupiał i tak się uradował, że w pierwszej chwili nie wiedział, co mu uczynić należy. Jednakoż nie wątpiąc, że wszystko jest prawdą rzetelną, zawstydził się za swe słowa niesprawiedliwe, z jakimi nieraz do swego masztalerza się obracał, i padł mu również ze łzami do stóp, błagając go o przebaczenie za wszelkie urazy.

Grabia, podniósłszy go, dobrotliwie mu wybaczył. Długo we trzech gawędzili, ze łzami przeszłość wspominając i z teraźniejszego szczęścia się ciesząc. Giachetto i Perotto pragnęli, aby grabia zaraz w stosowne szaty się przebrał, ale Gualtieri żadną miarą na to przystać nie chciał. Domagał się, aby Giachetto pierwej obiecaną nagrodę otrzymał i aby zaprowadził go przed króla w tym samym nędznym odzieniu, dla tym większego zawstydzenia władcy. Giachetto w towarzystwie grabi i Perotta stanął przed obliczem króla i oznajmił, że przedstawi mu grabiego i jego dzieci, jeśli tylko nagroda

naznaczona go nie minie. Król natychmiast kazał przynieść podarki, których świetność zdumieniem obecnych przejęła, i polecił wręczyć mu je, gdy tylko upragnionej wiadomości udzieli. Wówczas Giachetto obrócił się i wysunąwszy przed króla swego masztalerza i Perotta rzekł:

— Oto, Wasza Królewska Mość, ojciec i syn; córki, która jest moją małżonką, nie masz tutaj, ale jeśli Bóg pozwoli, i ją wkrótce obaczycie.

Król, słowa te usłyszawszy, spojrzał na Gualtieriego, a chocia ten wielce się zmienił, przecie poznał go wreszcie. Ze łzami w oczach podniósł grabiego z klęczek, ucałował go i uściskał, Perotta zasię z równą łaskawością przyjął.

Później rozkazał, aby grabiemu dano przystojne szaty, zbroję, rumaka i poczet sług. Rozkaz ten w mgnieniu oka wypełniono. Krom tego wiele uprzejmości Giachettowi okazał i wypytał się go o całą jego przeszłość.

Gdy Giachetto otrzymał podarki za wskazanie grabiego i jego dzieci, grabia rzekł:

— Weź te dary od szczodrego króla naszego i nie zapomnij rzec swemu ojcu, że dzieci twoje, moje i jego wnuczęta, nie pochodzą ze strony matki od żebraków i włóczęgów.

Giachetto wziął dary i wezwał do Paryża żonę swoją i matkę. Przybyła tam takoż żona Perotta. Dłuższy czas przebywali w Paryżu, ciesząc się wielce ze swego szczęścia razem z grabią, którego król do dawnych majętności przywrócił i do znaczniejszych jeszcze godności niż dawniej go podniósł.

Później wszyscy do domów swoich powrócili. Grabia żył w Paryżu aż do dnia swojej śmierci powszechną czcią otoczony".

Opowieść dziewiąta. Nieszczęścia poczciwej białogłowy

Bernabo z Genui, przez Ambrogiuola oszukany, traci fortunę i rozkazuje zabić niewinną żonę swoją. Ta salwuje się ucieczką i przebrana za mężczyznę, służy u sułtana. Znajduje wreszcie oszusta i Bernaba do Aleksandrii sprowadza, gdzie Ambrogiuolo stosowną karę ponosi, a potem wraz z mężem, ubiór kobiecy znów przybrawszy, do Genui z bogactwy powraca.

Skoro Eliza tą wzruszającą opowieścią z obowiązku swego się wywiązała, podniosła się królowa Filomena, piękna i słusznego wzrostu białogłowa, mająca w rysach oblicza osobliwego wdzięku wyraz, i po chwili milczenia rzekła wesołym głosem:

— Należy przestrzegać umowy z Dioneo; tylko my dwoje mamy jeszcze opowiadać. Najpierw ja swoją historię opowiem, a Dioneo niech na koniec swoją ostawi. Sam o to bowiem, jak o szczególną łaskę, prosił.

Nieraz lud powtarza to przysłowie, że kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Trudno by było dowieść, że te słowa są prawdą rzetelną, gdyby nie potwierdzały jej zdarzenia i przypadki życiowe. Owóż, idąc za postanowieniem naszym, mam możność pokazać wam, miłe damy, że ludzie prawdę powiadają, chcę także opowieścią tą nauczyć was ostrożności wobec oszustów.

„W pewnej gospodzie w Paryżu zebrało się kilku zamożnych kupców włoskich, przybyłych do tego miasta dla różnych spraw.

Pewnego dnia, po wesoło spożytej wieczerzy, gawędzili o tym i o owym. Z jednego przedmiotu rozmowy na drugi przechodząc, jęli wreszcie mówić o swoich żonach, które w domu pozostały. Jeden z nich rzekł:

— Nie wiem, wierę, co moja żona teraz robi, to jeno wiem dobrze, że ja, gdy mi wpada w ręce jakaś urodziwa dzieweczka, pozostawiam na stronie miłość, jaką żonie winienem, i używam rozkoszy z tą, która mi ją daje.

— Ja także tak czynię — rzekł drugi. — Czy będę, czyli też nie będę myślał o tym, czy moja żona przyjemności zażywa, czy jej będę ufał, czy też nie, na jedno to wyjdzie, bowiem, jeśli zechce, i tak jej na wodzy nie utrzymam. Lepiej tedy z góry pięknym za nadobne odpłacić.

Trzeci był podobnego zdania. Słowem, wszyscy przytomni zgodzili się na to, że ich żony nie marnują po próżnicy pięknej pory, kiedy same w domu pozostają. Tylko jeden z biesiadników, Bernabo Lomellin z Genui, inaczej twierdził, zaręczając, że z łaski boskiej ma żonę uraczoną wszystkimi zaletami, jakie nie tylko białogłowie, ale i rycerzowi albo giermkowi przystoją. Drugiej takiej białogłowy w całych Włoszech nie znaleźć!

Nie tylko bowiem młoda jest jeszcze, piękna, silna i zręczna, ale i bieglejsza we wszystkich robotach białogłowskich, jak w wyszywaniu jedwabiem i innych zajęciach, od wszystkich swoich towarzyszek. Twierdził przy tym, że żaden giermek ani inny sługa lepiej od niej przy stole nie usłuży, jest bowiem wielce obyczajną, przezorną i roztropną. Wychwalał w niej także i to, że umie konia dosiadać i sokoła pięknie trzymać; pisać, czytać i rachować zasię potrafi lepiej niż niejeden kupiec. Po złożeniu jej tych pochwał powrócił do przedmiotu poprzedniej rozmowy i przysiągł, że nie masz bardziej cnotliwej i obyczajniejszej od niej białogłowy. Dodał, że jest upewniony, iż gdyby nawet

przez dziesięć lat albo i dłużej poza domem przebywał, ona nigdy by sobie na żadne plugastwo z obcym mężczyzną nie pozwoliła.

Pośród biesiadników znajdował się także młody kupiec, zwany Ambrogiuolo z Piacenzy, który usłyszawszy ostatnią pochwałę, jaką Lomellin żonie swej oddał, wybuchnął głośnym śmiechem i drwiąco go zapytał, zali od cesarza otrzymał ten przywilej, którym na świecie nikt krom niego cieszyć się nie może. Na to Bernabo odparł z niejakim pomieszaniem, że łaski tej udzielił mu nie cesarz, lecz Bóg, którego moc trochę jest większa.

— Nie wątpię, Bernabo — odparł Ambrogiuolo — że wierzysz w to, co mówisz, jednakoż, według mego mniemania, niewiele się znasz na prawdziwym rzeczy przyrodzeniu. Gdybyś się był bowiem w te sprawy lepiej zagłębił, to nie będąc człekiem głupim wiele byś ważkich spostrzeżeń uczynił, które by ci kazały z większą ostrożnością o tej materii mówić. Abyś zasię nie pomyślał, że my, cośmy tak długo tutaj rozprawiali, jakieś osobne żonki mamy, nie takiej jak twoja natury, i że gadamy tak, nie wiedząc nic o przyrodzeniu rzeczy, chcę pomówić z tobą o tym szczegółowie. Zawżdy się słyszy, że mężczyzna jest najszlachetniejszym ze stworzeń boskich, po nim zasię zaraz kobieta idzie. Mężczyzna, wedle powszechnego zdania, potwierdzonego biegiem rzeczy, jest doskonalszy od białogłowy, a zatem winien niechybnie posiadać więcej charakteru i stałości. Kobiety są bardziej zmienne, jak tego dowodzą różne przykłady, których teraz wyliczać nie będę. Jeżeli zaś mężczyzna, o wiele od kobiety silniejszy, nie może oprzeć się białogłowie nie tylko wówczas, gdy ona go kusi, ale i wtedy gdy sam jej pragnie i gdy czyni wszystko, co w jego mocy leży, aby przedmiotem swych pragnień owładnąć (wierę, zdarza mu się to nie raz na miesiąc, lecz tysiąc razy na dzień), to zali sądzisz, że kobieta, z przyrodzenia swego od mężczyzny słabsza, nie ulegnie prośbom, pochlebstwu, podarkom i stu innym pokusom, do których pomocy przymyka miłujący ją a mądry mężczyzna? Myślisz, że oprzeć się zdoła? Nie wierzę, wbrew twemu twierdzeniu, aby twoje przekonanie takie właśnie być miało. Sam rzekłeś przecie, że twoja żona jest kobietą z krwi i ciała, tak jak i inne białogłowy. Jeśli tak jest, to winna mieć te same pragnienia i równie mało siły, aby się im oprzeć. Choćby i była cnotliwszą od innych, jednak jest rzeczą możliwą, że uczyni to, co inne czynią. Żadnej zaś rzeczy możliwej nie należy przeczyć tak stanowczo, jak ty to czynisz, twierdząc coś wręcz przeciwnego.

Na to Bernabo odparł:

— Jestem kupcem, a nie filozofem, i dlatego odpowiem ci po kupiecku. Wszystko to, o czym mówisz, przydarzyć się może białogłowom głupim, które ani wstydu, ani sumienia nie mają. Kobiety mądre bacznie czci swojej strzegą i w większej mają ją cenie niźli mężczyźni, którzy o nią mało się troskają. Do takich właśnie białogłów moja żona się zalicza.

— Zaiste — odparł Ambrogiuolo — gdyby za każdym pofolgowaniem swej chuci wyrastał białogłowie róg na czole, na świadectwo tego, co uczyniła, to wówczas zgodziłbym się z tobą, że niewiele by ich grzeszyło. Nie tylko im jednak rogi nie wyrastają, lecz i wszystkie ślady występku giną, gdy tylko kobiety mądrze biorą się do rzeczy. Wstyd i honoru szwanki powstają zaś tylko wówczas, gdy sprawa jawną się staje. Dlatego też czynią wszystko w ukryciu, a tylko głupie o tajemnicę nie dbają. Miej to za pewne, że tylko ta jest nieskalana, której nikt nie zapragnął, albo też ta, która pragnąc, wzgardą nakarmiona została. Chocia wszystko to jest prawdą wynikającą z przyrodzonego rzeczy porządku, przecie bym sądu mego o tym tak twardo nie wyrażał, gdybym sam już wielu kobiet na próbę nie wystawiał. Powiem ci wprost, że gdybym się znalazł w bliskości twojej świętej małżonki, w krótkim czasie, jak mniemam, przywiódłbym ją do tego, do czego już siła innych doprowadziłem.

— Wszystkie te spory i dysputy — odparł rozdrażniony Bernabo — tylko czas po próżnicy nam zabierają. Ja będę mówił jedno, ty — drugie i nic z tego nie wyjdzie. Skoro jednak przekonany jesteś, że wszystkie białogłowy są tak ustępliwe, i skoro tak się chełpisz umiejętnością poczynania sobie z nimi, to ażeby cię wywieść z błędu co do mojej żony, oświadczam, iż dam sobie głowę uciąć, jeśli ci się uda ją do swojej woli nagiąć. Jeśli zasię porażkę poniesiesz, zadowolę się tym, że mi zapłacisz tysiąc złotych florenów.

— Bernabo — rzekł Ambrogiuolo, już sporem zapalony — gdy zakład wygram, nic mi po krwi twojej. Jeśli jednak masz ochotę obaczyć dowód prawdziwości twierdzeń moich, to postaw przeciwko memu tysiącowi pięć tysięcy. To przecie mniej, aniżeli warta twoja głowa. Chocia mi żadnego czasu nie oznaczasz, obowiązuję się pojechać do Genui i w ciągu trzech miesięcy od dnia wyjazdu z Paryża uwieść twoją żonę. Na dowód, że mi się to udało, przywiozę z sobą jej ulubione przedmioty i tyle okoliczności przytoczę, że nijakiej wątpliwości już nie będziesz mógł żywić. Musisz mi tylko dać przyrzeczenie, że przez te trzy miesiące nie pokażesz się w Genui i że o tej sprawie jednego słowa do żony swej nie napiszesz.

Bernabo zgodził się ochotnie, chocia inni kupcy, w gospodzie przytomni, chcieli do zakładu tego nie dopuścić, przeczuwając, że wielkie zło z tego wyniknąć może. Obaj przeciwnicy tak się zapalili, że wbrew przełożeniom i radom towarzyszy spisali własnoręcznie umowę, co ich wzajemnie obligowała. Gdy umowa już zawarta została, Bernabo pozostał w Paryżu, a Ambrogiuolo, nie tracąc czasu, nieodwłocznie do Genui się udał. Przebywszy tam kilka dni i sięgnąwszy języka o obyczajach żony Bernaba i o tym, gdzie przemieszkuje, usłyszał o niej jeszcze więcej dobrego niż z ust samego męża. Wówczas pojął, że wdał się w trudną sprawę. Jednakże, spotkawszy pewną ubogą kobietę, odwiedzającą często dom żony Bernaba i dobrze od niej widzianą, postanowił nie ustępować z placu.

Przekupił kobietę, ale tylko tego się dobił, że służka zgodziła się wnieść go w skrzyni umyślnie sporządzonej nie tylko do domu, lecz i do sypialnej komnaty cnotliwej damy. Służka uprosiła żonę Bernaba o przechowanie tej skrzyni przez kilka dni, dopóki z rzekomej podróży nie wróci. Skrzynia ostała w komnacie.

Około północy Ambrogiuolo, przekonany, że dama śpi już twardym snem, otworzył wieko wziętymi uprzednio narzędziami i chyłkiem wyszedł ze skrzyni do komnaty, w której ogarek płonął. Zważył dobrze wielkość komnaty, malowania na ścianach i różne przedmioty, wbijając sobie w pamięć wszystko, co było godniejsze uwagi. Potem zbliżył się do łoża, a obaczywszy, że dama wraz z małą dzieweczką, którą miała przy sobie, śpi krzepkim snem, ostrożnie odkrył ją całą i ujrzał, że naga równie jest piękna jak i w ubraniu. Nie mógł jednakoż dostrzec jakiegoś osobnego znaku krom znamienia pod lewą piersią, otoczonego złotymi włoskami. Później nakrył ją znów ostrożnie, hamując w sobie żądzę, którą rozgorzał na widok jej pięknego ciała. Niewiele już brakowało, aby legł obok niej, życiem swoim azardując. Nie odważył się jednak uczynić tego, wiedział bowiem, że jest sroga i nieprzystępna. Większą część nocy na myszkowaniu po komnacie spędził. Z otwartej szafy wziął sakiewkę, pierścionki, kilka pasów i szatkę zwierzchnią i wszystko to w skrzyni swojej umieścił. Później zamknął szczelnie wieko i przebył w skrzyni jeszcze dwie noce, nie wzbudzając najmniejszego podejrzenia w damie.

Trzeciego dnia, zgodnie z ustanowieniem, niewiasta powróciła po swoją skrzynię i zaniosła ją tam, skąd ją wzięła. Ambrogiuolo wylazł ze skrzyni i zapłaciwszy kobiecie umówioną sumę powrócił pośpiesznie do Paryża ze zrabowanymi przedmiotami, nim jeszcze czas naznaczony upłynął. Zwołał wszystkich kupców, którzy byli świadkami zakładu, i w ich oraz Bernaba przytomności oznajmił, że zakład wygrał, bowiem

dokonał tego, co obiecał. Na dowód, że prawdę gada, opisał najpierw wygląd komnaty i malowania w niej się znajdujące, a później pokazał przedmioty, które rzekomo od damy w podarunku otrzymał. Bernabo musiał przyznać, że opis komnaty zupełnie z prawdą się zgadza i że przedstawione przedmioty w istocie własność jego żony stanowiły; zauważył jednak, że Ambrogiuolo mógł się dowiedzieć o wyglądzie komnaty od sług, a takoż w podobny sposób rzeczy te otrzymać. Jeśli zatem innych dowodów nie przedłoży, to jeszcze nie jest rzeczone, aby zakład wygrał. Na to Ambrogiuolo odparł:

— Powinno, dalibóg, ci to wystarczyć, aliście jeśli chcesz więcej się jeszcze dowiedzieć, to ci rzeknę, że pani Ginevra, twoja żona, ma pod lewą piersią dość duże przyrodzone znamię, pokryte sześcioma jasnymi jak złoto włoskami.

Słowa te ugodziły jak nóż w serce Bernaba. Zmienił się na obliczu i chocia ani jednego słowa nie pisnął, przecie wszyscy poznali, że Ambrogiuolo prawdę powiedział. Po chwili milczenia rzekł:

— Prawdą jest wszystko, co Ambrogiuolo powiedział. Ponieważ zakład wygrał, niechaj jutro tutaj się zjawi, aby pieniądze otrzymać.

Nazajutrz Bernabo wypłacił Ambrogiuolowi całą należność.

Bernabo, pełen gniewu i złości na żonę, wyjechał z Paryża i do Genui się udał. Nie dojechał jednak do miasta, lecz zatrzymawszy się w jednej ze swych majętności o dwadzieścia mil od grodu, wyprawił tam swego zaufanego sługę z dwoma końmi i listem do żony, w którym donosił o swoim przybyciu i prosił ją, aby wraz ze sługą do niego się udała. Słudze zaś wydał sekretny rozkaz, aby po drodze, w miejscu, które mu się najbardziej stosowne wyda, bez żadnej litości madonnę Ginevrę zamordował, a potem do niego powrócił. Wysłaniec przybył do Genui, wywiązał się ze swych zleceń, oddał pismo i został przyjęty z wielką radością przez damę, która nazajutrz siadła na koń i razem z sługą wyprawiła się w drogę. Jechali, zabawiając się rozmową o różnych rzeczach i w końcu przybyli do głębokiej, odludnej doliny, otoczonej skałami i drzewami. Sługa, uważając, że jest to miejsce najstosowniejsze do wypełnienia rozkazu jego pana, wydobył sztylet, schwycił damę za rękę i rzekł:

— Polećcie Bogu duszę swoją, pani! Tutaj bowiem umrzeć musicie!

Dama, ujrzawszy sztylet i słowa te usłyszawszy, zawołała wielce zestrachana:

— Wielki Boże! Powiedz, za co mnie chcesz życia pozbawić? Cóż złego ci uczyniłam?

— Pani — rzekł sługa — nie wyrządziliście mi najmniejszej krzywdy, musieliście jednak srodze obrazić waszego męża, skoro polecił mi on, abym was na tej drodze bezlitośnie zamordował. Zagroził mi, że jeśli tego nie uczynię, każe mnie powiesić.

Wiem przecie, ile mu winienem; nie mogę przeto nie wypełnić jego woli. Bóg widzi, że mi was żal, ale nic innego uczynić mi nie pozostaje.

— Ulitujcie się nade mną w imię miłości Boga — zawołała dama, płacząc rzewliwie — chcąc dogodzić swemu panu, nie staraj się być zabójcą człowieka, który nic złego ci nie uczynił. Bóg wszechmocny wie, że przeciw małżonkowi swemu w niczym nie zgrzeszyłam i że ta kara ciężka bez winy mojej na mnie spada. Ale nie mówmy o tym teraz. W twojej mocy leży, jeśli tylko będziesz tego chciał, zadowolnić twego pana, a Bogu i mnie jednocześnie dobro wyświadczyć. Weź moje suknie, daj mi tylko swój kaftan i płaszcz, a potem powróć do swego pana i powiedz mu żeś mnie zabił. Przysięgam ci na to życie, które mi ocalisz, że oddalę się stąd na zawsze i że o mnie nigdy wieści do tych stron nie dotrą.

Sługa, który wcale nie miał chęci zabijać, łatwo dał się zmiękczyć. Wziął od Ginevry szaty, wręczył jej swój kaftan i płaszcz, ostawił jej pieniądze, które przy sobie miała, zaklinając ją kilkakrotnie, aby jak najprędzej z tych stron się oddaliła. Potem, zostawiwszy ją w wąwozie, powrócił do swego pana i rzekł mu, że nie tylko rozkaz jego wypełnił, ale sam na własne oczy widział, jak wilki ciało Ginevry rozszarpały.

Po niejakim czasie Bernabo powrócił do Genui. Gdy sprawa jawną się stała, wszyscy złorzeczyć mu jęli.

Tymczasem pani Ginevra ostała sama ze swym nieszczęściem. Gdy noc nastała, odmieniwszy, jak mogła najlepiej swój pozór, schroniła się do chaty, znajdującej się w pobliżu. Otrzymała tutaj od pewnej staruszki wszystko, co jej potrzebne było, skróciła kaftan sługi stosownie do swej postaci, z koszuli swojej uczyniła spodnie, ostrzygła włosy i przemieniwszy się tym sposobem w marynarza, skierowała się ku morzu. Na brzegu spotkała przypadkiem pewnego katalońskiego szlachcica, zwanego Encararch, który wysiadł z swego sudna, stojącego na kotwicy w Albenga, aby orzeźwić się nieco u źródła. Wstąpiła z nim w rozmowę i zgodziła się doń na służbę, przezwawszy się Sicuranem z Finale. Gdy weszli na pokład, Encararch dał jej lepsze szatki. Odtąd jęła swemu panu usługiwać z taką starannością, iż ten, z nowego sługi wielce zadowolony, osobnym faworem darzyć go począł. Zdarzyło się, że po kilku miesiącach Katalończyk zawinął z ładunkiem do portu w Aleksandrii. Przywiózł z sobą kilka rzadkich sokołów, przeznaczonych na podarek dla sułtana. Sułtan, wdzięczny za ten dar, nieraz zapraszał Katalończyka do swojego stołu, Encararchowi towarzyszył zawsze Sicurano, który do stołu usługiwał. Sułtan upodobał go sobie i poprosił Katalończyka, aby mu go odstąpił.

Encararch, acz niechętnie, na prośbę przystał. Sicurano w krótkim czasie pozyskał łaskę sułtana, nie mniejszą od tej, jaką się u Katalończyka cieszył.

W owych czasach w mieście Acri, podwładnym sułtanowi, odbywał się corocznie jarmark, na który ze wszech stron zjeżdżali się chrześcijańscy i saraceńscy kupcy. Dla ich bezpieczeństwa sułtan zwykł był posyłać do Acri, krom wielu urzędników, także i straż zbrojną, pozostającą pod rozkazami zaufanego człeka. Tym razem zamyślił wyprawić do Acri Sicurana, znającego już dobrze język miejscowy. Tak się też i stało. Sicurano przybył do Acri jako dowódca straży, przeznaczonej dla ochrony towarów i kupców. Sprawując swoje obowiązki starannie i sam nad wszystkim mając dozór, spotkał Sicurano wielu kupców z Sycylii, Wenecji, Pizy i z Genui. Wspominając miłą ojczyznę, ochotnie z nimi w dyskursy wstępował.

Pewnego dnia stanął obok kramu kupców weneckich i pośród rozlicznych przedmiotów ujrzał sakiewkę i pas, które kiedyś doń należały. Zadziwił się wielce, ale nie dawszy po sobie najmniejszej poznaki, zapytał, czyje są to rzeczy i zali na sprzedaż są tu wystawione. Do Acri przybył właśnie na weneckim statku, wiozącym ładunek różnych towarów, Ambrogiuolo z Piacenzy. Usłyszawszy, że kapitan straży zapytuje, do kogo przedmioty te należą, wystąpił naprzód i rzekł ze śmiechem:

— Rzeczy te są moją własnością i sprzedawać ich nie chcę. Skoro się jednak wam tak spodobały, dam wam je chętnie w upominku.

Sicurano, widząc, że kupiec się śmieje, zatrwożył się na myśl, że to może ktoś, co go rozpoznał, jednakże nie tracąc rezonu rzekł:

— Śmiejesz się zapewne z tego, że człek wojskowy pyta się o takie niewieście szmatki?

— Nie, panie — odparł Ambrogiuolo — śmieję się jeno, przypominając sobie, jakim sposobem do posiadania tych przedmiotów przyszedłem.

— Powiedz mi więc — rzekł Sicurano — jeśli w tym żadnej tajności nie ma, jak je zdobyłeś?

— Dała mi je, panie, wraz z innymi przedmiotami pewna piękna białogłowa z Genui, zwana madonna Ginevra, żona Bernaba Lomellin, owej nocy, gdy z nią spałem, prosząc, abym je na pamiątkę zachował.

Śmieję się zaś, wspominając głupotę Bernaba, który wstąpił w zakład ze mną, stawiając pięć tysięcy florenów przeciwko memu tysiącowi, że jego żona nie da mi się do żadnego plugastwa nakłonić. Udało mi się jednak opór jej przełamać, przez co zakład

wygrałem. On zasię, miast sam siebie raczej za swoją głupotę ukarać niż ją za to, co wszystkie kobiety czynią, udał się z Paryża do Genui i jak słyszałem, zabić ją kazał.

Sicurano usłyszawszy to, poznał od razu, jaka była przyczyna gniewu Bernaba i zrozumiał, że ów człek był powodem wszystkich jego nieszczęść. Postanowił więc zbrodni tej płazem nie puścić i udał, że cała ta historia wielce go ciekawi. W krótkim czasie zawiązał z Ambrogiuolem tak ciasną przyjaźń, że ów za jego radą, gdy się już jarmark skończył, z nim i z całym dobytkiem do Aleksandrii się udał. Sicurano urządził mu sklep i dał mu wiele pieniędzy do ręki, tak iż Ambrogiuolo, widząc znaczne dla siebie korzyści, ochotnie tam się osiedlił. Tymczasem Sicurano, zajęty jedynie myślą przekonania Bernaba o niewinności swojej, nie spoczął, dopóki przy pomocy kilku genueńskich kupców, którzy w Aleksandrii bawili, pod odpowiednim pozorem do tego miasta go nie ściągnął. Bernabo żył wówczas w dosyć nędznym stanie.

Sicurano zatroskał się o to, aby pomieścić go w domu pewnego swego przyjaciela, gdzie miał przebywać aż do czasu uskutecznienia się jego zamysłów. Powiódł rzeczy tym trybem, że Ambrogiuolo powtórzył swoją opowieść przed sułtanem, któremu ona wielce do smaku przypadła. Mając jednak Bernaba pod ręką, Sicurano uznał, że nie trza już sprawy w odwłokę podawać; wybrawszy przeto stosowną godzinę, poprosił sułtana, aby w przytomności Bernaba rozkazał Ambrogiuolowi opowiedzieć, jak się miała rzecz z żoną Bernaba, która, wedle jego słów, woli jego uległa. Gdyby po dobrej woli wyznać wszystkiego nie chciał, groźbami się go do tego przymusi. Bernabo i Ambrogiuolo stanęli przed sułtanem. Ów wobec wielu zebranych spytał surowo Ambrogiuola, jakim sposobem wygrał był od Bernaba pięć tysięcy florenów złotych, i prawdę mu mówić przykazał. Rozmowie tej przytomny był Sicurano, w którym Ambrogiuolo z początku wielkie nadzieje pokładał. Aliści ten ze zmienionym obliczem zagroził mu najsroższymi katuszami, jeżeli nie zechce wyznać prawdy. Ambrogiuolo, zatrwożony i do muru przyparty, mniemając, że w najgorszym razie będzie musiał oddać pięć tysięcy florenów, opowiedział w przytomności Bernaba i innych istotny przebieg zdarzenia.

Gdy opowieść swoją zakończył, Sicurano, jako pełnomocnik sułtana, obrócił się do Bernaba i spytał:

— A ty, na skutek tego oszustwa, co uczyniłeś ze swoją żoną?

— Zaślepiony gniewem z powodu straty pieniędzy i hańby, którą jak sądziłem, mojemu imieniu wyrządziła, kazałem ją słudze zamordować. Według jego słów, ciało jej zaraz wilcy rozszarpali.

Wszystko to rzeczone zostało w przytomności sułtana; sułtan nie pojmował jeszcze, ku czemu zmierza Sicurano, który to wszystko urządził, aż wreszcie ów, obróciwszy się doń rzekł:

Teraz widzicie, panie mój a władco, jakim to miłośnikiem i jakim mężem ta biedna kobieta szczycić się mogła. Kochanek kłamliwym oskarżeniem obdziera ją ze czci, a jednocześnie do nędzy męża jej przywodzi. Mąż zasię, dając więcej wiary oszczerstwu niźli prawdzie, którą mógł w ciągu długiego pożycia poznać dowodnie, każe ją zabić i na pastwę wilkom rzucić. Krom tego obaj, kochanek i mąż, tak wielką do niej miłość żywią, że nawet nie poznają jej, chocia znaczny kęs czasu z nią pospołu przebywali. Abyście lepiej pojęli, na co każdy z nich zasłużył, przywiodę ją tutaj, was zaś, panie mój, proszę, abyście dla tej łaskawości, jaką dla mnie żywicie, ukarali tylko winnego, a oszukanemu przebaczyli.

Sułtan, gotów uczynić wszystko, czego Sicurano pragnął, przystał na jego prośbę i rozkazał, aby białogłowa stanęła przed nim, nie mieszkając. Bernabo wielce się zadziwił temu wszystkiemu, był bowiem przekonany, że żona jego od dawna nie żyje, zasię Ambrogiuolo czuł już, że na gorsze się ta sprawa dla niego obróci i że zło nie skończy się na zapłaceniu pieniędzy. Nie wiedział, w czym nadzieję pokładać i czego obawiać się przy pojawieniu się tej damy, na którą także w osłupieniu czekał. Gdy tylko sułtan zgodę swą wyraził, Sicurano upadł przed nim z płaczem na kolana, przestał nagle mówić męskim głosem i cały męski pozór ostawiwszy, rzekł:

— Sprawiedliwy panie, jam jest ową nieszczęsną Ginevrą, która przez sześć lat za męża przebrana błąkała się po świecie, będąc kłamliwie i haniebnie spotwarzona przez tego łajdaka; jam jest tą samą, co ją okrutny i niesprawiedliwy mąż zabić kazał.

Rzekłszy te słowa, rozerwała na sobie szaty, aby pokazać pierś na dowód, że istotnie jest białogłową. Potem, obróciwszy się do Ambrogiuola, spytała go gniewnie, kiedy z nią łoże dzielił? Ambrogiuolo poznawszy ją oniemiał i jednego słowa przemówić nie był zdolen. Sułtan, który do tych pór miał Sicurana za mężczyznę, tak się zadziwił, iż mniemał, że wszystko to we śnie się przydarzyło. Aliści, gdy zdziwienie minęło, a prawda na jaw dowodnie wystąpiła, jął wysławiać cnoty, obyczaje i wytrwałość Ginevry. Później kazał przynieść szatki białogłowskie, dał Ginevrze orszak sług i przebaczył Bernabie, który na śmierć zasłużył, przychylając się do jej prośby.

Bernabo, poznawszy żonę swoją, rzucił się do jej nóg z płaczem i prosił ją o przebaczenie; chocia go i godzien nie był, przecie Ginevra odpuściła mu winy; potem podniosła go i czule, jak na żonę przystało, uściskała.

Sułtan rozkazał, aby Ambrogiuola przywiązano do słupa, stojącego na jednej z wyniosłości miasta, wysmarowano go miodem i tak zostawiono na słonecznej spiekocie, dopóki nie zemrze. Tak też uczyniono. Majątek zaś znaczny Ambrogiuola, wynoszący ponad dziesięć tysięcy dukatów, podarował sułtan Ginevrze. Następnie wydał wspaniałą ucztę, w czasie której wielką estymę okazywał pani Ginevrze, jako najcnotliwszych białogłów wzorowi, a Bernabie, jako jej małżonkowi. Potem obdarzył ją klejnotami, złotymi i srebrnymi sprzętami i pieniędzmi, tak iż Ginevra zbogaciła się o drugie dziesięć tysięcy podwójnych dukatów. Sułtan przykazał także przygotować okręt i dał małżonkom zezwolenie na powrót do Genui. Wrócili szczęśliwi i bogaci do swego kraju, gdzie oboje, a zwłaszcza panią Ginevrę, którą za zmarłą uważano, z wielką czcią i radością przywitano, wynosząc później w ciągu jej całego życia przymioty jej i cnoty osobne.

Ambrogiuolo tegoż dnia, gdy go do pala przywiązano i wysmarowano miodem, pokąsany od os, bąków, much i komarów, których w tym kraju wielka obfitość była, wśród niewymownych katuszy żywota dokonał, pożarty do kości. Jego bielejące piszczele, przy palu wiszące, długo jeszcze tam tkwiły, przypominając wszystkim o jego plugawym postępku. Sprawdziło się na nim tedy przysłowie: »Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada«".

Opowieść dziesiąta. Kalendarz starych mężów

Paganino z Monaco porywa żonę panu Riccardo di Chinzica, który, wiedząc, gdzie jego żona przebywa, udaje się tam i zostawszy przyjacielem Paganina, prosi go, aby mu ją oddał. Tamten przyrzeka mu to, o ile ona sama się zgodzi. Bartolomea jednakoż powracać doń nie chce i po śmierci Riccarda poślubia Paganina.

Opowieść królowej, która powszechne pochwały wywołała, szczególnie podobała się Dioneowi, ostatniemu z kompanii, co tego dnia opowiadać miał. Dioneo zaczął na ten kształt:

— Dostojne damy, w noweli królowej zawierał się pewien szczegół, który mnie k'temu pobudził, abym zaniechał historii, którą wam opowiedzieć chciałem. Miast niej zapoznam was z inną opowieścią. Powodem jest mi głupota Bernaba (która na szczęście wielkiego zła nań nie sprowadziła) jako i innych mężów, co sobie takoż do głowy wbili, że ich żony, w domu pozostałe, siedzą jak trusie, z założonymi rękami, podczas gdy oni włóczą się po świecie i cieszą się wdziękami to tej, to tamtej białogłowy, tak jakby,

wzrośli i wychowani pośród tego niewieściego pogłowia, nie wiedzieli, do czego ono jest zdolne. W opowieści swojej chcę wam pokazać nie tylko ich tępotę, ale jeszcze większą głupotę tych, którzy mniemają, że są silniejsi od przyrodzenia. Czynią oni różne próby, pustym gadaniem chcąc przekonać samych siebie, że mogą dokazać więcej, niźli ich siły na to pozwalają, i za wszelką cenę chcą innych zrobić podobnymi sobie, choć sprzeczne to jest z ludzi owych przyrodzeniem.

„Żył w Pizie pewien sędzia, zwany Riccardem di Chinzica. Był to człek daleko więcej rozumem celujący niźli siłą fizyczną. Ów, mniemając może, że tymi samymi staraniami, jakie do dzieł swych uczonych przykładał, żonę ukontentuje, a będąc bogatym wielce, jął szukać pilnie małżonki, w której by się młodość z pięknością łączyła. Gdyby był w stanie udzielić samemu sobie takiej rady, jaką nieraz drugim służył, właśnie takiej żony unikać by był winien jak ognia. Dzieło wkrótce uskutecznione zostało, bowiem niejaki Lotto Gualandi dał mu za żonę swoją córkę imieniem Bartolomea. Była to jedna z najurodziwszych i najwdzięczniejszych panienek w Pizie, gdzie niemało się ich znajduje, zwinnych i ruchliwych jak jaszczurki.

Sędzia pojął ją nader uroczyście za żonę i wspaniałe wesele wyprawił. Jednakoż w noc poślubną postarbnął się, chcąc dopełnić małżeńskiej powinności, i ledwie zdołał jeden raz dokonać tego, co z trudem zaczął. Nazajutrz rano dla poratowania upadłych sił, jako człek mizerny i słabego ducha, musiał się uciec do małmazji, kordiałów i innych środków, co by go do życia przywrócić były zdolne.

Wówczas to pan sędzia jął się po raz pierwszy dobrze nad swoimi siłami zastanawiać i obliczać je ściślej niż wprzódy. Uczyniwszy rachunek, postanowił nauczyć żonę swoją kalendarza, dobrego dla dzieci, co się gramatyki uczą (można mniemać, że kalendarze takie tylko w Rawennie układają). Według jego wywodów, nie było takiego dnia, na który by nie tylko jedno, ale i kilka świąt nie przypadało. Dla ich należytego uczczenia żony i mężowie winni się wstrzymywać od folgowania swym cielesnym chuciom. Do tych świąt przydał jeszcze dni postu, suche dni, wigilie, dni apostołów i innych świętych, piątki i soboty, niedzielę jako dzień Zbawiciela, a takoż niektóre odmiany księżyca i siła innych wyjątków. Mniemał widocznie, że robotę w łożnicy małżeńskiej można podawać w taką odwlokę jak różne sprawy w sądzie. Tym sposobem, ku wielkiemu zmartwieniu żony, którą zaledwie raz (albo i wcale) na miesiąc dojeżdżał, rzemiosłem mężowskim się parał; trzymał przy tym żonę pod ścisłym dozorem, aby ktoś inny nie zapoznał jej z dniami roboczymi, tak jak on ze świątecznymi.

Pewnego dnia, w czasie upalnego lata, Imć Riccardo zapragnął udać się w towarzystwie żony do swej pięknej posiadłości, znajdującej się w pobliżu Monte Nero, aby tam wczasu zażyć i świeżym powietrzem dni kilka odetchnąć. Chcąc żonie rozrywkę zgotować, urządził połów ryb. W jednej łódce pomieścił się wraz z rybakami, do drugiej wsadził żonę pospołu z innymi białogłowami. Wkrótce, sami nie wiedząc jak i kiedy, kilka mil od brzegu odpłynęli i na pełnym się znaleźli morzu. Gdy tak na połów ryb uważali, nagle nadpłynął korab Paganina da Mare, słynnego podówczas korsarza. Ujrzawszy barki, korsarz skierował się ku nim; łodzie jęły uciekać, ale Paganino dopadł tej z nich, na której znajdowały się białogłowy. Ujrzawszy piękną Bartolomeę, pomyślał, że ta zdobycz wystarczająca dlań będzie. Pochwycił niewiastę w oczach Riccarda, który już się do brzegu przebrał, przeniósł ją na swoją galerę i śpieszno odpłynął.

Nie trza opowiadać, jak się strapił na ten widok pan sędzia, który był takim zazdrośnikiem, że nawet powietrza się obawiał. Jął się żalić w Pizie i powszędy na złodziejów, ale nawet nie wiedział, jak się zwał ów korsarz, co jego żonę pochwycił i w nieznane miejsce zawiózł. Paganino tymczasem, ciesząc się ze swej zdobyczy, wielce był ukontentowany. Żyjąc w stanie bezżennym, postanowił urodziwą białogłowę przy sobie zatrzymać. Gdy Bartolomea gorzko płakała, pocieszał ją, jak mógł. Za nadejściem nocy uciekał się do innego, skuteczniejszego środka i starał się ją pocieszać czynami, ponieważ jak mu się zdało, słowa niewielki skutek odniosły. Kalendarz mu się gdzieś zapodział, tak iż święta wypadły mu z pamięci.

Tym sposobem tyle jej dodał otuchy, że nim przybyli do Monaco, Bartolomea, zapomniawszy całkiem o sędzi i jego przepisach, najweselszy z Paganinem żywot rozpoczęła. Zawiózłszy ją do Monaco, korsarz nie tylko jej nie skąpił uciech w dniu i w nocy, ale krom tego okazywał jej względy jako prawej małżonce. Po pewnym czasie do sędziego Riccarda dotarły wieści, gdzie jego żona przebywa. Nie mając nadziei na niczyją pomoc, a wielce jej odzyskania spragniony, postanowił sam udać się po Bartolomeę i wykupić ją z tej niewoli, choćby to i znaczną sumę pieniędzy kosztować miało. Wsiadł tedy na okręt, do Monaco przybył i tam żonę swoją ujrzał. Bartolomea opowiedziała korsarzowi o przybyciu męża i zwierzyła mu się z jego zamysłów. Następnego rana Imć Riccardo spotkawszy Paganina zawiązał z nim znajomość i o względy jego gorliwie zabiegać począł. Korsarz udawał, że nie wie, kim jest Riccardo, i czekał, co tamten przedsięweźmie. Wybrawszy wreszcie chwilę sposobną, Riccardo w pokornych i grzecznych słowach przedstawił korsarzowi przyczynę, dla której tu przybył, i prosił go, aby wydał mu żonę za okupem, jaki sam naznaczyć zechce.

Paganino odparł z uśmiechem:

— Pozwólcie najpierw, panie, abym was w tym kraju powitał. Odpowiem wam zaś krótko. Prawdą jest, że mam młodą białogłowę u siebie, nie wiem jednak, czy jest ona waszą żoną, czy też innego człeka, ponieważ was nie znam, ją zasię znam dopiero od czasu, jak w moim domu przebywać zaczęła. Jeżeli jednak w istocie jej mężem jesteście, to zaprowadzę was do niej i nie wątpię, że was łatwie pozna. Skoro zaś ona potwierdzi to, co od was słyszałem, i wyrazi gotowość powrotu do was, ja przez wzgląd na poczciwość waszą poprzestanę na okupie, jaki sami za słuszny uznacie. Gdyby się jednak przeciwnie okazało, popełnilibyście rzecz plugawą, pragnąc mi ją odjąć. Jestem młodzieńcem i mam prawo, jak każdy inny, cieszyć się białogłową, zwłaszcza taką jak ta, co jest najmilszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem.

— Przysięgam wam, że jest to moja żona — odparł Riccardo. — Zawiedźcie mnie do niej, a obaczycie, że gdy tylko mnie ujrzy, na szyję mi się rzuci. Toteż proszę was tylko o to, abyście postąpili tak, jakeście przed chwilą powiedzieli.

— Chodźmy zatem — rzekł Paganino.

Rzekłszy te słowa, poprowadził sędziego do swego domu i wwiódł go do komnaty, dokąd zaraz Bartolomeę przywołać kazał. Bartolomea, okazale przybrana, wyszła nie mieszkając i przywitała pana Riccarda tak, jakby był on obcym człowiekiem, co przybył w dom z jej mężem. Sędzia, który myślał, że żona przyjmie go z wielką radością, osłupiał na to powitanie i pomyślał, że smutek i troska, trapiąca go od chwili, gdy ją był utracił, tak jego pozór odmieniły, że żona teraz poznać go nie może.

Dlatego też rzekł:

— Drogo mnie kosztował, miła żono, ten połów ryb. Utraciwszy ciebie, takiej boleści doznałem, że, wierę, nikt chyba podobnej na świecie nie odczuwał. Widocznie nie poznałaś mnie, skoro mnie tak chłodno przyjmujesz. Zali nie widzisz, że jestem twoim Riccardem, który tu przybył, aby zapłacić panu tego domu taki okup, jakiego sam zażąda, a potem z sobą cię zabrać? Dzięki poczciwości pana Paganina mam zapłacić tyle, ile sam będę chciał.

— Zali do mnie się z tą mową obracacie, panie? — spytała dama z uśmiechem. — Widać bierzecie mnie za kogoś innego, bowiem ja przypomnieć sobie nie mogę, abym was kiedykolwiek widziała.

— Bacz na to, co mówisz — rzekł Riccardo. — Spójrz na mnie uważniej, a poznasz, że jestem twoim Riccardem di Chinzica.

— Wybaczcie mi, panie — odparła Bartolomea — aliście nie jest zbyt przystojną dla mnie rzeczą przypatrywać się wam uporczywie. Zresztą, dość się wam już przyjrzałam, aby jeszcze raz stwierdzić, że was nigdy nie widziałam.

Wówczas Riccardo pomyślał, że Bartolomea, bojąc się Paganina, nie chce się przyznać do męża w jego przytomności. Dlatego też, obróciwszy się do Paganina, prosił go, jako o łaskę osobną, o możność pomówienia z Bartolomeą w cztery oczy. Paganino przystał na tę prośbę, ale pod warunkiem, że sędzia nie odważy się pocałować damy wbrew jej woli. Potem polecił Bartolomei udać się z Riccardem do przyległej komnaty, wysłuchać, co jej powie, i dać mu respons bez nijakiego przymusu. Gdy Imć Riccardo i pani Bartolomea w pustej komnacie na karłach usiedli, Riccardo na ten kształt zaczął:

— Serce moje, duszo moja, moja nadziejo i radości, zaliż nie poznajesz twego Riccarda, który miłuje cię bardziej niźli samego siebie? Czyż to być może? Takżem się odmienił? Spojrzyj na mnie, moje oczko najcudniejsze, błagam cię ze wszystkich sił moich!

Bartolomea głośno się zaśmiała i nie pozwalając mówić mu dalej, rzekła:

— Możecie być pewni, że nie mam tak słabej pamięci, abym was, mego męża, pana Riccarda di Chinzica, poznać nie miała. Jednakoż i wy, w czasie gdy żyłam z wami, pokazaliście, że całkiem niedostatecznie mnie znacie. Gdybyście byli w samej rzeczy człekiem tak mądrym, za jakiego uchodzić pragniecie, to spostrzeglibyście niechybnie, że młoda, dziarska i świeża białogłowa krom odzieży i pożywienia potrzebuje jeszcze czegoś, o czym kobiety dla wstydliwości swej przyrodzonej niechętnie mówią. Sami wiecie, jakeście te pragnienia zaspokajali. Jeśli wam milsze było zgłębianie praw niźli żona, nie trzeba się było żenić. Wierę, nie sędzią mi się być zdaliście, ale chodzącym kalendarzem, wymieniającym na pamięć posty, święta, uroczystości i wigilie.

Powiem wam takoż, że gdybyście pachołkom, co na polach w waszych majętnościach pracują, tyle świąt naznaczali, ile temu, co nad uprawą mojej maluchnej niwy miał się trudzić, nie zebralibyście ani jednego ziarna. Ale Bóg zlitował się nad moją młodością i zesłał mi człowieka, z którym w tym domu żywię. Nie znamy żadnych świąt (mówię o tych świętach, któreście wy, zdatniejsi do służby bożej niż do służby u kobiet, tak często obchodzili), przez próg tego domu nie przeszedł nigdy piątek ani sobota, wigilia ani post wielki, co trwa tak niezmiernie długo. W dzień i w nocy się tu pracuje i grempluje wełnę. A owóż i dzisiejszej nocy, nim na jutrznię zadzwoniono, już nie raz imaliśmy się dzieła! Dlatego też umyśliłam u Paganina pozostać i z nim razem się trudzić, póki moja młodość trwać będzie. Święta, posty i odpusty odłożę sobie na

starość. Wy zaś czym prędzej jedźcie z Bogiem do domu i święćcie beze mnie do woli tyle świąt, ile się wam podoba.

Imć Riccardo, słowa te usłyszawszy, niezmierną boleść poczuł. Gdy Bartolomea umilkła, rzekł:

— Ach, duszo moja, jakież słowa straszne z ust twoich słyszę? Nie maszże najmniejszego względu na cześć swoją i cześć swoich rodziców? Przekładasz żyć w grzechu śmiertelnym z tym człekiem, jako jego miłośnica, niźli jako moja żona w domu naszym w Pizie przebywać? Przecie on, gdy się tobą przesyci, za drzwi cię wygoni, ku twej sromocie a hańbie, tam zasię będziesz mi zawsze miła, sprawując władzę w domu moim, choćby i wbrew mojej woli. Zali dla tak plugawej i niepomiarkowanej żądzy chcesz mieć w pogardzie cześć swoją i odepchnąć mnie, co cię nad życie kocham? Nie mów tego, nadziejo moja, i wracaj do mnie! Ślubuję ci, że teraz, gdy już pragnień twoich świadomy jestem, będę się starał w miarę sił je zaspokoić. Przeto zmień twe postanowienie i pójdź ze mną, co nigdy dobrej chwili nie zaznałem, odkąd mi ciebie brakło.

— O cześć moją — odparła Bartolomea — sama będę miała staranie; niech nikt się o nią nie troska, zwłaszcza że już i tak zbyt późno na to. Rodzice moi winni byli pomyśleć o niej, gdy mnie wam za żonę dawali, skoro jednak o nią wówczas nie dbali, tedy i ja dzisiaj o nich dbać nie chcę. Grzech śmiertelny, w którym żyję, już się na powszedni przemienił; zresztą nie wasza to rzecz. Zdawa mi się, że w Pizie byłam waszą nałożnicą, teraz zasię jestem małżonką Paganina. Wówczas nasze planety pośród odmian księżyca i geometrycznych obliczeń rzadko schodziły się z sobą, dzisiaj natomiast Paganino nie wypuszcza mnie z objęć przez noc całą. Ściska mnie, obłapia ciasno, gryzie i kąsa, i tak dojeżdża, jak to tylko jest Bogu wiadome. Ślubujecie, że na przyszłość starać i wysilać się będziecie. Jakimże to sposobem i po co? Aby jednego czynu dopełnić z trzema przerwami, w czasie których dębczak mógłby znowu się podnieść? Widać dziarskim jeźdźcem się staliście w czasie nieobecności mojej.

Idźcie z Bogiem i starajcie się żyć jak najdłużej; zdaje mi się, że już ledwie jako gość na tym świecie przebywacie, tak bowiem nędzniuchny i mizerniutki macie pozór. Powiem wam takoż, że jeśli nawet Paganino mnie rzuci (do czego, jak mi się zdaje, wcale chęci nie ma), to i tak do was nie powrócę, wiem bowiem, że choćbym was nie wiem i jak cisnęła, ani krztyny soku z siebie nie puścicie. Raz już, na moje nieszczęście, dobra tego spróbowałam i tak mam go dosyć, że w razie potrzeby gdzie indziej sobie schronienia poszukam. Jeszcze raz wam powtarzam, że pozostanę w tym domu, gdzie

nie ma wigilij ni świąt. Wy zaś ruszajcie stąd co prędzej, bo zacznę krzyczeć, że mi gwałt zadać chcecie.

Imć Riccardo pojął, że nic nie wskóra, zrozumiał takoż w tej chwili, jakie głupstwo uczynił poślubiając młodą białogłowę. Ciężko strapiony wyszedł z komnaty i obrócił się jeszcze z długą mową do Paganina, z której jednakoż także nic nie wyszło. Później, niczego nie dokonawszy i ostawiwszy żonę, do Pizy powrócił. Tutaj z nadmiernej boleści szwank wielki na umyśle poniósł. Włóczył się całe dni po mieście, a gdy go ktoś pozdrowił albo o coś zapytał, odpowiadał jeno: »Zła to dziura, co świąt nie chce«. Wkrótce potem zszedł z tego świata. Na wieść o tym Paganino, świadomy dobrze afektu, jaki dlań Bartolomea żywiła, pojął ją za żonę. Nie zachowując świąt, wigilij i postów, pracowali usilnie, póki im sił stało. Dlatego też, miłe moje panie, mniemam, że Bernabo, wszczynając spór z Ambrogiuolem, leciał niechybnie na złamanie karku".

Opowieść ta wywołała taki śmiech u wszystkich przytomnych, że nie było nikogo, kogo by szczęki nie zabolały. Wszystkie damy przyznały, że Dioneo miał słuszność, zowiąc Bernaba głupcem. Gdy opowieść już skończona została, a śmiech umilkł, królowa, zauważywszy, że pora jest już późna i wszyscy głos zabrali, oznajmiła, iż koniec jej władzy nastał. Nie chybiając zatem ustanowionej kolei, podniosła się, zdjęła wieniec i kładąc go na głowę Neifile, z wesołym uśmiechem rzekła:

— Od tej chwili władza nad naszym małym ludem w twoje ręce przechodzi, miła przyjaciółko!

To powiedziawszy, usiadła.

Neifile, przyjmując nadaną sobie godność, zarumieniła się niby róża, która w kwietniu czy w maju o świcie kraśnymi barwy goreje. Siedziała ze spuszczonymi nieco oczyma, błyszczącymi niby ranne gwiazdy. Gdy jednakże ucichł przyjazny gwar, który przytomni na pochwałę nowej królowej podnieśli, Neifile rozpierzchłe myśli nieco zebrała, usiadła wyżej niż zwyczajnie i rzekła:

— Skoro już jestem królową, pragnę przede wszystkim potwierdzić wszystkie prawa, którym posłuszni byliście. Później w krótkich słowach powiem wam, co zamyśliłam, i co za waszą zgodą wypełnić będziemy mogli. Jutro, jak wiecie, jest piątek, a potem sobota: dni przykre nieco dla wielu z powodu potraw postnych, chocia piątek, jako dzień, w którym cierpiał Ten, co za nas śmierć poniósł, godny jest osobliwego uczczenia. Przeto za rzecz słuszną i wielce godziwą poczytałabym, by dla bożej chwały modlitwom raczej niż opowieściom się oddać. W soboty znów jest w obyczaju u białogłów myć głowy, aby ochędożyć je z pyłu i prochu, który się na nich przez cały

tydzień nagromadzał. Wielu także zwykło w dniu tym na cześć Niepokalanej Dziewicy Marii post zachowywać i wstrzymywać się od wszelkich trudów ze względu na nadchodzącą niedzielę. Mniemam, że takoż w tym dniu zwyczajnego trybu naszego życia wyrzec się musimy i że od opowieści się wstrzymamy. Skoro zaś ostajemy już w tym miejscu, cztery dni nam wówczas upłyną; jeżeli uniknąć chcemy, aby nas jacyś nowi przybysze tu nie zaskoczyli, należy nam miejsce pobytu zmienić i przenieść się gdzie indziej; o takim miejscu już pomyślałam. Zejdziemy się tam w niedzielę, po drzemce dziennej. Każdy z was więcej znajdzie czasu, by przypomnieć sobie i obmyślić opowieść swoją. A gdy dziś mieliśmy szeroko zakreślone szranki, dobrze by było ścieśnić jeszcze swobodę w wyborze przedmiotu opowieści, tak aby one wszystkie tyczyły się jakiegoś jednego przypadku fortuny.

Chciałabym, abyśmy na ten raz wybrali jako materię opowieści przypadki tych, którzy swoim sprytem osiągnęli rzecz pożądaną lub też utraconą odzyskali. Niechaj zatem każdy obmyśli w tej mierze jakąś wesołą i pożyteczną dla całej kompanii opowieść krom Dionea, którego przywilej zachowuję w mocy.

Wszyscy przyklasnęli pomysłowi królowej i przyrzekli, że się do jej woli stosować będą. Królowa, przywoławszy marszałka dworu, wskazała mu, gdzie ma stoły wieczorem zastawić, a takoż oznajmiła mu, co ma czynić w czasie jej panowania. Później podniosła się wraz z całym towarzystwem i pozwoliła każdemu wedle swej woli przyjemności zażywać.

Młodzieńcy i damy udali się do sadu, przechadzali się tam długo, a gdy godzina wieczerzy nadeszła, wesoło do stołów zasiedli. Po posiłku Emilia, zgodnie z rozkazem królowej, zawiodła taniec, a Pampinea, przy wtórze wszystkich przytomnych, taką pieśń zaśpiewała:

Któż, jeśli nie ja, w wdzięcznej pieśni mojej,
Radością natchnie i szczęściem upoi?
Przyjdź więc, Amorze, ty, w którym się mieści
Wesela mego i szczęścia przyczyna;
Przyjdź, wspólne zacznijmy pienie,
Lecz nie o smutkach ani o boleści
(Choć ona przyszłe wesele poczyna),
Ale o ogniu, w którym, nieskończenie
Płonąc, wciąż jedno odczuwam pragnienie,

By sławić ciebie, władco mój jedyny!
Przed oczy moje przywiodłaś, miłości,
Kiedy już ogień jął trawić mą duszę,
Kochanka w rozkwicie lat,
Który w swym męstwie, cnotach i piękności
Równego nigdy nie znajdzie! Więc muszę
Dla niego ludzi zhołdować i świat.
Jednakże miłość moja nie chce zdrad
Z tobą, Amorze, władco mój jedyny!
Z rąk twoich wzięłam wyższą rozkosz jeszcze,
Wzajemność jego, afekt równej siły.
Twa to zasługa, Amorze!
Szczęsna, że ziemskie sny mi się spełniły,
Jedną nadzieją teraz duszę pieszczę,
Że śmierć miłości nie zmoże
I że Ty kiedyś zwolisz, dobry Boże,
Abyśmy w niebie kochali się wiecznie!

Później inne jeszcze pieśni śpiewali, tańczyli różne tańce i na różnych instrumentach grali. Wreszcie królowa uznała, że nadeszła pora spoczynku. Wszyscy przy blasku pochodni do komnat swoich się rozeszli. W ciągu dwóch dni następnych, będąc zabawieni wypełnianiem poleceń królowej, z wielką niecierpliwością niedzieli oczekiwali.

Kończy się drugi dzień Dekameronu i zaczyna trzeci, w którym pod przewodem Neifile mówi się o tych, co przyrodzonym swym sprytem osiągają rzecz pożądaną lub utraconą odzyskują.

Dzień trzeci

Już zorza za nadejściem słońca zmieniła purpurę swoją na złoto, gdy w niedzielę królowa, podniósłszy się z pościeli, całe towarzystwo obudzić kazała. Marszałek dworu wysłał był już przedtem wszystkie potrzebne rzeczy na nowe miejsce pobytu, chcąc przygotować wszystko na przybycie gości. Ujrzawszy, że królowa już do drogi się zbiera, rozkazał resztę sprzętów zabrać i jak ze zwiniętego obozu pociągnął ze służbą i wozami

w ślad za damami i młodzieńcami. Królowa szła na przodzie wolnym krokiem, w otoczeniu dam i trzech kawalerów, wśród śpiewu dwudziestu może słowików i innych ptasząt, mało uczęszczaną ścieżyną, porosłą trawą i kwiatami, które już do słońca otwierały kielichy swoje. Droga wiodła na zachód; towarzystwo szło gwarząc, przekomarzając się z sobą i wesoło się śmiejąc. Ledwie dwa tysiące kroków uszli, gdy królowa około trzeciej godziny ukazała im piękny i bogaty pałac wznoszący się na pagórku ponad doliną. Wszyscy weszli do wnętrza, rozejrzeli się po wielkich salach i po ozdobnych komnatach, które wyposażone we wszystko, do wczasu nęcić się zdawały, i jęli wychwalać właściciela tej posiadłości, co zbytek i wspaniałość z wygodą łączyła. Później, zszedłszy na dół, obejrzeli obszerny i cienisty podwórzec, piwnice pełne win wyśmienitych, fontanny świeżą wodą tryskające, i jeszcze goręcej wszystko zachwalali. Wreszcie, srodze zmęczeni, zasiedli na balkonie, który nad dziedzińcem się wznosił. Balkon był umajony kwiatami i zielonymi gałęziami. Wnet też zjawił się niezawodny marszałek i ugościł ich winem i słodyczami. Po czym otworzywszy furtkę, udali się społem do ogrodu otoczonego ze wszystkich stron murem. Z początku zachwycali się ogólnym widokiem sadu, a później wszystkie jego urocze zakątki zważali. W krąg i pośrodku, w różnych kierunkach, biegły aleje proste jak strzały i ocienione winną latoroślą, która na ten rok wielką gron obfitość obiecywała. Winograd był wówczas w rozkwicie i woń jego, zlewająca się z zapachem innych kwiatów, przypominała wszystkie pachnidła Wschodu. Wzdłuż dróg i ścieżek rosły krzewy białych lub czerwonych róż i jaśminów, dzięki czemu nie tylko o poranku, ale i w dzień, w czasie największego żaru, można było tu wonnego chłodu zażywać i chodząc wszędzie, chronić się przed palącymi promieniami słońca. Słów by nie starczyło na wyliczenie wszystkich roślin i kwiatów, które cały ogród przystrajały, dość więc będzie, gdy powiem, że nie brakło ani jednego cennego kwiatu, co w naszym klimacie żyć może. W środku sadu znajdowała się polana, najbardziej wabiąca ku sobie, a pokryta ciemnozieloną trawą, że niemal czarną się zdawała. Wśród niej jaśniało tysiąc różnobarwnych kwiatów, dokoła zaś strzelały ku górze pomarańczowe i cytrynowe drzewa, obarczone zarówno dojrzałym lub jeszcze zielonym owocem, jak i kwiatami. Od gałęzi padał cień i niosła się woń rozkoszna. Na polance wznosiła się fontanna z białego marmuru, rzeźbami przedziwnymi ozdobiona. Z figury na wysokiej kolumnie pośrodku stojącej (nie wiedzieć, czy przez siłę naturalną, czy też dzięki kunsztowi) tak potężny prąd wody ku górze tryskał, opadając w dół z szmerem przemiłym, że tą siłą cały młyn poruszyć by można było. Woda, która już w zbiorniku pomieścić się nie mogła, spływała kanałami

ukrytymi pod darnią i rozlewała się po rowach, polanę otaczających. Później podobnymi, małymi kanałami wszystkie części ogrodu przebiegała, aż w końcu mnóstwo tych jasnych wód, zebranych w jednym zakątku sadu, kanał odprowadzał w dolinę, gdzie poruszały się dwa młyny, pracujące ku pożytkowi właściciela pałacu. Widok ogrodu, jego ładu, kwiatów, fontanny i wypływających z niej strumieni całkiem oczarował młodzieńców i damy. Wszyscy jednogłośnie zgodzili się na to, że gdyby raj na świecie istniał, miałby ani chybi podobny pozór. Nie lza było bowiem już żadnej piękności ogrodowi przydać. Towarzystwo, wielce ukontentowane, krążyło po sadzie, splatało z różnych gałązek wspaniałe wieńce i słuchało szczebiotu rozlicznych ptasząt, które jakby o pierwszeństwo z sobą walczyły. Nagle odkryto jeszcze jedną zaletę ogrodu, która przedtem uszła wzroku olśnionego innymi pięknościami. Damy i młodzieńcy ujrzeli mianowicie mnóstwo różnych zwierząt i poczęli je sobie nawzajem pokazywać. Tu siedziały króliki, tam biegały zające, dalej leżały kozy i pasły się młode jelonki, a prócz nich wiele innych zwierząt nieszkodliwych i obłaskawionych przechadzało się wedle swej woli. Igraszki zwierząt powiększyły jeszcze ukontentowanie towarzystwa. Zażywszy przechadzki i nadziwowawszy się dość wszystkiemu, kazali ustawić stół obok wodotrysku. Przed obiadem zaśpiewali jeszcze kilka pieśni i potańczyli, aż wreszcie na rozkaz królowej do stołu zasiedli. Wyborne potrawy z radością powitane zostały, po czym weselsi od stołu powstali. Po posiłku znów pieśniom, tańcom i grom różnym się oddawali, póki królowa, widząc, że żar dzienny się zwiększa, do południowego spoczynku nie wezwała. Wówczas jedni wczasowi się oddali, a drudzy, nie chcąc ani na chwilę wspaniałego widoku sprzed oczu utracić, rozproszyli się po ogrodzie i na czytaniu powieści lub na grze w szachy i warcaby czas spoczynku trawili. O dziewiątej godzinie wszyscy podnieśli się i orzeźwiwszy oblicza świeżą wodą, zebrali się koło fontanny. Zgodnie z ustanowionym porządkiem zasiedli dokoła i czekali na znak królowej. Królowa skinęła na Filostrata, któremu tego dnia pierwszemu mówić przypadło.

Opowieść pierwsza. Wilk w owczarni

Masetto z Lamporecchio, udając niemowę, godzi się na służbę jako ogrodnik do pewnego żeńskiego klasztoru. Wszystkie mniszki ubiegają się o to, aby z nim sypiać.

— Moje miłe damy! Żyje na świecie wiele kobiet i mężczyzn tak głupich, iż pochopnie wierzą, że skoro się młodą dziewczynę w białą zasłonę ubierze i habit czarny na nią

narzuci, zaraz ona kobietą być przestaje i od chuci swoich cielesnych jest uwolniona, tak jakby z wejściem do klasztoru w kamień twardy przemieniła się. Jeżeli usłyszą coś, co przeciwne jest ich wierze, wzburzają się tak, jakby to było wielkim grzechem przeciwko przyrodzeniu. Oczywista, ludzie ci nie chcą pomyśleć i osądzić po samych sobie, chociaż mogąc czynić, co tylko zechcą, nie są zdolni nasycić swych pragnień ani też nie biorą pod uwagę, jaki niebezpieczny wpływ próżnowanie i samotność sprawują. Z drugiej strony są i tacy, którzy sądzą, że siekiera, łopata, grube potrawy i ciężka praca przytępiają u kmieci żądze przyrodzone i niedołężnymi na umyśle i dowcipie ich czynią. W jakim błędzie jedni i drudzy pozostają, pragnę — idąc za wezwaniem królowej — pokazać wam w mej krótkiej opowieści, która nie wyjdzie poza obręb materii dla opowiadań naznaczonej.

„Niedaleko stąd wznosił się żeński klasztor (istnieje on jeszcze po dziś dzień), słynący z wielce nabożnych mniszek. Nazwy tego klasztoru wymieniać nie będę, nie chcę bowiem jego sławy na szwank przywodzić. Przed niedawnym czasem, gdy w klasztorze znajdowało się tylko osiem młodych mniszek i przeorysza, służył tam pewien poczciwiec, uprawiający piękny klasztorny ogród. Ów, niezadowolony będąc z zapłaty, obrachował się z mniszkami i powrócił do Lamporecchio, skąd pochodził. Tam pośród jego przyjaciół był młody, zdrowy i krzepki pachoł, dość na obliczu gładki, Masettem zwany. Ów zapytał Nuta (takie było imię tego, co z klasztoru powracał), gdzie tak długo przebywał. Nuto odpowiedział. Wówczas Masetto spytał, jakiego rodzaju posługi w klasztorze spełniał.

— Trudziłem się w obszernym i pięknym ogrodzie klasztornym — odparł Nuto — krom tego chodziłem po drwa do lasu, nosiłem wodę i innymi robotami byłem zatrudniony, aliści zakonnice płaciły mi za to wszystko tak skąpo, że zaledwie było za co buty kupić. A przy tym wszystkie one są młode i prawdziwie diabła za skórą mają; żadną miarą dogodzić im nie można. Gdym pracował w ogrodzie, przychodzi jedna i rzecze: »Połóż to tutaj«, a druga woła: »Połóż to tam«, inna zasię z rąk łopatę wydziera i krzyczy: »Nie zda się to na nic«. Takiej mi trudności przyczyniały, że rzucałem pracę i wychodziłem z ogrodu. Dla tych powodów tak mi robota obmierzła, że za służbę podziękować musiałem. Przy odejściu prosił mnie rządca klasztoru, ażebym przybywszy tutaj obejrzał się za jakimś człekiem do pracy zdatnym i przysłał go do klasztoru na swoje miejsce. Przyrzekłem, że tak uczynię, ale niechże go Bóg tak zdrowym na nerkach uczyni, jak obietnicę swoją uiszczę i kogoś mu poślę.

Gdy Masetto te słowa usłyszał, nabrał tak wielkiej chęci służenia mniszkom, że ledwie mógł na miejscu ustać, pomiarkował bowiem, że łatwie mu będzie osiągnąć to, czego pragnął. Nie chcąc, aby Nuto czegoś się domyślił i popsuł mu szyki, rzekł:

— Dobrześ uczynił, żeś klasztor opuścił! Jakże może mężczyzna z tyloma babami wytrzymać; radniej z diabłami wolałbym mieć do czynienia. W sześciu wypadkach na siedem razy nie wiedzą one same, czego chcą.

Skończywszy dyskurs z Nutem, Masetto, nie mieszkając, przemyślać począł, w jaki by sposób do klasztoru się dostać. Wiedział, że jest zdatny do wszystkich tych robót, o jakich Nuto mówił — o to zatem spokojny był zupełnie. Bał się jeno, że dla jego młodości i urody wziąć go nie zechcą. Dobrze wszystko rozważywszy, tak rzekł do siebie: »Klasztor znajduje się daleko stąd i żywa dusza tam mnie nie zna. Gdy się wydam na niemowę, niechybnie mnie na służbę przyjmą«.

Ugruntowawszy się w tym zamyśle swoim, wziął siekierę na ramię i nie mówiąc nikomu, gdzie zmierza, udał się w drogę do klasztoru jako człek ubogi. Wszedłszy na dziedziniec, natknął się zaraz na klasztornego rządcę. Podszedł doń i znakami, jak to niemowy czynią, poprosił, aby mu dla miłości bożej kęs strawy dano, on zasię, jeśli trzeba, drew za to narąbie. Rządca ochotnie go nakarmił, a później ukazał mu kilka grubych pni, którym Nuto nijak rady dać nie mógł. Krzepki Masetto niedługo się z nimi uwinął. Rządca, który się właśnie do lasu udawał, wziął go z sobą i przykazał mu drew narąbać. Potem, przywiódłszy osła, pokazał mu znakami, aby polana na grzbiet bydlęcia włożył i do klasztoru zawiózł.

Masetto dobrze się z tego wszystkiego wywiązał, tak iż rządca, znajdując go do roboty zdatnym, kilka dni go w klasztorze zatrzymał. Pewnego dnia przeorysza, obaczywszy pachoła, spytała, kim on by był?

— Jest to biedny głuchoniemy, czcigodna matko — odparł rządca — który w tych dniach po jałmużnę tu przybył. Dałem mu ją z chęcią, a później do wielu robót na podorędziu będących go użyłem. Gdyby się do uprawiania ogrodu nadał i miał chęć tu pozostać, sądzę, że bardzo by się nam mógł przydać. Pachoł to silny, czego się tknie, dobrze sprawi, a przy tym obawiać się nie trza, by młodym mniszkom przygadywał.

— W samej rzeczy, masz słuszność — odparła przeorysza — dowiedz się więc, czy zna się na pracy w ogrodzie, i postaraj się zatrzymać go. Daj mu także parę butów, stary płaszcz, obchodź się z nim łaskawie i nakarm go dobrze.

Rządca obiecał, że tak uczyni. Masetto, stojący w pobliżu, udawał, że dziedziniec zamiata, aliści wszystko dobrze słyszał. Rzekł do siebie z radością: »Tylko mnie do klasztoru wpuśćcie, a tak wam ogród uprawię, jak jeszcze nikt przedtem«.

Rządca, uznawszy, że pachoł zdatny jest do wszystkich robót, jął go znakami pytać, zaliby w klasztorze ostać nie chciał? Masetto również znakami odparł, że się zgadza. Po czym rządca zawiódł go do ogrodu, ukazał robotę najpilniejszą i odszedł do swoich spraw. Gdy Masetto tak dzień po dniu się trudził, jęły mniszki przekorę mu czynić i tysiące psot wyrządzać, jako to nieraz z niemymi się zdarza. Gadały mu także w oczy rzeczy najsprośniejsze, mniemając, że ich nie usłyszy. Przeorysza zasię, sądząc może, że brak mu równie ogona, jak i języka, mało na te figle uwagi zwracała.

Zdarzyło się pewnego dnia, że gdy Masetto po ciężkiej pracy leżąc wczasu zażywał, dwie młode mniszki, przechadzające się po ogrodzie, zbliżyły się doń i jęły patrzeć na niego. Pachoł udał, że śpi twardym snem. Jedna z mniszek, widać odważniejsza, rzekła do drugiej:

— Gdybym wiedziała, że ci zaufać można, podzieliłabym się z tobą pewną myślą, co mi już nieraz do głowy przychodziła. Upewniona jestem, że mój zamysł podobałby ci się wielce.

— Mów śmiało! — odparła druga — ja cię przed nikim nie zdradzę.

— Nie wiem — rzekła pierwsza mniszka — zali rozważyłaś, pod jakim srogim nas tu trzymają dozorem, nie dając przystępu do nas żadnemu mężczyźnie, krom starucha-rządcy i tego niemego pachoła. Słyszałam często od białogłów, które klasztor odwiedzają, że wszystkie rozkosze tego świata są fraszką wobec przyjemności, jakiej niewiasta z mężczyzną zażywa. Przyszło mi na myśl (ponieważ innej sposobności nie mamy), aby z tym niemym wypróbować, czy to prawda. Lepszego odeń do tego dzieła nie znajdziemy na całym świecie; gdyby nawet i chciał, nie będzie mógł o tym nikomu słowa powiedzieć, zresztą, jak widać, jest to prawdziwy głupiec, wyrósł nad miarę, ale rozumu nie ma ani krztyny. Powiedz mi, co sądzisz o moim zamyśle?

— Jakże nieprzystojne rzeczy wygadujesz — odparła druga — zali nie wiesz, żeśmy z swego dziewictwa Bogu ofiarę uczyniły?

— Wiele rzeczy — rzekła pierwsza — przyrzeka się Mu codziennie, nie myśląc o ich dotrzymaniu. My ślubowałyśmy, a miast nas znajdą się inne, które ślub zdzierżą.

Druga mniszka spytała:

— A cóż będzie, jeśli w ciążę zajdziemy?

— Myślisz o nieszczęściu — odparła pierwsza — zanim ono się przytrafiło; gdy się zdarzy, wówczas nad nim głowić się będziemy. Tysiące sposobów jest na to, aby wszystko w tajności utrzymane zostało, jeśli tylko my same pary z ust nie puścimy.

Druga mniszka poczuła nagle wielką chęć uznania, co to za zwierzę jest ów mężczyzna, spytała tedy:

— A jak to uładzisz?

— Jak widzisz, jest teraz godzina dziewiąta. Wszystkie siostry, krom nas, ani chybi, śpią. Obejrzymy się wokół, czy nie ma kogo w pobliżu, a później weźmiemy niemowę za rękę i zaprowadzimy go do tej lepianki, w której przed deszczem schronienia szuka. Jedna wejdzie z nim do środka, a druga stanie na czatach. Niemowa jest tak głupi, że zrobi wszystko, co mu polecimy.

Masetto słyszał całą tę rozmowę. Gotów do posłuszeństwa, niczego tak nie oczekiwał, jak tego, aby go za rękę wzięły.

Mniszki rozejrzały się po sadzie, a upewniwszy się, że ich nikt nie widzi, podeszły do Masetta i obudziły go. Ten zaraz na nogi się porwał. Mniszka, która pierwsza z zamysłem swym wystąpiła, ujęła go za rękę i głaszcząc go zaprowadziła do chatki. Pachoł, uśmiechając się głupkowato, nie dał się zbytnio prosić, jeno uczynił chętnie to, co chciała. Pierwsza mniszka pofiglowawszy do woli, jako wierna przyjaciółka, ustąpiła potem miejsca drugiej. Masetto, ciągle głupca udając, wcale się na to nie skarżył. Nim odeszły, jeszcze kilkakrotnie spróbowały, jak niemowa harcować potrafi. Później mawiały, że sama rzecz przechodzi wszelkie o niej opowiadania, i znalazłszy stosowną chwilkę, często z niemową igrały.

Pewnego dnia zdarzyło się, że któraś z mniszek, wyglądając oknem z swej celi, spostrzegła miłe igraszki swych towarzyszek i zaraz je dwom innym mniszkom pokazała. Z początku chciały wyjawić wszystko przeoryszy, ale później zamysł odmieniwszy, ugodziły się z tamtymi, aby i one skarbami Masetta cieszyć się mogły. W końcu po różnych przypadkach pozostałe trzy mniszki także się do kompanii przyłączyły. Wreszcie przeorysza, która dotąd niczego się nie domyślała, przechadzając się samotnie pewnego upalnego dnia po ogrodzie, spostrzegła Masetta, który po całonocnym dojeżdżaniu z sił opadł i spał rozciągnięty pod migdałowym drzewem. Wiatr odwiał mu koszulę, odsłaniając przed przeoryszą całe przyrodzenie. Przeorysza na tę pokusę poczuła równą chęć jak i jej mniszki. Widząc, że jest sama, obudziła Masetta i zawiodła go do swej celi, gdzie go przez kilka dni trzymała (ku wielkiej żałości mniszek, gorzko skarżących się, że ich ogród tak długo odłogiem leży) próbując uparcie,

jak smakuje ta słodycz, którą zawsze potępiała. Wreszcie odesłała pachoła do jego izdebki. Ponieważ jednak często go jeszcze wzywała, żądając od nieboraka, który i tak ledwo pracy mógł wydołać, części równającej się wszystkim innym, pomyślał Masetto, że ta udana głuchota i niemota do wielkiego nieszczęścia go przywieść może.

Dlatego też pewnej nocy, gdy z przeoryszą w łożu leżał, nagle swój język rozwiązał i rzekł:

— Słyszałem wprawdzie, wielebna matko, że jeden kogut na dziesięć kur starczy, ale i to wiem, że dziesięciu mężów zaledwie jedną białogłowę ukontentować może. Mnie jednemu przypadło dziewięć niewiast obsługiwać, czemu za wszystkie skarby świata podołać nie mogę. Już mnie to ogrodnicze rzemiosło do tego przywiodło, że nie mogę zdziałać ani mało, ani wiele. Albo mnie więc z Bogiem odpuśćcie, albo jakieś zapobieżenie na to zło znajdźcie!

Przeorysza, usłyszawszy słowa człeka, którego za niemowę poczytywała, przeraziła się niepomału i zawołała:

— Dla Boga! Co to znaczy? Miałam cię za niemego!

— Byłem nim, matko wielebna — odparł Masetto — ale nie od urodzenia. Choroba odjęła mi mowę i dopiero tej nocy ją odzyskałem, za co nieskończone dzięki Bogu składam.

Przeorysza uwierzyła mu i spytała go, co znaczy owo napomknienie o jakichś dziewięciu białogłowach, którym służyć musi.

Wówczas Masetto wszystko jej wyjawił, z czego przeorysza poznała, że nie ma w klasztorze ani jednej mniszki, co by głupsza od niej była. Jako białogłowa ostrożna, postanowiła, wprzód, nim Masetta od siebie wypuści, naradzić się z mniszkami, co uczynić należy, aby Masetto dobrej sławy klasztoru na szwank nie naraził. W tym czasie umarł właśnie stary rządca. Mniszki przyznały się szczerze wobec siebie do popełnionego przez wszystkie grzechu i postanowiły wspólnie, za zgodą Masetta, rozpuścić wieści, że dzięki ich nieustannym modlitwom i wstawieniu się patrona klasztoru, niemy i głuchy pachoł po latach wielu mowę i słuch odzyskał. Później uczyniły go rządcą klasztoru i tak mądrze pracę jego podzieliły, że jej wydołać potrafił. Chocia i wiele mniszątek na świat przyszło, przecie zakonnice tak ostrożnie działać umiały, że nikt niczego się nie domyślił. Dopiero po śmierci przeoryszy, gdy podstarzały Masetto do domu już z zebranym dobytkiem chciał powracać, sprawa na jaw wyszła. Wrócił do swej wsi, skąd wyszedł z siekierą na plecach, jako człek stary, bogaty i ojciec

dzieci, niemający nijakich trosk o ich wyżywienie. Użył sprytnie młodości swojej i zwykł był powtarzać, że tak Bóg nagradza pracowitych ogrodników w winnicy swojej".

Opowieść druga. Król włosy strzyże

Jeden z masztalerzy króla Agilulfa śpi w nocy z jego żoną. Król, uznawszy o tym, nic nie rzecze, ale znajduje go i głowę mu strzyże. Ostrzyżony strzyże innych i tym sposobem kary unika.

Gdy opowiadanie Filostrata, które czasem rumieńce na twarzach dam, a czasem ich śmiech wywoływało, do końca dowiedzione zostało, królowa Pampinei zaczynać kazała; ta z wesołym uśmiechem na ten kształt mówić jęła:

— Zdarzają się ludzie, co na wyskok pokazać pragną, że wszystko wiedzą i że nic tajne być im nie może ze spraw, których znajomością chlubić się im nie godzi. Nieraz taki człek, spostrzegłszy ukryte braki bliźniego, zaraz o tym powszędy głosi, mniemając, że przez to sławę swoją osłania, gdy tymczasem w istocie rzeczy na szwank ją przywodzi. Pragnę pokazać wam to, miłe towarzyszki, na przykładzie zgoła przeciwnym: rozwagi pewnego dzielnego króla. Zdarzyła mu się przygoda z człekiem czelności wielkiej, a niższej jeszcze, zapewne, od tamtego pachoła kondycji.

„Longobardzki król Agilulf, śladem swoich poprzedników, lombardzki gród, Pawię, za stolicę swoją wybrał. Król pojął za żonę Teudelingę, wdowę po Autaryku, również longobardzkim władcy. Teudelinga była wielce urodziwą, mądrą i obyczajną białogłową, aliści w miłości niezbyt szczęśliwą. Gdy Agilulf roztropnością i dzielnością swoją sprawy longobardzkiego państwa do pomyślnego stanu i pokoju doprowadził, zdarzyło się, że w pięknej królowej zakochał się okrutnie jeden z królewskich masztalerzy. Był to człek, mimo swojej podłej kondycji, wieloma przymiotami uraczony, a do tego urodziwy wielce i kształtowny jak sam król. Chocia z niskiego stanu szedł, przecie rozumu nie był pozbawiony, dlatego też pojąwszy, że afekt jego do lubego skutku przywiedziony być nie może, nie dał najmniejszej po sobie poznaki i nawet namiętnymi spojrzeniami nie ośmielał się zdradzać przed królową. Nie żywił najmniejszej nadziei, że wzajemność królowej będzie mógł pozyskać, dumnym jednakoż był z tego, że tak wysoko cel pragnień swoich umieścił, i cały ogniem miłości przenikniony, prześcigał wszystkich swoich towarzyszy w gorliwości i chęci przypodobania się swej pani. Dlatego też królowa, wyjeżdżając, zawsze chętnie dosiadała rumaka przez niego osiodłanego. Ilekroć się to zdarzyło, za łaskę najwyższą

sobie to poczytywał. Nie oddalał się od jej strzemienia i za szczęśliwego się uważał, jeżeli mu się jej szat dotknąć udało.

Jak to jednak pospolicie bywa, im mniejsza jest nadzieja, tym silniejszym płomieniem miłość się pali; tak też się i stało z tym nieborakiem, masztalerzem. Nie był już mocen dłużej swojej skrytej namiętności znosić, żadną nadzieją krzepiony nie będąc; postanowił tedy życia się pozbawić, bowiem wiedział, iż inaczej od tej miłości nie uciecze. Jednakże chciał wybrać taki śmierci rodzaj, aby zgon jego okazał jawnie, że zginął przez miłość, jaką do królowej żywił. Pragnął takoż przed śmiercią fortunę skusić i popróbować, zali mu się nie uda choćby w części celu swych pragnień osiągnąć.

Nie myślał wyznawać królowej miłości swojej lub na piśmie jej wyrażać, wiedział bowiem, że to na niczym by spełzło, postanowił jeno chytrego jakiegoś sposobu się chwycić, aby z królową jedną noc przepędzić. Nie było ku temu innego środka, jak za króla się przebrać (o którym wiedział, że nie zawsze nocą żonę odwiedza) i do komnaty sypialnej się dostać. To postanowiwszy, kilka nocy z rzędu spędził ukryty w wielkiej sali zamkowej, która znajdowała się między komnatami króla a królowej, i starał się podpatrzyć, jak i w jakim stroju król do małżonki zwykł przybywać. Pewnej nocy obaczył wreszcie króla, który wyszedł z swojej komnaty, owinięty w szeroki płaszcz, trzymając w jednej ręce zapalony ogarek, a w drugiej laskę. Król zbliżył się w milczeniu do drzwi komnaty królowej i zastukał do nich raz czy dwa razy swoją laską. Na to otwarły się natychmiast drzwi i królowi świecę z rąk odebrano.

Zauważywszy tedy sposób wejścia, a potem wyjścia króla, postanowił masztalerz swego pana jak najściślej naśladować. W tym celu postarał się o płaszcz podobny do tego, jaki król nosił, o ogarek i laskę, wykąpał się należycie, aby się zapachem stajennym nie zdradzić, i znów w wielkiej sali zamkowej się ukrył. Upewniwszy się, że wszyscy twardym snem są zmorzeni i że sposobna chwila na to nastała, aby albo swoje pragnienia uskutecznić, albo też godną drogę do śmierci znaleźć, skrzesał przy pomocy hubki, co ją miał przy sobie, trochę ognia, zapalił ogarek i otuliwszy się szczelnie w płaszcz, podszedł do drzwi, w które dwa razy laską uderzył. Zaspana pokojowa otworzyła mu je i odebrawszy świecę z jego rąk, zagasiła ją. Wówczas masztalerz, nie mówiąc ani słowa, wszedł za kotarę wiszącą koło łoża, zdjął płaszcz i wstąpił do łożnicy, w której królowa spała. Wiedząc, że król, gdy jest czymś pomieszany albo wzburzony, ma obyczaj ścisłe zachowywać milczenie, nie pozwalając mówić do się, udawał niepokój i nie rzekł ani jednego słowa, jeno królowę w ramiona pochwycił i kilka razy cieleśnie ją poznał. I aczkolwiek żal mu było odchodzić, przecie obawiając się, aby zbytnie

słodycze w męki się nie przemieniły, podniósł się wreszcie, wziął płaszcz i świecę i nie ozwawszy się ani słowem, do swojej izby się udał. Zaledwie jednak legł w swej pościeli, gdy król udał się do komnaty królowej. Królowa wielce się z tego zadziwiła. Gdy się obok niej położył i wesoło ją powitał, rzekła do niego, uprzejmością tą ośmielona:

— Cóż to za nowy obyczaj macie tej nocy, panie mój i małżonku? Ledwieście wyszli ode mnie, zażywszy rozkoszy ponad zwykłą miarę, a już powracacie znowu? Zważcie, co czynicie!

Król, słowa te usłyszawszy, dorozumiał się od razu, że ktoś oszukał królowę dzięki podobieństwu stroju i powierzchowności. Jednak, jako człek mądry, zauważywszy, że ani królowa, ani nikt inny podejścia nie spostrzegł, sam go nie chciał odkrywać. Iluż znalazłoby się głupców, którzy w podobnej okoliczności zaraz by wołać jęli: »Ja tutaj nie byłem! Któż więc mógł być? I co tu robił? I jak się tu mógł dostać?«. Siła przykrości z tego by wynikło, królowa zasię, bez potrzeby niepokojona, miałaby może pobudkę do spróbowania drugi raz tego, czego już raz pokosztowała; i gdy milczenie żadnej ujmy przynieść mu nie mogło, sam by się do hańby własnej przyczynił, rzecz tę jawną czyniąc.

— Zali mniemasz, moja żono, że nie mam dość męskości w sobie na to, aby dwa razy w ciągu nocy cię odwiedzić, a i później jeszcze powrócić? — rzekł król, bardziej zmieszany w duchu niźli w słowach albo na obliczu.

— Przeciwnie, panie mój — odparła królowa — proszę cię jednak, abyś na zdrowie swoje zważał.

Wówczas król rzekł:

— Posłucham więc dzisiaj twojej rady i więcej cię dręczyć nie będę.

To rzekłszy, płonąc gniewem i żądzą pomsty za wyrządzoną mu zniewagę, narzucił na się płaszcz i opuścił komnatę, z zamysłem odszukania po cichu winowajcy, bowiem ten, według jego mniemania, musiał do dworu należeć i żadną miarą nie mógł się jeszcze z zamku wydostać. Zażegłszy tedy światło w małej latarce, wszedł na długi korytarz, znajdujący się nad stajnią, w którym prawie cała służba spała. Będąc zaś przekonany, że temu, co owo plugastwo uczynił, puls i serce jeszcze po wysileniu uspokoić się nie mogły, jął każdemu śpiącemu z kolei piersi ostrożnie dotykać, aby bicie jego serca wybadać. Wszyscy krzepkim snem już byli zmożeni krom owego masztalerza. Ów, obaczywszy króla, odgadł od razu, czego jego pan szuka. Z trwogi serce jego — i tak ze zmęczenia niespokojne — jeszcze silniej walić poczęło. Sądził, że jeśli król to spostrzeże, ani chybi na śmierć go skaże. Tysiące myśli przemknęło mu przez głowę, wreszcie, widząc, że król przy sobie broni nie ma, postanowił udać śpiącego i czekać, co

król uczyni. Tymczasem król obmacał już wielu śpiących, bez tego jednak, aby znalazł, czego mu było trza; w końcu, doszedłszy do owego masztalerza, poczuł uderzenia jego serca i rzekł sam do siebie: »To ten!...«.

Nie chcąc jednakoż, aby ktokolwiek dowiedział się o jego przedsięwzięciu, poprzestał na tym, że nożycami, które miał przy sobie, obciął mu z jednej strony trochę włosów (w owych czasach bardzo je długie noszono), aby nazajutrz rano móc winowajcę po tym znaku szczególnym rozpoznać, i natychmiast do komnat swoich powrócił.

Masztalerz czuł doskonale, co król z nim robi, i natychmiast, dzięki swemu przyrodzonemu sprytowi, dorozumiał się, do czego te postrzyżyny zmierzać miały. Dlatego też podniósł się śpiesznie z pościeli i znalazłszy nożyce stajenne, do strzyżenia grzyw końskich przeznaczone, powystrzygał ostrożnie wszystkim śpiącym pukle włosów nad uszami. To uczyniwszy, do swego łoża powrócił.

Na drugi dzień rano, nim jeszcze bramy zamkowe otwarto, król przykazał całej służbie dworskiej przed sobą się stawić. Gdy zaś wszyscy się zebrali i z odkrytymi głowami przed nim stanęli, spojrzał na nich bystro, chcąc odszukać tego, co był przezeń postrzyżony. Aliści, ujrzawszy wielką ilość głów tak samo ostrzyżonych, niepomiernie zadziwił się i rzekł do się: »Ów, którego szukam, aczkolwiek z podłego pochodzi stanu, niemało ma przecie roztropności«.

Po czym rozważył, że bez tego, aby sprawa się rozgłosiła, winowajcy nie znajdzie. Nie chcąc dla małej pomsty wielkiej sobie hańby przyczynić, postanowił winowajcę jednym słowem napomnieć i pokazać mu, że o wszystkim jest dobrze uwiadomiony.

Obróciwszy się zatem do dworskich, rzekł:

— Niechaj ten, co to uczynił, drugi raz już nie ma do podobnego uczynku śmiałości. Teraz zasię idźcie z Bogiem.

Ktoś inny na miejscu króla kazałby służbę łamać kołem, brać ją na różne pytki, badać ją i wymuszać zeznania, tym kształtem podałby na jaśnię to, co ze wszech miar w zakryciu pozostać by było winno. Znalazłszy w końcu winnego i zemstę swoją nasyciwszy, nie zmyłby przez to z siebie hańby, przeciwnie, jeszcze by ją zwiększył, a do tego i żonę osławił.

Ci, którzy słowa jego słyszeli, zadziwieni, długo się nad nimi głowili, skrytego ich znaczenia pojąć nie mogąc.

Zrozumiał je jeno ten, kogo dotyczyły.

Masztalerz miał dość rozumu na to, aby za życia króla z tajemnicą swoją nigdy się nie zdradzać, a takoż już na podobne azardy więcej się nie ważyć".

Opowieść trzecia. Spowiedź

Pod pokrywką spowiedzi i swej wrzekomo urażonej cnoty dama, rozmiłowana w młodzieńcu, pewnego surowego mnicha, nic nie podejrzewającego, k'temu przywodzi, aby dopomógł jej do uskutecznienia miłosnych zamysłów.

Gdy Pampinea umilkła, wszyscy niemal wyrazili podziwienie swoje nad odwagą i sprytem masztalerza, a takoż nad roztropnością króla; za czym królowa, obróciwszy się do Filomeny, jej dalej opowiadać kazała. Wdzięczna Filomena w te słowa zaczęła:

— Zamierzam opowiedzieć wam o chytrym figlu, który pewna piękna dama surowemu mnichowi wypłatała. Taka sztuczka musi przypaść do smaku każdemu świeckiemu człowiekowi, bowiem ci nieokrzesani po większej części i głupi mnisi, dziwnych jakichś obyczajów przestrzegający, wystawiają sobie, że więcej od wszystkich znaczą i umieją, gdy tymczasem w samej rzeczy wiedzą niewiele albo i nic wcale. Dla tępości i gnuśności umysłu nie umiejąc tak się krzątać koło dobra swego jak inni ludzie, węszą jedynie, niby wieprze, gdzie by się do syta nażreć mogli. Opowiem wam tę historię nie tylko dlatego, że kolej na mnie przyszła, ale aby pokazać wam, że mnichy, którym we wszystkim wierzymy i zbytnią ufność im okazujemy, mogą być łatwo nie tylko przez mężczyzn, ale czasem i przez nas, kobiety, na hak przywiedzeni.

„W naszym mieście, gdzie kłamstwa i oszustwa daleko więcej znaleźć można niźli miłości i wierności, żyła przed kilkunastu laty pewna znakomita dama, uposażona od natury wielką urodą, obyczajnością, wysokim umysłem i dowcipem bystrzejszym niż dowcip białogłów. Znam jej imię, tak jak i imiona tych, co do tej opowieści należą, nie będę jednak imion tych wyjawiała, bowiem ci, którzy je noszą, żyją jeszcze; mogliby tedy łatwie gniewem się zapalić, gdy tymczasem, mówiąc po prawdzie, wszystko to jedynie śmiechu jest warte.

Owa dama, ze znacznego rodu idąca, oddana została za żonę prostemu tkaczowi. Nigdy jednakowoż nie mogła się pogodzić z myślą, że jej mąż jest zwykłym rzemieślnikiem, mniemała bowiem, że człek podłej kondycji, choćby i nie wiem jak był bogatym, nie jest godzien białogłowy dobrze urodzonej.

Widząc zasię, że jej mąż przy całym swoim bogactwie tylko przędzę motać, nici sposobne wybierać i z prządkami kłócić się potrafi, postanowiła pieszczot jego, o ile możności, unikać i znaleźć sobie nieodwłocznie jakiegoś kochanka, godniejszego jej niźli prosty tkacz. Wkrótce rozmiłowała się w pewnym zacnym szlachcicu średnich lat, i to tak okrutnie, że gdy tylko jakiegoś dnia go nie widziała, następnej nocy od dusznego

strapienia wcale spać nie mogła. Ów zasię, niczego się nie domyślając, wcale o nią nie dbał. Dama była zbyt ostrożna na to, aby poselstwami lub listami wysyłanymi do niego na możliwe niebezpieczeństwo się narażać. Uznawszy, że szlachcic w bliskiej przyjaźni pozostaje z pewnym grubym i krągłym mnichem, który dla swego świątobliwego życia powszechną czcią się cieszył, zamyśliła natychmiast mnicha tego za pośrednika użyć. Dobrze wszystko w umyśle ułożywszy i stosowną chwilę wybrawszy, udała się do kościoła, przy którym mnich przemieszkiwał, i wyraziła mu życzenie wyspowiadania się. Braciszek poznał od razu, że ze szlachetną damą ma do czynienia, dlatego też chętnie jej spowiedzi wysłuchał. Wyspowiadawszy się, białogłowa rzekła:

— Pragnę, wielebny ojcze, do was po radę i po pomoc się udać. Wiadome mi jest, że znacie dobrze moją rodzinę i mego męża, który miłuje mnie bardziej niż życie własne; jako człek wielce bogaty, spełnia on każde moje życzenie, za co kocham go bardziej niż żywot własny. Gdybym zdatna się okazała do najmniejszej myśli (nie mówię już o uczynku), która by jego dobrą cześć na szwank przywieść miała, więcej bym na stos zasłużyła niż jakakolwiek inna występna białogłowa. Tymczasem od niedawnego czasu pewien człek, nie znany mi z nazwiska, ale zdający się być znacznego stanu, a przy tym, o ile się nie mylę, wasz dobry znajomy, nie wiedząc widocznie o moim niezmiennym postanowieniu, w prawdziwym oblężeniu mnie trzyma. Jest to mąż okazałej postaci, wielce urodziwy i ubrany w wytworne szaty brunatnej barwy. Nie mogę się pokazać w drzwiach, u okna ani na ulicę wyjść bez tego, aby się nań nie natknąć. Samo przez się zrozumiałe jest, że są to dla mnie rzeczy nieznośne, bowiem, jak to nierzadko bywa, rzucić one mogą, bez żadnej winy z mojej strony, cień na moją cześć i cnotę. Przychodziło mi już nieraz do głowy powiedzieć o wszystkim moim braciom, aby mu stosowną odprawę dali, ale wstrzymała mnie myśl, że mężczyźni w podobnych okolicznościach łatwie do kłótni przyjść mogą, a później od słowa do słowa i do bitki. Chcąc więc zła i osławy uniknąć, wszystko milczeniem pokrywałam, póki do tej myśli nie przyszłam, aby wam strapienia swoje wynurzyć, już to ponieważ zdajecie się żyć w przyjaźni z owym mężem, a takoż i dla tej przyczyny, że wam więcej niż każdemu innemu przystoi nie tylko przyjaciół, ale i nieznajomych za podobne sprawki naganiać. Błagam was więc, w imię miłości Boga, wytknijcie mu jego postępowanie i nakażcie mu, aby je na przyszłość odmienił. Mało li na świecie kobiet nakłonionych k'temu i gotowych za podobne zachody hojnie wynagradzać? Takie przymilania, dla drugich ponętne, we mnie tylko najżywszy wstręt budzą.

Rzekłszy to, opuściła na piersi głowę, jakby gorzko zapłakać pragnęła.

Świątobliwy braciszek dorozumiał się od razu, kogo na myśli miała, uwierzył we wszystkie jej słowa, pochwalił ją za jej zacne postanowienie i przyrzekł, że sprawę tym trybem powiedzie, by szlachcic na przyszłość już jej niepokoić się nie ośmielał. Wiedząc zasię, że jest to białogłowa bogata, zaraz wspomniał o dziełach miłosierdzia, o pomocy bliźniemu i o swoich potrzebach. Na to dama odparła:

— Zaklinam was, ojcze, w imię Boga, abyście obietnicy swojej dopełnili. Gdyby zasię ów szlachcic chciał się zapierać, rzeknijcie mu po prostu, że ja to wszystko wam wyjawiłam, skarżąc się na niego przed wami.

Skończywszy spowiedź i odpuszczenie grzechów otrzymawszy, dama przypomniała sobie słowa mnicha o miłosiernych uczynkach i miłości bliźniego, dlatego też wsunęła mu ukradkiem pieniądze do ręki, prosząc, aby msze za jej umarłych krewniaków odprawiał. Później podniosła się i do domu odeszła.

Wkrótce szlachcic przybył w odwiedziny do mnicha, jak to często miał w obyczaju czynić. Gdy już o tym i o owym pogadali, mnich odciągnął swego gościa na stronę i w słowach przyjaznych napomniał go za owe zaloty i rozkochane spojrzenia, którymi damę prześladuje.

Szlachcic z początku srodze się zadziwił, bowiem ani mu to w głowie powstało patrzyć na nią, rzadko zresztą koło jej domu przechodził. Jął tedy niewinności swej dowodzić.

— Nie udawaj takiego zadziwienia ani nie staraj się po próżnicy słów na zaprzeczenie tracić — rzekł mnich, nie dopuszczając go do słowa. — Uznałem o tym nie od sąsiadów; zważ, że sama mi o wszystkim opowiedziała, żaląc się gorzko na ciebie. Takie błazeństwa tobie nie przystoją, przy tym rzeknę ci, że jeśli jest na świecie białogłowa, której podobne przymilania są przeciwne, to jest nią ona właśnie. Dlatego też przez wzgląd na cześć twoją i jej spokojność proszę cię, zaprzestań ją napastować.

Szlachcic, bystrzejszym umysłem niźli świątobliwy braciszek obdarzony, przeniknął od razu istotny zamiar białogłowy, udawszy więc niejakie zawstydzenie, przyrzekł, że już więcej zalecać się do tej kobiety nie będzie. Pożegnawszy się z mnichem, udał się nieodwłocznie do domu owej damy, która codziennie w małym okienku czatowała na jego pojawienie się. Toteż gdy go ujrzała, tak żywa radość odmalowała się na jej obliczu, że szlachcic przekonał się zaraz, iż pojął dobrze słowa braciszka. Od tego dnia poczynając, jął się nieustannie po onej ulicy przechadzać, ku swemu wielkiemu ukontentowaniu i radości damy; zachowywał przy tym należną ostrożność i udawał, że różne sprawy go tu przywodzą.

Dama, upewniwszy się, że podoba mu się równie jak i on jej, zapragnęła bardziej go pobudzić i dać mu wyraźny dowód swych miłosnych chęci. W tym celu w stosownym czasie udała się znów do świątobliwego braciszka i usiadłszy w kościele u jego nóg, gorzko płakać poczęła. Zacny mnich przenikniony litością zapytał, co się stało?

Dama odparła:

— Cóż by innego, ojcze wielebny, jak nie nowa przykrość ze strony tego przeklętego od Boga przyjaciela waszego, na którego przed kilku dniami żaliłam się. Jak mniemam, przyszedł na świat na moje udręczenie, aby pozbawić mnie szczęścia i uczynić tak, bym już nigdy nie ośmieliła się wam do nóg upaść.

— Jak to? — zawołał mnich — zali nie przestał was jeszcze napastować?

— Bynajmniej — odparła dama — poczynając od tej chwili, gdy się wam na niego uskarżałam, on, widać przez przekorę i gniew na mnie, jął się przechadzać koło mego domu siedem razy częściej niż przedtem.

Gdyby tylko chodził i patrzył na mnie, pół biedy by z tym było, aliści tak się rozzuchwalił, że wczoraj przysłał do mnie z poselstwem od siebie jakąś kobietę, która mi wręczyła w podarunku sakiewkę i pas, tak jakbym mało miała swoich pasów i sakiewek. To mnie w taki gniew wprowadziło, że straszny bym gwałt podniosła, gdybym nie obawiała się przez to grzechu popełnić i wam przykrości wyrządzić. Pohamowałam się więc z wielkim trudem i postanowiłam nic nie przedsiębrać, póki was o wszystkim nie uwiadomię. Oddałam sakiewkę i pas owej kobiecie i precz jej z domu iść kazałam, ale później zważywszy, że mogłaby podarki te dla siebie zatrzymać, jemu zasię powiedzieć, że je przyjęłam, jak to ponoć dzieje się niekiedy, przywołałam ją z powrotem, ze wstrętem z rąk jej przedmioty te odebrałam i przyniosłam je wam teraz, abyście mu je oddali i rzekli, że mi jego podarków nie potrzeba. Dzięki Bogu i szczodrości mego męża tyle mam sakiewek i pasów, że snadnie bym go nimi zadusić mogła. Teraz zasię powiem wam, jako duchownemu ojcu, że jeśli ów szlachcic w spokoju mnie nie ostawi, poskarżę się moim braciom i mężowi. Niech wówczas będzie, co chce! Niechaj lepiej on ma za swoje, aniżeli ja miałabym z jego przyczyny być osławiona. Zaliż nieprawda, mój ojcze?

Rzekłszy to, płacząc w głos, wydobyła spod sukni wspaniałą sakiewkę i bogato haftowany pas i rzuciła je mnichowi na łono.

Ów, upewniony, że dama prawdę mówi, wziął te rzeczy z wielkim na obliczu pomieszaniem i rzekł:

— Wcale się nie dziwuję, moja córuchno, że się tym wszystkim turbujesz; nie tylko ganić cię za to nie będę, ale, przeciwnie, pochwalić cię muszę, że rad moich słuchasz. Niedawno napomniałem go ostro, aliści on źle obietnicę swoją zdzierżył. Dlatego też za dawne plugastwa, do których nowe przydał, tak mu myślę uszu natrzeć, że mu raz na zawsze ochota do zalotów odejdzie. Ty zasię nie daj się unieść gniewu zapędom i nie wyjawiaj tych rzeczy swoim krewniakom, bowiem do czegoś gorszego jeszcze snadnie przyjść by mogło. Nie obawiaj się, aby cześć twoja jakiś uszczerbek przez to ponieść miała, ja bowiem będę zawsze, przed Bogiem i przed ludźmi, świadkiem twej uczciwości.

Dama udała, że te słowa nieco ją pocieszyły; skończywszy przeto mowę swoją, rzekła jeno, wiedząc dobrze o chciwości mnichów:

— Tej nocy zjawili mi się we śnie, świątobliwy ojcze, moi rodzice; zdawało mi się, że ciężkie katusze cierpią i że niczego tak nie łakną jak jałmużny, a zwłaszcza matka moja, która tak zasmuconą i wynędzniałą mi się okazała, że aż litość brała patrzeć. Sądzę, że wielkiego strapienia przyczyniają jej te obierze, w jakie mnie wtrącił ów wróg Pana Boga. Dlatego też proszę was, abyście odprawili za ich dusze czterdzieści mszy św. Grzegorza, a takoż pomodlili się do Boga tak, aby Stwórca od mąk ich wybawił.

Rzekłszy to, wsunęła mnichowi do ręki dukat złoty.

Mnich chciwie pieniądz pochwycił i w stosownych słowach mnogimi przykładami pobożność jej utwierdziwszy, z błogosławieństwem swym ją odpuścił.

Po czym, gdy odeszła, nie podejrzewając wcale, że na hak przywiedziony został, posłał po swego przyjaciela.

Ów, widząc, że mnich jest srodze zagniewany, zaraz dorozumiał się, że nowe wieści od swojej damy otrzyma. Czekał tedy, co powie mu braciszek. Ten z gniewem wielkim powtórzył jeszcze raz wyrzuty swoje i zgromił go ostro za nowe przewiny, jakie, według słów damy, popełnił. Szlachcic, nie mogąc zrazu pojąć, ku czemu słowa mnicha zmierzają, starał się zaprzeczyć, że kiedykolwiek sakiewkę i pas jej posyłał, czynił to jednak niezdarnie, tak aby mnich nie zachwiał się w wierze, jakiej opowieści damy użyczył, jeśli to ona mu je wręczyła. Aliści braciszek rozjadowił się nie na żarty i rzekł:

— Jakże możesz temu przeczyć, przewrotny człecze! Patrzaj, te oto podarki sama mi z płaczem przyniosła. Zali będziesz śmiał twierdzić, że ich nie znasz?

Szlachcic, uczyniwszy pozór srodze zawstydzonego, rzekł:

— Trudno zatem, przyznaję, że te przedmioty należą do mnie i że źle postąpiłem; przysięgam jednak, że widząc ją w swym postanowieniu tak niezłomną, nigdy już jej nie dam powodu na skargę na mnie.

Długo go gromił mnich głupi jak baran, aż w końcu oddał mu pas i sakiewkę, nie omieszkawszy przedtem pouczyć go i zakląć, aby więcej podobnych rzeczy nie czynił. Szlachcic przyrzekł i pożegnawszy się z braciszkiem, uradowany niezmiernie, tak z dowodnej oznaki afektów tej damy, jak i jej bogatego podarunku, natychmiast udał się pod jej dom i oględnie pokazał jej, że już podarki otrzymał. Dama wielce z tego ukontentowana, cieszyła się, że sprawy coraz to lepszym idą torem. Od tej chwili czekała tylko na wyjazd męża, aby swe starania pomyślnym uwieńczyć skutkiem. Wkrótce zdarzyło się, że tkacz musiał się do Genui udać. Gdy tylko z rana wsiadł na koń, dama pośpieszyła do mnicha i rzekła płacząc rzewliwie:

— Mówię wam, świątobliwy ojcze, że dłużej już wytrzymać nie jestem w stanie. Ponieważ jednak obiecałam wam, że nic nie przedsięwezmę bez uprzedniego uwiadomienia was, tedy przychodzę, ażeby usprawiedliwić się przed wami. Abyście zaś poznali, że mam przyczynę gorzko płakać i użalać się, chcę wam opowiedzieć, co uczynił ten szatan wcielony z piekła rodem, wasz przyjaciel, nie dalej jak dziś z rana przed jutrznią. Bóg jeden wie, w jaki sposób zwęszył, że mąż mój wczora do Genui wyjechał. Dziś z rana zatem wszedł do mego ogrodu i wdrapał się na drzewo rosnące naprzeciw mojej komnaty, której okna na sad wychodzą. Już zdołał okno uchylić z tym zamysłem, aby do mojej sypialnej komnaty wtargnąć, gdy nagle ja, obudziwszy się, zerwałam się z łoża i już krzyknąć wielkim głosem chciałam, aliści ów niezbyty natrętnik jął mnie zaklinać w imię miłości Boga i przyjaźni waszej, abym zmilczała, a potem powiedział mi, kim jest. Nie czyniąc więc przez wzgląd na was najmniejszego hałasu, pobiegłam tak naga, jaką na świat przyszłam, aby okno mu zaprzeć przed nosem. Widocznie zaraz uciec musiał, bowiem już go więcej nie widziałam. Osądźcie sami, ojcze świątobliwy, zali to dalej cierpieć można? Co się mnie tyczy, to myślę temu raz wreszcie koniec położyć. Przez wzgląd na was zbyt wiele już od niego znieść musiałam.

Usłyszawszy te słowa mnich wpadł w gniew niezmierny i nie wiedział już sam, co rzec ma, pytał tylko raz po raz, zali pewna jest; że był to ów właśnie szlachcic, a nie jakiś inny zalotnik.

— O wielkie nieba! — zawołała białogłowa — zaliż go od innego odróżnić nie potrafię? Mówię wam, że to on był; jeśliby starał się zaprzeczać, nie dawajcie mu wiary.

— Nic innego powiedzieć nie lza, moja córko — powiedział mnich — jak jeno to, że jest to zuchwalstwo niepomierne i postępek plugawy; uczyniłaś, jak się należało, precz go przeganiając. Proszę cię jeno (skoro Bóg cię od wstydu ochronił!), abyś jeszcze raz za moją radą poszła i nie żaląc się przed krewniakami, mnie działać pozwoliła. Spróbuję, czy mi się nie da okiełznać tego wcielonego diabła, o którym sądziłem, że jest świętym człekiem. Jeżeli mi się uda bydlęce jego przyrodzenie zwyciężyć, wszystko dobrze się zakończy, jeżeli zaś niemożliwe się to okaże, to daję ci obecnie wraz z błogosławieństwem słowo najświętsze, że pozwolę ci czynić z nim, co ci się podoba.

— Na ten raz jeszcze nie chcę wam turbacji przyczyniać i nieposłuszeństwa okazywać — rzekła białogłowa — postarajcie się jeno tak wszystko uładzić, aby mnie więcej nie prześladował, wówczas i ja przestanę was tą sprawą zanudzać.

Rzekłszy to, udała, że jest srodze gniewną, i do domu odeszła.

Zaledwie się od kościoła oddaliła, gdy u mnicha szlachcic się zjawił. Braciszek odciągnął go na stronę i wysypał mu na głowę wór najgorszych łajań i przekleństw, nazywając go w grubych słowach nikczemnikiem, krzywoprzysięzcą i zdrajcą. Szlachcic, który już z dwóch eksperiencyj dobrze wiedział, jaki jest powód tych grubiańskich wymysłów, uważnie słuchał z początku, a później niejasnymi słowy starał się od mnicha jakąś wiadomość wydobyć.

— Co znaczy ten gniew, wielebny ojcze — zapytał — zaliżem Chrystusa ukrzyżował?

— Ha, ty bezwstydniku! — zawołał mnich — spójrzcie na niego, mówi o tym tak spokojnie, jakby już rok albo i dwa minęły od tej pory, gdy tyle łotrostw popełnił. Widocznie już się mu w pamięci zatrzeć zdołały. Już o tej rannej porze zapomniałeś, żeś dziś przed jutrznią bliźniego ciężko pokrzywdził? Gdzieżeś był dzisiaj o świcie?

— Nie wiem, gdzie byłem — odparł szlachcic — ale kiedy macie tak chyżych posłów, to wy o tym wiedzieć musicie.

— Tak, uznałem o tym — rzekł mnich. — Widać myślałeś, że w czasie gdy mąż przytomny nie jest, cnotliwa białogłowa rzuci ci się zaraz na szyję. Oto mi czcigodny człek, ani słowa! Włóczy się po nocy po cudzych sadach i na drzewa się wdrapuje! Zali sądziłeś, że łatwiej opór tej zbożnej niewiasty przemożesz, wybrawszy sobie nocą drogę przez drzewo do jej okna? Przekonałeś się już, że jesteś jej bardziej obmierzły niż ktokolwiek bądź inny na świecie, a jednak ciągle ją napastujesz. Wiele razy ona ci swą wzgardę jawnie okazała, o tym mówić nie będę, aliści czy o moje przestrogi i napomnienia nie dbasz wcale? Posłuchaj teraz, co ci powiem. Dotychczas milczeniem twoje niecnoty pokrywała, oczywiście, nie z miłości do ciebie, lecz ze względu na prośby

moje. Ale już na przyszłość nie będzie milczała; dałem jej bowiem zupełną wolność postępowania, jeżeli znowu dręczyć się ją odważysz. Co się stanie z tobą, jeżeli się swoim braciom poskarży?

Szczęśliwy kochanek dowiedział się z tych słów wszystkiego, czego mu było trza. Nie tracąc czasu, pożegnał się z mnichem, przyrzekłszy mu, jak umiał najlepiej, że jego przestrogi będzie miał na uwadze. Następnej nocy, przed jutrznią, zakradł się do sadu, wdrapał się na drzewo i znalazłszy okno otworem stojące, wszedł do komnaty i jak mógł najszybciej rzucił się w objęcia swojej damy.

Białogłowa dawno czekała nań z wielką tęskliwością. Ujrzawszy go rzekła ze śmiechem:

— Niech będzie błogosławiony ów ojciec wielebny, który ci tak dobrze drogę do mnie pokazał!

Po czym pogrążyli się w rozkoszy. Długo miłosne harce czynili, śmiejąc się i żartując z głupoty świątobliwego braciszka, a takoż z kółek, grzebieni i innych narzędzi tkackich. Potem umówiwszy się, jak im działać należy, nie uciekając się do pośrednictwa mnicha, wiele podobnych nocy w weselu spędzili. Niech Bóg w nieskończonym miłosierdziu swoim rychło mnie i inne dusze chrześcijańskie takimi rozkosznymi nocami obdarzy!".

Opowieść czwarta. Droga do raju

Don Felice poucza brata Puccia, jak ma drogą pokuty zbawienia dostąpić. Brat Puccio pokutę odprawia, a mnich tymczasem z jego żoną miłosne igraszki czyni.

Gdy Filomena, opowiedziawszy swoją historię, zamilkła, Dioneo stosownymi słowy pochwalił wielce bystrość dowcipu białogłowy, a także i Filomeny modlitewne westchnienie przy końcu. Królowa, spojrzawszy z uśmiechem na Panfila, rzekła doń:

— Teraz ty, Panfilo, uracz nas jakąś wesołą opowieścią.

Panfilo oświadczył gotowość swoją i tak zaczął:

— Siła jest takich ludzi, co to nie szczędząc wysiłków, aby się do raju dostać, nie spostrzegają, że wprowadzają tam, miast siebie, innego; tak właśnie rzecz się miała niedawno z jedną naszą rodaczką, o czym wam zaraz opowiem.

„Według tego, co słyszałem, niedaleko od San Brancazio mieszkał pewien poczciwy i bogaty człek, Pucciem di Rinieri zwany, który, nabożnym będąc, wkrótce sprawom zbawienia całkiem się oddał, stał się tercjarzem w zakonie św. Franciszka i bratem Puccio zwać się począł. Ponieważ żadnej rodziny nie miał, a cały dom jego składał się

jeno z żony i jednej służącej, więc zbytnich trosk nie zaznając, mógł skłonności swojej zadośćuczynić i cały wolny czas w kościele spędzać. Jako człek gruby i na umyśle tępy, klepał modlitwy, na kazania chodził, godzinki pilnie śpiewał, pościł, umartwiał się i mszy słuchał, a jak słuchy chodziły, także do liczby biczowników należał. Żona jego, madonną Isabettą zwana, młoda jeszcze białogłowa, około trzydziestu lat licząca, była osobą piękną, świeżą i krągłą jak jabłuszko. Z przyczyny zbytniej nabożności męża, a także podeszłych lat jego musiała nieraz zachowywać dłuższy post, aniżeliby tego pragnęła. Gdy chciała już spać albo może harce z mężem swym czynić, ów opowiadał jej o życiu Chrystusa, o pokucie Magdaleny lub o kazaniach brata Anastazego.

W owym czasie powrócił z Paryża pewien mnich, należący do klasztoru w San Brancazio, don Felice zwany. Był to człek młody, wielce urodziwy, a do tego bystry i głęboko uczony. Brat Puccio zaraz z nim w stosunek bliskiej przyjaźni wstąpił. Mnich rozwiązywał jak najlepiej wszystkie jego wątpliwości, a poznawszy jego naturę, zapragnął wydać mu się człekiem świątobliwym. Brat Puccio wprowadził go do domu swego i nieraz go na wieczerzę zapraszał. Takoż i żona jego, dla miłości męża, chętnie czyniła honory gościowi, rychło się z nim oswoiwszy. Don Felice, ujrzawszy urodziwą i pulchną białogłowę, dorozumiał się zaraz, czego jej brakować musi, dlatego też postanowił, o ile tylko zdoła, uwolnić brata Puccia od trudu i wziąć go na barki własne. Jął więc śmiało rzucać na młodą białogłowę znaczące spojrzenia i przyłożywszy się pilnie do dzieła, tyle sprawił, że podobną żądzę do tej, jaką sam uczuwał, i w niej zapalił. Spostrzegłszy to skorzystał z pierwszej nadarzonej sposobności, aby się z żoną brata Puccia wedle swej woli porozumieć. Chociaż znalazł ją gotową przywieść rzecz całą do końca, przecie nie mógł się tego od niej dobić, aby mu naznaczyła spotkanie gdzieś poza swoim domem. W domu zasię niepodobna było nic uczynić, brat Puccio bowiem nie zwykł był nigdy wyjeżdżać. Wszystko to wielce mnicha martwiło. Wreszcie przyszedł mu do głowy fortel, dzięki któremu spodziewał się, że będzie się mógł cieszyć do woli wdziękami Isabetty w jej domu bez obudzenia podejrzeń w duszy brata Puccia.

Pewnego razu, gdy brat Puccio go odwiedził, rzekł doń:

— Już nieraz spostrzegłem, bracie Puccio, że jedno tylko pragnienie żywicie: zbawienia dostąpić. Zdaje mi się jednakoż, że zbyt długą drogą do tego celu zmierzacie. Przecie istnieje i inna droga, znacznie krótsza, którą kroczy papież i wysocy dostojnicy Kościoła. Co prawda, nie chcą oni drogi tej ludziom ukazywać, bowiem stan duchowny, żyjący z jałmużny wiernych za wskazywanie im ścieżki do nieba, wielce by na tym ucierpiał. Ponieważ jednak jesteście moim przyjacielem, dla którego wiele

wdzięczności za okazywane mi względy żywię, dlatego też odkryję wam tajemnicę, jeśli chcecie pójść za tym wskazaniem, a nikomu na świecie go nie zdradzicie.

Brat Puccio, pełen ciekawości, jął go prosić i nastawać na niego, aby mu wskazówek potrzebnych udzielił, zaręczając i klnąc się na wszystkie świętości, że nikomu o tym ani słowa nie powie i że sam zaraz drogi tej spróbuje, o ile tylko sił mu stanie.

— Dobrze więc — odparł mnich — skoro mi tak uroczyście milczeć przyrzekacie, dam wam stosowne pouczenie. Wiedzieć wam należy, iż ojcowie Kościoła twierdzą, że ten, kto chce zbawienia dostąpić, winien następującą pokutę odbywać. Zrozumcie mnie jednak dobrze! Nie twierdzę ja, że po tej pokucie zupełnie grzesznikiem być przestaniecie, ale jeno, że wszystkie winy popełnione do chwili pokuty, odpuszczone wam zostaną. Te błędy zasię, w które popadniecie po jej odprawieniu, nie będą wam policzone ku potępieniu, przeciwnie, jak grzech powszedni, odrobiną wody święconej zmyć się dadzą.

Przede wszystkim więc, chcąc odprawić pokutę, musicie się szczerze i należycie wyspowiadać, później zasię należy zacząć post i życie wstrzemięźliwe, które ma trwać dni czterdzieści; w tym czasie nie wolno wam tknąć swojej żony, a tym bardziej żadnej innej białogłowy. Krom tego musicie znaleźć w swoim domu miejsce odosobnione, gdzie pozostając, moglibyście przez całą noc w gwiaździste niebo się wpatrywać. Udacie się tam późnym wieczorem i narychtujecie sobie długi stół, tak wysoki, abyście stojąc, lędźwiami o niego opierać się mogli. Położycie na stół swoje ramiona, przyjmując postawę Ukrzyżowanego, możecie się przy tym rękoma za dwa kołki uchwycić. W tej postawie, patrząc w niebo i najmniejszego poruszenia nie czyniąc, pozostaniecie aż do jutrzni. Gdybyście byli uczeni w piśmie, dałbym wam modlitwy, które w czasie pokuty odmawiać należy, ponieważ jednak czytać nie umiecie, musicie tedy odmówić trzysta razy Zdrowaś Maryja i tyleż razy Ojcze nasz. Przez cały ten czas będziecie patrzyli w niebo i nieustannie myśleli o tym, że Bóg stworzył ziemię i niebo, uprzytomniając sobie również mękę Zbawiciela. Gdy na jutrznię zadzwonią, odejdziecie i jeśli wola, rzucicie się w ubraniu na łoże i zaśniecie. Rankiem musicie jeszcze udać się do kościoła, wysłuchać trzech mszy i odmówić pięćdziesiąt Ojcze nasz i tyleż Zdrowaś Maryja. Potem wolno wam będzie zająć się swymi sprawami i obiad zjeść. Jednakże w porze nieszporów znowu powinniście pójść do kościoła i tam odmówić kilka pacierzy, których was zaraz nauczę, a bez których obejść się nie lza. Za nadejściem wieczoru od nowa pokutę rozpoczniecie.

Ja sam kiedyś wszystko to czyniłem, dlatego też jestem upewniony, że zanim do końca pokuty dojdziecie, uczujecie rozkosz wiecznego zbawienia.

— Praktyki te nie wydają mi się zbyt uciążliwe i długotrwałe — odparł brat Puccio — i myślę, że im łatwo sprostam; z pomocą boską zacznę pokutę jeszcze w tę niedzielę.

Przyszedłszy do domu opowiedział o wszystkim, za zezwoleniem mnicha, swojej żonie. Ta dorozumiała się zaraz, w jakim celu mnich rozkazał mu, nie drgnąwszy, przez całą noc pokutować. Znalazłszy ten fortel wcale udatnym, rzekła, że wielce rada będzie zawsze z wszystkiego, co on za użyteczne dla zbawienia duszy swojej uzna. Żeby zaś Bóg łaskawie tę jego pokutę przyjął, gotowa jest z mężem post podzielić, innych prywacyj na się nie biorąc.

Gdy nadeszła niedziela, brat Puccio pokutę swoją rozpoczął, mnich zasię, ułożywszy się z Isabettą, prawie każdego wieczora do niej się zakradał, nie będąc przez nikogo widziany. Przynosił z sobą przednie potrawy i wina; po spożyciu wieczerzy kładli się do łoża i figlowali aż do jutrzni; o tej godzinie mnich odchodził, a brat Puccio do łoża powracał. Ponieważ jednak miejsce pokuty brata Puccia oddzielone było tylko cienkim przepierzeniem od komnaty jego małżonki, zdarzyło się tedy, że gdy mnich zbyt tęgo panią Isabettę tarmosił, zdało się pokutnikowi, że trzeszczą wszystkie krokwie w komnacie. Odmówił już był sto ojczenaszów, a gdy do sto pierwszego miał się zabierać, zapytał:

— Na miłość boską, moja żono, co tobą tak rzuca?

Wielce żartobliwa białogłowa, która zapewne dosiadała właśnie rumaka świętego Benedykta czy świętego Jana Gwalberta, odparła:

— Na mą duszę, mężu drogi, przewracam się, jak tylko mogę!

— Jak to przewracasz się? Co chcesz powiedzieć przez to?

— Jakże się możesz jeszcze pytać o to? — odrzekła Isabetta, ledwo hamując się od śmiechu (a było, wierę, śmiać się z czego). — Zaliżem cię nie słyszała mówiącego tysiąc razy: „Kto się cały dzień przepości, nie ma w nocy spokojności”.

Brat Puccio, uwierzywszy, że żona wskutek długiego postu zasnąć nie może i dlatego tak na łożu się przewraca, rzekł do niej dobrodusznie:

— Prosiłem cię nieraz, żono, abyś postów zaniechała, aleś nie chciała mnie posłuchać. Proszę cię, nie myśl już o tym, staraj się teraz zasnąć, bowiem tak się na łożu rzucasz, że je całe na drzazgi porozbijasz.

— Nie troskaj się o to, miły mężu — odparła białogłowa — wiem, co czynię. Bacz na siebie, abyś dobrze czynił, ja zaś w miarę sił moich będę się starała, aby jeszcze lepiej czynić.

Puccio zamilkł i znowu do modlitw swoich przystąpił. Isabetta i mnich jeszcze tej nocy w innej części domu narychtowali sobie łoże, w którym z radością harcowali w czasie pokuty brata Puccio. O jutrzni mnich wychodził, białogłowa do małżeńskiej łożnicy powracała, a wkrótce i brat Puccio przybywał. Gdy więc brat tym kształtem pokutę odprawiał, a żona jego z towarzyszem zabawiali się mile, Isabetta nieraz żartobliwie do mnicha mawiała:

— Zadałeś mężowi pokutę, dzięki której my już raju zażywamy.

Isabetta tak przywykła i tak zasmakowała w strawie, którą ją mnich obdarzał (trza wiedzieć, że mąż od dawna w poście ją trzymał), że nim pokuta brata Puccia do końca dobiegła, znalazła sposób pożywiania się poza domem. Folgowała zatem swoim chuciom w tajności i bez przeszkód.

Zważcie, że ostatnie słowa mojej opowieści wcale pierwszym nie przeczą, brat Puccio bowiem, mniemając, że przez ciężką pokutę dostanie się do raju, pokazał doń drogę mnichowi i żonie swojej, która w nieustannej potrzebie żyła, póki się nad nią szczodry mnich nie ulitował".

Opowieść piąta. Koń i żona

Strojniś czyni ze swego rumaka dar dla messera Franceska Vergellesi. Za to wolno mu jest rozmawiać z żoną pana Franceska. Ponieważ dama milczy, więc Strojniś odpowiada za nią. Później zaś dzieje się wszystko według jego odpowiedzi.

Swoją opowieść o bracie Puccio zakończył Panfilo przy ogólnym śmiechu dam. Następnie królowa obróciła się do Elizy i rzekła, że na nią kolej przypada.

Eliza mówić zaczęła trochę drwiąco, nie tyle ze złośliwości, co z długiego nawyku:

— Wiele ludzi dużo wiedzących mniema, że krom nich nikt nic wiedzieć nie może. Ale często pragnąc innych wyprowadzić w pole, przyznać muszą, że sami zostali na hak przywiedzeni. Dlatego też jestem przekonana, że nie należy bez potrzeby siły umysłu innych na próbę wystawiać. Że jednak może nie wszyscy z was są podobnego zdania, opowiem wam, co się zdarzyło pewnemu szlachcicowi z Pistoi.

„W Pistoi mieszkał szlachcic z rodu Vergellesi, imieniem Francesko. Był to człek wielce bogaty, mądry, pełen życiowej eksperiencji, aliści skąpy okrutnie. Ów,

mianowany będąc podestą Mediolanu i wybierając się w drogę do tego miasta, opatrzył się we wszystko, czego mu było trza, stosownie do godności swojej. Brakowało mu tylko pięknego rumaka. Nie mogąc znaleźć takiego, co by mu się podobał, trapił się i myślał, gdzie by go dostać. W owym czasie znajdował się w Pistoi pewien młodzieniec, imieniem Ricciardo, z nieznacznego idący rodu, ale bogaty wielce. Ricciardo tak był o swój pozór i strój dbały, że mu przydomek Strojnisia nadano. Młodzieniec ów od dawnego czasu miłował i bez powodzenia zabiegami swymi otaczał żonę messera Franceska, białogłowę cnotliwą i wysokiej urody. Ponieważ zaś posiadał jednego z najpiękniejszych rumaków Toskanii, z którego był wielce dumny, a namiętność jego do żony pana Franceska była rzeczą powszechnie wiadomą, więc ktoś messerowi Francesko poradził, aby zażądał od Strojnisia jego rumaka. Dla miłości, jaką żywi do jego żony, niechybnie mu go odda. Messer Francesko, chciwością powodowany, zaprosił do siebie Strojnisia i zwrócił się do niego, aby mu rumaka sprzedał, w oczekiwaniu, że ten ofiaruje mu go w darze. Strojniś, usłyszawszy tę prośbę, uśmiechnął się i rzekł:

— Gdybyście mi dali wszystko, co posiadacie, jeszcze byście mego konia drogą kupna nie otrzymali. Możecie go jednak łatwie w podarunku dostać. Zezwólcie tylko, abym zanim rumaka otrzymacie, mógł w waszej przytomności słów kilka waszej żonie powiedzieć, w takim jednakoż oddaleniu, aby nikt, krom niej, nie mógł mnie usłyszeć.

Francesko, zaślepiony chciwością, sądząc, że mu się uda łatwie Ricciarda na hak przywieść, przystał na ten warunek i oznajmił, że Strojniś może do jego żony tyle słów skierować, ile mu się tylko podoba. Ostawiwszy Ricciarda w wielkiej sali swego pałacu, udał się do komnaty żony, opowiedział jej, jakim łatwym sposobem może przyjść do posiadania rumaka, i przykazał, aby poszła wysłuchać Strojnisia, nie odpowiadając jednakoż ani słowem na jego wywody. Żonie Franceska wielce to wszystko nie po myśli było, zmuszona jednakoż wolę męża wypełnić, rzekła, że się zgadza. Za czym weszła z mężem do sali, aby posłuchać, co Strojniś mówić będzie.

Ricciardo, potwierdziwszy umowę swoją z Franceskiem, usiadł z jego żoną w odległym kącie komnaty i rzekł:

— Nie masz najmniejszej wątpliwości, szlachetna pani, że dzięki wielkiemu rozumowi swemu dawnoście już odgadnąć mogli, jaką miłość wzbudziła we mnie wielka wasza piękność, która z żadną inną w paragon nie wchodząc nad wszystkimi przodek bierze. Nie będę tutaj się szerzył nad waszymi obyczajami i osobliwymi przymiotami, których doskonałości żaden człek wzniosłego ducha oprzeć by się nie

zdołał. Nie trza takoż słowami dowodzić, że afekt mój do was jest silniejszy i bardziej ognisty niż jakiekolwiek uczucie, które mężczyzna do kobiety żywić może. Trwać ono będzie w tej samej sile, dopóki mi nędznego żywota starczy, jeżeli zasię na tamtym świecie jeszcze się istnieje, będę was miłował przez wieczność całą. Dlatego też możecie być przeświadczeni, że nie ma nic, drogiej czy pośledniej ceny, co byście tak prawdziwie swoim nazwać mieli prawo i na co byście we wszelkich okolicznościach tak liczyć mogli, jak na mnie i na wszelkie dobra moje.

Abyście się o tym przeświadczyć mogli dowodnie, powiem wam, że za największą łaskę sobie bym to poczytywał, gdybyście zlecili mi uczynić coś dla ukontentowania waszego. Miałbym to za większe szczęście, niż gdyby mnie cały świat słuchał. Skoro własność waszą stanowię, jak to widzicie ze słów moich, zaliż mam daremnie gorące prośby do was zanosić, wiedząc, że tylko od was może spłynąć na mnie spokój i szczęście? Dlatego też, jako pokorny niewolnik, proszę was, będących jedynym moim dobrem i nadzieją duszy mojej, która ufności pełna miłosnymi płomieniami się żywi, abyście raczyli stać się łaskawszą dla mnie i zmiękczyć nieco dotychczasową surowość swoją. Waszą litością pokrzepiony, będę mógł powiedzieć, że wasza piękność, co miłość we mnie wzbudziła, tchnęła też życie we mnie. Jeżeli wyniosłej swej duszy do próśb moich nie nakłonicie, życie moje wkrótce zagaśnie. Umrę, a was będą mogli nazwać morderczynią. Śmierć moja nie przyniosłaby wam chluby, mniemam takoż, że sumienie by wam spokoju nie dało i że wówczas, łaskawszą będąc dla pamięci mojej, niźli dzisiaj dla mnie jesteście, rzeklibyście do się: »Jakże źle postąpiłam, nie okazawszy memu biednemu Ricciardowi ani krztyny litości!«.

Dręczona niewczesnym żalem, tym głębszy ból poczujecie. Aby więc temu zapobieżyć, póki jeszcze czas, ulitujcie się nade mną i bądźcie łaskawi dla mnie, zanim nie zginę. W waszej mocy leży uczynić mnie najszczęśliwszym czy też najbiedniejszym na ziemi człowiekiem. Tuszę, że wasza miłość bliźniego do tego nie dopuści, abym miał za mą niezmierną miłość śmierć odnieść w zapłacie, ale że owszem, przychylnym i łaskawym responsem wskrzepicie władze duszy mojej, które drżą teraz przed waszym obliczem.

Tutaj Ricciardo zamilkł i głęboko wzdychając, kilka łez uronił. Czekał teraz, co miła pani mu odpowie. Dama, której dotychczas wszystkie zabiegi Strojnisia, jako to turnieje czy serenady, poruszyć nie mogły, teraz na te wymowne i namiętne słowa kochanka poczuła nieznane jej dotąd wzruszenie i pojęła, co miłość znaczy. I chociaż, posłuszna

rozkazaniu męża, głębokie milczenie zachowywała, nie mogła przecie pohamować westchnienia, które Strojnisiowi wyjawiło to, co by chętnie w słowach mu wyznała.

Ricciardo poczekał chwilę, ale widząc, że responsu nie ma, zadziwił się zrazu wielce; później jednak odgadł, jakiego podstępu Francesko chwycić się musiał. Spojrzawszy na oblicze damy, spostrzegł, że oczy jej, zwrócone na niego, błyszczały dziwnym blaskiem, usłyszał także stłumione westchnienia, dobywające się z jej łona, nabrał przeto otuchy i na nowy wpadł fortel. Jął odpowiadać sam sobie w imieniu damy i w jej przytomności na ten kształt:

— Drogi Ricciardo, w samej rzeczy od dawna już spostrzegłam miłość twoją ku mnie i poznałam, że jest ona niezmierna i pełna doskonałości, teraz zasię dzięki twoim słowom ugruntowałam się jeszcze bardziej w swym przekonaniu. Żywą radością wszystko to mnie przejmuje. Jeżeli twardą i nieużytą być ci się zdałam, to nie sądź, że oblicze moje było istotnym mego serca obrazem. Zawsze cię miłowałam, byłeś mi najdroższym człekiem na świecie. Należało mi jednakowoż tak czynić z lęku przed ludźmi i z troskliwości o dobrą cześć moją. Dzisiaj natomiast nadchodzi pora, gdy będę mogła dać ci jawne dowody miłości mojej i wynagrodzić cię za afekt, który zawsze dla mnie żywiłeś i żywisz. Dlatego też pociesz się i bądź dobrej myśli. Francesko odjeżdża wkrótce do Mediolanu, aby tam godność podesty piastować. Wiesz sam o tym najlepiej, bowiem dla miłości swej do mnie oddałeś mu pięknego swego rumaka. Gdy tylko mąż mój gród nasz opuści, przysięgam ci na cześć moją i tę szczerą miłość, którą ci wyznaję, że w jak najprędszym czasie przywołam cię, aby nasza namiętność do lubego skutku dowiedziona być mogła.

Ażebym zaś nie potrzebowała jeszcze raz w tej sprawie porozumiewać się z tobą, posłuchaj uważnie, co ci teraz powiem. Owego dnia obaczysz dwa ręczniki zawieszone u okna mojej komnaty, wychodzącej na ogród. Następnej nocy, mając to na pieczy, aby cię nikt nie spostrzegł, postaraj się przekraść do mnie przez bramę ogrodu. Zastaniesz mnie czekającą na cię i wówczas całą noc będziemy się cieszyli sobą, czego tak bardzo pragniemy.

Gdy już Strojniś te słowa w imieniu damy wypowiedział, jął odpowiadać jej od siebie tą modłą:

— Miła moja, od ogromnej radości, jaką odczuwam, słysząc waszą odpowiedź przychylną, tak mi w piersiach dech zaparło, że ledwie jestem w stanie należny dank wam złożyć. Gdybym mógł mówić tak, jak tego pragnę, nie starczyłoby mi słów i czasu, choćby najdłuższego, na wypowiedzenie tego, co się w duszy mojej dzieje. Niechże

zatem umysł wasz wnikliwy sam pojmie, co powiedzieć chciałem, słów nie znachodząc. Rzeknę wam tylko, że rozkazy wasze najściślej wypełnię. Wówczas pod dobroczynnym wpływem łaski, jaka mnie spotkała, na duchu skrzepiony, będę się starał w miarę sił wdzięczność moją wam okazać. Teraz zasię nie pozostaje nic innego, jak prosić Boga, aby zesłał wam wszelką radość i szczęśliwość, jakiej tylko pragniecie, Bogu was polecam, szlachetna pani!

Na to wszystko nie odrzekła dama ani słowa. Strojniś powstał i udał się do Franceska, który obaczywszy go, wyszedł mu na spotkanie i rzekł ze śmiechem:

— Cóż, zali dobrze obietnicę uiściłem?

— Nie — odparł Strojniś — przyobiecaliście mi bowiem, panie, że będę mówił z żoną waszą, tymczasem natknąłem się na posąg marmurowy.

Odpowiedź ta niezmiernie się panu Franceskowi podobała i dała mu jeszcze lepsze pojęcie o cnocie żony, aniżeli miał dotąd.

— W każdym razie koń twój do mnie należy — rzekł.

— Tak — odparł Ricciardo — gdybym był jednakoż wiedział, że za moją łaskawość taką nagrodę od was otrzymam, to podarowałbym wam rumaka wcześniej, żadnych nie stawiając warunków. I szkoda zaiste, że tak nie uczyniłem, bo wy kupiliście wierzchowca, choć ja go nie sprzedałem.

Francesko roześmiał się w głos, a potem, odebrawszy konia, po paru dniach udał się do Mediolanu, by objąć swój urząd.

Dama, pozostawszy sama w domu, często wspominała sobie słowa Strojnisia, myślała takoż o jego miłości dla niej i o rumaku, dla tej miłości podarowanym przezeń mężowi. Widząc go zaś przechadzającego się nieustannie pod jej oknami, rzekła do się: »Co ja czynię? Dlaczego marnuję mój wiek młody? Mąż wyjechał do Mediolanu i wróci nie prędzej jak za sześć miesięcy. Czyż mi wynagrodzi kiedy te stracone chwile? Może wówczas, gdy będę już staruchą? Krom tego, gdzież znajdę takiego miłośnika jak Ricciardo? Jestem tu sama i nie obawiam się nikogo. Dlaczegóż miałabym tak szczęśliwą sposobność zaniedbać. Kto wie, czy podobna kiedykolwiek się trafi? Nikt o tym nigdy się nie dowie, a zresztą, gdyby i wszystko na jaw wyszło, lepiej pokutować za to, czego się użyło, aniżeli żałować tego, czego się nie zaznało«.

Porozmyślawszy do syta, pewnego dnia zawiesiła na oknie wychodzącym na sad dwa ręczniki. Ricciardo, ujrzawszy je, ucieszył się okrutnie i za nadejściem nocy wśliznął się po kryjomu do sadu przez furtkę, która zaparta nie była. Później wszedł do domu damy, która wyszła mu na spotkanie i z oznakami najżywszej radości go przyjęła. Ricciardo,

objąwszy ją i ucałowawszy tysiąc razy, wszedł za nią na stopnie schodów. Nie mieszkając legli do łoża i ostatnie granice miłości poznali. Ten pierwszy raz ostatnim wcale nie był, bowiem w czasie nieobecności Franceska, a takoż po jego powrocie, Strojniś nieraz do domu jego żony powracał, składając jej liczne miłości dowody ku obopólnemu ukontentowaniu".

Opowieść szósta. W miłości jak na wojnie

Ricciardo Minutolo miłuje żonę Filippella Sighinolfiego. Ta, będąc zazdrosna, daje wiarę słowom Ricciarda, że mąż jej wraz z jego żoną mają się spotkać w łaźni. Ricciardo tak zręcznie rzecz prowadzi, że Catella przybywa do łaźni, gdzie wziąwszy go za męża, pospołu z nim przebywa.

Gdy Eliza zamilkła, królowa pochwaliła roztropność Strojnisia i Fiammetcie opowiadać przykazała.

Fiammetta rzekła z uśmiechem, że jest gotowa, i w te słowa zaczęła:

— Musimy się na niedługi czas oddalić od naszej stolicy, która obfituje w rozliczne przypadki i w przykłady każdej materii dotyczące. Podobnie jak i Eliza opowiem o rzeczach, które gdzie indziej się na świecie przytrafiły. Przenieście się ze mną do Neapolu i posłuchajcie, jak to jedną z tych pobożniś, krzywiących się na wspomnienie miłości, przebiegły kochanek zmusił do skosztowania jej owoców, nim jeszcze kwiaty poznała. Opowieść moja posłuży wam na przyszłość przestrogą, a także wszystkich was zabawi przeszłości wspomnieniem.

„W starożytnym mieście Neapolu, najmilszej może ze wszystkich stolic Italii, żył pewien młodzieniec bardzo znacznego rodu, a przy tym wielce bogaty, nazwiskiem Ricciardo Minutolo. Ów, chocia miał urodziwą i młodą żonkę, przecie zakochał się w innej białogłowie, która według powszechnego mniemania urodą swoją nad wszystkimi Neapolitankami górowała. Catella (bowiem tak się zwała) była żoną młodego i również znacznego człeka, Filippella Sighinolfi, który ją nad wszystko w świecie miłował i dla jej uczciwości w wielkim ją miał zachowaniu a czci. Ricciardo Minutolo, rozkochawszy się w tej damie, użył wszelkich środków, którymi zwykle wzajemność i względy białogłowy się zdobywa, aliści wszystko to do upragnionego nie doprowadziło go skutku. Popadł zatem w czarną rozpacz, a nie będąc w stanie od swej namiętności się uwolnić, ani życiem cieszyć się nie mógł, ani umrzeć nie potrafił. Widząc go w podobnym stanie, kilka białogłów, które się do jego rodziny zaliczały, jęło go pocieszać

i przekładać mu, aby wybił sobie z głowy ową miłość, bowiem wszystkie starania daremnymi się okażą. Catella nikogo na świecie tak nie miłuje jak Filippella; jest przy tym tak o niego zazdrosna, iż drży nawet przed każdym przelatującym ptakiem, aby go jej przypadkiem nie porwał.

Ricciardo, usłyszawszy o zazdrości Catelli, zaraz powziął pewną myśl sprzyjającą jego zamiarom i uczynił pozór, że zwątpiwszy już, aby względy Catelli mógł pozyskać, zwrócił swoje afekty ku innej szlachetnej białogłowie, na cześć której począł urządzać turnieje i gonitwy, co przedtem dla Catelli zwykł był czynić.

Niewiele czasu upłynęło, a już wszyscy w Neapolu, pospołu z Catellą, tego mniemania byli, że Ricciardo nie Catellę, lecz tę drugą białogłowę gorącym afektem darzy. Tak długo chytre swoje ułożenie prowadził, że wszyscy uwierzyli w to twardo, a Catella, przestawszy się mieć na baczności, jak dawniej, gdy jeszcze miłość do niej żywił, jęła się z nim przyjaźnie obchodzić i przy spotkaniu na równi z innymi uprzejmie go jako sąsiada witać.

Tymczasem nastąpiło upalne lato i wielka liczba mężczyzn jak i kobiet, zgodnie z neapolitańskim zwyczajem, wybrała się nad brzeg morza, aby tam wczasu zażyć, a takoż obiad i wieczerzę spożyć. Ricciardo, zasłyszawszy, że Catella z towarzystwem swoim tam się znajduje, również z swoimi przyjaciółmi na brzeg morza się udał. Długo się prosić kazał, nim do kompanii Catelli się przyłączył, dając przez to poznać, że niewiele o to stoi. Białogłowy, a w ich liczbie i Catella, jęły dworować nieco z jego nowej miłości. Ricciardo udawał, że cały jest tą miłością rozpłomieniony, przez co jeszcze większy dał do gadek powód. Wkrótce potem towarzystwo się rozproszyło, jak to bywa nad morzem, tak iż Ricciardo sam niemal z Catellą pozostał. Wówczas skorzystał z chwili, aby jej napomknąć niejasno o pewnej miłostce jej męża, Filippella. Catella zaraz srogą zazdrość uczuła i zapłonęła żądzą dowiedzenia się bliższych szczegółów. Przez chwilę hamowała się, ale wreszcie, nie będąc zdolna wytrwać dłużej, zaklęła Ricciarda na miłość ulubionej przez niego damy, aby wyjaśnił jej słowa Filippella się tyczące.

— Pani — odparł Ricciardo — zaklęliście mnie na imię takiej osoby, że nie sposób jest, abym miał wam czegokolwiek odmówić. Dlatego też gotów jestem powiedzieć wam wszystko, pod warunkiem jednak, że przyrzekniecie mi nie wspominać o tym ani słowa, czy to mężowi, czy komukolwiek innemu, do czasu, aż się nie upewnicie co do prawdy słów moich. Jeśli zechcecie zaś, nauczę was, jak macie postąpić, aby się przekonać.

Dama zgodziła się chętnie na tę kondycję, uwierzyła jeszcze silniej w jego słowa i poprzysięgła, że nikomu tajemnicy nie zdradzi. Wówczas Ricciardo odwiódł ją na stronę, aby inni ich nie słyszeli, i rzekł na ten kształt:

— Gdybym was tak jak dawniej miłował, nie miałbym odwagi powiedzieć wam tego, co by wam strapienia przyczynić mogło. Teraz jednak, gdy miłość już minęła, nie będę się wahał odkryć wam całej prawdy. Nie wiem, czy Filippella drażnił afekt, który dla was żywiłem, czy też wydawało mu się, żeście mi wzajemnością odpłacali, jakkolwiek jednak rzecz by się miała, nigdy nic nie dał poznać po sobie. Teraz jednak, sądząc widocznie, że nadszedł czas sposobny, gdy ja mniej będę skory do podejrzeń, chce mi odpłacić pięknym za nadobne i uczynić mi to, czego obawiał się, abym ja mu nie uczynił: czyli żonę moją uwieść. Wiem, że od pewnego czasu stara się ją nakłonić do zdrady tajemnymi poselstwy, o których zaraz mi donosiła. Odpowiadała na nie zgodnie z moją radą a pouczeniem. Jednakoż dzisiaj rano, nim tutaj przybyłem, zastałem w komnacie żony jakąś białogłowę, tajnie nad czymś się z nią naradzającą. Zaraz odgadłem, co to za jedna, i spytałem żony, czego chce ta kobieta.

»Jest to posłanka Filippella — odparła. — Sprowadzasz na mnie te kłopoty swoimi radami, odpowiedziami i dodawaniem mu nadziei. Filippello chce się dowiedzieć, jak postąpić zamyślam. Gdy się zgodzę, uczyni tak, abym mogła przyjść tajnie do pewnej łaźni. Do tego mnie nakłania i o to prosi. Gdybyś nie kazał mi, Bóg wie w jakim celu, tych stosunków utrzymywać, już dawno byłabym mu dała taką odpowiedź, że nawet spojrzeć w moją stronę nie byłby się ośmielił«.

Wówczas zdało mi się, że Filippello zbyt daleko swoją zuchwałość posuwa i że dłużej tego nie lza znosić. Postanowiłem tedy oznajmić wam o tym, abyście poznali, jak wam płacą za waszą wierność niewzruszoną, która mnie o mały włos do śmierci nie przywiodła. Abyście zaś nie myśleli, że to są jeno puste słowa i bajędy, i byście mogli, gdy zechcecie, o prawdzie tej się przekonać i własnymi rękoma jej dotknąć, kazałem odpowiedzieć żonie przez tę kobietę, że gotowa jest przyjść jutro, około dziewiątej, gdy wszyscy śpią, do tej łaźni. Posłanka odeszła wielce uradowana. Spodziewam się, że nie sądzicie, abym żonie mojej pójść tam pozwolił. Gdybym był na waszym miejscu, uczyniłbym tak, aby miast tej, którą zastać sądzi, pan mąż mnie znalazł; przebywszy z nim czas niejaki, pokazałbym mu, kogo tak ściska, i zapłaciłbym mu tak jak się należy. Gdybyście tak uczynili, niewątpliwie taki by nim wstyd owładnął, że ujma i nieprawość, którą wam i mnie chciał wyrządzić, w jednej chwili pomszczona by została.

Catella nie dała baczności na to, kto te słowa mówi, i podstępu nie spostrzegła; przeciwnie, zgodnie z obyczajem zazdrośników, uwierzyła we wszystko i jęła przywodzić sobie na pamięć rozliczne drobne okoliczności, które do tego faktu się ściągały.

Dlatego też, nagłym gniewem owładnięta, odparła, że w samej rzeczy tak uczyni, bowiem nie jest to rzecz do wypełnienia trudna, gdy zaś jej mąż się zjawi, tak go zasroma, że odtąd zawsze, gdy tylko jaką białogłowę obaczy, despekt ten wspomnieć sobie będzie musiał.

Ricciardo, niezmiernie tym uradowany, obaczył, że fortel jego jest skuteczny; utwierdził ją zatem w tym jej przedsięwzięciu jeszcze innymi mnogimi słowy, tak iż uwierzyła mu całkiem. Prosił jeno, aby nikomu nie zdradziła, że się od niego o tym dowiedziała. Catella obiecała mu to uroczyście.

Następnego dnia Ricciardo udał się do pewnej kobiety, właścicielki łaźni, którą wskazał był Catelli; odkrył jej swój zamysł i prosił, aby w miarę sił swoich mu dopomogła. Kobieta ta, mająca wobec niego pewne obligi wdzięczności, zgodziła się chętnie i porozumiała się z nim, co jej czynić i mówić wypada.

W domu, gdzie mieściła się łaźnia, znajdowała się mała, ciemna komnata, niemająca jednego choćby okna, co by ją oświetlało. Poczciwa kobieta, wedle wskazówek Ricciarda, przygotowała ją stosownie i postawiła w niej wygodne łoże. Ricciardo, zjadłszy obiad, położył się na nie i jął czekać na Catellę.

Catella, wysłuchawszy słów Ricciarda i użyczywszy im więcej wiary, niźli należało, gniewna i oburzona do domu powróciła. Wkrótce nadszedł także i Filippello, który jakimiś ważkimi myślami zajęty będąc, przypadkiem nie tak czule ją powitał, jak to zwykle miał w zwyczaju czynić. Spostrzegłszy to Catella umocniła się jeszcze w swym podejrzeniu i rzekła do siebie: »Myśli, oczywista, o tej białogłowie, z którą jutro ma rozkoszy użyć, ale na Boga, nic z tego nie będzie!«.

Takimi myślami zajęta, całą prawie noc głowiła się nad wynalezieniem stosownej do męża przemowy, gdy się z nim znajdzie.

Gdy nadeszła godzina dziewiąta, Catella wzięła swoją pokojową i spełniając postanowienie, udała się do łaźni, o której Ricciardo mówił. Ujrzawszy łaziebną spytała, zali Filippello był tu dzisiaj? Ta, nauczona przez Ricciarda, odparła:

— Zali jesteście, pani, tą damą, na którą on czeka?

— Tak — rzekła Catella.

— Tedy pozwólcie do niego!

Catella, która wybrała się szukać tego, kogo jako żywo, wcale znaleźć nie chciała, pozwoliła się zawieść do komnaty, gdzie na łożu Ricciardo leżał. Weszła do komnaty, nie zdejmując zasłony z twarzy, i drzwi za sobą zaparła.

Ricciardo, ujrzawszy ją, skoczył radośnie z łoża, obłapił ją ciasno w ramionach i rzekł szeptem:

— Witam cię, najdroższa kochanko moja!

Catella, nie chcąc się zdradzić, oddała mu uścisk za uścisk, ucałowała go i radość po sobie pokazała, ale nie rzekła ni słowa, bała się bowiem, aby jej nie poznał. Izba była ciemna, ku ukontentowaniu ich obojga. Nawet gdy się przez dłuższy czas w niej pozostawało, oczy niczego rozróżnić nic mogły. Ricciardo zaprowadził Catellę do łoża. Leżeli na nim długo, zatopieni w rozkoszy, ku niewypowiedzianej radości każdego z nich, nie mówili jeno nic ze sobą, aby się głosem swoim nie zdradzić. Na koniec, gdy się wreszcie zdało Catelli, że winna dać folgę hamowanej tak długo wściekłości, zawołała, srogim gniewem zapalona:

— O Boże, jakże okrutny jest los białogłów i jakąż straszną za miłość swoją odbierają one od mężów zapłatę! O ja nieszczęsna! Oto od ośmiu lat kocham cię nad życie, ty zasię, niegodny człowieku, trawisz się namiętnością do innej kobiety? Kogóż to sądzisz mieć obecnie w objęciach swoich? Tę samą, którąś zwodził długo fałszywymi czułościami swymi, udając do niej miłość, podczas gdy kochałeś inną. Jam jest Catellą, a nie żoną Ricciarda, zdrajco niegodny! Poznajesz mój głos? To ja, ja w mojej własnej osobie! Zdawa mi się, że już tysiąc lat czekam na światło, żeby cię zasromać, psie chutliwy i łotrze przeklęty! O ja nieszczęsna, dla kogóż to przez tyle lat podobną miłość żywiłam? Dla tego psa nędznego, który mniemając, że ściska w ramionach obcą białogłowę, w ciągu tych kilku chwil liczniejszymi mnie pieszczotami obsypał niźli przez cały czas małżeństwa naszego. Umiałeś się teraz, nędzniku, stać dzielnym i krzepkim, chocia w domu za słabego, znużonego i niedołężnego chcesz zwykle uchodzić!

Bogu Najwyższemu chwała, żeś użyźnił swoje, a nie cudze, pole, jak mniemałeś. Nie dziwię się teraz, że poprzedniej nocy nie zbliżyłeś się wcale do mnie. Chciałeś na co innego nagromadzone siły zachować, aby wstąpić w bój miłosny jako świeży, wypoczęty rycerz. Dzięki Bogu i mojej przezorności struga spłynęła korytem, którym winna była spłynąć. Czemu nie odpowiadasz, potworze? Zali żeś oniemiał, słowa moje usłyszawszy? Nie wiem, na mą duszę, co mnie od tego wstrzymuje, aby ci oczy wydrapać. Mniemałeś, że ci się uda tę zdradę w tajności popełnić, aliści, dzięki Bogu, i inni oczy mają. Lepiej cię śledziłam, niż sądzisz!

Ricciardo śmiał się w duchu, słysząc te słowa; nie odpowiadał na nie wcale, tylko ściskał i całował Catellę bez ustanku i coraz gorętsze łaski jej okazywał. Wówczas Catella znowu mówić poczęła:

— Jeżeli myślisz mnie teraz pieszczotami swymi ułagodzić i pocieszyć, w wielkim jesteś błędzie. Powiadam ci, że nie spocznę aż do tej chwili, gdy cię nie zawstydzę w przytomności wszystkich krewniaków, sąsiadów i przyjaciół.

Zali nie jestem, bezecniku, równie piękna jak żona Ricciarda Minutolo? Czemu nie odpowiadasz, psie niewierny? Jakąż wyższość ma ona nade mną? Odsuń się od mnie i nie śmiej mnie więcej dotykać. Już dosyć dowodów dzielności złożyłeś! Wiem dobrze, że teraz, uznawszy, że to ja jestem, wszystko, co byś czynił, czyniłbyś jeno z przymusem. Poczekaj, jeszcze nieźle się przepościsz z mojej łaski. Wierę, sama nie wiem, czemu nie posyłam po Ricciarda, który kochał mnie nad życie, chocia pochwalić się nie mógł, abym choć raz na niego spojrzała. Teraz wiem, że inaczej postępować należało. Mniemałeś, że znajdziesz tutaj jego żonę; znaczy więc, że jakbyś ją pieścił. Gdybym zatem ja do Ricciarda teraz należała, nie mógłbyś mi wyrzutów czynić.

Tu już jej słów zabrakło i gorzko zapłakała. Ricciardo, zważywszy na koniec, że gdyby ją w błędnym mniemaniu ostawił, przykre z tego skutki wyniknąć by mogły, postanowił dać się jej poznać i wywieść ją z błędu. Schwyciwszy ją przeto w objęcia, tak że się wyrwać nie mogła, rzekł:

— Nie niepokój się, najdroższa moja! Czego samą miłością osiągnąć nie zdołałem, pozyskałem dzięki podstępowi, którego mnie nauczył Amor! Jestem twoim Ricciardem!

Catella, słowa te usłyszawszy i poznawszy głos Ricciarda, chciała zaraz z łoża wyskoczyć, aliści uczynić tego nie zdołała. Później zagroziła, że krzyknie, lecz kochanek zamknął jej ręką usta i rzekł:

— Pani, tego, co się stało, odrobić się nie da, choćbyście i przez całe życie swoje krzyczeć chcieli. Gdy teraz hałasu narobicie albo w jakikolwiek sposób sprawicie, że dojdzie to do wiadomości kogokolwiek, niewątpliwie dwa niemiłe z tego wynikną skutki. Dobra wasza sława i cześć na szwank narażone zostaną, bowiem, choćbyście nawet utrzymywać chcieli, żem was podstępem tu zwabił, ja kłamstwo wam zadam i powiem, że was do tego obietnicami i podarunkami skłoniłem. Dalej rzeknę, iż w nadziei swojej co do ich wartości omylona, wpadliście w gniew, gwałt ten podnosząc. Wiadomą wam zaś jest rzeczą, że świat chętniej złemu niż dobremu uwierzy, przeto też raczej mnie da posłuch niż wam. Krom tego między mną a mężem waszym śmiertelna

nienawiść powstanie i rzeczy tak daleko zajść mogą, że albo ja jego zabiję, albo on mnie, a wątpię, abyście przez to szczęśliwsi czuć się mieli. Dlatego też nie ściągajcie hańby na się i nie wzbudzajcie kłótni między małżonkiem waszym a mną. Nie jesteście pierwszą ani nie ostatnią, zaiste, którą wyprowadzono w pole, ja zasię oszukałem was nie dlatego, aby jakąś własność wam odebrać, ale z przyczyny tej wielkiej miłości, jaką dla was żywię i zawsze żywić będę, waszym pokornym niewolnikiem się mieniąc. Od dawna już ja i całe moje mienie do was należy i wam jest podległe, od tej chwili pragnę jednak, abyście jeszcze więcej do wszystkiego mieli prawa. Jako że w różnych sprawach rozumni jesteście, tuszę, że i tu takimi się okażecie.

Gdy Ricciardo słowa te mówił, Catella gorzko płakała. Chocia jednak srodze strapiona i wzburzona była, przecie w głębi duszy przyznała, że Ricciardo ma słuszność i że w przyszłości zdarzyć się może tak, jak on przepowiada. Dlatego też rzekła:

— Nie wiem, zaiste, jak mi Bóg pomoże przenieść tę hańbę, którąście mi wyrządzili. Nie będę wszczynała rumoru tutaj, gdzie mnie przywiodła głupota i zazdrość nierozumna, jednakoż przysięgam wam, że nie uspokoję się, dopóki w ten czy inny sposób za obrazę się nie pomszczę. Puśćcie mnie już i nie próbujcie zatrzymywać dłużej. Osiągnęliście już przecie, czegoście pragnęli, i wymęczyliście mnie niezgorzej. Proszę więc raz jeszcze, pozwólcie mi odejść spokojnie!

Ricciardo, czując, że Catella jest jeszcze wzburzona ponad miarę, postanowił nie wypuszczać jej, dopóki się całkiem nie uspokoi, dlatego też jął ją najczulszymi słowami ułagadzać. Tak długo ją prosił, zaklinał i tak nalegał na nią, że Catella wreszcie, zwyciężona, pokój z nim zawarła. Pogodzeni z sobą, przebyli w łaźni jeszcze czas pewien, niewysłowionej rozkoszy zażywając. Catella, uznawszy, że pocałunki kochanka smakowitsze są od pocałunków męża, odmieniła dotychczasową swoją dla Ricciarda nieczułość na tkliwą miłość do niego. Przy wielkiej z obu stron przezorności nieraz jeszcze swoją miłością się cieszyli. Oby Bóg i nam tak się cieszyć zezwolił!”.

Opowieść siódma. Pielgrzym

Tedaldo, w niezgodę z swoją damą popadłszy, opuszcza Florencję. Po pewnym czasie powraca do grodu w przebraniu pielgrzyma. W rozmowę wchodzi ze swoją panią i wykazuje jej, jaki błąd popełniła. Ratuje od śmierci jej męża, któremu dowiedziono, że stał się jego zabójcą, i godzi go z braćmi. Później wzajemną miłością rozważnie się cieszy.

Fiammetta zamilkła wśród ogólnych pochwał. Po czym królowa, aby czasu po próżnicy nie tracić, zaraz Emilii opowiadać kazała. Emilia w te słowa zaczęła:

— Pragnę powrócić do naszego miasta, od którego oddaliły się dwie moje poprzedniczki, i opowiedzieć wam, jak jednemu z ziomków naszych utracone względy kochanki odzyskać się udało.

„Żył niegdyś we Florencji młody szlachcic, Tedaldem degli Elisei zwany, który miłował okrutnie pewną damę, imieniem Ermellina, żonę niejakiego Aldobrandina Palermini. Młodzieniec ów, dzięki swoim chwalebnym obyczajom, godzien był cieszyć się pragnień swoich uskutecznieniem, aliści fortuna, nieprzyjaciółka szczęśliwych, wspak temu stanęła. Nie wiedzieć z jakiego powodu dama, pełna dlań przez czas dłuższy przychylności, takiego doń wstrętu nabrała, że nie tylko poselstw od niego przyjmować nie chciała, ale i unikała jego widoku. Z tej przyczyny Tedaldo w ciężką i przykrą melankolię popadł. Ponieważ jednak miłość swoją dobrze ukrywał, nikt powodu jego strapienia odgadnąć nie mógł. Starając się wszelkimi sposobami odzyskać miłość, którą utracił był bez żadnej z swojej strony winy, i widząc, że wszystkie jego wysiłki są próżne, postanowił ojczyznę swoją opuścić, aby sprawczyni nieszczęścia widokiem jego strapienia i smutku cieszyć się nie mogła. Zebrał więc pieniędzy, ile zdołał, i w wielkiej tajności, nie żegnając się z nikim, krom jednego przyjaciela, który o wszystkim był uwiadomiony, do Ankony wyruszył pod przybranym nazwiskiem Filippa di Sanlodeccio.

W Ankonie zaciągnął się na służbę do pewnego bogatego kupca i na pokładzie jego okrętu odpłynął na Cypr.

Obyczaje jego i poczynania tak się kupcowi podobały, że nie tylko znaczne zasługi mu ustanowił, ale i do spółki go przypuścił, poruczając mu pieczę nad większością dzieł swoich. Tedaldo tak je szczęśliwie prowadził, że stał się po kilku latach poważanym i bogatym kupcem. Chocia pośród zajęć swoich rozlicznych często swoją damę okrutną wspominał, chocia miłość nękała go srodze, tak iż rad by był ujrzeć jak najprędzej Ermellinę, przecie okazał się tak twardym, że w przeciągu siedmiu lat nieustannie samego siebie przezwyciężał. Zdarzyło się jednak, że pewnego razu usłyszał na Cyprze kanconę, którą niegdyś sam był ułożył, wysławiając w niej miłość wzajemną obojga i doznawane od pani swej rozkosze, i pomyślał, że jest rzeczą niemożliwą, aby dama jego o wszystkim zapomnieć miała. Owładła nim tak ogromna żądza ujrzenia Ermelliny, że już wytrzymać dłużej nie będąc w stanie, postanowił do Florencji powrócić.

Przywiódłszy swoje sprawy do porządku, wyruszył do Ankony w towarzystwie jednego sługi. Stamtąd odesłał swoje kufry do Florencji, do jednego z przyjaciół ankońskiego kupca, sam zasię przybył wraz ze sługą do miasta chyłkiem, przebrany w strój pielgrzyma powracającego od Grobu Świętego. Wszedłszy do grodu, zamieszkał w małej gospodzie, należącej do dwóch braci i położonej w pobliżu domu jego damy. Pierwsze swoje kroki tam obrócił, aby ją ujrzeć. Aliści okna i drzwi zamknione znalazł i wniósł stąd, że dama jego albo umarła, albo też do innego miasta się przeniosła. Pełen srogiej turbacji, udał się do domu swoich braci i ujrzał ich wszystkich czterech w żałobne szaty przybranych. Tym widokiem wielce zadziwiony i pewien, że do tyla strojem swoim i pozorem jest odmieniony, iż nikt go łatwie nie pozna, zbliżył się do pewnego szewca i zapytał, dlaczego ci panowie są w czarne szaty ubrani? Szewc odparł na to:

— Jeszcze i dwóch tygodni nie ma, jak jeden z ich braci, imieniem Tedaldo, który już od dawna stąd odjechał, zabity został. Zdawa mi się, że dowiedli przed sądem, iż pozbawił go życia Aldobrandino Palermini (już go pochwycono!) za to, że Tedaldo jego żonę miłował i że powrócił tu w przebraniu, aby ją ujrzeć.

Tedaldo wielce się zadziwił na myśl, że ktoś tak podobny do niego się okazał, i litować się jął w duszy nad losem Aldobrandina. Dowiedziawszy się jednak, że Ermellina żyje i dobrym zdrowiem się cieszy, powrócił do gospody wraz z nastaniem nocy, pełen różnorodnych myśli. Powieczerzawszy wraz ze sługą, dostał na nocleg komnatę znajdującą się na najwyższym piętrze domu. Jednakoż natłok myśli, niewygodne łoże, a może i nędzna wieczerza, którą spożył, zasnąć mu długo nie pozwalały. Około północy zdało mu się, że kilku ludzi spuszcza się z dachu domu; wkrótce w szparze drzwi, wiodących do jego komnaty, ujrzał światło. Dlatego też, podkradłszy się cicho do szpary, jął patrzeć, co by to znaczyć miało. Obaczył piękną dziewczynę, trzymającą w ręku ogarek, a obok niej trzech mężów, których kroki niedawno na dachu słyszał. Po uprzejmym pozdrowieniu jeden z nich w te słowa do dziewczyny się odezwał:

— Bogu Najwyższemu niech będzie chwała za to, że możemy teraz spać spokojnie. Morderstwo Tedalda degli Elisei dowiedzione zostało przez jego braci Aldobrandinowi Palermini. Aldobrandino przyznał się i wyrok na niego jest już podpisany. Mimo to ostrożność stosowną zachować musimy, bowiem gdyby kiedyś wyszło na jaw, że to my winowajcami jesteśmy, spotkałby nas ten sam los co Aldobrandina.

Rzekłszy to pożegnali się z dziewczyną, która na tę wieść wielce się uradowała, i spać poszli.

Tedaldo usłyszawszy te słowa, jął rozmyślać nad tym, jakim to omylnościom umysły ludzkie są podległe; wspomniał swoich braci, którzy opłakali i pochowali jakiegoś obcego człeka, później pomyślał takoż o niewinnym Aldobrandinie skazanym na śmierć dzięki podejrzeniom i świadectwom fałszywym. Ujrzał dowodnie srogość praw i sędziów, którzy często miast tego, aby prawdę rozeznać i ujawnić, okrutnym sposobem nieprawdziwe zeznania wymuszają i nazywają siebie sługami Boga i sprawiedliwości, podczas gdy są jeno rzecznikami diabła i kłamstwa.

Potem Tedaldo jął szukać środka ratunku dla Aldobrandina, aż wreszcie pewien zamysł powziął.

Wstawszy rano, ostawił służącego w gospodzie i udał się do domu swojej damy. Znalazł przypadkiem drzwi otworem stojące i wszedłszy, ujrzał Ermellinę siedzącą w dolnej izbie na podłodze i płaczącą gorzko. Z litości sam o mały włos nie zapłakał. Zbliżył się do niej i rzekł:

— Nie turbujcie się, pani! Pociecha jest już bliska.

Dama, słowa te usłyszawszy, podniosła głowę i rzekła przez łzy:

— Wydajesz mi się obcym pielgrzymem, dobry człecze! Cóż możesz wiedzieć o mym smutku i pociesze?

— Pani — odparł pielgrzym — przybywam właśnie z Konstantynopola, skąd Bóg umyślnie mnie przysłał, aby łzy wasze w radość zamienić, a małżonka waszego od śmierci wybawić.

— Jak to być może? — zawołała dama. — Jeśli z Konstantynopola przybywacie i dopiero przed chwilą weszliście do grodu, skądże wiedzieć możecie, kto jest moim mężem i kim ja jestem?

Wówczas pielgrzym na dowód, że prawdę mówi, opowiedział jej od początku o przeciwnościach, jakie Aldobrandino znosił, nazwał ją po imieniu, wymienił, ile lat jest już za mężem, i o mnóstwie rzeczy tyczących się jej spraw powiedział. Ermellina, niesłychanie tym wszystkim zadziwiona, biorąc go za proroka, padła przed nim na kolana i na wszystkie świętości zaklinała go, aby jak najśpieszniej Aldobrandina ratował, jeśli dla jego ocalenia się zjawił, bowiem już niewiele czasu na ten ratunek pozostaje.

Pielgrzym, udając natchnionego, rzekł w te słowa:

— Powstańcie, pani, łzy swe pohamujcie i posłuchajcie, co wam oznajmić pragnę. Proszę was jeno, abyście się najmniejszym słówkiem przed kimkolwiek nie zdradzili. Bóg mi objawił, że nieszczęście was teraz dotykające jest karą za grzech, któryście kiedyś popełnili. Bóg pragnie, abyście obecnie grzech ten, choćby w części, odpokutowali, nim go w przyszłości całkiem nie zmażecie, inaczej bowiem w jeszcze cięższe popadniecie terminy.

— Ach, świątobliwy mężu — zawołała dama — niejeden grzech na mojej duszy ciąży, tak iż odgadnąć nie mogę, za co Bóg stosownej pokuty ode mnie żąda. Jeśli wam jest zatem wiadomy, wymieńcie mi go, a uczynię wszystko, co mogę, aby go zmazać.

— Wierę — odparł pielgrzym — dobrze wiem o nim i od was więcej dowiadywać się o nim mi nie trzeba, a jeśli się pytam, to jeno dlatego, abyście jeszcze większą skruchę uczuli. Ale powróćmy do rzeczy! Powiedzcie mi, czy pomnicie o tym, żeście mieli kiedyś kochanka?

Dama usłyszawszy te słowa, westchnęła głęboko i niepomiernie się zadziwiła, nie sądziła bowiem, żeby ktokolwiek na świecie o jej miłości wiedział, jakkolwiek szeptano o niej w czasie, gdy zginął ten, którego pogrzebano jako Tedalda, a źródłem tych pogłosek było parę nierozważnych słów wtajemniczonego we wszystko towarzysza Tedalda. Po chwili tak rzekła:

— Zaiste, widzę, że Bóg powierzył wam wszystkie ludzkie tajemnice i że na nic się nie zda cokolwiek przed wami ukrywać. W samej rzeczy, w młodości mojej miłowałam gorąco tego nieszczęśliwego młodzieńca, o zabójstwo którego męża mego oskarżono. Nad śmiercią jego tyle łez wylałam, że nawet dziś jeszcze wielką boleść uczuwam. Chocia przed jego odjazdem surową i nieużytą dlań byłam, jednakże ani rozłąka, ani tak długa jego nieobecność, ani śmierć jego wyrwać go z mego serca nie zdołały.

— Nie nieszczęsnego młodziana — odparł pielgrzym — którego właśnie zabito, ale Tedalda Elisei kochaliście, pani. Aliści powiedzcie mi, z jakiej przyczyny zagniewaliście się na niego? Zali was czymkolwiek dotknął?

— Bynajmniej — odparła dama. — Bóg widzi, że mi żadnej zniewagi nie wyrządził. Przyczyną całego zła były słowa pewnego przeklętego mnicha, który mnie kiedyś spowiadał. Gdy mu wyznałam miłość, jaką do Tedalda żywię, i moją z nim zażyłość, rzucił na moją głowę takie gromy, że jeszcze dziś dreszcz trwogi mną wstrząsa. Zagroził mi, że jeśli z Tedaldem nie zerwę, zostanę na dno piekła w paszczę diabelską wrzucona i na ogień wieczny skazana. Na te słowa taki strach mnie schwycił, że postanowiłam zbliżenia z Tedaldem unikać, na jego listy nie odpowiadać i wysłańców jego nie

przyjmować. Aliści mniemam, że gdyby Tedaldo wytrwał, miast wyjeżdżać stąd z rozpaczą, to na widok jego serca, topniejącego z miłości, jak śnieg na słońcu topnieje, odmieniłabym swoje surowe postanowienie, gdyż niczego na świecie bardziej nie pragnęłam.

— Pani — rzekł pielgrzym — oto jest ów jedyny grzech, za który teraz cierpieć musicie. Wiem dobrze, że Tedaldo nijakiego gwałtu wam nie zadał, pokochaliście go bowiem z własnej, nieprzymuszonej woli, ponieważ się wam podobał. Później, woli waszej zadosyć czyniąc, wszedł do waszego domu i bliski z wami zawiązał stosunek. Wy zasię słowami i czynami tyleście mu przychylności okazali, że jeśli pierwej was miłował usilnie, to potem miłość jego jeszcze tysiąc razy się wzmogła. Jeśli zaś tak było w istocie, a wiem, że inaczej być nie mogło, cóż was tedy k'temu przywiodło, żeście go tak okrutnie odepchnęli? W takich okolicznościach z wielką rozwagą postępować należy. Jeśliście czuli, że złego swego postępku kiedyś żałować będziecie, nie trzeba go było czynić. Jak on do was należał, tak wy niemniej jego własnością byliście. Pozbawiając go posiadania waszej osoby bez jego zgody i woli, popełniliście rabunek i uczynek niegodziwy. Dowiedzcie się teraz, że i ja jestem mnichem i że znam się dobrze na sztuczkach braciszków zakonnych. Gdy teraz z wielką swobodą o tym mówię, to tylko dlatego, że waszą korzyść mam na celu i że pragnę, abyście lepiej niż dotychczas mnichów poznali. Byli ongiś na świecie świątobliwi i zacni mnisi, aliści ci, którzy teraz braćmi się zowią i chcą być za nich uważani, nic z mnichami wspólnego nie mają krom habitu. A nawet ten habit niezbyt jest do zakonnej sukienki podobien. Założyciele zakonów ustanowili habit ubogi, wąski i z grubej uczyniony materii, na znak pogardy dla rzeczy doczesnych, od chwili gdy ciało swe w tak nędzny strój przyodziali. Teraz zasię ubierają się mnisi w szerokie, lśniące habity z najprzedniejszego sukna uszyte i nadają im krój wytworny, jak na arcybiskupów przystało. Pysznią się i dmą w nich bezwstydnie na placach i w kościołach, niby ludzie świeccy, z swoich strojów dumni. Jak rybak, który od jednego zamachu siecią swoją mnóstwo ryb w rzece zagarnia, tak też i oni, rozwarłszy obszerne poły swych habitów, chcą w nie owinąć wiele dewotek, wdów, głupich kobiet i mężczyzn. Tylko o to się ciągle troskają, innych obowiązków nie znając, dlatego też, mówiąc po prawdzie, jeno barwa pozostała im z habitu. Podczas gdy dawniejsi mnisi starali się dusze ludzkie dla Boga pozyskać, to dzisiejsi jedynie bogactw i kobiet pożądają i całą umiejętność swoją tylko na to wysilają, aby gniewnymi słowy i strasznymi obrazami głupców zatrwożyć i wmówić w nich, że grzechy oczyścić można mszą lub jałmużną. Wszystko to czynią w tym celu, aby im (którzy na się habity wdzieli

nie dla pobożności, jeno dla małości serca i odrazy do pracy) ludzie dostarczali chleba, posyłali im wino i dawali tłuste kęsy na intencję zbawienia dusz ich przodków.

Prawda, że jałmużna i modlitwy grzechy oczyszczają, aliści gdyby ludzie pobożni wiedzieli, na jaki cel ich dary się obracają, na pewno by je przy sobie zatrzymali albo też radniej świniom rzucili. Ponieważ zaś ci filuci wybornie wiedzą, że im mniej ludzi jednym skarbem się dzieli, tym więcej na każdego przypada, więc też nie szczędzą trudu i krzyku, aby strachem innych od tego odpędzić, co sami w całości posiadać pragną. Gromią mężów za rozpustę, aby zgromieni ukorzyli się i gromiącym białogłowy pozostawili, piętnują lichwę i zysk nieuczciwy, jednak miast zwrócić właścicielom należne im pieniądze jeszcze szerzej swoje habity otwierają i rzucają się w pogoń za beneficjami, tłustą prebendą i arcybiskupstwami zdobywanymi za ten grosz, który poprzedniego posiadacza o zgubę i potępienie przyprawić miał. Gdy ich zasię na plugastwie i mnogiej niegodziwości ktoś pochwyci, tym kształtem odpowiadają: »Czyńcie wedle słów naszych, nie wedle naszych postępków«. Mniemają widać, że zwalnia ich to od każdego brzemienia, tak jakby owce wytrwalsze i rozumniejsze być winny od pasterzy. Wiedzą też dobrze zazwyczaj, jak wielu ludzi zadowalnia się podobnym responsem i rozumie go inaczej, niżby go pojmować należało. Dzisiejsi mnisi pragną, abyście czynili to, o czym oni mówią, a więc napełniali ich kiesy pieniędzmi, odkrywali im swoje tajemnice, zachowywali czystość, krzywdy wybaczali, byli cierpliwymi i złej mowy się strzegli — wszystko to są rzeczy szlachetne, bogobojne i święte. W jakimże celu jednakoż ich nauczają? Dlatego aby sami mogli czynić to, czego by dopiąć nie mogli, gdyby to czynili ludzie świeccy. Zaliż ktoś nie wie o tym, że człek pieniędzy nie mający długiemu próżnowaniu oddawać się nie może? Jeżeli grosz swój na własną przyjemność obrócisz, to czcigodny ojciec nie będzie już próżnować zgodnie ze swą regułą; gdy sam okoliczne niewiasty odwiedzać poczniesz, to dla braciszków miejsca już zabraknie; gdy nie będziesz cierpliwie zniewag znosił, to bratu przejdzie ochota wdzierać się do twego domu i cześć twojej rodziny szkalować. Po cóż się jednak nad tym tak szerzę? Oskarżają samych siebie, ilekroć wobec rozumnych ludzi z podobnym responsem na harc wyruszają. Czemuż to do zakonu wstępują, jeśli nie czują się dość wstrzemięźliwymi i świątobliwymi, a jeśli już chcą bogobojnymi rzeczami się zajmować, dlaczego nie idą za świętym przykładem Ewangelii: »Począł Chrystus czynić i nauczać«? Niechajże zatem i oni wpierw działają, a później pouczają innych. Nie raz, ale tysiąc razy w mym życiu widziałem mnichów zalecających się i przymilających nie tylko do białogłów świeckich, ale i do zakonnic. Owóż byli to właśnie ci, co najgłośniej

z kazalnic swych grzmieli. I takich to mielibyśmy naśladować? Kto chce, niechajże tak czyni, wszelako Bogu wiadome jest, czy rozumnie postępuje.

Załóżmy jednak teraz, że mnich, który was gromił, miał słuszność mówiąc, że złamanie wiary małżeńskiej jest wielkim grzechem. Zali, pytam, nie jest większym grzechem ograbić człeka, zabić go albo uczynić go wygnańcem wędrującym po świecie? Sądzę, że nikt temu nie zaprzeczy. Ścisły związek mężczyzny z białogłową — to grzech przyrodzony, ale grabież i zabójstwo, i przegnanie precz są występkami ze złego umysłu wypływającymi. Już wam to dowodnie wykazałem, żeście Tedalda ograbili, odebrawszy mu siebie, chocia z własnej, nieprzymuszonej woli przedtem do niego należeliście. Teraz powiem wam jeszcze, żeście na jego żywot godzili, bowiem z dnia na dzień coraz okrutniejszą się stając, popychaliście go k'temu, aby własnymi rękami śmierć sobie zadał. Prawo zaś głosi, że ten, kto jest złego uczynku pobudką, winien taką samą karę ponieść jak ten, który zbrodnię popełnił. A temu zaprzeczyć nie możecie, żeście spowodowali jego wygnanie i siedmioletnią po świecie tułaczkę. Każda z tych trzech win jest daleko sroższym grzechem niźli ów ścisły związek, w którym żeście z Tedaldem żyli. Ale może Tedaldo na podobny postępek zasłużył? Oczywistą jest rzeczą, że nie. Samiście to przyznali, a i ja wiem, że was bardziej niż siebie miłował. Gdy się znajdował tam, gdzie mógł o was mówić, nie wywołując podejrzeń i dobrej sławy waszej na szwank nie przywodząc, uwielbiał was, czcił i nad wszystkie białogłowy wynosił. Cały swój los, cześć i wolność swoją w wasze ręce złożył. Nie byłże młodzieńcem szlachetnego rodu? Nie przewyższał urodą i odwagą innych dzielnych młodzieńców? Zali go wszyscy nie miłowali? Zali nie spoglądali na niego chętnym okiem? Temu także nie zaprzeczycie. Jakże więc mogliście za podszeptem głupiego, podłego i zawistnego klechy tak surowie z Tedaldem postąpić? W istocie pojąć nie mogę, przez jaki to błąd i zaślepienie białogłowy mężczyzn od siebie odpychają i lekce ich sobie ważą, gdy tymczasem, zważywszy, czym są i czym jest mężczyzna, z woli bożej nad wszystkie istoty świata wywyższony, powinny się za szczęśliwe poczytywać, jeśli miłość jego pozyskają, a potem wszystkie jego chęci uprzedzać i drżeć tylko o to, aby miłować nie przestał. Wy zasię coście uczynili pod wpływem słów mnicha, który na pewno był pospolitym darmozjadem i pasożytem? Łotr ten, wierę, chciał wtargnąć tam, skąd innego tak gorliwie wypierał. Jest to więc grzech tego rodzaju, że sprawiedliwość boska, ważąca wszystko na słusznej szali, bez kary ostawić go nie mogła. Jak wy, bez nijakiej przyczyny, Tedalda od siebie oddaliliście, tak też mąż wasz całkiem niewinnie teraz przez Tedalda w srogie terminy popadł, wy zasię w frasunek i strapienie. Skoro zaś

chcecie z tego nieszczęścia się wydobyć, musicie jedną rzecz przyrzec, a nade wszystko później ją uczynić: jeśli kiedykolwiek Tedaldo z długiego wygnania swego tutaj powróci, powrócicie mu miłość swoją, łaskawość i wszystkie względy; słowem, przywrócicie go do tego stanu, w jakim się znajdował pierwej, nim żeście dali posłuch głupiemu klesze.

Pielgrzym zakończył mowę swoją, której dama słuchała z wielką uwagą i w milczeniu, bowiem uznawała słuszność jego wywodów. Wierząc, że cierpienia jej są, w samej rzeczy, karą za grzech popełniony, rzekła.

— Mężu boży, widzę, że słowa wasze są prawdziwe, a takoż z waszego opisu poznaję, jakimi są ci mnisi, których dotychczas za świętych poczytywałam. Ani chybi, wielkim grzechem był mój wobec Tedalda postępek; gdyby to w mojej mocy leżało, chciałabym wyrządzoną mu krzywdę naprawić, ale cóż uczynić mogę? Tedaldo nigdy tu już nie powróci, bowiem nie ma go na tym świecie. Na cóż się wam przeto zda moja obietnica, skoro jej spełnienie jest rzeczą niemożliwą!

— Tedaldo — odparł pielgrzym — nie umarł wcale. Niebo mi to objawiło. Jest żywy i zdrowy i za szczęśliwego się poczyta, gdy go łaską swoją od nowa obdarzycie.

— Zważcie na to, co powiadacie — rzekła dama. — Widziałam go martwego przed moim progiem, przeszytego ostrzami puginałów. Trzymałam go w swych ramionach, oblewając gorzkimi łzami martwe jego lica. Łzy moje dały zapewne później materię do gadek złośliwych.

— Cokolwiek byście mi powiedzieli — odparł pielgrzym — nie przestanę was zapewniać, że Tedaldo żyje. Jeśli tylko przyrzekniecie mi obietnicę zdzierżyć, wkrótce go tu, jak sądzę, obaczycie.

— Przyrzekam — rzekła dama — i z wielką ochotą słowa dotrzymam, nic bowiem większej radości mi nie sprawi, jak obaczenie męża mego w bezpiecznym i swobodnym stanie, a Tedalda przy życiu.

Wówczas Tedaldo osądził, że nadszedł stosowny czas na to, aby dać się poznać i skrzepić Ermellinę większą jeszcze nadzieją, że mąż jej wolność odzyska.

— Pani — rzekł do niej — chcąc wszystkie wasze obawy co do losu męża rozproszyć, odkryję wam pewną tajemnicę. Nie wyjawiajcie jej jednak nikomu na świecie!

Znajdowali się sami we dwoje w ustronnej komnacie, dama bowiem czuła wielką ufność do pielgrzyma, który wydał jej się mężem świątobliwym. Tedaldo zdjął z palca troskliwie strzeżony pierścień, który mu niegdyś w ostatnią noc razem spędzoną dała Ermellina.

— Czy znacie ten pierścień? — spytał pielgrzym.

Dama, poznawszy od razu klejnot, rzekła:

— Tak jest, dałam go kiedyś Tedaldowi.

Wówczas pielgrzym wyprostował się, zrzucił z siebie płaszcz i kaptur z głowy i rzekł w narzeczu florenckim:

— A mnie czy także poznajecie?

Na te słowa dama spojrzała nań i poznawszy w nim Tedalda, osłupiała całkiem i zatrwożyła się tak, jak można by się przerazić martwych ciał, które nagle ruszać się zaczną. Miast go w objęcia pochwycić, jako swojego Tedalda, który z Cypru powracał, uciekać przed nim chciała, niby przed trupem, co wyszedł z mogiły.

Wówczas Tedaldo rzekł:

— Nie strachajcie się po próżnicy, jestem Tedaldem żywym i zdrowym. Nie umarłem ani nie rozstałem się ze światem, tak jak sądziliście wy i bracia wasi.

Ermellina, nieco oprzytomniawszy, chocia dźwięk jego głosu po dawnemu ją trwożył, spojrzała na niego uważniej i przekonała się, że jest on prawdziwym Tedaldem. Rzuciła mu się przeto z płaczem na szyję i rzekła całując go:

— Bądź pozdrowiony, mój Tedaldo najdroższy!

Tedaldo, ucałowawszy ją i uściskawszy, rzekł w te słowa:

— Nie czas teraz pieszczotom się oddawać. Chcę uczynić wszystko, co w mojej mocy leży, aby Aldobrandino powrócił tu zdrów i cały. Mam nadzieję, że nim jutrzejszy dzień minie, dobre wieści o nim usłyszycie. Jeśli dzisiaj jeszcze czegoś pomyślnego o nim się dowiem, powrócę do was tej nocy, aby się z wami swobodniej niż teraz nowinami podzielić.

Co rzekłszy włożył znów na się szaty pielgrzyma, pocałował Ermellinę i nadzieją ją pokrzepiwszy udał się tam, gdzie Aldobrandina więziono. Mąż Ermelliny więcej myślał o śmierci, którą miał ponieść, niźli o możliwości ocalenia życia swego. Uzyskawszy przystęp do Aldobrandina, Tedaldo wszedł do jego celi, jako duchowny pociechę niosący, siadł obok niego na ławie i rzekł:

— Jestem twoim przyjacielem, Aldobrandino; Bóg mnie przysyła tutaj, abym cię wybawił, bowiem użalił się On nad niewinnością twoją. Jeżeli przez wdzięczność do Stwórcy obiecasz mi spełnić niewielką rzecz, o którą cię zaraz poproszę, to nim jutro wieczorem wyrok śmierci na tobie wykonany zostanie, wolność odzyskasz.

— Sługo boży — odparł Aldobrandino — widzę, że o moje życie się troskasz, dlatego też, chocia cię nie znam i choć nie pamiętam, abym cię kiedykolwiek widział, musisz w samej rzeczy być moim przyjacielem.

Bóg widzi, że nie popełniłem zbrodni, o jaką mnie oskarżono, aliści świadom jestem wielu innych win swoich, za które teraz widocznie pokutować muszę. Zaręczam ci teraz jednak i klnę się, jak przed Bogiem, że jeśli miłosierdzie boże mnie nie opuści, nie tylko tę obietnicę, ale i największe przyrzeczenie wypełnię. Dlatego też żądaj ode mnie, czego chcesz, bowiem gdy tylko wolność odzyskam, słowo moje niechybnie zdzierżę.

Wówczas pielgrzym rzekł:

— Nie domagam się od ciebie niczego więcej, tylko abyś przebaczył czterem braciom Tedalda to, że poczytując cię za mordercę Tedalda do tego stanu cię przywiedli, i abyś gdy cię o wybaczenie poproszą, jako braci i przyjaciół ich przyjął.

— Nikt — odparł Aldobrandino — nie czuje tak słodyczy zemsty i takiego jej pragnienia jak ci, których pokrzywdzono, jednakże chcąc, aby mnie Bóg wyzwolił, przebaczam im chętnie. Jeśli stąd żyw i cały wyjdę, na wszem twojej woli posłusznym będę.

Słowa te wielce się pielgrzymowi podobały, dlatego też poprzestał na tym, co rzekł. Dodał Aldobrandinowi jeszcze raz otuchy i poprosił go, aby nie upadał na duchu, gdyż nim minie dzień jutrzejszy, dowie się z wszelką pewnością o swym uwolnieniu. Po czym udał się wprost do Signorii i rzekł do sędziego:

— Szlachetny panie, powinnością każdego człeka jest prawdę na jaśnię podawać, a w szczególności obowiązek ten ciąży na ludziach na urząd wysadzonych. Winni oni baczyć, aby kara nie spadała na tych, co są niewinni, jeno na łotrów i złoczyńców. Przychodzę tu do was po to, aby się tak stało, ku sławie waszej i ku zgubie tych, co na nią zasłużyli.

Jak to sami dobrze wiecie, wielce surowie postąpiliście z Aldobrandinem Palermini, bowiem się wam zdało, że on to Tedalda degli Elisei zamordował. Śmiercią tedy pokarać go chcecie. Dowiodę wam jednak, że w wielkim błędzie byliście, bowiem jeszcze przed północą oddam w wasze ręce prawdziwych zabójców młodzieńca.

Sędzia zacny, któremu los Aldobrandina na sercu leżał, uwierzył chętnie słowom pielgrzyma i o wszystko szczegółowo się go wypytał. Za jego wskazaniami pochwycono w gospodzie bez walki dwóch braci oberżystów i ich sługę, kiedy ci byli w głębokim śnie pogrążeni. Gdy dla wydobycia prawdy chciano ich wziąć na tortury, wszyscy bez żadnych wybiegów przyznali się do zamordowania nieznanego im Tedalda. Badani o przyczynę zbrodni odpowiedzieli, że uczynili to dla zemsty, bowiem młodzieniec ów pod ich nieobecność w gospodzie chciał żonie jednego z nich gwałt zadać i siłą zmusić ją do tego, aby jego woli posłuszną była.

Pielgrzym, usłyszawszy te słowa, oddalił się za pozwoleniem urzędnika Signorii i niepostrzeżenie udał się do domu Ermelliny. Wszyscy już spali, czuwała tylko żona Aldobrandina, czekając na przybycie Tedalda. Równie była spragniona dobrych wieści o mężu co i pogodzenia się całkowitego z kochankiem.

Tedaldo, wszedłszy do komnaty, rzekł z wesołym obliczem:

— Raduj się, najdroższa moja, bowiem już jutro rano powitasz swego Aldobrandina, cieszącego się dobrym zdrowiem.

I ażeby ją dowodnie o tym przekonać, opowiedział jej o wszystkim, co w Signorii zaszło. Ermellina, niezmiernie uradowana tymi dwoma nieoczekiwanymi wypadkami: odnalezieniem Tedalda, którego za martwego poczytywała, i uratowaniem męża, którego śmierć już za kilka dni opłakiwać miała, rzuciła się Tedaldowi na szyję i uściskała go serdecznie. Później udali się pospołu do łoża i tam skwapliwie wesoły pokój zawarli, nie szczędząc sobie rozkoszy. Gdy dzień nastał, Tedaldo podniósł się z pościeli, oznajmił kochance, co chce uczynić, i poprosił ją raz jeszcze, aby wszystko w głębokiej tajności zachowała. Później, ubrany w strój pielgrzymi, wyszedł z jej komnaty, aby się sprawami Aldobrandina zająć. Signoria, przeświadczona dowodnie o niewinności Aldobrandina, wypuściła go rychło na wolność, zasię morderców w kilka dni potem na miejscu zbrodni stracić kazała.

Aldobrandino znalazł się na swobodzie ku niewymownej radości swojej i żony, wszystkich krewniaków i przyjaciół. Pomnąc, że pielgrzymowi wolność zawdzięcza, jął go prosić, aby przez cały czas pobytu w mieście w jego domu pozostał. Wszyscy starali się z całych sił uczcić go i ugościć należycie, osobliwie Ermellina, świadoma, że dla niej starań swych nie litował. Po pewnym czasie Tedaldo zapragnął braci swych z Aldobrandinem pogodzić. Wiedział dobrze, że ci nie tylko nie uspokoili się, gdy Aldobrandino wolność odzyskał, ale nawet uzbroili się, obawiając się jego zemsty, i dlatego też poprosił gospodarza, aby dotrzymał obietnicy w więzieniu danej. Aldobrandino gotowość swoją okazał. Wówczas pielgrzym poprosił go, aby następnego dnia wspaniałą ucztę wydał, na którą przybyć mieli czterej bracia Tedalda wraz z swymi małżonkami, nie licząc krewniaków i przyjaciół Aldobrandina. Sam podjął się ich w jego imieniu na ucztę sprowadzić. Aldobrandino, gotów we wszystkim zadość mu uczynić, przystał na prośbę pielgrzyma, który natychmiast do swych braci się udał. Natrudziwszy się niemało, stosownymi słowy i argumentami nieodpartymi wreszcie ku temu ich przywiódł, że zgodzili się pójść do domu Aldobrandina, aby go o przebaczenie błagać i przyjaźń jego odzyskać. Następnego dnia koło południa zjawili się w domu

Aldobrandina czterej bracia Tedalda, ubrani w szaty żałobne, w otoczeniu przyjaciół swoich. Gospodarz już ich oczekiwał. W przytomności wszystkich zebranych rzucili oręż na podłogę i oddali się w ręce Aldobrandina, prosząc go, aby puścił w niepamięć krzywdy mu wyrządzone. Aldobrandino ze łzami uściskał ich serdecznie i każdego w usta ucałował mówiąc, że już żadnej urazy do nich nie żywi. Wkrótce zjawiły się ich żony i siostry w ciemne stroje przyodziane, które Ermellina wraz z innymi niewiastami wdzięcznie powitała. Wszyscy byli ukontentowani z przyjęcia, bowiem uczta wspaniale wypadła, jeno ciążyła im rzecz jedna: milczenie, którego przyczyną był świeży smutek, wyrażający się w żałobnych szatach rodziny Tedalda. Wielu nawet ganiło w duchu pielgrzyma za pomysł tej biesiady. Tedaldo domyślił się tego, a sądząc, że właściwy czas nadszedł, powstał od wieczerzy, gdy zajadano jeszcze owoce, i rzekł:

— Aby dzisiejsza uczta na wszem wesoła być mogła, brakuje nam tylko Tedalda. Ponieważ nie poznaliście go, gdy z wami przez cały czas tutaj bawił, chcę wam go teraz pokazać.

Przy tych słowach zrzucił z siebie pielgrzymie szaty i ukazał się oczom przytomnych w zielonym, strojnym kaftanie. Chociaż go poznano, przecie nikt nie mógł uwierzyć, że jest to Tedaldo we własnej osobie. Widząc powszechne osłupienie, Tedaldo przypomniał zebranym różne okoliczności ich tylko dotyczące i opowiedział im siła przypadków swoich. Wówczas bracia i przyjaciele, łzami radości się zalewając, rzucili się mu w ramiona. Za ich przykładem poszły białogłowy, nawet i nie krewniaczki, krom jednej tylko Ermelliny.

— Dlaczego, Ermellino, nie chcesz, jak inne, Tedalda powitać? — zapytał Aldobrandino.

— Z całego serca powitać bym go pragnęła! — zawołała głośno Ermellina — i uczyniłabym to ochotniej od innych, teraz go witających, bowiem obligowana mu jestem więcej niż kto bądź za to, że dzięki jego staraniom ciebie, Aldobrandino, odzyskałam, aliści różne plotki i gadki kłamliwe, rozsiewane przez ludzi wówczas, gdyśmy rzekomego Tedalda opłakiwali, uczynić mi tego nie pozwalają.

— Daj pokój — odparł Aldobrandino — zali myślisz, że wierzę złym językom? Nie szczędząc starań, abym ja wolność odzyskał, dowiódł Tedaldo niezbicie, że wszystko to były kłamstwa potwarcze, którym nigdy wiary nie dawałem. Zbliż się i obejmij go!

Dama, niczego bardziej nie pragnąca, nie omieszkała wypełnić rozkazu męża. Rzuciła się na szyję Tedaldowi, idąc za przykładem innych, i z radością go ucałowała. Wielkoduszność Aldobrandina wielce podobała się braciom Tedalda i wszystkim

przytomnym. Usunęła też osad wszelki, jaki krążące pogłoski pozostawić mogły w umyśle niektórych.

Gdy tak każdy na widok Tedalda się radował, ów zerwał żałobne szaty z braci i sióstr i rozkazał, aby im inne szaty przyniesiono. Przeodziawszy się, wiele pili, tańcowali i różnym igrom się oddawali, tak iż uczta, która się w milczeniu zaczęła, w powszechnej wesołości się zakończyła. Wreszcie wszyscy przenieśli się do domu Tedalda, gdzie do wieczerzy zasiedli. Uroczystości trwały jeszcze przez dni kilka wpośród niesłabnącej radości i wesela. Jednakże Florentczycy ciągle patrzyli na Tedalda jak na powstałego z grobu i dziw jakowyś. W duszach ich, a nawet jego braci, czaiła się jeszcze nieśmiałość wątpliwa, zali to on jest w samej rzeczy Tedaldem. Być może, że ta wątpliwość nigdy by była nie zniknęła, gdyby nie zdarzył się wypadek, dzięki któremu odkryto, kto zabity został. Pewnego dnia obok domu Tedalda przechodzili żołnierze z Lunigiany. Obaczywszy Tedalda, podeszli do niego i rzekli:

— Jak się masz, Faziuolo!

— Bierzecie mnie widać za kogoś innego — odparł Tedaldo w obecności braci.

Żołnierze, słowa te usłyszawszy, zmieszali się i przeprosili go:

— Wybaczcie nam, panie, ale tak podobni jesteście do jednego z naszych towarzyszy, jak tylko człowiek do człowieka podobien być może. Zowią go Faziuolem z Pontremoli. Przybył on przed dwoma tygodniami do tego miasta i odtąd słuch o nim zaginął. Co prawda zadziwił nas nieco strój wasz, był bowiem żołnierzem jako i my.

Usłyszawszy to, starszy brat Tedalda podszedł do nich i zapytał:

— Jak był odziany wasz Faziuolo?

Żołnierze opisali swego towarzysza. Wówczas z tej oznaki, jako i z innych jeszcze, jawnym się stało, że zamordowany został nie Tedaldo, lecz Faziuolo. Znikły więc ostatnie wątpliwości w duszach braci i mieszkańców grodu. Tedaldo, który jako człek bogaty do miasta powrócił, pozostał wierny miłości swojej. Ermellina już wspak jego chęciom nie stawała. Dzięki swojej czujności i roztropności przez długie lata jeszcze miłością swoją się cieszyli. Oby Bóg i nam tak się cieszyć pozwolił!”.

Opowieść ósma. Ferondo w czyśćcu

Ferondo, połknąwszy pewien proszek, zostaje pogrzebany jako człek wrzekomo martwy. Opat, cieszący się tymczasem wdziękami jego żony, dobywa go z grobowca i

przenosi do lochu, który Ferondo za czyściec poczytuje. Później Ferondo zmartwychwstaje i syna, którego opat z żoną jego spłodził, wychowuje jako własnego.

Opowieść Emilii, pomimo swej długości, nie znudziła nikogo. Przeciwnie, wszyscy zaręczali, że tylu różnych zdarzeń z większą zwięzłością przedstawić było nie lza. Po czym królowa uwiadomiła Laurettę skinieniem o życzeniu swoim; Lauretta w te słowa zaczęła:

— Miłe damy! Pragnęłabym przede wszystkim opowiedzieć wam o pewnym zdarzeniu, które raczej na kłamliwy wymysł niźli na prawdę wygląda. Przypomniałam sobie o nim, usłyszawszy, jak to jeden człek pogrzebiony i opłakany miasto drugiego został. Teraz opowiem wam o przypadkach żywego człeka, którego pochowano, aby go później już nie za żywego, lecz za zmartwychwstałego poczytywać. On sam, jako i wielu innych, twardo wierzył, że z grobu powstał. Ten zasię, co na należną karę zasługiwał, jako święty odtąd był czczony.

„Było w Toskanii pewne opactwo, które po dziś dzień jeszcze tam istnieje. Leżało ono, jak to często się zdarza, w okolicy odludnej. Opatem został tam obrany pewien mnich, człek we wszystkim świątobliwy i przykładny, grzeszący jeno niepomiernym pociągiem do białogłowskiego pogłowia. Umiał jednak tak ostrożnie i chytrze poczynać sobie, że nikt nie wiedział o jego słabości ani jej nawet nie podejrzewał i wszyscy za wzór cnót go uważali. Zdarzyło się, że z opatem zaprzyjaźnił się wielce pewien bogaty kmieć, Ferondem zwany. Był to człek gruby i jedynie swą korzyść własną mający na celu. Opat lubił przestawać w jego towarzystwie tylko dlatego, że prostactwo Feronda nieraz wiele wesołości mu przyczyniało. Świątobliwy mąż zauważył, że Ferondo ma za małżonkę wielce urodziwą białogłowę, i wkrótce tak się w niej zakochał, że dniem i nocą o niczym innym myśleć nie mógł. Wiedząc jednakże, że Ferondo, wielki głuptak i prostak we wszystkich sprawach, jest chytrym i przebiegłym, jeśli o pilnowanie żony chodzi, zwątpił już niemal w uskutecznienie pragnień swoich. Jednakoż jako człek przemyślny, tyle na Ferondzie wymógł, iż ten pospołu z swoją żonką nieraz zachodził do ogrodu klasztornego, aby w nim przechadzki zażywać. Tutaj z wielkim namaszczeniem prawił im o szczęśliwości przyszłego życia i o świątobliwych uczynkach zmarłych, tak mężczyzn, jak i kobiet. Opowieści te natchnęły żonę Feronda chęcią wyspowiadania się przed opatem, na co łatwo pozwolenie od męża swego uzyskała; ku wielkiemu ukontentowaniu opata zjawiła się pewnego dnia u niego, usiadła u jego stóp i rzekła w te słowa:

— Wielebny ojcze! Gdyby Bóg był mnie prawdziwym mężem obdarzył albo bez męża ostawił, wierę, nietrudno by mi było dzięki waszym pouczeniom wstąpić na drogę, która, jak mówiliście, ku wiecznemu żywotowi wiedzie. Aliści wziąwszy pod rozwagę, jakim człekiem jest mój Ferondo i jak wielka jest jego głupota, mogę się za wdowę poczytywać. Jednakoż zamężna jestem, bowiem póki on żyje, drugiego męża wziąć sobie nie mogę. Ferondo, tępe przyrodzenie mając, bez żadnej przyczyny jest o mnie zazdrosny okrutnie, dzięki czemu żyję w nieustannej udręce, z mężem mym skłócona. Dlatego też, nim do spowiedzi przystąpię, proszę was pokornie, ojcze wielebny, abyście mi jakiejś rady udzielili. Jeśli nie będę miała możności postępować dobrze, zgodnie z wolną wolą moją, na niewiele mi się zda cała spowiedź.

Wyznanie to niepomiernie uradowało opata, zdało mu się bowiem, że los otwiera mu drogę wiodącą do spełnienia najgorętszych jego pragnień.

— Moja córko — rzecze — łatwo mi pojąć, że tak pięknej i subtelnej białogłowie, jak wy, ciężko jest być żoną półgłówka, a cóż dopiero zazdrośnika! Ponieważ w osobie waszego męża głuptak z zazdrośnikiem się łączy, więc nie dziwuję się wcale waszym skargom. Mówiąc węzłowato, nie widzę innej rady i środka krom tego, aby Ferondo zazdrości swojej się oduczył. Lek stosowny i skuteczny dlań dobrze przygotować umiem. Proszę was jeno, abyście słowa moje w najgłębszej zachowali tajności.

Białogłowa odparła na to:

— Nie wątpcie o tym, mój ojcze! Raczej umrę, niźli powtórzę komuś słowa wasze. Ale jakże tego dokonać?

— Jeśli chcemy, aby Ferondo się uleczył — rzekł opat — musi on czas niejaki w czyśćcu spędzić.

— Jak to? — zawołała niewiasta — zali może się tam dostać za życia?

— Należy tedy, aby pierwej umarł, a wtedy tam pójdzie. Gdy już tyle katusz przecierpi, że się swojej zazdrości oduczy, my szczególnymi modlitwami będziemy prosili Boga, aby go do życia powrócił, co Bóg, ani chybi, uczyni.

— Zatem — rzekła białogłowa — przyjdzie mi żyć w wdowieńskim stanie?

— Tak — odparł opat — przez czas niejaki, w ciągu którego winniście to pilnie mieć na pieczy, aby w stadło małżeńskie z kimś innym nie wstąpić, Bóg bowiem ukarałby was za to, a gdy Ferondo przybyłby z czyśćca, musielibyście do niego powrócić, on zaś stałby się jeszcze większym zazdrośnikiem.

— Gotowa jestem na wszystko — rzecze białogłowa — byleby się tylko od szkaradnej swej wady oswobodził i abym nie potrzebowała żyć nadal jak w więzieniu.

— Uczynię, co w mojej mocy leży — odparł opat — jakąż nagrodę jednak za tę przysługę od was otrzymam?

— Żądajcie, czego chcecie, ojcze wielebny — rzekła żona Feronda — bylebym tylko była w stanie życzenia wasze wypełnić. Aliści cóż może ofiarować taka jak ja białogłowa mężowi tak dostojnemu jak wy?

— Możecie mi uczynić łaskę równą tej, którą ja wam wyświadczyć pragnę. Jeśli bowiem chcę was pociechą i szczęściem obdarzyć, wy możecie stać się zbawieniem i radością życia mojego.

— Skoro tak jest, wszystko gotowam uczynić — odparła białogłowa.

Wówczas opat rzekł:

— Oddajcie mi zatem miłość swoją i swoje ciało, bowiem płonę pożądaniem, trawiąc się nieugaszonym ogniem.

Białogłowa usłyszawszy to całkiem osłupiała.

— Ach, cóż ja słyszę, ojcze czcigodny! Miałam was dotychczas za świętego! Zali się godzi świątobliwym mężom takich rzeczy żądać od kobiet, które przychodzą prosić ich o radę?

Na to rzekł opat:

— O duszo mojej duszy! Nie dziwujcie się temu, bowiem świętość nijakiego uszczerbku przez to nie ponosi; żyje ona przecie w głębi duszy, zasię to, czego się od was domagam, jest grzechem ciała. Zresztą jakkolwiek by było, wielka piękność wasza taką władzę nade mną sprawia, że miłość każe mi tą modłą postępować. Powiem wam takoż, iż możecie się chełpić swoją urodą bardziej niż inne białogłowy, bowiem znajdują w niej upodobanie święci, przywykli do oglądania cudów nieba. Wreszcie, będąc opatem, człekiem przez to być nie przestaję, a jak widzicie, do wieku szedziwego jeszcze mi daleko. Wierę, nie będzie wam trudno prośbę moją wypełnić, przeciwnie, winniście całą duszą pragnąć tego, czego i ja pragnę. W czasie pobytu Feronda w czyśćcu, będę wam nocami towarzystwa dotrzymywał i tym samym pocieszeniem co mąż was obdarzał. Nikt o tym się nie dowie, wszyscy bowiem mają o mnie takie przynajmniej mniemanie, jakie wyście mieli przed chwilą. Nie odtrącajcie łaski, jaką was Bóg obdarza. Siła jest tych, którzy gorąco pragną tego, co wy mieć możecie i co będziecie mieli, jeżeli rozumnie postąpicie wedle rad moich. Krom tego, posiadam niemało pięknych i szacownych klejnotów, które w duszy już dawno dla was przeznaczyłem. Uczyńcie zatem, słodka nadziejo moja, to dla mnie, co ja dla was ochotnie uczynić pragnę.

Białogłowa opuściła oczy, nie wiedząc, jak odmówić prośbie opata, bowiem rzeczą wielce nieprzystojną wydawało jej się na życzenie to przystać. Opat widząc, że się z responsem ociąga, to mniemanie powziął, że już do połowy jest nawrócona, dlatego też do poprzednich przełożeń siła nowych przydał i nie odpuścił wprzód niewiasty, póki jej twardo nie przekonał, że zbożne dzieło uczyni. Odrzekła mu więc, srodze zasromana, że będzie na wszem jego woli posłuszna, ale dopiero wówczas, gdy Ferondo już się w czyśćcu znajdzie.

Opat, wielce tym ukontentowany, rzekł:

— Uczynimy tak, aby nieodwłocznie tam się udał. Postarajcie się tylko, aby Ferondo jutro albo innego dnia mnie odwiedził.

To rzekłszy, wsunął jej ukradkiem na palec pierścień wspaniały i odejść jej pozwolił. Białogłowa, wielce upominkiem uradowana i pewna, że nie skończy się na tym, udała się do swych przyjaciółek, aby opowiedzieć im zadziwiające rzeczy o świątobliwości opata. Później w ich towarzystwie do domu powróciła.

Po kilku dniach Ferondo zaszedł do klasztoru. Opat ujrzawszy go postanowił nie zwlekać z wysłaniem go do czyśćca. Wyszukał proszek cudownej mocy, który ongiś otrzymał na Wschodzie od pewnego potężnego księcia. Książę ów twierdził, że proszku tego używa Starzec z gór, ilekrotnie chce kogoś w śnie pogrążonego do raju wyprawić lub też go stamtąd sprowadzić. Proszek ten, w określonej ilości zażyty, bez nijakiego dla zdrowia szwanku usypia każdego, komu go zadano, i spać mu każe przez dłuższy albo krótszy czas tak krzepko, że w uśpionym najmniejszej iskierki życia odnaleźć nie można. Opat wziął taką miarkę proszku, aby trzydniowy sen sprawiła. Wsypał ukradkiem proszek do kielicha z mętnym jeszcze winem i poczęstował nim Feronda w swojej celi. Później wyszedł z nim na korytarz klasztorny i tam pospołu z innymi mnichami jął się z jego głupoty wydwarzać. Po niejakim czasie proszek skutek swój sprawił. Feronda tak krzepki sen chwycił, że jeszcze na nogach stojąc, wpadł w drzemkę, a później w uśpieniu na ziemię się zwalił. Opat uczynił pozór, że wielce się tym wszystkim turbuje; natychmiast też kazał Feronda z szat rozdziać, zimną wodą go orzeźwiać, krom tego i innych środków nie zaniedbał, tak jakby chciał uśpionego do utraconych zmysłów powrócić i od złych humorów żołądka czy też innej dolegliwości uwolnić. Gdy jednak mnisi obaczyli, że wszystkie te usiłowania na nic się nie zdają, pomacali mu puls, a przekonawszy się, że nie uderza, do tej myśli przyszli, że Ferondo, ani chybi, umarł. Wówczas posłali po żonę i po krewniaków umarłego, którzy nie

mieszkając do klasztoru przybyli. Gdy już żona i krewniacy nad trupem trochę łez uronili, opat kazał go złożyć do grobowca w odzieniu, jakie miał na sobie.

Żona powróciła do domu oznajmiając, że nie myśli z tych stron się oddalać, bowiem nie chce rozłączać się z maleńkim dziecięciem, jakie z nim miała. Ostała więc w domu i majętnościami jako też synem Feronda kierować jęła. Opat zasię, przybrawszy sobie do pomocy pewnego bolońskiego mnicha, w którym wielką ufność pokładał, podkradł się w nocy cichaczem do grobu Feronda. Wyciągnęli go stamtąd i przenieśli do ciemnego lochu, dokąd najmniejszy promień światła dostać się nie mógł i gdzie zamykano za karę mnichów. Zdjąwszy z Feronda szaty, przybrali go w habit zakonny, później zasię położyli go na wiązce słomy i ostawili tak, aby leżał w lochu, póki się nie ocknie. Mnich z Bolonii, otrzymawszy od opata pouczenie, co mu czynić należy, jął czekać, aż Ferondo do utraconych zmysłów powróci. Nikt inny nic o tym nie wiedział. Następnego dnia opat w towarzystwie kilku mnichów udał się do domu wdowy, aby pocieszyć ją w jej strapieniu. Zastał ją w żałobnych szatach i w ciężkim smutku. Pocieszywszy ją nieco, przypomniał jej cichym głosem o danej mu obietnicy. Białogłowa, czując się uwolnioną od Feronda i wiedząc, że mąż ani ktokolwiek już nijak wstrętów czynić jej nie będzie, ujrzawszy inny piękny pierścień na palcu opata, rzekła, że jest na wszystko gotowa. Ułożyli, że opat odwiedzi ją następnej nocy. Gdy zmrok zapadł, opat w towarzystwie swego mnicha, ubrany w szaty Feronda, udał się do jego żony. Całą noc aż do jutrzni na rozkosznych igrach i harcach spędzili. Później opat do klasztoru powrócił. W przyszłości nieraz jaszcze tę samą drogę odbywał. Widywano, jak szedł do wdowy albo od niej powracał, aliści wszyscy byli przekonani, że to duch Feronda wałęsa się za pokutę w okolicach swego domu. Pośród grubych wieśniaków jęły chodzić gadki, o których zasłyszała parokroć także żona Feronda, wiedząca, co ma sądzić o tej zadziwiającej rzeczy.

Tymczasem Ferondo ocknął się i żadną miarą dorozumieć się nie mógł, gdzie się znajduje. Wówczas przystąpił doń mnich boloński, przemawiający strasznym głosem i rózgi w rękach dzierżący. Schwyciwszy Feronda za kark, z wszystkich sił okładać go począł. Ferondo, płacząc i wrzeszcząc, pytał ustawicznie:

— Gdzie jestem?

Na co mnich odpowiedział:

— Znajdujesz się w czyśćcu!

— Jak to — jęknął Ferondo — więc umarłem?

— Naturalnie — odparł mnich.

Ferondo, usłyszawszy te słowa, jął gorzko płakać nad sobą, żoną i synem, mówiąc przy tym różne androny. Później mnich przyniósł mu trochę strawy i wina. Co widząc, Ferondo zawołał:

— Dla Boga! Więc umarli jadają?

— Tak — odrzekł mnich — strawę, którą ci teraz przynoszę, przysłała dzisiejszego ranka do klasztoru twoja dawna żona, prosząc o mszę za twoją duszę. Bóg to jedzenie dla ciebie przeznaczył.

— Niech jej Bóg za to pomyślny rok ześle. Wielki afekt do niej za życia żywiłem, całe noce trzymałem ją krzepko w objęciach, całowałem ją, a takoż i coś więcej z nią czyniłem, kiedy miałem na to ochotę.

Potem, poczuwszy wielki głód, Ferondo rzucił się na strawę i jeść, i pić począł. Nie znalazłszy dobrego smaku w winie, rzekł:

— A skarż ją, Panie Boże, za to, że nie przysłała mnichom wina z beczki stojącej pod murem.

Gdy już Ferondo podjadł sobie niezgorzej, mnich znowu go za kark ułapił i tymi samymi rózgami uczciwą łaźnię mu sprawił. Ferondo, nawrzeszczawszy się do woli, zapytał:

— Za co mnie tak srodze karzesz?

— Czynię to z bożego rozkazu — odparł mnich. — Dwa razy na dzień czeka cię podobne garbowanie skóry.

— Dla jakiej przyczyny? — jęknął Ferondo.

— Ponieważ byłeś zazdrośnikiem, mając za żonę najlepszą na całym świecie białogłowę.

— Biada mi, biada! — wykrzyknął Ferondo — prawdę powiadasz, była to bowiem najlepsza kobieta, a do tego jak marcepan słodka. Nie wiedziałem jeno, że Bóg zazdrosnych mężów cierpieć nie może.

— Trzeba było rozważyć to i poprawić się — odparł mnich — gdyś jeszcze na świecie przebywał. Jeżeli jednak zdarzyć by się miało, że jeszcze kiedyś na ziemię powrócisz, to zakonotuj sobie dobrze, co teraz z tobą się dzieje, i strzeż się zazdrości jak ognia.

— Zaliż umarli zmartwychwstają? — spytał Ferondo.

— Tak, jeżeli taka jest wola boska — powiedział mnich.

— Och! — zawołał Ferondo — jeśli kiedykolwiek na świat powrócę, stanę się jak najlepszym mężem; nigdy nie będę bił żony, nie powiem jej nigdy plugawego słówka,

chyba tylko w zapłatę za to podłe wino, które mi dzisiaj przysłała. Przecżże jednak zapomniała o świecy? Musiałem jeść po ciemku.

— Żona twoja przysłała ci i świecę — rzekł mnich — jeno świece te wypaliły się przy mszy.

— Wierzę we wszystko, co powiadasz — odparł Ferondo — i dalibóg, jeżeli ją jeszcze kiedyś zobaczę, pozwolę jej czynić, co sama zechce. Powiedz mi jednak, kim jesteś ty, co się tak nade mną znęcasz?

— Jestem także nieboszczykiem — rzekł mnich — urodziłem się na Sardynii; ponieważ za życia często pochwalałem, gdy pan mój był zazdrosny, Bóg taką mi karę naznaczył: mam ci podawać strawę i napój i okładać cię rózgami, póki Bóg o nas obu inaczej nie postanowi.

— Zali nie ma tu nikogo krom nas dwóch? — spytał Ferondo.

— Tysiące potępieńców w czyśćcu cierpią — odparł mnich — aliści usłyszeć i obaczyć ich nie możesz tak, jak i oni ciebie.

— A czy dalekośmy od naszych stron? — pytał dalej Ferondo.

— Ho! ho! Kopę mil za Osranowem!

— Tam do licha! To daleko! Wydaje mi się, że musimy być już kawał drogi poza światem!

Ferondo, źle żywiony i ćwiczony rózgami na schwał, podobne dyskursy tocząc przepędził w lochu dziesięć miesięcy. Tymczasem wielce szczęśliwy opat odwiedzał nieustannie jego piękną żonę i figlował z nią do woli. Wreszcie, jak to niefortunny los sprawia, niewiasta zaszła w ciążę i szybko to spostrzegłszy, wyznała rzecz opatowi. Za czym oboje do tej myśli przyszli, że Ferondo winien czym prędzej z czyśćca na ziemię powrócić, by powiedzieć mogła, że on był sprawcą jej ciąży. Dlatego też następnej nocy opat zbliżył się do lochu i zawołał zmienionym głosem:

— Bądź dobrej myśli, Ferondo, bowiem podobało się Bogu, abyś na świat powrócił. Po twoim powrocie żona twoja powije ci syna, którego nazwiesz Benedyktem. Łaskę tę zawdzięczasz modłom świątobliwego opata i żony twojej oraz szczególnej miłości świętego Benedykta.

Ferondo, słowa te usłyszawszy, wielce się uradował i rzekł:

— Niech Stwórca udzieli wszystkiego najlepszego Panu Bogu, świętemu Benedyktowi, opatowi i mojej żonie, miodowej, cukrowanej i pulchnej.

Opat, wsypawszy mu do wina proszku, tak aby Feronda czterogodzinny sen zmorzył, odział go w dawne szaty i przy pomocy mnicha przeniósł go do grobowca, w którym go pochowano.

Nazajutrz o świcie Ferondo ocknął się i obaczył przez szczelinę w grobowcu światło, którego od dziesięciu miesięcy nie widział. Zdało mu się, że do życia powrócił, i dlatego wrzeszczeć począł:

— Otwórzcie, na Boga, otwórzcie!

Później naparł tak silnie głową na głaz zamykający grobowiec, że go z wolna usunął. Gdy się tak trudził, mnisi odprawiający właśnie modlitwy poranne przybiegli do grobowca. Poznali głos Feronda i ujrzeli go wychodzącego z grobu. Srodze tym wszystkim przerażeni, rzucili się do ucieczki i do opata pobiegli. Ów udając, że właśnie modlitwę kończy, rzekł:

— Nie trwóżcie się, dzieci moje, weźcie krzyż i wodę święconą i pójdźcie za mną. Obaczym, co Bóg wszechmogący chce nam objawić.

Ferondo, wielce blady, jak człek, który dawno światła słonecznego nie oglądał, wydobył się tymczasem z grobowca, a ujrzawszy opata, padł przed nim na kolana i zawołał:

— Czcigodny ojcze! Jak mi objawiono, modlitwy wasze, świętego Benedykta i mojej żony uwolniły mnie od mąk czyśćcowych i do życia mnie powróciły. Niechże wam Bóg odtąd we wszystkim błogosławi, teraz i zawsze.

— Niechaj Bóg będzie na wieki pochwalony! — zawołał opat. — Idź, mój synu, cudem do życia powrócony, i pociesz żonę swoją, która od dnia, gdyś zszedł z tego świata, we łzach nieutulonych tonęła. Idź i staraj się odtąd godnie Bogu służyć.

— Dobrą naukę, przewielebny ojcze, odebrałem w czyśćcu — odparł Ferondo — pozwólcie mi jeno żonę obaczyć, a będę ją całował i pieścił bez końca, całą duszą bowiem ją miłuję.

Opat, udając wielkie zadziwienie, zostawszy sam z mnichami, kazał im zaśpiewać Miserere.

Ferondo powrócił do swej wsi; każdy, kto go obaczył, uciekał przed nim jak przed najokropniejszym monstrum. Ferondo wołał za wszystkimi w ślad, że zmartwychwstał. Żona jego także się srodze z początku zestrachała. Później jednak, gdy ludzie już nieco do Feronda przywykli i upewnili się, że jest on żyw, jęli się go o różne rzeczy wypytywać. Ferondo, któremu w czyśćcu jakby nieco rozumu przybyło, opowiadał wszystkim nowiny o duszach krewniaków i zmyślał najcudowniejsze baśni o życiu za grobem.

Powtarzał także w przytomności wielu ludzi o objawieniu archanioła Gabriela, które przed swym zmartwychwstaniem odebrał.

Po czym powrócił z żoną do domu, majętność swoją w posiadanie objął i jak mu się zdało, małżonkę ciężarną uczynił. Zdarzyło się, że w oznaczonym czasie (według mniemania głupców, którzy sądzą, że białogłowa dokładnie przez dziewięć miesięcy dziecię w żywocie nosi) żona Feronda powiła syna, który na chrzcie świętym imię Benedykta otrzymał.

Powrót Feronda i jego opowieści powiększyły jeszcze sławę świątobliwego opata, jako że każdy bez mała wierzył w zmartwychpowstanie kmiotka. Ferondo, który dla swej zazdrości siła plag otrzymał, teraz całkiem się ze swej wady uleczył i już nigdy odtąd zazdrosny nie był, tak że spełniła się obietnica dana żonie jego przez opata. Żona jego, wielce z tego ukontentowana, żyła z nim w przykładnej zgodzie, nie zaniedbując jednak, ilekroć się dało, nagradzać świątobliwego opata, który w najcięższych przypadkach tak chętnie i dobrze pomoc jej swą okazał".

Opowieść dziewiąta. Giletta z Narbonny

Giletta z Narbonny uzdrawia króla francuskiego z fistuły i domaga się za męża Beltrama z Roussillonu. Ów, poślubiwszy ją wbrew swojej woli, pełen gniewu, do Florencji wyjeżdża, gdzie rozmiłowuje się w pewnej dziewicy. Mniemając, że jest z umiłowaną, z Gilettą w łożu spoczywa i obdarza ją dwoma synami. Później pokochawszy ją, jako z małżonką swoją szczęśliwie z nią żyć poczyna.

Teraz, ze względu na przywilej Dionea, którego naruszyć nie chciała, miała opowiadać jeszcze tylko królowa. Gdy więc nowela Lauretty została doprowadzona do kresu, nie czekając, aż ją prosić zaczną, rzekła w te słowa:

— Któż teraz, wysłuchawszy opowieści Lauretty, będzie umiał opowiedzieć nowelę, która by powszechny aplauz znalazła? Dobrze się stało, że nie uraczono nas nią na samym początku, bowiem później niewiele opowieści do smaku by nam przypadło. Zapewne, i te, które jeszcze dzisiejszego dnia do opowiedzenia pozostają, niezbyt zachwalane będą. Mimo to jednak opowiem wam o zdarzeniu, które mi w związku z naszym tematem na myśl przyszło.

„W królestwie francuskim żył niegdyś pewien szlachcic, zwany Isnardem, grabią z Roussillonu. Ów, na zdrowiu wielce szwankując, trzymał przy sobie zawsze medyka, mistrza Gerarda z Narbonny. Grabia z Roussillonu miał malutkiego synaczka,

jedynaka, imieniem Beltram. Wraz z tym urodziwym i przymilnym chłopcem wychowywało się wiele rówieśnych dzieci, wśród których znajdowała się także córka medyka, Gilettą zwana. Dzieweczka ta rozmiłowała się w Beltramie bardziej, niźli to na wiek jej młody przystało. Po śmierci grabi Beltram, pod opieką królewską pozostały, musiał do Paryża się udać. Młódka pogrążyła się w niewymownym smutku. Wkrótce i jej ojciec zszedł z tego świata. Gdyby stosowny pozór miała, z wielką chęcią do Paryża by wyruszyła, aby Beltrama obaczyć. Znajdując się jednak pod srogim nadzorem, jako że ze swymi bogactwy sama na świecie pozostała, nie mogła żadnej wymówki znaleźć. Doszedłszy do lat niewieścich, nie była w stanie o Beltramie zapomnieć i odmawiała wszystkim zalotnikom, z którymi ją krewniacy swatali, żadnych racyj nie podając. Gdy Giletta miłością swą nieszczęsną do Beltrama bardziej niż kiedykolwiek gorzała (doniesiono jej bowiem, że stał się już urodziwym młodzieńcem), nagle doszły ją słuchy, że król francuski wskutek wrzodu na piersi, źle przez medyków zaleczonego, dostał fistuły, która mu wielkich boleści i niepokoju przyczyniała. Na domiar złego król nie znajdował lekarza, który by mógł mu jakieś ulżenie sprawić. Starania wszystkich jeno niemoc jego pogarszały. Dlatego też król, do rozpaczy przywiedziony, od nikogo więcej pomocy ani rady przyjmować nie chciał.

Wiadomość ta niezmiernie młódkę uradowała, bowiem nadarzał jej się pozór wyjazdu do Paryża, a przy tym spodziewała się, że jeśli choroba króla taką się okaże, jaką jej się wydała, to uda jej się łatwo Beltrama za męża pozyskać. W tym celu więc, będąc już przez swego ojca w kunszcie medycznym wyćwiczona, przygotowała z różnych ziół i korzeni stosowny proszek, siadła na koń i do Paryża się udała. Przede wszystkim postarała się obaczyć Beltrama; później stanąwszy przed królem, jako o osobną łaskę poprosiła, aby jej naturę swej niemocy wyjawił. Król, obaczywszy urodziwą i powabną dzieweczkę, nie chciał jej odmówić i odkrył przed nią cierpiące miejsce. Giletta, przyjrzawszy się ranie, już za pewne to miała, że ją wyleczy, i dlatego też rzekła:

— Jeśli się zgodzicie, królu mój i panie, to przy pomocy boskiej uwolnię was od tej choroby w ciągu tygodnia, nie przyczyniając wam najmniejszego bólu czy dolegliwości.

Król roześmiał się w głębi duszy na te słowa i rzekł do się: »Tego, czego nie mogli sprawić najtęższi na świecie medycy, miałaby dokonać jedna młoda białogłowa?«. Podziękowawszy przeto Giletcie za jej cne usługi, odparł, że postanowił już niczyjej rady lekarskiej nie zasięgać.

— Wydwarzacie się, panie, z mojej umiejętności — odparła młódka — ponieważ jestem kobietą, a do tego wielce młodą. Zwracam wam jednak uwagę, że nie własną sciencją, ale kunsztem mistrza Gerarda z Narbonny, ojca mojego i sławnego niegdyś medyka, przy pomocy boskiej wyleczyć was zamierzam.

Wówczas król pomyślał sobie: »Może być, że w samej rzeczy Bóg mi ją tu przysyła. Dlaczego miałbym jej sztuczki nie wypróbować, zwłaszcza że, jak sama powiada, nie przysparzając mi cierpień, w krótkim czasie mnie wyleczy«.

Postanowiwszy więc dokonać próby, rzekł w te słowa:

— Jeżeli złamię dla cię swoje postanowienie, a ty mnie do zdrowia nie powrócisz, cóż się ma stać z tobą za karę?

— Każcie mnie, panie, wziąć pod straż — odparła młódka — abym, jeśli w ciągu tygodnia was nie wyleczę, na stosie spalona została. Jeżeli jednak wam zdrowie powrócę, jakąż nagrodę otrzymam?

— Wydajesz mi się jeszcze niezamężną — rzekł król — jeśli więc obietnicę swoją ziścisz, obdarzymy cię znacznym i szlachetnym małżonkiem.

— Królu — odparła Giletta — zaiste szczęśliwą będę, jeśli mnie za mąż wydacie, pragnę jednak wybrać sobie małżonka według swej woli, wykluczając synów waszych i wszystkich członków królewskiego domu.

Król obiecał, że jej życzenie spełni.

Wówczas dzieweczka do leczenia przystąpiła i wkrótce, jeszcze przed oznaczonym czasem, powróciła królowi zdrowie. Król, czując się uzdrowionym, rzekł:

— Zasłużyłaś w pełni na przyobiecanego ci męża.

— Jeżeli tak, miłościwy panie — odparła Giletta — to znaczy, zasłużyłam na Beltrama z Roussillonu, którego jeszcze w dzieciństwie pokochałam, aby do tych pór niezmienną miłością go darzyć.

Spełnienie tego żądania niemałą rzeczą królowi się zdało, jednakoż, raz dawszy słowo, nie chciał go teraz łamać, dlatego też kazał przywołać Beltrama i rzekł doń:

— Jesteś już źrałym mężem, Beltramie! Wolą moją jest, abyś powrócił w swoje strony i grabiostwem swoim sam rządzić zaczął, a przy tym zabrał z sobą pewną panienkę, którą ci za żonę przeznaczam.

— Któż jest tym dziewczęciem? — zapytał Beltram.

— Ta, której umiejętności zdrowie swoje zawdzięczam — odparł król.

Beltram, który już Gilettę widział, chociaż bardzo urodziwą ją znalazł, znając jej stan niski, na wszem przeciwny jego znacznemu rodowi, odparł gniewnie:

— Chcecie mi dać za żonę znachorkę, miłościwy panie? Strzeż mnie, Boże, abym kiedykolwiek podobną małżonkę miał do domu mego wprowadzić!

— Pragniesz więc do tego mnie przywieść, abym złamał me słowo, dane dzieweczce, która mnie wyleczyła i która w nagrodę za swe usługi zażądała cię na męża? — spytał król.

— Możecie mi odjąć wszystko, co posiadam — odparł Beltram — i jako podwładnego swego oddać mnie, komu się wam podoba, ale zaręczam wam, że nigdy nie będę w takim stadle szczęśliwy.

— A ja mniemam całkiem przeciwnie — rzecze król — bowiem dzieweczka jest urodziwa i rozumna wielce, a do tego gorąco cię miłuje. Pewien jestem, że będziesz z nią szczęśliwszy niźli z jakąś damą ze znacznego rodu.

Beltram umilkł, słowa te usłyszawszy, a król tymczasem polecił czynić wielkie przygotowania na uroczystość zaślubin.

Wkrótce nadszedł dzień ślubu. Beltram, aczkolwiek niechętnie, w przytomności króla pojął za żonę dzieweczkę, gorąco go miłującą. Po ślubie, zgodnie z powziętym wprzód postanowieniem, oznajmił, że pragnie do swego grabiostwa powrócić, aby w swych majętnościach żyć z młodą żoną pospołu. Otrzymawszy pozwolenie króla, siadł na koń i miast w swoje strony, do Toskanii się udał. Wiedząc, że Florentczycy w tym czasie z Sieneńczykami wojnę toczyli, ofiarował im swoje usługi. Florentczycy z radością i z oznakami wielkiej czci go przyjęli i mianowali go dowódcą oddziału żołnierzy, znaczny żołd mu wyznaczając. Beltram przez dłuższy czas u nich na służbie pozostawał.

Młoda żona tymczasem, niezbyt uradowana takim obrotem sprawy, a jednocześnie nadzieję żywiąca, że tym, co zdziała, uda jej się Beltrama do domu sprowadzić, udała się do Roussillonu, gdzie wszyscy jako grabinię ją przyjęli. Znalazłszy tutaj wszystko w wielkim nieładzie z powodu długiej nieobecności grabiego, starań i pracy nie litując, porządek z powrotem ustanowiła. Poddani jej, wielce z tego zadowoleni, przychylnością niepomierną ją darzyli i grabiemu za złe mieli jego niechęć do żony. Przywiódłszy do porządku wszystkie sprawy w majętnościach, Giletta uwiadomiła o tym męża przez dwóch dworzan, prosząc go, jeśli jej obecność od powrotu do domu go wstrzymuje, aby jej doniósł o tym, a ona natychmiast, woli jego posłuszna, z tych stron się oddali.

Grabia dał wysłańcom twardą odpowiedź:

— Niechaj moja żona czyni, co chce. Co się tyczy mego powrotu, to on prędzej nie nastąpi, aż Giletta będzie miała na palcu ten oto pierścień, a na rękach dziecię, przeze mnie spłodzone.

Pierścień ów miał grabia w wielkiej cenie i nigdy się z nim nie rozstawał dla tajemniczej mocy, którą rzekomo klejnot ten posiadał. Dworzanie pojęli srogość kondycji, składającej się z dwóch niemożliwych prawie rzeczy, wiedząc jednak, że słowami od postanowienia tego odwieść go nie zdołają, powrócili do damy i powtórzyli jej respons grabiego.

Giletta, wielce strapiona, po dłuższym namyśle postanowiła spróbować, zali się jej nie uda tych dwóch warunków wypełnić, i tą drogą męża odzyskać. Utwierdziwszy się w tym zamyśle swoim i dobrze ułożywszy, co jej czynić wypada, wezwała na naradę najstarszych i najrozumniejszych ludzi swego grabstwa i rozwijając rzecz umiejętnie, opowiedziała im rzewnymi słowy o wszystkim, co z miłości do grabiego uczyniła i jaką za to otrzymała nagrodę. Następnie odkryła im swój zamysł, który był taki: wiedząc, że jej pobyt tutaj grabiego do wygnania przymusza, resztę swego życia poświęcić pragnie na pielgrzymki i dzieła miłosierne celem zbawienia duszy swojej. Prosiła przeto owych mężów, by grabiostwo pod swój zarząd wzięli i Beltrama jak najrychlej uwiadomili, że ona majętności jego opuściła z tym twardym postanowieniem, że już nigdy do Roussillonu nie powróci. Słysząc ją tak mówiącą, wszyscy przytomni łzami się zalewali i prosili ją gorąco, aby zamysł swój odmieniła i w Roussillonie pozostała, aliści błagania te żadnego nie odniosły skutku. Poleciwszy swoich doradców opiece boskiej, Giletta w stroju pielgrzymim w towarzystwie krewniaka i służki puściła się w drogę, zabierając z sobą większą sumę pieniędzy i klejnoty. Nikt nie wiedział, dokąd się udaje. Ona zasię, nie zażywając w drodze wczasu, podążyła do Florencji. Przybywszy do miasta szczęśliwie, zatrzymała się w niewielkiej oberży, należącej do pewnej wdowy, i poczęła żyć jako nabożna, uboga pielgrzymka, pragnąc jak najprędzej dowiedzieć się jakichś nowin o swym małżonku i panu. Zdarzyło się, że następnego dnia ujrzała Beltrama, przejeżdżającego koło oberży konno na czele swego oddziału. Chocia go od razu poznała, spytała oberżystki, kto to zacz?

— Jest to znaczny cudzoziemski pan — odparła gospodyni — imieniem grabia Beltram, człek uprzejmy i miły, ogólną czcią otaczany w mieście. Miłuje on z całego serca jedną z naszych sąsiadek, która jest ubogą szlachcianką. Ta obyczajna dzieweczka nie wyszła dotąd za mąż z przyczyny swego ubóstwa. Mieszka ona pospołu z swoją

matką, wielce zacną i roztropną białogłową. Gdyby nie wzgląd na tę matkę, już dawno uczyniłaby to, czego grabia pragnie.

Giletta słowa te usłyszawszy rozważyła każdy szczegół dokładnie i na okoliczności tej osnuła swój zręczny plan.

Dowiedziała się, jak się zowie i gdzie mieszka młódka, którą grabia miłuje, i pewnego dnia ukradkiem, w szatach pielgrzymich, udała się do domu jej matki. Obie białogłowy przyjęły ją w ubogiej izdebce. Giletta pozdrowiła je i poprosiła staruszkę o chwilę rozmowy. Ta podniósłszy się rzekła, że gotowa jest jej wysłuchać. Po chwili udały się same do sąsiedniej izby, a gdy na ławie zasiadły, grabini rzekła:

— Zdaje mi się, madonno, że fortuna jest wam przeciwna wielce, tak jako i mnie. Jeżeli jednak zechcecie, będziecie mogły mnie i siebie uszczęśliwić.

Staruszka odparła na to, że niczego tak nie pragnie, jak poprawienia swego losu drogą godziwą.

— Przede wszystkim trzeba, bym mogła na was polegać — rzekła grabini. — Jeżeli wam zaufam, a wy mnie zdradzicie, zepsowacie przez to w szczęt moje plany, a i same będziecie musiały żegnać się z nadzieją.

— Mówcie spokojnie — odparła staruszka — ja was z pewnością nie zdradzę.

Wówczas Giletta zaczęła swoją opowieść od chwili, gdy Beltrama pokochała, później wyznała, kim jest, i opowiedziała o wszystkim, co zaszło. Mówiła w sposób tak wzruszający, że dama słowom jej uwierzyła i współczuć z nią poczęła, tym bardziej że już ją słuchy o tej historii skądinąd doszły.

Grabini, wszystko szczegółowo wyjaśniwszy, rzekła:

— Teraz wiecie już, pani, co uczynić muszę, aby męża odzyskać. Znacie dwa warunki, których dopełnić winnam. Nikt mi w tym dopomóc nie może krom was, jeżeli tylko prawdą jest, że grabia córkę waszą gorąco miłuje.

— Nie wiem, czyli ją miłuje, czy nie — odparła dama — to mi jeno wiadomo, że całe jego postępowanie tego dowodzić się zdaje. W czym jednak użyteczna wam być mogę?

— Zaraz wam to powiem, madonno — rzekła Giletta — pierwej jednak powiedzieć pragnę, jaką korzyść wam ta przysługa przyniesie. Wiem, że córka wasza, w wieku stosownym do małżeństwa będąca, wielką urodą celuje i że tylko dla braku wiana w domu swym dotąd ją trzymacie. Gotowa jestem za usługę, jaką mi wyświadczycie, takim wianem ją obdarzyć, jakie mi sami naznaczycie.

Damie, niedostatek cierpiącej, wielce te słowa do smaku przypadły, jednakoż odparła, szlachetnością wiedziona:

— Powiedzcie mi, pani, co mam dla was uczynić? Jeśli to tylko nie będzie rzecz nieobyczajna, chętnie wszystko wypełnię, wy zasię później uczynicie, co się wam podoba.

Wówczas grabini rzekła:

— Należy, abyście przez zaufanego człeka powiadomili mego męża, grabiego, że córka wasza gotowa jest poddać się jego woli, jeżeli tylko wprzód się upewni, że on miłuje ją w samej rzeczy tak gorąco, jak to okazuje. Jednakoż nigdy temu wiary nie da, jeśli grabia nie przyśle jej wprzód pierścienia, który na palcu nosi, a w którym, jak słyszała, szczególnie sobie upodobał. Jeśli grabia pierścień ofiaruje, oddacie mi go, a później każecie powiedzieć memu mężowi, że córka wasza gotowa jest pragnienia jego wypełnić. Potem musicie go tu potajemnie przyprowadzić i mnie, miast córki swojej, położyć przy jego boku. Być może, że Bóg pozwoli, bym poczęła, i że mając na palcu jego pierścień, a na rękach dziecię, przez Beltrama spłodzone, odzyskam mego męża i za waszym przyczynieniem pocznę z nim żyć, jak to na parę małżonków przystało.

Trudną rzeczą wydało się damie spełnienie prośby grabini; staruszka obawiała się bowiem, że córkę jej mogą wziąć na języki. Rozważywszy jednakoż, że chlubną jest rzeczą przyczynić się do powrócenia męża tak zacnej białogłowie i że uczciwej sprawie przyjść ma w pomoc, ufając szczerości uczuć grabiny, nie tylko przyrzekła Giletcie, że jej życzenia spełni, ale i natychmiast do dzieła się zabrała.

Wkrótce też, po kilku dniach, z wielką ostrożnością postępując, otrzymała pierścień — jakkolwiek ciężko przyszło grabiemu z nim się rozłączyć — a potem z wielką zręcznością, miast córki swej, Gilettę Beltramowi podsunęła. W czasie pierwszych miłosnych uniesień, tak przez grabiego upragnionych, żona jego z woli boskiej poczęła w swoim łonie dwa bliźnięta płci męskiej, jak się to w swoim czasie przy połogu okazało. Nie raz i nie dwa uszczęśliwiła zacna dama grabinę pieszczotami jej męża, przy czym wszystko w takiej tajności utrzymywać umiała, że nikt o tym ani słowa nie uznał. Beltram, stale przekonany, że z łask umiłowanej dziewicy korzysta, obdarzał ją zawsze przy rannym rozstaniu mnóstwem szacownych podarków, których grabini troskliwie strzegła. Po pewnym czasie Giletta, poczuwszy się ciężarną, nie chciała już dłużej staruszki takimi sprawami zatrudniać i dlatego też rzekła:

— Madonno, Bogu i wam niech będą dzięki, pozyskałam bowiem to, czego pragnęłam. Pora więc teraz, abym wasze życzenia wypełniła i w świat odjechała.

Szlachetna dama odparła, że cieszy się wielce z tego, iż swymi staraniami grabini dopomóc zdołała, co się jednak nagrody tyczy, to działa bez myśli o niej, w przekonaniu, że dobrej sprawie służy, czyniąc, co przystało.

Giletta odparła:

— Pochwalić was muszę za wzniosłość duszy waszej, aliści nie dla zapłaty chcę was obdarować, jeno aby dobry uczynek spełnić, przekonana, że tak mi postąpić należy.

Wówczas dama, koniecznością przyciśniona, zażądała z wielkim wstydem stu dukatów na wiano dla swej córki. Grabini, ujrzawszy rumieniec na jej obliczu i skromność żądania zważywszy, nie sto, ale pięćset dukatów jej ofiarowała, a na przydatek jeszcze piękne i szacowne klejnoty, które tyleż wartały. Starucha, wielce uradowana, jak najgorętszy dank Giletcie złożyła. Po czym grabini opuściła jej dom i do gospody powróciła. Uczciwa dama tymczasem, nie chcąc, aby Beltram nadal jej dom nawiedzał ani kierował tu swoje posłania, opuściła pospołu z córką swoją miasto i do krewniaków swoich na wieś się udała. Wkrótce i Beltram, przez swoich poddanych przywołany, usłyszawszy, że Giletta zamek jego opuściła, do majętności swych powrócił. Grabini, ucieszona ogromnie z tej wieści, pozostała we Florencji, aby tam połóg odbyć. Po pewnym czasie wydała na świat dwóch synaczków, podobnych na wszem do ojca, i z wielką troskliwością karmić ich poczęła. Gdy stosowna, jej zdaniem, chwila nastała, wyruszyła w drogę i przez nikogo niepoznana, do Montpellier przybyła. Zażywając tu przez kilka dni wczasu, dowiedziała się, że grabia w dzień Wszystkich Świętych wielką ucztę dla dam i rycerzy w Roussillonie wyprawia. Przybyła więc do Roussillonu w swych szatach pielgrzymich. Widząc, że rycerze i damy zebrali się już w zamku grabiego i że do stołu usiąść zamierzają, nie zmieniając odzienia, weszła do wnętrza z dziećmi drobnymi na rękach. Przecisnąwszy się przez tłum, zbliżyła się do Beltrama, upadła przed nim na kolana i rzekła z płaczem:

— Panie mój i władco, jestem nieszczęśliwą małżonką twoją, która pragnąc, abyś do domu swego powrócił i w nim pozostał, długo błąkała się po świecie. Zaklinam cię na Boga, abyś dotrzymał obietnicy, danej mi przez usta dwóch dworzan, moich wysłanników. Oto mam na rękach nie jedno, ale dwoje twoich dzieci, a na palcu twój pierścień. Słowem, nastał czas, abyś mnie uznał za prawowitą małżonkę swoją, zgodnie z uczynionym przyrzeczeniem.

Grabia zadziwił się niepomiernie na te słowa, poznał bowiem swój pierścień i spostrzegł, że dzieciątka są wielce do niego podobne. Pełen osłupienia zapytał:

— Jak to stać się mogło?

Wówczas Giletta ku wielkiemu zadziwieniu Beltrama i wszystkich przytomnych opowiedziała po porządku wszystko, co zaszło. Grabia, przekonawszy się, że żona szczerą prawdę powiada, ocenił w pełni jej wytrwałość i rozum i uradował się wielce z widoku dwóch pięknych synaczków swoich. Aby obietnicę swoją wypełnić i ukontentować wszystkich przytomnych, mężów i białogłowy, którzy jednogłośnie go prosili, aby żonę swą przyjął jako prawowitą i należycie ją uczcił, złożył pychę z swego serca, podniósł Gilettę z klęczek, ucałował ją i uściskał. Potem uznał ją za małżonkę, a dzieci za synów. Poleciwszy przybrać grabinię w szaty, do jej godności stosowne, ku wielkiemu ukontentowaniu wszystkich gości swoich i wasalów wspaniałe uczty przez kilka dni wyprawiał. Odtąd w wielkim miał zachowaniu żonę swoją, miłując ją gorąco i czcząc całą duszą".

Opowieść dziesiąta. Diabeł i piekło

Alibech staje się pustelnicą. Mnich Rustico poucza ją, jak należy diabła do piekieł zapędzać. Zabrana z pustelni, staje się żoną Neerbala.

Dioneo, wysłuchawszy uważnie do końca opowieści królowej, wiedział, że teraz jemu już tylko mówić przypadnie, dlatego też, nie czekając rozkazu, zaczął z uśmiechem w te słowa:

— Miłe damy, nie słyszałyście zapewne nigdy o tym, jak to się diabła do piekła zapędza. Dlatego też poza obręb materii do opowieści wybranej nie wychodząc, chcę wam o tym przedmiocie opowiedzieć. Może być, że zbawicie dusze swoje, gdy podobnej sztuczki użyjecie, a takoż poznacie, że chocia Amor ochotniej przebywa w wesołych pałacach i rozkosznych komnatach niźli w ubogich lepiankach, jednakoż moc swoją objawia niekiedy także pośród gęstych borów, stromych skał i w odludnych jaskiniach. Stąd łatwo wnosić można, że wszystko na świecie jest jego władzy podległe.

„Przechodząc do rzeczy, powiem, że w mieście Capsa w Barberii mieszkał przed laty pewien bogaty człek, który pośród wielu innych dzieci posiadał piękną i urodziwą córkę, zwaną Alibech. Dzieweczka ta, nie będąc chrześcijanką, słyszała nieraz, jak to chrześcijanie, w Capsa przebywający, wiarę swoją i swoją służbę bożą wynoszą. Dlatego też zapytała pewnego dnia spotkanego na drodze chrześcijanina, w jaki sposób Bogu najlepiej służyć można. Zapytany odparł, że najlepiej Bogu służą ci, co najdalej od ziemskich spraw uciekają, na podobieństwo pustelników, którzy na pustynię Tebaidy się udali. Wówczas niedoświadczona dziewczyna, która zaledwie czternaście lat liczyła,

raczej dziecinnym zachceniem niż pragnieniem rozumnym powodowana, nie pytając się nikogo o radę, samiuteńka wybrała się w tajności następnego ranka w drogę do Tebaidy. Po wielu trudach, dążąc naprzód wytrwale, dotarła wreszcie do jednej z pustelń. Obaczywszy z daleka lepiankę, weszła do jej wnętrza, gdzie natknęła się na pewnego świątobliwego męża w drzwiach stojącego. Ów, pełen zadziwienia, zapytał, czego tu szuka. Dzieweczka odparła, że głosem bożym natchniona, szuka człeka, który by jej służby bożej nauczył.

Zacny pustelnik, zważywszy jej młodość i wdzięki, począł obawiać się, że diabeł podkusić go może, jeżeli ją przy sobie zatrzyma, dlatego też pochwalił jej zamiar cnotliwy, nakarmił ją korzonkami, daktylami i dzikimi jabłkami, pokrzepił ją świeżą wodą i rzekł:

— Niedaleko od tego miejsca, moja córko, mieszka pewien świątobliwy mąż, który w tej materii daleko lepszym nauczycielem dla ciebie się okaże niźli ja. Radzę ci, abyś się do niego udała.

Młódka ruszyła w drogę, a przybywszy do świątobliwego męża, podobną radę usłyszała. Wędrując dalej, doszła do pustelni młodego pustelnika, wielce zacnego i nabożnego człeka, zwanego Rustico. Obróciła się doń z podobnym co i do innych zapytaniem.

Rustico, chcąc na wielką próbę swoją cnotę wystawić, nie odprawił jej, lecz w celi swojej ją zatrzymał. Za nadejściem nocy narychtował jej łoże z palmowych liści i wezwał ją, aby się na nim położyła. Wkrótce pokusy walną rozprawę wstrzemięźliwości pustelnika wydały. Czując, że siły swoje przecenił, nie czekał już na dalsze szturmy, jeno podał przemocy tył i za zwyciężonego się uznał. Ostawiwszy więc świątobliwe rozmyślania, modlitwy i biczowania, przywołał na pamięć urodę i młodość dzieweczki i jął się głowić nad tym, jaką drogą mógłby dojść do celu tak, aby ona nie spostrzegła, że jako człek rozwiązły tylko zaspokojenie swych chuci miał na celu. Najpierw zadał jej szereg pytań i z responsów jej poznał dowodnie, że jeszcze nie wie wcale, co to za zwierzę jest mężczyzna, a takoż, że jest w samej rzeczy tak nierozgarniona, jaką się być wydawa. Upewniwszy się o tym, postanowił pod pokrywką służby bożej do tego ją przywieść, aby jego woli posłuszną była. Przede wszystkim więc szyroce rozpowiadał jej o diable, zaprzysięgłym wrogu ludzkiego rodzaju i Boga, a później dał jej do zrozumienia, że niczym Bogu bardziej przysłużyć się nie może, jak zapędzeniem czarta do piekła, dokąd Twórca na wieczność go wygnał.

Dziewczyna zapytała, jak się do tego zabrać należy.

— Zaraz obaczysz — odparł Rustico — czyń tylko to, co ja czynić będę.

Rzekłszy te słowa, zrzucił z siebie swój nędzny przyodziewek i obnażony całkiem padł na kolana, jak gdyby modły zanosić postanowił. Młódka, równie naga, uklękła naprzeciw niego. Rustico, widząc ją w tej postaci, jeszcze większą żądzą zapałał, tak iż nastąpiło zmartwychwstanie jego przyrodzenia. Alibech, spostrzegłszy to, zawołała w srogim zadziwieniu:

— Rzeknij mi, Rustico, co to u ciebie dźwiga się na przodzie, czego ja wcale nie mam?

— Ach, córko moja — jęknął Rustico — jest to ów diabeł, o którym ci mówiłem. Teraz właśnie dręczy mnie tak okrutnie, że ledwie wytrzymać mogę.

— Niech Bóg będzie pochwalony — zawołała dzieweczka — widzę, że ja jestem szczęśliwsza od ciebie, nie mam bowiem takiego plugawego diabła.

— Prawdę rzekłaś — odparł Rustico — ale posiadasz za to inną rzecz, której ja nie mam.

— Cóż to takiego? — spytała Alibech.

— Masz piekło — rzekł Rustico — i zaprawdę, powiadam ci, że Bóg cię tu przysłał dla zbawienia duszy mojej, jeżeli się bowiem ulitujesz nade mną i jeśli, gdy ten diabeł męczyć mnie pocznie, zgodzisz się, bym go do piekła zapędził, wielką ulgę mi sprawisz i uczynisz Bogu rzecz wielce miłą, co jako rzeczesz, jest przyczyną twojego tu przybycia.

Dziewczyna odparła w dobrej wierze:

— Czcigodny ojcze, jeżeli w samej rzeczy mam piekło, to niech się stanie, jak chcesz.

— Bądź błogosławiona, córko moja — zawołał pustelnik — pójdźmy więc i zapędźmy diabła, abym mógł ulżenia i spokoju zaznać.

Z tymi słowy zaprowadził dzieweczkę na posłanie i pokazał jej, jak się zachować należy, gdy się chce potępieńca uwięzić. Młódka, która jeszcze nigdy żadnego diabła do piekła nie zapędzała, uczuła na razie przykrość niejaką i dlatego też rzekła:

— Zaiste, mój ojcze, diabeł ten musi był obmierzłym potworem i prawdziwym nieprzyjacielem Boga, bowiem nawet samemu piekłu przy wejściu prawdziwą udrękę sprawia.

— Moja córko — zawołał Rustico — nie zawsze tak będzie!

I aby diabła poskromić, nim podnieśli się z posłania, jeszcze sześć razy go do piekła zapędzili, tak że mu na ten raz pychę z głowy wybili i do spokojności go przywiedli. Ilekroć później znów się w nieposkromionej dumie podnosił, dzieweczka okazywała się zawsze skłonna do upokarzania go, znajdując wielkie w tym ćwiczeniu ukontentowanie. Mawiała tedy do Rustica:

— Widzę teraz dowodnie, że prawdę powiadali ci poczciwcy z Capsa, twierdząc, iż nader miłą rzeczą jest Bogu służyć. Istotnie bowiem nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek z jakiejś pracy tyle rozkoszy odnosiła, co z tego zapędzania diabła do piekła. Wnoszę stąd, że każdy, kto z całych sił Bogu służyć się nie stara, jest jeno zwierzęciem bezrozumnym.

Dlatego też przychodziła często do Rustica i odzywała się na ten kształt:

— Czcigodny ojcze, przybyłam tutaj po to, aby Bogu służyć, a nie, aby próżnować. Chodźmy więc i diabła do piekła wrażajmy!

Podczas nabożnego ćwiczenia mawiała zasię:

— Nie pojmuję, Rustico, dlaczego ten diabeł z piekła ucieka? Gdyby w nim tak ochotnie pozostawał, jak piekło go ochotnie przyjmuje, wiecznie by tam przebywać powinien.

Takim zachęceniem i pobudzaniem do służby bożej młódka wreszcie Rusticowi tyle wełny z kaftana uszczknęła, że w chwili gdy poty biłyby na innego, zimny go już tylko dreszcz przejmował. Dlatego też powiedział wreszcie Alibech otwarcie, że diabła tylko wtedy gnębić i do piekła pędzić potrzeba, gdy głowę z pychy zbytnio do góry podnosi.

— My zaś — dodał — za łaską bożą takeśmy go ujarzmili, że prosi tylko o jedno: ażeby go w spokoju pozostawić.

Słowami tymi skłonił na niejaki czas dziewczynę do spokojności. Po paru dniach jednakże, widząc, że Rustico wcale nie kwapi się z zapędzaniem diabła do piekła, Alibech rzekła:

— Rustico, jeżeli twój diabeł, już poskromionym będąc, dokuczać ci przestał, to moje piekło spokoju mi nie daje. Spełnisz więc dobry uczynek, dopomógłszy mi przy pomocy diabła okiełznać nieco wściekłość piekła mego, tak jak ja piekłem mym pomogłam ci upokorzyć pychę twego diabła.

Rustico, który jadał tylko korzonki, popijając je czystą wodą, niechętnie na te zaproszenia odpowiadał i tłumaczył Alibech, że dla uspokojenia piekła całej czeredy diabłów potrzeba. Obiecywał jednak, że będzie jej pomagał w miarę sił swoich. W samej rzeczy niekiedy jeszcze Alibech zadowalał, aliści zdarzało się to tak rzadko, że znaczyło tyleż, co ziarenko grochu rzucone w paszczę lwa. Dziewczyna widząc, że nie może Bogu służyć tak, jak by pragnęła, wielkie nieukontentowanie okazywała.

Gdy ten spór między diabłem Rustica a piekłem Alibech trwał ustawicznie, z przyczyny zbytniej żądzy z jednej strony, a wątłych sił z drugiej, zdarzyło się, że w Capsa wybuchł pożar, którego ofiarą padł we własnym domu rodzic Alibech pospołu ze swymi

dziećmi i całą rodziną. Alibech stała się tedy jedyną dziedziczką dóbr rozległych. Na wieść o tym pewien młodzieniec, nazwiskiem Neerbal, który cały swój majątek na życie wesołe zmarnotrawił, postanowił odszukać Alibech, zasłyszawszy, że dzieweczka żyje. Wybrał się tedy w drogę i odnalazł ją, nim jeszcze państwo przez sądy zdołało zagarnąć spuściznę, co bez dziedzica pozostawała. Ku wielkiej radości Rustica, a wbrew jej woli, zabrał Alibech do Capsy, uczynił ją żoną swoją i we władanie wszystkie jej majętności objął.

Gdy niewiasty przed wprowadzeniem jej do ślubnej łożnicy zapytały, w jaki sposób na pustyni Bogu służyła, Alibech, która jeszcze pospołu z Neerbalem nie była spała, odparła, że trudziła się zapędzaniem diabła do piekła i że Neerbal wielki grzech popełnił, odrywając ją od jej cnych powinności. Białogłowy zapytały wówczas:

— W jaki to sposób diabła do piekła się zapędza?

Alibech słowami i znakami dowodnie wszystko im wytłumaczyła. Wszystkie przytomne niewiasty gromkim śmiechem wybuchnęły, a potem rzekły:

— Nie turbuj się zbytnio, dzieweczko, bowiem i u nas podobnie dobre uczynki spełniać umieją. Neerbal pospołu z tobą nie gorzej Bogu służyć potrafi.

Później rozniosły całą tę historię po mieście, tak iż wkrótce nowe przysłowie powstało: „Najmilsza służba dla Boga — wtrącać w piekło jego wroga". Owa pogwarka, przyszedłszy do nas zza morza, i dzisiaj jeszcze jest na ustach wszystkich. Dlatego też wy, młode damy, którym łaski bożej potrzeba, nauczcie się diabła do piekła zapędzać, bowiem Bóg chętnie na to patrzy, nie mówiąc już o tym, że dla obu stron jest to zajęcie miłe, z którego wiele dobrego począć się może".

Tysiąc razy, jeśli nie więcej, opowieść Dionea damy do śmiechu przywodziła, tak krotochwilnymi bowiem jego słowa im się wydały. Gdy Dioneo opowieść swoją zakończył, królowa, wiedząc, że kres jej władzy nastał, laurowy wieniec z głowy swej zdjęła i włożywszy go z wielkim wdziękiem na skronie Filostrata rzekła:

— Obaczymy teraz, czy wilk lepiej owieczkom przewodzić potrafi, aniżeli one wilkom przewodziły.

— Gdyby to ode mnie zależało — odparł Filostrato ze śmiechem — wilki dawno by już nauczyły owieczki diabła do piekła zapędzać nie gorzej, jak to Rustico Alibech nauczył. Nie nazywajcież więc nas wilkami, skoro same owcami nie jesteście. Ponieważ jednak mnie władza oddana została, rządy sprawował będę.

— Słuchaj, Filostracie — rzekła Neifile — chcąc nas uczyć, może byś nabrał sam znajomości rzeczy, tak jak jej nabrał Masetto z Lamporecchio od mniszek, a mowę odzyskałbyś dopiero wtedy, gdyby ci kości, jak u szkieletu, dzwonić poczęły.

Filostrato, czując, że kosa na kamień trafiła, ostawił żarty na stronie i rządy sprawować zaczął. Przywoławszy marszałka, o wszystko szczegółowie się go wypytał, po czym z wielką roztropnością na czas swego władania różne rozkazy wydał, których spełnienie rzeczą potrzebną i przyjemną dla towarzystwa być mu się wydało.

Później z następującymi słowy do dam się obrócił:

— Najwdzięczniejsze damy! Odkąd, na nieszczęście moje, nauczyłem się zło od dobra odróżniać, zawsze z powodu piękności tej czy innej białogłowy władzy Amora byłem zhołdowany. Aliści na niewiele się zdało, że byłem mu uległy, posłuszny i że wszystkich jego ustanowień pilnie przestrzegałem. Opuścił mnie był dla innego, szczęśliwszego ode mnie, a później i to sprawił, że coraz gorzej wieść mi się zaczęło. I tak już, wierę, dotrwać mi przyjdzie do śmierci. Dlatego nie chcę, aby przedmiotem jutrzejszych opowieści była materia inna jak ta, która mej niedoli najbardziej odpowiada. Opowiadajcie zatem o ludziach, których miłość nieszczęsny miała koniec. I ja bowiem pewien jestem smutnego mej miłości skutku; nie darmo imię, którym mnie zowiecie, zostało mi nadane przez człeka, dobrze rozumiejącego jego sens zakryty.

Rzekłszy te słowa, Filostrato podniósł się i pożegnał wszystkich do wieczerzy. Ogród był tak piękny i miły, że nikomu z towarzystwa nie przyszło nawet na myśl opuścić go, aby gdzie indziej wczasu lepiej zażywać. Gasnące promienie zachodzącego słońca, żarem już nie tchnąc, pozwalały niektórym z pań biegać po sadzie i ścigać łanie, króliki i inne zwierzątka, które poprzednio, gdy siedzieli wkoło, może po sto razy obok ludzi w podskokach przebiegały, niepokojąc zebranych. Dioneo i Fiammetta jęli śpiewać o rycerzu Wilhelmie i damie z Vergi. Filomena i Panfilo grze w szachy się oddali. Gdy tak jedni tym, a drudzy owym zabawieni byli, umykały godziny i dziwnie rychło nastąpił czas wieczerzy. Rozstawiono stoły wokół pięknej fontanny i wszyscy do wesołej biesiady zasiedli. Filostrato, nie chcąc odstępować od obyczaju swoich poprzedniczek-królowych, rozkazał, gdy już stoły uprzątnięto, aby Lauretta zaśpiewała i taniec zawiodła.

— Panie mój — odparła Lauretta — nie znam żadnych pieśni przez innych ułożonych, z moich zaś nie pomnę takiej, która by naszej ochoczej kompanii odpowiadać mogła. Jeśli jednakże chcecie posłuchać tego, co umiem, zaśpiewam wam chętnie.

— Wszystko, co uczynisz — rzekł król — będzie dla nas piękne i miłe. Obdarz więc nas, czymkolwiek chcesz.

Wówczas Lauretta łagodnym, pełnym melancholii głosem, przy wtórze innych tak śpiewać poczęła:

Któż, co okrutne ponosi męczarnie,
Ma równe prawo do skargi
Jak ja, do której wszelki ból się garnie?
Władca gwiazd jasnych, rządzący tym światem,
Igraszkę czyni sobie z mej istoty,
Bo choć mnie okrył wdzięków majestatem,
Który dla ludzi blask rozsiewa złoty
Pod niebios Jego sklepieniem bogatym,
Jednak mych wdzięków nie ważąc ni cnoty,
Mrok na słoneczne me spuścił tęsknoty
I radość w wieczną przemienił męczarnię.
Gdy w przeszłość tęsknym podążę wspomnieniem,
Widzę młodzieńca, co mnie, dzieckiem prawie,
Obdarzył sercem i objął ramieniem.
Dni swe mej służbie oddał i zabawie,
Pojąc się wzroku mojego płomieniem.
Ach, nigdy tego słowem nie wysławię,
Jak cudnych marzeń był on mi wcieleniem,
Z jakim patrzyłam w niego zachwyceniem!
Lecz całe szczęście to wnet znikło marnie!
Inny wziął potem duszę mą i ciało,
Lecz jak odmienny: pyszny z swego rodu,
Z twarzą pochmurną zawsze i zuchwałą.
Ten mnie uczynił służką swą za młodu,
A gdy zazdrości oddał duszę całą,
Gorycz poczułam w złotych krużach miodu.
Ach, czuję teraz wśród łez i zawodu,
Że mych afektów by dla wielu stało
I że ten jeden więzi mnie bezkarnie!

Skarżyć się muszę dziś na twarde losy;
Cóż mnie skłoniło wyrzec zgody słowo
I czarną szatę zmienić na godową?
W tej czarnej śmiały się do mnie niebiosy,
A w jasnej żałość odczuwam grobową!
O dniu zaślubin, źródle łez mych rosy!
O dniu, gdy perły wplatając we włosy,
Miast być szczęśliwą poczęłam na nowo
Tęsknić i srogie wciąż znosić męczarnie!
Druhu radosnych chwil mojej młodości,
Któremu równy już mi nie był dany,
Jeśli istniejesz gdzieś na wysokości,
Proś Boga, łzami szczerymi zalany,
Za tę, co tutaj usycha w żałości,
Idąc w hymenu szlak, cierniem usłany!
Niech się nie goją mego serca rany,
Niech dawny płomień znów we mnie zagości,
Lub niechaj przetnie śmierć moją męczarnię!

Tutaj Lauretta umilkła. Wszyscy uważnie pieśni słuchali, różnie ją pojmując. Znaleźli się i tacy, co na mediolańską modłę myśląc, rzekli, że dobra wieprzowina lepsza jest od urodziwej białogłowy. Inni jednakoż pojęli głębokie i podniosłe znaczenie pieśni, o którym jednak mówić teraz nie pora. Po czym na rozkaz króla zapalono pochodnie, pośród kwiatów i zieleni ukryte. Towarzystwo wielu jeszcze pieśni słuchało, póki gwiazdy na niebie nie zmierzchły. Wówczas zdało im się, że pora wczasu nadeszła. Życząc sobie dobrej nocy, wszyscy do izb swych na spoczynek się udali.

Kończy się trzeci dzień Dekameronu i zaczyna czwarty, w którym, zgodnie z wolą króla Filostrata, opowiada się o tych, których miłość kres nieszczęśliwy znalazła.

Dzień czwarty

— Miłe damy! Wszystko, co słyszałem od ludzi mądrych, co w księgach czytałem lub widziałem na świecie, kazało mi wierzyć, że burzliwy wicher zawiści na wysokie tylko wieże i na wyniosłe wierzchołki drzew uderza. Teraz widzę jednak, że mniemanie moje

omylne było. Próżno ukryć się starałem przed tymi burzliwymi podmuchami, daremnie wybierałem drogi przez równiny wiodące i chowałem się w głębokie doliny. Rzuca się to w oczy każdemu, kto spojrzy na te proste opowieści. Pisałem je w codziennym narzeczu florenckim, prozą, nie dając im tytułu; co więcej, wyrażałem myśli moje jak najbardziej prostym i niewyszukanym stylem. Mimo to jednak nie uniknąłem wściekłości rozpętanego wichru. Uderzył we mnie, wstrząsnął mną całym; jadowite zęby zawiści poraniły mnie okrutnie, mimo to przecie nie ostawiłem rozpoczętego dzieła. Bo teraz dopiero eksperiencja odkryła mi istotę prawdy wszystkim mędrcom wiadomą, a mianowicie, że tylko mierność od zawiści na tym świecie jest bezpieczna.

Zali uwierzycie, miłe damy, że wielu ludzi, czytając te opowieści, za złe mi to poczytuje, że w was zbytnie upodobanie znajduję, i twierdzi, że przyjemność, z jaką was chcę rozweselić i pocieszyć, a jak dodają nawet niektórzy: wychwalić — czci mi nie przyczynia. Niektórzy, usiłując wydać sąd bardziej dojrzały, ganią mnie za to, że myślę o sprawach niestosownych do powagi wieku mego, że zbyt wiele o miłości rozprawiam i nie lituję starań, aby się wam podobać, są i tacy, co wielką troskliwość o moją sławę po sobie pokazując, radzą mi, abym, nie tracąc czasu na próżne z wami gawędy, na Parnas ku muzom się podniósł. Ludzie mniej poważni, a bardziej złośliwi, powiadają, że winienem się raczej starać o środki do życia, a nie za wiatrem uganiać i puste fraszki składać. Inni, pragnąc w oczach waszych walor opowieści moich obniżyć, twierdzą, że opisuję zdarzenia całkiem inaczej, niż one wyglądały.

Widzicie zatem, miłe damy, że podczas gdy trudzę się dla was, zagraża mi rozpętany orkan zawiści i że jadowite kąsają mnie zęby; udręczony jestem i tknięty do żywa, wszelakoż wszystkie te prześladowania, Bóg świadkiem, z pogodną myślą znoszę. I chocia obrona moja w tych sprawach do was jedynie należy, to przecież nie myślę sił swoich szczędzić, ale nie odpowiadając tak, jak by należało, lekką dam napastnikom odprawę, by uszy swe od nich oswobodzić, i to bez zwłoki.

Nie dokonałem jeszcze i trzeciej części mego trudu, a już tylu zuchwałych nieprzyjaciół liczę, że jeśli stosownych miar nie przyjmę, to nim dzieło do końca doprowadzone zostanie, oni tak w liczbę urosną, iż małym wysiłkiem broń mi z ręki wytrącą, a wówczas i wasza siła, w sukurs mi idąca, choćby znamienita, nie zda się na nic. Pozwólcie tedy, abym nim wrogom moim odpowiem, na swoje usprawiedliwienie pewną nowelę wam opowiedział. Nie dowiodę jej do kresu, nie chcę bowiem, aby ktokolwiek pomyślał, że szukam pozoru, chcąc nowele własne przemycić między

opowieści tej zacnej kompanii, którą wam tu przedstawiłem. Opowiem więc tylko jej cząstkę, by same jej braki unaoczniły, że nie należy do tamtych.

Obracam się tedy do wrogów moich!

„W mieście naszym za dawnych dobrych czasów żył pewien mieszczanin, Filipem Balducci zwany. Z niewysokiego idąc rodu, był on człekiem zamożnym, doświadczonym i obrotnym wielce. Balducci miał żonę, gorąco przez się miłowaną, która mu równym afektem odpłacała. Małżonkowie żyli w przykładnej zgodzie; główną ich troską było, aby życie sobie nawzajem umilić. Aliści z żoną Balducciego zdarzyło się to, co się każdemu z nas zdarzyć może — zeszła z tego świata, ostawiwszy mężowi jedynego syna, który zaledwie dwa lata liczył. Filip rozpaczał okrutnie; nigdy człek, co miłowaną istotę utracił, nie bolał nad tym tak strasznie jak Balducci. Pełen ciężkiej melankolii po stracie najdroższej towarzyszki, postanowił świat porzucić i wraz z synem bożej służbie się poświęcić. Rozdawszy zatem wszystko, co posiadał, udał się niezwłocznie pospołu z dzieciątkiem na górę Asinaro i zamieszkał tam w maleńkiej celi.

Ojciec i syn żyli z jałmużny, pościli i po całych dniach modlili się; Filip nie mówił nigdy z chłopcem o sprawach błahych, oddalał odeń wszystko doczesne, aby młoda istota nie zeszła z drogi ku niebu wiodącej. Rozprawiali tylko o szczęśliwości przyszłego żywota, o Bogu i o świętych i na modlitwach dni całe trawili. Minęło wiele lat. Syn Filipa nigdy nie wychodził z celi i krom swego rodzica nie widział innego człowieka. Od czasu do czasu Filip wyruszał w drogę do Florencji, aby u świątobliwych ludzi jałmużny prosić. Wracał do swej celi, opatrzony w żywność. Wreszcie Filip zestarzał się; syn jego ukończył osiemnasty rok życia. Pewnego razu młodzian zapytał go, dokąd tak często się udaje. Filip wyznał prawdę.

— Ojcze — rzekł wówczas syn — zestarzeliście się już i ciężko jest wam trudy i pracę znosić. Czemu nie weźmiecie mnie z sobą do Florencji i nie zapoznacie mnie z waszymi przyjaciółmi, którzy są ludźmi świątobliwymi? Jestem młody i trudu się nie boję. W przyszłości, gdy zajdzie potrzeba, mnie do Florencji posyłać będziecie, a sami tu ostaniecie.

Starzec rozważył, że syn jego jest już źrałym młodzieńcem, który do pobożnego żywota tak nawykł, iż pokusy świata do niego przystępu znaleźć nie będą mogły, przyznał mu zatem w myśli słuszność i do miasta go z sobą zabrał. Młodzieniec patrzył z osłupieniem na domy, kościoły, pałace, na wszystkie piękności, w które Florencja obfituje, a ponieważ, o ile pomniał, nigdy w swym życiu niczego podobnego nie widział,

wpadł w zachwyt i zapytywał nieustannie rodzica, jak to czy owo się nazywa. Ojciec szczegółowo mu odpowiadał, a on, zadowolony, poznawszy jedno, pytał o drugie.

Gdy taką rozmową się bawiąc szli przez miasto, spotkali naraz całą gromadę urodziwych, strojnie ubranych, młodych białogłów, z wesela wracających. Ujrzawszy je, młodzian zapytał ojca, co to są za istoty?

— Nie patrz na nie, synu, spuść oczy — odparł starzec — są to twory szatańskie.

— A jak się zowią? — znów syn zapytał.

Ojciec, obawiając się, aby w synu niepożądane żądze się nie obudziły, nie nazwał ich kobietami, jeno rzekł:

— Są to gęsi!

Owóż stała się rzecz zadziwiająca! Młodzian, który do tych pór nigdy w życiu białogłowy nie widział, zapomniał w tej chwili o wszystkim, czym niedawno tak się zachwycał: a więc o pałacach, kościołach, koniach, osłach i pieniądzach, o wszystkim, co oglądał, i rzekł:

— Dajcie mi, ojcze, jedną taką gąskę!

— Milcz, na Boga! — odparł rodzic. — Przecie ci już powiedziałem, że są to twory szatańskie.

— Zali to, co od złego pochodzi, taki ma wygląd? — zapytał syn.

— Tak — odrzekł ojciec.

A syn na to:

— Nie rozumiem, co powiadacie, i dlaczego miałyby to być twory szatana. Jeszcze nigdy czegoś równie pięknego i czarującego nie widziałem; za nic przy tych istotach malowane anioły, któreście mi nieraz pokazywali. Ach, ojcze, jeśli mnie miłujecie, zabierzmy z sobą jedną taką gąskę, a ja już ją karmić będę.

— Nie zgadzam się! — zawołał rodzic. — Tym bardziej że nie wiesz, w jaki sposób się je karmi.

W tej chwili Filip zrozumiał, że przyrodzenie silniejsze jest od ludzkiego umysłu, i dlatego też żałować począł, że wziął z sobą syna do Florencji".

Tutaj powieść swoją ucinam i obracam się do tych, z myślą o których ją rozpocząłem. Niektórzy z mych wrogów powiadają, że źle postępuję, starając się zbytnio wam, młode damy, przypodobać, a takoż zachwycać się wami. Szczerze wyznać muszę, że w samej rzeczy bardzo mi do gustu przypadacie i że staram się być wam miłym, aliści niech mi się zapytać będzie wolno, zali są w stanie mi się dziwować i mnie naganiać ludzie, znający nie tylko wasze gorące pocałunki i uściski ramion waszych, ale spoglądający

ciągle na waszą nieporównaną urodę i piękność pełną wdzięku, co więcej, na wasze układne obyczaje i białogłowską cnotę? Młodzieniec, wzrosły na dzikiej, samotnej górze, pośród czterech ścian swej małej celi, pierwszy raz na was spojrzawszy, obrócił ku wam wszystkie chęci swoje i tylko w marzenia o was się pogrążył. Zali przyganiacze moi odważą się strofować mnie i napastować za skłonność ku wam, mnie, obdarzonego przez niebiosa zdatnością do miłości, mnie, który wam w młodych jeszcze latach całą duszę oddał, mnie, com doświadczył czaru spojrzeń waszych, słodyczy czułych waszych słów i poznał żar, który w sercu się zapala od lubych westchnień waszych? Któż, pytam, zechce ganić mnie za to, że miłe mi jesteście i ja pragnę wam być miły, skoro nawet młody pustelnik, do dzikiego zwierzęcia podobien, spojrzawszy na was, zapomniał o wszystkim, co go dotychczas w zachwyt wprawiało? Zaiste, chyba tylko ten, kto was nie kocha i przez was nie pragnie być kochany, kto rozkoszy i potęgi uczuć nie jest świadom, szydzić ze mnie może, aliści o sąd takiego człeka dbam mało lub nic wcale.

Ludzie zasię, wiek mój mi wymawiający, nie słyszeli zapewne, że czosnek ma białą głowę, ale ogon zielony. Ostawiając żarty na stronie, powiem im, że bez nijakiego wstydu do końca życia mego starać się będę sprawiać przyjemność tym, którym przypodobanie się za zaszczyt i miły obowiązek poczytywali sobie w starości Guido Cavalcanti i Imć Dante Alighieri, a takoż Imć Cino da Pistoia, co do lat sędziwych doszedł. Mógłbym przywieść wiele przykładów na dowód, że w starożytności siła mężów znamienitych przy schyłku swego żywota białogłowom najgorliwiej służyło, aliści od materii mej opowieści oddalać się zbytnio nie myślę. Jeśli moi wrogowie o podobnych rzeczach nie słyszeli, niechaj sami stosownego poszukają pouczenia.

Radzą mi, abym na Parnas się wzniósł i tam z muzami obcował. Muszę wyznać, że widok Parnasu piękny jest dla mnie; jednakoż nie możemy ustawnie z boginiami przebywać, a takoż i muzy nie są w stanie wiecznie przy nas pozostawać. Gdy człowiek, opuściwszy towarzystwo muz, szuka istot najbardziej do nich podobnych, nie lza go za to ganić. Muzy są kobietami, a chociaż kobiety doskonałości muz nie mają, przecie wielce są do nich podobne; gdyby więc nawet białogłowy same przez się podobać mi się nie mogły, owo podobieństwo miłować by mi je kazało. Powiem takoż, że nie napisałem jednego słowa na pochwałę muz, gdy tymczasem kobiety pobudziły mnie do tysięcy wierszy. Prawda, że muzy nauczyły mnie te wiersze składać i w pisaniu mi pomagały; możliwą także jest rzeczą, iż gdy układałem i te moje proste opowieści, były one niekiedy przy mnie, dzięki temu podobieństwu do kobiet i życzliwości, którą jako

kobiety do mnie żywią. Dlatego też, gdym księgę tę składał, nie tak wielce od Parnasu i od muz oddalony byłem, jak to mniemają niektórzy.

Cóż jednak odpowiem tym, co z niezmiernej troski o to, bym nie zaznał głodu, radzą mi, abym zdobywał chleb? Zaiste, nie wiem tego! Wiem jeno, jaki by mi respons dali, gdybym ich o kawałek chleba poprosił: „Idź poszukać go w bajkach". A jednak mnóstwo wielkich poetów w swoich baśniach i opowieściach większe bogactwo znalazło niż ludzie możni w swych skarbach. I niemało było takich, co idąc za tymi baśniami, do rozkwitu wiek swój przywiedli, podczas gdy chciwość zgubiła wielu pragnących zdobyć więcej chleba, niźli im trzeba było. Cóż rzec jeszcze? Że moi wrogowie, radzący mi, abym o wyżywienie siebie się starał, wygnaliby mnie, ani chybi, gdybym o pomoc do nich się zwrócił. Bogu dzięki, wcale mi jej nie potrzeba, gdybym nawet w straszną biedę popadł, to za przykładem apostoła idąc, będę ją umiał z godnością znosić. Niechże więc ludzie nie troskają się o mnie więcej, niż ja sam o siebie się troskam.

Tych zasię, co powiadają, że przedstawiam zdarzenia niezgodnie z prawdą, gorąco proszę, aby mi pierwowzory przynieśli. Jeśli w samej rzeczy się okaże, że pierwowzory te od moich nowel się różnią, pierwszy rację twierdzeniu ich przyznam i z wszystkich sił starać się będę błędy moje naprawić. Dopóki jednak wrogowie moi na niczym słów swoich nie ugruntują, pozwolę im myśleć, co chcą, a sam dam tylko wyraz mniemaniu, że to nie ja, lecz oni z prawdą się mijają.

Zdawa mi się, że już nic więcej mówić nie trza. Krzepię się nadzieją, że z pomocą Boga i waszą, miłe moje czytelniczki, uda mi się uzbroić w cierpliwość i iść dalej moją drogą, obróciwszy się plecami do burzliwego wiatru, który niechaj z wszystkich sił dmucha. Wiem, że nic gorszego ze mną stać się nie może, jak z prochem, którego wiatr albo z ziemi nie poderwie, albo gdy go uniesie, porywa go w górę i często miejsce mu daje ponad głowami ludzi, nad koronami królów i cesarzy, niekiedy nad dachami zamków i wież wysokich. A jeśli z wysokości pył spada, to tylko na ziemię, od której oderwany został, a nie niżej. Służyłem wam z wszystkich sił moich, teraz zasię w dwójnasób służyć wam będę. Ludzie rozumni pojmują, że ja, jako i wszyscy, co was miłują, według praw przyrodzonych postępuję. Trudno z naturą walczyć i ten tylko mógłby ją przemóc, co by nadprzyrodzone siły posiadał. Ci, którzy tej walki próbowali, wiele szkód ponieść musieli, a przecie wysiłki ich płonne się okazały. Wyznaję szczerze, że nie mam sił na walkę z przyrodzeniem i że nawet wcale ich mieć nie chcę. Gdybym nawet siły te posiadał, wolałbym raczej innemu ich użyczyć aniżeli je na mój własny użytek obrócić. Niechże zatem milczą moi przyganiacze, a jeśli ich serca już żarem nie

tchną, niech, jak lód, w spokoju swoim tężeją. Ja im tej przewrotnej rozkoszy zazdrościć nie będę, byleby tylko nie przeszkadzali mi tak resztę krótkich moich dni spędzać, jak to za najlepsze uważam.

Jednakowoż zbyt daleko od właściwego odbiegliśmy wątku, trzeba tedy, piękne panie, powrócić, skąd wyszliśmy, i ustalonego na wstępie porządku przestrzegać.

Słońce spędziło gwiazdy z nieba, a z ziemi wilgotne cienie nocy. Filostrato podniósł się z łoża i innych obudzić kazał. Wszyscy wyszli do ogrodu i tam poczęli oddawać się zabawie. Gdy nadeszła pora obiadu, towarzystwo udało się w to miejsce, gdzie wieczerzało wczora. Po obiedzie, odetchnąwszy nieco, Filostrato i jego goście przyjętym już obyczajem zasiedli w chłodzie obok wspaniałej fontanny. Słońce wysoko na niebie stało. Filostrato rozkazał Fiammetcie, aby opowiadać zaczęła. Ta nie zwlekając z wielkim wdziękiem mówić jęła:

Opowieść pierwsza. Ghismonda i Guiscardo

Tankred, książę Salerna, zabija kochanka swojej córki i posyła jej serce zamordowanego w kubku złotym. Córka wlewa do kubka truciznę, wypija i umiera.

— Smutno pomyśleć, że nam, zebranym tutaj dla rozrywki, król polecił dziś opowiadać o łzach innych ludzi i o męczarniach, na myśl o których serce opowiadającego i dusze słuchaczów drgnąć z bólu muszą. Jest rzeczą możliwą, że podobne zlecenie wydał, aby postawić tamy wesołości, jaką cieszyliśmy się w dni poprzednie. Jakkolwiek by się jednak miało, mnie nie lza woli jego zmieniać. Opowiem wam tedy smutną historię, która ze wszech miar współczucia waszego jest godna.

„Tankred, książę Salerna, zasłużyłby sobie w pełni na sławę ludzkiego i dobrotliwego człowieka, gdyby w starości nie zbroczył rąk swoich krwią dwojga kochanków. Miał tylko jedną córkę, aliści lepiej by dlań było, gdyby i ta na świat nie była przyszła. Nigdy zapewne żaden rodzic tkliwiej swego dziecka nie miłował; chocia księżniczka dawno już do lat źrałych doszła, rodzic nie mógł się z nią rozstać i dlatego też za mąż jej nie wydawał. Wreszcie dał ją w stadło synowi księcia Kapui, który wkrótce po ślubie umarł. Młoda wdowa powróciła do ojca. Księżniczka była wielce urodziwa z oblicza i postaci; usposobienie miała wesołe, a rozum większy, niźli się tego u białogłowy spodziewać można było. Tankred, miłujący córkę swoją tkliwym uczuciem, nie pomyślał nawet o tym, żeby jej dać drugiego małżonka. Młoda wdowa u boku czułego ojca wiodła pełen uciech żywot wielkiej damy, a uważając, że rzeczą nieprzystojną byłoby męża się

domagać, postanowiła związać się więzami tajnej miłości z godnym jej ufności człowiekiem. Dlatego też jęła się bacznie przyglądać wielu ludziom szlacheckiego i innego stanu, gromadzącym się na dworze jej ojca, jak to podobni młodzieńcy na dworach różnych królów i książąt gromadzić się zwykli. Najbardziej przypadł jej do serca młodzieniec imieniem Guiscardo, na służbie u jej rodzica pozostający. Ów, będąc niskiego bardzo pochodzenia, zaletami ducha i szlachetnymi obyczajami oczarował księżniczkę więcej niż ktokolwiek z dworzan. Widując go często, w tajemnicy pokochała go mocno, coraz bardziej unosząc się nad postępowaniem jego. Guiscardo, któremu nie brak było przenikliwości, wkrótce skłonność białogłowy pomiarkował i zapłonął ku niej równym afektem, tak że wszystko inne odsunął z swej myśli. Przeszedł czas niejaki; Guiscardo i księżniczka miłowali się w głębokiej tajności, bowiem białogłowa, aczkolwiek gorąco pragnęła znaleźć się z swym ukochanym na osobności, przecie nikomu z tym się nie zdradzała. Wreszcie obmyśliła pewien chytry środek, dzięki któremu Guiscardo miał zostać uwiadomiony, gdzie i kiedy na osobności z nią zobaczyć się będzie mógł. Księżniczka napisała do niego list, w którym wyjaśniła mu, co czynić należy, aby się z nią nazajutrz zobaczyć, a później ukryła pismo w wydrążonej trzcinie. Z żartobliwym uśmiechem wręczyła mu ją potem, mówiąc:

— Daj tę trzcinę dzisiaj wieczorem swojej służce, aby w nią dmąc, w kominie ogień roznieciła.

Młodzieniec wziął trzcinę wiedząc, że nie bez kozery księżniczka mu ją daje. Wróciwszy do domu, odkrył wnet wydrążenie, w którym list księżniczki znalazł. Przeczytawszy pismo i pojąwszy, co mu czynić należy, poczuł się najszczęśliwszym na ziemi człowiekiem i postanowił działać zgodnie z pouczeniem księżniczki.

Obok zamku znajdowała się pieczara, wykuta, ongiś w skale. Słabe światło dochodziło do niej przez otwór w górze. O pieczarze już wszyscy zapomnieli; szczelina, którą światło dnia przenikało, zarosła głogami i trawą. Tajne schody łączyły loch podziemny z jedną z dolnych komnat, w której właśnie księżniczka sypiała, a drzwi nader mocne strzegły do niej dostępu. Schodów tych od dawna już nie używano, tak iż wszystkim wypadły one z pamięci. Jednakoż oczom miłości nic się ukryć nie może. Księżniczka wkrótce przypomniała sobie utajone drzwi. Ponieważ dobrze zaparte były, a nie chciała, by zauważono, co zamyśla, daremnie przez kilka dni otworzyć próbowała. Wreszcie udało się jej. Spuściła się do jaskini, spostrzegła tam otwór na świat. Upewniwszy się, że Guiscardo przez szczelinę przecisnąć się będzie mógł, napisała do niego list, oznaczając mu w nim głębokość lochu. Guiscardo, odebrawszy pismo,

opatrzył się w sznurową drabinkę, która miała mu dopomóc do spuszczenia się w głąb jaskini, i w skórzaną odzież, chroniącą przed kolcami i cierniami. Następnej nocy udał się na oznaczone miejsce i przytwierdziwszy drabinę do pnia jednego z drzew rosnących obok szczeliny, spuścił się do jaskini i tam na przybycie księżniczki jął oczekiwać. Nazajutrz córka Tankreda odprawiła swoje pokojowe pod pokrywką, że ją sen morzy. Ostawszy sama, zaparła komnatę, otwarła tajne drzwi i do jaskini się udała. Guiscardo z najżywszą radością swoją umiłowaną powitał. Później udali się do komnaty Ghismondy, gdzie w niewysłowionym szczęściu resztę tego dnia spędzili. Kochankowie postanowili skrywać przed światem swoją miłość i umówili się, jak im postępować należy. Wreszcie Guiscardo zszedł do jaskini, księżniczka zamknęła skryte drzwi i dworki do siebie przyzwała.

Młodzian, doczekawszy się zmroku, wyszedł nocą z jaskini i do domu powrócił. Znając już drogę, do komnaty księżniczki wiodącą, często swoją ukochaną odwiedzał. Aliści zły los pozazdrościł szczęścia kochankom i radość ich w cierpienie i rozpacz zamienił.

Tankred miał nieraz zwyczaj przychodzić bez świadków do swej córki, aby z nią swobodnie pogwarzyć. Pewnego dnia odwiedził ją po obiedzie. Aliści Ghismondy nie było w komnacie; pospołu z swymi damami przechadzała się po sadzie. Nikt nie widział ani nie słyszał, jak Tankred wszedł do sypialnej komnaty Ghismondy. W komnacie okiennice były zamknięte i zasłony koło łoża opuszczone. Starzec nie chciał córce przerywać przechadzki, ale postanowił czekać na jej przyjście. Siadł na ławie, stojącej w pobliżu łoża, pochylił głowę na posłanie, okrył się kotarą i wkrótce zasnął. Gdyby z umysłu chciał się przed kimś schować, nie mógłby, wierę, lepiej się ukryć. Na nieszczęście tego dnia Ghismonda miała się obaczyć z Guiscardem. Ostawiwszy swoje dwórki w sadzie, księżniczka weszła cicho do komnaty i drzwi za sobą zaparła. Później, nie zauważywszy rodzica, otwarła tajne drzwi, aby Guiscarda wpuścić. Kochankowie na łożu oddawali się zwykłym uniesieniom miłości, śmieli się i żartowali. Wówczas Tankred przebudził się i spostrzegł, co się dzieje. Srodze zagniewany, chciał w pierwszej chwili wywrzeć wściekłość swoją na miłującej się parze, aliści, pomyślawszy chwilę, postanowił nie zdradzić się i pozostać w ukryciu, aby później z mniejszym wstydem dla siebie i po głębszym namyśle dokonać dzieła zemsty, o której myśl już się w jego duszy zrodziła. Guiscardo i Ghismonda długo z sobą rozstać się nie mogli, nie podejrzewając obecności Tankreda. Wreszcie wstali z łoża, pożegnali się z sobą. Guiscardo zszedł do jaskini, a Ghismonda wyszła z komnaty. Tankred sam w niej pozostał. Nie bacząc na

swój wiek podeszły, wyskoczył przez okno do sadu, tak iż nikt go nie spostrzegł. Pełen goryczy i gniewu, do swoich komnat powrócił. Gdy nocą, wkrótce po zmierzchu, Guiscardo chciał wyjść z jaskini, dwaj słudzy, przysłani przez Tankreda, schwycili go, bezbronnego, w skórzanym odzieniu, i do ojca Ghismondy zawiedli. Ujrzawszy go, starzec z wysiłkiem łzy powstrzymał i rzekł:

— Guiscardo! Zawsze łaskawie z tobą postępując, nie zasłużyłem na ten wstyd i hańbę, na jakie dziś własnymi oczyma patrzeć musiałem.

— Miłość jest silniejsza od nas — tyle tylko odparł Guiscardo.

Tankred rozkazał zamknąć cichaczem młodzieńca w jednej z zamkowych komnat i trzymać go pod ścisłą strażą. Następnego dnia, po długich rozmyślaniach, według zwyczaju udał się po obiedzie do Ghismondy, jeszcze niczego nie podejrzewającej, i zamknąwszy się z nią w komnacie, rzekł do niej ze łzami w oczach:

— Ghismondo! poczytując cię za cnotliwą i uczciwą białogłowę, nie uwierzyłbym nigdy, że mogłaś nawet w myślach należeć do człeka, niebędącego twym mężem, gdybym tego na własne oczy nie widział. Twój postępek zatruł goryczą resztę tych dni, co mi jeszcze do życia pozostają. Nigdy tej hańby nie przeboleję. Jeśli ci już upaść było sądzone, przecżże nie wybrałaś sobie przynajmniej człowieka, którego stan nie poniżałby ciebie? Dlaczego spośród tylu żyjących na mym dworze zwróciłaś swój afekt ku Guiscardowi, człekowi niskiej kondycji, którego tylko przez łaskawość swoją wyniosłem, od dziecka go wychowując? Nie wiem jeszcze, jak postąpię z tobą, i ta niepewność mnie dręczy. Los Guiscarda jest już przesądzony. Pochwyciłem go dzisiaj, gdy wychodził z jaskini, i pod straż wziąć go kazałem. Cóż jednak mam z tobą uczynić? Miłość rodzicielska, jaką żaden ojciec córki nie darzył, walczy w mym sercu ze słusznym gniewem, który zrodził we mnie twój bezrozumny postępek. Miłość każe mi przebaczyć, gniew zasię żąda, abym cię wbrew sobie samemu ukarał surowie. Przedtem jednak chcę usłyszeć, co masz do rzeczenia na swoją obronę.

Tutaj starzec opuścił głowę i zaszlochał jak zbite dziecko. Usłyszawszy, że Tankred nie tylko o jej ukrytej miłości się dowiedział, ale że kazał Guiscarda pochwycić, Ghismonda w straszną rozpacz popadła. Ledwie się powstrzymać zdołała od jęków i szlochów, właściwych zazwyczaj płci niewieściej. Jednakowoż duma pomogła jej słabość zwyciężyć i rysom oblicza spokój nadać. Mniemając, że Guiscarda nie ma już na świecie, postanowiła raczej swoje życie poświęcić niźli ojca o łaskę dla siebie poprosić. Jęła przeto mówić z księciem, nie jak przystało na białogłowę, zbolałą i

uginającą się pod brzemieniem swojej winy, lecz śmiało, niewzruszenie i odważnie. Patrząc ojcu prosto w oczy, nie lejąc łez, rzekła:

— Nie myślę zapierać się, Tankredzie! Nie będę także o łaskę twoją błagać, wiem bowiem, że tamto na nic by się nie zdało, do próśb zaś uciekać się nie chcę. Nie chcę takoż budzić w twej duszy dawnej tkliwej miłości, którąś dla mnie zawsze żywił. Poprzestanę na tym, że ci wyznam całą prawdę. Szczere wyznanie wszystkiego cześć moją ocalić mi pozwoli, dlatego też z wielkim męstwem na twój wyrok oczekiwać będę. Miłowałam Guiscarda, miłuję go obecnie i będę go miłowała do śmierci, która zapewne już z bliska mi zagraża. Jeśli ludzie i za grobem miłować mogą, moje uczucia wraz z kresem żywota nie zginą. Nie białogłowska słabość była tego przyczyną, że w sercu moim miłość do Guiscarda wybuchła, jeno jego wielkie przymioty, a takoż twoja niechęć wydania mnie za mąż po raz wtóry. Będąc stworzony z krwi i ciała, powinieneś rozumieć, mój ojcze, że córka twoja nie jest z kamienia ani z żelaza. Chocia starcem jesteś, winieneś pamiętać, jak burzliwe i potężne są namiętności lat młodych. Znaczną, najpiękniejszą część życia w służbie rycerskiej spędziłeś, jednakoż z eksperiencji wiadomym ci jest, jaki wpływ na ludzi starych, a cóż dopiero na młodych próżnowanie i dostatek wywierają.

Córką twoją jestem i dlatego też istota moja, jako i twoja, z krwi i ciała się składa. Młodą będąc, żyłam mało. Z tym większą siłą namiętność mną owładnęła, że będąc już raz żoną, czym jest miłość i jej słodycze, poznałam. Nie mogąc się oprzeć prawom natury, pokochałam i cała miłości się oddałam, chocia i próbowałam ile sił walczyć z jej urokiem, aby hańby na siebie i na ciebie nie ściągać. Miłość i los przychylny pozwoliły mi znaleźć drogę, po której idąc mogłam skryć swoją namiętność przed ludzkim wzrokiem. Nie pytam teraz, czy ktoś cię o wszystkim uwiadomił, czy też innym jakimś sposobem tajemnicę moją odkryłeś; dość na tym, że ci prawdę powiadam. Guiscarda wybrałam nie przez przypadek, jako to wiele białogłów czyni, jeno po źrałym namyśle, uważając go za godniejszego od wszystkich dworzan. Wszystko szczegółowie obmyślawszy, ostrożnie przywiodłam go do mej komnaty. Tutaj, z dala od całego świata, długo cieszyliśmy się naszą miłością.

Zdawa mi się, mój ojcze, że hołdujesz przesądom, gniewając się na mnie za to, że pokochałam człeka niskiej kondycji, jak gdybyś za złe mi nie poczytał, gdybym wybrała była szlachcica. Tutaj los jeno zawinił. Wiesz przecie, że przeznaczenie nieraz niegodnych ludzi wynosi, a szlachetnym i zacnym w cieniu żyć każe. Ostawmy jednak na ten czas te roztrząsania i w istotę rzeczy wniknijmy. Zali nie z jednej materii wszyscy

stworzeni jesteśmy, zali nie jeden Bóg-Ojciec dusze nasze w jednakowe siły, zdatności i władze uposażył? Bylibyśmy jedni drugim równi całkiem, gdyby dostojeństwa i cnoty różnic między nas nie wniosły. Ludzie, nad tłumem górujący dzięki swym cnotom i zasługom, dla odróżnienia od innych ludźmi szlachetnymi nazwani zostali.

To prawo później nieraz różnym zmianom i skażeniom podlegało, aliści z powierzchni ziemi nie znikło, bowiem ani zdrowy zmysł, ani dobre obyczaje mu nie przeczą. Dlatego też człek, postępujący wedle nakazów cnoty i szlachetności, winien się szlachetnym nazywać, a każdy, kto mu prawa do tej nazwy zaprzecza, raczej sobie niż jemu ujmę sprawia. Spójrz na swoich dworaków, na ich obyczaje i przymioty i porównaj tych ludzi z Guiscardem. Jeśli cię nienawiść nie zaślepi, to będziesz musiał przyznać, że jest on najszlachetniejszym z szlachetnych i że twoi znaczni panowie w tyle za nim pozostają. Sąd o przymiotach Guiscarda powzięłam na podstawie słów twoich i świadectwa własnych oczu. Któż więcej od ciebie chwalił go za czyny godne człeka pełnego czci i cnoty? Pochwały twoje słuszne były, bowiem i na większe jeszcze zasługiwał, jak to sama po wielekroć widziałam. Jeślibym się mimo wszystko co do niego pomylić miała, twoje słowa w ten błąd by mnie wprowadziły. Twierdząc, że pokochałam człowieka niższego ode mnie, nieprawdę więc powiadasz. Jeżeli, być może, wyrzucać mi poczniesz, że Guiscardo jest człekiem ubogim, samemu sobie jeno wstydu przyczynisz, bowiem chocia znane ci były przymioty człeka, twoim sługą będącego, nie zatroszczyłeś się o to, aby jego stan poprawić. Ubóstwo ujmy szlachectwu nie czyni. Wielu znamienitych książąt i królów nędzę cierpiało, z drugiej strony siła jest takich, co ziemię orali i trzodę paśli, a później wielkie bogactwo zdobyli.

Na ostatku powiedziałeś mi, że męczy cię niepewność, co się ma stać ze mną. Nad tym długo głowić się nie powinieneś, skoroś już raz w sędziwej starości postanowił okrutny uczynek spełnić, czegoś nigdy w młodości nie uczynił. Niechaj twoja sroga kara tylko na moją głowę spada, bowiem ja byłam jedyną grzechu przyczyną, jeśli już postępek mój grzechem nazwać można. Do próśb żadnych uciekać się nie myślę. Zaręczam ci, że jeśli nie uczynisz ze mną tego, coś uczynił lub chcesz uczynić z Guiscardem, własnymi rękoma życie sobie odbiorę.

Idź teraz, płacz pospołu z kobietami, a jeśli uważasz, że na okrutną karę zasługujemy, zabij mnie i jego jednym ciosem!

Tankred znał męstwo i wielkość duszy Ghismondy, aliści nie uwierzył, aby tak niezłomnie mogła groźby swoje dopełnić. Rozstał się z nią, postanowiwszy nie karać jej zbyt surowie, miał bowiem nadzieję, że strata kochanka płomienną jej miłość zagasi.

Przykazał tedy dwom strażnikom w nocy cichaczem zadusić Guiscarda i wyjąć mu z piersi serce. Pachołcy wypełnili wiernie dany im rozkaz. Gdy dzień nastał, Tankred kazał przynieść wspaniały złoty kubek, włożył weń serce Guiscarda i posłał je przez najbardziej zaufanego sługę Ghismondzie. »Rodzic wasz — rzec kazał słudze — przysyła wam ten podarunek, aby pocieszyć was po stracie tego, coście najbardziej miłowali, i sprawić wam taką radość, jaką wyście ojcu swemu sprawili«.

Postanowienie Ghismondy niezmienne było. Po odejściu ojca opatrzyła się w jadowite zioła i korzenie, uwarzyła je i sok z nich wycisnęła, aby mieć truciznę na pogotowiu w przypadku, gdyby się jej obawy ziścić miały.

Sługa oddał księżniczce kubek i powtórzył jej słowa Tankreda. Ghismonda z niewzruszonym obliczem przyjęła podarunek ojca. Odkrywszy kielich i obaczywszy serce, od razu wszystko zrozumiała. Nie wątpiła, że jest to serce Guiscarda. Obróciła się tedy do sługi i rzekła:

— Zaiste, takiemu sercu złoty tylko należy się grobowiec. Roztropnie tedy i słusznie ojciec mój postąpił.

Później podniosła serce do ust, pocałowała je i odezwała się:

— Zawsze i aż do tych ostatnich chwil mojego życia doświadczyć mogłam, jak czułą była dla mnie miłość ojca, dziś jednak widzę to bardziej niż kiedykolwiek. Dlatego zanieś mu ode mnie podziękowanie za dar tak wspaniały; ostatnie to dzięki mu czynię.

To rzekłszy zwróciła się do pucharu, który ściskała w ręku, i patrząc na serce rzekła:

— O błogosławione źródło wszystkich radości moich! Niech będzie przeklęte okrucieństwo człeka, który oczom moim podał to serce na widok! Z jakimże uwielbieniem patrzyłam co dzień na nie wzrokiem ducha! Droga twoja skończona, los twój się dopełnił! Doszłoś już do tego celu, do którego wszyscy zmierzamy. Wolne jesteś od nieszczęść i trudów żywota. Własny twój wróg zgotował ci wspaniały grobowiec, godny wartości twojej. Na pogrzebie twoim zabrakło tylko jednego: łez kobiety, którąś tak miłowało za życia. Dzięki okrutnemu ojcu memu, który mi cię przysłał, wytrysną one z oczu moich. Obdarzę cię łzami, aczkolwiek przysięgam, że umrę z suchymi oczyma i spokojnym licem. Po czym bez wahania złączę moją duszę z tą, którejś ty, serce, tak wiernie służyło. Pospołu z nią wejdę w świat nieznany. Jakiż towarzysz mógłby mi dać więcej radości i otuchy? Wiem, że dusza twoja jeszcze tutaj się znajduje, że patrzę na miejsce, gdzie tak szczęśliwi byliśmy. Wierzę, że dusza twoja miłuje mnie i że na duszę moją czeka!

Rzekłszy to, Ghismonda zalała się łzami, nie wydawała jednak jęków, jak to białogłowy czynić są zwykłe. Łzy księżniczki tak obficie się lały, iż można było pomyśleć, że w głowie jej zbiornik wód się skrywa. Ghismonda pochyliła się nad kubkiem i nieskończonymi pocałunkami martwe serce obsypała. Dworki otaczające księżniczkę nie wiedziały, jakie to serce na dnie kubka leży, i nie pojmowały słów Ghismondy. Jednakoż płakały z współczucia, na próżno ze wzruszeniem pytały się o przyczynę bólu i z wszystkich sił starały się Ghismondę pocieszyć. Wreszcie księżniczka podniosła głowę, osuszyła łzy i rzekła:

— O drogie, gorąco miłowane serce! Wypełniłam ostatni dług, należny tobie. Teraz pozostaje mi jeno połączyć moją duszę z tą, która w jednych z tobą piersiach żyła!

Rzekłszy te słowa, Ghismonda kazała sobie podać czarę z przygotowaną uprzednio trucizną i wlała ją do kubka na serce, w jej łzach wykąpane. Potem bez trwogi wychyliła napój, legła na posłanie z kubkiem w ręku i przycisnęła do piersi martwe serce kochanka swego. Tak w milczeniu na śmierć czekała. Dworki Ghismondy nie wiedziały, jaki napój ich pani wychyliła, i nie pojmowały znaczenia tego, co się w ich przytomności działo, wszelakoż posłały uwiadomienie do Tankreda. Książę, wielce przerażony, przybiegł do córki. Wszedł do komnaty Ghismondy, gdy ta już na łożu leżała. Tankred jął uspokajać i pocieszać córkę łaskawymi słowy, aliści już późno było. Widząc stan swojej córki, starzec łzami się zalał. Ghismonda rzekła doń w te słowa:

— Zachowaj te łzy, Tankredzie, dla nieszczęść, których nie będziesz powodem. Nie przelewaj łez nade mną, bowiem ja ich nie pragnę. Kto widział, by sprawca, jak ty, opłakiwał to, do czego dążył? Jeśli jednak tli się w tobie jeszcze iskierka dawnej miłości do mnie, okaż mi łaskę ostatnią i złóż moje ciało na spoczynek wieczny pospołu z ciałem Guiscarda, gdziekolwiek pogrzebać go kazałeś. Pozwól naszym prochom razem spokoju zażywać, skoroś nie pozwolił cieszyć się nam w ukryciu szczęściem za życia.

Łzy nie pozwoliły Tankredowi ni słowa odpowiedzieć. Ghismonda, czując zbliżającą się śmierć, przycisnęła raz jeszcze martwe serce kochanka do swych piersi i rzekła do przytomnych:

— Bóg z wami, umieram!

Wnet zamroczyły się jej oczy, postradała przytomność i po chwili z tym życiem pełnym bólu się rozstała. Tak rozpacznie skończyła się miłość Ghismondy i Guiscarda.

Tankred poniewczasie żałował swego okrucieństwa i opłakując rzewnie śmierć córki, przy powszechnym żalu wszystkich mieszkańców Salerna, z wielką czcią dwa ciała do jednego grobowca złożył".

Opowieść druga. Miłostki archanioła Gabriela

Brat Albert wmawia w pewną białogłowę, że archanioł Gabriel jest w niej rozmiłowany, i pod jego postacią nieraz z nią w łożu bawi. Po czym z trwogi przed jej krewniakami z okna wyskoczywszy chroni się do domu człowieka, który w przebraniu dzikiego męża nazajutrz na plac go wywodzi. Tam rozpoznany, przez braci zakonnych zostaje zabrany i do więzienia wtrącony.

Opowiadanie Fiammetty przytomne damy niejednokrotnie do łez przywiodło. Gdy Fiammetta umilkła, król z niewzruszonym obliczem rzekł w te słowa:

— Chętnie oddałbym życie, gdybym za jego cenę mógł zaznać połowy tych rozkoszy, jakich Guiscardo z Ghismondą zażywał. Nie dziwujcie się, jeśli wam powiem, że w każdej godzinie tysiąc śmierci przeżywam, nieosłodzonych ani jedną chwilą szczęścia. Jednakoż nie będę mówił o sobie. Niechaj Pampinea opowie nam z kolei jakąś smutną historię, przypominającą choćby w części los mój rozpaczny. Jeśli jej opowieść podobna będzie do noweli Fiammetty, to ani chybi, kilka kropel rosy upadnie na płomień trawiący pierś moją.

Pampinea, usłyszawszy to wezwanie, wyczuła lepiej chęci towarzyszek swoich niż wyrażone słowami życzenie króla i chciała raczej dać im wytchnienie, a być posłuszną jego rozkazowi o tyle tylko, by głos zabrać; dlatego też nie wychodząc z kręgu zakreślonego, postanowiła ucieszyć damy wesołą i krotochwilną opowieścią i zaczęła w te słowa:

— Wśród ludu istnieje przypowieść, że jeśli ludzie hultaja za dobrego człeka poczytują, może on wiele złego czynić, a przecie nikt w to nie wierzy. Dla ugruntowania tego przysłowia mogę powiedzieć wam siła rzeczy, a takoż pokazać, jak obłudni mnisi bywają. Filuci ci w długich i szerokich habitach chodzą, obliczom swoim sztuczną bladość przydają i głosem pokornym a cichym o pieniądze proszą, gromko natomiast i twardo obwiniają innych o występki, które sami popełniają; twierdzą przy tym, że jedynie troska o dusze nakazuje im przyjmować dary ludzi pobożnych, a takoż uważają, że tylko ci zbawienia dostąpić mogą, co im pieniędzy nie skąpią. Obłudnicy ci w mniemaniach swoich wielce się różnią od ludzi uznających, że trudów i cierpień szczędzić nie lza, jeśli się chce raju dostąpić; po ich uczynkach sądząc, można by wnosić, iż wyłączne prawo do nieba mają. Każdemu, kto umiera, obiecują lepsze lub gorsze miejsce w raju, zgodnie z tym, ile pieniędzy im pozostawi. Tą modłą starają się okłamać zarówno samych siebie, o ile w to wierzą, jak i tych, co im zaufają. Gdyby mi wolno było,

opowiedziałabym prostym i łatwowiernym ludziom o tym, jakie to serca ukrywają się pod szerokimi habitami tych obłudników. Dałby Bóg, aby z wszystkimi kłamliwymi mnichami zdarzyło się to, co z pewnym bratem żebrzącym w Wenecji. Z szczególną ochotą opowiem wam jego historię, bowiem żywię nadzieję, że śmiechem i krotochwilą rozproszę ten smutek, który jeszcze w sercach waszych gości, na myśl o śmierci Ghismondy.

„Owóż, mili towarzysze, w mieście Imola żył pewien niegodziwy i grzeszny człowiek, Berto della Massa zwany. Mieszkańcy Imoli, znający wszeteczny sposób jego życia, nie tylko nie wierzyli mu wtedy, gdy kłamał, ale i wówczas, gdy przypadkiem prawdę powiedział. Berto, przekonawszy się, że w rodzinnym mieście nikogo już na hak nie przywiedzie, przesiedlił się do Wenecji, stolicy wszelkich hultajów, i tu umyślił pewnej nowej sztuczki spróbować. Udał tedy, że sumieniem dręczony mocno się kaja za popełnione grzechy, uczynił pozór skromnego i pobożnego nad wszystko człeka, wstąpił do zakonu braci żebrzących i przyjął imię Alberta z Imoli. Włożywszy na się habit, obłudnik jął pozornie wieść święty i surowy żywot; wszystkim, co do niego przychodzili, pokutę i post zalecał, sam zasię nie jadał mięsa i wina nie pił (jeśli mu się nie udało otrzymać tego, które mu do smaku przypadało). Nikt nie podejrzewał, że łgarz, wszetecznik, złodziej i morderca plugawy, nagle w świątobliwego kaznodzieję przedzierzgniony, dawnych swych skłonności wcale się nie wyzbył i że w skrytości im hołduje. Gdy Albert w czasie nabożeństwa spostrzegł, iż tłum patrzy nań, rzewliwie płakać nad męką Zbawiciela poczynał, umiał bowiem, kiedy chciał, obfite łzy wylewać. Dzięki tym łzom i kazaniom swoim wkrótce brat Albert taką miłość Wenecjan zdobył, że prawie każdy człek, testament sporządzający, wykonawcą swojej woli go czynił. Wielu oddawało mu na przechowanie szacowne przedmioty i pieniądze. Przybywały do niego gromady mężczyzn i kobiet, aby się wyspowiadać i o radę go prosić. Tą modłą wilk w pasterza się przedzierzgnął. O świątobliwościach Alberta rozprawiano więcej, niźli kiedykolwiek mówiono o św. Franciszku z Asyżu.

Pewnego dnia przybyło do Alberta kilka białogłów, chcąc się przed nim wyspowiadać. W ich liczbie znajdowała się młoda, wielce urodziwa i głupia Lisetta z domu Quirino. Mąż jej, bogaty kupiec, właśnie z galerami swymi do Flandrii był odpłynął. Lisetta padła na kolana i z prawdziwie weneckim gadulstwem rozpowiedziała mu o wszystkich swoich sprawach. Brat Albert spytał, zali ma miłośnika. Lisetta odparła mu z głębokim nieukontentowaniem:

— Zali nie macie oczu, mój ojcze? Czyż nie widzicie, że urodą nad wszystkimi białogłowami góruję? Mogłabym mieć tylu miłośników, ilu bym tylko zapragnęła. Aliści żaden mężczyzna nie jest mnie godzien. Zali nie sądzicie, że i w raju pięknością bym celowała?

W ten sposób tyle głupstw o swej urodzie naplotła, że słowa jej każdego człeka zmierzić by mogły. Brat Albert poznał dowodnie z tej mowy słabość jej rozumu i ocenił, że to pod jego pług pole. Piękność Lisetty żądzę w nim wzbudziła, tak iż gorąco się w białogłowie rozmiłował. Jednakoż nie odkrył jej od razu swoich pragnień, postanowiwszy z zalotami czekać na chwilę sposobną. Przeciwnie wcale, chcąc świątobliwość swoją Lisetcie pokazać, brat Albert począł ją strofować, gromić i mówić jej o pysze i o próżności. Lisetta odparła, że musi być głupcem, skoro nie widzi różnicy między ziemską a nieziemską pięknością. Brat Albert, nie chcąc jej do kolery przywodzić, skończył spowiedź i odpuścił ją wraz z innymi białogłowami. Po kilku dniach nasz mnich w towarzystwie swego wiernego przyjaciela wszedł do domu Lisetty, odwołał ją do ustronnej komnaty, z dala od oczu ludzkich, padł przed nią na kolana i rzekł:

— W imię miłości bożej zaklinam was, madonno, abyście mi przebaczyli to, co mówiłem w niedzielę, gdy szło o piękność waszą. Następnej nocy tak okrutnie za to ukarany zostałem, że po razach, które spadły na mnie, dopiero dzisiaj z łoża dźwignąć się zdołałem.

— Kto was tak oporządził? — spytała głupia Lisetta.

— Wszystko szczegółowie wam opowiem — odparł Albert. — Kiedy jak to mam w obyczaju, około północy do modlitwy ukląkłem, spostrzegłem naraz, że cała moja cela rozjaśniła się złotym światłem. Nim obejrzeć się zdołałem, ujrzałem przed sobą cudownie pięknego młodziana, który gruby kij w ręku dzierżył. Schwycił mnie za kaptur, na ziemię powalił i tak bić począł, iż mi się zdało, że mi wszystkie kości pogruchoce. Spytałem się go, za co mnie tak krzywdzi. Wówczas młodzian zawołał:

»Odbierasz karę za to, że poważyłeś się poniżyć dzisiaj niebiańską piękność Lisetty, którą to białogłowę po Bogu najwięcej miłuję«.

»Kim jesteście?« — spytałem.

»Jestem archaniołem Gabrielem« — odparł.

»O panie mój — zawołałem — błagam was o przebaczenie!«.

»Gotów jestem odpuścić ci winę — rzekł młodzian — pod tą kondycją, że gdy tylko z posłania się dźwigniesz, zaraz do pani Lisetty się udasz i o przebaczenie ją poprosisz.

Jeśli ci nie przebaczy, powrócę tu znowu i tak cię oporządzę, że nigdy, póki życia, o tym nie zapomnisz«. Tu przydał jeszcze kilka słów, aliści nie ośmielę się ich wam powtórzyć, dopóki przebaczenia od was nie otrzymam.

Głupia, próżna i łatwowierna Lisetta z wielką radością słuchała słów mnicha, nie podejrzewając żadnego podstępu ani kłamu. Gdy brat Albert umilkł, rzekła po chwili w te słowa:

— Mówiłam wam przecie, bracie Albercie, że piękność moja jest niebiańską pięknością. Aliści żal mi was bardzo i byście już więcej nie cierpieli, z całego serca winę wam odpuszczę, jeśli tylko powtórzycie mi to, co anioł powiedział.

— Teraz kiedyście mi przebaczyli — rzekł na to brat Albert — ochotnie wam jego słowa powtórzę, ale na miłość boską, nie mówcie nikomu o tym, że najszczęśliwszą białogłową na świecie jesteście, bowiem wszystko wszczęt popsowacie. Anioł kazał mi wam powiedzieć, że niezwykle sobie was upodobał i że często by was nocą nawiedzał, gdyby się nie bał, że was zestracha. Takoż oznajmić mi przykazał, że wkrótce do was przybędzie, aby z wami pewien czas spędzić. Ponieważ jednak, gdyby w anielskim kształcie się zjawił, nie moglibyście z nim obcować, tedy z miłości ku wam człowieczą na się przybierze postać. Uwiadomcie go przeze mnie, kiedy i w jakiej postaci widzieć go pragniecie. Archanioł zaraz do was pośpieszy, a wówczas będziecie mogli nazwać się najszczęśliwszą na ziemi białogłową.

Głupiuchna Lisetta rzekła, że niewymownie się cieszy z miłości archanioła, że sama z dawna go już miłuje i nigdy nie przeszła przed jego obrazem, by świecy wotywnej przed nim nie zapalić, że kiedykolwiek by ją odwiedził, zawsze z radością go przyjmie. Zastanie ją w ustronnej komnacie, gotową na jego przyjęcie, byleby jej tylko nie opuścił znów dla Marii Dziewicy, którą ponoć ze wszystkich sił miłuje, jak to widać z malowideł, na których zawsze na klęczkach przed Nią jest wyrażony. Na ostatku przydała, że archanioł może przybyć w czyjejkolwiek postaci, byleby tylko pozór jego straszny nie był.

— Wielce rozumny respons mi daliście — rzekł brat Albert — dlatego też powtórzę archaniołowi wiernie wasze słowa. Możecie i mnie wielką łaskę wyświadczyć, pozwalając aniołowi w moim kształcie u was się pojawić. Wyjaśnię wam, dlaczego to taką łaską dla mnie się okaże: archanioł, biorąc moje ciało na się, uwolni duszę moją z doczesnej powłoki. Przez ten czas, gdy on z wami pozostawać będzie, dusza moja rozkoszy w raju zazna.

— No — odparła na to w ciemię bita białogłowa — tyleście razów z mego powodu odebrali, że nie mogę wam tej łaski odmówić.

— A więc — rzekł brat Albert — niechaj dziś wieczór drzwi waszego domu otworem stoją. Archanioł przybędzie do was w człowieczym kształcie; zrozumiałą przeto jest rzeczą, że wejść do domu tylko przez drzwi może.

Lisetta przyrzekła, że wszystko, co trzeba, uczyni, i rozstała się z mnichem. Pozostawszy sama, tak bardzo w pychę urosła, że koszula zadka przykryć jej nie mogła; zdawało się jej, że jeszcze tysiąc lat dzieli ją od chwili odwiedzin archanioła. Brat Albert, wiedząc, że tej nocy nie tyle rolę anioła co dziarskiego jeźdźca odegrać mu wypadnie, jął się pokrzepiać cukrami i różnymi kordiałami, aby łacno z siodła wysadzonym nie zostać. Potem, uzyskawszy od przeora pozwolenie na wyjście z klasztoru, wraz z swym wiernym przyjacielem udał się do domu pewnej rajfurki, skąd nieraz już na podobne gonitwy i łowy się wyprawiał. Przy pomocy różnych barwiczek i szat przekształcił się w anioła i podążył do domu Lisetty. Ta, ujrzawszy białą postać, stojącą na progu, rzuciła się na kolana. Anioł podniósł ją, pobłogosławił i dał jej znak, aby z nim pospołu do łoża się położyła. Lisetta posłuchała z ochotą rozkazu archanioła, który po chwili legł obok swej pokornej służki. Brat Albert był człekiem na schwał, o wielkiej posturze i krzepocie, dlatego też Lisetcie, jędrne ciało i miękką skórę posiadającej, większą radość zgotował niźli jej mąż. Nie raz i nie dwa tej nocy bez żagli dzielnie płynął, co ona sobie wielce chwaliła. Krom tego opowiadał jej siła cudowności o niebiańskiej szczęśliwości w raju, tak iż pani Lisetta z tego wszystkiego wielce ukontentowana była. Wreszcie, gdy dzień nastał, brat Albert z Lisettą się rozstał, umówiwszy się z nią uprzednio co do powtórnej schadzki, i zabrawszy swe przybory udał się do przyjaciela, który nań czekał w domu znajomej białogłowy, dotrzymującej mu uprzejmie towarzystwa, iżby nie bał się spać sam. Zjadłszy obiad, Lisetta wraz z kilkoma przyjaciółkami udała się do brata Alberta i opowiedziała mu o odwiedzinach archanioła Gabriela, o tym, jak wygląda, i o wszystkim, co odeń słyszała, gdy sławił cuda żywota wiecznego, przy czym nie omieszkała przydać do swej opowieści wiele osobliwych bredni i łgarstw.

Wówczas brat Albert rzekł:

— Nie wiem, szlachetna damo, jakeście tej nocy pospołu z nim przebywali, to mi jeno wiadomo, że archanioł zjawił się dziś nocą w mojej celi. Dowiedziawszy się o waszym poleceniu, przeniósł natychmiast duszę moją, gdzie siła róż i pięknych kwiatów rosło w ilości dotychczas przeze mnie niewidzianej. W tym rozkosznym miejscu

bawiłem aż do świtania. O tym jednak, co przez ten czas z moim ciałem się działo, nie mam żadnego uwiadomienia.

— Zali wam o tym nie powiedziałam? — spytała Lisetta. — Ciało wasze leżało przez całą noc w moich objęciach. Jeśli upewnić się chcecie, że moje słowa są prawdą, spójrzcie tylko pod lewą pierś swoją, gdziem tak ogniście archanioła pocałowała, że ślad tego pocałunku przez kilka dni widoczny będzie.

— Aby ciekawość moją zaspokoić — rzekł brat Albert — uczynię to, czego już od dawna nie czyniłem, a mianowicie rozdzieję się, chcąc się przekonać, czy prawdę powiadacie.

Po długiej gawędzie Lisetta wreszcie odeszła. Brat Albert w anielskiej postaci nieraz ją jeszcze bez przeszkód odwiedzał. Pewnego dnia zdarzyło się, że pani Lisetta, zszedłszy się z swoją sąsiadką, wszczęła z nią dyskurs o piękności, a chcąc w dyspucie wziąć przodek, z zwykłą sobie tępotą zawołała:

— Gdybyście wiedzieli, komu moja uroda do smaku przypada, nie chwalilibyście już innych białogłów piękności.

Kuma, znająca ją dobrze i ciekawa, co te słowa znaczą, rzekła:

— Wszystko to być może, dopóki nie wie się jednak, kto zacz, zdania swego zmienić nie sposób.

— Kumo — rzekła na to mało rozgarniona białogłowa — nie trza o tym szeroko rozpowiadać, dowiedzcie się jednak, że archanioł Gabriel jest moim miłośnikiem. Miłuje on mnie nad życie i powiada, że jestem najurodziwszą na ziemi i na morzu białogłową.

Sąsiadka Lisetty na te słowa o mało śmiechem nie parsknęła, pohamowała się jednakoż, aby jej nie spłoszyć, i rzekła:

— Na Boga! jeśli archanioł Gabriel został waszym miłośnikiem i te słowa powiedział, to w samej rzeczy tak być musi. Nie sądziłam jednak dotychczas, że aniołowie przykładają się do tych rzeczy.

— Byliście w grubym błędzie — odparła Lisetta. — Niech Bóg mnie skarze, jeśli archanioł czynności tych lepiej od mego męża nie spełnia. Upewniał mnie nawet, że na tamtym świecie nie inaczej się to odbywa. Ponieważ jednak w raju nie mógł znaleźć białogłowy równej mi pięknością, dlatego rozmiłował się we mnie i co noc mnie odwiedza. Pojmujecie teraz wszystko.

Sąsiadka pożegnała panią Lisettę, aby jak najprędzej naśmiać się z tego, co słyszała. W czasie uczty, spotkawszy niebawem wiele towarzyszek, opowiedziała wszystkim

białogłowom dziwną historię Lisetty. Damy powtórzyły jej słowa swym mężom i przyjaciółkom. Te z kolei także języki rozpuściły. Po dwóch dniach cała Wenecja mówiła tylko o przypadkach pani Lisetty. Nowina doszła także do uszu szwagrów pani Lisetty, którzy postanowili natychmiast anioła pojmać, aby przekonać się, zali on latać umie. Z tą myślą, nic Lisetcie nie mówiąc, przez kilka nocy jęli sprawiać straż koło jej domu. Brat Albert, do którego jakieś słuchy także doszły, wybrał się pewnej nocy do swej kochanki, aby ukarać ją za gadulstwo. Ledwie rozebrał się, gdy szwagrowie Lisetty, ujrzawszy go, jak wchodził, poczęli się do drzwi dobijać. Brat Albert okrutnie się zestrachał pojąwszy, jakie niebezpieczeństwo mu zagraża. Nie wiedząc, gdzie by się ukryć, dopadł do okna, otworzył je i skoczył do wielkiego kanału. Ponieważ w miejscu tym była głębia, a on dobrze pływał, żadnej więc szkody sobie nie wyrządził. Przepłynąwszy do drugiego brzegu, obaczył, że drzwi pewnego domu otworem stoją, wszedł zatem czym prędzej do wnętrza. W komnacie był jakiś mężczyzna. Brat Albert jął go błagać, aby mu życie dla miłości bożej ratował; nagadał mu przy tym różnych bajęd o tym, skąd uciekł i dlaczego tu o tej porze nago się pojawił. Gospodarz domu, tknięty współczuciem, poradził mu, aby się do łoża położył i spokojnie jego powrotu oczekiwał, musi bowiem oddalić się dla sprawy niecierpiącej zwłoki. Rzekłszy to, wyszedł i drzwi za sobą zawarł.

Tymczasem szwagrowie Lisetty, wtargnąwszy do jej komnaty, przekonali się, że archanioł ostawił skrzydła i odleciał. Okrutnie z tego powodu rozgniewani, nie szczędzili ostrych słów swojej krewniaczce. Później, pochwyciwszy anielskie szaty, do swego domu się udali, zostawiając ją niepocieszoną. Tymczasem zrobił się dzień jasny. Człek, który Alberta przygarnął, stojąc na moście Rialto, usłyszał gadki o tym, że archanioł Gabriel u Lisetty nocował i że, zdybany przez jej szwagrów, ze strachu do wody skoczył. Co się stało z tym arcyszelmą po skoku do kanału, nikt jednakowoż nie wiedział. Usłyszawszy tę opowieść, dorozumiał się od razu, jaki to nieborak go o pomoc prosił. Powrócił do domu, przymusił mnicha do wyznania prawdy i oznajmił mu, że jeśli nie otrzyma pięćdziesięciu dukatów, szwagrom Lisetty go wyda. Po długim gadaniu Albert obiecał, że życzenie wypełni, i jął go pytać, jakim sposobem mógłby do swego domu się przemknąć.

— Jeden tylko środek ratunku widzę — rzekł Wenecjan — aliści nie wiem, czy się nań zgodzicie. Dzisiejszego dnia odbywa się w mieście wielka uroczystość. Wielu ludzi przywozi z sobą na plac Świętego Marka różne maszkary. Można obaczyć niedźwiedzie, dzikich mężów i stwory rozliczne. Potem odbywają się łowy; po ich ukończeniu ludzie i

maszkary rozchodzą się po domach. Jeśli zgadzacie się zatem larwę na się nałożyć, zanim was tu wyśledzą, po uroczystości odprowadzę was tam, gdzie chcecie. W przeciwnym razie nie wiem, jak się stąd wydostaniecie, ponieważ szwagrowie Lisetty, podejrzewając, że gdzieś w pobliżu się ukrywacie, rozstawili czaty dokoła.

Chocia bratu Albertowi nie bardzo po myśli było wyjście z domu w podobnej postaci, jednak ze strachu przed krewniakami damy na wszystko przystał i wskazał swemu wybawcy, dokąd ma go potem odprowadzić. Wenecjanin wymazał go wnet całego miodem, a potem puchem ptasim go obsypał, włożył mu na szyję obrożę, do łańcucha przytwierdzoną, twarz larwą nakrył i wraziwszy mu do jednej ręki potężną maczugę, drugą kazał prowadzić na smyczy dwa olbrzymie kundle przywiedzione od rzeźnika, tymczasem zaś z prawdziwie wenecką uczciwością posłał pewnego zaufanego człeka na most Rialto, aby tam całemu ludowi wiadomym uczynił, że kto chce archanioła Gabriela obaczyć, będzie go mógł ujrzeć na placu Świętego Marka.

Wkrótce potem Wenecjanin wyszedł z domu, prowadząc przed sobą na łańcuchu brata Alberta. Zgiełk powstał. Wszyscy, co go ujrzeli, pytali się: »Co to takiego? Kto zacz?«. Gospodarz przywiódł Alberta na plac Świętego Marka. Na placu zebrała się, idąc za nimi, nieprzeliczona ćma ludu, do której dołączyli się jeszcze ludzie z Rialto, już o historii anioła uwiadomieni. Wenecjanin przywiązał Alberta do słupa, stojącego na miejscu podwyższonym, udając, że czeka na rozpoczęcie łowów. Muchy i bąki rzuciły się na Alberta miodem pomazanego i jęły go kąsać w nielitościwy sposób. Gdy już plac całkiem się zaludnił, Wenecjanin podszedł do Alberta, rzekomo w tym celu, aby z łańcucha spuścić dzikiego męża; miast tego jednak, zerwał mu larwę z twarzy i wielkim głosem zawołał:

— Moi przyjaciele! Ponieważ dzik się nie zjawił, łowy odbyć się nie mogą. Chcąc wam jednak tę stratę i fatygę wynagrodzić, pokażę wam archanioła Gabriela, który nocą z nieba na ziemię schodzi, aby weneckie niewiasty pocieszać!

Wszyscy po zdjęciu maski od razu brata Alberta poznali. Zewsząd rozległy się groźne okrzyki. Tłum obsypał nieszczęśliwca najgorszymi obelgami, szyderstwami i błotem go obrzucił. Udręka mnicha, Bóg wie, jak długo by trwała, gdyby wieść o zdarzeniu do klasztoru nie doszła. Wysłano zaraz sześciu mnichów, którzy przecisnąwszy się przez tłum, spuścili Alberta z łańcucha i narzucili nań habit. Później wśród krzyku i wrzasku przytomnych zawiedli go do klasztoru i do ciemnicy wtrącili. Ponoć brat Albert w tym lochu życia nędznie dokonał.

Tak tedy człek, który za dobrego był poczytywany, a źle czynił, czemu wierzyć nie chciano, zapragnąwszy w końcu za archanioła Gabriela się wydać, w dzikiego męża przedzierzgnięty został. Poniósł wreszcie zasłużoną karę i daremnie później swoje grzechy opłakiwał. Oby Bóg zdarzył, aby wszystkim doń podobnym równy los przypadł w udziale".

Opowieść trzecia. Zazdrość

Trzej młodzieńcy, miłujący trzy siostry, uciekają pospołu z nimi na wyspę Kretę. Najstarsza siostra z zazdrości miłośnika swego zabija, druga, oddając swe wdzięki księciu Krety, od śmierci ją wybawia. Za to jej kochanek życia ją pozbawia i z pierwszą z nich ucieka. Najmłodszą parę o to zabójstwo obwiniają, a ta, pojmana, do winy się przyznaje. Obawiając się śmierci, kochankowie przekupują straż i bez grosza salwują się ucieczką na wyspę Rodos, gdzie później w wielkim niedostatku umierają.

Filostrat, wysłuchawszy opowieści Pampinei, rzekł po chwili milczenia:

— W waszej opowieści przy końcu były rzeczy, które mi do smaku przypadły, przedtem jednak zbytnio śmiać się było trzeba, a przecie ja nie tego chciałem.

Po tych słowach, zwracając się do Lauretty, rzekł:

— Pani, na ciebie teraz kolej przypada. Chciej nam, jeśli to możliwe, coś lepszego opowiedzieć.

— Zbyt niemiłosiernymi dla kochanków jesteście — odparła ze śmiechem Lauretta — i wiecznie pragniecie, aby ich miłość nieszczęśliwie się kończyła. By wam dogodzić, opowiem historię o trzech parach, które po krótkiej szczęśliwości równie zły spotkał koniec.

I tak zaczęła:

— Moje miłe towarzyszki! Zapewne dobrze wiecie, że każda przywara, każda występna namiętność przynieść może wielką szkodę nie tylko temu, co się jej wpływowi poddaje, ale często i innym. Osobliwie gniew, według mego mniemania, w większą biedę nas gna bez hamulca niźli inne złe namiętności. Gniew jest bowiem gwałtownym i nierozważnym wzburzeniem duszy, wywołanym zaznaną przykrością, które nam możność rozsądnego myślenia odejmuje; oślepia on oczy nasze i całą naszą istotę niepohamowaną wściekłością napełnia. Namiętność ta częściej w duszach mężczyzn się zapala, przy tym u jednych z większą, u drugich z mniejszą wybucha siłą, jednak przyznać trzeba, że i kobiety od niej wolne nie są. Gniew ich większe jeszcze sprowadza

niedole, gdyż łatwiej się rozpala, jaśniej płonie i nieograniczoną władzę nad nimi bierze. Nie lza się zresztą dziwić temu, zważywszy, że ogień łatwiej letkich i kruchych rzeczy się ima niźli twardych i ciężkich przedmiotów, my zasię (niechaj mężczyźni mi tych słów za złe nie biorą) delikatniejsze i wrażliwsze od nich jesteśmy. Zauważę przy tym, że nasza przyrodzona łagodność i dobroć jest źródłem rozkoszy i wytchnienia dla bliskich nam mężczyzn, gdy tymczasem nasza gniewliwość wiele nieszczęść na nich sprowadza i w wielkie niebezpieczeństwa ich wtrąca. Dlatego też z wszystkich sił starać się winnyśmy o trzymanie naszego gniewu na wodzy. Teraz opowiem wam historię trzech młodzieńców i trzech umiłowanych przez nich dziewcząt; wszyscy wskutek gniewu jednej z białogłów z ludzi wielce szczęśliwych w nieszczęśników się przemienili.

„Jak wam dobrze wiadome jest, Marsylia, nad brzegiem morskim w Prowancji leżąca, jest miastem czcigodnym i dobrze starożytnym. Gród ów ongiś więcej niż dzisiaj w bogatych kupców obfitował. Pośród nich słynął z osobnych bogactw swoich Arnald Civada, człek z niskiego rodu idący, aliści uczciwy i wielką rzetelnością się odznaczający, i niezmierne posiadający majętności. Żona obdarzyła go kilkorgiem dzieci; pośród nich były trzy dziewczęta od chłopców starsze. Dwie dzieweczki, które bliźniaczkami były, liczyły po lat piętnaście, trzecia właśnie czternasty rok rozpoczęła. Arnald z towarami do Hiszpanii odjechał. Krewniacy czekali tylko na jego powrót, aby dzieweczki za mąż wydać. Jedna z córek kupca zwała się Ninettą, druga Magdaleną, a trzecia Bertellą. Do Ninetty pewien młody i ubogi szlachcic, nazwiskiem Restagnone, najtkliwszy afekt żywił. Ninetta odpłacała mu wzajemnością. Oboje poczynali sobie tak ostrożnie, że w tajności przed całym światem mogli swoją miłością się cieszyć. Ten tajemny ich stosunek trwał dość długo, gdy nagle zdarzyło się, że dwóch młodzieńców, dziedziców znacznej fortuny, po śmierci ojców swoich w Magdalenie i Bertelli się zakochało. Jeden z nich zwał się Folko, drugi Ughetto. Gdy Ninetta o tym przyjacielowi opowiedziała, ów postanowił z ich pomocą z niedostatku swego się wydobyć. W tym celu zbliżył się z nimi i to jednemu, to drugiemu ułatwiał spotkanie z ukochanymi. Nieraz także jednocześnie im towarzyszył, nie zaniedbując zarazem swojej wybranej. Wreszcie Restagnone, przekonany, że pozyskał już całkiem ich przychylność, zaprosił ich pewnego dnia do swego domu i rzekł do nich:

— Wszystko, co uczyniłem dla was, mili przyjaciele, okazuje wam dowodnie, jaką przyjaźń dla was żywię. Wiedzcie, że gotów byłbym uczynić dla was to, co tylko dla siebie samego uczynić bym zdołał. Powiem wam teraz, jaka myśl mi do głowy przyszła, wy zasię po naradzie ze mną sami osądźcie, co czynić należy.

Jeśli słowa i postępki wasze nie kłamią, to przyznać trzeba, że równie gorąco miłujecie Magdalenę i Bertellę, jak ja ich siostrę. Chcę wam, jeśli się zgodzicie, podsunąć pewien środek, dzięki któremu afekty nasze do lubego wkrótce kresu przywiedzione zostaną. Wy jesteście ludźmi bogatymi, ja zasię nic nie posiadam. Jeśli, zebrawszy do kupy wszystkie swoje bogactwa, rozdzielicie pieniądze na trzy części i mnie jedną z nich oddacie, to pozostanie wam tylko wybrać stosowne miejsce, gdzie byśmy pospołu z swymi kochankami szczęśliwie żyć mogli. Zdaje mi się, że bez zbytnich trudów siostry ku temu skłonię, aby, zabrawszy znaczną część majętności swego ojca, w nasze ślady poszły. Poczniemy żyć jak trzej bracia, każdy z swoją umiłowaną, i staniemy się najszczęśliwszymi na świecie ludźmi. Odpowiedzcie mi teraz, czy mam ten zamysł porzucić, czy też do jego wykonania przystąpić?

Dwaj młodzieńcy, najgorętszą miłością płonący, usłyszawszy, że będą mogli posiąść kochanki swoje, nie namyślali się długo i odparli, że zamysł Restagnona gotowi są w czyn wprowadzić. Otrzymawszy zgodę Folka i Ughetta, Restagnone po kilku dniach zdołał zejść się tajemnie z Ninettą, co mu często nie bez wielkich trudności udawało się osiągnąć, i opowiedział jej wszystko, co pospołu z dwoma młodzieńcami uczynić zamyślił, dokładając sił wszelkich, by ją dla tego zamierzenia pozyskać. Przekonać ją trudno nie było, bowiem Ninetta niczego tak nie pragnęła, jak żyć z Restagnonem w bezpieczności, nie lękając się o miłość swoją. Odparła zatem, że jego zamysł jest doskonały i że siostry ochotnie w tym za jej przykładem pójdą. W końcu dzieweczka jęła go naglić, aby jak najprędzej wszystko do ucieczki przysposobił. Restagnone powrócił do Folka i Ughetta, którzy z niecierpliwością na odpowiedź swych kochanek czekali, i oznajmił im, że siostry zgodę swą wyraziły. Młodzieńcy postanowili osiedlić się na Krecie. Folko i Ughetto sprzedali swoje majętności pod pokrywką, iż handlem parać się zamierzają, obróciwszy wszystko, co posiadali, na pieniądze, nabyli letką fregatę, uzbroili ją po kryjomu, opatrzyli w rzeczy niezbędne i jęli czekać chwili sposobnej. Ninetta, znająca dobrze tajne pragnienia swych sióstr, tyle pięknych słówek o przyszłości im naopowiadała, że nie mogły się doczekać dnia odjazdu. Gdy nadeszła noc, w ciągu której na pokład fregaty wstąpić miały, trzy siostry otwarły szkatułę swego rodzica i wzięły z niej wielką ilość klejnotów i monet złotych. Później z największą ostrożnością wyszły z domu i wedle umowy udały się w to miejsce, gdzie Restagnone, Folko i Ughetto na nie czekali. Młodzieńcy i dziewczęta weszli bez zwłoki na pokład; zapuszczono wiosła w wodę i fregata odbiła od brzegu. Nie zatrzymując się nigdzie w drodze, następnego wieczora przybyli do Genui, gdzie po raz pierwszy uniesieniom

miłości się oddali. Opatrzywszy się we wszystko, co im potrzebne być mogło, popłynęli dalej, zawijając do różnych portów, aż wreszcie ósmego dnia bez żadnych przypadków do Krety dotarli. Tam zakupili piękne dobra i niedaleko od Kandii urocze pałace zbudowali. Po czym wśród uczt, rozkoszy i dostatków jakby baronowie żyć poczęli. Mieli liczną służbę, psy, sokoły i konie.

Jednakoż ludziom, żyjącym pośród rozkoszy i nijakich przeciwieństw niemającym, wkrótce mierznie nawet to, co im najmilsze było. Tak zdarzyło się i z Restagnonem, który niedawno jeszcze Ninettę najczulej miłował. Od chwili gdy już bez przeszkód mógł się jej miłością cieszyć i ją posiadać, jego afekt chłodnąć począł. Pewnego dnia na uczcie spotkał młodą i urodziwą szlachciankę w stronach tych wzrosłą, w której wielce sobie upodobał. Restagnone nie szczędził zachodów, aby jej wzajemność zdobyć, i na jej cześć wspaniałe uczty wyprawiał. Ninetta, spostrzegłszy to, taką zazdrością zapłonęła, że od tej chwili Restagnone jednego kroku uczynić nie mógł, aby wieść o tym do niej nie doszła, a potem okrutne wyrzuty go nie spotkały. Jak przesyt nudę i wstręt za sobą wlecze, tak też znów trudności żądzę podsycają. Dlatego też wyrzuty Ninetty jeno pragnienie Restagnona powiększały. Nie wiedzieć, czy młodzieniec pozyskał względy ukochanej damy, dość na tym, że Ninetta wszystko, co jej doniesiono, za prawdę rzetelną przyjęła. Z powodu wiarołomstwa Restagnona w najgłębszą rozpacz popadła, która później przemieniła się w szalony gniew, a miłość jej ustąpiła miejsca gwałtownej nienawiści. Tą nienawiścią zaślepiona, postanowiła niewiernego śmiercią ukarać, i w ten sposób zmyć hańbę, którą jak mniemała, jej wyrządził.

Na wyspie mieszkała pewna starucha, Greczynka, biegła w przyrządzaniu zabójczych jadów. Ninetta prośbami i podarkami skłoniła ją do przygotowania śmiertelnego napoju. Otrzymawszy truciznę, pewnego dnia, gdy Restagnone wielce utrudzony i zgrzany do domu powrócił, podała mu jad do wypicia. Silna trucizna zaraz swój skutek wzięła, tak iż jeszcze przed świtaniem umarł. Folko i Ughetto pospołu ze swymi kochankami nawet nie domyślali się, jaka była przyczyna śmierci Restagnona, i razem z Ninettą śmierć jego gorzko opłakiwali. Ciało młodzieńca z wielką czcią do grobu złożone zostało. Jednakoż po krótkim czasie zdarzyło się, że starucha-trucicielka, na nowej niecnocie pochwycona, do ciemnicy wtrącona została. Na pytki wzięta, do wielu zbrodni się przyznała, a takoż rzekła, że jad dla Ninetty przygotowała. Nie było wątpienia, jaki wywołał on skutek. Książę Krety, nic nie rozgłaszając, w pałacu Folka pewnej nocy po cichu i bez oporu Ninettę pochwycić kazał. Białogłowa, nie czekając, aż ją na tortury wezmą, opowiedziała wszystko, co śmierci Restagnona się tyczyło.

Wówczas książę uwiadomił Folka i Ughetta o przyczynie uwięzienia Ninetty, młodzieńcy zasię opowiedzieli o tym Magdalenie i Bertelli. Siostry winowajczyni w niezmierną rozpacz popadły i ze wszystkich sił swoich starać się poczęły o ocalenie nieszczęśliwej, która na stosie spalona być miała, po sprawiedliwości na to zasłużywszy. Wszystkie ich wysiłki na niczym spełzły, bowiem książę twardo postanowił sądu nad zbrodniarką dopełnić. Wreszcie urodziwa i młoda Magdalena, do której książę już od dawna daremnie się zalecał, pomyślała, że okazawszy uległość jego woli, zdoła siostrę od stosu wybawić. Wybrawszy zatem stosownego wysłańca, zawiadomiła przezeń księcia, że gotowa jest być posłuszną jego chęciom, pod dwoma wszakże warunkami, a mianowicie: że książę uwolni Ninettę i że wszystko, co między nimi zajdzie, w głębokiej tajności zachowa. Książę z wielkim ukontentowaniem wysłuchał poselstwa, długo się jednak wahał, jak mu postąpić wypada. W końcu jednak zgodził się, tak iż kazał Magdalenę uwiadomić, że jej kondycje przyjmuje. Porozumiawszy się z nią uprzednio, wydał pewnej nocy rozkaz uwięzienia Folka i Ughetta pod pokrywką, że chce ich przesłuchać, sam zasię tajnie do domu Magdaleny przybył. Ninettę już przedtem w worek zaszyto, aby wrzekomo do morza ją wrzucić. Miast tego jednak, książę przywiódł Ninettę do Magdaleny, jako zapłatę za jej łaskawość. Żegnając się o świcie z Magdaleną, książę błagał ją na wszystko, aby tej pierwszej nocy miłości za ostatnią uważać nie chciała. Krom tego polecił jej jeszcze, aby Ninettę z wyspy odprawiła, w przeciwnym razie bowiem mieszkańcy Krety przeciw niemu poburzyć by się mogli, zmuszając go do nowej surowości względem winowajczyni. Następnego dnia Folko i Ughetto swobodę odzyskali. Dowiedziawszy się, że Ninettę do morza wrzucono, uwierzyli temu i pośpieszyli do domu, aby swoje kochanki pocieszyć. Magdalena starała się ukryć Ninettę, jednakoż Folko ku wielkiemu swemu zadziwieniu odkrył, że w jego domu siostra jego kochanki przebywa. Zdumiał się wielce i w duszy jego obudziło się podejrzenie, zwłaszcza że już przedtem był słyszał o miłości księcia do Magdaleny; dlatego też spytał ją, jakim sposobem Ninetta tu się znaleźć zdołała. Magdalena kunsztowną bajkę ułożyła, aliści bystry Folko kochance swojej nie uwierzył, jeno przymusił ją, aby mu całą prawdę wyznała. Białogłowa po długich wykrętach wszystko mu wreszcie opowiedziała. Wówczas Folko, gniewem i boleścią przenikniony, dobył szpady i nie dając do się przystępu błaganiom i zaklęciom Magdaleny, życia ją pozbawił. Potem, zdjęty trwogą na myśl o zemście i sądzie księcia, ostawił zwłoki na miejscu i udał się do komnaty, w której Ninetta się ukrywała.

— Śpieszmy — rzekł do niej z udanym uśmiechem na twarzy — odwiozę cię tam, gdzie zgodnie z życzeniem siostry twojej się osiedlisz, aby nie dostać się znowu w ręce księcia.

Ninetta uwierzyła słowom Folka. Obawiając się księcia, nie pożegnała się nawet z Bertellą i tejże nocy jeszcze pospołu z Folkiem Kretę opuściła. Młodzieniec w pośpiechu tylko niewielką sumę pieniędzy z sobą zabrać zdołał. W porcie wsiedli w barkę i od brzegu odbili. O dalszych ich losach wieści zaginęły.

Nazajutrz zwłoki Magdaleny znaleziono. Ludzie, Ughettowi zawistni i nienawidzący go, o wszystkim księciu donieśli. Książę, który gorąco Magdalenę miłował, zaraz do domu Ughetta przybył i kazał go pochwycić pospołu z Bertellą, nim jeszcze kochankowie o śmierci Magdaleny i ucieczce Folka i Ninetty dowiedzieć się zdołali. Przymuszono ich do wyznania, że pospołu z Folkiem Magdalenę zabili. Wiedząc, że to wyznanie niechybną śmierć na nich sprowadzić musi, nieszczęśnicy z wielkim trudem przekupili straże częścią pieniędzy, którą w domu ukryli na nieprzewidziane przypadki, i wraz ze strażą, nie mając czasu zabrać niczego z rzeczy swoich, na łodzi nocą ucieczką się salwowali, na wyspę Rodos docierając. Wkrótce potem w niedostatku i w strapieniu zeszli tam z tego świata. Oto w jakie obierze Restagnone i Ninetta samych siebie i drugich wtrącili dzięki nierozumnej namiętności pierwszego i gniewowi drugiej".

Opowieść czwarta. Narzeczona króla Granady, czyli nieszczęśni miłośnicy

Gerbino wbrew przysiędze danej przez dziada jego, króla Wilhelma, napada na statek króla Tunisu, by uprowadzić jego córkę. Ludzie załogi śmierć jej zadają, za co on ich wycina, a wreszcie sam głowę położyć musi.

Gdy Lauretta umilkła, całe towarzystwo dało wyraz współczucia dla nieszczęśliwych kochanków. Niektórzy srogo Ninettę za jej zapamiętałą zazdrość ganili, inni znów różne uwagi czynili. Wreszcie król, jak gdyby z głębokiej zadumy zbudzony, podniósł głowę i na Elizę skinął. Ta skromnie w te słowa zaczęła:

— Drogie towarzyszki! Wielu utrzymuje, że miłość tylko przez oczy do serca się dostaje i z nich strzały swoje wypuszcza. Ci, co tak mniemają, śmieją się z tych, którzy wierzą, że zakochać się można także i ze słuchu. Z noweli mojej dowodnie się przekonacie, że mniemanie pierwszych jest omylne. Obaczycie zaraz, że pewien młodzian i dziewczyna, nie widziawszy się zgoła, nie tylko ze słuchu w sobie się wzajemnie rozmiłowali, lecz i z powodu swego afektu nieszczęśliwie pomarli.

„Wilhelm II, król Sycylii, miał dwoje dzieci, syna, Ruggiera, i córkę, Konstancję. Ruggieri, jeszcze przed swym ojcem do grobu zstąpiwszy, pozostawił syna imieniem Gerbino. Dziad nie szczędził trudów, aby dziecię przykładnie wychować. Gerbino wyrósł na urodziwego młodzieńca odznaczającego się męstwem i dwornością. Sława jego rozeszła się nie tylko po Sycylii, ale i po innych krajach. Przede wszystkim jednak zasłynął on w Berberii, prowincji, która podówczas królowi sycylijskiemu zhołdowana była. Córka króla Tunisu zasłyszała takoż o męstwie i dworności Gerbina. Wedle zdania wszystkich, którzy ją znali, była to jedna z najpiękniejszych dzieweczek, jakie kiedykolwiek natura stworzyła. Krom tego, młódka odznaczała się wieloma zaletami i szlachetnością duszy. Lubiła ona słuchać opowieści o czynach dzielnych ludzi, dlatego też to ten, to ów o bohaterstwie Gerbina jej opowiadał. Wieści o młodym rycerzu w taki zachwyt księżniczkę wprawiły, iż do uroczego jego obrazu, który w duszy sobie utworzyła, niewymowną zapłonęła miłością. O Gerbinie jeno mówiła i tylko o nim słuchać chciała.

Tymczasem na Sycylię przeniknęły słuchy o niezwykłej piękności i wielkich zaletach księżniczki. Gerbino nieraz słuchał z upodobaniem opowieści o niej i słuchał nie na próżno, bo wreszcie zapłonął do księżniczki afektem równym temu, jaki ona dlań żywiła. Pełen chęci obaczenia jej na własne oczy, szukał stosownego pozoru, aby poprosić dziada o pozwolenie udania się do Tunisu. Czekając na chwilę sposobną, prosił każdego ze swoich przyjaciół, dążących w tamte strony, aby w jakiś chytry sposób do księżniczki się zbliżył, uwiadomił ją o jego tajemnej miłości i respons jej mu przywiózł.

Jeden z przyjaciół Gerbina bardzo zręcznie poselstwo jego sprawił. W przebraniu kupca, sprzedającego różne ozdoby niewieście i klejnoty, dostał się do zamku. Upatrzywszy stosowną chwilę, oznajmił księżniczce, że Gerbino gorąco ją miłuje i że wraz ze wszystkim, co posiada, w jej służby się oddaje. Księżniczka z łaskawością przyjęła wysłannika, którego słowa wielką jej radość sprawiły. Później poprosiła rzekomego kupca, aby odpowiedział księciu, że równą miłością do niego pała, i aby na dowód jej afektów wręczył mu jeden z najdroższych jej klejnotów. Gerbino z uniesieniem najżywszym przyjął dar księżniczki. Dzięki pośrednictwu tego samego przyjaciela jeszcze nieraz umiłowanej dzieweczce wspaniałe dary i listy mógł posyłać. Młodzi kochankowie obiecywali sobie w listach, że przy pierwszej sposobności ujrzą się, jeśli tylko los ich zamysłom sprzyjać będzie. Jednakoż, gdy tak do siebie się rwali, do chwili tego spotkania upłynęło więcej czasu, niżby się byli spodziewali. Król Tunisu

oddał rękę swej córki królowi Granady. Księżniczka w straszną rozpacz popadła, wiedziała bowiem, że nie tylko się od swego umiłowanego niezmiernie oddali, ale że i całkiem go utraci. Gdyby miała możliwość, nie mieszkając uciekłaby od swego ojca do Gerbina. Gerbino, złowrogą wieść usłyszawszy, także w niewymowny smutek się pogrążył i często rzecz rozważając, postanowił siłą księżniczkę pochwycić, gdy ona morzem do Granady płynąć będzie. Do króla Tunisu doszły tymczasem słuchy o miłości Gerbina do jego córki i o zamysłach młodzieńca. Znając jego zuchwalstwo i odwagę, gdy nadszedł czas odesłania córki, zawiadomił króla Sycylii, co czynić zamierza, i prosił go, aby mu dał słowo, że ani Gerbino, ani nikt z jego poruczenia wstrętów czynić nie będzie. Sędziwy król Wilhelm nie był świadom afektu, jaki do księżniczki wnuk jego żywił. Daleki od myśli, że podobnej obietnicy domagano się dla obawy przed Gerbinem, natychmiast do prośby władyki się przychylił i na znak żądanego zapewnienia posłał królowi Tunisu swoją rękawicę. Otrzymawszy tę oznakę przyjaźni Wilhelma, król Tunisu w porcie kartagińskim wspaniały okręt narządzić kazał, a potem opatrzył go we wszystkie rzeczy do podróży potrzebne. Gdy korab już był gotów, tylko na wiatr pomyślny jeszcze oczekiwano. Młoda księżniczka, która wszystkie te przygotowania widziała, wysłała tajnie do Palermo jednego ze sług swoich, przykazawszy mu pokłonić się Gerbinowi i powiedzieć mu, że za kilka dni do Granady wyrusza. Teraz więc nadchodzi stosowna pora, aby Gerbino pokazał, czy istotnie jest tak dzielny, jak o tym powiadają, i czy w samej rzeczy tak ją miłuje, jak nieraz o tym zapewniał. Sługa wywiązał się znakomicie ze swego polecenia i do Tunisu powrócił. Gerbino, otrzymawszy powyższą wiadomość, nie wiedział, co mu uczynić należy, wiedział już był bowiem o obietnicy danej królowi Tunisu przez dziada Wilhelma. Jednakoż słowa umiłowanej księżniczki i siła miłości o wszystkim zapomnieć mu kazały. Nie chcąc za tchórza uchodzić, udał się do Mesyny i kazał tam co rychlej dwie letkie galery uzbroić. Osadziwszy na nich dzielną załogę, jął krążyć koło brzegów Sardynii, czekając na okręt księżniczki. Wkrótce korab ukazał się jego oczom. Słabym wiatrem gnany, zbliżył się do miejsca, gdzie nań Gerbino czatował. Ów, dostrzegłszy okręt, rzekł do swych towarzyszów:

— Jeśli tak dzielnymi ludźmi jesteście, za jakich was poczytuję, to ani chybi nie znajdzie się między wami nikt, kto by potęgi miłości nie był świadom, bowiem, wedle mego zdania, żaden śmiertelnik bez pomocy miłości niczego wielkiego ani dobrego dokonać nie może. Jeśli zaś sami miłujecie lub miłowaliście, bez trudności mnie pojmiecie. Miłuję i miłość na to śmiałe przedsięwzięcie ważyć mi się każe. Umiłowana

moja znajduje się na okręcie pełnym niezliczonych bogactw, który tu widzicie przed sobą. Jeśli na męstwie wam nie zbywa, napadniemy nań śmiało i wkrótce nim owładniemy. Nie trza mi żadnego łupu, krom dzieweczki, dla której za broń chwycić musiałem. Wszystko inne dla was przeznaczam. Uderzajmy zatem śmiało! Sam Bóg widocznie zamiarom naszym sprzyja, bo oto wiatr dąć przestał i okręt uciec od nas nie może.

Słowa Gerbina zbytecznymi były, bowiem Mesyńczycy, gorząc pragnieniem zdobyczy, do walki gotowi byli i w duchu dokonali już tego, do czego wódz ich zachęcał. Gdy książę umilkł, wraz na jego galerach rozległy się gromkie, wojenne okrzyki, a potem i trąby zagrzmiały. Załoga porwała się do broni i zwróciła galery w kierunku okrętu. Ludzie, księżniczce towarzyszący, widząc nadpływające galery, jęli przygotowywać się do obrony, ponieważ o ucieczce i tak mowy być nie mogło. Zbliżywszy się do okrętu, Gerbino gromkim głosem zawołał, aby dowódcy załogi przeszli na pokład galer, jeśli bitwy chcą uniknąć. Saracenowie, dowiedziawszy się, kim są przeciwnicy i czego żądają, odparli, że napaść na okręt jest złamaniem słowa danego im przez króla Wilhelma. Na dowód pokazali rękawicę. W końcu dowódcy saraceńskiego korabia oznajmili, że nie poddadzą się bez walki, a takoż niczego ze statku nie wydadzą. Tymczasem Gerbino spostrzegł księżniczkę na tyle statku. Znalazł ją tysiąc razy piękniejszą od tej, jaką sobie w wyobraźni swej malował. Widok jej wzmógł jeszcze jego namiętność. Ukazawszy rękawicę rzekł, że nie masz tu sokołów, więc i rękawic nie potrzeba, i że jeśli Saracenowie księżniczki oddać nie chcą, niechaj do boju się gotują. Wkrótce z korabia i galer posypały się kamienie i strzały. Bój trwał długo, wyrządzając wielkie straty walczącym. Gerbino, przekonawszy się, że walcząc w ten sposób zamierzonego celu nie osiągnie, innego środka się chwycił, a mianowicie kazał zażec szalupę, zabraną przez jego towarzyszów z Sardynii. Gdy łódź w ogniu stanęła, galery zagnały ją pod nieprzyjacielski okręt. W tej chwili Saracenowie pojęli, że nic im już nie pozostaje, tylko poddać się albo umrzeć. Wyprowadzili więc na pokład płaczącą w kajucie księżniczkę, wywiedli ją na dziób statku, zawołali na Gerbina i w jego oczach zabili nieszczęsną młódkę, błagającą ich o zmiłowanie i wzywającą pomocy. Potem rzucili trupa do morza z okrzykiem:

— Bierz ją taką, jaką dać ci możemy i na jaką zasługujesz, słowo swoje uczciwie zdzierżywszy.

Na widok tego okrucieństwa Gerbino także jakby umrzeć zapragnął. Nie dbając na pociski i strzały, podpłynął pod nieprzyjacielski okręt i rzucił się w tłum Saracenów, na

liczbę nie bacząc. Podobien był do rozjuszonego lwa, który wpadłszy w środek stada, pazurami i zębami rwie wszystko, co na drodze napotka, raczej aby swoją wściekłość zaspokoić niż głód nasycić. Siekąc mieczem na wszystkie strony, Gerbino mnóstwo nieprzyjaciół trupem położył. Tymczasem ogień coraz bardziej okręt obejmował. Nieszczęsny młodzian pozwolił swojej załodze zabrać, co się dało, by ją zaspokoić, sam zasię na galerę powrócił. Zwycięstwo nie radowało go wcale. Kazał wydobyć z morza ciało księżniczki i długo gorzkimi łzami nad nim płakał. Powracając na Sycylię z wielką czcią złożył do grobu zwłoki umiłowanej dzieweczki na małej wyspie Ustica, naprzeciw Trapani leżącej. Potem, w niewysłowionej rozpaczy pogrążon, do domu swego się udał. Król Tunisu, o smutnym zdarzeniu uznawszy, wyprawił do króla Wilhelma posłów w czarne szaty odzianych. Wysłańcy, opowiedziawszy wszystko, jęli go za złamanie słowa naganiać. Wilhelma zabolało to srodze. Gdy tuniscy posłowie zażądali sądu, Gerbina uwięzić przykazał. Chocia wszyscy wielmoże i dostojnicy prosili króla, aby księciu przebaczył, sam skazał go na śmierć i w przytomności swojej kazał ściąć głowę młodzieńcowi. Wolał jedynego wnuka utracić niźli jako wiarołomny władca zasłynąć. Oto jak para nieszczęsnych kochanków, nie zakosztowawszy nawet owoców miłości, w niewielu dniach nędzną i gwałtowną śmiercią zeszła z tego świata”.

Opowieść piąta. Lisabetta z Mesyny

Bracia Lisabetty zabijają jej kochanka. Umarły ukazuje się jej we śnie i mówi, gdzie pogrzebiony został. Lisabetta po kryjomu odcina trupowi głowę i wkłada ją do wazonu, w którym krzew kwietny zasadza. Każdego dnia płacze nad kwiatem nieutulonymi łzami. Bracia Lisabetty odbierają jej krzew, a wówczas nieszczęśliwa kochanka rychło umiera.

Obdarzywszy nowelę Elizy niejaką pochwalą, król Filomenie opowiadać przykazał. Ta, serdecznym współczuciem dla nieszczęsnego Gerbina i jego umiłowanej dzieweczki przenikniona, z głębokim westchnieniem rzekła:

— Miłe towarzyszki! Nie będę mówiła o tak znacznych i dostojnych osobach, jak bohaterowie Elizy. Mimo to jednak opowieść moja nie mniej wzruszająca będzie. Przypomniałam ją sobie, gdy rzecz szła o Mesynie, gdzie zdarzyło się to, o czym opowiedzieć zamierzam.

„W Mesynie tedy żyli trzej bracia, młodzi kupcy. Po śmierci swego ojca, który z San Gimignano pochodził, wielkie dziedzictwo otrzymali. Młodzieńcy mieli jedną siostrę

Lisabettę. Mimo że staranne wychowanie otrzymała i niezwykłą urodą celowała, bracia za mąż jej z niewiadomych przyczyn nie wydawali. W jednym z kantorów, do trzech kupców należących, służył młody Pizańczyk, imieniem Lorenzo, który z wielką zręcznością sprawy ich prowadził. Lorenzo był urodziwym i układnym młodzieńcem. Lisabetta, często go widująca, poczęła w nim dziwne znajdować upodobanie. Lorenzo, spostrzegłszy to, odszedł od tych białogłów, do których przedtem upodobanie żywił, i całą duszą swoją młodej dzieweczce się oddał. Miłując się wzajemnie gorąco, gdy upewnili się o tym, wkrótce zbliżyli się do siebie i uniesieniom miłości folgować jęli. Niestety, pośród swej szczęśliwości nie umieli ostrożności zachować. Pewnej nocy, gdy Lisabetta do komnaty swego kochanka się zakradała, spostrzegł ją jej starszy brat, przez nią niezauważony. Aczkolwiek osłupiał na ten widok, przecie jako młodzieniec roztropny wielce, nie rzekł ani słowa i z miejsca swego się nie ruszył. Myślał następnie o tym długo, a gdy dzień nastał, przywołał swoich braci i opowiedział im o wszystkim, co tej nocy widział. Młodzieńcy, nie chcąc dobrej sławy swej siostry ani własnej na szwank przywodzić, po naradzie postanowili milczeć i udawać do czasu, że o niczym nie wiedzą. Bracia mniemali, że w ten sposób postępując doczekają się wreszcie sposobnego momentu, w którym, niepotrzebnego rozgwaru nie czyniąc i osławy sobie nie przyczyniając, sromotnym związkom swej siostry położą tamę, nim jeszcze one groźne skutki za sobą pociągną. Wierni temu postanowieniu, gawędzili i żartowali z Lorenzem, jak to uprzednio w obyczaju czynić mieli. Pewnego dnia pod pokrywką przechadzki wyprowadzili młodzieńca daleko za miasto i zawiedli go w miejsce odosobnione. Lorenzo, nic nie podejrzewając, nie obawiał się swoich towarzyszy. Tam kupcy zamordowali go i w tajemnicy pogrzebali jego ciało. Powróciwszy zasię do Mesyny, rozgłosili, że Lorenzo wysłany został przez nich w świat dla załatwienia różnych pilnych spraw. Nikogo to nie zdziwiło, wiadomo było bowiem wszystkim, że Lorenzo nieraz podobne poruczenia otrzymywał. Długa nieobecność kochanka zaniepokoiła wreszcie Lisabettę tak, iż tym zgnębiona, często i natarczywie swych braci dopytywać się jęła, kiedy Lorenzo do Mesyny powróci. Wreszcie jeden z braci rzekł:

— Co to ma znaczyć? Dlaczego tak często o Lorenza się pytasz? Jeśli raz jeszcze podobne pytanie zadasz, odpowiemy ci tak, jak na to zasługujesz.

Młoda dzieweczka, strapiona nad miarę, pełna niepewności, już się o nic pytać nie śmiała, jeno w czasie bezsennych nocy nieraz Lorenza przywoływała: błagała go, aby nie mieszkając przybywał, i płacząc rzewnie, na jego długą nieobecność się skarżyła, ciągle oczekując go i w niczym nie znajdując radości. Pewnego razu, gdy znużona wśród

łez zasnęła, stanął przed nią Lorenzo, śmiertelnie na obliczu blady, w porwanych i okrwawionych szatach, Zdawało jej się, że kochanek tak do niej przemawia: »Ach, Lisabetto, przywołujesz mnie nieustannie, trapiąc się długą nieobecnością moją i łzami swymi za nią mnie winiąc! Wiedz, że powrócić nie mogę, bowiem tego dnia, gdyśmy się po raz ostatni widzieli, bracia twoi mnie zamordowali«.

Po czym, objaśniwszy, w jakim miejscu ciało jego spoczywa, poprosił ją, aby już dłużej nie wzywała go ani na niego nie czekała, i zniknął. Lisabetta ocknęła się i gorzkimi łzami się zalała, albowiem uwierzyła w swe senne przywidzenie. Nazajutrz rano, nie rzekłszy ni słowa braciom, postanowiła na wskazane miejsce się udać dla przekonania się, czy to, co we śnie widziała, prawdą było. Uzyskawszy tedy od braci pozwolenie na odbycie przechadzki za miasto, wybrała się w drogę w towarzystwie pewnej dziewczyny, która, służąc od dawna w ich domu, wszystkie jej tajemnice znała. Stanąwszy u celu, usunęła suche, opadłe liście i jęła kopać tam, gdzie ziemia mniej twardą jej się wydawała. Nie mozoląc się długo, wkrótce odkryła nietknięte jeszcze zepsuciem ciało swego kochanka. Wówczas poznała dowodnie prawdziwość snu swego.

Straszna rozpacz Lisabettą owładła, aliści nie chciała ona teraz dać folgi łzom swoim. Chętnie byłaby całe ciało z sobą zabrała, aby je godnie pogrzebać, ale ponieważ niemożliwą rzeczą to było, odcięła tylko nożem, jak mogła, głowę od tułowia. Potem głowę, w chustkę zawiniętą, oddała swej towarzyszce i resztę szczątków na nowo ziemią pokrywszy, przez nikogo niespostrzeżona do domu powróciła. Lisabetta zaniosła głowę kochanka do swojej komnaty, zaparła drzwi i tyle łez wylała, że obmyła nimi martwe lico. Potem, obsypawszy głowę mnóstwem pocałunków, wzięła piękny wazon, z rodzaju tych, w których zwykle majeranek lub wasilki hodują, włożyła weń głowę Lorenza, w najprzedniejsze płótno zawiniętą, przysypała ją ziemią i zasadziła nad nią krzew salerneńskiego wasilka. Podlewała zaś tę roślinę wodą pomarańczową, wodą różaną lub własnymi łzami. Siadywała przy tym obok wazonu, zawierającego cząstkę jej ukochanego, i pełna niezmiernego smutku, nie spuszczała z niego oczu. Po kilku godzinach takiego wpatrywania się, pochylała się nad krzewem i długo, długo płakała, tak iż cała roślina łzami jej się zraszała. Dzięki troskliwej pieczy, a także i przez żyzność ziemi pokrywającej głowę umarłego, roślina owa nie tylko wyrosła niepomiernie, ale i nieporównaną woń rozsiewała.

Zachody te obaczyli niebawem po wiele razy sąsiedzi i donieśli o tym braciom Lisabetty, którzy już spostrzegli, że jej uroda marnieje, a oczy gasną. Bracia Lisabetty przekonali się wkrótce, że sąsiedzi prawdę mówili, i jęli strofować siostrę za jej

postępowanie. Gdy słowa skutku nie odniosły, potajemnie wazon jej odebrali. Lisabetta, nie znalazłszy go na właściwym miejscu, długo i uparcie o niego się dopominała. Gdy zaś prośby jej i nalegania bez skutku pozostawały, wśród skarg i jęków w ciężką niemoc popadła, nawet w ciągu choroby nie przestając domagać się zwrotu rośliny. Młodzieńcy, prośbami tymi zadziwieni, wpadli na myśl, aby przekonać się, co w tym naczyniu zawierać się może. Wysypawszy ziemię, znaleźli chustkę, a w niej głowę, nie całkiem jeszcze zepsuciem strawioną, tak iż po kędzierzawych włosach rozpoznać można było, że kiedyś do Lorenza należała. Zdumieni i srodze zatrwożeni, że zbrodnia ich na jaw wyjść może, pogrzebawszy głowę, nic nikomu nie powiadając, po kryjomu wzięli z sobą wszystko, co posiadali, i z Mesyny do Neapolu się przenieśli.

Dzieweczka zasię ciągle po dawnemu płakała i o swój wazon się dopominała, aż wreszcie wśród łez umarła. Tak skończyła się jej miłość nieszczęsna. Z czasem zdarzenie to powszechnie wiadome się stało. Ułożono nawet pieśń o nim, którą do tych pór jeszcze się śpiewa:

Jakiż to zły chrześcijanin
Skradł mi ulubiony wazon…”.

Opowieść szósta. Dwa sny

Andreola miłuje Gabriotta. Pewnego dnia opowiada mu, jaki sen miała. Z kolei Gabriotto sen swój jej powtarza, a potem nagle umiera w objęciach kochanki swojej. Andreola pospołu z swoją służką chce zanieść ciało Gabriotta na próg jego domu, aliści zatrzymują ją strażnicy podesty. Andreola opowiada szczerze o wszystkim. Podesta chce gwałt jej zadać; Andreola broni się ze wszystkich sił swoich. Rodzic jej, widząc, że winną nie jest, oswobadza ją, a wówczas Andreola porzuca świat i do klasztoru wstępuje.

Nowela Filomeny wielce damom do smaku przypadła. Nieraz słyszały oną piosenkę, o której Filomena wspominała, aliści nigdy dowiedzieć się nie mogły, do jakiego zdarzenia ona się odnosi. Król z kolei dał zaraz znak Panfilowi; wówczas ten zaczął w te słowa:

— Wspomniany w poprzedniej opowieści sen przypomina mi historię, w której rzecz idzie o dwóch sennych zjawach. W noweli Filomeny sen odkrył tajnię tego, co już się stało, w tej historii zasię, którą wam teraz chcę opowiedzieć, sny przyszłość

przepowiedziały, a przepowiednie te spełniły się, zaledwie ludzie o nich mówiący zamilknąć zdołali. Wiadomo wam niewątpliwie, piękne damy, że gdy człowiek śpi, zjawa senna rzeczywistością mu się wydawa. Po ocknięciu się uznaje jednak, że niektóre tylko z tych rzeczy były prawdą, drugie zasię niejakie prawdopodobieństwo w sobie miały, co się zaś trzecich tyczy, to za całkiem fałszywe je poczytuje. Tymczasem wiele ze snów później się sprawdza; istnieje też mnóstwo ludzi, którzy wierzą w każdy sen nie mniej, jak w to, co widzą na jawie. Tacy ludzie pod wpływem zjaw sennych radują się lub trapią, zależnie od tego, czy sen nadzieją, czy też trwogą ich napawa. Są zasię i tacy, co zgoła nijakiej uwagi na sny nie zwracają, aż do czasu gdy ich spotka nieszczęście, którego wróżba w widzeniu sennym się zawierała. Ani jednych, ani drugich chwalić nie zamierzam, jeżeli bowiem nie wszystkie sny są prawdziwe, to także rzec nie lza, aby wszystkie fałszywymi były. Że nie wszystkie sny się sprawdzają, każdy z własnej eksperiencji przekonać się może. Z noweli Filomeny poznaliśmy zasię, że niektóre ziszczać się mogą, co teraz, jak wspomniałem, w mojej opowieści potwierdzić pragnę. Jeśli człek uczciwy żywot wiedzie, żaden przeciwny sen od dobrych przedsięwzięć nie powinien go odstrychnąć ani trwogą napełniać. Równie, gdy sen triumf złego przedstawia i do niego zachęca, powodzenie obiecywać się zdając, wierzyć mu nie należy, w przeciwnym jednak wypadku wszystkim zaufać się godzi. Przystąpmy jednak do naszej powieści.

„W mieście Brescji żył ongiś pewien szlachcic, Negro da Ponte Carraro zwany, który prócz innych dzieci posiadał córkę Andreolę, młodą, urodziwą i niezamężną jeszcze dzieweczkę. Młódka ta zakochała się w jednym z sąsiadów, nazwiskiem Gabriotto, człeku niskiej kondycji, ale miłym i pięknym, a odznaczającym się wieloma najszlachetniejszymi przymiotami. Dzięki jednej z służebnic swoich zdołała Andreola nie tylko uwiadomić Gabriotta o afekcie swoim, ale i sprowadzić go wielekroć do pięknego ogrodu swego ojca, ku wielkiej obojga przyjemności. Ażeby zaś żadna moc, krom śmierci, rozdzielić ich nie mogła, kochankowie tajemnym ślubem z sobą się połączyli. Czas schodził; młodzi ludzie często widywali się z sobą, skrywając miłość swą przed światem. Pewnej nocy zdało się Andreoli we śnie, że Gabriotto jest razem z nią w ogrodzie i w ramionach swych ją trzyma. Czuli rozkosz wzajemnego uścisku. Nagle spostrzegła, że z ciała kochanka wypełza jakaś czarna i potworna istota, której kształtu dobrze rozeznać nie mogła. Mroczna zjawa owładła Gabriottem i mimo oporu Andreoli, z straszną siłą z ramion jej go wydarła, a potem znikła z nim pospołu pod ziemią. Andreola poczuła, że już nigdy kochanka swego nie ujrzy. Widok ten przejął ją taką

rozpaczą i strachem, że aż się ze snu ocknęła. Przyszedłszy do siebie, ucieszyła się, że to wszystko złudzeniem tylko było; wszelakoż nie mogła się uwolnić od dziwnego przeczucia i trwogi. Dlatego też, gdy Gabriotto oznajmił jej, że ją następnej nocy odwiedzi, nakłaniała go z wszystkich sił do pozostania w domu. Jednakoż widząc, że młodzian gorąco pragnie obaczyć się z nią, i obawiając się, aby jakieś niesprawiedliwe podejrzenie w nim się nie obudziło, przystała na prośbę kochanka i nocą w ogrodzie go przyjęła. Andreola nazrywała mnóstwo białych i czerwonych róż (które właśnie w rozkwicie były) i usiadła wraz z Gabriottem opodal pięknej fontanny, tryskającej świeżą wodą. Po dłuższym czasie wśród najtkliwszych pieszczot spytał Gabriotto, dlaczego z początku sprzeciwiała się jego przyjściu do sadu. Wówczas młódka opowiedziała mu wszystko: swój sen ubiegłej nocy i złe przeczucie. Gabriotto zaśmiał się i rzekł, że jest wielką niedorzecznością wierzyć w sny, pochodzą one bowiem ze zbytku lub niedostatku pokarmu i złudnymi się okazują, o czym codziennie się przeświadczać można.

— Gdybym w sny wierzył, nie przyszedłbym dziś tutaj, nie tyle z obawy przed twoim widzeniem sennym, ile na skutek mych własnych snów, jakie również ostatniej nocy miałem. Zdawało mi się, że znalazłem się w pięknym lesie, gdzie polując schwytałem niewypowiedzianie wdzięczną i białą jak śnieg sarnę. Sarna ta w tak krótkim czasie oswoiła się ze mną, że ani na krok ode mnie nie odstępowała. Mimo to tak się obawiałem, aby to miłe zwierzątko mi nie uciekło, że włożyłem mu na szyję złotą obręcz, przytwierdzoną do łańcucha, który w ręku trzymałem. Gdy sarenka legła na trawie, złożywszy mi łeb na kolana, nagle, nie wiedzieć skąd, zjawiła się przede mną czarna jak węgiel, głodna i straszna charcica, która rzuciła się na mnie. Zdało mi się, że się przed nią wcale nie bronię; ona zasię chwyciła mnie zębami za lewy bok i tak się wżarła weń, że aż mi do serca dotarła, aby wyrwać mi je z piersi i unieść z sobą. Tak wielki ból poczułem, że, ocknąwszy się ze snu, schwyciłem się ręką za bok, aby przekonać się, czy rany tam nie mam. Nie znalazłszy jednak nic, śmiać się począłem z siebie, że po zdrowym się macałem boku. Cóż by to jednak znaczyć miało? Podobne, a nawet o wiele straszniejsze sny już nieraz miewałem, a przecie nic się ze mną złego nie stało. Dlatego też przestańmy myśleć o zjawach sennych i cieszmy się swoim szczęściem.

Andreola, już swoim snem przerażona, teraz jeszcze bardziej lękać się poczęła, aliści, nie chcąc Gabriotta niepokoić, skrywała swą trwogę, jak mogła. Obejmowała i całowała swego kochanka i on nawzajem ją obejmował, jednakoż lęk jej nie mijał. Obawiała się nie wiedzieć czego i częściej niż zwyczajnie, wpatrywała się w twarz

Gabriotta lub też bystrym spojrzeniem obrzucała ogród, aby przekonać się, czy jakiej czarnej stwory nie zobaczy. Naraz Gabriotto westchnął, przycisnął umiłowaną swą do piersi i zawołał:

— Ratuj mnie, najdroższa moja, umieram!

Rzekłszy te słowa, zsunął się bezsilnie na trawę. Przerażona Andreola podniosła swego kochanka, położyła jego głowę na swoje kolana i rzekła ze łzami w oczach:

— Na miłosierdzie boskie, co ci jest, mój mężu ukochany?

Gabriotto nic nie odpowiedział, tylko dyszał ciężko, okrył się śmiertelnym potem i po chwili skonał. Jaką boleścią i rozpaczą śmierć jego przejąć musiała młodą Andreolę, miłującą go nad życie, łatwo sobie to wystawić można. Długo, długo płakała nad nim, wołając go na próżno po imieniu. Dotknąwszy jego ciała, przekonała się, że już ostygło; wówczas pojęła, że jej kochanek już się nigdy nie ocknie. Nie wiedząc, co począć i jak się zachować, z oczyma łez pełnymi pobiegła do służki, powiernicy swej miłości, i opowiedziała jej o strasznym nieszczęściu. Obydwie zrosiły jeszcze raz łzami martwe oblicze Gabriotta, po czym Andreola rzekła:

— Skoro Bóg mi go zabrał i ja dłużej żyć już nie myślę. Zanim się jednak zabiję, pragnę przy pomocy twojej znaleźć stosowny środek, aby bez szwanku dla czci mojej i bez zdradzenia tajemnicy naszej miłości móc pochować to ciało, przez najdroższą mi duszę opuszczone.

— Nie myśl o odebraniu sobie życia, dziecię moje — odparła służka — bo zabijając się, utracisz go w tamtym życiu, tak jak go tu już utraciłaś. Gdy rękę na siebie podniesiesz, pójdziesz do piekła, ja zasię przekonana jestem, że dusza tego dobrego młodzieńca na wieczne męki skazana być nie może. Staraj się uspokoić, staraj się modlitwami i dobrymi uczynkami jego duszy do zbawienia dopomóc, bo może dla grzechów swoich tego potrzebuje. Pogrzebać jego ciało możemy zaraz tutaj w ogrodzie. Nikt o tym nie uzna, bowiem nikt nie wiedział, że Gabriotto tutaj przychodził. Jeżeli nie zgodzisz się na to, wyniesiemy trupa z ogrodu i położymy go pod murem. Rankiem przechodnie, znalazłszy zwłoki, odniosą je do domu, a krewniacy zajmą się pogrzebem.

Mimo gwałtowności bólu swego i łez nieutulonych, wysłuchała jednak dama słów swej służebnicy i tak odparła, nie mogąc przystać na jej rady:

— Niechaj mnie Bóg broni, abym mego najdroższego kochanka i męża jak psa pogrzebać lub na ulicę wyrzucić miała. Wiele łez nad nim przelawszy, uczynię wszystko, aby krewniacy równie go opłakiwać mogli. Umyśliłam już, co nam uczynić należy.

Rzekłszy to, kazała przynieść służce z domu sztukę jedwabnej materii. Gdy służka powróciła, Andreola materię na ziemi rozesłała, położyła na nią ciało Gabriotta i oparła jego głowę na poduszce. Potem, mnóstwo rzewliwych łez wylewając, zamknęła mu oczy i usta, splotła girlandę z róż i całe ciało umarłego kwiatami zasypała. Po chwili tak do służki rzekła:

— Do drzwi jego domu stąd niedaleko. Weźmy go obydwie na ręce, tak jak przyodziany, i połóżmy go przed progiem. Wkrótce dzień nastanie, i krewniacy ciało znajdą. Wprawdzie cały nasz ten zachód wiele ulgi rodzinie zmarłego nie sprawi, jednak nieco lżej będzie na sercu mnie, w której objęciach skonał.

Z tymi słowami rzuciła się raz jeszcze na martwe ciało i gorzko płakać jęła. Służka parę razy przypominała swej pani, że świt jest już bliski. Wreszcie Andreola podniosła się. Zdjąwszy z palca pierścień, którym się Gabriotto z nią zaręczył, włożyła mu go na palec i rzekła:

— Drogi mój małżonku, o ile dusza twoja widzi teraz łzy moje, to jeśli ciało twoje niczego nawet uczuwać nie jest zdolne, przyjm łaskawie ten ostatni dar swojej żony, którą tak tkliwie za życia kochałeś.

Z tymi słowami w omdleniu na zwłoki upadła. Gdy zaś do utraconych zmysłów z powrotem przyszła, podniosła wraz z służebnicą materię, na której zwłoki leżały. Białogłowy wyszły z ogrodu i skierowały się do domu Gabriotta. Na nieszczęście spotkali je strażnicy podesty, wezwani gdzieś przypadkiem o tej porze, i zaraz je ze zwłokami pochwycili. Andreola, która bardziej niż życia śmierci pragnęła, poznawszy straż śmiało i otwarcie rzekła:

— Wiem dobrze, kim jesteście, i to także wiem, że ucieczką się nie ocalę. Gotowa jestem pójść z wami do podesty i opowiedzieć mu o wszystkim. Niechaj tylko żaden z was nie waży dotknąć się mnie ani tego ciała, bowiem z wolnej, nieprzymuszonej woli z wami idę. W przeciwnym razie przed podestą oskarżyć was będę musiała.

Nikt też nie śmiał tknąć Andreoli i ciała jej męża. Wkrótce też wraz ze zwłokami znalazła się w pałacu podesty. Podesta, usłyszawszy o całym zdarzeniu, przystąpił do badania Andreoli, a potem kazał doktorom obejrzeć zwłoki i wydać sąd, zali nieszczęsny Gabriotto nie został otruty lub innym jakim sposobem ze świata zgładzony. Medycy jednogłośnie oznajmili, że o zabójstwie mowy być tu nie może, Gabriotto zmarł bowiem na skutek pęknięcia żyły koło serca. Podesta pojął, że Andreola w drobnej tylko mierze zawiniła, jednakoż uczynił pozór, że śmierć jej i życie od niego jedynie zależą. Rzekł tedy urodziwej młódce, że ją uwolni, jeśli jego woli uległą być zechce. Gdy jednak

słowami niczego wymóc nie mógł, chciał jej gwałt zadać, aliści rozpacz dodała dzieweczce sił niezwyczajnych. Broniła się mężnie, wreszcie szyderczymi i dumnymi słowy udało się jej podestę od niewczesnych zalotów powstrzymać. Gdy nastąpił dzień, Negro dowiedział się o smutnych zdarzeniach. Z rozpaczą w sercu udał się do pałacu podesty pospołu z licznymi przyjaciółmi swymi. Podesta opowiedział mu o wszystkim; wówczas zrozpaczony rodzic prosił go, aby mu córkę oddał. Podesta, chcąc uprzedzić oskarżenie Andreoli, sam się przyznał, że na cześć jej dybał, i wytłumaczył to tym, że chciał jej cnotę na próbę wystawić. Chwalił wielce jej niezłomność, po czym przydał, że szlachetny jej opór wzbudził w nim najgorętszą do niej miłość, tak iż za żonę pojąć ją gotów, jeżeli zgodę ojca i jej samej uzyska, mimo że pierwszym jej mężem był człek podłej kondycji. Gdy Negro i podesta tą rozmową zabawieni byli, weszła Andreola, padła przed ojcem na kolana i rzekła:

— Sądzę, mój ojcze, że zbyteczną rzeczą by było opowiadać ci o mojej nieroztropności i nieszczęściu, jakie na mnie spadło. Pewna jestem, że o tym już się dowiedziałeś. Proszę cię tedy pokornie i najgoręcej o przebaczenie mi winy, która na tym się zasadza, że bez wiedzy twojej wzięłam sobie za męża umiłowanego przeze mnie człeka. Proszę cię o przebaczenie nie dlatego, aby się od śmierci uchronić, lecz dla tej przyczyny, że chcę umrzeć jako twoja córka, a nie jak twój wróg.

Negro był już sędziwym człowiekiem o dobrotliwym i łagodnym przyrodzeniu. Wysłuchawszy słów swojej córki, rozpłakał się, podniósł ją czule z ziemi i rzekł:

— Moja córko, zaiste milej by mi było, gdyby twoim mężem stał się człek bardziej, według mego pojęcia, ciebie godny. Jednakoż z drugiej strony każdy twój wybraniec i mnie do serca przypaść by musiał. To więc tylko mnie bólem przejmuje, że, małą ufność dla mnie mając, wszystko skrywałaś przede mną. A bardziej jeszcze boleję, że utraciłaś męża, zanim się o wszystkim dowiedziałem. Aliści tego, co się stało, odrobić nie lza. Nic mi teraz innego uczynić nie pozostaje, jak oddać martwemu tę cześć, której bym mu nie poskąpił, gdyby jeszcze był przy życiu. Dlatego też odniosę się do zmarłego jak do mego zięcia.

Co rzekłszy obrócił się do dzieci swoich i krewnych i polecił im, aby przygotowali wszystko do uroczystego pogrzebu Gabriotta. Tymczasem krewniacy zmarłego, o wszystkim uwiadomieni, przybyli do pałacu podesty, gdzie zebrało się także z miasta mnóstwo białogłów i mężczyzn. Ciało Gabriotta, obsypane przez Andreolę kwiatami, leżało na podwórcu na jedwabnej materii. Nie tylko krewniacy, ale prawie wszyscy mieszkańcy Brescji młodzieńca opłakiwali. Pochowano Gabriotta nie jak człeka

niskiego rodu, lecz jak dostojnika. Mieszczanie najprzedniejsi z podwórza ratusza odnieśli ciało na swych barkach do samego grobu.

Po pewnym czasie podesta znów poprosił Andreolę o jej rękę. Negro pomówił z córką, aliści młódka nawet słyszeć o tym nie chciała. Rodzic nie niewolił jej; wkrótce też Andreola pospołu z swą wierną służką wstąpiła do klasztoru słynącego z świątobliwości. Tam długo jeszcze cnotliwy żywot pędziły".

Opowieść siódma. Dowód niewinności

Simona miłuje Pasquina. W czasie przechadzki po ogrodzie Pasquino pociera sobie zęby liściem szałwii i umiera. Simona, uwięziona, pragnąc pokazać sędziemu, jak kochanek jej zginął, tymi samymi liśćmi naciera sobie zęby i także umiera.

Król, zgoła współczucia Andreoli nie okazawszy, gdy tylko Panfilo opowiadanie skończył, dał znak Emilii, że byłoby mu miło, gdyby teraz ona z kolei głos zabrała. Emilia natychmiast w te słowa zaczęła:

— Miłe towarzyszki! Nowela Panfila nasunęła mi na pamięć historię, w tym tylko do słyszanej przed chwilą podobną, że tam i tutaj zakochana dzieweczka straciła swego kochanka, gdy pospołu z nim w ogrodzie bawiła. Gdy ją pochwycili, podobnie o dokonanie mordu podejrzana, nie siłą i nie własną niewinnością od sądu się obroniła, lecz nieoczekiwaną śmiercią. Mówiliśmy już, że Amor, jakkolwiek chętnie mieszkańców pałaców odwiedza, nie gardzi przecie także lepiankami ubogich, którzy równie drżą przed jego przemożną władzą jak i znaczni panowie. Wszystko to, jeśli nie całkowicie, to przynajmniej w części w opowieści mojej pokażę; przystępując do niej, powracam chętnie do naszego ojczystego grodu. Oddaliliśmy się dziś odeń daleko, wędrując w naszych tak różnorodnych opowieściach prawie po wszystkich częściach świata.

„Niedawno temu we Florencji żyła młoda dziewczyna, córka biednego człeka, urodziwsza i milsza, niźliby tego spodziewać się było można po jej pomiernym stanie sądząc. Zwali ją Simoną. Musiała pracą rąk własnych na chleb zarabiać, a mianowicie przędzeniem wełny. Bieda nie zdołała jednak przytłumić w jej sercu wielkiej zdolności kochania. Amor owładnął jej myślami, gdy padł na nią wzrok i posłyszała słowa młodego człeka, równego jej swą kondycją. Młodzieniec ten zajmował się z rozkazu mistrza swego rozdawaniem wełny do przędzenia, miał zatem możność pokazania jej, że afekt do niej żywi. Dzieweczka, której w serce zapadł obraz umiłowanego młodzieńca, zwanego Pasquinem, pragnęła, ale nie śmiała wyznać ukochanemu miłości

swojej, mimo że płomienie duszę jej trawiły. Siedząc nad robotą, wzdychała ciężko nad każdym pasmem i każdą nicią nawijaną na kołowrotek, bowiem nieustannie myślała o młodzieńcu, który jej osnowę przynosił. Pasquino zasię, dbając szczególnie o pożytki właściciela i pragnąc, by miał on wełnę najlepszego przędzenia, nade wszystko baczył na Simonę, jakby tylko z tej przędzy, którą ona przędła, a nie z żadnej innej, całe sukno miało być utkane.

Tak tedy Pasquino szukał miłości, Simona zasię niczego równie nie pragnęła jak tego, aby on tę jej miłość zdobywał. Z biegiem czasu kochanek coraz śmielszy się stawał, Simona wyzbywała się swej wstydliwości i trwogi; aż wreszcie oboje bez podziału sobie się oddali. Tak wzajemnym swym szczęściem oczarowani byli, że nie czekając jedno na wezwanie drugiego, jakby jednym duchem ożywieni, naprzeciw siebie wychodzili. Miłość ich z dnia na dzień rosła i coraz gorętszą się stawała. Pewnego dnia Pasquino poprosił Simonę, aby do ogrodu się udała, gdzie, znalazłszy się na swobodzie, nie budząc podejrzeń, do woli sobą cieszyć się będą mogli. Simona zgodziła się. W niedzielę po obiedzie, powiedziawszy ojcu, że chce iść na odpust do San Galio, wybrała się pospołu z swą przyjaciółką, imieniem Lagina, do ogrodu, gdzie Pasquino na nie czekał. Pasquino przybył na umówione miejsce w towarzystwie swego przyjaciela Puccina, także Strambą zwanego. Puccino zaraz do Laginy zalecać się począł; Simona i Pasquino pozostawili ich w jednym końcu ogrodu, sami zasię w drugim zaszyli się w gęstwinę, aby oddać się lubym igraszkom. Niedaleko od miejsca, gdzie się zatrzymali, rósł krzew szałwii niezmiernej bujności i wielkości. Kochankowie usiedli obok niego, ciesząc się nieskończonymi pieszczotami i rozmawiając o podwieczorku, który w ogrodzie spożyć zamierzali. Nagle Pasquino pochylił się do krzewu szałwii, zerwał z niego liść i jął nim trzeć zęby oraz dziąsła, powiadając, że szałwia oczyszcza je doskonale od ostatków jedzenia. Potem znów o swojej przechadzce rozmawiać jęli. Po chwili Pasquino począł mienić się na obliczu, potem wzrok i mowę utracił, aż wreszcie padł i ducha wyzionął. Simona na ten widok uderzyła w płacz i krzyk i poczęła zwać na pomoc Strambę i Laginę. Ci zaraz nadbiegłszy, zastali Pasquina nie tylko martwego, ale spuchniętego i czarnymi plamami na całym ciele pokrytego. Wówczas Stramba zawołał do Simony:

— Tyś go, łajdaczko, otruła!

Na ten krzyk zbiegli się wszyscy w pobliżu ogrodu mieszkający. Zobaczywszy wzdęte zwłoki, usłyszawszy oskarżenie Stramby i ujrzawszy Simonę płaczącą z wielkiej boleści nad stratą kochanka i tak nieprzytomną, że bronić się nie potrafiła — uwierzyli, że istotnie Stramba prawdę mówi. Dlatego też pochwycili łkającą ciągle Simonę i do

pałacu podesty ją zawiedli. Tutaj na wyprzódki Stramba i przyjaciele zmarłego, Atticciato i Malagevole, którzy właśnie przybyli, obwiniać Simonę poczęli, tak iż sędzia niezwłocznie do badania jej przystąpił. Jednakoż nie mógł nabrać przeświadczenia, by dzieweczka dowiodła tu złej woli i winę popełniła, dlatego też, nie dosyć rozumiejąc jej wyjaśnienia, w jej obecności postanowił trupa obejrzeć i na miejscu przestępstwa jeszcze raz szczegółowie o wszystko się wypytać. Rozkazał więc bez zbiegowiska zaprowadzić Simonę do ogrodu, gdzie leżało ciało Pasquina, opuchłe i nabrzmiałe jak beczka. Sędzia, przybywszy tam wkrótce, zadziwił się wielce osobliwym wyglądem zmarłego i spytał, jak się cała rzecz miała. Simona, opowiedziawszy o wszystkich poprzedzających okolicznościach, podeszła do krzewu szałwii, aby jaśniej wszystko sędziemu przedstawić, schyliła się, zerwała liść i jak Pasquino potarła nim usta. W tym czasie Stramba, Atticciato i pozostali przyjaciele Pasquina szydzili z niej i coraz gwałtowniej ponawiając oskarżenie, starali się przekonać sędziego, że wszystkie jej słowa są jeno nikczemnymi a pustymi wykrętami i że należy ją za tę zbrodnię niechybnie na stosie spalić. Nieboraczka z boleści po śmierci kochanka i ze strachu przed kaźnią, jakiej się Stramba domagał, ledwie na nogach utrzymać się mogła. Że zaś i ona potarła sobie zęby szałwią, po chwili, ku zdumieniu obecnych, upadła na to samo miejsce, na którym niedawno Pasquino ducha wyzionął.

O dusze szczęśliwe, którym sądzone było tego samego dnia żaru miłości doznać i ziemski żywot zakończyć! W dwójnasób szczęśliwe, jeśli nierozłącznie w to samo miejsce dotrzecie i jeśli na tamtym świecie miłość trwa, a miłość wasza dalej trwać będzie! Wedle naszego mniemania — mniemania ludzi, którzy Simonę przeżyli — dusza jej już najwyższej szczęśliwości dostąpiła. Los nie zwolił, aby niewinna dzieweczka padła ofiarą niecnych oskarżeń Stramby, Atticciata i Malagevola, ludzi z pospólstwa. Szlachetna śmierć, nieróżna od śmierci kochanka, stała się jej usprawiedliwieniem, a dusza jej uleciała śladem duszy umiłowanego Pasquina.

Sędzia, osłupiawszy całkiem na widok martwej Simony, stał długo w milczeniu i nie wiedział, co ma rzec. Przyszedłszy nieco do siebie, odezwał się wreszcie w te słowa:

— Krzew ten, ani chybi, musi posiadać jakieś jadowite własności, chociaż ze szałwią tak nie bywa. Aby więc w przyszłości nikomu już szkodzić nie mógł, trzeba go wyrwać z korzeniami i spalić.

Strażnik ogrodowy zaraz, w przytomności sędziego, do wypełnienia jego rozkazu przystąpił. Zaledwie krzew wyrwany został, tajemnica śmierci dwojga nieszczęśliwych jawną się stała: pod rośliną siedziała potwornej wielkości ropucha, której jadowite

tchnienie zapewne zatruć krzew musiało. Nikt z obecnych nie śmiał się do żaby przybliżyć. Dlatego też rzucono na nią ogromną wiązkę chrustu i pospołu z szałwią ją spalono. Tak nieszczęśliwie zakończył się sąd nad Simoną, obwinioną o zabójstwo biednego Pasquina. Ciało jego pospołu z ciałem Simony, oba opuchłe, przez Strambę, Atticciata, Guccia Imbratta i Malagevole przeniesione zostało do kościoła Świętego Pawła, którego byli parafianami, i tam pogrzebane".

Opowieść ósma. Ofiary miłości

Girolamo miłuje Salwestrę. Spełniając prośbę matki udaje się do Paryża; po powrocie dowiaduje się, że jego umiłowana za mąż poszła. Girolamo zakrada się do jej domu i umiera w jej przytomności. Do jego zwłok, w kościele leżących, zbliża się Salwestra i także umiera.

Gdy Emilia skończyła, Neifile na rozkaz króla zaczęła w te słowa:

— Miłe towarzyszki! Zdarzają się ludzie, przypisujący sobie rozum większy od innych, chocia w istocie bardzo mało go posiadają. Ludzie owi nie tylko ludzkim zamysłom, ale i prawom przyrodzonym ten swój rozum przeciwstawiać śmieją. Z tego już nieraz wielkie nieszczęścia wynikały, a pożytku jeszcze nie było żadnego. Ten, co miłość odczuwa, mniej jest od każdego innego skłonny pójść za radą lub z oporem się pogodzić; raczej sam siebie zgubi, niźli namiętność swoją przemoże. Dlatego też zamyśliłam opowiedzieć wam historię o tym, jak to pewna dama, o swej rzekomej mądrości twardo przekonana, aliści nie wiedząca, jak daleko posunąć się można, zapragnęła wyrwać z kochającego serca miłość, którą może w nie zesłały gwiazdy, a osiągnęła tylko to, że wraz z miłością i życie serce to opuściło.

„W mieście naszym, wedle opowiadania starców, żył bogaty kupiec, imieniem Leonardo Sighieri, któremu żona powiła syna, zwanego Girolamem. Wkrótce po urodzeniu się syna kupiec spisał swoją ostatnią wolę i zszedł z tego świata. Opiekunowie wraz z matką dziecięcia dobrze i uczciwie majętnościami Girolama zarządzali. Chłopiec, wzrastając wraz z dziećmi sąsiadów, polubił osobliwie rówieśną sobie dzieweczkę, córkę krawca. Gdy już do lat bardziej źrałych doszedł, to dziecinne przywiązanie w gorącą miłość się przemieniło, tak iż Girolamo jeno wówczas za szczęśliwego się poczytywał, gdy widokiem swej umiłowanej mógł się cieszyć. Dzieweczka nie mniejszym afektem mu odpłacała. Matka Girolama, spostrzegłszy tę skłonność, nieraz strofowała i gromiła syna swego. Widząc jednak, że niestety jego

serca od namiętności tej nie oswobodzi i przekonana będąc, że dzięki pieniądzom nawet ze śliwki pomarańczę uczynić można, rzekła pewnego razu do opiekunów:

— Nasz Girolamo jeszcze czternastu lat nie ukończył, a już zakochał się gorąco w córce naszego sąsiada, krawca. Jeśli mu jej z oczu nie usuniemy, pewnego dnia, ani chybi, poślubi ją tajnie, co mi resztę życia zatruje. Gdy zaś obaczy ją żoną innego, gotów uschnąć ze smutku i rozpaczy. Sądzę tedy, że dla uniknięcia tego wszystkiego, należy go wysłać daleko, gdzie by jakimiś sprawami handlowymi zająć się mógł. Gdy nie będzie na nią nieustannie patrzył, zapomni o niej, a wówczas damy mu za żonę dziewczynę ze znacznego idącą rodu.

Opiekunowie pochwalili ten zamiar, a potem zawezwali do sklepu Girolama i tak jeden z nich przemówił do niego dobrotliwie:

— Wkrótce już dorośniesz, Girolamo, dlatego też pora, abyś sam o sobie myśleć zaczął. Pragnęlibyśmy z całej duszy, abyś na pewien czas do Paryża się udał. W mieście tym większa część twojej gotowizny w obrocie handlowym się znajduje. Tam też nauczysz się przykładnych obyczajów, obaczysz wielu baronów, szlachciców i innych znacznych ludzi i przejmiesz od nich wiele polerowności i dworności. Potem do Florencji powrócisz.

Girolamo, pilnie wszystkiego wysłuchawszy, odparł krótko, że nie myśli wcale wyjeżdżać, bowiem może nauczyć się żyć także i we Florencji. Opiekunowie poczęli wówczas nalegać na niego, ale nic wskórać nie mogąc, donieśli o wszystkim matce. Ta, wzburzona wielce, zawezwawszy syna, poczęła mówić z nim nie tyle o wyjeździe do Paryża, ile o miłości, którą mu srodze naganiała. Potem od wyrzutów do tkliwych pieszczot i słów przymilnych przeszedłszy, prosiła go, aby opiekunów swych posłuchał i na prośbę ich przystał. Girolamo dał się wreszcie nakłonić i przyrzekł, że przez rok, ale nie dłużej, w Paryżu pozostanie.

Owóż więc odjechał do Paryża z sercem pełnym miłości. Opiekunowie tak zręcznie w Paryżu przetrzymywać go umieli, że przez dwa lata tam przebywał. Gdy zaś wreszcie, jeszcze bardziej niż wprzód zakochany, do Florencji powrócił, dowiedział się, że Salwestra została żoną pewnego florenckiego rzemieślnika, robiącego namioty. Z tego powodu w niezmierną rozpacz popadł, aliści wiedząc, że nic tu zmienić nie lza, starał się w miarę sił swoich nad sobą zapanować. Uznawszy, gdzie Salwestra mieszka, począł krążyć koło jej domu, jak to zakochani młodzieńcy czynić są w obyczaju, wierzył bowiem, że białogłowa, jemu podobna, jeszcze o nim nie zapomniała. Omylił się jednakoż, bowiem Salwestra nie chciała nawet wspominać o nim, tak jakby go nigdy

nie była znała. A jeśli nawet wspomniała go czasem, to nie okazywała tego po sobie. Strapiony młodzian przekonał się o tym wrychle, ku swojej wielkiej rozpaczy, mimo to jednak nie litował starań, aby znów na się uwagę jej zwrócić. Ponieważ wszystkie te wysiłki płonnymi się okazały, postanowił tedy choćby za cenę życia chwilkę rozmowy z nią uzyskać. Wywiedziawszy się od jednego z sąsiadów o modłę życia małżonków, wśliznął się pewnego wieczoru do domu Salwestry, gdy ta właśnie pospołu z mężem i sąsiadami na mieście bawiła, i ukrył się w sypialnej komnacie za sztukami namiotowego płótna. Tak ukryty doczekał się ich powrotu. Wkrótce usłyszał, że się do łoża kładą. Gdy mąż zasnął, podszedł do łoża Salwestry i położywszy jej rękę na piersi, rzekł cichym głosem:

— Czy śpisz, najdroższe serce moje?

Białogłowa, która jeszcze nie spała, chciała krzyknąć, aliści Girolamo zaklął ją:

— Na Boga, nie krzycz! Jestem twoim Girolamem!

— Girolamo, na miłosierdzie boskie, odejdź stąd co prędzej — odparła Salwestra, drżąc całym ciałem. — Już minął ten czas, gdy będąc dziećmi mogliśmy kochać się nawzajem. Wiesz przecie, że mężatką jestem! Nie chcę znać żadnego mężczyzny krom męża mego. Dlatego też na rany Chrystusa cię zaklinam, opuść mnie w tej chwili. Gdyby cię mąż mój usłyszał, to co najmniej takie nieszczęście z tego by wynikło, że nie mogłabym już z nim żyć w zgodzie i spokoju, podczas gdy teraz, kochana przez niego, spokojną i szczęśliwą się czuję.

Młodzieniec słowami tymi w samo serce tknięty jął jej przypominać przeszłość i miłość swoją, której ani rozłąka, ani lata złamać nie mogły; zaklinał ją i błagał, ale to wszystko na nic się nie zdało. Postanowiwszy życie sobie odjąć, począł na koniec ją prosić, aby w imię tak wielkiej miłości zezwoliła mu położyć się obok niej i nieco się ogrzać, skostniał bowiem od zimna, czekając na nią. Przyrzekł jej przy tym, że się jej nie dotknie i że, ogrzawszy się nieco, odejdzie natychmiast. Salwestra, niejakim współczuciem przenikniona, zgodziła się. Wówczas Girolamo położył się przy niej, nie tykając jej. Skupiwszy całą myśl na wspomnieniach długiej miłości i nadziejach utraconych, z życiem rozstać się postanowił. Wstrzymał tedy oddech, ścisnął kurczowo ręce i nie poruszywszy się umarł. Po pewnym czasie białogłowa, zadziwiona jego spokojem i wstrzemięźliwością i obawę żywiąca, aby mąż się nie obudził, rzekła:

— Czas już odejść, Girolamo!

Nie usłyszawszy odpowiedzi, była przekonana, że Girolamo zasnął. Dlatego też wyciągnęła rękę, chcąc go obudzić, aliści dotknąwszy jego ciała poczuła, że jest ono

zimne jak lód, co ją wielkim zadziwieniem napełniło. Trąciła go silniej, jednakoż Girolamo nie poruszył się. Dopiero wówczas upewniła się, że umarł. Osłupiała i zgrozą przejęta, przez długi czas nie wiedziała, co jej uczynić należy. Wreszcie postanowiła opowiedzieć mężowi o tym zdarzeniu, aliści przedstawić je tak, jakby ono nie jej, lecz kogoś innego dotyczyło. Zbudziła tedy męża, opowiedziała mu rzecz całą, która rzekomo gdzie indziej się zdarzyła, i zapytała go, co by uczynił, gdyby podobny przypadek mu się przytrafił? Poczciwiec odpowiedział, że według jego zdania, należałoby po cichu zwłoki odnieść na próg domu zmarłego, żonie zasię nijakiej krzywdy nie czynić, bowiem ona winy za to ponosić nie może.

— Jeśli tak — rzekła Salwestra — to i nam podobnie uczynić wypada.

Wziąwszy męża za rękę, kazała mu dotknąć ciała młodzieńca. Mąż Salwestry, srodze zalękniony, zerwał się z łoża, rozniecił światło i nie mówiąc ni słowa, ubrał trupa w jego szaty. Po czym, przekonany o niewinności żony, wziął ciało na barki i zaniósł je na próg domu zmarłego, gdzie je pozostawił.

Gdy o świcie martwego Girolama na progu znaleziono, podniósł się lament powszechny. Osobliwie rozpaczała matka zmarłego. Obejrzano całe ciało; ponieważ jednak najmniejszej rany ani sińca na nim znaleźć nie można było, lekarze orzekli, że młodzieniec zmarł z dusznej boleści, co w samej rzeczy prawdą było. Później odniesiono ciało do kościoła. Wkrótce przybyła tam matka Girolama, wielką boleścią złamana, w towarzystwie wielu krewniaczek i sąsiadek. Wszystkie, zwyczajem naszym, łkały rzewnie i zawodziły nad trumną. Gdy ów płacz nieutulony się podniósł, poczciwy rękodzielnik, w którego domu Girolamo umarł, rzekł do swojej żony:

— Zarzuć płaszcz na siebie, idź do kościoła, wmieszaj się między niewiasty i posłuchaj, co ludzie o tym między sobą mówią. Ja zrobię to samo i wcisnę się między mężczyzn, żeby przekonać się, czy czegoś przeciwko nam nie powiadają.

Młoda białogłowa, zbyt późno litością do zmarłego przenikniona, odziała się i poszła, tak jakby ochotnie chciała patrzyć na młodzieńca, któremu, póki żył, nawet jednego pocałunku skąpiła. Osobliwą i jakże trudną do uchwycenia jest zaiste potęga miłości! Serce, które głuche na wołania Girolama pozostało, gdy ten żył we wszelkiej pomyślności, teraz odkryło się i zmiękło wobec niedoli. Płomień dawnej miłości zbudził się w Salwestrze od nowa, a na widok martwego oblicza, niezmierzona żałość ją objęła. Okryta szczelnie płaszczem, przecisnęła się przez tłum kobiet i do zwłok się przybliżyła. Tutaj z przeraźliwym krzykiem padła twarzą na trupa i nawet zrosić go łzami nie zdołała, bowiem ledwie się ciała dotknęła, skonała, tak jak on, duszną boleścią rażona.

Wszystkie przytomne białogłowy rzuciły się ku niej, nie wiedząc, kim jest, aby ją pocieszyć i podnieść, aliści Salwestra leżała bez ruchu. Co widząc, gwałtem ją od zwłok oderwać chciały; dopiero wówczas spostrzegły, że jest to Salwestra, już martwa. Białogłowy, wstrząśnięte podwójnym współczuciem, uderzyły w ogromny płacz. Wieść o nieszczęsnym zdarzeniu obiegła wkrótce całe miasto i doszła do uszu przewijającego się w tłumie męża Salwestry, który długo płakał, na wszelkie pociechy nieczuły. Po czym opowiedział przytomnym, co zaszło tej nocy między młodzieńcem a jego żoną; dzięki temu podał na jaśnię przyczynę ich śmierci. Wszyscy nad tym boleli. Przybrano tedy ciało młodej kobiety w stosowne szaty i położono je na tych samych marach obok ciała młodzieńca. Później w wspólnej mogile zwłoki pogrzebiono. Miłość nie mogła za życia kochanków połączyć, za to śmierć nierozerwalnymi i wiecznymi więzami ich sprzęgła".

Opowieść dziewiąta. Okrutny mąż

Wilhelm z Roussillonu każe żonie swojej zjeść serce umiłowanego przez nią Wilhelma Cabestanh, którego on zamordował. Uznawszy o tym, białogłowa rzuca się z wysokiego okna i umiera. Grzebią ją pospołu z kochankiem.

Neifile opowieścią swoją powszechne współczucie niewiast dla nieszczęśliwych kochanków wzbudziła. Król, nie myśląc naruszać przywileju Dionea i wiedząc, że już wszyscy tego dnia opowiadali, zaczął sam w te słowa:

— Miłe damy! Przyszła mi na myśl opowieść, która was, co tak serdecznie odczuwacie niedole kochających, silniej poruszyć musi niż poprzednie, jako że znaczniejsze były osoby, o które w niej idzie, i okrutniejszy dostał się im los.

„Wiedzcie tedy, że zgodnie z prowansalskim podaniem, dawnymi czasy żyło w Prowancji dwóch rycerzy, posiadających wasali i zamki. Jednego z nich zwali Wilhelmem z Roussillonu, drugiego Wilhelmem z Cabestanh. Ci dzielni rycerze, jako równie waleczni w boju, w ścisłej przyjaźni żyli. Na wszystkie turnieje i orężne zawody zjawiali się razem, jednako odziani i z jednaką na tarczy dewizą. Zamki ich o dziesięć mil od siebie oddalone były. Wilhelm z Roussillonu posiadał wielce urodziwą żonę. Cabestanh, nie bacząc na wierną przyjaźń i zażyłość, łączącą go z Wilhelmem z Roussillonu, zakochał się niezmiernie w jego żonie i ze wszystkich sił starał się afekt swój jej wyrazić. Dama, znająca go jako dzielnego i szlachetnego rycerza, spostrzegła to i zapłonęła doń równą miłością, tak iż nikogo droższego odeń na świecie dla niej nie było, i czekała tylko, by zwrócił się do niej. Po niedługim czasie tedy stało się to i

wzajemnością miłości cieszyć się poczęli. A gdy mniej ostrożnie sobie poczynali, przed Wilhelmem z Roussillonu ukryć się nie zdołali. Ów tak wielkim gniewem się zapalił, że cała jego dawniejsza miłość dla Cabestanha w śmiertelną się przemieniła nienawiść. Ukrył jednak staranniej nienawiść swoją aniżeli kochankowie miłość i postanowił zabić Wilhelma.

Gdy tedy Roussillon takie zamysły w duszy piastował, zdarzyło się, że wielki turniej we Francji obwołany został. Wilhelm natychmiast uwiadomił o tym Cabestanha i kazał mu powiedzieć, że jeśli chce, niechaj przyjeżdża do niego, a wówczas naradzą się, czy i w jaki sposób na turniej się udać. Cabestanh odpowiedział z radością, że następnego dnia przybędzie niechybnie na wieczerzę do zamku przyjaciela. Roussillon postanowił wówczas zamysły swoje w czyn wcielić. Uzbroił się, wsiadł na konia i w towarzystwie dobranych sług swoich podążył na miejsce oddalone od jego zamku może o milę drogi; tam ukrył się w lesie koło drogi, którą miał przejeżdżać Cabestanh. Poczekawszy kęs czasu, ujrzał Cabestanha nadjeżdżającego bez broni, z dwoma bezbronnymi sługami. Widać było, że niczego nie podejrzewa ani nie obawia się.

Gdy Wilhelm zbliżył się do miejsca zasadzki, zdradziecki Roussillon z wściekłością rzucił się na niego i krzyknąwszy: »Giń, łotrze!«, przebił go lancą na wylot. Cabestanh, nie mając możności nie tylko bronić się, ale choćby jedno słowo wymówić, zwalił się z konia, lancą przeszyty, i wkrótce ducha wyzionął. Słudzy jego, nie starając się nawet dowiedzieć, kto był mordercą ich pana, zawrócili konie i czym prędzej pomknęli do zamku z powrotem.

Roussillon zsiadł z rumaka, otworzył nożem pierś Cabestanha i własnymi rękoma serce mu z piersi wyrwał. Po czym owinął je w chorągiewkę od kopii i powierzył je jednemu ze sług, którym najściślejszą tajemnicę zachować przykazał. Po chwili wsiadł na konia i późną nocą do domu powrócił. Żona jego, wiedząc, że Cabestanh ma przybyć na wieczerzę, czekała nań z niecierpliwością. Zadziwiona, nie widząc, by kochanek nadjeżdżał, rzekła do męża:

— Dlaczego Cabestanh dotąd nie przybył?

— Dał mi znać, że przed jutrem przybyć do nas nie może — odparł Wilhelm.

Wiadomość ta nieco zatrwożyła damę. Roussillon zaś zsiadłszy z rumaka przywołał kucharza i rzekł:

— Weź to serce dzika, którego ubiłem, i przyrządź z niego najsmakowitszą potrawę, jaką tylko potrafisz. Gdy zasiądę do stołu, przyślij ją na srebrnym półmisku.

Kucharz wziął serce, posiekał je, przyprawił sosem, dobrymi korzeniami i przyzwawszy na pomoc cały swój kunszt, wyborny kąsek przygotował. Wilhelm o zwykłej porze siadł do wieczerzy pospołu z żoną. Podano potrawy, aliści Wilhelm jadł mało, bowiem myśli jego były zbyt zajęte zbrodnią, którą popełnił. Wreszcie zjawił się na stole srebrny półmisek. Rycerz, nie tknąwszy potrawy, powiadając, że tego wieczora nie ma apetytu, podsunął ją żonie swojej i zalecił jako rzecz wyborną. Dama, przy dobrym apetycie będąca, skosztowała, a ponieważ wydała się jej smakowita, więc zjadła wszystko.

Pan Wilhelm, ujrzawszy to, rzekł:

— Jakże ci smakowała ta potrawa, żono?

— Zaprawdę, bardzo — odparła dama.

— Nie dziwię się temu — rzekł rycerz — cóż to bowiem dziwnego, dalipan, że w tym, co za życia ponad wszystko miłym ci było, po śmierci znajdujesz upodobanie.

Dama zadumała się przez chwilę nad tymi zagadkowymi słowami, a potem spytała:

— Nie pojmuję. Cóż zatem do zjedzenia mi daliście?

— Zjadłaś — odparł rycerz — serce pana Wilhelma Cabestanh, którego tak miłowałaś, wiarołomna niewiasto! Nie wątp o prawdzie tego, co ci powiadam, sam bowiem własnymi rękoma przed kilku godzinami z piersi mu je wydarłem.

Nie trza mówić nawet, jaka była rozpacz damy, gdy usłyszała straszną wieść o człeku, którego ze wszystkich sił miłowała.

— Postąpiliście nie jako rycerz, lecz jak zdrajca i łotr — rzekła po chwili. — Cabestanh mnie nie niewolił, a jeśli uczyniłam go panem mego serca i przez to ujmę ci uczyniłam, to mnie, a nie jego, kara za to dosięgnąć była powinna. Bóg nie zwoli jednak, abym inny pokarm kiedykolwiek do ust wziąć miała po spożyciu tak szlachetnej potrawy jak serce pana Wilhelma Cabestanh, rycerza nieporównanej dzielności i dworności.

To rzekłszy wstała od stołu, podeszła do okna, które było za nią, i nie zastanawiając się chwili, tyłem runęła z niego na ziemię. Okno to tak wysoko nad ziemią się znajdowało, że dama nie tylko zabiła się, ale i całkiem pogruchotała.

Rycerz przeraził się niezmiernie i pojął, że źle uczynił. Obawiając się zemsty ludu i grabiego Prowancji, kazał osiodłać rumaka i w świat wyruszył. Nazajutrz rano wieść o smutnym zdarzeniu rozniosła się po całej okolicy. Ciała Wilhelma Cabestanh i jego damy zabrali dworzanie z zamków obojga kochanków pośród niepomiernego bólu i płaczu, po czym w kościele zamkowym nieszczęsnej pani do jednego złożono je

grobowca. Na głazie wyryto wiersze, które wiadomymi czyniły ich imiona i przyczynę ich zgonu”.

Opowieść dziesiąta. Cudowne przytrafienie pewnego nieboszczyka

Żona pewnego doktora, mniemając, że kochanek jej umarł, wkłada go uśpionego do skrzyni, którą z nim dwóch lichwiarzy do domu swego zabiera. Gdy rzekomy nieboszczyk do zmysłów powraca, o kradzież go oskarżają. Służka damy opowiada sędziemu, że sama do skrzyni młodzieńca włożyła, i w ten sposób od stryczka go uwalnia, a lichwiarze za kradzież skrzyni na karę pieniężną skazani zostają.

Teraz gdy król skończył, jeno Dioneo miał jeszcze opowiadać. Wiedząc to, nie czekał na rozkaz, ale zaczął w te słowa:

— Smutne dzieje nieszczęśliwych kochanków, które przedmiot poprzednich opowieści stanowiły, dość mnie i was, drogie damy, rozrzewniły, dlatego też czekałem tylko, kiedy dobiegną końca. Chwała Bogu, te płaczliwe historie już swój kres znalazły, ja zasię nie myślę ich liczby jeszcze i moją opowieścią pomnażać. Opowiem wam wesołą i miłą historię, która oby dobrym zwiastunem dla jutrzejszego dnia była.

„Wiadome wam zapewne, że w Salerno żył niedawno znakomity medyk, biegły w chirurgii, mistrz Mazzeo della Montagna. Do lat szedziwych przyszedłszy, ożenił się on z piękną i młodą dzieweczką, także z Salerno pochodzącą. Hołubił troskliwie młodą żonę, obdarzał ją drogocennymi szatami, klejnotami i wszystkim, co niewieściej próżności może być drogie, tak iż pyszniła się bardziej niż jakakolwiek inna w mieście białogłowa. Jedno tylko nie po myśli jej było: często ziębła w łożu nocą, mąż bowiem nie starał się o jej należyte okrycie. I jak sędzia Ricciardo da Chinzica, o którym była już mowa, żonę swoją świętami durzył, tak Mazzeo della Montagna wmawiał w swoją żonę, że po każdej nocy rozkoszy Bóg wie jak długiego odpoczynku dla nabrania nowych sił potrzeba. Plótł jej przy tym siła różnych bzdur, które młodej białogłowie niezbyt do smaku przypadały. Żona pana Mazzea, niewiasta zabiegliwa i rozsądna, postanowiła dla oszczędzenia zapasów domowych wyjść na miasto i u innych się pożywić.

Jęła się przeto przyglądać pilnie różnym młodzieńcom i wreszcie wybrała jednego, na którym oparła wszystkie swoje nadzieje, tęsknoty i całe szczęście swoje. Młodzieniec, spostrzegłszy to, równe upodobanie w niej znalazł i zwrócił ku niej całą miłość swoją. Zwano go Ruggierim d'Ajeroli; chociaż z szlachetnego pochodził rodu,

wiódł jednak żywot tak występny i plugawy, że w końcu nie ostało mu ani jednego krewniaka lub przyjaciela, który by go znać i widywać pragnął. Po całym Salerno o jego wszeteczeństwach słuchy chodziły. Aliści dama niewiele dbała o sądy ludzkie, bowiem Ruggieri przypadł jej do serca dzięki innym swoim przymiotom. Za pośrednictwem służki umówiła się z nim na schadzkę. Gdy się na osobności znaleźli i już pragnieniom swoim folgę dali, dama poczęła strofować Ruggiera za jego dotychczasowy sposób życia i błagać go, aby dla jej miłości na przyszłość się odmienił. Dla ułatwienia mu zasię poprawy, wspomagała go raz większą, to znów mniejszą sumą pieniędzy.

Gdy kochankowie tak w tajności szczęściem się swoim cieszyli, zdarzyło się, że medyk miał opatrzyć chorego, którego cała noga była w ranach. Zbadawszy go, lekarz oświadczył jego krewniakom, że trza z nogi wyjąć nadpsutą kość, gdyż innej rady nie masz. Gdy się rzecz w odwłokę poda, to trzeba będzie albo odjąć mu całą nogę, albo też chory umrze. Jeśli zaś kość się wyjmie, to zapewne chory do zdrowia powróci, chocia ręczyć za to nie sposób. Niechaj zatem krewniacy dobrze to wszystko zważą! Krewniacy zgodzili się na medyczny zabieg; lekarz wiedząc, że chory zabiegu tego nie wytrzyma bez dania mu usypiającego środka, wstrzymał się do wieczora, a za dnia zabrał się do przygotowania pewnego napoju tą cnotą obdarzonego, że po wypiciu go chory w tak twardy sen wpadał, iż można go było krajać bez obawy o jego przebudzenie się. Przyrządziwszy ten napój, postawił go na stole w swojej komnacie, aliści nie uprzedził nikogo, jaka jest jego właściwość. Wieczorem, gdy lekarz już do chorego miał się udać, przysłali po niego jego serdeczni przyjaciele z Amalfi, którym nijak odmówić nie mógł. W mieście tym w czasie bójki siła ludzi okrutnie poraniono. Dlatego też medyk odłożył zabieg do następnego dnia, sam zasię w barce do Amalfi pośpieszył. Żona jego, wiedząc, że na noc do domu nie wróci, zaraz uwiadomiła o tym Ruggiera. Gdy kochanek przybył, zamknęła go w komnacie, czekając, aż domownicy spać się pokładą. Ruggieri, czekając na damę, poczuł silne pragnienie być może ze znużenia albo też dlatego, że jadł jakąś słoną potrawę. Spostrzegłszy napój przygotowany dla chorego, pomyślał, że jest to woda, schwycił przeto butelkę i zawartość jej do ostatniej kropli wypił. Po chwili nieodparty sen go zmorzył, tak iż zwalił się na skrzynię jak kłoda.

Gdy się w domu uciszyło, dama weszła do komnaty, a znalazłszy uśpionego Ruggiera, po cichu budzić go poczęła i wołać głosem stłumionym. Aliści wysiłki jej próżne były, bowiem Ruggieri nie drgnął nawet i słowa nie wymówił. Wówczas dama, nieco zmieszana, trąciła go silniej i rzekła: »Wstawaj, śpiochu! Jeśliś chciał się wyspać, trzeba było w domu pozostać«. Ruggieri, silnie potrząśnięty, zwalił się bezwładnie ze

skrzyni na ziemię, jak martwe ciało, nie dając najmniejszej życia oznaki. Przerażona dama poczęła go trząść, tarmosić, szczypać za nos i ciągnąć za brodę, wszystko na próżno jednak, bowiem Ruggieri spał jak zabity. Wówczas dama, tknięta myślą, że Ruggieri umarł, chwyciła się ostatecznego środka i zapaloną świecą przypiekać go poczęła; ale gdy i to nie pomogło, nie wątpiła już o śmierci kochanka. Chocia żona lekarza, niewiele bowiem wiedziała o sztuce medycznej. Nie trza nawet mówić, jak się bardzo strapiła, kochając go zaiste ponad wszystko; nie śmiąc krzyczeć, jęła płakać po cichutku i gorzko na swoją dolę się żalić. Po chwili, uspokoiwszy się nieco, postanowiła, dla uniknięcia wielkiej hańby, pozbyć się nieboszczyka z domu. Ponieważ sama tego dokonać nie mogła, wezwała po kryjomu służkę i wskazawszy jej, co się stało, o radę ją poprosiła. Służka, wielce zadziwiona, poczęła znów szarpać i szczypać młodzieńca, aliści widząc, że jej wysiłki żadnego nie odnoszą skutku, oświadczyła, że ani chybi umarł i że należy ciało z domu usunąć.

— Gdzież jednak zwłoki położymy? — zapytała dama. — Gdy je jutro ludzie obaczą, zaczną podejrzewać, że z naszego domu wyniesione zostały.

— Madonno — rzekła służka — dzisiaj późnym wieczorem widziałam skrzynię przed warsztatem stolarza, znajdującym się naprzeciw naszego domu. Jeśli jej jeszcze dotąd nie zabrano, przyda nam się ona wielce. Chocia skrzynia jest dość mała, przecie wepchniemy w nią ciało, któremu uprzednio kilka ciosów nożem zadać trzeba. Któż będzie mógł przypuścić, że je właśnie od nas wyniesiono, a nie skądinąd? Wszyscy wiedzą, że Ruggieri był zawołanym hultajem, pomyślą, że jakiś wróg go zabił, a potem w tej skrzyni ukrył.

Dama pochwaliła radę służki, nie zgodziła się jeno na zadanie trupowi ciosów nożem. Za żadne skarby świata przystać na to nie chciała. Później poleciła służce zobaczyć, czy skrzynia jeszcze na swoim miejscu stoi. Służka przyniosła odpowiedź twierdzącą, a potem, jako rosła i silna dziewczyna, wzięła zwłoki Ruggiera na plecy. Dama wyszła przed dom, aby obaczyć, czy nikogo w pobliżu nie ma; później obie zbliżyły się do skrzyni, wepchnęły w nią ciało i wieko zawarły.

Niedaleko od domu medyka mieszkało dwóch młodzieńców zajmujących się lichwą, którzy w tych dniach do miasta powrócili. Za zasadę mieli, by brać, co się da, a dawać jak najmniej. Zauważywszy tedy dnia poprzedniego skrzynię, umyślili ją ukraść, jeśli tylko stolarz przed nocą jej nie zabierze, chcieli bowiem zaradzić brakowi sprzętów w swojej komnacie. Skoro tedy północ minęła, wyszli po cichu z domu i znalazłszy skrzynię, nie mieszkając ją porwali, chociaż dziwnie ciężką im się być wydawała.

Zanieśli ją do domu i postawili obok komnaty żon swoich, nie bawiąc się zbytnio jej oglądaniem. Potem na spoczynek się udali. W tym czasie Ruggieri spał krzepkim snem. Jednakoż ziele powoli siłę swoją traciło, tak iż młodzieniec obudził się przed świtem. Chociaż jednak sen go już opuścił, a zmysły odzyskały swą władzę, pozostało mu niejakie odurzenie, którego nie tylko przez noc, ale i przez wiele dni następnych pozbyć się nie mógł. Rozwarł szeroko oczy, aliści nic nie widząc dokoła, począł rękoma macać. Dorozumiawszy się, że w jakiejś skrzyni się znajduje, pamięć wysilając, rzekł do siebie: »Co to ma znaczyć? Gdzież ja jestem? Czy śpię, czy też obudzony jestem? Przypominam sobie, że wieczorem bawiłem w komnacie mojej kochanki, a teraz zdaje mi się, że jestem w jakiejś skrzyni zamkniony. Cóż to ma znaczyć? Może lekarz powrócił albo może coś niespodziewanego zaszło, tak iż jego żona musiała mnie tu śpiącego ukryć. Ani chybi, tak być musi«. Do tej myśli przyszedłszy, dech w sobie zaparł i jął nadsłuchiwać, czy czegoś nie usłyszy. Gdy jednak przez czas dłuższy najgłębsze milczenie trwało, a jemu od leżenia w ciasnej skrzyni bok, na którym się opierał, wielce doskwierać począł, chciał się Ruggieri na drugą stronę przewrócić; tak się jednak niezręcznie i gwałtownie poruszył, że uderzywszy z całej siły o ścianę skrzyni nierówno stojącej, zachwiał nią, a później ją z strasznym hukiem przewrócił. Rumor ten obudził śpiące w pobliżu kobiety, które z wielkiej trwogi oniemiały i leżały, milcząc, jak martwe. Ruggieri sam także upadkiem skrzyni niepomału się przeraził, ujrzawszy jednak, że wieko się otworzyło, nie mieszkając wylazł z swojej klatki, nie chciał bowiem, aby go we wnętrzu zdybali. Nie wiedział jednak, gdzie się znajduje; idąc po omacku, szukał jakichś schodów lub drzwi, przez które mógłby umknąć.

Białogłowy, usłyszawszy, że ktoś po komnacie chodzi, spytały wreszcie:

— Kto tam?

Ruggieri, słysząc nieznajome mu głosy, nie odpowiedział. Wówczas białogłowy poczęły wołać na swoich mężów, aliści ci, po długim czuwaniu tej nocy, spali krzepkim snem i niczego nie słyszeli. Przerażone niewiasty wyskoczyły z łóżek i podbiegły do okna, wołając:

— Złodzieje, złodzieje!

Na ten krzyk obudzili się i przybiegli sąsiedzi, którzy wprost z ulicy, a także przez dach do domu lichwiarzy się dostali. Wreszcie i gospodarze oczy otwarli. Ruggieri spostrzegłszy, że znajduje się w całkiem nieznanym mu miejscu, z zadziwienia przytomność utracił i uciekać nawet nie próbował, nie wiedząc zresztą, w którą kierować się stronę. Schwytano go też zaraz i oddano zbirom wielkorządcy, którzy także

na ów wrzask przybiegli. Zbiry przywiedli Ruggiera do sędziego, który, znając go jako wielkiego wszetecznika, natychmiast na pytki wziąć go rozkazał. Młodzieniec, bólem okrutnym przymuszony, wyznał, że wszedł do domu lichwiarzy w zamiarze okradzenia ich. Wówczas sędzia na powieszenie go skazał.

Na drugi dzień po całym Salerno gruchnęła wieść, że Ruggieri w domu lichwiarzy na gorącym uczynku kradzieży przychwycony został. Żona doktora i służka, usłyszawszy o tym, w takie osłupienie popadły, iż prawie uwierzyć były skłonne, że wszystko, co zeszłej nocy się przydarzyło, nie prawdą, lecz snem było. Krom tego, damę prawie do szaleństwa przywodziła myśl o grożącej jej miłośnikowi śmierci. W tym czasie powrócił z Amalfi medyk, który natychmiast po powrocie kazał sobie podać przygotowany napój, chciał się bowiem do chorego udać. Ujrzawszy pustą flaszę, jął krzyczeć w gniewie, że w domu nijakiego ładu nie masz. Żona jego, inne troski mająca na głowie, odparła niecierpliwie:

— Przecżże to dla rzeczy tak błahej podobny gwałt podnosisz? Wielce mi ważna sprawa, że woda rozlana została! Zaliż nie ma więcej wody na świecie?

— O głupia białogłowo! — zawołał doktor — mniemasz więc, że to zwykła woda była? Muszę ci rzec, że w wielkim błędzie jesteś, był to bowiem napój, który choremu na sen zadać chciałem.

Dama, słowa te usłyszawszy, pojęła od razu, że Ruggieri tej wody napić się musiał, dzięki czemu do nieboszczyka stał się podobien. Odrzekła tedy swemu mężowi:

— Nie wiedziałyśmy o tym wcale, ale możecie przecie nowy napój przygotować!

Mistrz, widząc, że innej rady nie ma, zabrał się do pracy od nowa.

Po chwili powróciła służka, którą dama wysłała, aby o Ruggierim języka zasięgnęła, i rzekła:

— Madonno, wszyscy już Ruggiera opuścili i źle o nim mówią. Jak się dowiedziałam, dotąd żaden krewniak ani przyjaciel nie upomniał się oń, tak iż wasz kochanek znikąd pomocy oczekiwać nie może. Pospolicie sądzą, że kat go jutro obwiesi. Posłuchajcie mnie teraz uważnie, zdaje mi się bowiem, że odgadłam, jakim sposobem Ruggieri u lichwiarzy mógł się znaleźć. Rzecz się tak miała: Znacie dobrze stolarza, przed którego drzwiami stała skrzynia? Owóż przed chwilą widziałam stolarza, sprzeczającego się zawzięcie z jakimś człekiem, który był, ani chybi, właścicielem skrzyni. Człek ten domagał się zapłaty za skrzynię, stolarz zasię twierdził, że jej nie sprzedał, bowiem mu ją tej nocy ukradziono. »Łżesz niegodnie — zawołał wówczas właściciel skrzyni — widziałem ją bowiem w domu lichwiarzy tej nocy, gdy Ruggiera pochwycono. Mówili

mi sami, żeś im ją sprzedał«. »Tedy oni kłamią, a nie ja — odparł stolarz — nigdy im jej bowiem nie sprzedawałem; musieli mi ją ukraść tej nocy. Chodźmy do nich«.

To rzekłszy, stolarz pospołu z właścicielem skrzyni udali się do domu lichwiarzy, ja zasię przybiegłam tutaj. Dowodnie z tej rozmowy widać, jakim sposobem Ruggieri mógł się do ich domu dostać. Pojąć jeno nie mogę, jak mu się zmartwychwstać udało.

Dama wiedziała już dobrze, co myśleć o całym zdarzeniu, dlatego też powtórzyła służce zaraz słowa doktora. Potem poczęła ją zaklinać, by ratowała Ruggiera od niechybnej śmierci, aliści w ten sposób, by jej cześć szwanku nie doznała. Wówczas służka obiecała, że uczyni wszystko, co w jej mocy się okaże, niechaj tylko dama nauczy ją pierwej, jak ma postąpić. Dama, czując nóż na gardle, ułożyła naprędce stosowny plan i służkę szczegółowie weń wtajemniczyła.

Dziewczyna udała się, nie mieszkając, do lekarza i rzekła doń z płaczem:

— Ach, panie, muszę błagać was o przebaczenie, bowiem srodze wobec was zawiniłam.

— Jakaż to wina? — spytał mistrz.

— Znacie wszak młodzieńca Ruggiera d'Ajeroli — odparła łkając ciągle. — Upodobał mnie sobie i wszystkimi siłami, łask i gróźb nie szczędząc, zdołał mnie nakłonić k'temu, żem jego kochanką została. Dowiedziawszy się wczoraj, że was nie będzie w domu, to na mnie wymógł, żem go do swej komnaty wpuściła. Nagle pić mu się zachciało; nie wiedziałam, skąd wody lub wina dostać, nie chciałam przy tym, aby mnie obaczyła żona wasza, która właśnie w jadalni się znajdowała. Przypomniawszy sobie, że w komnacie waszej widziałam flaszkę z wodą, pobiegłam po nią co tchu; gdy Ruggieri wodę wypił, odniosłam flaszkę z powrotem na dawne miejsce. Wiem, że o to krzyk wielki podnieśliście w domu, wiem, że zawiniłam, któż jednak nie grzeszy czasami? Wielce boleję nad tym, co zrobiłam, ale bardziej nad wszystkim, co z tego wynikło, bo Ruggieri głowę położyć tu może. Błagam was przeto, przebaczcie mi i pozwólcie mi Ruggiera ratować.

Lekarz, chocia rozgniewany, nie mógł się wstrzymać od śmiechu i rzekł żartobliwie:

— Jeśliś komu na złość uczyniła, to chyba samej sobie, bowiem miast dzielnego towarzysza, który by ci dobrze przetrząsł futro, miałaś w łożu jednego z braci śpiących. Idź teraz i ratuj swego miłośnika od postronka, a na przyszłość nie waż się go do domu sprowadzać, bowiem rozprawię się wówczas z tobą za wszystkie twoje sprawki.

Służka rada, że pierwszy wybieg tak jej się udał, pobiegła, nie mieszkając, do więzienia i tyle na strażniku wymogła, że pozwolił się jej z Ruggierim obaczyć.

Wyjaśniwszy pokrótce Ruggierowi, co sędziemu powiedzieć winien, aby się ocalić, sama co rychlej do sędziego pośpieszyła. Ów, obaczywszy świeżą i piękną dziewczynę, dał poznakę, że chciałby bliżej jej przymioty poznać, czemu młódka nie sprzeciwiła się wcale dla dobra sprawy. Gdy się to przedwstępne badanie skończyło, rzekła:

— Uwięziliście, panie, Ruggiera d'Ajeroli za kradzież, popełniając przez to wielką niesprawiedliwość.

Za czym opowiedziała mu całą historię od początku do końca, a więc, jak swego miłośnika do domu doktora wwiodła, jak przez nieświadomość dała mu napoju na sen i jak, za umarłego go poczytując, w skrzyni go ukryła. Powtórzyła także rozmowę stolarza z właścicielem skrzyni, z której dowiedziała się, jakim sposobem Ruggieri do domu lichwiarzy się dostał.

Sędzia pojął od razu, że nietrudno będzie dojść, azali jej słowa są prawdą rzetelną. Naprzód wybadał lekarza, czy sprawa z napojem w samej rzeczy tak się miała, później, przyzwawszy stolarza, właściciela skrzyni i lichwiarzy, po długich dochodzeniach uznał, że skrzynia przez lichwiarzy ukradziona i w nocy do ich domu przeniesiona została. Wreszcie posłał po Ruggiera i zapytał go, gdzie ostatni wieczór spędził? Ruggieri odparł, że nie wie o tym i że to tylko sobie przypomina, iż przybył do służki doktora Mazzeo w zamiarze spędzenia z nią nocy; potem, gdy mu się pić zachciało, napił się wody; co się dalej stało, nie wie, krom tego, że ocknął się w skrzyni w domu lichwiarzy.

Sędzia, słów Ruggiera wysłuchawszy, mało się nie rozpukł ze śmiechu, i kazał kilkakrotnie zeznania powtarzać, zarówno jemu, jak służce, stolarzowi i lichwiarzom. Po czym wypuścił Ruggiera z więzienia, uznawszy go za niewinnego, a lichwiarzy za kradzież skrzyni skazał na zapłacenie dziesięciu uncyj złota. Nie trza mówić, jak Ruggieri i jego dama cieszyli się z takiego obrotu sprawy, śmiejąc się pospołu z tak miłą im służką, która radziła pchnąć nożem ciało młodzieńca. Kochankowie żyli jeszcze wiele lat, ciesząc się coraz doskonalszym szczęściem swojej miłości. Pragnąłbym dla siebie podobnego szczęścia, pod tą jednak kondycją, że w skrzyni by mnie nie zamkniono".

Jeżeli poprzednie opowieści tego dnia serca dam smutkiem napełniły, to opowieść Dionea taki śmiech w nich wzbudziła, że o wszystkich smutkach zapomniały.

Król, widząc, że słońce ku zachodowi kłonić się poczyna, zapowiadając kres jego rządów, jął krotochwilnymi słowy przepraszać damy za wybranie tak smutnej do opowieści materii, nieszczęść kochanków dotyczącej. Po czym podniósł się, zdjął z głowy wawrzynowy wieniec i wśród powszechnego oczekiwania dam starających się

odgadnąć, kogo królową uczyni, włożył go na złotowłosą głowę Fiammetty z tymi słowami:

— Tobie ten wieniec oddaję, wiem bowiem, że żadna z naszych towarzyszek nie potrafi lepiej od ciebie jutro nas rozweselić i rozproszyć smutku, który dzisiaj w sercach naszych zapanował.

Długi, falisty, jasny włos Fiammetty spływał wdzięcznie na jej białą, aksamitną szyję, a lica jej krągłe jaśniały krasą białych lilij i purpurowych róż. Oczy jej błyszczały jak źrenice sokoła, a wargi maleńkich ust podobne były do rubinów. Wziąwszy wieniec z rąk Filostrata, rzekła z uśmiechem:

— Zgoda, Filostracie! Z chęcią z rąk twoich koronę tę przyjmuję; abyś zasię lepiej zdał sobie sprawę z tego, coś uczynił, chcę i rozkazuję, aby każdy przygotował na jutro opowieść o szczęśliwym końcu różnych przeciwieństw, którym zakochani podlegali.

Materia ta wszystkim do gustu przypadła. Po czym nowa królowa, przywoławszy marszałka i omówiwszy z nim sprawy niecierpiące zwłoki, dała całemu towarzystwu swobodę aż do czasu wieczerzy. Rozeszli się więc wszyscy, z miejsc powstawszy, jak zwykle, jedni udali się do sadu, którego pięknościami nie można się było łatwo przesycić, drudzy poszli drogą ku młynom, które warczały opodal, inni wreszcie tu i owdzie różnych przyjemności szukali. Gdy czas wieczerzy nadszedł, zebrali się jak zwykle koło fontanny. Po wieczerzy, zgodnie z obyczajem, pod przewodnictwem Filomeny rozpoczęli śpiewy i tańce. W czasie gdy Filomena wdzięcznie pląsała, królowa rzekła do Filostrata:

— Nie chcąc odróżniać się czymkolwiek od moich poprzedników, za ich przykładem rozkazuję, aby jakaś pieśń odśpiewana została. Ponieważ zaś przekonana jestem, że twoje pieśni do opowieści twych podobne być muszą, wzywam cię tedy do odśpiewania czegoś, w czym upodobanie znajdujesz, by smutek już nam nie osnuwał mrokiem dni pozostałych.

Filostrato, nie wzdragając się wcale, taką pieśń zaśpiewał:

Dla jakich przyczyn biedne serce moje
Wieczystą skargą na miłość wybucha,
Chcę opowiedzieć. Niech mnie każdy słucha!
Gdy po raz pierwszy spłynęła w mą duszę
Miłość, dla której dziś znoszę katusze
I łzy goryczy wylewam bez końca,

Jaśniejszą była mi od gwiazd i słońca
I tak radosną, że jej chęciom gwoli
Do najstraszniejszych byłbym gotów kaźni!
Lecz wnet poznałem błąd mej wyobraźni:
To była złuda, która wabi, drażni,
Na to, by strącić w odmęty niedoli.
Tak… Opuściła mnie okrutnie ona,
Choć rajem dla mnie były jej ramiona.
Na głuchą pustkę otwarła mi oczy,
Gdym już cel pragnień miał posiąść uroczy.
Gdym obraz marzeń widział niedaleki,
Nagle odeszła ode mnie na wieki!
Na próżno serce moje krwią dziś broczy,
Inne już w piersiach jej tleje kochanie.
A mnie zostały: rozpacz i wygnanie!
Więc zrozpaczony, smutny i sierocy,
Rzewnymi skargi żalę się wśród nocy,
Wieczną męczarnią trawię się i ginę,
I klnę, niestety, ten dzień i godzinę,
W której ujrzałem jej wdzięki zwodnicze
I blask dokoła siejące oblicze,
Najpowabniejszą zguby mej przyczynę!
Zbywszy się wiary i nadziei słońca,
Klnie ją ma dusza, od boleści mrąca!
Że już na ziemi jestem jak przechodzień,
Wie Bóg, co modłów moich słucha co dzień;
Niechaj śmierć przyjdzie i litośnym razem
Życie i boleść uciszy zarazem!
Z uśmiechem dusza będzie świat żegnała!
Konając składać będę za to dzięki,
Gdziekolwiek bowiem dusza pójdzie z ciała,
Z uśmiechem szczęścia będzie świat żegnała.
Więc kiedy tylko śmierć mi jedna płuży
I kiedy wytrwać już nie mogę dłużej,

O ześlij mi ją, Amorze okrutny!
Niechaj wśród nocy jęk i głos mój smutny
Kochankom szczęsnej chwili nie zamąca,
Niech się mą śmiercią cieszy triumfująca
Ona, dla której tak byłeś rozrzutny,
Że aż dwa serca zapaliłeś dla niej,
Z których tu jedno krwawi się i rani!
O pieśni moja, pieśni w łzach skąpana,
Już niepowtórna, nienaśladowana,
Której żałości nikt udać nie zdoła.
Leć wołać śmierci cichego anioła!
Powiedz mu, jak mi ciężkie życia brzemię,
Niech miłosiernie spłynie na tę ziemię,
Wysłucha głosu, co błagalnie woła.
I na twe prośby tkliwszy niż na moje,
W krainę ciszy weźmie nas oboje.
Dla jakich przyczyn biedne serce moje
Wieczystą skargą na miłość wybucha,
Zrozumie każdy, kto mnie dziś wysłucha!

Słowa tej pieśni ukazały, jaki jest stan duszy Filostrata, a takoż wyjaśniły stanu tego przyczyny. Być może, iż więcej jeszcze powiedziałby wygląd jednej z pań pląsających, gdyby mroki nocy, która już zapadła, nie skryły rumieńca, jaki wystąpił na jej lica. Po tej pieśni jeszcze wiele innych odśpiewano, aż wreszcie, gdy stosowna pora na spoczynek nastała, wszyscy na rozkaz królowej po swoich komnatach się rozeszli.

Kończy się czwarty dzień Dekameronu i zaczyna piąty, w którym pod przewodem Fiammetty mówi się o szczęściu, jakie przytrafiło się niektórym kochankom po przygodach ciężkich i żałosnych.

Dzień piąty

Opowieść pierwsza. Podwójne porwanie

Cymon, zakochawszy się, rozumnym człekiem się staje i porywa na morzu umiłowaną swą Ifigenię. Na wyspie Rodos dostaje się do więzienia, z którego uwalnia go Lysimachus. Obaj razem porywają Ifigenię i Kasandrę w czasie ich wesela i uciekają z nimi na Kretę; później z nimi, jako żonami swymi, do ojczyzny zostają przyzwani.

Już wschód w srebrzystej stanął bieli i słońce promieniami swymi całą naszą półkulę oświeciło, gdy Fiammetta, zbudzona wdzięcznymi śpiewy ptaków, zwiastujących z drzew i krzewów pierwszą dnia godzinę, wstała i resztę towarzystwa obudzić kazała. Zebrawszy się, udali się na przechadzkę. Wolnym krokiem zeszli w pola i przechadzali się po rozległej dolinie wśród pokrytych rosą traw, wesoło gwarząc o rzeczach różnych, póki słońce nie stanęło wyżej na niebie. Gdy słoneczne promienie żarem tchnąć poczęły, towarzystwo do domu powróciło, aby pokrzepić się wybornym winem i różnych słodyczy skosztować. Potem, do obiadu, wszyscy w ogrodzie rozkosznym się zabawiali. Gdy czas obiadu nadszedł, marszałek wszystko do posiłku przygotował. Na rozkaz królowej zagrano na cytrze i kilka piosenek odśpiewano, a potem towarzystwo ochoczo do stołów zasiadło. Po wesołym, ale pełnym umiaru obiedzie wedle obyczaju poczęli tańczyć przy dźwięku instrumentów. Wreszcie królowa wszystkich na spoczynek odpuściła. Niektórzy legli na łoża, inni zasię ostali w ogrodzie, aby różnym rozrywkom się oddawać. Gdy nadeszła godzina dziewiąta, wedle obyczaju wszyscy zebrali się koło fontanny. Królowa, pierwsze miejsce zająwszy, spojrzała z uśmiechem na Panfila i rozkazała mu rozpocząć szereg wesołych opowieści. Panfilo, posłuszny wezwaniu, zaczął w te słowa:

— Miłe damy! Wiele znam opowieści, którymi wesoły dzień dzisiejszy zacząć by było można, ale jedna z nich szczególnie mi do smaku przypada, nie tylko bowiem szczęśliwie się kończy, czego materia naszych opowieści dzisiaj wymaga, lecz i okazuje dowodnie, jak świętą, potężną i dobroczynną jest moc miłości, która wiele ludzi niewiedzących, co mówią, ośmiela się najniesłuszniej ganić i przeklinać. Mniemam, że wszystkie tutaj zebrane miłujecie; dlatego też historia moja przypaść wam winna do serca.

„Z starożytnych kronik wiadomo nam, że na wyspie Cypr żył ongiś człek szlachetnego rodu, zwany Aristippem, z którego mieniem mienie żadnego z jego

współziomków w paragon wchodzić nie mogło. Los mu wielce sprzyjał we wszystkim krom jednej rzeczy, która mu wiele smutku przyczyniała. Jeden z jego synów, urodą i postacią nad braćmi swymi górujący, miał wielce tępe przyrodzenie i żadnych nie budził nadziei. Młodzieńca tego zwano Galeso. Chocia preceptor starań i trudów, a rodzic pieszczot i plag nie litował, nie sposób mu było wbić w głowę czy to litery alfabetu, czy zasady przystojnych obyczajów. Głos jego pozostał grubym i chrapliwym, a zachowanie godniejsze bydlęcia niż człowieka. Dlatego też nazwano go kpiąco Cymonem, co tyle znaczy w tamtejszym języku, ile u nas »bałwan« lub »bydlę«. Nieszczęśliwy ojciec płakał gorzko nad losem syna, aż wreszcie, straciwszy wszelką nadzieję uszlachetnienia go, wysłał go na wieś, aby tam z parobkami przestawał, nie chciał bowiem mieć ciągle na oczach ciężkich swoich zmartwień powodu. Cymon wielce się z tego ucieszył, bowiem obyczaje pospólstwa bliższe mu były niźli obyczaje ludzi polerownych. Udał się zatem na wieś i tam gospodarstwem się zajął. Pewnego dnia po południu szedł z kijem na ramieniu z jednego folwarku na drugi. Był maj. Droga szła przez piękny gaik, który w tej porze roku stał w zieleni. Ani chybi, sam los jego krokami kierował. Przechodząc przez łączkę, otoczoną wysokimi drzewami, obaczył wielce urodziwą młodą dzieweczkę, śpiącą obok źródła tchnącego świeżością. Cienka, przezroczysta szata, okrywająca śpiącą dzieweczkę, pozwalała dokładnie rozróżnić jej piękne kształty. Śnieżnej białości okrycie szczelniej ją zasłaniało tylko od pasa do nóg. U stóp jej spoczywały dwie białogłowy i mężczyzna, widać na służbie u niej pozostający. Cymon jakby po raz pierwszy w życiu obaczył kształtne członeczki niewieście; oparty na kiju, w niemym osłupieniu przypatrywał się dzieweczce długo i uważnie. I oto nagle w jego nieokrzesanej duszy, której tysiączne usilne starania uszlachetnić dotąd nie zdołały, zrodziła się myśl, że dziewczę to jest najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek śmiertelny wzrok mógł ujrzeć. Tak myśląc zważał pilnie wszystkie jej ciała ponęty, podziwiał prześliczne jej włosy, które mu się złotymi wydawały, czoło, usta, nos, szyję i ramiona, w szczególności zaś dziewicze piersi, nie całkiem jeszcze rozwinięte. Przedzierzgnąwszy się nagle z gbura w wielbiciela piękności, jął pragnąć gorąco, aby dzieweczka otworzyła oczy, głębokim snem zamknione. Kilka razy przychodziła nań pokusa obudzenia młódki, iżby je zobaczyć; aliści, jako że zdała mu się ona od wszystkich widzianych białogłów piękniejsza, nie śmiał tego uczynić, ze strachu, że mógłby w niej jakąś boginię obrazić. Wiedząc tyle, że niebiańskie istoty mają większe prawo do czci niźli ziemskie, postanowił zaczekać, aż dzieweczka sama oczy otworzy. To oczekiwanie męczyło go, jednakoż zatopiony w rozkoszy nie ruszał się z miejsca.

Wreszcie dzieweczka, którą Ifigenią zwano, ocknęła się wcześniej od swych towarzyszy, podniosła głowę i obaczywszy Cymona, który stał przed nią, na lasce oparty, wielce się zdziwiła i rzekła:

— Czego szukasz, Cymonie, w gaju o tej godzinie?

Cymon znany był w tej okolicy każdemu, dzięki swojej urodzie, głupocie i bogactwu swojego ojca. Nie odparł on nic na pytanie Ifigenii, jeno wpatrywał się uparcie w jej oczy, bowiem zdało mu się, że spływa nań z nich jakaś niewymowna słodycz, dotychczas mu nieznana. Dzieweczka spostrzegła to, a obawiając się, aby dzikus od tak osobliwego wpatrywania się w nią nie przeszedł do jakichś nieobyczajnych ruchów, podniosła się, zawołała na służbę swoją i rzekła:

— Bądź zdrów, Cymonie!

Cymon jednak, nie chcąc odejść, odparł:

— Pójdę z tobą!

I chociaż młódka, wciąż jeszcze mu niedowierzająca, przystać na to nie chciała, pozbyć się go nie mogła i młodzieniec aż do samego domu ją odprowadził. Po czym udał się natychmiast do swego rodzica i oznajmił mu, że pod żadnym warunkiem dłużej na wsi nie pozostanie. Ojcu i krewniakom wielce to nie po myśli było, pozwolili mu jednakoż wrócić do miasta, ciekawi byli bowiem dowiedzieć się, co tak jego gusty odmieniło. Cymon zaś, którego serce, żadnemu wpływowi dotąd nieprzystępne, piękność Ifigenii strzałą miłości przeniknęło, w krótkim czasie ojca swego, krewniaków i wszystkich znajomych w zadziwienie wprawił. Naprzód bowiem poprosił ojca, aby dał mu te same stroje i ozdoby, co jego braciom, na co ojciec zgodził się z radością. Potem jął przestawać z młodzieńcami wykształconymi, uczył się od nich obyczajów i dworności, które szlachetnie urodzonym ludziom, a zwłaszcza kochankom, przystoją, i w ten sposób, ku powszechnemu zadziwieniu, w krótkim przeciągu czasu nie tylko samych liter się nauczył, aliści stał się i w filozofii uczniem wielce biegłym. Wszystko to było skutkiem jego miłości do Ifigenii. Wkrótce nie tylko głos gruby i prostacki przemienił w miły i pełen ogłady, ale opanował kunszt śpiewu i grę, stał się zawołanym jeźdźcem i we wszelkich wojennych ćwiczeniach na lądzie i morzu celować począł. Nie będę się tutaj szerzył nad wszystkimi jego przymiotami, powiem jeno, że i cztery lata nie minęło od dnia, w którym się zakochał, a już młodzieży cypryjskiej wykształceniem i szlachetnymi obyczajami przodował. Cóż więc, urodziwe panie, rzec będziemy mogli o tym Cymonie? Ani chybi, pomyśleć musimy, że w jego niepospolitej duszy kryły się bogate dary niebios, które zawistna fortuna w najsilniejszych pętach w małym zakącie

jego serca trzymała; dopiero Amor, od fortuny potężniejszy, łańcuchy te rozerwał. Bóg miłości, co budzi drzemiące talenta, rozproszył mgłę i umysł jasnym światłem oświecił, chcąc pokazać, z jakich otchłani może ducha człowieczego wydobyć, aby jego przymioty w niezaćmionym przedstawić blasku. Chociaż Cymon, jak to pospolicie z zakochanymi młodzieńcami się zdarza, w objawach swej miłości do Ifigenii nieraz miarę przechodził, jednakoż ojciec jego wszystko to cierpliwie znosił; owszem, zważywszy, że Amor syna jego z barana na człowieka przemienił, zachęcał go sam do miłości. Młodzieniec przez pamięć, że Ifigenia przy pierwszym spotkaniu Cymonem go nazwała, zatrzymał to imię, zamiast właściwego, Galeso. Cymon, pragnąc miłość swoją uwieńczyć, kilkakroć udawał się do Cypsea, ojca Ifigenii, aby go o jej rękę poprosić. Aliści Cypseo odpowiadał zawsze, że przyrzekł był ją już młodemu rodyjskiemu szlachcicowi, Pasimundzie.

Gdy nadszedł dzień ułożonych zaślubin, narzeczony przysłał po Ifigenię. Wówczas Cymon rzekł do siebie: »O Ifigenio, teraz przyszła stosowna pora, w której dowieść należy, jak cię miłuję. Dzięki tobie człowiekiem się stałem, a jeśli cię teraz posiądę, zaiste za równego bogom się poczytam! Albo będziesz należała do mnie, albo zginę«.

Zwoławszy w tajności na naradę kilku przyjaciół, uzbroił okręt, wyruszył na nim na morze i jął oczekiwać na statek, który miał odwieźć Ifigenię na Rodos do jej męża.

Tymczasem ojciec młodej dziewczyny, przyjąwszy z wielką czcią wysłańców swego przyszłego zięcia, oddał im Ifigenię, a statek, wypłynąwszy na morze, skierował swój dziób ku Rodos. Cymon, niezasypiający sprawy, dopadł go następnego dnia. Zbliżywszy się do korabia, zawołał wielkim głosem:

— Zatrzymajcie się i zwińcie żagle, jeżeli nie chcecie zginąć w głębi morza!

Na ten okrzyk Rodyjczycy porwali za broń i do walki się przygotowali. Cymon zarzucił hak żelazny na tył rodyjskiego statku, który uchodził pośpiesznie, i przyciągnąwszy go do dzióba swego okrętu, skoczył nań z odwagą lwa, nie oglądając się nawet, czy kto idzie w jego ślady, i nie zważając na liczbę wrogów swoich. Miłość dodała mu sił. Z nożem w ręku rzucił się w sam środek nieprzyjaciół, którzy wokół niego, ranni i martwi, padali jak barany. Wreszcie Rodyjczycy, grozą przejęci, rzucili broń i za zwyciężonych się uznali, błagając Cymona, aby ich wziął w niewolę. Wówczas Cymon rzekł do nich:

— Młodzieńcy! Nie żądza łupu ani nienawiść do was pobudziła mnie k'temu, że opuściwszy Cypr z orężem w ręku tu, na morzu, na was napadłem. To, co jest dla mnie najdrogocenniejszym skarbem i co mi na czyn ten porwać się kazało, łatwie i bez zwady otrzymać od was mogę. Miłuję Ifigenię ponad wszystko, a jeśli siłą z rąk waszych ją

biorę, to winien temu jest jej rodzic, który mi jej po dobrej woli dać nie chciał. Stanę się dla niej tym samym, czym chciał być wasz Pasimunda. Oddajcie mi ją i ruszajcie z Bogiem!

Rodyjczycy raczej z konieczności niż z dobrej woli oddali Cymonowi płaczącą Ifigenię. Cymon, ujrzawszy ją we łzach, zawołał:

— Nie trap się, najmilsza! Jestem twoim Cymonem, który wytrwałą miłością swoją więcej praw do ciebie zyskał niźli Pasimunda dzięki obietnicy rodzica twego.

Po czym, nie tknąwszy nic z własności Rodyjczyków, rozkazał przeprowadzić dzieweczkę na swój pokład, wrócił sam na statek i odpłynął.

Cymon, niezwykle uradowany z tak drogocennej zdobyczy, ze wszystkich sił starał się pocieszyć Ifigenię. Potem zwołał na radę towarzyszów swoich i spytał, azali bezpiecznie będzie na Cypr powrócić. Wszyscy osądzili, że lepiej będzie ku Krecie się obrócić, gdzie niemal każdy z nich, a zwłaszcza Cymon, dzięki dawnym i nowym związkom, wielu przyjaciół i znajomych posiadał i gdzie, jak sądzili, mogli być z Ifigenią bezpieczni. Aliści niestała fortuna, która tak łatwie pozwoliła mu owładnąć umiłowaną dzieweczką, nagle niezmierną radość zakochanego młodzieńca w gorzki smutek przemieniła. Nie upłynęły bowiem jeszcze cztery godziny od chwili napaści na rodyjski korab, gdy nastąpiła noc, od której Cymon najwyższej, nieznanej mu jeszcze rozkoszy się spodziewał; aliści podniósł się wiatr gwałtowny, niebo się zamroczyło chmurami i całe morze strasznie się poburzyło. Nikt nie wiedział, co począć ani w którą stronę okręt płynie; marynarze, spełniając swoją służbę, z trudnością na nogach się utrzymywali. Jak głęboko się tym Cymon strapił, mówić nawet nie trzeba. Zdało mu się, że bogowie tylko dlatego jego marzenie spełnili, aby silniej odczuł teraz okropność śmierci, która go dawniej nie straszyła. Towarzysze jego także w głos się skarżyli, ale najżałośniej zawodziła Ifigenia, płacząca i drżąca całym ciałem przy każdym pochyleniu się okrętu. W rozpacznych słowach przeklinała miłość Cymona i wyrzekała na jego zuchwalstwo, twierdząc, że gniew bogów jest przyczyną tej burzy, bowiem bogowie nie chcąc, aby Cymon, wzbity w pychę, wbrew ich woli za małżonkę ją pojął, postanowili naprzód ją życia pozbawić, a potem i jego uśmiercić. Wiatr tymczasem dął z coraz większą siłą, tak iż marynarze całkiem głowy potracili.

Gdy tak wszyscy nie wiedzieli, dokąd płyną, okręt zbliżył się do brzegów Rodosu. Marynarze, nie domyślając się nawet, że to Rodos, i widząc brzeg ziemi, wszelkich wysiłków dokładali, ażeby na ląd się dostać i życie uratować. Los był im w tej mierze przychylny, wiatr zagnał okręt do małej zatoki, do której niedawno zawinął był okręt z

Rodyjczykami. Dopiero gdy świt nastał i zorza na niebie błysnęła, towarzysze Cymona ujrzeli okręt Rodyjczyków, stojący od nich nie dalej jak na strzał z łuku. Na ten widok Cymon przeraził się niewymownie i rozkazał wszelkich sił ku temu dołożyć, aby buchtę opuścić, choćby potem i przyszło zdać się na losy przeciwne, nigdzie bowiem groźniejsze niebezpieczeństwo na nich czekać nie może. Wszystkie ich wysiłki jednakoż daremne były; okrutny wicher dął tak silnie, że nie tylko wyjść im na pełne morze nie dozwolił, ale mimo rozpacznego oporu, do lądu ich przyparł. Gdy tylko do brzegu się przybliżyli, natychmiast marynarze rodyjscy ich poznali. Kilku z nich pobiegło do pobliskiego grodu, aby uwiadomić młodych panów rodyjskich, którzy już pierwej na ląd wyszli, że Cymon z Ifigenią zostali przygnani burzą do tego samego miejsca co i oni. Szlachcice rodyjscy, niezmiernie tą wieścią uradowani, zebrawszy liczną gromadę uzbrojonych ludzi, pobiegli na brzeg morski. Tymczasem Cymon i jego ludzie, opuściwszy pokład, postanowili w pobliskim lesie schronienia szukać, aliści pochwycono ich wraz z Ifigenią i do wsi odprowadzono. Pasimunda na wieść o tym wniósł skargę przed senat rodyjski. Senat wysłał Lysimacha, będącego w tym roku wielkorządcą Rodosu, z mnogim oddziałem żołnierzy, aby stamtąd Cymona wraz z jego towarzyszami do więzienia przeprowadził. Takim oto sposobem postradał nieszczęśliwy Cymon ledwie pozyskaną Ifigenię, nie otrzymawszy od niej nic więcej od kilku pocałunków. Ifigenię powitały ze czcią szlachcianki rodyjskie, starając się zatrzeć w jej pamięci wrażenia niewoli i strachu, przeżytego przez nią w czasie burzy, i zajmując się nią troskliwie aż do dnia naznaczonego na zaślubiny.

Pasimunda wielce się o to starał, aby Cymon i jego towarzysze na śmierć skazani zostali, jednakoż szlachta rodyjska, z którą ów tak łaskawie się był obszedł, wolność jej powracając, nastawała na to, aby życie im darowano, skazując ich jeno na wieczyste więzienie. Cymon z towarzyszami znalazł się tedy w lochu, gdzie wiek swój trawił w rozpaczy, nie mając żadnej nadziei na wyzwolenie. Tymczasem, gdy Pasimunda z przygotowaniami do wesela się śpieszył, los, jak gdyby żałując krzywdy Cymonowi wyrządzonej, przyszedł mu z nieoczekiwaną pomocą.

Pasimunda miał młodszego, ale nie mniej godnego brata, imieniem Ormisda, który przez długi czas ubiegał się o rękę pewnej pięknej i szlachetnej dziewicy, Kasandrą zwanej. Ową Kasandrę miłował także Lysimachus; Pasimunda, przygotowując wielkie uroczystości na dzień swych zaślubin, pomyślał, że dla uniknięcia niepotrzebnych wydatków i straty czasu, dobrze będzie jednocześnie z swoim weselem wesele Ormisdy odprawić. Porozumiał się tedy raz jeszcze z rodzicami Kasandry i skłonił ich do tego, iż

Ormisdę za zięcia przyjęli, zgadzając się na dopełnienie zaślubin tego samego dnia. Lysimachus, dowiedziawszy się o tym postanowieniu rodziców Kasandry, niszczącym wszystkie jego nadzieje, niepomiernie się strapił; dotychczas bowiem spodziewał się ciągle, że jeśli Ormisdzie odmówią, to on Kasandrę dostanie. Jednakoż, jako człek wielce roztropny, z gniewem swym się nie zdradził, ale jął rozmyślać nad tym, jak by wykonaniu tych zamysłów przeszkodzić, wreszcie postanowił, że jest tylko jeden środek: porwanie Kasandry. Sprawa ta wydała mu się łatwa ze względu na godność, jaką piastował, ale bardziej z tego powodu występna.

Po długiej walce dusznej cześć ustąpiła wreszcie miejsca miłości i Lysimachus postanowił uprowadzić Kasandrę, choćby go to i życie kosztować miało. Głowiąc się nad tym, czyją pomoc mógłby tu sobie zapewnić i jak do rzeczy przystąpić, wspomniał o Cymonie, który pospołu z towarzyszami w lochu siedział. Lepszych i wierniejszych pomocników w tym wypadku znaleźć by nie mógł. Najbliższej nocy rozkazał tedy tajnie ich do siebie przywieść i rzekł do nich w te słowa:

— Cymonie! Bogowie, rozdzielający łaskawie i hojnie dary swoje między śmiertelników, lubią także często cnotę ich na twarde próby wystawiać. Tych, których w losu niestatkach stałymi i nieugiętymi znajdują, obdarzają nagrodą najwyższą, bowiem uważają ich za zasługujących ze wszech miar na nią. Dlatego też i ciebie postanowili doświadczyć w większej mierze, niżby to było możliwe, gdybyś przebywał w domu ojca swego, który, jak słyszę, jest pono wielce bogatym człowiekiem. Naprzód tedy, jak powiadają, serce twoje zapaliło się pragnieniem miłości, która z grubego zwierzęcia w człowieka cię przemieniła; potem nieszczęsnych przygód i więzienia zaznać musiałeś. Bogowie drogą tych doświadczeń uznać pragną, czy duch twój silnym pozostał, takim, jakim był wówczas, gdyś się radował, zdobyczą owładnąwszy. Jeśli jest tak w samej rzeczy, to bogowie gotowi są obdarzyć cię najwyższym szczęściem, o czym chcę cię uwiadomić, abyś już teraz dawne siły ducha w sobie skrzepił. Otóż Pasimunda raduje się z zwycięstwa swego nad tobą i chciał, byś śmierć poniósł, a teraz przyśpieszyć się stara związek swój z Ifigenią, którą los już raz tobie oddał po to, aby ją ci nagle odebrać. Jak nad tym boleć musiałeś, wiem najlepiej ja, bowiem podobne cierpienia znoszę. W tym samym dniu co ciebie i mnie okrutny los ma spotkać: obaczę Kasandrę żoną Ormisdy, który jest bratem wroga twego. Jeden tylko widzę środek, aby móc do podobnej niesprawiedliwości fortuny nie dopuścić: z orężem w ręku porwać musimy umiłowane przez nas białogłowy. Powrócona ci wolność bez Ifigenii wielkiej wartości,

jak tuszę, dla ciebie mieć nie może; aliści odzyskanie niewiasty tej kładą ci w ręce bogowie, jeżeli chcesz wziąć udział w tym, co zamierzyłem.

Słowa te powróciły Cymonowi straconą otuchę. Nie namyślając się długo, odparł w te słowa:

— Lysimachu! Nie znajdziesz wierniejszego i mężniejszego pomocnika niźli ja. Rzeknij mi tylko, co mam uczynić, a obaczysz, że dokonam wszystkiego z nadprzyrodzoną prawie siłą.

— Za trzy dni — rzekł Lysimachus — młode oblubienice mają wstąpić do domu swoich mężów. Wieczorem tedy, ty ze swymi towarzyszami, a ja z oddziałem zbrojnych, którym ufam najbardziej, wtargniemy do wnętrza domu o zmierzchu, porwiemy nasze umiłowane od biesiadnego stołu i uprowadzimy je na okręt, który już tajemnie przygotować kazałem. Kto nam na wstręcie stanąć się odważy, zginie nędznie!

Zamysł ten wielce się Cymonowi podobał. Powrócił spokojnie do więzienia i jął czekać na dzień oznaczony. Nadszedł wreszcie dzień zaślubin. Zaczęła się wspaniała uczta i cały dom obu braci wesołością rozbrzmiewał. Tymczasem Lysimachus wszystko już przygotował. Cymon, jego towarzysze i przyjaciele Lysimacha otrzymali broń, którą pod szatami ukryli. Lysimachus gorącymi słowy do walki ich zagrzał, a potem na trzy hufce podzielił. Pierwszy ostawił w przystani, aby nikt w stosownej chwili na okręt wejść im nie przeszkodził, a z dwoma drugimi do domu Pasimundy wyruszył. Tutaj jeden oddział stanął przed drzwiami na przypadek, gdyby ktoś od wnętrza te drzwi zamknąć się starał, odwrót im odcinając. Nareszcie na czele ostatniego oddziału Cymon i Lysimachus weszli na górę, do sali weselnej, gdzie obie oblubienice, otoczone damami, za stołem siedziały pożywając. Napastnicy obalili stoły, pochwycili swoje umiłowane i natychmiast powierzyli je towarzyszom z rozkazem, aby je na okręt uprowadzili. Białogłowy poczęły płakać i lamentować, goście i służba także krzyk podnieśli, tak iż cały dom wrzawą i jękiem się napełnił. Cymon i Lysimachus dobywszy mieczów przebili się z towarzyszami przez tłum gości ku wyjściu, nie napotykając oporu. Na schodach rzucił się na nich Pasimunda, który, na gwałt podniesiony, nadbiegł z ogromną pałką w ręku. Cymon ciął go mieczem tak potężnie przez głowę, że go trupem u nóg swoich położył. Od drugiego ciosu poległ nieszczęsny Ormisda, śpieszący na pomoc bratu swemu. Kilku innych, chcących podejść bliżej, odparli towarzysze Lysimacha i Cymona i rannych porzucili na placu. Ostawiwszy dom, pełen krwi, jęków, skarg i żałoby, nie mieszkając, wraz z łupem bez przeszkód do okrętu dotarli. Wprowadziwszy białogłowy

na pokład i wszyscy znalazłszy się na statku, odbili od brzegu, bowiem już im zagrażał tłum zbrojnych, którzy śpieszyli na odsiecz białogłowom.

Po przybyciu na Kretę Cymon i Lysimachus, serdecznie przez licznych krewniaków i przyjaciół witani, zaślubili damy swoje wśród nieskończonych i świetnych uroczystości, ciesząc się wywalczoną zdobyczą. Na Cyprze i Rodosie długo jeszcze chodziły słuchy o ich zuchwałym czynie, który powszechne wzburzenie wywołał. Aliści tu i tam, dzięki poplecznictwu przyjaciół i krewnych, wreszcie winowajcom przebaczono, tak iż Cymon z Ifigenią na Cypr, a Lysimachus z Kasandrą na Rodos zadowoleni powrócili. Tam pospołu z żonami swymi długo jeszcze w szczęściu i w miłości żyli".

Opowieść druga. Strzały Martuccia

Konstancja miłuje Martuccia Gomito. Usłyszawszy o jego śmierci, z rozpaczy wypływa samotnie na morze w czółnie, które przybija do brzegu w Suzie. Znalazłszy umiłowanego przy życiu w Tunisie, uwiadamia go o swoim przybyciu. Martuccio, który dzięki swym radom pozyskał łaski króla, żeni się z nią i na Lipari jako wielce bogaty człek powraca.

Gdy Panfilo opowieść swoją skończył, królowa wielkimi pochwałami go obdarzyła, a potem Emilii dalej ciągnąć kazała. Emilia w te słowa zaczęła:

— Każdy słusznie cieszyć się musi, jeśli widzi, że nagroda pragnieniom dorównuje. Ponieważ zaś miłości bardziej się uśmiech szczęścia niż łza strapienia należy, chętniej tedy wypełnię wolę obecnej królowej niż jej poprzednika, króla.

„Wiedzcie zatem, miłe przyjaciółki, że niedaleko od Sycylii znajduje się mała wysepka Lipari, gdzie przed niedawnym czasem żyła młoda dzieweczka niezwykłej urody, córka bogatych ludzi, Konstancją zwana. Miłował ją niejaki Martuccio Gomito, także z wyspy tej pochodzący, wielce urodziwy, szlachetny i obyczajny młodzieniec. Dzieweczka odpłacała mu równą miłością i tylko wtedy szczęśliwą się czuła, gdy go przy sobie miała. Martuccio, pragnąc ją pojąć za żonę, poprosił jej ojca, aby mu ją dał w stadło, aliści otrzymał odpowiedź, że Konstancja nigdy się nie stanie małżonką ubogiego człeka. Martuccio, srodze poruszony, że z przyczyny ubóstwa nim wzgardzono, postanowił Lipari opuścić. Przed odjazdem przysiągł krewniakom i przyjaciołom, że nie wróci do domu pierwej, zanim się bogatym człowiekiem nie stanie. Po czym odpłynąwszy począł przy brzegach Berberii korsarstwem się parać, grabiąc

każdego, kto okazał się słabszym od niego. Los mu wielce sprzyjał i wszystko jak najlepiej by było, gdyby zdołał w szczęściu miarę zachować. Martuccio i jego towarzysze, nieukontentowani z nagromadzonych w krótkim czasie skarbów, pragnęli niezmiernymi bogactwami owładnąć. Pewnego dnia napadli na nich na swych statkach Saraceni, którzy po zaciętej walce w niewolę ich wzięli i złupili. W czasie boju wielu towarzyszów Martuccia żywot postradało; okręt Martuccia zatopiony został, on sam zasię uprowadzony do Tunisu i tam do lochu na długą niedolę wtrącony. Po wyspie Lipari wkrótce poszły słuchy, przez wiele ust powtarzane, że Martuccio i wszyscy jego towarzysze śmierć w głębi morza znaleźli.

Młoda dzieweczka, odjazdem Martuccia wielce strapiona, na wieść o jego śmierci długo płakała, aż wreszcie postanowiła życia się pozbawić. Ponieważ jednak nie miała odwagi gwałtowną drogą śmierci sobie zadać, wymyśliła tedy nowy sposób samobójstwa. Pewnej nocy, opuściwszy tajnie dom rodzicielski, pobiegła do portu i ujrzała tam na uboczu barkę rybacką, z masztem, żaglami i wiosłami, których właściciele, co dopiero wylądowawszy, z sobą nie zabrali. Natychmiast wsiadła na nią, po czym odbiła od brzegu, rozpięła żagle (miała bowiem, jak wszystkie mieszkanki wyspy, niejaką w żeglarstwie biegłość), a znalazłszy się na pełnym morzu odrzuciła ster i wiosła i na łaskę fal oraz wiatru się zdała. Konstancja była twardo przekonana, że barka, steru i ładunku pozbawiona, albo się pod wiatrem przewrócić musi, albo też, natrafiwszy na podwodną skałę, roztrzaska się na drzazgi; wówczas ona, choćby się i ratować chciała, uczynić tego nie zdoła i pożądaną śmierć wreszcie w falach znajdzie. Z tą myślą zarzuciła połę swej szaty na głowę i gorzko płacząc, na dnie barki legła. Jednakoż stało się całkiem inaczej, niż przypuszczała. Wiatr od północy dął łagodnie, morze było ciche, barka trzymała się na falach doskonale, tak że nazajutrz pod wieczór znalazła się o sto mil powyżej Tunisu. Przybiła wreszcie do brzegu niedaleko miasta Suzy. Dzieweczka nie wiedziała nawet, czy znajduje się na pełnym morzu, czy u brzegów, nie spodziewając się bowiem żadnego szczęśliwego przypadku, głowy nie podnosiła ani podnosić nie myślała. Tymczasem właśnie w chwili gdy barka o brzeg uderzyła, na wybrzeżu znajdowała się uboga białogłowa, żona rybaka, która sprzątaniem sieci zatrudniona była. Ujrzawszy barkę, wielce się zadziwiła, że łódź z rozpiętym żaglem do brzegu dotarła. Mniemając, że rybacy na barce zasnęli, zbliżyła się do niej i wówczas spostrzegła młodą dzieweczkę, we śnie mocnym pogrążoną. Poczęła na nią wołać i wstrząsać nią, aż wreszcie po długich zachodach obudzić ją zdołała. Uznawszy po szatach dzieweczki, że musi być ona chrześcijanką, zapytała ją w

języku włoskim, jakim sposobem sama na łódce tutaj się znalazła? Konstancja, włoską mowę usłyszawszy, pomyślała, że ani chybi, wiatr się obrócił i że z powrotem do Lipari ją przygnał. Podniosła się tedy co żywo, obejrzała dokoła, a nie poznając wcale tych stron, spytała białogłowy, gdzie się znajduje.

— Dziecię moje — odparła rybaczka — jesteś niedaleko Suzy w Berberii.

Na te słowa dzieweczka srodze się zmartwiła, że Bóg jej śmierci znaleźć nie dozwolił. Nie wiedząc, co jej dalej czynić należy, zmieszana i zawstydzona, usiadła w pobliżu łodzi i gorzko płakać zaczęła. Szlachetna białogłowa, współczująca jej z całego serca, pocieszała ją, jak mogła, aż wreszcie skłoniła ją do tego, że do wnętrza pobliskiej chaty weszła. Tam, uspokoiwszy się znacznie, opowiedziała rybaczce, jakim sposobem w tych stronach się znalazła. Dowiedziawszy się z jej słów, że długo już nic w ustach nie miała, rybaczka dała Konstancji kawałek suchego chleba, rybę wędzoną i szklankę wody, prosząc ją wymownymi słowy, aby się trochę posilić chciała. Konstancja, przystawszy na jej prośbę, spytała białogłowy, kim ona jest i skąd włoską mowę pojmuje? Rybaczka odparła, że pochodzi z Trapani, że się zwie Carapresa i że trudzi się posługami u rybaków-chrześcijan. Dzieweczka, mimo strapienia swego, usłyszawszy imię Carapresa, co jako miła zdobycz się wykłada, sama nie wiedząc dlaczego, za dobrą wróżbę je wzięła i w ściśnionym swym sercu niejaką nadzieję poczuła, tak iż pragnienie śmierci zmniejszyło się nieco. Nie odkrywając rybaczce, kim jest i skąd pochodzi, jęła ją zaklinać, aby nad młodością jej się ulitowała i poradziła jej, co ma uczynić, aby ochronić się od niebezpieczeństw, które jej tutaj zagrażać mogą. Carapresa, wielce szlachetna białogłowa, nie odpowiedziała jej nic na to, pobiegła jeno żywo, aby zebrać pozostawione na brzegu sieci, a po powrocie owinęła ją całą w płaszcz i do Suzy zawiodła. Gdy do miasta weszły, rzekła w te słowa:

— Zawiodę was, pani, do domu pewnej zacnej Saracenki, której często posługuję, gdy zajdzie potrzeba. Jest to szedziwa białogłowa o miłosiernym sercu. Poproszę ją jak najgoręcej, aby nad wami pieczę miała. Upewniona jestem, że przyjmie was jak córkę rodzoną. Wy zaś starajcie się z wszystkich sił o pozyskanie jej względów aż do chwili, gdy Bóg wam lepszy ześle los.

Poczciwa rybaczka uczyniła tak, jak rzekła. Stara Saracenka, wysłuchawszy opowieści rybaczki, spojrzała bacznie na Konstancję, rozpłakała się, pocałowała ją w czoło, a potem wzięła ją za rękę i wprowadziła do swego domu, w którym żyła pospołu z innymi białogłowami bez męskiej kompanii. Białogłowy te zajmowały się rzemiosłem, wyrabiając różne przedmioty z liści palmowych, skóry i jedwabiu. Konstancja po kilku

dniach przyswoiła sobie w części ich kunszt, tak iż mogła w wspólnych pracach udział przyjmować. Gospodyni i jej towarzyszki osobną przychylnością i miłością ją obdarzały. Dzięki ich pomocy młódka wkrótce miejscowej mowy się nauczyła. Tak tedy dzieweczka, którą w Lipari już jako umarłą opłakano, w Suzie żyła.

W tym czasie królem Tunisu był niejaki Mariabdela. Zdarzyło się, że pewien wielce bogaty młodzian, przebywający w Granadzie, a posiadający znaczne skarby i potężnych krewniaków, jął się o koronę Tunisu ubiegać, mówiąc, że jemu przypaść winna. Stanąwszy na czele ogromnego wojska, wyruszył do Tunisu, aby prawego władcę wygnać. Wieść o tym doszła do Martuccia Gomito, który w więzieniu wiek swój trawił. Znając dobrze arabską mowę i słysząc, że król Tunisu wielką armię dla obrony kraju zbiera, rzekł do jednego ze straży:

— Gdybym mógł mówić z królem, dałbym mu jedną radę, dzięki której, jak tuszę, zostałby w tej wojnie zwycięzcą.

Strażnik więzienny powtórzył te słowa swemu dowódcy, a ten o wszystkim królowi doniósł. Król rozkazał Martuccia sprowadzić i zapytał go, jakiej rady chce mu udzielić?

— Panie — odparł Martuccio — jeśli, przebywając od dawna w waszych stronach, dobrze wasz sposób wojowania zważyłem, na tym się on zasadza, że największe znaczenie łucznikom przypisujecie. Dlatego też niewątpliwą rzeczą mi się wydaje, że jeśli u wrogów waszych strzał zabraknie, podczas gdy wy będziecie ich mieli do zbytku, zwycięstwo wam w udziale przypadnie.

— Ani chybi — odparł król. — Ale jak to sprawić?

— Łatwie to zdziałać można — rzekł Martuccio — i zaraz wam, panie, stosowny środek przedstawię. Należy łuczników waszych opatrzyć w łuki z daleko cieńszą cięciwą od używanej zwyczajnie i przysposobić zapas strzał, których karby tylko do tak cienkiej cięciwy się nadadzą. Wszystko to trzeba w głębokiej tajności zachować, tak aby nieprzyjaciel o niczym się nie dowiedział, w przeciwnym razie bowiem, mógłby grożącemu niebezpieczeństwu zaradzić. Gdy już zastępy wrażych łuczników cały zapas swoich strzał wystrzelają, a wasi łucznicy także już bez pocisków zostaną, jedni i drudzy będą musieli wówczas podnosić strzały, co z przeciwnej strony wypuszczone zostały. Aliści nieprzyjaciele waszych strzał użyć nie będą mogli, ponieważ cienkie karby w grube cięciwy łuków wprawić się nie dadzą, podczas gdy wasi łucznicy łatwie nieprzyjacielskimi strzałami prażyć będą mogli. Wojska wasze, panie, będą miały tedy obfitszy zapas pocisków, kiedy wróg swój już wyczerpie.

Król, który był wielce mądrym człowiekiem, pochwalił radę Martuccia i zastosował się do niej, dzięki czemu walne zwycięstwo nad nieprzyjacielem odniósł. Martuccio, szczególne jego względy pozyskawszy, na wysoki stopień dostojności się wzniósł i stał się bardzo możnym człekiem. Słuchy o jego fortunie po całym kraju poszły. Wreszcie i Konstancja, która tak długo Martuccia za umarłego poczytywała, dowiedziała się, że kochanek jej żyje. Miłość do niego, która już w jej sercu ostygła nieco, nowym i gwałtowniejszym jeszcze płomieniem się zapaliła, budząc zarazem wszystkie jej umarłe nadzieje. Młódka postanowiła odkryć wszystko Saracence, w domu której schron znalazła. Oświadczyła jej tedy, że do Tunisu udać się zamierza, aby nacieszyć swe oczy widokiem tego, czego pragnienie uszy w niej obudziły, gdy nowe wieści zasłyszała. Saracenka zamysł jej pochwaliła; czując do młódki afekt macierzyński, wsiadła z nią pospołu na okręt i do Tunisu się udała. Po przybyciu na miejsce zatrzymały się, godnie przyjęte w domu jednej z krewniaczek Saracenki. Konstancja natychmiast wysłała Carapresę, którą z sobą zabrała, aby zasięgnęła wieści o Martucciu. Staruszka wnet dowiedziała się, że Martuccio pośród wielkich dostatków żyje. Wówczas młoda niewiasta poprosiła ją, aby sama do Martuccia się udała i oznajmiła mu, że jego Konstancja do Tunisu przybyła. Staruszka, stanąwszy przed obliczem młodzieńca, tak rzekła:

— Martuccio, jeden z dawnych sług twoich, który przybył z Lipari i stanął w moim domu, pragnie w tajności z tobą pomówić. Nie żywiąc do nikogo ufności, przybyłam do cię sama, aby jak tego chciał, o tym ci oznajmić.

Martuccio za tę uprzejmość stosowny dank jej złożył i udał się za nią do jej domu. Ujrzawszy go, Konstancja o mały włos nie umarła z radości; niezdolna zapanować nad sobą, rzuciła mu się z otwartymi ramionami na szyję. Nie miała siły jednego choćby słowa wymówić i tylko cicho płakała, wspominając przebyte nieszczęścia i wielką obecną radością się ciesząc. Martuccio, obaczywszy Konstancję, z początku się zdziwił, a potem z głębokim westchnieniem rzekł:

— O moja miła Konstancjo! Więc ty żyjesz? Dawno mi już za pewne podawano, że zaginęłaś i w domu nic o tobie nie wiedziano.

Z tymi słowy objął ją i ucałował.

Konstancja opowiedziała mu o wszystkich przypadkach swoich, wspomniała także o dobrodziejstwach doznanych od Saracenki, w domu której schronienie znalazła. Martuccio, po długiej rozmowie z Konstancją, udał się do króla i opowiedziawszy mu całą historię swoją i Konstancji, oznajmił, że za jego zezwoleniem pragnąłby ukochaną

swoją wedle chrześcijańskiego obyczaju zaślubić. Król, zadziwiony niepomału tymi zdarzeniami, rozkazał przywołać Konstancję. Wysłuchawszy jej opowieści, na wszem do opowieści Martuccia podobnej, rzekł:

— Zasłużyłaś sobie w pełni na takiego małżonka!

Potem rozkazał przynieść drogocenne podarki, rozdzielił je między Konstancję i Martuccia i pozostawił im zupełną swobodę stanowienia o losie swoim. Martuccio podziękował w gorących słowach Saracence za jej opiekę nad Konstancją i bogatymi darami ją obsypał. Konstancja ze łzami w oczach staruszkę pożegnała. Później za pozwoleniem króla wsiedli na okręt, wziąwszy z sobą Carapresę i korzystając z pomyślnego wiatru, do Lipari pożeglowali. Przyjęto ich tam z takim uczczeniem i radością, że tego nie lza w słowach wyrazić. Martuccio wspaniałe wesele wyprawił. Żyli potem jeszcze długo, ciesząc się w pokoju wzajemną miłością swoją".

Opowieść trzecia. Na włos od śmierci

Pietro Boccamazza, uciekając z Agnolellą, wpada w ręce łotrzyków. Dzieweczka salwuje się ucieczką do lasu i po pewnym czasie do zamku się dostaje. Pietro, uszedłszy z rąk łotrzyków, po wielu przygodach przybywa do tego samego zamku, żeni się z Agnolellą i razem z nią do Rzymu powraca.

Całe towarzystwo gorącymi pochwałami opowieść Emilii obdarzyło. Gdy nowela do końca doprowadzona została, królowa Elizie opowiadać kazała. Ta, wezwaniu posłuszna, w te słowa zaczęła:

— Przychodzi mi na myśl, miłe damy, straszna noc, którą dwoje nierozważnych kochanków przeżyć musiało. Ponieważ jednak po tej nocy wiele radosnych dni nastąpiło, tedy mogę o niej opowiedzieć, od naznaczonej na dziś materii wcale nie odbiegając.

„W Rzymie, będącym kiedyś głową świata, a dziś jego ogonem, żył przed niedawnymi czasy młodzieniec pewien, imieniem Pietro Boccamazza, do znacznej rodziny rzymskiej należący. Zakochał się on w pięknej i wielce wdzięcznej dzieweczce, Agnolelli, córce niejakiego Gigliuozzo Saullo, człeka podłej kondycji, który mimo to powszechnym mirem w Rzymie się cieszył. Boccamazza potrafił wkrótce wzajemną miłość Agnolelli pozyskać. Pietro, gorącą miłością przynaglany, nie mogąc się oprzeć pragnieniu posiadania umiłowanej dzieweczki, o rękę jej poprosił. Na wieść o tym jego krewniacy zgodnie w surowych słowach ganić jego wybór poczęli. Krom tego, kazali

panu Gigliuozzo Saullo powiedzieć, aby prośbom Pietra posłuchu nie dawał, bowiem, jeśliby dopiął swego, oni nigdy za swego krewniaka ani przyjaciela go nie uznają. Pietro, widząc drogę do szczęścia przed sobą zamknioną, o mały włos nie umarł z rozpaczy. Gdyby tylko Gigliuozzo na to przystał, ożeniłby się wbrew woli całej rodziny swojej. Potem jednak do tej myśli przyszedł, że wystarczy całkiem, jeśli zgodę umiłowanej dzieweczki pozyska. Wybadawszy tedy przez trzecią osobę Agnolellę, dowiedział się, że jest to po jej myśli. Wówczas pospołu z nią uciec z Rzymu postanowił. Opatrzywszy się we wszystkie rzeczy do podróży potrzebne, Pietro pewnego ranka o wczesnej godzinie siadł pospołu z Agnolellą na konia i skierował się do Anagni, gdzie posiadał przyjaciół, na których mógł w zupełności liczyć. Jechali rączo, a obawiając się pogoni, nie mieli czasu oddać się miłości, tylko mówiąc o niej po drodze, od czasu do czasu wymieniali pocałunki. Pietro niezbyt dobrze znał drogę, dlatego też, odjechawszy jakieś osiem mil od Rzymu, miast na prawo, na lewo się obrócił. Ledwie w tym kierunku dwie mile przebyli, gdy znaleźli się w pobliżu jakiegoś obronnego zamku, z którego natychmiast na ich widok dwunastu zbrojnych wypadło. Agnolella pierwsza ich zauważyła, gdy byli już blisko, i zawołała do Pietra:

— Uciekajmy, Pietro, bowiem napadają na nas!

Rzekłszy to, jak umiała, skierowała swego konia do wielkiego lasu opodal. Koń zaś, czując wbite w ciało ostrogi, co sił pędził przez las z dziewczyną rozpaczliwie trzymającą się siodła. Tymczasem Pietro, który, mając przez ten cały czas na nią wzrok obrócony, przed siebie nie patrzył, za późno zbrojnych spostrzegł. Ci napadli nań, pochwycili go i ściągnęli z siodła, nim się opamiętać zdołał. Zapytali go, kim jest, a gdy im nazwisko swoje wyjawił, jęli się naradzać między sobą, mówiąc:

— Człek ten należy do przyjaciół wrogów naszych. Nie trza się długo nad nim głowić. Rozdziejemy go z szat, odbierzemy mu konia i powiesimy go na dębie, na złość Orsinim.

Towarzysze mówcy przyklasnęli tym słowom i nie mieszkając, Pietrowi kazali zdjąć suknie. Pietro, ściągając je, już na śmierć się gotował, gdy nagle z zasadzki wypadł oddział z dwudziestu pięciu zbrojnych złożony i rzucił się na rabusiów z krzykiem:

— Bij, morduj!

Złoczyńcy, zaskoczeni, wypuścili z rąk Pietra i do obrony jęli się gotować. Przekonawszy się jednak, że przewaga jest po stronie nieprzyjaciół, rozbiegli się na wsze strony, mając zwycięzców na karkach. Pietro, ujrzawszy się wolnym, pochwycił swoje suknie, wskoczył na konia i pomknął jak strzała w tym kierunku, w którym Agnolella uciekła. Jednakoż w lesie nie mógł trafić na ścieżkę ani na ślady kopyt

końskich. Uwolnił się od jednych i drugich napastników, aliści stracił swoją umiłowaną dzieweczkę. Obawiając się, że już jej nie odnajdzie, gorzko i rzewnie płakać począł, wołał na nią przy tym po imieniu i przebiegał las tam i z powrotem, ale wszędzie było cicho i pusto. Wracać nie śmiał, nie wiedział także, dokąd dotrze, jeśli przed siebie jechać będzie. Przerażała go również myśl o dzikich zwierzętach, od których, ani chybi, las się ten roił. Ciągle mu na oczach stawała Agnolella rozszarpana pazurami niedźwiedzia lub wilka. Przez cały dzień tedy błądził nieszczęsny Pietro po lesie, wołając na swoją ukochaną. Nieraz mu się zdawało, że naprzód zmierza, gdy tymczasem w samej rzeczy wracał na to samo miejsce. Krzyk, szlochy, strach i głód tak go wreszcie zmęczyły, że całkiem z sił opadł. Gdy noc nastała, nie wiedząc, co począć, zsiadł z konia, uwiązał go do pnia ogromnego dębu, a sam na jego wierzchołek się przebrał, dla ochrony przed zwierzem. Po pewnym czasie wszedł księżyc i w lesie jasno się stało. Pietro wstrzymywał się od snu, obawiał się bowiem spaść z drzewa; przy tym niepokój o kochankę zasnąć mu nie pozwalał. Siedział na drzewie płacząc i przeklinając nieszczęsną dolę swoją.

Dzieweczka, jakeśmy to już wyżej powiedzieli, zdawszy się na wolę swego konia, pomknęła przed siebie na oślep. Po pewnym czasie tak w las zabrnęła, że nie mogła już rozpoznać strony, z której przybyła. Podobnie jak Pietro cały dzień po lesie błądziła, zatrzymywała się i znów dalej ruszała, płakała, nawoływała swego kochanka i na swój złowrogi los się żaliła. Pietro nie odzywał się wcale. Tymczasem wieczór nastał. Agnolella spostrzegła małą ścieżynkę, którą dalej jechać postanowiła. Przebywszy ze dwie mile ujrzała chatkę i natychmiast do niej pośpieszyła. Zastała w niej szedziwego wielce człeka i równie szedziwą jego żonę. Obaczywszy samotną dzieweczkę, rzekli do niej:

— Co porabiasz, dziecię, w tych stronach o tak późnej porze?

Agnolella odparła ze łzami, że odbiła się od swych towarzyszy i że w lesie zabłądziła. Potem spytała, zali daleko jeszcze do Anagni. Starzec odrzekł:

— Do Anagni nie tędy droga. Miejsce to jest najmniej o dwanaście mil stąd oddalone.

— A daleko stąd do jakiejś miejscowości, gdzie by nocleg znaleźć było można? — zapytała dzieweczka.

— Do żadnej już przed nocą nie dotrzecie — odparł wieśniak.

— Jeśli tak, to w imię miłości Chrystusa, przygarnijcie mnie na noc dzisiejszą — rzekła młódka błagalnym głosem.

— Radziśmy z całej duszy, abyś z nami na tę noc została — odparł gospodarz — aliści uprzedzić cię muszę, że złe bandy włóczą się dniami i nocami w tych okolicach, nasyłane przez przyjaciół i wrogów, i wyrządzają nam wiele szkód, a srogich utrapień przyczyniają. Gdyby więc na nieszczęście w czasie bytności twojej u nas ci złoczyńcy do domu naszego wtargnęli i obaczyli, jak młodą i urodziwą jesteś, strach pomyśleć, na jaką hańbę cnota twoja narażona by była. Nie zdołalibyśmy cię obronić mimo woli naszej. Uprzedzamy cię o tym z góry, abyś w razie nieszczęścia skarżyć się na nas nie miała prawa.

Chocia te słowa wieśniaka Agnolellę mocno przeraziły, przecie zważywszy, że pora jest późna, rzekła w te słowa:

— Łaska boska mnie i was od nieszczęścia ochroni. Jeśli już zasię tak okrutny los mi jest przeznaczony, to wolę być raczej przez ludzi skrzywdzoną niż rozszarpaną w lesie przez zwierzęta.

Po tych słowach zeszła z konia i do domu wieśniaka się udała, aby podzielić z zacnymi ludźmi ich skromną wieczerzę. Po czym nie rozdziewając się legła z nimi pospołu na łoże. Całą noc płakała i wzdychała, przypominając sobie różne przypadki i myśląc o umiłowanym, o którego losie nic dobrego nie tuszyła.

O świcie usłyszała gromkie kroki zbliżających się licznie ludzi. Natychmiast wyskoczyła z łóżka i wyszła na obszerny dziedziniec, poza domem się znajdujący. Obaczywszy wielki stóg siana, ukryła się w nim, mniemając słusznie, że napastnicy nieprędko dzięki temu ją znajdą, choćby i na dziedziniec wtargnęli. Ledwie ukryć się zdołała, gdy owa szajka rabusiów do domku dobijać się poczęła. Spostrzegłszy osiodłanego rumaka, spytali gospodarza, co za przybysz jest w domu. Wieśniak, nie widząc młódki, odrzekł:

— W domu tym nie ma żywej duszy, krom mnie i staruchy, mojej żony. Koń ten należał do jakiegoś nieznanego mi człeka, któremu uciekł i przyczłapał tu wczoraj wieczór. Wprowadziliśmy go pod dach, aby go wilcy nie rozszarpali.

— Jeśli koń właściciela nie ma, to my go z sobą zabierzemy — odparł herszt bandy.

Rabusie rozbiegli się na wszystkie strony. Jedni z nich przetrząsali cały niewielki dom, drudzy na podwórcu plądrowali. Potem odłożyli swe włócznie i tarcze. Jednemu z nich przyszło wówczas do głowy wetknąć lancę w stóg siana, co o mały włos śmierci dzieweczki nie spowodowało. Ostrze lancy uderzyło ją w lewą pierś, tak iż nawet szatę na niej rozdarło. Dzieweczka, myśląc, że raniona została, w głos już krzyknąć chciała, aliści pomyślawszy o niebezpieczeństwie opamiętała się. Rabusie, rozłożywszy się tu i

tam, piekli koźlęta i inne mięsiwo, jedli i pili, wreszcie odeszli, uprowadzając z sobą konia. Gdy już byli daleko, wieśniak spytał swej żony:

— Co się stało z dzieweczką, która wczoraj do nas przybyła? Nie widziałem jej od czasu, gdym się z łoża podniósł.

Żona odrzekła mu, że nie wie, i udała się na poszukiwania. Dzieweczka usłyszawszy, że rabusie już się oddalili, wyszła ze stogu. Zacni wieśniacy uradowali się wielce, zobaczywszy, że złoczyńcom w ręce nie wpadła.

Gdy się już dzień uczynił zupełny, starzec rzekł do Agnolelli:

— Teraz za dnia mogę cię, jeśli taka jest twoja wola, zaprowadzić do pewnego zamku o pięć mil stąd oddalonego. Mniemam, że bezpieczny schron tam znajdziesz. Musisz jednak tę drogę piechotą odbyć, bowiem złoczyńcy konia twego uprowadzili.

Młódka wielce się uradowała i poczęła go zaklinać w imię miłości Boga, aby ją do zamku odprowadził. Wkrótce wyruszyli w drogę i około drugiej godziny po południu do celu dotarli. Zamek należał do pewnego szlachcica z rodu Orsinich, zwanego Liello z Campo di Fiore. W tym czasie przebywała w zamku żona rycerza, białogłowa zacna i świątobliwa wielce. Ujrzawszy Agnolellę, poznała ją zaraz, przyjęła uprzejmie, a potem spytała, jakim sposobem w tych okolicach się znalazła. Dzieweczka wszystko jej opowiedziała. Dama, która znała też Pietra, będącego przyjacielem jej męża, wielce się strapiła tym, co mu się przytrafiło. Posłyszawszy, gdzie go osaczono, przekonana była w głębi duszy, że Pietro zginął, rzekła więc w te słowa, chcąc dzieweczkę uspokoić:

— Ponieważ nie wiesz, co się z Pietrem stało, pozostaniesz u mnie do tego czasu, aż nie nadarzy się okazja bezpiecznego powrotu do Rzymu.

Tymczasem Pietro siedząc na dębie, w ciężkiej rozpaczy pogrążony, obaczył nagle w pierwszych godzinach nocy stado wilków, które zwęszywszy konia, otoczyły go ze wszystkich stron. Koń zwietrzywszy je stanął dęba, zerwał wodze, którymi był do drzewa przywiązany, i uciec próbował. Gdy jednak wilcy drogę mu przecięli, bronił się przez pewien czas kopytami i zębami, aż wreszcie, na ziemię powalony, uduszonym i rozdartym na ćwierci został. Po czym wilcy ostawiwszy same tylko kości, pobiegli dalej. Pietro, który rumaka za jedyną podporę swoją w tych nieszczęściach uważał, całkiem głowę stracił i zwątpił już, czy mu się z ostępów leśnych wydostać uda. Tymczasem zbliżyła się godzina świtu; Pietro przemarzł do kości, siedząc nieruchomo na dębie. Rozglądając się na wsze strony, obaczył nagle w oddali, w odległości mili, wielki słup ognia. Gdy się dzień uczynił, zszedł z dębu, nie bez pewnej trwogi, i w kierunku ognia podążył, aż dotarł do celu. Koło ogniska obaczył pastuchów śniadających wesoło, którzy

z współczuciem wielkim go przyjęli. Pietro, ogrzawszy się i posiliwszy, opowiedział im o swoich przytrafieniach, a potem zapytał, zali tu w bliskości nie ma wioski albo zamku jakiego, dokąd mógłby się udać. Pasterze odparli, że nie dalej, jak o trzy mile od tego miejsca znajduje się zamek pana Liella z Campo di Fiore i że żona właściciela właśnie tam bawi. Pietro, uradowany, jął ich prosić, aby go do tego zamku zaprowadzili, na co dwóch pasterzy zaraz przystało. Przybywszy do zamku, Pietro spotkał tam znanego sobie dobrze człowieka i poprosił go, aby nie mieszkając na poszukiwania Agnolelli kogoś wyprawił. Tymczasem zawołano go do pani zamku. Wszedłszy czym prędzej do jej komnaty i obaczywszy tam kochankę swoją, niewysłowionej radości doznał. Chciał ją zaraz w objęcia swoje pochwycić i tylko przez wzgląd na przytomność pani domu tego nie uczynił. Jeśli Pietro był tak uradowany, to szczęście dzieweczki nie mniejsze było. Pani zamku przyjęła Pietra z wielką dwornością, a wysłuchawszy jego opowieści, zganiła go, że wbrew woli rodziców swoich chciał się ożenić. Widząc go jednak niezachwianym w tym postanowieniu, a także afekt dziewczęcia zważywszy, rzekła sama do siebie: „Po cóż tak się tą sprawą zatrudniam? Miłują się nawzajem, znają się, oboje po równi należą do przyjaciół mego męża, przy tym ich zamysły i pragnienia są wielce prawe. Zaiste mniemać należy, że związek ich jest miły Bogu, skoro Bóg zachował jedno od stryczka, drugie od pchnięcia kopią, oboje zasię od zwierząt drapieżnych. Niechże więc się pobiorą w imię Boże!”.

Potem obróciła się do kochanków i rzekła:

— Jeśli niezachwianą wolą waszą jest stać się parą małżonków, to niechże ja do tego rękę przyłożę. Wesele wyprawię wam tutaj, na koszt Liella, a potem postaram się was z krewniakami pogodzić.

Pietro i Agnolella, wielce uradowani, w zamku ślub wzięli. Uczta weselna została odprawiona z taką wspaniałością, jaka tylko możliwa była w tej górskiej głuszy. Na zamku także małżonkowie pierwsze rozkosze wzajemnej miłości poznali. Po upływie kilku dni pani zamku wraz z młodą parą i oddziałem zbrojnych wyruszyła konno do Rzymu. Rodzice Pietra wielce się już o jego los niepokoili. Damie udało się przywrócić zgodę między nimi a synem. Pietro żył z żoną swoją w Rzymie aż do późnej starości, wielkim szczęściem miłości się ciesząc”.

Opowieść czwarta. Słowik

Ricciardo Manardi, spoczywając w objęciach Katarzyny, przez jej rodzica, pana Lizio da Valbona, pochwycony zostaje i żeni się z Katarzyną, a z panem Liziem w dobrej zgodzie żyć poczyna.

Gdy Eliza skończyła i gdy umilkły pochwały jej opowieści składane, królowa skinęła na Filostrata, który śmiejąc się tak zaczął:

— Tyle już od was słyszałem przytyków za podaną przeze mnie wczoraj smutną materię do opowieści, która was do częstego płaczu przywodziła, iż chcę was obecnie za te łzy wynagrodzić. Przytoczę wam tedy krótką opowieść o dziejach kochanków, którzy nie zaznali innych niedoli jak tylko westchnień, krótkiego lęku i wstydu, po czym koniec ich czekał radosny. Mniemam, że was ta historia do szczerego pobudzi śmiechu.

„A zatem, szlachetne damy, niedawno temu żył w Romanii pewien dzielny i czcigodny szlachcic, panem Lizio da Valbona zwany, który w dość szedziwym wieku już będąc, małżonkę swoją, panią Giacominę, córką obdarzył. Dzieweczka ta podrósłszy przeszła urodą i wdziękiem wszystkie panny rówieśne. Rodzice miłowali ją nad życie jako jedyne dziecię swoje i strzegli ją jak źrenicę oka w nadziei, że kiedyś w wysokie związki wstąpi. Dom pana Lizia odwiedzał często i długo w nim gościł pewien urodziwy młodzieniec, imieniem Ricciardo, do rodu Manardich z Brettinoro należący. Lizio i jego żona odnosili się doń z taką ufnością jak do rodzonego syna. Zdarzyło się, że ów młodzian zwróciwszy raz i drugi baczniejsze spojrzenie na dzieweczkę, już do zamęścia zdolną, znalazł ją piękną nad wyraz i wdziękiem a obyczajnością celującą. Dlatego też zakochał się w niej na śmierć, umiał jednakoż ukryć swoją miłość na dnie serca. Dzieweczka odgadła wkrótce jego afekt i nie przeciwiąc się, wzajemnością mu odpowiedziała. Ricciardo nie posiadał się z radości. Nieraz miał już zamiar miłość swoją jej wyznać, aliści nie dostawało mu odwagi. Pewnego dnia, nie mogąc już zdzierżyć dłużej, rzekł do Katarzyny:

— Katarzyno, błagam cię na wszystko, nie daj mi umrzeć z miłości.

— Bóg widzi — odparła w lot dzieweczka — że się boję, abym z miłości do ciebie ja raczej ducha nie wyzionęła.

Odpowiedź ta ucieszyła niezmiernie Ricciarda i tyle otuchy mu dała, iż rzekł:

— Uczynię wszystko, co tylko miłe ci być może. Aliści ty sama musisz wynaleźć stosowny środek dla ocalenia życia nas obojga.

— Ricciardo — odparła dzieweczka — wiesz dobrze, pod jak surowym mnie trzymają dozorem. Nie wiem, jak to uładzić, abyś przyjść do mnie mógł. Jeżeli widzisz jednak jakiś sposób, który by czci mej na szwank nie naraził, powiedz mi o nim, a przyrzekam ci, że chętnie na wszystko się zgodzę.

Ricciardo po długim namyśle rzekł:

— O Katarzyno, duszo mojej duszy! Znam tylko jeden sposób, który taki jest, aby ci pozwolono spać lub pojawić się na balkonie, który na wasz ogród wychodzi. Gdy będę wiedział, że się tam nocą znajdujesz, postaram się do ciebie dostać, jakkolwiek wysoko to bardzo.

Na co odparła Katarzyna:

— Jeśliś tylko gotów się wspinać, już ja tak wszystkim pokierować myślę, że będę mogła tam spać.

Ricciardo raz jeszcze o swej gotowości ją zapewnił. Po tej rozmowie rozeszli się, jeden tylko mimochodem wymieniwszy pocałunek. Maj dobiegał już końca. Następnego dnia dzieweczka poczęła skarżyć się przed matką, że ubiegłej nocy dla wielkiego upału spać nie mogła.

— Jakiż tam upał, córuchno? — zdziwiła się matka. — Upałów raczej ani śladu.

— Mamo kochana — odrzekła Katarzyna — powinnaś dodać: „moim zdaniem", a wtedy może byłabyś bliską prawdy. Atoli pomyśleć ci trzeba, o ile więcej żaru mają w sobie młode dziewczęta niż stateczne niewiasty.

— Nie przeczę temu, moje dziecko — odpowiedziała matka — ale nie mogę wedle woli własnej sprowadzać zimna i gorąca, jakbyś może tego chciała. Trzeba ścierpieć czas taki, jaki przynosić z sobą zwykły pory roku. Może dzisiejsza noc będzie chłodniejsza i spać będziesz lepiej.

— Dałby Bóg — rzekła Katarzyna — ale nie zwykła to rzeczy kolej, by im bliżej lata, tym chłodniejsze miały stawać się noce.

— Cóż tedy poradzić na to, twoim zdaniem?

— Jeśliby mój ojciec wraz z tobą nie miał nic przeciwko temu, chętnie posłałabym sobie na balkonie wychodzącym na ogród, obok jego komnaty, i tam położyłabym się spać. Słuchając słowika i leżąc w chłodzie, czułabym się o wiele lepiej niż w ciasnocie twojej sypialni.

— Bądź dobrej myśli, dziecko — odparła matka — powiem to ojcu twemu. Zrobimy tak, jak on zechce.

Pan Lizio, który będąc już w szedziwym wieku, uporem nieco grzeszył, rzekł, gdy żona przedłożyła mu prośbę córki:

— Co to za słowik, przy którego śpiewie spać się jej zachciewa? A może by ją nauczyć spać przy śpiewie koników polnych?

Dowiedziawszy się o odmownej odpowiedzi rodzica, Katarzyna następnej nocy nie tyle z gorąca, ile z gniewu nie tylko nie spała, ale i matce oka zmrużyć nie pozwoliła żaląc się nieustannie na upał i duszność.

Matka udała się rankiem do pana Lizia i rzekła:

— Wierę, mój małżonku, niezbyt widać córkę swoją miłujesz! Cóż ci to szkodzić może, jeśli na balkonie się prześpi? Dzisiaj przez całą noc z gorąca rady sobie dać nie mogła. Cóż dziwnego w tym zresztą, że lubi śpiew słowika? Wszak to dziecko jeszcze, a dzieci lubią wszystko, co do nich jest podobne.

— Zgadzam się zatem — odparł pan Lizio — każ jej łoże postawić, jakie zmieścić się zdoła na balkonie, i zasłony dokoła zapuścić. Niechaj tam śpi i słucha śpiewu słowika, ile jej się żywnie podoba.

Dzieweczka, dowiedziawszy się o pozwoleniu ojca, czym prędzej urządziła sobie posłanie na balkonie. Przed następną nocą, którą tam spędzić zamierzała, umówionym znakiem Ricciarda uwiadomiła, tak iż ów wiedział już, co mu czynić należy. Pan Lizio, usłyszawszy wieczorem, że Katarzyna spać się położyła, zamknął drzwi, które z jego komnaty na balkon wiodły, i sam legł na łoże.

Ricciardo zasię, gdy już wszystko w domu ucichło, po drabinie na jeden mur się wdrapał, a potem, wystawiając się na azard skręcenia sobie karku, na gzyms drugiego się przebrał; aż wreszcie na balkonie nogę postawił. Katarzyna z nieopisaną radością go przyjęła. Po wielu pocałunkach legli pospołu i przez całą noc niewysłowionej rozkoszy zażywali, przy czym słowikowi po wielekroć śpiewać kazali. Uniesienia ich trwały długo, noc zasię krótka była, nie postrzegli przeto, że już dzień jest bliski. Rozgrzani miłosnymi igraszkami i porą wiosenną, usnęli obok siebie bez żadnego okrycia. Katarzyna, objąwszy prawą ręką Ricciarda za szyję, lewą trzymała mocno tę jego cząstkę, której nazwy wy, białogłowy, wielce się zawsze wśród mężczyzn sromacie.

Gdy tak spali, dzień nastał i pan Lizio podniósł się z pościeli. Przypomniawszy sobie, że córuchna śpi na balkonie, rzekł do się, po cichu drzwi otwierając: „Obaczmyż, czy słowik swoją pieśnią spać dziś Katarzynie pozwolił".

Podszedł do łoża, odsunął zasłonę i spostrzegł córkę obnażoną i w ramionach Ricciarda śpiącą. Poznawszy Ricciarda, nie rzekł ani słowa. Nie czyniąc hałasu do swojej komnaty powrócił, udał się do żony i tymi słowy ją zbudził:

— Wstawaj prędko, miła żono, jeśli chcesz obaczyć, jak córka twoja, która w słowiku sobie upodobała, schwytała go i dotąd go w ręku trzyma.

— Jakże to być może? — spytała żona.

— Chodź tylko prędzej — odrzekł pan Lizio — a sama obaczysz.

Pani Giacomina śpiesznie się przyodziała i cichutko udała się z mężem na balkon. Zbliżywszy się do łoża córki, pan Lizio uniósł zasłonę. Wówczas jego żona obaczyła, jak to Katarzyna, w śpiewie słowika rozmiłowana, trzyma schwytanego ptaka krzepko w swoim ręku. Pani Giacomina, srodze na Ricciarda zagniewana, już krzyk podnieść chciała, ale pan Lizio wstrzymał ją i rzekł:

— Wstrzymaj się, żono, jeśli ci drogą jest miłość moja, wstrzymaj się i waruj się ust otworzyć. Wierę, to, co córka nasza schwytała, już do niej należeć musi. Ricciardo pochodzi z zacnego rodu, jest przy tym bogatym człowiekiem. Związek z nim tedy tylko zaszczyt sprawić nam może. Jeżeli chce się żywy i cały z tego domu wydostać, musi się z Katarzyną pierwej zaręczyć i przekonać się, że słowika w swojej własnej, a nie w obcej klatce umieścił.

Żona widząc, że mąż nie turbuje się tym wszystkim zbytnio, uspokoiła się zaraz i zmilkła, pomyślawszy, jak przyjemną noc córka jej miała; spała dobrze, a przy tym pojmała słowika. Niedługo trwało, a tymczasem Ricciardo ze snu się ocknął. Widząc, że dzień się jasny uczynił, zmartwiał ze strachu, zbudził Katarzynę i zawołał:

— O moja duszo, cóż nam teraz uczynić wypada? Oto dzień się już uczynił i tu mnie zaskoczył!

Na te słowa pan Lizio przystąpił do łoża, podniósł zasłonę i rzekł:

— Co czynić? Jakoś to wszystko uładzimy!

Na ten widok Ricciardowi zdało się, że mu ktoś serce wydziera z piersi. Podniósł się natychmiast i rzekł:

— Panie Lizio, na miłosierdzie boskie, ulitujcie się nade mną. Uznaję, że jako niegodziwy i zdradziecki człowiek na śmierć zasłużyłem. Czyńcie ze mną, co chcecie, zaklinam was jednak, darujcie mi życie!

— Ricciardo — odparł pan Lizio — w samej rzeczy, za miłość moją i zaufanie, jakie dla ciebie żywiłem, nie zasłużyłem na taką zapłatę. Kiedy się jednak już stało to, do czego młodość cię skusiła, pojmij Katarzynę za żonę, dla uratowania siebie od śmierci,

mnie zasię od hańby. Czym była córka moja dla ciebie przez tę noc całą, niech tym na całe życie zostanie. Tym tylko sposobem możesz mnie ułagodzić i własne życie ocalić. Jeżeli zaś się nie zgadzasz, poleć duszę swoją Bogu!

Katarzyna, słysząc groźne słowa rodzica, puściła słowika i okrywszy się, z płaczem pana Lizia prosić jęła, aby jej kochankowi przebaczył. Jednocześnie także błagała Ricciarda, aby na żądanie jej rodzica przystał i tym sposobem w spokoju więcej podobnych nocy sobie i jej zgotował.

Prośby te jednakoż zbytecznymi były, bowiem Ricciardo wstydem za swój błąd i chęcią naprawienia go powodowany, a z drugiej strony pobudzany zarówno lękiem przed śmiercią i chęcią wydobycia się z matni, jak pragnieniem posiadania umiłowanej dzieweczki, natychmiast, bez żadnych wybiegów, oznajmił gotowość wypełnienia woli pana Lizia. Wówczas pan Lizio wziął od żony pierścień i wręczył go Ricciardowi, który, nie mieszkając, w przytomności rodziców z Katarzyną się zaręczył. Po czym pan Lizio i jego małżonka ostawili oblubieńców samych, rzekłszy tylko:

— Spocznijcie teraz, należy się wam bowiem jeszcze trochę snu.

Gdy rodzice wyszli, narzeczeni rzucili się sobie znów w ramiona i do sześciu mil, które tej nocy przebyli, jeszcze dwie dodali, nim się z łoża podnieśli. Tak skończył się pierwszy dzień ich wędrówki, Ricciardo rozmówił się z panem Lizio szczegółowie o wszystkim, a po upływie kilku dni w przytomności krewniaków i przyjaciół wziął ślub z Katarzyną, wwiódł ją uroczyście do domu swego i wspaniałe wesele wyprawił. Potem przez długi czas, dniem i nocą, w spokoju i radości łowili słowika, ile tylko zapragnęli".

Opowieść piąta. Dwaj rywale

Guidotto z Cremony porucza córkę swoją Giacominowi z Pawii i umiera. Giannole di Severino i Minghino di Mingole, zakochawszy się w niej w Faenzy, bójkę o nią wszczynają. Dzieweczka, która okazuje się siostrą Giannolego, wychodzi za mąż za Minghina.

Słuchając opowieści o słowiku damy tak się śmiały serdecznie, że gdy Filostrato umilkł, jeszcze się pohamować nie mogły. Wreszcie powściągnąwszy śmiech, królowa tak rzekła do Filostrata:

— Wierę, jeżeli wczoraj nas zasmuciłeś, to dziś dałeś nam taką do wesela przyczynę, że żadna z nas już nie ma prawa skarżyć się na ciebie.

Potem królowa zwróciła się do Neifile i opowiadać jej rozkazała. Ta z wesołym obliczem w te słowa zaczęła:

„Filostrato w opowieści swojej do Romanii nas zawiódł, ja także myślę tam się obrócić. Wiedzcie zatem, że za dawnych czasów żyli w mieście Fano dwaj Lombardczycy, Guidotto z Cremony i Giacomino z Pawii. Obaj byli już szedziwymi ludźmi. W młodości swojej wyłącznie niemal wojennym rzemiosłem się parali. Guidotto, czując się bliski śmierci, a nie mając syna ani przyjaciela, w którym by ufność mógł pokładać, poruczył Giacominowi dziesięcioletnią córkę swoją wraz z całym dobytkiem, opowiedział mu szczegółowie o wszystkich sprawach swoich i oddał ducha Bogu. Pod ten czas właśnie miasto Faenza, wojnami i klęskami długo nękane, do bardziej pomyślnego znów doszło stanu, tak iż wszystkim dawnym mieszkańcom powrócić do grodu było wolno. Ściągnął tedy do Faenzy i Giacomino z Cremony, który niegdyś tam mieszkał. Zabrał z sobą wszystkie swoje dostatki oraz dzieweczkę pozostawioną mu przez Guidotta, którą jak rodzoną swą córkę miłował. Dzieweczka ta z wiekiem urodą swoją przed wszystkimi młódkami przodek w mieście wzięła, przy tym równie wdziękiem i obyczajnością, jak i pięknością celowała. Wielu młodzieńców szczególnie ją sobie upodobało, zwłaszcza zaś dwóch urodziwych i zacnych szlachciców o względy jej po równi zabiegać poczęło. Rozgorzawszy wielką miłością do niej, wskutek wzajemnej zazdrości śmiertelną nienawiścią do siebie zapłonęli. Jednego z tych młodzieńców zwano Giannole di Severino, drugiego Minghino di Mingole. Dzieweczka już do piętnastego roku życia doszła i każdy z nich ochotnie by ją żoną swoją uczynił, gdyby rodzice na to się zgodzili. Aliści wiedząc, że biorąc za pozór ich młodość rodzice im odmówią, postanowili inną drogą posiąść przedmiot swojej miłości i pragnienia swoje do lubego przywieść skutku. Giacomino trzymał w swym domu starego sługę i pachołka, imieniem Crivello, wesołego i krotochwilnego człeka. Giannole zaznajomił się z nim, w sposobnej chwili odkrył mu tajemnicę swojej miłości i prosił go, aby mu dopomógł do spełnienia pragnień, obiecując mu za to sowitą nagrodę.

Wysłuchawszy go, Crivello rzekł:

— Tylko to dla ciebie uczynić mogę, że któregoś wieczoru w czasie nieobecności pana Giacomina wprowadzę cię do komnaty dzieweczki. Gdybym zasię jej o tobie wspomniał, nawet by słuchać mnie nie chciała. Jeżeli ci taka przysługa może być użyteczna, to ci ją obecnie przyrzekam i słowo moje zdzierżę. Twoją rzeczą będzie tak potem sobie poczynać, abyś cel pragnień osiągnął.

Giannole zaręczył mu, że niczego więcej nie pragnie, i po chwili rozmowy rozstał się z nim. Tymczasem z drugiej strony Minghino pozyskał dla siebie szedziwą służkę i tak zręcznie z nią rzecz uładził, że zanosiła kilkakroć jego poselstwa do dzieweczki i bez mała wzbudziła w niej miłość do niego. Starucha przyrzekła mu także, że go do ukochanej wprowadzi, gdy tylko któregoś wieczoru Giacomino w domu przytomny nie będzie.

Wkrótce potem Giacomino za sprawą Crivella wyszedł z przyjacielem swoim na wieczerzę. Crivello natychmiast Giannola o tym uwiadomił, donosząc mu, że na umówiony znak znajdzie drzwi domu otworem stojące. Służka, nic o tym nie wiedząc, ze swej strony uprzedziła Minghina, że Giacomina w domu nie będzie. Niechaj zatem Minghino gdzieś w bliskości domu przebywa, a skoro ujrzy znak, do komnaty wchodzi!

Obaj młodzieńcy za nadejściem wieczoru, nic o sobie wzajem nie wiedząc, udali się w stronę domu Giacomina, aby na umówiony znak czekać. Ponieważ jeden drugiego zbytnio pewien nie był, wzięli z sobą na wszelki przypadek kilku uzbrojonych przyjaciół. Minghino z swymi towarzyszami schronił się w pobliskim domu, należącym do jednego z przyjaciół. Giannole zasię nieco dalej się zaczaił. Gdy Giacomino z domu wyszedł, Crivello i służka starali się na wyprzódki pozbyć jedno drugiego.

— Dlaczego spać się nie kładziesz? — mówił Crivello do staruchy. — Czy długo jeszcze po domu plątać się zamierzasz?

— A ty dlaczego nie idziesz za swoim panem? — odrzekła służka. — Na co jeszcze czekasz, skoro już wieczerzę zjadłeś?

I ani jedno, ani drugie z miejsca ruszyć się nie chciało. Crivello widząc, że zbliża się godzina, w której miał podać umówiony znak Giannolemu, rzekł sam do siebie: »Po cóż mam się o staruchę troskać? Gdy krzyk będzie podnieść chciała, znajdzie się na nią stosowny środek«.

I tak pomyślawszy, dał umówiony znak i poszedł drzwi otworzyć. Giannole wszedł natychmiast do domu wraz z dwoma towarzyszami. Dzieweczka siedziała w komnacie. Porwali ją i uprowadzić chcieli. Dziewczę poczęło krzyczeć, a w ślad za nią i służka krzyk podniosła. Minghino, usłyszawszy tumult, nadbiegł pospołu z swymi przyjaciółmi. Widząc, że dzieweczkę z domu uprowadzają, dobyli szpad i krzyknęli:

— Śmierć wam, zdrajcy! Zuchwalstwo to nie ujdzie wam płazem! Co to za napad?!

Z tym okrzykiem rzucili się na napastników. Na larum nadbiegli sąsiedzi ze światłem i z orężem w ręku. Wszyscy, oburzeni, po stronie Minghina stanęli. Po długiej walce udało się Minghinowi wyrwać dziewczę z rąk Giannola i z powrotem do domu

Giacomina odwieść. Jeszcze bój nie ustał, gdy nadbiegli strażnicy podesty, pochwycili wśród innych Giannola, Crivella i Minghina i do więzienia ich zabrali. Gdy już wszystko się uspokoiło, Giacomino do domu powrócił. Na wieść o całym zdarzeniu, wielkim gniewem zapłonął, przekonawszy się jednak, po bliższym zbadaniu sprawy, że dzieweczka niczemu winna nie jest, uspokoił się nieco. Dla uniknięcia na przyszłość podobnych przytrafień, postanowił wydać ją jak najprędzej za mąż. Rodzice młodzieńców, dowiedziawszy się nazajutrz rano o przebiegu całej sprawy, pojęli, jak smutne następstwa dla obu uwięzionych rywali mieć ona może, jeżeli Giacomino będzie chciał się mścić, do czego zresztą pełne prawo posiada. Dlatego też do Giacomina się udali, usilnie go prosząc, aby dla miłości i przyjaźni dla nich nie baczył na krzywdę, którą mu ci dwaj młodzieńcy w nierozwadze swojej uczynili. Ze swej strony przyrzekli, że oni i winowajcy uczynią mu zadość we wszystkim, czego tylko od nich zażąda. Giacomino, który wiele w życiu swoim zaznał i był człekiem dobrotliwym, odpowiedział im krótko:

— Panowie! Gdybym nawet był tutaj w moim własnym kraju, tak jak jestem w waszej ojczyźnie, to i wtedy, w imię przyjaźni mojej do was, uczyniłbym wszystko, co wam może być miłe. Teraz zasię tym bardziej jestem obligowany to uczynić, że nie mnie, a wam ujma się stała. Wiedzcie bowiem, że dziewczę to jest rodem nie z Cremony ani z Pawii, jak niektórzy mniemają, jeno z Faenzy. Czyją córką jest, tego nie wiem, jako nie wiedział i ten, co mi ją w poruczeństwo oddał. Dlatego też ochotnie na waszą prośbę przystaję.

Zacni obywatele usłyszawszy, że dzieweczka z Faenzy pochodzi, wielce się zadziwili. Podziękowali Giacominowi w gorących słowach za jego ludzkość, a potem prosić go jęli, aby im opowiedział, w jaki sposób dzieweczka do niego się dostała i skąd mu wiadomo, że właśnie z Faenzy jest rodem.

Giacomino odparł na to:

— Guidotto z Cremony, mój stary druh i towarzysz broni, przed śmiercią oznajmił mi, że gdy Faenza przez cesarza Fryderyka zdobyta i na złupienie wydana została, wpadł z towarzyszami do pewnego domu, który pełen różnorodnego dobytku przez mieszkańców był opuszczony. W domu tym pozostała tylko dzieweczka licząca wówczas trzeci rok życia. Gdy Guidotto po schodach wchodził, zawołała nań „ojcze". Tkliwością zdjęty, wziął z sobą dzieweczkę do Fano, wraz ze wszystkim, co w opuszczonym domu był znalazł. Na łożu śmiertelnym się znajdując, powierzył mi ją wraz z całym majątkiem i zobowiązał mnie, abym, gdy do lat źrałych dojdzie, za mąż ją wydał, dając jej jako

wiano wszystko, co po sobie ostawił. Teraz już do zamęścia jest zdolna, aliści nie znalazłem jeszcze dotąd młodziana, co by mi do serca przypadł. Rad bym ją jak najprędzej dać w stadło, aby podobne przytrafienia, jak w dniu wczorajszym, już się powtórzyć nie mogły.

Wśród przytomnych znajdował się niejaki Wilhelm z miasteczka Medicina, który wraz z nieboszczykiem Guidotto wówczas w Faenzy plądrując, pamiętał doskonale, czyj dom Guidotto zrabował. Wilhelm zbliżył się tedy do właściciela owego domu i rzekł:

— Bernabuccio, zali słyszałeś, co Giacomino powiedział?

— Słyszałem — odparł Bernabuccio, który znalazł się między przybyłymi — i właśnie nad tym zamyśliłem się, bo jeżeli to w moim domu się stało, musiała to być moja córka, wiadomo ci bowiem, że w ówczesnym zamęcie utraciłem córeczkę w podanym przez Giacomina wieku.

— Nie lza wątpić, że to twoje dziecię! — zawołał Wilhelm. — Guidotto, jak pomnę, opisywał ów zrabowany przez się dom tak, iż upewniony być mogę, że wszystko to u ciebie się działo. Przypomnij sobie, czy córka twoja nie miała jakiegoś szczególnego znaku, po którym mógłbyś ją poznać.

Bernabuccio na te słowa przypomniał sobie, że córka jego, w samej rzeczy, nad lewym uchem miała bliznę w kształcie krzyża, pozostałą po wrzodzie, który przed owym zdarzeniem przeciąć jej kazał. Zbliżył się tedy do Giacomina i poprosił go, aby mu dzieweczkę pokazał. Giacomino ochotnie do swego domu go zawiódł i dzieweczkę przywołać kazał. Bernabuccio spojrzawszy na nią obaczył zaraz w jej rysach wielkie podobieństwo do matki, która mimo swego wieku, jeszcze piękną niewiastą była. Aby jednak jeszcze lepiej się upewnić, poprosił Giacomina o pozwolenie podniesienia dziewczęciu włosów nad lewym uchem, na co Giacomino przystał. Bernabuccio, zbliżywszy się do osłupiałej dzieweczki, podniósł jej włosy i obaczył natychmiast znamię w kształcie krzyża. Na ten widok za córkę swoją ją uznał, zapłakał cicho i wziął ją w ramiona, jeszcze pełną pomieszania i zawstydzenia. Potem, obróciwszy się do Giacomina, rzekł:

— Drogi przyjacielu! Dzieweczka ta jest moją córką. Dom, który Guidottowi na łup wydano, był moim domem. Żona moja w śmiertelnej trwodze i pośpiechu dziecię w nim ostawiła. Ponieważ zasię dom mój tego dnia zgorzał, więc mniemaliśmy, że dziecię pastwą ognia padło.

Dzieweczka, słysząc te słowa i widząc, że jest szedziwym i czcigodnym człekiem, uwierzyła we wszystko, co mówił. Jakby jakąś tajną skłonnością wiedziona, padła mu

w ramiona i pospołu z nim płakać poczęła. Bernabuccio posłał zaraz po żonę i swoich krewniaków, a także po braci i siostry dziewczęcia. Pokazał ją im i całą historię opowiedział. Tysiącem pieszczot i pocałunków córkę obsypawszy, za zgodą Giacomina, po wyprawieniu wspaniałej uczty, Bernabuccio do swego domu ją zabrał. Kapitan grodu, człek ludzkiego serca, usłyszawszy całą historię i wiedząc, że pochwycony Giannole, jako syn Bernabuccia, rodzonym bratem dzieweczki się okazał, postanowił jego winę w niepamięć puścić. Naradziwszy się z Bernabucciem i Giacominem, rozkazał Giannola i Minghina na wolność wypuścić. Minghino, ku wielkiemu ukontentowaniu całej rodziny, ożenił się z dzieweczką, którą Agnesą zwali. Crivello i inni w tę sprawę zamieszani także wolność odzyskali. Minghino wspaniałą ucztę weselną wyprawił, a potem żył długie lata z Agnesą w szczęściu i spokoju".

Opowieść szósta. Szczęśliwe spotkanie

Gianni z Procidy przychwycony z umiłowaną dzieweczką, która ofiarowana była królowi Fryderykowi, przywiązany zostaje do słupa, aby pospołu z nią ponieść śmierć na stosie. Poznany przez Ruggiera de Loria, uchodzi śmierci i dzieweczkę w stadło pojmuje.

Gdy opowieść Neifile, która damom wielce się podobała, do końca została dowiedziona, królowa rozkazała zacząć Pampinei. Ta, podniósłszy jasną twarzyczkę swoją, rzekła w te słowa:

— Niezmierną, miłe towarzyszki moje, jest potęga miłości. Daje ona kochankom męstwo do najtrudniejszych przedsięwzięć i stałość wobec strasznych i nieoczekiwanych niebezpieczeństw. Przekonać się o tym mogłyście już z wielu przykładów przytoczonych tak dzisiaj, jak i w inne dni. Mimo to pragnę wam dać nowy dowód w powieści o pewnym zakochanym młodzieńcu.

„Ischia jest wyspą w pobliżu Neapolu leżącą. Przed dość dawnym czasem żyła na niej bardzo urodziwa dzieweczka, imieniem Restituta, córka pewnego szlachcica, Marino Bolgaro. Miłowała ona nad życie młodzieńca, imieniem Gianni, pochodzącego z sąsiedniej wysepki Procidy, a on również był w niej rozmiłowany. Młodzieniec ów nie tylko, że w dzień na Ischię przybywał, ale często, nie znalazłszy łódki, nocą drogę z Procidy na Ischię wpław przebywał, aby ujrzeć jeśli nie ją, to przynajmniej mury jej domu. Gdy gorąca ich miłość tak trwała, zdarzyło się, że dzieweczka wyszła pewnego dnia letniego na samotną przechadzkę nad brzeg morski. Przechodząc ze skały na skałę,

odrywała nożem muszle od kamieni i tak, sama nie wiedząc kiedy, doszła do małej zatoki ukrytej za urwiskiem. Kilku młodych Sycylijczyków, płynących z Neapolu na swojej fregacie, zwabionych chłodnym cieniem i powabem czystego źródła, tryskającego na brzegu, wczasowi tutaj się oddawało. Obaczywszy młodą i piękną dzieweczkę, która ich jeszcze nie spostrzegła, i przekonawszy się, że jest sama, postanowili pochwycić ją i uprowadzić z sobą. Co umyślili, tego dokonali. Mimo oporu i krzyków młódki zaciągnęli ją na pokład fregaty i odpłynęli.

Gdy przybyli do Kalabrii i umawiać się poczęli, komu dzieweczka ma przypaść w udziale, okazało się, że każdy ją tylko dla siebie mieć pragnie. Widząc, że się pogodzić nie mogą, i obawiając się, że z jej przyczyny jeszcze do bójki przyjść by mogło, dzięki czemu różne ich sprawy zły obrót by wzięły, postanowili darować młódkę królowi Sycylii, Fryderykowi. Młody naonczas król był wielkim lubownikiem pięknych kobiet. Zamysł swój wykonali zaraz po przybyciu do Palermo. Król wielce sobie dzieweczkę upodobał i z radością w podarunku ją przyjął. Szwankując jednak wówczas nieco na zdrowiu, rozkazał umieścić ją w wspaniałym pałacu, położonym w jednym z jego ogrodów, zwanym Cuba, i pilnować jej, dopóki sił utraconych nie odzyska. Tak się też stało.

Tymczasem cała Ischia z powodu porwania Restituty w największym poruszeniu była. Krewniaków dzieweczki najbardziej trapiła myśl, kim byli ci, co ją porwali. Gianni zaś, który więcej od innych się turbował, nie czekając, aż jakaś wieść na Ischię nadejdzie, dowiedział się, w którą stronę fregata się skierowała, a potem kazał uzbroić okręt i czym prędzej przeszukał na nim całe wybrzeże, od przylądka Minerwa aż do Scalea w Kalabrii. Wszędzie po drodze zapytywał się o swoją umiłowaną dzieweczkę. Wreszcie w Scalea powiedziano mu, że sycylijscy marynarze do Palermo ją powieźli. Na tę wieść Gianni natychmiast do Palermo popłynął. Po wielu poszukiwaniach, starań i zachodów nie litując, dowiedział się, że Restitutę podarowano królowi i że znajduje się ona pod strażą w Cuba. Nowina ta silnie Gianniego wzburzyła, postradał on prawie całą nadzieję nie tylko posiadania swojej umiłowanej, ale nawet ujrzenia jej kiedykolwiek. Mimo to, siłą miłości powodowany, odesłał swój okręt i pozostał w Palermo, wiedząc, że go tutaj nikt nie zna. Przechodząc często koło pałacu, ujrzał pewnego dnia Restitutę w oknie. Restituta także go spostrzegła; z tego ujrzenia się oboje niewysłowioną radość odnieśli. Gianni, widząc, że miejsce jest odosobnione, podszedł do okna tak, żeby dzieweczka słowa jego usłyszeć mogła, i dowiedział się, co czynić, ażeby pomówić z nią z bliska. Po czym odszedł, rozejrzawszy się szczegółowie po okolicy.

Gdy noc zapadła i część jej znaczna już minęła, Gianni powrócił; wdrapał się na mur tak gładki, że dzięcioł by się na nim ledwo mógł utrzymać i przebrał się do ogrodu. Tutaj znalazł wysoki drąg, przystawił go do okna i z wielką zręcznością wspiął się przy jego pomocy do okna kochanki. Restituta, zważywszy, że cześć jej, ze względu na którą nieco surowie z Giannim postępowała, już na wieki przepadła, do tej myśli przyszła, że godność jej najmniej ucierpi, gdy do Gianniego należeć będzie. Dlatego też postanowiła wszystkie jego życzenia wypełnić, żywiąc nadzieję, że Gianni ją oswobodzi. Ostawiła tedy okno otworem, aby kochanek łatwiej mógł do jej komnaty przeniknąć. Gianni wszedł przez okno i legł obok dzieweczki na łożu. Restituta odkryła mu wszystkie swoje zamysły, błagając go, aby ją uwolnił i zabrał z sobą. Gianni odparł na to, że i on niczego bardziej nie pragnie i że następnego dnia całą rzecz uładzi, by wziąć ją z sobą, gdy następnym razem do niej przybędzie. Potem uścisnęli się i pełni uniesienia oddali się rozkoszy, nad którą miłość większej dać nie może. Powtarzając te igraszki, nie postrzegli, jak ze znużenia zasnęli jedno w objęciach drugiego. Tymczasem król, któremu Restituta na pierwszym pojrzeniu wielce do smaku przypadła, przypomniał sobie o niej, a czując się na siłach skrzepiony, postanowił pewien czas z nią spędzić, chocia się już i ranek zbliżał. W towarzystwie kilku sług udał się zatem bez zapowiedzi do Cuby. Wszedł do pałacu niepostrzeżony przez nikogo, kazał otworzyć po cichu drzwi do komnaty, w której dzieweczka spała, i z zapaloną pochodnią stanął na progu. Spojrzawszy na łoże, obaczył ją obnażoną i śpiącą w ramionach Gianniego. Na ten widok takim gniewem zapłonął, nie mówiąc ani słowa, że z trudem pohamował się, aby kochanków nie przebić sztyletem, który zawsze u pasa nosił. Zważywszy jednak, że pozbawienie życia ludzi bezbronnych, we śnie się znajdujących, byłoby sromotą dla każdego, a cóż dopiero dla króla, powściągnął swój gniew i postanowił publicznie na stosie ich spalić. Obróciwszy się do jedynego towarzysza, którego miał przy boku, rzekł:

— Co myślisz o tej nierządnej białogłowie, po której sobie tyle obiecywałem?

Potem spytał go, zali zna młodzieńca tak zuchwałego, że królowi podobną hańbę we własnym jego domu wyrządzić się odważył. Zapytany odrzekł, że nie przypomina sobie, aby tego młodzieńca kiedykolwiek widział. Wówczas król, srodze poburzony, wyszedł z komnaty rozkazawszy wprzód oboje kochanków, tak obnażonych, jak są, przytrzymać, związać i za dnia do Palermo na rynek odprowadzić. Tam zasię przywiązać ich do pala plecami do siebie i tak trzymać ich aż do godziny trzeciej, aby ich wszyscy obaczyć mogli, a po upływie tego czasu spalić, jak na to zasłużyli. Taki rozkaz wydawszy, król, pełen rankoru i złości, do pałacu swego w Palermo powrócił.

Po oddaleniu się króla słudzy nie tylko zbudzili kochanków ze snu, ale natychmiast bezlitośnie rzucili się na nich, aby im ręce i nogi związać. Imaginujcież sobie, jakim smutkiem to nagłe nieszczęście kochanków przejąć musiało i jak poczęli drżeć z trwogi o życie swoje, płakać i narzekać. Zgodnie z rozkazem króla zawiedziono ich do Palermo i na placu do jednego słupa przywiązano. Po czym na ich oczach stos wznosić poczęto, aby o wyznaczonej przez króla godzinie karze ognia podlegli. Na plac zbiegła się wkrótce ciżba ludzi, z mieszkańców Palermo złożona, dla obejrzenia nieszczęsnych miłośników. Mężczyźni, cisnący się dla przyjrzenia się młodej dziewczynie, głośno wychwalali jej urodę i kształtowne ciała złożenie, białogłowy zasię nie mogły się dość nawysławiać piękności młodzieńca. Nieszczęśni kochankowie, okrutnego sromu pełni, stali z opuszczonymi głowami, opłakując swój los przeciwny i z godziny na godzinę czekając na śmierć w płomieniach.

Gdy w ten sposób oczekiwali chwili wykonania wyroku, opowieść o ich winie, z ust do ust przechodząc, doszła wreszcie do pana Ruggiera de Loria, męża osobliwej dzielności, który podówczas urząd królewskiego admirała sprawował. Ruggieri de Loria, chcąc ich zobaczyć, przybył na plac; spojrzawszy najpierw na dzieweczkę zachwycił się jej pięknością. Gdy potem wzrok na młodzieńca obrócił, poznał go zaraz, przystąpił tedy do niego i zapytał, zali zowią go Giannim z Procidy. Gianni podniósł głowę, a poznawszy admirała rzekł:

— Tak, panie, byłem tym, o kogo się pytacie, i kim już wkrótce być przestanę!

Wówczas admirał zapytał, co go do takiego stanu przywiodło.

— Miłość — odparł Gianni — i gniew króla.

Ruggieri poprosił go, aby mu o wszystkim szczegółowie rozpowiedział. Wysłuchawszy opowieści nieszczęśnika, chciał odejść śpiesznie, aliści Gianni zatrzymał go i rzekł jeszcze:

— Ach, czcigodny panie, jeżeli to tylko w waszej mocy leży, wyjednajcie mi jedną łaskę u tego, z czyjego rozkazu tu na stosie stoję.

— Jakaż to łaska? — spytał Ruggieri.

— Wiem — odrzekł Gianni — że niedługo już umrzeć muszę i dlatego tej łaski się dopraszam, abym nie był obrócony plecami do dzieweczki, którą nad życie me kocham, podobnie jak i mnie ona, ale twarzą w twarz z nią ginął i tym sposobem w chwili śmierci z jej oblicza pociechę i spokój mógł czerpać.

Ruggieri rzekł ze śmiechem:

— Ochotnie to uczynię, a nawet postaram się o to, abyś mógł na nią patrzeć jeszcze tak długo, aż ci obmierznie.

Po tych słowach odszedł, rozkazawszy wprzód wykonawcom wyroku, aby nic więcej poczynać się nie ważyli, póki nowych poleceń od króla nie otrzymają. Później nie mieszkając udał się do króla i chocia srodze gniewliwego go znalazł, wypowiedział otwarcie swój sąd.

— Miłościwy panie — rzekł — jakąż krzywdę wyrządziła ci ta para, którą z rozkazu waszego na placu spalić mają?

Król opowiedział mu całą historię.

— Postępek ich zasługuje na karę, aliści nie wy ich karać powinniście. A jak za zbrodnie należy się kara, tak też szlachetne czyny nagradzać trzeba, nie mówiąc już o łasce i miłosierdziu. Czy wiecie, kim są ci, których spalić rozkazaliście?

— Nie — odrzekł król.

— Pragnę — rzekł Ruggieri — abyście dowiedzieli się o tym i wnieśli z tego, że za popędem pierwszego gniewu nigdy iść nie lza. Młodzieniec ów jest synem Landolfa z Procidy, rodzonego brata owego Gianniego z Procidy, przy którego pomocy zostaliście królem i władcą tej wyspy. Dzieweczka zasię to córka Marina Bolgaro, którego wpływowi zawdzięczacie, że Ischia dotąd panowanie wasze nad sobą uznaje. Ci młodzi ludzie od dawna się wzajemnie miłują; pobudzani tym uczuciem, a nie chęcią obrazy waszego majestatu, grzech ten popełnili (jeśli grzechem można nazwać to, do czego miłość młodych doprowadza). Przeczże zatem wysyłacie na śmierć ludzi, których oznakami czci osobnej i bogatymi darami obsypać powinniście?

Król, wysłuchawszy tych słów i poznawszy, że Ruggieri prawdę powiada, nie tylko wstrzymał wykonanie okrutnego wyroku, ale począł żałować nawet tego, co dotychczas uczynił. Rozkazał, aby młodą parę natychmiast od słupa odwiązano i przyprowadzono przed jego oblicze. Tak się też stało. Po czym poznawszy sprawy ich dokładnie, król rozważył, jakimi by to darami i osobnym uczczeniem za tak ciężką krzywdę ich wynagrodzić. Namyśliwszy się, polecił ich przybrać w wspaniałe szaty, a potem, gdy się przekonał, że oboje gorąco połączyć się pragną, rozkazał Gianniemu ożenić się z Restitutą, obdarzył ich bogatymi podarkami i wielce szczęśliwych do ojczyzny z powrotem wyprawił, gdzie z wielką radością ich przyjęto. Gianni i Restituta żyli jeszcze długo w szczęściu i spokoju".

Opowieść siódma. Violanta

Teodor, zakochawszy się w Violancie, córce pana swego, imć Ameriga, czyni ją brzemienną i za to na szubienicę skazany zostaje. Gdy go pod rózgami na kaźń wiodą, poznaje go i uwalnia jego rodzic. Teodor żeni się z Violantą.

Damy, z natężeniem oczekujące, co się z kochankami stanie i czy w samej rzeczy na stosie spaleni zostaną, poweselały, usłyszawszy o ich wybawieniu się od śmierci i Bogu dank złożyły. Królowa skinęła na Laurettę, a ta z radością w te słowa zaczęła:

„Gdy szlachetny król Wilhelm rządy nad Sycylią sprawował, żył na tej wyspie pewien szlachcic, Amerigo Abbate z Trapani zwany, który wśród obfitości wszelkich dóbr doczesnych także mnóstwo dzieci posiadał. Potrzebując licznej służby, kupił kilku otroków od genueńskich korsarzy, którzy grabiąc brzegi Armenii, wiele dzieci uprowadzili, a teraz, płynąc ze Wschodu, ze swymi galerami do portu zawinęli. Amerigo otroków za Turków uważał. Wśród niewolników, pozór pastuchów mających, jeden chłopiec szlachetniejszą postawą i gładszymi obyczajami się wyróżniał. Zwali go Teodorem. Chocia za niewolnika był uważany, pozostał w domu pana Ameriga i rósł pospołu z jego dziećmi. Raczej dzięki szczęśliwej naturze swojej niż dzięki pomyślnemu zrządzeniu przypadku zdołał wkrótce tak szlachetnych obyczajów nabrać, że pan jego, przychylnością do niego powodowany, wolnością go obdarzył. Mniemając zasię, że Teodor jest Turkiem, ochrzcić go przykazał i dać imię Piotra. Potem Amerigo marszałkiem swym go uczynił i w zupełności mu zaufał. Wraz z innymi dziećmi pana Ameriga wzrastała córka jego, Violanta, wielce urodziwa dzieweczka. Gdy ojciec za mąż wydać ją się zbierał, Violanta w Piotrze się zakochała. Miłując go gorąco i przymioty jego wielce ceniąc, nie miała jednak odwagi odkryć mu afektów swoich, aliści wkrótce Amor z tego zatrudnienia ją wywiódł. Piotr bowiem, spojrzawszy na nią kilka razy ukradkiem, tak się nią zachwycił i tak w niej rozmiłował, że czuł się wtedy tylko szczęśliwy, gdy z nią razem przebywać mógł. Obawiał się jednak, aby ktoś miłości jego nie odkrył, wydawało mu się bowiem, że źle sobie poczyna. Dzieweczka, ochotnie w towarzystwie Piotra przebywająca, tajemnicę jego odgadła, a chcąc dodać mu odwagi i otuchy, wielkie ukontentowanie po sobie pokazała. Przez długi czas jeszcze pozostawali w niepewności, jak swe uczucia wzajemne sobie wyznać, chocia gorąco pragnęli porozumieć się z sobą. Gdy tak cierpieli, ogniem namiętności gorejąc, los, jakby rozmyślnie czyniąc, w sukurs im przyszedł i pokazał im drogę do stłumienia lęku wiodącą. Amerigo posiadał piękną majętność, o milę od miasta Trapani leżącą. Żona jego z córką i różnymi damami przebywała tam często dla wytchnienia. Pewnego dnia

zdarzyło się, że w upalny dzień udały się na wieś, wziąwszy z sobą także i Piotra. W czasie ich przechadzki nagle, jak to często w lecie się zdarza, niebo pokryło się ciemnymi chmurami. Damy, nie chcąc być burzą zaskoczone, wyruszyły w powrotną drogę do Trapani. Piotr i Violanta, jako ludzie młodzi, wyprzedzili znacznie żonę pana Ameriga i jej towarzyszki; może nie tylko obawa niepogody, ale i miłość kroki ich przyśpieszyła. Oddaliwszy się od reszty kompanii tak, że ledwie widziani być mogli, poczuli, że po wielu grzmotach, grad gruby i gęsty sypać poczyna. Damy schroniły się do domu pewnego wieśniaka, co się zaś Piotra i Violanty tyczy, to nie widząc innego schronu, wpadli do starej, pochylonej rudery, w której nikt już nie mieszkał. Dach tej chaty był bardzo uszkodzony; tylko cząstka jego pozostała. Młodzi ludzie dla ciasnoty kąta, w którym stali, musieli się zetknąć z sobą. Ta okoliczność dodała im odwagi do wzajemnych oświadczyn i była pobudzeniem ich miłosnego pragnienia. Piotr pierwszy zaczął w te słowa:

— Dałby Bóg, aby ten grad nigdy nie ustawał, dopóki bowiem sypie, mogę się stąd nie ruszać.

— Ach, i ja bym tego chciała — odparła Violanta.

Rzekłszy to, uścisnęli ręce, po czym objęli się i pocałowali, podczas gdy grad wciąż po dawnemu sypał.

Nie będę się tu nad każdym szczegółem szerzyła, to jeno powiem, że nim się niebo wyjaśniło, Piotr i Violanta najwyższe uniesienia miłości poznali i umówili się o sposób tajnego widywania się z sobą. Gdy grad padać przestał, poczekali u niedalekich bram miasta na matkę Violanty i wraz z nią do domu powrócili. Od tego dnia nieraz jeszcze, wielką ostrożność zachowując, schodzili się razem ku mnogiej radości swojej. Wreszcie Violanta brzemienną się poczuła, co niemało strapienia im przyczyniło. Nie omieszkała próbować różnych środków, aby pozbyć się płodu przed czasem, jednakoż wszystkie jej starania na niczym spełzły. Wówczas Piotr, obawiający się o życie swoje, postanowił uciec, o czym Violancie powiedział.

— Jeśli mnie opuścisz — rzekła Violanta — to bądź upewniony, że życie sobie odbiorę.

Piotr gorąco ją miłujący odparł:

— Nie mogę tu pozostać, najdroższa moja! Brzemienność twoja wnet jawną się stanie i postępek nasz zdradzi. Tobie przebaczą z łatwością, ja zasię, nieszczęsny, za twoją i swoją winę będę musiał odpokutować.

— Piotrze — odrzekła na to Violanta — mój grzech istotnie na jaw wyjdzie, co się jednak twego tyczy, to bądź upewniony, że nikt o nim wiedzieć nie będzie, jeśli tylko ty sam o nim nie powiesz.

— Jeżeli tak — zawołał Piotr — to zostanę. Pamiętaj jednak, abyś swoją obietnicę zdzierżyła!

Violanta ukrywała długo stan swój, widząc jednakoż, że wygląd jej dalszą tajemnicę niemożliwą czyni, wyznała pewnego dnia matce wszystko, rzęsistymi łzami się zalewając i błagając ją o przebaczenie i litość. Matka, bólem wielkim przejęta, zganiła ją ostrymi słowy i żądała wyznania, kiedy i z kim się to zdarzyło. Dzieweczka, nie chcąc biedy na Piotra sprowadzać, wymyśliła jakąś baśń i za prawdę ją podała matce, która uwierzywszy wszystkiemu, wysłała córkę dla ukrycia jej błędu do jednej z ich posiadłości.

Gdy czas połogu nadszedł i chora, kobiecym obyczajem, w bólach krzyczeć poczęła, zdarzyło się to, czego matka najmniej się spodziewała — że pan Amerigo, który dotychczas w tej wiosce prawie nigdy nie bywa, wracając z polowania, krzykiem tym zadziwiony, podjechał pod dom i wszedł nagle do komnaty, aby spytać się o powód wrzawy. Matka, będąca w tej chwili przy córce, obaczywszy swego męża, podniosła się i z płaczem powtórzyła mu to, co jej Violanta opowiedziała. Aliści pan Amerigo, mniej od żony łatwowierny, odparł, że niemożliwą jest rzeczą, aby dziewczyna nie wiedziała, od kogo jest brzemienną, i zażądał szczerego wyznania prawdy, mówiąc, że jest to jedyny środek do uzyskania jego przebaczenia. W przeciwnym razie zasię niechaj na pewną i okrutną śmierć się gotuje! Na próżno matka Violanty siliła się wmówić w niego ową bajkę, której sama uwierzyła. Wysiłki jej na niczym spełzły. Amerigo, srogim gniewem zapalony, rzucił się z obnażoną szpadą na córkę, która w tym czasie synka powiła, i krzyknął:

— Albo mi wyznasz, kto jest ojcem twego dziecięcia, albo zginiesz na miejscu!

Z trwogi przed śmiercią złamała Violanta dane Piotrowi słowo i wyznała ojcu wszystko, co między nimi zaszło. Rycerz, wysłuchawszy Violanty, wpadł w taką wściekłość, że ledwie od zamordowania córki pohamować się zdołał. Dawszy w słowach folgę gniewowi swemu, wsiadł z powrotem na konia i do Trapani popędził. Przybywszy do grodu, oskarżył Piotra przed Konradem, królewskim namiestnikiem, o hańbę wyrządzoną jego domowi. Namiestnik kazał Piotra niespodzianie pochwycić i wziąć go na pytki, celem dobycia z niego dokładniejszych zeznań; potem skazał go na przepędzenie kijami przez całe miasto, a następnie na powieszenie. Aby zaś ta sama

godzina była kresem życia obojga kochanków i ich dziecięcia, pan Amerigo, który gniewu swego wyrokiem śmierci na Piotra jeszcze nie zaspokoił, wsypał truciznę do kielicha z winem i powierzył go wraz z ostrym sztyletem jednemu ze sług swoich, mówiąc doń:

— Udaj się z tym do Violanty i w moim imieniu jej powiedz, aby, nie mieszkając, jeden z tych dwóch rodzajów śmierci wybrała. Niechaj ginie od trucizny lub od noża, w przeciwnym razie, jak na to zasłużyła, w obliczu całego miasta na stosie spłonie. Skoro zaś tego dokonasz, pochwyć chłopca, którego Violanta przed kilkoma dniami na świat wydała, rozbij mu głowę o ścianę i rzuć go potem psom na pożarcie.

Otrzymawszy od okrutnego ojca taki rozkaz, córki jego i wnuka się tyczący, sługa, do złego chętny, poszedł go wykonać. Tymczasem Piotr, na śmierć skazany, pędzony był uderzeniami kijów do szubienicy. Pachołkowie wiedli go koło gospody, w której trzech szlachciców armeńskich mieszkało. Byli to posłowie, wysłani przez króla Armenii do Rzymu dla porozumienia się z papieżem w ważnych sprawach, przejścia wojsk dotyczących. Zatrzymali się oni w Trapani przez dni parę dla wypoczynku i skrzepienia sił, przyjmowani z osobną czcią przez dostojnych obywateli miasta z panem Amerigo na czele. Trzej posłowie, widząc przechodzący orszak z Piotrem pośrodku, podeszli przez ciekawość do okna. Piotr był do pasa całkiem obnażony i ręce miał na plecach związane. Jeden z posłów, nazwiskiem Fineo, człek w podeszłym wieku i wielkiej powagi, spostrzegł na piersi młodzieńca wielką ognistej barwy plamę, nie wymalowaną, jeno będącą przyrodzonym na skórze znamieniem. Na ten widok wspomniał pan Fineo swego syna, którego mu przed piętnastu laty korsarze na wybrzeżu Laiazzo porwali. Od tego czasu słuch o nim zaginął. Zważywszy wiek nieszczęśnika pędzonego przez katów, pomyślał, że syn jego, gdyby jeszcze przy życiu się znajdował, w tym samym wieku być by musiał. Uderzony widokiem znamienia podejrzewać począł, że skazaniec jest jego synem. Wówczas przyszło mu do głowy, że jeśli tak jest w samej rzeczy, to młodzieniec winien przypomnieć sobie swoje imię oraz imię ojca i zrozumieć słowa armeńskiego języka. Dlatego też, gdy skazaniec do okna się zbliżył, Fineo zawołał:

— Teodorze!

Na dźwięk tego imienia Piotr podniósł natychmiast głowę. Wówczas Fineo spytał go po armeńsku:

— Skąd pochodzisz i kto był twoim rodzicem?

Pachołkowie kata przez wzgląd na osobę posła zatrzymali się, tak iż Piotr mógł odpowiedzieć:

— Pochodzę z Armenii. Rodzic mój zwał się Fineo. Nieznani ludzie przywieźli mnie tutaj, gdy jeszcze małym dzieckiem byłem.

Na te słowa Fineo ponad wątpliwość poznał w młodzieńcu swego utraconego syna. Z płaczem zbiegł po schodach wraz z towarzyszami swymi i pośród siepaczy chwycił Teodora w objęcia. Po czym okrył go płaszczem z drogocennej materii, zdjętym z własnych ramion, i poprosił dowódcy, aby przez wzgląd na jego osobę, wstrzymał się, dopóki nowych rozkazów nie otrzyma. Dowódca chętnie zgodził się na to.

Fineo wiedział już, za jaką to winę Teodora na kaźń wiedli, bowiem słuchy o tym po całym mieście obiegały. Dlatego też co żywo z towarzyszami swymi i ze świtą do Konrada się udał i tak rzekł do niego:

— Panie! Młodzieniec ten, którego jako niewolnika na śmierć skazaliście, jest wolnym człekiem i moim synem. Gotów on jest pojąć za żonę dzieweczkę, którą jak mówią, zbezcześcił. Odłóżcie przeto wykonanie wyroku aż do chwili, gdy przyjdzie wiadomość, czy dzieweczka chce go za męża, iżbyście nie uchybili prawu, gdyby taka była jej wola.

Konrad usłyszawszy, że Piotr jest synem pana Fineo, wielce się zadziwił. Wstydząc się omyłki z winy przypadku i zważywszy, że prośba Fineo jest słuszna, polecił skazańca do domu z powrotem odprowadzić, a sam tymczasem wezwał pana Amerigo i o wszystkim go powiadomił.

Pan Amerigo, przekonany, że córka jego i wnuk już nie żyją, męki cierpiąc najsroższe, nie mógł przeboleć tego, co uczynił. Widział bowiem, że gdyby Violanta nie umarła, wszystko dałoby się ułożyć jak najlepiej. Niemniej jednak pchnął w lot umyślnego do córki, by wstrzymał wypełnienie jego nakazu, o ile ten jeszcze wykonany nie został. Wysłannik zastał przybocznego pana Amerigo w chwili, gdy położywszy przed nieszczęsną sztylet i truciznę, zelżywymi obrzucał ją słowami za to, że ociąga się z wyborem, do którego chciał ją przymusić. Ale posłyszawszy wolę swego pana, pozostawił Violantę i powrócił, by ze stanu rzeczy zdać mu sprawę.

Uradowany obrotem sprawy, Amerigo udał się niezwłocznie do Finea. Ze łzami niemal usprawiedliwiał się, jak umiał, i o przebaczenie go prosił za to, co się stało, zaręczając, że jeśli tylko Teodor chce poślubić jego córkę, odda mu ją z najwyższą radością.

Fineo życzliwie przyjął jego usprawiedliwienie i odparł:

— Jest wolą moją, aby syn mój poślubił córkę waszą; jeśliby zaś się wzdragał, niech się dopełni wyrok na niego wydany.

Skoro więc i Fineo, i Amerigo jednej byli myśli, udali się tam, gdzie czekał ciągle Teodor, przejęty zarówno lękiem przed śmiercią, jak i radością z odnalezienia rodzica. Zapytali go, jaka jest w tym jego wola. Gdy Teodor usłyszał, że Violanta, jeśli zechce, może stać się jego żoną, tak niepomierną odczuł radość, jakby z piekieł jednym skokiem znalazł się w raju. Oświadczył tedy, że byłoby to dla niego łaską najwyższą, jeżeli tylko obaj ojcowie na to przyzwolą. Posłano więc do młodej niewiasty, by i ona wyraziła swą wolę. Violanta, bardziej bólem zmożona niż jakakolwiek inna kobieta, oczekiwała śmierci. Usłyszawszy, jakie były i jakie być miały losy Teodora, po długiej dopiero chwili zaczęła dawać wiarę tym słowom i uspokoiła się nieco, odpowiadając, że jeśli o nią idzie, nic większej radości sprawić jej nie może, jak oddanie ręki Teodorowi. Aliści posłuszną będzie woli ojca swego.

Gdy więc tak zgoda powszechna doprowadziła do zaślubin Violanty, fetowano je jak najwspanialej ku uciesze wszystkich mieszkańców. Młoda niewiasta, uspokojona, karmiąc swego synka, niebawem stała się piękniejszą niż kiedykolwiek. Powstawszy z łoża, gdy Fineo powrócił z Rzymu, oddała mu cześć, jaka ojcu przynależy, on zasię, synową taką ciesząc się niepomiernie, gody im wyprawił z niewidzianym przepychem i wesołością, a ją za córkę przybrał i zawsze odtąd poczytywał. A gdy minęło dni kilka, syna wraz z nią i małym wnuczkiem zabrał z sobą statkiem do Laiazzo, gdzie w spokoju i dostatku oboje kochankowie do końca życia swego pozostali".

Opowieść ósma. Okrutne łowy

Nastagio degli Onesti miłuje dzieweczkę z rodu Traversari. Traci na nią bogactwa swoje, aliści jej wzajemności dobić się nie może. Na prośby krewniaków udaje się do Chiassi i tam spostrzega rycerza, który ściga młódkę, a potem zabija ją i na pożarcie psom rzuca. Nastagio sprasza krewniaków, aby wraz z umiłowaną przez niego dzieweczką na obiad do Chiassi przybyli. Dzieweczka, widząc rozszarpanie tejże młódki, poczyna się obawiać podobnej kary i wychodzi za mąż za Nastagia.

Skoro Lauretta zamilkła, na wezwanie królowej Filomena w te słowa zaczęła:

— Piękne damy! Ponieważ Bóg miłosiernymi nam być przykazał, tedy Jego sprawiedliwość wszelkie okrucieństwa surowo karać musi. Aby wam dać dowód tego i

skłonić was do wystrzegania się nieczułości serca, chcę opowiedzieć historię, która powinna nie mniej zabawić, jak i współczucie w was obudzić.

„W Rawennie, odwiecznym mieście Romanii, żyło ongiś wielu ludzi szlachetnych i zacnego rodu. Między nimi wyróżniał się szczególnie niejaki Nastagio degli Onesti, człek młody, który po śmierci ojca i wuja swego stał się wielkim bogaczem. Ów, w bezżennym stanie żyjąc, zakochał się w córce pana Paola Traversari. Żywił nadzieję, że pozyska jej względy staraniami swoimi, mimo że ród jej był o wiele starszy i świetniejszy od jego rodu. Jednakoż cała jego wytrwałość, miłość i wspaniałość na nic się nie zdały; owszem, zdawało się, że im więcej przypodobać jej się stara, tym bardziej sobie szkodzi — tak szorstką, nieżyczliwą i niechętną okazywała się dla niego umiłowana dzieweczka. Nie wiedzieć, co było tego przyczyną: czyli zbytnie rozumienie o piękności swojej, czyli też rodowa pycha niezmierna, dosyć na tym, że ani Nastagia, ani najmniejszej rzeczy jemu miłej znosić nie mogła. Ta nieczułość kochanki tak Nastagia trapiła, że nieraz skarżył się i chciał już z boleści życie sobie odjąć. Czasami zasię obiecywał sobie, że zapomni całkiem tę okrutnicę albo przynajmniej tak ją znienawidzi, jak ona jego nienawidziła. Jednak wszystkie jego postanowienia na niczym spełzły, bowiem im bardziej ginęła szczęścia nadzieja, tym miłość jego gorętszą się stawała.

Gdy Nastagio tak uparcie trwał w afektach swoich i brnął coraz dalej w obłędliwe szaleństwa i nadmierne wydatki, krewniacy jego i przyjaciele do tej myśli przyszli, że w grze takiej wnet życie i majątek cały postrada. Radzili mu więc po wielekroć i zaklinali go, ażeby Rawennę opuścił i do innego jakiegoś grodu na dłuższy pobyt się udał; mniemali bowiem, że tym sposobem z miłości go wyleczą i od ruiny uchronią. Nastagio w śmiech to po wiele razy obracał, na koniec widząc jednak, że niepodobna wiecznie trwać przy swoim, oświadczył wreszcie, że ma zamiar do Francji, Hiszpanii albo do jakiegoś innego oddalonego kraju wyjechać, i w samej rzeczy niemałe przygotowania do drogi uczynił. Po czym wsiadł na konia i w towarzystwie licznych przyjaciół swoich Rawennę opuścił. Aliści dojechał tylko do Chiassi, miejscowości o trzy mile od miasta oddalonej; tam zatrzymawszy się, kazał rozbić obozowe namioty dla siebie, a potem rzekł towarzyszom, że mogą wracać do Rawenny, bowiem on tu pozostać postanowił.

Rozłożywszy się w Chiassi, jął prowadzić równie świetny i okazały żywot, jak pierwej i jak zwykle znajomych swoich na obiad lub wieczerzę do siebie zapraszał. Pewnego dnia, a był to właśnie piątek, gdy piękna pogoda majowa panowała, Nastagio znów w myśli o okrutnej kochance się pogrążył. Ażeby tym swobodniej smutkowi swemu się oddać, oddalił od siebie wszystkich towarzyszów swoich i sam, bez celu błądząc,

doszedł do piniowego lasu. Już dawno przeszła południowa godzina; Nastagio bez myśli o jadle i napoju już na pół mili prawie w gęstwinę się zagłębił, gdy nagle płacz i rozpaczliwe jęki kobiece, gdzieś w bliskości brzmiące, z rozmyślań pełnych melankolii go wyrwały. Stanął, podniósł głowę, by zobaczyć, co się dzieje, i zadziwił się, widząc, że jest pośród piniowego lasu. Wtem ujrzał, jak z cierniowych zarośli, sterczących przed nim, wypadła cudownie piękna naga dziewczyna, z rozwianymi włosami i z ciałem przez gałęzie i kolce poszarpanym, pędząc ku niemu bez tchu prawie wśród głośnego płaczu i wołania o litość. Po obu jej bokach gnały nieodstępne dwa rozjadłe kundle, co chwila zatapiając w jej ciele kły, gdzie tylko schwycić mogły, za nią zasię gnał rycerz na czarnym koniu i w czarnym rynsztunku, z twarzą pałającą gniewem, ze szpadą w ręku, i straszliwymi, hańbiącymi słowy śmierć jej zapowiadał. Na ten widok Nastagia w pierwszej chwili przejęły podziwienie i trwoga, wnet jednak współczucie wzbudziło w nim żądzę ocalenia nieszczęśliwej niewiasty od mąk takich i śmierci. Nie mając broni pod ręką, schwycił potężną gałąź i nią drogę psom i rycerzowi zagrodził. Czarny rycerz, spostrzegłszy to, z daleka już na niego zawołał:

— Zaniechaj walki, Nastagio, i pozwól mnie i psom moim uczynić z tą niewiastą to, na co zasłużyła!

Przy tych słowach dwa kundle schwyciły z całej siły dziewczynę za biodra i osadziły ją na miejscu; rycerz zasię przypędził na koniu i skoczył z niego, podnosząc szpadę. Nim jednak mógł coś uczynić, Nastagio stanął przed nim i zawołał:

— Nie wiem, ktoś jest, choć mnie tak dobrze znać się zdajesz; tyle ci jednak powiedzieć mogę, że w wysokim stopniu haniebną jest rzeczą, gdy zbrojny rycerz nagą kobietę chce mordować i psami ją szczwa niby dzikie zwierzę, dlatego też bronić jej będę z wszystkich sił moich.

— Nastagio — odrzekł na to rycerz — pochodzę z tego samego co i ty miasta. Byłeś jeszcze małym dziecięciem, kiedym ja, zwany Gwidonem degli Anastagi, w tej oto dziewczynie zaiste o wiele goręcej się kochał aniżeli ty teraz w pannie Traversari. Aliści pycha jej i okrucieństwo wtrąciły mnie w taką rozpacz, że wreszcie tą szpadą, którą widzisz w moim ręku, nieszczęsne życie sobie odebrałem i za to na wieczyste męki skazany zostałem. Wkrótce potem umarła i ona, niezmiernie z śmierci mojej się radująca. Za okrucieństwo i za to, że cieszyła się z mąk moich, nie uważając tego nigdy za grzech, ale za zasługę, takoż na wieczne męki piekielne skazana została. Gdy do piekła przybyła, obojgu nam za karę naznaczono: jej uciekać przede mną, mnie zasię, którym ją niegdyś tak gorąco miłował, za nią się uganiać, nie jako za przedmiotem

miłości, ale jak za śmiertelną nieprzyjaciółką swoją. Ilekroć ją dopędzę, przeszywam ją tą samą szpadą, którą się niegdyś zabiłem, otwieram, jak to zaraz obaczysz, jej pierś, wyrywam z niej twarde i zimne serce, do którego miłość ani litość przystępu znaleźć nie mogły, i rzucam je psom moim na pożarcie. Po krótkim czasie jednak zmartwychwstaje ona znowu za Boga sprawiedliwym wyrokiem i wszechmocy jego władzą, jak gdyby nigdy zabitą nie była. Wówczas zaczyna się od nowa jej żałosna ucieczka i moja z psami wściekła pogoń za nią. Tak dzieje się w każdy piątek, o tej, co dzisiaj, godzinie i na tym samym miejscu. Dopadam jej i jak wnet ujrzysz, morduję, nie sądź jednak, że w inne dni spoczynek mamy; codziennie w tych wszystkich miejscach, gdzie jakieś okrutne myśli piastowała, prześladuję ją i ścigam. Ponieważ zasię z najczulszego kochanka wrogiem jej się stałem, tedy tyle lat muszę ją w ten sposób dręczyć, ile miesięcy ona się znęcała nade mną. Pozwól mi wyroku sprawiedliwości bożej dopełnić i nie próbuj sprzeciwiać się temu, czemu przeszkodzić nie jest w twojej mocy.

Na te słowa Nastagio osłupiał, a włosy ze strachu zjeżyły mu się na głowie. Odstąpiwszy kilka kroków, zwrócił oczy na nieszczęsną dziewczynę i czekał, drżący, na to, co dalej się stanie. Rycerz zasię, słowa te wyrzekłszy, skoczył na kształt rozjuszonego zwierzęcia ku dziewczynie, która przez dwa kundle trzymana, na klęczkach o litość błagała, i pchnął ją szpadą w piersi z taką siłą, że ostrze wyszło plecami. Z jękiem śmiertelnym zwaliła się nieszczęśnica od ciosu tego twarzą na ziemię, a wówczas rycerz chwycił sztylet, bok jej nim otworzył, wyrwał serce z innymi wnętrznościami i cisnął psom, które je z żarłocznością połknęły. Ledwo kilka chwil upłynęło, dziewczyna podniosła się, jak gdyby nic się nie stało, i jęła uciekać na nowo w kierunku morza; obok niej, jak pierwej, gnały psy nie przestając jej szarpać. Rycerz, dosiadłszy z powrotem czarnego swego rumaka, ze szpadą w ręku szalonym pędem za nią podążył. Wkrótce tak się oddalili, że Nastagio stracił ich z oczu.

Nastagio, obaczywszy to wszystko, stał nieruchomo na miejscu, miotany litością i trwogą. Naraz jednak uderzyła go myśl, że to zdarzenie, powtarzając się co piątek, może mu się stać pomocne wielce. Oznaczył więc sobie dokładnie miejsce, a po powrocie do swych towarzyszy w Chiassi, gdy czas nadszedł, posłał po wielu krewnych swoich i przyjaciół do Rawenny.

— Długo staraliście się to na mnie wymóc — rzekł do nich — abym miłości mojej do owej okrutnicy się wyrzekł i szalonych wydatków zaprzestał. Otóż obecnie jestem gotów to uczynić, pod warunkiem jednakowoż, że pana Paola Traversari k'temu skłonicie, aby w towarzystwie żony, córki i wszystkich krewnych wraz z wami i damami, jakie wybrać

zechcecie, w najbliższy piątek obiad tutaj u mnie spożyć zechcieli. Dlaczego zasię domagam się tego, wtedy się dowiecie.

Krewni i przyjaciele postanowili spełnić tę skromną prośbę Nastagia, powróciwszy tedy do Rawenny, we właściwym czasie wskazane im osoby zaprosili. Najtrudniej poszło z ukochaną przez Nastagia dzieweczką, ale i ta wreszcie zgodziła się wziąć udział w uczcie pospołu z innymi. Nastagio z rozrzutnością królewską obiad przygotować kazał, stoły rozstawiono pod piniami wokół miejsca, gdzie nieczuła dziewica tak okrutnej karze podlegała. Po czym, wskazawszy wszystkim gościom ich miejsca, dla umiłowanej swojej takie miejsce przeznaczył, aby siedziała naprzeciw polany, gdzie jak sądził, przerażające zjawy się ukażą. Już ostatnią potrawę podano, gdy naraz krzyk ściganej dziewicy do uszu wszystkich dobiegł. Obecni zadrżeli na ten głos przeraźliwy i jęli się pytać, skąd on pochodzić może; aliści nikt wyjaśnienia dać nie mógł. Wszyscy strwożeni podnieśli się i wytężyli wzrok w stronę, skąd odgłos ten dobiegał. Nagle ujrzeli dziewczynę, rycerza i psy. Za chwilę pościg był już między nimi. Na ten widok z okrzykami oburzenia i gniewu jedni rzucili się naprzeciw rycerza i psów, a drudzy chcieli zasłonić sobą dziewczynę. Aliści rycerz obrócił się do nich z podobną mową co pierwej do Nastagia. Słowa jego nie tylko odjęły przytomnym chęć do obrony dziewczęcia, lecz przejęły ich zarazem osłupieniem i przerażeniem. Rycerz czynił to samo co przed tygodniem. Pośród gości znajdowało się wiele dam spokrewnionych z nieszczęsną dziewczyną, a takoż i z rycerzem. Niejedna pamiętała dobrze śmierć jego; widząc, że wykonywa straszliwy wyrok na dzieweczce, uderzyły w płacz tak ogromny, jakby wyrok ów nad nimi samymi miał być dopełniony.

Gdy wszystko dobiegło końca i zjawy znikły wreszcie sprzed oczu przytomnych, nikt otrząsnąć się z wrażenia nie mógł. Długo o tym mówili. Największa jednak trwoga odmalowała się na twarzy ukochanej przez Nastagia panny, która wszystko dokładnie widziała i słyszała. Wspomniawszy bowiem na okrucieństwa, jakich się tylekroć względem tego młodzieńca dopuszczała, poczuła, że widowisko, którego przed chwilą naocznym świadkiem była, dla nikogo z obecnych straszniejszą nie jest przestrogą, jak dla niej; zdało się jej, że Nastagio gna już za nią przez lasy i że dwa spienione kundle kły w jej ciele zatapiają. Na tę myśl taka obawa ją zdjęła przed podobnym losem, że nagle nienawiść na miłość w jej sercu się przemieniła i chwili stosownej doczekać się nie mogła. Jeszcze tego wieczora przy zdarzonej sposobności tajemnie do Nastagia zaufaną służkę wysłała. Służka ta poprosiła go w imieniu pani o odwiedzenie jej i oświadczyła, że pani gotowa jest spełnić wszystko, czego Nastagio zapragnie. Nastagio

odparł na to, że wieść ta przejmuje go radością niewysłowioną, aliści chce cel pragnień swoich osiągnąć czci jej na szwank nie przywodząc, lecz za prawą biorąc ją małżonkę. Młoda dama, świadoma dobrze, że od niej tylko zależało być już dawno żoną Nastagia, przychylną dała mu odpowiedź, za czym udała się do swoich rodziców i pierwsza oświadczyła im chęć wyjścia za niego. Rodzice, niezmiernie tym uradowani, następnej zaraz niedzieli odbyli uroczyste zaręczyny młodej pary. Po okazałym weselu, które wkrótce nastąpiło, młodzi małżonkowie przez długie lata szczęściem swoim się cieszyli. Straszna zjawa nie tylko ten jeden szczęśliwy skutek wywarła, wszystkie bowiem białogłowy w Rawennie tak się zastrachały, że od tego czasu bardziej uległymi wobec mężczyzn się stały".

Opowieść dziewiąta. Sokół

Federigo degli Alberighi miłuje bez wzajemności; po stracie całego mienia pozostaje mu jedynie sokół, którego, nic innego nie mając, poświęca na potrawę dla umiłowanej białogłowy, gdy ta doń w gościnę przybywa. Uznawszy o tym dama zmienia postępowanie, wychodzi za niego za mąż i bogatym człowiekiem go czyni.

Gdy Filomena skończyła opowieść swoją, królowa, widząc, że krom Dionea, który miał osobny przywilej, ona tylko nie opowiadała jeszcze, z wesołą twarzą w te słowa zaczęła:

— Na mnie tedy kolej przychodzi i dlatego też chcę wywiązać się z mojego obowiązku powieścią, która wiele z poprzednią ma podobieństwa. Dowiecie się z niej nie tylko o tym, jaką władzę wdzięki wasze nad szlachetnymi sercami sprawują, ale takoż nauczycie się nagrody stosownej z własnej woli udzielać, nie czekając na los, który dary swoje nieraz w dziwaczny i niesprawiedliwy sposób rozdziela.

Wiedzcie tedy, że niedawnymi czasy w mieście naszym Coppo di Borghese Domenichi u wszystkich osobną czcią się cieszył, a może jeszcze się cieszy, więcej dla cnót i szlachetnych obyczajów niźli dla starożytności rodu swego. Ów zacny człek, niezaćmionej pamięci godzien, do lat sędziwych przyszedłszy lubił opowiadać sąsiadom i znajomym swoim o dawnych czasach i zdarzeniach. Umiał zaś mówić tak udatnie, językiem ozdobnym, i wspomnień miał tyle, że pod tym względem nikt z nim w paragon wchodzić nie mógł.

„Wśród innych pięknych gadek powracał do opowieści o młodym szlachcicu, zwanym Federigo degli Alberighi, synu imć Filipa, który niegdyś żył we Florencji.

Według jego słów, Federigo swoją rycerską biegłością i polerownymi obyczajami przed wszystkimi młodzieńcami we Florencji wziął przodek. Zakochał się on w pewnej szlachetnej damie, imieniem Monna Giovanna, uchodzącej podówczas za najpiękniejszą może we Florencji białogłowę. Dla pozyskania jej względów na turniejach na najzuchwalsze hazardy się ważył, wyprawiał wspaniałe uczty i podarunki czynił mnogie, na stan majątku swego wcale nie bacząc.

Aliści dama, równie uczciwa, jak piękna, nie dbała ani o niego, ani o to, co na jej cześć urządzał. Federigo siła pieniędzy ponad możność swą zmarnotrawiwszy, a nic nie zyskawszy, jak to łatwo się dzieje, popadł wkrótce w taką biedę, że z całej majętności nic mu nie pozostało krom małej posiadłości, z której nędzny profit czerpał, i jednego wspaniałego sokoła. Miłość jego przez tę biedę wcale się nie zmniejszyła, owszem, gorętszą jeszcze się stała; a ponieważ nie mógł w mieście już dłużej żyć tak okazale, jak by był tego pragnął, przeniósł się do owej posiadłości i tam, niczyjej pomocy nie prosząc, zajmował się polowaniem z sokołem i cierpliwie ubóstwo swoje znosił. Pod ten czas właśnie zdarzyło się, że małżonek Monny Giovanny ciężko zachorował. Czując się bliskim śmierci, spisał testament, mocą którego podrastającego synaczka swego zrobił dziedzicem wszystkich wielkich swoich bogactw; na przypadek bezpotomnej śmierci syna, Monna Giovanna, jako umiłowana żona, wszystko dziedziczyć miała. Po czym zmarł.

Po jego śmierci wdowa, jak to u naszych niewiast jest w obyczaju, udała się pospołu z synkiem na całe lato do jednej z posiadłości swoich, położonej blisko siedziby Federiga. Zdarzyło się, że synek jej, który niezmiernie ptaki i psy lubił, wnet z Federigiem się zaprzyjaźnił. Widując często jego sokoła, tak niezmiernie sobie w nim upodobał, że jedynie żądzą posiadania go pałał; nie śmiał jednak Fedeliga o niego prosić, wiedząc, jaką wartość doń przywiązuje. Po pewnym czasie chłopiec zachorował. Monna Giovanna, kochająca z całej duszy swego jedynaka, niewymownie chorobą jego się strapiła; po całych dniach nie odstępowała go, dodawała mu otuchy i prosiła ustawicznie, ażeby jej powiedział, czy czego przypadkiem nie pragnie, bowiem w tym razie uczyniłaby wszystko, aby go tylko ukontentować. Wielekroć już go o to pytała. Wreszcie pewnego dnia chłopiec odrzekł:

— Matko, jeżeli zdołasz uzyskać dla mnie sokoła od Federiga, to wierzę, że wnet przyjdę do zdrowia.

Dama, usłyszawszy tę prośbę, przez długi czas rozważała w milczeniu, co ma uczynić. Wiedziała dobrze, że Federigo, miłując ją od dawna, nigdy jednego

łaskawszego spojrzenia od niej nie otrzymał. Rzekła więc do siebie. »Jakże mogłabym się ośmielić posłać po tego sokoła do Federiga lub udać się do niego sama? Zresztą, jak słyszę, nigdy szlachetniejszy od tego sokoła ptak myśliwemu nie służył. Nadto, jak powiadają, sokół ów środek utrzymania dla swego pana stanowi. Nie mam, wierę, sumienia odejmować szlachcicowi ostatniej jego radości«.

Tak rozważając, jakkolwiek pewna otrzymania natychmiast sokoła, skoroby tylko o niego poprosiła, nie wiedząc, co rzec, nie odpowiedziała nic synowi.

W końcu jednak miłość dziecka zwyciężyła wszystkie jej skrupuły. Monna Giovanna postanowiła, mimo wszystko, udać się sama do Federiga, aby o sokoła go poprosić.

Rzekła więc do chorego:

— Pociesz się, mój synaczku, i staraj się do zdrowia powrócić, a ja ci przyrzekam, że pójdę jutro zaraz z rana i będziesz miał tego sokoła.

Dziecię tak się tymi słowami uradowało, że tegoż jeszcze dnia znaczną ulgę poczuło. Na drugi dzień rano udała się Monna Giovanna w towarzystwie drugiej damy do małego domku Federiga i zapytała o niego. Ponieważ nie był to czas łowów na ptaki, więc szlachcic znajdował się w ogrodzie, zajęty jakąś robotą. Federigo, uwiadomiony, kto o niego pyta u bramy, zadziwił się w najwyższym stopniu i z radością wybiegł naprzeciwko niej. Ona zasię widząc, że się zbliża, uprzejmie ukłon mu oddawszy, powstała z kobiecym wdziękiem i zwróciła się do niego:

— Dzień dobry, Federigo! Przychodzę tutaj, ażeby wynagrodzić cię za wszystko, coś z mojej winy wycierpiał. Miłowałeś mnie bowiem goręcej, aniżeli dla dobra twego należało. Nagroda na tym się zasadza, że chcę, abyś mnie wraz z tą damą dziś po przyjacielsku obiadem ugościł.

— Madonno — odparł na to Federigo z pokorą — nie wiem, o jakich przykrościach, których wy kiedykolwiek przyczyną być mieliście, mówicie. Tyle wiem jeno, że dobra niemało od was wziąłem, i jeżeli cokolwiek wart kiedy byłem, to jedynie przymiotom waszym i miłości dla was to zawdzięczam. Dzisiejsze łaskawe odwiedziny wasze milsze mi są od wszystkich straconych dostatków. Przybyliście wszak w gościnę do nędzarza.

Tak mówiąc oprowadzał ją bojaźliwie po domku i ogrodzie. Nie mając jednak nikogo pod ręką, kto by mógł damy zabawiać, rzekł:

— Ponieważ nikogo innego tu nie ma, tedy niechaj ta poczciwa kobieta, żona człowieka obrabiającego moje pole, towarzystwa wam dotrzyma, dopokąd ja obiadu nie przysposobię.

To rzekłszy odszedł. Dotychczas, jakkolwiek wielkim był jego niedostatek, nie zauważył, ilu najniezbędniejszych rzeczy rozrzutność go pozbawiła. Teraz jednak, gdy przyszło zacnie ugościć tę damę, dla miłości której niegdyś niezliczonych spraszał biesiadników, spostrzegł po raz pierwszy nędzę swoją. Srodze strapiony, ze ściśniętym sercem biegał po domu jak szalony i przeklinał los swój, nie mogąc znaleźć pieniędzy ani jakiej rzeczy, którą by w zastaw dać można było. Tymczasem zbliżyła się obiadowa godzina. Federigo, mimo gorącej chęci ugoszczenia damy, nie mógł nic w domu znaleźć, prosić zasię nikogo nie chciał, nawet pracującego u niego wieśniaka. Naraz wpadł mu w oczy dzielny sokół jego, siedzący w jadalnej komnacie na drążku; Federigo schwycił go, a widząc, że ptak jest tłusty, uznał to szlachetne stworzenie za potrawę godną damy. Nie namyślając się tedy długo, ukręcił mu łeb i rozkazał służebnej dziewczynie czym prędzej oskubać go, przyrządzić, na rożen nasadzić i troskliwie upiec. Po czym zasłał stół śnieżystym obrusem, który mu się jeszcze zachował, i poszedł z wesołym obliczem zaprosić damę do obiadu, na jaki go stać. Dama z towarzyszką swoją przeszły z ogrodu do jadalni i obsługiwane starannie przez Federiga, zjadły wraz z nim dzielnego sokoła, nie wiedząc nawet, jaka to potrawa. Po wstaniu od stołu i po uprzejmej pogawędce, dama, sądząc, że nadeszła pora wyznać Federigowi, po co właściwie tu przybyła, zwróciła się doń uprzejmie i tak rzekła:

— Federigo, jeżeli masz w pamięci dawny stan swój i moją surowość obyczajów, którą zapewne za nieczułość i okrucieństwo poczytywałeś, to nie wątpię, że osłupiejesz na zuchwałą prośbę, z którą tu dzisiaj przybywam. Gdybyś miał jednak kiedykolwiek dzieci i mógł pojąć miłość, jaką się dla nich żywi, to pewna jestem, że chociaż w części dzisiejszy krok mój byś usprawiedliwił. Ty nie masz jednakoż dzieci, ja zasię jedynaka posiadam, a nie mogąc praw macierzyńskiej miłości w sercu mym przewalczyć, wbrew chęci mojej, wbrew przyzwoitości i rozsądkowi, widzę się obecnie zmuszoną prosić cię o podarowanie mi rzeczy, która ci jest droga wielce. Tym przedmiotem jest twój sokół, który nie bez racji tak znaczną wartość dla ciebie posiada. Przeciwny los tylko tę radość i pociechę ci ostawił. A jednak prosić cię oń muszę, syn mój bowiem tak niezmierną żądzą posiadania go zapłonął, iż drżę, ażeby choroba, której uległ, nie pogorszyła się lub śmiertelnego obrotu nie przybrała w wypadku, jeśli dziecię pożądanego przez siebie przedmiotu nie otrzyma. Zaklinam cię więc nie na miłość, którą dla mnie żywisz, ta cię bowiem do niczego względem mnie nie obliguje, ale na wielkoduszność, którą nad wszystkimi ludźmi górujesz, chciej mi podarować tego sokoła, a ja pamiętać zawsze

będę, żeś dzięki temu darowi syna mi zachował, i wiecznej wdzięczności dla ciebie czuć nie przestanę.

Federigo, usłyszawszy żądanie damy i wiedząc, że mu zadosyćuczynić nie może, bo sokoła na potrawę dla niej już użył, począł w obecności jej gorzko płakać i ni słowa na odpowiedź znaleźć nie mógł. Na ten widok dama sądziła z początku, że łzy te wyciska mu bolesna myśl rozłączenia się z dzielnym sokołem i już powiedzieć chciała, że woli podarunku raczej nie otrzymać, wstrzymała się jednak i oczekiwała na odpowiedź Federiga, który, zapanowawszy wreszcie nad łzami swymi, tak się odezwał:

— Madonno, od kiedy się Bogu podobało, abym serce moje ku wam obrócił, niejedną miałem sposobność doświadczenia niełaski losu i nieraz się nań żaliłem; wszystko to jednak było rzeczą krotochwilną w porównaniu z krzywdą, którą mi obecnie los wyrządził. Jakże bowiem zdołam z dolą moją kiedykolwiek się pogodzić, jeżeli pomyślę, że właśnie w tej chwili, gdyście wy, tak obojętni niegdyś dla bogactw moich, zubożały mój dom odwiedzili, ja nie byłem w możności małego, a tak pożądanego podarunku wam ofiarować! Dlaczego zasię tego uczynić nie mogę, zaraz się dowiecie. Skorom usłyszał, że chcecie w łaskawości swojej obiad u mnie spożyć, zważywszy na dostojny ród wasz i przymioty, pomyślałem, że powinienem ugościć was najdroższą potrawą, na jaką mnie stać, różną od tych, jakimi innych ludzi częstować się zwykło. Spojrzawszy na mego sokoła i zważywszy jego zalety, uznałem go za godną dla was potrawę. Kazałem go więc upiec i podać wam w przekonaniu, że tym sposobem najlepszy z niego użytek uczynię. Teraz jednakoż, gdy widzę, że żywego sokoła mieć byście pragnęli, boleść moja, stąd płynąca, iż waszego rozkazu spełnić nie mogę, jest tak silna, że nie wiem, zali się kiedykolwiek w życiu uspokoję.

Rzekłszy te słowa, pokazał jej na dowód pióra, szpony i dziób zabitego sokoła.

Dama na ten widok jęła naprzód ganić rycerza za to, że w celu ugoszczenia jej zabił tak szlachetnego sokoła, potem jednak podziwem się przejęła, zważywszy wielkość jego duszy, której sroga nędza nie zdołała dotąd osłabić ani złamać. Zbywszy się jednak wszelkiej nadziei posiadania sokoła, niespokojna o zdrowie syna, pożegnała Federiga ze smutkiem i wróciła z towarzyszką swoją do domu.

Syn Monny Giovanny (nie wiedzieć, czy wskutek strapienia z powodu nieotrzymania sokoła, czy też dlatego że choroba takie już przyrodzenie miała, że tylko śmiercią skończyć się mogła) w kilka dni potem rozstał się z tym światem. Matka po tej stracie długie dni we łzach i smutku trawiła. Ponieważ jednak młoda była jeszcze, a krom tego wielce bogata, tedy jej bracia naglili ją, aby wybór męża uczyniła. Monna

Giovanna, mimo że najchętniej wdową byłaby została, uległa ich przedstawieniom i wspomniawszy na wspaniałomyślność i szczodrość Federiga, której dowód niedawno złożył w zdarzeniu z sokołem, odpowiedziała swoim braciom w te słowa:

— Najmilej by mi było, gdybyście mi pozwolili zostać przy wdowiej zasłonie, gdy jednak koniecznie pragniecie, bym w powtórne związki wstąpiła, to wyjdę tylko za Federiga dagli Alberighi.

Na te słowa bracia drwić sobie z niej zaczęli mówiąc:

— Co mówisz, głupia? Jakże możesz chcieć wyjść za człowieka, który nic nie posiada?

— Wiem dobrze, panowie bracia, że prawdę powiadacie, wolę jednak męża bez majątku aniżeli majątek bez męża.

Bracia, upewniwszy się o niezachwianym jej postanowieniu, a przy tym przekonawszy się, że Federigo, mimo swego ubóstwa, jest wielce czcigodnym człowiekiem, oddali mu Giovannę wraz z całą jej fortuną. On zaś, pozyskawszy szlachetną i tak przez siebie umiłowaną białogłowę, a nadto wielki majątek, pełen radości lepiej odtąd gospodarząc, doszedł do kresu lat swoich".

Opowieść dziesiąta. Zgodny mąż

Pietro di Viniciolo udaje się na wieczerzę do przyjaciół. Żona jego zaprasza wówczas do siebie pewnego młodzieńca. Gdy Pietro do domu powraca, dama ukrywa swego miłośnika pod kojcem. Pietro opowiada, że Ercolano, u którego bawił, znalazł w swym domu młodzieńca, ukrytego przez żonę. Żona Pietra gani surowo tamtą białogłowę. Aliści na nieszczęście, osioł nastąpił na rękę młodzieńca ukrytego pod kojcem. Na krzyk Pietro wypada do sieni i poznaje widomie wiarołomstwo swojej żony, z którą jednak godzi się na koniec, jako człek nikczemny.

Gdy królowa skończyła opowieść swoją, wszyscy wysławiać jęli sprawiedliwość Boga, który Federiga godnie wynagrodził; po czym Dioneo, nie czekając obyczajem swoim na rozkaz, zaczął w te słowa:

— Zaiste, nie wiem, zali to jest przypadkowy niedostatek, ze skażenia obyczajów wynikły, czy też przyrodzone ludzi usposobienie, że więcej radujemy się i cieszymy z rzeczy złych niźli z czynów dobrych, zwłaszcza gdy nas to nie tyczy. Ponieważ trud mój, z którego już nieraz się wywiązywałem, jako i teraz wywiązać się zamierzam, ma jedynie na celu troski od was odpędzić i do śmiechu a radości was pobudzić, opowiem wam

tedy, najmilsze damy, pewną historię. Chocia materia w niej się zawierająca przystojnością zbytnią się nie odznacza, przecie sposobna będzie do przysporzenia wam uciechy. Słuchając jej, możecie postąpić tak, jak zwykle postępujecie wchodząc do ogrodu, gdzie miękką ręką zrywacie róże, kolców nie dotykając. Pozbawionego czci małżonka przy jego srogiej hańbie pozostawcie, śmiejcie się z chytrych sztuczek jego żony, a gdy trzeba, litością dla nieszczęść bliźniego się przejmijcie.

„W Perugii żył przed niedawnym czasem pewien bogaty człek, nazwiskiem Pietro di Viniciolo, który bardziej może dla zamydlenia oczu ludziom i pomniejszenia złej sławy, jakiej powszechnie u swych rodaków zażywał, niźli dla miłości żonę pojął. Na nieszczęście los obdarzył go żoną, która jego skłonnościom nieosobliwie odpowiadała. Była to bowiem krzepka rudowłosa dziewucha, o krwi nader gorącej, której raczej dwóch mężów niż jeden by się zdało. Tymczasem dostała tylko jednego, i to mającego ochotę do całkiem innych rzeczy aniżeli małżeńskie pieszczoty. O tych jego skłonnościach aż nazbyt prędko się przekonała, widząc zasię, że jest piękną i świeżą, czując w sobie jędrność i siłę młodości, zrazu poczęła w gniew wpadać i obrzucać męża obelżywymi słowami, w ciągłej z nim żyjąc kłótni.

Doszedłszy jednak do przekonania, że raczej sama zmarnieje, niźli niegodziwe nałogi męża swego zwycięży, rzekła do siebie: »Ten nędznik nie dba o mnie, ponieważ zachciewa mu się po suchym lądzie brodzić, muszę tedy postarać się o kogoś, co żegluje na wodzie wedle praw natury. Wzięłam go za męża i piękne wiano mu przyniosłam, sądziłam bowiem, że z mężczyzną żyć będę i że on tego pragnie, czego mężczyźnie pragnąć przystoi. Gdybym była wiedziała, z kim mam do czynienia, nie poszłabym była nigdy za niego za mąż! Po cóż mnie wziął za żonę, wiedząc, że kobietą jestem, jeżeli mu kobiety wstrętnymi były? Dlaboga, dłużej znosić tego niepodobna! Gdybym była chciała odejść od świata, do klasztoru bym wstąpiła. Jednakoż przecie żyć pragnęłam! Mamże czekać, aż ten człek rozkoszą i ukontentowaniem mnie obdarzy? Wierę, młodość strawię i pierwej zestarzeję się i osiwieję, nim się czegoś odeń doczekam. Wówczas za późno będzie jęczeć i żałować zmarnowanego czasu. Zresztą on sam daje mi najlepszą naukę, jak się pocieszać należy, bowiem szuka rozkoszy dla siebie tam, gdzie i ja ją znaleźć mogę. Jednakoż to, co dla mnie chwalebne będzie, dla niego jest sromotne i niegodziwe. Ja tylko prawo obyczajności przekroczę, podczas gdy on ludzkie, a zarazem i przyrodzone prawo przestępuje«.

Rozważywszy to wszystko siła razy, dzielna białogłowa postanowiła zaspokoić swoje żądze i w tym celu zaprzyjaźniła się z pewną starą niewiastą, która równie pobożną się

wydawała jak święta Verdiana, karmicielka wężów. Starucha chodziła bowiem na każdy odpust z różańcem w ręku i o niczym innym nie mówiła, jeno o żywotach świętych ojców Kościoła i o stygmatach świętego Franciszka. Na skutek tego samego już za świętą uchodziła. Dama, stosowną porę upatrzywszy, wyznała wszystko staruszce, ta zasię rzekła:

— Bóg, wiedzący o wszystkim, wie także dobrze, że sprawiedliwie postąpić zamierzasz! Gdybyś nawet słusznej przyczyny po temu nie miała, winnaś czynić na podobieństwo innych młodych białogłów, aby młodości swej nie marnować. Wierę, nie masz dla rozumnego człeka większej boleści nad wspomnienie straconego na próżno czasu. Na cóż, u kata, przydać się możemy na świecie, gdy się już zestarzejemy? Chyba do pilnowania garnków na kominie! Inna by o tym tak otwarcie mówić nie mogła lub nie chciała, aliści ja, poznawszy teraz na starość, jak źle czasu użyłam, gdy żal mi dopieka, przestrzec innych za obowiązek swój poczytuję. Wprawdzie nie mogę powiedzieć, że całkiem młodość moją zmarnowałam, nie chcę bowiem, ażebyś sądziła, że wielce głupią ongiś byłam, po prawdzie jednak o wiele lepiej mogłam z niej skorzystać, aniżelim to uczyniła. Gdy spojrzę dzisiaj na siebie, na mój nędzny pozór, który już żadnego mężczyzny nie skusi, by ogień przyłożył do mej hubki, a do tego wspomnę, ilem sposobności w życiu straciła, to sam Bóg wie najlepiej, jak srogi żal odczuwam. Z mężczyznami ma się rzecz inaczej. Od urodzenia już sposobni są do tysiąca rozmaitych rzeczy, nie tylko do tej jednej, i najczęściej starzy są więcej warci od młodych. Natomiast my, kobiety, rodzimy się jedynie po to, ażeby rzecz oną czynić i dzieci na świat wydawać. Dla tego tylko powodu znaczymy coś u ludzi, o czym choćby z tego jawnie przekonać się możesz, że kobiety w każdej chwili do zadania swego są gotowe, podczas gdy z mężczyznami całkiem inaczej się dzieje. Co więcej, jedna białogłowa może wielu mężczyzn sił pozbawić, aliści wielu mężczyzn nie zdoła zmęczyć jednej kobiety. Widzisz tedy, żeśmy się po to urodziły. Powtarzam ci raz jeszcze, że bardzo słusznie uczynisz, jeżeli tą samą miarką mężowi swemu odmierzysz. Wówczas pod starość dusza twoja nie będzie miała nic do wyrzucenia ciału. Z świata tego każdy ma tyle, ile sam sobie weźmie. Ta prawda odnosi się szczególniej do nas, kobiet, ile że my musimy ze sposobności nadarzającej się o wiele pilniej korzystać aniżeli mężczyźni. Rozważ bowiem sama tylko, jak się to na świecie dzieje. Gdy się zestarzejemy, ani mąż, ani ktokolwiek inny widoku naszego znieść już nie może. Pędzą nas do kuchni i każą nam kotłów pilnować albo garnki i łyżki liczyć. Ba! co okropniejsza, przedmiotem pośmiewiska się stajemy! Wokół nas słychać tylko: »młodej dukata, a starej łopata«, i

tym podobne śpiewki i żarty. Na cóż jednak tyle słów tracę? Dosyć na tym, jeżeli ci powiem, że nie mogłaś nikomu lepszemu ode mnie się zwierzyć i że nikt ci lepiej jak ja dopomóc nie zdoła, nie masz bowiem takiego franta, któremu bym nie odważyła się wszystkiego powiedzieć, co trza, ani tak nieokrzesanego gbura, ażebym go nie ugłaskała i woli mojej nie poddała. Powiedz mi więc tylko, kogo chcesz mieć, a resztę mnie już pozostaw. O jedno tylko muszę cię prosić, moja córko, nie zapomnij o tym, że jestem biedną kobietą. Za tę pamięć od dzisiaj będziesz miała udział w każdym otrzymanym przeze mnie odpuście i w każdym ojczenaszu, który odmówię, a dobry Bóg przyjmie tę cząstkę twoją zamiast lamp i świec i policzy duszom zmarłych twoich krewnych na rachunek zbawienia.

Tymi słowy zacna starucha zamknęła swoją mowę. Młoda białogłowa zawarła z nią umowę, aby gdy obaczy pewnego młodzieńca, przechodzącego często tą ulicą (wygląd jego szczegółowie starusze określiła), natychmiast wedle mniemania swego postąpiła. Po czym, obdarowawszy staruchę kawałem solonego mięsiwa, odesłała ją z Bogiem.

Zaledwie kilka dni od tej chwili minęło, gdy starucha wskazanego młodzieńca sekretnie wprowadziła do jej komnaty, po nim zasię wnet drugiego, w miarę jak młodej białogłowie do gustu przypadali. Mimo strachu przed mężem, z żadnej podobnej sposobności skorzystać nie omieszkała. Pewnego dnia zdarzyło się, że gdy mąż jej do jednego z przyjaciół swoich, nazwiskiem Ercolano, na wieczerzę się udał, białogłowa nasza poleciła dobrej staruszce, ażeby ta przywiodła jej młodzieńca należącego do najurodziwszych w całej Perugii. Stało się wedle jej żądania. Zaledwie jednak z dzielnym młodzieńcem do stołu zasiadła, aby z nim wieczerzę spożyć, gdy Pietro do drzwi domu kołatać i nawoływać począł. Żona, poznawszy jego głos, poleciła duszę swą Bogu; nie tracąc jednak przytomności, obejrzała się, gdzie by miłośnika ukryć. Po wahaniach, co począć, nie mogąc znaleźć lepszej kryjówki, schowała go pod kojec stojący w sieni, przylegającej do jadalnej komnaty. Gdy się już ukrył, rzuciła na kojec siennik, który właśnie dnia tego opróżniła, i co żywiej pobiegła, aby drzwi swojemu małżonkowi otworzyć.

— No! — zawołała, otwierając mu drzwi — diablo prędko przełknęliście tę wieczerzę!

— Nie spróbowaliśmy jej nawet — odparł Pietro.

— A to dlaczego? — spytała żona.

— Zaraz ci opowiem — rzekł Pietro. — Otóż, Ercolano, jego żona i ja siedzieliśmy już przy stole, gdy usłyszeliśmy nagle, że ktoś w pobliżu nas kichnął. Za pierwszym i drugim razem ledwośmy na to uwagę zwrócili, gdy jednak ów niewidzialny nos trzeci, czwarty

raz, a potem nie wiedzieć, ile razy jeszcze kichnął, mocnośmy się wszyscy zadziwili. Ercolano i tak już gniewny na żonę, że kazała nam długo przed drzwiami czekać, nie otwierając ich, teraz jeszcze bardziej się rozsierdził i zawołał: »Co to ma znaczyć? Kto tutaj tak kicha?«.

Rzekłszy to i skoczywszy ze swego miejsca, pobiegł ku schodom, znajdującym się tuż koło komnaty. Pod tymi schodami była komórka z desek, przeznaczona, jak zwykle, na skład podręcznych rzeczy. Zdało mu się, że kichania w tej komórce się rozlegały. Zaledwo Ercolano drzwiczki otworzył, natychmiast wydobył się na zewnątrz nieznośny dym z siarki. Już przedtem, poczuwszy tę przykrą woń siarki, pytaliśmy o jej przyczynę, na co gospodyni nam odparła, że zasłony swoje bieliła siarką, a później wystawiła pod schody kociołek, nad którym były rozwieszone, miały bowiem przejść dymem. Dlatego woń jeszcze stamtąd przenika. Jednakoż, gdy Ercolano, poczekawszy nieco na rozejście się dymu, do komórki zajrzał, spostrzegł tam właściciela kichającego nosa, który dymem siarczanym gryziony, wciąż jeszcze kichał. Zaduch i dym w komórce tak go odurzyły, iż chwiał się na nogach. Gdybyśmy przyszli o kilka chwil później, niewątpliwie byłby duszę wykichał. Ercolano na ten widok zawołał: »Rozumiem teraz, wiarołomna niewiasto, dlaczego za przybyciem naszym tak długo nas przede drzwiami trzymałaś! Bodajbym już nigdy radości nie zaznał, jeżeli ci hojnie za to nie zapłacę!«.

Na te słowa żona jego, nie wyrzekłszy nic na usprawiedliwienie swoje, widząc, jak oczywistą jest jej wina, uciekła od stołu i nie wiem, co się z nią potem stało. Ercolano zasię, nie zwróciwszy na jej ucieczkę uwagi, wezwał po raz drugi kichającego człeka do wyjścia. Aliści ten był w takim stanie, że cokolwiek by mówić do niego, ruszyć się nie mógł. Wówczas Ercolano pochwycił go za nogę, wyciągnął z komórki i pobiegł po sztylet, ażeby go zamordować. Ja jednakoż, obawiając się, aby mnie o współwinę nie posądzono, stanąłem między nimi i nie dozwoliłem, aby Ercolano go zamordował albo coś złego mu uczynił. Owszem, broniłem na pół żywego kochanka jego żony i krzyczałem tak głośno, że wreszcie zbiegli się sąsiedzi i zabrali ze sobą, nie wiem dokąd, młodzieńca, który się miał już za zgubionego. Takie oto zdarzenie przerwało naszą wieczerzę i sprawiło, żem się nie tylko nie pożywił, ale jak ci to już powiedziałem, nawet nie skosztowałem niczego.

Białogłowa nasza, usłyszawszy opowieść swojego męża, poznała, że inne kobiety nie mniej od niej sprytu mają, że jednak nieszczęścia tu i owdzie czasami przytrafiać się mogą, toteż chocia miała ochotę gorąco bronić żony Ercolana, pragnąc jednak przez zgromienie cudzego błędu podejrzenie od siebie lepiej oddalić, tak się odezwała:

— A to piękna historia! Kto by się był po tej świętoszce czegoś podobnego spodziewał? I jakże tu teraz pozorom uczciwości wierzyć? Wierę, spowiadać bym się do niej poszła, tak bardzo duchowną osobą się zdawała. Co gorsza, jest już dziś stara i piękny przykład daje młodym! Niechże przeklęta będzie godzina, w której na świat przyszła! Przeklęta niechaj będzie ona sama, że ciągle jeszcze żyje, przewrotna i ohydna niewiasta, wstydem i hańbą okrywająca wszystkie białogłowy tego miasta! Podeptała nogami uczciwość i obyczajność, a takoż cześć swoją i męża swego, złamała wiarę zaprzysiężoną małżonkowi, godnemu obywatelowi, który się z nią tak dobrze obchodził! O nikczemna! Nie wahała się dla jednego hultaja siebie samej i małżonka swego osławić. Niech mnie Bóg broni, abym dla podobnych kobiet kiedykolwiek litość odczuwała. Żywcem by w ogień należało je wrzucić i patrzeć spokojnie, jak się na popiół zmieniają.

Rzekłszy te słowa, wspomniała o swoim kochanku, pod kojcem w pobliżu ukrytym, i dlatego poczęła namawiać Pietra, ażeby poszedł spać, bowiem pora już późna była. Aliści Pietro miał więcej chęci do jedzenia niźli do spania, dlatego też zapytał jej, czy nie ma czego na wieczerzę.

— Na wieczerzę? — zawołała na to żona. — Cóż ci do głowy przychodzi? Tak jakbyś nie wiedział, że nie mam zwyczaju wieczerzy gotować, kiedy ciebie w domu nie ma. Nie jestem przecież żoną Ercolana! Idź już, idź i staraj się jak najprędzej zasnąć, aby o głodzie zapomnieć.

Traf zdarzył, że właśnie tego wieczora przybyło ze wsi kilku parobków Pietra z zapasami żywności. Postawili oni osły, nie napoiwszy ich uprzednio, w stajence, znajdującej się tuż obok sieni. Jeden osioł, niezmierne pragnienie czując, odwiązał się od żłobu, znalazł drogę ze stajni do sieni i wszedłszy do niej, węszyć zacząć dokoła, czy gdzie wody przypadkiem nie ma. Tak wałęsając się potrącił o kojec, pod którym młodzieniec przycupnął na czworakach w ten sposób, że palce jednej ręki miał nieco na zewnątrz wysunięte. Na jego szczęście czy też nieszczęście, jak sami osądzicie potem, węszący osioł nadeptał mu na palce i taką przez to boleść sprawił, że nasz młodzieniec, na nic niepomny, wrzasnął z całej siły. Pietro na ten wrzask niespodziany zadziwił się niepomału i podejrzenie powziął, że z wnętrza domu dobywać on się musi. Gdy zaś jęczenie nie ustawało (osioł bowiem nie ustąpił, ale gniótł coraz mocniej kopytem rękę nieszczęśliwego miłośnika), Pietro z okrzykiem: »Kto tam?«, do kojca przystąpił i podniósł go w górę. Na jego widok młodzieniec z bólu i trwogi zadrżał całym ciałem. Nie tylko dolegały mu palce, ale lękał się, by Pietro nie uczynił mu czegoś złego. Aliści

Pietro, wpatrzywszy się w niego i poznawszy w nim jednego z młodzieńców, za którym, niegodziwym skłonnościom swoim hołdując, przez długi czas się uganiał, spytał z wielkim spokojem:

— Co tutaj robisz?

Młodzieniec nic nie odpowiedział na to, błagając tylko w imię miłości Boga, aby mu krzywdy nie czynił.

— Wstań — rzekł Pietro — i nie obawiaj się niczego, powiedz mi jeno, jak i po co tutaj wszedłeś?

Młodzieniec przyznał się do wszystkiego. Pietro zdawał się tylko cieszyć ze znalezienia go o tyle, o ile żona jego tym się martwiła. Wziął go za rękę, wprowadził do komnaty, gdzie żona z największą trwogą go oczekiwała, usiadł naprzeciw niej i rzekł:

— Przed niedawnym czasem przeklinałaś żonę Ercolana, uważając, że należałoby ją spalić, jako zakałę niewieściego pogłowia. Przecżże tego także i o sobie nie powiedziałaś? Jeśli zaś nie chciałaś mówić o sobie, jak mogłaś się odważyć przeklinać inną kobietę, wiedząc, że podobnie jak ona postępujesz? Wierę, tym tylko sobie wytłumaczyć wszystko można, że wszystkie jednako niegodziwe jesteście i że każda swój własny błąd cudzym zasłonić by pragnęła. Bodajby tedy ogień spadł z nieba i pochłonął was wszystkie, o haniebne i niegodziwe plemię!

Żona Pietra, widząc, że pierwszy zapęd jego gniewu w słowach dostateczny upust swój znalazł i że mąż jej zdaje się nie posiadać się z radości, mając w swym ręku tak urodziwego młodzieńca, zdobyła się na odwagę i rzekła:

— Zaprawdę, wierzę, że pragnąłbyś, aby nas wszystkie ogień niebieski pochłonął, wiem bowiem dobrze, że tak pogłowie nasze kochasz jak psy kij. Aliści, na święty krzyż Pański, i ja nie zmilczę! Jeśli się mamy wreszcie porachować, to chciałabym wiedzieć, jakie to masz prawo do skarżenia się na mnie? Porównywasz mnie z żoną Ercolana, z tą starą obłudnicą! Mąż nie zaniedbuje jej w niczym i obchodzi się z nią tak, jak z żoną należy się obchodzić. Ze mną rzecz się ma zgoła inaczej. Prawda, żem dobrze odziana i obuta, aliści sam wiesz najlepiej, jak się ma rzecz z innymi sprawami i ile czasu minęło, jakem cię w nocy obok siebie w łożu oglądała. Ja zasię wolałabym obdarta i bosa chodzić, a mieć za to prawdziwego mężczyznę przy sobie aniżeli posiadać to wszystko, co posiadam, a widzieć w tobie wroga płci mojej. Słuchaj tedy uważnie, Pietro, co ci powiem. Jestem kobietą jak i inne i te same mam pragnienia. Jeżeli tedy, przez ciebie zaniedbana, zaspokoić się je staram, winić mnie za to nie można. Dobrze, że tyle chociaż dbam o cześć twoją, iż nie zadaję się z hultajstwem ulicznym.

Pietro, widząc, że podobny spór całą noc mógłby się przeciągnąć, i nie czując chęci do kłótni z żoną, o którą dbał niewiele, rzekł:

— Dosyć na tym! Bądź spokojna, przyrzekam ci, że jakoś się to wszystko ułoży!... Teraz zaś najlepiej by było, gdybyś o jakiej wieczerzy pomyślała, zdaje mi się bowiem, że ten młodzieniec nie mniej ma apetytu ode mnie.

— W samej rzeczy — rzekła żona — nic jeszcze w ustach nie miał, bowiem właśnie kiedyśmy do stołu zasiadali, ciebie zło niespodziane przyniosło.

— Idź tedy — rzekł Pietro — i pomyśl o naszej wieczerzy, a potem ja już się postaram tak całą rzecz uładzić, abyś nie miała powodu na mnie się żalić.

Żona, widząc, że mąż jest udobruchany, pośpieszyła co prędzej przygotowanymi już potrawami stół zastawić. Potem zasiadła do niego wraz z nędznym mężem swoim i z młodzieńcem. Uczta odbyła się nader wesoło.

Po wieczerzy Pietro dla ukontentowania wszystkich trojga wymyślił pewien sposób, o którym już zapomniałem. Tyle wiem jeno, że nazajutrz z rana młodzieniec, wracając, aż do samego rynku nie był pewny, z kim większą część nocy spędził: z mężem czy z żoną".

— Dlatego, miłe damy, powiadam wam na zakończenie: „Ząb za ząb, oko za oko!", „Czyń drugiemu, co on tobie". A jeśli nie zdołasz, miej to w myśli tak długo, aż ci się powiedzie. Gdy osioł łbem w mur tłucze, mur mu tyleż razy oddaje.

Gdy Dioneo skończył, damy, nie tyle z braku chęci do śmiechu, ile przez wstydliwość, od objawów wesołości się wstrzymały. Po czym królowa, widząc, że koniec jej rządów nadszedł, podniosła się z swego miejsca, zdjęła wieniec wawrzynowy ze skroni i włożyła go z wdziękiem na głowę Elizy, mówiąc:

— Madonno, na ciebie teraz kolej rozkazywania przychodzi.

Eliza, przyjąwszy nadaną jej godność, postąpiła na wzór swych poprzedniczek. Wydała marszałkowi rozkazy na czas swoich rządów, a potem rzekła, poklask towarzystwa zyskując:

— Już wielekroć o tym słyszeliśmy, jak przez ciętą odpowiedź, trafny pomysł lub przytomność umysłu wielu ukąszeń złośliwości lub grożącego niebezpieczeństwa ludziom uniknąć się udało. Ponieważ przypadki te za wielce pożyteczny przykład służyć mogą, chcę tedy, ażeby z boską pomocą jutrzejsze opowieści nasze zajęły się ludźmi, którzy dzięki dowcipnemu rzeczeniu, ciętej odpowiedzi lub też przez szybkie postanowienie — szkody, niebezpieczeństwa czy też cięższego strapienia uszli.

Materia ta ogólny poklask znalazła. Po czym królowa podniosła się i wszystkim swobodę aż do wieczerzy dała. Zacna kompania widząc, że królowa wstała, podniosła się również i utartym zwyczajem każdy zajął się tym, co najwięcej przyjemne mu było. Gdy koniki polne ćwierkać już przestały, zwołano wszystkich znowu i do stołu zasiedli. Przy końcu wesołej wieczerzy zaczęła się muzyka i śpiewy. Emilia na żądanie królowej zawiodła taniec, Dioneowi zasię śpiewać kazano.

Dioneo natychmiast zanucił: „Pani Altrudo, ogon w górę, pomyślną niosę ci nowinę!". Wszystkie damy wybuchnęły śmiechem, osobliwie zasię królowa. Kazano mu inną pieśń wybrać. Dioneo odparł:

— Gdybym miał cymbałki, to bym wam zaśpiewał:

„Pani Lappo, podnieś szatki" albo: „Pod oliwką miękka trawa", a może też tę: „Morska fala mnie kołysze, jak mi słabo, ledwo dyszę!".

Ponieważ jednak nie mam muzycznego instrumentu, wybierajcie więc same, co wam się podoba. Może chcecie: „Tylko przyjdź, ja cię okrzeszę, jak ogrodnik drzewo w maju".

— Nie! — zawołała królowa — zaśpiewaj coś innego!

— A więc to może — odrzekł Dioneo — „Pani Simono, w beczkę lej!" — „Kiedy jeszcze nie październik!".

— Do kata! — zawołała śmiejąc się królowa — zaśpiewajże coś obyczajniejszego!

— Dobrze, pani — rzekł Dioneo — tylko się nie gniewajcie, macie z czego wybierać, znam bowiem piosenek więcej niż tysiąc. Może chcecie tę: „Muszeleczka moja mała" albo: „Tylko wolno, mój mężusiu", lub tę wreszcie: „Koguta sobie kupiłam"?

Królowa rozsierdziła się wreszcie, chociaż inne się śmiały, i rzekła:

— Zaprzestań żartów, Dioneo, i zaśpiewaj nam jakąś miłą piosenkę, inaczej poznasz, że prawdziwie gniewną być umiem.

Dioneo, usłyszawszy to, porzucił figliki i szybko śpiewać zaczął:

Amorze, boskie światło,
Co z oczu jej płomienną bije strugą,
  Zrobiło mnie wraz jej i twoim sługą!
Z oczu jej płomień przeszedł w moje oczy.
Ledwiem ją spostrzegł, ledwiem rzucił okiem,
  Jużem zgubiony!
Wiem, jakeś hojny, władny i uroczy,

Wiem — bo w obliczu jej żyjesz wcielony,
Patrzysz jej wzrokiem.
Widzisz więc, że się jej oddałem cały,
Jej tylko żądam na świecie szerokim
I ją jedynie posiąść chcę, zuchwały!
Tak jest… odniosłeś zwycięstwo nade mną,
O drogi panie, bądźże mi łaskawy!
Nagródź mnie za to!
Nie wiem, czy budzę w niej żądzę wzajemną,
Czy wreszcie mojej stanie się zapłatą
Miłości prawej,
Lub czy… o Boże!… jakaż myśl straszliwa!
Nie zechce dręczyć dla płochej zabawy
Duszy, co do niej tęsknie się wyrywa!
Błagam cię tedy, o najmilszy panie,
Odmaluj przed nią trwogę mą i troski
I rzuć w jej łono
Część tych płomieni, co w wieczystej ranie
Mojego serca tak samotnie płoną
Z twojej woli boskiej.
Wiesz, ile cierpię! Lećże z mą żałobą
I z mą nadzieją posłem do jej wioski.
O, jakże chętnie pobiegłbym za tobą!

Gdy Dioneo umilkł, królowa wezwała jeszcze i innych do śpiewania, największe pochwały jednak Dioneowi oddała. Tymczasem minęła już znaczna część nocy. Królowa czując, że chłód nocny coraz jest przenikliwszy, wszystkim na spoczynek do jutra udać się kazała.

Kończy się piąty dzień Dekameronu i zaczyna szósty, w którym pod przewodem Elizy opowiada się o tych, co trafnym powiedzeniem odparli przytyk w nich godzący albo ciętą odpowiedzią lub też nagłym postanowieniem uniknęli straty, niebezpieczeństwa czy wstydu.

Dzień szósty

Księżyc pośrodku niebios utracił już swój blask i nowe światło rozjaśniło wszystkie zakątki ziemi naszej, kiedy wstała z łoża królowa i całą kompanię zwołać kazała. Powolnym krokiem zszedłszy z wzgórza, przechadzali się po rosie, tocząc różne rozprawy o tym i owym, bardziej lub mniej chwaląc dotychczasowe opowieści i śmiejąc się raz jeszcze z różnych przypadków, jakie w nich przytoczono. Aż gdy wreszcie słońce podniosło się wyżej i dopiekać poczęło, wszyscy zgodnie orzekli, że czas powracać; za czym zwróciwszy się ku domowi, stanęli tam niebawem. Stoły były już zastawione, wszędzie rozłożono wonne zioła i piękne kwiaty. Na rozkaz królowej zasiedli tedy do posiłku, a gdy go w weselu spożyli, zanim jęli się czego innego, odśpiewali kilka ładnych, pełnych uroku piosenek. Następnie ten i ów poszedł się zdrzemnąć, a niektórzy zasiedli do szachów lub innych gier. Dioneo wraz z Laurettą poczęli śpiewać o Troilusie i Chryzejdzie. Tak przyszła pora, gdy zwykli zbierać się znów razem, więc na wezwanie królowej, jak codziennie, rozłożyli się dokoła źródła. I miała już królowa dać znak do rozpoczęcia pierwszej opowieści, gdy zaszło coś, co dotąd nigdy jeszcze się nie przytrafiło. Usłyszeli wszyscy zgiełk wielki, jaki w kuchni czyniły służki z pachołkami. Zawezwała tedy królowa marszałka, zapytując, co to za wrzawa i jaka jej przyczyna. Odparł, że kłótnia wybuchła między Liciską a Tindarem, ale powodu jej on sam nie zna, bo właśnie co dopiero nadszedł, aby ich uciszyć, gdy został do królowej wezwany. Poleciła tedy Eliza, aby natychmiast przysłano tu Liciskę i Tindara, a gdy ci zjawili się, zapytała ich o powód kłótni.

Gdy Tindar chciał na pytanie odpowiedzieć, Liciska, niewiasta już niemłoda i co się zowie pewna siebie, kłótnią rozgrzana, natarła na niego ze złością:

— Patrzcie, co za gbur! Mężczyzna, co waży się odzywać pierwszy tam, gdzie ja jestem! Daj mi mówić!

I zwracając się do królowej, rzekła:

— Pani, ten chłystek chce mnie uczyć, jaką była żona Sicofanta! Ni mniej ni więcej! Jak gdybym nie przestawała z nią nigdy, chce wmówić we mnie, że pierwszej nocy, którą Sicofante z nią spędził, jego junak Maczuga musiał siłą i przy krwi rozlewie wdzierać się do twierdzy w Czarnym Borze. A ja powiadam, że to łgarstwo, bo wszedł tam pokojowym trybem i ku wielkiemu zadowoleniu załogi. Ten zasię kiep wierzy naprawdę, iż młode dzieweczki są tak głupie, że tracą czas i czekają na zezwolenie ojca lub braci, którzy w sześciu przypadkach na siedem zwlekają trzy albo i cztery lata dłużej,

niżby należało, aby je za mąż wydać. Dobrze by wyszły na tym, miły bracie, gdyby tak długo się ociągały! Bóg mi świadkiem — a wiem, co mówię, ilekroć się tak klnę — pomiędzy sąsiadkami mymi nie znam ani jednej, co by dziewicą za mąż poszła. A takoż jeśli idzie o zamężne niewiasty, wiem dobrze, ile i jakich figlów płatają mężom swoim. Ten cymbał zaś chciałby mi dać poznać, czym są kobiety, jakbym się wczoraj narodziła.

Słuchając Liciski niewiasty zaśmiewały się do rozpuku, tak że można im było wyciągnąć wszystkie zęby. Królowa sześciokroć milczeć jej kazała, ale na nic to się zdało. Nie zatrzymała się wcześniej, aż powiedziała wszystko, co zamierzyła. A gdy wreszcie dobiegła końca, królowa ze śmiechem zwróciła się do Dionea:

— Dioneo, to spór dla ciebie stworzony! Dlatego, gdy skończymy nasze opowieści, musisz w tej mierze dać wyrok ostateczny.

Na co Dioneo odparł niezwłocznie:

— Pani, wyrok już wydany, bez dalszego przesłuchania drugiej strony. Ogłaszam, że Liciska ma słuszność, i mniemam, że jest tak, jak powiada, a Tindar jest bałwanem.

Usłyszawszy to, Liciska wybuchła śmiechem i obróciła się do Tindara:

— Nie mówiłam ci? Idź z Bogiem! Myślisz, że wiesz więcej ode mnie, ty, coś jeszcze oczu nie przetarł? Bogu chwała, nie żyłam ja na darmo, o nie!

I gdyby królowa niecierpliwym spojrzeniem nie zmusiła jej do milczenia, zabraniając mówić dalej i zgiełk czynić, jeśli nie chce kijem oberwać, nie lza im byłoby dnia tego zająć się niczym innym, jak tylko jej uwagę poświęcić.

Gdy słuchając rozkazu oboje odeszli, przykazała królowa Filomenie, by opowiadać zaczęła.

Filomena wesołym głosem mówić jęła:

Opowieść pierwsza. Zręczna odpowiedź

Pewien szlachcic obiecuje pani Oretcie, że gdy jego opowieści słuchać będzie, droga szybko jej minie, tak jakby na koniu jechała. Ponieważ jednak opowieść szlachcicowi nieskładnie idzie, dama prosi go, aby dalszą drogę piechotą odbywać mogła.

— Jak gwiazdy są ozdobą nieba w pogodne noce, kwiaty na wiosnę ozdobą zielonych łąk, a liściem odziane drzewa wzgórz ozdobą, tak, miłe moje panie, dowcipne powiedzenia są chwalebnych obyczajów i pięknych rozmów okrasą. A ponieważ zwięzłość jest ich cechą, przeto tym bardziej przystoją one niewiastom niż mężczyznom, im mniej białogłowom wskazana jest gadatliwość. Przyznać trzeba, że czy to z powodu

niedostatków kobiecego umysłu, czy dla szczególnej niechęci, z jaką do czasów naszych odnoszą się niebiosa, niewiele dziś tylko niewiast pozostało, a może i żadna taka się nie znajdzie, która by umiała we właściwej porze dowcipnie się odezwać albo jeśli dowcip usłyszy, zrozumieć go jak należy. Wstyd to niemały dla nas wszystkich. Ale ponieważ Pampinea dość już o tej materii powiedziała, nie myślę dłużej tym się bawić. Aby wam jednak pokazać, jak piękne są słowa takie, we właściwym czasie rzucone, pragnę wam opowiedzieć, jak pewna zacnie urodzona pani w grzeczny sposób zmusiła do milczenia rycerza.

„Przed niedawnym czasem żyła w mieście naszym szlachetna dama, słynąca z przytomności umysłu i wielkiej swady. Wszyscyście ją znali bądź osobiście, bądź ze słuchu. Ponieważ chlubne jej przymioty przykładem być mogą, powiem wam tedy, że o pani Oretcie, żonie pana Geri Spina, chcę mówić. Dama ta, gdy raz, podobnie nam, na wsi przebywała, wybrała się z wielu panami i paniami, będącymi u niej w gościnie, na przechadzkę w okolicę. Ponieważ dosyć daleko było do celu podróży, ku któremu towarzystwo zdążało piechotą, odezwał się więc jeden szlachcic do pani Oretty:

— Pani, jeżeli zechcesz, to postaram się większą część tej długiej drogi, którą jeszcze mamy przed sobą, tak ci skrócić pewną ciekawą opowieścią, iż zapomnisz o zmęczeniu i będzie ci się zdawało, że drogę tę na koniu przebywasz.

— Nie tylko pragnę tego — odparła dama — ale proszę was bardzo o to, niezmiernie grzecznością waszą będąc zaszczycona.

Rycerz, który może też nie lepiej władał szablą niż językiem, rozpoczął natychmiast historię, która w samej rzeczy bardzo piękną była, aliści w jego opowiadaniu nie najpiękniej wypadła. To samo słowo cztery lub sześć razy powtarzał, do już opowiedzianych rzeczy powracał wykrzyknikiem: »Nie, nie tak było!«, wątek przerywał, wreszcie nazwiska na opak wymieniał albo z sobą mieszał, nie mówiąc już o tym, że jego sposób wygłaszania ani charakterowi osób, ani przytaczanym wypadkom nie odpowiadał. Madonna Oretta, słuchając go, gorącym potem się oblewała i już ledwo dychać mogła, jak gdyby zasłabła albo i ostatnie oddać miała tchnienie. Wreszcie, nie będąc w stanie już wytrzymać dłużej i widząc, że rycerz zaplątał się i nie może się z tego wydobyć, zawołała żartobliwie:

— Panie, koń wasz okrutnie trzęsie, proszę tedy, abyście pozwolili mi zejść z niego.

Szlachcic, obdarzony, na szczęście, większą pojętnością umysłu niźli zdolnością opowiadania, uszczypek zrozumiał i obrócił rzecz całą w żart i śmiech; po czym z

chlubną zręcznością przerwał zaczętą, a źle opowiedzianą historię, do innych przechodząc opowieści".

Opowieść druga. Piekarz

Piekarz Cisti zręczną swoją odpowiedzią pana Geri Spina bacznym czyni na niestosowność jego żądania.

Wszyscy mężczyźni i kobiety chwalili żywo przymówkę pani Oretty, po czym królowa skinęła na Pampineę, a ta w te słowa zaczęła:

— Kochane przyjaciółki! Próżno siliłam się dotychczas w myślach moich rozstrzygnąć, na kogo więcej narzekać należy, czy na naturę, gdy piękną duszę w niekształtnym ciele zamyka, czy na los, gdy ciało, piękną duszą obdarzone, do podłego zawodu zmusza. Ten ostatni przypadek zaszedł właśnie z jednym z rodaków naszych, piekarzem Cisti, nie mówiąc o wielu innych. Człekowi temu, obdarzonemu wielkimi przymiotami umysłu, los piekarzem być kazał. W podobnych przypadkach przeklinałabym zarówno los, jak i naturę, gdybym nie wiedziała, że natura we wszystkich rzeczach mądrą się okazuje, a los, jakkolwiek głupcy go ślepym nazywają, ma tysiąc oczu. I zdaje mi się nawet, że obaj ci władcy ludzkiej doli w takich razach bardzo mądrze postępują. Ludzie, niepewni przyszłości i obawiający się przypadku, najdroższe rzeczy swoje dla bezpieczności w najbardziej niepozornym miejscu domu swego ukrywają, aby w stosownej chwili nienaruszonymi je znaleźć, bowiem niepozorna kryjówka lepiej ich strzegła, aniżeliby to najokazalsza świetlica zdołała była uczynić. Tak samo los i natura największe skarby ukrywają nieraz w cieniu wzgardzonego rzemiosła, ażeby kiedy potrzeba, z tym większą świetnością i blaskiem na jaśnię je podać. Na dowód tego chcę wam opowiedzieć małą powiastkę o piekarzu Cisti, jak oczy otworzył panu Geri. Powiastka ta właśnie przy wspomnieniu o pani Oretcie na myśl mi przyszła, pan Geri bowiem był mężem tej damy.

„Owóż gdy papież Bonifacy w sprawach bardzo ważkich kilku znacznych panów w poselstwie do Florencji wyprawił, stanęli oni w domu pana Geri Spina, cieszącego się wielkim zaufaniem papieża, i z nim w różnych sprawach, papieża dotyczących, się naradzali. Pan Geri, nie wiem już z jakiego powodu, wyruszał co dzień rano z posłami i przechodził w ich towarzystwie koło kościoła Santa Maria Ughi, obok którego Cisti piekarnię posiadał, sam w niej robotą się zatrudniając. Fortuna dała mu w udziale bardzo skromne rzemiosło, jednakoż do wszelkich dostatków dojść mu przez nie

pozwoliła. Dlatego też Cisti, nie pragnąc zajęcia swego na jakiekolwiek bądź inne zamieniać, na dostatniej, a nawet okazałej żył stopie. Słynął zwłaszcza z posiadania najlepszych białych i czerwonych win, jakie we Florencji i okolicy znaleźć było można. Otóż cny ten rzemieślnik, widząc codziennie pana Geri, przechodzącego z posłami koło jego piekarni, pomyślał, że przy tak wielkim skwarze nie byłoby od rzeczy białym winem ich uraczyć i że nie powinni by tego źle przyjąć. Wspomniawszy jednak przy tym na różnicę stanu pomiędzy nim a panem Geri zachodzącą, uznał, że rzeczą nieobyczajną będzie zaprosić takiego pana; wymyślił przeto sposób do skłonienia go, ażeby się sam zaprosił. W tym celu rano, o godzinie, w której pana Geri i posłów ujrzeć się spodziewał, zasiadał w śnieżnej białości kaftanie i świeżo wypranym fartuchu (tak że raczej do młynarza niż do piekarza był podobien) przed drzwiami swego sklepu, mając przy sobie nowe wiadro blaszane pełne świeżej wody, a przy nim dzbanuszek boloński swego wybornego białego wina i dwa kielichy tak lśniące, że się srebrnymi być wydawały. Ujrzawszy nadchodzących posłów, płukał dwukrotnie usta, a potem zaczynał pić z takim wyrazem ukontentowania, że w umarłym nawet pragnienie byłby rozbudził. Pan Geri spojrzał nań kilka razy, aż wreszcie trzeciego dnia, przechodząc, rzekł w te słowa:

— Cóż, Cisti, jakże smakuje? Czy zacne?

Cisti na te słowa podniósł się żwawo i rzekł:

— Że jest dobre, Wasza Miłość, wątpić nie lza, ale do jakiego stopnia, nie mogę wam dać do pojęcia, jeżeli go sami spróbować nie zechcecie.

Słysząc to, pan Geri (w którym czy to upał pragnienie obudził, czy też może większe niż zwyczajnie zmęczenie albo widok pijącego z taką przyjemnością Cistiego) zwrócił się do swoich towarzyszy i rzekł z uśmiechem:

— Mości panowie, przystało nam pokosztować wina u tego czcigodnego człeka; kto wie, może zacnym do tego stopnia się okaże, że próby żałować nie będziemy.

Po czym wszedł do piekarni pospołu z posłami. Cisti posadził ich na czystej ławie, przyniesionej z izby, a potem rzekł do pomocników swoich, którzy chcieli się do mycia kielichów zabierać:

— Ostawcie mi nad wszystkim staranie. Rozumiem się równie dobrze na myciu i nalewaniu kielichów, jak na wkładaniu w piec chleba; jeżeli zaś obiecujecie sobie choćby kropelkę tego wina kosztować, mylicie się bardzo.

To rzekłszy, wypłukał i ustawił na stole cztery piękne i nowe kielichy, po czym kazawszy przynieść maleńki dzbanek swego wybornego wina, począł gościnnie i hojnie pana Geri i jego towarzyszy nim częstować.

Wszyscy uznali wino za bardzo zacne, któremu równego od bardzo dawnego czasu pić im się nie zdarzyło, i jęli je wychwalać na wszelkie sposoby. Od tego też dnia poczynając, pan Geri, dopóki posłowie nie odjechali, prawie co rano na wino z nimi do piekarza zachodził. Gdy zaś posłowie, ukończywszy sprawy swoje, odjeżdżać już mieli, wyprawił pan Geri dla nich okazałą ucztę, na którą wielu najznakomitszych obywateli sprosił, a wśród nich także Cistiego, ale ten żadną miarą zaproszenia przyjąć nie chciał. Pan Geri pragnąc, aby goście jego owego sławnego wina od piekarza spróbowali, wysłał tedy sługę do Cistiego z prośbą o małą butelkę, tak ażeby na każdego gościa po pół szklanki przynajmniej do pierwszego dania wypadło. Sługa, którego może gniewało, że dotąd jeszcze wina tego spróbować nie zdołał, wziął z sobą wielką butlę i przyszedł z nią do piekarza. Ten, spostrzegłszy miarę naczynia, rzekł:

— Pan Geri, mój synku, przysłał cię nie do mnie.

I chociaż sługa zaręczał po kilkakroć, że wie, dokąd go posłano, Cisti upierał się przy swoim. Powrócił tedy sługa do pana Geri i zdał mu z tego, co się zdarzyło, sprawę.

Pan Geri odrzekł:

— Idź raz jeszcze do piekarni i powiedz, że cię w samej rzeczy do Cistiego, a nie gdzie indziej posyłam, a jeżeli ci da tę samą, co pierwej odpowiedź, to go spytasz, dokąd też myśli, żem cię posyłał?

Sługa, przyszedłszy po raz drugi do piekarza, rzekł:

— Zaprawdę, Cisti, pan Geri do ciebie przyjść mi kazał.

Na co Cisti:

— Wierę, mój synu, być to nie może.

— No — zawołał sługa — gdzież więc, według ciebie, mnie posłał?...

— Do rzeki Arno — odparł Cisti.

Sługa zaniósł ten respons panu Geri, któremu gdy usłyszał słowa Cistiego, nagle w głowie zaświtało i zawołał:

— Pokaż mi butelkę, z którąś chodził!

Ujrzawszy ją, rzekł:

— Cisti miał słuszność.

I zgromiwszy sługę, kazał mu wziąć stosowne naczynie i z nim znowu do piekarza się udać. Cisti zmierzył wzrokiem przyniesioną butelkę i rzekł:

— Teraz widzę, że do mnie cię przysłano.

I nie tylko chętnie naczynie to swym wybornym winem napełnił, ale tegoż samego wieczora kazał beczułeczkę wina natoczyć i ostrożnie panu Geri do domu ją zanieść. Wkrótce potem sam udał się do niego i rzekł:

— Panie, nie chciałbym, ażebyście sądzili, że owa wielka butla dzisiaj rano mnie zastraszyła. Zdawało mi się tylko, żeście zapomnieli o tym, na co wskazywały małe dzbanuszki u mnie, a mianowicie, iż wino to nie jest zwyczajnym cienkuszem stołowym. Dlatego też dziś rano chciałem wam o tym przypomnieć. Teraz zaś, nie chcąc dłużej mieć na pieczy tego, co wam przynależy, odsyłam wam całą resztę tego wina i proszę, abyście rozporządzali nim wedle woli.

Pan Geri przyjął podarek Cistiego z wielkim ukontentowaniem, podziękował mu, jak za podobny dar podziękować należało, i od tego czasu uważał go za człowieka wielce godnego szacunku, a takoż za swego przyjaciela".

Opowieść trzecia. Fałszywa moneta

Nonna de'Pulci, odpowiedziawszy zręcznie na żart nieskromny florenckiego biskupa, responsem tym usta mu zamyka.

Gdy Pampinea opowieść swoją skończyła, wszyscy pochwalili Cistiego za jego respons, jako i za jego hojność. Potem królowa na Laurettę z kolei ręką skinęła. Lauretta z uprzejmym wyrazem oblicza zaczęła w te słowa:

— Wdzięczne przyjaciółki! Jak pierwej Filomena, tak teraz znów Pampinea wielką słuszność miały, zwracając uwagę naszą na brak przytomności umysłu, który dzisiejsze białogłowy cechuje, i wychwalając trafne słówka a dowcipne odpowiedzi. Do ich słów w tej materii nic już dodać nie można, chyba to tylko, że jeśli żart ma ukąsić, to nie jak pies, ale jak jagnię kąsać powinien, w przeciwnym bowiem razie nie żart to będzie, ale grubiaństwo. Cisti i pani Oretta doskonale miarę tę rozumieli. Jeżeli jednak i zjadliwą odpowiedź pochwalić można, to tylko w tym razie, gdy jest odparciem wyraźnej złośliwości i chęci obrażenia, jak pies się odgryza ten, kto psa ukąszenie poczuł na sobie. Zanim bowiem wda się ktoś w żarty, zważyć dobrze powinien, jak, kiedy i z kim to czyni. Pewien prałat z naszego miasta za to, że o tym wszystkim przepomniał, bolesną odebrał naukę, jak to wam zaraz opowiem.

„Za czasów, gdy Imć Antonio d'Orso, mądry i czcigodny książę Kościoła, był biskupem florenckim, przybył do tego miasta pewien szlachcic kataloński nazwiskiem Diego della Ratta, marszałek króla Roberta. Urodziwy ten mąż, będący przy tym

wielkim kobiet lubownikiem, szukając sobie pośród pięknych Florentynek zdobyczy, zwrócił oko na urodziwą wielce białogłowę, wnuczkę biskupiego brata. Mąż tej białogłowy, mimo że był człekiem zacnego rodu, słynął z brudnego skąpstwa i nikczemnego charakteru. Pan Diego, dowiedziawszy się o tym, śmiało przystąpił do niego i rzekł, że da mu pięćset dukatów w zamian za pozwolenie przepędzenia jednej nocy z jego żoną. Zgoda wnet nastąpiła, i pan Diego, wbrew chęciom owej pięknej niewiasty, noc pospołu z nią spędził, potem jednakoż mężowi jej miast pięciuset obiecanych dukatów dał pięćset srebrnych groszy, jakie były wówczas w obiegu, a które zręcznie pozłocić kazał. Wiadomość o tym wnet się po całym mieście rozniosła i podły mąż wstyd i szkodę zarazem ponieść musiał. Biskup, dowiedziawszy się o całej sprawie, jak na roztropnego człeka przystało, nic po sobie nie pokazał i po dawnemu przebywał wiele z panem Diego, z którym go dotąd przyjazne wiązały stosunki.

Otóż zdarzyło się, że gdy w dzień świętego Jana obydwaj przejeżdżali konno przez plac, na którym wyścigi się odbywały, i przyglądali się przytomnym damom, biskup spostrzegł pewną młodą białogłowę, którą obecnie morowa zaraza nam wydarła. Była to Nonna de'Pulci, krewniaczka pana Alessio Rinucci, którą wszyscy zapewne znać musieliście. W owym czasie miała ona w sobie całą krasę młodości, a przy tym znana była z żywości umysłu i obrotnego słowa. Przed niedawnym czasem poszła właśnie za mąż i mieszkała niedaleko bramy Św. Piotra. Biskup już z daleka ją pokazywał panu Diego, skoro się zaś do niej przybliżył, uderzył po ramieniu swego towarzysza i zwracając się do pani Nonny, rzekł:

— Nonno, cóż myślisz o tym zuchu? Dałabyś mu rady?

Pani Nonna poczuła się urażoną tymi słowy, godzącymi w jej uczciwość, tym więcej że wypowiedziane one zostały w obecności wielu słuchaczy, którzy stąd złe mniemanie o cnocie jej powziąć by mogli, i w jednej chwili postanowiła nie tylko wszelkie podejrzenie od siebie usunąć, aliści i pięknym za nadobne zapłacić, dlatego też żywo odparła:

— Panie, może by mi on nie dał rady, aliści w każdym razie żądałabym dobrej monety.

Marszałek i biskup jednocześnie drgnęli na te słowa i zmieszali się — pierwszy przypomniawszy sobie nieuczciwe postąpienie swoje z krewniaczką biskupa i jej mężem; drugi na wspomnienie hańby, która przez tę krewniaczkę rodzinie jego się stała. Nie patrząc więc na siebie, zawstydzeni, w milczeniu z tego miejsca odjechali, nie

mówiąc już tego dnia nic więcej. Młodej damie zaś nikt tego za złe nie miał, że zjadliwym słowem nieprzystojną napaść odparła".

Opowieść czwarta. Jednonogi żuraw

Chichibio, kucharz Currada Gianfigliazzi, ratując się bystrym responsem, gniew swego pana w wesołość zamienia i przez to grożącej mu kary unika.

Po Lauretcie i jednogłośnych pochwałach pani Nonnie złożonych Neifila na rozkaz królowej głos zabrała:

— Piękne towarzyszki — rzekła — nie dziwota, gdy bystry umysł znajdzie natychmiast słówko trafne i celne, do okoliczności stosowne; ale czasem zdarza się także, że tępemu i bojaźliwemu człowiekowi ostatnia i ciężka potrzeba podsunie tak doskonały respons, jakiego by w spokojnej chwili nigdy wymyślić nie potrafił. Dam wam zaraz dowód na to.

„Currado Gianfigliazzi, jak to każdy z was już zapewne słyszał, a może i widział, był jednym z najszczodrobliwszych i najgościnniejszych obywateli naszego miasta. Wiecie także, że rycerski wielce żywot pędził i osobliwe upodobanie w psach i ptakach łowczych znajdował — by już o większych jego dziełach nic nie rzec. Otóż pewnego dnia, gdy sokół jego koło Peretoli żurawia upolował, pan Currado, widząc, że ptak jest młody i tłusty, posłał go swemu doskonałemu kucharzowi z rozkazem przyrządzenia tej zdobyczy smakowicie na wieczerzę. Chichibio (tak się nazywał ów kucharz, Wenecjanin, będący wielkim tępakiem z wejrzenia i w rzeczy samej) oskubał żurawia, wsadził go na rożen i jął troskliwie opiekać. Potrawa była już niemal gotowa i wokół siebie silną i apetyczną woń rozsiewała, gdy pewna niewiastka z okolicy, imieniem Brunetta, w której Chichibio był wielce rozkochany, do kuchni weszła, a poczuwszy woń mięsiwa na rożnie i widząc żurawia, najpieszczotliwszymi słowy jęła prosić kucharza, ażeby jedno udo dla niej odciął.

Chichibio odrzekł, śpiewając:

Nic z tego, piękna Brunetto, nic z tego, wierzaj mi!

Czym dziewczynę tak rozgniewał, że zawołała:

— Ha! Jeśli tak, to przysięgam ci, że jak Bóg na niebie, i ty nigdy niczego ode mnie nie dostaniesz.

Wówczas Chichibio po krótkim, ale w słowa obfitym sporze, nie chcąc dręczyć niewiasty, odciął żurawiowi jedną nogę i obdarzył nią swoją umiłowaną.

Gdy godzina wieczerzy nadeszła, postawiono przed panem Curradem i gośćmi owego żurawia o jednej nodze. Wówczas gospodarz, zdziwiony, rozkazał przywołać kucharza i zapytał go, co się z drugim udem stało. Chichibio, który, jako Wenecjanin, w łgarstwie celował, odrzekł natychmiast:

— Panie, żurawie mają tylko jedno udo i jedną nogę.

Na to pan Currado, rozgniewany, zawołał:

— Jak to, do krocset, chcesz wmówić we mnie takie głupstwo? Zali to pierwszy żuraw, którego w życiu widzę?

Ale Chichibio, niezmieszany, rzekł:

— Jest tak, jak powiadam, a jeśli chcecie, panie, to na żywych żurawiach dowodnie wam to pokażę.

Currado przez wzgląd na przytomnych gości pohamował się i rzekł:

— Jeśli obiecujesz pokazać mi to, czegom nigdy sam nie widział ani nie słyszał o tym od innych, jutro obietnicy dotrzymać musisz. Jeżeli jednak nie zdołasz tego uczynić, to przysięgam na ciało Chrystusa, że dam ci taką naukę, iż przez całe życie swoje z trwogą o mnie wspominać będziesz.

Na tym skończyła się tego wieczora ich rozmowa. Nazajutrz zaraz o świcie pan Currado, którego gniew we śnie wcale nie osłabł, podniósł się z łoża, jeszcze jakby napęczniały, kazał wsiąść kucharzowi na koń, a potem wspólnie z nim wyjechał, kierując się ku bagnom, położonym przy rzece, nad brzegiem której o wczesnym ranku najczęściej żurawie się trafiały. Po drodze zasię rzekł do Chichibia:

— Obaczymy teraz, kto wczoraj zełgał: ja czy ty.

Chichibio, widząc, że gniew jego pana nie sfolgował i że trzeba dowieść prawdy słów swoich, co rzeczą niemożliwą mu się zdawało, jechał w największym strachu za panem Curradem. Gdyby mógł, byłby chętnie umknął, gdzie pieprz rośnie. Nie mając jednak tej możności, spoglądał raz na prawo, to znów na lewo lub przed siebie, a każdy przedmiot, który przed nim zamajaczył, zdał mu się być żurawiem, stojącym na dwóch nogach.

Nareszcie na brzegu rzeki ujrzał pierwszy około dwunastu żurawi, stojących na jednej nodze, jak to jest w obyczaju u tych ptaków, gdy je sen zmorzy.

Na ten widok Chichibio obrócił się żywo do swego pana i rzekł, wskazując na ptaki:

— Teraz jawnie przekonać się możecie, że wczoraj wieczorem prawdę powiedziałem twierdząc, iż żurawie mają tylko jedno udo i jedną nogę. Spojrzyjcie tylko przed siebie.

Currado zawołał:

— Poczekaj chwilę, zaraz ci pokażę, że żurawie mają dwie nogi.

I podjechawszy bliżej nieco, zakrzyknął:

— Ha! Ha!

Na ten krzyk spłoszone żurawie opuściły natychmiast podniesioną w górę nogę i przebiegłszy kilka kroków odleciały z pośpiechem.

Wówczas pan Currado zwrócił się do Chichibia i spytał:

— No! hultaju, jak ci się zdaje, ile nóg mają?

Chichibio ze strachu już prawie zmysły postradał, ratując się zawołał jednak:

— W samej rzeczy, wielmożny panie, w samej rzeczy, ale na wczorajszego żurawia nie krzyknęliście: »ha! ha!«. Gdybyście to byli uczynili, jestem pewien, że i on byłby drugą nogę pokazał, jako i te ptaki przed chwilą.

Niespodziana ta odpowiedź wprawiła pana Currado w tak wielką wesołość, że cały gniew jego stopniał i gwałtownemu śmiechowi miejsca ustąpił. Wreszcie, pohamowawszy się nieco, rzekł:

— Masz słuszność, Chichibio, powinienem był tak wczoraj wieczór postąpić. Moja więc to wina, nie twoja.

Takim to sposobem Chichibio, ułagodziwszy szybką i zabawną odpowiedzią swego pana, ciężkiej kary uniknął".

Opowieść piąta. Szpetny wygląd

Pan Forese da Rabatta i malarz Giotto jadą razem z Mugello. Jeden z nich pokpiwa ze szpetnego wyglądu drugiego.

Gdy Neifile umilkła i gdy odpowiedź Chichibia wielką uciechę damom sprawiła, na rozkaz królowej głos zabrał Panfilo:

— Często się zdarza, jak już o tym Pampinea wspominała, że los największe nawet cnoty i zdatności w cieniu nędznego rzemiosła chowa, a natura znów zadziwiające przymioty umysłu pod odstraszającą postacią ludzką ukrywa. Jawnie się to pokaże na przykładzie dwóch ziomków naszych, o których wam pokrótce opowiedzieć zamierzam. Jeden z nich, pan Forese da Rabatta, był człekiem tak małego wzrostu i nikczemnej postury, twarz miał tak płaską, a nos tak zadarty, że najszpetniejszy z Baroncich nie

chciałby się z nim na powierzchowność mieniać. Jednakoż tak głęboką wiedzą w kwestiach prawnych celował, że najuczeńsi ludzie prawdziwą studnią mądrości go nazywali.

Drugiemu na imię było Giotto. Był to człek tak wysokimi zdolnościami obdarzony, że natura, matka i twórczyni wszystkiego, żadnej rzeczy w kręgu wszechświata tak pięknej wydać nie mogła, której by on rylcem, piórem lub pędzlem odtworzyć nie był zdołał — i to w ten sposób, iż dzieła jego nie tylko zupełne podobieństwo do rzeczy wyobrażonej miały, ale samą naturą być się zdawały i łudziły do tego stopnia wzrok ludzki, że wiele razy za prawdziwe brano, co wymalowane było. Słusznie nazwano go przeto jednym z promieni chwały świetlanej Florencji. On to bowiem sztukę, setki lat krzywdzoną przez tych, którzy więcej dbali o przypodobanie się oczom nieukształconych widzów niż umysłowi ludzi światłych, z upadku podniósł i nowym blaskiem otoczył. Przy tym zasię w nieporównanej skromności swojej (jakkolwiek wszyscy artyści uczniami jego byli) nigdy imienia mistrza przyjąć ani nosić nie chciał. Więcej go jednak zdobiła i podnosiła ta skromność niźli tytuł mistrza, który sobie przywłaszczali chciwie ludzie sto razy mniej w sztuce od niego i od jego uczniów zawołani. Przy całej wielkości jego sztuki, uroda jego i rysy ani na krztynę piękniejsze nie były od urody i rysów pana Forese. Wróćmy jednak do opowieści.

„Forese i Giotto mieli posiadłości w Mugello. Otóż w czasie kanikuły i feryj sądowych pan Forese wybrał się na wieś dla obejrzenia swego gospodarstwa, w drodze powrotnej zasię, jadąc na niepozornej klaczy, napotkał wspomnianego już malarza, który podobnie, włości swe obejrzawszy, do Florencji wracał.

Giotto nie miał ani o źdźbło lepszego wierzchowca, a strój jego był równie podły jak strój pana Forese. Zrównali rumaki swoje i jak na dwóch sędziwych ludzi przystało, stępa obok siebie jechać poczęli.

Naraz, jak się to często w lecie przytrafia, nagły deszcz padać zaczął, zmuszając ich do szukania sobie czym prędzej schronienia w domu pewnego kmiotka, który ich obydwu znał dobrze i przyjaźnią darzył. Ponieważ czas mijał i nie można było żywić nadziei, że wypogodzi się wkrótce, a oni tegoż dnia do Florencji powrócić chcieli, pożyczyli sobie tedy dwa stare, grube płaszcze, jakie znaleźli pod ręką, oraz dwa kapelusze, całkiem prawie znoszone, i w tym stroju w dalszą drogę się wybrali. Wkrótce deszcz zmoczył ich do nitki, konie obryzgały ich błotem, tak iż godności przydawać im to nie mogło. Jechali obok siebie w milczeniu, gdy się jednak niebo nieco wyjaśniło, wdali się w gawędę. Pan Forese, jadąc i słuchając Giotta, który bardzo pięknie zwykł

mówić, począł mierzyć go wzrokiem od stóp do głowy; wreszcie, zważywszy jego mizerny pozór, niepamiętny na to, jak sam wygląda, śmiać się począł i zawołał:

— Giotto, gdyby teraz jakiś obcy, nieznający ciebie człowiek napotkał nas, zali sądzisz, że mógłby uwierzyć, iż widzi przed sobą najbardziej zawołanego na świecie malarza?

— Panie — odparł, nie namyślając się, Giotto — sądzę, że uwierzyłby temu, gdyby wraz, tobie się przyjrzawszy, mógł uwierzyć, że znasz choćby abecadło.

Pan Forese usłyszawszy to spostrzegł swoją winę i poczuł, że mu równą monetą odpłacono".

Opowieść szósta. Dowód szlachectwa

Michele Scalza dowodzi kilku młodzieńcom, że Baronci są najstarszym rodem na świecie, i w zakładzie wieczerzę wygrywa.

Damy śmiały się jeszcze z trafnej odpowiedzi Giotta, gdy królowa Fiammetcie dalej opowiadać rozkazała. Fiammetta tak rzecz podjęła:

— Panfilo w poprzedniej opowieści wspomniał o Baroncich, których wy, drogie przyjaciółki, nie znacie zapewne tak dobrze jak on; pragnę tedy, nie oddalając się od materii naznaczonej, opowiedzieć wam, jak starodawne jest szlachectwo ich rodu.

„Przed niedawnym czasem żył w mieście naszym młodzieniec, imieniem Michele Scalza, najweselszy na świecie krotochwilnik, znany z daru opowiadania osobliwych powieści, które jak z rękawa wytrząsał. Młodzi Florentczycy, ilekroć przedsiębrali jaką wesołą zabawę, ubiegali się o jego towarzystwo. Otóż gdy młodzieniec ten pewnego dnia wraz z innymi w Montughi się znajdował, zdarzyło się, iż wszczął się spór o to, który z rodów florenckich jest najstarszym i najszlachetniejszym. Jedni twierdzili, że Uberti, drudzy, że Lamberti, ten wymieniał jedno nazwisko, inny drugie, każdy wedle swego rozumienia. Scalza, przez długi czas przysłuchując się w milczeniu, śmiać się naraz począł drwiąco i zawołał:

— O głupcy, głupcy, sami nie wiecie, co powiadacie! Najstarszym i najszlachetniejszym rodem nie tylko we Florencji, ale na całym świecie, a nawet w bagnach Maremmy, są Baronci. Już dawno zgodzili się na to filozofowie oraz wszyscy, równie dobrze jak ja, tę rodzinę znający. Ażebyście jednak nie sądzili, że mówię o kim innym, wiedzcie więc, że myślę o Baroncich z Santa Maria Maggiore, waszych sąsiadach.

Zgromadzona młodzież mniemała dotychczas, że słowa Scalzy odnoszą się do nieznanych Baroncich, aliści usłyszawszy jego wyjaśnienie, wszyscy przytomni roześmieli się w głos i zawołali:

— Cóż to, za dudków nas bierzesz? Czyż nie znamy Baroncich równie dobrze jak ty?

— Klnę się na Ewangelię — zawołał Scalza — że nie chcę żartować. Mówię wam najświętszą prawdę i założyć się nawet gotów jestem o to z każdym z was; stawką niech będzie wieczerza na sześć osób, które wygrywający sam sobie wybierze. Więcej jeszcze, gotów jestem poddać się czyjemu tylko zechcecie wyrokowi w tej sprawie.

Na to jeden z młodzieńców, nazwiskiem Neri Vannini, rzekł:

— Dobrze, przyjmuję zakład, ciesząc się zawczasu, że wieczerzę wygrałem.

Po czym umówiwszy się, że Piero di Fiorentino, w którego domu właśnie się znajdowali, rozstrzygnie zakład pomiędzy nimi, natychmiast do niego się udali. Reszta młodzieży pośpieszyła za nimi, ażeby być świadkami, jak Scalza przegra zakład, i aby nadrwić się potem z niego do syta.

Skoro przybyli do Piera i opowiedzieli, mu o szczegółach zakładu, Piero, nader roztropny młodzian, wysłuchał wpierw Neriego, a potem zwrócił się do Scalzy z zapytaniem:

— W jaki sposób zamyślasz dowieść swego twierdzenia?

— W sposób tak przekonywający — odrzekł Scalza — racji mojej dowiodę, że nie tylko ty, ale ten nawet, kto mi obecnie kłam zadaje, słuszność mi przyznać będzie zmuszony. Wiadomo wam, że im ród jaki jest starszy, tym także jest szlachetniejszy. Jeżeli więc wam dokażę, że Baronci należą do najstarszej szlachty, dowiodę zarazem, że i do najlepszej się liczą. Wiedzcie tedy, iż Pan Bóg stworzył Baroncich w owym czasie, kiedy ledwo zaczynał uczyć się lepienia z gliny, wszyscy zaś inni ludzie powstali z jego ręki wtedy, kiedy już w tym kunszcie celować począł. Dla przekonania się, że prawdę mówię, popatrzcie uważnie na Baroncich, a potem na innych śmiertelników. Podczas gdy twarze i postaci innych są foremnie ukształtowane, przyznać musicie, że z Baroncich jeden ma nieskończenie długą i wąską twarz, a drugi znowu bez miary szeroką. U tego nos się nie kończy, u innego nie ma go prawie, tamten znów ma podbródek naprzód podany i zadarty w górę, a szczęki jego i uszy oślim się równają.

Ba, są nawet tacy pomiędzy nimi, którzy mają jedno oko małe, a drugie wielkie albo jedno wyżej od drugiego umieszczone. Słowem, oblicza ich podobne są do malowideł, które dzieci kreślą, gdy rysować się uczą. Jawnie stąd widać, jak to już powiedziałem,

że ich Bóg wtedy stworzył, gdy się dopiero z gliny lepić uczył. Z tego wynika, że ród ich jest najdawniejszym ze wszystkich rodów, a więc i najszlachetniejszym.

Że Baronci w samej rzeczy tak wyglądali, jak ich Scalza opisał, wiadomo było sędziemu Pierowi, Neriemu i wszystkim obecnym. Słysząc tedy żartobliwy argument, jakiego Scalza użył, parsknęli wszyscy śmiechem i oświadczyli jednogłośnie, że słuszność jest po stronie Scalzy, że wieczerza do niego należy, i że Baronci bez najmniejszej wątpliwości są najszlachetniejszym i najstarszym rodem nie tylko we Florencji, ale i na całym świecie, a nawet w Maremmie.

I dlatego też słusznie Panfilo, chcąc dać pojęcie o szpetocie oblicza pana Forese, rzekł, że żaden z Baroncich nie chciałby się z nim pomieniać".

Opowieść siódma. Niewierna żona

Madonnę Filippę zaskoczył mąż w ramionach jej miłośnika. Filippa, stanąwszy przed sądem, szybkim i zręcznym responsem uwalnia się od kary i przyczynia się do zmiany niesprawiedliwego prawa.

Gdy Fiammetta umilkła, wszyscy jeszcze długo się śmieli z powodu niezwykłego argumentu, jakiego użył Scalza, aby dowieść wyższości rodu Baroncich nad wszystkimi innymi. Po chwili królowa obróciła się do Filostrata rozkazując mu opowiadać dalej. Filostrato tak zaczął:

— Wielce szanowne damy! Wielka to jest zawsze zdatność, gdy się dobrze mówić umie, aliści jeszcze większą umiejętnością jest mówić dobrze wówczas, gdy tego konieczność wymaga. Dar ten posiadała pewna szlachetna dama, o której wam teraz opowiedzieć zamierzam. Nie tylko wesołość i śmiech słuchaczy wywoływać nieraz umiała, aliści też haniebnej śmierci ujść potrafiła.

„W mieście Prato istniało ongiś wielce surowe i godne potępienia prawo. Według tego prawa, bez żadnej różnicy, żona, którą mąż na niecnocie z kochankiem przychwycił, spalona na stosie być musiała równie jak i ta, co za pieniądze mężczyznom ciało swoje oddawała i na tym przydybana została. Gdy prawo to jeszcze moc swoją miało, zdarzyło się, że pewna szlachetna i urodziwa dama, zakochana okrutnie, Filippą zwana, została nocą we własnej komnacie zdybana przez męża swego, Rinalda de'Pugliesi, w ramionach kochanka, Lazzarina de'Guazzagliotri, urodziwego i szlachetnego młodzieńca, który równie ją miłował jak ona jego. Rinaldo na ów widok w taką wściekłość wpadł, że zaledwie pohamować się zdołał, aby nie rzucić się na nich i

obojga nie zabić. Gdyby był wiedział, że za swój czyn odpowiadać nie będzie, ani chybi, uległby pierwszemu gniewu zapędowi i życia by ich pozbawił. Pohamowawszy się, nie mógł jednakoż odmówić sobie tego, aby obrócić się do miejscowego sądu, dla dopełnienia kary, której sam dopełnić nie mógł. Zebrawszy dostateczne dowody, świadczące o wiarołomstwie żony, rankiem następnego dnia, nikogo uprzednio o radę nie pytając, wniósł do sądu skargę na Filippę. Filippa, białogłowa wielce odważna, tak jak odważnymi pospolicie bywają wszystkie prawdziwie miłujące białogłowy, postanowiła stanąć przed sądem (aczkolwiek krewniacy i przyjaciele odradzali jej to z wszystkich sił swoich), woląc raczej całą swoją tajemnicę wyjawić i mężnie śmierć spotkać niźli tchórzliwą ucieczką się salwować, żyć wiecznie na wygnaniu i przez to okazać się niegodną kochanka, w którego objęciach ostatnią noc spędziła. Otoczona wielu mężczyznami i białogłowami, którzy błagali ją, aby do winy się nie przyznawała, stanęła przed podestą i spytała go spokojnym głosem, czego od niej żąda. Podesta, spojrzawszy na Filippę i przekonawszy się, że ma przed sobą piękną i układną nad wyraz białogłowę, a do tego wielkim męstwem obdarzoną, o czym jej słowa dowodną poznakę dawały, uczuł litość dla niej i obawiać się począł, aby jakimś niebacznym słowem się nie zdradziła, co by zmusiło go do wydania wyroku śmierci na nią, jeśli godności swej nie chciał uchybić.

Nie mogąc jednak uniknąć zapytania jej o to, co jej zarzucono, podesta rzekł:

— Jak widzicie, madonno, mąż wasz Rinaldo, jest tutaj przytomny. Wniósł on na was skargę, twierdząc, że was na wiarołomstwie przychwycił, i dlatego też domaga się ode mnie, abym zgodnie z istniejącym prawem, śmiercią was za to ukarał. Nie będę mógł jednakoż uczynić tego, dopóki sama do winy się nie przyznacie. Dlatego też pomyślcie wprzód dobrze, nim mi odpowiedź dacie, i powiedzcie mi, zali słuszną jest skarga męża waszego?

Dama, wcale się nie zmieszawszy, odpowiedziała mu ujmującym głosem:

— To prawda, że Rinaldo jest moim mężem i że zeszłej nocy zastał mnie w objęciach Lazzarina, do którego często należałam dla tej czystej i wielkiej miłości, jaką dla niego żywię. Nigdy temu zaprzeczać nie będę. Aliści mniemam, że wam wiadome jest, iż prawa powinny istnieć dla wszystkich i że ustanawiać je winno się za zgodą tych, co im podlegać mają. W tym jednak wypadku sprawa ma się całkiem inaczej, prawa te srożą się tylko nad biednymi kobietami, które o ileż łatwiej niż mężczyźni zdołałyby zaspokoić wielu, krom tego zważyć trzeba, że ani jedna kobieta nie wyraziła swej zgody na ustanowienie tego prawa, a takoż o wyrażenie swego mniemania proszona nie była.

Dlatego też prawo to niesprawiedliwym nazwać trzeba. Jeśli chcecie je wypełnić na zgubę ciała mego i waszej duszy, czyńcie swoją powinność. Nim jednak do sądzenia mnie przystąpicie, proszę, abyście mi małą łaskę okazali i spytali męża mego, zaliżem mu powolna nie była, ile razy chciał tego, i czy kiedykolwiek pragnienia jego całkowicie nie wypełniłam.

Rinaldo, nie czekając na zapytanie sędziego, odparł, że jego żona w samej rzeczy po dobrej woli wszystkie jego pragnienia wypełniać była zwykła.

— A zatem — rzekła dama — spytam jeno, jeśli brał ode mnie zawsze wszystko, czego pragnął i co mu się podobało, cóż miałam i mam czynić z resztą, która pozostała? Miałam ją może psom rzucić? Czyż nie lepiej ugościć nią szlachetnego młodzieńca, miłującego mnie nad życie własne niż zmarnować ją niegodnie?

Do sądu na sprawę pani Filippy, osoby tak znamienitej, zeszli się prawie wszyscy mieszkańcy Prato. Usłyszawszy jej wdzięczny respons, gromkim śmiechem wybuchnęli i jak jeden mąż zawołali, że słuszność jest po jej stronie.

Zanim się rozeszli, uległszy namowom podesty, zmienili tedy niesprawiedliwe prawo i postanowili, aby tyczyło się ono tylko tych kobiet, które dla pieniędzy mężów swych zdradzają. Rinaldo, srodze zawstydzony, wyszedł z sądu, zasię dama wesoło i niefrasobliwie, jakby z płomieni zmartwychwstała, do domu z chwałą powróciła".

Opowieść ósma. Dobra rada

Pan Fresco radzi swej siostrzenicy, aby się w zwierciadle nie przeglądała, jeśli — jak powiadała — odrażającego oblicza obaczyć nie chce.

Historia, opowiedziana przez Filostrata, zawstydziła nieco z początku słuchające go damy, czego żywym dowodem był rumieniec, który okrasił ich lica, później jednak, spojrzawszy jedna na drugą, zaledwo mogąc powstrzymać się od śmiechu słuchały chichotając. Królowa uciszyła tę wesołość i wydała Emilii rozkaz przystąpienia do nowej opowieści. Ta, drgnąwszy, jak gdyby z głębokiego snu zbudzona, tak z westchnieniem zaczęła:

— Drogie przyjaciółki! Chocia myśli moje daleko stąd odbiegły, przecie chcę być posłuszną rozkazaniu królowej. Poprzestanę jednak na znacznie może krótszej opowieści, niżbym uczyniła, gdyby duch mój stąd się nie oddalał. Opowiem wam tedy o jednej głupiutkiej dziewczynie, która, przez wuja swego jadowitym uszczypkiem przyganiona, nie miała dosyć rozsądku, ażeby się na tym poznać.

„Szlachcic, nazwiskiem Fresco da Celatico, miał siostrzenicę, którą zwykle Cescą pieszczotliwie nazywano. Dzieweczka ta, jakkolwiek urodziwą postać i wdzięczne oblicze miała, nie mogła się jednak zaliczać do rzędu owych anielskich piękności, jakie się niegdyś na tym świecie trafiały. Ona sama jednakoż za taką piękność i doskonałość się poczytywała, że w obyczaj jej weszło o innych kobietach z lekceważeniem się odzywać, jako o niegodnych wchodzenia z nią w paragon. Przekorna i kłótliwa, mężczyzn wszystkich miała za nic, a w każdej rzeczy coś złego umiała wynaleźć, nie myśląc wcale o tym, ile sama wad i przywar posiada. Gdyby była pochodziła z rodu królów Francji, wierę, nie mogłaby wówczas być dumniejszą i bardziej nieprzystępną. Z powodu jej swarliwości i złośliwości nie podobna z nią długo przebywać było. Dosyć ją było zobaczyć na ulicy z krzywą i kapryśną miną, kręcącą nosem na świat cały, jakby śmierdziało jej wszystko, co widziała lub spotykała — ażeby nabrać stosownego pojęcia o różnych jej zaletach.

Otóż zdarzyło się, że pewnego dnia młódka z większymi niż zwyczajnie grymasami do domu powróciła. Usiadłszy obok swojego wuja, prychać i wzdychać poczęła.

Pan Fresco, spostrzegłszy to, rzekł:

— Cóż to znaczy, Cesco, że dzisiaj, w dzień świąteczny, tak prędko do domu powróciłaś?

Na co młódka, mizdrząc się pociesznie, odparła:

— Wróciłam tak rychło, bo nie zdarzyło mi się nigdy jeszcze w tym mieście tylu obrzydliwych i odrażających mężczyzn i kobiet na raz spotkać co dzisiaj. Ani jednej istoty znaleźć nie mogłam pomiędzy tłumem przechodniów, która by mi wstrętną nie była. Nie sądzę zaś, aby istniała na świecie druga białogłowa, której by było równie trudno jak mnie patrzeć na niemiłe oblicza. Aby więc nie spoglądać na nie, wróciłam tak szybko.

Fresco, któremu niedorzeczna próżność siostrzenicy zbytnio już we znaki się dała, odrzekł z powagą:

— Moje dziecko, skoro widok niemiłych osób tak cię drażni, to jeżeli chcesz mieć spokój, unikaj przeglądania się kiedykolwiek w zwierciedle.

Cesca, której się wydawało, że dla swej mądrości z Salomonem w paragon wchodzić by mogła, nie pojęła przymówki swego wuja i z baranim spokojem odparła, że nie widzi przyczyny, dlaczegoby się w zwierciedle, jak inne niewiasty, przeglądać nie miała.

Tak oto, dzięki tępocie swego umysłu, pozostała głupią i próżną na całe życie”.

Opowieść dziewiąta. Guido Cavalcanti

Pan Guido Cavalcanti zręczną przymówką powiada uprzejmie rzecz obelżywą kilku florenckim pankom, którzy go nagle zaskoczyli.

Królowa widząc, że Emilia opowiadanie swoje skończyła i że z wyjątkiem jej, a także uprzywilejowanego do mówienia przy końcu Dionea, wszyscy z obowiązku swego się wywiązali, w te słowa się odezwała:

— Chociaż, miłe moje panie, zabrałyście mi dziś co najmniej dwie opowieści, z których jedną myślałam wam przytoczyć, to przecież jedna mi pozostała, która kończy się rzeczeniem tak pełnym treści, że o podobnym może jeszcze mowy tu nie było.

„Musicie wiedzieć, że dawnymi czasy w mieście naszym wiele pięknych i chwalebnych panowało zwyczajów, które teraz prawie całkiem w zapomnienie poszły, bowiem rosnące wraz z zamożnością skąpstwo na wstręcie im stanęło.

I tak było w obyczaju, że znaczniejsi obywatele z sąsiednich ulic zbierali się często razem w różnych dzielnicach miasta i łączyli w towarzystwa, z pewnej określonej liczby osób się składające. Baczono przy tym na to, ażeby tylko takich ludzi do społeczności przyjmować, którzy by koszta wspólne podjąć mogli. Raz tedy uczta u jednego wypadła, drugi raz u innego, i w ten sposób kolej na wszystkich przychodziła, i każdy w dniu oznaczonym podejmował całą kompanię. Często na takich ucztach goszczono znakomitych cudzoziemców, o ile do Florencji przybywali, albo też spraszano na nie miejscowych obywateli. Przynajmniej raz w rok uczestnicy przywdziewali strój jednakowy i w pochodzie jechali razem przez miasto, to znów urządzali turnieje, szczególnie w dni wielkich świąt, z okazji zwycięstwa, albo też jakiego zdarzenia radosnego dla całego miasta.

Na czele jednej takiej kompanii stał pan Betto Brunelleschi. Tak on, jak i towarzysze jego starali się wszelkimi siłami wciągnąć do swego grona pana Guida z rodu Cavalcante de'Cavalcanti, a to nie bez ważkiego powodu. Pomijając już bowiem to, że pan Guido był jednym z najlepszych myślicieli na świecie i zawołanych przyrodników (o przymioty te towarzystwo niewiele dbało), był on także wielce wesołym, układnym i wymownym człekiem, słowem, łączył w sobie wszystkie przymioty prawdziwego szlachcica. Do czego tylko się wziął, umiał to zrobić lepiej niźli ktokolwiek inny. Przy tym wszystkim zasię ogromny majątek posiadał. Kogo za godnego przyjaźni swej uznał, temu serce i rękę hojnie otwierał. Nie dziwota tedy, że pan Betto zwabić go chciał na swoje zebrania. Gdy mu się to jednak nie udało, pospołu z swymi towarzyszami jął sobie

tłumaczyć niechęć Guida tym, że nieraz będąc filozofią zajęty, obcowania z ludźmi unikał.

Ponieważ Guido nieco ku wywodom Epikura się skłaniał, powszechnie mówiono wśród pospólstwa, że celem jego rozmyślań było wynaleźć dowód, że Bóg nie istnieje. Pewnego dnia Guido, idąc do kościoła Św. Michała i minąwszy ulicę Adimarich, doszedł zwyczajną mu drogą do kościoła Św. Jana i tam zatrzymał się pośród grobowców marmurowych (z których pewna część znajduje się obecnie u Świętej Reparaty, a inne przy Św. Janie). Stanął pomiędzy kolumnami porfirowymi i nagrobkami a bramą Świętego Jana, wówczas zamkniętą. Pan Betto z towarzystwem swoim właśnie przez plac Świętej Reparaty przejeżdżał. Spostrzegłszy Guida pomiędzy grobowcami żartownisie zawołali:

— Musimy go trochę podrażnić!

Po czym, dodawszy koniom ostrogi, jak gdyby żartobliwą szarżę czyniąc, pędem puścili się ku niemu i nim się mógł spostrzec, już się przy nim znaleźli.

— Guido — rzekli — gardzisz towarzystwem naszym, cóż ci jednak przyjdzie z tego, jeżeli dowieść zdołasz, że Bóg nie istnieje?

Guido, widząc się otoczonym, odparł bez namysłu:

— Panowie, w domu waszym możecie mi mówić, co wam się podoba!

To mówiąc oparł się jedną ręką o grobowiec znacznej wysokości, lekkim bardzo skokiem przedostał się na drugą stronę i odłączywszy się od nich, odszedł. Wesołe towarzystwo spoglądało przez chwilę po sobie, aż wreszcie ktoś rzekł:

— Guido nie był widać przy zdrowych zmysłach, bowiem w odpowiedzi jego sensu dopatrzyć się trudno. Nie mamy przecież do tego miejsca ani o źdźbło więcej prawa od innych obywateli, a takoż do samego Guida.

Na to pan Betto, zwracając się do mówiącego i do reszty towarzyszy, odparł:

— To wy raczej nie jesteście przy zdrowych zmysłach, inaczej bowiem zrozumielibyście, że człek ten w kilku słowach uprzejmie ciężką obelgę wam rzucił. Czymże bowiem są te grobowce? Domami umarłych, jako że w nich grzebani są i spoczywają zmarli. Jeżeli powiedział tedy, że jesteśmy tutaj u siebie, to chciał przez to wyrazić, że my i inne podobne nam nieuki w porównaniu z nim i z ludźmi uczonymi mniej jeszcze znaczymy niż umarli, i dlatego będąc tu, jesteśmy w naszym domu.

Teraz dopiero pojęli wszyscy istotne znaczenie słów Guida. Odtąd, srodze zawstydzeni, przestali w drogę mu wchodzić. Pan Betto zasię od tego czasu za bystrego i domyślnego człowieka począł uchodzić".

Opowieść dziesiąta. Brat Cipolla

Brat Cipolla obiecuje ludowi, że mu pokaże pióro archanioła Gabriela. Znalazłszy w puzderku miast pióra węgle, niestropiony, oznajmia, że są to te same węgle, na których spłonął święty Wawrzyniec.

Skoro wszyscy z kompanii opowieść swą wygłosili, Dioneo wiedział już, że na niego kolej przychodzi. Nie czekając tedy uroczystego wezwania, poprosił o milczenie tych, którzy ciętą odpowiedź Guida jeszcze wychwalali, i tak zaczął:

— Mimo że z rąk waszych, czarujące damy, wziąłem przywilej opowiadania tego, co mi się podoba, nie myślę jednak dzisiaj od naznaczonej przez was materii się oddalić, o której tak trafnie tu mówiono, owszem, wstąpię w ślady wasze i opowiem, jak to pewien mnich od Św. Antoniego dzięki zręcznemu i niezwłocznemu wybiegowi uszedł wstydu, który mu dwaj młodzieńcy zgotować chcieli. Nie gniewajcie się jednak, jeżeli cokolwiek nad materią moją szerzyć się będę, bowiem rzecz tego wymaga; zresztą spojrzyjcie na słońce i zważcie, że jeszcze wysoko na niebie stoi.

„Jak zapewne słyszałyście o tym, Certaldo jest małym miasteczkiem, należącym do florenckich dziedzin, a położonym w dolinie Elsy. Chocia gród to niewielki, kiedyś jednak zamożni i szlachetni obywatele go zamieszkiwali. Co rok zwykł był tutaj przez długi czas kazać mnich z zakonu Św. Antoniego, nazwiskiem brat Cipolla, znajdował tu bowiem zawsze dobrą paszę. Zbierał on hojne od głupców jałmużny i doznawał zawsze dobrego przyjęcia, może nie mniej dla nazwiska swego niż dla pobożności, okolice bowiem Certaldo wydają cebulę sławną na całą Toskanię. Brat Cipolla był człekiem o przysadkowatej posturze, włosy miał barwy czerwonej, a oblicze zawsze wesołością tchnące. Był to najsprytniejszy hultaj pod słońcem. Chociaż nigdy niczego się nie uczył, umiał jednak w lot się odcinać i potoczyście mówić, tak iż każdy, kto go nie znał, nie tylko za wielkiego mówcę go poczytywał, ale gotów był mniemać, że to sam Cicero, a może Kwintylian. I ze wszystkimi bez mała w całej okolicy żył w przyjaźni, jako kum i doradca wielu.

Otóż pewnego razu obyczajem swoim brat Cipolla w sierpniu do Certaldo ściągnął. Gdy się już w niedzielę wszyscy poczciwcy z okolicznych wiosek pospołu z niewiastami na mszę przed kościołem zebrali, mnich, poczekawszy na stosowną chwilę, w te słowa przemówił:

— Oto nadchodzi pora, nabożni słuchacze, w której wedle pięknego obyczaju, obdarzać zwykliście biedne sługi niebieskiego książęcia, świętego Antoniego, ziarnem i mąką; jedni niewiele posyłają, drudzy mnogo, wedle możności i pobożności swojej, a to na intencję, ażeby ten możny święty wasze woły, osły, świnie i owce pod płaszcz opieki swojej przyjął. Zwykliście także o tej porze (szczególnie ci z was, którzy się do bractwa naszego zapisali) uiszczać raz na rok pewną małą sumę. Otóż po dary te przez zwierzchność moją, to jest przez Jego Świątobliwość, opata naszego, przysłany tutaj zostałem. Zbierzcie się tedy za błogosławieństwem bożym dzisiaj po południu przed kościołem o godzinie trzeciej, skoro głos dzwonka usłyszycie, z ofiarami waszymi, a zarazem dla wysłuchania kazania i pocałowania krzyża świętego. Nadto, ponieważ wiadomo mi jest, jak gorących czcicieli szlachetny święty Antoni pomiędzy wami posiada, przyniosłem wam ku osobliwemu błogosławieństwu dla całej okolicy piękną relikwię, wielkimi cudami słynącą, którą niegdyś sam z Ziemi Świętej, zza morza przywiozłem. Jest to jedno z piór archanioła Gabriela, zgubione przez niego w komnacie Marii Dziewicy, gdy przybył do niej do Nazaretu ze zwiastowaniem.

Po tej przemowie zamilkł i wrócił pobożnie do kościoła.

Pomiędzy wieloma słuchaczami, którzy mowie brata Cipolli się przysłuchiwali, znajdowało się także dwóch młodzieńców, z których jeden zwał się Giovanni del Bragoniera, drugi Biagio Pizzini. Byli to dwaj na wszystkie boki kuci franci. Ci, uśmiawszy się między sobą z relikwii brata Cipolli i mimo że żyli w przyjaźni z mnichem i często z nim obcowali, postanowili figla mu z tym piórem wypłatać. Wiedzieli, że brat Cipolla tego dnia będzie jadł obiad u jednego ze swoich przyjaciół na zamku; upewniwszy się więc, że już tam poszedł, udali się do gospody, w której braciszek stanął. Po drodze umówili się, że Biagio wda się w pogawędkę ze sługą brata Cipolli, a Giovanni tymczasem w jego rzeczach owego pióra poszuka i że znalazłszy zabierze je z sobą, aby obaczyć, co potem mnich wobec ludu uczyni. Brat Cipolla miał sługę, Guccia, którego jedni Wielorybem, drudzy Smarowozem, a jeszcze inni Świntuchem nazywali. Brzydal był taki, że szpetniejszego nigdy Lippo Topo nie wymalował. Brat Cipolla często żartował sobie z niego i tak się o nim w kompanii odzywał: »Mój sługa ma dziewięć przymiotów, z których każdy, gdyby go Arystoteles, Salomon lub Seneka posiadali, wystarczyłby do zaćmienia i zniszczenia całej ich mądrości, cnoty i szlachetnych zasad życia. Imaginujcież sobie tedy, co to musi być za człowiek, który nie mając mądrości, cnoty ani szlachetnych zasad życia, posiada takich dziewięć przymiotów«.

A gdy się pytano, jakie to są owe przymioty, brat Cipolla odpowiadał następującym wierszem, który sam ułożył:

Łgarz wierutny,
Leniuch, złodziej,
Od stóp do głów
W brudzie chodzi.
Nieodmienny świszczypała
Bez pamięci i posłuchu,
Na spódnicę wszelką łasy,
Czterech szpiegów w każdym uchu.

»A przy tym — zwykł dodawać brat Cipolla — ma on jeszcze kilka innych maluczkich przywar, które jednak płaszczem miłości chrześcijańskiej pokrywam. Najkrotochwilniejsze jest w nim to, że gdy przybędzie do jakiejś wioski lub miasta, zaraz się chce żenić i najmować mieszkanie. Ponieważ ma długą, czarną i plugawą brodę, tedy mu się wydaje, że jest urodziwy wielce i że każda białogłowa, ledwie spojrzy na niego, już go pokochać musi. Gdyby go puścić wolno, uganiałby się za nimi, dopókiby portek nie zgubił. Prawda, że mi jest pomocny wielce. Gdy z kimś mówię w tajności, zawsze wszystko podsłucha, gdy zasię mnie o cokolwiek ktoś zapyta, zaraz obawiać się zaczyna, że nie będę umiał odpowiedzieć, i respons za mnie daje, mówiąc: tak lub nie, stosownie do okoliczności«.

Ostawiwszy sługę w karczmie, brat Cipolla przykazał mu, aby troskliwie na jego rzeczy baczył i nikomu tykać ich nie pozwolił, zwłaszcza zasię, by miał na pieczy sakwę, w której relikwie święte się zawierały. Aliści hultaj Guccio nie myślał zostawać na czatach, wolał siedzieć w kuchni, gdzie mu było lepiej niźli słowikowi wśród zielonych gałęzi, szczególniej jeśli w niej gładką jakąś dziewczynę obaczył. A właśnie w tej gospodzie spostrzegł krępą, tłustą, przysadzistą i pokraczną białogłowę, mającą piersi jak dwie ducki i twarz, która by jej prawo należenia do rodu Baroncich dać mogła. Oblicze to było dymem okopcone, świecące się od potu i tłuszczów. Jak sęp, który na padlinę się rzuca, wypadł Guccio z komnaty, zapominając o rzeczach brata Cipolli i o świecie całym. Wszedłszy do kuchni, siadł koło komina, chociaż był to sierpień, i począł rozprawiać z kucharką, która imię Nuty nosiła. Powiedział jej, że ma szlachectwo, dokumentem pergaminowym stwierdzone, a takoż posiada więcej niż dziewięć

tysiącset florenów, nie licząc tych, które ludziom jest winien, a których zebrałoby się niemało, i że wszystko zrobić i wypowiedzieć potrafi, co tylko komu się przyśni. Nie zważając na swój kapelusz, tak brudny i zatłuszczony, że tłuszczu tego starczyłoby na wielki kocioł zupy dla ubogich w klasztorze Altopascio, na swój kaftan podarty, pokryty łatami i przesycony potem pod pachami, kaftan, tyloma kolorowymi plamami zasiany, iż żadna tatarska lub indyjska materia nigdy by w paragon z nim wchodzić nie mogła, na swoje dziurawe pończochy i zdarte buty, mówił z dziewczyną w ten sposób, jakby był panem na zamku Châtillon. Obiecywał jej, że ją oporządzi, przystroi i uwolni od przymusu służenia u obcych ludzi. A chociaż ona nic nie posiada, dawał jej nadzieję na znaczną losu poprawę. Mówił jeszcze o wielu rzeczach z wielką w swoje słowa wiarą, aliści wszystkie jego przedstawienia a obietnice na wiatr szły i w nic się obracały, jak to się mu zwykle zresztą zdarzało.

Dwaj młodzi żartownisie zastali tedy Guccia uwijającego się koło Nuty. Niezmiernie ukontentowani z tak pomyślnego obrotu rzeczy, który odejmował im połowę trudu, nie wchodząc z nim w dyskurs, pośpieszyli do komnaty brata Cipolli, stojącej otworem. Pierwszą rzeczą, którą pochwycili, była torba mnicha, podejrzewali bowiem, że w niej cudowne pióro znajdować się może. W samej rzeczy znaleźli je w puzderku owiniętym po kilkakroć w zwój tkaniny. Było to pióro wyrwane z ogona papugi. Lud mógłby był uwierzyć w słowa brata Cipolli, bowiem podówczas różne egipskie zbytki a wymysły, które później na znaczną szkodę naszą w całej Italii się rozpowszechniły, jeszcze głębiej do Toskanii nie przeniknęły. A chociaż nawet tu i ówdzie słabe doszły o nich słuchy, to w tych stronach pozostały prawie że nieznane mieszkańcom. Trwała tam jeszcze zbożna prostota dawnych czasów i ludzie nie tylko nie oglądali nigdy papugi, ale nawet o niej nie zasłyszeli. Dwaj krotochwilnicy, uradowani, że znaleźli pióro, wzięli je ze sobą, a w zamian napełnili puzdro węglami, które w kącie komnaty na ziemi ujrzeli. Po czym zamknęli je, przywiedli wszystko do pierwotnego stanu i niepostrzeżeni przez nikogo, powrócili ze zdobyczą do domu, gdzie jęli czekać niecierpliwie, jak się wykręci brat Cipolla znalazłszy węgle zamiast pióra.

Tymczasem mężczyźni i białogłowy, ludzie prości, dowiedziawszy się w kościele, że o trzeciej po południu pióro archanioła Gabriela zobaczą, powrócili po skończonej mszy do domów i wiadomość o relikwii roznieśli między kumów, kumoszki i sąsiadów. Na skutek tego po obiedzie zbiegła się do kościoła taka ciżba ludu, że nawa świątyni pomieścić jej nie mogła. Wszyscy gorzeli pragnieniem obaczenia cudownego pióra.

Brat Cipolla, podjadłszy sobie należycie i przespawszy się nieco, podniósł się po godzinie trzeciej z łoża. Na wieść, że wielka ćma ludu wiejskiego już czeka na ujrzenie pióra archanioła Gabriela, posłał po Guccia, żeby przyszedł tam z dzwonkami i przyniósł sakwę. Guccio z wielkim trudem od kuchni i Nuty się oderwał, po czym z dzwonkami i torbą powlókł się w górę ku kościołowi, stękając i sapiąc, bowiem wypita woda brzuch mu rozdymała. Stanąwszy przed głównymi drzwiami, zgodnie z rozkazem brata Cipolli, jął gwałtownie dzwonić. Po kilku chwilach brat Cipolla, widząc, że już dosyć ludu napłynęło, nie zauważywszy, że ktoś dobrał się do jego tobołków, przystąpił do kazania, w którym wypowiedział wiele rzeczy, stosujących się do mającego nastąpić widowiska. Wreszcie, gdy odpowiednia chwila nastała, odmówił jeszcze z wielkim namaszczeniem Confiteor, po czym rozkazał dwie świece woskowe zapalić, zdjął kaptur z głowy, odwinął powoli jedwabną tkaninę i wydobył puzdro. Co uczyniwszy, wypowiedział jeszcze kilka słów wychwalających archanioła Gabriela i relikwię świętą, którą trzymał w ręku, wreszcie puzdro otworzył.

Ujrzawszy w nim węgle zamiast pióra, brat Cipolla nie pomyślał ani na chwilę, aby to miała być sprawka Guccia, wiedział bowiem dobrze, że nie miałby on dosyć sprytu potrzebnego na wypłatanie podobnego figla. Nie przeklinał go nawet w duszy za to, że tak źle strzegł powierzonych mu rzeczy, natomiast samemu sobie po cichu gorzkie czynił wyrzuty, że znając przymioty Guccia, tak drogocenną rzecz pod straż mu oddał. Cóż było jednak czynić! Brat Cipolla, przytomności umysłu nie tracąc i nie dając najmniejszej poznaki po sobie, że go przykra niespodzianka spotkała, podniósł wzrok i ręce ku niebu i zawołał tak głośno, że go wszyscy przytomni usłyszeć musieli:

— O Boże! Wszechmocy Twojej niechaj chwała będzie na wieki! — Po czym zamknął puzdro i rzekł, zwracając się do ludu: — Trzeba wam wiedzieć, najmilsi, że już dawno temu, jeszcze w latach młodości mojej, byłem wysłany przez zwierzchność moją do krajów, gdzie słońce wschodzi. Zlecono mi tak długo szukać, aż odnajdę nadania dla szpitala Św. Filipa z Porcelany. Dla osiągnięcia tego celu, puściłem się w drogę z Wenecji. Przebyłem przedmieście Grecję i stąd konno przez królestwo Algarbii, Bagdad i Parion dojechałem wreszcie do Sardynii, umierając już prawie z pragnienia. Aliści po cóż mam wam wymieniać wszystkie kraje, które poznałem? Dosyć będzie, jeżeli powiem, że minąwszy Cieśninę Świętego Jerzego, przejechałem przez Ziemię Kłamliwą i Ziemię Szalbierczą, gęsto zamieszkałe przez liczne narody. Później przebywałem w kraju Ługarzy, gdzie napotkałem wielu zakonnych braci moich, a takoż mnichów innej reguły, unikających pracy dla miłości Boga i nie troskających się o nic, chyba tylko o

korzyść własną. Winniście wiedzieć, że w tych krajach tylko fałszywe pieniądze walor swój mają. Później dotarłem do Abruzzów, krainy górzystej, w której mężczyźni i białogłowy w drewnianych sandałach na skały się wspinają i mają zwyczaj świnie ich własnymi kiełbasami stroić. W niewielkiej odległości od tego kraju natrafiłem na ludzi, noszących chleb nadziany na tyczki, a wino w workach. Dalej droga wiodła mnie przez Robacze Góry, gdzie wszystkie wody w górę płyną. Tak daleko w głąb kraju się zapuściłem, że wkrótce dotarłem do Indyj Pasternackich, gdzie — przysięgam wam na mój habit — widziałem kozy po powietrzu latające. Rzecz to niepodobna do wiary, a jednakże potwierdzić ją może Maso del Saggio, kupiec znakomity, którego spotkałem tam tłukącego orzechy i sprzedającego łupiny na łokcie. Nigdzie jednak znaleźć nie mogłem tego, czegom właściwie szukał, a że dalej trzeba już płynąć wodą, więc puściłem się w drogę powrotną i przybyłem do tego błogosławionego kraju, gdzie bochenek czerstwego chleba w lecie cztery szelągi kosztuje, a świeży za darmo dają. Tam napotkałem czcigodnego ojca Dajmipokój Jeżeliłaska, przewielebnego patriarchę jerozolimskiego, który przez cześć osobliwą dla sukienki świętego Antoniego, jaką ujrzał na mnie, pokazał mi wszystkie posiadane przez się relikwie. Było ich tak wiele, że gdybym je chciał wyliczyć, i przez rok bym nie skończył. Abyście jednak w pobożnej ciekawości swojej zawodu nie doznali, wymienię niektóre z nich. Naprzód tedy pokazał mi palec Świętego Ducha, nietknięty całkiem, dalej kędzior Serafina, który to anioł świętemu Franciszkowi się objawił, paznokieć Cherubina, jedno z żeber Słowa Stałosię, kilka strzępów z szaty świętej Wiary, parę promieni z gwiazdy, która trzech Magów do Betlejem prowadziła, czarę z potem wylanym przez św. Michała w czasie walki jego z szatanem, szczęki śmierci, która zmogła Łazarza, i siła innych jeszcze świętości. Ponieważ wielce uprzejmym się dla niego okazałem, obdarzywszy go kilku stronami Góry Morello w włoskim przekładzie, a takoż paroma rozdziałami Kaprecjusza, których od dawna już szukał, darował mi tedy w zamian jeden z zębów krzyża świętego, a dalej w małym słoiku zamknione dźwięki dzwonów świątyni Salomona, pióro archanioła Gabriela, o którym wam już wspomniałem, a takoż chodak św. Gherarda z Villamagna, którą to ostatnią relikwią obdarzyłem niedawno pana Gherarda di Bonsi z Florencji przez wzgląd na osobliwą cześć jego dla swego patrona. Na koniec podarował mi jeszcze patriarcha jerozolimski kilka z owych węgli, na których wielki męczennik, św. Wawrzyniec, upieczony został.

Wszystkie te drogocenne szczątki przy sobie noszę, a i teraz mam je tutaj, do kupy zebrane. Jednakoż przeor mój nie pozwolił mi pokazywać ich do tej pory, aż się

przekona o ich prawdziwości. Obecnie właśnie dostateczne się znalazły dowody, bądź w listach patriarchy, bądź też w cudach sprawionych przez same relikwie, tak iż pozyskałem prawo pokazywania ich nabożnemu ludowi. Przez troskliwość chowam każdą z tych świętości w oddzielnych puzdrach i szkatułach. Dwa z tych puzder, w których się mieszczą węgle św. Wawrzyńca i pióro archanioła Gabriela tak są podobne do siebie, że często jedno za drugie biorę, co nawet i dzisiaj mi się przytrafiło. W przekonaniu, że to puzderko z piórem, przyniosłem puzderko z węglami. Nie uważam tego jednak za dzieło przypadku, ale za zrządzenie Opatrzności boskiej, która mi tym sposobem chce przypomnieć, iż za dwa dni uroczystość św. Wawrzyńca przypada. Bóg pragnie, abym widokiem tych węgli, które sos, płynący z pieczonego ciała św. Wawrzyńca, ugasił, gorącą cześć w sercach waszych dla męczennika zapalił.

Odkryjcie tedy głowy, dzieci moje, i przystąpcie bliżej, aby z czcią i z trwogą świętą tym węglom się przyjrzeć. Pierwej jednak dowiedzcie się jeszcze, że kto jednym z tych węgli w kształt krzyża naznaczony zostanie, tego przez cały rok niniejszy żaden ogień nie tknie, by tego nie poczuł.

Rzekłszy te słowa, brat Cipolla zaśpiewał pieśń na cześć św. Wawrzyńca, a potem otworzył puzdro i węgle z niego wyjął. Na ten widok otumaniony tłum zatrzymał się, pobożną czcią zdjęty, wnet jednak wszyscy, depcząc się i dusząc wzajemnie, rzucili się ku mnichowi. Kładąc większą niż zwykle ofiarę, każdy prosił o dotknięcie i naznaczenie węglem świętym. Wówczas brat Cipolla wziął węgiel do rąk i jął kreślić mężczyznom i kobietom na białych kaftanach, sukniach i zasłonach tak wielkie krzyże, jakie się tylko tam pomieścić mogły. Zaręczał przy tym ludowi, że węgle, na kreślenie krzyży użyte, z powrotem w szkatule odrastają.

Takim oto sposobem brat Cipolla mieszkańców Certalda, nie bez wielkiego dla siebie pożytku, w krzyżowych rycerzy zamienił i zakpił z tych, którzy mniemali, że pozbawiając go pióra, zakpić z niego zdołają. Dwaj krotochwilnicy, kazaniu jego przytomni, ujrzawszy, jak się dzięki chytrej sztuczce z trudnego położenia wydobył i jak daleko w tym celu słowami okrążać musiał, tak się śmiać poczęli, że o mały włos ze śmiechu się nie rozpukli. Gdy tłum się rozszedł, podbiegli do brata Cipolli, odkryli mu winę swoją i wśród wybuchów głośnej wesołości zabrane pióro mu zwrócili. Po roku przyniosło ono mnichowi nie mniej pożytku niż w tym przypadku węgle świętego Wawrzyńca".

Opowieść Dionea całemu towarzystwu osobliwe ukontentowanie sprawiła. Wszyscy śmieli się serdecznie z brata Cipolli, osobliwie zasię z jego relikwij i pielgrzymek.

Wreszcie królowa ciszę nakazała, podniosła się i zdjąwszy ze swej głowy wieniec wawrzynowy, włożyła go z uśmiechem na głowę Dionea:

— Czas już, Dioneo — rzekła — abyś i ty się nauczył, jak ciężko jest białogłowami rządzić i kierować. Bądź więc królem i panuj tak, abyśmy cię przy końcu panowania pochwalić mogły.

Dioneo przyjął koronę, śmiejąc się i rzekł:

— Znakomitszych ode mnie królów nieraz już widzieć mogłyście, że wspomnę tu tylko o królach szachowych. Gdybyście mi jednak posłuszeństwo przyrzekły, prawdziwemu królowi należne, obdarzyłbym was takimi rozkoszami, bez których żadna uciecha całkowita nie jest. Ale dajmy temu pokój. Przyrzekam, że będę rządził, jak potrafię, najlepiej.

Rzekłszy te słowa, zgodnie z obyczajem poprzedników, rozkazał przywołać marszałka i udzielił mu rozkazów na cały czas trwania swej władzy. Po czym tak się odezwał:

— Wielce czcigodne damy! Na różne sposoby mówiliśmy już o ludzkiej zmyślności i o rozlicznych losu przypadkach, tak że gdyby nie Liciska i nie sprzeczka jej poranna z Tindarem, która mi nasunęła to, o czym jutro mówić nam przyjdzie, zaiste byłbym w kłopocie, jaką materię do nowych opowieści wam podać. Jakeście słyszały, twierdziła ona, iż żadna z jej znajomych dziewictwa swego do małżeńskiego łoża nie doniosła; potem dodała, że wie wybornie, jak liczne i sprytne figle żony mężom swoim płatają. Ostawiając na stronie pierwszą część tej materii, która o rzeczach dziecinnych powiada, mniemam, że z drugiej siła ciekawych i krotochwilnych zdarzeń wydobyć będzie można. Wolą moją jest tedy, abyśmy jutro opowiadali o chytrych sztuczkach i fortelach, jakich żony w stosunku do mężów swoich użyły, czy to z miłości, czy dla ratowania siebie samych, i to tak, że oni spostrzegli to albo i nie.

Niektóre z dam rzekły, iż nie wydaje im się rzeczą obyczajną o podobnych historiach rozprawiać, dlatego tedy poprosiły króla, aby inną materię wynalazł. Aliści król odparł:

— Łaskawe damy! Wiem równie dobrze jak wy, jaką materię do opowieści wybrałem, nie zdołacie mnie jednak skłonić do odmienienia jej, to bowiem przekonanie żywię, że w okolicznościach, w jakich obecnie się znajdujemy, możemy dać całkowitą swobodę słowom, bylebyśmy tylko, mężczyźni i kobiety, baczyli na czyny nasze. Zali nie wiecie, że dzięki złu, które się dziś szerzy, sędziowie trybunały opuścili? Boskie i ludzkie prawa milczą i każdemu człekowi jest ostawiona całkowita swoboda troszczenia się o ochronę własnego życia. Przeto jeżeli dla zbawienia siebie i innych, a nie dlatego

bynajmniej, aby od swobodnych słów do swobodnych czynów przechodzić, nieco mniej surowymi się okażecie w wyborze opowieści, któż będzie miał prawo za to was naganiać? Towarzystwo nasze od chwili swego powstania aż dotąd nigdy obrębów najściślejszej przystojności nie przekroczyło, cokolwiek byśmy sobie tu opowiadali. Żywię nadzieję, że w przyszłości takoż przeciw przykazaniom obyczajności nie zgrzeszymy. Komuż to cnota wasza jest nieznana? Powszechnie wiadomo, że nie zachwieje jej nie tylko swoboda opowieści, ale nawet trwoga przed śmiercią. Powiem wam także, że gdybyście się wzbraniały w takich opowieściach udział przyjąć, mógłby ktoś zacząć podejrzewać, że winnymi podobnych figlów się czujecie, i dlatego słuchać i mówić o nich nie chcecie. Wreszcie wyznam, że niezbyt to zaszczytne dla mnie być wybranym przez was na króla, mieć nadane sobie prawa, wydawać rozkazy i trafiać na opór z waszej strony, gdy ja sam poprzednio byłem wszystkim posłuszny. Dajcie więc pokój obawom, które raczej niższym duszom niż wasze przystoją, i pomyślcie o wynalezieniu najciekawszych na dzień jutrzejszy opowieści, w czym niechaj szczęście wam sprzyja.

Damy uległy wreszcie temu przedstawieniu i zgodziły się na żądanie Dionea. Wówczas król do wieczerzy dał wszystkim wolę czynienia tego, co się im podobać będzie. Słońce stało jeszcze wysoko na niebie, ponieważ opowieści tego dnia krótko trwały. Dioneo z innymi młodzieńcami zasiadł do szachów, a Eliza, odwoławszy damy na stronę, rzekła do nich:

— Dawno już, bo od czasu gdy się tu znajdujemy, chciałam zaprowadzić was w jedno miejsce, niedaleko stąd leżące. Zdaje mi się, że żadna z was dotąd tam nie była. Miejsce to Panieńską Doliną się zowie. Otóż dzisiaj czas i sposobność się nadarza, jak nigdy dotąd. Słońce jeszcze wysoko na niebie stoi. Jeśli zechcecie, udamy się tam, a pewna jestem, że tej przechadzki żałować nie będziecie.

Damy przystały jak najchętniej. Nie mówiąc ni słowa mężczyznom, w towarzystwie jednej tylko służki w drogę się wybrały. Przeszedłszy nie więcej niż milę, dotarły do Panieńskiej Doliny. U wejścia powitał ich szumem swoim jasny strumyk, płynący wzdłuż wąskiej ścieżki. Miejsce wydało im się wielce pięknym, a o tej porze dnia i przy panującym skwarze przyjemnym nad wyraz. Damy mówiły mi później, że dolina jest tak okrągła, jakby cyrklem ją wykreślono, chocia z łatwością poznać można, że jest to twór przyrody, a nie dzieło rąk ludzkich. Okrąg jej wynosił więcej niż pół mili. Wokół wznosiło się sześć pagórków nieznacznej wysokości, każdy z willą na szczycie, pięknemu zamkowi podobną. Spadki tych pagórków tworzyły schody, idące ku dolinie

od wierzchołka aż do płaszczyzny, niby w amfiteatrze, tak iż szerokość stopni ku górze coraz się zmniejszała. Stoki pagórków od strony południa porośnięte były winogradem, oliwkami, drzewami migdałowymi, wiśniami, figami i innymi jeszcze drzewami owocowymi, i to tak gęsto, że piędzi pustej ziemi znaleźć by nie można było. Spadki zasię, spoglądające na wielką niedźwiedzicę, zieleniły się młodym zagajem dębów, jesionów i innych drzew wyniosłych. W samej dolinie, do której tylko jedno wejście prowadziło, rosły jodły, cyprysy, laury i kilka pinij w tak malowniczych grupach, jakby je umyślnie dla ozdoby ręka mistrza tu zasadziła. Przez ten dach rozlicznej zieleni słońce przebić się nie mogło, rzucając z trudnością tylko kilka promieni na ziemię, która stanowiła tu jedną łąkę, pokrytą aksamitną trawą i kwiatami purpurowej, a takoż i innej barwy. Niemało uciechy sprawiał także strumyk, wypływający z dolinki, dwa z tych pagórków rozdzielającej. Rozbijał się on o skały, miły szmer dla ucha sprawując i bryzgając kroplami, które z daleka wyglądały jak żywe srebro z czegoś wyciskane. Ten sam strumyk płynął przez dolinę już równym korytem, tworząc w jej środku staw, nie większy od basenu, jaki mieszkańcy miast pospolicie w ogrodach swych urządzają. Głębokość tego stawu nieznaczną była, bowiem woda do piersi dorosłemu człekowi dostawała. Przezroczystość tej wody, niczym niezamąconej, dozwalała ujrzeć na dnie żwir, złożony z drobnych, różnobarwnych kamyczków, które zadawszy sobie trudu, zliczyć by było można. Patrząc w wodę, widziało się nie tylko dno stawu, ale i ryby przemykające się po kryształowej głębi, że rozkosz łączyła się u widza z zachwytem. Łąka, tym zieleńsza, im bliższa stawu, który jej wilgotności użyczał, pokrywała brzegi strumyka. Wody, które się w stawie pomieścić nie mogły, spływały z dolinki innym korytem w miejsca niżej położone.

Młode damy, rozejrzawszy się dokoła, nie mogły się dość nachwalić piękności tego zakątka. Tymczasem skwar się czynił coraz większy. Damy, skuszone widokiem stawu i nieobawiające się przy tym, aby je ktoś w tym miejscu podpatrzeć zdołał, postanowiły, nie mieszkając, kąpieli zażyć.

Przykazawszy tedy słudze stanąć na drodze, po której przyszły, i patrzeć, aby ich ktoś znienacka nie zaskoczył, siedem dzieweczek rozebrało się i do wody wstąpiło. Kryształowa fala osłoniła ich jasne ciała tylko o tyle, o ile kielich szklany różę, zanurzoną w nim, osłania. Czystość stawu ani na chwilę ruchami ciał zamącona nie została. Damy ścigały pluskające rybki i siliły się schwytać je rękami, a one z trudem ukryć się starały. W samej rzeczy udało się im pochwycić kilka, co wywołało głośną radość między nimi. Po długich w wodzie igraszkach wyszły na brzeg i odziały się, po

czym, widząc, że czas już do domu powracać, rzeźwe i wesołe, wolnym krokiem w powrotną drogę się udały, mówiąc ciągle o piękności tego zakątka, którego nachwalić się nie mogły. Przybywszy do pałacu ujrzały młodzieńców jeszcze ciągle grą w szachy zajętych. Pampinea, śmiejąc się, rzekła do nich:

— Oszukałyśmy was dzisiaj!

— Jak to! — zawołał Dioneo — zali najpierw poczynacie to robić, o czym opowiadać macie?

— Jako żywo! — odparła Pampinea i zaczęła opowiadać o miejscu, skąd powróciły, i o tym, co tam robiły. Król, usłyszawszy o piękności doliny, zapłonął chęcią obaczenia jej i rozkazał co prędzej wieczerzę podawać. Po wieczerzy, która wszystkim przypadła do smaku, trzej młodzieńcy ze sługami swymi, opuściwszy damy, do Panieńskiej Doliny się udali. Widok doliny, dotychczas im nieznanej, podobne jak i na damach wrażenie na nich wywarł. Jednogłośnie uznali to miejsce za jedno z najpiękniejszych w świecie. Wykąpawszy się i odziawszy się z powrotem, wrócili do domu, bowiem pora już późna była. Tu obaczyli damy, w korowodzie pląsające pod dźwięk pieśni Fiammetty. Zaczekawszy, aż skończą, zdali pięknym tancerkom sprawę ze swych spostrzeżeń i gorąco dolinę wychwalali. Po czym król przywołał marszałka i przykazał mu, aby nazajutrz rano zaniesiono do doliny tej wszystkie niezbędne rzeczy, a takoż i pościel, na przypadek, gdyby w południowej porze przyszła komuś ochota snu lub spoczynku tam zażyć. Po odejściu marszałka przyniesiono światła, wino i słodycze. Król wezwał towarzystwo do pokrzepienia się, a następnie do tańca. Panfilo otrzymał rozkaz zawiedzenia tańca. Król, obróciwszy się do Elizy, rzekł w te słowa:

— Obdarzyłaś mnie dzisiaj koroną, piękna pani, ja zasię w tej chwili przewodnictwo nad pieśniami ci daję. Zaśpiewaj nam więc jakąś, która ci najbardziej do gustu przypada.

Eliza, wdzięcznie się uśmiechając, odparła, że zaśpiewa z radością. Jakoż w samej rzeczy taką pieśń zaśpiewała:

— Jeśli rozerwę dziś twe sieci zdradne,
Amorze, jestem pewna,
Że już przenigdy w władzę twą nie wpadnę.
Dzieckiem już krew ci oddałam i ciało,
Myśląc, że szczęście rzucisz z hojnej dłoni.
Byłam jak jagnię, które się nie broni,

Z ufnością wełnę oddające białą.
Srogoś mi spłacił tę ufność zuchwałą!
I w czyją mnie to podałeś niewolę?...
W tyrana władzę, co mych łez niebaczny,
Co dzień jęk ze mnie wydziera rozpaczny
I kląć mi każe nędzną moją dolę.
Próżne łzy jawne, próżne skryte bole!
Cierpienie, które siły moje kruszy,
Nie zdoła zmiękczyć jego twardej duszy.
Na wiatr idą skargi moje mnogie,
On na nie głuchy, jak głaz głuchy na nie!
Już mnie opuszcza siła i wytrwanie.
Życie mi cięży — a umrzeć nie mogę!
O Panie, wejdźże w życia mego drogę
I daj, co w mocy Twej leży jedynie,
Niech i on dla mnie trawi się i ginie!
Lub jeśli Twojej sprzeciwia się chęci
Złączyć nas słodkiej namiętności siłą,
Chciej wreszcie zerwać tę spółkę niemiłą,
Wydrzej go z mojej myśli i pamięci;
Niech nowy powab duszę moją znęci,
A na mej twarzy z radosną godziną
Róże i lilie wówczas się rozwiną.

Eliza głębokim westchnieniem piosenkę swoją skończyła. Wszyscy dziwili się jej treści i odgadnąć nie mogli, jakie przyczyny Elizę do odśpiewania jej pobudziły. Po czym król, pełen beztroski, polecił Tindarowi przynieść kobzę i dał towarzystwu znak do tańca. Długo trwała taneczna ochota, tak długo, że już późną nocą przykazał, by wszyscy na spoczynek się udali.

Kończy się szósty dzień Dekameronu i zaczyna siódmy, w ciągu którego, pod przewodem Dionea, opowiada się o tym, jak to różne białogłowy figle mężom swoim płatały albo z miłości, albo też chcąc się z opałów wydobyć, oni zasię połapali się na tym lub też nie.

Dzień siódmy

Już ze wschodniego nieba zniknęły wszystkie gwiazdy z wyjątkiem jednej, Lucyferem zwanej, która zza białych obłoków świtu jeszcze wyglądała, gdy marszałek wstał z łoża i z całym taborem wyruszył do Panieńskiej Doliny, aby tam, zgodnie z wolą i wskazówkami króla, wszystko przygotować. Wkrótce i król podniósł się z pościeli, bowiem obudził go szmer kroków przy ładowaniu wozów i tupot koni. Po czym natychmiast całe towarzystwo obudzić przykazał.

Promienie słońca jeszcze słabo ziemię oświetlały, gdy wszyscy już w drogę wyruszyli. Nigdy śpiew słowików i innego ptactwa milszy jak tego poranku im się nie wydawał. Towarzyszył im przez całą drogę, aż przy wejściu do Panieńskiej Doliny nowa, jeszcze liczniejsza kapela ich przywitała. Można by było pomyśleć, że ptaszkowie radują się z przybycia gości. Wszyscy rozeszli się w krąg po dolinie, aby jej się jeszcze raz przyjrzeć. O wczesnej porze dnia jeszcze piękniejsza im się wydała niźli wczoraj wieczór, gdyż poranek zdawał się bardziej zgodny z jej urodą. Pokrzepiwszy się nieco ciastem i dobrym winem, zaczęli śpiewać, aby ptactwu nad sobą przewagi nie dawać. Pobliskie skały towarzysząc im powtarzały echem tony piosenek, a ptaki, jakby o zakład idąc, wytężały dźwięczne gardziołka.

Gdy czas obiadu nadszedł, zastawiono stoły pod laurami i innymi drzewami, zgodnie z wolą króla tuż obok pięknego stawu, tak aby ucztujący mogli nasycić się widokiem tysiąca igrających rybek, które nie tylko oczy cieszyły, ale i do rozmowy materii jeszcze dostarczały. Po obiedzie, gdy ze stołów uprzątnięto, zabrzmiały na nowo jeszcze weselsze śpiewy. Tymczasem marszałek rozkazał tu i tam po małej dolinie łoża porozstawiać, kobiercami je nakryć i baldachimami osłonić, aby ci, których sen morzy, mogli wczasowi się oddać, a kto spać nie chce, mógł wybierać wedle woli wśród zwykłych rozrywek. Gdy zaś po krótkim odpoczynku wszyscy z powrotem się zgromadzili, rozkazał król niedaleko od brzegu stawu kobierce na trawie rozłożyć, na których wszyscy zasiedli, po czym rozpoczęcie opowieści Emilii polecił. Emilia z wesołym uśmiechem w te słowa zaczęła:

Opowieść pierwsza. Pokutująca dusza

Gianni Lotteringhi słyszy, że nocą ktoś do drzwi jego domu kołata. Budzi żonę, a ta przekonywa go, że za drzwiami stoi zjawa. Białogłowa wypowiada zaklęcie, po czym kołatania ustają.

— Milej by mi było, o królu, gdybyś był komu innemu powierzył zaszczyt rozpoczęcia opowieści na tak piękną materię, dzisiaj naznaczoną. Ponieważ chcesz jednak, abym ja wszystkim towarzyszkom moim otuchy dodała, chętnie wolę twoją wypełnię. Pragnę, miłe słuchaczki, abyście z mojej opowieści choćby niewielki pożytek odniosły. Może być, że jesteście równie bojaźliwe jak ja i może równą trwogę żywicie przed zjawami, których jednakoż nigdy w życiu nie widziałam, ani nie spotkałam niewiasty, co by z nimi miała do czynienia. Wysłuchajcie mojej noweli, a nauczycie się skutecznej modlitwy i zaklęcia, którym każdą zjawę przepłoszycie.

„Za dawnych czasów we Florencji w dzielnicy Św. Pankracego mieszkał pewien tkacz wełny, nazwiskiem Gianni Lotteringhi. Rzemiosło swoje znał nieźle, chocia poza nim zbytnio mądrością nie grzeszył. To zresztą nie stanęło na przeszkodzie, że nabożna konfraternia kościoła Santa Maria Novella wybrała go na preceptora śpiewaków i powierzyła mu przełożeństwo nad ich ćwiczeniami. Gianni często różne podobne piastował godności, z których wielce się chełpił. Przypadały mu zaś one, gdyż ludzie duchowni sprzyjali mu bardzo, jako że był człowiekiem bogatym i mnichom poczęstunków nie szczędził. Święci ojcowie wyłudzali od niego spodnie, opończe lub kaptury, a w zamian za to dostarczali mu ojczenasza po włosku, Pieśni o świętym Aleksym, Żalów świętego Bernarda, Hymnu na chwałę błogosławionej Matyldy i wielu innych jeszcze andronów. Gianni wielce te wszystkie dary sobie cenił i pilnie przechowywał dla zbawienia duszy swojej. Lotteringhi miał piękną, pełną powabu żonę imieniem Tessa, córkę Mannucia z Cuculli, która dzięki sprytowi, jaki posiadała, poznała się prędko na głupocie swego małżonka. Miłowała ona urodziwego i młodego chłopca, nazwiskiem Federigo di Neri Pegolotti, a on także wzajemnością jej odpłacał. Tessa za pośrednictwem służącej wyznaczyła mu na miejsce spotkań należącą do męża piękną winnicę w Camerata. Przebywała tam zwykle całe lato w samotności, Gianni bowiem przyjeżdżał tylko niekiedy na wieczerzę i na noc, przepędzając resztę czasu w warsztatach lub w towarzystwie swych śpiewaków. Federigo, pragnąc wielce zobaczyć się z swoją umiłowaną, przybył do niej o zmroku, a że dnia tego Gianni się nie zjawił, więc zjadł z nią wieczerzę. Później w objęciach młodej białogłowy nauczył się pół tuzina

pobożnych pieśni jej męża. Neri ani Tessa nie chcieli, aby ich pierwsze miłosne spotkanie ostatnim było. Pragnąc jednak uniknąć pośrednictwa służki za każdym razem, postanowili na przyszłość inaczej poczynać sobie.

Federigo posiadał dom, znajdujący się nieco dalej od Florencji i wyżej niż willa Tessy. Młoda białogłowa poradziła swemu miłośnikowi, aby codziennie, gdy będzie przechodził koło domu Gianniego, spojrzał w głąb winnicy, a zobaczy oślą głowę, która dla postrachu ptactwa na kiju zatknięta była. Jeżeli ujrzy, że łeb ośli jest pyskiem ku Florencji obrócony, będzie to znakiem, że bez obawy tego dnia o zmroku przybyć może do niej. Jeśliby przypadkiem drzwi zamknięte znalazł, ma trzy razy zapukać. Jeżeli pysk osła patrzeć będzie ku Fiesole, niechaj się ma na baczności, bowiem Gianniego w domu zastanie. Tym sposobem niejedną już schadzkę do skutku doprowadzili. Pewnego razu jednak, gdy pani Tessa zaprosiła Federiga na wieczerzę i gdy oczekując na niego, dwa tłuste kapłony upiec kazała, zdarzyło się, iż Gianni niespodziewanie do domu późno powrócił. Nie bardzo to pani żonce na rękę było. Toteż poczęstowała męża swego tylko kawałkiem solonego mięsa a służce kazała wziąć czyste płótno, zawinąć w nie kapłony, butelkę dobrego wina i sporą ilość świeżych jaj, odnieść to wszystko do ogrodu i tam złożyć pod brzoskwinią rosnącą na brzegu małej łączki. Do ogrodu, w którym nieraz już wieczerzę z Federigiem jadała, można się było dostać, nie przechodząc przez dom. Pani Tessa, będąc rozdrażniona i srodze gniewna, zapomniała uprzedzić dziewczynę, aby czekała na Federiga i dała mu znać, że Gianni w domu się znajduje. Niechaj zatem nie stara się z nią zobaczyć, a tylko weźmie spod brzoskwini wszystko, co dla niego przygotowane zostało.

Małżonkowie i służka wkrótce się do łóżek położyli. Po chwili przybył Federigo i lekko zapukał do drzwi, znajdujących się tak blisko sypialnej komnaty, iż Gianni natychmiast to puknięcie usłyszał. Tessa także słyszała je, nie chcąc jednak wzbudzić w mężu podejrzenia, udawała, że śpi. Po chwili Federigo po raz drugi zastukał. Zdziwiło to Gianniego tak, że trącił żonę i zawołał:

— Tesso, czy słyszysz? Wydawało mi się, że ktoś do naszych drzwi zakołatał.

Tessa, która to kołatanie lepiej od męża słyszała, udała, że się zbudziła z głębokiego snu, i pyta:

— Co się stało?

— Powiadam — rzekł Gianni — że ktoś do drzwi naszych zapukał.

— Ktoś do drzwi kołata? — szepnęła z trwogą żona. — Ach, miły Gianni, zali nie wiesz, kto to puka? Jest to duch pokutujący, który mnie w ostatnich czasach nieraz

nocami śmiertelnego strachu nabawiał. Słysząc to pukanie, chowałam głowę pod poduszkę i nie śmiałam pierwej wyjrzeć na świat, aż dzień biały się zrobił.

— Uspokój się, żono — odrzekł na to Gianni — i zbądź się wszelkiej trwogi. Nim się spać położyliśmy, odmówiłem Te lucis, Intemerata jako i tuzin innych najlepszych modlitw, a krom tego pobłogosławiłem łóżko całe od krawędzi do krawędzi w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego. Uspokój się zatem, bowiem gdyby to był nawet jakiś duch najgorszy, to po takich zabiegach przystąpić do nas się nie ośmieli.

Gdy mąż słowa te mówił, pani Tessie przyszło na myśl, że Federigo może jakieś niesłuszne podejrzenie wobec niej powziąć, co by go do kłótni z nią doprowadzić mogło. Postanowiła tedy wstać i dać mu do poznania, że to Gianni w domu przebywa. Sprytna białogłowa, namyśliwszy się, w te słowa rzekła:

— Wszystkie te modlitwy skuteczne są może — to jednak pewne, że nie zaznam snu ani spokoju, dopóki nie zaklniemy tego ducha.

— Jak się to robi? — zapytał Gianni.

— Niedawno nauczyłam się stosownego sposobu — odparła żona. — Kilka dni temu, bawiąc na odpuście w Fiesole, rozmawiałam z jedną z tamtejszych mniszek. Ach, Gianni, jakież to święte istoty! Otóż jedna z nich ulitowała się nade mną i nauczyła mnie pięknego zaklęcia, którego, jak mnie zapewniała, używała nieraz sama, nim jeszcze habit przywdziała, a zawsze z dobrym skutkiem. Dotychczas, póki byłam sama, bałam się przegnać ducha zaklęciem. Teraz jednak ty przy mnie jesteś. Podejdźmy do drzwi!

Gianni oświadczył, że chętnie się na to zgadza. Po czym wstali oboje i przystąpili na palcach do drzwi, za którymi stał ciągle Federigo, mający już niejakie wątpliwości. Pani Tessa, zatrzymawszy się na progu, rzekła do męża:

— Uważaj, abyś splunął, gdy skończę zaklęcie.

— Dobrze — odparł Gianni.

Pani Tessa po chwili milczenia zaczęła w te słowa:

O duchu z zadartym chwostem,
Wróć, skąd idziesz, szlakiem prostym!
Słysz, czuj, słuchaj woli mojej.
Tam, gdzie krzak brzoskwini stoi,
Znajdziesz dla się zapas wszelki:
Owoc kurzy, tłuszcz i mięso,
Jedz — aż uszy się zatrzęsą,

Ale opuść w dobry czas
Mnie i mego Gianni wraz.

Tu urwawszy zawołała:
— Gianni, spluń!
Gianni splunął.

Federigo, który za drzwiami całą rozmowę słyszał, pozbywszy się wszelkich podejrzeń, mimo smutku, jaki odczuwał, o mało się nie rozpukł ze śmiechu. Gdy Gianni splunął, nie mógł się wstrzymać od mruknięcia:

— Bodajbyś i zęby wypluł zarazem!

Pani Tessa po trzykroć jeszcze powtórzyła potężne zaklęcie, a potem wróciła z mężem do łóżka. Federigo zasię, zrozumiawszy dobrze wskazówki, w tajemniczym zaklęciu zawarte, nie omieszkał pośpieszyć do ogrodu, tym bardziej że dotąd nie wieczerzał, oczekując biesiady z ukochaną. Zabrał znalezione pod brzoskwinią kapłony, jaja i wino do domu i tam pożywił się jak należało. Odwiedziwszy po kilku dniach panią Tessę, naśmiać się nie mógł do syta z jej egzorcyzmów.

Według zdania niektórych, pani Tessa łeb ośli pyskiem ku Fiesole obróciła, aliści robotnik jakiś, przez winnicę przechodząc, uderzył weń kijem, tak że łeb ten, obróciwszy się kilkakrotnie, pozostał w postawie ku Florencji wskazującej. Dlatego Federigo, w mniemaniu, iż ten znak go przyzywa, do domu pani Tessy zapukał. Ci, co o tym przypadku opowiadają, twierdzą że pani Tessa takiego wówczas użyła zaklęcia:

Idź precz, o duchu, i zważ moją mowę!
Nie ja skręciłam mylnie oślą głowę.
Tego, co sprawił to, pokaraj, Boże,
Ja zaś tu z prawym mężem dzielę łoże.

Po czym Federigo miał odejść, nie znalazłszy ani wieczerzy, ani ciepłego łoża.

Jednakoż jedna z sąsiadek moich, białogłowa w podeszłym już wieku będąca, zaręczała mi, że obie te historie są prawdziwe, jak o tym już w dzieciństwie słyszała. Ostatnia przygoda przytrafiła się jednak nie Gianniemu Lotteringhi, ale niejakiemu Gianniemu di Nello, który mieszkał przy bramie Św. Piotra i nie więcej od naszego Gianniego rozumu posiadał. Od was tedy zależy, czcigodne damy, które z tych zaklęć w pamięci swojej przechować zechcecie. Widziałyście, że oba są wielce skuteczne.

Nauczcie się ich, bowiem kto wie, czy się wam przy podobnej okazji bardzo nie przydadzą!”.

Opowieść druga. Kadź i żona

Peronella, gdy mąż powraca, ukrywa swego miłośnika w kadzi. Mąż oznajmia, że kadź sprzedał, na co żona odpowiada, że przed jego przybyciem sprzedała już kadź człekowi, który teraz wewnątrz niej się znajduje, by zobaczyć, czy nie ma w niej braku. Miłośnik Peronelli wyskakuje z kadzi, każe mężowi ją ochędożyć, a potem zanieść do swego domu.

Opowieść Emilii wywołała wiele śmiechu, a zaklęcie wszyscy za skuteczne i zbożne uznali. Po czym na rozkaz króla Filostrato zaczął w te słowa:

— Miłe damy! Mężczyźni, a szczególniej mężowie, tyle figlów wam płatają, że jeśli którejś z was uda się mężczyznę w pole wywieść, możecie mieć słuszną przyczynę nie tylko cieszyć się z tego, ale i same chwalić się tym winnyście przed całym światem. Mężczyźni bowiem przekonają się z tego, że jeśli im na przebiegłości nie zbywa, to i białogłowy dosyć sprytu mają. To tylko pożytek wam, kobietom, przynieść może. Jeżeli bowiem jednemu wiadome jest, że drugi zna się też dobrze na chytrych sztuczkach, nie tak łatwo mu na oszustwo się zdobyć. Dlatego też mężczyźni, wysłuchawszy wszystkiego, co dzisiaj opowiemy, dobrze się namyślą, nim was oszukają. Nieraz im na myśl przyjdzie, że i wy przy sposobności uprzedzić ich będziecie mogły. Któż by zresztą mógł wątpić o tym? Mam tedy zamiar opowiedzieć wam, co uczyniła pewna młoda a prosta niewiasta, niemal w okamgnieniu, aby się przed mężem ocalić.

„Niedawno temu w Neapolu żył pewien ubogi murarz. Pojął on za żonę kształtną i piękną dzieweczkę, imieniem Peronella. Żona przędzeniem, a mąż swoim rzemiosłem niewiele na życie zarabiali, dając sobie radę, jak mogli. Otóż zdarzyło się, że pewien gładysz, zauważywszy Peronellę, zakochał się w niej. Nie szczędząc starań i zalotów dla pozyskania jej, zdołał dojść wreszcie do pożądanego celu. Dla zapobieżenia wszelkiemu niebezpieczeństwu miłośnicy umówili się, że Giannello Scrignario (tak się zwał kochanek Peronelli) ma stać gdzieś w pobliżu domu i czekać, aż mąż, zwykle o świcie śpieszący do pracy, wyjdzie z mieszkania. Po czym Giannello miał pośpieszyć bez najmniejszej obawy do Peronelli. Zaułek ten, zwany Avorio, był pusty i od środka miasta oddalony. Gdy mąż do pracy wychodził, miłośnik jego żonę odwiedzał. Przez długi czas kochankom wszystko bezkarnie uchodziło. Pewnego poranka zdarzyło się

jednak, że gdy Giannello przybył i Peronellą się cieszył, mąż, który zwykle przez cały dzień do domu nie wracał, nagle o wczesnej godzinie powrócił, a znalazłszy drzwi od wewnątrz zawarte, pukać począł. Stuknąwszy zaś, pomyślał sobie:

»Boże, wieczysty dank Tobie i chwała! Ubóstwem mnie, co prawda, dotknąłeś, aleś za to pobłogosławił mnie zacną i młodą żoną. Patrzcie, od chwili gdy zaryglowała drzwi po moim wyjściu, dotąd dla uniknięcia pokusy ich nie otwarła«.

Peronella tymczasem, poznawszy męża po sposobie pukania, zawołała:

— Biada mi, Giannello! Zginęłam! Mąż mój, którego oby kaduk porwał, stoi przed drzwiami! Zachodzę w głowę, co to ma znaczyć, bowiem nigdy o tej godzinie nie powracał. Może spostrzegł, gdyś wchodził do mnie? Aliści nie ma czasu na namysły! Właź do tej kadzi, ja zaś tymczasem pójdę mu otworzyć i dowiemy się, co ten jego dzisiejszy tak wczesny powrót ma oznaczać.

Giannello, nie mieszkając, schował się do kadzi. Peronella zasię, otworzywszy mężowi, rzekła z gniewnym wyrazem oblicza:

— Cóż to znów za dziwne obyczaje? Dlaczego tak wcześnie dzisiaj powracasz? Widzę, że wszystkie narzędzia z sobą przynosisz, może więc próżnować zamyślasz? Z czegóż żyć będziemy, jeśli tą modłą postępować będziesz? Czy sądzisz, że pozwolę, abyś ostatnią sukienkę moją i tę trochę bielizny, jaką jeszcze posiadam, zastawił? Przez dzień i noc nie wstaję od kołowrotka, ciała już prawie pod paznokciami nie czuję, a ledwie mogę zarobić na olej do lampy. Ach, mój mężu, mój mężu, wszystkie sąsiadki cierpliwości mojej nadziwić się nie mogą i drwinki sobie ze mnie stroją! Ty tymczasem powracasz do domu w godzinie, o której przy robocie przecie znajdować się powinieneś...

Rzekłszy te słowa, zalała się rzewnymi łzami, a potem, nie dając mu przyjść do słowa, tak ciągnęła dalej:

— Och, ja nieszczęśliwa! W złą przyszłam na świat godzinę i w złą przestąpiłam przez próg domu mego męża. Bodajbym była raczej świata tego nie oglądała! Mogłam wyjść za mąż za szlachetnego i dzielnego młodzieńca, a jednak nie chciałam tego. Kogóż to wybrałam? Próżniaka, który o mnie nie dba wcale! Inne białogłowy mają większy rozum. Używają życia z miłośnikami. Nie znajdziesz takiej, która by dwóch lub trzech kochanków nie miała. Te białogłowy umieją wmówić w mężów swoich, że w nocy słońce świeci. Ja zasię, głupia, za moją cnotę i odrazę do podobnych rzeczy tylko zgryzotę i troski w nagrodę odbieram. Dalibóg, nie wiem, co mnie wstrzymuje od naśladowania przykładu innych kobiet? Bądź pewien, że gdybym tylko ręką skinęła, stu kochanków

bym miała. Wielu urodziwych młodzieńców kocha się we mnie i o mnie zabiega. Obiecują mi pieniądze, klejnoty i piękne stroje, aliści ja zawsze odmownie odpowiadam, bowiem uczciwa matka mnie wychowała. Jakiż jednak mam zysk z tego? Taki, że mąż wraca do domu spać w tej porze, kiedy pracować powinien.

— Ależ, żono — odparł wreszcie mąż — nie zapalaj się tak bardzo! Wiem, jak cię cenić. Wyszedłem do pracy o tej porze, co zwykle, jednakże nie było mi wiadome, jako i tobie, że dzisiaj, w dniu świętego Galeone, pracy żadnej nie ma. Dlatego też tak wcześnie powróciłem. Jednakoż nie niepokój się, pieniędzy wystarczy nam co najmniej na miesiąc cały. Czy widzisz tego człeka? Przyprowadziłem go tutaj, chce on bowiem kupić naszą wielką kadź, która nam tylko w domu zawadza. Daje za nią pięć złotych florenów.

— Otóż to właśnie! — zawołała Peronella. — Jako mężczyzna, co krąży po świecie, winieneś się znać lepiej ode mnie na cenie różnych rzeczy. Sprzedałbyś naszą kadź za pięć złotych florenów, podczas gdy ja, biedna kobieta, która ledwie za próg głowę wychylam, znalazłam lepszego kupca, co siedem florenów za kadź daje. Właśnie przed chwilą zgodziliśmy się na tę cenę i teraz człek ten wszedł do kadzi, aby ją wewnątrz obejrzeć, zali jest mocna.

Mąż, nowiną tą nad wyraz uradowany, rzekł do kupca czekającego w sieni:

— Idź z Bogiem, przyjacielu! Żona moja, jak słyszysz, sprzedała kadź za siedem florenów, a ty tylko pięć za nią dać chciałeś.

— Daj Boże szczęście — odparł czekający, po czym odszedł.

Peronella rzekła do męża:

— Kiedyś już powrócił, to chodźże i dobij targu.

Giannello, który przez cały ten czas, chcąc się dowiedzieć, jak ma postąpić, słuch wytężał, usłyszawszy ostatnie słowa Peronelli wyskoczył z kadzi i zawołał:

— Gdzie jesteście, gospodyni?

— Czego sobie życzysz? — rzekł mąż, podchodząc do niego.

— Kim jesteście? — spytał Giannello. — Chcę mówić z kobietą, z którą przed chwilą kadź tę targowałem.

— Możecie ze mną dobić targu, jestem bowiem jej mężem.

— Mocna jest dosyć ta kadź — rzekł na to Giannello — ale musieliście chyba trzymać w niej drożdże, bowiem wewnątrz pokryła się cała jakimś osadem, tak wysuszonym, że go paznokciami odłupać nie byłem w stanie. Nie kupię, póki ochędożonej jej nie obaczę.

— To przeszkodą do kupna nie będzie — odparła Peronella — bowiem mąż mój oczyści kadź na poczekaniu, jak się należy.

— Oczywista — rzekł mąż — i zdjąwszy zwierzchnią szatę, kazał sobie świecę zapalić. Po czym zsunął się do kadzi i zabrał się do skrobania jej. Peronella zasię, pochyliwszy się i włożywszy do ogromnej kadzi głowę i ramiona, całkowicie sobą otwór zasłoniła, jakby robocie jego przyjrzeć się chciała, po czym co chwila dogadywać jęła:

— Skrob tu, skrob tam! Patrzaj, tu jeszcze troszeczkę zostawiłeś!

Podczas gdy Peronella mężowi swemu takie wskazówki dawała, Giannello, który tego dnia z powodu niespodziewanego przybycia męża nie całkiem się jeszcze nasycił, do tej myśli przyszedł, że należy wziąć, co się da i jak się da. Przysunął się tedy do Peronelli, stanął tuż za nią i zadowolił swoją chuć młodzieńczą w ten sam sposób, w jaki na stepach dzikie i rozkiełznane rumaki to czynią. W ciągu tego czasu Peronella zasłaniała sobą otwór kadzi. Gdy Giannello cel swój osiągnął i na stronę odstąpił, jednocześnie i mąż skrobanie kadzi zakończył. Wówczas Peronella wyjęła ręce i głowę z otworu kadzi i wypuściła męża, który wielce z swej pracy ukontentowany, na wierzch się wydobył. Peronella zajrzała do kadzi i rzekła, zwracając się do Giannella:

— Przyjacielu, weźże świecę i obacz sam, czy nie całkiem czysto, jak żądacie.

Giannello spojrzał i rzekł, że zupełnie jest zadowolony. Po czym zapłacił siedem florenów i do domu kadź odnieść polecił".

Opowieść trzecia. W nagłym przypadku

Mnich Rinaldo często kumę swoją odwiedza. Mąż zastaje go w jej sypialnej komnacie. Wówczas żona oświadcza mu, że mnich odprawiał zaklęcia nad dzieckiem, które robaki gnębiły.

Choć Filostrato niejasno o stepowych rumakach wspomniał, słowa jego wywołały śmiech bystrych słuchaczek. Udawały jednak, że zgoła z czego innego się śmieją. Król zasię, wysłuchawszy do końca jego opowieści, zwrócił się do Elizy z rozkazem rozpoczęcia nowej. Eliza w te słowa zaczęła:

— Drogie przyjaciółki! Zaklinanie ducha przywiodło mi na myśl opowieść o innych zaklęciach, a chocia moja opowieść nie jest tak piękna jak nowela Emilii, przecie wybrałam ją, ponieważ dotyczy ona materii, która nas obecnie zajmuje. Lepszej opowieści na ten czas przypomnieć sobie nie mogę.

„Wiedzcie tedy, że w Sienie żył niegdyś urodziwy młodzieniec, z znacznej pochodzący rodziny, imieniem Rinaldo. Zakochał się on w pięknej damie, sąsiadce swojej, żonie bogatego człowieka. Był prawie pewien, że gdyby mu się udało porozumieć się z nią bez wzbudzenia podejrzeń, osiągnąłby cel swych pragnień, aliści trudność istniała właśnie w znalezieniu po temu sposobu. Przypadkiem dowiedział się, że pani Agnesa jest właśnie ciężarna, dlatego też, lepszej drogi nie widząc, postanowił za kuma jej się ofiarować. Wybrał się tedy do jej męża, w grzecznych słowach prośbę mu swoją wyraził i uzyskał wreszcie jej przyjęcie.

Zostawszy zasię kumem pani Agnesy i pozyskawszy tym sposobem pewien pozór do częstszego obcowania z nią, wypowiedział jej pewnego razu pragnienie swoje, które już dawno ze spojrzeń jego wyczytała. Aliści chocia wyznania jego przychylnie przyjęte zostały, przecie mało z tego zysku odniósł.

Po jakimś czasie, nie zgadnąć zresztą z jakiej przyczyny, Rinaldo mnichem został i choć nie wiadomo, czy wszystko było mu do smaku, życia zakonnego porzucić nie myślał. Wstąpiwszy do klasztoru, wyrzekł się wszelkich pragnień tego świata, a więc i miłości do pani Agnesy. Wkrótce jednakoż, nie zdejmując habitu, do dawnych swych upodobań powrócił, począł się w delikatnych szatach lubować, o stroje wymyślne i ozdobne dbać, sonety i ballady układać, piosenki śpiewać i za rozrywkami się uganiać. Po cóż jednak mówić o przemianach, jakie w duszy brata Rinalda zaszły? Jestże mnich, który by inaczej postępował? O hańbo naszego wieku, pełnego zepsucia! Nie wstydzą się oni tłustych swych postaci i czerwonych oblicz wszędzie pokazywać i za miękkimi strojami przepadać. Podobni są raczej nie do pokornych gołębi, ale do hardych kogutów z nastawionymi grzebieniami. Cele ich pełne są puzder ze słodyczami, puszek z maściami kosztownymi, flaszek i butelek napełnionych pachnidłami i olejkami, dzbanów z małmazją i najprzedniejszymi winami greckimi i innymi, tak iż cele te przybyszowi nie schronem mnicha, ale raczej kramem z wonnościami i składem delikatnych przysmaczków się wydają. Bezwstydnie przyznają się, iż ich podagra trapi. Mniemają, jakoby ludziom wiadome nie było, że ciągłe posty, nie częste a pospolite pokarmy i żywot wstrzemięźliwy — czynią chudym i wątłym, ale po większej części w zdrowiu zachowują. Jeżeli zaś ktoś, tak żyjąc, niemocą bywa złożony, to w każdym razie nie podagra go dręczy, dla której uleczenia zalecana jest czystość i wszelkie inne przymioty wyróżniające skromnego braciszka. Mniemają oni, jakoby ludzie nie wiedzieli, że długie czuwanie, modły i biczowania muszą człeka czynić bladym i wyczerpanym, nie mówiąc już nawet o niedostatkach wyżywienia. I że ani święty

Dominik, ani święty Franciszek nie mieli po cztery habity na zmianę, że nie odziewali się w barwione i wytworne szaty, ale w grube suknie naturalnej barwy, które im nie za strój, jeno za ochronę od zimna służyły. Oby Bóg wejrzał w te sprawy, jak tego trzeba duszom prostaczków, którym oni karm dają!

Jakeśmy tedy powiedzieli, w bracie Rinaldo dawne namiętności znów do głosu doszły. Od tego czasu jął postępować z jeszcze większą śmiałością i często kumę swą nawiedzać, nagabując ją usilnie. Piękna Agnesa wiedziała o słabości mnicha. Rinaldo wydał się jej znacznie urodziwszy niż pierwej.

Gdy pewnego dnia mocno na nią nalegał, uciekła się do wybiegu, jaki stosują wszystkie niewiasty chcące uczynić zadość prośbom do nich zwróconym. Rzekła tedy:

— Bracie Rinaldo, zali mnichowi w ten sposób postępować się godzi?

— Gdy zdejmę habit mniszy, o co nie trudno — odparł Rinaldo — obaczycie, że jestem takim samym człekiem jak i każdy inny.

— Jakże mi przykro! — zawołała białogłowa, składając usta do uśmiechu. — Jestem waszą kumą, miłość do was byłaby wielkim grzechem! Słyszałam bowiem nieraz, że miłość do kuma jest rzeczą występną wielce. Gdybym się kary nie obawiała, ochotnie bym waszą prośbę spełniła.

— Nie bądźcie taką prostaczką — odparł Rinaldo. — Oczywista, jest to grzechem, ale ludziom okazującym skruchę Bóg jeszcze cięższe grzechy odpuszcza. Rzeknijcie mi, kto jest bliższy waszemu dziecku, zali ja, który je przy chrzcie na rękach trzymałem, czyli też wasz mąż, który mu dał życie?

— Wiem, że mój mąż — rzekła Agnesa.

— Tak, ani chybi — ciągnął dalej Rinaldo — skoro już byliście nieraz tak łaskawi dla swego męża, który bliższy jest waszemu dziecku niźli ja, dlaczegóż tedy nie chcecie mojej namiętności podzielić?

Agnesa, która logiki nie znała, pragnęła tylko jednego: aby ją ktoś przekonał. Uwierzyła Rinaldowi albo też uczyniła pozór, że mu wierzy, i rzekła:

— Któż by mógł z waszymi mądrymi wywodami się nie zgodzić?

Z tymi słowy, mimo powinowactwa, przystała na prośbę swego kuma. Miłośnicy często się spotykali. Kumostwo ochraniało ich od różnych podejrzeń. Pewnego dnia Rinaldo przyszedł do kumy z swoim towarzyszem. W domu nie było nikogo krom Agnesy, jej dziecka i służki, wdzięcznej i urodziwej wielce. Rinaldo wysłał przyjaciela wraz ze służką do gołębnika, prosząc go, aby dzieweczkę różnych modlitw nauczył, sam zasię z niewiastą, dziecię na ręku trzymającą, do sąsiedniej komnaty przeszedł.

Wszedłszy do niej, drzwi za sobą zawarli. Usiadłszy na łożu, które stało w tej izbie, igrać z sobą poczęli. W tym czasie powrócił kum brata Rinalda. Nikt go nie usłyszał. Gdy do drzwi zapukał, wołając swej żony, Agnesa krzyknęła:

— Zginęłam! To mój mąż! Teraz zrozumie już, dlaczego w takiej przyjaźni z sobą żyjemy.

Brat Rinaldo był właśnie bez habitu i szkaplerza, w spodniej odzieży tylko.

— Macie słuszność — rzekł do swej kochanki — gdybym był ubrany, moglibyśmy znaleźć jeszcze jakiś środek ocalenia. Jeżeli jednak wejdzie teraz i zobaczy mnie, wszelki wybieg niemożebny się okaże.

— Ubierajcie się tylko co prędzej — rzekła pani Agnesa, nagłą myślą oświecona — weźcie chrześniaka na ręce i zważajcie dobrze na moje słowa, którymi się do męża obrócę. Resztę mnie już pozostawcie.

Mąż tymczasem nieustannie do drzwi kołatał, gdy nagle głos żony usłyszał:

— Idę już, idę!

Po chwili pani Agnesa otworzyła mężowi drzwi, ukazała mu wesołe oblicze i rzekła:

— Mój mężu, ach, gdybyś wiedział, jakie to szczęście, że nasz kum, brat Rinaldo, przyszedł! Sam Bóg musiał mi go zesłać, bowiem gdyby nie on, z pewnością stracilibyśmy nasze dziecko!

Na te słowa mąż-poczciwina o mało nie umarł ze strachu.

— Cóż się dziecku zdarzyło? — zapytał po chwili.

— Ach, mój miły! — ciągnęła dalej pani Agnesa — wystaw sobie, że dziecię nagle zemdlało, tak iż je już za umarłe miałam. Nie wiedziałam, co robić, i byłabym sobie nigdy nie poradziła, gdyby nie szczęśliwe przybycie brata Rinalda. Gdy wszedł i zobaczył, co się dzieje, wziął natychmiast naszego chłopca na ręce i rzekł do mnie: »Nie lękajcie się, kumoszko, dziecię ma w ciele robaki, które mu już pod serce podpełzły. Mogłyby go były zadusić, aliści teraz bądźcie spokojni, zamówię je bowiem tak, że wszystkie pomrą. Zanim wyjdę z domu, oddam wam chłopca tak zdrowego, jakim jeszcze nigdy nie był«.

Ciebie, mój mężu, trzeba nam było do odmówienia pewnych modłów, że zaś służka znaleźć się nigdzie nie mogła, dlatego Rinaldo kazał towarzyszowi swemu udać się na dach naszego domostwa i tam modły na wysokości odprawić, a sam pospołu ze mną wszedł do tej komnaty, gdzieśmy się zamknęli, bowiem przy obrzędzie zamawiania robaków nikt obecny być nie może, krom matki dziecięcia. Kum Rinaldo jeszcze dotąd trzyma chłopca na ręku, czekając tylko, aż jego towarzysz modlitwy swoje odmówi.

Zdaje mi się jednak, że wszystko już się szczęśliwie skończyło, bowiem dziecię ocknęło się z omdlenia i jest całkiem przytomne.

Prostak uwierzył twardo w te wszystkie słowa. Miłość jego do dziecka tak wielka była, że ani na chwilę przez myśl mu nie przeszło, że żona oszukiwać go może. Westchnąwszy ciężko, rzekł:

— Muszę to zobaczyć.

— Na miłość Boską — odparła Agnesa — poczekaj jeszcze chwilę, gdyż wszystko swym pośpiechem zepsujesz. Pozwól, abym ja tam pierwej weszła i zapytała, czy ci już wejść wolno, po czym cię zawołam.

Brat Rinaldo słyszał to wszystko. Przyodziawszy się bez przeszkód i wziąwszy dziecko na ręce, gdy wszystko już po myśli swej uładził, zawołał:

— Kumo! Czy to nie kmotra głos słyszę?

— Tak, ojcze! — odparł poczciwiec.

— Chodźcież tedy tutaj — odezwał się mnich.

Mąż wszedł do komnaty, a wówczas Rinaldo rzekł doń:

— Weźcie na ręce swego synaczka! Łaska Boska do życia go przywiodła. Do niedawna jeszcze pewien byłem, że do wieczora nie doczeka. Radzę wam, abyście kazali zrobić figurę woskową wielkości dziecięcia i ustawili ją przed posągiem świętego Ambrożego, za poplecznictwem którego tego cudu dostąpiliście.

Chłopiec, ujrzawszy ojca, począł obyczajem małych dzieciątek wyrywać się doń i przymilać. Ojciec objął syna, zalał się radosnymi łzami i począł dziękować mnichowi za to, że dziecię do życia powrócił.

Towarzysz Rinalda wyuczył tymczasem dzieweczkę nie jednego, ale kilku pacierzy i podarował jej dla pamięci biały niciany woreczek, który mu wręczyła pewna mniszka, często z nim pospołu pokutę odbywająca. Wielkie też ku swej osobie wzbudził w niej nabożeństwo. Usłyszawszy zaś w komnacie rozmowę męża z Agnesą, podszedł cicho do drzwi, tak że mógł popatrzeć i podsłuchać, co działo się wewnątrz. Widząc, że wszystko jak najlepiej poszło, wszedł do komnaty i rzekł:

— Bracie Rinaldo, odmówiłem już cztery zalecone mi przez was modlitwy.

— Mój bracie — odparł na to Rinaldo — winszuję ci zapału, z jakim nabożne ćwiczenia odprawiasz. Co się mnie tyczy, to ledwie dwie modlitwy do czasu przybycia kuma odmówić zdołałem. Jednakoż Bóg nas wysłuchał i trudy nasze razem policzył, bowiem dziecko zdrowe jest już zupełnie.

Mąż Agnesy kazał przynieść przedniego wina i ciasta i ugościł zacnie Rinalda i jego towarzysza. Pokrzepiające środki bardzo się im przydały. Po czym odprowadził ich do klasztoru, niebu polecił i bez zwłoki ulepić kazał woskową figurę. Postawił ją, obok innych, przed posągiem św. Ambrożego, aliści nie tego z Mediolanu".

Opowieść czwarta. Kamień i kosa

Tofano zamyka w nocy drzwi swego domu i nie zważając na prośby żony, nie wpuszcza jej do wnętrza. Wówczas żona udaje, że się rzuca do studni, ciskając do niej wielki kamień. Tofano wybiega jej na pomoc. Za czym białogłowa wpada do domu, zamyka drzwi i obelgą a drwiną męża swego obrzuca.

Gdy Eliza zamilkła, król zwrócił się natychmiast do Lauretty i wezwał ją do opowiadania. Posłuszna Lauretta, nie mieszkając, w te słowa zaczęła:

— O miłości, jakże wielka i przemożna jest twoja potęga! Jakżeś bogata w różne chytrości, hojna w rady i pomysły! Jakiż mędrzec czy artysta wymyślić by zdołał takie fortele, wybiegi i figle, jakie ty ulubieńcom swoim niespodziewanie poddajesz! Zaiste, żadnej nauki nie lza równać z twymi naukami. Jawnie to widać z tych opowieści, które już poznaliśmy. Do poprzednich nowel chcę dołączyć swoją i opowiedzieć wam o fortelu pewnej poczciwej prostaczki. Ani chybi, Amor natchnąć ją musiał.

„W Arezzo mieszkał niegdyś bogaty człek, imieniem Tofano, który zostawszy mężem bardzo pięknej białogłowy imieniem Ghita, bez najmniejszego powodu niezmierną zazdrością ją dręczył. Po upływie pewnego czasu te prześladowania poczęły wielce drażnić młodą kobietę. Pytała męża nieraz o przyczynę zazdrości, ale widząc, że zawsze tylko ogólnikowymi lub niedorzecznymi słowami odpowiada, postanowiła dać mu rzeczywisty do zazdrości powód.

Spostrzegłszy tedy poprzednio, że pewien zacny (jak jej się zdało) młodzieniec o łaskę jej zabiega, poczęła z nim po kryjomu w porozumienie wchodzić. Wnet rzeczy tak daleko zaszły, że słowa tylko na czyn trzeba było przemieniać. Wówczas pani Ghita poczęła łamać sobie głowę nad stosownym środkiem ku temu. Wiedziała, że mąż jej, krom wielu innych złych nałogów, ma także wielki pociąg do pijaństwa. Ghita nie tylko przestała go gromić za hołdowanie temu nałogowi, ale i zachęcać podstępnie do picia poczęła. Tofano stał się tak niepowściągliwy, że za jej sprawą, ilekroć tylko było to po jej myśli, w zupełne odurzenie popadał. Wówczas sprytna żona kładła go do łóżka i posyłała co prędzej po kochanka. Zdarzało się to nie raz i nie dziesięć razy. Pani Ghita

wnet tak ślepo wierzyć poczęła, iż mąż jej często w nietrzeźwym stanie się znajduje, że nie tylko nie wahała się kochanka u siebie przyjmować, aliści nieraz część nocy spędzała nawet w jego domu, znajdującym się w pobliżu.

Tymczasem Tofano, jakkolwiek winem odurzony, spostrzegł, że żona, zachęcając go do picia, sama nigdy nie pije. Wzbudziło to w nim podejrzenie, że upaja go umyślnie, ażeby podczas snu jego pełnej swobody używać. Postanowił tedy przekonać się, czy tak jest w samej rzeczy. Pewnego wieczora, ani kropli przez cały dzień do ust nie wziąwszy, słowami i zachowaniem udał, że jest pijany okrutnie. Ghita tym razem na hak przywiedziona została. Nie częstując już męża winem, do łożnicy go czym prędzej zawiodła. Po czym obyczajem swoim pobiegła do domu kochanka i bawiła tam do północy.

Tofano tymczasem, spostrzegłszy, że Ghita wyszła, wstał żywo z łóżka, zaryglował drzwi i usiadł przy oknie, aby czekać na jej przybycie. Chciał pokazać, iż odkrył jej sposób postępowania. Pani Ghita długo nie wracała. Wreszcie ukazała się na placu przed domem i chwyciła za klamkę od drzwi. Widząc jednak, że zamknięte, zmieszała się niezmiernie i poczęła próbować, czy ich siłą nie otworzy.

Tofano, który dość długo tym usiłowaniom się przyglądał, zawołał wreszcie z okna:

— Próżne będą twoje wysiłki, moja żono, bowiem do domu nie wejdziesz. Wracaj tam, gdzieś dotąd była, i bądź przekonana, że nie pierwej przestąpisz przez ten próg, aż w obecności krewnych swoich i sąsiadów wyświadczę ci za to wszystko cześć, na jakąś zasłużyła.

Usłyszawszy te słowa, żona poczęła go zaklinać i błagać, aby jej otworzył, upewniała go, że się myli, posądzając ją, iż go zdradziła, wraca bowiem od sąsiadki, która cierpi na bezsenność i która, bojąc się w samotności długie noce przepędzać, o towarzystwo ją prosiła.

Wszystkie te prośby i przełożenia na nic się nie zdały, bowiem mąż-głuptak postanowił rozgłosić po całym Arezzo hańbę swojej żony, której nikt dotąd ani się nawet domyślał. Żona widząc, że z błagań nic nie wyjdzie, przystąpiła do gróźb i zawołała:

— Jeżeli mi w tej chwili nie otworzysz, uczynię cię najpodlejszym człowiekiem na świecie!

— A to jakim sposobem? — spytał szyderczo Tofano.

Żona, której widać sam Amor w tej ciężkiej chwili dowcipu dodał, odrzekła:

— Nim ten srom, którym mi niezasłużenie grozisz, na moją głowę spadnie, rzucę się do studni, którą tu widzisz w pobliżu. A gdy mnie w niej martwą znajdą, każdy przekonany będzie, że to ty po pijanemu mnie w nią wtrąciłeś. Wówczas albo będziesz musiał uciekać, tracąc wszystko, co posiadasz, i żyć na wygnaniu, albo też jako morderca, którym będziesz naprawdę, dasz gardło.

Tofano jednakoż i tą groźbą od głupiego zamiaru odwieść się nie dał.

Wówczas Ghita wykrzyknęła:

— Dobrze tedy! Tak dłużej żyć nie podobna! Niech ci Bóg przebaczy! Każ zabrać mój kołowrotek, który tutaj zostawiam.

Rzekłszy te słowa, pobiegła do studni. Ciemność była tak wielka, że o kilka kroków przed sobą nic spostrzec nie można było. Ghita chwyciła wielki kamień, leżący obok cembrowiny, i krzyknąwszy: »Niech mi Bóg przebaczy!«, rzuciła głaz z całej siły w wodę. Na ten odgłos i plusk Tofano, przekonany, że żona naprawdę do studni wskoczyła, porwał co żywo za kubeł i powróz i popędził ku studni w celu ratowania Ghity. Pani Ghita, która przy drzwiach się zaczaiła, ujrzawszy męża biegnącego ku studni, wpadła do domu, zaryglowała drzwi i stanąwszy w oknie, zawołała:

— Wody do wina dolewa się w dzień, a nie w nocy!

Na te słowa Tofano pojął, że żona drwi z niego. Wpadłszy w wściekłość, począł się gwałtownie do drzwi dobijać. Wówczas Ghita, podnosząc głos, czego dotychczas starannie unikała, zawołała piskliwym i donośnym tonem:

— Na mękę Pańską, obrzydliwy pijaku, nie wpuszczę cię dzisiaj do domu. Nie będę już dłużej twoich haniebnych nałogów znosiła. Dzisiaj wreszcie każdy dowiedzieć się musi, jakiego to łotra mam za męża i o której godzinie on do domu powraca.

Tofano, pełen wściekłości, odpowiedział na tę przemowę gradem obelg. Żona odpłaciła mu hojnie z swojej strony. Wrzask się podniósł niepomierny. Zbudzeni sąsiedzi przystąpili do okien pytając, co się stało. Wówczas Ghita wybuchnęła płaczem i zawołała:

— Spójrzcie na tego bezwstydnego człowieka, który co dzień pijany do domu przychodzi albo noce w szynkowniach przesypia, nigdy wcześniej, jak o tej porze, nie powracając! Znosiłam to długo, bardzo długo, ale wreszcie cierpliwości mi zabrakło. Ponieważ moje prośby żadnego skutku nie odnosiły, postanowiłam go zawstydzić i drzwi mu przed nosem zawrzeć. Może go to wreszcie poprawi!

Tofano, zamiast zmilczeć, dusząc się ze złości, opowiedział, jak się rzecz istotnie miała, i groził okrutnie swojej żonie. Wówczas Ghita, obróciwszy się do swoich sąsiadek, zawołała:

— Patrzcie, co to za człowiek! Cóż byście powiedziały, gdybym to ja stała na ulicy, a on był w domu? Jak Bóg na niebie, uwierzyłybyście jego oskarżeniom! Teraz jednak same osądzić możecie, jak nikczemny jest ten człowiek, skoro całą winą za to, co sam popełnił, mnie chce obarczyć. Ani chybi w chęci nastraszenia mnie rzucił jakiś przedmiot do studni. Szkoda, że sam do wody nie wskoczył i nie rozcieńczył trochę tego wina, którym się tak upił.

Wysłuchawszy słów białogłowy, sąsiedzi jęli gromić Tofana; ze wszystkich stron posypały się na niego obelgi i wyrzuty. Wnet wieść o tym, co się stało, z ust do ust przechodząc, dobiegła do krewnych pani Ghity. Ci, srodze oburzeni, przybiegli co żywo na miejsce wypadku i o mały włos biednemu Tofanowi wszystkich kości nie połamali. Po czym, wszedłszy do domu, zabrali panią Ghitę i wszystkie rzeczy do niej należące i odeszli, obiecując Tofanowi zemstę.

Tofano dopiero teraz poznał, w jaką wpadł biedę i dokąd go zazdrość zawiodła. Pełen skruchy i żalu, miłował bowiem żonę swoją niezmiernie, zwrócił się do kilku przyjaciół, aby byli pośrednikami między nim a Ghitą.

Gdy wreszcie młoda białogłowa na powrót doń się zgodziła, Tofano całą duszą się cieszył. Przyrzekł swej żonie, że nigdy już zazdrosnym nie będzie i że da jej wolność czynienia, co sama zechce, byleby tylko rozumnie postępowała i aby on o niczym nie wiedział. Tak tedy powtórzyła się historia głupiego chłopa, który wówczas szuka zgody, gdy mu kości policzą".

Opowieść piąta. Mąż spowiednikiem

Zazdrośnik, za mnicha przebrany, żonę swoją spowiada i dowiaduje się, że miłuje ona pewnego kleryka, który co noc ją odwiedza. Gdy zazdrośnik staje na czatach przed domem, białogłowa każe swemu miłośnikowi dostać się do jej komnaty przez dach i z nim przebywa.

Gdy Lauretta swoje opowiadanie skończyła, wszyscy pochwalili postępowanie pani Ghity i stwierdzili jednogłośnie, że mąż otrzymał to, na co zasłużył. Po czym król, nie mieszkając, zwrócił się uprzejmie do Fiammetty i z kolei jej głosu udzielił.

Fiammetta odezwała się przeto w te słowa:

— Szlachetne damy! Poprzednia historia zachęca mnie do zaczęcia opowieści również o pewnym zazdrośniku. Mężowie, którzy bez przyczyny żony swoje ustawicznie o niecnotliwe rzeczy podejrzewają, ze wszech miar na srogą karę od nich zasługują. Gdyby prawodawcy byli tę rzecz dobrze zważyli, mniemam, że nie srożej by niewierne żony karali, niż karzą ludzi, którzy w obronie własnej drugich zabijają lub ranią. Zazdrośnicy bowiem na życie młodych białogłów się usadzają i czynią, co mogą, aby się stać przyczyną ich śmierci. Białogłowy siedzą przez cały tydzień w domu, zajęte robotą i gospodarstwem. Cóż więc dziwnego, jeżeli żądają przynajmniej w dzień świąteczny trochę wczasu, spokoju i przyjemności, których nie odmawia się nawet wieśniakom pracującym na roli, robotnikom — w mieście i sędziom — w sądach? Sam Bóg tę przyjemność uświęcił, siódmy dzień na odpoczynek własny przeznaczając. Podobnie prawa kościelne i świeckie, mające na względzie cześć bożą i dobro powszechne, wszystkim wspólne, różnicę czynią między dniami pracy a dniami odpoczynku. Ale zazdrośnicy pojąć tego i uznać nie chcą, przeciwnie — postępowaniem swoim dni, radosne dla innych, najsmutniejszymi i najcięższymi dla żon swoich czynią. Pilnują ich wówczas sto razy więcej i pod surowszym trzymają je dozorem. Jak okropną i dręczącą jest to rzeczą, osądzić mogą tylko białogłowy, które tego doświadczyły. Raz więc jeszcze oświadczam, że każdy figiel, wyrządzony niesłusznie podejrzewającemu zazdrośnikowi, nie tylko zganionym być nie może, ale nawet na pochwałę zasługuje.

„Żył niegdyś w Rimini bogaty kupiec, który posiadał wielkie dobra i pieniądze. Był on okrutnie zazdrosny o swoją urodziwą żonę, nie mając jednak ku temu żadnego powodu. Miłując ją wielce, znajdując ją piękną i widząc, że wszelkich sił dokłada, aby mu się podobać, do tej myśli przychodził, że i innych będzie się starała w sobie rozkochać i wszystkim piękną się wyda, budząc w nich miłość. Tylko głupi i zły człek mógł równy powód do zazdrości znaleźć. Strzegł jej i pilnował ściślej niźli dozorcy więzienni skazanych na śmierć. Mniejsza już o to, że na żadną zabawę, wesele, a nawet do kościoła wyjść jej nie pozwalał, aliści zabronił jej nawet pod jakimkolwiek pozorem przez próg domu przestępować, a nawet przez okno na ulicę wyglądać. Biedna kobieta wiodła smutne życie, które tym nieznośniejsze dla niej było, im niewinniejszą się czuła. Wreszcie, doprowadzona do ostateczności, postanowiła, o ile tylko zdoła, pociechę sobie znaleźć i jeśli już cierpieć, to cierpieć przynajmniej nie bez winy. Wprawdzie nie wolno jej było wyglądać przez okno, dlatego też żadnemu przechodniowi pokazać nie mogła, że nie pogardziłaby jego miłością. Inna za to sposobność wkrótce jej się nadarzyła, bowiem w sąsiednim domu mieszkał urodziwy bardzo młodzieniec.

Białogłowa nasza poczęła rozmyślać, jakim by tu sposobem w murze dzielącym oba domy otwór uczynić, aby czatować na sposobność i porozumieć się z owym młodzieńcem, miłością swą go darząc, jeśli tylko przyjąć ją zechce. Nie wątpiła bowiem, że później znajdzie już sposób, aby się z sąsiadem widywać i dzięki temu posępny żywot swój nieco rozweselić. Przez długi czas pod nieobecność męża szukała daremnie choćby najmniejszej szparki w murze, wreszcie jednak usiłowania jej pomyślny skutek uwieńczył: odkryła bowiem w nieznacznym miejscu małą szczelinkę. Spojrzała przez nią i tyle tylko niewyraźnie dostrzegła, że jakaś komnata po drugiej stronie się znajduje. »Ach, gdyby to była komnata Filipa (tak się nazywał ów młody sąsiad) — rzekła sama do siebie — rzecz byłaby na pół dokonana!«.

Trzeba się było jednak przekonać. Pomogła jej w tym służka, która, współczuciem powodowana, wyszła na zwiady i wróciła z oznajmieniem, że istotnie w tej komnacie pewien młodzieniec sam jeden sypia. Białogłowa, dowiedziawszy się o tym, często chodziła w to miejsce i gdy tylko spostrzegła, że Filip jest w komnacie, jęła rzucać piaskiem i patykami przez ową szczelinę dopóty, póki nie zwróciła uwagi młodzieńca na te osobliwe szmery. Zaciekawiony, przystąpił do szpary, a wówczas ona zawołała nań po cichu. On zasię, poznawszy jej głos, odpowiedział; za czym w krótkich słowach całe położenie swoje mu odkryła. Młodzieniec, uradowany nad wyraz, postarał się o powiększenie otworu, o tyle jednak, aby nikt tego nie zauważył. Młodzi ludzie rozmawiali z sobą często, a nawet rękami się dotykali, jednakowoż na tym wszystko się kończyło, bowiem zazdrosny mąż zbyt dobrze pilnował.

Tymczasem nadeszła Wielkanoc; żona oznajmiła mężowi, że chciałaby pójść w pierwszy dzień świąt rano do kościoła, aby przystąpić do spowiedzi i komunii, jak to wszyscy chrześcijanie czynią.

— A jakież to grzechy popełniłaś — spytał zazdrośnik — że chcesz się spowiadać?

— Jakie? — odparła żona — zali sądzisz, że świętą się stałam, ponieważ mnie w zamknięciu trzymasz? Mam i ja swoje grzechy, jak i każda inna śmiertelna istota, jednakowoż nie mam obowiązku tobie ich wyznawać, bowiem nie jesteś księdzem.

Słowa te wzbudziły nowe podejrzenia w duszy zazdrosnego męża. Poczuł niezmierną chęć dowiedzenia się, jakie to grzechy żona jego popełniła, i nie przestał łamać sobie głowy, aż wymyślił sposób podsłuchania spowiedzi. Odrzekł jej tedy, że się zgadza, aliści pod warunkiem, aby nie do innego kościoła, tylko do parafialnej kaplicy o rannej godzinie spowiadać się poszła. Spowiednikiem jej ma być proboszcz lub też wskazany przez niego zakonnik. Po czym niezwłocznie do domu powrócić winna. Żonie

zdało się, że przeniknęła zamysły zazdrośnika, jednakoż nie rzekła ani słowa i na wszystko się zgodziła. Rankiem dnia świątecznego wstała o świcie, przyodziała się i poszła do kościoła wybranego przez męża. Zazdrosny mąż już czekał na nią w kaplicy. Umówiwszy się z proboszczem, wdział na się co prędzej habit zakonny, nasunął sobie wielki kaptur na głowę i zasiadł w stallach. Żona jego weszła tymczasem do kościoła i oświadczyła, że chce się widzieć z proboszczem. Proboszcz przybył i wysłuchawszy jej, odrzekł, że nie ma czasu sam jej spowiadać, ale że przyśle natychmiast swego zastępcę. W samej rzeczy po chwili przysłał zazdrosnego męża, którego ciężkie chwile teraz czekać miały. Zazdrośnik nasz zbliżył się do niej uroczystym krokiem. Chocia kaptur miał na oczy nasunięty, a w kościele ciemno jeszcze było, żona poznała go od razu i pomyślała sobie: »Olaboga, toż to mój zazdrośnik, w mnicha przemieniony! Oj, dam ja mu ciężki orzech do zgryzienia!«. Udała wszakże, że go nie poznaje. Gdy zasiadł w konfesjonale, uklękła przed nim. Zazdrośnikowi przez myśl nawet nie przeszło, że mógłby być poznany, sądził bowiem, że suknie dostatecznie go zmieniły; wziął przy tym do ust kilka kamyków, aby i głos swój odmienić.

Wkrótce zaczęła się spowiedź. Białogłowa oświadczyła, że jest zamężna, i wyznała, że kocha się w pewnym księdzu, który ją co noc nawiedza. Słowa te ostrym sztyletem przebiły serce zazdrośnika. Gdyby nie chęć dowiedzenia się bliższych szczegółów, byłby niezawodnie z miejsca się porwał. Pohamował się jednak i spytał:

— Jak to? Więc twój mąż nie sypia z tobą?

— Owszem, ojcze — odparła białogłowa.

— Jakimże tedy sposobem — spytał zazdrośnik — ów ksiądz może sypiać z tobą także?

— Ojcze! — odrzekła kobieta — dzięki jakim czarom on to robi, odgadnąć nie mogę, ale to pewna, że w całym domu nie ma tak mocno zawartych drzwi, które by za jego dotknięciem się nie otwarły. Zbliżywszy się do mojej sypialnej komnaty, zanim próg jej przekroczy, szepce pewne tajemnicze słowa, które mają dar sprowadzania niezwłocznie snu na mojego męża. Wówczas, przeświadczywszy się, że mąż śpi głęboko, wchodzi, bawi przy mnie noc całą, i nigdy to nie zawodzi.

— Madonno! — zawołał zazdrośnik — źle się z wami bardzo dzieje i powinniście temu kres położyć.

— Ojcze — odrzekła kobieta — wątpię, abym znalazła siłę po temu, bowiem zbytnio go kocham.

— W takim razie nie mogę ci dać rozgrzeszenia — rzekł zazdrośnik.

— Martwi mnie to wielce — odparł białogłowa — ale cóż mam czynić? Nie przyszłam tutaj, aby kłamać. Ponieważ nie sądzę, ażebym mogła dotrzymać tego, czego ode mnie żądacie, z góry wam tego nie przyrzekam.

— Zaprawdę, pani — odezwał się na to zazdrośnik — żal mi wielce duszy waszej, której wiekuiste potępienie grozi; dlatego też nie będę szczędził modłów na waszą intencję, a może Bóg mnie wysłucha. Od czasu do czasu przysyłać będę do was młodego braciszka, któremu powiecie, zali modły moje i wstawiennictwo za wami do Boga jakiś skutek odnoszą. A jeśli okażą się skuteczne, dalej rzecz poprowadzimy.

— Ojcze — odrzekła białogłowa — nie przysyłajcie do mnie nikogo, mąż mój bowiem jest zazdrosny wielce. Gdy kogo obcego obaczy, pewien będzie, iż w złych zamiarach przychodzi, i gotów mnie za to przez cały rok gnębić.

— Nie bój się — odparł zazdrośnik — już ja tak wszystko uładzę, że najmniejsza przykrość z tego powodu od męża cię nie spotka.

— Jeśli tak, to się zgadzam — rzekła kobieta.

Na tym spowiedź się skończyła. Po czym zazdrośnik naznaczył żonie swojej pokutę i kazał jej mszy świętej jeszcze wysłuchać, sam zasię, dusząc się z wewnętrznej wściekłości, pośpiesznie zrzucił habit i podążył do domu, aby pomyśleć nad sposobem pochwycenia żony i owego księdza na gorącym uczynku i ukarania ich obojga przykładnie.

Żona, powróciwszy z kościoła, poznała doskonale po minie męża, że po jej spowiedzi niewesoła Wielkanoc go czeka, mimo że starał się ukryć przed nią to, co zrobił i czego się dowiedział. On zasię postanowił następnej nocy zasiąść przed bramą domu na czatach i zdybać owego księdza. Dlatego też przed nocą rzekł do żony:

— Zaproszony dzisiaj jestem na wieczerzę w gościnę. Zamkniesz dobrze drzwi od ulicy, od schodów i od swojej sypialnej komnaty i położysz się spać sama, gdy zechcesz.

— Dobrze — odparła żona i znalazłszy odpowiednią chwilę, pobiegła do szczeliny. Na umówiony znak zbliżył się Filip. Wówczas białogłowa opowiedziała mu o wszystkim, co dzisiaj z rana uczyniła i co mąż jej po obiedzie powiedział.

— Jestem pewna — rzekła — że nie wyjdzie z domu, lecz że zaczai się przy drzwiach i będzie czekał na księdza. Skorzystaj tedy ze sposobności i staraj się przedostać się do mnie przez dach, byśmy mogli być społem.

Młodzieniec, uradowany tymi wieściami, odrzekł:

— Dajcie mi, pani, tylko swobodę działania.

Wkrótce noc nadeszła. Zazdrośnik z bronią w ręku ukrył się po cichu w komórce przytykającej do bramy domu. Żona po jego wyjściu zamknęła wszystkie drzwi, a zwłaszcza te, które były w połowie schodów, aby się zabezpieczyć od niespodziewanego powrotu męża. Po czym dała znak sąsiadowi, który upatrzywszy stosowną chwilę, wkradł się do niej. Podążyli do łoża i przepędzili pełną rozkoszy noc. O świcie młodzieniec powrócił do swego mieszkania. Dzięki dusznym zgryzotom zazdrosny mąż nic na wieczerzę nie jadł. Głodny, szczękający zębami od zimna, całą noc przepędził z bronią przed bramą, czekając na księdza. Gdy jednak dzień się zbliżył, nie mogąc czuwać dłużej, położył się nasz nieszczęsny czatownik w komórce swojej i zasnął twardym snem. Wreszcie otwarto bramę domu. Kupiec wstał wówczas, wyszedł ostrożnie z komórki i udając, że z miasta powraca, wszedł do swojej komnaty, gdzie się śniadaniem pokrzepił. Po upływie kilku godzin zasię wysłał chłopca, któremu polecił nazwać się klerykiem, wysłańcem księdza spowiednika, do swojej żony z zapytaniem, rzekomo od księdza, czy wiadoma osoba nawiedziła ją znowu. Żona, wiedząc dobrze, kto posłańca przysłał, odrzekła, że tej nocy człeka tego u niej nie było i że jeśli przez dłuższy czas on nawiedzać jej nie będzie, to być może, iż uda się jej zapomnieć o nim, czego zresztą bynajmniej nie pragnie.

Cóż więcej mam wam powiedzieć? Zazdrośnik w ciągu wielu nocy czatował u wrót na księdza, a żona jego tymczasem życia z miłośnikiem używała. Mąż jednak wreszcie nie wytrzymał i pewnego poranka spytał żony z gniewną miną, co na ostatniej spowiedzi księdzu wyznała. Białogłowa odrzekła, że nie powtórzy mu tego, nie byłoby to bowiem uczciwą ani przystojną rzeczą. Zazdrośnik, niezdolny dłużej panować nad sobą, zawołał:

— O kobieto bez sumienia! Otóż na złość tobie wiem, coś mu powiedziała, i żądam teraz wyznania, kim jest ten ksiądz, w którym się tak zadurzyłaś i który dzięki swym czarom całe noce z tobą spędza! Mów albo cię uduszę!

Żona odrzekła, że kłamstwem jest, jakoby jakiegoś księdza kochała.

— Co? — wykrzyknął mąż. — Nie wyznałaśże tego sama na spowiedzi? — Tu powtórzył własne jej słowa i dodał: — Ośmielisz się temu zaprzeczać?

— Może być, że ksiądz, który mnie spowiadał, opowiedział ci o wszystkim tak dokładnie, jakbyś był przy tym. A więc tak, oświadczyłam mu to!

— Powiedz mi tedy zaraz, jak się zowie twój miłośnik-ksiądz?

Białogłowa odparła z uśmiechem:

— Podobneż to do wiary, aby prosta białogłowa wodziła za nos rozumnego człeka, wiodąc go niby barana na rzeź? Ale to nie dziwota! Od chwili gdy szatan zazdrości bez powodu tobą owładnął, straciłeś rozum, im zaś głupszy jesteś i bardziej otumaniony, tym mniejsza moja chwała. Myślisz, że oczy moje są tak ślepe jak twoje podejrzenia? Wierę, tak nie jest! Widziałam bowiem i poznałam od razu, kto słuchał mojej spowiedzi. Ponieważ wiedziałam dobrze, żeś mnie chciał podejść tym sposobem, dlatego pozwoliłam ci łudzić się dotąd, że ci się podstęp udał. Gdybyś był istotnie rozumnym człowiekiem, za jakiego się uważasz, nie byłbyś się starał taką drogą dowiedzieć się o tajemnicach swojej uczciwej żony i próżnych nie szukając podejrzeń, pojąłbyś od razu, że prawdą jest to, co ci na spowiedzi wyznała, i że winy w tym nie masz nijakiej. Powiedziałam ci, że kocham księdza — czyż jednak nie przebrałeś się ty, którego na moje nieszczęście kocham, w strój duchowny? Powiedziałam, że wszystkie drzwi przed owym gościem stoją otworem, gdy zechce ze mną iść w łoże — któreż były kiedy zamknięte przed tobą? Powiedziałam ci wreszcie, że ksiądz ten co noc mnie odwiedza — kiedyż to nie było cię w nocy przy mnie? W tym czasie, gdy chłopca do mnie przysyłałeś, nie nocowałeś w domu i dlatego odpowiadałam, że »wiadomej osoby nie było«. Tylko twoja głowa, zazdrością odurzona, na tym poznać się nie mogła. Udawałeś, że wychodzisz w gościnę, a stałeś przy wrotach na czatach przez noc całą. Oto stosowna kara! Skorzystaj z niej teraz i popraw się, stań się znowu tym dobrym mężem, którym dawniej byłeś, nie narażaj się na pośmiewisko ludzi znających usposobienie twoje równie dobrze jak ja i daj pokój temu ciągłemu trzymaniu mnie pod strażą. Dowiedz się, że gdybym ci chciała rogi przyprawić, to nie tylko dwoje oczu, które posiadasz, ale sto nawet przeszkodzić by mi w tym nie zdołało.

Zazdrośnik poznał teraz dopiero, że nie on żonę, ale że żona jego na hak przywiodła. Dlatego też, nie odpowiedziawszy jej ani słowa, od tej pory uważał ją za najmądrzejszą i najczystszą z kobiet, wyrzekł się przy tym zazdrości właśnie wówczas, kiedy najwięcej mógł mieć po temu racji, tak jak w nią popadł, gdy żadnej po temu nie miał przyczyny. Sprytnej kobiecie ta ufność męża bardzo na rękę była. Nie potrzebowała już odtąd sprowadzać kochanka swojego szlakiem kocim przez dach; drzwi stały dla niego otworem. Ponieważ zasię ostrożność i rozwaga nie opuszczały jej nigdy, długo więc i spokojnie życia z nim wesołego używała”.

Opowieść szósta. Podwójne oszustwo

Do willi Izabeli, w czasie gdy u niej Leonetto bawi, przyjeżdża niespodzianie miłujący ją rycerz Lambertuccio. Wkrótce powraca także i mąż Izabeli. Wówczas Lambertucciowi każe ona wybiec z domu z mieczem w ręku, po czym mąż Izabeli Leonetta do Florencji odwozi.

Opowieść Fiamnetty wszystkim osobliwie się podobała. Każdy twierdził, że młoda białogłowa odpłaciła jak należy głupiemu prostakowi. Po czym na rozkaz króla Pampinea w te słowa zaczęła:

— Wielu mniema i głosi, że miłość odbiera rozum i ludzi jakoby w głupców zamienia. Zdaje mi się, że to mniemanie jest mylne. Wszystko, cośmy dotychczas słyszeli, niesłuszności tego sądu dowodzi. Postaram się nadto opowiedzieć historię, która będzie dowodem, że sąd ten jest błędny wielce.

„W mieście naszym, bogato we wszystkie dobra fortuny wyposażonym, żyła niegdyś młoda, wielce urodziwa i szlachetna białogłowa, żona dzielnego i szanowanego wielce rycerza. Często widzimy, że człek prędko jedną i tą samą potrawą się przesyca i że zmiana potrzebna mu jest bardzo. Tak się też i z damą ową zdarzyło. Ponieważ mąż niezupełnie ją zadowalniał, zakochała się tedy w pewnym młodzieńcu, imieniem Leonetto. Ów młodzian z niezbyt wysokiego szedł rodu, celował jednak wdziękiem i dwornością. I on również w niej się rozmiłował. Jest rzeczą wiadomą, że jeśli dwoje ludzi czegoś usilnie pragnie, to ich życzenia rzadko do skutku przywiedzione nie zostają. Tak i miłośnicy nasi rychło porozumieli się z sobą. Pod ten czas zdarzyło się, że w tejże damie dla jej urody zakochał się namiętnie pewien rycerz, imieniem Lambertuccio. Miłość jego nie znalazła wzajemności. Wydawał się damie tak odrażającym i wstrętnym, że za żadne skarby świata serca swego ku niemu by nie skłoniła. Rycerza jednakoż to nie zraziło. Prześladował ją ustawicznie swoimi poselstwami, widząc zasię, że wszystkie starania na nic się nie zdają, jako człek niemałego znaczenia jął jej grozić, iż w razie, gdy będzie żądzom jego dalszy opór stawiała, przed ludźmi ją osławi. Dama, znając jego mściwość i wpływ przemożny, tak się tych gróźb przeraziła, że wreszcie musiała ulec jego woli.

Pewnego dnia Izabela (takie było imię owej damy), znajdując się w wiejskiej willi swojej, do której, zgodnie z powszechnym u nas obyczajem, na lato się przeniosła, posłała do Leonetta z wezwaniem, aby do niej przybył. Leonetto, dowiedziawszy się z listu, że mąż pani Izabeli odjechał i że w ciągu kilku dni nieobecny będzie, pełen radości

pośpieszył niezwłocznie do swojej umiłowanej. Aliści i pan Lambertuccio dowiedział się o odjeździe męża pani Izabeli i postanowił skorzystać z tej sposobności. Wsiadł więc na koń i przybywszy samopas do jej domu, do drzwi zapukał. Służka ujrzawszy go z daleka, pobiegła zawiadomić panią swoją, która właśnie pospołu z Leonettem w sypialnej komnacie się znajdowała.

— Pani — zawołała — pan Lambertuccio przyjechał sam jeden i do drzwi kołata.

Na tę wieść dama zawrzała gniewem, tak jednak wielka była jej obawa przed owym rycerzem, iż wymogła na Leonetcie, że ukryje się za kotarą i zaczeka, dopóki ona natręta się nie pozbędzie. Leonetto, który równie jak i dama Lambertuccia się obawiał, ukrył się co prędzej. Tymczasem służąca na rozkaz pani pobiegła otworzyć drzwi rycerzowi. Lambertuccio zeskoczył w podwórzu z rumaka, przywiązał konia obok wrót i wszedł do domu. Dama nader uprzejmie go przyjęła, wyszła do wierzchołka schodów na jego spotkanie, łaskawymi słowy go przywitała i spytała, co go do niej sprowadza?

Rycerz uścisnął ją, pocałował i rzekł:

— Dowiedziałem się, najdroższa moja, że męża twego nie ma w domu. Przybywam tedy, aby szczęśliwą chwilkę z tobą spędzić.

Po tych słowach weszli oboje do komnaty damy i tam się zamknęli, a pan Lambertuccio przystąpił do dzieła. Gdy tak pospołu byli, całkiem nieoczekiwanie mąż pani Izabeli powrócił. Służka obaczywszy, że się do willi zbliża, podbiegła prawie bez tchu do drzwi komnaty swojej pani i zawołała:

— Madonno, pan powrócił i już na dziedzińcu być musi!

Dama na te słowa za zgubioną się poczytała. Wiedziała, iż w domu ma dwóch mężczyzn i że rycerz ukryć się nie zdoła, gdyż rumak jego pozostał na dziedzińcu. Nie tracąc jednakże przytomności umysłu, ułożyła plan ratunku, zeskoczyła z łoża i rzekła do pana Lambertuccio:

— Jeżeli mnie, panie, choć trochę miłujesz i jeśli od śmierci wybawić mnie pragniesz, to uczyń, czego od ciebie zażądam w tej chwili. Wydobądź miecz swój z pochwy i z gniewnym a zapamiętałym obliczem zbiegnij po schodach, wołając: »Biada mu! Na Boga, znajdę go, choćby się pod ziemię zapadł«. Jeżeli mąż mój zechce was zatrzymać albo zapytać o coś, nie odpowiadajcie mu ani słowa, siadajcie jeno na koń i ruszajcie, za żadną cenę z nim nie przystając.

Pan Lambertuccio przyrzekł jak najściślej prośby damy wypełnić.

Wyjąwszy miecz, zaczerwieniony, czy to ze zmęczenia, czy też z gniewu, że wrócił pan domu, uczynił, jak mu kazano.

Tymczasem mąż, stanąwszy na dziedzińcu, zadziwił się wielce na widok obcego rumaka. Wchodził właśnie do domu, gdy obaczył pana Lambertuccia biegnącego na dół z wielce gniewnym wyrazem oblicza i groźnym okrzykiem. Mąż pani Izabeli zawołał w osłupieniu:

— Stójcie, panie! Czegóż szukacie tutaj?

Aliści Lambertuccio włożył nogę w strzemię, wskoczył na siodło i krzyknąwszy tylko: »Na mękę Pańską, potrafię go znaleźć wszędzie!«, pomknął przed siebie jak strzała.

Wówczas mąż pani Izabeli pobiegł w górę i spostrzegł na schodach swoją żonę, bladą z trwogi i całym ciałem drżącą.

— Co się stało? — zapytał. — Kogo szuka rycerz Lambertuccio i komu tak straszliwie grozi?

Dama zbliżyła się do drzwi sypialnej komnaty, tak aby Leonetto mógł ją usłyszeć, i odrzekła:

— Ach, mój mężu! Nigdy w życiu moim większej nie zaznałam trwogi. Jakiś młodzieniec, całkiem mi nieznany, schronił się tutaj, ścigany przez pana Lambertuccia z mieczem w ręku. Nieszczęśliwy wpadł przypadkiem do mojej komnaty, która stała otworem, i ujrzawszy mnie, zawołał, drżąc całym ciałem: »Madonno, na miłosierdzie boskie, nie pozwól, aby mnie zamordowano w twojej przytomności!«.

Na te słowa zerwałam się z krzesła, nim jednak zapytać zdołałam, kto zacz, wpadł na dziedziniec z dobytym mieczem pan Lambertuccio. Z groźnym okrzykiem: »Gdzie jesteś, zdrajco?«, zbliżył się do drzwi mojej komnaty. Zastąpiłam mu drogę; rycerz, widząc, że go do komnaty wpuścić nie chcę, o tyle był powściągliwy, iż oddalił się, wiele gniewnych słów wypowiedziawszy.

— Żono — odrzekł gospodarz — dobrześ uczyniła. Wielka hańba spadłaby na dom nasz, gdyby w nim kogokolwiek zamordowano. Pan Lambertuccio wielce mnie swoim zuchwalstwem obraził. Jakże się mógł odważyć aż tak daleko tego człeka ścigać? Gdzie jest ów młodzian?

— Nie wiem, gdzie się ukrył — odparła pani Izabela.

Wówczas mąż pani Izabeli zawołał gromkim głosem:

— Młodzieńcze, wyjdź bez obawy!

Leonetto, który wszystko wybornie był słyszał, przerażony niemało, jako że strachu zaznał nie na żarty, wyszedł z swojej kryjówki. Ujrzawszy go, gospodarz spytał:

— O co się wadzicie z panem Lambertuccio?

— Nie wiem, panie — odparł Leonetto — o co mu poszło, i dlatego zdaje mi się, że albo musi być niespełna zmysłów, albo też wziął mnie za inną osobę. Spostrzegłszy mnie na gościńcu, niedaleko od willi waszej, natychmiast wydobył miecz i krzyknął: »Zginąłeś, zdrajco!«. Oczywista, że nie pytałem, w czym rzecz, ale zemknąłem co tchu i wpadłem tutaj, gdzie dzięki Bogu i tej szlachetnej damie ratunek znalazłem.

— Rad jestem z tego niezmiernie — odrzekł mąż pani Izabeli. — Zbądź się teraz wszelkiej obawy, odwiozę cię bowiem cało i zdrowo do domu. A potem ty już staraj się dojść z nim jakoś do ładu.

Po czym mąż pani Izabeli zaprosił Leonetta na wieczerzę, a po wieczerzy do Florencji go odwiózł. Leonetto tegoż jeszcze wieczora, wedle pouczenia chytrej niewiasty, porozumiał się tajnie z rycerzem Lambertuccio. Dzięki tej rozmowie, chociaż wiele o tym później gadano, mąż pani Izabeli nie dowiedział się nigdy, jak z niego żona zadrwiła".

Opowieść siódma. Obity i ukontentowany

Lodovico wyznaje miłość pani Beatryczy. Beatrycze wysyła swego męża, Egano, ubranego w jej niewieście szaty, do ogrodu, sama zasię przez ten czas Lodovica łaskami swymi obdarza, po czym Lodovico udaje się do ogrodu, aby Egana kijem wygrzmocić.

Towarzystwo wyraziło jednogłośnie podziwienie nad pomysłowym figlem pani Izabeli. Po czym Filomena na rozkaz króla zaczęła w te słowa:

— Najmilsze damy! Jeżeli się nie łudzę, to fortel, o którym wam zaraz opowiem, niemniej zręcznym wam się wyda. Posłuchajcie tylko!

„Przed laty żył w Paryżu pewien florencki szlachcic. Ubóstwo zmusiło go do parania się handlem. Fortuna tak mu sprzyjać zaczęła, że wkrótce bardzo znaczny majątek zebrał. Miał on jednego tylko syna, imieniem Lodovico. Nie chciał go na kupca przeznaczyć, ale pragnął, by szlacheckiemu stanowi swego ojca wierności dochował, i dlatego oddał go na dwór króla francuskiego. Młodzian na dworze tym wielu pożytecznych rzeczy i obyczajów układnych się nauczył.

Pewnego dnia Lodovico przebywał w towarzystwie dworzan i rycerzy, którzy właśnie z podróży do Grobu Świętego powrócili. Rozmawiano o urodziwych białogłowach we Francji, Anglii i innych krajach. Jeden z młodzieńców przysłuchiwał się długo tej rozmowie, wreszcie rzekł, że wiele urodziwych wielce kobiet widział, wędrując po świecie, ale że nigdzie nie znalazł piękniejszej od pani Beatryczy, żony

Egana de'Galluzzi z Bolonii. Wszyscy rycerze, którzy z nim pospołu w Bolonii przebywali, poparli jego zdanie jednogłośnie.

Lodovico, który do tej pory żadnej kobiety jeszcze nie kochał, usłyszawszy o nieporównanej urodzie pani Beatryczy, zapłonął taką żądzą ujrzenia jej, że niezdolny był o niczym innym myśleć. W końcu postanowił wybrać się do Bolonii, poznać panią Beatryczę i jeśli mu się spodoba, pozostać przez dłuższy czas w tym mieście. Od ojca uzyskał z trudem pozwolenie na wyjazd, pod kłamliwym pozorem, że chce udać się do Grobu Zbawiciela. Przybył do Bolonii pod przybranym nazwiskiem Anichina i dzięki szczęśliwej okoliczności, następnego dnia poznał w czasie uczty panią Beatryczę. Znalazłszy ją stokroć piękniejszą, niż sobie wystawiał, Lodovico zakochał się w niej gorąco i postanowił dopóty Bolonii nie opuszczać, dopóki jej wzajemności nie pozyska. Długo myślał nad środkami wiodącymi do uskutecznienia pragnień swoich, wreszcie przyszedł do przekonania, że najlepiej będzie zaciągnąć się na służbę do męża uroczej damy, który wielki dwór utrzymywał.

Dlatego też sprzedał swoje konie, odprawił hojnie służbę z rozkazem, aby udawała, że go nie zna, a następnie zwrócił się do swego oberżysty z zapytaniem, czy nie wie o jakimś dostojnym panie, który by go na dwór swój chciał przyjąć.

— Zdaje mi się, że pan Egano, jeden z najbogatszych szlachciców naszego miasta, chętnie przyjąłby cię na swój dwór, wielu bowiem utrzymuje dworzan, odznaczających się urodziwym pozorem i dwornymi obyczajami. Powinieneś mu do serca przypaść. Pomówię z nim o tobie — odrzekł oberżysta.

Oberżysta wypełnił swoją obietnicę i ku wielkiej radości Anichina zaprowadził go do Egana, który go dobrotliwie przyjął. Anichino, dostawszy się do domu umiłowanej i pozyskawszy sposobność częstego widywania jej, tak dobrze służbę swą spełniał, że wkrótce Egano obyć się nie mógł bez niego, przychylnością bezmierną go obdarzył i pieczę nad wszystkimi sprawami swymi mu powierzył.

Tymczasem zdarzyło się, że gdy Egano bawił na łowach, a Anichino w domu pozostawał, pani Beatrycze, dotychczas afektów jego nieświadoma, pełna wszakoż uznania dla jego przymiotów, do szachów z nim zasiadła. Anichino, pragnąc jej ukontentowanie sprawić, zręcznie dał się zwyciężyć, czym piękną białogłowę wielce uradował. Pod ten czas dwórki pani Beatrycze odeszły i samych ich przy grze zostawiły. Anichino westchnął głęboko. Piękna dama, usłyszawszy to westchnienie, spojrzała nań i rzekła:

— Co ci się stało, Anichino? Zaliżby ci było smutno z tego powodu, że cię pokonałam?

— Madonno — odpowiedział Anichino — z daleko ważniejszej przyczyny westchnąłem.

— Jeśli masz ufność do mnie — rzekła dama — wyznaj mi tę przyczynę.

Anichino na to wezwanie ze strony tej, którą tak kochał, nie mógł pohamować jeszcze głębszego westchnienia.

Wówczas pani Beatrycze poczęła nalegać na niego silniej, aby jej odkrył przyczynę tych westchnień.

— Madonno — odrzekł Anichino — lękam się mocno, że jeśli wam powiem całą prawdę, w srogi gniew wpaść możecie, a także i innym tajemnicę moją zdradzić.

— Obiecuję, że się gniewać nie będę i że nikomu słów twoich nie powtórzę, chyba że sam tego chcieć będziesz!

— Skoro tak — zawołał Anichino — wszystko wam opowiem!

Wyrzekłszy te słowa, ze łzami opowiadać jej zaczął, kim jest, jakim sposobem dowiedział się o niej, jak się w niej rozmiłował i dlaczego dworzaninem męża jej został. Po czym jął błagać ją kornie, aby miała miłosierdzie dla niego i aby wielką a utajoną jego miłość nagrodzić zechciała. Jeżeli zaś nie chce uczynić tego, to niechaj przynajmniej pozwoli mu, jak dotąd, pozostać przy sobie i kochać ją w milczeniu.

O wspaniała i szlachetna krwi bolońska, jakiejże pochwały jesteś godna! Nigdy nie byłaś nieczuła na łzy i westchnienia. Po wszystkie czasy miękką byłaś na błagania i poddawałaś się chętnie uniesieniom miłości. Gdyby język mój godnie wysławić cię zdołał, nigdy by nie zamilkł w pochwałach dla ciebie!

Przez cały czas mowy Anichina dama wpatrywała się weń. Pełna ufności w prawdę słów jego, słysząc te prośby, zapłonęła naraz tak gwałtowną ku niemu miłością, że sama wzdychać poczęła i wreszcie zawołała:

— Bądź dobrej myśli, mój najdroższy Anichino! Podarki, obietnice i starania wielu panów i rycerzy, którzy zalecali się do mnie, nie mogły wymóc mojej wzajemności, ty natomiast w parę chwil swoimi słowy podbiłeś całkiem serce moje, tak iż teraz należę bardziej do ciebie niż do siebie samej. Uznaję, żeś godzien jest mojej miłości, ofiaruję ci ją i obiecuję, że cię owocami jej obdarzyć nie omieszkam, nim jeszcze dzisiejsza noc upłynie. Aby się to dopełniło, staraj się przyjść o północy do mojej sypialni. Drzwi pozostawię otworem. Wiesz, po której stronie łoża leżę, zbliż się więc do mnie; jeślibym spała, zbudź mnie dotknięciem, a możesz być pewien, że ci wynagrodzę długi czas

tęsknoty i pragnienia. Abyś zasię temu uwierzył, weź ten pocałunek na zadatek — to mówiąc objęła go za szyję i pocałowała drżąc z miłości. Młodzieniec oddał jej pocałunek.

Po czym opuścił damę i krzątając się około spraw swoich, jął w najwyższym uniesieniu nadejścia nocy oczekiwać. Egano tymczasem powrócił z polowania i będąc bardzo znużonym, natychmiast po wieczerzy położył się do łoża. Żona wnet znalazła się obok niego, nie zapomniawszy jednakoż zostawić drzwi otworem.

O oznaczonej godzinie Anichino wszedł na palcach do sypialnej komnaty małżonków, zasunął rygiel od drzwi, zbliżył się do krawędzi łoża, na którym dama leżała, i dotknąwszy jej piersi, przekonał się, że nie śpi. Beatrycze poznawszy, że to on, chwyciła go obiema rękoma za rękę i poczęła się tak przewracać na łożu, iż Egano, który już zasnął, obudził się i spytał, co ta jej niespokojność znaczy.

— Egano — odrzekła na to dama — wieczorem po powrocie wydawałeś mi się tak znużony, że nie chciałam z tobą w pewnej materii rozmowy wszczynać. Teraz natomiast chciałabym się zapytać, którego z swoich dworzan poczytujesz za najuczciwszego i najbardziej oddanego ci człeka.

— Po cóż mi podobne pytanie zadajesz, moja żono — odparł Egano. — Wiesz przecież, że nie mam dla nikogo tyle zaufania i miłości, ile dla mego drogiego i wiernego Anichina. Więc po co o to pytasz?

Anichino, widząc, że Egano nie śpi, i słysząc podobną o sobie rozmowę, usiłował wyrwać swą rękę z uścisku Beatryczy i uciec, był bowiem pewien, że dama go zdradzi i mężowi wyda. Aliści Beatrycze trzymała go tak mocno, iż żadnym sposobem wydrzeć się jej nie mógł.

Dama ciągnęła dalej na ten kształt:

— Ciekaw jesteś, Egano, co znaczy to moje pytanie. Zaraz się dowiesz. I ja sądziłam to samo o Anichinie i poczytywałam go za najwierniejszego z dworzan twoich. Aliści on sam wywiódł mnie z tego błędu. Dzisiaj bowiem, gdyś na łowach bawił, zdrajca ten został w domu i wybrawszy stosowną chwilę, miał odwagę prosić mnie, bym powolną była jego woli. Dla wyleczenia cię raz na zawsze z ufności, jaką w tym niegodziwcu pokładasz, i naocznego przekonania cię o jego przewrotności, udałam, że się zgadzam, i przyobiecałam, że o północy spotkam się z nim pod pinią w ogrodzie. Oczywista, że nie myślę tam iść bynajmniej, aliści ty, dla przekonania się o wierności ukochanego sługi, znaleźć się na tym miejscu powinieneś. Jeśli chcesz, aby cię poznał, włóż na się moją suknię i zasłoną moją się okryj. Obaczysz, czy przyjdzie; pewna jestem, że czekać nie będziesz na próżno.

Egano, wysłuchawszy słów żony, zawołał:

— Wierę, muszę to uczynić!

Po czym wyskoczył z łoża, po omacku zarzucił na siebie szaty swojej żony, udał się do ogrodu i stanął pod pinią w zamiarze czekania na Anichina.

Dama, usłyszawszy odgłos oddalających się kroków, wyszła z łoża i zaryglowała drzwi.

Anichino, jak nigdy dotąd, przeżył chwile najwyższego strachu w trakcie rozmowy małżonków i wszystkich sił dokładał, aby wyrwać się z rąk damy, i po sto razy wyrzucał sobie, że tak ślepo Beatryczy i jej miłości zawierzył. Widząc jednak, jaki obrót sprawa przybiera, poczuł się najszczęśliwszym z ludzi. Ledwo się mógł doczekać na zawarcie drzwi. Ujrzawszy Beatryczę w łożu, zrzucił z siebie szaty i znalazł się obok niej. Po czym oboje najwyższej rozkoszy się oddali. Czas szybko mijał. Dama nie zapomniała o tym i widząc, że już pora się pohamować, kazała Anichinowi wstać, ubrać się i tak doń rzekła:

— Weź, mój najdroższy, tęgi kij i zejdź teraz do ogrodu. Ujrzawszy Egana, udaj, że go bierzesz za mnie i żeś mnie tylko chciał wypróbować. Łajaj go, ile sił, i bij, co się zmieści! Będzie to krotochwilnym przydatkiem do rozkoszy, której użyliśmy.

Anichino schwycił gruby kij i udał się do ogrodu. Gdy znalazł się opodal pinii, Egano, ujrzawszy go, postąpił kilka kroków mu naprzeciw, tak jakby się radował z jego przybycia. Anichino wykrzyknął:

— Ach, wiarołomna, przewrotna białogłowo! Przyszłaś tutaj, uwierzywszy, że będę w stanie memu panu podobną zniewagę wyrządzić? Przeklęta bądź po tysiąc razy!

Egano, słysząc to i widząc kij, nie mówił wiele, lecz rzucił się do ucieczki, ile tchu w piersiach. Anichino biegł za nim nieustannie, wołając:

— Umykaj! Niech cię Bóg skarze! Jutro o wszystkim Eganowi opowiem.

Chocia mąż Beatrycze żwawo umykał, przecie wiele razów na jego plecy spadło. W komnacie sypialnej spotkała go żona, pytając, zali Anichino był w ogrodzie.

— Lepiej by się stało, gdyby był nie przyszedł — rzekł Egano — bowiem, wziąwszy mnie za ciebie, wygrzmocił mnie tęgo kijem i srodze słowami znieważył. Dziwię się tylko, że śmiał cię podobnym sposobem doświadczać. Ani chybi, nabrał tej śmiałości wobec ciebie, widząc, że ustawicznie się śmiejesz i żartujesz.

— Chwała Bogu — odparła Beatrycze — że mnie tylko słowami, ciebie zasię i czynami doświadczył. Teraz może rzec słusznie, że ja cierpliwiej słów jego słucham, niż ty czyny jego znosisz. Jest ci tak oddany jednakoż, że go miłować powinniśmy i cześć mu świadczyć.

— To prawda — rzekł Egano uwierzywszy od tej chwili, że nie ma na świecie cnotliwszej białogłowy niż Beatrycze i wierniejszego od Anichina sługi. Nieraz też w przytomności Beatryczy i Anichina z tego zdarzenia żartował. Anichino i Beatrycze tymczasem, dzięki tej przygodzie, cieszyli się swoją miłością z większą swobodą, niżby to kiedy indziej było możliwe, póki młodzieniec w Bolonii u Egana pozostawał".

Opowieść ósma. Nitka pani Sismondy

Żona zazdrośnika przywiązuje sobie nocą do palca nić, aby dowiedzieć się, kiedy jej miłośnik przed domem staje. Mąż to spostrzega i rzuca się w pogoń za kochankiem. W tym czasie żona kładzie do łoża swoją służkę. Arriguccio po powrocie bije ją i włosy jej obcina, po czym sprowadza braci żony, którzy przekonawszy się, że im nieprawdę mówił, lżą go srodze.

Fortel pani Beatryczy wydał się towarzystwu aż nadto wobec męża złośliwy. Każdy też wystawiał sobie, ile strachu musiał zaznać Anichino, gdy Beatrycze, nie puszczając jego ręki, opowiadała mężowi o jego miłosnym wyznaniu. Wreszcie jednak król koniec tej rozmowie położył, wezwawszy Neifilę do opowiadania z kolei. Ta, uśmiechając się z lekka, tak zaczęła:

— Piękne damy! Trudne, wierę, miałabym zadanie, gdybym chciała uraczyć was równie piękną historią jak te, któreście dotąd słyszały; spróbuję jednak z pomocą bożą z obowiązku swego niezgorzej się wywiązać.

„Wiedzcie tedy, że w mieście naszym żył niegdyś bogaty kupiec, nazwiskiem Arriguccio Berlinghieri. Arriguccio, jak to za naszych czasów często z kupcami się zdarza, wpadł na głupią myśl uszlachcenia się przez żonę. Dlatego też pojął w stadło małżeńskie dzieweczkę szlacheckiego rodu, niezbyt dla niego odpowiednią, imieniem Sismonda. Mąż, obyczajem kupców, często wyjeżdżał na długo — nie dziwota tedy, że młoda białogłowa rozkochała się z nudów w młodzieńcu, imieniem Roberto, który przez długi czas starał się o jej względy. W zażyły weszła z nim stosunek i może dla wielkiej przyjemności, jaką w obcowaniu tym znajdowała, nie dość była ostrożną, tak iż Arriguccio, czy to spostrzegłszy coś, czy też domyślając się czegoś, stał się najzazdrośniejszym mężem na świecie. Wyrzekł się podróży, zaniedbał swoje sprawy i niczym prawie innym się nie zajmował, jeno pilnowaniem żony swojej. Nigdy nie zasnął pierwej, póki Sismondy w łożu nie obaczył. Martwiło to wielce damę, niemogącą teraz żadnym sposobem ze swoim Robertem się widywać. Długo myślała, jak temu zaradzić,

napierana przy tym żywo przez kochanka, aż wreszcie wpadła na następujący pomysł. Komnata jej wychodziła na ulicę. Zauważyła zaś, że mąż późno zasypia, ale że zasnąwszy śpi potem jak kamień. Postanowiła tedy uwiadomić Roberta, by o północy przyszedł pod bramę domu, a wtedy mu otworzyć i podczas gdy mąż trwać będzie w śnie głębokim, spędzić z Robertem kilka szczęśliwych chwil. Chodziło tylko o to, jak dowiedzieć się o jego przybyciu przed dom, bez obudzenia jakiegokolwiek podejrzenia.

Umówiła się tedy z Robertem, że co noc przywiązywać sobie będzie do wielkiego palca u nogi grubą nić, której drugi koniec spuści przez okno, tak aby dostawał do samej ziemi. Za ten koniec miał Roberto lekko pociągnąć oznajmiając o swoim przybyciu; jeśli mąż będzie we śnie pogrążony, ona wypuści nić i zejdzie mu otworzyć; w razie zaś gdyby męczyła męża bezsenność, sama z kolei za nić pociągnie, dzierżąc ją mocno, aby uprzedzić kochanka, że nie ma po co czekać.

Robertowi ten środek porozumienia wielce się podobał. Spróbował tego fortelu i od tej pory często pod dom przybywał. Niekiedy udawało mu się być razem z ukochaną, kiedy indziej znów nie. Pewnego razu jednak zdarzyło się, że pani Sismonda sama niespodzianie zasnęła z nitką przyczepioną do wielkiego palca u nogi. Arriguccio zaczepił nogą o tę nitkę przypadkiem i zaciekawiony, co to być może, pociągnął ją ku sobie. Wówczas spostrzegł, że koniec jej uwiązany jest u palca jego żony. Zwietrzył w tym natychmiast jakiś podstęp i pomyślał: »Wierę, nie będzie to bez kozery!«.

Utrwalił się w podejrzeniu, gdy doszedł, że nitka spuszczona jest przez okno na ulicę. Na ten widok, tknięty nagłą myślą, uciął nić przy samym palcu pani Sismondy, przywiązał ją do swojej nogi w ten sam sposób i czekał, co będzie dalej. Po upływie kilku chwil Roberto stanął pod oknem i pociągnął za nitkę, wedle obyczaju. Arriguccio uczuł to pociągnięcie. Nitka przytwierdzona była słabo, Roberto zasię, który silnie ją szarpnął, ujrzał nagle drugi jej koniec w swoich rękach. Kochanek wziął to za znak, że ma czekać. Arriguccio zaś, ujrzawszy, jak nić znika, pojął, że tam na dole ktoś czekać musi; uzbroił się więc naprędce i pośpieszył przekonać się, kim jest ów gość nocny, obiecując sobie, że go podobnych fortelów na zawsze oduczy. A choć kupiec, chłop to był na schwał i silny wielce. Tymczasem Roberto, usłyszawszy, że ktoś drzwi gwałtownie otwiera, nie tak, jak to pani Sismonda czyniła, odgadł od razu, co się święci, i nie namyślając się długo, wziął nogi za pas. Arriguccio ścigał go z wszystkich sił. Wreszcie Roberto, czując, że nie ujdzie, ubiegłszy spory kawał drogi stanął, dobył miecza i bronić się przed nacierającym Arrigucciem począł.

Tymczasem pani Sismonda obudziła się na odgłos gwałtownego otwarcia drzwi. Spostrzegłszy, że nitka odcięta, pojęła w lot, że wszystko na jaw wyjść musiało. Wiedząc, że Arriguccio ściga w tej chwili jej kochanka, pomyślała o ratunku. Namysł jej był krótki. Przywołała służkę wtajemniczoną we wszystko, i skłoniła ją do zajęcia swojego miejsca w łożu. Następnie wymogła na niej, że nie dając się poznać, zniesie wszystko, cokolwiek by Arriguccio w pierwszym zapędzie gniewu mógł z nią uczynić — i przyrzekła, że za tę usługę hojnie ją wynagrodzi. Po czym zgasiła światło płonące w sypialnej komnacie i ukryła się w innej części domu, aby czekać, co dalej będzie.

Tymczasem Roberto i Arriguccio, walcząc na ulicy, rozbudzili wszystkich sąsiadów, którzy pokazawszy się w oknach łajać ich srodze poczęli. Arriguccio, przejęty obawą, aby go nie poznano, cofnął się i popędził do domu. Był wściekły okrutnie, że nie mógł poznać ani ukarać przykładnie zuchwałego młodzieńca. Pieniąc się ze złości, wpadł do sypialnej komnaty i zawołał:

— Gdzie jesteś, bezwstydna białogłowo? Zagasiłaś światło, abym cię nie znalazł, aleś chybiła celu!

I z tymi słowy dopadłszy do łoża chwycił za gardło dziewczynę, którą wziął za swoją żonę, i począł ją tak pięściami walić i nogami kopać, że całe jej oblicze pokryło się sińcami. Wreszcie obciął jej włosy, obsypując ją bez przerwy najstraszniejszymi obelgami. Dziewczyna zalewała się łzami, prosząc pokornie: »Na miłość boską, dosyć! Biada mi, litości!«. Arriguccia taki gniew zaślepił, iż nie mógł rozeznać, że to nie głos żony, przy tym dzieweczka od szlochów ochrypła.

Pofolgowawszy swemu gniewowi, wstrzymał się wreszcie i rzekł:

— Teraz dam ci już spokój, występna białogłowo, ale za to w tej chwili pójdę do twoich braci i opowiem im o twoich pięknych sprawkach. Niechaj przyjdą, zabiorą cię i uczynią z tobą, co im cześć i sumienie nakaże. Zabrać cię muszą, bowiem jednej chwili dłużej w tym domu zostać ci nie pozwolę.

Wyrzekłszy te słowa wyszedł z sypialnej komnaty, zaryglował drzwi i wybiegł z domu. Pani Sismonda, która to wszystko słyszała, ujrzawszy męża oddalającego się, otworzyła drzwi od komnaty i zapaliła światło. Srodze pobita służka tonęła w gorzkich łzach. Pani Sismondzie żal jej się zrobiło. Pocieszyła ją więc, jak mogła najlepiej, i odesłała do alkierza, wydawszy uprzednio rozkaz, aby się nią troskliwie zajęto. Wynagrodziła ją takoż hojnie pieniędzmi Arriguccia za doznaną krzywdę, po czym pośpieszyła do sypialnej komnaty, doprowadziła łoże swoje do porządku, tak aby się zdawać mogło, że tej nocy nikt jeszcze w nim nie leżał, zapaliła lampkę nocną, ubrała

się, uczesała, jakby nie szła jeszcze na spoczynek, i zasiadła z robotą niedaleko schodów, czekając, co będzie dalej.

Tymczasem Arriguccio prawie bez tchu w piersiach przybiegł do domu braci żony swojej i póty się do drzwi dobijał, póki mu ich nie otwarto. Trzej bracia pani Sismondy oraz matka jej, poznawszy, że to Arriguccio przybył, wstali natychmiast, kazali światło zapalić i wyszli mu naprzeciw z zapytaniem, co go o tak późnej godzinie sprowadza? Wówczas Arriguccio opowiedział im wszystko, od chwili gdy na wielkim palcu nogi swej żony nitkę znalazł, i wyznał, co z żoną uczynił. Na dowód prawdy ostatnich słów swoich wręczył im włosy, które jak mniemał, żonie obciął, po czym zażądał, aby przybyli po panią Sismondę i uczynili z nią, co — wedle mniemania — honor im nakazuje, on bowiem ani chwili dłużej w domu swoim niewiernej żony znosić nie chce.

Bracia pani Sismondy, przygnębieni srodze, zapaleni gniewem na nią i pełni wiary w słowa jej męża, rozkazali zapalić pochodnie i pośpieszyli z Arriguccim do jego domu w zamiarze ukarania winowajczyni. Matka, zalewając się łzami, biegła za nimi i zaklinała ich, by nie wierzyli pochopnie oskarżeniom Arriguccia i dobrze raz jeszcze całą rzecz zbadali i rozważyli. Przedstawiała im, że mąż, rozgniewany na żonę z innego powodu, mógł ciężko ją pokrzywdzić, a teraz dla usprawiedliwienia siebie podobną potwarz wymyślić. Starucha mówiła także, że nie może jej się w głowie pomieścić, aby białogłowa, którą znała tak dobrze od dziecka i która tak troskliwe wychowanie odebrała, mogła być do podobnego występku zdolna.

Gdy bracia wraz z matką doszli do domu Arriguccia i poczęli wstępować na schody, pani Sismonda, usłyszawszy kroki nadchodzących, spytała przez drzwi:

— Kto tam?

Na to jeden z braci odpowiedział:

— Zaraz się dowiesz, występna białogłowo!

— Co to ma znaczyć? — zawołała pani Sismonda. — Boże, miej nas w opiece! — I otwierając drzwi, dodała: — Witajcie mi, mili bracia! Cóż was wszystkich trzech o tak późnej godzinie tutaj sprowadza?

Bracia widząc ją szyciem zajętą, spokojną i bez najmniejszych śladów pobicia na twarzy, chocia Arriguccio im twierdził, że oblicze jej jest siniakami pokryte, zdziwili się niepomiernie i od razu zapęd swego gniewu pohamowali. Po czym powtórzyli jej skargi Arriguccia i srogo jej zagrozili w wypadku, jeśli nie wyzna im otwarcie całej winy.

— Nie rozumiem, czego ode mnie chcecie, o co przed wami mógł mnie oskarżać Arriguccio — odrzekła na to pani Sismonda.

Bracia opowiedzieli pokrótce pani Sismondzie, na co Arriguccio się skarżył, wspominając o nitce i o pobiciu. Usłyszawszy to, pani Sismonda zwróciła się z zadziwioną miną do męża i zawołała:

— Biada mi, cóżem usłyszała? Człeku, po cóż na hańbę własną przedstawiasz mnie jako rozpustną kobietę, którą nie jestem, a siebie samego jako gbura i okrutnika, nie będąc nim także? Dzisiejszej nocy nie byłeś w domu, nie przestąpiłeś przez próg sypialnej komnaty, przeczże więc twierdzisz, żeś mnie pobił? Opamiętaj się na miłość boską!

— Co? — wrzasnął Arriguccio. — Jeszcze kłamać się ośmielasz, przewrotna kobieto? Czyżeśmy się nie położyli razem do łóżka? Zalim nie wrócił do domu po daremnej pogoni za twoim miłośnikiem? Zali nie zbiłem cię na kwaśne jabłko i nie obciąłem ci włosów?

— W tym domu przynajmniej — odparła żona — nie kładłeś się spać dzisiaj. Ale mniejsza o ten szczegół, którego prawdy w tej chwili udowodnić nie mogę; przejdźmy do innych rzeczy. Mówisz, żeś mnie bił pięścią i żeś włosy mi obciął. Popatrzcież tedy wszyscy na mnie uważnie i powiedzcie mi, czy na moim obliczu znajduje się choćby najlżejszy ślad uderzenia. Zresztą, gdybyś był o tyle zuchwały, aby rękę na mnie podnieść, klnę się na krzyż Pański, że inaczej byś teraz wyglądał, bowiem oczy bym ci wydrapała. Co się zaś tyczy włosów, to mi ich nie obciąłeś, przynajmniej ja nie widziałam ani nie czułam tego. Możeś jednak uczynił to tak zręcznie, żem tego nie zauważyła. Przekonajmy się tedy.

To mówiąc zdjęła zasłonę z głowy i pokazała, że włosy jej są starannie uczesane i nietknięte. Na ten widok bracia i matka zwrócili się do Arriguccia i rzekli:

— Cóż ty na to, Arriguccio? Całkiem co innego słyszeliśmy od ciebie. Któż ma tu słuszność? Na czym teraz swoje oskarżenia gruntować będziesz?

Arriguccio stał jak we śnie. Wreszcie ocknął się i chciał odpowiedzieć, aliści nie wiedział, co ma mówić; to, czego był pewny i czego dowieść zamierzył, okazywało się czymś całkiem innym; więc w końcu zamilkł. Wiedział dobrze, ile ciosów jej zadał, dlatego też pojąć nie mógł, dlaczego młoda białogłowa nie ma na twarzy najmniejszych znaków pobicia ani zadrapania.

Wówczas pani Sismonda, korzystając z jego zakłopotania, zawołała:

— Widzę z boleścią, bracia moi, że mąż mój chce mnie przywieść do wyznania, którego nigdy w życiu bym nie uczyniła. Chodzi tu o haniebny sposób jego życia i postępowania ze mną. Wiedzcie tedy, że upewniona jestem, iż w samej rzeczy zdarzyło

mu się to wszystko, o czym wam opowiedział, aliści bynajmniej nie tutaj. Ten zacny człowiek bowiem, za którego na nieszczęście moje mnie wydaliście, chciałby za porządnego kupca uchodzić i powszechnym zaufaniem się cieszyć. Pragnie, aby ludzie poczytywali go za wstrzemięźliwszego od księdza i obyczajniejszego od młodej dzieweczki. Tymczasem rzadko taki wieczór minie, aby się nie upił w szynkowni, a potem nie wdał z pierwszą lepszą gamratką, podczas gdy ja do północy, a czasem i do świtu samotna siedzę i czekam, jako to widzieliście. Otóż jestem upewniona, że i tym razem, pijany jak bela, położył się z jakąś hultajką do łoża. Zbudziwszy się znalazł nitkę u jej nogi, dokonał owych bohaterskich przewag, o których słyszeliście od niego, potem powrócił raz jeszcze, pobił swoją miłośnicę, ostrzygł jej włosy i nie całkiem jeszcze wytrzeźwiony, wystawił sobie, że wszystko to w moim domu się stało. Wierzy w to pewnie do tej pory. Tak być musi, ani chybi, a na dowód spójrzcie tylko na niego. Jeszcze na pół pijany być musi. Spodziewam się tedy, że wszystkie jego słowa będziecie za bredzenie opoja uważali i że przez wzgląd na nieprzytomność umysłu przebaczycie mu tę całą niedorzeczność, tak jak i ja mu przebaczam.

Na te słowa pani Sismondy matka jej, do tego czasu milcząca, zawołała gniewnym głosem:

— Nie, moje dziecko, na krzyż Chrystusowy, tak dalej być nie może! Tego obrzydliwego i niewdzięcznego człeka należałoby jak psa zabić za to, że nie umie szanować podobnej, jak ty, białogłowy, której całkowicie jest niegodny. Gdybyż to z błota cię wyciągnął! Niech go Bóg pokarze! Miałabyś znosić obelgi od jednego z tych kramarzy, oślim łajnem kupczących, którzy odłączywszy się od jakiejś bandy opryszków, przybywają ze wsi do miasta w zgrzebnej koszuli i w dziurawych butach, a gdy się kilku groszy dorobią, wyciągają natychmiast ręce po córki dostojnych rodzin, sprawiają sobie herby i mówią: »Pochodzę z wysokiego rodu, przodkowie moi to a to uczynili«? O, bogdajby twoi bracia byli mnie posłuchali i oddali cię grabiemu Guidi! Żyłabyś teraz szczęśliwie, aczkolwiek ubogo, w jego domu. Aliści podobało im się uczynić inaczej, niechże tedy patrzą teraz, jak ten wybrany przez nich człek siostrę ich o północy rozpustnicą nazywa i życie jej zatruwa, tej najlepszej i najcnotliwszej z florenckich młódek, którą wszyscy tak dobrze znamy. Co się mnie tyczy, to bym mu taką łaźnię sprawiła, żeby mnie przez całe życie wspominał:

Po czym, zwracając się do synów, dodała:

— Dzieci moje, zali wam nie mówiłam, że to wszystko kłamstwem jest wierutnym? Wiecie już chyba, jak wasz szwagier, ten nędzny kupczyk, z waszą siostrą postępuje.

Czemu tedy stoicie jak niemi? Czyż mało jeszcze słowem i czynem wobec niej przewinił? Gdybym na waszym miejscu była, nie spoczęłabym pierwej, pókibym tego hultaja leżącego bez tchu na ziemi nie ujrzała. O czemuż mężczyzną nie jestem! Nie pozwoliłabym, by mnie ktoś w tym uprzedził! Jest jednak Bóg nad nami, który skarze tego nędznego opoja pozbawionego sumienia i wstydu.

Trzej młodzieńcy, tym, co widzieli, i słowami matki swej podburzeni, obsypali Arriguccia gradem obelg, gróźb i wyrzutów. W końcu zasię rzekli:

— Na ten raz przebaczamy ci przez wzgląd, żeś pijany, aliści strzeż się, abyśmy na przyszłość o czym podobnym nie usłyszeli, bowiem zapłacisz wówczas od razu za wszystko.

Rzekłszy te słowa, wyszli z komnaty.

Po ich odejściu Arriguccio stał jeszcze długo w odurzeniu, nie wiedząc już, co jest złudą, a co prawdą, co uczynił, a czego nie uczynił, przyszedłszy zaś wreszcie do siebie, postanowił żonę w spokoju zostawić i udać, że zapomniał o wszystkim. Pani Sismonda nie tylko dzięki swemu sprytowi wywinęła się z grożącego jej niebezpieczeństwa, ale od tego czasu używała całkowitej swobody i bez najmniejszej trwogi przed mężem czyniła wszystko, co się jej tylko podobało".

Opowieść dziewiąta. Zaczarowana grusza

Lidia, żona Nikostrata, miłuje Pyrrhusa, który na dowód miłości trzech rzeczy od niej się domaga. Lidia życzenia jego wypełnia. Później, w przytomności Nikostrata, z Pyrrhusem miłosnym igraszkom się oddaje, wmawiając w męża, że to, co widział, czystym było jeno przywidzeniem.

Opowieść Neifili tak wszystkim do smaku przypadła, że śmiechy i rozmowy o niej wśród niewiast nie ustawały, mimo iż król, kilkakrotnie milczenie nakazawszy, Panfila do rozpoczęcia nowej opowieści wezwał. Wreszcie jednak, gdy wszyscy umilkli, Panfilo tak zaczął:

— Miłe damy! Mniemam, że nie ma na świecie tak niebezpiecznej i trudnej rzeczy, na którą by się prawdziwie kochający człek nie odważył. W poprzednich opowieściach mieliśmy już liczne tego dowody, sądzę jednakoż, że zdarzenie, o którym zamierzam wam opowiedzieć, lepiej jeszcze tę prawdę na jaśnię poda. Usłyszycie opowieść o białogłowie, której raczej szczęście niż rozum pomogło. Dlatego też nie radziłbym,

abyście ją naśladowały, bowiem nie zawsze los w sukurs nam przychodzi i nie wszyscy mężowie tak ślepi i łatwowierni bywają.

„W Argos, wielce starożytnym mieście Achai, bardziej sławnym dzięki dawnym władcom niźli z wielkości swojej, żył niegdyś zacny człek, imieniem Nikostrato, którego w późnym już wieku los młodą małżonką obdarzył, nie mniej śmiałą niż piękną, imieniem Lidia. Ów Nikostrato, jako człek bogaty i szlachcic, trzymał liczną służbę, chował psy i ptaki łowcze i często łowami się z zapałem parał. Spośród dworzan swoich wyróżniał pewnego wdzięcznego młodzieńca, imieniem Pyrrhus. Nikostrato lubił go bardzo tak dla urodziwej postaci jego, jak i dla zręczności, jaką we wszystkim celował, a krom tego bez granic mu ufał.

Po pewnym czasie Lidia zakochała się w młodzieńcu tak gorąco, że dniem i nocą tylko o nim myślała. Nie wiadomo, czy Pyrrhus tej miłości nie spostrzegł, czy też spostrzec nie chciał, dość, że obojętny wobec Lidii pozostał.

Obojętność młodzieńca niezmiernie piękną białogłowę dręczyła, tak iż w końcu postanowiła pierwsza miłość swoją mu odkryć. W tym celu wezwała zaufaną służkę swoją, imieniem Luska, i tak do niej rzekła:

— Lusko, dobrodziejstwa, których ci nie szczędziłam, powinny były uczynić z ciebie wierną i oddaną mi służkę. Posłuchaj tedy, co ci powiem, i strzeż się, aby nikt o tym nie uznał krom osoby, którą ci wskażę. Widzisz wszak, że jestem piękna, młoda i bogato od losu we wszystko uposażona. Na jedno tylko skarżyć się muszę, a mianowicie na różnicę wieku między mną a moim małżonkiem zachodzącą. Mogę się słusznie żalić na los, iż przyjemności, których inne młode niewiasty mają pod dostatkiem, ja zaznaję niewiele. Ponieważ zaś mam takie same pragnienia jak i inne białogłowy, nie od dziś postanowiłam nie być dla siebie wrogiem i na wszelki sposób sobie radzić. Wiem, że w objęciach Pyrrhusa wielkiej szczęśliwości dostąpić bym mogła. Młodzieniec ten z pewnością miłości mojej jest najgodniejszy. Miłuję go, miłuję go tak mocno, że wielce nieszczęśliwa się czuję, gdy go nie widzę przez chwilę; wiem przy tym, że umrę niezadługo, jeżeli do niego należeć nie będę. Jeżeli tedy dbasz o życie moje, odkryj mu w sposób, jaki za najbardziej stosowny uznasz, afekt, którym do niego płonę, i proś go, aby gdy tylko znak przez ciebie otrzyma, co prędzej przybywał do mnie.

Służka zgodziła się ochotnie na to pośrednictwo. Wybrawszy odpowiednią chwilę i stosowne miejsce, odwiodła Pyrrhusa na stronę i jak umiała, najlepiej przedstawiła mu uczucia swojej pani. Pyrrhus, wysłuchawszy tych słów, srodze się zadziwił, do tej pory

nie wiedział bowiem nic o afekcie Lidii. Przyszło mu na myśl, że małżonka jego pana chce go tylko próbie poddać, i dlatego też odpowiedział szorstko:

— Nie wierzę, Lusko, abyś podobne zlecenie od naszej wspólnej pani otrzymała. Zważ tedy, co mówisz. Gdyby zaś nawet tak w samej rzeczy było, to i w takim razie mniemałbym, że mnie tylko doświadczyć chciała. Jeśliby zasię istotnie mnie miłowała, to i wówczas nie mógłbym wyrządzić podobnej hańby panu memu, który mnie ponad zasługę moją łaskami obdarza. Teraz dosyć na tym! Na przyszłość nie ośmielaj się nigdy z podobnymi poselstwami do mnie przychodzić!

Luska nie dała się zbić z tropu gniewnymi słowy młodzieńca i rzekła:

— Pyrrhusie, ilokrotnie pani moja mówić mi z tobą poleci, będę to czyniła, nie zważając na to, czy cię to cieszyć, czy gniewać będzie. Na ten raz zasię oświadczam ci, że głupcem jesteś!

To rzekłszy, w wielkim rozdrażnieniu powróciła do pani swojej i powtórzyła jej odpowiedź Pyrrhusa, co tak zmartwiło młodą białogłowę, że w głos śmierci przyzywać poczęła. Po kilku dniach jednak przywołała znowu pani Lidia Luskę i tak rzekła do niej:

— Wiadomo, że jednym cięciem dębu obalić nie sposób. Dlatego też myślę, iż dobrze będzie, jeśli udasz się raz jeszcze do tego człeka, którego niebo na zgubę moją takim poczuciem wierności obdarzyło, i spróbujesz wzruszyć go obrazem cierpień, żądzy i tęsknoty mojej. Zrób to i za wszelką cenę staraj się rzecz przywieść do skutku, bowiem jeśli stan dzisiejszy dłużej potrwa, czuję, że umrę. Zresztą, kto wie, może Pyrrhus czeka na powtórne poselstwo ode mnie. Gdyby go nie otrzymał, mógłby sądzić, że zadrwiłam z niego, a wówczas znienawidziłby mnie na zawsze.

Luska pokrzepiła swoją panią słowami otuchy i udała się do Pyrrhusa. Znalazła go w wesołym i korzystnym usposobieniu. Nie zwlekając tedy, rzekła do niego:

— Przed kilku dniami oznajmiłam ci, Pyrrhusie, o wielkiej miłości, jaką żywi pani nasza do ciebie, teraz zasię powtarzam ci jeszcze raz, że jeśli prośbami zmiękczyć się nie dasz i nadal okrutnym pozostaniesz, wkrótce ją na marach ujrzymy. Zaklinam cię tedy, uspokój ją, w przeciwnym razie bowiem będę cię musiała uważać za głupca, a nie za rozumnego człeka, którym mi się dotąd wydawałeś. Powinieneś być dumny z tego, że tak dostojna i piękna dama cię miłuje, powinieneś takoż gorący dank złożyć swemu losowi, zważywszy na to, czym cię on obdarza i jakie źródło pomocy w ciężkiej potrzebie ci odkrywa, spełniając marzenia twojej młodości. Któż by w większe od ciebie opływał rozkosze, gdybyś tylko chciał być rozumnym człekiem? Któż posiadałby piękniejsze rumaki, broń, odzież i trzos pełniejszy niż ty, jeśli tylko miłować ją zechcesz? Posłuchaj

tedy słów moich i namyśl się dobrze; pamiętaj przy tym, że szczęście zazwyczaj raz tylko uśmiech i pełny podołek człowiekowi ukazuje, a kto z tego w czas korzystać nie chce lub nie umie, nędzny i opuszczony próżno się potem żali i sam siebie tylko oskarżać może. Zważ także, że sługa tego czy innego pana nie ma wobec niego tej świętej powinności co wobec krewniaka i przyjaciela. Słudzy winni tylko w miarę możności postępować z panami tak, jak oni z nimi postępują. Zali mniemasz, że gdyby twoja matka, córka, żona lub siostra Nikostratowi się podobała, on miałby dla ciebie tyle względów, ile ty teraz jemu okazujesz? Głupcem jesteś, jeśli tak mniemasz! Przysięgam ci, że gdyby prośby i pochlebstwa skutku nie odniosły, Nikostrato, nie zwracając uwagi na ciebie, do gwałtu by się uciekł. Postępujmy tedy z nimi i z ich własnością tak, jak oni z nami i ze wszystkim, co do nas należy, postępować są zwykli. Powtarzam ci raz jeszcze, korzystaj z darów losu, nie odtrącaj ich, ale raczej wyciągnij po nie rękę. W przeciwnym razie bowiem kiedyś tak gorzko będziesz żałował straconej sposobności, że scześniesz ze zgryzoty, nie mówiąc już o tym, że sumienie twoje obarczy niezawodnie śmierć naszej pani — nieczułości twojej dzieło.

Pyrrhus już po pierwszym poselstwie Luski rozmyślał długo, co ma zrobić, i postanowił uczynić zadość woli Lidii w wypadku, gdyby ta jeszcze raz służkę swoją doń przysłała. Chciał jeno upewnić się, że nie jest wystawiony na próbę. Gdy tedy Luska mowę swoją skończyła, rzekł do niej w te słowa:

— Wszystko to, com od ciebie słyszał, Lusko, za prawdę uznaję. Znam jednak pana mego jako wielce roztropnego i przebiegłego człeka, który ufając mi do tej pory bezgranicznie, teraz, być może, za pośrednictwem żony swojej wierność moją chce wypróbować. Otóż, jeśli pani Lidia chce mnie uspokoić i pozyskać, niechaj naprzód trzy rzeczy wypełni. Potem wolno jej będzie wszystkiego ode mnie żądać. Te trzy życzenia moje takie są: po pierwsze, ma zabić w obecności Nikostrata najulubieńszego z jego sokołów, po drugie, przysłać mi trochę włosów z brody swego męża, a po trzecie, wręczyć mi ząb jego, i to najlepszy z tych, jakie mu jeszcze pozostały.

Warunki te wielce uciążliwymi Lusce się wydały, a jeszcze cięższymi jej pani. Miłość jednak, która ludzi bojaźliwych w zuchów, a dobrodusznych w przebiegłych zamienia, podszepnęła jej, jak te warunki wypełnić. Odpowiedziała tedy pani Lidia przez służkę Pyrrhusowi, że wszystko, czego on żąda, wkrótce spełnione zostanie. Krom tego, ponieważ Pyrrhus uważa Nikostrata za tak mądrego człowieka, tedy ona przyrzeka mu, że w przytomności męża miłosnej igraszki z nim użyje, a w męża swego przy tym wmówi, że to, co widział, przywidzeniem było.

Pyrrhus, taką odpowiedź odebrawszy, czekał z ciekawością, jak dama sobie poradzi. Po upływie kilku dni Nikostrato wydał wielką ucztę, na którą, jak zwykle, wielką ilość różnych panów sprosił. Gdy się biesiada skończyła i gdy stoły uprzątnięto, weszła do komnaty pani Lidia w szacie z zielonego aksamitu, obsypanej klejnotami. Pozdrowiwszy obecnych podeszła do drążka, na którym siedział najmilszy sokół Nikostrata, zdjęła go, jakby chcąc się z nim pobawić, a potem na oczach Pyrrhusa i wszystkich obecnych rzuciła nim o ścianę tak silnie, że upadł martwy na ziemię.

Na ten widok Nikostrato wykrzyknął:

— Dla Boga, coś uczyniła?

Lidia nic nie odpowiedziawszy zwróciła się do przytomnych panów i rzekła:

— Zemściłabym się na królu, gdyby mnie skrzywdził, dlaczegóżbym tedy nie miała się pomścić z tego samego powodu na sokole? Wiedzcie, że ten ptak pozbawiał mnie od dawna towarzystwa mego męża w porze, kiedy mężczyzna zwykł dbać o zapewnienie przyjemności kobiecie. Gdy tylko świt się uczynił, Nikostrato zrywał się z pościeli, brał sokoła, siadał na koń i pędził przed się po to jedynie, aby napatrzyć się do syta lotowi swego ptaka, a ja zasię przez ten czas samotna pozostawałam w łożu. Dlatego też dawno przyrzekłam sobie, że uczynię to, co uczyniłam przed chwilą. Jeśli dotychczas hamowałam się, to jedynie dlatego, aby tej pomsty dokonać w przytomności takich jak wy rycerzy, którzy jak mniemam, całkowitą słuszność mi przyznacie.

Przytomni, do których pani Lidia z podobnymi słowy się obróciła, w przekonaniu, że istotnie miłość do Nikostrata do takiego kroku ją pobudziła, roześmieli się serdecznie i rzekli do wielce gniewliwego Nikostrata:

— Powinieneś się cieszyć, że żona twoja za tak wielkie przykrości tylko na sokole twoim zemstę wywarła.

Nikostrato nic na to nie odparł. Aliści gdy pani Lidia komnatę opuściła, wszyscy tak wesoło z tego zdarzenia dworować jęli, że wreszcie i jego gniew miejsca wesołości ustąpił. Pyrrhus zasię, który był temu wszystkiemu przytomny, rzekł sam do siebie: »Zaiste, pięknie z pierwszej obietnicy się wywiązała — dałby Bóg, aby dalej równie dobrze poszło«.

Po upływie kilku dni zdarzyło się, że Nikostrato, bawiąc u swojej żony i żartując z nią pociągnął ją lekko za włosy. Pani Lidia skorzystała w lot z tej sposobności, a chcąc drugiemu żądaniu Pyrrhusa zadość uczynić, wśród śmiechów i żartów, schwyciła za brodę Nikostrata i pociągnęła za nią tak mocno, że garść włosów w ręku jej pozostała.

Nikostrato porwał się gniewny, aliści Lidia rzekła pieszczenie:

— I za cóż to gniewne oblicze mi pokazujesz? Za to, że ci sześć włosków z brody wyrwałam? Mnie daleko więcej bolało, gdyś mnie za włosy ułapił, a przecie ani się nie skrzywiłam.

I obróciwszy wszystko w śmiech, kosmyk zmyślnie ukryła, a poczciwego męża zdołała nieco udobruchać. Po jego odejściu bez zwłoki posłała włosy Pyrrhusowi.

Aliści trzeci warunek młodzieńca wydawał się Lidii najtrudniejszym zadaniem. Jednakowoż i tu przyrodzony rozum, któremu miłość jeszcze chytrości dodała, nie opuścił naszej damy, tak iż w końcu obmyśliła skuteczny środek.

Na dworze Nikostrata znajdowało się dwóch otroków, których mu ojcowie pod opiekę oddali, z prośbą, aby im pozwolił w domu swoim nauczyć się dobrych obyczajów i innych rzeczy, stosownych ich szlachetnemu pochodzeniu. Jeden z tych otroków, gdy Nikostrato przy stole siedział, krajał mu mięso, a drugi wina nalewał. Otóż pani Lidia wezwała ich obu do siebie i wmówiwszy w nich, że oddech niemiły mają, kazała, aby obsługując Nikostrata, twarz o ile możności od niego odwracali. Zabroniła im jednak o tym poleceniu swoim komukolwiek wspominać.

Chłopcy, uwierzywszy jej, jęli od tej pory postępować wedle jej rozkazu. Po pewnym czasie pani Lidia spytała Nikostrata:

— Czyś zauważył, jakie miny ci chłopcy stroją, obsługując cię?

— Tak jest — odparł żywo Nikostrato — i miałem ich się nawet spytać, co znaczy to uparte odwracanie głowy.

— Nie czyń tego — odrzekła pani Lidia — i dowiedz się o jednej rzeczy, którą dotąd zatajałam z obawy urażenia cię. Teraz jednak, przekonawszy się, że i innych to mierzi, powiedzieć ci o tym muszę. Wiedz tedy, że masz oddech bardzo niemiły, nie wiedzieć, wierę, z jakiej przyczyny, bowiem nigdy tego dotąd nie bywało. Należy jednak, abyś wiedział o tym i starał się temu zaradzić, rzecz to bowiem przykra wielce, zwłaszcza dla człowieka, który z tak znacznymi ludźmi przebywa. Warto by się tedy przekonać, skąd to zło płynie, i poszukać stosownego na nie środka.

— Cóż to być może? — zawołał niespokojnie Nikostrato. — Chyba któryś ząb mi się psuje.

— Bardzo być może — odrzekła pani Lidia.

Po tych słowach podeszli oboje ku oknu. Nikostrato szeroko usta otworzył. Ledwie jednak pani Lidia w głąb ust mu zajrzała, krzyknęła głośno:

— Jakżeś ty mógł tak długo cierpieć, Nikostracie?! Przecie z prawej strony masz ząb nie tylko dziurawy, ale całkiem popsuty. Jeżeli go się nie pozbędziesz, wszystkie sąsiednie psuć ci się zaczną. Radzę ci więc, każ go wyrwać, póki czas jeszcze.

— Słusznie mówisz — odparł Nikostrato — poślij tedy zaraz po cyrulika, aby mi go wyciągnął.

— Niech mnie Bóg broni — żywo zawołała żona — abym tu miała cyrulika sprowadzać. Ci ludzie okrutni są wielce; serce mi mdleje na samą myśl, że mogłabym ujrzeć cię w rękach jednego z nich. Wolę już sama zabrać się do wyjęcia go, co zresztą nie wydaje mi się rzeczą trudną, bowiem ząb ten w dobrym miejscu się znajduje. Krom tego, jeśli cię już zbyt boleć będzie, ząb w spokoju ostawię, czego by cyrulik nigdy nie uczynił.

To rzekłszy, kazała przynieść sobie potrzebne narzędzia, wyprawiła wszystkich oprócz Luski z komnaty, zamknęła drzwi na klucz i wezwawszy Nikostrata, ażeby się na stole położył, przystąpiła do zabiegu. Luska krzepko swego pana trzymała. Lidia w jednej chwili pochwyciła obcęgami ząb Nikostrata i pociągnęła zań tak mocno, iż mimo wrzasku męża i szarpania się z korzeniem ząb mu wyrwała. Nim jęczący i na pół martwy Nikostrato przyszedł do siebie, Lidia zamieniła zdrowy ząb na inny, całkiem popsuty, który umyślnie w tym celu przygotowała, a gdy nieszczęsny mąż oczy otworzył, rzekła podając mu ów kawałek spróchniałej kości:

— Popatrz, coś tak długo w ustach nosił!

Wzdrygnął się Nikostrato na widok zęba, który mu żona pokazała, i pomyślawszy, że się takiej obrzydliwości pozbył, mimo mocnego bólu, którego wciąż jeszcze doznawał, poczuł się jakby uleczony. Pokrzepiwszy się nieco różnymi trunkami, gdy ból złagodniał, radosny prawie wyszedł z komnaty. Pani Lidia zasię czym prędzej posłała ząb męża Pyrrhusowi. Pyrrhus, uwierzywszy w miłość Lidii, gotów był wszystkie jej życzenia wypełnić. Aliści pani Lidia, mimo że każda chwila dzieląca ją od szczęścia wiekiem jej się zdawała, dotrzymać chciała w całości tego, co przyrzekła, i upewnić go całkowicie. Minęło kilka dni. Pewnego razu pani Lidia, gdy Nikostrato w towarzystwie Pyrrhusa po południu ją odwiedził, udała, że czuje się bardzo słabą, i poprosiła ich, aby jej pomogli zejść do ogrodu i świeżym powietrzem odetchnąć. Nikostrato i Pyrrhus, posłuszni temu wezwaniu, wzięli ją pod ręce, powoli znieśli do ogrodu i posadzili na świeżej murawie u stóp pięknej gruszy. Odetchnąwszy chwilę, pani Lidia, która już wprzódy porozumiała się szczegółowo z Pyrrhusem, odezwała się do niego:

— Pyrrhusie, czuję niezmierną chęć na te piękne gruszki, wiszące nad moją głową. Wejdźże na drzewo i strząśnij ich kilka.

Pyrrhus żywo wdrapał się na gruszę i począł z niej owoce strząsać; nagle jednak zatrzymał się i zawołał:

— Ach, panie, co też wyrabiacie? A tobie, pani, czy nie wstyd na podobne rzeczy w przytomności mojej pozwalać? Czy myślisz, że jestem ślepy? Przed chwilą skarżyłaś się, że jesteś tak bardzo chora, teraz zasię wyzdrowiałaś już, jak widzę, bowiem ci na zapale nie zbywa! Tak się nie godzi! Macie przecie tyle pięknych komnat, w których ukryć się możecie, ile razy wam na podobne rzeczy przyjdzie ochota, w każdym razie byłoby to obyczajniejszą rzeczą niźli wobec mnie tak figlować.

Na te słowa pani Lidia obróciła się do męża i zawołała ze zdziwieniem:

— Co on plecie? Zaliżby oszalał?

— Bynajmniej — odparł Pyrrhus z drzewa. — Anim nie oszalał, ani ślepy nie jestem i nie trzeba było na to liczyć!...

Nikostrato, równie zdziwiony, rzekł:

— Wyczmuć się ze snu, Pyrrhusie, bredzisz bowiem okrutnie.

— Panie — odparł Pyrrhus — wiem na pewno, że nie śpię, a widzę takoż, że i wam na sen się nie zbiera, bowiem trzęsiecie się i ruszacie tak zapalczywie, że gdyby to drzewo naśladować was zechciało, ani jeden owoc na nim by nie pozostał.

— Co to znaczyć może? — szepnęła na te słowa pani Lidia do swego męża. — Miałożby mu naprawdę wydawać się to wszystko, o czym mówi? To rzecz osobliwa! Dalibóg, gdybym nie była tak słaba, weszłabym na drzewo, aby się przekonać na własne oczy, czy podobne przywidzenie jest możliwe?

Tymczasem Pyrrhus, siedząc na drzewie, to samo ciągle powtarzał, co tak wreszcie zniecierpliwiło Nikostrata, że zawołał:

— Zleź!

Pyrrhus posłuchał, zsunął się z gruszy i stanął przed Nikostratem.

— Coś widział, jako powiadasz, z drzewa? — zapytał Nikostrato.

— Możecie mnie za głupca lub urzeczonego poczytać — odparł Pyrrhus — jednakoż skoro już wiedzieć chcecie, opowiem o wszystkim, com widział. Nie zaprzeczycie mi chyba, panie, że pieściliście gorąco swoją żonę, podczas gdym ja siedział na drzewie. Dopiero gdy schodzić zacząłem, zerwaliście się i usiedliście na tym miejscu, gdzie was teraz widzę.

— Zaiste, chybaś zmysły postradał! — zawołał Nikostrato — od chwili jak wszedłeś na to drzewo, ja ani żona nie ruszyliśmy się z miejsca, na którym nas zostawiłeś.

— Dajmy więc temu pokój, com widział, tom widział — odrzekł drwiąco Pyrrhus. — Zresztą używaliście, panie, swojej własności, nikt wam więc tego za złe wziąć nie może!

Nikostrato, zadziwiony coraz bardziej tym, że Pyrrhus tak uparcie przy swoim twierdzeniu obstaje, zawołał:

— Czekaj! Wejdę tedy sam na drzewo i przekonam się, czyś ty oszalał, czy też ta grusza zaczarowaniu podlega.

To rzekłszy, na wierzchołek drapać się począł. Dama i Pyrrhus, ujrzawszy go na gałęzi, jęli się pieścić nawzajem. Na ten widok Nikostrato wrzasnął z drzewa:

— Do pioruna, bezecna białogłowo, i ty, Pyrrhusie, któremu tak ufałem, co wyrabiacie?

— Siedzimy spokojnie — odrzekli oboje zapytani. Po chwili, widząc, że Nikostrato schodzić z drzewa poczyna, rozdzielili się co prędzej i na dawnych miejscach usiedli. Tymczasem Nikostrato stanął na ziemi i zwróciwszy się do obojga, lżyć ich począł. Pyrrhus odparł mu w te słowa:

— Wstrzymajcie się, Nikostracie! Teraz dowodnie przekonywam się, że w samej rzeczy, jak to niedawno rzekliście, uległem złudzeniu, siedząc na tej osobliwej gruszy. W mniemaniu moim gruntuje mnie to, że i wy podobnej złudzie podlegliście. Cóż wam bowiem do głowy przychodzi? Jak możecie o podobną rzecz posądzać żonę swoją, która jest wielce obyczajną i szlachetną białogłową? Gdyby pani Lidia chciała podobną ujmę wam wyrządzić, pewnie by tego na waszych oczach nie czyniła. Siebie nawet bronić nie myślę, czuję bowiem, że pierwej na ćwierci dałbym się porąbać, niżbym o czymś podobnym odważył się pomyśleć, a cóż dopiero dokonać tego, i to jeszcze w przytomności waszej! W gruszy tej, wierę, szatańska moc jakaś siedzieć musi, ona to tumanem ludzkie oczy przesłania. Widziałem, jak trzymaliście żonę swoję w ramionach, i nigdybym nie uwierzył, że to nie była prawda, gdybym od was, panie, się nie dowiedział, że i wam się podobne niedorzeczności przywidziały, które mnie ani przez myśl nie przeszły.

Lidia, która przez cały ciąg mowy Pyrrhusa gwałtowne okazywała poruszenie, wstała i zwracając się do Nikostrata, zawołała:

— Niech cię niebo ukarze za to bezecne posądzenie, którym mnie obraziłeś... Zarzuciłeś mi nieuczciwość i głupotę zarazem. Gdybym chciała rogi ci przyprawić, z pewnością nie przyszłabym tutaj, aby na oczach twoich rozkoszy używać, jeno bym się

z grzechem swoim dobrze w komnatach naszych przed tobą zataiła, iżbyś się nigdy o tym nie dowiedział.

Nikostrato, zbity całkiem z tropu słowami Pyrrhusa i gniewem żony, zważył, że istotnie nikt z nich dwojga do czegoś podobnego na jego oczach posunąć by się nie mógł. Zaprzestał więc gniewnych słów, a rozwodzić począł się nad niezwykłością tego czaru, który tak łudzi wzrok osoby siedzącej na gruszy.

Pani Lidia uczyniła jednak pozór, że nadal na męża swego się gniewa i zawołała:

— Przysięgam, że ta przeklęta grusza nigdy już podobnie hańbiącego posądzenia na żadną białogłowę nie ściągnie. Biegnij, Pyrrhusie, przynieś siekierę i pomścij mnie i siebie zarazem. Zrąb to obrzydliwe drzewo, chociaż, wierę, raczej by tą siekierą Nikostrata ugodzić należało za to, że tak łacno i bez rozwagi niedorzecznemu złudzeniu dał się owładnąć… Bo choćby nawet oczom twoim wydało się prawdziwym to, o czym mówiłeś, za nic na świecie nie powinieneś był dać temu wiary twym umysłem.

Pyrrhus pobiegł po siekierę i przyniósłszy ją począł z gniewem gruszę podcinać. Po kilku uderzeniach drzewo runęło. Wówczas pani Lidia zwracając się do Nikostrata rzekła:

— Teraz, gdy zginął wróg czci mojej, już się więcej na ciebie gniewać nie będę.

Na te słowa Nikostrato przystąpił do niej i poprosił o przebaczenie, którego mu uprzejmie udzieliła, pod warunkiem jednak, że nigdy już jej, miłującej go nad życie, tak haniebnym posądzeniem nie skrzywdzi. Po czym biedny i sprytnie oszukany małżonek z żoną i Pyrrhusem do pałacu powrócił. Miłośnicy w nim nieraz jeszcze z wielką swobodą rozkoszy używali. Oby i nas niebo podobnym szczęściem obdarzyło!”.

Opowieść dziesiąta. Gość z tamtego świata

Dwóch Sieneńczyków miłuje pewną białogłowę, będącą kumą jednego z nich. Kum umiera i zgodnie z obietnicą, pojawia się przyjacielowi, aby opowiedzieć, jak na tamtym świecie mu się wiedzie.

Już tylko król w tym dniu miał opowiadać. Gdy damy, żałujące tak niewinnie ukaranej gruszy, nieco się uspokoiły, zaczął w te słowa:

— Zaiste, każdy sprawiedliwy król musi być najtroskliwszym stróżem praw, nadanych przez samego siebie; inaczej bowiem nie królem, ale godnym kary niewolnikiem nazwać by go należało. Obawiam się, że ja, król wasz, jakby z konieczności, na podobną naganę zasłużę. Gdy wczoraj podałem wam materię do

dzisiejszych opowiadań, uczyniłem to w chęci niekorzystania na ten raz z mojego przywileju i osnucia powieści mojej na tym samym przedmiocie, na którym wy swoje osnuliście. Tymczasem nie tylko to, com opowiedzieć zamyślał, ktoś inny już opowiedział, ale nadto podana przeze mnie materia tak pięknie i tak obficie przez was wyzyskana została, że widzę, iż w tym przedmiocie nic już równie pięknego znaleźć nie potrafię, choćbym nie wiem jak szperał w pamięci. Muszę tedy wybrać inną materię i sam przeciw nadanemu przez siebie prawu zgrzeszyć. Poddaję się z góry wszelkiej karze, jaką mi za to wymierzyć zechcecie, aliści przedtem skorzystam z mego przywileju. Nowela Elizy o kumotrze i kumoszce tak mi się podobała, a głupota Sieneńczyków tak mnie pociąga, że ostawiając na stronie figle mądrych białogłów, oszukujących swoich nierozgarnionych mężów, opowiem wam także pewną sieneńską historię. Wiele rzeczy w niej niepodobnymi do wiary wam się wyda, niemniej jednak historia ta wielce zabawną i godną wysłuchania być mi się zdawa.

„W Sienie żyli niegdyś dwaj młodzieńcy z ludu, z których jeden Tingoccio Mini, a drugi Meuccio di Tura się nazywał. Mieszkali oni przy Porta Salaia; nie przestawali z nikim prawie, tylko z sobą, bowiem jak się zdawało, gorąca przyjaźń ich łączyła. Zdarzyło im się często słyszeć na kazaniach o rozkoszach lub mękach, które na tamtym świecie wedle zasługi stają się udziałem zmarłych. Młodzieńcy zapragnęli gorąco dowiedzieć się czegoś pewnego o zagrobowym świecie. Długo myśleli nad tym, aż wreszcie, wedle swego mniemania, stosowny środek wymyślili. Obiecali sobie mianowicie nawzajem, że ten, kto z nich pierwej umrze, jeśli zdoła, pozostałemu przy życiu przyjacielowi się pojawi i wiadomość o tamtym świecie mu przyniesie. Przyrzeczenie to obopólną przysięgą później potwierdzone zostało. Po pewnym czasie zdarzyło się, że Tingoccio stał się kumem niejakiego Ambrogia Anselmini, zamieszkującego Camporeggi, i jego żony, pani Mity, trzymał im bowiem do chrztu syna. Spostrzegłszy wdzięki kumoszki, która była świeżą i urodziwą białogłową, na przekór powinowactwu rozmiłował się w niej, przy tym tak często przed Meucciem ją wychwalał, że ten zapragnął również tak miłą osobę poznać. Ujrzawszy ją, także się w niej zakochał. Obydwaj afekt swój starannie skrywali, każdy z innej przyczyny. Tingoccio strzegł się miłość swoją Meucciowi wyjawić, sądził bowiem, że grzech popełnia, miłując kumę swoją, i że każdy, kto by się o tym dowiedział, za grzech by mu to poczytał. Meuccio zasię milczał dla tej przyczyny, iż piękna pani Mita Tingucciowi się podobała. »Jeśli mu wyznam, że ją kocham — myślał — poczuje zazdrość względem mnie, a ponieważ, jako kum, ma wszelką łatwość przebywania z nią, ile razy zechce,

będzie się starał przy każdej sposobności mi szkodzić. Tym sposobem zagrodzi mi raz na zawsze drogę do osiągnięcia moich pragnień«.

Taki stan trwał przez czas pewien. Wreszcie Tingoccio, mający więcej sposobności do objawienia pani Micie afektów swoich, słowami i podarkami tak jej zalecić się potrafił, że do gorących jego pragnień się przychyliła. Meuccio wkrótce ku wielkiej przykrości swojej to zauważył, choć mu to nie w smak było, z obawy jednak, aby Tingoccia sobie nie narazić i przeciwko sobie nie obrócić, w nadziei, że i na niego kiedyś może kolej przyjdzie, udał, że nic nie widzi i nic nie odgaduje. Tak żyli nasi dwaj przyjaciele, jeden szczęśliwy, drugi w oczekiwaniu szczęścia, gdy nagle Tingoccio, który z wielkim zapałem nad uszczęśliwieniem swojej kumoszki pracował, widocznie ze zbytniej gorliwości tak ciężko zachorzał, że po kilku dniach rozstał się z tym światem.

W trzy dni dopiero po śmierci swojej (ani chybi bowiem pierwej nie mógł), wierny danej przez się obietnicy, pokazał się w nocy Meucciowi, w głębokim śnie pogrążonemu. Na dźwięk jego głosu ocknął się Meuccio i zawołał:

— Kto to?

— To ja, Tingoccio — odrzekł duch — zgodnie z daną obietnicą przynoszę ci wieści z tamtego świata.

Meuccio przeraził się tymi słowy, zebrawszy się jednak po chwili na odwagę, rzekł:

— Witaj mi, bracie, zali zgubiony jesteś?

— Zgubiony? — odparł Tingoccio — zgubione są tylko rzeczy, których odnaleźć nie sposób, a jakżeż ja mógłbym być tutaj, gdybym był zgubiony?

— Źle mnie pojąłeś — przerwał mu Meuccio — pytałem się bowiem, czy znajdujesz się między duszami w trawiącym ogniu piekielnym?

— Tak źle nie jest — odparł Tingoccio — w każdym razie jednak z powodu popełnionych grzechów wielkie i okrutne męczarnie znoszę.

Meuccio począł wypytywać ducha, jakie kary spotykają umarłych na tamtym świecie za ten lub ów grzech za życia popełniony, a Tingoccio na wszystko szczegółowo odpowiadał.

Po czym Meuccio zapytał, czy nie mógłby w czymkolwiek mu dopomóc, na co Tingoccio odparł, że owszem, a mianowicie, dając na mszę, modląc się i jałmużny sypiąc, to bowiem na tamtym świecie wielką ulgę duszom przynosi. Meuccio przyrzekł mu uroczyście uczynić to dla niego i zamilkł, gdy jednak ujrzał, że Tingoccio już do odejścia się zbiera, przypomniał sobie o kumoszce Micie i zatrzymał ducha, dźwignąwszy głowę nieco w górę.

— Ach, Tingoccio! — zawołał — dobrze, że mi to na myśl przyszło; jaką też karę naznaczono ci za to, żeś na tym świecie sypiał tak często ze swoją kumą?

— Bracie — odparł Tingoccio — przybywszy tam, spotkałem istotę, która zdała się wszystkie grzechy moje na pamięć umieć. Istota ta kazała mi udać się w pewne miejsce, gdzie z ciężką skruchą wśród strasznych mąk winy moje opłakiwać musiałem pospołu z wieloma towarzyszami skazanymi na podobną pokutę. Gdy mi kumoszka moja na myśl przyszła, jąłem oczekiwać sroższej jeszcze kary od tej, co mnie już spotkała, zadrżałem ze strachu, mimo żem wśród żaru piekielnych płomieni się znajdował. Wówczas jeden z towarzyszów mojej niedoli, spostrzegłszy stan mój, zapytał:

— Musiałeś chyba popełnić grzech cięższy niż grzechy wszystkich tutaj przytomnych, skoro drżysz pośród płomieni?

— Ach, dobry przyjacielu — odrzekłem — drżę z obawy srogiego wyroku, który na mnie niezawodnie spadnie za grzech wielki, jaki popełniłem.

Duch zapytał mnie, jaki to grzech mam na sumieniu.

— Sypiałem tak często z kumą moją — odparłem — żem siły swoje zupełnie sterał.

Usłyszawszy to, duch roześmiał mi się w oczy i zawołał:

— Nie bój się, głupcze, bowiem tu o kumoszki nikt nie dba.

Słowa te całkiem mnie uspokoiły.

W tej chwili świt się uczynił. Duch Tingoccia rzekł:

— Bądź zdrów, Meuccio, dłużej pozostawać tutaj nie mogę.

Po czym zniknął.

Meuccio zasię usłyszawszy, że na tamtym świecie kumostwa pod uwagę się nie bierze, obiecał sobie żyć zgoła inaczej. Przypomniawszy sobie, ile razy w życiu od stosunków z kumoszkami się wstrzymywał, obawiając się za to kary na tamtym świecie, rozśmiał się sam z siebie i postanowił na przyszłość być pod tym względem rozumniejszym. Gdyby bratu Rinaldowi wiadoma była ta okoliczność, nie byłby potrzebował uciekać się do wybiegów logicznych dla skłonienia swojej kumy".

Już słońce ku zachodowi się pochyliło i lekki wiatr się zbudził, gdy król, ostatni z mówców tego dnia, dokończywszy opowiadania swojego, wstał, zdjął wieniec z głowy, włożył go na skronie Lauretty i rzekł:

— Pani, tym wieńcem, uwitym z liści rośliny, której nazwa twemu imieniu odpowiada, koronuję cię na królowę naszego grona. Jako władczyni, nakazuj wszystko, co za pożyteczne dla uciechy i rozkoszy naszego towarzystwa uznasz.

Lauretta, zostawszy królową, poleciła natychmiast przywołać do siebie marszałka i rozkazała mu nieco wcześniej niż zwykle w uroczej dolinie stoły zastawić, tak aby towarzystwo po posiłku miało czas bez pośpiechu do pałacu powrócić. Wydała także rozporządzenie co do innych spraw na cały czas swoich rządów, a potem zwróciła się do całego grona i tak rzekła:

— Dioneo kazał nam wczoraj opowiadać o figlach, które żony mężom swoim wypłatały; gdybym się nie obawiała, że zostanę przyrównana do owych złośliwych kundli, które skwapliwie sposobność do zemsty chwytają, poleciłabym, abyście jutro opowiadali, jak to mężowie żony swoje nieraz na hak przywodzili — ostawiając to jednak na stronie, wzywam, aby każdy opowiadał, jak to powszechnie mężczyźni białogłowy, białogłowy mężczyzn albo też mężczyźni mężczyzn oszukują. Mam nadzieję, że dadzą się z tego przedmiotu wydobyć rzeczy równie krotochwilne jak z materii dzisiejszej.

Rzekłszy te słowa, wstała i dała towarzystwu swobodę aż do wieczerzy. Korzystając z wolności, mężczyźni i białogłowy podnieśli się żywo ze swoich miejsc; kilka osób, zdjąwszy obuwie, poczęło brodzić po przejrzystej wodzie, inni zasię jęli się przechadzać po zielonej łące pod cieniem pięknych, wysmukłych drzew.

Dioneo pospołu z Fiammettą śpiewali długo pieśń o Architasie i Palemonie. Wśród tych rozrywek czas im mile i szybko do wieczerzy upłynął. Po czym zasiedli za stołem, ustawionym wzdłuż pięknego stawu. Biesiada była wesoła wielce. Dokoła rozlegał się miły szczebiot tysiąca ptaków; od góry wiał łagodny wieczorny wietrzyk, nie dokuczały muchy.

Towarzystwo, wstawszy od stołu, jeszcze przez chwilę przechadzało się wkoło po uroczej dolinie, a potem gdy wieczór się przybliżył, na wezwanie królowej ruszyło wolnym krokiem w powrotną drogę. Wśród żartów i gawędy o różnych rzeczach — tych, co były przedmiotem opowieści, jako też i innych — doszli do pięknego pałacu już o zmierzchu. Pokrzepiwszy się chłodnym winem i ciastami po trudach niedalekiej przechadzki, towarzystwo zebrało się koło fontanny, aby oddać się tańcom pod wtór dudów Tyndara i innych muzycznych narzędzi. Wreszcie królowa rozkazała Filomenie pieśń zanucić. Ta zaczęła w te słowa:

Kiedyż mnie dola wspaniała
Znów na to miejsce powróci
Szczęśliwe, którem ze łzami żegnała?

W tęsknocie długiej pamięć mnie odbiegła,
Nie wiem, którędy dojść na miejsce ono,
Gdzie mi tak słodko wiosna życia zbiegła;
Więc ty, kochanku, moich snów korono,
Wiedź mnie tam. Kogoż innego o drogę
Śmiałabym pytać albo spytać mogę?!
O, niech twa ręka w piersi moje rzuci
Promień nadziei — a odkwitnę cała.
Jakimiż słowy wypowiem, co czuję —
Ten płomień, co mnie trawi bez pomocy,
Co sercu nie da spocząć w dzień ni w nocy,
Szczęściem napawa, a wraz i morduje.
Cierpienia zmysły moje odrętwiły,
Dłużej już czekać nie starczy mi siły!
Jeżeli dobroć twa męki nie skróci,
Ucieknie dusza moja z kajdan ciała!
Więc powiedz, czy cię ujrzę kiedy jeszcze
Na onym miejscu, gdziem wypiła jady
Z ust twych, palące razem i złowieszcze?
Za miłość moją, nieznającą zdrady,
I ból tak długi, pokorny i niemy —
Powiedz mi, kiedyż znów się tam zejdziemy.
Daj krótko czekać, a niech czas się zwróci
Niech się zatrzyma, gdy cię będę miała!
O, wtedy przeklnę po stokroć tę chwilę,
Gdym pozwoliła odejść ci od siebie;
Już się nie oprę twoich pragnień sile,
Wszystko, ach, wszystko uczynię dla ciebie!
Słuchaj — mój okrzyk ciszę nocną kłóci —
Przyjdź, mój najmilszy, czekam drżąca cała.

Piosenka Filomeny dała całemu towarzystwu poznakę o nowej i szczęśliwej w jej życiu miłości. Ponieważ ze słów jej wnieść można było, że nie tylko oczy swe nasyciła, niektórzy z obecnych zazdrościli jej szczęścia. Gdy wreszcie pieśń przebrzmiała,

królowa przypomniawszy sobie, że nazajutrz piątek przypada, powstała i odezwała się uprzejmie:

— Wiadomo wam, szlachetne damy, a także i wam, młodzieńcy, że jutro jest dzień poświęcony rozpamiętywaniu bolesnej męki naszego Zbawiciela, dzień, który jeśli sobie dobrze przypominam, za rządów Neifili pobożnie spędziliśmy, oddając się rozmyślaniom. Podobnie postąpiliśmy w sobotę. Pragnąc naśladować dobry przykład Neifili, uważam, że obyczajną będzie rzeczą, gdy jutro i pojutrze opowieściom spokój damy, a natomiast przyzwiemy na pamięć to, co w dniach owych dla zbawienia naszego się dokonało.

Wszystkim podobała się bardzo zbożna przemowa królowej. Tymczasem większa część nocy już przeszła. Co widząc, królowa wraz ze wszystkimi na spoczynek się udała.

Tu zamyka się siódmy dzień Dekameronu i zaczyna ósmy, w którym pod przewodem Lauretty rozprawia się o figlach, jakie każdego dnia albo niewiasty mężczyznom, albo mężczyźni niewiastom, albo mężczyźni wzajem sobie płatają.

Dzień ósmy

Promienie słońca zabłysły już na szczytach najwyższych gór w niedzielny ranek, mrok zniknął i najdrobniejszy przedmiot dobrze już rozeznać można było, gdy królowa z całym towarzystwem, ze snu powstawszy, odbyła krótką przechadzkę po rośnej trawie, a potem w połowie trzeciej godziny dnia udała się z całym gronem do pobliskiego kościółka. Po wysłuchaniu mszy powrót do domu nakazała. Po wesołym, odświętnym obiedzie trwały przez pewien czas śpiewy i tańce, po czym królowa pozwoliła wszystkim użyć spoczynku lub rozrywki, wedle woli. Gdy zaś słońce połowę swej drogi przebyło, zebrali się wszyscy, zgodnie z rozkazem królowej, koło fontanny, zasiedli w zwykłym porządku i Neifile, której zaczynać wypadło, w te słowa się odezwała:

Opowieść pierwsza. Przykry zawód

Gulfardo pożycza od Gasparruola pieniądze, po czym umawia się z jego żoną, że zapłaciwszy jej dwieście dukatów, noc z nią spędzi. Gulfardo wręcza jej pieniądze. Po kilku dniach w przytomności Gasparruola mówi, że oddał jego żonie cały dług.

— Jeżeli już się tak podobało niebu, abym w dniu dzisiejszym ja początek dała, tedy chętnie się temu poddaję i biorąc pochop z owych wybornych figlów, które w opowieściach waszych białogłowy mężczyznom płatały, dla odmiany opowiem, co pewien mężczyzna jednej białogłowie uczynił. Nie myślę jednak owego mężczyzny ganić ani twierdzić, że niesłusznie dostało się owej białogłowie, owszem, postępek jego chcę pochwalić, zganić zaś ową niewiastę, a zarazem pokazać wam, że nie brak mężczyzn wyprowadzających w pole tych, co im zaufali, tak jak i sami okpiwani są przez tych, w których ufność położyli. Po prawdzie wszakże, nazywając rzecz po imieniu, należałoby tu mówić nie o zakpieniu, ale o zasłużonej karze. Niewiasta bowiem winna być bezwzględnie uczciwą, a czystości swojej strzec jako życia własnego i za nic w świecie do plamy na niej nie dopuścić. Gdy zaś tego, dla słabości płci naszej, nie da się w pełni zachować, jakby należało, twierdzę, że na stos zasługuje taka, co za pieniądze da się przywieść do upadku. Bo jeśli miłość to sprawi, dając poznać swą niezmierzoną potęgę, to sędzia nie nazbyt bezwzględny przebaczyć winnej nie omieszka, jak to niedawno przedstawił Filostrato, opowiadając o przygodzie pani Filippy z Prato.

„Żył niegdyś w Mediolanie pewien Niemiec, parający się jako najemnik żołnierką, imieniem Gulfardo. Uchodził on za wielce odważnego człowieka i odznaczał się wielką wiernością wobec pana, któremu służył, co nie jest rzeczą zwykłą u ludzi należących do jego nacji. Ponieważ miał zwyczaj zaciągnięte długi spłacać rzetelnie, znajdował więc bez trudności za skromnym procentem pieniądze, ilekroć mu ich tylko było potrzeba.

Dzielny ten żołnierz zakochał się w pewnej urodziwej damie, imieniem Ambruogia, żonie Gasparruola Cagastraccio, bogatego mediolańskiego kupca, z którym żył w poufałych i przyjaznych stosunkach. Afekt swój tak zręcznie skrywać umiał, że mąż ani nikt w ogóle namiętności jego do pięknej damy nie spostrzegł. Po niejakim czasie odważył się wyrazić jej swoje uczucie i błagać ją o wzajemność, dodając, że dla pozyskania jej łask gotów jest wszystko uczynić. Piękna pani, po długich ceregielach, przychyliła się wreszcie do próśb jego pod warunkiem, że zachowa najgłębszą tajemnicę, a jako człek bogaty da jej dwieście dukatów, których jej właśnie potrzeba.

Niemile dotknęła Gulfarda ta niska chciwość damy, o którą nigdy jej nie podejrzewał. Niewiele już brakowało, aby miłość jego we wstręt się zamieniła; namyślił się jednak, nie dał nic poznać po sobie, a w duchu postanowił damę w pole wywieść.

Dlatego też kazał jej oznajmić, że chętnie na warunki jej przystaje i że wszystkie jej życzenia wypełni, prosi jeno, aby uwiadomiła go, kiedy ma przybyć. Przyniesie wówczas żądaną sumę. Nikt o niczym wiedział nie będzie krom jednego z jego przyjaciół, na

którym całkowicie polega i który zawsze mu towarzyszy, dokądkolwiekby się nie udawał.

Niegodziwa dama z wielkim ukontentowaniem te jego słowa przyjęła, po czym przez służkę dała mu znać, że mąż jej, Gasparruolo, wkrótce dla załatwienia kilku ważkich spraw do Genui się udaje, a wtedy ona go uprzedzi i do siebie zawezwie.

Wówczas Gulfardo, wybrawszy stosowną porę, udał się do Gasparruola i rzekł doń:

— Potrzeba mi dwustu złotych dukatów. Mniemam, że pożyczycie mi te pieniądze na takie same procenty, jakie płaciłem wam przy dawniejszych pożyczkach.

Gasparruolo odliczył mu natychmiast żądaną sumę, a po upływie kilku dni do Genui wyjechał. Po jego wyjeździe dama posłała do Gulfarda służkę z uwiadomieniem, że może przybyć dla wręczenia jej dwustu dukatów.

Gulfardo, w towarzystwie przyjaciela, udał się do domu oczekującej go damy. Przede wszystkim w obecności świadka wyliczył jej na rękę dwieście dukatów, po czym rzekł:

— Weźcie, pani, te pieniądze i wręczcie je swemu mężowi po jego powrocie.

Dama przyjęła pieniądze, nie domyślając się, dlaczego Gulfardo słowa te wyrzekł. Mniemała, że Gulfardo chce w ten sposób oczy swemu przyjacielowi zamydlić.

— Ochotnie je wręczę — odrzekła — trzeba je tylko przeliczyć.

Rzekłszy to, położyła pieniądze na stół, przeliczyła je i widząc, że ani jednego dukata nie brak, poszła schować złoto; po czym wprowadziła Gulfarda do sypialnej komnaty. Gulfardo do czasu powrotu Gasparruola niejedną miłą noc z jego żoną spędził.

Gdy Gasparruolo powrócił, Gulfardo odwiedził go i rzekł doń w przytomności damy:

— Nie zużyłem na nic tych pieniędzy, któreś mi niedawno pożyczył. Zaraz po twoim wyjeździe odniosłem je żonie twojej, dlatego też nic ci już winien nie jestem.

Gasparruolo, obróciwszy się do żony, zapytał, zali pieniądze otrzymała? Dama, mając w pamięci, że pieniądze przyjęła przy świadku, pojęła, że zaprzeczyć nie sposób. Dlatego też odparła:

— Tak jest w samej rzeczy. Pieniądze znajdują się u mnie, zapomniałam ci jeno powiedzieć o tym.

— Dobrze zatem — rzekł Gasparruolo — idź z Bogiem, Gulfardo, a ja skreślę twój rachunek.

Po odejściu Gulfarda wykpiona białogłowa oddała swemu mężowi dwieście dukatów, cenę swej niegodziwości. W ten sposób chytry miłośnik podszedł chciwą damę, nie straciwszy ani grosza".

Opowieść druga. Przypadki proboszcza z Varlungo

Proboszcz z Varlungo, przespawszy się z żoną kmiecia, swój płaszcz w zastaw jej oddaje, po czym pożycza od niej moździerz i odsyłając go, prosi o zwrot płaszcza, zostawionego jako zastaw. Niewiasta płaszcz oddaje, cięte dorzucając słowo.

Wszyscy jednogłośnie pochwalili chytrą sztuczkę, którą Gulfardo chciwej mediolańskiej damie wypłatał. Po czym królowa, obróciwszy się z uśmiechem do Panfila, opowiadać mu kazała.

Panfilo zaczął w te słowa:

— Piękne damy! Przychodzi mi na myśl historia dotycząca owych filutów, którzy raz po raz szkody nam czynią, gdy my odwzajemnić się im tą samą miarą nie możemy. Myślę o księżach. Gromią oni żony nasze i tylko wówczas skłonni są dać odpust za wszystkie grzechy, jeśli uda im się jedną z niewiast naszych powolną sobie uczynić. Wierę, pomyśleć by można, że w Awinionie nie papież, jeno aleksandryjski sułtan siedzi.

My, ludzie świeccy, nie zdołamy im nigdy równą monetą odpłacić, choćbyśmy z równą ich zapałowi gorliwością starali się mścić na ich matkach, siostrach, córkach i miłośnicach. Na dowód, jak można księżemu słowu wierzyć, chcę wam opowiedzieć ludową historię, niebogatą w fantazję, ale wedle mego zdania, wielce krotochwilną, zwłaszcza w konkluzji.

„W Varlungo, wioseczce, jak wiecie, niedaleko stąd położonej, żył niegdyś proboszcz, tęgi i chwacki mąż, będący wielkim niewiast lubownikiem. W czytaniu i pisaniu niezbyt celował, umiał jednak w dni świąteczne pod cieniem wiązu świętym słowem krzepić gromadkę swoją. Gorliwość jego kapłańska objawiała się szczególnie w stosunku do białogłów, które pod nieobecność ich mężów pilnie odwiedzał, przynosząc im zawsze w podarunku jakiś obrazek, wodę święconą, ułamek poświęconej gromnicy pospołu z swoim błogosławieństwem. Między owieczkami, z których wiele już doń należało, wpadła mu w oko szczególnie jedna, imieniem Belcolore, żona gospodarza, zwanego Bentivegna del Mazzo. Była to bardzo wesoła, świeża, czarniutka i jędrna białogłowa, zaprawiona w tarciu na żarnach lepiej niż jakakolwiek inna. Umiała grać na cymbałach i uchodziła we wsi za najlepszą śpiewaczkę, nikt bowiem tak jak ona nie umiał zanucić: »Leci woda, leci na zielone pole« lub zawieść riddę czy ballonchio, wdzięcznie chusteczką powiewając. Dla tych wszystkich przymiotów zadurzył się w niej nasz ojciec duchowny, i to tak zapalczywie, że cały dzień myślał tylko o niej i włóczył się

po polach, wypatrując, gdzie by ją spotkać można było. Kiedy zaś w niedzielę rano spostrzegł ją w kościele, to natężał się tak przy śpiewaniu Kyrie i Sanctus, że przysiąc by było można, iż się słyszy ryczącego osła. Przy tym wszystkim był o tyle ostrożny, że Bentivegna del Mazzo ani żadna z sąsiadek jego niczego się nie domyślali.

Dla pozyskania łask Belcolory proboszcz od czasu do czasu obdarzał ją to wiązką świeżego czosnku ze swego ogrodu, sławnego na całą okolicę, który sam uprawiał, to znów pełnym koszem zielonego bobu lub młodych cebulek majowych. A gdy mu się gdzieś na stronie przydybać ją udało, przymilał się do niej, to znów wyrzuty czynić jej zaczynał. Białogłowa udawała, że nic nie rozumie, i zachowywała się względem niego tak obojętnie, iż czcigodny pasterz do rozpaczy prawie dochodził. Pewnego dnia zdarzyło się, że proboszcz, przechadzając się z założonymi rękoma po polu, spotkał Bentivegna del Mazzo, pędzącego przed sobą osła objuczonego mnóstwem przedmiotów, i zaczepił go pytaniem, dokąd zmierza.

— A gdzieżby — odpowiedział Bentivegna — jeśli nie do miasta? Wiozę te rzeczy w podarunku panu Bonaccorri da Ginestreto, muszę bowiem szukać u niego poparcia w pewnej sprawie, w której pan prokurator sądu do siebie mnie wzywa i niechybnie stawić się przykazuje.

Proboszcz, pełen radości z tak szczęśliwego rzeczy obrotu, zawołał:

— Dobrze robisz, mój synu, radząc sobie w ten sposób! Przyjmij błogosławieństwo moje, ruszaj i wracaj prędko, a jeśli zobaczysz po drodze Lapuccia albo Naldina, nie zapomnij im powiedzieć, żeby mi jak najśpieszniej rzemienie do cepów przysłali.

Bentivegna obiecał to uczynić i pojechał dalej. Proboszcz zasię, ujrzawszy oddalającego się w stronę Florencji, pomyślał, że teraz sposobna chwila nastała, aby zajść do Belcolory i szczęścia u niej spróbować. Nie zwlekając tedy, wziął nogi za pas i co tchu w piersiach popędził do domu swej umiłowanej. Wszedłszy do sieni, zawołał:

— Pokój temu domowi! — Nie usłyszawszy odpowiedzi dodał: — Cóż to, zali nie ma tutaj nikogo?

Belcolore, znajdująca się w tej chwili na stryszku, odrzekła:

— Ach! To wy, panie, witajcie! Cóż was na taki skwar z domu wygania?

— Ech! na moją duszę — zawołał proboszcz — cóż by innego, jeśli nie chęć przepędzenia z tobą radosnej chwili w czasie nieobecności męża twego, którego spotkałem na drodze do Florencji!

Gdy tych słów domawiał, Belcolore zeszła ze stryszku, usiadła na ławie i poczęła przebierać konopne nasienie, które mąż jej zebrał przed kilku dniami.

Proboszcz, tą jej obojętnością do żywa dotknięty, zawołał:

— Belcolore, Belcolore, długoż mnie jeszcze w ten sposób zwodzić będziesz?...

— A cóż ja wam złego robię? — spytała śmiejąc się białogłowa.

— Nic mi nie robisz — odrzekł proboszcz — ale i mnie nie pozwalasz robić z tobą tego, czego bym gorąco pragnął i co samo niebo nakazało.

— No, no! — zawołała Belcolore. — Co też powiadacie! Czy i duchowne osoby podobne rzeczy czynią?

— Wiedz, że tak, i to lepiej od innych mężczyzn — odrzekł proboszcz. — Dlaczegoby zresztą inaczej być miało? Nie mamyż wszystkiego, co ku temu potrzebne? Sposobniejsi nawet jesteśmy do tej roboty od innych, bo rzadziej się jej imamy. Uwierz mi, że nie wyszłoby ci to na złe, gdybyś mi wstrętów nie czyniła.

— I cóż bym z tego miała? — odrzekła Belcolore. — Wiadoma to rzecz przecie, że wy wszyscy skąpsi jesteście od samego diabła.

— Ja skąpcem nie jestem — odparł proboszcz. — Wkrótce zresztą dowodnie się o tym przekonasz. Czego byś pragnęła? Pary trzewików, przepaski, sztuki pięknej materii? Żądaj tylko, a wszystko dać ci jestem gotów!

— Nie — rzekła Belcolore — to wszystko i ja posiadam, aliści jeżeliście naprawdę tak dla mnie łaskawi, jak powiadacie, uczyńcie mi inną przysługę, a ja za to odwdzięczę się wam wedle woli waszej.

— Mów tylko — zawołał proboszcz — a wszystko uczynię!

— Otóż — zaczęła Belcolore — w sobotę muszę jechać do Florencji dla oddania motków, które naprzędłam, i dla naprawy kołowrotka; przy tej sposobności mogłabym wyjąć z zastawu granatowy kaftanik i świąteczny pas skórzany ze sprzączką, który przyniosłam mężowi w posagu. Bez tych rzeczy nie mogę się nigdzie wśród ludzi pokazać ani do kościoła pójść w odpust. Na wykup potrzeba mi tylko pięciu lirów. Pożyczcie mi tych pięć lirów, bo wiem, że je macie, a potem żądajcie, co wam się podoba.

— Przysięgam ci — odrzekł na to proboszcz — że nie mam tylu pieniędzy przy sobie. Daję ci jednak słowo, że przed sobotą jeszcze będziesz miała pięć lirów.

— Ech! — zawołała Belcolore — obiecanka, cacanka!... Znam ja wasze obietnice i wiem, jak dotrzymujecie słowa! Myślicie, że dam się tak na hak przywieść jak Biliuzza, którąście z kwitkiem odprawili, aby się później na nic rozpuściła... Oho, nic z tego, dalipan! Jeżeli nie macie tych pieniędzy przy sobie, tedy idźcie po nie.

— Ach! — rzekł błagalnie proboszcz — nie wysyłaj mnie teraz do domu! Trafiłem na szczęśliwą porę, kiedy tu nikogo nie ma; kto wie, czy za powrotem nie znajdę jakiegoś natręta, który mi ukradnie tę drogą sposobność. A podobna może nieprędko się przydarzyć.

— Dobrze, dobrze — odparła Belcolore — jeśli chcecie, idźcie, jeśli zaś nie chcecie, to zostańcie, ale w tym wypadku niczego ode mnie nie oczekujcie.

Proboszcz, widząc, że nic nie wskóra, i bojąc się, aby białogłowa nie zawołała salvum me fac, podczas gdy on pragnął odbyć rzecz całą sine custodia, rzekł wreszcie:

— Nie wierzysz mi, że ci pieniądze przyniosę? Ostawię ci zatem w zastaw ten płaszcz niebieski, który mam na sobie.

Belcolore podniosła oczy i rzekła:

— A ileż ten płaszcz wart?

— Ile jest wart? — zawołał proboszcz. — Trzeba ci wiedzieć, że skrojony został z bardzo przedniego sukna i że nie ma jeszcze czternastu dni, jak go kupiłem u Lotta za całych siedem lirów. Wart jest przynajmnieć pięć soldów więcej, jak mnie zapewniał Buglietto, który jak wiadomo, na takich przedmiotach zna się na schwał.

— Doprawdy? — zawołała Belcolore. — Nigdy bym w to nie uwierzyła. Oddajcie mi go jednak najprzód.

Ojciec duchowny czując, że zbyt napięta cięciwa pęknąć może, zdjął płaszcz z siebie i oddał go białogłowie. Belcolore schowała go starannie, a potem rzekła:

— Chodźmy teraz na śpichrz, tam nam nikt nie przeszkodzi.

I poszli.

Wielebny ojciec przez długi czas jej wdziękami się cieszył i wśród najczulszych pieszczot krewniaczką pana Boga ją czynił. Po czym w sutannie tylko, jak gdyby z jakiegoś wesela, do plebanii powrócił. Wszedłszy do komnaty zadumał się i obliczył, że wszystkie świeczki, ofiarowane przez wiernych w ciągu całego roku, i połowy sumy pięciu lirów nie wyniosą. Spostrzegł, że źle uczynił, i tak mu się żal zrobiło płaszcza oddanego w zastaw, że postanowił bez najmniejszej zapłaty go odebrać. Długo się głowił, aż wreszcie stosowny sposób wymyślił.

Następnego dnia, a było to właśnie w niedzielę, posłał chłopca służącego do mszy, syna sąsiada, do domu Bentivegna z prośbą, aby Belcolore była łaskawa pożyczyć mu kamienny moździerz, bowiem tego dnia będzie miał na obiedzie u siebie Binguccia del Pogigo i Nuta Buglietti, których chciałby słodkimi wetami przyjąć.

Belcolore moździerz pożyczyła. Proboszcz poczekał do pory obiadowej. Przewidując, że Belcolore pospołu z mężem siedzieć już przy stole musi, zawołał chłopca i rzekł do niego:

— Weź ten moździerz, odnieś go Belcolore z powrotem i tak powiedz: »Ksiądz proboszcz dziękuje wam bardzo za pożyczenie i prosi o zwrot płaszcza, który tu chłopiec jego jako zastaw za moździerz wam wręczył«.

Chłopiec udał się do domu Belcolore, którą z mężem przy obiedzie zastał. Postawiwszy przed nią moździerz powiedział, co mu powiedzieć polecono. Belcolore widząc, jakiego figla chce jej proboszcz wypłatać, chciała odpowiedzieć, ale Bentivegna przerwał jej, wołając gniewnie:

— Co takiego? Śmiesz żądać zastawu od naszego czcigodnego proboszcza? Na mękę Chrystusową przysięgam ci, że bierze mnie niezmierna ochota potężnego szczutka ci wymierzyć. Oddaj zaraz ten płaszcz, do stu czartów, i strzeż się w przyszłości coś podobnego uczynić! O cokolwiek by ojciec duchowny, choćby nawet o osła naszego, prosił, nie waż się mu odmówić.

Belcolore wstała od stołu, mrucząc gniewnie, potem otworzyła skrzynię, wyjęła ze złością płaszcz i oddała go chłopcu z tymi słowy:

— Powiedz ode mnie swemu panu, że Belcolore przysięga przed Bogiem, iż nigdy już dobrodziejowi nie pozwoli nic tłuc w swoim moździerzu!...

Bentivegna mniemał, że żona mówi to pod wpływem jego słów gniewnych, i wagi do tego nie przywiązywał.

Chłopiec zaniósł tę odpowiedź proboszczowi. Ten rozśmiał się i rzekł doń:

— Powiedz jej, gdy ją obaczysz, że jeśli ona mi już nigdy moździerza swego nie użyczy, to ja jej nigdy tłuczka mego nie dam; a jedno wszak warte jest drugiego.

Przez długi czas po tej historii Belcolore na swego pasterza gniewne miny stroiła, gdy jednak w czasie winobrania proboszcz zagroził jej, że ją pośle wprost w samą paszczę Lucypera po śmierci, z wielkiego strachu pogodziła się z nim i w szopie zgodę przypieczętowała przy świeżym moszczu i pieczonych kasztanach. Aby ją zasię całkowicie udobruchać, kazał jej dobry proboszcz dla odwetowania owych pięciu lirów tamburino nową skórą obciągnąć i dzwonek przy nim zawiesić, czym ją ostatecznie ułagodził."

Opowieść trzecia. Poczciwy Calandrino

Calandrino, Bruno i Buffalmacco szukają w Mugnone cudownego kamienia. Calandrino mniema, że go znalazł. Powraca tedy do domu z kupą kamieni. Żona łaje go. Calandrino, srodze rozdrażniony, bije ją, co się zmieści, po czym opowiada towarzyszom swoim o tym, o czym oni lepiej od niego wiedzą.

Skoro opowiadanie Panfila — przy którym damy taki śmiech opanował, że dotąd jeszcze się śmieją — do kresu doprowadzone zostało, królowa z kolei na Elizę skinęła. Ta, wciąż jeszcze się śmiejąc, tak zaczęła:

— Nie spodziewam się, miłe towarzyszki, aby mi się udało moją krótką powieścią, równie krotochwilną, jak prawdziwą, tak was rozśmieszyć, jak Panfilowi przed chwilą. Spróbuję jednak.

„W mieście naszym, zawsze w różne obyczaje i dziwnych ludzi obfitującym, żył przed niedawnym czasem malarz, nazwiskiem Calandrino, człek prosty i dziwak wielki. Obcował on zwykle z dwoma innymi malarzami, z których jeden zwał się Bruno, a drugi Buffalmacco. Byli to dwaj zawołani figlarze — zresztą bystrzy i roztropni ludzie. Przebywali oni często z Calandrinem, aby się z jego prostoty naśmiewać i różne sztuczki mu płatać. W tym czasie mieszkał także we Florencji pewien przemiły, wesoły i przedsiębiorczy młodzieniec, wielki przygód lubownik, nazwiskiem Maso del Saggio. Ten, zasłyszawszy o głupocie Calandrina, postanowił wyzyskać ją w żartobliwy sposób, wypłatać mu jakiegoś figla albo też wmówić w niego jakąś rzecz niepodobną do wiary. Pewnego dnia przydybał go przypadkiem w kościele Św. Jana, jak stał przed malowidłami i rzeźbami tabernaculum, które niedawno na ołtarzu w tym kościele ustawiono, i przypatrywał im się uważnie. Maso uznał tę chwilę za właściwą do urządzenia zamierzonej krotochwili. Uprzedziwszy więc towarzysza swego o tym, co mówić zamierza, zbliżył się wraz z nim do Calandrina i udając, że go nie spostrzega, zapuścił się z przyjacielem swoim w gorącą rozprawę o potędze czarodziejskiej pewnych kamieni.

Maso mówił tak wymownie, jak gdyby był wielkim i nieporównanym znawcą kamieni. Calandrino nadstawił ciekawie uszu, a po chwili przystąpił nawet do rozmawiających, spostrzegłszy, że nie idzie im o zachowanie tajemnicy. Maso tylko tego pragnął. Nie pokazawszy jednak nic po sobie, opowieść o zaczętych dziwach dalej ciągnął. Wreszcie Calandrino spytał, gdzie tak cudowne kamienie znaleźć można. Maso odparł, że największą ich ilość znaleziono dotąd w Berlinzone, w kraju Basków, w

okolicy zwanej Bengodi; kraina ta znana jest stąd, że tam krzewy winne kiełbasami podwiązują, a gęś za trojaka z gąsiątkiem w przydatku sprzedają. Na północ od niej znajduje się góra, cała z tartego parmezanu, na której stoją ludzie i niczym innym się nie zajmują, tylko wyrabianiem makaronu i nadziewanych pierogów. Gotują je w rosole z kapłonów i rzucają następnie przechodniom, aby je chwytali, ile kto zdoła. U stóp tej góry zasię płynie strumień wybornego wernackiego wina, bez przymieszki choćby jednej kropli wody.

— O, cóż za cudowny kraj! — zawołał Calandrino — aliści powiedz mi, co robią owi ludzie z tymi kapłonami, z których rosół do gotowania pierogów i makaronu czynią?

— Baskowie je zjadają — odrzekł Maso.

— Zaliś ty tam był kiedy? — spytał znowu Calandrino.

— Czy tam byłem? — zawołał Maso. — Zapytaj, ile tysięcy razy!

— A ileż mil do tego miejsca? — badał Calandrino dalej.

— Mógłbym przysiąc, że więcej niż tysiąc — odparł Maso.

— Ba, to musi być dalej niż do Abruzzów — zauważył Calandrino.

— Tak, trochę dalej — rzekł Maso.

Głupi Calandrino słysząc o tych dziwach, wypowiedzianych przez Masa z poważną miną i bez śladu uśmiechu na twarzy, uwierzył im w zupełności i rzekł:

— Szkoda, że to dla mnie za daleko. Ach, dalibóg, gdyby choć trochę bliżej było, zaraz bym tam poszedł, choćby dla tej przyczyny, aby zobaczyć, jak makaron z góry leci, i najeść się do sytości. Wracając jednak do owych kamieni, proszę, abyś powiedział mi łaskawie, czy nie znajdują się one i w naszych stronach?

— Owszem — odrzekł Maso — na dwa rodzaje ich, niemałą siłą przyrodzoną obdarzone, natrafiono tutaj. Pierwszy gatunek to kamienie młyńskie z Settignano i Montisci, posiadające tę czarodziejską własność, że młyny, do których są użyte, mielą same bez pomocy wody lub wiatru. Stąd też przysłowie bardzo tam pospolite: »Łaski pochodzą od Boga, a dobre kamienie młyńskie z Montisci«. Kamienie te w takiej obfitości się tam znajdują, że tak mało wszyscy je cenią jak i szmaragdy, których całe góry, wyższe od gór Morello, napotkać w tamtych stronach można. Wydają one z siebie o północy taki blask, że niech Bóg broni i zachowa! Trzeba ci także wiedzieć, iż kto by potrafił takie młyńskie kamienie nanizać w krąg, zanim się je przewierci, i zaniósł je wielkiemu sułtanowi, otrzymałby, czego by tylko zapragnął. Drugim gatunkiem kamienia cudownego, który trafia się w naszych okolicach, jest tak zwany przez nas,

złotników, heliotrop, kamień obdarzony potężną i zadziwiającą siłą, kto go bowiem przy sobie nosi, niewidzialny jest dla wszystkich tam, gdzie go nie ma.

— Oto ci kamyczki na schwał! — zawołał Calandrino. — Gdzie, powiadasz, te drugie się znajdują?

— Najczęściej dotychczas trafiały się w Mugnone — odparł Maso.

— A wielkież są? I jaką barwę mają? — badał dalej Calandrino.

— Jeden jest większy, drugi mniejszy — odrzekł Maso — ale co się koloru tyczy, to wszystkie są jednakowe, czarne.

Calandrino zakonotował sobie dobrze wszystkie te nowinki, po czym udał, że mu się śpieszy do jakiejś roboty i pożegnał Masa z twardym zamysłem wybrania się na poszukiwanie owych kamieni. Pierwej jednak postanowił uwiadomić o wszystkim Bruna i Buffalmacca, których szczególnie miłował. Jął więc ich poszukiwać, ażeby nie tracić drogiego czasu po próżnicy i wszystkich wyprzedzić, aliści dopiero w południe znaleźć mu się ich udało w klasztorze mniszek, przy drodze do Faenzy, gdzie jakąś robotą zatrudnieni byli. Zziajany, bo skwar był ogromny, bez tchu prawie przybiegł do nich, odciągnął ich na bok i rzekł:

— Przyjaciele, jeżeli tylko chcecie, możemy zostać najbogatszymi ludźmi w Florencji. Dowiedziałem się od pewnego wiarogodnego człeka, że w Mugnone znaleźć można pewien kamień, mający moc czynienia niewidzialnym posiadacza swego. Sądzę tedy, że bez odwłoki powinniśmy wybrać się na poszukiwanie tego kamienia; obawiam się ustawicznie, aby nas ktoś nie uprzedził. Ani chybi znajdziemy go, bowiem jego cechy znam wybornie; gdy go już raz będziemy mieli, czegóż nam więcej będzie potrzeba? Włożymy go do mieszka, podejdziemy do jednego z owych stołów wekslarskich, które się uginają pod ciężarem dukatów i innej monety, i każdy z nas nabierze tyle srebra i złota, ile tylko zechce. Nie zobaczy nas nikt. Takim sposobem w krótkim czasie wzbogacimy się i nie będziemy musieli już po całych dniach walać się farbą i jak pająki po rusztowaniach łazić.

Bruno i Buffalmacco, słysząc te niedorzeczne słowa, o mało mu w sam nos śmiechem nie parsknęli, pomiarkowali się jednak, spoglądając na siebie, udali wielce zadziwionych i jęli głośno jego zamysł wychwalać. Następnie Buffalmacco spytał go, jak się ów kamyk nazywa?

Calandrino, lotnością myśli zgoła nieobdarzony, silił się przypomnieć sobie, aliści po próżnicy, wreszcie zawołał:

— Ech! co nas tam jego nazwa obchodzić może, dosyć na tym, że cechy jego i siłę znamy. Radzę zaraz w drogę wyruszać i szukać go.

— Dobrze, ale powiedz mi najpierw, jak on wygląda — rzekł Bruno.

— Kształt miewa rozmaity — odparł Calandrino — aliści prawie zawsze jest czarny. Moim zdaniem tedy, winniśmy zbierać wszystkie kamienie czarne, jakie nam w ręce wpadną, póki na właściwy nie natrafimy. Nie traćmy czasu, powiadam, nie traćmy czasu!

— Jeszcze chwileczkę — rzekł Bruno i zwracając się do Buffalmacca dodał: — Zamysł Calandrina ze wszech miar na pochwałę zasługuje, aliści obecna pora nie wydaje mi się stosowną do urzeczywistnienia go, słońce bowiem stoi wysoko, nad samą doliną Mugnone. Wszystkie kamienie, spieczone skwarem, białymi wydawać się będą, te nawet, które rano, słońcem nieosuszone, czarnymi się zdają. Krom tego dzisiaj jest dzień powszedni, dużo więc ludzi zastaniemy w dolinie. Obaczywszy nas, łatwo odgadną, czego szukamy, i naśladować nas będą gotowi. Cudowny kamień, zamiast w nasze, w ich ręce wpaść gotów i wówczas cała rzecz będzie stracona. Wszystko to zważywszy, mniemam, waszego zdania nie przesądzając, że winniśmy wybrać godzinę poranną, w której daleko lepiej czarne kamienie od białych odróżnić można. Udamy się przy tym na miejsce w dzień świąteczny, kiedy w dolinie pusto bywa.

Buffalmacco przyznał słuszność rozumowaniu Bruna. Calandrino, chcąc nie chcąc, uczynił to samo. Umówili się tedy, że w najbliższą niedzielę rano wybiorą się wszyscy trzej pospołu, aby szukać cudownego kamienia; Calandrino zaklął ich na wszystkie świętości, aby nikomu słówka nie zdradzili z tej tajemnicy, którą mu powierzono w zaufaniu. Przy pożegnaniu opowiedział im jeszcze nowinki, które słyszał o kraju Bengodi, zaklinając się, że to wszystko święta prawda. Wreszcie odszedł. Wówczas dwaj pozostali uknuli między sobą spisek.

Nadeszła wreszcie oczekiwana gorąco przez Calandrina niedziela. O świcie porwał się Calandrino z łoża, przywołał swoich towarzyszy i wyruszył wraz z nimi w drogę. Wyszli z miasta przez bramę San Gallo, wstąpili w koryto rzeki i szukając cudownego kamienia, szli przed siebie. Niecierpliwy Calandrino wyprzedzał towarzyszy, skakał gwałtownie to tu, to tam, a gdy gdzie jaki czarny kamień zoczył, rzucał się nań, porywał go z ziemi i za pazuchę chciwie pakował. Towarzysze jego szli za nim i także od czasu do czasu kamienie podnosili, aliści nie tak często jak Calandrino. Toteż gdy ledwie kilkadziesiąt kroków przebyli, Calandrino miał już całe piersi kamieniami obłożone, tak że w końcu był zmuszony podgiąć obszerne poły swojego kaftana, końce zatknąć za pas

i tym sposobem zrobić sobie z niego rodzaj wora. Ale i ten schowek tak się wkrótce przepełnił, że trzeba było z płaszcza nową sakwę uczynić. Niedługo i w niej miejsca zabrakło.

Tymczasem nadeszła godzina obiadowa. Wówczas Bruno i Buffalmacco, widząc obładowanego Calandrina, trącili się łokciami. Bruno, zgodnie z umową, zawołał zwracając się do Buffalmacca:

— Gdzie się podział Calandrino?

Buffalmacco, mimo że miał go tuż przed nosem, obrócił się, spojrzał na lewo i prawo i wreszcie rzekł:

— Dalibóg, że nie wiem! Przed chwilą jeszcze był tu przed nami.

— To prawda — odrzekł Bruno. — Ani chybi zażartował z nas sobie, wrócił do domu, je teraz spokojnie obiad i śmieje się z nas, że tutaj, jak głupcy, kamienie czarne zbieramy.

— Jeśli tak uczynił — rzekł Buffalmacco — to miał słuszność, bo istotnie trzeba było być dudkiem, aby uwierzyć temu, co nam opowiadał. Komuż by, krom nas, w głowie pomieścić się mogło, że podobnie cudowny kamień znajduje się w dolinie Mugnone?

Calandrino, słuchając tych słów, topniał z radości, był bowiem upewniony, że pożądany kamień ma między innymi w kieszeni i że dlatego właśnie towarzysze go nie widzą, chociaż jest tuż obok. Zachwycony tym szczęśliwym wypadkiem, postanowił, nie odpowiadając ani słowa, co żywiej do domu powrócić. Z tym zamysłem cichymi kroki wymykać się począł. Widząc to, Buffalmacco rzekł do Bruna:

— Cóż tu dłużej mamy robić? Chodźmy i my do domu.

— Chodźmy — odrzekł Bruno — ale klnę się na Boga, że mi już nigdy Calandrino podobnego figla nie wypłata. Ach, gdybym go teraz miał przed sobą tak blisko, jak niedawno go jeszcze miałem, walnąłbym go tym kamyczkiem w piętę, aby popamiętał na długo, co to znaczy kpić sobie ze mnie.

To mówiąc, trzymanym w ręku kamieniem ugodził w nogę Calandrina.

Calandrino poczuwszy ból syknął lekko, pohamował się jednak natychmiast, poskrobał w obolałe miejsce i ruszył dalej w milczeniu.

Tymczasem i Buffalmacco pochwycił jeden z uzbieranych kamieni i zawołał do Bruna:

— Spojrzyj no, jaki śmigły krzemyk! Ach, gdybym tak mógł nim trzasnąć Calandrina w żebra.

Rzekłszy te słowa ugodził nader celnie w bok ofiarę swoją.

Słowem, przygadując bez ustanku, rzucali kamieniami w Calandrina od Mugnone aż do bramy San Gallo. Przybywszy tam, wysypali wszystkie uzbierane kamienie na ziemię i dali umówiony znak strażnikom przy bramie, którzy, dusząc się od śmiechu, przepuścili Calandrina, jak gdyby był dla nich całkiem niewidzialny.

Calandrino czym prędzej udał się do swego domu na rogu Młyńskiego Kamienia. Los tak krotochwilnikom sprzyjał, że nikt naszego szczęśliwca po drodze nie zaczepił. Zresztą, jako że to pora południowa była, wszyscy w domach przebywali.

Calandrino, objuczony, dopadł wreszcie do swego domu. Przypadek zdarzył, że na progu stała żona jego, imieniem Tessa, urodziwa i rozumna białogłowa. Tessa, zagniewana, że się na obiad spóźnia, przyjęła go okrzykiem:

— No, klejnocie! Wreszcie cię diabli przynoszą. Cały świat się zdąży najeść, zanim ty do stołu zasiądziesz.

Calandrino na te słowa stanął osłupiały i pomyślał, że kamień cudowny wobec żony siłę swą utracić musiał. W pierwszym zapędzie gniewu zawołał tedy z wściekłością:

— Biada mi! Trzebaż było właśnie tej jędzy na progu! Zgubiłaś mnie, hultajko! Ale jak Bóg na niebie, zapłacisz mi za to!

To rzekłszy wpadł do izby, wysypał ową kupę kamieni, którą ze sobą przydźwigał, a następnie rzucił się z wściekłością na żonę, schwycił ją za warkocze, obalił na ziemię i okładać co sił począł, nie zważając na jej błagania i jęki. Bił ją tak, dopóki jej wszystkich kości nie policzył.

Tymczasem Buffalmacco i Bruno strawili chwilę czasu na żarty ze strażnikami przy bramie. Idąc wolnym krokiem za Calandrinem, przybyli przed dom jego udając, że dopiero teraz nadeszli. Słysząc, co się dzieje, zawołali nań. Calandrino, opływający potem, czerwony na twarzy i bez tchu w piersiach, przystąpił do okna i poprosił ich, aby weszli do środka.

Dwaj figlarze, przybrawszy obrażone miny, weszli na górę, gdzie ujrzeli w jednym kącie izby stos kamieni, a w drugim biedną żonę Calandrina z rozczochranymi włosami, pokrytą sińcami na całym ciele i płaczącą głośno. Na środku stał Calandrino w rozpiętej odzieży, sapiąc i chwiejąc się na nogach. Na ten widok Bruno i Buffalmacco udali z początku mocne zdziwienie, a potem zawołali:

— Cóż to wszystko ma znaczyć, Calandrino? Zali kamieniarzem chcesz zostać? Na co ci ta kupa kamieni? A z panią Tessą co się dzieje? Kto ją tak oporządził? Wytłumacz nam, co się tu stało?

Calandrino chciał odpowiedzieć, aliści znużenie, wściekłość i srogie strapienie z powodu utraconego szczęścia mowę mu odebrały. Plątał się w słowach i oddech z trudnością chwytał. Buffalmacco, korzystając z chwili milczenia, rzekł w te słowa:

— Jeśliś miał inny powód do gniewu, Calandrino, to przecżże na nas niewinnych złość swą wywarłeś? Wierę, tak się nie godziło. Wyprowadziłeś nas na poszukiwanie jakiegoś czarodziejskiego kamienia, a potem, nie powiedziawszy nawet »Zostańcie z Bogiem« lub »Idźcie do kaduka«, odszedłeś i zostawiłeś nas niby durniów w korycie rzeki! Aliści bądź pewny, że pierwszy i ostatni raz podobnego figla spłatać ci się nam udało.

Na te słowa Calandrino zebrał wszystkie siły i zawołał:

— Nie gniewajcie się na mnie, towarzysze! Rzecz się ma zgoła inaczej, niźli sądzicie. Jakże jestem nieszczęsny. Wiedzcie, żem znalazł ów szacowny wielce kamień. Na dowód prawdy mych słów powiem wam, iż w chwili gdyście się za mną oglądali, znajdowałem się nie dalej jak o dziesięć kroków od was. Przez cały czas drogi, aż do miasta, szedłem tuż przed wami, nie będąc przez was widziany.

I tu jął opowiadać im wszystko od początku aż do końca, pokazał im plecy i pięty, pobite krzemieniami, i tak ciągnął dalej:

— Nie dosyć na tym! Gdy z kupą kamieni, które tutaj widzicie, przechodziłem przez bramę, nikt mi ni słowa nie powiedział, choć dobrze wiadomo wam, jak naprzykrzeni zwykle strażnicy bywają i jak muszą obmacać człeka na wszystkie strony, zanim go przepuszczą. Jawną jest tedy rzeczą, że mnie widzieć nie mogli. Później spotkałem na drodze kilku przyjaciół i towarzyszy, którzy zawsze, ujrzawszy mnie, pierwsi do mnie przystępują i zapraszają na poczęstunek; na ten raz nikt z nich pół słówka nie zagadał, z czego wnosić wypada, że mnie nie widzieli. Przybyłem wreszcie do domu. Na progu zaszła mi drogę ta szatańska białogłowa i zobaczyła mnie. Wiecie przecie sami, że na co baba spojrzy, to zaraz moc przyrodzoną strada. Stąd też poszło, że najszczęśliwszy człek we Florencji na najnędzniejszego się zmienił. Cóż dziwnego zatem, żem ją łupił, dopóki mi sił starczyło. Teraz nawet czuję, iż zbyt się hamowałem i że powinienem jej wszystkie gnaty poprzetrącać. O, przeklęta niechaj będzie ta godzina, w której ją pierwszy raz ujrzałem i do mego domu wwiodłem!

Rzekłszy te słowa, nowym zapalony gniewem, powstał i chciał skoczyć znowu ku Tessie, aliści Buffalmacco i Bruno, którzy przez cały czas jego mowy najwyższe zadziwienie udawali i potakiwali mu, widząc teraz, że się na nową bójkę zanosi, zastąpili mu drogę i wstrzymali go, po czym jęli go zapewniać, iż w tej sprawie nie żona,

ale on sam najwięcej jest winien, wiedząc bowiem, że od kobiecego spojrzenia czarodziejska siła ginie, powinien był ostrzec żonę zawczasu, aby mu się w tym dniu na oczy nie pokazywała. Ponieważ uczynić tego zaniedbał, niechaj sam sobie winę przypisze, a raczej woli boskiej, która albo mu tego szczęścia nie przeznaczyła, albo też w ten sposób ukarać go chciała za to, że pragnął oszukać towarzyszy. Znalazłszy kamień cudowny nie zawiadomił ich przecież o tym.

Po długich staraniach i trudach udało im się wreszcie pogodzić Calandrina z nieszczęśliwą jego żoną; po czym odeszli, ostawiając go wpatrującego się z wielką melankolią w stos przyniesionych kamieni".

Opowieść czwarta. Na gorącym uczynku

Proboszcz z Fiesole miłuje pewną wdowę, która go wzajemnością swą nie darzy. Mniemając, że jest z nią społem, cieszy się wdziękami szpetnej służki. Bracia damy sprowadzają biskupa, który proboszcza na gorącym uczynku chwyta.

Eliza skończyła wreszcie opowieść swoją, wielce nią całe towarzystwo rozweseliwszy. Po czym królowa zwróciła się do Emilii i dała jej znak, że na nią kolej przypada. Emilia, nie namyślając się, w te słowa zaczęła:

— Miłe towarzyszki moje! O ile sobie przypominam, niejeden już tutaj przytoczono przykład, z którego przekonać się było można, jak mnichy i księża wszelkiego rodzaju o zbawienie dusz naszych się troszczą. Ponieważ jednak, jak mi się zdaje, dotąd tej materii do cna nie wyczerpano, pozwolę sobie tedy opowiedzieć wam jeszcze jedną historię o proboszczu z Fiesole, który na przekór całemu światu chciał doprowadzić do tego, aby pewna szlachetna dama, nawet wbrew swej woli, doń należała. Dama ta, pełna roztropności, obeszła się z nim tak, jak na to zasłużył.

„Jak każdej z was wiadomo, Fiesole, którego wyżyny stąd nawet gołym okiem obaczyć można, jest starym i ongiś znanym miastem. Miasto to, chyląc się dzisiaj do upadku, posiadało swoje biskupstwo. Otóż w grodzie tym mieszkała niegdyś w pobliżu katedry pewna wdowa, białogłowa ze znacznego rodu idąca, imieniem pani Piccarda. Nie będąc bogatą, przepędzała większą część roku w skromnym swoim domku pospołu z dwoma braćmi, szlachetnymi i obyczajnymi młodzieńcami. Wdowa często w kościele bywała. Proboszcz, spostrzegłszy, że jest młoda i urodziwa, zakochał się w niej na zabój. Po pewnym czasie odważył się wyznać jej swoje afekty, błagając ją, aby je podzielić chciała. Był to człek w podeszłych latach, aliści nader młodzieńczego usposobienia,

zuchwały i wyniosły wielce, a przy tym tak mocno w sobie rozmiłowany, tak przykry i nieprzyjemny w obejściu, że nie było w całym mieście nikogo, kto by go przychylnością swą darzył. Ze wszystkich najmocniej nie cierpiała go dama nasza, nienawidząc go bardziej niźli ból głowy. Toteż wysłuchawszy jego miłosnych oświadczeń, jako roztropna białogłowa, w te słowa mu odparła:

— Miłość wasza, która jest dla mnie prawdziwym zaszczytem, zobowiązuje mnie do przychylności. W afekty jednak nasze żadna rzecz nieobyczajna mieszać się nie powinna. Jesteście moim ojcem duchownym, księdzem, a przy tym człekiem w statecznym już wieku. Ze względu na to, powinniście obyczajnie postępować. Z drugiej strony ja także już nie jestem młodą panienką, której miłostki by przystawały. We wdowieńskim stanie żyję, a wiecie sami, jakiej surowości obyczajów świat od wdowy wymaga. Wybaczcie mi tedy, że ani ja was w ten sposób, jak pragniecie, miłowała nie będę, ani chcę, abyście wy mnie tak kochali.

Proboszcz, mimo że innej odpowiedzi wydobyć już z ust damy nie zdołał, nie zniechęcił się jednak ani za zwyciężonego we wstępnym boju nie uznał; przeciwnie, wielce natrętnie dręczyć ją począł listami i poselstwami swymi: ilekroć zasię ujrzał ją w kościele, prośbami ją atakował. To uporczywe nagabywanie rozdrażniło tak w końcu naszą damę, że myśleć poczęła nad środkiem pozbycia się prześladowcy, i to w sposób, na jaki zasługiwał. Przede wszystkim jednak postanowiła naradzić się z braćmi. Wezwała ich do siebie, opowiedziała całą historię z proboszczem, przedstawiła plan, który jej do głowy przyszedł, i spytała, zali nań się godzą? Bracia zgodzili się chętnie.

W kilka dni potem dama, obyczajem swoim, udała się do kościoła. Proboszcz ujrzawszy ją wyszedł na jej spotkanie i jak zwykle, w poufałą z nią wstąpił rozmowę. Dama, uprzejmie nań spojrzawszy, w trakcie rozmowy wielką przychylność mu okazała. Wysłuchawszy na uboczu wielu słodkich słówek, rzekła z głębokim westchnieniem:

— Słyszałam nieraz, że nie masz tak silnej twierdzy, która by, co dzień szturmowana, nie poddała się wreszcie. Dzisiaj widzę, że zdanie to sprawdza się na mnie samej. Takeście mnie usidlili cukrowanymi słowy, uprzejmościami i ciągłym staraniem się o moje względy, że chcę złamać słowo, które sobie dałam, i należeć do was w nagrodę za tak wytrwałą miłość.

Proboszcz na te słowa w najwyższym uniesieniu zawołał:

— O pani, jakiż dank mam ci złożyć? Jeśli mam prawdę powiedzieć, dziwiło mnie to niepomału, żeś się tak długo opierała, nigdy mi się to bowiem w stosunku do innych

białogłów nie zdarzyło. Dotychczas twierdziłem zawsze, że gdyby kobiety ze srebra były, nie zdałyby się na monetę, bowiem żadna z nich młota by nie wytrzymała. Aliści dajmy temu pokój; a natomiast zechciej mi powiedzieć, kiedy, gdzie i jak zejść byśmy się z sobą mogli?

— Mój miły ojcze — odrzekła na to dama — mogę wam odpowiedzieć, że wtedy, gdy się wam to podobać będzie, nie mam bowiem męża, któremu bym z nocy moich rachunek zdawać musiała. Ale gdzie, tego wymyślić nie potrafię.

— Jak to? — zawołał proboszcz — a w twoim domu?

— Wiecie wszak, ojcze — odparła dama — że mam dwóch młodych braci, którzy często w dzień i w nocy z towarzyszami swymi w domu moim przesiadują. Ponieważ miejsca w nim niewiele, łatwo by więc nas przydybać mogli, chyba żebyśmy się jak niemi bezgłośnie zachowywali i zgodzili się przez cały czas w ciemnościach, niczym ślepcy, pozostawać. W tym tylko razie komnata moja mogłaby istotnie za schron nam posłużyć; bracia moi nigdy do niej nie zachodzą; jednakoż ich komnata jest tak blisko mojej, że najcichszy szept słychać by u nich było.

— Ha! — odrzekł proboszcz — nie chcę chwili mego szczęścia odkładać, zachowamy się tedy, jak potrzeba, i zejdziemy się tymczasem u was. W przyszłości pomyślę o wynalezieniu stosowniejszego miejsca.

— Zgoda — rzekła dama — ale jeszcze jedno słówko. Błagam was, aby to wszystko w najgłębszej tajności pozostało.

— Nie obawiajcie się niczego, pani — odparł proboszcz. — Postarajcie się tylko, abyśmy już dziś wieczór spotkać się mogli.

— Chętnie — rzekła dama, po czym wskazała mu, jak ma się do jej komnaty przedostać, i pożegnawszy go do domu powróciła.

Wdowa trzymała u siebie służkę, dziewczynę, nie tylko już leciwą, ale i najszpetniejszą pod słońcem. Twarz jej, wierę, wielce szpetna była, nos szeroko rozpłaszczony, gęba krzywa, wargi grube, zęby wielkie i nierówne. Oczy miała zawsze kaprawe, a cerę tak zieloną i żółtą, jak gdyby lato nie w Fiesole, ale w Sinigalii spędziła. Krom tego dzieweczka ta chromała i prawą nogę miała krótszą od lewej. Na imię jej było Ciuta, aliści dla jej szpetności nazywano ją grubo Ciutazzą. Przy całej brzydocie na sprycie jej jednak nie zbywało.

Dama nasza przywołała służkę i tak rzekła do niej:

— Jeśli mi uczynisz, Ciutazzo, tej nocy pewną przysługę, podaruję ci za to nową, piękną koszulę.

Na wzmiankę o koszuli Ciutazza zawołała:

— Pani, dla koszuli rzucić się za ciebie w ogień jestem gotowa, nie mówiąc już o mniejszej rzeczy.

— Dobrze tedy — odparła dama. — Otóż chcę, abyś tej nocy położyła się do mego łoża z pewnym mężem i abyś pieszczoty jego odwzajemniała. Strzeż się jednak choćby słówko szepnąć do niego, bowiem bracia moi, śpiący opodal, mogliby cię posłyszeć. Jeśli prośbę moją spełnisz, koszula do ciebie należeć będzie.

— Co? — zawołała Ciutazza — z sześciu położę się spać, nie tylko z jednym, jeśli o to chodzi!

Tymczasem wieczór zapadł; o zmroku pojawił się przed domem ksiądz proboszcz. Dwaj młodzieńcy, zgodnie z udzieloną im wskazówką damy, znajdowali się w pokoju swoim i głośno rozmawiali. Nasz miłośnik ostrożnie, wstrzymując oddech, udał się wskazaną mu drogą do sypialni damy i po ciemku, na palcach zbliżył się do łoża. Wówczas Ciutazza, dobrze roli swojej wyuczona, przystąpiła ku niemu. Proboszcz, przekonany, że znajduje się obok ukochanej, nie mówiąc ni słowa całować ją począł. Ciutazza hojnie się odwzajemniała. Za chwilę spoczywali już jedno w objęciach drugiego. Proboszcz mógł się wreszcie cieszyć do woli rozkoszą, na którą tak długo czekać musiał.

Tymczasem dama, widząc księdza wkraczającego do swej sypialnej komnaty, dała znak braciom, aby wiedzieli, że ich rola teraz się zaczyna. Bracia wyszli po cichu z zamiarem udania się na plac katedralny, ale szczęście sprzyjało im nadspodziewanie, biskup bowiem z powodu wielkiego skwaru wybrał się na przechadzkę i do nich chciał się kierować, by wytchnąć nieco i orzeźwić się napojem. Spotkawszy ich w drodze, wyjawił im swój zamiar. Ruszyli razem. Przybywszy do swego domu, bracia wprowadzili biskupa do rzęsiście oświetlonej altany i poczęstowali wybornym winem.

Po czym, upatrzywszy stosowną chwilę, jeden z nich rzekł w te słowa:

— Panie, ponieważ byłeś tak dobry i zaszczyciłeś nasz skromny domek swoimi odwiedzinami, uprzedzając zaproszenie nasze, to mamy nadzieję, że zechcesz teraz spojrzeć na pewne widowisko, które ci pokazać pragniemy.

Biskup przystał na to z chęcią. Wówczas jeden z młodzieńców, wziąwszy w rękę płonącą pochodnię, poszedł przodem, brat jego zasię z innymi w ślad za nim biskupa poprowadził. Po chwili weszli do pokoju, w którym proboszcz z Ciutazzą się znajdował. Ponieważ zacny ten mąż, jako dzielny jeździec, ostróg koniowi swemu nie żałował i

przebył już dotychczas więcej niż trzy mile, zmęczył się tedy nieco i w tej chwili odpoczywał, mimo skwaru trzymając Ciutazzę w objęciach.

Przy świetle pochodni biskup i wszyscy przytomni ujrzeli to piękne widowisko. Proboszcz, olśniony światłem i strwożony głosami ludzkimi, ocknął się i widząc, co się dzieje, zawstydzony i drżący, schował głowę pod kołdrę. Na nic mu się to jednak nie zdało. Biskup bowiem poznał go, przemówił doń srogimi słowy, kazał mu wyjąć głowę spod kołdry i zobaczyć, z kim łoże dzieli. Wówczas proboszcz pojąwszy jadowitość figla damy i wystawiwszy sobie, jaki mu z tego wstyd urość musi, stracił całkiem głowę. Z rozpaczliwego położenia wywiódł go dopiero biskup rozkazując mu ubrać się. Gdy to uczynił, odesłano go pod strażą do domu, gdzie w zamknięciu nałożoną nań ciężką pokutę odbywać musiał.

Biskup zapragnął dowiedzieć się, jakim sposobem do tak zażyłych stosunków między proboszczem a Ciutazzą przyszło. Dwaj młodzieńcy uczynili zadość temu życzeniu i opowiedzieli mu szczegółowie rzecz całą. Biskup pochwalił gorąco damę i jej braci za to, że wybrali jeno taki środek ukarania proboszcza i że nie splamili rąk krwią niegodziwego człeka, który jednak sukienkę duchowną nosi.

Przez czterdzieści dni z rozkazu biskupa proboszcz nasz grzech swój opłakiwał, aliści boleść, której doznał z powodu zawodu i urażonej miłości własnej, daleko dłużej łzy mu z oczu wyciskała. W ciągu kilku miesięcy nigdzie pokazać się nie mógł, bowiem zaraz obstępowali go chłopcy, i pokazując go palcami, wołali:

— Patrzcie no, patrzcie, to ten, co z Ciutazzą spał!

Proboszcza tak to drażniło, że o mało rozumu z tej przyczyny nie postradał.

Takim to sposobem pozbyła się roztropna dama natrętnego miłośnika, Ciutazza zasię pozyskała nową koszulę".

Opowieść piąta. Sędzia bez spodni

Trzech florenckich figlarzy ściąga spodnie z sędziego, w czasie gdy ów w trybunale różne sprawy rozważa.

Gdy Emilia opowieść swoją skończyła, wszyscy należne pochwały wdowie oddali. Po czym królowa, spojrzawszy na Filostrata, wezwała go do opowiadania z kolei. Filostrato bez zwłoki zaczął w te słowa:

— Miłe damy! Imię młodzieńca, Maso del Saggio, o którym niedawno Eliza wspomniała, skłoniło mnie k'temu, abym opowieść, jaką poprzednio miałem zamiar

wam przytoczyć, inną nowelą zastąpił. Tenże Maso, wraz z kilku jego towarzyszami, gra w niej niepoślednią rolę. Powieść ta jest obyczajną, chocia zawierają się w niej słowa, do używania których nie przywykłyście. Opowiem wam ją jednak ze względu na to, że jest wielce krotochwilną.

„Jak wam zapewne wiadomo, do naszego grodu przybywają często podestowie z okolic Ankony. Są to przeważnie ludzie ubodzy duchem, nędzarze i brudni chciwcy. Przywodzą oni z sobą podobnych do siebie pomocników, sędziów i jurystów, wyglądających raczej na takich, którzy ze stajni lub szewskiego kramiku wyszli, niźli na wychowańców szkoły prawa. Otóż jeden z takich podestów, przybywszy do naszego miasta, przywiódł z sobą między wielu innymi prawnika, który kazał się nazywać panem Nicola da San Lepidio, mimo że wyglądał raczej na ślusarza niźli na sędziego. Powierzono mu, na równi z innymi sędziami, różne sprawy kryminalne do rozpatrzenia. Pewnego poranku Maso del Saggio, obyczajem wielu mieszczan, którzy często do sali sądowej zachodzą, chocia sprawy żadnej nie mają, przybył tam w poszukiwaniu jednego z przyjaciół i ujrzał pana Nicola. Wygląd sędziego wydał mu się tak dziwny, że jął się mu przyglądać niby jakiemuś pokracznemu ptakowi. Było istotnie patrzeć na co! Nasz sędzia miał brudną, okropną myckę na głowie, kałamarz i pióro za pasem, kamizelkę dłuższą od surduta, jednym słowem, wyglądał tak, jak rzadko który stateczny człek na świecie wyglądać może. Szczególną uwagę Masa zwróciły spodnie sędziego. Dzięki odchylonym połom ciasnego kaftana widać było, gdy siedział, że górna część tych spodni prawie do połowy nóg opada. Na ten widok krotochwilna myśl strzeliła do głowy Masa, przerwał tedy swe poszukiwania, a pośpieszył co prędzej do dwóch przyjaciół swoich, imieniem Ribi i Matteuzzo. Byli oni podobnymi figlarzami co i sam Maso. Spotkawszy ich, Maso rzekł:

— Chodźcie ze mną do sali sądowej, a pokażę wam najucieszniejszą małpę, jaką tylko na świecie obaczyć można.

Po czym, wziąwszy ich z sobą, pokazał im sędziego i jego spodnie. Dwaj młodzieńcy na ten widok poczęli się śmiać jak szaleni. Przystąpiwszy bliżej do podniesienia, na którym pan sędzia królował, spostrzegli, że łatwo się pod nie dostać można i że w deskach, na których pan Nicola nogi opiera, znajduje się dziura tak wielka, że nietrudno będzie przez nią rękę i ramię przesunąć. Wówczas Maso rzekł do swych towarzyszy.

— Należy ściągnąć mu te portki, choćby to nas nie wiem co kosztować miało.

W jednym okamgnieniu porozumieli się z sobą i umówiwszy się odłożyli sprawę do następnego dnia. Nazajutrz zjawili się znów w sali sądowej, która tym razem była pełna

ludzi. Matteuzzo, przez nikogo nie spostrzeżony, wśliznął się pod tron sędziego i usadowił się blisko nóg ofiary. Wówczas Ribi i Maso przystąpili do sędziego z dwóch stron. Pierwszy schwycił go za lewą połę od kaftana, drugi za prawą, po czym razem wrzeszczeć poczęli.

— Panie sędzio, o panie łaskawy — krzyczał Maso — zaklinam was na Boga, wysłuchajcie mnie i każcie przytrzymać tego łotra, który się was z przeciwnej strony czepia! Niechaj odda buty, które mi zwędził. Nie wierzcie mu, panie sędzio, choćby i zaprzeczał. Sam widziałem, jak przed miesiącem niósł je do szewca do naprawy.

— Panie — wrzeszczał tymczasem Ribi — nie wierzcie mu ani słowa, bowiem jest łgarzem wierutnym! Wie, że przybyłem tutaj, aby upomnieć się o tłumoczek, który ukradł. Dlatego też kłamie teraz o butach, które miałem w domu od niepamiętnych czasów.

— Jeśli mi, panie, nie wierzycie, świadków wam przedstawię. Niechaj zaświadczy sąsiadka moja, jarzyniarka, a także ta gruba, co handluje flakami, i śmieciarz, który odpadki w Santa Maria a Verzaia zbiera. Widział je, gdy wracał do miasta.

Z kolei zabrał głos Maso i nie dając dokończyć Ribiemu, jął wrzeszczeć z całego gardła. Ribi nie dał się zwyciężyć. Obaj taki hałas piekielny czynili, że pojąć nie można było, o co im właściwie chodzi. Sędzia chcąc ich zrozumieć, wstał i nieco ku nim się pochylił. Wówczas Matteuzzo wysunął rękę przez otwór między deskami, schwycił za dół obszernych portek sędziego i silnie je ku sobie pociągnął. W tym mgnieniu oka spodnie opadły obnażając chude i kościste ciało sędziego. Sędzia, spostrzegłszy, co mu się stało, i nie wiedząc, jak to tłumaczyć, chciał się zasłonić połami kaftana i usiąść na krześle, aliści Maso, trzymając go za jedną połę, a Ribi za drugą, krzyczeli jeden przez drugiego:

— Tak się nie godzi, panie sędzio! Widać wysłuchać mnie nie chcecie! Wszak o tak błahą rzecz nie będę skargi na piśmie podawał. Podobnego zwyczaju u nas nie ma.

Wśród takich i tym podobnych wrzasków trzymali tak długo sędziego za poły, aż wydali go na pocieszne widowisko zgromadzonemu ludowi. Wreszcie Matteuzzo porzucił spodnie i wyszedł spod katedry sędziowskiej niezauważony przez nikogo. Wówczas Ribi zawołał:

— Ha, skoro tak, to pójdę na skargę do syndyka!

Rzekłszy te słowa, puścił połę kaftana sędziego. Maso zasię krzyknął z udanym gniewem:

— Co się mnie tyczy, to będę tu tak długo przychodził, aż wreszcie posłuch znajdę, gdy nie będziecie tak zamroczeni jak dziś.

Po czym obydwaj skoczyli żwawo w tłum, każdy w inną stronę, i znikli.

Czcigodny sędzia, pieniąc się ze złości, wciągał na oczach wszystkich przytomnych swe spodnie, tak jakby dopiero przed chwilą z łoża wyszedł. Teraz dopiero połapawszy się w rzeczy, pytał dokoła, gdzie się podzieli ci dwaj ludzie, co wszczęli spór o buty i tłumoczek, aliści gdy za odpowiedź tylko gromki śmiech usłyszał, zaklął się na jelita Chrystusa, że się dowie, czy we Florencji leży to w obyczaju, aby sędziom spodnie ściągać, gdy zasiadają w trybunale. Po pewnym czasie w samej rzeczy do podesty się udał. Podesta na wieść o tym uniósł się wielce, gdy mu jednak przyjaciele wytłumaczyli, że figiel ten wypłatany został w tym celu, aby pojął, że do Florencji winien sędziów, a nie baranie głowy sprowadzać, zamilkł i uznał za lepsze sprawie tej rozgłosu nie nadawać".

Opowieść szósta. Ukradziona świnia

Bruno i Buffalmacco, ukradłszy Calandrinowi świnię, uczą go, w jaki sposób przy pomocy gałek imbirowych i wina odnaleźć ją może. Wkładają mu w usta dwie psie pigułki, przyprawione aloesem. Wówczas okazuje się, że Calandrino sam sobie świnię ukradł. Za czym wymuszają na nim okup, jeśli nie chce, by wszystko żonie powiedzieli.

Ledwo opowieść Filostrata, która huczny śmiech wywołała, do kresu dowiedziona została, zabrała z kolei głos Filomena i na rozkaz królowej w te słowa zaczęła:

— Miłe przyjaciółki! Imię Masa przywiodło Filostratowi na pamięć historię, którąście dopiero co słyszały, mnie zasię nazwisko Calandrina i jego towarzyszy przypomina zdarzenie, również z nimi związane, które jak mniemam, zabawić was powinno.

Jakiej natury to ludzie byli, ów Calandrino, Bruno i Buffalmacco, nie potrzebuję wam tutaj określać, bowiem już o nich dość słyszeliście. Dlatego też zacznę wprost od uświadomienia was, że nasz Calandrino posiadał niedaleko Florencji małą majętność, którą w wianie za żoną otrzymał. Między innym bydłem zwykł był na wsi także co roku jedną świnię chować. Około Bożego Narodzenia przybywał do swej majętności wraz z żoną, zarzynał świnię i soleniem jej się zajmował.

„Otóż pewnego razu zdarzyło się, że żona, niedomagając nieco na zdrowiu, pozostała w domu, Calandrino zasię sam na wieś się wybrał, by zarżnąć wieprza. Bruno i

Buffalmacco, dowiedziawszy się o nieobecności żony Calandrina, przybyli do pewnego księdza, zaprzyjaźnionego z nimi, a sąsiada Calandrina, i zaprosili się do niego na kilka dni w gościnę. Rankiem w dniu ich przybycia Calandrino zarżnął właśnie swoją świnię. Spostrzegłszy przyjaciół w towarzystwie sąsiada-księdza, zawołał wesoło:

— Jak się macie! Chodźcie obaczyć, jaki to gospodarz ze mnie!

I wprowadziwszy ich do swego domu zarżniętą świnię im pokazał.

Bruno i Buffalmacco za jednym rzutem oka ocenili okazałe rozmiary zwierzęcia, toteż gdy Calandrino oświadczył im, że zamyśla teraz nasolić mięso na użytek rodziny, Bruno odezwał się doń:

— Nie bądź głupcem! Sprzedaj wieprza, tak abyśmy pieniądze przehulać mogli! Żonie powiesz, że cię okradziono!

— O, co to, to nie! — odparł Calandrino. — Nie uwierzyłaby mi i z domu by mnie wygnała. Nie, nie, dajcie mi pokój, tego nigdy nie uczynię!

Długo jeszcze go namawiali, aliści wszystko na niczym spełzło. Odeszli więc wreszcie, nie chcąc pozostać u niego na wieczerzy, na którą ich półgębkiem zapraszał. Gdy za drzwiami się znaleźli, Bruno rzekł do Buffalmacca:

— Może byśmy mu tę świnię dziś w nocy zwędzili?

— Zgadzam się — odrzekł Buffalmacco — ale nie wiem, jak by to zrobić?

— W tym już moja głowa — odrzekł Bruno. — Mam pewny sposób, obawiam się jeno, aby świni w inne miejsce nie przeniósł.

— Dobrze zatem — odparł Buffalmacco — ściągniemy mu ją, a pieniądze przehulamy później razem z ojcem wielebnym.

Ksiądz przystał na to chętnie.

— Trzeba wielce chytrze sobie poczynać — ciągnął dalej Bruno. — Znasz przecie, Buffalmacco, skąpstwo Calandrina i wiesz, z jakim ukontentowaniem on pije, gdy ktoś inny płaci. Zaprośmy go tedy do gospody i niechaj ksiądz powie, że nas wszystkich za swoje pieniądze ugaszcza. Pewien jestem, że Calandrino, byle nic nie płacił, na cudzy koszt niezgorzej się upije. Wówczas nie będziemy już mieli żadnej trudności, jak wiecie bowiem, Calandrino jest sam jeden w całym domu.

Jak Bruno poradził, tak też uczynili. Calandrino widząc, że ksiądz nikomu płacić nie pozwala, począł pić bez odetchnienia i wreszcie tak się uraczył, że ledwie stał na nogach. Noc już była, gdy się rozeszli. Nasz Calandrino, nie myśląc już o wieczerzy, do domu powrócił i nie zważywszy, że drzwi otworem zostawia, padł na łóżko i wnet zasnął. Tymczasem Bruno i Buffalmacco zjedli wraz z księdzem wieczerzę, otrzeźwieli całkiem,

po czym opatrzeni w różne narzędzia do otwierania drzwi służące, udali się po cichu do domu Calandrina. Zastawszy drzwi otwarte, bez trudu weszli do wnętrza, zabrali świnię, zanieśli ją do domu księdza, schowali w bezpieczne miejsce, po czym spać się położyli.

Z rana Calandrino, wytrzeźwiony zupełnie, zbudził się ze snu i zszedłszy na dół, od razu spostrzegł, że drzwi stoją otwarte na ścieżaj i że świni nie ma. Jak odurzony począł tu i tam biegać, pytając każdego, czy nie widział jego świni, gdy zaś to wszystko na nic się nie przydało, wielki gwałt podniósł, żaląc się, że wieprza mu ukradziono.

Bruno i Buffalmacco, wstawszy z łoża, wyszli przed próg domu, aby usłyszeć, co Calandrino o świni mówi. Calandrino przywołał ich z łzami w oczach i rzekł do nich:

— Biada mi, towarzysze, ukradziono mi świnię!

— Widzę, żeś przyszedł wreszcie do rozumu i posłuchał mojej rady — szepnął Bruno, podszedłszy do niego.

— Jakiej rady? — jęknął Calandrino. — Mówię prawdę!

— Tak, tak, wybornie — ciągnął dalej Bruno. — Krzycz głośno, jak możesz najgłośniej, aby się wszystkim zdawało, że to istotna prawda.

— Na ciało Chrystusowe klnę się, że w samej rzeczy mi ją skradziono! — zawołał jeszcze głośniej Calandrino.

— Nie ustawaj ani na chwilę — rzekł Bruno. — Zaklinaj się, przysięgaj, wrzeszcz co sił... a wszyscy ci uwierzą.

— Pęknę chyba ze złości! — krzyknął Calandrino. — Nie chcesz mi uwierzyć! Bodaj mnie powieszono, jeśli kłamię, bodaj mnie piorun zabił...

— Hę! — rzekł miarkując się Bruno — byłożby to prawdą w samej rzeczy? Przecież wczoraj jeszcze tutaj świnię widziałem. Zali chcesz we mnie wmówić, figlarzu, że na skrzydłach stąd uciekła?

— Ależ jest, jak powiadam! — wrzasnął Calandrino.

— Jestże to możliwe? — rzekł Bruno. — Byłaby to prawdziwa bieda!

— I jaka jeszcze! — jęknął rozpaczliwie Calandrino. — O ja nieszczęśliwy, jakże do domu powrócę! Moja żona mi nie uwierzy, a choćby i uwierzyła, gorzkie za to będę miał życie przez rok cały!

— Ha!... — odezwał się poważnym głosem Bruno. — Pojmuję, że ci przykro być musi, jeśli w istocie tak się stało. Jednakoż trudno mi w to uwierzyć, bo wszak sam dawałem ci wczoraj radę, abyś odegrał taką rolę, jaką właśnie grasz dzisiaj. Zdaje mi się tedy, że chciałbyś teraz żonę swoją i nas zarazem w pole wywieść.

Calandrino, do ostateczności przywiedziony, zawołał:

— Zali chcesz, abym z rozpaczy Bogu i świętym Pańskim bluźnił? Mówię ci, człeku, najświętszą prawdę, że mi świnię w nocy ukradziono.

— Kiedy tak — rzekł Buffalmacco — to nie ma co rąk zakładać, trzeba jeno poszukać sposobu na odzyskanie twojej straty.

— Otóż to właśnie! — zawołał Calandrino. — Aliści nie widzę żadnego sposobu.

— Powoli, powoli — rzekł Buffalmacco. — Przecież nikt z Indyj po twoją świnię nie przyszedł. Musiał ją ściągnąć któryś z naszych sąsiadów. Dalibóg, gdybyś tylko ich zebrać potrafił, to przy pomocy zaczarowanego chleba i sera zaraz dowiedzielibyśmy się, kto cię obrabował.

— Zali mniemasz — przerwał Bruno — że ty tylko jeden wiesz o tym sposobie? Znany on jest niewątpliwie niejednemu z sąsiadów, tak iż nikt już nań się złapać nie da... Możemy natomiast inną próbę uczynić.

— Jaką? — spytał Buffalmacco.

— Postarajmy się o gałki imbirowe i o dobre wino Vernaccia — rzekł Bruno. — Można te rzeczy równie dobrze zaczarować jak chleb i ser. Potem zaprosimy wszystkich sąsiadów na poczęstunek. Wszyscy się zejdą, nikt bowiem nie będzie podejrzewał, o co nam chodzi.

— Masz słuszność — zawołał Buffalmacco. — A ty, Calandrino, co myślisz o tym? Chcesz, abyśmy tego sposobu spróbowali?

— Pragnę tego najgoręcej — odrzekł Calandrino — zaklinam was nawet na ciało Chrystusowe, abyście to uczynili. Gdy będę wiedział, kto mnie okradł, ulgę poczuję, choćbym własności mojej odebrać nawet nie miał.

— Dobrze tedy — odrzekł Bruno. — Dla miłości, jaką dla ciebie żywię, gotów jestem sam wybrać się do Florencji po potrzebne przedmioty. Musisz mi jeno dać pieniądze na zakupy.

Calandrino miał około czterdziestu soldów przy sobie. Oddał je z chęcią Brunowi, który niezwłocznie udał się do Florencji, zaszedł do znajomego aptekarza, kupił funt wybornych gałek imbirowych, przy czym też kazał dwie psie pigułki przyrządzić i nadziać je świeżym aloesem; następnie wszystkie jednako cukrową powłoką obciągnięte zostały. Aby jednak się nie pomylić, naznaczył Bruno owe dwie odmienne pigułki w ten sposób, iż w każdej chwili z łatwością od innych mógł je odróżnić. Wreszcie kupił butelkę dobrego wina Vernaccia i tak opatrzony, powrócił na wieś. Spotkawszy Calandrina rzekł do niego:

— Staraj się jutro zaprosić na poczęstunek tych wszystkich, co do których choćby najmniejsze podejrzenie żywisz. Mniemam, że ci się to uda, bowiem jutro dzień świąteczny przypada, nikt się więc od przyjścia nie będzie wymawiał. Co do mnie, zajmę się tej nocy wraz z Buffalmacciem zaczarowaniem pigułek, a jutro przyniosę je do ciebie i sam rozdzielę je między zgromadzonych. Będę przy tym czynił i mówił, co potrzeba.

Calandrino uczynił, co mu polecono. Nazajutrz zebrało się liczne towarzystwo, złożone z młodych Florentczyków, bawiących w okolicy, a takoż z miejscowych rolników. Gdy się już wszyscy pod jesionem przy kościele zgromadzili, pojawił się Bruno i Buffalmacco z pudłem pełnym pigułek i butlą wina. Przytomni otoczyli ich kołem; wówczas Bruno rzekł w te słowa:

— Muszę wam z góry oznajmić przyczynę, dla której was tu zaprosiliśmy, abyście, w razie gdy was jaka niemiła rzecz spotka, do mnie urazy nie żywili. Wiedzcie tedy, że przytomnemu tutaj Calandrino zginęła wczoraj w nocy piękna świnia. Dotychczas nie mógł odkryć, kto mu ją ukradł. Ponieważ jednak sprawcą kradzieży nie może być ktoś inny, tylko jeden z nas, jego sąsiadów, przeto sprosił tu dzisiaj wszystkich, aby winowajcę odnaleźć. Calandrino chce wpaść na trop złodzieja przy pomocy wina i tych pigułek, które mają tę osobliwą cnotę, iż winowajca, wziąwszy jedną z nich w usta, przełknąć jej nie może, ale zmuszony jest wypluć ją, tak gorzka mu się wyda. Zanim jednak przystąpimy do rzeczy, mniemam, że lepiej by było, aby sprawca nie czekając, aż w przytomności tak wielu osób sromem okryty zostanie, sam do winy księdzu się przyznał. A wtedy ja poniecham tej próby.

Wszyscy na te słowa oświadczyli, że poddadzą się chętnie próbie. Na to oświadczenie Bruno rzędem wszystkich uszykował, Calandrina w środku postawił i jął od brzegu zacząwszy, pigułki rozdzielać. Stanąwszy przed Calandrinem wręczył mu pigułkę aloesem nadzianą. Calandrino wpakował ją chciwie do ust i żuć począł, gdy jednak do aloesu się dobrał, uczuł gorycz tak niezmierną, że rad nierad wypluć pigułkę musiał. Wszyscy spoglądali na siebie, czekając, kto swoją pigułkę wypluje. I jeszcze Bruno wszystkich nie obdzielił, niczego po sobie domyślić się nie dając, gdy posłyszał za sobą głosy:

— Hola, Calandrino! Cóż to ma znaczyć?!

Wówczas Bruno z najniewinniejszą miną obrócił się żywo i spostrzegłszy, co się z Calandrinem dzieje, zawołał:

— Może Calandrino tylko przypadkiem splunął? Spróbujmy raz jeszcze! Masz drugą pigułkę, Calandrino!

I biorąc drugą, włożył mu ją do ust; po czym oddalił się pospiesznie, aby pozostałych obdzielić.

Tymczasem Calandrino rozgryzł przeklętą gałkę. Jeśli poprzednia gorzką mu się wydała, to ta stokroć gorszą jeszcze. Ponieważ jednak bał się ją wypluć, trzymał ją przez długi czas w ustach. Od goryczy łzy mu z oczu płynąć poczęły wielkie jak orzeszki. Aliści natura tego gwałtu dłużej ścierpieć nie mogła. Otworzył usta i wypluł obrzydliwą pigułkę.

Na ten widok towarzystwo całe wraz z Brunem i Buffalmacciem, rozdzielającymi właśnie wino, krzyknęło, że ani chybi, Calandrino sam sobie świnię ukradł. Ze wszech stron posypały się na niego łajania i obelgi. Wreszcie rozeszli się wszyscy krom Bruna i Buffalmacca. Wówczas Buffalmacco zbliżył się do Calandrina i rzekł:

— Byłem aż nadto pewny, że ukrywszy czy sprzedawszy tę świnię, chciałeś w nas wmówić, iż ci ją ukradziono, tylko dlatego, aby nie postawić nam nic za pieniądze, które dostałeś za nią.

Calandrino, mając jeszcze usta pełne aloesowej goryczy, zaczął przysięgać i kląć się, że niczemu winien nie jest.

— Przyznaj się, ile za nią dostałeś? — rzekł Buffalmacco. — Powiedz prawdę, dali ci więcej jak sześć dukatów?

Calandrino w bezsilnym gniewie chwycił się za włosy.

— Daj już pokój temu, Calandrino — rzekł Bruno. — Wiemy przecie dobrze o wszystkim. Jeden z przytomnych tutaj opowiedział nam przed chwilą, że trzymasz na wsi dla własnej przyjemności dziewczynę, którą obdarzasz wszystkim, co tylko przed żoną ukryć zdołasz. Zapewne podarowałeś jej także tę świnię. No, no, nie wypieraj się, wyglądasz nam na to! Nie lada z ciebie filut! Już raz wyprowadziłeś nas w pole w Mugnone, kazawszy nam zbierać czarne kamienie. Potem, wciągnąwszy nas w pułapkę, zostawiłeś nas samych, a na dobitkę wmówiłeś w nas, żeś cudowny kamień znalazł. Tak samo i teraz zapragnąłeś, przysięgam, zdurzyć nas, że ci ukradziono świnię, którą sprzedałeś albo też darowałeś komuś. Znamy już dobrze twoje sztuczki, pora była nauczyć się rozumu! A że staraliśmy się, bracie, usilnie dla ciebie, żeśmy pigułki zaczarowali, dawaj nam więc teraz za to po parze kapłonów, bowiem w przeciwnym razie o wszystkim żonie twojej doniesiemy.

Calandrino widząc, że za grosz mu nie wierzą, a nie chcąc białogłowskich wyrzutów znosić, dał im cztery kapłony. Oni zasię nasolili świnię i odwieźli ją do Florencji, ostawiając Calandrina ograbionego i wystrychniętego na dudka".

Opowieść siódma. Zemsta uczonego

Pewien uczony miłuje wdowę, która kochając innego mężczyznę, każe filozofowi całą noc zimową na śniegu spędzić w oczekiwaniu. Uczony, mszcząc się za to, w lipcu trzyma wdowę cały dzień nagą na wieży, w czasie słonecznej spiekoty, wystawioną na ukąszenia gzów i much.

Damy naśmiały się ogromnie z przypadków biednego Calandrina, a śmiałyby się były jeszcze więcej, gdyby nie współczucie ku niemu, jakie poczuły, dowiedziawszy się, że do straconej świni kapłony jeszcze dodać musiał. Gdy się nieco uciszyło, królowa wezwała Pampineę do opowiadania z kolei. Ta niezwłocznie w te słowa zaczęła:

— Drogie przyjaciółki! Często się zdarza, że za jeden figiel drugim gorszym odpłacą. Dlatego też nader nieroztropną jest rzeczą cieszyć się zbyt gorliwie z ośmieszenia bliźniego. Po wielekroć już ubawiliśmy się przednio, słysząc w tych opowieściach o psotach wyrządzonych różnym ludziom, aliści o zemście któregokolwiek z nich nikt jeszcze dotąd nie wspomniał. Ja tedy biorę przed się opowiedzieć wam o srogim odwecie, który spotkał jedną z rodaczek naszych jako zasłużona kara za złośliwy figiel. O mały włos nie zginęła ona nędznie. Nie będzie bez pożytku dla was wysłuchać tej historii, nauczycie się z niej bowiem, że należy być ostrożnym w wyszydzaniu innych. Jeśli skorzystacie z mej nauki, mądrze uczynicie.

„Przed niedawnym czasem mieszkała we Florencji pewna młoda, wielce urodziwa białogłowa. Odznaczała się wielką hardością umysłu, pochodziła z wysokiego rodu i hojnie we wszystkie dobra tego świata uposażona była. Na imię jej było Helena. Owdowiawszy, nie chciała myśleć o powtórnym zamążpójściu, miłowała bowiem dzielnego i urodziwego młodzieńca, z którym za pośrednictwem zaufanej służki weszła w porozumienie. Wolna od wszelkiej troski, spędzała nader wesoło czas w jego towarzystwie.

Zdarzyło się podówczas, że powrócił do Florencji pewien młodzieniec szlacheckiego rodu, nazwiskiem Rinieri. W Paryżu długie dnie nad księgami trawił, starając się zgłębić istotę i przyczynę wszechrzeczy, jak to wyższemu umysłowi przystało. Powrócił do Florencji nie po to, aby kupczyć nabytą wiedzą i na drobne ją rozmieniać, jak to wielu innych robi, lecz by żyć statecznie, ciesząc się powszechnym zachowaniem tak dla głębokiej umiejętności swojej, jak i dla pochodzenia swego.

Często się jednak zdarza, że najmądrzejsi najłacniej w pęta miłości wpadają. Tak się też z Rinierim stało.

Mianowicie gdy pewnego dnia przybył na zabawę ludową, wzrok jego padł na Helenę, która obyczajem wdów naszych, w czarne szaty ubrana była. Wydała mu się piękną i wdzięczną nad wyraz. »O jakże szczęśliwym — pomyślał sobie — nazwać by należało tego, komu by niebo udzieliło łaski trzymania jej całkiem nagiej w objęciach swoich«.

Spojrzawszy na nią bacznie raz i drugi i pomyślawszy, iż to, co jest wielkie i cenne, bez trudu pozyskać się nie da, postanowił wszelkiego starania i usilności dla podobania się jej użyć, mniemał bowiem, że przypadłszy jej do serca, z czasem także miłość jej pozyska i wdziękami jej cieszyć się pocznie. Młoda wdowa, niemająca bynajmniej zwyczaju spuszczania w dół oczu i niemałego będąca o sobie mniemania, rzucała tu i owdzie przemyślne spojrzenia i miarkowała dobrze tych, którzy się jej z zachwytem przyglądali. Zauważywszy Rinieriego, pomyślała ze śmiechem: »Chwała Bogu, nie po próżnicy dzisiaj tutaj przyszłam. Jeśli się nie mylę, oto znów jeden dudek na lep złapany!«. Po czym jęła ukradkowe spojrzenia na Rinieriego rzucać i tak się zachowywać, jak gdyby mu chciała dać do poznania, że i on obojętny jej nie jest. Postępując tak, wiedziała, że im więcej serc do niej lgnąć pocznie, tym większą cenę piękność jej zyska, zwłaszcza w oczach tego, komu swoją miłość oddała.

Tymczasem młody uczony odrzucił precz od siebie wszystkie filozoficzne dociekania i całą duszą ku wdowie się obrócił. Mniemając, że się jej podoba, pod różnymi pozorami często koło jej domu przechadzać się począł. Dama, której to dla wiadomych już przyczyn wielce pochlebiało, udawała, że z przyjemnością go widuje; Rinieri, jeszcze silniej zachęcony, począł szukać środka porozumienia się z nią i wyrażenia jej uczuć swoich. Dlatego też zapoznał się ze służką damy, powiadomił ją o swoich afektach i prosił ją, aby starała się łaski wdowy dla niego pozyskać. Służka przyrzekła mu wszystko, czego tylko chciał, i pobiegła natychmiast z wieścią do swojej pani, która, wysłuchawszy jej, wśród wybuchów gwałtownego śmiechu odrzekła w te słowa:

— Ach, czy widzisz, gdzie temu uczeńcowi przyszło postradać mądrość, którą przywiózł z Paryża. Trzeba, aby znalazł to, czego szuka. Gdy go jeszcze raz obaczysz, odpowiedz mu, że go mocniej miłuję niźli on mnie, aliści że baczę pilnie na dobrą sławę i że nie chcę stracić prawa spoglądania na inne białogłowy z podniesionym czołem. Jeżeli jest w samej rzeczy takim mędrcem, za jakiego go wszyscy uważają, to na skutek takiego responsu jeszcze mocniejszym do mnie afektem zapłonąć powinien.

Nieszczęsna, po trzykroć nieszczęsna, nie wiedziała, co to znaczy z uczonymi igrać!

Służka, spotkawszy młodego filozofa, powtórzyła mu wszystko, co jej pani zaleciła. Uczony z uniesieniem słowa te przyjął i nie mieszkając obrócił się do wdowy z bardziej gorącymi prośbami, począł także listy do niej pisywać i miękczyć jej serce ciągłymi podarunkami. Wszystko to wielce wdzięczny oddźwięk znajdowało, tylko że responsy były niewiele znaczące i że sprawa przez czas długi z miejsca nie postępowała. Wreszcie dama uznała za stosowne odkryć zaloty uczonego kochankowi swemu, który już nieraz podejrzenia żywił i zazdrość objawiał. Dla przekonania go, że niesłusznie ją posądzał, posłała służkę swoją do uczonego, wciąż na nią nalegającego, i kazała mu powiedzieć, że wprawdzie dotąd nie mogła znaleźć sposobności do sprawienia mu ukontentowania, ale że ma nadzieję, iż w ciągu nadchodzących świąt Bożego Narodzenia będzie mogła bez nijakiego niebezpieczeństwa schadzkę mu wyznaczyć. Dlatego też prosi go, aby wieczorem po wigilijnej wieczerzy czekał na nią, jeśli zechce, na dziedzińcu, a wówczas ona, gdy tylko będzie mogła, do niego pośpieszy. Uczony, poczytując się za najszczęśliwszego z ludzi, przybył w oznaczonym czasie do domu wdowy. Służka, czekająca na jego przybycie, wpuściła go na podwórze i zamknęła za nim bramę, zalecając, aby się nie niecierpliwił i czekał na damę. Tymczasem dama zaprosiła tegoż wieczora do siebie kochanka swojego i zjadłszy z nim wieczerzę, opowiedziała mu wesoło o tym, co tej nocy uczynić zamyśla.

— Teraz się dopiero przekonasz — dodała przy końcu — jak wielką żywię miłość do tego człeka, o którego tak głupio zazdrosny byłeś.

Miłośnik wysłuchał tych słów z wielkim ukontentowaniem i zapragnął ujrzeć w czynach to, co mu dama w słowach przyobiecała. Śnieg, obficie poprzedniego dnia padający, wszystko pokrył dokoła. Rinieri, czas niejaki na dziedzińcu spędziwszy, począł drżeć całym ciałem, inaczej jednakoż, niżby tego pragnął. Ale mając nadzieję rozgrzać się, znosił to cierpliwie. Tymczasem piękna dama rzekła do swego kochanka:

— Chodźmy teraz do mojej komnaty. Z małego okienka będziemy mogli widzieć wybornie, co robi przedmiot twojej zazdrości, a zarazem usłyszymy, jaki respons da mojej służce, którą właśnie do niego wysłałam.

Stanęli tedy przy okienku, skąd wszystko można było widzieć, nie będąc widzianym, i usłyszeli, jak służka uczonego pociesza.

— Rinieri! Pani moja zmartwiona jest nad wyraz, jak na złość bowiem dzisiaj wieczór właśnie przybył jeden z jej braci; uparł się jeść z nią wieczerzę, rozmawiał długo i dotąd jeszcze siedzi. Mniemam, że wkrótce już się wyniesie. Dla tej przyczyny pani

moja do was zejść jeszcze nie mogła, wnet ją jednak obaczycie. Prosi was ona tylko, abyście się na nią nie gniewali za to przykre i długie oczekiwanie.

Rinieri, biorąc te słowa za dobrą monetę, odrzekł:

— Powiedz pani mojej, aby się o mnie nie troskała. Będę czekał cierpliwie. Ale skoro tylko będzie mogła przyjść do mnie, niechaj nie zwleka.

Służka wróciła do domu i spać legła.

Wdowa rzekła wówczas do swego miłośnika:

— Jakże? Czy myślisz, że gdybym go kochała, jak ci się uroiło, pozwoliłabym mu szczękać tam zębami?

To rzekłszy, pociągnęła ugłaskanego już miłośnika do sypialnej komnaty. Legli na łoże i długi kęs czasu w uniesieniach miłosnych przepędzili, drwiąc i śmiejąc się z nieboraka uczonego.

Rinieri tymczasem biegał po podwórzu tam i z powrotem, czyniąc wywijańce dla rozgrzania się. Szukał po próżnicy jakiegoś miejsca, osłonionego przed wichurą, klął długi pobyt brata i brał każdy posłyszany szmer za skrzyp drzwi od mieszkania wdowy. Wszystkie jednak jego nadzieje na niczym spełzły. Około północy dama, przerywając igraszki miłosne, rzekła do swego kochanka:

— Jak myślisz, najmilszy, co się tam dzieje z naszym uczonym? Co większym ci się zdaje: rozum jego czy miłość moja ku niemu? Zali i ten chłód, który z łaski mojej znosić musi, zazdrości z głowy twojej nie wybije?

— Serce moje — odrzekł kochanek — teraz widzę dowodnie, że tak jak ty moim największym skarbem, szczęściem i nadzieją jesteś, tak i ja jestem tym samym dla ciebie.

— Jeśli tak — odparła dama — to pocałuj mnie tysiąc razy na dowód, że mówisz prawdę.

Kochanek przytulił ją mocno do siebie i nie tysiącem, ale stem tysięcy pocałunków ją obsypał. Przepędzili jeszcze czas pewien na podobnych rozmowach i pieszczotach, po czym dama rzekła w te słowa:

— Wstańmy teraz na chwilę i obaczmy, czy ogień, o którym mój wielbiciel co dzień tak wiele pisał, nie przygasł w nim nieco.

Podnieśli się tedy oboje i wyjrzawszy przez okienko, ujrzeli na podwórcu nieszczęsnego filozofa, który pod wtór szczękających zębów, ucieszny taniec zawodził. Tak osobliwych podskoków nigdy jeszcze w życiu nie widzieli.

— A co? — rzekła wdowa do swego kochanka. — Nieprawdaż, że znakomicie uczę tańczyć moich wielbicieli? I to bez muzyki!

— Widzę, mój skarbie — odrzekł, śmiejąc się kochanek.

— Zejdźmy teraz w dół do drzwi — ciągnęła dalej dama. — Ty będziesz stał w milczeniu, a ja przemówię do niego. Zobaczymy, jakiego mi responsu udzieli. Kto wie, może jego słowa ubawią nas jeszcze lepiej niźli jego widok.

To rzekłszy, wyszła po cichu z sypialnej komnaty, pociągnęła za sobą kochanka i przystąpiła do zamkniętych drzwi. Nie otworzyła ich jednak, tylko przez małą szparę przytłumionym głosem na uczonego zawołała. Usłyszawszy ten głos, zmarznięty biedak gorąco podziękował Bogu za bliskie, jak mu się zdało, wyzwolenie. Pobiegł ku miejscu, skąd go głos dochodził, i zawołał:

— Oto jestem, madonno! Na miłość Boską, otwórzcie, bowiem umieram z zimna.

— Wystawiam sobie — odrzekła dama — jak już zesztywnieć musiałeś. Mróz jest w samej rzeczy okropny, a śnieg sypie nieustannie. Podobno jednak w Paryżu częściej pada niż u nas. Nie mogę jeszcze ci otworzyć, bo mój przeklęty brat, którego licho wieczorem przyniosło, nie odszedł do tej pory; za chwilę jednak pójść już sobie powinien, a wtedy ja piorunem zbiegnę do ciebie. Z wielką trudnością na tę chwilę wymknąć mi się udało; chciałam cię nieco pocieszyć i trochę cierpliwości ci dodać.

— O madonno — odparł filozof — błagam was na Boga, otwórzcie i pozwólcie mi w jakimś zakątku pod dachem czekać. Śnieżyca bowiem coraz się zwiększa, tak iż niepodobieństwem jest dłużej tutaj pozostawać. W innym miejscu czekał na was będę, dopóki sami zechcecie.

— Niestety, mój miły — odrzekła dama — nie mogę tego uczynić, drzwi te bowiem przy otwieraniu tak mocno skrzypią, że mój brat usłyszałby niewątpliwie, gdybym cię teraz wpuścić chciała. Ale pójdę i postaram się natrętnego gościa jak najprędzej wyprawić. Bądź dobrej myśli, zaraz powracam i otworzę ci.

— Śpieszcie się, pani — zawołał błagalnie uczony — i każcie dobry ogień rozniecić, abym się mógł rozgrzać przy nim, skostniałem bowiem tak na całym ciele, że sam siebie nie czuję.

— Jakże to? — spytała dama — przecie często mi pisałeś, że dzięki miłości swej do mnie w ciągłych płomieniach żyjesz. Mniemam tedy, że ze mnie żartujesz. Aliści muszę się śpieszyć. Poczekaj jeszcze przez chwilę.

Kochanek, który ku wielkiej uciesze swojej całej tej rozmowie się przysłuchiwał, powrócił do łoża po społu z piękną wdową. Niewiele spali tej nocy, spędzając czas na

drwinach i wyszydzaniu uczonego. Rinieri tymczasem jak bocian klekotał zębami. Poznawszy, że go wystrychnięto na dudka, wstrząsnął kilkakrotnie bramą, próbując, czy mu się jej otworzyć nie da. Nie znalazłszy jednak żadnego wyjścia, rzucać się począł, jak w klatce, przeklinając dokuczliwy chłód, niegodziwość damy, długość nocy i własną głupotę. Dzięki głębokiemu upokorzeniu i urazie, długa, płomienna miłość, jaką żywił dla damy, zmieniła się w straszną, gwałtowną nienawiść. Tysiąc zamysłów najwyszukańszej zemsty przemknęło mu przez głowę. O zemście tej marzyć począł równie gorąco, jak do niedawna marzył o owładnięciu wdową.

Wreszcie długa i męcząca noc poczęła zbliżać się ku schyłkowi, świtowi miejsca ustępując. Służka, wyuczona przez damę, zbiegła, otwarła drzwi i czyniąc pozór, że gorąco uczonego współczuje, rzekła:

— Bodajby przepadł ten człek niezbyty, który nam wczoraj tak w drogę wszedł. Całą noc nas męczył, ciebie zasię o mały włos do śmierci z zimna nie przywiódł. Nie zważaj jednak na to wszystko i bądź pewien, że to, co się dzisiejszej nocy nie stało, kiedy indziej do skutku przywiedzione zostanie. Co się zaś mojej pani tyczy, to wyznam ci tylko tyle, że nigdy jej bardziej strapioną nie widziałam.

Uczony, do głębi duszy wzburzony, wiedząc, że groźby są tylko bronią dla tego, komu grożą, zamilknął, zamknął w głębi piersi wszystko, co się z niej gwałtem wydobyć chciało, i nie zdradzając gniewu, odrzekł łagodnym głosem:

— W samej rzeczy, spędziłem dzisiaj najgorszą noc w życiu moim, najgłębiej jednak przekonany jestem, że pani twoja nic nie zawiniła. Zbiegła przecie nawet, litością zdjęta, na dół, aby się usprawiedliwić i pocieszyć mnie; zresztą jak powiadasz, to, co się dzisiaj nie dokonało, kiedy indziej dokonać się może, poleć mnie więc jej względom i zostań z Bogiem.

Rzekłszy te słowa, Rinieri, przemarznięty do kości, powlókł się z wysiłkiem do domu. Wszedł do komnaty, rzucił się na łoże i zasnął, aliści zbudziwszy się poczuł, że jego ręce i nogi są jakby paraliżem tknięte. Posłał tedy co żywo po doktora, opowiedział mu, że o mały włos nie zmarzł, i o ratunek poprosił. Doktorzy nie litowali starań i wysiłków, aby go do zdrowia przywrócić i skurczone jego nerwy na nowo rozciągnąć; gdyby jednak nie młodość i nie nastanie ciepłej pory, zapewne nigdy by nie ozdrowiał. Wstawszy skrzepiony z łoża boleści, ukrył swoją nienawiść głęboko i począł udawać, że po dawnemu jest w pięknej wdowie rozmiłowany.

Po pewnym czasie los uśmiechnął się młodemu uczonemu, nasuwając mu do zemsty sposobność. Młodzieniec, którego wdowa miłowała, nie bacząc na jej afekt ku niemu

zakochał się w innej białogłowie, przestał zważać na dawną kochankę swoją i coraz bardziej ją zaniedbywał. Piękna wdowa usychała we łzach i smutku. Wówczas służka jej, pełna najgłębszego współczucia dla swojej pani, nie wiedząc, jakby jej troskę rozegnać, ujrzawszy uczonego, przechadzającego się jak zwykle, wpadła na niedorzeczną myśl, że miłość niewiernego czarodziejskimi środkami powrócić by można było i że uczony nasz w podobnych sprawach zawołanym mistrzem być musi. Z zamysłem swym zwierzyła się damie, która również zbytnią mądrością nie celowała. W każdym razie nie miała tyle rozsądku, aby rozważyć, że gdyby Rinieri znał się na czarnoksięstwie, byłby go niezawodnie na swoją korzyść użył. Dlatego też z radością przyjęła radę służki i poleciła jej udać się natychmiast do naszego filozofa z zapytaniem, zali zechce jej dopomóc, a takoż przyobiecać mu, że w nagrodę niechybnie powolną będzie jego pragnieniom.

Służka zręcznie z poselstwa się wywiązała. Rinieri, wysłuchawszy ją, uczuł wielką radość i rzekł sam do siebie: »Bogu Najwyższemu chwała! Przyszedł wreszcie czas, gdy będę mógł sprawiedliwie ukarać tę niegodziwą kobietę, która mi ciężką obrazą za miłość zapłaciła«.

— Powiedz pani swojej — rzekł do służki — aby się tą sprawą zbytnio nie zatrudniała. Gdyby nawet jej kochanek do Indyj wyjechał, potrafię go zmusić do powrotu i błagania jej o przebaczenie. Sposób, którego tu użyć powinna, zwierzę jej w miejscu i w porze, które sama obierze. To jej powtórz i pociesz ją w mym imieniu.

Służka zaniosła ten respons swojej pani. Po krótkiej naradzie postanowiły naznaczyć naszemu uczonemu spotkanie w Santa Lucia del Prato. Wdowa, spotkawszy się sam na sam z uczonym, nie pomyślała nawet o tym, jaką mu niegdyś krzywdę wyrządziła, z pełną ufnością zwierzyła mu się z wszystkich spraw swoich, zaklinając go, aby jej dopomógł.

— Madonno — odparł uczony — to prawda, że wśród różnych umiejętności uczyłem się w Paryżu także i nekromancji. Owładnąłem nią, o ile to możliwe. Ponieważ jednak umiejętność ta jest rzeczą panu Bogu przeciwną, przysiągłem sobie tedy, że nigdy się do niej nie ucieknę ani dla siebie, ani dla kogokolwiek innego. Aliści miłość, którą dla was żywię, taką władzę ma nade mną, że niczego wam odmówić nie jestem w stanie. Dlatego też uczynię wszystko, czego żądacie, choćbym w szpony diabelskie miał za to popaść. Muszę jednakoż was uprzedzić, że nekromancja jest rzeczą niełatwą wielce; nawet pojęcia mieć nie możecie, z jakimi okropnościami ona się łączy, zwłaszcza jeśli ktoś przy jej pomocy utraconą miłość chce sobie powrócić. Osoba, o którą chodzi,

winna sama wypowiedzieć zaklęcia, działając nocą bez świadka w miejscu odosobnionym. Wszystko to wielkiej przytomności umysłu wymaga. Dla tych więc racyj wątpię, abyście wy, pani, podobnego przedsięwzięcia podjąć się chcieli.

Dama, bardziej zakochana niż rozumna, odparła na to:

— Miłość dręczy mnie tak okrutnie, że nie masz rzeczy, na którą bym się nie odważyła, byleby tylko odzyskać tego, co mnie bez powodu opuścił; nie obawiaj się tedy o mnie i powiedz, w czym mam ową siłę umysłu ukazać.

Uczony nasz, przejęty myślą pomsty, rzekł:

— Madonno, uleję dla was figurkę z ołowiu, mającą przedstawiać tego, kogo odzyskać chcecie. Jeśli pragniecie, aby czary skutek swój wzięły, musicie w czasie nowiu, będąc obnażona całkiem, siedem razy bez świadka przed północą w bieżącej wodzie się zanurzyć. Potem, wciąż jeszcze naga, wejdźcie na drzewo albo na dach jakiegoś opuszczonego domu i nie puszczając z rąk posążka z obliczem ku północy obróconym, siedem razy powtórzycie pewne wyrazy, które wam dla pamięci zapiszę. Gdy je wymówicie, ukażą się wam dwie wielce urodziwe dziewice i zapytają was uprzejmie, czego pragniecie. Dziewicom tym musicie szczegółowie pragnienie swe przedstawić, miejcie się jednak na pieczy, aby przypadkiem jednego miast drugiego nie wypowiedzieć. Dzieweczki, wysłuchawszy słów waszych, odejdą, a wówczas i wy będziecie mogli udać się na miejsce, gdzie suknie złożone zostały, ubrać się i do domu powrócić. Wierę, nie upłynie od tej chwili nawet połowa następnej nocy, a już kochanek wasz powróci z płaczem, błagając o łaskę i litość. Wiedzcie przy tym, że odtąd żadna kobieta na świecie od was go oderwać nie zdoła.

Dama, wysłuchawszy tej przemowy, uwierzyła niezachwianie w słowa uczonego.

Zdało się jej, że kochanka swego już w objęciach trzyma. Dlatego też z radością zawołała:

— Bądź pewien, że wypełnię najściślej wszystko, co mi rozkażesz. Nadspodziewanie dobrze się składa, gdyż posiadam niewielką majętność w dolinie Arno, położoną prawie nad samym brzegiem rzeki. Ponieważ teraz mamy lipiec, z prawdziwą przyjemnością kąpieli zażyję. Przypominam sobie także, że niedaleko od brzegu wznosi się mała wieżyczka, opuszczona całkiem. Czasem tylko wchodzą na nią po drabinie pasterze, aby rozejrzeć się po samotnej okolicy za zbłąkanymi z trzody bydlętami. Miejsce to jest całkowicie na uboczu. Tam się wyspinam i ani wątpię, że tam najlepiej wszystko, co mi przykażesz, wypełnię.

Uczony nasz, który znał od dawna posiadłość damy i wieżyczkę, niezmiernie był ucieszony, że wszystko idzie po jego myśli.

— Madonno — rzekł — nigdy nie byłem w okolicy, którąście wymienili, nie znam tedy ani posiadłości waszej, ani owej wieży. Jeśli jednak rzecz się ma w istocie tak, jak mówicie, lepszego miejsca szukać nam nie trza. Gdy czas stosowny przyjdzie, przyślę wam ów posążek wraz z formułą zaklęcia. Nim jednak odejdę, pozwólcie, abym wam raz jeszcze daną obietnicę przypomniał. Pozyskawszy cel pragnień swoich i przekonawszy się, że wam prawdziwą przysługę oddałem, wspomnijcie o mnie i o przyrzeczonej mi nagrodzie.

Dama potwierdziła swoje przyrzeczenie, po czym pożegnała go i odeszła.

Uczony, radując się tak pomyślnym biegiem sprawy, po powrocie do domu zajął się natychmiast ulaniem czarodziejskiego posążka, który pokrył dziwacznymi znakami i napisał zaklęcia, jakie mu na myśl przyszły. W wybranym dniu figurkę wraz z zaklęciem odesłał wdowie, dodając, aby następnej nocy bez zwłoki do dzieła przystąpiła. Po czym wraz ze służącym swoim udał się tajemnie do domu jednego z swoich przyjaciół. Dom ten znajdował się w pobliżu wieżyczki. Prawie jednocześnie wyruszyła w drogę do swej posiadłości nasza wdowa w towarzystwie służki. Gdy nastała noc, Helena udała, że ją sen morzy, i służkę swoją oddaliła, po czym wykradła się cichaczem z domu i podążyła na brzeg rzeki Arno, kierując się ku wieżyczce. Przybywszy na miejsce, rozejrzała się dobrze na wszystkie strony, chcąc się upewnić, czy jej nikt nie widzi. Rozebrawszy się i ukrywszy swe suknie pod krzakiem, siedmiokroć zanurzyła się w wodę z posążkiem w ręku, a następnie, nie wypuszczając z rąk posążka, skierowała się do wieżyczki. Rinieri po zapadnięciu nocy znalazł się również na brzegu Arno. Ukrywszy się wśród krzewów, w pobliżu wieży rosnących, widział wszystko, co wdowa czyniła. Helena przeszła tuż obok niego obnażona całkiem. Uczony obaczył, że białość jej ciała nocne zwycięża ciemności i że kształty jej urodziwe są nad wyraz. Pomyślawszy zasię, co to piękne ciało za chwilę przecierpieć będzie musiało, uczuł litość niejaką. Jednocześnie i żądze nękać go poczęły, dzięki czemu ów, co dotąd spokojnie leżał, w górę łeb podniósł. Uczony chciał już wyskoczyć z kryjówki, pochwycić piękną wdowę i nasycić się jej wdziękami. Gdy jednak wspomniał, kim jest i jakiej obelgi doświadczył, zdusił litość i cielesne chęci, zapłonął na nowo oburzeniem, za czym pozostał wierny swemu zamiarowi i przepuścił spokojnie wdowę mimo siebie.

Helena weszła na wieżę i obróciwszy się twarzą ku północy, poczęła zaklęcia odmawiać. Uczony tymczasem podkradł się pod wieżę, zabrał cichaczem drabinę i jął

czekać spokojnie na to, co dalej nastąpić miało. Wdowa, powtórzywszy siedem razy tajemnicze zaklęcie, jęła oczekiwać na pojawienie się dwóch zapowiedzianych dziewic; czekała jednak tak długo, aż zziębła okrutnie od nocnego chłodu i zbliżający się świt ujrzała. Zmartwiona wielce tym niepomyślnym skutkiem czarów i niejasnym podejrzeniem tknięta, rzekła półgłosem do siebie: »Kto wie, czy Rinieri nie chciał mi zapłacić za ową noc nieprzyjemną, którą przepędził kiedyś na dziedzińcu mego domu. Jeśli jednak miał ten zamysł, to zły rodzaj zemsty sobie wybrał, bowiem nie tylko ta noc o wiele krótsza była niźli tamta zimowa, ale nadto i chłód dzisiejszy z ówczesnym nawet się porównać nie da«.

Helena, nie chcąc, aby dzień ją zastał na wieży, postanowiła zejść na ziemię, aliści ujrzała, że drabina znikła. Wówczas nogi odmówiły jej posłuszeństwa, tak iż srodze zrozpaczona na taras wieży upadła. Gdy po pewnym czasie nieco do siebie przyszła, poczęła gorzko płakać i wyrzucać sobie, że tak głupio zaufała człowiekowi, któremu ciężką zniewagę wyrządziła i który jej zawziętym wrogiem stać się musiał.

Długi kęs czasu na tych jękach i wyrzekaniach strawiła, po czym znów głowić się poczęła, w jaki sposób z wieży na ziemię się spuścić, aliści nic nie znalazłszy, nowymi jękami wybuchnęła: »O ja nieszczęsna — rzekła do siebie — cóż powiedzą bracia moi, krewniacy, sąsiedzi i cała Florencja, gdy mnie tu ktoś nagą znajdzie! Dobra sława, którą dotychczas posiadam, pójdzie na marne. Gdybym się nawet wykrętami usprawiedliwić umiała, przeklęty filozof, który zna dobrze wszystkie moje sprawy, nie dozwoli mi uczynić tego. O ja nieszczęsna! W tej chwili straciłam bezpowrotnie ukochanego młodzieńca i cześć moją!«.

Myśl ta takim bezmiernym bólem ją przejęła, że już była gotowa rzucić się z wieży na ziemię.

Tymczasem słońce wzniosło się ku górze. Helena zbliżyła się do muru wieży, patrząc, czy gdzie w pobliżu nie kręci się z bydłem jakiś pasterz, którego by mogła do służki swej posłać. Miast pasterza spostrzegła filozofa, który właśnie z krótkiej drzemki pod krzewem się ocknął.

— Dzień dobry, madonno — zawołał — zali dziewice jeszcze nie przybyły?

Wdowa, usłyszawszy te słowa, wybuchnęła od nowa głośnym płaczem i zaklinać go jęła, aby zbliżył się ku wieży w celu porozumienia się z nią. Uczony nie dał się długo prosić. Dama położyła się jak długa na dachu wieży i wychyliwszy głowę przez otwór rynny, zawołała ze łzami:

— Wiem, Rinieri, żem cię o bardzo złą noc przyprawiła, aliści zemściłeś się za to dostatecznie, chociaż bowiem lipiec teraz mamy, tej nocy, stojąc naga na wieży, o mało nie skrzepłam z zimna; przy tym krzywdę, którą ci wyrządziłam, i głupotę, która mnie pchnęła do zawierzenia słowom twoim, tak gorzko opłakałam, że dziw, iż mi oczy pospołu ze łzami nie wypłynęły. Zaklinam cię tedy, nie na miłość dla mnie, bowiem niepodobną do wiary jest rzeczą, abyś mnie kochał, ale na cześć twoją, jako szlachcica. Niechaj to, coś dotychczas uczynił, będzie dostateczną pomstą za ujmę ci wyrządzoną. Podaj mi suknie i pozwól, abym się stąd oddalić mogła. Nie obdzieraj mnie z tego, czego potem, choćbyś nawet i chciał, oddać mi nie będziesz w stanie, nie obdzieraj mnie z dobrej sławy mojej.

Prawda, że niegdyś pozbawiłam cię rozkoszy, cierpień ci przyczyniając, aliści obiecuję ci tę jedną noc tysiącem innych wynagrodzić. Poprzestań więc na tym, coś dotąd uczynił, umiej się mścić jako mąż godny. Niechaj ci starczy to, że mogłeś wziąć pomstę i dowodnie mi to okazałeś. Nie nadużywaj przewagi swej nad biedną kobietą, nie ma bowiem w tym sławy dla orła, że gołębicę pokonał. Jeszcze raz zaklinam się na miłość Boską i w imię czci twojej cię błagam, abyś miał litość nade mną.

Filozof, który w hardej duszy swej rozważał krzywdę sobie wyrządzoną, widząc łzy i słysząc błagania wdowy, odczuwał w głębi serca radość i boleść na przemian. Radość ta płynęła z osiągnięcia upragnionej nade wszystko pomsty, boleść zrodziła się z uczucia litości nad nieszczęśliwą. Ludzkość nie zdołała jednak przemóc zawziętości. Dlatego też rzekł w te słowa:

— Madonno Heleno! Gdyby prośby moje (których, wierę, ani tak łzami zwilżyć, ani tak ocukrować jak ty nie umiałem), gdyby prośby moje owej nocy, kiedy na pokrytym śniegiem dziedzińcu z zimna prawie umierałem, tyle mi się były przydały, byś mnie bodaj na chwileczkę pod dach wpuściła, zaiste dzisiaj daleko łatwiej byłoby mi do błagań twoich się przychylić. Zresztą, jeśli ci tak bardzo o dobrą sławę chodzi, bardziej niż w przeszłości, i jeśli tak okropną dla ciebie jest rzeczą stać tam nago na górze, to obróć prośby swoje ku temu, w którego objęciach nie było ci przykro leżeć nago owej pamiętnej nocy, gdym ja zębami szczękał i jak zwierzę miotał się po dziedzińcu śniegiem zasłanym. Jego proś o pomoc, jemu każ podać sobie suknie i drabinę do wieży przystawić, w nim współczucie obudzić się postaraj, dla niego bowiem tysiąc razy cześć swą narażałaś, o którą dbasz tak bardzo. Dlaczegóż jego na ratunek nie wołasz? Któż, jak nie on, pomoc ci nieść powinien? Wszak miłośnicą jego jesteś; komuż zatem pomagać winien, kogo strzec, jeśli nie ciebie? Wołaj go tedy, głupia białogłowo, i

przekonaj się, zali miłość, którą dla niego żywisz, a takoż mądrość jego i twoja własna zarazem zdołają cię od mojej głupoty ocalić.

Przypomnij sobie dobrze, jak się go wśród karesów pytałaś, co jest większe: moja głupota czy też miłość, którą dla niego żywisz? Nie okazuj mi teraz wielkiej swojej szczodrobliwości i nie częstuj mnie hojnie tym, czego już nie pragnę, a czego odmówić mi nie byłabyś w stanie, gdybym tego pragnął!

Zachowaj te rozkoszne noce na później dla twego miłośnika, jeśli oczywista z życiem stąd ujdziesz. Dla siebie i dla niego je przeznacz; ja poprzestanę na tej jednej, którą otrzymałem. Wystarczy raz być wyszydzonym. Jak widzę, dawna chytrość jeszcze ze słów twoich przebija; silisz się pochwałami wspaniałomyślność moją obudzić, zwiesz mnie człekiem szlachetnym i godnym i spodziewasz się, że dzięki wielkoduszności złość twoją w niepamięć puszczę. Aliści pochlebstwa twoje nie zdołają już teraz, tak jak niegdyś twe obietnice, zaćmić oczu mojej duszy. Poznałem wreszcie sam siebie. Mój długi pobyt w Paryżu nie nauczył mnie tyle o sobie samym, ile ty w ciągu jednej nocy. Gdybyśmy nawet założyli, że wspaniałomyślny jestem, to ty przecie nie należysz do ludzi, wobec których tę cnotę objawiać należy. Kresem pokuty dla takich dzikich potworów jak ty, a również i kresem pomsty nad nimi śmierć tylko sama być winna. Jeśli ja orłem nie jestem, to i z ciebie bynajmniej nie gołębica, ale żmija jadowita, którą jako mego zaklętego wroga, z zaciekłością i srogością, równą twojej, dręczyć postanowiłem. To, co z tobą czynię, nie zemstą, ale karą właściwie nazywać się winno, zemsta bowiem zwykle przewyższa obrazę, mój zaś odwet — cokolwiek bym uczynił — nie zdoła nigdy twojej winie dorównać. Gdybym się chciał pomścić, biorąc pod uwagę obecny stan duszy mojej, który tobie zawdzięczam, to życie twoje, co mówię, życie stu tobie podobnych białogłów nie wystarczyłoby mi po temu, bowiem zabiłbym nic więcej, jeno podłą, złą i przewrotną białogłowę. Czymże, do czarta, jesteś lepszą (gdyby ci odjąć urok pięknego oblicza, które za lat kilka czas pomarszczy i do cna popsuje), czymże jesteś lepszą od każdej nędznej dziewki? A jednak taka nędzna istota jak ty, o mały włos nie przyprawiła o śmierć szlachetnego człowieka, jak mnie nazwałaś przed chwilą, którego życie w ciągu jednego dnia na znacznie więcej przydać się może niźli stu tysięcy tobie podobnych przez cały czas istnienia świata. Chcę ci tedy pokazać, dzięki tej karze, którą znosisz, co to znaczy drwić, abyś jeżeli wyjdziesz stąd żywa, w przyszłości w podobny błąd nie popadła. Jeśli zaś masz już tak nieodpartą i gwałtowną żądzę wydostania się stąd, to dlaczego nie skaczesz na dół? Mniemać by należało, że przy pomocy bożej kark skręcić powinnaś i tym sposobem uwolnić się od męczarni, które

jak powiadasz, srodze cię dręczą. Uczyniłabyś mnie wówczas najszczęśliwszym na świecie człowiekiem. Więcej ci już nic do powiedzenia nie mam. Kończę tedy i dodam tylko: moim staraniem było, abyś się na tę wieżę dostała, teraz twoją jest już rzeczą wynaleźć środek zejścia z niej, jak swego czasu wynalazłaś środek wydrwienia mnie.

W czasie tej przemowy filozofa nieszczęśliwa wdowa bez przerwy łzami się zalewała. Tymczasem słońce podnosiło się coraz wyżej. Helena, widząc to, rzekła w te słowa:

— Okrutny człeku! Jeżeli owa przeklęta noc tak srogą dla ciebie była, dzięki czemu wina moja tak wielką ci się teraz wydaje, że ani młodzieńcza piękność moja, ani łzy rzewne i błagania pokorne zmiękczyć cię nie są w stanie, to daj się przynajmniej nieco wzruszyć i pozbądź się swej okrutnej surowości przez wzgląd, iżem ci zaufała od nowa i wszystkie tajemnice moje ci odkryła, dając ci tak upragnioną sposobność przekonania mnie o winie mojej. Gdybym ci się bowiem tak ufnie w ręce nie oddała, nigdy byś był nie znalazł środka pomszczenia się w tak skuteczny sposób, czego tak gorąco pożądałeś. Dlatego też przestań być gniewny na mnie i chciej mi na ten raz przebaczyć.

Jeżeli przebaczysz mi i pozwolisz mi stąd odejść, będę gotowa wyrzec się całkiem wiarołomnego młodzieńca, ciebie zasię za jedynego pana mego i kochanka uznam, mimo że piękność moją lekce sobie ważysz, masz za nietrwałą i nie szacujesz jej wysoko. Jednakoż, jakąkolwiek by ta piękność, zarówno moja, jak i innych białogłów była, tyle wiem z pewnością, że będzie ona stanowiła przedmiot pożądania i rozkosznych uniesień wielu młodych ludzi, do których i ty się zaliczasz. Nie wątpię, że mnie wysłuchasz, bo chocia okrutnie ze mną dotąd się obchodziłeś, przecie uwierzyć nie mogę, abyś w samej rzeczy pragnął ujrzeć mnie rzucającą się z tej wieży i ginącą haniebną śmiercią na oczach twoich. Którym to oczom, jeśli nie kłamałeś wówczas, jak dziś kłamiesz, tak bardzo się podobałam. Na Boga, miej litość nade mną! Słońce mocno przypiekać zaczyna i tak jak w nocy chłód mnie dręczył, tak teraz znowu żar mnie trapi okrutnie.

Filozof, znajdujący osobliwą uciechę w tej wymianie słów, odparł:

— To prawda, madonno, że ufność twoja wydała cię w ręce moje. Płynęła ona jednak nie z miłości do mnie, jeno z pragnienia odzyskania tego, kogoś utraciła, na tym większą tedy pomstę zasługujesz. Jeśli zaś przekonana jesteś, że tylko tą drogą mogłem dojść do wywarcia zemsty nad tobą, to ci rzeknę, że głupio mniemasz. Tysiąc innych środków miałem w pogotowiu, tysiącem sieci byłbym cię omotał udając, że cię kocham, tak iż w ten czy w inny sposób w moc moją byś popadła. Każdy z owych środków pomsty pociągnąłby za sobą jeszcze większy twój srom i karę niźli ten, którego obecnie użyłem.

Jeśli go wybrałem, to jedynie dlatego, aby się wcześniej pomstą nasycić. Gdyby mnie nawet wszystkie inne plany odwetu zawiodły, to zawsze jeszcze miałem w ręku pióro, którym ciebie i sprawki twoje mógłbym tak opisać, że czytając te słowa, tysiąc razy przeklinałabyś dzień swoich narodzin. Potęga pióra jest o wiele groźniejsza, niźli sądzą ci, którzy jej na sobie nie wypróbowali. Ja zaś klnę się na Boga, który oby mi rozkosz obecnej pomsty w takiej sile do końca zachował, jaką mi dał odczuwać z początku, napisałbym o tobie rzeczy takie, że czytając je, nie tylko przed innymi, ale i przed sobą samą rumieńcem wstydu byś się zalewała i oczy sobie pragnęła wydrzeć, aby siebie samej więcej nie widzieć. Nie wyrzucaj więc morzu, że wezbrało wodami małego strumyka! O miłość twoją i o to, żeby cię posiadać, jak już powiedziałem, nie dbam zgoła. Jeśli możesz, oddawaj się temu, do któregoś dotąd należała, a którego ja teraz za to, że tak z tobą postąpił, miłuję tyle, ile go niegdyś nienawidziłem. Wy, białogłowy, pożądacie miłości młodzieńców i durzycie się w nich dlatego, że mają świeżą cerę, czarniejsze brody, że walczą na turniejach lub też wyskakują w tańcu. Wszystkie te same przymioty posiadali mężczyźni dziś nieco bardziej dojrzali, którzy wiedzą to, czego tamtym dopiero uczyć się należy. Tamtych za lepszych jeźdźców uważacie, bo więcej mil na dzień przebyć są zdolni. Młodzież w samej rzeczy mocniej was przetrząść może, aliści przyznać także trzeba, że ludzie źrali wiedzą lepiej, gdzie raki zimują. Rzecz wiadoma, że smaczna odrobina o wiele więcej jest warta niż obfitość bez smaku. Ostry kłus strzęsie i umęczy prędko każdego, choćby najmłodszego jeźdźca, gdy tymczasem powolniejszy, choć nieco później, ale za to przyjemniej i wygodniej do miejsca spoczynku doprowadzi.

Wy, nieroztropne białogłowy, nie podejrzewacie nawet, ile zła pod tym marnym powabem powierzchowności się kryje. Młodzieńcy nigdy na jednej nie poprzestaną, pożądają oni bowiem każdej, którą ujrzą. Każdej uważają się godni. Dlatego też miłość ich stała być nie może. Najlepszym świadectwem tego jesteś ty sama. Wydaje im się, że zasługują na szacunek i miłość swych pań, a większej chluby nie znajdują, jak pysznić się łaskami tych, które posiedli. Ten ich błąd wydał tyle kobiet w ręce mnichów, którzy przynajmniej zachowują milczenie. Jeśli mniemasz, że nikt, krom mnie i służącej twojej, miłostek twoich nie jest świadom, grubo się mylisz. Cała ulica, na której mieszkasz, i wszyscy sąsiedzi tylko o tym mówią. Jak to jednak często się zdarza, rzeczy takie najpóźniej dochodzą do uszu osoby, której dotyczą. A wreszcie okradają was oni, gdy mężowie dojrzali obdarzają was. Skoroś więc już tak zły wybór uczyniła, ostań przy swoim miłośniku, mnie zasię, wzgardzonego, pozostaw innej, znalazłem bowiem

kochankę zacniejszą od ciebie, która lepiej niż ty na wartości mojej poznać się umiała. Jeżeli zaś chcesz zabrać na tamten świat prawdziwsze pojęcie o rzeczach, które mimo wyjaśnień moich ciemne dla ciebie pozostały, a takoż przekonać się dowodnie o tym, czego moje oczy pragną, to zechciej jak najśpieszniej z tej wieży na dół się rzucić. Mniemam, że dusza twoja, w pazurach diabelskich już się znajdująca, będzie mogła upewnić się, że oczy moje widokiem upadku twego wcale się nie przerażą. Obawiam się jednak, że nie zechcesz podobną rozkoszą mnie obdarzyć. Dlatego też radzę ci, abyś gdy słońce dopiekać pocznie, wspomniała na ów mróz, na który mnie naraziłaś, i zmieszała go z obecnym skwarem, wówczas ani chybi słoneczny żar łagodnym ci się wyda.

Niepocieszona wdowa z tych słów uczonego poznała wreszcie wyraźnie jego okrutny zamysł. Wybuchnęła tedy płaczem od nowa i rzekła:

— Jeżeli już nic litości wzbudzić w tobie nie może, to niechaj cię pobudzi do niej chociaż miłość, którą pałasz do owej damy, o tyle rozumniejszej ode mnie i jak sam mówisz, miłującej cię wielce. W imię jej miłości zaklinam cię, przebacz mi, podaj mi suknie i wypuść mnie z tego miejsca udręki.

Uczony na te słowa parsknął śmiechem, po czym, widząc, że trzecia godzina ranna już od dawna minęła, odrzekł:

— Zaiste, teraz gdyś mnie na tę damę zaklęła, odmówić twojej prośbie nie mogę. Powiedz mi więc, gdzie się twoje suknie znajdują, a pójdę po nie i uwolnię cię stąd.

Wdowa uwierzywszy jego słowom uspokoiła się nieco i opisała mu miejsce, gdzie szaty ukryła. Rinieri oddalił się od wieży, poleciwszy swemu słudze, aby się nie ważył odchodzić na krok, ale został w pobliżu i wszelkimi siłami bronił do tego miejsca przystępu, dopóki on sam nie powróci. Wydawszy to zlecenie, pośpieszył do domu swego przyjaciela, gdzie posiliwszy się do woli, na spoczynek się udał.

Wdowa tymczasem, na krótki czas głupią nadzieją nieco skrzepiona, siedziała na wieży w głębokim smutku, tuląc się do muru od strony, gdzie leżał wąski pas cienia. Tysiąc gorzkich myśli ją dręczyło. To wątpiła, to znów wierzyć poczynała, że uczony z sukniami przybędzie, wreszcie myślami błądząc tu i tam, zmożona bólem, ani oka w nocy nie zmrużywszy, teraz wreszcie zasnęła.

Tymczasem słońce wzniosło się wysoko i poczęło piec niemiłosiernie pionowymi promieniami swymi delikatne i niczym nieosłonięte ciało wdowy, które nie tylko opaliło się, ale i w drobną siatkę pękać poczęło. Śpiąca poczuła ból tak wielki, że ocknęła się. Przy pierwszym poruszeniu zdało jej się, że skóra płatami z niej opada niby pergamin spalony, gdy go pociągnąć. Głowa bolała ją tak, jakby za chwilę pęknąć miała. Dach

wieży był tak rozpalony, że wdowa, na jednym miejscu ustać nie mogąc, z płaczem to w tę, to w tamtą stronę się rzucała. Na domiar złego zupełna cisza panowała w powietrzu; tysiąc much i bąków usiadło na ranach ciała i tak je kłuło, że każde ukłucie zdawało się nieszczęśnicy ciosem sztyletu. Helena nieustannie machała rękoma, złorzecząc bez przerwy doli swojej, kochankowi i uczonemu. Krom spiekoty, much i owadów dręczył ją głód, a zwłaszcza pragnienie. Nękana na domiar wszystkiego tysiącem natrętnych myśli, do głębi nimi wstrząśnięta, skoczyła na równe nogi, wypatrując, zali nie obaczy w pobliżu kogoś, kto by mógł jej z pomocą pośpieszyć. Cokolwiek by się stać miało, gotowa była ją zawezwać, aliści złowrogi los i tu jej nie sprzyjał. Okoliczni wieśniacy z powodu skwaru z pól zeszli; nikt tego dnia w całej okolicy do pracy w tę stronę nie wyszedł. Poprzestano na młóceniu zboża w pobliżu domów. Helena nie słyszała nic krom koników polnych i nie widziała niczego prócz fal Arna, które widokiem swoim powiększały jeszcze palące ją pragnienie. Nieszczęsna wdowa patrzyła na krzewy, cieniste gęstwiny i domy, a widok ten męczył ją okrutnie. Cóż mam rzec jeszcze o cierpieniach biednej białogłowy? Słońce z góry, rozpalony dach pod stopami, ukłucia much i bąków, wszystko to tak ją umęczyło, że ciało jej, które niedawno białością swoją cienie nocy zwyciężało, teraz czerwone całe jak szkarłat, przypieczone i zbroczone krwią, czyniło z niej istotę tak szpetną, jak to tylko wystawić sobie można. Utraciwszy wszelką nadzieję, rady żadnej nie widząc, Helena już tylko na śmierć czekała. Tymczasem minęła ósma godzina i nasz uczony się przebudził. Ocknąwszy się, natychmiast pomyślał o wdowie i podążył ku wieży, aby obaczyć, co się z ofiarą jego stało. Sługę swego, który jeszcze nic nie jadł, wysłał, by się posilił. Wdowa, ujrzawszy go, chwiejąc się, pełna lęku zbliżyła się do rynny, usiadła przy niej i płacząc rzewnie, rzekła:

— Rinieri, pomściłeś się już nad wszelką miarę. Jeślim ja ciebie nocą na dziedzińcu moim o mało nie zamroziła, to ty w dzień upiekłeś mnie na tej wieży, a raczej spaliłeś, dając mi przy tym odczuć mękę głodu i pragnienia. Zaklinam cię na Boga, wejdź tutaj i śmierć mi zadaj, ponieważ ja, słaba białogłowa, zabić się nie mam odwagi. Tego jednego domagam się od ciebie, tak wielka jest bowiem męczarnia, którą znoszę. Jeśli jednak nie chcesz i tej łaski mi wyświadczyć, to podaj mi szklankę wody, abym nią sobie usta zwilżyła. Gorączki, która mi wnętrze pali, samymi łzami przecie nie ugaszę.

Uczony po głosie mógł poznać mękę Heleny. Gdy obaczył jeszcze część jej ciała, spalonego słonecznym żarem, gdy posłyszał jej pokorne prośby, poczuł krztę litości od nowa. Oparł się jednak raz jeszcze temu wzruszeniu i rzekł:

— Nie umrzesz z moich rąk, przewrotna i zła kobieto, umieraj natomiast z swych własnych, jeśli masz ochotę po temu, szklanki wody zasię ku ugaszeniu gorączki tak się ode mnie spodziewaj, jak ja niegdyś, zmarznięty, spodziewałem się, że mnie w domu swoim ogrzejesz. Żałuję niezmiernie, że gdy moje odmrożenia przy pomocy ciepła śmierdzącego nawozu wyleczono, to ty od zadanych twej piękności szwanków będziesz się mogła uwolnić pachnącą wodą różaną. Mnie groziła utrata życia lub kalectwo, ty zasię po poparzeniu, na kształt węża, który starą skórę zrzucił, piękniejszą jeszcze będziesz.

— O ja nędzna! — zawołała na to białogłowa — oby Bóg wrogów moich tak pozyskaną pięknością obdarzył.

A ty, okrutniejszy od dzikiego zwierzęcia, powiedz, jak śmiesz mnie w ten sposób zadręczać? Gdybym wśród mąk najokrutniejszych wytępiła twoją rodzinę lub któregokolwiek innego mężczyzny, zaliż sroższa kara spotkać by mnie mogła? Nie wiem, zaiste, jaką sroższą torturę można by wymyślić dla zdrajcy, który całe miasto na zgubę wydał. Mało tego, żeś mnie udręczył słonecznym żarem, wystawił na pożarcie przez muchy i osy, odmówiłeś mi jeszcze kropli wody, chocia morderców, wyrokiem sądu skazanych i na kaźń prowadzonych, często winem poją, gdy tylko tego zażądają. Widzę teraz, że nic cię od okrutnego zamysłu twego odwieść nie zdoła, żeś głuchy i ślepy na cierpienia moje, dlatego też bez jęku będę czekała na śmierć, poruczając duszę moją Bogu. Jego wzywam, do Niego się odwołuję i przed Niego cię pozywam na sąd sprawiedliwy!

To rzekłszy, powlokła się z wielkim wysiłkiem na sam środek tarasu, gdzie słońce najmocniej dopiekało, aby się rychlej śmierci doczekać. Tonąc we łzach nieustannych, skarżąc się rzewnie, znosiła tysiąc śmierci miast jednej i z bólu a pragnienia o mało rozumu nie postradała.

Tymczasem zbliżył się wieczór. Uczony pomyślał, że dość już tej kary będzie, dlatego też kazał słudze swemu wziąć suknie wdowy i płaszczem owinąć, po czym udał się do domu nieszczęśnicy. Na progu siedzącą zastał jej służkę, bezradną, w wielkiej rozpaczy i trwodze pogrążoną.

— Gdzie się znajduje twoja pani? — zapytał.

— Panie — odrzekła służąca — nie wiem, co się z nią stało. Dzisiaj rano spodziewałam się, że znajdę ją w łóżku, do którego wczoraj przy mnie się położyła, aliści nie znalazłam jej tam ani gdzie indziej, mimo troskliwych poszukiwań, dlatego też

widzicie mnie w ciężkiej obawie i trosce. Może wy, panie, możecie mi dać o niej wieść jakąś?

— Należało cię zaprowadzić na to miejsce, gdzie ona teraz się znajduje, i ukarać cię podobnie za przewinę twoją — odparł uczony. — I tak jednak, dalipan, nie ujdziesz moich rąk, ukarzę ciebie bowiem tak przykładnie, że nie przyjdzie ci już nigdy ochota na wydwarzanie się z ludzi, byś mnie nie wspomniała.

To rzekłszy, zwrócił się do sługi swego:

— Oddaj jej suknie i wskaż, gdzie ma szukać swojej pani.

Służka, poznawszy suknie, okrutnie się przeraziła, sądziła bowiem, że już swoją panią martwą znajdzie.

Pohamowawszy z trudem okrzyk grozy, zaraz po odejściu Rinieriego pobiegła za jego towarzyszem ku wieży.

Tymczasem zdarzyło się, że jednemu z wiejskich robotników wdowy zabłąkały się gdzieś dwie świnie. Wybrał się na poszukiwanie ich, a zbliżywszy się do wieży, niebawem po odejściu uczonego, usłyszał nagle jęki nieszczęśliwej białogłowy. Zaciekawiony, wydrapał się, jak mógł najwyżej, i zapytał:

— Kto tam tak płacze?

Wdowa poznała swego robotnika po głosie. Zawoławszy nań po imieniu, rzekła:

— Idź po służącą moją i duchem ją tu przyślij.

— O dla Boga, madonno, co was tutaj przywiodło! — zawołał kmieć. — Służka wasza szukała was przez dzień cały. Komuż jednak mogło przyjść na myśl, że się tu znajdujecie.

Rzekłszy te słowa, podniósł drabinę, naprostował i umocnił szczeble. W tej chwili nadbiegła służka. Poczciwa dziewczyna wstąpiwszy na drabinę dała folgę łzom i załamując ręce zawołała:

— Pani moja, gdzie jesteście?

— Jestem tutaj, siostro moja — odrzekła dama najgłośniej jak zdołała. — Nie czas teraz na łzy. Podaj mi co prędzej moje suknie.

Dziewczyna, uspokojona nieco jej głosem, z pomocą robotnika, który ukończył już niemal naprawę drabiny, wbiegła na dach. Ujrzawszy jednak swoją panią, nie do boskiego stworzenia, ale do na pół zwęglonego pnia podobną, oszpeconą, pokłutą i nago na ziemi leżącą, rwać sobie włosy poczęła i wylewać łzy jak nad umarłą. Wdowa wezwała ją, aby się uspokoiła i pomogła jej przede wszystkim się ubrać. Dowiedziawszy się zaś od służki, że krom niej i robotnika oraz tych, co suknie przynieśli, nikt o całej

sprawie nie wie, pocieszyła się znacznie i zaklęła tylko świadków, aby wieczną i głęboką tajemnicę zachowali.

Po długich rozważaniach robotnik wziął na plecy damę, niemogącą iść o własnych siłach, i zniósł ją szczęśliwie z wieży. Natomiast nieszczęsna służka, która w tyle pozostała, schodząc widać z mniejszą ostrożnością z drabiny, pośliznęła się na jednym z wyższych szczebli, spadła na ziemię i złamała nogę.

Ból, jaki poczuła, był tak wielki, że jak lew zaryczała. Usłyszawszy ten krzyk, robotnik położył damę na trawie i pobiegł zobaczyć, co się stało. Ujrzawszy, że służąca ma nogę złamaną, wziął ją również na plecy i zaniósł do pani, obok której ją złożył. Dama na widok tego nowego nieszczęścia i na myśl, że ostatnia istota, która by jej w danej chwili pomóc mogła, leży obok niej bezsilna, strapiła się niezmiernie i wybuchnęła na nowo tak rzewnymi łzami, że robotnik nie tylko uspokoić jej nie mógł, ale i sam zapłakał.

Ponieważ jednak noc się zbliżała, kmieć na prośbę zrozpaczonej damy pobiegł do domu. Wziąwszy z sobą dwóch braci swoich i żonę i zabrawszy deskę przybył na miejsce wypadku. Dziewczynę ułożono na desce i zaniesiono do chaty wieśniaka. Robotnik pokrzepił damę wodą i łagodnymi słowy, wziął ją na plecy i zaniósł do izby sypialnej. Tam żona jego nakarmiła ją podpłomykami i rozebrawszy, położyła do łoża. W nocy postarał się wieśniak o odwiezienie damy i służki do Florencji.

Wdowa, której nigdy na zręcznych wybiegach nie zbywało, wymyśliła o swojej przygodzie bajkę, nic wspólnego z istotą sprawy niemającą. Potrafiła wmówić w braci swoich, siostry i we wszystkich znajomych, że pospołu ze służką padła pastwą jakiejś sztuczki diabelskiej. Znaleźli się pod ręką doktorzy, którzy wdowę nie bez trudu i wysiłku z gorączki i innych przypadłości wyleczyli, a takoż nastawili nogę służki. Odcierpiały jednak obydwie za swoje, a wdowa niejedną skórę, przylegającą do prześcieradeł, postradała. Przypadek ten jednak wymazał z jej pamięci niewiernego kochanka i odjął wszelką ochotę równie do drwin z ludzi, jak i do nowych afektów.

Uczony zasię, dowiedziawszy się o wypadku służki, osądził, że dostatecznie jest pomszczony. Dlatego też pozwolił się wdowie wedle zręczności i woli wykłamywać.

Tak oto wyszła głupia białogłowa na niewczesnej chętce wyszydzenia drugich, mniemając, że ludzi uczonych tak łatwo nabrać jak innych. Była nieświadoma, że oni (jeśli już nie wszyscy, to większa ich część) dobrze wiedzą, gdzie raki zimują. Dlatego też, miłe damy, wystrzegajcie się drwin, a zwłaszcza drwin z ludzi uczonych".

Opowieść ósma. Rogi za rogi

Dwaj Sieneńczycy żyją w wielkiej przyjaźni z sobą. Jeden z nich uwodzi żonę drugiego, ów, dowiedziawszy się o tym, wchodzi w porozumienie z żoną uwodziciela i zamyka go do skrzyni, po czym na wieku z jego żoną miłosnym igraszkom się oddaje.

Ciężko i boleśnie było damom słuchać o okrutnym ukaraniu Heleny, ponieważ jednak przyznać musiały, że kara ta w części zasłużoną była, pomiarkowały tedy współczucie swoje. W każdym razie uznały uczonego za okrutnego i nieubłaganego człeka. Gdy Pampinea opowieść swoją skończyła, królowa wezwała Fiammettę, która w te słowa ochoczo mówić zaczęła:

— Urocze przyjaciółki! Ponieważ jak mi się zdawa, zbyt żywo odczułyście surowość obrażonego filozofa, sądzę tedy, iż nie od rzeczy będzie czymś weselszym smutne myśli wasze zająć. Dlatego też mam zamysł opowiedzieć wam krótką opowieść o pewnym młodzieńcu, który ze spokojniejszym umysłem obrazę przyjął i w bardziej umiarkowany sposób pomścił się za nią. Z historii tej poznacie, że każdemu wystarczyć powinno, gdy odda tą samą miarką, którą mu odmierzono, i że w pomście przesadzać nie należy, skoro idzie tylko o odwet za doznaną zniewagę.

„Wiedzcie tedy, że wedle tego, co słyszałam, żyli niegdyś w Sienie dwaj młodzieńcy, bogaci i z dobrych rodów mieszczańskich idący — jeden nazwiskiem Spinelloccio Tavena, drugi Zeppa di Mino. Byli oni właścicielami sąsiednich domów na ulicy Camollia. Przestawali ciągle tylko z sobą, tak iż wedle wszelkich pozorów wydawać się mogło, że miłują się jak bracia, a nawet więcej jeszcze. Każdy z nich miał wielce urodziwą żonę. Owóż zdarzyło się, że Spinelloccio, przebywający często w domu Zeppy, zaprzyjaźnił się tak z jego żoną, że sypiać u niej począł. Działo się to przez długi czas, nie zwracając niczyjej uwagi. Pewnego razu jednak tak się zdarzyło, że Zeppa był w domu, o czym żona jego nie wiedziała. Zjawił się właśnie Spinelloccio, wywołując go. Żona odpowiedziała, że męża nie ma w domu.

Wówczas Spinelloccio wbiegł żywo na schody, wpadł do sieni, a widząc, że urodziwa białogłowa sama się w izbie znajduje, chwycił ją w objęcia i począł ją czule całować, nie bez hojnego odwzajemnienia się z jej strony. Zeppa ujrzawszy to, nie mruknął ani słowa, ale ukrył się, pragnął bowiem dowiedzieć się, jak się ta igraszka skończy. Po chwili ujrzał żonę swoją w objęciach przyjaciela; zmierzali do komnaty, a potem usłyszał szczęk klucza. Wzburzyło go to do głębi. Zważywszy jednak, że wrzaskiem despektu swego nie zmniejszy, tylko go głośniejszym uczyni, pohamował się i począł

rozmyślać, jakby się pomścić bez zwrócenia uwagi obcych ludzi, a ku pełnemu ukontentowaniu swojemu. Zeppa, wszystko dobrze rozważywszy, postanowił nie wychodzić z kryjówki swojej, póki przyjaciel jego w domu gościć będzie. Po jego odejściu wszedł do sypialnej komnaty swej żony i zastał ją poprawiającą sobie włosy, które jej Spinelloccio dla figlów rozpuścił.

— Żono — rzekł stanąwszy na progu — co czynisz?

— Czy nie widzisz, co robię? — odrzekła.

— Oczywista, że widzę — odparł Zeppa — tak jak i wiele innych rzeczy widziałem, których nie pragnąłem wcale oglądać.

Tu zaczął z nią mówić o tym, co zaszło, ona zaś, po długim kołowaniu, w największej trwodze przyznała się do wszystkiego (czemu zresztą żadną miarą już zaprzeczyć nie mogła) i łkając, o przebaczenie błagać go poczęła.

Zeppa wysłuchał jej spokojnie, a potem rzekł:

— Postąpiłaś niegodziwie, występna białogłowo. Jeśli jednak chcesz, abym na ten raz ci przebaczył, musisz wypełnić jak najściślej rozkazy moje, o których w tej chwili usłyszysz. Dasz tedy znać Spinellocciowi, aby jutro o trzeciej godzinie pod jakimś pozorem uwolnił się od mego towarzystwa i przybył do ciebie. Gdy się już tutaj zjawi, wejdę i ja do domu; wówczas ty, słysząc moje kroki, każesz mu się ukryć w tej wielkiej skrzyni i zamkniesz go w niej. Gdy to uczynisz, powiem ci, jak masz dalej sobie poczynać. Przy tym wszystkim nie obawiaj się o nic, przyrzekam ci bowiem, że najmniejszej krzywdy mu nie wyrządzę.

Żona, szczęśliwa, że mąż poprzestał na tym, obiecała mu posłuszeństwo i dotrzymała słowa. Nazajutrz o trzeciej godzinie Spinelloccio, znajdujący się właśnie z Zeppą, a pamiętny, że dama czeka na niego, rzekł w te słowa:

— Darujcie, że was opuszczę; zaproszony dziś jestem na obiad do jednego z przyjaciół, który na mnie będzie oczekiwał.

— Do obiadowej pory jeszcze daleko — odparł Zeppa.

— Nic to nie szkodzi — rzekł Spinelloccio. — Muszę z nim pomówić o różnych sprawach, dlatego też wcześniej przybyć wolę.

To rzekłszy, pożegnał się, wyszedł i okrężną nieco drogą przybył do domu Zeppy, przez żonę jego oczekiwany. Zaledwie oboje w sypialnej komnacie się znaleźli, dały się słyszeć kroki Zeppy. Na ten odgłos, piękna dama, udając wielce zatrwożoną, wezwała Spinelloccia, aby ukrył się w skrzyni, którą mąż jej wskazał, po czym zamknęła go w niej starannie i wyszła. Zeppo spotkał ją na progu i spytał się jej donośnym głosem:

— Żono, wszak to już czas na obiad?

— Tak jest, w samej rzeczy — odrzekła.

— Spinelloccio — ciągnął Zeppa dalej — zaproszony został dzisiaj do jednego z przyjaciół, żona jego tedy musiałaby sama obiadować. Dobrze będzie zatem, jeśli z okna zawołasz ją i poprosisz, aby do nas na obiad przyszła.

Żona, drżąca ze strachu o swój los i dlatego też ślepo posłuszna, uczyniła, co jej rozkazano. Małżonka Spinelloccia na gorące jej prośby i zapewnienia, że Spinelloccio gdzie indziej dziś obiadować będzie, dała się do odwiedzin nakłonić. Zeppa przyjął ją wielce dwornie, schwycił ją za rękę i dawszy skinieniem znać żonie swojej, aby się do kuchni oddaliła, powiódł damę do sypialnej komnaty. Wszedłszy tam, drzwi od wewnątrz zaparł. Na ten widok żona Spinelloccia zawołała:

— Biada mi! Co to ma znaczyć, Zeppo? Po to tedy tu mnie zwabiłeś? Takaż ma być owa miłość i wierna przyjaźń, którą mężowi memu okazujesz?

Zeppa, trzymając ją silnie w ramionach, zbliżył się do skrzyni, w której siedział Spinelloccio, i rzekł w te słowa:

— Zanim dalsze wyrzuty czynić mi poczniesz, wysłuchaj, co ci powiem. Miłowałem Spinelloccia i jeszcze jak brata go miłuję, wczoraj jednak, chociaż o tym nie wie, odkryłem, że ufność, jaką go obdarzałem, tylko taki skutek miała, że począł mnie przy żonie mojej zastępować i obcuje z nią tak jak z tobą.

Właśnie dla tej przyczyny, że go miłuję, nie chcę bynajmniej mścić się na nim, jeno mu równą miarą odpłacić. Posiadł moją żonę, tedy i ja postanowiłem ciebie posiąść tak samo. Jeśli się nie zgodzisz należeć do mnie, będę sobie musiał inaczej poradzić. Ponieważ zaś hańby tej płazem puścić nie mogę, wypłatam mu figla, który ani tobie, ani jemu nie będzie miły.

Żona Spinelloccia, usłyszawszy tę wiadomość, uwierzyła w nią, dając posłuch przysięgom i zaklęciom Zeppy. Tak tedy rzekła do niego:

— Miły Zeppo, jeśli ci ta zemsta na mnie wywarta wystarczyć może, to już niechaj i tak będzie. Przyrzeknij mi jeno, że postarasz się, aby to, co czynić będziemy, nie stało się powodem waśni między mną a żoną twoją, z którą, mimo że przeciwko mnie zawiniła, chciałabym w przyjaźni pozostać.

— Oczywista, że tak uczynię — odrzekł Zeppa — a krom tego obdarzę cię tak cennym i pięknym klejnotem, jakiego równego nie posiadam.

Rzekłszy te słowa, uścisnął ją, ucałował, a potem ułożył ją na skrzyni, w której mąż zamknięty siedział, i cieszył się nią do woli.

Spinelloccio, który z ukrycia swego całą tę rozmowę słyszał, a potem trewizański taniec nad głową swoją poczuł, z początku o mało się ze złości nie rozpukł. Gdyby nie obawa przed Zeppą, byłby, ani chybi, mimo zamknięcia, żonie swojej obelgę jakąś rzucił lub groźbami ją zasypał. Zważywszy jednak, że on sam dał wszystkiemu początek, a Zeppa miał prawo postąpić z nim tak, jak postąpił, i że po ludzku jak dobry towarzysz z nim się obszedł, postanowił w duszy zostać jeszcze goretszym jego przyjacielem, niż był nim dotąd.

Zeppa tymczasem, używszy, ile dusza zapragnęła, zszedł ze skrzyni. Gdy żona Spinelloccia upomniała się o obiecany jej klejnot, otworzył drzwi od sypialnej komnaty i zawołał na żonę swoją. Białogłowa, stanąwszy na progu, to tylko rzekła do swojej przyjaciółki ze śmiechem:

— Madonno, oddałaś mi pięknym za nadobne.

— Otwórz skrzynię — rzekł mąż.

Gdy wieko podniesiono, Spinelloccio ukazał się oczom swojej żony. Długo by się nad tym szerzyć należało, kto z nich większy wstyd odczuł: Spinelloccio, który wiedział, że Zeppie nic tajne nie jest, czyli też żona, która w tej chwili dowiedziała się, że mąż słyszał i czuł wszystko, co nad jego głową wyrabiano. Wreszcie Zeppa rzekł:

— Oto klejnot, który ci daję!

Spinelloccio, wyszedłszy ze skrzyni, rzekł po prostu te słowa:

— Jesteśmy skwitowani należycie, dlatego też dobrze będzie, jeśli na przyszłość przyjaciółmi pozostaniemy, jak przed chwilą oświadczyłeś mej żonie. Wszystko mieliśmy dotąd wspólne krom żon, należy przeto, abyśmy i je wspólnym dobrem uczynili.

Zeppa bardzo się uradował, słowa te usłyszawszy. Po chwili wszyscy czworo w przykładnej zgodzie do stołu zasiedli. Od tej pory każda z tych białogłów miała dwóch mężów, a każdy z obu mężów dwie żony, jednakoż z tego powodu nigdy między nimi do waśni i kłótni nie dochodziło".

Opowieść dziewiąta. Przygoda mistrza Simona

Mistrz Simone, lekarz, błaga Bruna i Buffalmacca, aby wprowadzili go do pewnego towarzystwa, które się korsarstwem para. Nocą schodzą się na oznaczonym miejscu. Buffalmacco wrzuca doktora do smrodliwej jamy i tam go pozostawia.

Po dość długiej rozmowie o wspólnocie żon (pochop do tej gawędy dał damom postępek dwu Sieneńczyków) królowa, nie chcąc czynić ujmy przywilejowi Dionea, jako ostatnia z opowiadających w te słowa zaczęła:

— Jako żywo, miłe przyjaciółki, Spinelloccio zasłużył sobie na figiel, jaki mu wypłatał Zeppa. Dlatego też wbrew temu, czego Pampinea przed chwilą dowieść się starała, nie sądzę, by godzien był ostrej przygany krotochwilnik wyrządzający psotę temu, co szuka jej albo na nią zasłużył. Powtarzam, że zasłużył na nią Spinelloccio. Sama zaś opowiedzieć wam chcę o takim, który sam jej szukał, i mniemam, że nie ganić, ale chwalić należy tych, co z niego zakpili. Był to lekarz, który powrócił z wszechnicy bolońskiej do Florencji, głupi jak baran, chocia daleko szlachetniejszym od baraniego futrem był od stóp do głowy okryty.

„Co dzień widzimy, że Florentczycy powracają do naszego miasta z Bolonii jako sędziowie, doktorzy, notariusze, w długie, fałdziste szaty szkarłatne, futrem bramowane przyodziani. Wartość ich umysłów mało niestety temu przepychowi stroju odpowiada. Jednym z takich pawiów był niejaki Simone da Villa, bardziej bogaty w dobra doczesne niż w wiedzę. Powrócił on do nas z Bolonii jako doktor medycyny (wedle własnych zapewnień), ustrojony w szkarłat z ogromną krezą, i zamieszkał przy ulicy, którą dzisiaj Via del Cocomero zowią.

Ów mistrz Simone pośród wielu osobliwych obyczajów swoich miał także i ten, że idąc z kimkolwiek bądź przez ulicę natrętnie wypytywał się o nazwiska spotykanych po drodze ludzi, o ich stan i stosunki, tak jakby te wiadomości o ludziach mogły mu do przyrządzania leków dopomóc. Zbierał je też bardzo uważnie w pamięci. Szczególnym przedmiotem uwagi jego stali się dwaj malarze, sąsiedzi jego, Bruno i Buffalmacco (o których już dziś dwukrotnie wspomniano), żyjący w wielkiej przyjaźni z sobą. Naszemu doktorowi zdało się, że ci ludzie mniej kłopotów mają i weselej żyją niż ktokolwiek inny w mieście, i dlatego też rozpytywać się o nich szczegółowie począł. Usłyszawszy zasię, że są to ubodzy malarze, wbił sobie do głowy, że w tym wszystkim jakaś tajemnica tkwić musi i że ci dwaj weseli ludzie mają widocznie jakieś ukryte źródło dochodów — tym bardziej że słyszał często o ich przebiegłości i sprycie. Myśl ta wzbudziła w nim niezmierną chęć wejścia w bliższe stosunki bądź to z obydwoma na raz, bądź też z jednym z nich. Po pewnym czasie w samej rzeczy udało mu się zapoznać i zbliżyć się z Brunem. Bruno, pomiarkowawszy po kilku spotkaniach, z jakim to dudkiem ma do czynienia, jął z niego drwić niemiłosiernie i figle niebywałe mu płatać, doktor zaś, nie spostrzegając tego, w towarzystwie jego wielkie upodobanie znajdował. Zaprosił go do

siebie kilkakrotnie na obiad i gdy osądzał wreszcie, że otwarcie już z nim pogadać może, wyznał mu, że podziwem go napełnia wesoły, mimo ubóstwa, sposób ich życia. Po czym spytał się, czemu by to przypisać należało?

Bruno, wysłuchawszy tych słów, równie niedorzecznych jak inne, roześmiał się głośno i postanowił odpowiedzieć tak, jak na to barani rozum doktora zasługiwał.

— Mistrzu — rzekł — byle komu nie powiedziałbym o tym, jak sobie poczynamy, wam jednak, o którego przyjaźni i dyskrecji upewniony jestem, nie będę wahał się wyspowiadać. W samej rzeczy ja i towarzysz mój wesołe życie prowadzimy, weselsze nawet, niźli się wam wydawać może. Zawdzięczamy to oczywiście nie profitom z kunsztu naszego albo z majętności jakichkolwiek, to by nam bowiem nawet na czystą wodę nie wystarczyło. Abyście nie sądzili jednak, że kradniemy, powiem wam, że chodzimy na korsarskie wyprawy i tam, bez niczyjej szkody, zdobywamy wszystko, cokolwiek do zaspokojenia potrzeb naszych lub dla przyjemności jest nam potrzebne. Stąd też beztroski nasz żywot, który wpadł wam w oko.

Doktor usłyszawszy te słowa zadziwił się i uwierzył, mimo że nie rozumiał, co to znaczyć może. Zapragnąwszy gorąco dowiedzieć się, w jaki to sposób korsarstwo się uprawia, począł usilnie Bruna o wyjaśnienie prosić, zaręczając mu, że najgłębszą tajemnicę zachowa.

— Dla Boga! — zawołał Bruno — mistrzu, czegóż to wymagacie ode mnie? Zbyt wielka jest ta tajemnica, którą radzi byście poznać, ja zasię za odkrycie jej nie tylko mógłbym być zniszczony i życia pozbawiony, aliści wpaść nawet w paszczę Lucypera z San Gallo. Tak wielką jednak jest miłość dla waszej osoby, która mi arbuza z Legnaia przypomina, i tak niezmierną ufność w was pokładam, że nie czuję się na siłach odmówić żądaniu waszemu. Dlatego też gotów jestem opowiedzieć wam wszystko, pod warunkiem że przysięgniecie na krzyż z Montesone, iż nigdy tego nikomu nie zdradzicie.

Mistrz nie szczędził zaklęć i przysiąg.

— Wiedzcie tedy, o mój słodziutki mistrzu — rzekł Bruno — iż przed niedawnym czasem przebywał w naszym mieście wielki czarodziej i doktor nekromancji, nazwiskiem Michał Scotto, ze Szkocji bowiem się wywodził. Odbierał on dowody głębokiej czci od najznaczniejszych w mieście ludzi, z których niewielu jeszcze żyje. Gdy się już do wyjazdu gotował, przychylił się do gorącej prośby swoich przyjaciół i pozostawił tutaj dwóch najznamienitszych uczniów swoich z poleceniem, aby czynili zadość najmniejszym zachceniom tych szlachetnych Florentczyków, od których tyle

czci i miłości był doznał. Uczniowie, posłuszni mistrzowi, pozostali w mieście, oddając owym panom rozliczne usługi w wielu sprawach miłosnych i innych. Wreszcie, upodobawszy sobie Florencję i obyczaje mieszkańców, postanowili osiąść u nas na stałe. Po pewnym czasie weszli w związki ścisłej przyjaźni z niektórymi obywatelami tutejszymi, nie bacząc na to, czy ten, z kim się zaprzyjaźnią, jest szlachcicem czy nie-szlachcicem, ubogim czy bogatym człekiem, byleby tylko do gustu im przypadał. Pozyskawszy przyjaciół, utworzyli grono, z dwudziestu pięciu może ludzi złożone, które najmniej dwa razy na miesiąc w pewnym, wskazanym przez nich, miejscu się zbiera. Tam każdy wyraża im swoje pragnienia, które tej samej nocy spełniane bywają. Z tymi dwoma czarnoksiężnikami wiąże mnie i Buffalmacca osobliwie poufała przyjaźń. Przyjęto nas do owego towarzystwa na równych prawach z innymi. Ach, gdybyście mogli widzieć przepyszne obicia komnat, po królewsku zastawione stoły, dookoła których krążą roje urodziwej służby płci obojej, owe nieporównane czary, dzbany z winem i butle oraz inne naczynia ze złota i srebra, z których jemy i pijemy! Cóż dopiero mam powiedzieć o dobroci i obfitości potraw? Kto czego tylko zapragnie, zaraz to ma przed sobą. Nie jestem w stanie wyrazić wam, jakie dziwne dźwięki z rozlicznych instrumentów tam się rozlegają, jakie rozbrzmiewają tam pieśni melodią urzekające ani jak wielka ilość świec woskowych przy tych biesiadach płonie, ani ile cukrów i win kosztownych na nasze skinienie czeka. Nie sądźcie także, mój milusi mistrzu, że siadamy do stołów w szatach, w których nas zwykle widujecie. Po stokroć nie! Nie masz między nami takiego, który by cesarzowi podobien nie był, w tak pysznych bowiem strojach i ozdobach paradujemy. Nad wszystkie jednak rozkosze wyższa jest rozkosz, którą nas piękne kobiety obdarzają. Sprowadza się je z najdalszych krańców świata w mgnieniu oka, wedle woli każdego z nas i wedle wyboru. Możecie tam ujrzeć królowę Barbaników, władczynię Basków, żonę sułtana, cesarzową Usbeku, panią Klapigębę z Norwegii, Semisantę z Berlinzony i Scalpedrę z Narsji. Ale na cóż się zda tutaj je wyliczać? Znajdziecie tam wszystkie królowe ziemi całej, wraz z Szinszimurą, żoną księdza Jana. Aliści słuchajcie dalej! Gdy sobie już nieco podpijemy i jadłem się pokrzepimy, zatańczywszy wkoło raz lub dwa razy, udaje się każdy z tą, która się na jego żądanie zjawiła, do osobnej komnaty. Wiedzieć wam należy, że każda z tych komnat to raj prawdziwy, tchnący aromatem, nie mniej wonnym od wnętrza waszych aptek, gdy w nich kminek tłuką. Stoją tam łoża okazalsze od łoża weneckiego doży. Na nich każda para się układa. Zostawiam wam do domysłu, jak każda z tych prządek potem kołowrotek trzyma, jak nitki puszcza, sama w kłębek się zwijając.

Najszczęśliwszymi z tych szczęśliwców, a takoż najlepiej uposażonymi jesteśmy, wedle mego zdania, ja i Buffalmacco: on bowiem najczęściej sprowadza sobie królowę francuską, ja zasię angielską. Damy te, jak każdemu wiadomo, są najpiękniejszymi na całym świecie białogłowami. Tak umieliśmy im przypaść do serca, że o nas tylko myślą i z nami jeno przestają. Łatwo wam tedy będzie pojąć teraz, że musimy być najweselszymi i najszczęśliwszymi na świecie ludźmi. Posiadamy miłość dwóch tak pięknych królowych, nie mówiąc już o tym, że dosyć nam zażądać od nich dwóch albo trzech tysięcy dukatów, aby je mieć natychmiast. To wszystko pospolicie korsarstwem nazywamy, postępujemy bowiem jak korsarze, którzy każdemu dobytek wydzierają. Różnica tylko na tym się zasadza, że oni nie oddają tego, co raz wzięli, my zasię zwracamy zdobycz po jej użyciu. Wiecie teraz wszystko, rozumiecie, co nazywamy korsarstwem, i widzicie, w jakiej należy to trzymać tajemnicy, przeto więcej nic wam nie powiem, proszę jeno, nie wspominajcie już nigdy o tym.

Doktor, którego cała wiedza polegała na umiejętności leczenia małych dzieci z parchów, uwierzył w słowa Bruna, jak gdyby one ewangelią były, i zapalił się niepomiarkowanym pragnieniem wejścia do tego towarzystwa. Odrzekł tedy Brunowi, że zaiste bynajmniej go teraz nie dziwi ich wesoły i pogodny wyraz oblicza, i ledwie pohamować się zdołał od prośby o przyjęcie go natychmiast do tego towarzystwa. Namyśliwszy się jednak, odłożył tę prośbę do chwili, aż Bruna lepiej dla siebie pozyskać zdoła. Tymczasem nie rozdzielał się z nim prawie, zapraszał go do siebie z rana, w południe i wieczorem i niezmierną życzliwość mu okazywał.

Wkrótce miłość ta tak się zwiększyła, iż zdało się, że doktor bez Bruna żyć i istnieć nie może. Bruno, któremu to wszystko wielce po myśli było, nie chcąc okazać się niewdzięcznym za tyle przywiązania i czci, wymalował doktorowi w komnacie jadalnej Post Wielki i Agnus Dei, nad bramą zasię wielki nocnik, aby po tym znaku klienci dom doktora od innych odróżniali. Krom tego na werandzie wymalował mu walkę myszy z kotami, którą doktor za arcydzieło uważał. Nie zaniedbywał przy tym od czasu do czasu, gdy nie wieczerzał z doktorem, wspomnieć coś o swoim towarzystwie. Pewnego razu rzekł:

— Dzisiejszą noc spędziłem w towarzystwie naszym. Ponieważ królowa angielska już mi się nieco sprzykrzyła, kazałem sobie tedy na ten raz sprowadzić panią Gumedrę, małżonkę wielkiego chana Tarisu.

— Co to znaczy Gumedra? — spytał doktor. — Dalipan, nie rozumiem tych wszystkich imion.

— O mój najdroższy mistrzu! — odparł Bruno. — Wcale się temu nie dziwię, słyszałem bowiem, że Ipokrad i Aciemiega nic o niej nie wspominają.

— Chciałeś zapewne powiedzieć: Hipokrat i Avicenna — poprawił doktor.

— Dalipan, powiedziałem, jak wiedziałem — odparł Bruno. — Równie mało rozumiem się na tych waszych nazwiskach, jak wy na moich. Co się zaś tyczy imienia Gumedra, to znaczy ono w mowie wielkiego chana to samo, co u nas cesarzowa. Ach, cóż to za białogłowa! Powiadam wam, że zapomnielibyście przy niej o wszystkich medykamentach, receptach i plastrach waszych!

Podobnymi słowami, nieraz powtarzanymi, tak Bruno doktora podniecił, że ten, pewnego wieczora nieco dłużej w jego towarzystwie pozostawszy, sądząc, że dostatecznie zyskał go sobie swą uprzejmością, postanowił wreszcie wyznać mu najgorętsze pragnienie swoje. Bruno malował właśnie walkę myszy z kotami. Doktor, który światło mu trzymał, zaczął w te słowa:

— Brunonie, Bogu jednemu wiadomo, że nie masz człeka na świecie, dla którego gotów bym tyle uczynić, ile dla ciebie. Gdybyś mi nawet powiedział teraz: »Idź do Peretoli«, ani chybi, poszedłbym tam. Nie dziwuj się tedy, iż z całą ufnością o coś cię poproszę. Przed niedawnym czasem opowiedziałeś mi cuda o rozkosznym sposobie życia waszego wesołego towarzystwa. Wzbudziło to we mnie taką żądzę należenia do niego, o jakiej dotąd pojęcia nie miałem. Gdy mnie przyjmiecie, przekonasz się, że nie bez ważkiej racji z prośbą tą do ciebie się zwracam. Pozwolę ci nazwać mnie kpem, jeśli natychmiast po przyjęciu nie sprowadzę sobie najpiękniejszej dziewczyny, jakiej zapewne nigdy nie widziałeś. Poznałem ją nie dalej jak w zeszłym roku w Śmierdzącej Wólce i oddałem jej całe serce moje. Na ciało Chrystusowe! Ofiarowałem jej nawet dziesięć bolońskich groszy, aby mi wstrętów nie czyniła, aliści to żadnego skutku nie odniosło. Powiedz mi tedy, błagam cię gorąco, co mam uczynić, aby wejść do waszego grona, i spraw, abym się doń dostał. Wierzaj mi, że pozyskacie we mnie dzielnego, wiernego i godnego towarzysza. Zresztą dość spojrzeć na mnie. Jestem wszak człekiem urodziwym, a nie żadnym ułomkiem. Oblicze mam świeże jak róża, a przy tym jestem doktorem medycyny, których jak mi się zdaje, niewielu między sobą macie. Znam wiele dykteryjek i pięknych piosenek. Jedną nawet zaraz ci zanucę.

Tu począł ryczeć na całe gardło.

Bruna taki śmiech porwał, że hamując go, o mało się nie rozpukł. Przezwyciężył się jednak, a gdy doktor skończył piosenkę i spytał:

— No i cóż, jak ci się zdaje?

— Wierę — odrzekł Bruno — trzeba by było być głuchym jak pień, aby nie ocenić, jak cudownie śpiewacie i wyciągacie.

— Nieprawdaż? — zawołał doktor — pewien jestem, że nie uwierzyłbyś, gdybyś sam nie był słyszał!

— Najprawdziwsza prawda — odparł Bruno.

— Ale to nic jeszcze — rzekł doktor — bowiem i piękniejszych rzeczy jestem świadom. Dajmy temu jednak pokój. Musisz wiedzieć, że rodzic mój był szlachcicem, chocia na wsi mieszkał, po kądzieli zasię pochodzę z rodu panów z Vallecchio. Posiadam także, jak się sam o tym przekonać mogłeś, piękniejsze księgi i bogatsze suknie od innych doktorów we Florencji. Klnę się na Boga, że mam dobytek, który przed kilku laty w sumie sto lirów dobrą monetą mnie kosztował. Zaklinam cię tedy raz jeszcze, wprowadź mnie do towarzystwa waszego! Jeśli mi tę przysługę wyświadczysz, nie wezmę od ciebie nigdy trojaka za leczenie, będziesz mógł przeto chorować, ile tylko zechcesz!

Bruno, usłyszawszy te słowa, ugruntował się w mniemaniu swoim, że doktor jest głupi jak baran. Odrzekł mu przeto:

— Mistrzu! Poświećcie mi z tej strony i miejcie trochę cierpliwości, póki tym myszom ogonów nie przyprawię. Za chwilę wam odpowiem.

Ogony wkrótce były gotowe. Wówczas Bruno, udając zakłopotanie, rzekł:

— Najdroższy mistrzu! Zaiste, wielkie to są rzeczy, które gotowi jesteście uczynić dla mnie. To jednak, czego żądacie, a co dla waszego wielkiego umysłu drobiazgiem się być wydawa, jest dla mnie sprawą niezmiernej wagi. Nie znam na całym świecie człeka, dla którego rzecz tę z równą chęcią jak dla was byłbym uczynił. Raz dlatego, że miłuję was, jak na to zasługujecie, a po wtóre, dla tej przyczyny, że osobliwie cenię mądrość słów waszych, które byłyby zdolne trafić do dewotek, a cóż dopiero mnie przekonać? Im dłużej z wami przestaję, tym mędrszymi mi się być wydajecie. Muszę wam powiedzieć takoż, że gdybym nie miał innej przyczyny do pokochania was, to starałbym się dogodzić wam choćby dlatego, żeście sobie tak piękny przedmiot miłości wybrali. Winienem wam jednak wyznać, że spełnienie waszego pragnienia jest rzeczą trudniejszą, niźli sądzicie. Dla tej przyczyny nie będę mógł uczynić dla was tyle, ile bym pragnął. Jeśli mi jednak na swoją niezachwianą uczciwość przysięgniecie, że tajemnicy dochowacie, wskażę wam drogę, którą idąc, cel swój osiągnąć będziecie mogli. Pewien jestem, że to się wam, ani chybi, uda, skoro posiadacie tak piękne książki i tyle innych cennych rzeczy.

— Bądź spokojny — odparł doktor. — Widocznie nie znasz mnie jeszcze dobrze, inaczej bowiem wiedziałbyś, że każdą tajemnicę zdzierżyć umiem. Zaliż mało takich spraw i zamiarów miał pan Gasparruolo da Saliceto wówczas, gdy był sędzią podesty w Forlimpopoli? Zwierzał mi się on ze wszystkich zamysłów swoich; mnie pierwszemu oznajmił także o zamierzonym małżeństwie swoim z Bergaminą. Sądzę, że na tym dowodzie poprzestaniesz!

— Na mą duszę! — zawołał Bruno — jeśli on wam tak ufał, to niewątpliwie i ja mogę. Droga tedy, o której wspomniałem, taka jest:

Towarzystwo nasze ma zawsze kapitana i dwóch radców, którzy co sześć miesięcy się zmieniają. Ani chybi w najbliższej przyszłości Buffalmacco zostanie kapitanem, a ja radcą, tak już bowiem od dawna postanowiono. Kapitan taki ma wielką władzę, mogąc przyjmować do towarzystwa, kogo tylko zechce. Otóż, według mego zdania, powinniście pozyskać dla siebie Buffalmacca, uprzejmie i dwornie z nim postępując. Jest to człek, który, poznawszy skarby mądrości, w was się kryjące, pokocha was całą duszą. Zjednawszy go urokiem rozumu waszego i hojności, będziecie mogli prosić go, o co zechcecie, a on nie potrafi wam odmówić. Wspominałem mu już nawet o was i wiem, że jest dla was przychylnie usposobiony. Weźcie się tedy rączo za niego, a resztę ja już sam uładzę.

— Rada twoja — odrzekł na to doktor — wielce mi się podoba. Zapoznam się z Buffalmacciem. Jeśli jest człekiem lubiącym z mądrymi ludźmi przestawać, to zapuściwszy się ze mną choćby raz w gawędę, sam mnie później poszukiwać zacznie. Co się przyrodzonego dowcipu tyczy, to zaiste mam go tyle, że całe miasto mógłbym nim obdzielić i jeszcze by mi go dosyć pozostało.

Bruno, tak rzecz postawiwszy, zdał z tej rozmowy sprawę Buffalmaccowi. Ów nie mógł doczekać się chwili, w której nie w ciemię bity doktor z nim się zapozna, rad by był bowiem jak najprędzej obdarzyć go tym, czego on tak gorąco pragnął. Doktor nie dał mu długo czekać. Płonąc niezmierną żądzą udania się na korsarską wyprawę, nie spoczął, póki nie zaprzyjaźnił się z Buffalmacciem, co mu bez trudu się udało. Poznawszy go, jął wydawać na jego cześć wspaniałe obiady i uczty, na które i Bruna zapraszał. Dwaj filuci durzyli go niesłychanymi bredniami i nie żałowali sobie wybornych win, tłustych kapłonów i innych smakowitych rzeczy. Gościli u niego ciągle, przebywając w jego domu nieraz i bez zaprosin, i zawsze go zapewniali, że z nikim innym na świecie tak by im przyjemnie nie było.

Wreszcie doktor, upatrzywszy stosowną zdaniem jego porę, wyznał z kolei pragnienie swoje Buffalmaccowi. Ów udał z początku wielkie pomieszanie, a potem wpadł z wściekłością na Bruna, wołając:

— Na wielkiego Boga z Pasignano! Mam niepomierną chęć tak cię w łeb trzasnąć, abyś sto tysięcy świec zobaczył, ty zdrajco obrzydły! Nikt inny krom ciebie nie mógł opowiedzieć o tych wszystkich rzeczach doktorowi.

Doktor, słysząc to, począł żywo Bruna usprawiedliwiać, klnąć się i zapewniać, że wie o tym wszystkim zgoła z innego źródła, i wreszcie udobruchał rozgniewanego malarza.

Ułagodzony Buffalmacco zwrócił się do doktora i zawołał:

— Drogi mistrzu, widać od razu, że nie na próżno do Bolonii jeździliście, skoro przywieźliście stamtąd zasznurowaną gębę. Od razu poznać można, gdzieście się uczyli. Przy tym, jeśli się nie mylę, w czepku urodzić się musieliście. Bruno mi rzekł, że medycynę studiowaliście, aliści ja mniemam, że była to raczej umiejętność zyskiwania sobie ludzi. Wierę, przy pomocy rozumu waszego i rzadkiego dowcipu zdolni jesteście wymóc, co zechcecie.

Doktor zerwał się na te słowa i przerywając mówcy, rzekł do Bruna:

— Widzisz, co to znaczy, gdy się na roztropnego człeka natrafi. Któż by równie dobrze jak ten dzielny mąż całą odrębność mego umysłu ocenić potrafił? Nawet ty nie dopatrzyłeś się tak prędko moich walorów. Powtórz mu teraz, com rzekł, gdyś mi powiedział, że mu do serca przypadnę?

— Prawda, szczera prawda — odrzekł Bruno.

— Jeszcze byś niejedno mógł przydać — ciągnął dalej doktor, zwracając się do Buffalmacca — gdybyś mnie był widział w Bolonii. Tam zarówno doktorzy, jak i scholarzy zachwycali się mną gorąco. Nie było profesora ni studenta, który by mnie nad wszystko w świecie nie miłował i dla siebie pozyskać nie pragnął, tak ich bowiem umiałem dowcipem i wymową swą olśnić. Więcej powiem! Nie mogłem wyrzec jednego słowa, aby ich do gwałtownego śmiechu nie pobudzić, tak bardzo przypadłem im do serca. Gdym odjeżdżał, zalewali się wszyscy gorzkimi łzami i żądali, abym pozostał. Gotowi byli nawet powierzyć mnie jednemu wykład medycyny dla wszystkich studentów, aliści ja nie chciałem tego, śpieszyłem się bowiem do majętności mej tutaj, która jeszcze do pradziadów moich należała.

— No i cóż? Jakże ci się wydaje? — rzekł Bruno do Buffalmacca. — Nie chciałeś wierzyć, gdym ci o doktorze opowiadał. Na mą duszę, nie ma w całym mieście doktora, który by się tak dobrze znał na oślej urynie jak nasz medyk. Bądź pewien, że aż do bram

Paryża drugiego takiego mędrca nie znajdziesz. Spróbuj mu się teraz oprzeć i postaraj się do jego prośby nie przychylić.

— Bruno — odrzekł na to doktor — szczerą prawdę mówi. Nie poznali się tutaj na mnie, bowiem naród wasz jest nadto gruby. Gdybyście ujrzeli mnie między doktorami, przekonalibyście się lepiej, kto jestem.

— Zaiste, mistrzu — odparł Buffalmacco — wiecie jeszcze więcej, niż sądziłem. Dlatego też odzywam się do was tak, jak do dostojnego męża odzywać się należy, i oświadczam, że wszelkiego starania dołożę, aby was wkrótce przyjęto do towarzystwa naszego.

Po tej rozmowie i otrzymanym od Buffalmacca przyrzeczeniu doktor począł jeszcze częściej dwóch malarzy ugaszczać. Wbijali mu oni do głowy najdziksze bzdury, obiecując, że sprowadzą dlań grabinę Latrynę, najpiękniejszą istotę na tyłach rodu ludzkiego.

Zaciekawiony doktor zapytał, kto zacz jest owa grabini?

— Ach, moja ty tykwo — zawołał Buffalmacco — jest to wielce godna pani i zaiste mało się znajduje na całym świecie takich domów, nad którymi by ona jurysdykcji nie miała, nie mówiąc już o tym, że nawet sami ojcowie minoryci hołdy jej składają i na cześć jej pukają z moździerzy. Ma także i tę własność, że gdy koło jakiegoś miejsca przechodzi, wonią niechybnie się zdradza. Niedawno właśnie w nocy przeszła koło moich drzwi, udając się do rzeki Arno dla obmycia nóg i odetchnięcia świeżym powietrzem. Najbardziej lubi w odosobnionych miejscach przebywać, ale właściwym miejscem jej zamieszkania jest Latryna. Milicja jej kręci się wszędzie; poznacie ją po miotle i sznurze z ołowianą gałką, herbie tej pani. Wasalów jej także na świecie pełno; dość wymienić pana Fajda, Don Kupkę, panią Biegunkę, nie mówiąc już o wielu innych, których znać ani chybi musicie. W objęcia tej dostojnej damy zaprowadzić was chcemy, jeśli piękna podwika z Śmierdzącej Wólki zawód wam sprawi i jeśli, co rzecz główna, zamysły nasze się udadzą.

Doktor, wychowany od dziecka w Bolonii, nie pojął krotochwilnego znaczenia tych słów i objawił gorącą chęć jak najprędszego poznania owej damy.

Wkrótce po tej rozmowie nasi malarze przynieśli doktorowi radosną wieść, że ma być przyjęty do towarzystwa. W dniu oznaczonym na ceremonię, która się nocą odbyć miała, zaprosił doktor obu swoich przyjaciół na obiad. Gdy go spożyli, zażądał bliższych wyjaśnień co do zachowania się przy dopuszczeniu do tego grona.

— Mistrzu — odparł Buffalmacco — przede wszystkim musicie tęgo się trzymać, bo gdybyście nie dotrzymali placu i stchórzyli, nie tylko cała nasza praca na niczym spełznie, ale i wielka stąd szkoda dla was powstanie. Zaraz wam powiem, pod jakim względem męstwo owo okazać musicie. Trzeba tedy, abyście wieczorem, gdy wszystkich pierwszy sen zmorzy, znaleźli się na jednym z owych wysokich grobowców, które niedawno koło Santa Maria Novella wystawiono. Musicie się oblec w najpiękniejszy wasz strój dla godnego przedstawienia się po raz pierwszy towarzyszom naszym, a także grabini, która jak nas słuchy doszły, pragnie was, jako szlachcica, którym się mienicie, rycerzem kąpieli mianować. Na grobowcu tym będziecie czekali, póki się po was posłaniec nie zjawi. Abyście zawczasu na wszystko przygotowani być mogli, wiedzcie, że przybędzie po was czarne, niezbyt wielkie, rogate zwierzę, które skoki ogromne czynić przed wami pocznie chrapiąc i mrucząc dla przerażenia was.

Gdy się jednak przekona, żeście od trwogi dalecy, zbliży się do was powoli. Wówczas zejdźcie bez strachu z grobowca i siadajcie spokojnie na kark temu zwierzęciu. Warujcie się jeno wzywać Boga lub świętych Pańskich! Usadowiwszy się wygodnie, załóżcie ręce układnie na krzyż i powierzcie się całkiem zwierzęciu, nie tykając go rękoma. Ruszy ono powoli z miejsca i do nas was przywiezie. Raz jednak jeszcze przestrzec was muszę, że jeśli wspomnicie imię Boga, jakiegoś świętego lub też obawę poczujecie, zwierzę to zrzuci was z siebie albo też wpakuje was w jakieś niezbyt wonne miejsce. Jeżeli tedy nie czujecie dosyć męstwa, to lepiej dajcie temu pokój, bowiem, stchórzywszy, sobie tylko szkodę przyniesiecie, a nam despekt sprawicie.

— Nie znacie mnie jeszcze, przyjaciele moi — odparł doktor. — Wątpicie snadź o mnie widząc, że rękawiczki i długie suknie noszę. Gdybyście jednak wiedzieli, com ja niegdyś nocami w Bolonii wyrabiał, wyszedłszy z towarzyszami na połów białogłów, osłupielibyście ani chybi. Na honor, pewnej nocy jedna z takich dziewcząt iść z nami nie chciała! Mizeractwo to było prawdziwe, ledwie mi do pasa dostające. Opór jej tak mnie oburzył, że obłożywszy ją naprzód porządnie kułakami, chwyciłem ją za ramiona i pchnąłem tak, iż chcąc nie chcąc iść z nami musiała. Innym znowu razem w towarzystwie sługi przechadzałem się wieczorem, nieco po Ave Maria, koło cmentarza minorytów, właśnie w dniu, gdy tam pewną białogłowę pochowano, i nie bałem się niczego. Nie lękajcie się tedy o mnie, bo odwagi mam raczej za wiele niźli za mało. Co się zaś przyzwoitości tyczy, to dla nieuchybienia jej, włożę na siebie szkarłatną suknię, w której mnie na doktora promowano. Obaczycie, jakie to wrażenie na całym towarzystwie sprawi, i przekonacie się, że wkrótce kapitanem jego zostanę. Wszystko

innym trybem u was pójdzie po przyjęciu mnie, zwłaszcza że, jak powiadacie, nie widząc mnie grabini owa tak się już we mnie rozkochała, że mnie kawalerem kąpieli mianować pragnie. A może z tą godnością nie będzie mi do twarzy? Albo może nie dodam jej blasku czy też przeciwnie? Pozwólcie mi tylko działać!

— Dobrze zatem — odparł Buffalmacco — baczcie jeno, abyście nam jakiegoś figla nie wypłatali i abyście na czas we właściwym miejscu się stawili. Wiedząc, że wy, panowie doktorzy, ochraniać swoje cenne zdrowie lubicie, przestrzegam, że noc dziś jest chłodna wielce.

— Niechże mnie Bóg zachowa — zawołał na to doktor. — Nie należę bynajmniej do zmarzluchów i nic sobie z największego zimna nie robię. Gdy mi przyjdzie podnieść się w nocy z łoża dla załatwienia przyrodzonej potrzeby, zarzucam tylko futro na kaftan. Bądźcie tedy spokojni o mnie, stawię się bowiem niezawodnie na miejscu i zaczekam.

Gdy wieczór się zbliżył, doktor, usprawiedliwszy się przed żoną, że tak późno z domu wychodzi, wydobył ukradkiem odświętną szatę, wdział ją na siebie, a potem, przybywszy na wskazane miejsce, wdrapał się na jeden z grobowców, przycisnął się do marmurowej płyty, bowiem chłodno nie na żarty było, i jął czekać na przybycie rogatej poczwary. Tymczasem Buffalmacco, tęgi i silny człek, postarał się o jedną z owych larw, jakich niegdyś na zabawach, dziś już wyszłych z obyczajów, używano, po czym okrył się cały czarnym futrem, włosem na zewnątrz, tak iż wyglądał jak niedźwiedź. Tylko głowa miała diabelski i rogaty pozór. Tak ustrojony udał się na plac Santa Maria Novella. W niejakiej odległości postępował za nim Bruno, chciał się bowiem przyjrzeć z bliska całej tej historii. Buffalmacco, ujrzawszy mistrza na grobowcu, jął dzikie skoki wyprawiać i ogłuszający hałas na placu czynić. Parskał przy tym, wył, sapał i chrapał jak opętany. Doktor widząc to i słysząc poczuł, że mu włosy dębem stają na głowie, w istocie bowiem tchórzliwszy był od pierwszej lepszej białogłowy. W tej chwili siła dałby za to, aby w domu się znajdować. Ponieważ jednak przybył już na to miejsce, więc też krzepił się jak mógł, tak wielka bowiem była w nim żądza oglądania cudów, znanych mu z opowieści.

Tymczasem Buffalmacco, namiotawszy się do syta, udał, że się uspokoił, po czym zbliżył się do grobowca i stanął przy nim. Doktor szczękał zębami ze strachu i nie wiedział, co począć: wskoczyć na grzbiet zwierzęcia czy też na grobowcu pozostać. Bojąc się jednak, aby mu potwór w wypadku, jeśli na grzbiet jego nie wsiądzie, krzywdy jakiej nie wyrządził, nową trwogą dawną obawę przezwyciężył i zszedł z grobowca, szepcząc:

— Boże, nie opuszczaj mnie!

Potem wsiadł na tajemniczego wierzchowca, usadowił się wygodnie na nim i drżąc całym ciałem, złożył ręce na krzyż na piersiach, jak mu zalecono.

Wówczas Buffalmacco począł się nieznacznie ku Santa Maria della Scala kierować. Niósł doktora, idąc na czworakach, prawie aż do samego klasztoru mniszek z Ripole. Podówczas znajdowały się w tej okolicy doły, w które właściciele sąsiednich gruntów grabinię Latrynę zrzucać kazali, aby nią potem pola swoje użyźniać. Buffalmacco, zbliżywszy się do tych dołów, przystąpił na brzeg jednego z nich, po czym, wybrawszy stosowną chwilę, schwycił doktora za nogi, strącił go z siebie i wrzucił głową w dół do jamy, warcząc przy tym, skacząc i wyjąc okrutnie. Po dokonaniu tego bohaterskiego czynu pobiegł na łąkę Wszystkich Świętych. Tam spotkał Bruna, który nie mogąc śmiechu pohamować, aż tutaj się zapędził. Obaj teraz śmiać się poczęli i z udanego figla się cieszyć. Pofolgowawszy sobie nieco, zaczaili się, aby z daleka obaczyć, co doktor uczyni.

Ów poczuwszy, w jak obrzydliwą dostał się jamę, próbował wstać i wydobyć się z niej; dopiero jednak po kilkakrotnym zapadnięciu się to tu, to tam, umazaniu kałem od stóp do głowy i połknięciu sporej jego dawki, obolały, wydostał się na wierzch, utraciwszy kaptur, jęcząc i wściekając się nie na żarty. Wyszedłszy oskrobał się rękami, jak mógł najlepiej, a nie widząc innej rady, do domu powrócił. Kołatał tak długo, aż mu wreszcie otwarto.

Zaledwie drzwi się za nim zawarły, już Bruno z Buffalmacco pod nimi stanęli, chcąc się dowiedzieć, jak cuchnącego doktora przyjmie żona. Naraz usłyszeli grad najstraszliwszych obelg i przekleństw, jakich zapewne największy hultaj na świecie nie był nigdy słyszał.

— Ha! — wrzeszczała żona doktora — ha, na mą duszę, jakże się dobrze stało! Zapewne wybrałeś się do jakiejś nierządnicy, a chcąc się jej przypodobać w szkarłatną suknię się przybrałeś. Nie wystarczam ci już tedy, mój skarbie! Całemu ludowi bym wystarczyła, a cóż dopiero tobie!

O, czemuż cię nie utopili, wrzuciwszy tam, gdzie już zostać powinieneś! Oto mi doktor na schwał! Ma swoją własną żonę, a nocami za cudzymi żonami się ugania.

Podobnymi przymówkami nie przestawała go dręczyć aż do północy, w czasie mycia, skrobania i czyszczenia, które doktor troskliwie odbywał.

Nazajutrz rano Bruno i Buffalmacco stawili się do domu doktora, pomalowawszy sobie uprzednio skórę pod odzieżą w sinawe pręgi, które na ślady pięści i kija wyglądały. Zastali mistrza już na nogach. Gdy weszli do komnaty, obrzydliwa woń silnie ich w

nozdrza uderzyła, dotąd bowiem nie sposób było jeszcze wszystkiego całkiem oczyścić. Doktor, ujrzawszy ich, postąpił ku nim i pozdrowił ich uprzejmie. Aliści Bruno i Buffalmacco, zgodnie z uprzednią umową swoją, odpowiedzieli mu na to pozdrowienie z gniewliwą miną:

— Bynajmniej nie życzymy wam dobrego dnia, owszem, błagamy niebo, aby na was, jako na wiarołomnego i obrzydliwego zdrajcę, zesłało tysiąc klęsk i śmierć haniebną. Z waszej to winy, wówczas, gdyśmy się starali o zaszczyty dla was, o mało nas jak psów nie zabito. Dzięki zdradzie popełnionej przez was otrzymaliśmy tej nocy tyle kijów, że mniejszą znacznie ilością razów najbardziej upartego osła do Rzymu zagnać by można było. Nie dosyć na tym! Groziło nam niebezpieczeństwo wygnania z towarzystwa, do którego wprowadzić was chcieliśmy. Jeśli nie wierzycie, przyjrzyjcie się, jak wygląda nasza skóra.

To rzekłszy, rozchylili na piersiach szaty i pokazali posiniaczone farbą piersi swoje, nie dając jednak doktorowi zbyt usilnie się w nie wpatrywać.

Doktor na ten widok chciał się usprawiedliwić i opowiedzieć o swoich przypadkach. Zaledwie jednak wspomniał o wrzuceniu go do jamy, Buffalmacco zawołał:

— Na mą duszę, pragnąłbym, aby was było zrzuciło z mostu do rzeki Arno. Po cóż przyzywaliście Boga i świętych Pańskich? Nie ostrzegałemże was?

— Klnę się na Boga żywego, żem ich nie przyzywał — odparł doktor.

— Niewątpliwie nie przypominacie sobie tego, boście drżeli całym ciałem jak osika i nie wiedzieli, gdzie się znajdujecie. Nasz poseł opowiadał nam o tym szczegółowie. Co się stało, już się nie odstanie, ale od tej pory nikt nam nigdy podobnego figla nie spłata. Was zasię uczcimy tak, jak na to zasłużyliście.

Na te słowa doktor uderzył w prośby o przebaczenie i zaklął ich na Boga, aby mu wstydu i przykrości nie czynili. Wreszcie udało mu się udobruchać ich potulnymi słowy. Ze strachu, aby wieść o tej przygodzie dalej się przez nich nie rozniosła, począł jeszcze gościnniej obu malarzy przyjmować i różne usługi im wyświadczać.

Oto jak się do rozumu przywodzi tych, co go nie nabyli w Bolonii!”.

Opowieść dziesiąta. Oszustka na hak przywiedziona

Pewna Sycylijka z nieporównaną zręcznością zawładnęła towarami kupca, przywiezionymi do Palermo. Kupiec ów udaje, że powrócił do Palermo z jeszcze

większym zapasem towarów, po czym pożycza od niej pieniądze, aby ją później na lodzie osadzić.

Nie trza nawet mówić, jaki śmiech wzbudziła wśród dam opowieść królowej. Nie było takiej słuchaczki, której by od nadmiernego śmiechu nie pokazały się z dziesięć razy łzy w oczach. Gdy królowa skończyła, Dioneo, wiedząc, że na niego teraz kolej przychodzi, rzekł w te słowa:

— Wiadomą jest rzeczą, miłe damy, że żart tym bardziej ludziom do smaku przypada, im bardziej sprytnym jest ten, kogo wystrychnięto na dudka. Dlatego też, chocia każda z was już piękną historię opowiedziała, ja jeszcze jedną na zakończenie tego dnia przytoczyć pragnę. Powinna się wam podobać bardziej niż każda inna na tej materii osnuta, dlatego że oszukana osoba była sama większą mistrzynią w oszukiwaniu innych niż ktokolwiek z tych, o których była tu mowa.

„We wszystkich miastach nadbrzeżnych, porty posiadających, istniał kiedyś, a może i dziś jeszcze istnieje, obyczaj, zgodnie z którym wszyscy kupcy przybywający z towarami, wyładowawszy je z okrętu, składali swój dobytek do składów. W wielu miejscach taki schów, zwany doganą, należał do gminy albo do pana tych ziem. Oddawszy spis towarów ludziom zawiadującym tymi sprawami i oznaczywszy ceny, kupcy zamykali otrzymane składy na klucz. Celnik, mający zwierzchni nadzór nad portem, wpisywał wówczas do księgi wszystkie towary kupca i żądał później zapłaty w miarę ich odbierania. Dzięki tym księgom faktorzy nierzadko dowiadywali się o ilości towarów, a takoż, jacy kupcy je przywieźli, po czym już targu dobijano lub zamiany czyniono.

Obyczaj ten istniał też w Palermo na Sycylii, w mieście, co po dziś dzień słynie z wielu białogłów odznaczających się pięknym ciałem, ale nie cnotą. Człek, który ich nie zna, skłonny jest je poczytywać za wielce obyczajne istoty. Białogłowy te gotowe są zedrzeć skórę z każdego mężczyzny. Gdy tylko przybędą cudzoziemscy kupcy, zaraz dowiadują się one z portowej księgi, kto co przywiózł i za ile towar sprzedać może, po czym łaskawymi słowy i płochym obejściem starają się obrócić na siebie uwagę, a wreszcie usidlić kupców swoją miłością. Już wielu ludzi sprowadziły w ten sposób na bezdroża i cały towar z rąk im wyrwały. Zdarzali się i tacy, co zostawili w Palermo nie tylko swoje towary i okręty, ale także i kości, tak zręcznie bowiem te balwierki brzytwą władały.

Przed niedawnym tedy czasem przybył do Palermo pewien młodzieniec florencki, Niccolo da Cignano, Salabaettem przezwany. Na polecenie swoich zwierzchników

przywiózł z sobą tak wiele sukna, danego mu na kredyt na jarmarku w Salerno, że mógłby za nie pięćset złotych florenów otrzymać. Zapłaciwszy w porcie za przechowanie, złożył towar do składów i nie śpiesząc się zbytnio ze sprzedażą, jął się po mieście przechadzać. Salabaetto był młodzieńcem jasnym, płowym, kształtnym i urodziwym, aliści i letko myślącym, ponieważ życie mu się uśmiechało. Zdarzyło się, że jedna z tych balwierek, o których wyżej wspomnieliśmy, imieniem Jancofiore, usłyszawszy o nim, obróciła nań uwagę swoją. Salabaetto spostrzegł to i imaginując sobie, że ma do czynienia z jakąś znaczną damą, postanowił ją olśnić urodą swoją i grę miłosną chytrze przeprowadzić.

Nikomu nic o damie nie mówiąc, począł się przechadzać pod jej oknami. Zalotnica spostrzegła to wkrótce. Przez kilka dni zapalała go oczyma, czyniąc pozór, że schnie z miłości doń, po czym posłała do niego tajnie jedną ze swych służek, wytrawną rajfurkę. Służka niemal ze łzami w oczach po długim kołowaniu wyznała Salabaettowi, że pani jej nie może zaznać spokoju we dnie ani w nocy, ponieważ za jego sprawą w miłosną niewolę popadła. Dlatego też niczego tak na świecie nie pragnie, jak zejść się z nim tajnie w pewnej łaźni. Po czym wyjąwszy z zawiniątka piękny pierścień wręczyła go Salabaettowi w imieniu swej pani. Młodzieniec, wysłuchawszy tych słów, niezmiernie się uradował, schwycił pierścień, a nasyciwszy nim oczy i ucałowawszy go, nasunął go na swój palec i odparł służce, że madonna Jancofiore jego wzajemność posiada, ponieważ on, Salabaetto, miłuje ją nad życie. Gotów będzie pójść za nią wszędzie, gdzie tylko mu rozkaże, i o każdej porze.

Służka zaniosła ten respons swej pani. Salabaetto wkrótce dowiedział się, że następnego popołudnia ma czekać na swoją damę w łaźni. Nic nikomu nie mówiąc, przybył tam w oznaczonym czasie. Łaźnia była już przez damę zamówiona. Po chwili zjawiły się dwie służki. Jedna z nich niosła na głowie materac, puchem nabity, druga wielki kosz z różnymi rzeczami. Położywszy materac na ozdobnym łożu, stojącym w jednej z komnat łaziebnych, rozesłały na nim najcieńsze prześcieradła z jedwabną obszywką i śnieżnobiałe pokrycie z tkaniny cypryjskiej, na które rzuciły dwie haftowane misternie poduszeczki. Po czym rozebrawszy się, weszły do łaźni, oporządziły ją i pięknie wymyły. Po pewnym czasie zjawiła się sama Jancofiore, otoczona przez dwie inne służebne. Obaczywszy Salabaetta rzuciła się ku niemu z oznakami niepohamowanej radości. Objęła go, ucałowała i wzdychając ciężko, wreszcie rzekła:

— Nie wiem, kto by mnie mógł przywieść do tego stanu krom ciebie. Rozgorzałam całą duszą dla cię, srogi mój Toskańczyku!

Po czym zgodnie z jej życzeniem nago weszli do łaźni, a wraz z nimi dwie służki. Tam, nie pozwalając służkom dotknąć się Salabaetta, wymyła go mydłem goździkowym, a następnie sama kazała się wymyć służkom. Służki przyniosły dwa cienkie, białe prześcieradła, od których biła tak silna woń jak od świeżych róż. Jedna ze służek zawinęła w prześcieradło Salabaetta, druga damę; po czym zaniosły ich na przygotowane łoże. A gdy osuszyli się, po zdjęciu wilgotnych prześcieradeł przez służki, spoczywali nago na posłaniu. Po chwili służki wydobyły z kosza wspaniałe srebrne flakony, napełnione wodą różaną, pachnidłem jaśminowym i pomarańczową esencją. Spryskały ich tymi pachnidłami, a potem przyniosły pudła ze słodyczami i butle najprzedniejszego wina, którym miłośnicy się pokrzepili. Salabaettowi zdawało się, że się w raju znajduje. Tysiąc razy spoglądał na damę, która była dlań w tej chwili najpiękniejszą na świecie białogłową. Każda godzina oczekiwania była dlań dłuższą od stu lat. Pragnął, aby służki oddaliły się jak najprędzej i aby mógł się wreszcie znaleźć w objęciach damy. Wreszcie, zgodnie z wolą damy, służki oddaliły się, ostawiając w komnacie zapaloną pochodnię. Salabaetto porwał damę w ramiona i nie wątpiąc ani chwili, że rozgorzała ku niemu miłością bezmierną, zapamiętał się długo w rozkoszy. Po pewnym czasie zalotnica oznajmiła, że już pora wstawać; wezwała przeto służki, które ich ubrały. Pokrzepiwszy się nieco słodyczami oraz winem i umywszy ręce pachnącą wodą, miłośnicy jęli się do drogi zbierać. Przy pożegnaniu dama rzekła:

— Jeślibyś zechciał przyjść do mnie dziś wieczorem na wieczerzę i na nocleg, byłabym szczęśliwa niezmiernie.

Salabaetto, zachwycony urodą damy, jej udaną przymilnością ujęty, a przy tym twardo przekonany, że ona go miłuje nad wszystko w świecie, rzekł:

— Każde twoje życzenie jest świętością dla mnie. Dlatego też dzisiaj, jak zawsze, gotów jestem wypełnić wszystko, czego zapragniesz.

Dama po powrocie do domu kazała przybrać godnie swoją komnatę i przygotować wspaniałą wieczerzę. Po czym zaczęła oczekiwać na Salabaetta, który nadszedł o zmroku i został powitany z radością. Po spożyciu dobrze zastawionej wieczerzy przeszli do sypialnej komnaty. Tutaj Salabaetto poczuł rozkoszną woń drzewa aloesowego i różnych pachnideł i obaczył wspaniałe łoże, a także bogate tkaniny na ścianach wiszące. Widząc te szczegóły, do tej myśli przyszedł, że ma do czynienia z bogatą i znamienitą damą.

Chociaż więc doszło już do uszu jego kilka niepochlebnych o niej posłuchów, przecie żadną miarą wiary dać im nie chciał. Gdyby nawet i był zdolny uwierzyć, że tego lub

innego w pole wywiodła, co do siebie nie wątpił, że z nim tak nie postąpi. Spędził tedy tę noc przy niej, pełen radości, i mocniejszym jeszcze płomieniem rozgorzał. Gdy świt zabłysnął, dama opasała go na pożegnanie pięknym i wielce misternym pasem srebrzystym, przedziwną sakiewką na pieniądze opatrzonym, i rzekła:

— Mój najdroższy Salabaetto, zachowaj wiecznie miłość do mnie i wiedz, że w każdej chwili jestem na twoje usługi i że wszystko, co tutaj widzisz i co tylko osiągnąć mogę, jest do twego rozporządzenia.

Salabaetto uściskał ją, rozczulony, ucałował i pożegnawszy się z nią, pośpieszył tam, gdzie się kupcy zbierali.

Młodzieniec nieraz jeszcze z wdzięków damy korzystał, nie wydając na te miłosne igraszki ani złamanego szeląga i coraz gorętszym afektem dla niej się przejmując. Tymczasem udało mu się zbyć za pieniądze towar przywieziony i znacznie przy tym zarobić. Zalotnica wnet dowiedziała się o tym od trzecich osób. Pewnego tedy wieczora, gdy Salabaetto przybył do niej na dłużej, zręczna białogłowa jęła wysilać całą przebiegłość swoją. Szczebiotała do niego, żartowała, okrywała go nieustannie pocałunkami i nie puszczając go z objęć swoich, czyniła pozór tak zakochanej, iż przysiągłbyś, że z nadmiaru miłości skona w jego objęciach. Wśród tych pieszczot chciała go zmusić do przyjęcia w podarunku dwóch srebrnych pucharów, aliści Salabaetto nakłonić się do tego nie dał, zrachowawszy bowiem wartość podarunków dotychczas otrzymanych, poznał, że przenoszą one sumę trzydziestu dukatów, gdy tymczasem ona od niego nawet drobnostki wartości grosza przyjąć dotychczas nigdy nie chciała. Gdy zalotnica dowodami miłości i szczodrobliwości naszego młodzieńca w uniesienie wprawiła, weszła jedna z jej służek, dobrze poprzednio wyuczona, i pod pokrywką jakiejś sprawy damę z komnaty wywołała. Za chwilę powróciła dama do kochanka, ale w jakże odmienionym stanie! Tonąc w gorzkich łzach i jęcząc, rzuciła się twarzą na łoże i najboleśniejsze skargi, jakie kiedykolwiek z kobiecej piersi wyszły, rozwodzić poczęła. Salabaetto, wzruszony i zdziwiony srodze, porwał ją w ramiona, zmieszał swoje łzy z jej łzami i zawołał:

— Biada mi! O serce mojego serca, co ci tak nagle dokuczać poczęło? Jakiż być może powód twej boleści? Powiedz mi, duszo moja!

Zalotnica długo prosić się dała, wreszcie rzekła:

— O mój najdroższy panie, nie wiem, wierę, co czynić ani co mówić. W tej chwili właśnie otrzymałam list z Mesyny, w którym brat mój pisze, że za tydzień najdalej muszę mu tysiąc dukatów przysłać, choćbym miała sprzedać i zastawić w tym celu

wszystko, co posiadam, inaczej bowiem da gardło. Nie wiem, co począć. Skądże ja tak prędko podobną sumę wezmę? Gdybym miała choć czternaście dni czasu, to potrafiłabym wydostać te pieniądze od człeka, który mi jest znacznie więcej winien, albo też sprzedałabym jedną z posiadłości naszych. Cóż poczne jednak teraz, gdy mnie czas nagli? Och, bodajbym umarła pierwej, nim ta smutna wiadomość do rąk moich doszła.

To rzekłszy, od nowa głośnym płaczem wybuchnęła, jak gdyby całkiem ją ta troska przybiła.

Salabaetto, którego namiętność przyrodzonej rozwagi pozbawiła, biorąc łzy i słowa kochanki swojej za rzetelne, zawołał:

— Madonno, tysiącem, zaiste, służyć wam nie mogę, ale pięćset dukatów w każdej chwili pożyczyć wam gotów jestem, zwłaszcza że, jak powiadacie, będziecie mi je mogli oddać po dniach czternastu. Prawdziwe to szczęście dla was, że właśnie wczoraj towar mój sprzedałem. Gdyby nie ten szczęsny przypadek, ani grosza nie byłbym wam mógł pożyczyć.

— O ja nieszczęśliwa! — wykrzyknęła zalotnica na to — więc brakowało ci pieniędzy? Przecżże nic o tym nie mówiłeś i nie żądałeś ich ode mnie? Nie tysiąc wprawdzie, ale sto lub dwieście dukatów byłabym ci natychmiast pożyczyła. Postępkiem swoim odjąłeś mi niestety możność przyjęcia przysługi, z jaką się ofiarujesz.

Salabaetto, tym nowym dowodem tkliwości jeszcze bardziej otumaniony, odparł:

— Nie bierzcie stąd pochopu do dalszego oporu, madonno! Gdybym się znalazł w tak ciężkiej potrzebie, jak wy dzisiaj, niewątpliwie udałbym się był do was o pomoc.

— O mój Salabaetto — rzekła zalotnica — teraz dopiero dowodnie przekonywam się, iż miłość twoja do mnie prawdziwą jest i szczerą, skoro nie czekając, aż cię sama poproszę, tak wielką sumą pieniędzy chcesz mnie w ciężkiej potrzebie wspomóc. Wierę, i bez tego cała do ciebie należałam, teraz jednak, po tym postępku, tym bardziej twoją własnością się staję. Nie zapomnę takoż nigdy, że ci życie brata mego zawdzięczam. Bóg jeden wie, z jaką niechęcią te pieniądze biorę, zwłaszcza gdy pomyślę, że kupcem jesteś i że kupcy ciągle pieniędzy do prowadzenia różnych spraw potrzebują. Jedynie dla tej racji, że potrzeba mnie uciska i że mam nadzieję nieomylną, iż w krótkim czasie dług mój uiszczę, pomoc twoją przyjmuję i zabezpieczam ją na wszystkim, co tutaj widzisz.

Rzekłszy te słowa, rzewliwymi łzami się zalała i rzuciła mu się w ramiona. Salabaetto, widząc ją tak rozrzewnioną, ze wszystkich sił pocieszyć ją się starał. Przepędziwszy noc w jej domu, rankiem następnego dnia, na dalsze wezwania nie

czekając, przyniósł jej pięćset błyszczących dukatów, które ona z śmiejącym się sercem i łzawymi oczyma przyjęła. Rzecz oczywista, że nie było mowy o wekslu lub o jakimkolwiek obligu. Salabaetto poprzestał na prostej obietnicy.

Aliści ledwie zalotnica pieniądze do rąk pochwyciła, inne dla Salabaetta czasy się zaczęły. Dawniej miał wolny przystęp do jej domu, ile razy mu się to tylko podobało, teraz zaczęły się pojawiać jakieś nieustanne przeszkody, wskutek których ledwie raz na siedem razy dostać mu się do niej udawało, ale i wtedy nawet nie witano go z takim uniesieniem i nie przyjmowano z podobną radością jak pierwej. Tymczasem czas oznaczony na zwrócenie pieniędzy nie tylko się przybliżył, ale nawet miesiąc, a potem i drugi po terminie upłynął. Ilekroć Salabaetto ośmielił się skromnie o długu napomknąć, piękne słówka miast pieniędzy otrzymywał. Wówczas dopiero przejrzał chytry zamysł białogłowy i o swojej łatwowierności się przekonał, a zarazem pojął, że w tej całej sprawie nic nie wskóra, nie mając kwitu ani świadków. Zresztą płonął wstydem na samą myśl użalenia się przed kimkolwiek dla tej przyczyny, że go zawczasu przestrzegano, a poza tym i dlatego, że spodziewał się jedynie drwin zasłużonych.

Niepomiernie przygnębiony opłakiwał w samotności swoją nierozwagę. Tymczasem, na domiar nieszczęścia, przełożeni pisali list za listem, aby im pieniądze za sprzedane towary przysłał, bowiem ich koniecznie potrzebują.

W tym stanie rzeczy, nie mogąc ich prośbie zadość uczynić, postanowił Salabaetto błąd swój przynajmniej jak najprędzej ukryć i śpiesznie odjechać. Wsiadł tedy na mały okręt i popłynął na nim nie do Pizy, jak był powinien, ale do Neapolu.

W Neapolu żył podówczas jeden z ziomków naszych, Pietro del Canigiano, będący skarbnikiem cesarzowej Konstantynopola, mąż wielkiej bystrości i rozwagi, a przy tym ścisły Salabaetta i jego rodziny przyjaciel. Jemu więc, jako człowiekowi ze wszech miar zaufania godnemu, zwierzył się po upływie kilku dni Salabaetto. Jęcząc i lamentując, rozpowiedział szczegółowie o wszystkim, co był uczynił, i o tym, jakie go nieszczęście spotkało, oraz błagał o radę i pomoc. Oświadczył przy tym, że do Florencji już nigdy powrócić nie zamierza. Canigiano, wielce nierad temu, co usłyszał, odparł:

— Źleś uczynił, źleś postąpił, źleś przełożonym swoim wierności dochował! Zbyt wiele pieniędzy na raz dla swojej przyjemności wydałeś. Ale po co tu dłużej gadać po próżnicy! Co się stało, już się nie odstanie, a teraz radźmy, jakby zło naprawić.

Zaczęli się tedy naradzać i wkrótce Pietro, jako człek nie w ciemię bity, wpadł na myśl, jakby nieszczęściu zapobieżyć, po czym odkrył swój zamysł Salabaettowi, któremu tak się on podobał, że nie mieszkając urzeczywistnić go postanowił. Miał

jeszcze trochę pieniędzy przy sobie: resztę pożyczył mu Canigiano. Zebrało się tyle grosza, że Salabaetto mógł zakupić wiele dobrze związanych worów i dwadzieścia beczułek na oliwę, które napełnił; po czym z całym ładunkiem do Palermo powrócił. Wjeżdżając do miasta, podał celnikom spis worów i beczek oraz ich cenę; kazał je wszystkie na swój rachunek zapisać, złożył cały ładunek w porcie i oświadczył, że nie ruszy nic z tych towarów, póki inne, na które czeka, nie nadejdą.

Wieść o przybyciu Salabaetta doszła od razu do madonny Jancofiore, która usłyszawszy, że towary, które Salabaetto przywiózł, dwa tysiące dukatów, a może i więcej wartają, nie licząc tych, co dopiero są w drodze, a które na z górą trzy tysiące ceniono, do tej myśli przyszła, że jeszcze lepiej obłowić się będzie mogła i większą część pięciu tysięcy zagarnie, jeśli mu teraz owych pięćset dukatów zwróci. Z tą myślą posłała po niego. Salabaetto, którego już nie darmo raz na hak przywiedziono, przybył śpiesznie. Zalotnica ujrzawszy go, udała, że nie wie bynajmniej, co przywiózł ze sobą, i okazując wielkie ukontentowanie zawołała:

— Ach, jesteś wreszcie! Jakżeś musiał gniewać się na mnie, że ci pieniędzy w oznaczonym czasie nie oddałam!

Salabaetto miast odpowiedzi śmiać się począł, a po chwili rzekł:

— W samej rzeczy, madonno, trochę mnie to dotknęło, bo wyjąłem sobie te pieniądze spod serca, aby się wam przysłużyć, wy zasię tymczasem… Aliści zaraz się przekonacie, czy na was gniewać się potrafię. Miłość moja do was była tak wielka i silna, iż skłoniła mnie do sprzedania większej części moich posiadłości i zakupienia za te pieniądze towarów, których dotąd przywiozłem więcej niż za dwa tysiące dukatów. Obecnie czekam jeszcze na przesyłkę wartości trzech tysięcy dukatów. Mając taki zasób towarów, otworzę tutaj sklep, aby już nigdy od was oddalać się nie potrzebować, miłość wasza bowiem droższa jest mi nad życie, a tak niezbędna, jak powietrze do oddychania.

— Salabaetto — odrzekła na to dama — to wszystko, czego ty pragniesz i co uczynisz, zawsze mi jest miłe i ja bowiem kocham cię nad życie. Najmilszą jednak jest mi wieść, żeś powrócił, aby się tutaj osiedlić, gdyż będę mogła niejedną jeszcze uroczą godzinkę z tobą spędzić. Przede wszystkim muszę jednak usprawiedliwić się przed tobą, że przed odjazdem nie przyjęłam ciebie kilka razy w swym domu lub że przyjąwszy, nie tak jak zazwyczaj uprzejmą i tkliwą dla ciebie się okazałam. Takoż chcę ci wyjaśnić, dlaczego ci pieniędzy w oznaczonym nie oddałam terminie. Otóż trzeba ci wiedzieć, że podówczas byłam pogrążona w wielkiej boleści i zmartwieniu głębokim. Kto w takim stanie się znajduje, mimo całej miłości do kochanka, nie zawsze może mieć dlań

uśmiechnięte oblicze i tyle mu uwagi okazywać, ile by mu się słusznie należało. Co się zaś owych pieniędzy tyczy, to łatwie chyba pojmujesz, że z trudnością przychodzi białogłowie oddać pięćset dukatów, jeśli ci, którym pożyczyła, słowa jej nie dotrzymują. Oszukali mnie różni ludzie i tym sposobem kłamczynię ze mnie uczynili. Dopiero wkrótce po odjeździe twoim odebrałam pieniądze; gdybym była wiedziała, gdzie je odesłać, bądź pewien, że nie byłabym zwlekała ani chwili dłużej. Aliści nie znałam miejsca twego pobytu i dlatego też u siebie pieniądze przechowałam.

To rzekłszy, kazała przynieść woreczek, ten sam, który Salabaetto kiedyś jej wręczył, i oddając mu go rzekła:

— Policz, czy jest pięćset.

Salabaetto nigdy w życiu nie doznał większej radości jak w tej chwili. Pohamował się jednak, przeliczył spokojnie dukaty, przekonał się, że jest ich pięćset, schował kieskę i rzekł:

— Madonno, wierzę najświęciej w słowa wasze. Jestem całkiem ukontentowany, bowiem wiem, że uczyniliście wszystko, co uczynić byliście obowiązani. Bądźcie upewnieni zatem, że dla tego i dla miłości, jaką dla was żywię, gotów będę służyć wam taką sumą, jaką rozporządzać mogę, na jakikolwiek cel byście jej ode mnie zażądali. Zechciejcie mnie tylko na próbę wystawić.

W taki sposób dawna ich miłość, w słowach przynajmniej, na nowo zawiązana została i Salabaetto rozpoczął znów z zalotnicą poufały i tkliwy stosunek, doznając od niej ciągłych objawów czci i miłości najgorętszej. To go jednakoż nie mogło skłonić do porzucenia myśli o odwecie. Owszem, postanowił równą miarką damie zapłacić. Pewnego tedy dnia, gdy zalotnica posłała po niego, zapraszając go na wieczerzę i nocleg, zjawił się, aliści tak zrozpaczony i pomieszany, iż zdawało się, że przytomność utracił. Jancofiore uścisnęła go i tkliwie badać poczęła, co ten smutek oznacza. Salabaetto długo dał się prosić, wreszcie, jakby był jej czułością zwyciężony, rzekł w te słowa:

— Jestem zgubiony! Okręt, którego czekałem, a na którym znajdowały się towary, wpadł w ręce korsarzy z Monaco. Oddadzą je za wykupem dziesięciu tysięcy dukatów, z czego na mnie tysiąc przypada. Tymczasem nie mam ani złamanego szeląga przy duszy, te bowiem pięćset dukatów, które mi oddaliście, posłałem natychmiast do Neapolu, aby za nie materii lnianej zakupiono. Gdybym chciał w tej chwili sprzedać towary, znajdujące się w porcie, dostałbym za nie zaledwie pół ceny, jeszcze bowiem na sprzedaż ich stosowna pora nie nadeszła. Pozostaje mi więc tylko pożyczyć. Nie jestem tutaj jednakoż jeszcze dość znanym człekiem, abym mógł znaleźć kogoś, co by m nie w

potrzebie poratował. Nie wiem tedy, jak złu zaradzić ani gdzie się obrócić. Jeżeli nie wyślę zaraz tych pieniędzy, towary moje dostaną się do Monaco i wówczas już nic z nich nie obaczę.

Wiadomość ta dotknęła zalotnicę nader niemile, bowiem dzięki niej wszystkie jej zamysły wniwecz się obracały. Dama poczęła rozważać, jakiego by w danym razie użyć środka dla zaradzenia złu, i rzekła:

— Bóg wie, jak cierpię, widząc twoje zmartwienie. Na cóż jednak zda się tu rozpacz? Trzeba radzić. Gdybym miała pieniądze, klnę się na mą duszę, że pożyczyłabym ci je natychmiast, aliści tak wielkiej sumy nie posiadam. Znam jednakoż pewnego człeka, który mi niedawno pożyczył kilkaset dukatów, do owego tysiąca brakujących, ale ten lichwiarz żąda ogromnego procentu, nie mniej niż trzydzieści od sta. Jeślibyś chciał pożyczyć od niego, to musisz mu dać jakiś dobry zastaw. Co się mnie tyczy, to gotowa jestem dać mu jako porękę wszystko, co posiadam, wraz z sobą na przydatek, o ile tylko pożyczyć zechce. Aliści w razie, gdy to nie wystarczy, na czym mu resztę zabezpieczysz?

Salabaetto odgadł od razu, jaka pobudka skłania ją do uczynienia mu tej przysługi. Młodzieniec nie wątpił ani na chwilę, że owym tajemniczym lichwiarzem jest ona sama. Była to właśnie woda na jego młyn. Dlatego też naprzód korny dank jej złożył, a następnie rzekł, że w tak ciężkiej jak obecna potrzebie największy procent zapłacić jest gotów. Co się rękojmi tyczy, to oświadczył, że towary złożone w porcie każe przenieść na nazwisko tego, kto mu pieniędzy pożyczy, i tylko klucz od schowu przy sobie zostawi, aby w razie wezwania mógł kupcom towary pokazać i aby mu niczego nie poruszono lub nie przemieniono przypadkiem.

Zalotnica odparła, że ta rękojmia całkiem wystarczająca jej się wydaje; po czym rozstali się z sobą. Nazajutrz sprytna nasza dama posłała rankiem po zaufanego człeka, opowiedziała mu rzecz całą i wręczyła tysiąc dukatów, które on natychmiast Salabaettowi zaniósł. Salabaetto zasię ze swej strony wszystek towar, złożony w porcie, na jego imię przenieść kazał. Zamieniwszy rewersa rozstali się w zgodzie i każdy z nich za swymi sprawami się udał. Aliści Salabaetto niedługo już w mieście bawił. W kilka godzin potem wsiadł na mały statek z tysiącem pięćset dukatów w kieszeni i powrócił do Neapolu do Pietra del Canigiano, skąd ścisły rachunek za sprzedany towar odesłał do Florencji na ręce przełożonych, którzy go z suknem wyprawili.

Zwróciwszy Pietrowi i innym wierzycielom ich należności, za resztę pieniędzy, podstępnie od chytrej Sycylianki wyłudzonych, niejeden jeszcze wesoły dzień z Canigianem spędził. Po czym, odrzekłszy się kupiectwa, do Ferrary odjechał.

Tymczasem w Palermo Jancofiore, nie mogąc Salabaetta odnaleźć, dziwić i niepokoić się poczęła. Gdy dwa miesiące minęły, a jego wciąż jeszcze widać nie było, kazała za pośrednictwem swego zaufanego człeka drzwi, wiodące do składów, wyłamać. Naprzód otworzono beczułki, rzekomo oliwą napełnione, i znaleziono je pełne wody morskiej, nad którą około garnca oliwy pływało. Po czym rozpruto wory i przekonano się, że wszystkie — z wyjątkiem dwóch, zawierających w sobie nędzne gatunki materii — pakułami nabite były.

Słowem, wszystkie towary wartości dwustu dukatów nie przenosiły. Teraz dopiero poznała Jancofiore, że ją na hak przywiedziono, i długo nie mogła utulić żalu za pięciuset dukatami, które oddała, a takoż za tysiącem, który pożyczyła. Wzdychając ciężko, powtarzała nieraz: »Kto z Toskanem sprawę toczy — niech otwiera dobrze oczy«.

Tak oto przebiegła oszustka odniosła od razu wstyd i szkodę, przekonawszy się pierwej, że trafia czasem kosa na kamień".

Gdy Dioneo opowiadanie swoje zakończył, Lauretta widząc, że czas jej rządów minął, pochwaliła wielce skuteczną radę Piotra del Canigiano oraz nie mniejszy spryt Salabaetta, po czym, zdjąwszy z głowy swojej laurowy wieniec, włożyła go na skronie Emilii i w te słowa rzekła:

— Nie wiemy jeszcze, madonno, czy łaskawą królowę w tobie mieć będziemy, że piękną jednakoż, o tym wątpić nam nie lza. Staraj się przeto, aby czyny twoje z wdziękami twymi zrównać można było.

Rzekłszy te słowa, na dawnym swym miejscu zasiadła.

Emilia, nie dla tej racji, że ją na królowę wyniesiono, ale dlatego że wobec wszystkich pochwalono w niej to, co kobiety szczególnie posiadać pragną, spłonęła rumieńcem i stała się podobna do wczesnych róż, promieniami świtu zalanych. Trzymała oczy tak długo spuszczone, aż rumieniec nie zniknął, po czym wezwała marszałka, wydała mu potrzebne zarządzenia i wreszcie rzekła w te słowa:

— Wiemy wszyscy, urocze towarzyszki, że wołom, które w jarzmie przez znaczną część dnia chodzą, wieczorem daje się pełną swobodę, tak aby się do woli na błoniach paść mogły. Widzimy także, że ogrody, gdzie różne rośliny kwitną, nie mniej są piękne, owszem piękniejsze nawet od borów, w których same tylko dęby rosną. Dla tych to przyczyn sądzę, że i nam, tak długo już w nakreślonych prawem granicach snuć nasze opowiadania zmuszonym, a również i pokrzepienia potrzebującym, nim nowego jarzma na się nie weźmiemy, pewna swoboda dla nabrania sił nie tylko pożyteczna, ale

i pożądana będzie. Jestem tedy zdania, że jutro, przyjemne opowieści nasze dalej prowadząc, do jednej materii ograniczać się nie powinniśmy. Niechaj każdy opowiada, o czym mu się podoba. Żywię tę pewność niezachwianą, że różnorodność materii, którą opowiadający się zajmą, nie mniej sprawi nam ukontentowania od opowiadań jednej tylko sprawie poświęconych. Na ten raz spróbujmy tego, a potem następca mój, który po mnie władzę sprawować zacznie, z tym większą surowością będzie nas mógł zwyczajnymi ograniczyć prawami.

To rzekłszy, rozpuściła wszystkich aż do obiadowej pory. Wszyscy pochwalili mowę królowej, jako mądrą, po czym powstawszy z miejsc, oddali się ulubionym rozrywkom swoim. Damy zajęły się wiciem wieńców i różnymi igraszkami, młodzieńcy zasię grą i śpiewem. Gdy na wieczerzę wezwano, zasiedli wszyscy dokoła fontanny, po czym zaczęli z wielką wesołością potrawy spożywać. Po wieczerzy, jak zwykle, śpiewem i pląsami się bawili.

Królowa, chcąc pozostać wierną obyczajowi poprzedników swoich, nie bacząc na pieśni, które bez jej nakazu już odśpiewali, wezwała Panfila, aby jakąś piosenkę zanucił. Ten, pełen prawdziwej ochoty, w te słowa zaczął:

Ponieważ cały należę do ciebie,
Więc mnie tak hojnie obdarzasz, Amorze,
Że ledwie serce to wytrzymać może.
Ten zbytek szczęścia, co mnie pieści,
Rozkoszy, którą czuję w duchu,
Rzeczywistości wraz z nadzieją
Ledwie się w piersiach mych pomieści,
Zdradza się w każdym moim ruchu,
W licach, co się słonecznie śmieją
I chociaż milczą, rzec umieją,
Że nad miłości tchnienie boże
Większego szczęścia ziemia dać nie może!
Daremnie pragną moje pieśni
Wyrazić pełnię uczuć całą;
Wyśpiewać, zwierzyć ich nie mogę,
Skrywać je muszę w serca cieśni,
Bo gdyby się to jawnym stało,

Rozkosz się zmieni w męki srogie —
A dziś zachwyty me tak mnogie,
Że sto języków w ciągłym rozhoworze
Nigdy ich wszystkich wyliczyć nie może.
Któż by pomyślał, że tą dłonią
Tuliłem ją do serca drżący,
Ją, która wszystkim mi na ziemi!
Że usta do ust, skroń ze skronią,
Na wszystko w świecie głusi, niemi,
W uścisk spłynęliśmy gorący,
Szalony, długi, słodki, wrzący?
Nikt nie uwierzy — w tym mój triumf, Amorze,
Nikt mi więc szczęścia zamącić nie może!

Piosnka Panfila skończyła się. Wszyscy, którzy jej wtórowali, z największą uwagą słuchali jej treści i bardziej może, niż przystało, starali się odgadnąć to, co śpiewak — jak zaręczał — tak starannie ukryć się starał. Mimo licznych domysłów, nikt jednak prawdy nie odgadł. Wkrótce potem królowa, widząc, że wszystkim przytomnym już sen oczy skleja, całe towarzystwo do sypialnych komnat odpuściła.

Tu zamyka się ósmy dzień Dekameronu i zaczyna dziewiąty, w którym pod przewodem Emilii każdy opowiada o tym, co najbardziej mu się podoba i szczególnie przypada do smaku.

Dzień dziewiąty

Światło, przed którego blaskiem noc ucieka, zamieniło właśnie ciemny błękit ósmego nieba na jasny, a kwiaty na łąkach podnosić się zaczynały, gdy Emilia powstała ze snu i towarzyszki swoje oraz młodzieńców zbudzić kazała. Gdy się wszyscy zebrali, królowa, wolnym krokiem idąc, pociągnęła ich za sobą do małego lasku, w pobliżu zamku rosnącego. W lesie napotkali zwierzynę rozliczną, jak sarny i jelenie, które przy trwającej wciąż zarazie morowej, czując się bezpiecznymi od strzelca, pozwoliły im ufnie zbliżyć się do siebie, jak gdyby pozbyły się wszelkiej obawy i całkiem oswojonymi się stały.

Damy i młodzieńcy zbliżali się do zwierząt i udając, że je schwytać pragną, pobudzali je do skoków i ucieczki. Stąd wynikła dla towarzystwa wielce przyjemna rozrywka. Gdy jednak słońce wzniosło się wyżej, uznali wszyscy, że czas do domu powracać. Każde z nich uwieńczone było dębowymi gałęziami i niosło w ręku pełno pachnących kwiatów lub ziół, iż kto by ich w drodze napotkał, nie mógłby powiedzieć nic innego, jak jeno to: „O, tych śmierć nie zwycięży — albo zginą z uśmiechem na ustach!". Tak krok za krokiem idąc, śpiewając, gawędząc i przekomarzając się z sobą, doszli wreszcie do pałacu, gdzie już wszystko przygotowane znaleźli. Służba przywitała ich nader wesołym obliczem. Nieco wczasu zażywszy, zasiedli do stołu, wysłuchawszy uprzednio sześciu piosenek, jednej weselszej od drugiej, po czym podano wodę do umycia rąk. Marszałek, zgodnie z wolą królowej, wskazał wszystkim miejsca za stołem. Po obiedzie zabawiano się przez czas niejaki śpiewem i tańcem, po czym królowa pozwoliła odpocząć tym, którzy wczasu łaknęli. Gdy oznaczona pora nadeszła, zebrali się wszyscy na umówionym miejscu, by opowieści dalej ciągnąć. Królowa, spojrzawszy na Filomenę, jej dnia tego rozpocząć kazała. Ta zaczęła z uśmiechem w te słowa:

Opowieść pierwsza. Ciężkie próby

Rinuccio i Alessandro miłują Franceskę, która wzajemnością im nie odpłaca. Dlatego też chytrze się od nich uwalnia, każe bowiem jednemu z nich jako zmarłemu położyć się do grobu, a drugiemu dźwigać go jako trupa. Obaj jednak nie mogą zadania swego wypełnić do końca.

— Nader mi miło, madonno, że waszemu rozkazowi zadość czyniąc, na tym nieograniczonym i otwartym polu, które wspaniałomyślności waszej zawdzięczamy, będę mogła pierwsza stanąć do biegu. Jeśli mi się to powiedzie, to nie wątpię, że moi następcy równie dobrze albo i lepiej nawet ode mnie ze swego zadania się wywiążą.

Nieraz już, wdzięczne towarzyszki moje, w opowieściach naszych wielka potęga miłości na jaśnię podana została. Nie sądzę jednak, abyśmy materię tę wyczerpali ani też aby to w ogólności możebne było, choćbyśmy nawet od dziś przez rok cały tylko o miłości mówili. Ponieważ potęga miłości bardzo często kochanków nie tylko na rozliczne niebezpieczeństwa śmiercią grożące wystawia, ale nieraz k'temu ich przywodzi, że niby umarli do grobowców schodzą, umyśliłam przeto, aby do tych opowieści, które dotychczas słyszeliśmy, dodać jeszcze jedną. Poznacie z niej dowodnie

potęgę miłości, a zarazem ocenicie roztropność pewnej zacnej niewiasty, co pozbyła się dwóch kochanków, którzy ją, ku jej utrapieniu, miłością swoją prześladowali.

„Żyła niegdyś w Pistoi wielce urodziwa wdowa, którą dwaj Florentczycy, mieszkający tam na wygnaniu, Rinuccio Palermini i Alessandro Chiarmontesi, namiętnie miłowali. Nie wiedząc nawzajem nic o afektach swoich, starali się ukradkiem wszelkich możliwych starań dołożyć, aby przedmiot swojej miłości pozyskać. Szlachetna dama, zowiąca się Francesca de'Lazzari, opędzić się nie mogła od natrętnych listów, nagabywań i oświadczyn obydwu młodzieńców. Ponieważ kilkakrotnie użyczała im nierozważnie ucha, gdy zapragnęła kres temu położyć, nie wiedziała, jakiego środka się chwycić.

Rozważywszy wszystko dobrze, wpadła na sposób pozbycia się nieznośnego ciężaru; postanowiła mianowicie od każdego z miłośników zażądać takiej przysługi, której jak mniemała, nie będzie mógł jej wyświadczyć, chocia niemożliwą ona wcale nie była. Jeśli zalotnicy tej przysługi jej nie wyświadczą, będzie to dostatecznym i uzasadnionym powodem do pozbycia się ich na zawsze. Zamysł jej na tym się zasadzał:

Umarł właśnie w Pistoi pewien człek, który aczkolwiek ze znacznego szedł rodu, za najgorszą istotę nie tylko w Pistoi, lecz i na świecie całym był poczytywany. Wiedzieć i to należy, że za życia był tak niekształtnego i odrażającego pozoru, iż każdy, kto go nie znał, a po raz pierwszy obaczył, łatwo by mógł się przerazić. Człeka tego złożono w grobowcu przed kościołem minorytów. Na tej to właśnie okoliczności cały zamysł wdowy polegał. Rzekła tedy do jednej ze służebnic swoich:

— Wiesz dobrze, jak mnie ci dwaj Florentczycy prośbami swymi co dzień zadręczają. Wiesz takoż, że nie mam zamiaru do ich pragnień się skłonić, przeciwnie całkiem, pragnąc ich jak najprędzej się pozbyć, postanowiłam dla przekonania się o sile ich afektów, o których mi tyle plotą, wystawić ich na próbę. Upewniona jestem, że podołać jej nie będą w stanie. W ten sposób pozbędę się ich natarczywości. Posłuchaj teraz, w czym rzecz. Wiadomo ci, że właśnie dzisiaj rano na cmentarzu minorytów pochowany został Scannadio (tak się zwał ów zły człek, wyżej wspomniany), do którego, póki żył, a cóż dopiero po śmierci, najmężniejsi ludzie bez odrazy i strachu zbliżyć się nie mogli. Otóż udasz się tajemnie naprzód do Alessandra i rzekniesz doń w te słowa: »Madonna Francesca przysyła mnie do was z oznajmieniem, że nadszedł wreszcie czas, gdy już będziecie mogli pozyskać jej miłość, tak gorąco przez was pożądaną. Jeśli tego pragniecie, następującym sposobem do widzenia się z nią na osobności dojść będziecie mogli. Oto dla przyczyny, o której się dowiecie, jeden z jej krewniaków postanowił tej

nocy ciało pochowanego rano Scannadia do jej domu przenieść. Pani moja stracha się owego potwora, mimo że już umarł, i siła by za to dała, byleby go tylko u siebie w domu nie mieć. Prosi was tedy o wyświadczenie jej wielkiej przysługi, która na tym się zasadza, abyście dziś wieczorem udali się na cmentarz minorytów, położyli się do grobowca Scannadia, przyodziali w jego suknie i tak długo milczenie zmarłego człeka zachowali, póki nie przybędą po was jej krewniacy mniemając, że po Scannadia przychodzą. Gdy się krewniacy zjawią, nie zdradzając życia najmniejszym ruchem, dacie się wyjąć z grobowca i przenieść do jej domu. Tam moja pani sama was powita i pozwoli wam bawić u siebie, póki tylko zechcecie. W jaki sposób całą tę rzecz uładzi, nie pytajcie, wszystko jej sprytowi pozostawiając«. Jeśli Alessandro będzie gotów moją prośbę wypełnić, tedy dobrze, jeśli zasię odpowie, że nie może się tego podjąć, wówczas oświadczysz mu ode mnie, aby nie pokazywał mi się więcej na oczy i jeśli życie mu miłe, nie ośmielał się przysyłać mi posłańców i podarunków. Po czym udasz się do Rinuccia Palermini i tak mu powiesz: »Madonna Francesca oznajmia wam, że gotowa jest wszelkie wasze życzenia wypełnić pod tą kondycją, że uczynicie jej wielką przysługę. Udacie się mianowicie dziś o północy do grobowca, do którego dziś rano ciało Scannadia złożono. Nie mówiąc ani słowa, choćbyście i rzeczy najgorsze obaczyć lub usłyszeć mieli, delikatnie z grobowca jego zewłok wydobędziecie i przyniesiecie go do jej domu. Tam dowiecie się, dla jakiej przyczyny prosiła was o to, i uzyskacie od niej wszystko, czego tak pragniecie. Jeśli jednak nie macie odwagi podjąć się tego, nie ważcie się już nigdy posłańców ani listów jej przysyłać«.

Służka, zgodnie z danym jej poleceniem, udała się do każdego z zalotników po kolei i powtórzyła im szczegółowie słowa swojej pani. Obaj odparli, że nie do grobu, ale do samego piekła zstąpić są gotowi, dla przypodobania się pięknej wdowie. Służka odniosła respons ten swojej pani. Dama poczęła czekać, pytając się samej siebie, czy dwaj zalotnicy będą na tyle szaleni, aby jej prośbę wypełnić.

Gdy noc zapadła i ludzie w pierwszym śnie się pogrążyli, Alessandro Chiarmontesi zrzucił z siebie zwierzchnie szaty i wyszedł z domu, aby na miejscu Scannadia się położyć. Po drodze przyszła mu do głowy jedna myśl straszliwa. Począł mówić do siebie na ten kształt: »Cóż za głupiec ze mnie! Zali wiem, po co w drogę się wybrałem? Czyż mogę być pewien, że to nie sprawka jej krewniaków, którzy, spostrzegłszy mój afekt ku niej, wnioski snując fałszywe, umyślnie mi tę dziewczynę przysłali, aby mnie w grobowcu łatwo życia pozbawić? W tym wypadku zginąłbym ani chybi, a że nikt nie dowiedziałby się o tym, sprawcy niewykryci by pozostali. Któż zresztą wiedzieć może,

czy inny zalotnik, któremu ona z miłości doń dopomaga, wszystkiego tego tak nie uładził?«.

Chwilę pomyślał, a potem tak dalej rozmawiał ze sobą: »Przypuśćmy jednak, że płonne to są obawy i że w samej rzeczy krewniacy do domu jej mnie zaniosą. W tym wypadku nie podobna przecie przypuścić, aby chcieli trupa Scannadia z grobowca wydobyć jedynie dla uściśnięcia go lub rzucenia w ramiona Franceski. Przeciwnie wcale, trzeba mniemać, że chcą znieważyć ciało człeka, który niewątpliwie ciężko ich obraził. Prosiła mnie, abym głosu z siebie nie wydobył. Cóż jednak pocznę, gdy mi zechcą oczy wykłuwać, zęby wyrywać, ręce odrąbywać i tym podobne igraszki ze mną czynić? Zali i wtedy milczeć będę? Jeśli się odezwę, to albo poznają mnie i krzywdę mi jakąś wyrządzą, albo też nic złego mi nie uczynią. W tym wypadku jednak cała moja wyprawa nie zda się na nic, bowiem poznawszy, ktom zacz, nie dopuszczą mnie do niej. Wówczas Francesca będzie miała rację po temu, aby twierdzić, że rozkaz jej przestąpiłem i pragnień mych nie spełni«.

Podobne myśli o mało go do powrotu do domu nie skłoniły. Jednakże potęga miłości odmiennymi racjami wciąż go gnała naprzód, aż wreszcie zwycięstwo odniosła.

Stanąwszy przed grobowcem, otworzył go, po czym wszedł do wnętrza, rozebrał trupa Scannadia, pchnął go gdzieś w głąb, przebrał się w jego suknie, zamknął nad sobą płytę, wreszcie położył się na miejscu nieboszczyka. Leżąc począł rozważać, jakim to niecnym człekiem był ów Scannadio. Gdy mu przyszły na myśl obyczaje nieboszczyka i nieraz słyszane opowieści o zdarzeniach z umarłymi, jakie nocą nie tylko w grobowcach, ale i gdzie indziej miejsce miały, uczuł, że włosy mu się na głowie podnoszą. Zdało mu się, że Scannadio musi dźwignąć się lada chwila i że nieproszonemu swemu zastępcy kark skręci. Jednakoż płomienna miłość pomogła mu i te straszliwe myśli przezwyciężyć. Leżał bez ruchu, jakby był umarłym w samej rzeczy, i czekał cierpliwie, co się z nim stanie.

Około północy Rinuccio także dom swój opuścił, aby polecenie damy wypełnić. Po drodze owładnęło nim tysiąc różnorodnych myśli o tym, co przydarzyć mu się może. Imaginował sobie na ten przykład, że z ciałem Scannadia na barkach może wpaść w ręce władzy i jako czarownik na stos zostać skazany lub też ściągnąć na siebie nienawiść krewniaków nieboszczyka. Podobne rozważania o mało go od tego azardu nie odwiodły. Po chwili wahania rzekł jednakoż do siebie: »Jakże to? Miałbym nie odpowiedzieć na pierwsze żądanie tej szlachetnej damy, którą tak miłowałem i jeszcze miłuję? I to właśnie teraz, gdy w nagrodę zdobycie jej wzajemności mnie czeka? Choćbym miał

zginąć bez ratunku, nie wolno mi się wahać. Muszę dokonać tego, co jej przyrzekłem«. Ugruntowawszy się w zamiarze swoim, podążył żwawo naprzód. Ujrzawszy oznaczony grobowiec, zbliżył się doń i bez trudności go otworzył. Alessandro, usłyszawszy skrzyp, dech w sobie zaparł, mimo że wielka trwoga go przenikała. Rinuccio zszedł do grobowca i pochwyciwszy rzekomego trupa za nogi, wyciągnął Alessandra, wziął go na barki i skierował się ze swym ciężarem ku domowi pięknej wdowy. Idąc pośpiesznie, nie zwracał uwagi na ciało, którym raz o ten, to znów o tamten węgieł domu uderzał. Noc była głęboka i ciemna tak, że na dwa kroki przed sobą nic obaczyć nie można było.

Rinuccio doszedł przed dom wdowy, która stojąc w oknie pospołu ze służką pilnie wyglądała, zali zjawi się jej zalotnik z Alessandrem na plecach. Już była gotowa dać im obu stosowną odprawę, gdy nagle straż Signorii, na jakiegoś ladaca w tej dzielnicy cichcem czatująca, usłyszawszy odgłos ciężkich kroków Rinuccia, żywo skierowała w jego stronę latarnie dla upewnienia się, kto idzie, i uderzając lancami o tarcze zawołała:

— Kto zacz?

Rinuccio na ten okrzyk poznał, co się święci. Ponieważ nie było chwili czasu do stracenia, rzucił na ziemię Alessandra i co tchu w piersiach pomknął przed siebie. Alessandro natychmiast poszedł za jego przykładem i mimo długich sukien nieboszczyka, które mu bieg utrudniały, umykać począł, co sił starczyło.

Tymczasem wdowa, przy świetle latarni straży miejskiej poznawszy Rinuccia, niosącego na barkach Alessandra przyodzianego w suknie Scannadia, zadziwiła się niepomiernie wielkiej odwadze obydwu kochanków. Jednakoż, mimo całego podziwu, parsknąć śmiechem musiała, widząc, jak Rinuccio Alessandra na ziemię rzuca i jak potem obydwaj uciekają. Ukontentowana wielce z takiego obrotu rzeczy, złożyła dank niebiosom za to, że ją z tak ciężkiej opresji wybawiły. Po czym wróciła do siebie na spoczynek, rozważając ze służką, że obydwaj młodzieńcy wielką miłością przeniknięci być muszą, skoro tak trudne zadanie wypełnili. Tymczasem srodze zmartwiony Rinuccio, klnąc swoją złą dolę, nie wrócił jednak do domu. Po oddaleniu się straży zbliżył się do miejsca, gdzie był rzucił Alessandra, i po omacku rękoma szukać począł ciała, aby dokonać tego, co zaczął. Nie znalazłszy trupa, do tej myśli przyszedł, że go straż zabrać musiała, i pełen ciężkiej troski do domu wreszcie powrócił. Alessandro nie wiedział również, co mu do czynienia pozostaje. Nie poznawszy nawet tego, kto go tak długo na grzbiecie dźwigał, gniewny i zbolały do domu się udał.

Gdy nazajutrz grobowiec Scannadia otwarty zastano i zwłok jego nie znaleziono, Alessandro bowiem zepchnął je w głąb, po całej Pistoi różne słuchy chodzić poczęły.

Wszyscy głupcy mniemali, że to czart Scannadia porwał. Dwaj miłośnicy nie zaniedbali donieść wdowie, co każdy z nich uczynił i co mu do spełnienia życzeń pięknej damy na wstręcie stanęło. W nagrodę za odwagę i gotowość swoją dopominali się o łaskę i miłość wdowy. Madonna Francesca jednakoż uczyniła pozór, że tłumaczeniom tym nie wierzy, i odparła twardo, że nic dla nich uczynić nie może dla tej prostej racji, że prośby jej nie spełnili. Tym sposobem raz na zawsze od ich nagabywań się uwolniła".

Opowieść druga. Belka i słomka

Pewna przeorysza zrywa się z łoża nocą, aby — posłuch dając oskarżeniu — zaskoczyć mniszkę, u której znajduje się jej miłośnik. Tymczasem u przeoryszy bawił ksiądz. Przeorysza mniemając, że chwyta welon, zarzuciła na głowę spodnie ojcaszka. Oskarżona, obaczywszy to, zwróciła uwagę przeoryszy, dzięki czemu kary uniknęła i mogła bez przeszkód pozostać ze swym kochankiem.

Gdy Filomena zamilkła, wszyscy pochwalili fortel, dzięki któremu dama pozbyła się dwóch młodzieńców, nieposiadających jej wzajemności. Czyn nieopatrzny obydwóch zalotników nie dowodem miłości, lecz głupoty nazwany został. Po czym królowa, obróciwszy się do Elizy, rzekła:

— Na ciebie teraz kolej przypada.

Eliza, nie namyślając się długo, w ten sposób zaczęła:

— Z wielką zręcznością, jak o tym przed chwilą słyszeliśmy, pozbyła się natrętnych zalotników madonna Francesca. Pewna młoda zakonnica jednakoż niemniej zręczna była. Skorzystawszy ze szczęśliwego przypadku, jedną żartobliwą uwagą zażegnała groźne dla siebie niebezpieczeństwo. Wiadomo wam, że często najwięksi głupcy innych uczyć i gromić mają osobliwą ochotę. Jak się z historii mojej przekonacie, los karze ich czasem w zasłużony sposób. Tak właśnie stało się z przeoryszą mającą pod swoim nadzorem młodą zakonnicę, o której teraz chcę wam opowiedzieć.

„W Lombardii znajduje się pewien klasztor, słynący z pobożności i surowości obyczajów. W murach jego pośród wielu mniszek przebywało też pewne wielce urodziwe dziewczę, w którego żyłach szlachetna krew płynęła. Dzieweczka ta zwała się Isabettą. Isabetta, stanąwszy pewnego dnia przed kratą, aby pomówić z krewniakiem, zakochała się w urodziwym młodzieńcu, który mu towarzyszył. Młodzieniec, ujrzawszy jej piękność i z wzroku jej skryte pragnienie wyczytawszy, równie gorącym afektem do niej zapłonął. Cierpiąc wielkie męki, długo tę miłość skrywali, wreszcie jednak

młodzian przy pomocy mniszeczki znalazł sposób, dzięki któremu do klasztoru przeniknąć zdołał. Gdy zaś jej przypadło to do smaku, tajemne odwiedziny powtarzały się potem często, ku niewysłowionej szczęśliwości obojga.

Pewnego dnia, gdy młodzieniec odchodząc żegnał się z Isabettą, żadne z nich nie zauważyło, że spostrzegła ich jedna z zakonnic, która oczywista zaraz o tym innym mniszkom opowiedziała. Z początku zamierzały oskarżyć Isabettę przed przeoryszą, zwaną madonną Usimbaldą. W mniemaniu wszystkich mniszek i każdego człeka, co ją znał, była to nader stateczna i nabożna białogłowa. Potem jednak pomyślały, że lepiej będzie wraz z przeoryszą na gorącym uczynku Isabettę przydybać, tak aby się zaprzeć nie mogła. Pokrywszy tedy wszystko milczeniem, jęły w tajemnicy czatować przez kilka nocy, aby miłośników przychwycić. Isabetta, której nikt o tym szkaradnym zamyśle nie ostrzegł i która nie domyślała się niczego, pewnego wieczora wpuściła do celi swego miłośnika. Zakonnice, stojące na czatach, natychmiast młodzieńca spostrzegły. Gdy im się zdało, że stosowna pora nadeszła, bowiem większa część nocy już była minęła, podzieliły się na dwa oddziały. Jeden pozostał na straży przed drzwiami Isabetty, drugi podążył do sypialnej komnaty przeoryszy. Mniszki zapukały do drzwi, a gdy przeorysza się odezwała, zawołały:

— Wstawajcie, matko wielebna, prędko wstawajcie! Schwytałyśmy Isabettę w jej celi na gorącym uczynku z jakimś młodzieńcem.

Przeorysza tej nocy przebywała właśnie w towarzystwie pewnego księdza, którego często w wielkiej skrzyni do siebie wnosić kazała. Usłyszawszy wrzawę i bojąc się, aby zakonnice z nadmiernej gorliwości drzwi zbyt silnie nie pchnęły i nie rozwarły, wstała pośpiesznie i po omacku odziewać się poczęła. Mniemając, że bierze do rąk fałdzistą zasłonę, którą mniszki tamtejsze »psałterzem« nazywają, pochwyciła spodnie ojcaszka. Nie dostrzegłszy w pośpiechu pomyłki, zarzuciła tę wymyślną zasłonę na głowę i wypadła z celi, zamykając gorliwie drzwi za sobą.

— Gdzież jest ta grzesznica przez Boga przeklęta? — zawołała.

Mniszki pałały taką żądzą przydybania Isabetty, że nie zwróciły uwagi na strój przeoryszy. Wielebna matka stanęła przed drzwiami celi. Gdy zakonnice wspólnymi siłami drzwi wyłamały, weszła do środka pospołu z nimi i ujrzała kochanków, którzy ciasno obłapieni w łożu spoczywali. Nieboracy, osłupiali z powodu tego zaskoczenia, nie wiedzieli, co czynić mają, i leżeli bez ruchu. Siostry w mgnieniu oka pochwyciły młodą zakonnicę i na rozkaz przeoryszy do kapituły ją zawiodły. Młodzieniec, pozostawszy w celi, ubrał się i jął oczekiwać, jaki obrót cała sprawa przybierze. Był

gotów rozprawić się twardo z każdym, kto by jego umiłowanej najmniejszą krzywdę chciał wyrządzić, i myślał uprowadzić ją z sobą.

Przeorysza tymczasem, zająwszy w kapitule poczesne miejsce swoje, poczęła w przytomności zakonnic, patrzących tylko na winowajczynię, obsypywać ją najsroższymi obelgami za to, że świątobliwość i dobrą sławę zakonu swym haniebnym postępkiem na szwank przywiodła. Cóż by to było, gdyby rzecz podobna poza mury klasztoru przedostać się miała! Po obelgach nastąpiły straszliwe groźby. Strwożona i zawstydzona Isabetta, nie znajdując nic na usprawiedliwienie swoje, milczała, tak iż przytomne towarzyszki niejakie współczucie dla niej poczuły.

Jednakże gdy przeorysza nie ustawała w srogim gniewie swoim, dziewczę ośmieliło się wreszcie błagalnie oczy podnieść i wówczas spostrzegło, że przełożona ma na głowie spodnie, których tasiemki z obu stron na skronie jej spadają. Pojąwszy, w czym rzecz, rzekła śmiało:

— Matko przeoryszo, na miłosierdzie boskie, zawiążcie sobie wprzód czepiec, a potem powiedzcie mi jasno, czego chcecie ode mnie?

Przeorysza, nie pojmując, do czego te słowa się odnoszą, jeszcze surowszym głosem zawołała:

— Co ty mi tu o czepcu prawisz, niegodziwa grzesznico? Jak śmiesz drwinki sobie ze mnie stroić? Myślisz, że pora ci na żarty?

Isabetta odrzekła, niestropiona całkiem:

— Proszę was jeno, madonno, abyście sobie czepiec poprawili. Potem będę gotowa słów waszych wysłuchać.

Na te dziwne i uporczywe nalegania wszystkie mniszki obróciły wzrok na głowę przeoryszy, która ręce do góry podniosła. I naraz stało się im jasne, dlaczego Isabetta z takim uporem o czepcu napomykała.

Przeorysza poznała omyłkę swoją, a widząc, że rzeczy tak jawnej zaprzeć się nie będzie mogła, zmieniła natychmiast ton surowy i zgoła inaczej przemawiać zaczęła. Oświadczywszy, że nie podobna pokusie cielesnej się oprzeć, pozwoliła, jak dotąd było, każdej mniszce w tajności się pocieszać, o ile tylko zdoła. Po czym, zwolniwszy młódkę, powróciła do swego księdza. Isabetta zasię udała się do swego młodzieńca, którego długo jeszcze, ku wielkiej zgryzocie tych, co jej zazdrościły, do siebie sprowadzała. Za jej przykładem poszły inne mniszki, niemające jeszcze miłośników, które w ukryciu próbowały szczęścia, jak umiały".

Opowieść trzecia. Calandrino przy nadziei

Doktor Simone, z podniety Bruna, Buffalmacca i Nella, wmawia w Calandrina, że jest w stanie odmiennym. Calandrino, chcąc się uleczyć, ugaszcza swych towarzyszy kapłonami, daje im pieniądze, a potem wstaje z łoża słabości, nie wydawszy potomka na świat.

Gdy Eliza opowieść swoją skończyła, wszyscy złożyli dziękczynienie Bogu, że młodą zakonnicę od prześladowania zawistnych sióstr klasztornych ocalić zechciał, po czym królowa wezwała z kolei Filostrata, który nie czekając, aż rozkaz powtórzony zostanie, w te słowa zaczął:

— Piękne damy! Nieobyty sędzia z marchii ankońskiej, o którym wam wczoraj opowiedziałem, nie pozwolił mi ucieszyć was jeszcze jedną opowieścią o Calandrinie, którą już miałem na ustach. Ponieważ wszystko, co o nim powszechnie opowiadają, jest w najwyższym stopniu krotochwilne, tedy opowiem wam historię o nim, którą już wczoraj opowiedzieć zamierzałem, mimo to, iż wiem dobrze, żeśmy o nim i o jego towarzyszach siła anegdotek już przytoczyli.

„Dobrze już wiecie, kim był Calandrino, a takoż i inni ludzie, o których teraz mówić zamierzam. Dlatego też nad wiadomymi rzeczami się nie szerząc, zacznę od tego, że umarła jedna z ciotek Calandrina, zostawiając mu w spadku dwieście srebrnych dukatów drobnych oszczędności. Odebrawszy te pieniądze, Calandrino jął rozpowiadać, że zamierza za nie wiejską posiadłość nabyć, przy czym wszedł w porozumienie ze wszystkimi stręczycielami i pośrednikami we Florencji, jakby co najmniej sumą dziesięciu tysięcy dukatów rozporządzał. Ilekroć przychodziło jednak do ceny sprzedażnej posiadłości, targ zawsze na niczym się kończył.

Bruno i Buffalmacco, wiedząc o tym, przedstawiali mu nieraz, że lepiej by uczynił, przehulawszy te pieniądze w ich kompanii niż kupiwszy ziemię, z której chyba, na podobieństwo dzieci, gałki dla zabawy będzie lepił. Wszystkie te dobre rady odbijały się od niego jak groch od ściany. Nawet na skromną wieczerzę namówić go nie zdołali. Drażniło to ich niezmiernie. Pewnego dnia, gdy o uporze Calandrina rozmawiali, nadszedł właśnie jeden z ich towarzyszy, malarz, imieniem Nello. Wszyscy trzej jęli się głowić nad tym, co by tu przedsięwziąć dla uraczenia się choćby raz jeden kosztem Calandrina. Wkrótce stosowny sposób do głowy im przyszedł. Umówili się szczegółowo, co każdemu z nich uczynić wypadnie, i nazajutrz rano, w godzinie, kiedy

Calandrino zwykł był z domu wychodzić, zaledwie kilka kroków postąpił, zaszedł mu drogę Nello, witając go:

— Dzień dobry, Calandrino!

Calandrino odparł na to życzeniem, aby Bóg Nella dobrym dniem i dobrym rokiem obdarzył. W trakcie rozmowy Nello przystanął i jął się pilnie Calandrinowi przyglądać.

— Dlaczego mi się tak przypatrujesz? — zapytał zdziwiony Calandrino.

— Czy ci się dzisiaj coś w nocy nie przytrafiło? — rzekł Nello. — Całkiem niepodobny jesteś do siebie.

Calandrino przeraził się i zawołał:

— Biada mi! Cóż by to być mogło? Jakież to zmiany dostrzegasz we mnie?

— Wydajesz mi się wielce zmienionym — odparł Nello. — Może to zresztą co innego…

Rzekłszy te słowa, odszedł żywo. Calandrino ruszył dalej mocno zaniepokojony, choć najmniejszej dolegliwości nie czuł. Wtem nawinął mu się Buffalmacco, który w trakcie całej rozmowy trzymał się nieco opodal i widział, jak się Nello oddalał. Buffalmacco pozdrowił uprzejmie Calandrina, po czym spytał się go z wielką troskliwością, zali nie jest chory.

— Nie wiem — odparł coraz bardziej zatrwożony Calandrino — oto właśnie przed chwilą powiedział mi także Nello, że wygląd mój jest całkiem inny niż zazwyczaj. Czy możliwe, by mi naprawdę coś było?

— Oby to nic nie było — odparł Buffalmacco — aliści wyglądasz mi na półtrupa.

Na te słowa Calandrino w całym ciele gorączkę poczuł. Nieborak jeszcze się opamiętać nie zdołał, gdy naraz ukazał się Bruno, odskoczył od Calandrina i zawołał:

— Jak ty wyglądasz, Calandrino? Masz minę raczej trupa niż żywego człowieka. Co ci się stało?

Calandrino dzięki tym trzem powitaniom najmocniej przeświadczony, że chorym być musi, począł się trząść całym ciałem i zapytał:

— Co robić?

— Ha — rzekł Bruno — wydaje mi się, że najlepiej byś zrobił, wracając zaraz do domu. Kładź się do łoża i każ się dobrze przykryć, a potem, nie mieszkając, poślij wodę swoją do mistrza Simona, który jak ci wiadomo, wszystkim nam bardzo sprzyja. On ci powie zaraz, jak masz złu zaradzić, my zasię będziemy ci towarzyszyli i pomożemy, w czym będzie potrzeba.

Po drodze spotkali Nella, który się do nich przyłączył, i w tej to kompanii powrócił Calandrino do domu. Pełen dusznej niespokojności wszedł do swej sypialnej komnaty i zawołał na żonę:

— Chodź tu i przykryj mnie dobrze, gdyż czuję się bardzo chory.

Gdy go do łoża położono, posłał natychmiast wodę swoją przez małą dziewczynkę do mistrza Simona, który się właśnie w sklepie swoim „Pod Melonem" na Mercato Vecchio znajdował. Gdy dziewczyna odchodziła, Bruno odezwał się do swoich towarzyszy:

— Zostańcie tutaj przy nim, a ja skoczę do doktora, aby jego orzeczenia wysłuchać. Jeżeli zajdzie potrzeba, wnet go tutaj z sobą przyprowadzę.

— O tak, uczyń to dla mnie, zacny mój druhu — rzekł do niego Calandrino — idź i przynieś mi jak najśpieszniej wiadomość o stanie moim, czuję bowiem w całym ciele jakąś słabość, której nazwać nie umiem.

Bruno wyszedł pośpiesznie i przybywszy do mistrza Simona jeszcze przed dziewczyną niosącą wodę, uprzedził go o całym stanie rzeczy. Gdy dziewczyna stanęła na progu, doktor przyjrzał się wodzie i rzekł:

— Biegnij z powrotem i rzeknij Calandrinowi, aby się jak najcieplej trzymał. Ja wkrótce tam przybędę, powiem, co mu jest, i poradzę mu coś na jego dolegliwość.

Dziewczyna powtórzyła te słowa swemu panu. Po chwili przybył Bruno wraz z doktorem, który usiadłszy poważnie na brzegu łóżka, począł Calandrinowi puls macać. Dokonawszy tego, rzekł doń w przytomności żony Calandrina:

— Słuchaj, Calandrino, jeśli chcesz, abym ci wszystko szczerze, jak na przyjaciela przystało, powiedział, to rzeknę, że nic ci nie grozi, tylko jesteś brzemienny.

Calandrino, usłyszawszy te słowa, zaczął jęczeć żałośliwie, po czym zawołał do żony swojej:

— Biada mi, Tesso, to tyś mi tego zła narobiła, bowiem zawsze chcesz być na wierzchu! Przecież nieraz cię przestrzegałem.

Pani Tessa, białogłowa nader obyczajna, spłonęła rumieńcem, spuściła oczy i nie rzekłszy ni słowa wyszła z komnaty.

Calandrino ani na chwilę nie przestawał jęczeć i wołać:

— Biada mi, nieszczęsnemu! Cóż ja teraz pocznę; jak to dziecię i którędy na świat wydam? Ach, widzę dobrze, że ta przewrotność żony mojej życia mnie pozbawi. Bodajby ją Bóg zatracił! Gdybym był zdrów, pobiegłbym za nią i wszystkie kości jej pogruchotał. Ale dobrze mi tak, gdyż nie powinienem był jej nigdy na wierzch puszczać.

Jeżeli wyjdę cało z tej biedy, to umrze pierwej z żądzy, nim jej na coś podobnego pozwolę.

Bruno, Buffalmacco i Nello, słysząc te brednie Calandrina, o mało się ze śmiechu nie zadusili, pohamowali się jednakoż i poważne miny zachowali. Mistrz Barania Głowa śmiał się za to z całego gardła, tak iż wszystkie zęby można mu było policzyć. Po chwili Calandrino począł zaklinać doktora najsłodszymi słowy, aby mu w tym nieszczęściu pomocą i radą służyć zechciał.

— Nie dręcz się i nie lękaj, Calandrino — odparł na to doktor — poznaliśmy się bowiem, dzięki Bogu, od razu na twojej chorobie. Mam nadzieję, że bez wielkich trudności w ciągu kilku dni uwolnić cię od niej zdołam. Radzę ci jeno, abyś nie wzdragał się z wydaniem pieniędzy na różne leki przeznaczonych.

— Ach, oczywista, że je wydam, drogi mistrzu — odparł Calandrino — tylko ratuj mnie, na miłość Boską. Posiadam dwieście dukatów, za które majętność sobie kupić chciałem. Jeśli potrzeba, zabierz je wszystkie, ale nie dopuść, abym zległ, nie pojmuję bowiem, jakbym to nawet uczynić zdołał. Słyszałem, jak wrzeszczą białogłowy przy porodzie. Jeżeli one tak cierpią, aczkolwiek wszelką możność rodzenia mają, cóż dopiero ja znosić bym musiał? Jestem upewniony, że umarłbym pierwej, nim bym dziecię na świat wydał.

— Uspokój się — rzekł doktor — każę ci przyrządzić niezwykle skuteczny i smakowity napój, który w ciągu trzech dni usunie twoją niemoc bez śladu, tak iż będziesz znowu zdrów jak ryba. Zważ jeno, abyś na przyszłość do podobnych niedorzeczności żonie swojej nakłonić się nie dał. Co się zaś owego trunku tyczy, to do przyrządzenia go trzeba trzech par tęgich i tłustych kapłonów. Na inne jeszcze ingrediencje daj jednemu z obecnych tutaj pięć dukatów. Wszystko niech mi przyniosą do sklepu, ja zasię przyślę ci jutro napój, który natychmiast po jednym kielichu przyjmować zaczniesz.

Calandrino, wysłuchawszy tych słów, zawołał:

— Zgadzam się, oczywiście! Zajmijcie się mną tylko szczerze, mój drogi mistrzu!

I wydobywszy natychmiast pięć dukatów oraz sumę potrzebną na kupno kapłonów, wręczył te pieniądze Brunowi, zaklinając go, aby w imię miłości i przyjaźni dla niego podjął się załatwienia tych wszystkich spraw.

Doktor, wróciwszy do domu, kazał wina z korzeniami przygotować, po czym posłał je Calandrinowi. Bruno tymczasem, w towarzystwie doktora i dwóch pozostałych kompanów, zjadł tłuste kapłony i inne przysmaki kupione za pieniądze Calandrina.

Calandrino pił przez trzy dni wino z korzeniami. Wreszcie czwartego dnia doktor przyszedł do niego z towarzyszami i macając mu puls rzekł w te słowa:

— Jesteś już całkiem zdrów, mój Calandrino, tak iż jeszcze dzisiaj możesz wyjść na miasto za swymi sprawami.

Calandrino, pełen niewysłowionej radości, podniósł się natychmiast z łoża i wyszedłszy na miasto wysławiał przed każdym, kogo tylko napotkał, troskliwą opiekę mistrza Simona, który go w ciągu trzech dni bez najmniejszej boleści od płodu uwolnił. Bruno, Buffalmacco i Nello cieszyli się tymczasem niezmiernie, że skąpego Calandrina w pole wyprowadzić zdołali. Tylko pani Tessa, zmiarkowawszy figiel przyjaciół męża, długo mu jego głupoty darować nie mogła".

Opowieść czwarta. Przygoda Cecca Angiulieri

Cecco, syn Fortarriga, przegrywa w Buonconvento cały swój dobytek i pieniądze Cecca, syna Angiulieriego. W jednej tylko koszuli na gołym cielsku biegnie za nim i krzyczy, że go ograbił. Kmiecie chwytają i rozdziewają pierwszego Cecca; drugi tymczasem ubiera się w jego suknie i wsiada na jego rumaka, pozostawiając tamtego w koszuli na drodze.

Wybuchy gromkiego śmiechu towarzyszyły opowieści o wyrzutach Calandrina czynionych żonie. Gdy Filostrato umilkł, na rozkaz królowej Neifile z kolei głos zabrała.

— Zacne damy — rzekła — gdyby ludziom nie trudniej przychodziło okazać innym rozsądek własny i cnotę niż głupotę i grzech, niepotrzebnie silibyś się niektórzy, by ująć w karby swe słowa. Tego dowiodła nam dobitnie głupota Calandrina, nic bowiem nie zmuszało go do tego, by — chcąc uleczyć się z choroby, w którą uwierzył dzięki miałkości swojego rozumu — miał dobywać na jaw tajemne zachcianki własnej żony. Ta opowieść przywiodła mi na myśl historię całkiem innego rodzaju, a mianowicie, jak przewrotność jednego człeka zwyciężyła rozum drugiego i na wstyd, i znaczną szkodę go naraziła. O tym pragnę wam opowiedzieć.

„Niewiele tedy lat temu żyli w Sienie dwaj dorośli młodzieńcy, imieniem Cecco zwani. Jeden z nich był synem Angiulieriego, a drugi Fortarriga. Byli to ludzie całkiem odmiennych natur i obyczajów, łączyła ich tylko nienawiść do własnych rodzicieli. Ta wspólna nienawiść tak ich zbliżyła, że wkrótce stali się przyjaciółmi i wszędzie razem pokazywać się poczęli.

Angiulieri, człek urodziwy i bywały, zbrzydził sobie życie w Sienie z zasiłków, które mu ojciec wyznaczał. Dowiedziawszy się, że pewien wielce mu przychylny kardynał jako legat papieski do Ankony przybył, postanowił udać się do niego w nadziei, że swój los poprawi. Z zamysłem tym zdradził się swemu ojcu, uzyskując od niego sumę równającą się temu, co w ciągu sześciu miesięcy miał otrzymać. Za otrzymane pieniądze mógł się stosownie przybrać, a takoż kupić rumaka, rynsztunek i wszystko, co do przyzwoitej wyprawy należało. Odjeżdżając ze Sieny, począł się oglądać za kimś, kogo by mógł z sobą jako sługę zabrać. Fortarrigo, dowiedziawszy się o tym, pośpieszył do niego natychmiast i jął go usilnie prosić, aby go z sobą zabrał. Zapewniał, że chce mu być oddanym sługą, zapłaty żadnej nie żądając. Angiulieri odparł Fortarrigowi, że uczynić tego nie może, jakkolwiek bowiem wiadomo mu dobrze, że do wszelkiej posługi jest zdatny, aliści i to wie, że Fortarrigo jest nieposkromionym pijanicą i graczem. Fortarrigo zapewnił go uroczyście, że nałogów swoich będzie się wystrzegał i zapewnienie swe poparł zaraz tak wieloma zaklęciami i prośbami, że Angiulieri uległ wreszcie i na prośbę jego przystał.

Wyruszywszy pewnego ranka w drogę, skierowali się ku Buonconvento, gdzie się na obiad zatrzymali. Po spożyciu obiadu (skwar tego dnia okrutnie dokuczał) Angiulieri kazał przygotować sobie posłanie w gospodzie, po czym rozebrał się przy pomocy Fortarriga i legł spać, przykazawszy towarzyszowi, aby go o dziewiątej obudził.

Fortarrigo, skoro zasnął Angiulieri, wymknął się do pobliskiej karczmy i podpiwszy sobie nieco, wdał się w grę z obecnymi tam szulerami. W krótkim czasie przegrał pieniądze, jakie miał przy sobie, a takoż i wszystkie szaty, jakie miał na grzbiecie. Wówczas, żądny odegrania się, pobiegł w koszuli do gospody, gdzie spał Angiulieri, wyjął mu, pogrążonemu w śnie głębokim, wszystkie pieniądze z trzosa, powrócił do graczy i wkrótce znów całą sumę przegrał.

Angiulieri, wyspawszy się należycie, obudził się. Wstał, ubrał się i spytał o Fortarriga. Nie mogąc go nigdzie znaleźć, do tej myśli przyszedł, że spić się musiał obyczajem swoim i że teraz gdzieś się w kącie wysypia. Za karę postanowił zostawić go jego losowi. Kazał tedy osiodłać swego rumaka, aby udać się w drogę i w Corsignano innego sługę znaleźć. Gdy jednak, mając już wyruszyć, chciał gospodarzowi zapłacić, spostrzegł, że mu pieniądze zginęły. Wszczął wówczas wielki zgiełk, tak iż zbiegli się wszyscy w gospodzie przytomni. Angiulieri krzyczał, że go tu niecnie okradziono i że wszystkich do więzienia w Sienie wtrąci. W tej chwili zjawił się Fortarrigo ubrany w

koszulę. Przybył po suknie Angiulieriego, które chciał zabrać, jak uprzednio zabrał był pieniądze. Ujrzawszy, że Angiulieri już na koniu siedzi, rzekł niewinnym głosem:

— Co to ma znaczyć, Angiulieri? Zali już w drogę wyruszamy? Zaczekaj jeszcze chwilę. Zaraz tu nadejdzie pewien hultaj, który za trzydzieści osiem soldów ma mój kaftan w zastawie. Pewien jestem, że zwróci go nam za trzydzieści pięć, jeżeli mu je zaraz zapłacimy.

Ledwo słowa te wyrzekł, nadszedł jeden z tych, którzy przy grze obecni byli, i podał sumę przegraną przez Fortarriga. Wówczas Angiulieri przekonał się, że to sługa pieniądze mu zabrał. Gwałtownym gniewem tknięty, obsypał Fortarriga najszpetniejszymi obelgami. Gdyby nie obawa przed Bogiem i ludźmi, byłby się z nim jeszcze gorzej obszedł. Zagroziwszy, że go na szubienicę zawiedzie albo o wygnanie z Sieny pod karą gardła przyprawi, wsiadł na koń, gotując się do odjazdu. Aliści Fortarrigo wciąż takim głosem, jak gdyby to nie o niego chodziło, zatrzymał go, wołając:

— Angiulieri! Na miłosierdzie boże, dajmy pokój tym pustym gawędom. Zważ, proszę, że jeśli teraz kaftan mój wykupimy, to zwrócą go nam za trzydzieści pięć soldów, jeśli zasię choćby do jutra sprawę odłożysz, to ów hultaj nie odstąpi od trzydziestu ośmiu. Prawdę rzekłszy, grzeczność mi wyświadcza, bo cenę zostawiłem jego uznaniu. Dlaczegóż nie mielibyśmy tych trzech soldów oszczędzić?

Angiulieri, usłyszawszy te bezczelne słowa, wpadł w wściekłość, zwłaszcza gdy ujrzał, że wszyscy przytomni patrzą na niego, zdając się mniemać, iż to nie Fortarrigo bynajmniej przegrał jego pieniądze, ale że to on, Angiulieri, Fortarriga własność zatrzymuje.

— Co mnie twój kaftan dotyczyć może? — wykrzyknął. — Bogdajby cię obwiesili, niecnoto, za to, żeś nie tylko pieniądze mi ukradł, ale że teraz jeszcze zatrzymujesz mnie w drodze i dworujesz sobie ze mnie.

Aliści Fortarrigo nie dał się zbić z tropu; owszem, czyniąc pozór, że wszystko to nie do niego się ściąga, ciągnął dalej na ten kształt:

— Dlaczegóżbym nie miał dbać o te trzy soldy? Sądzisz, że nie pożyczę ci ich znowu? Uczyń to, o co cię proszę, dla przyjaźni naszej. Przecież ci się nie śpieszy. Do Torrenieri zdążymy jeszcze dzisiaj. Nie ociągaj się zatem i dobądź mieszka. Niepowetowana szkoda byłaby tego kaftana! Gdybym nawet całą Sienę przeszukał, nie znalazłbym drugiego, który by na mnie tak wybornie leżał. I pomyśleć tylko, że za trzydzieści soldów zastawiłem rzecz wartą więcej niż czterdzieści. Dalibóg, chcesz mnie, widać, na podwójną stratę narazić.

Angiulieri, srogim gniewem na dźwięk tych przewrotnych i bezczelnych słów zdjęty, nie odrzekł już nic, zawrócił jeno rumaka i ruszył ku Torrenieri. Aliści Fortarrigo, postanowiwszy złośliwy swój fortel do skutku doprowadzić, puścił się za nim, tak jak stał, w jednej tylko koszuli. Angiulieri już o dwie mile drogi od Buonconvento się oddalił. Fortarrigo biegł za nim ciągle, wołając o swój kaftan. Angiulieri, pragnąc uwolnić się od tej plagi, poganiał konia ile sił. Nagle Fortarrigo, ujrzawszy kmieci pracujących na polu przy drodze, wrzeszczeć począł:

— Trzymajcie, trzymajcie!

Chłopi na to wołanie poskoczyli z motykami i widłami ku Angiulieriemu. Mniemając, że musiał obrabować tego, kto za nim pędzi w koszuli, zastąpili mu drogę i przytrzymali go.

Na nic się nie przydały przełożenia, kim jest i jak się sprawy w samej rzeczy mają. Wnet bowiem nadbiegł Fortarrigo i z udanym gniewem zawołał:

— Dalipan, nie wiem, co powstrzymuje mnie od pozbawienia cię życia, ty wiarołomny hultaju, grabieżco mojej własności!

Po czym, zwracając się do wieśniaków, dodał:

— Spójrzcie, moi mili, w jakim stroju mnie w gospodzie zostawił, przegrawszy uprzednio ostatni swój szeląg i wszystkie moje suknie. Na honor, mogę powiedzieć, że wam tylko i Bogu zawdzięczam, że tę resztę własności mojej odzyskałem. Wiecznie wam za to wdzięczny będę.

Angiulieri silił się rzecz wyjaśnić, aliści nikt go słuchać nie chciał. Włościanie przy pomocy Fortarriga ściągnęli go z rumaka, po czym Fortarrigo rozebrał go, przyodział się w jego suknie i wsiadł na koń. Angiulieri został na drodze w koszuli i bez butów. Fortarrigo, powróciwszy do Sieny, rozgłaszał wszędzie, iż od Angiulieriego ubranie i rumaka wygrał. Angiulieri, który wyjechał w nadziei zbogacenia się przy pomocy kardynała w Ankonie, bez grosza i w koszuli powrócił do Buonconvento. Wstydząc się swej klęski, nie śmiał się w tym stanie w Sienie pokazać. Wreszcie tyle wskórał, że mu suknie pożyczono. Dosiadłszy szkapy, na której pierwej Fortarrigo mu towarzyszył, udał się do Corsignano do krewnych, gdzie przebywał, dopóki pieniędzy od rodzica swego nie uzyskał.

Tak oto złośliwy fortel Fortarriga zniweczył roztropne zamysły Angiulieriego, co jednak w swoim czasie i w stosownym miejscu pomszczone zostało”.

Opowieść piąta. Miłosna przygoda Calandrina

Calandrino rozkochuje się w dzierlatce. Gdy jej dotknął talizmanem, którego mu dostarczył Bruno, dziewczyna idzie z nim. Ale przychwycony przez żonę, ciężką ma z nią przeprawę.

Gdy Neifile swoje niezbyt długie opowiadanie skończyła i gdy towarzystwo, bez wielkiego śmiechu i zastanowienia się nad nim, wyraziło chęć usłyszenia czegoś nowego, królowa na Fiammettę skinęła. Fiammetta z radością w te słowa zaczęła:

— Wiadomo wam, jak mniemam, wdzięczne towarzyszki moje, że nie masz takiej materii, którą by do dna wyczerpać można było, i że dobry opowiadacz, jeśli właściwy czas i okoliczność zważy, zawsze, choćby najbardziej znaną już rzeczą, zabawić potrafi. Z drugiej strony, ilokrotnie przypomnę sobie cel, dla którego tutaj się zebraliśmy (była nim chęć godziwego rozweselenia się), do tego wniosku przychodzę, że wszystko, co raduje i bawi, po stokroć jest tu na miejscu i że gdybyśmy nawet tysiąc razy jakąś materię omówili, usłyszeć o niej jeszcze coś nowego miłą dla nas powinno być rzeczą. Jakkolwiek tedy naopowiadano się już co niemiara o przygodach Calandrina, ja jednakoż z powyższych względów i z uwagi, jaką słusznie niedawno Filostrato uczynił, że wszystko, co się tego malarza tyczy, jest niezmiernie wesołe — ośmielę się jeszcze jedną krotochwilę o nim opowiedzieć, którą gdybym się z prawdą minąć chciała, łatwo bym wam pod zmyślonymi nazwiskami podać mogła. Ponieważ jednak odstąpienie od prawdy wszystkim rozumiejącym się na rzeczy urok opowiadań znacznie pomniejsza, zachowam tedy wielką szczerość i opowiem o tej rzeczy tak, jak się miała.

„Niccolo Cornacchini, jeden z ziomków naszych, człek bogaty, posiadający piękną posiadłość w Camerata, gdzie ozdobny dom postawił, umówił się z Brunem i Buffalmacciem o wykonanie malowideł do tego domu. Ponieważ robota znaczna była, malarze przybrali sobie do pomocy Nella i Calandrina i dziarsko wzięli się do dzieła. W domu w Camerata kilka komnat było już gotowych i opatrzonych w łóżka oraz w sprzęty potrzebne. Ze służby nikogo jeszcze tam nie było krom pewnej staruchy, służącej i dozorczyni domu zarazem. Korzystając z tej okoliczności, syn wspomnianego już Niccola, imieniem Filippo, człek młody, a przy tym żoną nieobarczony, niekiedy sprowadzał do siebie jakąś białogłowę i zatrzymawszy ją u siebie przez dzień lub dwa, z powrotem odsyłał.

Zdarzyło się tedy, że pewnego razu przywiódł z sobą dziewczynę, zwaną Niccolosa, którą pewien łotrzyk, Mangione, w domu swoim na przedmieściu utrzymywał, czasem

i innym odstępując. Była to dziewka kształtna, strojna, dość polerownych obyczajów, a przy tym wymowna. Pewnego dnia koło południa Niccolosa wyszła ze swej komnaty w białej sukni, z włosami zawiązanymi niedbale, i zbliżyła się do studni, znajdującej się na dziedzińcu, dla umycia sobie rąk i twarzy. Calandrino, wyszedłszy także trafunkiem po wodę, spostrzegł ją i uprzejmie powitał. Dziewczyna pozdrowiła go również i jęła mu się uważnie przyglądać, bardziej z powodu jego osobliwie uciesznej postawy niźli z jakiejkolwiek innej przyczyny. Calandrino przyglądał jej się takoż, a znalazłszy ją piękną, stał na miejscu jak wryty, nie śpiesząc bynajmniej z wodą do towarzyszy. Ponieważ jednak nieznaną mu była, nie śmiał przemówić do niej. Dziewczyna, spostrzegłszy jego zachwycony wyraz oblicza, dla zadrwienia sobie z niego, rzuciła mu kilka zalotnych spojrzeń i kilka razy westchnęła. Następstwem tego było, że Calandrino w mgnieniu oka w niej się zadurzył i nie odszedł pierwej z dziedzińca, póki Niccolosa, przywołana przez Filippa, nie oddaliła się do swej komnaty. Wówczas i on powrócił do pracy, ale opamiętać się już nie mógł i wciąż wzdychał. Bruno, niespuszczający go nigdy z oka (łaknął bowiem zawsze zabawy jego kosztem), wkrótce ten osobliwy stan jego spostrzegł i zawołał:

— Co ci się, u diabła, stało, towarzyszu Calandrino? Chuchasz, dmuchasz i wzdychasz ustawicznie!

— Ach, przyjacielu — odrzekł mu na to Calandrino — gdybym miał kogoś, kto by mi dopomóc zdołał, jakże byłbym szczęśliwy!

— Do czego ci ta pomoc potrzebna? — zapytał Bruno.

— Ach — westchnął raz jeszcze Calandrino — powiem ci, ale nie wyjawiaj tego, broń Boże! Otóż wiedz, że w tym domu przebywa dziewczyna piękniejsza niźli wszystkie czarodziejki razem wzięte, a tak we mnie rozmiłowana, że zadziwiłbyś się prawdziwie, gdybyś się o tym przekonał! Ja sam dopiero dzisiaj upewniłem się o tym przy studni.

— To źle — zawołał Bruno — proś Boga, aby to nie była żona Filippa.

— Wiesz, wydaje mi się, że tak jest w samej rzeczy — odparł Calandrino — bo przywołał ją, a ona weszła do jego komnaty. Zaliż to jednak może być przeszkodą? Gdy o sprawy miłości chodzi, gotów jestem drwić sobie z samego Pana Jezusa, a cóż dopiero z Filippa. Wierę, towarzyszu, okrutnie mi ta dzierlatka do gustu przypadła.

— Calandrino — rzekł po chwili namysłu Bruno — gotów jestem z przyjaźni do ciebie dowiedzieć się, kto ona zacz. Jeżeli jest istotnie żoną Filippa, to załatwimy sprawę bez próżnego gadania, znam bowiem doskonale tę białogłowę. Jakby tu jednak zrobić, aby Buffalmacco nic nie spostrzegł? Nie podobna prawie mówić z nią na osobności.

— Z Buffalmacca nic sobie nie robię — odrzekł Calandrino — strzeżmy się natomiast Nella, gdyż ten, jako krewny Tessy, gotów nam wszystkie szyki pomieszać.

— Masz słuszność — odparł Bruno.

Bruno nie potrzebował się pytać, kto była ta dziewczyna, widział bowiem, jak przychodziła, i słyszał od samego Filipa bliższe o niej szczegóły. Gdy Calandrino robotę na chwilę opuścił i wyszedł, pragnąc ją ujrzeć, opowiedział Bruno Buffalmaccowi i Nellowi całą historię i uknuł z nimi spisek — aby dzięki tym amorom Calandrina zadrwić sobie z nieboraka. Gdy tedy Calandrino powrócił, Bruno spytał go szeptem:

— Widziałeś ją?

— Rozumie się, że widziałem — odparł Calandrino — i na ten raz stanowczo już z miłości nie żyję.

— Pójdę tedy — rzekł Bruno — i upewnię się, czy to ta sama, o której myślałem. Jeżeli ta, reszta już moją rzeczą będzie.

To rzekłszy, wyszedł, udał się do Filippa, który właśnie w towarzystwie swej miłośnicy przebywał, opowiedział im, kto jest Calandrino i co mu wyznał przed chwilą, a następnie umówił się z nimi, co każde ma mówić i czynić, jeśli się tym afektem Calandrina nieco rozweselić pragnie. Po czym powrócił do malarza i rzekł:

— Tak jest, to ona; dlatego też bardzo misternie do rzeczy wziąć się musimy. Gdyby Filippo coś zmiarkował, cała woda z Arno z tego by nas nie obmyła. Powiedz mi jednak wprzód, co mam jej od ciebie oświadczyć, jeśli przypadkiem na uboczu przydybać mi się ją uda.

— Dalipan — odrzekł Calandrino — powiedz jej na początek początku, że czuję w sobie dla niej tysiąc ćwierci tego boskiego soku, który zaokrągla niewiasty, dalej powiedz jej także, że jestem jej sługą, i zapytaj, czy niczego ode mnie nie pragnie. Zrozumiałeś mnie dobrze?

— Wybornie — odparł Bruno — a teraz spuść się całkiem na mnie.

Gdy nadeszła godzina wieczerzy, malarze przerwali pracę i zeszedłszy na dziedziniec, gdzie Filippo z Niccolosą siedział, przystanęli obok nich, aby Calandrinowi dogodzić. Calandrino, korzystając z tego, zaczął stroić rozkochane miny, ale tak ukradkiem, że ślepy byłby je zauważył. Dziewczyna ze swojej strony nie zaniedbała niczego, co by go odpowiednio rozpłomienić mogło, czym Filippo, udający jednakże wedle wskazówek Bruna, że nic nie widzi i że jest zajęty rozmową z pozostałymi malarzami, wyśmienicie się bawił. Po niejakim czasie malarze pożegnali młodą parę i odeszli, ku wielkiej żałości Calandrina.

Po drodze do Florencji rzekł Bruno do Calandrina.

— Powiadam ci, że ona topnieje z miłości do ciebie jak śnieg na słońcu! Klnę się na ciało Chrystusowe, że gdybyś przyniósł gitarę swoją i zaśpiewał przy jej dźwięku jedną ze znanych ci miłosnych piosenek, ani chybi wyskoczyłaby z okna, aby ci się w objęcia rzucić.

— Tak ci się wydaje, towarzyszu? — spytał Calandrino — czy w samej rzeczy myślisz, że dobrze by było, gdybym moją gitarę sprowadził?

— Niewątpliwie! — odrzekł Bruno.

— No widzisz — dodał Calandrino — a nie chciałeś mi wierzyć, gdym ci mówił o sile jej miłości do mnie. Dalipan, przyjacielu, widzę, że nikt lepiej ode mnie białogłowy usidlić nie potrafi. Któż by krom mnie mógł w sercu takiej damy podobny afekt wzbudzić? Zaiste, ani jeden z tych gładyszów, którzy o swoim każdym tryumfie na cztery strony świata trąbią, po całych dniach za podwikami się uganiają, a jednak i przez tysiąc lat nie potrafią trzech garści smacznych orzeszków wyłuszczyć. Cóż dopiero, gdy mnie usłyszysz grającego na gitarze! Zadziwisz się prawdziwie! Przyznaj się, że uważałeś mnie za niemrawca, ona tymczasem poznała się od razu na mojej wartości. Nie jestem tak stary, jakby się wydawało. Gdy ją tylko raz do rąk dostanę, dam jej dowody, co potrafię. Na jądra świętych młodzianków, już ja ją tak zaczaruję, że będzie biegała za mną jak cielę za krową!

— Ach! — zawołał Bruno — dopiero sobie dogodzisz! Zdaje mi się, że już cię widzę kąsającego twymi spiczastymi zębami jej purpurowe jagody i wargi do świeżych róż podobne, co mówię, kąsającego!... pożerającego ją całą!

Calandrino słysząc te słowa sądził, że już jest u celu, i szedł, śmiejąc się i podskakując tak raźnie, jakby mu we własnej skórze za ciasno było.

Nazajutrz przyniósł z sobą gitarę i odśpiewał przy jej wtórze wiele pieśni, ku wielkiej uciesze całego towarzystwa.

Słowem, takim żarem zapłonął, mając sposobność widywania często Niccolosy, że jednej kreski już nie namalował, jeno po tysiąc razy dziennie od drzwi do okien lub na dziedziniec wychodził, aby tylko dziewczynę obaczyć, ku czemu ta, działając wedle wskazówek Bruna, sposobności mu nie skąpiła. Bruno ze swej strony przynosił jej od Calandrina gorące wyznania miłości, a później odnosił mu niekiedy odpowiedzi, rzekomo od niej pochodzące. Gdy wyjeżdżała, co dość często się zdarzało, Bruno wręczał Calandrinowi listy, w których jak najpiękniejsze czyniła mu nadzieje, przydając, że obecnie bawi w domu rodziców i że tam widywać się z nią nie można.

Bruno i Buffalmacco bawili się w ten sposób głupotą Calandrina i nie poprzestając na tym, od czasu do czasu wyłudzali od niego na rzekomy podarunek dla kochanki to grzebień ze słoniowej kości, to sakiewkę, a to znów nożyk lub inne drobiazgi, przynosząc mu w zamian pierścionki bez żadnej wartości, którymi jednak Calandrino nad wyraz się cieszył. Przez wdzięczność podejmował też przyjaciół smacznymi ucztami i rozmaite niespodzianki im gotował, aby ich zachęcić tylko do tym gorętszego popierania jego sprawy.

Przez dwa miesiące durzyli go w ten sposób, nie posuwając sprawy naprzód, aż wreszcie Calandrino, widząc, że robota się kończy i obawiając się, że jeśli celu swej miłości w czasie pobytu w tym miejscu nie osiągnie, gdzie indziej z pewnością mu się to nie uda, począł Bruna do muru przypierać.

Tymczasem Niccolosa przybyła znów do Cameraty. Bruno umówił się naprzód z nią i z Filipem, a potem rzekł do Calandrina:

— Słuchaj, przyjacielu! Dziewczyna ta nie raz, ale tysiąc razy już obiecała mi spełnić wszystko, czego pragniesz; mimo tych przyrzeczeń nic jednakoż nie uczyniła, i dlatego zdaje mi się, że cię zwodzi. Przyszło mi tedy na myśl, że za twoją zgodą winniśmy ją zmusić do dotrzymania obietnicy wolą lub niewolą.

— Tak, tak, na żywy Bóg! — zawołał Calandrino — tylko nie zwlekajmy ani chwili!

— Czy sądzisz — rzekł na to Bruno — że zdobędziesz się na dotknięcie jej talizmanem, który ci wręczę?

— Dlaczegóżby nie? — odparł Calandrino.

— Postaraj się tedy o kawałek nietkniętego pergaminu, o żywego nietoperza, trzy ziarna mirry i poświęcaną gromnicę, a resztę mnie już pozostaw.

Calandrino przez cały następny wieczór stał przed domem z różnymi siatkami, czatując na nietoperza. Gdy wreszcie pochwycić mu się go udało, przyniósł go wraz z innymi żądanymi przedmiotami Brunowi. Malarz zamknął się w swojej komnacie, wypisał na pergaminie rozmaite androny, nakreślił kilka liter, po czym wręczył pergamin Calandrinowi z tymi słowy:

— Wiedz, że skoro ją tylko dotkniesz tym pismem, pójdzie natychmiast za tobą i uczyni wszystko, czego tylko zechcesz. Gdy tedy Filippo dzisiaj się oddali, zbliż się do niej pod jakimkolwiek pozorem, dotknij ją tym talizmanem i ruszaj prosto tu obok do stodoły, w której będziecie się czuli bezpiecznie, nikt bowiem do niej nie zagląda. Przekonasz się, że pójdzie za tobą! Gdy się już znajdziecie razem, sam będziesz wiedział dobrze, co ci czynić wypada.

Calandrino, usłyszawszy te słowa, uczuł się najszczęśliwszym w świecie człowiekiem, schwycił pergamin i zawołał:

— Dziękuję ci serdecznie, przyjacielu! Reszta już do mnie należy!

Nello, przed którym Calandrino chciał wszystko ukryć, wiedząc doskonale o całej tej sprawie, bawił się na równi z innymi i pomagał im wedle możności. Obecnie zatem na polecenie Bruna pośpieszył tajnie do Florencji, do żony Calandrina i rzekł do niej:

— Nie zapomniałaś jeszcze zapewne, Tesso, jak cię sponiewierał Calandrino w owym dniu, gdy powrócił z kamieniami z doliny Mugnone. Owóż chcę ci dzisiaj dać sposobność do zemsty. Albo z niej skorzystasz, albo też przestaniesz uważać mnie za swego krewniaka i przyjaciela. Wiedz tedy, że Calandrino w tej wiosce, gdzie pracujemy, zakochał się w pewnej błaźnicy, która jest na tyle głupia, że często się z nim w tajności schodzi. Właśnie niedawno umówili się na nowe spotkanie. Musisz tedy wybrać się ze mną razem do Cameraty i schwytawszy Calandrina na gorącym uczynku, przykładnie go ukarać.

Żona Calandrina, słysząc to, w srogi gniew popadła i zrywając się z miejsca, zawołała:

— Biada mi! A to hultaj! Takie to twoje sprawki, niecnoto! Aliści poczekaj, łotrze, nie ujdzie ci to na sucho! Policzymy się od razu za wszystko!

To rzekłszy, zarzuciła na się zwierzchnie szaty, przybrała sobie do towarzystwa jedną z sąsiadek i pobiegła za Nellem.

Bruno, ujrzawszy ją z daleka nadchodzącą, rzekł do Filippa:

— Patrzaj, oto nasza pomocnica!

Filippo, ani chwili nie zwlekając, pośpieszył na miejsce, gdzie Calandrino pospołu z innymi pracował, i rzekł do nich:

— Pracujcie pilnie, mistrzowie mili! Ja muszę teraz pośpieszyć do Florencji.

Po czym, pożegnawszy się z nimi, ukrył się w takim miejscu, skąd, sam niewidziany, mógł przypatrywać się do woli, co Calandrino czynić będzie.

Calandrino mniemając, że Filippo już się oddalił, wyszedł na dziedziniec, gdzie spotkawszy Niccolosę wdał się z nią w rozmowę. Chytra dziewczyna, wiedząc dobrze, co ma czynić, zbliżyła się do niego z większą niż zwykle uprzejmością. Korzystając z tego, Calandrino dotknął ją talizmanem i natychmiast, nie mówiąc ni słowa, ruszył w stronę stodoły. Niccolosa poszła za nim. Gdy oboje wewnątrz się znaleźli, dziewczyna zamknęła drzwi, rzuciła się Calandrinowi na szyję, przewróciła go na słomę, rozesłaną na ziemi, i usiadłszy na nim wierzchem, przytrzymała mu ręce, tak aby się do niej

zbliżyć nie mógł. Po czym jęła się weń wpatrywać, jakby najgorętszą żądzą trawiona, wreszcie zawołała:

— O mój najsłodszy Calandrino, o serce mojego serca, duszo moja, jedyne szczęście moje i kresie mych pragnień, jakże długo pragnęłam cię posiadać i tak jak teraz z całą swobodą trzymać cię w objęciach. Uprzejmość twoja w zachwyt mnie wprowadziła, a dźwięki twojej lutni odurzyły moje serce. Prawdaż to, że cię mam nareszcie?

Calandrino, nie mogąc się poruszyć, odparł:

— Prawda, moja duszo najsłodsza, ale daj mi się pocałować.

— Tak ci się śpieszy? — spytała z tkliwym uśmiechem Niccolosa — pozwól mi się pierwej na siebie napatrzyć, pozwól, niech oczy widokiem twego drogiego oblicza nasycę.

Tymczasem Bruno i Buffalmacco znaleźli się obok Filippa w kryjówce, skąd wszystko widzieć i słyszeć mogli.

Gdy wreszcie Calandrino miał już Niccolosę pocałować, zjawili się na dziedzińcu pani Tessa i Nello. Ów, spojrzawszy ku stodole, rzekł:

— Przysiągłbym na Boga, że znajdziemy ich teraz razem.

I podążył ku stodole, a gdy u drzwi stanęli, pani Tessa, nie panując już nad sobą dłużej, pchnęła je tak mocno, że z zawias wypadły, po czym wpadła do środka i ujrzała Calandrina z piękną amazonką na sobie. Niccolosa, spostrzegłszy panią Tessę, zerwała się i ile tchu w piersiach do kryjówki Filippa umknęła. Aliści Calandrinowi nie udało się tak gładko wywinąć, nim bowiem się poruszyć zdążył, już jego żona była przy nim. Rzuciwszy się nań, najpierw mu pazurami twarz rozorała, a potem schwyciła go za włosy i czochrać go potężnie zaczęła, krzycząc:

— Ty stary, niedołężny psie! także to sobie teraz ze mną poczynasz? Niech będzie przeklęta miłość, którą dla ciebie, łotrze, żywiłam. Zali nie dosyć masz do czynienia w domu, że się gdzie indziej za miłostkami uganiasz? A to mi miłośnik na schwał! Czy nie znasz siebie, nędzniku? Nie znasz siebie, niedołęgo? Przecie gdyby cię ktoś wziął pod prasę, ani kropelki soku z całego ciebie by nie wycisnął. Na Boga! Na ten raz nie przeze mnie zajdziesz w ciążę, ale przez tę hultajkę, którą niechaj Bóg ciężko pokarze! Musi to być niezłe ladaco, skoro takiego klejnotu jak ty zapragnęła.

Calandrino, ujrzawszy swoją żonę, nie wiedział, czy żyw jest, czyli też umarły, i dlatego też najmniejszego oporu nie stawiał. Podrapany, z rozczochranymi włosami, wstał wreszcie, okrył się płaszczem i jął prosić pokornie żonę, aby nie krzyczała tak

głośno, jeżeli nie chce go widzieć w tej chwili posiekanego na ćwierci, białogłowa bowiem, która przed nią uciekła, była żoną samego pana tych włości.

— A mnie co tam do tego! — zawołała pani Tessa. — Niechże ją wraz z tobą jasny piorun strzeli!

Bruno i Buffalmacco, którzy w ukryciu swoim pospołu z Filippem i Niccolosą setnie z tego wszystkiego się naśmieli, zjawili się wreszcie, jak gdyby hałasem zwabieni. Uspokoiwszy panią Tessę, poradzili Calandrinowi, aby się co prędzej do Florencji wybierał i w tym miejscu więcej się nie pokazywał, bowiem Filippo, dowiedziawszy się o całym zajściu, diablą kurtę skroić mu może. Powrócił tedy biedny, niepocieszony i srodze na gębie podrapany Calandrino do Florencji i nigdy już w tych miejscach pokazywać się nie ważył. Nie na tym jednak jego utrapienia się skończyły. Mimo iż wyrzekł się swych gorących afektów dla Niccolosy, które tak ubawiły tę dziewczynę, Filippa i malarzy, jego towarzyszy, przez długi czas ni w dzień, ni w nocy nie miał spokoju od gniewnej żony, która go nieustannymi wyrzutami prześladowała".

Opowieść szósta. Nocne pomyłki

Dwaj młodzieńcy nocują w izbie wieśniaka. Jeden z nich wchodzi do łoża córki gospodarza, którego żona przypadkiem kładzie się przy boku drugiego młodzieńca. Ów, który spał z dziewczęciem, wędruje potem do łoża wieśniaka i opowiada o rozkosznej nocy, myśląc, że z towarzyszem rozmawia. Żona gospodarza, poznawszy swój błąd, kładzie się obok córki i wszystkich sprytnymi słowami uspokaja.

Calandrino, tylekroć już towarzystwo zabawiwszy, i na ten raz niepomału je rozweselił. Gdy wreszcie jego przygodę rozważać przestano, królowa wezwała do opowiadania Panfila, który w te słowa zaczął:

— Imię Niccolosy, kochanki Calandrina, przywiodło mi na pamięć zdarzenie z inną Niccolosą, o którym wam obecnie opowiedzieć pragnę. Poznacie z niego, jakie to czasem burze przytomność umysłu zażegnać może.

„Przed niedawnym czasem mieszkał w dolinie Mugnone pewien poczciwy człek, który podróżnym za pieniądze jadła i napoju, a takoż i noclegu udzielał. Tę ostatnią przysługę wyrządzał jednakoż tylko dobrym znajomym, chałupę bowiem miał bardzo małą i żył w ubóstwie. Żona jego, bardzo urodziwa białogłowa, obdarzyła go dwojgiem dzieci. Córka, ładne i powabne dziewczę, liczyła około szesnastu lat, syn był jednorocznym zaledwie chłopczykiem, którego matka sama karmiła. Dziewczę wpadło

w oko pewnemu urodziwemu młodzieńcowi, który ze znacznych ludzi w naszym mieście ród swój prowadził. Przebywając często w dolinie Mugnone, gorącym afektem do dziewczęcia zapałał.

Dziewczyna, wielce dumna z pozyskania takiego kochanka, starała się miłymi spojrzeniami uczucia jego podtrzymać i żywą wzajemnością mu odpłacała. Miłość ta już dawno lubym skutkiem zostałaby uwieńczona, gdyby nie to, że Pinuccio (tak się zwał ów młodzian) nie chciał sromotą okryć dziewczyny i siebie. Jednakowoż namiętność, która z dnia na dzień silniejszą się stawała, zwyciężyła wreszcie wszystkie jego skrupuły. Pinuccio postanowił zejść się tajnie z ukochaną i dlatego też jął się głowić nad tym, jaki by tu powód noclegu w chacie wieśniaka wynaleźć. Znając dobrze izbę, w której cała rodzina mieszkała, nie wątpił, że znalazłszy się pod dachem dziewczęcia, łatwie i bez zwrócenia niczyjej uwagi cel swoich pragnień osiągnie. Po tym postanowieniu bez zwłoki do dzieła przystąpił. Pewnego wieczora zaprzągłszy dwa konie, w towarzystwie jednego z przyjaciół swoich, imieniem Adriano, któremu ze wszystkiego się zwierzył, załadowawszy na wóz dwa kufry, może tylko słomą wypełnione, wyjechał z Florencji i okrążył całą dolinę Mugnone, tak miarkując, aby późno nocą do niej dotrzeć. Gdy tedy zmrok całkiem zapadł, dwaj przyjaciele udając, że od strony Romanii przybywają, podjechali pod dom zacnego wieśniaka i zapukali do drzwi, które im natychmiast, jako dobrym znajomym, sam gospodarz otworzył.

— Gospodarzu — rzekł Pinuccio pozdrowiwszy go dwornie — czyńcie, co chcecie, jednakowoż będziecie musieli na tę noc do siebie nas przyjąć. Chcieliśmy zdążyć na czas do Florencji, ale oto noc nas w podróży zaskoczyła.

— Pinuccio — odparł gospodarz — sam wiesz dobrze, że nie jest w mojej mocy takich panów jak wy godnie przyjąć, ponieważ jednak już do Florencji nie zdążycie, a innego schronu w okolicy nie znajdziecie, dam wam tedy dzisiaj nocleg, o ile można, jak najlepszy.

Po tych słowach młodzieńcy wysiedli, zaprowadzili konie pod szopę, a potem, wszedłszy do małej gospody, wyjęli przywiezione z sobą zapasy i powieczerzali w towarzystwie gospodarza.

Z noclegiem był kłopot prawdziwy. Całe mieszkanie składało się z jednej izby, w której cudem tylko trzy łoża pomieszczono. Dwa z nich stały przy jednej ścianie, trzecie zasię naprzeciw. Wolnego miejsca pozostawało ledwie tyle, że jako tako przejść można było. Najlepsze łoże kazał gospodarz posłać dla swych gości. Ci, pogawędziwszy jeszcze chwilę, udali się na spoczynek.

Gdy obydwaj już zasnęli, a raczej udawali, że śpią, gospodarz kazał się córce położyć do jednego z dwóch pozostałych łóżek, a sam z żoną zajął trzecie. Żona jego postawiła obok swego łoża kołyskę, w której leżał mały ich synek. Pinuccio, dobrze sobie to wszystko zakonotowawszy, po niejakim czasie, gdy mu się zdało, że już wszyscy posnęli, wstał po cichu, przysunął się do łóżeczka, na którym jego ukochane dziewczę spoczywało, pozdrowił ją i przyjęty równie lękliwie, jak i radośnie, położył się obok niej, aby oddać się uniesieniom rozkoszy, tak pożądanej dla nich obojga.

W tym czasie przypadkiem kocisko domowe przewróciło coś w sieni. Na łoskot stąd powstały zbudziła się gospodyni i niespokojna, co to być może, podniosła się z łoża po ciemku i tak, jak stała, skierowała się ku stronie, skąd rumor pochodził. Jeszcze wrócić nie zdążyła, gdy Adriano, o niczym nie wiedząc, zbudził się także i wstał dla zaspokojenia przyrodzonej potrzeby. Idąc przed siebie po omacku, natknął się na kołyskę, stojącą obok łóżka gospodarzy i nie mogąc znaleźć przejścia, odsunął ją i postawił obok swojego posłania. Za chwilę powrócił i zapomniawszy o przesunięciu kołyski na dawne miejsce, położył się z powrotem do swego łoża. Ledwie to uczynił, gdy gospodyni, przekonawszy się w sieni, że żadna szkoda się nie stała, nie zapalała nawet światła, lecz krzyknąwszy na kota, weszła z powrotem do izby, kierując się po omacku ku małżeńskiemu łożu. Nie znalazłszy jednak przed nim kołyski, rzekła sama do siebie z wielką trwogą:

— O ja nieszczęśliwa! Pięknie byłabym się spisała! Jako żywo weszłabym była do łoża naszych gości!

Postąpiła kilka kroków dalej, gdzie namacawszy kołyskę stojącą obok łoża Adriana, położyła się przy nim w przekonaniu, że to jej mąż. Adriano, który nie spał jeszcze, zmiarkował w jednej chwili rzecz całą, i nie mówiąc ni słowa, pochwycił ten dar bogów w objęcia i ku niewysłowionej uciesze żwawej białogłowy nie na żarty zabrał się do niej.

Tymczasem, gdy tak dobrze czas przepędzali, Pinuccio, bojąc się, aby go sen w łożnicy kochanki nie zaskoczył, i używszy zresztą, ile dusza zapragnęła, pożegnał ją i wstał, aby do łoża swego powrócić. Aliści stanąwszy przed nim, namacał zaraz kołyskę. Sądząc, że to łóżko gospodarzy, postąpił kilka kroków dalej i położył się obok gospodarza. Ów za dotknięciem jego obudził się. Pinuccio mniemając, że obok niego Adriano spoczywa, rzekł z uniesieniem:

— O Adriano, powiadam ci, że nie ma na świecie białogłowy rozkoszniejszej od Niccolosy. Klnę się na ciało Chrystusowe, że żadna kobieta nie upoiła mnie tak, jak ona, dlatego też w czasie mojej bytności w jej łożu co najmniej sześć razy do portu dobiłem.

Gospodarz, usłyszawszy te słowa, niezbyt się z nich ucieszył. W pierwszej chwili pomyślał: »A ten co tu przy mnie robi, u diabła«, a potem, bardziej gniewem niż roztropnością powodowany, zawołał:

— To, coś uczynił, Pinuccio, jest rzeczą wielce niegodziwą! Nigdy bym się nie spodziewał, że do podobnego plugastwa zdolny będziesz. Na krew Chrystusa, drogo mi za to zapłacisz!

Pinuccio, młodzieniec nieco lekkomyślny, spostrzegłszy swój błąd, a nie wiedząc, jak się wywikłać, odparł w pomieszaniu:

— Za cóż mam ci zapłacić? Co ty mi zrobić możesz?

Gospodyni, słysząc tę sprzeczkę i będąc pewna, że obok męża w łożu spoczywa, szepnęła:

— O dla Boga! Słyszysz, jak nasi goście o coś się ze sobą kłócą?

— A niech im tam kat świeci! — odrzekł tym samym tonem Adriano. — Musieli wczoraj zbyt wiele wypić.

Ledwie jednak te słowa wyrzekł, gospodyni poznała po głosie, że to nie jej mąż. Nie krzyknęła jednak ani nie zawahała się, ale jak na roztropną białogłowę przystało, podniosła się co prędzej, pochwyciła kołyskę swego synka i szczęśliwym trafem wiedziona, przysunęła ją w pomroku do łóżka swojej córki, obok której się położyła. Po czym dopiero, jakby przebudzona hałasem, jaki mąż jej uczynił, spytała, z kim się tak i o co kłóci?

— Zali nie słyszałaś — odrzekł mąż — jak się Pinuccio chwalił, że tę noc z Niccolosą przepędził?

— Co? — zawołała żona — łże jak pies! Wcale nie był u Niccolosy. Wczoraj wieczorem jeszcze, położyłam się przy niej i od tej pory oka nie zmrużyłam. Kłamie tedy albo oszalał, jeszcze raz powtarzam. A ty głupcem jesteś, jeśli mu uwierzyłeś. Aliści czemu się tu dziwować? Wy, mężczyźni, opijecie się tak zawsze na noc, że potem śnią się wam różne androny; tłuczecie się przy tym po komnacie jak Marek po piekle i Bóg wie, co wyprawiacie! Szkoda tylko, że przy tej sposobności nie złamiecie sobie karku. Aliści co robi Pinuccio przy tobie? Dlaczego nie leży w swoim łożu?

Adriano usłyszawszy, jak mądrze gospodyni sromotę swoją i swojej córki pokryła, postanowił do rozmowy się wmieszać:

— Przestrzegałem cię już sto razy, Pinuccio, abyś przez sen nie chodził. Ta haniebna wada błąkania się po nocy i opowiadania baśni, które ci się przyśniły, jako rzeczy

prawdziwych, jeszcze cię kiedy o nieszczęście przyprawi. Chodź tu, do stu szatanów, i pozwól spać tym zacnym ludziom.

Gospodarz, usłyszawszy słowa żony swojej i Adriana, uwierzył święcie, że Pinuccio przez sen bredzi, chwycił go tedy za ramiona, potrząsnął nim i krzyknął silnym głosem:

— Obudź się, Pinuccio, i wracaj do swego łoża!

Pinuccio, który przez tę krótką chwilę oprzytomnieć i wszystko zrozumieć zdołał, począł naprzód bredzić coś bez związku, tak że gospodarz serdecznie śmiać się począł, a potem udając, że się budzi, mruknął coś niewyraźnie i wreszcie rzekł rozespanym głosem:

— Daj mi spokój, Adriano! Cóż to, zaliż już dzień, że mnie budzisz?

— Tak — odparł Adriano. — Chodź tutaj!

Pinuccio, dalej swoją sztukę prowadząc, wstał wreszcie zaspany i niby pół-nieprzytomny powrócił do Adriana.

Gdy rozedniało i wszyscy z łóżek powstawali, gospodarz zaczął drwić dobrodusznie z Pinuccia i jego snów.

Wszyscy mu w tych żartach sekundowali, nawet i sam Pinuccio. Następnie po krótkiej pogawędce młodzieńcy zaprzęgli konie swoje, zabrali tłumoki, przepili do gospodarza i pożegnawszy się z nim, odjechali wielce ukontentowani z tak szczęśliwego obrotu rzeczy.

W biegu czasu Pinuccio wynalazł inne sposoby częstego widywania się z Niccolosą, która zaręczała matce przy każdym wspomnieniu o owej nocnej przygodzie, że Pinucciowi śniło się to wszystko niewątpliwie. A gospodyni, dobrze pamiętna uścisków Adriana, myślała sobie w duszy, że tylko ona jedna tej nocy przeżyła coś na jawie".

Opowieść siódma. Sen Talana

Talano d'Imolese widzi we śnie wilka, który rozszarpuje żonę jego. Talano radzi żonie, aby się z domu nie wydalała, aliści białogłowa nie słuchała tej rady. Nazajutrz sen się sprawdza.

Gdy Panfilo opowiadanie swoje zakończył i gdy wszyscy żonie oberżysty za przytomność jej umysłu gorące pochwały oddali, królowa Pampinei opowiadać kazała. Wdzięczna młódka w te słowa zaczęła:

— Drogie przyjaciółki! Już zastanawialiśmy się nad prawdziwością snów, z których tak wielu się wyśmiewa. Do przytoczonych przez nas dowodów chcę przydać jeszcze

jeden i dlatego pokrótce opowiem wam, co się niedawno przydarzyło pewnej z moich sąsiadek, która snowi swego męża wiary dać nie chciała. Nie wiem, czyście znały niejakiego Talana d'Imolese, wielce czcigodnego człeka. Pojął on za żonę młodą i niezwykle piękną dziewczynę, imieniem Margarita, która jednak przy całej krasie wdzięków swoich tak upartą, szorstką i przekorną była, iż ani sama nigdy niczego wedle woli innych uczynić nie chciała, ani nikt jej nie mógł nigdy w niczym dogodzić. Talano cierpiał srodze z powodu tych wad żony swojej, aliści nie mogąc jej przerobić, znosił, co musiał.

„Zdarzyło się, że pewnej nocy, gdy z nią razem w jednej z swoich posiadłości wiejskich przebywał, ujrzał we śnie żonę swoją przechadzającą się po pięknym gaju, znajdującym się w pobliżu ich domu. Wodząc za nią wzrokiem, ujrzał nagle wychodzącego z lasu ogromnego i straszliwego wilka, który rzucił się na żonę, chwycił ją za gardło, przewrócił na ziemię i usiłował ją porwać, mimo jej rozpaczliwego wołania o pomoc. Wreszcie białogłowa wydarła się z lutych pazurów, aliści ze srodze pokrwawioną twarzą i szyją. O świcie, gdy Margarita zbudziła się, Talano rzekł do niej:

— Żono, jakkolwiek przekora twoja wszystkie dni pożycia z tobą mi zatruwa, bolałoby mnie jednak, gdybyś jakiemuś nieszczęściu podległa. Posłuchaj tedy mojej rady i dzisiaj wcale z domu nie wychodź.

Gdy Margarita spytała go o przyczynę tej rady, opowiedział jej szczegółowie o śnie swoim. Żona, wysłuchawszy go, potrząsnęła głową i rzekła:

— Kto komu źle życzy, ten miewa niedobre sny! Udajesz wielką troskliwość o mnie, a śni ci się to, czego byś dla mnie pragnął. Aliści bądź spokojny! Będę się strzegła tak dzisiaj, jak i zawsze i postaram się, abyś z nieszczęścia mego cieszyć się nie mógł.

— Wiedziałem z góry — odparł na to Talano — że taką usłyszę od ciebie odpowiedź i że jak zwykle za dobro złem mi zapłacisz, jednakoż powtarzam ci raz jeszcze: nie wychodź dzisiaj z domu, a przynajmniej nie chodź do gaju!

— Dobrze, dobrze — odrzekła żona. — Możesz być pewien, że cię posłucham.

W duszy zaś rzekła do siebie: »Rozumiemy się dobrze, łotrzyku! Chciałeś mnie zręcznie nastraszyć i odwieść od dzisiejszej przechadzki po gaju. Pewna jestem, że masz tam w gąszczu leśnym jakąś hultajkę i że nie chcesz, abym się z nią spotkała. Przyjemnie by mu było żyć pośród ślepych, znam go dobrze! Głupia byłabym, gdybym mu uwierzyła. Pójdę i przekonam się, co on tam knuje, przekonam się, choćbym cały dzień czatować miała«.

Gdy tedy mąż wyszedł, bez zwłoki pobiegła do lasu, ukryła się w najciemniejszej gęstwinie i wytężyła wzrok, czekając, zali kto nie nadejdzie. Gdy tak tedy stała na czatach, nie myśląc o grożącym jej niebezpieczeństwie, nagle z gęstwiny pobliskiej wypadł olbrzymi, straszliwy wilk, który rzucił się na nią, uchwycił ją za gardło i usiłował porwać jak małe jagnię. Biedna białogłowa zdołała tylko krzyknąć »Boże, ratuj mnie!«. Drapieżne zwierzę tak silnie ją trzymało, że o obronie ani o wzywaniu pomocy żadnej mowy być nie mogło i niechybnie życie by postradała, gdyby nie nadejście kilku pasterzy, którzy wielki wrzask podniósłszy, wilka od niej odegnali.

Odniesiono ją do domu, gdzie dzięki usilnemu staraniu medyków zdrowie odzyskała. Powstałe po tym wypadku na szyi jej i twarzy blizny tak ją jednakoż oszpeciły, iż ta piękna ongiś białogłowa teraz odrażającą się stała. Od tej pory w samotności żyła, wstydząc się pokazać oczom ludzkim i opłakiwała nieraz gorzko przekorę swoją, która nie pozwoliła jej uwierzyć w proroczy sen męża, chociaż nie wymagało to od niej żadnej ofiary".

Opowieść ósma. Wino za ryby

Biondello drwi z Ciacca, prosząc go na wystawną rzekomo ucztę. Ciacco mści się na Biondellu, którego sromotnie obić każe.

Powszechnym zdaniem słuchaczów było, że sen Talana nie snem, lecz wizją nazwać by należało, tak bowiem ściśle i szczegółowie w rzeczywistości się sprawdził. Gdy skończyły się uwagi nad tą materią, królowa skinęła na Laurettę, która w te słowa zaczęła:

— Miłe przyjaciółki! Wszyscy niemal, którzy dzisiaj przede mną opowiadali, mówili pod wpływem już uprzednio zasłyszanych opowieści. Podobnie i ja, przypominając sobie opowieść Pampinei o okrutnej zemście uczonego, chcę wam opowiedzieć o tym, jak jeden człek drugiemu zapłacił. Chocia zemsta ta mniej sroga była, przecie temu, co się stał jej ofiarą, wielce ciężką się wydała.

„Wiedzcie tedy, że we Florencji żył pewien człek, straszliwy obżartuch, zwany przez wszystkich Ciacco. Był to człek wielce polerowanych obyczajów, miał cięty język i umiał gładko mówić; nie tylko pieczeniarz, ale kpiarz nade wszystko. Ponieważ majętność Ciacca nie wystarczała mu na zaspokojenie żądz podniebienia, bywał tedy u ludzi bogatych, którzy smacznie jeść lubili. Ciacco zjawiał się często na obiad lub na wieczerzę nawet bez zaproszenia.

We Florencji mieszkał też w tym czasie niejaki Biondello, człek o małej posturze, ale zgrabny i czyściutki jak muszka. Jego płowe, długie włosy tak starannie zawsze przyczesane były, że nawet jeden włosek nie odstawał. Czapeczka na czubku głowy siedziała. Biondello wiódł tryb życia podobny do Ciacca.

Pewnego roku, w czasie postu Biondello, znajdując się na rynku, gdzie ryby sprzedawano, i kupując właśnie dwie wielkie minogi dla pana Vieri de'Cerchi, spostrzeżony został przez Ciacca, który też natychmiast zbliżył się doń i spytał:

— A to dla kogo?

— Wczoraj wieczorem — odparł mu na to Biondello — nadesłano panu Corso Donati trzy jeszcze piękniejsze minogi i jednego jesiotra. Ponieważ jednak zdawało się mu, że ryb tych nie wystarczy dla kilku zacnych panów, których dzisiaj u siebie gościć pragnie, poprosił mnie tedy, abym mu jeszcze dwie minogi dokupił. Może i ty zjawisz się dzisiaj na tej uczcie?

— Wiesz sam dobrze, że nie omieszkam tego uczynić — odparł Ciacco.

W samej rzeczy, gdy tylko pora wieczerzy nadeszła, udał się Ciacco do domu pana Corsa i zastał go w towarzystwie kilku sąsiadów, z którymi jeszcze nie zasiadł do stołu. Ciacco, pozdrowiwszy go dwornie, rzekł:

— Panie, zapraszam się dziś na wieczerzę z wami i waszą kompanią.

— Bardzo mi miło — odparł pan Corso. — Trafiliście w samą porę. Siadajmy tedy!

Zajęli miejsca i wnet wieczerzę podano. Składała się ona z grochu, solonych tuńczyków, kilku smażonych ryb z Arno pośledniejszego gatunku, i na tym koniec. Ciacco poznał, że Biondello zadrwił zeń sobie i do żywego urażony, poprzysiągł, że mu hojnie za to zapłaci.

Przeszło kilka dni. Biondello wszystkim powszędy opowiadał, jak to Ciacca na hak przywieść mu się udało. Wreszcie spotkawszy Ciacca, pozdrowił go szyderczo i spytał z uśmiechem, jak mu smakowały minogi u pana Corso?

— Nim tydzień upłynie — odparł mu na to Ciacco — będziesz o tym lepiej wiedział ode mnie!

I odszedłszy od niego, bez zwłoki wyszukał pewnego łazika, kutego na cztery nogi hultaja, obiecał mu stosowną nagrodę, a potem dał mu do rąk pustą butlę od wina i zaprowadził do galerii Cavicciuli. Tam pokazał mu rycerza, niejakiego Filippa Argenti, człeka potężnej postury, a przy tym zapalczywego nad wyraz i pobudliwego wielce, i rzekł:

— Idź do tego rycerza z tą butlą w ręku i rzeknij doń w te słowa: »Panie, przysyła mnie do was Biondello z prośbą, abyście byli łaskawi tę butlę zarubinić nieco waszym wybornym winem czerwonym, którym pragnąłby siebie i kilku braci łykaczy uraczyć«. Powiedziawszy to, waruj się, aby cię nie pochwycił, mógłbyś bowiem źle wyjść na tym i mnie cały zamysł popsować.

— Czy trzeba jeszcze coś więcej powiedzieć? — spytał hultaj.

— Nie — odparł Ciacco — a skoro się z poselstwa wywiążesz, zmykaj i przychodź z tym gąsiorem do mnie po zapłatę.

Hultaj, otrzymawszy takie polecenie, zbliżył się do pana Filippa i z poselstwa swego się sprawił. Pan Filippo, który niewiele potrzebował, aby gniewem wybuchnąć, słysząc żądanie Biondella, którego znał, i przekonany będąc, że są to drwiny, spurpurowiał na obliczu i wrzasnął:

— Co mi tam szczekasz o rubinowaniu i braciach łykaczach! Bogdajbyś przepadł wraz z tym, kto cię tu przysłał.

Po czym rzucił się, chcąc pochwycić hultaja za ręce, aliści ten, mając się na ostrożności i uprzedzając ruch jego, wziął nogi za pas i przebiegłszy inną stroną, zatrzymał się dopiero obok Ciacca, który temu wszystkiemu z oddali się przyglądał.

Ciacco, wysłuchawszy słów hultaja, wielce ukontentowany, wypłacił mu umówioną sumę i puścił się na poszukiwanie Biondella. Spotkawszy go wreszcie, rzekł:

— Dawno już nie byłeś w galerii Cavicciuli?

— Dawno, aliści czemu pytasz mnie o to? — odrzekł Biondello.

— Bo chciałem ci powiedzieć — rzekł Ciacco — że pan Filippo szuka cię na wszystkie strony, nie wiem już, w jakiej sprawie.

— Dobrze — odparł na to Biondello — właśnie idę w tę stronę, będę więc mógł z nim pomówić.

I pożegnawszy się, podążył w tym kierunku. Ciacco, niezmiernie ciekaw, co się stanie, udał się w jego tropy.

Tymczasem pan Filippo, wściekły, że posłańca pochwycić nie zdołał, sapał i trząsł się z gniewu, a nie mogąc nic innego z słów hultaja wymiarkować krom tego, że Biondello chciał sobie z niego zadrwić, coraz srożej się na niego zacinał. W tej chwili właśnie Biondello podszedł do niego. Ujrzawszy go, rycerz rzucił się naprzód i na pierwsze przywitanie ugodził biednego Biondella potężnie pięścią w gębę.

— Gwałtu, panie! — zawołał Biondello — a to co ma znaczyć?

Zanim jednak zdążył przydać coś więcej, pan Filippo porwał go za włosy, rozdarł mu czapeczkę na głowie, rzucił kaptur na ziemię i nie przestając bić, wrzeszczał:

— Zaraz obaczysz, zdrajco, co to znaczy! Przysyłasz do mnie z prośbą o zarubinowanie wina i poczęstunek dla braci łykaczy? Myślisz, że ze mną jak z dzieckiem figle stroić można?

Tak przygadując, walił go żelaznym kułakiem po pysku i garściami włosy zmierzwione wyrywał. Potem, wytarzawszy go w kurzu, rozdarł na nim suknie. Wszystko to stało się tak sprawnie i prędko, że biedny Biondello nie był w stanie spytać, co zawinił, ani słowa prośby wypowiedzieć. Słyszał wprawdzie o rubinowaniu i braciach łykaczach, aliści nie rozumiał, co to znaczy.

Wreszcie zbiegła się ćma ludu. Przytomni wyrwali z trudem Biondella, zbitego na kwaśne jabłko, z rąk pana Filippa, wytłumaczyli mu, za co rycerz tak się z nim obszedł, i naganili go za to, że ośmielił się wysłać posłańca z podobną prośbą do pana Filippa, który przecie nigdy nie był człekiem do żartów, jak o tym mu wiedzieć należy. Biondello uniewinniał się, płacząc rzewnie i powtarzał po tysiąc razy, że nigdy mu na myśl nie przyszło z podobną prośbą kogoś do pana Filippa posyłać. Aliści co się stało, odstać się już nie mogło!

Przyszedłszy tedy nieco do siebie, Biondello jęcząc i stękając do domu się powlókł. Nie wątpił ani na chwilę, że to sprawka Ciacca. Wkrótce upewnił się o słuszności swego domysłu. Po wielu dniach, gdy mu już siniaki z oblicza zeszły, wyszedł z domu i zaraz prawie na progu spotkał Ciacca, który pozdrowiwszy go z szyderczym uśmiechem, rzekł:

— Cóż, Biondello, jakże ci smakowało wino pana Filippa?

— Bodajby ci minogi pana Corso równie dobrze były smakowały — odparł Biondello.

— Wiedz — dodał Ciacco — że jeśli zechcesz kiedyś znowu podobnie dobrą wieczerzą ugościć, to ja ze swej strony uczęstuję cię znowu tak przednim winem, jak to, którego pokosztowałeś.

Biondello przekonawszy się, że Ciaccowi więcej złego życzyć może aniżeli mu go wyrządzić, prosił Boga, by go w swej łasce zachował, i strzegł się odtąd drwić z przeciwnika o tak bystrym przyrodzeniu".

Opowieść dziewiąta. Rady Salomona

Dwaj młodzieńcy proszą Salomona o radę. Jeden — jak pozyskać miłość, drugi — jak ukarać żonę za jej przekorę. Pierwszemu radzi król jechać, drugiemu pójść na Gęsi Most.

Królowa postanowiła zachować w mocy przywilej Dionea i dlatego też na nią teraz kolej nadeszła. Gdy damy naśmiały się już do woli z przygody Biondella, królowa wesoło w te słowa zaczęła:

— Miłe damy! Jeśli zdrowym rozsądkiem rozważymy porządek wszechrzeczy, spostrzeżemy z łatwością, że natura, obyczaj i prawo poddają wszystkie białogłowy pod władzę mężczyzn i nakazują im wedle woli męskiej postępować. Każda białogłowa, pragnąca w małżeństwie stale znaleźć spokój, szczęście i wytchnienie, winna nie tylko cześć swoją ochraniać (cześć ta stanowi najwyższy drogocenny skarb białogłowski), ale i być uległą, cierpliwą i powolną wobec tego mężczyzny, do którego należy. Gdyby nawet prawo, ogólne dobro zawsze mające na celu, ani czcigodny obyczaj, przyjęty od wieków, o prawdzie powyższej nas nie przekonywały, to dostateczną miałybyśmy wskazówkę w naturze samej, która obdarzyła nas kruchymi i wiotkimi ciałami, bojaźliwymi i niepewnymi siebie duszami, głosowi naszemu dała miękkość powabną, członeczkom ruchy łagodne, a ciału sił niewiele. Zaliż z tego wszystkiego nie widać jasno, że ktoś nami kierować musi? Kto zasię pomocy i kierunku potrzebuje, temu rozsądek nakazuje, aby był posłuszny, uległy i powolny przewodnikowi swemu. A któż inny może nam udzielić opieki i w życiu prowadzić, jak nie mężczyzna? Obowiązkiem naszym jest tedy wysoko czcić i słuchać mężczyzn. Białogłowa, która tego przykazania przestrzegać nie chce, jest, według mnie, nie tylko nagany, ale i ciężkiej kary godną. Tę uwagę, którą zresztą nieraz już czyniono, obecnie nasunęła mi na pamięć opowiedziana przed chwilą przez Pampineę historia przekornej żony Talana i kary, jaką niebo na nią zesłało, wyręczając jej męża, co się z tym uporać nie umiał. Historia ta utwierdziła mnie jeszcze w przekonaniu już wypowiedzianym powyżej, że białogłowy, nie starając się być uprzejme, przychylne i uległe, jak tego słusznie natura, prawo i obyczaj wymaga, godne są bez wyjątku przykładnej i surowej kary.

Biorąc z tego wszystkiego pochop, chcę wam tedy opowiedzieć o radzie udzielonej pewnego razu przez Salomona, a zawierającej w sobie wyborny środek na białogłowy nierozumiejące swego powołania. Niechaj jednak żadna z tych, które poprawy nie potrzebują, nie bierze tej historii do siebie, chocia i mężczyźni zwykli są powtarzać

przysłowie: »Dobry, jak i zły koń potrzebuje ostrogi, zła, jak i dobra białogłowa kija«. Ludzie, którzy do tych słów żartobliwie się odnoszą, powiedzą ze śmiechem, że do każdej białogłowy sentencja ta się stosuje. Ale nawet jej sens moralny mając na oku, zaprzeczyć nie lza, że niepozbawiona jest słuszności. Wszystkie białogłowy z przyrodzenia swego są ułomne, i dlatego też trzeba korbacza na te, co z właściwych sobie obrębów zbytnio występują. Z drugiej strony potrzeba również kija dla odstraszenia i ukrzepienia cnoty tych, które jeszcze z drogi cnoty nie zboczyły.

Dajmy jednak pokój tym kazaniom i do samej powieści się zwróćmy.

„Powiem wam tedy, że w czasie, gdy cały świat napełniała sława osobliwej mądrości Salomona, której jak zaręczano, nikomu we wskazaniach swych nie skąpił, mnóstwo ludzi z rozmaitych stron świata napływać doń poczęło po radę w ciężkich życia terminach. Owóż tedy zdarzyło się, że między wielu pielgrzymami znalazł się także pewien młodzian, nazwiskiem Melissus, szlachetny i bogaty pan z Lajazzo, gdzie się urodził i gdzie zamieszkiwał. Młodzieniec ten, wyjechawszy z Antiochii, spotkał w drodze do Jeruzalem drugiego wędrowca, równego mu wiekiem, a imieniem Józef. Ponieważ w tę samą drogę zdążali, przyłączył się do niego i jak to wśród podróżnych jest w obyczaju, wdał się z nim w rozmowę. Wywiedziawszy się od Józefa o stanie jego i miejscu urodzenia, spytał go potem, dokąd i w jakim celu jedzie? Józef odparł mu, że dąży do Salomona, aby go prosić o radę, jak ma poczynać z żoną, najprzekorniejszą i najbardziej złośliwą na świecie kobietą, której błaganiem, pochlebstwem ani żadnym innym środkiem złości i uporu oduczyć nie może. Po czym nawzajem spytał Melissusa, dokąd on jedzie, na co Melissus taki respons dał:

— Pochodzę z Lajazzo, gdzie równie jak i ciebie gnębi mnie niedola. Bogactw mi nie brak; obracam je na okazałe życie i ugaszczanie ziomków moich. Mimo to jednak, aczkolwiek osobliwą i dziwną to jest rzeczą, nie mogę znaleźć wśród nich ani jednego, który by mnie miłował i sprzyjał mi prawdziwie. Dążę tedy do Salomona po radę, co mam czynić, aby mnie kochano.

Wędrowali tedy razem dwaj towarzysze i przybywszy wreszcie do Jeruzalem zostali przez jednego z dostojników wprowadzeni przed oblicze Salomona. Melissus w krótkich słowach wyjaśnił królowi, po co przybywa, a Salomon za całą odpowiedź odrzekł: »Kochaj«, i natychmiast odejść mu kazał. Z kolei przed Salomonem stanął Józef i powiedział, po co przybywa. Salomon odparł mu tylko: »Uważaj na Gęsi Most«, i kazał go wyprowadzić. Józef, ujrzawszy czekającego nań Melissusa, opowiedział mu, jaki respons otrzymał. Obydwaj zastanawiali się długo nad znaczeniem słów

usłyszanych, nie mogąc jednak jakiejkolwiek wskazówki dla siebie w nich się dopatrzyć, do tej myśli przyszli, że mędrzec chyba zadrwił z nich sobie, i w powrotną drogę ruszyli.

Po kilku dniach podróży przybyli nad małą rzeczkę, nad którą wznosił się piękny most. Ponieważ właśnie w tej chwili ciągnęła przezeń wielka karawana z objuczonymi mułami i pociągowymi końmi, musieli tedy zatrzymać się i czekać, aż przejdzie. Stojąc na brzegu ujrzeli, że jeden z mułów — jak to zresztą często u tych zwierząt się zdarza — nie chce ani kroku naprzód postąpić, aczkolwiek wszystkie pozostałe muły już znalazły się na moście. Mulnik spostrzegłszy to chwycił za bicz i począł lekko okładać uparte zwierzę. Wszystko to na nic się nie zdało! Muł skakał to w prawo, to w lewo, kręcił się w jedną i drugą stronę, cofał się nawet, jeno naprzód postąpić nie chciał. Wówczas mulnik wpadłszy w gniew porwał kij w obie ręce i zaczął bez litości zwierzę okładać, nie bacząc nawet, gdzie bok i gdzie grzbiet. Muł nadal stał na miejscu jak wryty.

Melissus i Józef, przyglądający się temu wszystkiemu, krzyknęli na mulnika:

— Okrutny człecze, co czynisz? Chceszże zatłuc na śmierć to zwierzę? Dlaczego nie starasz się go łagodnie przeprowadzić? Tym sposobem ani chybi łatwiej coś wskórasz, niźli katując go tak niemiłosiernie!

Mulnik na te słowa obrócił się i rzekł:

— Wy, panowie, znacie przyrodzenie waszych koni, ja zasię mojego muła, pozwólcie mi tedy radzić z nim sobie, jak umiem.

To rzekłszy, sypnął znów gradem ciosów na grzbiet zwierzęcia i bił je tak długo i zapamiętale, że na swoim postawił: muł wreszcie ruszył naprzód za resztą karawany.

Dwaj podróżni mieli już zamiar odjechać, gdy Józefowi przyszło nagle na myśl zapytać starca siedzącego u skraju mostu, jak się ten most zowie?

— Nazywa się Gęsi Most, panie — odparł starzec.

Usłyszawszy tę nazwę, Józef przypomniał sobie radę Salomona i rzekł do Melissusa:

— Wiesz, przyjacielu, rada Salomona nie była tak niedorzeczna, jak nam się zdawało, teraz bowiem pojmuję dopiero, że całym moim błędem w postępowaniu z żoną było to, że nie umiałem jej obić, jak należało. Aliści, dzięki Bogu, mulnik rozumu mnie nauczył.

Po kilku dniach dojechali do Antiochii. Józef, stanąwszy w swoim domu, poprosił Melissusa, aby kilka dni u niego odpoczął. Żona Józefa przyjęła męża i gościa niezbyt czule. Józef polecił jej przyrządzić wieczerzę według smaku Melissusa. Ten, spełniając życzenie gospodarza, w kilku słowach wyraził, na co miałby ochotę. Jak się można było spodziewać, niewiasta nie odstąpiła od swego zwyczaju: wieczerza składała się z

całkiem innych potraw niż te, których gość sobie życzył. Józef, spostrzegłszy to, spytał się z gniewem:

— Zali nie słyszałaś, co miało być na wieczerzę?

Żona spojrzała nań hardo i odparła:

— Co znaczą te grymasy? Jedz, co jest, jeśli masz apetyt, a jeśli go nie masz, nie jedz. Co się przyrządzenia wieczerzy tyczy, zrobiłam ją, jak mi się podobało, a nie wedle twojej woli. Jeśliś rad z tego, to dobrze, a jeśli nie, niewiele dbam o to!

Melissus zadziwił się ogromnie tej odpowiedzi gospodyni domu i żywo ganić białogłowę począł. Józef zaś rzekł do niej:

— Jak widzę, nie zmieniłaś się ani na włosek, aliści wierzaj mi, że cię wnet całkiem przerobię.

Po czym, zwracając się do Melissusa, przydał:

— Owóż i nadeszła pora, aby przekonać się o skuteczności Salomonowej rady. Proszę cię tylko, abyś zbyt do serca nie brał tego, co obaczysz, i za żart poczytał to, co czynię. A gdybyś chciał przeszkodzić mi, wspomnij na odpowiedź mulnika, gdyśmy się nad jego bydlęciem litowali.

— Jestem w twoim domu — odparł na to Melissus — słuszna rzecz zatem, abym się do twojej woli stosował.

Usłyszawszy ten respons, Józef ujął krągły kij z młodej dębiny, po czym wszedł do komnaty, do której żona jego, powstawszy w rozdrażnieniu od stołu, się udała — schwycił ją za włosy, rzucił na ziemię i jął bić ile wlazło. Z początku wrzeszczała jak opętana, potem przeszła do gróźb, aliści widząc, że na to wszystko Józef głuchy pozostaje, poczęła go na miłosierdzie boże zaklinać, aby jej nie zabijał, i przysięgać, że już do końca swego życia nic wbrew jego woli nie uczyni.

Aliści Józef i wtedy jeszcze nie przestał, jeno bił zapamiętale po plecach i po udach, gdzie trafił, jakby chciał jej żebra policzyć, bił, póki z sił nie opadł, tak iż po tych zabiegach biedna białogłowa jednej zdrowej kosteczki w całym ciele nie czuła. Gdy zaś skończył nareszcie, powrócił do Melissusa i rzekł:

— Jutro się przekonamy, czy Salomonowe słowa: »Uważaj na Gęsi Most«, skuteczne się okażą.

Po czym odetchnął nieco, umył ręce i zasiadł do wieczerzy z Melissusem. Po spożyciu jej, gdy nadeszła pora, na spoczynek się udali.

Tymczasem złośliwa małżonka Józefa podniosła się z trudem i rzuciła na łoże, z którego po krótkim i przerywanym bólem śnie zerwała się o świcie, aby posłać do Józefa

z zapytaniem, co sobie na śniadanie życzy. Józef naśmiał się co niemiara wspólnie z Melissusem z tak niezwykłej uprzejmości, po czym wydał stosowne rozporządzenie i wyszedł z przyjacielem na przechadzkę. Po powrocie do domu zastali śniadanie podane na czas i zgodnie z rozkazem. Za czym poczęli wysławiać gorąco radę Salomona, którą z początku tak letko sobie brali.

Po kilku dniach Melissus rozstał się z Józefem. Przybywszy do rodzinnego miasta, powtórzył o udzielonej mu radzie pewnemu mądremu człowiekowi, którego wielką ufnością obdarzył. Ów, wysłuchawszy słów Melissusa, rzekł:

— Nie mogło być prawdziwszej i lepszej rady! Wiesz przecie sam dobrze, że nikogo nie kochasz i że przysługi, które znajomym i przyjaciołom wyświadczasz, źródło swoje mają nie w przywiązaniu twoim do nich, lecz w twojej jeno próżności. Kochaj tedy, tak jak Salomon ci poradził, a będziesz kochany.

Tak oto przekorna żona pozbyła się wad, a młodzieniec zdobył miłość miłością".

Opowieść dziesiąta. Gdyby nie ogon

Gianni, ulegając prośbom kuma Pietro, czyni czary, by przemienić jego żonę w konia. Gdy zaczyna się mowa o przyprawieniu ogona, Pietro oznajmia, że nie chce, aby klacz miała ogon i tym odezwaniem się niszczy całe rozpoczęte dzieło.

Opowieść królowej wzbudziła lekki szmer nieukontentowania między damami, a wesoły śmiech w gronie młodzieńców. Gdy wszyscy wreszcie się uciszyli, Dioneo zaczął w te słowa:

— Urocze damy! Czarny kruk, znalazłszy się między wieloma białymi gołębicami, mniej ujmy ich piękności przynosi niż śnieżny łabędź, takoż gdy wśród ludzi rozsądnych znajdzie się człek mniej na rozsądku uposażony, nie tylko powagi ich rozumu zaćmić nie może, ale owszem, blask jego podnosi i wszystkim tym ludziom krotochwilę wesołą zgotować może. Wszyscy przytomni tutaj są ludźmi roztropnymi i statecznymi, ja zasię mam w sobie nieco z natury wesołka. Ponieważ wadami mymi przyrodzonymi doskonałość waszą tym lepiej na jaśnię podaję, przeto muszę wam być o wiele milszym, niźli gdybym przymioty wasze moimi zaćmiewał. Jeśli zasię tak się rzeczy mają, waszą powinno być rzeczą zostawić mi jak najwięcej swobody, bym prawdziwą moją naturę mógł wam swobodnie objawić. Nadto musicie cierpliwie wysłuchać tego, co wam opowiedzieć zamierzam, pamiętając, że nie z rozsądnym człekiem tutaj do czynienia macie. Posłuchajcie tedy wesołej, a niezbyt długiej

krotochwili, z której nauczyć się będziecie mogli, jak ściśle wypełniać trzeba nakazy tych, którzy siłą czarów czegoś dokonać mogą, i jak najmniejszy błąd, tutaj popełniony, niweczy wszelkie wysiłki czarodzieja.

„Przed niewielu laty żył w Barletta pewien ksiądz, imieniem Don Gianni di Barolo, który, mając nader ubogą parafię, dla zdobycia potrzebnych do życia środków zajmował się rozwożeniem towarów na wozie zaprzężonym w jedną klacz, jaką posiadał, oraz kupnem i sprzedażą różnych przedmiotów na jarmarkach i targach w całej Apulii. W czasie tych wędrówek zaprzyjaźnił się ściśle z pewnym człekiem, nazwiskiem Pietro da Tresanti, który znów podobnie utrzymywał się przy pomocy jedynego swego osła. Ksiądz polubił bardzo tego Pietra, którego, wedle apulijskiego obyczaju, kumem Pietrem nazywał. Ilekroć go w Barletcie obaczył, zapraszał go natychmiast na plebanię do siebie, karmił go, nocleg mu u siebie dawał, słowem, tyle mu uprzejmości świadczył, ile mógł tylko.

Kum Pietro, chcąc nawzajem okazać wdzięczność za gościnę doznawaną w Barletcie, za przybyciem Don Gianniego do Tresanti, zapraszał go pod swój dach i przyjmował go serdecznie, aczkolwiek posiadał ubogi i mały domek, ledwie wystarczający na pomieszczenie dla niego, jego młodej, pięknej żony i osła.

Co się noclegu tyczy, to kum Pietro, mimo chęci, nie mógł gościowi zbytniej wygody zapewnić, posiadał bowiem tylko jedno małe łoże, na którym sypiał pospołu ze swą urodziwą żoną. Zazwyczaj więc Don Gianni, postawiwszy klacz swoją obok osła w stajni, musiał poprzestawać na posłaniu ze słomy, rozłożonym tuż obok kopyt konia. Żona Pietra, która wiedziała dobrze, z jaką gościnnością ksiądz męża jej w Barletcie przyjmuje, nieraz już, po przybyciu Don Gianniego do Tresanti, chciała pójść na nocleg do sąsiadki swojej, a księdzu miejsca obok męża ustąpić, aliści Don Gianni nigdy przystać na to nie chciał. Pewnego razu, chcąc ją tej uprzejmości na zawsze oduczyć, rzekł do niej z uśmiechem:

— Nie troszczcie się o mnie, kumo Gemmato! Lepiej ja noce przepędzam, niźli myślicie! Musicie wiedzieć, że ilekroć tylko zechcę, zamieniam klacz moją w nadobną dzieweczkę, przy której później się kładę. Potem, gdy zapragnę, przywracam jej znów pierwotną postać. Dla tej racji nigdy z klaczą rozstawać się nie lubię.

Młoda białogłowa wielce się zadziwiła, usłyszawszy te słowa, uwierzyła w nie święcie i powtórzyła wszystko mężowi, przydając od siebie:

— Jeśli Don Gianni jest ci tak przychylnym człekiem, jak twierdzisz, to dlaczegóżby nie miał nauczyć cię tego zaklęcia, którego przy tej przemianie zwykł jest używać?

Mógłbyś wówczas mnie w klacz zamieniać i tym sposobem przy mojej i osła naszego pomocy podwójne zyski ciągnąć. Po powrocie do domu zasię za każdym razem przywracałbyś mi moją białogłowską postać.

Kum Pietro, trochę w ciemię bity, uwierzył również w żart księdza, przyjął radę żony i nie mieszkając, jął prosić Don Gianniego, aby go nauczył, jak taką przemianę wywołać można. Ksiądz wszelkimi siłami starał się mu wybić z głowy tę myśl niedorzeczną, widząc jednak, że mu się to nie uda, rzekł wreszcie:

— Jeśli już tak koniecznie oboje tego pragniecie, tedy jutro rano, wstawszy o świcie jak zwykle, nauczę was mojej tajemnicy. Wiedz jednakoż, że najtrudniejszą przy tej przemianie rzeczą jest przyprawienie ogona. Sam zresztą wkrótce o tym się przekonasz.

Kum Pietro i kuma Gemmata z niecierpliwością przez noc całą oka zmrużyć nie mogli. Wstali skoro świt i zbudzili księdza, który w koszuli podniósł się z posłania, wszedł do izby i rzekł:

— Krom was dwojga nie ma na całym świecie ludzi, dla których bym coś podobnego mógł uczynić. Ponieważ jednak tak uparcie nalegacie na mnie, niechaj się stanie wedle woli waszej. Przestrzegam was jeno, że ślepo mi posłuszni być musicie, jeśli chcecie, aby przemiana się udała.

Oboje małżonkowie przyrzekli stosować się ściśle do rozkazów księdza.

Don Gianni wziął do rąk lichtarz ze świecą, wręczył go Pietrowi i rzekł:

— Uważaj dobrze, co robić będę, wbij sobie w pamięć słowa, jakie wypowiem, ale waruj się wymówić najmniejsze słówko, choćbyś i nie wiem co usłyszał albo obaczył, jeśli nie chcesz wszystkiego popsować. I proś Boga, aby ogon udało się dobrze przytwierdzić!

Kum Pietro wziął lichtarz i przyrzekł uroczyście, że pary z gęby nie puści.

Wówczas Don Gianni rozkazał kumie Gemmacie całkiem się obnażyć i na czworakach na podobieństwo klaczy stanąć, przy czym równie surowo jej zalecił, aby nie ważyła się słówka wymówić. Za czym dotknął ręką jej twarzy i głowy i rzekł: »To niechaj się stanie pięknym łbem klaczy!«. Potem w ten sam sposób dotknął włosów, mówiąc: »A to niech będzie bujną grzywą«. Dalej położył dłoń na jej ramionach i wyrzekł: »Stąd niech wyrosną silne nogi i kopyta«. Aliści gdy idąc w ten sposób dalej, dotknął jej piersi i uczuł, że ma pod ręką dwa krągłe i jędrne jabłuszka, ktoś niespodzianie zbudził się i wyprostował pod koszulą.

Mimo to Don Gianni dalej praktyki swoje prowadził. Rzekłszy: »To niechaj będzie silną piersią klaczy«, obmacywał boki, brzuch, plecy, biodra i nogi białogłowy, powtarzając swoje zaklęcia.

Gdy mu wreszcie nic do zrobienia krom ogona nie pozostało, podniósł koszulę, wyjął kołek, którego do sadzenia ludzkich latorośli używają, i wraził go żywo w przeznaczoną ku temu bruzdę wołając: »To zaś niech będzie pięknym ogonem klaczy!«.

Pietro, który się dotychczas wszystkiemu bardzo uważnie i spokojnie przypatrywał, widząc to zakończenie nagle obruszył się i zawołał:

— Don Gianni!... Ja nie chcę ogona bynajmniej, dziękuję za ogon w tym miejscu!

Już wilgoć przyrodzona, łącząca z glebą rośliny, okryła korzeń, gdy Gianni wyjął go i rzekł:

— Cóżeś uczynił, nieszczęśniku? Zaliż nie przestrzegałem cię, że ci nie wolno pary z gęby puszczać bez względu na to, co byś i ujrzał? Przemiana już by prawie dokonana była, gdyby nie twoja porywczość i gadulstwo. Teraz wszystko już przepadło, a co gorsza, że na nowo zaraz zaczynać nie podobna!

— Cóż kiedy mi się ogon w tym miejscu nie podobał — odparł kum Pietro. — Zresztą, dlaczego żeście mi nie powiedzieli: »Ogon zrób ty«. Przy tym, jak mi się zdawa, za głębokoście go nawet wrazili.

— Tak było trzeba — odparł Don Gianni — a tego ty byś za pierwszym razem nie potrafił zrobić jak ja!

Tymczasem młoda białogłowa podniosła się i rzekła w najlepszej wierze do męża:

— Głupcze jeden! Dlaczego żeś popsuł całą sprawę? Zali widziałeś kiedy klacz bez ogona? Biedakiem jesteś, ale na mą duszę, na jeszcze większą nędzę zasłużyłeś.

Cóż jednak było robić? Gadatliwość Pietra zniszczyła wszelką możność zamienienia w klacz jego żony. Toteż biedna białogłowa, wielce rozżalona i nieukontentowana, wdziała na się suknię z powrotem. Kum Pietro zarabiał dalej na życie przy pomocy jedynego osła i wspólnie z Don Giannim na jarmark do Bitonta jeździł, aliści nigdy już powtórzenia nieudanych czarów od księdza nie żądał".

Damy zrozumiały tę opowieść lepiej, niźli sam Dioneo tego sobie mógł życzyć. Ile śmiechu słowa Dionea wywołały, niech się domyśli ten, kto opowieść niniejszą czytając, równie śmiać się z niej będzie. Po skończeniu opowieści, jako że tego dnia nikt już opowiadać nie miał, a słońce się ku zachodowi chyliło, królowa, widząc koniec swoich rządów, powstała, wieniec wawrzynowy z głowy zdjęła, włożyła go na skronie Panfilowi i rzekła w te słowa:

— Mój władco! Wielkie brzemię na cię czeka, bowiem ostatnim będąc, winieneś zarówno moje błędy, jak i poprzedników moich zatrzeć i naprawić. Niechaj cię tedy Bóg w łasce swojej na siłach skrzepi, jak i mnie dopomagał, abyś był w stanie zadaniu swemu sprostać.

Panfilo, z radosnym obliczem słowa te przyjąwszy, odparł:

— Przymioty twoje, piękna moja poprzedniczko, jako też i innych moich poddanych sprawią, iż śladem waszym idąc, równie zasłużonych pochwał się doczekam.

Po czym wedle obyczaju poprzedników swoich porozumiał się z marszałkiem co do spraw gospodarskich, a następnie zwrócił się znowu do oczekujących nań dam i rzekł:

— Trafna myśl Emilii, która dzisiaj naszą królową była, dała nam prawo wybierania materii wedle woli, tak abyśmy naszym upodobaniom pofolgować mogli. Ponieważ nacieszyliśmy się już dość swobodą, wydaje mi się tedy, że winniśmy się do naszych dawnych praw nagiąć i dlatego też taką materię do opowieści na jutro przedkładam: O ludziach, którzy w sprawach miłosnych lub innych wielkość duszy i osobliwą szlachetność okazali.

Piękne czyny, o których z tej materii usłyszymy, zapalą niewątpliwie dusze wasze, z natury już do dobrego skłonne, wzniosłą żądzą naśladownictwa, tym bardziej gdy wspomnicie, że życie nasze, ułomnością i słabością naszego ciała na krótki tu jeno pobyt skazane, jedynie sławą pięknych czynów uwiecznić się może.

Ten, kto na podobieństwo zwierząt jedynie swemu brzuchowi służyć nie chce, nie tylko tej sławy pragnąć winien, ale i wszelkimi siłami czynem do niej dążyć.

Wskazana materia zyskała aplauz całego towarzystwa. Otrzymawszy zezwolenie nowego króla, podnieśli się wszyscy z miejsc swoich i w oczekiwaniu na godzinę wieczerzy oddali się zwykłym rozrywkom, każdy wedle upodobania swojego.

W oznaczonym czasie, zebrawszy się przy stole, po obfitej i składnie idącej uczcie zawiedli tańce, przy których pieśni zabrzmiały, bardziej przemawiające urokiem słów niż doskonałością śpiewu. Gdy już ich wiele odśpiewano, rozkazał król Neifili, aby jakąś pieśń przez siebie ułożoną zanuciła. Neifile, temu wezwaniu posłuszna, czystym i wesołym głosem na ten kształt niezwłocznie śpiewać poczęła:

Młodością kwitnę i wiosną żywota
Z piosnką na ustach w świat idę wesołą,
Bo w piersiach moich nić miłości złota!...
Dokoła wiosna, łąki strojne majem,

Tysiące kwiatów błyszczy wśród zieleni,
Lilia się śnieży, róża się rumieni,
On mi tę ziemię dwakroć czyni rajem!
Wszędzie go widzę, wciąż z sobą przestajem,
Gdziekolwiek spojrzę, błyska jego czoło,
Sieć jego spojrzeń duszę moją mota!
Jeśli wśród kwiatów tęczowego grona
Znajdę kwiat, który zaćmiewa swych braci,
Podobny jemu z wdzięku i postaci,
Do ust go przytknę, miłością szalona,
Zwierzę najskrytsze czucia mego łona,
Wplotę go dumna na bukietu czoło
Więżąc mym włosem miękkim jak pieszczota!
A wtedy, błogim przejęta złudzeniem,
Pomyślę szczęsna, że go mam przy sobie,
Że przygarniają go me ręce obie;
Który mej duszy życiem i płomieniem,
Że ten liść — usta, ta woń — jego tchnieniem,
I wpadnę w marzeń tak radosnych koło,
Że nie wysławi ich ludzka istota!
Westchnienia tylko czucia me tłumaczą,
Rwące się z głębi piersi przepełnionej,
O, nie drżą one żalem ni rozpaczą,
Lecz lekko rój ich wzlata uskrzydlony
I mknie z wezwaniem w najdroższego strony.
On, gdy usłyszy, zbiegnie tu wesoło,
I wraz w raj moja zmieni się tęsknota.

Gorącymi pochwałami okrył król i wszystkie damy piosenkę Neifili. Po czym, ponieważ już późna noc była, rozkazał król, by wszyscy udali się na spoczynek aż do świtu.

Tu zamyka się dziewiąty dzień Dekameronu, a zaczyna dziesiąty i ostatni, w którym pod przewodem Panfila rozprawia się o tych, co dokonali jakiegoś czynu wspaniałego lub wielkodusznego w sprawach miłości albo też innej natury.

Dzień dziesiąty

Jeszcze kilka obłoczków na zachodzie rumieńca nie straciło, a rąbki chmur płynących od wschodu zalśniły już jak złoto od słonecznych promieni, które godziły w nie z bliska, gdy Panfilo powstał z łóżka i rozkazał zwołać damy i kawalerów. Wkrótce zebrali się wszyscy, a wówczas król, złożywszy naradę z towarzystwem, gdzie dzisiaj na przechadzkę się udać, z wolna ruszył naprzód drogą, mając przy sobie Filomenę i Fiammettę. Reszta towarzystwa szła za nimi, tocząc ożywione rozmowy o zamysłach na przyszłość, śmiejąc się i zabawiając mile. Gdy po długiej przechadzce słońce zbyt mocno dopiekać poczęło, powrócili wszyscy do zameczku i tutaj, stanąwszy przy przezroczystym źródle, kto chciał, napił się chłodnej wody z czystej jak kryształ czary. Po czym rozproszyli się wszyscy po cienistych ścieżkach ogrodu i zabawiali się wedle upodobania aż do obiadowej pory. Po obiedzie i po zażyciu południowego wczasu zebrało się całe grono, jak zazwyczaj, w miejscu wskazanym przez króla i Neifile na jego rozkaz pierwsza z kolei w te słowa wesoło zaczęła:

Opowieść pierwsza. Wspaniały król

Pewien rycerz służy królowi hiszpańskiemu i do tej myśli przychodzi, że król dostatecznie go nie wynagrodził. Wówczas król wykazuje dowodnie rycerzowi, że stało się to nie z jego winy, lecz z winy przeciwnego losu, i szczodrze później rycerza nagradza.

— Za znak szczególnej łaski króla, miłe damy, poczytywać to muszę, że mnie dziś pierwszej o wielkoduszności opowiadać kazał. Przecież ów przymiot przydaje piękności i blasku wszystkim pozostałym cnotom, na podobieństwo słońca oświetlającego niebo. Nie wychodząc przeto poza obręby materii na dziś naznaczonej, opowiem wam piękną i krótką nowelę, którą nieraz, ani chybi, z pożytkiem dla siebie wspominać będziecie.

„Do grona mężnych i sławnych rycerzy naszego miasta zaliczał się Ruggieri de'Figiovanni, którego można było nazwać najszlachetniejszym i najodważniejszym z tych, co od wieków wojenną profesją się parali.

Opływał on we wszelkie dostatki, płonął męstwem i chciwie pragnął sławy. Ruggieri, spostrzegłszy, że w Toskanii trudno mu będzie zasłynąć, jako że życie i obyczaje

tamtejsze pola po temu nie dawały, postanowił wstąpić na służbę do króla hiszpańskiego, Alfonsa. Słuchy o królu zagłuszyły gadki o cnotach wszystkich innych władców. Ruggieri, opatrzywszy się godnie w broń i rumaki, z liczną świtą do Hiszpanii wyruszył.

Król przyjął go z wielką łaskawością. Ruggieri wiódł wystawny żywot, z męstwem godnym podziwienia odbył kilka wojennych wypraw i rychło zyskał sławę nieustraszonego rycerza. Żyjąc na dworze króla Alfonsa czas dłuższy, spostrzegł, że król dość kapryśnie łaskami swymi szafuje. Podczas gdy niejeden z rycerzy, nie zawsze tego godny, otrzymał zamek, gród lub tytuł, sam Ruggieri, znający wartość swą, nie dostawszy od Alfonsa żadnej znaczniejszej nagrody, osądził, że taki brak pamięci ze strony króla jest ujmą dla jego czci, dlatego też odjechać postanowił. Przeto pożegnał się z królem, który mu swój dwór opuścić pozwolił. Na pożegnanie Alfons podarował Ruggieriemu muła tak wspaniałego, że rycerz nasz lepszego do długiej podróży zapragnąć by nie mógł, po czym rozkazał jednemu ze sług swoich, aby tym albo innym sposobem stał się w czasie drogi towarzyszem Ruggieriego, tak jednakoż, aby Toskańczyk nie spostrzegł, że król go śledzić każe. Alfons przykazał słudze, by sobie dobrze w pamięć wbił wszystkie słowa rycerza i aby nazajutrz wraz z Ruggierim na dwór powrócił. Sługa, śledząc rycerza, wybrał stosowną chwilę, dogonił go i rzekł, że do Włoch zmierza. Ruggieri jechał na mule, którym go król obdarzył. Podróżni wszczęli rozmowę o różnych materiach, wreszcie gdy zbliżało się południe, rycerz rzekł:

— Zdaje mi się, że trza dać wypocząć naszym bydlętom.

Ruggieri i sługa weszli do oberży, a konie i muła do stajni odwiedli. Zwierzęta, krom muła, dały folgę przyrodzonej swej potrzebie. Wkrótce w dalszą drogę wyruszyli. Sługa pilnie słuchał każdego słowa rycerza. Gdy dotarli do rzeki, postanowili zwierzęta napoić. Muł wszedłszy do wody uczynił wreszcie to, co rumaki zdążyły zrobić już w stajni. Ruggieri, widząc to, zawołał:

— Przeklęte zwierzę, podobne jesteś do tego, kto mi cię podarował!

Sługa zapamiętał dobrze ten okrzyk. Chocia później i zważał bacznie na każde słowo rycerza, przecie nic krom wielkich pochwał króla już od niego usłyszeć nie zdołał. Nazajutrz, gdy na koń wsiedli, Toskańczyk chciał dalszą drogę do Florencji podjąć, aliści towarzysz podróży oznajmił mu wolę króla, za czym Ruggieri niezwłocznie z drogi zawrócił. Alfons, gdy już usłyszał, co Ruggieri o mule powiedział, wezwał go do siebie, spojrzał nań wesoło przy powitaniu i zapytał, dlaczego rycerz do muła go przyrównał, a raczej, jakie podobieństwo między nim a bydlęciem znalazł?

Rycerz spojrzał w oczy królowi i rzekł:

— Dlatego, panie mój, do muła was przyrównałem, że rozdajecie łaski swoje ludziom niegodnym, skąpiąc ich natomiast tym, którzy na nie zasługują. Podobnie i muł wasz nie umiał wykorzystać ani odpoczynku w stajni, ani pojenia w rzece.

— Rycerzu — odrzekł król — prawda, że łaskami mymi was nie obsypałem, tak jak to uczyniłem z wieloma, którzy wobec was są i byli niczym, aliści nie znaczy to wcale, abym zasług waszych jako męża najwaleczniejszego cenić nie miał i abym nie poczytywał was za człeka godnego nagrody jak największej. Wasz los przeciwny nie dozwolił mi jednak nagrodzić was tak, jak tego w głębi duszy chciałem. Winę zatem ponosi on, a nie ja, czego wam zaraz jasno dowieść się postaram.

— Królu miłościwy — odparł rycerz — nie to mnie uraziło, żeście mi żadnej nagrody dać nie chcieli, nie pragnę bowiem bogactw moich powiększać. Nękała mnie tylko myśl, że niczym nie daliście świadectwa wartości mojej. Tym niemniej oświadczenie wasze za dostateczne i uczciwe poczytuję i czekam tego, co okazać mi zechcecie, chociaż wierzę wam, żadnych dowodów nie pragnąc.

Król zaprowadził Ruggieriego do wielkiej sali, w której na rozkaz jego ustawiono przedtem dwie ogromne, zamczyste skrzynie. W przytomności wielu dworzan Alfons rzekł w te słowa:

— Rycerzu! W jednej z tych skrzyń leży moja korona, sceptrum królewskie, jabłko, siła drogocennych pasów, pierścieni, klejnotów i innych rzeczy, ogromnego szacunku. Druga natomiast skrzynia pełna jest ziemi. Wybierzcie skrzynię, która się wam bardziej podoba, a wraz waszą się stanie. Eksperiencja pokaże wam, kto był wobec was niesprawiedliwy: ja czyli też los!

Ruggieri usłuchał króla i wybrał jedną ze skrzyń. Gdy na rozkaz władcy wieka uchylono, skrzynia okazała się pełną ziemi. Król roześmiał się i rzekł:

— Teraz, rycerzu Ruggieri, widzicie chyba sami, że to, co rzekłem o waszym losie przeciwnym, najszczerszą prawdą było. Jednakoż wasze przymioty i zasługi każą mi siłom przeznaczeń na wstręcie stanąć. Wiedząc, że nie chcecie stać się Hiszpanem, nie podaruję wam tu zamku ani miasta, obdarzę was natomiast tamtą skrzynią, na przekór zawistnemu losowi, który chciał was jej pozbawić. Zabierzcie ją do swej ojczyzny! Niechaj wasi rodacy ujrzą te dary, z których dumni być możecie, bowiem otrzymaliście je za swoje wielkie zasługi.

Ruggieri przyjął podarunek, złożył stosowny dank królowi i z wesołym obliczem do Toskanii odjechał”.

Opowieść druga. Ghino di Tacco

Ghino di Tacco wziął do niewoli opata z Cluny. Wyleczywszy go z choroby żołądka, zwrócił mu wolność. Opat, wróciwszy do Rzymu, pogodził papieża Bonifacego z Ghinem, czyniąc go rycerzem zakonu szpitalników.

Wielkoduszny czyn króla Alfonsa wobec florenckiego rycerza wiele pochwał wywołał. Królowi Panfilowi opowieść także wielce do smaku przypadła. Wreszcie gdy gwar umilkł, król Elizie dalej opowiadać przykazał. Eliza, nie mieszkając, w te słowa zaczęła:

— Wytworne damy! Nikt nie zaprzeczy, że rzeczą chwalebną i niepospolitą była wspaniałomyślność królewska okazana mężowi, który mu godnie służył. Jednakoż jak nazwiemy uczynek pewnego opata, co wielką wspaniałomyślność okazał wobec człowieka, z którym, nie obawiając się czyjejkolwiek nagany, jak z wrogiem mógł postąpić? Mniemamy, że czyn króla przypisać należy jego cnocie, postępek zasię opata przyjdzie wprost cudem nazwać, zważywszy na to, że dzisiejsi księża skąpsi są od białogłów i że wszelkiej szczodrobliwości nienawidzą. Wszyscy ludzie pragną zemsty za obrazę, jaka ich spotkała, i tylko duchowni nakazują cierpieć pokornie i krzywdy w niepamięć puszczać. Mimo to często widzimy, że księża większym płomieniem zemsty gorzeją niż inni ludzie. Z mojej opowieści jednak obaczycie, jak wspaniałomyślnie pewien opat postąpił.

„Ghino di Tacco zasłynął z nieustraszonego męstwa i rozbójniczych wypraw. Grabiowie di Santa Fiore po krwawej rozprawie wygnali go ze Sieny. Wówczas Ghino podburzył przeciw rzymskiej władzy miasteczko Radicofani, osiedlił się w nim i przy pomocy swej uzbrojonej szajki jął grabić podróżnych.

Papieżem był wówczas Bonifacy VIII. Zdarzyło się, że na dwór jego przybył opat z Cluny, który za najbogatszego z prałatów na świecie uchodził. Przebywszy niejaki czas na dworze, opat całkiem sobie żołądek popsował, tak iż medycy musieli zalecić mu niezawodne kąpiele w sieneńskich wodach. Otrzymawszy pozwolenie papieża, opat, nie myśląc wcale o Ghino di Tacco, wyruszył w drogę z wspaniałą świtą, z mnóstwem jucznych bydląt i wielkim obozem. Ghino di Tacco, usłyszawszy o jego przyjeździe, rozstawił misternie sieci i w pewnym górskim wąwozie pochwycił opata wraz z całym orszakiem, tak iż ani jeden pachołek nie wymknął się z rąk rozbójników. Co uczyniwszy,

do opata wysłał jednego z wielce chytrych i zręcznych swych towarzyszy ze znacznym zastępem. Wysłannik Ghina w imieniu swego pana wielce przyjaźnie zaprosił opata na zamek. Opat, srodze rozgniewany, odparł, że ani myśli, gdyż do Ghina żadnej sprawy nie ma, że chce w dalszą drogę ruszać, a takoż, iż pragnie dowiedzieć się, kto mu w tej podróży ośmieli się wstręty czynić. Posłaniec Ghina odparł pokornym głosem:

— Znajdujecie się tam, mój ojcze, gdzie żadnej władzy, krom władzy Boga, się nie szanuje, gdzie żadne klątwy i zakazy nijakiej wartości nie mają. Dlatego też radzę wam, abyście panu Ghinowi ustąpili.

Gdy opat z wysłannikiem rozmawiał, grono uzbrojonych rozbójników otoczyło opata i jego świtę i zmusiło go do tego, aby się ku zamkowi skierował. Opat, mając duszę pełną wzgardy i gniewu, ruszył za umyślnym Ghina. Wkrótce cały orszak zatrzymał się u wrót zamku. Zgodnie z rozkazem Ghina, wprowadzono opata samego do małej i ciemnej komnaty, towarzyszy jego rozmieszczono przyzwoicie w komnatach zamkowych, zależnie od godności każdego z nich, rzeczy zasię nietknięte pozostawiono. Rumaki do stajni odprowadzone zostały. Wydawszy rozporządzenia i upewniwszy się, że wszystkie wypełnione zostały, Ghino udał się do opata i rzekł:

— Świątobliwy ojcze! Ghino, u którego obecnie w gościnie bawicie, przysłał mnie do was, abym się was spytał, dokąd to i w jakim celu jechaliście?

Rozumny opat, pojąwszy od razu, że zbytnia duma nie na miejscu by tu była, odpowiedział szczegółowie na wszystkie postawione mu pytania.

Ghino opuścił opata z twardym zamysłem wyleczenia go bez pomocy kąpieli w sieneńskich wodach. Kazał dobrze ogrzać komnatę opata i pilnować jej jak oka w głowie, sam zasię dopiero nazajutrz rankiem znów opata odwiedził. Przyniósł z sobą na białym płótnie dwie przyrumienione kromki chleba oraz kubek pełen kornilijskiego wina, wziętego z zapasów opata, i rzekł:

— Ghino, który za czasów swej młodości uczył się medycyny, twierdzi, że w przypadku chorób żołądka nie masz lepszego leku jak ten oto, który wy, ojcze, za jego idąc wskazaniem, teraz wypróbować powinniście. To, co wam przyniosłem, stanowi początek kuracji, dlatego też zażyjcie tę dawkę i pokrzepcie siły wasze!

Opatowi, którego głód nękał, rozmowy wcale po myśli nie były. Duchowny zjadł chleb i wypił wino, chocia na jego obliczu malował się głęboki wyraz pogardy. Potem wyniośle zadał kilka pytań, kilku rad udzielił i wyraził zwłaszcza chęć ujrzenia Ghina.

Do niektórych uwag opata odniósł się Ghino jak do pustych słów i mimo uszu je puścił, na inne odpowiedział wielce dwornie, wreszcie na zakończenie rzekł, że Ghino,

gdy tylko chwilę czasu znajdzie, z wielką chęcią go odwiedzi. Po czym wyszedł i powrócił dopiero nazajutrz rano, przynosząc znowu tyleż chleba i kubek wina. Na podobnej strawie trzymał Ghino opata dotąd, aż nie spostrzegł, że duchowny zjadł suchy bób, który pan zamku przynosił skrycie do jego komnaty, ostawiając go w niej jakby przypadkiem. Obaczywszy, że bób zniknął, Ghino rzekł do opata, iż jego pan pyta o zdrowie gościa. Opat odparł:

— Byłbym całkiem zdrów, gdybym się mógł wyrwać z jego rąk. Poza tym niczego mi nie trzeba prócz obfitszego jedzenia, tak dobrze uleczyły mnie jego zabiegi.

Ghino kazał przygotować wspaniałą komnatę, którą słudzy opata przybrali własnymi jego kobiercami.

Następnego dnia Ghino wyprawił bogatą ucztę, na którą zaprosił licznych towarzyszów swoich i całą świtę opata, sam zasię wszedł rankiem do komnaty swego gościa i rzekł:

— Czujecie się już dobrze, świątobliwy ojcze, dlatego też pora wam szpital opuścić.

Wziąwszy opata za rękę, Ghino zaprowadził go do przygotowanej dla niego komnaty. Opat obaczył tam z przyjemnością całą swoją świtę. Ghino odszedł, aby wydać rozporządzenia co do obiadu. Opat, tymczasem pokrzepiwszy się nieco, opowiedział swoim towarzyszom, jakie życie przez ten cały czas prowadzić musiał. Oni natomiast oświadczyli mu zgodnie, że Ghino z podziwu godną hojnością ich podejmował.

Gdy pora obiadowa nadeszła, Ghino ugościł swych jeńców znakomitymi winami i wspaniałymi potrawami, jednakoż imienia swego opatowi nie odkrył. Przez kilka jeszcze dni podejmował Ghino z wielką okazałością gości swoich. Wreszcie pewnego rana kazał wnieść do jednej komnaty wszystkie rzeczy opata, a na dziedzińcu, na który okna komnaty wychodziły, ustawić wszystkie rumaki swego gościa, aż do najnędzniejszej szkapy. Po czym, odwiedziwszy opata, zapytał go, zali już jest zdrów i czy czuje się na siłach, aby na koniu dalszą drogę podjąć? Opat odparł, że się znacznie na zdrowiu poprawił i wyleczył się z dolegliwości żołądka, aliści czułby się jeszcze lepiej, gdyby mu się z rąk Ghina wyrwać udało. Miast odpowiedzi Ghino zaprowadził opata do komnaty, w której zebrani byli wszyscy jego towarzysze i wszystkie rzeczy zostały zgromadzone, podszedł z nim do okna, skąd było widać wszystkie konie, i rzekł w te słowa:

— Świątobliwy ojcze, nie złe przyrodzenie uczyniło z Ghina di Tacco rozbójnika grabiącego podróżnych oraz wroga papieskiego dworu. Ghino jest szlachcicem, który, cierpiąc nędzę, musiał porzucić swój dom, aby bronić życia i szlachectwa przed

mnogimi a potężnymi wrogami. Oto co przedzierzgnęło Ghina, czyli mnie, w hardego i samowolnego człeka. Wy, ojcze, zdajecie mi się być wielce godnym człekiem, dlatego też wyleczywszy was z waszej słabości, nie wezmę dla siebie nic z waszego mienia, tak jakbym to uczynił z mieniem każdego, kto by mi do rąk wpadł. Nagrodę dla mnie za usługę, jaką wam oddałem, ostawiam wam samym: możecie, zważywszy na moje potrzeby, oddać mi taką część bogactw waszych, jaka się wam podoba. Wszystkie rzeczy wasze tutaj się znajdują, a konie możecie obaczyć z tego okna. Czy mi coś dacie, czyli też nie dacie niczego — to tylko od was zależy. Możecie także odjechać albo w zamku pozostać, od tej chwili bowiem panem swojej woli jesteście.

Opat zadziwił się, że człek grabiący podróżnych może na ten kształt przemawiać. Słowa Ghina podobały mu się do tego stopnia, że gniew i złość zamieniły się w przyjaźń do pana zamku. Opat uścisnął Ghina i rzekł:

— Zdawało mi się do tej chwili, żeś mnie poniżał, starając się na wszelki sposób o dotknięcie godności mojej, aliści klnę się na wszystkie świętości, że gotów byłbym nawet srożej cierpieć, byleby tylko zdobyć przyjaźń takiego jak ty człowieka. Niech będzie przeklęty los, który cię zmusza do parania się tak niegodziwą profesją!

Opat wziął z sobą tylko najbardziej niezbędne mu rzeczy, niewielką ilość koni i udał się w drogę powrotną do Rzymu. Resztę swego mienia ostawił Ghinowi.

Do papieża już doszły były słuchy o tym, że opat został w jeństwo wzięty. Wieści te wielkiego strapienia ojcu świętemu przyczyniły. Teraz, obaczywszy opata, zapytał go, jak podziałały na niego sieneńskie wody i kąpiele.

— Wasza Świątobliwości — rzekł opat z uśmiechem — nie dojechawszy do Sieny, spotkałem znakomitego medyka, który mnie całkiem wyleczył.

Po czym opowiedział papieżowi, na czym leczenie Ghina się zasadzało.

Papież słuchając tej opowieści, śmiał się serdecznie. Opat, mający serce wielkoduszne, poprosił wówczas papieża o wyświadczenie mu pewnej łaski. Papież, nie wiedząc, na czym ta prośba polegać będzie, obiecał, że ją wypełni.

— Ojcze święty — rzekł opat — ośmielam się prosić was usilnie, abyście medyka mego, Ghina di Tacco, do łask swych powrócić raczyli. Jest to spośród niepospolitych i szlachetnych ludzi, których mi się w życiu spotkać udało, ani chybi jeden z najgodniejszych. Jeśli zaś postępuje źle, to winę za to ponosi raczej jego los przeciwny niż on sam. Dopomóżcie tedy Fortunie i dajcie mu możność żyć stosownie do jego godności, a rychło obaczycie, że prawda była w słowach moich.

Wspaniałomyślny papież, który lubił szlachetnych i odważnych ludzi, odparł, że chętnie to uczyni i jeśli Ghino jest takim człekiem, jakim go tu opat wystawia, tedy nic nie stoi na wstręcie, aby do Rzymu przybył.

Ghino istotnie po kilku dniach bez obawy przyjechał. Wkrótce papież przekonał się dowodnie o jego przymiotach, pogodził się z nim i uczynił go rycerzem, a następnie mistrzem zakonu szpitalników.

Ghino do śmierci zachował to stanowisko, będąc wiernym i oddanym sługą rzymskiego Kościoła i opata z Cluny".

Opowieść trzecia. Mitrydan i Natan

Mitrydan zazdrości Natanowi dobrej sławy i pragnie go życia pozbawić. Nie znając Natana z wyglądu, zwierza mu się z zamysłu swego. Otrzymawszy od Natana wskazówkę, spotyka go w lesie, aliści poznawszy w nim człeka, z którym uprzednio był rozmawiał, odstępuje ze wstydem od zamysłu swego i przyjacielem Natana zostaje.

Postępek opata wszyscy jednogłośnie cudem istnym nazwali, jako że mnich wielkodusznym się okazał, po czym król, gdy gwar kobiecych głosów się uciszył, rozkazał Filostratowi, aby dalej opowiadał. Filostrat, nie mieszkając, zaczął w te słowa:

— Szlachetne damy! Wielka była szczodrość króla Hiszpanii, aliści uczynek opata z Cluny wprost niewiarogodnym nazwać można. Jednakoż nie mniej dziwnym wyda się wam postępek pewnego człeka, który w szczodrobliwości niepowszedniej był gotów oddać swoje życie drugiemu, łaknącemu krwi jego, a raczej jego życia. Ani chybi byłby swój zamysł wypełnił, gdyby tamten od swego okrutnego pragnienia nie odstąpił.

„Jeśli mamy dać wiarę Genueńczykom i innym podróżnikom, którzy od wschodnich krain jeżdżą, to żył w Kitaju ongiś wielki bogacz, z szlacheckiego rodu idący, imieniem Natan. Majętność jego leżała obok drogi, którą przejeżdżali wszyscy, kierując się ze Wschodu na Zachód lub z Zachodu na Wschód.

Natan odznaczał się wielkodusznością i szczodrobliwością. Chcąc czynami sławę u ludzi zyskać, najął wielu znakomitych majstrów i począł wznosić ogromny i wspaniały pałac, niewidzianym dotąd przepychem olśniewający. Gdy dom już stanął, Natan kazał przybrać wspaniale i wyposażyć wszystkie komnaty, w których pragnął przyjmować godnie wszystkich szlachetnie urodzonych podróżnych ciągnących tą drogą. Miał zaś liczną i wierną służbę, tak iż bez trudu mógł swój zamysł w czyn wprowadzić. Po niejakim czasie z takim zapałem i usilnością do dzieła przystąpił, że nie tylko na

Wschodzie, ale i na całym niemal Zachodzie poczęły słuchy o nim chodzić. Z biegiem lat Natan zestarzał się, aliści rozpoczęte dzieło dalej prowadził.

Mitrydan, żyjący w państwie sąsiadującym z ojczyzną Natana, usłyszał o dobrodziejstwach, jakie starzec ludziom wyświadczał. Będąc panem równych bogactw co Natan, począł zazdrościć starcowi jego zasłużonej sławy, i dlatego też postanowił jeszcze większą szczodrobliwością go zaćmić. Mitrydan zbudował sobie pałac na wzór domu Natana. Przyjmując z nieumiarkowaną rozrzutnością i ugaszczając u siebie podróżnych, wkrótce wielki rozgłos zyskał.

Pewnego dnia, gdy młody bogacz sam jeden na dziedzińcu domu swego się znajdował, weszła żebraczka, prosząc o jałmużnę. Otrzymawszy pieniądze, odeszła z podziękowaniem. Po chwili staruszka powróciła, wchodząc przez inne drzwi, i znów datek otrzymała. Powtórzyło się to dwanaście razy. Gdy żebraczka weszła po raz trzynasty, Mitrydan rzekł do niej:

— Zbyt często przychodzisz, miła moja!

Mimo to dał jej jednak jałmużnę. Usłyszawszy jego słowa, staruszka rzekła:

— Niech będzie po tysiąckroć wysławiona szczodrobliwość Natana! Do domu jego prowadzi trzydzieści dwoje drzwi; przez każde wchodziłam do środka, o jałmużnę prosząc. Natan, czyniąc pozór, że mnie nie poznaje, nie odmówił mi ani razu pomocy. Tutaj weszłam tylko trzynaście razy i już mnie poznano, już mi wymówkę uczyniono!

Rzekłszy te słowa, starucha wyszła i nie powróciła więcej. Mitrydan rozgniewał się srodze, wysłuchawszy opowieści żebraczki, bowiem do tej myśli przyszedł, że sława Natana jego sławę zaćmiewa. »Kiedyż moja szczodrość zrówna się z szczodrością Natana — rzekł do siebie — chyba nigdy go już w wielkich sprawach nie prześcignę, tak jak to dawniej myślałem. Nawet w rzeczach drobnych nie umiem postąpić tak wielkodusznie jak on. Widać już do końca swego życia będzie brał przede mną przodek, a ja na próżno się trudzę. Chocia jest już starcem szedziwym, przecie wcale umierać nie chce, nie pozostaje mi zatem nic innego, jak własnymi rękoma go zgładzić«.

W zapędzie gniewu Mitrydan, nikogo o radę nie pytając, wskoczył na konia i po trzech dniach podróży z niewielkim orszakiem znalazł się już w pobliżu domu Natana. Wówczas rozkazał swym sługom, aby uczynili pozór, że go całkiem nie znają, nie towarzyszą mu w drodze, i aby zatrzymawszy się w gospodzie, czekali na dalsze jego polecenia. Był już późny wieczór. Mitrydan, rozstawszy się z swoją świtą, jechał sam drogą i niedaleko od pięknego pałacu spotkał Natana, który przechadzał się samotnie,

wspaniałością stroju nie wyróżniając się zgoła, i którego zapytał, gdzie bogacz przebywa.

— Mój synu — odparł wesoło Natan — nikt lepiej ode mnie drogi ci nie pokaże, dlatego też, jeśli chcesz, do samego domu cię zawiodę.

Młodzian odrzekł, że byłoby to bardzo po jego myśli, nie chciałby jednak, o ile to możliwe, by Natan zobaczył go i poznał. Na co oświadczył Natan:

— I to również sprawię, jeśli taka twoja wola.

Zsiadł tedy Mitrydan z konia i ruszył z Natanem, który niezwłocznie wszczął z nim bardzo miłą rozmowę. Rychło dotarli do pięknego pałacu.

Po przybyciu na miejsce, rozkazał Natan jednemu ze swych sług odebrać od Mitrydana konia i wydał mu po cichu polecenie, aby nikt w zamku nie ważył się zdradzić, że on jest Natanem. Po czym wprowadził swego gościa do pałacu i wskazał mu wspaniałą komnatę, w której przydana mu służba miała dbać o jego wygody, poza nią jednak nikt go nie widział. Natan okazywał swemu gościowi wszelkie względy i sam mu dotrzymywał towarzystwa, Mitrydan zasię ze swej strony odnosił się do starca z prawdziwie synowską czcią, zapytał jednak, co w tym domu porabia.

— Jestem jednym z niższych sług mego pana. Wziął mnie on do siebie wówczas, gdy byłem dzieckiem, nigdy jednak nie powierzył mi niczego innego krom tych posług, które przy tobie spełniam. Dlatego też, chocia go wszyscy chwalą, ja niejedno miałbym mu do zarzucenia.

Te słowa rzekomego sługi napełniły nadzieją serce Mitrydana, bowiem do tej myśli przyszedł, że przy jego pomocy swój plugawy zamysł łatwiej i pewniej w czyn wprowadzi. Natan z kolei zapytał Mitrydana z wielką dwornością, kto on zacz i co go tu sprowadza, i ofiarował mu się ze swą radą i pomocą.

Mitrydan zawahał się przez chwilę, wreszcie jednak postanowił wyjawić starcowi zamiary swoje. Zaczął od długich omówień, chcąc sobie zapewnić dochowanie tajemnicy, po czym odkrył mu, kim jest, powiedział, co go tu sprowadziło, i poprosił o radę i pomoc. Natan wysłuchawszy opowiadania osłupiał, nie dawszy jednak najmniejszej o swym stanie poznaki, odparł ze spokojem:

— Mitrydanie! Rodzic twój odznaczał się wielką szlachetnością duszy, ty zasię widać naśladować go pragniesz, skoro szczodrobliwość okazując wszystkim, takie sobie wzniosłe wobec bliźnich stawiasz zadania. Dlatego też pochwalam szlachetną zazdrość, jaką w tobie budzi wyższość Natana. Gdyby na ziemi żyło więcej ludzi podobnych, mniej by było zła i nędzy na świecie. Możesz być upewniony, że tajemnicy dochowam; co się

jednak tyczy wykonania zamysłów twoich, to więcej radą niż pomocą będę ci mógł służyć. Widzisz ten mały gaik, o pół mili stąd rosnący? Natan zwykle co rano samotnie się po nim przechadza, łatwo ci będzie tedy przydybać go i życia pozbawić. Gdy ci się go zabić uda, nie wracaj drogą, którą tu przybyłeś, jeśli chcesz bez przeszkód do domu powrócić, ale udaj się przed siebie ścieżką, którą znajdziesz po lewej ręce. Zaprowadzi cię ona do lasów, a tam już możliwej pogoni ujdziesz.

Mitrydan, otrzymawszy taką radę, po odejściu Natana dał potajemnie znać swoim ludziom, którzy znaleźli się tam również, gdzie nań następnego dnia oczekiwać mają. Natan zasię, nie odmieniwszy zamysłu swego, przygotowany na śmierć, udał się nazajutrz rano samotnie do gaju. W chwilę potem Mitrydan zerwał się z pościeli, pochwycił miecz i łuk, dosiadł rumaka i ruszył w stronę gaju, w którym już z daleka ujrzał przechadzającego się Natana. Młodzieniec postanowił naprzód poznać Natana, pomówić z nim, a później dopiero życia go pozbawić. Dlatego też poskoczył ku niemu, schwycił go za przepaskę, którą Natan na czole nosił, i zawołał:

— Zginiesz, starcze!

— Snadź zasłużyłem na to — odparł spokojnie Natan.

Mitrydan, usłyszawszy ten głos i spojrzawszy w oblicze mówiącego, poznał natychmiast wczorajszego sługę gospodarza, życzliwego towarzysza i doradcę. Na ten widok w jednej chwili znikła cała jego zapalczywość, ustępując miejsca głębokiemu wstydowi. Z pośpiechem odrzucił od siebie miecz obnażony, zeskoczył z rumaka i ze łzami w oczach rzucił się do nóg Natana, wołając:

— Teraz dopiero, najdroższy ojcze, poznaję twoją nieporównaną wielkoduszność! Powiedziałem ci, że pragnę cię bez przyczyny życia pozbawić, a ty przybyłeś tu, aby oddać mi życie jedynie dlatego, że tego chciałem. Aliści dobry Bóg, troszczący się więcej o cześć i dobrą sławę moją niż ja sam, otworzył mi oczy, nędzną przyćmione zawiścią, w chwili gdy najbardziej tego potrzebowałem. Jeszcze bardziej winnym się czuję, gdy uprzytamniam sobie, jak ochotnie chciałeś moim podłym zamysłom zadość uczynić. Stoję teraz przed tobą błagając, abyś wziął pomstę na mnie, stosownie do mojej winy.

Natan miast odpowiedzi podniósł Mitrydana, uściskał go, ucałował tkliwie i rzekł doń:

— Mój synu, postępek twój, choćbyśmy go złym nazwali, nie zasługuje na pomstę, nie nienawiść bowiem ku niemu cię popchnęła, jeno szczytne pragnienie przewyższenia innych w cnocie. Bądź upewniony, że nikt cię tak jak ja na świecie całym nie miłuje. Mniemam, że duszę musisz mieć szlachetną wielce, nie idziesz bowiem śladem

skąpców i nie naśladujesz ich w nienasyconym zbieraniu skarbów, a jeno pragniesz innym bogactwa zgromadzone szczodrobliwie rozdać. Niechaj cię też nie wstydzi to, że mnie zabić chciałeś, aby się stać sławniejszym ode mnie. Wierzaj, że się temu pragnieniu twemu nie dziwię. Najznamienitsi królowie i cesarze nie inną zazwyczaj sztuką, tylko zabijaniem, i to nie jednego człowieka, jak ty zamierzyłeś, ale tysięcy ludzi, paleniem miast i obracaniem krajów w perzynę rozszerzali państwa swoje i chwałę zdobywali. Jeśli tedy, pożerany żądzą sławy, mnie jednego tylko zabić chciałeś, nic w tym osobliwego nie znajduję, owszem, rzecz tę za nader pospolitą uważać jestem skłonny.

Mitrydan, który bynajmniej usprawiedliwiony ze swego szkaradnego zamysłu się nie czuł, wdzięczny jednak za usprawiedliwienie, jakie Natan znalazł dla jego postępku, podnieść nie omieszkał, że największym zdejmuje go podziwieniem, iż Natan zdobył się na to, by mu doradzać i wskazać najpewniejszy sposób własnej zagłady.

— Mitrydanie — odrzekł na to Natan — nie dziw się mojej radzie i postępkowi, od czasu bowiem, gdy się stałem samowładnym mych spraw panem i powziąłem myśl praktykowania cnót, które i tobie obce nie są, uczyniłem ślub, że nikt nie przestąpi progu mego domu bez tego, abym wszystkich jego życzeń nie zaspokoił. Przyszedłeś do mnie, żądając mego życia, postanowiłem tedy bez zwłoki osiągnięcie tego celu ci ułatwić, abyś nie był jedynym, który stąd odszedł nieukontentowany, dlatego też dałem ci radę, która mi się najlepszą wydała. Nie chciałem również, abyś, odjąwszy mi życie, zaraz swoje miał utracić. Jeżeli nadal jeszcze zabić mnie pragniesz, uczyń to, proszę, gdyż jestem gotów zadość ci uczynić. Wierę, nie znam lepszego sposobu zakończenia dni moich.

Osiemdziesiąt lat spędziłem wśród uciech i rozkoszy i wiem, że wedle praw przyrodzenia, którym wszyscy ludzie i wszelkie rzeczy podlegają, już długo na ziemi pozostawać nie będę; lepszą mi się tedy wydaje rzeczą podarować życie moje, tak jak zawsze skarby me wszystkie rozdarowywałem, niźli chcieć je zatrzymać tak długo, aż mimo woli mojej pozbawi mnie go natura.

Zawstydzony Mitrydan odparł w te słowa:

— Niech Bóg mnie na drugi raz od podobnie grzesznych myśli zachowa. Nie tylko nie pragnę życia was pozbawiać, ale nawet chętnie oddałbym część życia własnego, gdybym mógł dni wasze na ziemi przedłużyć.

Wówczas Natan rzekł:

— Jeśli chcesz mi dać część życia twego, czyż mam postąpić wobec ciebie, jak nie postąpiłem wobec nikogo innego, i wziąć coś, co twoją własność stanowi?

— Uczyń to — odparł bez namysłu Mitrydan.

— A więc — rzekł Natan — spełnij mą wolę. Pozostań w domu moim, pełen sił młodości, i przybierz imię Natana, ja zasię udam się do twojej siedziby i odtąd każę się zawsze nazywać Mitrydanem.

— Gdybym umiał postępować tak jak wy — odparł Mitrydan — niewiele myśląc przystałbym na to. Aliści czyny moje pomniejszyłyby z pewnością sławę Natana, ja zasię nie chciałbym w cudzym dziele niszczyć tego, czego sam niezdolny jestem dokonać. Dla tych racyj nie mogę więc przyjąć waszego imienia.

Natan długo jeszcze z Mitrydanem rozmawiał, po czym powrócili do domu, w którym Mitrydan jeszcze kilka dni spędził. Natan nie szczędził swemu młodemu przyjacielowi łask i radą swą umacniał go w mierzącym wysoko przedsięwzięciu. Gdy wreszcie młodzieniec wraz ze swymi przyjaciółmi do drogi zbierać się począł, Natan pożegnał ich, dowiódłszy mu niezbicie, że go nigdy w szczodrobliwości i wielkoduszności nie prześcignie".

Opowieść czwarta. Wspaniałomyślność miłośnika

Gentile de'Carisendi, wróciwszy z Modeny, wyjmuje z grobowca ukochaną białogłowę, którą, jako zmarłą, w nim pochowano. Niewiasta, do życia powrócona, wydaje na świat synka. Gentile oddaje umiłowaną i dziecię jej mężowi, Niccolucciowi Caccianimico.

Głębokim podziwem przejęło wszystkich to szczodrobliwe szafowanie krwią własną. Jednogłośnie uznano, iż Natan przewyższył wspaniałomyślnością opata z Cluny i króla hiszpańskiego. Po czym, gdy już materię opowieści omówiono szczegółowie, król wzrokiem wezwał Laurettę, a ta zaczęła w te słowa:

— Młode przyjaciółki! Wierę, wspaniałe i piękne są rzeczy, o których dotychczas słyszeliśmy, i zdaje mi się, że nic już nam prawie w tej materii do opowiedzenia nie pozostało, tak dalece zdumiewamy się wyżynie, na jaką wspaniałomyślność wznieść się tu zdołała. Powinniśmy się zatem zwrócić do opowieści o trafunkach miłosnych, tak bogatą zawsze materię przedstawiających. Sam wiek nasz młody ku temu nas nęci i pociąga. Nie dziwcie się zatem, że chcę wam opowiedzieć o wspaniałomyślności pewnego kochanka. Mniemam, że rozważywszy jego postępek, nie mniej niż

poprzednie szlachetnym go znajdziecie, zwłaszcza że dla owładnięcia przedmiotem miłości człek jest gotów życie swoje na niebezpieczeństwa wystawić, gardzić bogactwami, zemsty niechać i honor swój nawet na osławę przywodzić.

„W Bolonii, znakomitym mieście lombardzkim, żył niegdyś młody rycerz, wyróżniający się zarówno męstwem, jak i szlachetnością krwi swojej, Gentile Carisendi zwany. Zakochał się on w pewnej dostojnej damie, imieniem madonna Catalina, żonie niejakiego Niccoluccia Caccianimico. Nie mogąc jednak jej wzajemności pozyskać, odjechał, zwątpiwszy niemal w swą sprawę, do Modeny, gdzie go podestą mianowano.

Wkrótce po jego odjeździe, gdy Niccoluccia także w Bolonii nie było, żona jego, spodziewająca się właśnie potomka, przebywała w jednej ze swoich posiadłości wiejskich, o trzy może mile od miasta oddalonej. Pewnego dnia zachorowała nagle, i to tak gwałtownie, iż wkrótce wszelkie oznaki życia w niej wygasły i nawet doktorzy za zmarłą ją uznali. Ponieważ zaś, wedle obliczenia krewniaczek powołujących się na jej słowa, dziecię, które w swym żywocie nosiła, nieprędko jeszcze na świat przyjść miało, nie zastanawiano się wiele i złożono ją wśród oznak powszechnego żalu w grobowcu, w pobliskim kościele się znajdującym.

Pan Gentile rychło dowiedział się o tym wszystkim od jednego ze swoich przyjaciół. Mimo iż zmarła zbyt łaskawą dlań nie była, odczuł wielki ból z powodu jej zgonu i rzekł:

— Nie ma cię już wśród żywych, madonno Catalino! Dopókiś żyła, ani jednego przychylnego spojrzenia od ciebie uzyskać nie mogłem. Teraz jednakoż, gdy już oporu stawiać nie możesz, pójdę i będę się starał złożyć choć kilka pocałunków na twoim czole.

Po czym wydał rozkaz, aby o jego odjeździe zamilczano, i wsiadłszy nocą na koń, w towarzystwie jednego zaufanego sługi dotarł wreszcie, jadąc bez popasu, do miejsca, gdzie spoczywały śmiertelne szczątki damy. Po przybyciu otworzył grobowiec, wszedł doń ostrożnie, położył się obok zmarłej, zbliżył twarz swoją do jej oblicza i obsypał je pocałunkami, rzewliwe łzy wylewając. Ponieważ jednak ludzie, zwłaszcza zakochani, w pragnieniach swoich na byle czym nie zwykli są poprzestawać, ale zawsze chcą czegoś więcej, gdy i pan Gentile, mając się już ku odejściu, pomyślał sobie: »A dlaczegożbym, skoro już tu jestem, nie miał dotknąć się jej piersi? Wszak stanie się to już po raz pierwszy i ostatni w życiu«.

Ulegając temu pragnieniu, wyciągnął rękę i położył ją na piersiach zmarłej. Po chwili zdało mu się, że czuje lekkie bicie jej serca. Z początku wielce się zatrwożył, opamiętawszy się jednak i wytężywszy całą uwagę, stwierdził, że dama nie umarła i że życie jeszcze się w jej piersi kołacze. Podniósł tedy umarłą z największą ostrożnością.

Wydobył ją przy pomocy sługi swego z grobowca, wziął przed siebie na koń i przez nikogo niedostrzeżony, dowiózł ją do domu swego w Bolonii.

Matka jego, roztropna i szlachetna białogłowa, dowiedziawszy się szczegółowie od syna o całym przebiegu sprawy, szczerym współczuciem zdjęta, kazała przygotować gorącą kąpiel, po czym różnymi zabiegami do życia powróciła rzekomo zmarłą. Młoda białogłowa zawołała, westchnąwszy głęboko:

— O Boże, gdzie jestem?

Zacna dama odrzekła jej:

— Bądź dobrej myśli. Jesteś w bezpiecznym miejscu.

Gdy pani Catalina przyszła już całkiem do siebie, obejrzała się dokoła, a ujrzawszy pana Gentilego stojącego w pobliżu, zdumiona, błagać poczęła matkę jego o wyjaśnienie, jakim sposobem tu się dostała. Wówczas pan Gentile opowiedział jej o całym zdarzeniu. Madonna Catalina z początku wielce się rozgniewała, potem jednak podziękowała mu gorąco za to, co dla niej uczynił, i poczęła go zaklinać na miłość, jaką dla niej żywił, i na dworność jego, aby goszcząc ją w swym domu, nie uczynił jej nic takiego, co by ją na poczciwości drasnąć mogło, i aby gdy tylko dzień się uczyni, odprowadził ją do jej domu.

— Madonno — odrzekł na to pan Gentile — jakiekolwiek były kiedyś pragnienia moje względem ciebie, obecnie, gdy Bóg był tyle łaskaw dla mnie, iż przez wzgląd na miłość, jaką dla ciebie żywiłem, pozwolił mi od śmierci cię uratować, postanowiłem, tak teraz, jak i nadal, tu i na każdym innym miejscu obchodzić się z tobą jak z najdroższą siostrą. Jednakoż przysługa, jaką tej nocy ci wyświadczyłem, zasługuje chyba na pewną nagrodę, dlatego też proszę cię, abyś nie odmawiała mi łaski, której od ciebie chcę zażądać.

Na te słowa dama odrzekła dobrotliwie, że gotowa jest uczynić dla niego wszystko, co tylko w jej mocy będzie leżało i co ze statecznością jej się zgodzi.

— Madonno — ciągnął dalej pan Gentile — wszyscy krewni twoi jako też cała Bolonia mają cię już za umarłą; nikt w twoim domu nie spodziewa się ujrzeć ciebie przy życiu. Nie będzie to więc z krzywdą niczyją, jeśli po kryjomu pozostaniesz tu łaskawie przy matce mojej, dopóki nie powrócę z Modeny, co wkrótce nastąpi. Oto łaska, o którą proszę, ponieważ mam zamiar w obliczu najdostojniejszych obywateli tego miasta oddać was małżonkowi waszemu jako uroczysty i wspaniały dar.

Dama, czując wagę swoich zobowiązań względem rycerza i nie widząc, aby w tej prośbie coś niecnotliwego kryć się mogło, mimo pragnienia szybkiego ucieszenia

krewnych pojawieniem się swoim, przystała na życzenie pana Gentilego i słowem się związała. Zaledwie jednak ostatnich słów domówiła, poczuła, że czas rozwiązania nastał, i w kilka chwil potem przy pomocy matki Gentilego pięknego synka na świat wydała.

Okoliczność ta podwoiła jeszcze radość tak jej, jak i rycerza, który wydawszy polecenie, aby damie nie zbrakło na staraniach stosownych jej stanowi i aby jej służono, jak jego własnej żonie, w tajemnicy do Modeny odjechał.

Zakończywszy w tym mieście urzędowanie swoje, jął się do powrotu gotować. Na dzień przedtem wysłał polecenie do domu, aby w dniu jego powrotu wydano wielką i wspaniałą ucztę, prosząc na nią najdostojniejszych obywateli bolońskich, a przede wszystkim Niccoluccia Caccianimico. Po przybyciu do domu zsiadł z rumaka i powitał damę, którą znalazł piękniejszą niż kiedykolwiek. Tak ona, jak i jej synek doskonałym się cieszyli zdrowiem. Po czym udał się do swoich gości i z radosnym wyrazem oblicza zaprosił ich, aby do stołu zasiedli. Zaczęła się uczta z licznych i wybornych potraw złożona. Gdy wieczerza już ku końcowi się miała, pan Gentile, który się pierwej szczegółowie z damą porozumiał, w te słowa do swoich gości przemówił:

— Przypominam sobie, że słyszałem kiedyś, iż w Persji istnieje wielce chwalebny, jak sądzę, obyczaj. Zasadza się on na tym, że każdy, kto pragnie najwyższą cześć swemu przyjacielowi okazać, zaprasza go do domu swego i pokazuje, co w nim ma najdroższego: żonę, kochankę lub córkę, zaręczając jednocześnie, że gdyby mógł, serce swoje również by mu pokazał. Ten obyczaj pragnę i ja tutaj w Bolonii naśladować. Zaszczyciliście łaskawie mój dom, a ja, chcąc się wam odwdzięczyć, pokażę wam, zgodnie z perskim obyczajem, co mam najdroższego na świecie. Pierwej jednak proszę was, abyście mi rozwiązali pewną wątpliwość, którą wam zaraz wyłuszczę. Otóż załóżmy, że istnieje człek posiadający dobrego i wiernego sługę, który zapada nagle na ciężką chorobę. Ów człek nie czekając nawet, aż wierny sługa jego żywot zakończy, rozkazuje wynieść go na środek ulicy i całkiem już o niego troszczyć się przestaje. Wtem nadchodzi człek obcy i współczuciem dla chorego zdjęty, zabiera go do swego domu, gdzie usilnych starań i kosztów nie litując, do zdrowia go przywraca. Chciałbym tedy wiedzieć, czy dawniejszy pan tego sługi miałby słuszne prawo żalenia się albo wyrzekania na obcego człeka, gdyby ten sługę przy sobie zatrzymał, z usług jego korzystał i na wezwanie oddać go nie chciał.

Dostojni goście poczęli szeroko tę sprawę omawiać, aż wreszcie zgodziwszy się na jedno, poprosili Niccoluccia Caccianimica, który za miodopłynnego mówcę w Bolonii

uchodził, o odpowiedź. Niccoluccio, pochwaliwszy naprzód obyczaj perski, oświadczył, iż w tej materii sądzi wraz z wszystkimi pozostałymi, że dawniejszy pan nie ma żadnego prawa od owego sługi dla tej racji, że go w tak ciężkiej opresji nie tylko opuścił, ale nawet wyrzucić go od siebie kazał i że sługa, obsypany dobrodziejstwami przez owego obcego człeka, słusznie staje się jego pachołkiem, przez co jego dawniejszemu panu żadna ujma ani krzywda się nie dzieje. Wszyscy zgromadzeni przy stole (wśród których wielu rozumnych ludzi się znajdowało) oświadczyli, że są tego samego co Niccoluccio zdania. Pan Gentile, ukontentowany wielce zarówno z responsu, jak i z tego, że go z ust Niccoluccia otrzymał, odrzekł, że i on myślał tak samo, i tymi słowy mowę swoją zakończył:

— Nadszedł czas, abym was uczcił zgodnie z uczynioną obietnicą.

I przywoławszy dwóch służących, posłał ich do damy z prośbą, aby raczyła się zjawić i obecnością swoją ucztę uświetniła. Po chwili dama, bogato przybrana, weszła do sali, niosąc na ręku pięknego synka swego i zgodnie z wskazówką pana Gentilego, obok jednego z dostojnych gości zasiadła. Pan Gentile, wskazując na nią, rzekł:

— Oto mój skarb, który zawsze za najdroższy na świecie uważać będę. Przyjrzyjcie się, a upewnicie się łatwie, że mam słuszność.

Szlachetni panowie poczęli się przesadzać w oznakach czci i pochwał dla pięknej damy i zapewniali rycerza, iż podobnego skarbu nigdy nadto ocenić nie można. Gdy się zaś bliżej wyglądowi jej przyjrzeli, z wielkim zdziwieniem odkryli w niej podobieństwo do znanej im osoby, i to tak dalece, że przysięgliby, iż to ona sama, gdyby nie to, że najmocniej o jej śmierci przekonani byli. Niccoluccio wpatrywał się w nią najbaczniej, pałając żądzą dowiedzenia się, kto ona zacz. Nie był już zdolny dłużej się pohamować i gdy Gentile nieco się oddalił, zapytał damy, czy jest mieszkanką Bolonii. Usłyszawszy głos swego męża, dama o mały włos się nie zdradziła, pohamowała się jednakoż w ostatniej chwili i milczała, dochowując danej rycerzowi obietnicy. Po chwili inny z gości zwrócił się do niej z zapytaniem, czy chłopiątko, które na rękach trzyma, do niej należy, a wkrótce trzeci zapytał, zali jest żoną Gentilego czy też krewną jego tylko. Na wszystkie te pytania nikt odpowiedzi nie otrzymał. Gdy pan Gentile pojawił się znów na sali, jeden z gości rzekł do niego:

— Zaiste, piękna jest ta białogłowa, ale niemą się nam być wydaje. Czyżby tak w samej rzeczy było?

— Jej milczenie, które tak ściśle dotychczas zachowuje — odrzekł Gentile — jest jeno niemałym jej cnoty dowodem.

— Powiedzcie nam tedy wy, kim ona jest — zapytał jeden z gości.

— Chętnie to uczynię — odparł rycerz — jeśli mi tylko przyrzekniecie, iż nikt z was nie ruszy się z miejsca, póki opowiadania swego nie skończę, cokolwiek bym rzekł.

Gdy przyrzeczenie dane zostało i gdy stoły usunięto, Gentile usiadł obok Cataliny i rzekł w te słowa:

— Dama ta jest owym wiernym i dobrym sługą, o którego was przed chwilą pytałem. Krewniacy wyrzucili ją na ulicę, jako rzecz lichą i nieużyteczną, ja zasię zabrałem ją do swego domu i do życia ją troskliwie przywróciłem. Bóg miał wzgląd na moje godziwe uczucie i odstraszającego trupa przemienił w piękną istotę, którą tu teraz przed sobą widzicie. Abyście jednak lepiej pojąć mogli, jak się to wszystko stało, pokrótce rzecz całą wam opowiem.

Tu Gentile, poczynając od miłości swojej dla damy, opowiedział szczegółowie o wszystkim, co się dotychczas zdarzyło, i w końcu dodał:

— Jeżeliście zdania swego pospołu z Niccolucciem w tak krótkim czasie nie zmienili, to dama ta winna z prawa należeć do mnie i nikt żadnych do niej roszczeń żywić nie może.

Nikt ani słowa nie odparł i wszyscy czekali, co pan Gentile dalej powie. Niccoluccio, żona jego i przytomni płakali rzewliwie. Pan Gentile podniósł się wreszcie, pochwycił chłopczyka w ramiona, ujął damę za rękę i zbliżywszy się do Niccoluccia rzekł:

— Powstań, przyjacielu! Nie żonę twoją ci oddaję, którą jej i twoi krewniacy z domu wyrzucili, ale daruję ci tę damę, kumę moją, wraz z jej maleńkim dzieciątkiem. Synek ten niewątpliwie ma w żyłach krew twoją. Nadałem mu przy chrzcie imię Gentile. Proszę cię, nie szacuj jej przez to lżej, iż w moim domu około trzech miesięcy przebywała, klnę się bowiem na Boga (który, być może, natchnął mnie miłością do niej dlatego, aby ta miłość narzędziem jej ocalenia się stała), klnę się, powtarzam, na Boga, iż dama ta nigdy przy ojcu swoim, przy matce ani przy tobie uczciwiej nie żyła jak przez ten czas przy matce mojej w tym domu.

Po czym zwracając się do damy rzekł:

— Madonno, uwalniam cię teraz od wszelkiej danej mi obietnicy i oddaję cię wolną w ręce Niccoluccia.

I rzuciwszy damę wraz z dziecięciem w ramiona uszczęśliwionego męża i ojca, na swoje miejsce powrócił.

Niccoluccio przyjął z uniesieniem żonę swoją i syna. Radość jego tym większa była, że ich przecież nigdy już ujrzeć się nie spodziewał. Brakło mu słów do wyrażenia

podzięki Gentilemu. Całe towarzystwo, wzruszone do łez, wynosiło pod niebiosa szlachetność rycerza. Dama powróciła do swego domu, gdzie ją z niewymowną radością przyjęto. Przez długi czas jeszcze uważano ją za zmartwychwstałą, tak iż dla całej Bolonii przedmiotem podziwu była. Pan Gentile żył długo w ścisłej przyjaźni z Niccolucciem, z jego krewniakami i z krewnymi jego żony".

Cóż powiecie teraz na to, szlachetne przyjaciółki moje? Zaliż mniemacie, że króla darowującego berło i koronę, opata, który nie ponosząc ofiary, złoczyńcę z papieżem godzi, lub wreszcie starca nadstawiającego szyję pod nóż wroga można porównać z panem Gentile, jeżeli o szlachetność i wspaniałomyślność chodzi? Młody kochanek, aczkolwiek czuł, że ma pełne prawo do białogłowy, którą inni porzucili, on zaś szczęśliwie przygarnął, nie tylko w uczciwy sposób namiętność swoją pohamował, ale mając już w rękach to, czego od tylu lat daremnie pragnął i co gotów był sobie przywłaszczyć, odrzekł się swego szczęścia i ukochaną kobietę innemu oddał.

Wierę, rycerz Gentile wielkodusznością swoją zaćmił wielkoduszność tych wszystkich, o których dotychczas słyszeliśmy.

Opowieść piąta. Cudowny ogród

Dianora prosi Ansalda o stworzenie ogrodu, który by w styczniu kwitnął podobnie jak w maju. Ansaldo przy pomocy czarodzieja życzenie jej spełnia. Mąż Dianory pozwala jej być powolną woli Ansalda, jednakoż rycerz, usłyszawszy o wspaniałomyślności Gilberta, młodą białogłowę od obietnicy uwalnia, a czarodziej, niczego nie żądając dla siebie, zwalnia ze słowa Ansalda.

Wszyscy wysławiali pod niebiosa szlachetność pana Gentilego. Po czym król wezwał z kolei Emilię, która jakby na ten znak czekając, w te słowa rezolutnie zaczęła:

— Nikt zaiste, drogie przyjaciółki, zaprzeczyć nie może, że pan Gentile prawdziwie wspaniałomyślnie postąpił. Gdyby ktoś jednak twierdził, że przewyższyć go pod względem szlachetności nie podobna, może by nietrudno było go przekonać, że się myli. Tego chcę wam dowieść w mojej opowieści.

„Friulania leży w stronie zimnej, tym niemniej piękne góry, liczne rzeki i przezrocze źródła wiele uroku i piękności krajowi temu przydają. Znajduje się tam miasto Udine, w którym żyła niegdyś piękna i szlachetna dama, madonna Dianora, będąca żoną bogacza, statecznego i dwornego człeka, nazwiskiem Gilberto. Wysokie zalety tej damy zjednały jej gorącą miłość szlachetnego i dostojnego barona, pana Ansalda z Grado,

męża wysokiego rodu, słynącego szeroko z męstwa i wytwornych obyczajów. Pan Ansaldo czynił wszystko, co w jego mocy leżało, aby wzajemność swej ukochanej pozyskać, zabiegał koło niej, ciągłe poselstwa do niej wyprawiał, aliści wszystkie te wysiłki próżne były. Madonna Dianora pojęła, że Ansaldo, na wszystko się ważący, mimo jej ciągłych odmów nie przestanie jej nigdy miłować i nagabywać prośbami swymi. Chcąc się od nieznośnego natrętnika uwolnić, postanowiła obrócić się doń z jakimś osobliwym i jak sądziła, niemożliwym do wypełnienia żądaniem. Dlatego też pewnego dnia rzekła do białogłowy przysłanej do niej przez barona:

— Zapewniłaś mnie trzykrotnie, dobra niewiasto, że pan Ansaldo miłuje mnie nade wszystko, a takoż ofiarowywałaś mi w jego imieniu bezcenne podarunki. Dary te niechaj zatrzyma dla siebie, dla nich bowiem ani go nie pokocham, ani powolną mu nie będę. Gdybym była upewniona, że mnie w samej rzeczy tak miłuje, jak o tym powiadasz, kto wie, może byłabym gotowa wzajemnością mu za afekt zapłacić i pragnienia jego spełnić. Niechaj mnie zatem o miłości swej przekona, czyniąc zadość życzeniu memu, a ja posłuch mu okażę.

— Jakież to życzenie, madonno? — spytała posłanka — powiedzcie, co pan Ansaldo ma dla was uczynić?

— Oto czego pożądam — odparła Dianora. — Pragnę, aby w ciągu nadchodzącego stycznia w pobliżu Udine powstał ogród pełen zielonej trawy, ziół świeżych i drzew kwitnących, mówiąc węzłowacie, ogród taki, jaki zwykliśmy w maju oglądać. Jeśli pan Ansaldo takiego sadu stworzyć nie potrafi, niechaj nie waży się ciebie ani kogokolwiek innego do mnie przysyłać, gdy mnie bowiem nadal nagabywać będzie, poskarżę się na niego memu mężowi i krewniakom, wobec których dotąd ścisłą tajemnicę zachowywałam, i nareszcie się go pozbędę.

Rycerz, dowiedziawszy się o żądaniu damy, pojął, że Dianora zapragnęła ucieszyć się w styczniu widokiem majowego ogrodu tylko dlatego, aby się od jego miłosnych prześladowań uwolnić. Chocia żądanie damy prawie niemożliwym do wykonania mu się wydało, postanowił przecie spróbować, czy mu się zadania wypełnić nie uda. W tym celu rozesłał po wszystkich krajach posłańców, aby odnaleźli kogoś, kto by mu w tej okoliczności radą i pomocą mógł służyć. Wreszcie znalazł się człek, który za dobrą zapłatą obiecywał sztuką czarodziejską dziw taki wywołać. Rycerz zgodził się zapłacić mu wysoką sumę, po czym, pełen otuchy, jął czekać z niecierpliwością na czas oznaczony. Wkrótce nastąpiła bardzo ostra zima. Ziemia pokryła się śniegiem i lodem. W ostatnią noc grudniową czarodziej przy pomocy sztuki swojej stworzył na łące obok

miasta jeden z najpiękniejszych ogrodów, jakie kiedykolwiek na świecie widziano, wedle zapewnień tych, co go oglądali, pełen ziół i drzew okrytych zarówno kwiatami majowymi, jak i jesiennymi owocami. Pan Ansaldo, ujrzawszy to, pełen uniesienia kazał pozrywać najpiękniejsze kwiaty i soczyste owoce i posłał je tajemnie madonnie Dianorze, prosząc ją, aby zechciała zachwycić swe oczy widokiem tego upragnionego przez nią ogrodu, który miał się stać dowodem i miarą jego afektów dla niej. Zarazem Ansaldo przypomniał Dianorze o danym mu i przysięgą utwierdzonym przyrzeczeniu, którego dopełnienie uczciwość niewieścia jej nakazuje.

Dama, ujrzawszy kwiaty i owoce i wiele nowinek o cudownym ogrodzie usłyszawszy, jęła gorzko żałować danej Ansaldowi obietnicy. Mimo to jednak, zdjęta ciekawością, wybrała się w towarzystwie wielu dam z miasta na obejrzenie tej wielkiej osobliwości. Przejęta szczerym podziwem, wróciła potem do domu z głębokim smutkiem na dnie serca; nękała ją bowiem myśl o niebacznie danym przyrzeczeniu. Smutek jej i zgryzota z dnia na dzień rosły, tak iż mąż zwrócił wreszcie uwagę na stan żony. Szlachetna dama milczała długo, wstydząc się przyznać do tego, co zaszło, wreszcie jednak nie wytrzymała i opowiedziała o wszystkim.

Gilberto z początku gniewem się zapalił, potem jednak przekonawszy się, że zamysły jego żony szlachetne były, powściągnął swój gniew i rzekł:

— Dianoro, stateczna i cnotliwa białogłowa nie powinna żadną miarą przyjmować poselstw miłosnych i w tajne układy z kimś się wdawać. Słowa, wchodząc przez uszy, do serca się dostają, przeto daleko większą moc mają, niż wielu ludzi sądzi, dla tego zasię, kto kocha, niepodobieństwa żadnego na świecie nie masz. Źleś postąpiła tedy, Dianoro, dając posłuch słowom miłości i podobną umowę zawierając. Ponieważ jednak uznaję czystość twoich intencyj i chcę cię od więzów obietnicy oswobodzić, pozwolę ci tedy uczynić to, na co by nikt inny zapewne nie pozwolił. Muszę ci wyznać takoż, że obawiam się czarnoksiężnika. Gdybyś pana Ansalda zwiodła, ani chybi mógłby on przy pomocy czarodziejskich praktyk krzywdę i szkodę nam wyrządzić. Idź zatem do Ansalda, postaraj się, aby cię od obietnicy uwolnił bez uszczerbku dla twej uczciwości, a jeśli te wysiłki na niczym spełzną, oddaj mu się ciałem, ale nie duszą.

Dama, usłyszawszy te słowa, rozpłakała się i rzekła:

— Nie chcę od ciebie tej łaski!

Gilberto jednak nie dał się zachwiać w raz powziętym postanowieniu.

Nazajutrz rankiem udała się tedy Dianora, w skromne szaty przybrana, w towarzystwie dwóch sług i pokojowej do domu pana Ansalda. Rycerz, usłyszawszy o

przybyciu damy, zadziwił się wielce, powstał, kazał przywołać do siebie czarnoksiężnika i rzekł:

— Pójdź i zobacz, jaki skarb sztuce twojej zawdzięczam.

Po czym pośpieszył na spotkanie damy, przyjął ją z godnością i z oznakami wielkiej czci, nie dając poznaki po sobie, że go grzeszne żądze palą. Po chwili wprowadził gości do wspaniałej komnaty, w której żywy ogień płonął. Gdy usiedli, pan Ansaldo rzekł:

— Madonno, jeśli tak wytrwała miłość, jak ta, którą dla was żywię, na jakąś nagrodę zasługuje, to zechciejcie mi powiedzieć, co was do mnie o tej porze i w tym towarzystwie sprowadza?

Dama, srogim wstydem zdjęta, odparła niemal ze łzami w oczach:

— Ani miłość moja do was, ani dane wam przeze mnie słowo tutaj mnie nie przywiodły. Stawiłam się w waszym domu, spełniając rozkaz małżonka mego, który, mając większy wzgląd na waszą grzeszną miłość niźli na cześć moją i własną, pójść mi tutaj polecił. Zadosyć jego woli czyniąc, gotowam jest pragnienie wasze tym razem wypełnić.

Jeśli przybycie damy zadziwiło pana Ansalda, to słowa jej jeszcze większym podziwem go przejęły, tak iż żądze jego ustąpiły miejsca współczuciu i uwielbieniu dla wspaniałomyślności Gilberta. Wzruszony, odparł w te słowa:

— Jeżeli tak jest, madonno, jak powiadacie, to niech Bóg broni, abym się miał stać krzywdzicielem czci człowieka, który tyle współczucia dla miłości mojej okazał. Pozostańcie, pani, w domu moim tak długo, jak chcecie; będę się obchodził z wami jak z najdroższą siostrą. Gdy będziecie pragnęli odejść, nikt wam na wstręcie nie stanie. Pamiętajcie jeno złożyć stosowne dzięki małżonkowi swemu za tyle szlachetności, dzisiaj względem mnie okazanej, i zechciejcie uważać mnie odtąd za swego brata i sługę.

Dama, usłyszawszy te słowa, zawołała z najżywszą radością:

— Spodziewałam się, znając szlachetność waszą, że ze mną właśnie tak, a nie inaczej postąpicie. Bądźcie upewnieni, że wdzięczność dla was wiecznie w sercu zachowam.

Po czym Dianora pożegnała się i ze czcią przez rycerza odprowadzona, powróciła do domu swego małżonka, któremu opowiedziała o wszystkim, co zaszło. Odtąd wierna i ścisła przyjaźń połączyła Gilberta z panem Ansaldem.

Czarnoksiężnik, przekonawszy się o wielkoduszności obu rycerzy, rzekł do pana Ansalda, gdy ten umówioną sumę wypłacić mu pragnął:

— Strzeż mnie, Boże, abym, obaczywszy, jak Gilberto czcią swoją, a wy miłością szczodrze szafujecie, chciał niższym od was się okazać. Pieniądze, które mi przyrzekliście, znajdują się w dobrych rękach, dlatego też niechaj w nich dalej pozostaną.

Rycerz, zakłopotany, próbował skłonić czarnoksiężnika do przyjęcia należnej mu sumy w całości lub w części przynajmniej, nie udało mu się to jednak. W trzy dni potem czarodziej zniszczył cudowny ogród i odjechał, serdecznie przez pana Ansalda pożegnany. Pan Ansaldo, wygnawszy z serca nieczystą miłość dla damy, uczciwą przyjaźń dla niej przez całe życie zachował".

Cóż o tym powiedzieć, drogie panie? Czyż miałybyśmy na poły umarłą niewiastę i miłość, która ochłodła, postradawszy nadzieję, sławić ponad tę wspaniałomyślność pana Ansalda, gorętszą niż kiedykolwiek przejętego miłością, pełnego najwyższych nadziei i mającego już w ręku zdobycz, za którą ubiegał się tak długo? Mniemam, że głupiec jeno mógłby wspaniałomyślność jego porównać z tą, o której słyszeliśmy poprzednio.

Opowieść szósta. Rybaczki

Zwycięski król Karol Stary zakochał się w młodej dzieweczce, jednakoż zawstydziwszy się swego szaleństwa, ją i jej siostrę godziwie za mąż wydał.

Zbyt długo szerzyć by się nam wypadło nad różnymi argumentami dam w tej materii, kto w odniesieniu się do pani Dianory wspaniałomyślniejszym się okazał: Gilberto, pan Ansaldo czy też czarnoksiężnik. Król pozwolił im dysputować nieco, po czym spojrzawszy na Fiammettę, wezwał ją do rozpoczęcia nowej opowieści i przerwania sporu. Fiammetta niezwłocznie w te słowa zaczęła:

— Szlachetne przyjaciółki! Zawsze tego mniemania byłam, że w towarzystwach, do naszego podobnych, w toku opowieści nie należy zbytnią zwięzłością grzeszyć, bowiem zwięzłość taka może się stać niejednokrotnie przyczyną sporów i nieporozumień. Dysputy zaś bardziej są na miejscu w szkołach, wśród uczniów i uczonych, niźli między nami, które nadajemy się zaledwie do kołowrotka. Dlatego widząc was sprzeczające się o to, co usłyszeliśmy, poniecham opowieści o zdarzeniach nową wątpliwość budzących, chociaż takie właśnie może mi na myśl przychodziły, i opowiem wam o postępku nie człeka prostego stanu, lecz rycerskiego króla, który postąpił dwornie, na żaden uszczerbek czci swojej nie narażając.

„Zapewne słyszałyście już nieraz o królu Karolu Starym, czyli Pierwszym. Wyruszywszy na wojenną wyprawę, pogromił on króla Manfreda, przez co wygnał z Florencji Gibellinów i Gwelfom bramy miasta otworzył. Pewien rycerz, imieniem Neri degli Uberti, musiał wówczas wraz z całą swoją rodziną i mnogim groszem Florencję opuścić. Oddał samego siebie i wszystko, co posiadał, pod poruczeństwo króla Karola i zmęczony życiem udał się w odosobnione miejsce do Castellamare di Stabia, aby tam w spokoju reszty dni swoich dokonać.

Przybywszy tam, nabył majętność oddaloną na strzał z łuku od miasta, a ukrytą w cieniu drzew oliwnych, orzechów i kasztanów, których nie brak w tej okolicy, i zbudował sobie piękny i przestronny dom, koło którego wkrótce uroczy ogród powstał. Pośrodku ogrodu, w którym źródełek nie brakło, obyczajem naszym, założył bez trudu staw rybny, zawsze w przezroczą i czystą wodę obfitujący. Rycerz nasz myślał tylko o tym, jakby co dzień jeszcze swój ogród upiększyć i przyozdobić. Pewnego dnia król Karol, szukając chłodu przed skwarem letnim, przybył do Castellamare. Usłyszawszy o piękności ogrodu pana Neri, zapragnął go zobaczyć, zasięgnąwszy zasię wiadomości o właścicielu, dowiedział się, że należy on do wrogiego mu stronnictwa. Król postanowił tedy okazać rycerzowi jak największą uprzejmość i polecił oznajmić mu, że następnego wieczora z czterema towarzyszami w ogrodzie jego z nim wieczerzać pragnie.

Pan Neri przyjął tę wieść z prawdziwą radością, wielkie przygotowania zarządził i porozumiał się z rodziną co do szczegółów przyjęcia króla. Ujrzawszy go nadchodzącego, wyszedł na jego spotkanie i z oznakami wielkiej czci do swego pięknego ogrodu go wprowadził.

Król, obejrzawszy ogród i dom, nie szczędził pochwał panu Neri, po czym umył ręce i zasiadł do stołu, ustawionego w cieniu drzew nad stawem. Grabia Guido z Monfortu, jeden z dworzan, wziął miejsce przy nim z jednej strony, a pan Neri z drugiej. Król rozkazał trzem pozostałym swym towarzyszom, aby usiedli tam, gdzie im pan Neri wskaże. Wniesiono wyborne potrawy i doskonałe wina; uczta świadczyła chlubnie o smaku i troskliwości gospodarza, odbywała się swobodnie a cicho i nowe pochwały z ust króla wywołała. Wesoło spożywał on potrawy, zachwycając się pięknością zacisznego ogrodu, gdy nagle pojawiły się w sadzie dwie dzieweczki, około piętnastu lat liczące. Włosy ich, do złotych nici podobne, wiły się w bogatych pierścieniach, ozdobionych lekkimi wiankami z pierwiosnków. Piękne i wdzięczne te dziewczynki raczej do aniołów niż do śmiertelnych istot podobne były. Odzież ich stanowiła tunika z białośnieżnego i cieniutkiego lnu, na nagie ciało włożona; od pasa w górę strój ten

ściśle do ciała przylegał, ku dołowi zasię rozszerzał się i swobodnie aż do samych stóp spływał. Dzieweczka, idąca przodem, niosła na ramionach dwie siatki, przytrzymując je lewą ręką, a w prawej długą laskę dzierżąc, druga, podążająca za nią, niosła na lewym ramieniu metalową patelnię, trzymając w jednej ręce wiązkę chrustu i trójnóg, a w drugiej czarę z oliwą i płonącą pochodnię. Widok tych dziewic szczerym podziwem króla przejął. Nie wiedząc, co ich pojawienie oznaczać miało, z ciekawością im się przyglądał.

Tymczasem dzieweczki z czcią i bojaźnią podeszły ku niemu, skłoniły się głęboko i postąpiły ku miejscu, skąd schodziło się do stawu. Dzieweczka niosąca patelnię złożyła ją wraz z innymi przyrządami na ziemi i pochwyciła za laskę, którą jej towarzyszka w ręku trzymała; po czym obie weszły do stawu, zanurzając się po piersi w wodzie. Tymczasem jeden ze sług pana Neri rozpalił żywo ogień, ustawił patelnię na trójnogu, wlał w nią oliwę i począł oczekiwać na ryby, które dziewice rzucać mu miały. Jedna z dzieweczek poczęła mącić laską wodę w stawie, tu i owdzie, gdzie wiedziała, że ryby się ukrywają, druga zasię nastawiła sieci. Król z przyjemnością patrzył na to rybołówstwo. Dzieweczki rychło wiele ryb ułowiły i rzucały je na brzeg, a sługa podnosił je i kładł żywcem niemal na patelnię. Najpiękniejsze okazy ciskały, jak je nauczono, na stół przed króla, grabiego Guida i pana Neri. Ryby trzepotały się na stole, co tak bawiło króla, iż chwytał niektóre i odrzucał je żartobliwie dziewicom.

Tak figlowali przez chwilę, dopóki sługa nie przyrządził z podanych mu ryb potrawy, którą nie jako szczególnie smakowite danie, ale jako osobliwość, zgodnie z rozkazem pana Neri, królowi podano.

Dzieweczki zakończywszy połów, widząc, że ryby już usmażone, wyszły wreszcie z wody na brzeg. Białe i cienkie ich szaty, wodą zmoczone, tak ściśle do ciał przylegały, iż z uroczych ich kształtów ciekawemu oku nic tajnym nie było.

Rybaczki zabrały przyniesione przedmioty i wstydliwie przeszedłszy obok króla, do domu powróciły.

Król, grabia Guido i posługujący przy stole nie mogli oczu oderwać od dziewic. Każdy uznał je w duszy nie tylko za piękne i kształtowne wielce, aliści też oddał należną pochwałę ich wdziękowi i skromności. Najmocniej jednak królowi się podobały. Gdy wyszły z wody, począł chłonąć zachwyconym wzrokiem każdy szczegół ich ciała i tak się zapatrzył, że gdyby go ktoś w tej chwili ukłuł, ani chybi, nie poczułby tego. Gdy zasię dzieweczki zniknęły, nie przestał myśleć o nich.

Nie wiedząc jeszcze, kto one zacz i skąd pochodzą, poczuł nagle ogromne pragnienie przypodobania się im i wraz poznał, że w sercu jego miłość rodzić się pocznie, jeżeli nie będzie miał się na baczności.

Król nie mógł sobie nawet zdać sprawy, która z dzieweczek bardziej mu do gustu przypada, tak bowiem uderzająco podobne do siebie były. Długo siedział w milczeniu, pogrążony w myślach, aż wreszcie zwrócił się do pana Neri i spytał, kim są te dzieweczki.

— Najjaśniejszy panie — rzekł Neri — są to moje córki bliźniaczki. Jedna nazywa się Ginevra Piękna, druga Isotta Jasnowłosa.

Król od nowa począł wysławiać urodę dzieweczek i radził panu Neri, aby prędko za mąż je wydał. Pan Neri odparł, że na razie myśleć o tym mu nie lza. Uczta dobiegała końca i jeszcze tylko owoców nie dostawało. Do stołu zbliżyły się znowu dzieweczki, tym razem w inne, jedwabne szaty przybrane, niosąc w rękach wielkie srebrne półmiski, pełne rozmaitych owoców, i postawiły je przed królem, po czym, usunąwszy się nieco na stronę, zanuciły pieśń, poczynającą się od słów następujących:

Gdzie mnie zawiodłeś, Amorze zdradliwy,
Nie zdołam tego wyrazić słowami.

Śpiewały tak wdzięcznie i czarująco, iż królowi, przysłuchującemu się i spoglądającemu na nie w zachwycie, zdało się, że to chóry anielskie zeszły na ziemię. Gdy pieśń przebrzmiała, obie dziewice klękły ze czcią przed królem i prosiły, aby im odejść pozwolił. Chocia królowi niesporo było się z nimi rozstawać, przecie odpuścił je, czyniąc wesołości pozór.

Wkrótce potem, po skończonej wieczerzy, król siadł na koń wraz z towarzyszami swymi i pożegnawszy pana Neri, wśród rozmów o różnych sprawach, powrócił do swego pałacu.

Król ukrywał starannie przed wszystkimi skłonność swoją, aliści nawet ważne sprawy państwowe nie pozwoliły mu zapomnieć o urodzie i wdzięku Ginevry Pięknej. Karol uwikłał się w pęta miłości. Isotta była mu także droga, przez swoje podobieństwo do Ginevry. Afekt jego z dnia na dzień się wzmagał, tak iż już niemal myśleć o czymś innym zdolny nie był. Pod różnymi pozorami począł ścisłe stosunki z panem Neri utrzymywać i odwiedzał często piękny ogród jego, jedynie dla obaczenia dzieweczki ukochanej.

W końcu jednak hamowana ta miłość istną katuszą dla niego się stała. Nie wiedząc, jakiego się środka chwycić, postanowił porwać nie jedną, ale obie dziewice. Król zwierzył się ze swego zamysłu grabiemu Guido.

Grabia, człek rycerski i mądry, odrzekł monarsze w te słowa:

— Najjaśniejszy Panie! Słowa twoje niezmiernym zdziwieniem mnie przejęły, tym większym, że znając cię od dzieciństwa prawie, lepiej niż ktokolwiek inny mogłem poznać przyrodzenie i skłonności twoje.

Nigdy przecie za czasów twojej młodości, gdy miłość przemożniejszą władzę nad tobą mieć była powinna, podobnej namiętności w tobie nie dostrzegłem. Dlatego też dowiedziawszy się przed chwilą, że dziś, gdy już do starości się zbliżasz, uczuciem miłości zapłonąłeś, wierę, prawdziwym cudem mi się to być zdawa.

Gdyby mi się godziło nauki ci dawać, powiedziałbym, że w obecnych okolicznościach, gdy się znajdujesz pod bronią w państwie niedawno zdobytym, wśród ludności obcej i zawsze do fałszu i zdrady skłonnej, mając do ukończenia sprawy ważkie i zwłoki niecierpiące, winieneś nie zaniedbywać ich dla płochej miłostki, zważ bowiem, że postępujesz jak słaby i nierozważny młodzieniec, a nie jak wielki i roztropny król.

Nie dosyć na tym!

Powiadasz mi, żeś postanowił wydrzeć obie córki biednemu rycerzowi, który cię w domu swoim ugościł nad możność swoją i dla tym większego uczczenia cię dziewice te nagimi prawie ci pokazał, dając przez to poznać, jak wielką ufność w tobie pokłada. Mniemał, że jesteś królem, a nie wilkiem drapieżnym. Jakże to? Zaliżeś już zapomniał, że właśnie gwałty, popełnione na niewiastach przez Manfreda, otwarły ci wejście do tego królestwa? Jakaż to zdrada na gorszą by karę zasługiwała od tej, której byś ty się dopuścił, wydzierając biednemu, oddanemu ci człekowi jego cześć, nadzieję i pociechę?

Cóż by powiedziano o tobie, gdybyś to uczynił? Może wystarczającym usprawiedliwieniem ci się to wyda, gdy powiesz sobie: »To Gibellin!«.

Zaliż tak się zmieniło pojęcie o sprawiedliwości królów i zali w ten sposób postępować oni powinni z tymi, którzy u nich opieki szukają, kimkolwiek by byli? Bacz, królu, że jeżeli zwycięstwo nad Manfredem wielką cię okryło chwałą, to zwycięstwo nad samym sobą jeszcze większą sławę ci przyniesie.

Przemóż tedy naprzód samego siebie, ty, któremu Bóg kazał innych prowadzić i karać, okiełznaj żądze swoje i nie chciej podobnie szkaradną plamą lśniącego blasku swoich czynów zaćmiewać.

Słowa te mocno zabolały i głęboko przejęły króla, który słuszności grabiemu zaprzeć nie mógł. Dlatego też, westchnąwszy po kilkakroć, rzekł:

— Grabio! Zaiste, poznaję teraz, że wszelki wróg, w porównaniu do własnej namiętności, doświadczonemu wojownikowi słabym i łatwym do zwyciężenia się wydaje. Jakkolwiek wielka jest boleść moja i mimo że nadprzyrodzonej siły w tej chwili mi potrzeba, słowa twoje takiego bodźca mi dodają, że nim kilka dni upłynie, dowiodę ci czynem, że nie tylko innych zwyciężać umiem, ale i nad samym sobą zapanować.

Po kilku dniach król do Neapolu powrócił. Tak dla odjęcia sobie możności szkaradnego postępku, jak i dla wynagrodzenia rycerza za gościnność u niego doznaną, chociaż ciężko mu przychodziło oddawać w ręce innemu to, czego najbardziej pragnął dla siebie, postanowił wydać obie dziewice za mąż i takie wesele im wyprawić, jakby jego rodzonymi córkami były. Za zgodą tedy pana Neri wyposażył je świetnie i dał Ginevrze Pięknej za męża pana Maffeo da Palizzi, Isotcie Jasnowłosej pana Wilhelma della Magna, obydwu znakomitych rycerzy, z wysokich rodów idących. To uczyniwszy, sam, w niewymownej boleści pogrążon, do Apulii się udał i tam dzięki nieustannym usiłowaniom i trudom z pęt nieszczęsnej miłości się wyrwał, aby już do końca życia od podobnych namiętności wolnym pozostać".

Powie ktoś może, iż niewielka to rzecz dla króla wydać za mąż dwie dzieweczki. Nie przeczę: ale o ileż większą i zgoła bardzo wielką się okaże, jeżeli dodać, że uczynił to król zakochany, a wydał za mąż tę, którą miłował, nie uszczknąwszy z drzewa swej miłości ani listka, ani kwiatka, ani żadnego owocu. Czyn to więc króla zaiste wspaniałego, który szlachetnemu rycerzowi wysoką dał nagrodę, miłym sobie dzieweczkom chwalebnie cześć okazał, a siebie samego niezłomnie zwyciężył.

Opowieść siódma. Król rycerz

Król Piotr, uznawszy o miłości, jaką doń żywi chora Liza, pociesza ją, a potem wydaje za mąż za młodzieńca szlachetnego rodu, i ucałowawszy ją w czoło, zawsze odtąd nazywa siebie jej rycerzem.

Gdy Fiammetta opowieść swoją skończyła, wszyscy poczęli wysławiać męską wielkoduszność króla Karola. Tylko jedna z dam, jako stronniczka Gibellinów, chwalić go nie chciała. Wreszcie Pampinea na wezwanie króla w te słowa zaczęła:

— Nikt rozumny, zacne damy, nie będzie się mógł odnieść do osoby dobrego króla inaczej, niźliście wy się odniosły, chyba że będzie doń z innej przyczyny żywił jakiś

rankor lub urazę. Przywiodło mi to na pamięć, jak się niemniej chwalebnie zachował jeden z jego przeciwników względem pewnej młodej Florentynki; opowiem wam tedy o tym.

„W czasie gdy już Francuzów z Sycylii wypędzono, żył w Palermo pewien Florentczyk, nazwiskiem Bernardo Puccini, handlem korzennym się zajmujący. Był to człek bogaty. Żona obdarzyła go jedną tylko córką, będącą w wieku już do zamęścia zdolnym. Król Piotr Aragoński, stawszy się panem wyspy, wydał w Palermo wspaniały turniej, w którym wziął udział pospołu ze swymi baronami katalońskimi, bawiąc się gonitwami. Córka Bernarda, Liza, przyglądająca się grom rycerskim z okna wraz z innymi niewiastami, ujrzała króla kruszącego kopie i takie doń upodobanie poczuła, że wkrótce gorąca miłość do jej serca się zakradła. Gdy turniej dobiegł do końca i znalazła się w domu rodzica, o niczym innym już myśleć nie była w stanie, jak tylko o swej zuchwałej miłości. Dręczyła ją niezmiernie świadomość pomiernego stanu, który stał na wstręcie spełnieniu jej życzeń. Jednakoż mimo to afektów swoich zwalczyć nie mogła. Trzymała miłość swoją w głębokiej tajności, aby przy wyznaniu srogiego zawodu nie doznać. Król oczywiście o niczym nie wiedział i niczego się nie domyślał; biedna dziewczyna znosiła tedy w cichości najstraszniejszą boleść, jaka jest na ziemi. Nieszczęśliwa miłość z dnia na dzień w sercu jej rosła, aż wreszcie w głęboką się przemieniła melancholię. Niezdolna dłużej wytrzymać w tym stanie zachorowała i poczęła z dnia na dzień topnieć jak śnieg na słońcu.

Ojciec i matka, stroskani tą chorobą, silili się dopomóc córce na wszelki możliwy sposób; przywoływali różnych doktorów, dostarczali leków, pokrzepiali serdecznymi słowami, wszystko to jednak nic nie pomagało, ponieważ dzieweczka udręczona swoją nieszczęśliwą miłością straciła wszelką do życia ochotę. Rodzic przyrzekł wszystkie życzenia jej wypełniać. Pewnego dnia przyszło jej tedy na myśl, że przed śmiercią powinna spróbować, zali nie uda się jakimś stosownym sposobem powiadomić króla o swej miłości dla niego. Poprosiła więc ojca, aby wezwał do niej niejakiego Minuccia z Arezzo. Ów Minuccio za znakomitego lutnistę i pieśniarza wówczas uchodził, a ciesząc się wszelkimi łaskami samego króla Piotra, często na jego dworze był przyjmowany. Bernardo, przekonany, że jego córka chce się grą i śpiewem rozweselić, poprosił lutnistę o odwiedzenie swego domu; Minuccio, człek wielce dworny, przybył nie mieszkając.

Wprowadzony do komnaty chorej, obrócił się do niej z kilkoma serdecznymi słowami, rozweselił ją trochę i przy wtórze lutni kilka tkliwych piosenek miłosnych jej

zaśpiewał. Piosenki te miast serce dziewczynki ukoić, stały się dla niej ogniem i płomieniem. Gdy lutnista skończył, dzieweczka rzekła, że chciałaby z nim pomówić w cztery oczy. Wszyscy opuścili komnatę, a wówczas Liza w te słowa zaczęła:

— Wybrałam cię, Minuccio, na powiernika pewnej mojej tajemnicy i spodziewam się, że nigdy jej nikomu nie zdradzisz krom osoby, której imię ci wymienię. Mniemam takoż, że w miarę sił nie odmówisz mi pomocy, o którą teraz cię błagam. Wiedz tedy, szlachetny mój Minuccio, że w tym dniu, gdy król Piotr z racji objęcia władzy nad Sycylią wielki turniej urządził, ja, obaczywszy go w zbroi rycerskiej, taką doń miłością zapłonęłam, że miłość ta dowiodła mnie wkrótce do dzisiejszego nieszczęśliwego stanu. Pojmuję dobrze, że miłość moja tak wysokiego kochanka godna nie jest, jednakoż nie mogąc jej z serca wyrwać ani nawet siły jej osłabić, wybrałam mniejsze zło i postanowiłam umrzeć, aby kres okrutnym moim cierpieniom położyć. Tak też uczynię. Zaprawdę jednak odeszłabym z tego świata bez żadnej pociechy, gdyby król nie dowiedział się przedtem o miłości mojej. Któż jednak mógłby mu donieść o tym? Mniemam, że krom ciebie nikt by się tego nie podjął, dlatego też błagam cię, abyś to zadanie wziął na się. Gdy zaś go dokonasz, donieś mi, abym się od tych cierpień wyzwoliła i mogła umrzeć spokojnie.

Co rzekłszy zamilkła i rzewliwymi łzami się zalała.

Minuccio zadziwił się wielkoduszności jej serca i srogiemu postanowieniu, które go wzruszyło głęboko. Pomyślawszy kęs czasu nad tym, w jaki by sposób jej życzenie bez uszczerbku dla czci wypełnić, rzekł:

— Klnę się na mą duszę, Lizo, że cię nigdy nie zdradzę. Pochwalam wysokie twoje uczucia i nie dziwię się, że serce tak wielkiemu królowi oddałaś. Ochotnie przyrzekam ci pomoc moją, tę nadzieję żywiąc, iż nim miną trzy dni, jeżeli tylko uspokoić się zechcesz, przyniosę ci wiadomość, która cię ukontentuje. Teraz zasię, nie chcąc chwili czasu tracić, opuszczam cię, aby do dzieła przystąpić.

Liza raz jeszcze powtórzyła swoje prośby, obiecała mu, że będzie dbała o siebie i czekała cierpliwie, po czym pożegnała go, poleciwszy go Bogu. Minuccio po rozstaniu z nią udał się natychmiast do niejakiego Mica ze Sieny, który wówczas jako znakomity wierszopis słynął, i prośbami swymi do ułożenia następującej pieśni go skłonił:

Miłości boże, leć do mego pana
Z wieścią, w jak wielkim tu cierpieniu mdleję,
Że śmierć mi tylko jedna pożądana,

Bom w sobie zabić musiała nadzieję!
O, błagam ciebie rzewnych łez potokiem,
Idź go poszukać w zamkach, gdzie przebywa.
Powiedz, że za nim tylko błądzę wzrokiem
Umierająca przezeń, przezeń żywa,
Płomieniom takim jakże się obronię?
Śmierć mnie wyzwolić jedna od nich zdoła,
Lecz próżno tęsknie czekam jej anioła,
By wstyd i żądzę zgasił w moim łonie;
Serce mi pęka, głowa żarem płonie,
A bóg wciąż jeszcze nie woła!
Miłości boże, wlałeś do mej duszy
Uczucia nadto, odwagi zbyt mało,
Serce me nigdy wyznać mu nie śmiało
Najmniejszym drgnieniem wewnętrznych katuszy.
Gdy o tym kiedyś pomyślę zuchwała,
Wszystka krew w żyłach stygnie mi z obawy,
A jednak czuję, że gdybym umiała
Dzieje boleści mej opisać krwawej,
On by mnie słuchał, słodki i łaskawy,
I twarz by jego jaśniała!
Lecz nigdy, nigdy siebie nie przemogę,
Nie zgłuszę trwogi, co mi duszę kowa,
Umrą wraz ze mną mej miłości słowa,
Wraz ze mną pójdą w tajemniczą drogę,
Więc za tę krzywdę, o miłości boże,
O jedną łaskę proszę cię na ziemi.
Wspomnij mu dzień ten, kiedy w panów zborze
Kopije kruszył dłońmi rycerskimi,
Od tego czasu myślami wszystkimi:
On pan mój — wołam w pokorze!

Do słów tych Minuccio natychmiast melodię dorobił stosowną do treści piosenki, tęskną i tkliwą, a trzeciego dnia udał się na dwór w porze, gdy król Piotr jeszcze przy

stole siedział. Monarcha, ujrzawszy go, rozkazał mu zaśpiewać coś przy wtórze lutni. Minuccio, posłuszny rozkazowi króla, zanucił natychmiast powyższą piosenkę. Śpiewał z takim kunsztem i takim w głosie wzruszeniem, że wszyscy przytomni w królewskiej komnacie chłonęli w milczeniu słowa pieśni, głęboko przejęci, a król niemal bardziej od innych.

Gdy Minuccio skończył, król zapytał go, skąd nauczył się tej piosenki, której nigdy jeszcze dotąd nie śpiewał.

— Miłościwy panie — rzekł Minuccio — nie minęły jeszcze trzy dni, odkąd ułożono słowa i melodię tej pieśni.

Król zapragnął dowiedzieć się, kto jest twórcą słów i melodii. Wówczas Minuccio odparł:

— Mogę to odkryć tylko samej waszej królewskiej miłości!

Król, wielce ciekawy, wstawszy od stołu, wezwał Minuccia do swoich komnat. Lutnista opowiedział mu z kolei o wszystkich okolicznościach wiążących się z usłyszaną przed chwilą piosenką. Król, mile zdziwiony, pochwalił dzieweczkę i rzekł, że dla tak godnej istoty współczucie mieć należy. Polecił przeto Minucciowi udać się do niej, dodać jej otuchy i oświadczyć, iż król tegoż dnia jeszcze nad wieczorem niechybnie ją odwiedzi.

Minuccio, uszczęśliwiony, że tak radosną wieść będzie mógł dziewicy zanieść, opuścił nie mieszkając komnaty królewskie, udał się do Lizy, opowiedział jej bez świadków o wszystkim i zaśpiewał piosenkę przy wtórze lutni.

Dzieweczka tak się uradowała, że niezwłocznie wracać jej poczęły utracone siły. Pełna tęsknoty oczekiwała wieczora i odwiedzin swego pana, nie uprzedziwszy o niczym domowników.

Tymczasem król, pan wielce łaskawy i dobrotliwy, szczegółowie całą sprawę rozważył. Znając piękność dziewicy, coraz większym współczuciem dla niej się przejmował. Gdy wieczór zapadł, siadł na koń i pod pokrywką, że na przechadzkę wyrusza, udał się do domu kupca. Po przybyciu kazał powiedzieć gospodarzowi, że pragnie obejrzeć jego piękny ogród. Bernardo z radością wprowadził króla do ogrodu. Po chwili monarcha zapytał Bernarda, czy córka jego jeszcze za mąż nie wyszła?

— Miłościwy panie — odparł Bernardo — córka moja jeszcze zamężna nie jest, co się zaś jej zdrowia tyczy, to chorzeje mi ciężko od pewnego czasu. Dzisiaj jednakoż od rana stan jej cudownie się polepszył.

Król odgadł od razu, jaka jest tej poprawy przyczyna, i rzekł:

— Nieopłakana byłaby to szkoda, gdyby tak piękną istotę przedwczesna śmierć miała wydrzeć światu. Pozwól, Bernardo, że córkę twoją odwiedzę.

Uszczęśliwiony Bernardo wprowadził króla i dwóch towarzyszy jego do komnaty dziewicy. Po chwili król zbliżył się do łoża, na którym z lekka uniesiona ku górze, leżała oczekująca nań Liza.

— Co to ma znaczyć, madonno — rzekł król ujmując jej rękę. — Młodzi jesteście, przeznaczeni k'temu, aby innym życie osładzać, przeczże tedy poddajecie się tak chorobie? Prosimy, abyście przez miłość dla nas lepszej myśli nabrali i starali się wyzdrowieć jak najprędzej.

Dziewica, dotknięta ręką człeka ukochanego nad wszystko w świecie, uczuła w głębi duszy taką rozkosz, jakby ją do raju przeniesiono. Po chwili, pokonawszy zmieszanie i zawstydzenie, rzekła w te słowa:

— Najdostojniejszy Panie! Przyczyną mojej choroby jest, że mymi nikczemnymi siłami zbyt wielki ciężar podjąć chciałam. Teraz czuję jednakoż, że dzięki łaskawości waszej zdrowie mi już powracać zaczyna.

Król tylko pojął ukryte znaczenie słów dziewicy i coraz większy czuł dla niej szacunek, a nawet użalać się począł na los, że tak szlachetną istotę uczynił córką człeka nikczemnego stanu. Po czym, pogawędziwszy nieco i pokrzepiwszy ją jeszcze łagodnymi słowami, odjechał.

Ta łaskawość wiele pochwał dla króla wywołała. Odwiedziny monarchy Bernardowi i jego córce wielki zaszczyt przyniosły. Liza łaską królewską tak była uszczęśliwiona, jakby ją kochanek najczulszymi obsypywał pieszczotami. Mając duszę pełną nadziei, wkrótce do zdrowia przyszła i piękniejszą niż kiedykolwiek się stała.

Król, uznawszy o jej powrocie do zdrowia, naradził się z królową nad tym, jakiej nagrody podobna miłość jest godna, po czym siadł na koń i w otoczeniu wielu baronów swoich udał się do domu Bernarda. Wszedłszy do ogrodu, polecił jego i córkę przywołać. Wkrótce przybyła także królowa z kilkoma damami, które, wziąwszy dzieweczkę między siebie, mnóstwem serdeczności ją obsypały. Król, stanąwszy przy boku królowej, rzekł do Lizy w te słowa:

— Szlachetne dziewczę! Niezmierna miłość, jakąś dla nas żywiła, dała ci prawo do otrzymania wielce zaszczytnej nagrody. Pragniemy gorąco, abyś z ukontentowaniem z rąk naszych ją przyjęła.

Nagroda ta na tym się zasadza, iż chcemy ci dać za małżonka człeka naszego wyboru, a mimo to imię twojego rycerza dla siebie zatrzymać. Za miłość zasię nie chcemy innego zadośćuczynienia krom jednego pocałunku.

Dziewica na te słowa spłonęła ze wstydu, po czym poddając się woli królewskiej odrzekła z cicha:

— Miłościwy Panie! Wiem, iż gdyby dowiedziano się, żem was pokochała, większość ludzi na świecie za szaloną by mnie poczytała, niepojmującą może tej różnicy, jaka między waszym a mym stanem zachodzi. Bóg jednak, który serca ludzkie przenika, wie dobrze, że w chwili, gdym wam serce moje oddawała, wiedziałam przecie, iż jesteście panem i królem moim, ja zasię córką korzennego kupca. Rozumiałam takoż, jak zuchwałą jest rzeczą pragnienia serca ku tak wysokiemu celowi kierować.

Miłość jednakoż nie z rozmysłu, lecz nieodpartego rodzi się pociągu, jak to wiecie lepiej ode mnie. Długo i daremnie walczyłam z nią wszelkimi siłami, wreszcie uległam, pokochałam was i już wiecznie miłować was będę.

Ponieważ w chwili gdym się poczuła własnością waszą, postanowiłam nie mieć innej woli krom waszej, nie tylko tedy przyjmuję tego, kogo za małżonka mi dajecie, i za miłego sobie mieć go będę, skoro cześć mi i stan należny zapewni, ale przysięgam, że gdybyście w ogień skoczyć mi kazali, uczyniłabym to z radością, szczęśliwa, że się wam przez to spodobam.

Mało mi przystoi, o królu, mieć was za rycerza swego; sami przecie dobrze o tym wiedzieć powinniście, dlatego więcej o tym mówić nie będę. Co się zaś tyczy pocałunku, którego jedynie od miłości mojej żądacie, to bez pozwolenia królowej udzielić go wam nie mogę.

Za łaskę, jaką mi teraz pospołu z królową wyrządzacie, niechaj wam Bóg zapłaci, ja bowiem stosownej nagrody dać wam nie umiem.

To rzekłszy, zamilkła. Królowej odpowiedź ta podobała się wielce, a dziewica wydała się jej tak rozumna, jak król ją przedstawił.

Król polecił przywołać matkę i ojca dzieweczki, a widząc, że zamiarom jego na wstręcie nie stają, przyzwał pewnego ubogiego młodzieńca, szlachetnego rodu, imieniem Perdicone, i wręczywszy mu dwa pierścienie wezwał go do zaręczenia się z Lizą, na co młodzieniec z radością przystał. Po czym król obdarował ich wielu drogimi klejnotami oraz dwoma pięknymi i urodzajnymi majętnościami, Ceffalù i Calatabellotta, a następnie rzekł w te słowa do Perdicona:

— Dajemy ci to w podarku jako wiano twej narzeczonej. W przyszłości dowiesz się, co jeszcze dla ciebie uczynić zamierzam.

Po czym zwracając się do Lizy rzekł:

— A teraz uszczknijmy owoc, który się nam od miłości twojej należy.

I wziąwszy Lizę za głowę oburącz, w czoło ją pocałował.

Perdicone i rodziciele Lizy, uszczęśliwieni na równi z nią, wspaniałą ucztę wydali i świetne wyprawili wesele.

Jak wielu za rzecz pewną podaje, król wiernie dotrzymał przyrzeczenia danego dzieweczce; przez cały bowiem ciąg życia swego mienił się zawsze jej rycerzem i nie wyruszał nigdy na jakąkolwiek rycerską wyprawę z inną przepaską, jak z jej rąk otrzymaną.

Takimi oto czynami jedna się sobie serca poddanych, innych do wzniosłego naśladownictwa się zachęca i nieśmiertelną pozyskuje sławę. Do czynów takich jednakoż mało są nakłonieni dzisiejsi władcy, którzy okrucieństwu i tyranii coraz bardziej hołdują".

Opowieść ósma. Dwaj przyjaciele

Sofronia, sądząc, że za Gisippa za mąż wychodzi, oddaje rękę swoją Tytusowi Quinctiusowi Fulviusowi i wraz z nim do Rzymu się udaje. Po pewnym czasie przybywa do Rzymu Gisippus, w wielkiej biedzie żyjący. Myśląc, że Fulvius znać go nie chce, przyjmuje na się winę morderstwa, pragnąc śmierć ponieść. Tytus, poznawszy przyjaciela, aby go ocalić, bierze na siebie winę morderstwa, co widząc, przyznaje się prawdziwy jego sprawca. Cesarz Oktawian uwalnia wszystkich. Wówczas Tytus oddaje Gisippowi w zamęście siostrę swoją i majętnością z nim się dzieli.

Gdy Pampinea opowiadanie swoje skończyła, wszyscy, a zwłaszcza stronniczka Gibellinów, żywymi pochwałami króla Piotra obsypali, po czym Filomena, królewskiemu rozkazowi posłuszna, w te słowa zaczęła:

— Szlachetne przyjaciółki! Komuż z nas nie jest wiadome, że królom, gdy tylko zechcą, największych rzeczy dokonać jest łatwo, a więc i od nich nade wszystko oczekuje się wspaniałomyślności. Czy jednakoż zasługują oni przez to na podziw największy? Kto mając po temu możność, czyni, co czynić powinien, jest sprawiedliwym człekiem; na większy podziw i pochwałę zasługuje jednakoż ten, co mniejszą możność mając i mniej pozwalając się spodziewać, podobnie chwalebnie zwykł postępować.

Chwalicie postępki królów i za piękne je uważacie, ja zasię nie wątpię, iż podobny królewskiemu albo i przewyższający go czyn człowieka, równego nam stanem swoim, więcej jeszcze się wam spodoba i gorętsze z ust waszych wywoła pochwały. Postanowiłam dlatego przedstawić wam w opowieści mojej wspaniałomyślny i chlubny postępek dwóch prostych obywateli, przyjaźnią związanych.

„Za czasów tedy, gdy Cezar Oktawian nie nosił jeszcze przydomku Augusta, ale jako członek triumwiratu państwem rzymskim zarządzał, żył w Rzymie pewien szlachetny obywatel, nazwiskiem Publius Quinctius Fulvius. Syn jego, imieniem Tytus, młodzian wielkich zdolności, został wysłany do Aten dla dopełnienia nauk swoich. Ojciec polecił go najgoręcej staremu przyjacielowi swemu, szlachetnemu człekowi, imieniem Chremes. Chremes przyjął Tytusa do domu swego i swemu synowi, imieniem Gisippus, za towarzysza go przydał, obydwóch zasię oddał pod poruczeństwo mędrca Aristippa, aby ich po równi wykształcił.

Młodzieńcy, ciągle razem przebywający, podobni do się obyczajami i skłonnościami, tak ścisłą między sobą przyjaźń zawiązali, że chyba jeno śmierć rozdzielić ich byłaby zdolna. Nie znajdowali przyjemności i wytchnienia, jak tylko we wzajemnym obcowaniu.

Nauki swoje rozpoczęli wspólnie i jednakimi zdolnościami obdarzeni, równo dosięgli, ku wielkiej chlubie swojej, wyniosłych szczytów mądrości.

Ku wielkiej radości Chremesa, który sam nie wiedział niemal, kogo z nich bardziej po ojcowsku miłuje, młodzieńcy nasi przez trzy lata wspólne nauki pobierali. Gdy okres ten upłynął, Chremes, już w wieku szedziwym będący, nieuchronną rzeczy koleją z życiem się rozstał.

Strata ta obu przyjaciół równą boleścią przejęła. Jęli nosić po zmarłym jednaką żałobę, niby po wspólnym ojcu, tak że przyjaciele i krewniacy Chremesa nie wiedzieli, który z nich w nieszczęściu większej potrzebuje pociechy.

Gdy kilka miesięcy minęło, przyjaciele Gisippa i jego krewniacy poczęli go wespół z Tytusem do ożenku nakłaniać. Swatali mu dzieweczkę wielkiej piękności, z bardzo szlachetnego rodu idącą. Zwała się Sofronia, pochodziła z Aten i zaledwie szesnastą wiosnę życia liczyła.

Przed umówionym dniem zaślubin Gisippus poprosił Tytusa, aby poszedł z nim odwiedzić jego narzeczoną, której do tej pory nie był jeszcze widział. Gdy weszli do jej komnaty, a ona zasiadła między nimi, Tytus, chcąc ocenić piękność oblubienicy, począł się jej uważnie przypatrywać. Wdzięk jej i uroda tak mu niezmiernie do gustu

przypadła, iż w duchu od gorących pochwał wstrzymać się nie mógł i wkrótce zapłonął do niej szaloną miłością, nie dając jednak poznać po sobie, co się w jego duszy dzieje.

Zabawiwszy kęs czasu w domu dziewczęcia, dwaj przyjaciele pożegnali Sofronię i do domu powrócili. Tytus, ujrzawszy się samotnym w swojej komnacie, oddał się myślom o pięknej dziewicy. Im szczegółowiej wdzięki jej rozważał, tym silniejszym żarem się zapalał. Spostrzegł wreszcie, co się z nim dzieje, i wzdychając głęboko zawołał do siebie:

»Biada ci, Tytusie! Dokądże to i ku czemu obracasz myśli twoje, miłość twą i nadzieję? Jakże to? Zali nie wiesz, że tak dla wyświadczonej ci przez Chremesa i jego rodzinę gościnności, jako też dla ścisłej przyjaźni, z Gisippem cię wiążącej, powinieneś patrzyć na tę dziewicę ze czcią przynależną siostrze?

Dlaczego pozwalasz porywać się żądzy; jakiejże to zdradzieckiej poddajesz się nadziei? Otwórz oczy rozumu swego i opamiętaj się, nieszczęśniku. Daj do siebie przystęp rozwadze i żar swoich zmysłów pohamuj, okiełznaj szaloną żądzę, myśli swoje zwróć ku innej stronie, oprzej się zrodzonej co dopiero pokusie i przemóż się, póki czas jeszcze.

Nie przystoi ci, abyś miał pożądać tego, co z czcią twoją pogodzić się nie da, abyś gonił za tym, przed czym uciekać powinieneś, uciekać nawet wówczas, gdybyś był pewien osiągnięcia swego celu. To nakazuje ci przyjaźń prawdziwa.

Cóż tedy uczynisz, Tytusie! Wyrwiesz, ani chybi, tę nieszczęsną miłość z serca, jeżeli resztka czci jeszcze ci w duszy pozostała!«.

Po chwili myśl jego zwróciła się znowu ku Sofronii. Odwracając wszystkie poprzednie argumenta, jął tak rozumować: »Prawo miłości — rzekł do siebie — potężniejsze jest od wszystkich innych. Łamie ono nie tylko przyjaźń, ale nawet zakon boży. Ileż to razy się zdarzało, że ojciec zakochał się we własnej córce, brat w siostrze, macocha w pasierbie? Takie uczucia stokroć trudniejsze są do pojęcia niźli afekt do narzeczonej lub żony przyjaciela, co tysiąc razy już się przydarzyło. Młody przecie jestem, a młodość całkiem prawu miłości podlega. Co się przeto Amorowi podoba, to i mnie podobać się musi. Czyny szlachetne i ofiary są latom bardziej dojrzałym właściwe. Pragnąć mogę tylko tego, czego chce miłość. Piękność Sofronii na afekt i podziw każdego zasługuje; jeżeli tedy kocham ją w moim wieku, któż mnie za to ganić może? Przecie nie dlatego ją kocham, że do Gisippa należy, kochałbym ją bez względu na to, czyjąkolwiek by była. Los zawinił, że ją Gisippowi, przyjacielowi memu, miast komuś innemu przeznaczył. Jeśli ona kochana być musi, a musi nią być ze względu na wdzięki swoje, to Gisippus powinien się cieszyć, że właśnie ja, a nie kto inny ją miłuje«.

Od tych rozumowań przeszedł znowu, szydząc sam z siebie, do myśli wprost przeciwnych. Tak z jednego przeciwieństwa w drugie wpadając, nie tylko tę dobę, ale kilka dni i nocy spędził, aż wreszcie dzięki tej walce sen i apetyt postradał, i znękany legł na łożu w niemocy ciężkiej.

Gisippus, który go w ciągu kilku dni w melancholii pogrążonego widział, a teraz chorym obaczył, zasmucił się wielce z powodu stanu jego i nie odstępując go ani na krok, wszelkimi sposobami pokrzepić go się starał. Błagał go przy tym usilnie i bez ustanku, aby powody swej zgryzoty i choroby mu wyznał. Tytus rozmaitymi baśniami go zbywał. Jednakoż Gisippus poznał się na tych wykrętach i nie przestał nań nalegać. Wreszcie Tytus, płacząc i wzdychając, w ten sposób mu odparł:

— Bodajby podobało się bogom rychłą śmierć mi zesłać! Milsza mi byłaby ona niźli teraźniejsze życie. Fortuna zechciała tak ciężką próbą cnotę moją doświadczyć, że uległem, i dzisiaj z wstydem niepomiernym cnotę moją zwyciężoną widzę. Zaprawdę jednak, niedługo już czekał będę na śmierć, jako na należną mi zapłatę. Droższa mi ona będzie od życia ze wspomnieniem sromu, którego powodu ukryć przed tobą nie mogę. Zaraz ci tedy wszystko wyznam ze szkarłatnym na licu rumieńcem.

I tu począł mu opowiadać od początku o wszystkim. Przedstawił mu walkę myśli swoich, wyznał, że umiera z miłości do Sofronii, wreszcie dodał, iż mając świadomość swojej winy, umrzeć postanowił, co się ani chybi już wkrótce stanie, jak mniema.

Usłyszawszy tę spowiedź przyjaciela i widząc jego łzy, Gisippus trwał przez chwilę w zamyśleniu. Zachwycił się i on Sofronią, jednakoż mniej płomiennie od Tytusa. Pojąwszy w lot, że życie przyjaciela droższe mu jest od Sofronii, widokiem płaczącego druha do płaczu doprowadzony, tak mu ze łzami w oczach odpowiedział:

— Gdybyś nie potrzebował tyle pociechy, Tytusie, zacząłbym się przed tobą na ciebie samego użalać za to, żeś obraził przyjaźń naszą, tak długo namiętność swoją przede mną ukrywając.

Gdyby nawet niegodziwą żądza ta ci się wydawała, to zważ, że przed przyjacielem nie lza ukrywać zarówno godziwej, jak i niegodziwej rzeczy, bowiem przyjaciel prawdziwy równie szlachetną myślą druha swego się cieszy, jak niegodną z duszy jego wyrwać się stara. Zamilczę jednak na ten raz o tym, przechodząc do rzeczy, która w tej chwili bardziej stosowna mi się być wydaje. Nie dziwuję się wcale, że miłujesz tak narzeczoną moją, Sofronię, owszem, dziwiłbym się raczej, gdyby tak nie było, znam bowiem zarówno jej wdzięki, jak i wzniosłość duszy twojej, tym zdolniejszej do gwałtownej namiętności, im ukochana istota więcej doskonałości w sobie zawiera. Jak

wiele tedy masz słuszności, Sofronię miłując, tak znów zbyt masz jej mało, żaląc się na los — chociaż o tym nie mówisz — iż mnie nią obdarzył, zdaje ci się bowiem, że miłość twoja całkiem zgodna z honorem twym by była, gdyby dziewica ta do kogoś innego należała. Jeżeli cię rozsądek twój nie opuścił, to powiedz mi, zali los mógł ją komuś powierzyć, by z większą to było dla ciebie korzyścią, niż kiedy powierzył ją mnie? Ktokolwiek inny, któremu by się w udziale dostała, miłowałby ją więcej dla siebie niźli dla ciebie, choćby miłość twoja była najuczciwsza.

Jeśli zaś o mnie chodzi i jeśli w samej rzeczy masz mnie za przyjaciela swego, jak nim jestem w istocie, to obawiać się tego nie potrzebujesz, nie przypominam sobie bowiem, abyśmy przez ciąg przyjaźni naszej coś posiadali, co by nam wspólnym nie było. I teraz stałoby się podobnie, gdyby rzeczy zaszły tak daleko, że innego by już nie było sposobu; na szczęście jednak, sprawa tak się przedstawia, że mogę cię uczynić jedynym posiadaczem Sofronii.

Cóż by moja przyjaźń dla ciebie warta była, gdybym w podobnym przypadku, honorowi swemu uszczerbku nie czyniąc, nie starał się ciebie zadowolnić?

Prawda, że Sofronia jest narzeczoną moją, prawda, żem ją kochał gorąco i że z wielką radością dnia naszych zaślubin oczekiwałem.

Widząc jednakoż, że ty, człek znacznie ode mnie rozumniejszy, z taką siłą jej pragniesz, oddaję ci ją. Bądź tedy upewniony, że Sofronia wejdzie do komnat moich jako twoja, a nie moja żona. Precz zatem ze zgryzotą, precz ze smutkiem, niechaj ci powróci zdrowie, dawna wesołość i myśl dobra. Czekaj od tej chwili nagrody, na którą miłość twoja o wiele więcej od mojej zasługuje.

Tytus, słysząc te słowa z ust Gisippa, odczuwał na przemian radość wzbudzoną przez pełną ponęt nadzieję i słuszny wstyd na myśl, że im większa jest wspaniałomyślność przyjaciela, tym większą niegodziwością byłoby z niej skorzystać. Nie przestając płakać, odparł z wysiłkiem przyjacielowi:

— Twoja wielkoduszna i prawdziwa przyjaźń wskazuje mi, Gisippie, jasno, com uczynić powinien. Nie dopuść, Boże, abym istotę, którą ci los jako godniejszemu ode mnie przeznaczył, miał z rąk twoich wydzierać. Gdyby mi była przeznaczona, byłaby mi się od razu dostała. Używaj tedy w szczęściu owocu twego wyboru, nie pogardzaj zrządzeniem mądrym Opatrzności i łaską bożą, mnie zasię pozwól umrzeć pośród łez, które mi Bóg, jako niegodnemu takiego skarbu, przelewać kazał. Jeśli przemogę tę boleść, będziesz się mógł zwycięstwem moim cieszyć, jeśli zaś ona mnie przemoże, wtedy stanę się wolny od męczarni okrutnej.

— Tytusie — odrzekł na to Gisippus — jeśli przyjaźń nasza daje mi władzę do tego, abym cię przymusił do spełnienia jednego z życzeń moich, to władzy tej w tym wypadku użyć jestem gotów. Jeśli prośby mojej po dobrej woli nie spełnisz, to mocą gwałtu, jakim dla dobra przyjaciela posłużyć się godzi, sprawię, że Sofronia będzie twoją. Znam potęgę miłości i wiem, że nie raz i nie tysiąc razy kochanków do żałosnej śmierci przywodziła. Widzę przecie, że ani wyleczyć się, ani boleści uspokoić nie możesz, przeciwnie, w końcu z pewnością jej ulegniesz, a to i mnie rychło w grób wtrąci. Gdybym innych powodów do ratowania cię nie znalazł, wzgląd na moje własne życie by wystarczył. Sofronia tedy będzie twoją, niełatwo bowiem znalazłbyś drugą, która by ci się równie podobała, ja zasię bez trudności mogę zwrócić swe uczucie ku innej i tym sposobem nas obydwu zarazem uszczęśliwić.

Nie byłbym zapewne tak hojny pod tym względem, gdyby dobrą żonę równie trudno było znaleźć jak dobrego przyjaciela. Dlatego też mogąc łatwo inną żonę, ale nie innego zyskać przyjaciela, wolę Sofronię na inną białogłowę zamienić (zamienić, mówię, a nie utracić, nie tracę jej bowiem, oddając ją tobie), wolę, powtarzam, narzeczoną moją ci oddać niźli ciebie na zawsze postradać.

Jeżeli tedy prośby moje jakikolwiek skutek odnieść mogą, zaklinam cię, ratuj mnie, a i siebie zarazem, i pełen dobrej myśli, gotuj się na przyjęcie tej miłości, której tak gorąco serce twoje zapragnęło.

Tytus długo jeszcze, wstydem kierowany, opierał się przyjąć Sofronię z rąk Gisippa i racjom jego się sprzeciwiał. Pobudzany jednakoż z jednej strony miłością, a z drugiej serdecznymi słowami przyjaciela, uległ wreszcie i rzekł:

— O Gisippie! Zaiste, nie wiem już teraz, czy przychylając się do tego, co wedle zaręczeń twoich miłym ci będzie, ulegam więcej moim czy też twoim pragnieniom. Ponieważ jednak wspaniałomyślność twoja nawet przyrodzony wstyd we mnie zwycięża, tedy poddaję się jej całkowicie. Bądź jednak upewniony, że czynię to nie bez świadomości, iż nie tylko kochankę, ale i życie winien ci będę. Oby bogowie dali mi kiedyś możność godnego odpłacenia ci za to i dania dowodu, jaką cenę ma u mnie łaska, którą ty, miłosierniejszy dla mnie niźli ja sam dla siebie, dziś mi wyrządzasz.

— Tytusie — odparł na to Gisippus — jeśli pragniemy, aby zamiar nasz się urzeczywistnił, to jedyna droga do tego następująca będzie: jak wiesz, Sofronia, po długich umowach między jej a mymi krewniakami, narzeczoną moją została. Gdybym więc teraz z nagła oświadczył, że jej za żonę nie biorę, wywołałbym wzburzenie niepomierne i wielka wrogość między dwiema rodzinami powstać by stąd mogła. Nie

robiłbym sobie wiele z tego, gdybym był upewniony, że tym sposobem Sofronię twoją uczynię, obawiam się jednak, że gdybym ją teraz opuścił, krewniacy co prędzej innemu by ją oddali, a tym nie byłbyś może ty, tak tedy ja bym ją stracił, a ty byś jej nie zyskał. Uważam przeto za najlepsze, jeśli i ty będziesz tego zdania, dalej całą rzecz prowadzić, to znaczy zabrać Sofronię jako moją żonę do mego domu, wesele wyprawić, a potem tak po kryjomu wszystko uładzić, abyś ty z nią noc poślubną jako z małżonką swoją spędził. Później w stosownym miejscu i czasie całą rzecz odkryjemy. Jeżeli się to krewniakom podoba, dobrze tedy, jeżeli nie, sprawa już dokonana będzie, tak że w końcu zgodzić się będą musieli.

Tytusowi zamysł ten bardzo do smaku przypadł. Gisippus przyjął Sofronię jako żonę w swoim domu w tym dniu, gdy Tytus całkiem już do sił i do zdrowia przyszedł. Wesele odbyło się z wielką wystawnością, a gdy noc nadeszła, niewiasty pozostawiły młodo zaślubioną w łożnicy małżeńskiej i odeszły. Komnata Tytusa przylegała do komnaty Gisippa, tak że z jednej do drugiej przejść było łatwo. Gdy tedy światło pogaszono, Gisippus zakradł się do komnaty Tytusa i wezwał go, aby zajął miejsce w łożu przy ukochanej swojej. Zawstydzony Tytus poczuł skrupuły i opierał się, ale Gisippus, który nie tylko w słowach chciał mu tę przysługę wyświadczyć, po długiej walce skłonił go wreszcie do wejścia do małżeńskiej komnaty.

Tytus legł obok dziewicy, uścisnął ją i spytał cichutko, zali jego żoną zostać pragnie? Sofronia, biorąc go za Gisippa, odparła, że tak. Wówczas Tytus, wsuwając jej na palec piękny i kosztowny pierścień, rzekł: »A więc i ja chcę być twoim mężem«. Po czym dopełnił z nią istoty małżeńskiego związku i długo jej miłością się rozkoszował. Oczywista ani jej, ani nikomu do głowy nie przyszło, że ktoś inny w ten sposób Gisippa wyręczył.

W ten sposób dokonał się związek Tytusa z Sofronią. Właśnie w tym czasie umarł ojciec Tytusa, Publius. Doniesiono mu o tym z Rzymu, wzywając, aby niezwłocznie przybył i majętności we władanie objął. Tytus powiadomił o tym Gisippa i ułożył się z nim, iż Sofronię z sobą zabierze. Aliści niemożliwym się to okazało bez odkrycia jej właściwego stanu rzeczy. Przyzwali ją tedy obydwaj pewnego dnia do komnaty swojej i całą prawdę jej odkryli.

Tytus dla lepszego przekonania Sofronii napomknął o kilku drobnych okolicznościach, które tylko jej mężowi znane być mogły. Sofronia, popatrzywszy z lekkim gniewem na Tytusa i Gisippa, jęła płakać rzewnie i gorzkie wyrzuty Gisippowi czynić. Po czym nie dotykając już tej sprawy w domu Gisippa, udała się do rodziców

swoich i opowiedziała ojcu i matce, jak Gisippus ich oszukał, dzięki czemu nie jest, jak dotąd mniemała, jego żoną, jeno małżonką Tytusa.

Rodzic jej, dowiedziawszy się o tym, głęboko urażony się poczuł i odtąd między rodziną Sofronii a krewniakami Gisippa zaczęły się długie kłótnie, niesnaski i swary.

Gisippus stał się przedmiotem nienawiści obu rodzin. Wszyscy twierdzili zgodnie, że nie tylko na naganę, ale i na surową karę zasługuje. On jednak odpowiadał na to, że przeciwnie wcale, postępek jego jest uczciwy nad wyraz i że krewni Sofronii wdzięczni mu za to być powinni, że połączył ją z lepszym niż on sam człowiekiem.

Tytus, który był jeszcze nie wyjechał, wiedział o tych udrękach przyjaciela i wielce się nimi martwił. Znając jednak przyrodzenie Greków, iż dotąd grożą i wrzask podnoszą, póki nie znajdą kogoś, kto im godnie odpowie, a gdy to nastąpi, pokornieją i nawet tchórzliwymi się stają, postanowił raz temu koniec położyć. Tytus był człekiem, w którym odwaga rzymska z ateńską się łączyła mądrością. Pewnego dnia zgromadził zręcznie w świątyni krewniaków swoich i Sofronii, po czym stanąwszy wśród nich w towarzystwie Gisippa, rzekł w te słowa:

— Wielu mędrców mniema, iż wszystko, co śmiertelni czynią, jest dziełem Opatrzności i wyroku bogów. Jedni wnoszą stąd, że wszystko, co się tu dzieje lub dziać będzie, jest koniecznym, inni zasię sądzą, że odnosi się to tylko do rzeczy, które już się stały. Kto zada sobie trud wniknięcia w te różne mniemania, ten łatwie zrozumie, że ganić to, czego już odrobić nie lza, jest to to samo, co chcieć być mądrzejszym od bogów, którzy przecież zawsze z wielką przezornością i bez błędu naszymi sprawami kierują, jak nam wierzyć przystało. Tylko zuchwały i zarozumiały głupiec ośmiela się wyroki bogów osądzać. Ci, co na podobną rzecz się ważą, wielkiej kary są godni. Do nich, wedle mego zdania, należycie wy wszyscy, jeśli prawdą jest, co słyszę ciągle naokół, że oburzacie się na to, iż Sofronia moją żoną została, chociaż ją Gisippowi przeznaczyliście. Zważcie, iż tak od wieków postanowione być musiało, skoro tak się stało.

Przestańmy mówić jednakże o tajnych wyrokach i zamierzeniach bogów; rzeczy te dla wielu ciemne i trudne do pojęcia się zdają. Przypuśćmy nawet, iż bogowie nie troszczą się bynajmniej o nasze sprawy. Do pojęć tedy czysto ziemskich się zwrócę, chocia dzięki temu uczynić będę musiał dwie rzeczy naturze mojej zgoła przeciwne, a mianowicie siebie pochwalić i innych zganić. Ponieważ jednak od prawdy oddalać się nie myślę, a sprawa tego wymaga, nie cofnę się przed samochwalstwem.

Bo gniewem bardziej niźli poczuciem słuszności wiedzeni, gwałt i hałas czyniąc, oczerniacie i potępiacie Gisippa, ponieważ wola jego oddała mi tę, którą wola wasza jemu przeznaczyła. Tymczasem mniemam, że powinniście wychwalać go za to gorąco, a to z następujących powodów: naprzód, że obowiązek przyjaciela wypełnił, a po drugie, ponieważ, w ten sposób postąpiwszy, więcej niźli wy rozsądku okazał.

Jakie obowiązki nakładają święte prawa przyjaźni, nie będę wam tutaj przedstawiał. Dosyć na tym, że węzeł przyjaźni ściślej łączy ludzi niźli związki pokrewieństwa i powinowactwa. Przyjaciół wybieramy sobie, krewnych zasię musimy przyjąć takich, jakich nam los daje. Jeżeli tedy Gisippowi droższym było życie moje niźli wasza przychylność, nikt się temu dziwić nie powinien.

Przejdźmy teraz do drugiego dowodu, dzięki któremu wyraźniej dowiodę wam, że Gisippus mądrzejszy był od was. Widzę bowiem, że mniej jeszcze pojmujecie prawa przyjaźni niźli tajnie boskich wyroków. Po głębokiej rozwadze i z nieprzymuszonej woli daliście Sofronię za żonę Gisippowi, młodzieńcowi i filozofowi. Gisippus oddał ją również młodzieńcowi i filozofowi. Wasza wola oddała ją Ateńczykowi, wola Gisippa Rzymianinowi. Wybraliście jej za męża człeka szlachetnego rodu, a Gisippus dał jej męża jeszcze znaczniejszej krwi. Wy daliście ją młodzieńcowi bogatemu, on zaś panu ogromnych majętności. Przeznaczyliście ją człowiekowi, który ją zaledwie znał i nie kochał jej zgoła, Gisippus zasię oddał ją człekowi, miłującemu ją nad życie i szczęście własne.

Rozpatrzmy teraz szczegółowie, czy to, com powiedział o sobie, jest prawdą i czy istotnie Gisippowi pochwała się należy. Żem jest młodzieńcem i filozofem, o tym dowodnie świadczy zarówno mój wygląd, jak i ukończone nauki. Szkoda więc nad tym długo się rozwodzić.

W równym jesteśmy obydwaj wieku i jednakie w naukach postępy czyniliśmy. Prawda, że on jest Ateńczykiem, a ja Rzymianinem, gdyby jednak chodziło o wykazanie wyższości mojej ojczyzny, to wspomniałbym, że pochodzę z wolnego miasta, podczas gdy on z hołdowniczego. Ja z miasta, które włada światem, on z podwładnego mojemu; ja z miasta wsławionego czynami wojennymi, prawodawstwem i naukami, on zaś z wsławionego naukami jeno.

Chocia znacie mnie tutaj tylko jako skromnego ucznia, nie pochodzę przecie bynajmniej z pospólstwa rzymskiego. Place Rzymu pełne są posągów przodków moich, a roczniki rzymskie przepełnione są opisami triumfalnych pochodów Quinctiusów na Kapitol. Imienia naszego rdza wieków nie pokrywa, ale błyszczy ono jeszcze świetniej

jak ongiś. Zamilczę przez wstydliwość o bogactwach moich, pomnąc, że uczciwe ubóstwo może być również starożytną i świetną spuścizną dla szlachetnego obywatela Rzymu. Gdybym jednak chciał zniżyć się w tej mierze do pojęć tłumu, tłumu, który skarby tylko ceni, mógłbym powiedzieć, że posiadam je w obfitości, i to nie chciwością nabyte, ale fortuny łaską. Pojmuję, iż bardzo wam na rękę było mieć tu Gisippa jako sojusznika, ale i ja w Rzymie wartość dla was nie mniejszą mieć mogę, jeśli zważycie, że w domu moim znajdziecie zawsze gościnę, we mnie samym zasię możnego i gorliwego opiekuna nie tylko w sprawach publicznych, ale i prywatnej natury.

I tak zapytuję teraz po tym wszystkim, co już powiedziałem, kto odrzuciwszy zapalczywość, a idąc za głosem rozumu ośmieli się źle osądzić postępek Gisippa? Zaiste, nikt! Sofronia trafiła szczęśliwie, dostawszy za męża Tytusa Quinctiusa Fulviusa, młodzieńca szlachetnego rodu, bogatego obywatela Rzymu, a do tego przyjaciela waszego Gisippa. Kto na to oburza się i narzeka — źle czyni, lub też nie wie, co czyni. Może jednak niektórzy z was zauważą, iż Sofronia skarży się nie na to, iż jest żoną Tytusa, jeno na ów zdradziecki sposób, dzięki któremu nią została. Nie powiadomiono nikogo z jej krewniaków i przyjaciół, jednakoż nie ma w tym nic osobliwego ani po raz pierwszy się przytrafiającego.

Ileż to dziewic wbrew woli rodziców za mąż poszło, ileż z kochankami swymi uciekło i nim miano małżonek zyskało, już należało do nich, ileż wreszcie brzemiennością swoją wymusiło zgodę rodziców na swój związek.

Z Sofronią tymczasem żadna z tych rzeczy się nie stała.

Owszem, w uczciwy, należyty i rozważny sposób oddana ona została przez Gisippa Tytusowi.

Tu znów inni pewnie mi zarzucą, że wydał ją za mąż ten, który prawa po temu nie miał. Odpowiem na to, że podobne babskie zarzuty są owocem braku wszelkiej rozwagi. Zali los nie posługuje się różnymi i niezwykłymi drogami, aby rzeczy do przeznaczonych im celów doprowadzić? Zali także nie wszystko jedno, czy szewc, czyli też filozof jawnie lub skrycie jakąś sprawę prowadzi, byleby ją tylko do końca szczęśliwie dowiódł?

Skoro tedy Gisippus dobrze Sofronię za mąż wydał, to nie trza się żalić na sposoby, jakich ku temu celowi użył. Jeśli nie dowierzacie jego rozsądkowi, baczcie w przyszłości, aby córek waszych za mąż nie wydawał, teraz jednakoż dank stosowny mu złóżcie.

Nadto dowiedzcie się, iż ja, używszy fortelu, nie miałem zamiaru najlżejszą plamą pohańbić krwi waszej w osobie Sofronii i że jakkolwiek w głębokiej tajności ją za żonę

pojąłem, nie dybałem gwałtem na jej niewinność ani nie chciałem posiąść jej w niegodziwy sposób, gardząc trwałym z nią związkiem i pokrewieństwem z wami. Inny był mój cel i inna podstępu mego przyczyna. Oto, rozpłomieniony jej wdziękami i przymiotami, przewidziałem, iż gdybym się o nią starał w sposób, który się wam zapewne przyzwoity wydaje, nie byłbym tej ukochanej przez was dziewicy dostał, balibyście się bowiem, że ją z sobą do Rzymu zabiorę. Użyłem tedy tej zręcznej sztuczki, która dziś już tajemnicą dla was być przestała. Skłoniłem Gisippa, aby uczynił dla mnie to, czego dla siebie uczynić nie zamierzał. Potem zaś, mimo całej mojej miłości do niej, nie jako kochanek, ale jako mąż jej uściski przyjąłem, nie pierwej bowiem do niej się zbliżyłem, jak to sama potwierdzić może, aż po wsunięciu jej pierścienia na palec i zapytaniu, czy mnie za męża mieć pragnie. Na co ona odparła twierdząco.

Jeżeli mimo to mniema się być oszukaną, nie moja w tym wina, ale jej, że mnie nie zapytała, kim jestem.

Oto jest owa wielka krzywda i niezmierna zniewaga przez Gisippa, jako dobrego przyjaciela, i przeze mnie, rozkochanego, wam wyrządzona! Za to grozicie mu, oczerniacie go i prześladujecie! Cóż byście poczęli, gdyby ją jakiemuś łotrowi, włóczędze lub niewolnikowi oddał? Jakież łańcuchy, więzienia i jakie męki dostatecznymi by się wam wówczas wydały? Ale dajmy już temu obecnie pokój. Zaszła niestety okoliczność, której się nie spodziewałem: ojciec mój umarł i oto do Rzymu wracać muszę, zabierając Sofronię ze sobą. Dlatego też odkryłem wam to, co by może dotychczas jeszcze tajemnicą było. Jeśli ludźmi roztropnymi jesteście, to prawdę tę z radością przyjmiecie. Gdybym was chciał oszukać lub znieważyć, ostawiłbym tu teraz Sofronię okrytą sromem.

Ale na Boga, nigdy podobnie nędzna myśl w rzymskiej nie powstała piersi. Sofronia za przyzwoleniem bogów, na skutek chwalebnej mądrości mego przyjaciela Gisippa i wedle praw ludzkich, a wreszcie dzięki podstępowi moją żoną się stała. Oburzacie się na to, poczytując się za mądrzejszych od bogów oraz innych ludzi, i obrażacie mnie niesprawiedliwie, chcąc zatrzymać przy sobie Sofronię, do której nie macie żadnych praw, chyba te, które bym wam przyznać zamierzył, a po wtóre, obchodząc się z Gisippem, któremu głęboką wdzięczność winniście, jak z nieprzyjacielem. Nie będę wam tu obecnie dłużej wykładał, jak niedorzecznie sobie poczynacie, dam wam tylko przyjazną radę, abyście gniew od serca oddalili, wszystkich niechęci swoich się zbyli i Sofronię mi oddali, abym mógł w zgodzie was pożegnać i życzliwym krewnym dla was pozostać. Tego bowiem bądźcie pewni, że bez względu na to, czy wam przypada do

smaku to, co się stało, jeślibyście inaczej postąpić zamyślali, zabiorę z sobą Gisippa i po przybyciu do Rzymu wbrew waszej woli odzyskam tę, która prawnie do mnie należy. Wówczas poznacie, do czego jest zdolna dusza prawego Rzymianina, gniewem zapalona!

Tutaj zawarł mowę Tytus, wstał i z pałającym od gniewu obliczem pochwycił za rękę Gisippa, po czym wyszedł z świątyni z dumnie podniesioną głową i groźnym na licach wyrazem, dając po sobie poznakę, że niewiele dba o całe zgromadzenie.

Przytomni po części wymową Tytusa do niego nakłonieni, a w części nastraszeni jego ostatnimi słowami, zgodnie uznali, że lepiej będzie przyjąć go za szwagra niźli sobie z niego wroga uczynić. Udali się więc pośpiesznie za Tytusem dla oświadczenia mu, że nic temu na wstręcie nie stoi, aby Sofronia przy nim pozostała, i że chcą w nim widzieć miłego krewniaka, a w Gisippie przyjaciela. Po czym pozdrowili się serdecznie, jak na krewniaków i przyjaciół przystało. Krewni Sofronii powróciwszy do domu, natychmiast ją do męża odesłali. Sofronia, jako roztropna białogłowa, pogodziła się rychło z swym losem, przeniosła miłość, jaką do Gisippa czuła, na Tytusa, udała się z nim do Rzymu i tam z wielką czcią przyjęta została.

Tymczasem Gisippus, który pozostał w Atenach, powszechnej bez mała niechęci doznawał. Wkrótce wskutek knowań politycznych w mieście wraz z wszystkimi krewniakami swymi został wypędzony z Aten i na wieczne wygnanie skazany. W nędznym stanie żebraka powlókł się, jak mógł, do Rzymu, aby spróbować zali Tytus go sobie nie przypomni.

Przybywszy do miasta, dowiedział się, że Tytus żyje i u obywateli Rzymu powszechnej czci używa. Stanął tedy przed bramą jego domu i czekał, aż wyjdzie. Nie miał odwagi zaczepić go, zważywszy na swoje nędzne szaty, postanowił tylko ukazać się mu i czekać, aż Tytus, poznawszy, przywołać go każe. Aliści Tytus przeszedł, nie zwracając nań uwagi. Wówczas Gisippus, przekonany, że dawny przyjaciel przecie go dojrzał, lecz że się go wstydzi, wspomniawszy, co niegdyś dla tego przyjaciela uczynił, pełen żalu i rozpaczy poszedł błąkać się po ulicach. Tymczasem noc zapadła. Gisippus głodny, grosza pozbawiony, niepewny, gdzie się obrócić, i już tylko śmierci pragnący, zaszedł w opuszczoną wielce dzielnicę miasta. Spostrzegłszy obszerną grotę wszedł do niej z zamysłem spędzenia w niej nocy. Rzucił się na gołą ziemię i wkrótce, znękany myślami i płaczem zmęczony, zasnął twardo.

Nad ranem weszło do groty dwóch ludzi, wracających po nocy z złodziejskim łupem. Gdy przyszło do podziału, pokłócili się, a potem jeden z nich, silniejszy, zabił drugiego

i uciekł. Gisippus widział i słyszał to wszystko. Zdało mu się, że los tym razem podaje mu znakomitą sposobność do znalezienia śmierci bez popełnienia samobójstwa. Pozostał tedy na tym miejscu tak długo, aż zbiry sądowe, na wieść o dokonanej zbrodni poszukujący złoczyńców, zaszli do groty i znalazłszy go, pod zarzutem morderstwa uwięzili. Gisippus zeznał, że istotnie tego człeka zamordował i że z groty uciec nie zdążył. Pretor, nazwiskiem Marcus Varro, wedle ówczesnego obyczaju skazał go na śmierć na krzyżu.

W chwili gdy wyrok zapadał, wszedł Tytus przypadkiem do pretorium. Dowiedział się o przebiegu sprawy, a spojrzawszy na nieszczęsnego skazańca i poznawszy w nim natychmiast Gisippa, zadziwił się zarówno nędznej doli jego, jak i temu, że go w Rzymie widzi. Zapragnął wszelkimi siłami przyjaciela ratować. Nie widząc jednakoż innej drogi po temu, jak samego siebie o zbrodnię oskarżyć, przystąpił do pretora i rzekł głośno:

— Marku Varro, każ powstrzymać wykonanie kary na biednym człeku, któregoś dopiero co osądził, nie ponosi on bowiem żadnej winy. Jam jest prawdziwym winowajcą, który już dostatecznie bogów obraził przez zamordowanie ofiary znalezionej dziś przez zbirów twoich, abym chciał jeszcze powiększyć winę swoją przez milczące przyzwolenie na śmierć niewinnego.

Varro osłupiał z podziwu. Ponieważ jednak całe pretorium zeznanie to słyszało, a sędzia nie mógł uchylić się od obowiązku przepisanego w tym wypadku przez prawo, kazał Gisippa na nowo przed siebie przywołać, po czym rzekł do niego w przytomności Tytusa:

— Jak mogłeś być tak szalonym, aby bez najmniejszego przymusu przyznać się do zbrodni, której nie popełniłeś, a która karą śmierci grozi? Upewniłeś mnie, iżeś to ty zabił zeszłej nocy owego człeka, a oto staje przede mną inny, który twierdzi, że to on uczynił.

Gisippus podniósł oczy, poznał Tytusa i pojął od razu, że uczynił on to w celu ratowania go i przez wdzięczność za doznaną niegdyś przysługę. Płacząc tedy ze wzruszenia, odparł pretorowi:

— Varrusie, zaiste ja jestem prawdziwym mordercą. Tytus przez współczucie chciał mi przyjść z ratunkiem, niestety, za późno już na to.

Tytus, przerywając mu, zawołał:

— Pretorze, jak widzisz, człek ten jest cudzoziemcem. Znaleziono go obok zamordowanego, bez broni w ręku. Nędza widać skłonić go musiała do poszukiwania w ten sposób śmierci. Puść go tedy na wolność, a mnie ukarz, bowiem na to zasłużyłem.

Varro zadziwił się naleganiu tych dwóch ludzi, a potem do tej myśli przyszedł, że obaj niewinni być muszą. Rozważał tedy, jakby ich uwolnić. Nagle przed obliczem pretora stanął młodzieniec, Publius Ambustus, człek stracony i w całym Rzymie najgorszą cieszący się sławą. On to był owo morderstwo popełnił. Słysząc, jak Gisippus i Tytus oskarżają się o dokonanie zbrodni niezawinionej przez żadnego, wielkim dla nich współczuciem zdjęty, rzekł w te słowa:

— Pretorze, los mój widać tego ode mnie wymaga, abym ten trudny spór rozwiązał. Nieznany mi głos Boga pobudza mnie i zmusza do wyznania mej zbrodni. Dowiedz się, iż żaden z tych dwóch ludzi nie jest winien tego, o co się oskarża. Jam to zabił dzisiaj rano człeka, którego zwłoki ci przyniesiono. Nim uciekłem z groty, ujrzałem w niej tego oto biedaka pogrążonego w głębokim śnie. Tytus mego usprawiedliwienia nie potrzebuje. Wielka cześć, jaką u ludzi się cieszy, dowodzi aż nadto, że byłby niezdolny do podobnego czynu. Puść tedy tych obu wolno, a mnie ukarz wedle całej surowości prawa.

Do cesarza Oktawiana dotarł słuch o tej całej sprawie. Wezwał wszystkich trzech przed siebie i spytał o przyczynę, dla której każdy z nich skazany być pragnął. Wyznali mu wszystko szczegółowie, a wówczas on uwolnić ich kazał, pierwszych dwóch jako niewinnych, trzeciego zasię przez wzgląd na tamtych.

Gdy ich uwolniono, Tytus objął Gisippa i zgromiwszy go wprzód za nieufność, dał folgę radości niewymownej, po czym powiódł go do domu swego, gdzie Sofronia, płacząc rzewnie, jak brata go przyjęła. Tytus, skrzepiwszy nieco jego siły i odziawszy go, stosownie do jego zasługi i godności, podzielił się z nim wszelkimi skarbami i posiadłościami swymi, a potem dał mu za żonę siostrę swoją, młodą dzieweczkę Fulvię, i rzekł w te słowa:

— Gisippie, od ciebie teraz zależy, czy chcesz u mnie na zawsze pozostać, czy też ze wszystkim, co ci oddałem, do Grecji powrócić.

Gisippus, wspomniawszy z jednej strony na wygnanie swoje z Aten, a z drugiej strony miłością dla wdzięcznego Tytusa przejęty, postanowił w Rzymie na zawsze osiąść.

Żyli razem weseli w jednym domu przez długie, długie lata pospołu z żonami swymi, coraz ściślejszymi węzłami przyjaźni się łącząc.

Świętą tedy rzeczą jest przyjaźń, godną nie tylko czci osobliwej, ale i pochwał wieczystych, jako najświatlejsza matka wspaniałomyślności i uczciwości, siostra wdzięczności i miłości bliźniego, a nieprzyjaciółka nienawiści i skąpstwa. Ona to

gotowa jest zawsze, nie czekając na prośby, uczynić dla drugich to, czego pragnie, aby i dla niej czyniono. Za to, że święte jej ogniwa tak rzadko teraz ludzi wiążą, winę ponosi nędzna chciwość współczesnych, którzy własną tylko korzyść na oku mając, skazali słodkie związki przyjaźni na wygnanie na najdalszy ziemi koniec. Jakaż miłość, jakie skarby, jakież pokrewieństwa zdołały tak zmiękczyć serce Gisippa wobec łez i westchnień Tytusa, aby dla nich swoją młodą, piękną i kochaną narzeczoną mu oddał — jeśli nie przyjaźń?

Jakież prawa, jakie groźby i trwogi zdołałyby z dala od świadków, w mroku ciemności, we własnym łożu powstrzymać młodzieńcze ramiona Gisippa od uścisków pięknej dziewczyny, może pociągającej go ku sobie — jeśli nie przyjaźń właśnie?

Jakaż świetność, jaka nagroda i korzyść mogłyby skłonić Gisippa do wyrzeczenia się życzliwości krewniaków własnych i rodziny Sofronii, do znoszenia szyderstw i pogardy najbliższych — jeśli nie to boskie uczucie? A z drugiej strony, cóż pobudziło Tytusa do narażania się bez chwili namysłu na śmierć pewną, jedynie, aby Gisippa od męki na krzyżu uchronić, gdy łatwo przecież mógł udać, że nic nie zauważył — jeżeli także nie przyjaźń? Cóż by wreszcie Tytusa tak hojnym uczynić zdołało, iż ogromnym dziedzictwem swoim podzielił się z Gisippem, któremu los całe mienie zabrał — jeżeli nie ona — i co by go pchnąć mogło do oddania bez wahań nędznemu i opuszczonemu od wszystkich Gisippowi siostry — jeżeli znowu nie przyjaźń? Niechaj więc ludzie pragną wielkiej gromady rodzeństwa i krewnych i jak największej liczby dzieci, niech za pieniądze czeredę służby swojej powiększają, nie bacząc, iż bracia, dzieci, słudzy więcej zwykli mieć na uwadze najmniejszą szkodę własną niż największe niebezpieczeństwo krewniaka, ojca lub pana — gdy przyjaciel zgoła inaczej postępuje".

Opowieść dziewiąta. Przytrafienia Saladyna i Torella

Saladyn, podając się za kupca, korzysta z gościny u pana Torella. Po pewnym czasie pan Torello wyrusza na wyprawę krzyżową i naznacza swej żonie czas do powtórnego zamążpójścia. Wzięty do niewoli, na dworze sułtana sokoły do polowania układa. Sułtan, poznawszy go, wielką czcią go otacza. Pewnego dnia pan Torello, niemocą złożony, dzięki sztuce czarodziejskiej zostaje przeniesiony do Pawii, gdzie bierze udział w uczcie ślubnej swojej żony. Żona, poznawszy go, wraca z nim razem do dawnego domu.

Gdy Filomena opowieść swoją skończyła, wszyscy przytomni zgodnie pochwalili Tytusa za jego podziwu godną wdzięczność. Zachowując ostatnie miejsce dla Dionea, król zaczął w te słowa:

— Piękne damy! Filomena w swoich sądach o przyjaźni niewątpliwie całkowitą słuszność miała, a takoż bardzo słusznie pod koniec żaliła się, że w dzisiejszych czasach ludzie lekce sobie przyjaźń ważą. Gdybyśmy się tu byli zebrali, aby ludzi za ich wady naganiać i do poprawy wzywać, to bym się w tej materii sam szerzyć zaczął. Ponieważ jednak cel nasz jest całkiem inny, przeto przychodzi mi na myśl opowiedzieć w nieco przydługiej może noweli o jednym z wielkodusznych czynów Saladyna. Ze zdarzeń, o których usłyszycie, wypłynie dla was ta nauka, że gdybyśmy nawet dla błędów naszych pełnej wzajemności w przyjaźni nie uzyskali, winniśmy jednak chętnie innym radą i pomocą służyć, mając nadzieję, że usługi te wcześniej czy później stosowną nagrodą uwieńczone zostaną.

„Powiem wam tedy, iż — jak zapewniają niektórzy — za czasów cesarza Fryderyka I wszystkie narody chrześcijańskie podjęły wyprawę krzyżową w celu odebrania Ziemi Świętej. Usłyszał o tym zawczasu Saladyn, podówczas sułtan Babilonu, wielce dzielny wojownik, i postanowił przygotowaniom wojennym panów chrześcijańskich własnymi oczyma się przyjrzeć, aby potem wrogom tym skuteczniej czoło stawić. Uporządkowawszy tedy wszystkie sprawy swoje w Egipcie, udał, iż wybiera się w pielgrzymkę, i wyruszył w drogę w towarzystwie dwóch roztropnych doradców swoich i trzech sług, wszędzie w drodze za kupca się podając.

Gdy już w ten sposób wiele chrześcijańskich dzierżaw przemierzył i gdy, jadąc przez Lombardię, miał zamiar na drugą stronę gór się przeprawić, pod wieczór spotkał w drodze z Mediolanu do Pawii pewnego szlachcica, nazwiskiem Torello di Stra da Pavia. Szlachcic ów, w otoczeniu sług swoich, z psami i sokołami dążył do pięknej posiadłości swojej, nad brzegami Tesino się znajdującej, aby tam lato przepędzić.

Pan Torello, spostrzegłszy Saladyna i jego orszak, poznał od razu, że to jacyś dostojni ludzie i cudzoziemcy być muszą, i uczcić ich zapragnął. Gdy tedy Saladyn zapytał jednego z dworzan Torella, jak daleko jeszcze do Pawii i czy podobna zdążyć tam przed zamknięciem bram miasta, pan Torello odparł za sługę:

— Nie, panie! Przyjedziecie do Pawii zbyt późną nocą, aby dostać się do grodu.

— Poradźcie nam tedy łaskawie — odparł Saladyn — co uczynić mamy, całkiem bowiem obcy tutaj jesteśmy.

— Jak najchętniej — rzekł pan Torello — rzecz się dobrze składa, bowiem przed chwilą właśnie zamierzałem posłać jednego z ludzi moich dla załatwienia pewnej sprawy pod Pawię. Będzie on waszym przewodnikiem i zawiedzie was do pewnego domu, gdzie znajdziecie wszystko, czego wam potrzeba.

Rzekłszy te słowa, zbliżył się do najobrotniejszego ze sług swoich, stosowne polecenie mu wydał i z cudzoziemcami w drogę odprawił, sam zasię podążył co tchu do swojej posiadłości, rozkazał przygotować wspaniałą wieczerzę i stoły w ogrodzie zastawić, po czym wyszedł przed bramę i począł na gości oczekiwać.

Tymczasem sługa pana Torella, chcąc zyskać trochę czasu, wśród pogawędki o różnych sprawach wiódł cudzoziemców okrężnymi drogami, aby wreszcie niepostrzeżenie do willi pana Torella ich przyprowadzić. Pan Torello, ujrzawszy zbliżających się gości, postąpił ku nim i zawołał, śmiejąc się serdecznie:

— Witam was, panowie!

Saladyn, człek wielce przenikliwy, zrozumiał od razu, iż rycerz obawiał się, że ludzie na drodze spotkani mogą jego zaprosin nie przyjąć, i użył podstępu, aby ich móc w swoim domu ugościć, nie narażając się na odmowę.

Odpowiedziawszy tedy na powitanie gospodarza, rzekł:

— Panie, gdyby się żalić można było na tak uprzejmych jak wy ludzi, nie mówiąc już o tym, że opóźniacie nieco naszą podróż, skarżylibyśmy się, że nas, którzyśmy niczym — chyba samym powitaniem — na dobroć waszą nie zasłużyli, do przyjęcia tak zaszczytnej gościny u was przymuszacie.

Na to rycerz, jako człek wielce polerowny, tak odparł:

— Grzeczność, którą wam świadczę, panowie, żadną jest prawie w porównaniu z tą, jaka się wam należeć powinna. Poznaję to dowodnie z wyglądu waszego. Ponieważ jednak poza Pawią nie znaleźlibyście teraz żadnej austerii, która by wam znośny schron dać mogła, ośmieliłem się tedy przerwać nieco podróż waszą, abyście pokrzepić się i odpocząć u mnie mogli.

Tymczasem zbliżyła się służba i do stajni konie odwiodła. Pan Torello zaprowadził trzech szlachetnych gości do komnat dla nich przeznaczonych. Tam skłonił ich do zdjęcia obuwia, pokrzepił winem mrożonym i do samej wieczerzy ożywioną bawił rozmową.

Saladyn, towarzysze i słudzy jego biegle łaciną władali, rozmowa tedy szła z łatwością. Wszyscy doszli wnet do przekonania, że gospodarz jest jednym z najmilszych, najlepiej ułożonych i najbardziej oświeconych ludzi, jakich dotychczas im

się napotkać udało. Pan Torello osądził ze swej strony, iż cudzoziemcy ci są ludźmi wielce znamienitymi i że stan ich jest znaczniejszy, niźli początkowo mniemał.

Przykro mu było niezmiernie, że nie może ich uczcić bardziej uroczystą biesiadą i lepszą kompanią, dlatego też dnia następnego wynagrodzić ich postanowił. Uwiadomiwszy jednego ze sług o zamiarach swoich, wysłał go do swej małżonki, wielce rozumnej i szlachetnej damy. Przebywała ona właśnie w pobliskiej Pawii, gdzie nie miano zwyczaju bram na noc zamykać.

Po czym pan Torello zawiódł gości swoich do ogrodu i spytał się ich uprzejmie, jaką profesją się parają.

— Jesteśmy — odrzekł mu na to Saladyn — cypryjskimi kupcami. Przybywamy z Cypru, a dążymy w swych sprawach do Paryża.

— Dałby Bóg — odparł na to pan Torello — aby kraj nasz wydawał tak godnych rycerzy jak Cypr kupców.

Wśród podobnych rozmów nadeszła godzina wieczerzy. Pan Torello poprosił gości swoich, aby zasiedli do stołu, i chociaż była to wieczerza nieprzygotowana, podejmował ich godnie. Wkrótce potem uprzątnięto stoły i pan Torello przypuszczając, że goście znużeni być muszą, zawiódł ich do pięknych łożnic na spoczynek, a w chwilę potem sam się też położył.

Tymczasem sługa, wysłany do Pawii, sprawił się ze swego poselstwa przed małżonką pana Torella. Dama ta, iście niepowszedniego umysłu, przyzwała niezwłocznie przyjaciół i służbę męża, wydała polecenia do przygotowania wspaniałej uczty i przy świetle pochodni udała się z zaproszeniem na biesiadę do wielu dostojnych obywateli miasta. Po czym kazała przynieść różne kobierce, skóry i dywany, wypełniając jak najściślej zlecenie swego dostojnego małżonka.

Gdy dzień nastał, szlachetni goście pana Torella z łożnic się podnieśli. Gospodarz wsiadł na koń, zabrał sokoły i zawiódł gości na pobliskie bagna, gdzie im zręczność i siłę ptaków swych pokazał.

Gdy Saladyn spytał go, czy nie ma kogoś pod ręką, aby ich do dobrej austerii w Pawii zaprowadził, pan Torello rzekł:

— Ja sam to uczynię, ponieważ mam kilka spraw do załatwienia w mieście.

Cudzoziemcy, wierząc tym słowom, z radością wyruszyli w drogę w jego towarzystwie. Stanęli w Pawii około południa. Pewni, że pan Torello prowadzi ich do najlepszej w mieście gospody, zbliżyli się do jego domu, przed którym około

pięćdziesięciu najznaczniejszych obywateli na ich przyjęcie czekało. Wyszli na ich spotkanie, wyjęli im cugle z rąk i przytrzymali strzemiona.

Saladyn i jego towarzysze pojęli dobrze, co to oznacza, i rzekli:

— Nie godzi się tak, panie Torello, wszakżeśmy nie o to wcale prosili. Tej nocy dosyć nam już uczynności okazałeś, więcej nawet, niż się należało, pozwól nam tedy dzisiaj spokojnie w dalszą drogę wyruszyć.

— Panowie — odparł na to Torello — za to, co mi się wczoraj przytrafiło, winien jestem o wiele więcej wdzięczności szczęsnemu losowi niż wam. Los bowiem sprawił, że zaskoczeni w drodze późną godziną z konieczności nawiedziliście skromny mój dom. Dzisiaj natomiast chcę być już nie losowi, jeno wam samym obowiązany, pospołu z tymi szlachetnymi a przytomnymi tutaj mężami. Jeśli tedy nie chcecie mnie i im ciężkiej krzywdy wyrządzić, pozostańcie i pozwólcie się ugościć.

Saladyn i towarzysze jego dali za wygraną na te słowa i zsiedli z koni. Wśród radosnych okrzyków wszystkich przytomnych cudzoziemcy wprowadzeni zostali do komnat, nad wyraz suto przystrojonych. Odłożywszy sprzęt podróżny i odświeżywszy się nieco, weszli do jadalni, gdzie stół wspaniale zastawiono. Wkrótce zaczęto roznosić wodę do rąk umycia. Potem wszyscy w kolejności zasiedli do stołu, aby uraczyć się tak wybornymi potrawami i winami, że gdyby i sam cesarz się pojawił, lepszymi uczcić by go nie sposób.

Uczta była tak świetna, że aczkolwiek Saladyn i jego towarzysze byli wielkimi panami, przywykłymi do okazałości, zadziwili się jednak niepomału przepychowi, który zdawał się im przewyższać to, co dotąd widzieli, nie tajne im było bowiem, że rycerz nie należał do panów udzielnych. Skoro biesiada się skończyła i stoły uprzątnięto, po rozmowie o sprawach różnych szlachetni obywatele Pawii udali się na spoczynek, ponieważ żar letni wielce dokuczliwy się stawał, pan Torello zasię ze swymi trzema gośćmi sam w jadalni pozostał.

Wkrótce powiódł ich do innej komnaty; chcąc, by obaczyli wszystko, co ma najdroższego, tam kazał przywołać swą żonę. Białogłowa stanęła na progu w całej krasie piękności swojej — wyniosła, bogato przystrojona, trzymająca za ręce dwóch synków, podobnych do aniołów, i dwornie cudzoziemców pozdrowiła.

Ci, ujrzawszy ją, podnieśli się z czcią z ław, a skoro miejsce między nimi zajęła, nacieszyć się dostatecznie jej pięknymi dziećmi nie mogli.

W ciągu ożywionej rozmowy, gdy pan Torello oddalił się na chwilę, dama spytała gości, kto są zacz i dokąd dążą, na co otrzymała tę samą odpowiedź, co pierwej jej mąż.

Dowiedziawszy się, jak daleką jeszcze przed sobą drogę mają, z wesołym wyrazem oblicza w te słowa rzekła:

— Z radością się dowiaduję, że moja białogłowska pomoc na coś się wam przydać może. Proszę was tedy, okażcie mi ten osobliwy wzgląd i nie odrzucajcie tych małych podarków, które wam ofiarować pragnę. Zważcie, że białogłowy niewiele dać mogą, ale że ze szczerego serca dają; bardziej tedy na dobre ich intencje niźli na wartość ich darów zważać należy.

Po czym poleciła przynieść dla każdego z nich po parze szat. Jedne z nich były jedwabiem podbite, drugie futrem bramowane, nie wedle obyczajów mieszczan czy też kupców, ale jako się godzi możnym panom. Wskazując na trzy kaftany i bieliznę, dama rzekła:

— Przyjmijcie je. Takie same szaty kazałam sporządzić dla męża mego. Sądzę, że ten dar powinien być wam przydatny, chociaż niewielką ma wartość, oddaleni bowiem jesteście od żon waszych i macie jeszcze długą przed sobą drogę. Wiem przecie, że jako kupcy do czystości i wygody przyzwyczajeni być musicie.

Uprzejmość damy nowym podziwieniem gości przejęła. Widzieli, że pan Torello żadnej uprzejmości w stosunku do nich pominąć nie chce. Przypatrując się okazałym strojom, poczęli się obawiać, że gospodarz odgadł, kim są. Dlatego też jeden z nich rzekł w te słowa do małżonki pana Torella:

— Nie przystoją nam, madonno, tak okazałe stroje i zaiste, gdyby nie wielce uprzejma prośba wasza, nigdy byśmy ich nie przyjęli.

Wkrótce potem powrócił pan Torello. Żona jego, pożegnawszy gości i poleciwszy ich Bogu, odeszła, aby służbę ich w podobnie niezbędne rzeczy zaopatrzyć.

Pan Torello wielokrotnymi prośbami skłonił cudzoziemców do pozostania u niego w domu przez cały ten dzień.

Zażywszy nieco wczasu i przyodziawszy się w podarowane im szaty, wyjechali z gospodarzem swym na małą przejażdżkę po mieście. Gdy godzina wieczerzy nadeszła, w towarzystwie wielu dostojnych obywateli do świetnej uczty zasiedli.

Nazajutrz, podniósłszy się o świcie, ujrzeli na miejscu swoich zmęczonych rumaków trzy piękne i silne konie, a obok tyleż dobrych podjezdków dla służby. Saladyn na ten widok zwrócił się do swoich towarzyszy i rzekł:

— Przysięgam na Boga, żem nigdy doskonalszego i bardziej dwornego rycerza nie spotkał. Gdyby królowie chrześcijańscy umieli tak po królewsku postępować, jak ten

rycerz po rycersku, zaiste sułtan Babilonu ani jednemu z nich oprzeć by się nie był w stanie, nie mówiąc już o tylu innych, gotujących się właśnie, by społem napaść na niego.

Wiedzieli, że odmowa na nic by się nie zdała. Za czym wsiedli wszyscy na koń i ruszyli po serdecznym podziękowaniu. Aliści gospodarz wraz z liczną kompanią za miasto ich odprowadził. Saladyn, aczkolwiek ciężko mu było z tak zacnym mężem się rozstawać, przynaglany czekającą go drogą, poprosił pana Torella, aby już do domu powracał. Torello odparł:

— Jeśli życzycie sobie, panowie, tego, abyśmy się już rozstali, gotów jestem do woli waszej się zastosować. Pierwej jednak powiem wam jedną rzecz: Nie wiem, kim jesteście, i wbrew waszej woli nigdy nie będę próbował dowiedzieć się o tym. Nie wmówicie we mnie jednakoż tego, że kupcami jesteście. A teraz Bogu was polecam!

Saladyn, który właśnie z całą kompanią pana Torella się pożegnał, rzekł, zwracając się do niego:

— Kto to może wiedzieć, panie! Może zdołamy pokazać wam kiedyś nieco naszego towaru i przekonać was o prawdzie słów naszych; teraz zasię żegnamy was i również Panu Bogu polecamy.

Saladyn po tym pożegnaniu ruszył wraz z towarzyszami swymi w dalszą drogę. Sułtan uczynił w duszy ślub, że jeśli w zbliżającej się wojnie nie zginie, będzie się starał uczcić pana Torella niemniej godnie, jak przez niego był uczczony.

Długo rozmawiał jeszcze ze swoimi towarzyszami o panu Torello i jego żonie, o wszystkich jego sprawach i postępkach i ustawicznie najgorętsze pochwały jego gościnności oddawał. Następnie zasię, wszystkie ziemie zachodnie w niemałym utrudzeniu zjeździwszy, powrócił z towarzyszami swymi do Aleksandrii i sił nieprzyjacielskich dostatecznie świadomy, do obrony swego kraju gotować się począł. Pan Torello, powróciwszy do Pawii, myślał jeszcze długo nad tym, kim mogli być ci trzej cudzoziemcy, nic jednakże odgadnąć nie mógł.

Tymczasem nadszedł czas wyprawy krzyżowej. Z każdego kraju wyruszyły zbrojne orszaki. Pan Torello, mimo błagań i łez swojej żony, postanowił wraz z innymi na wojnę pociągnąć. Po ukończeniu wszystkich przygotowań, gdy już na koń siadać miał, rzekł do swej nad wszystko ukochanej małżonki:

— Jak widzisz, udaję się na wyprawę krzyżową tak dla pozyskania nieśmiertelnej sławy, jak i dla zbawienia duszy mojej. Powierzam ci wszystkie sprawy nasze i cześć imienia naszego.

Ponieważ jednak odjazdu pewien jestem, a powrotu, zważywszy na tysiąc przygód, jakie mnie spotkać mogą, żadną miarą przewidzieć nie zdołam, chcę cię tedy o jedną łaskę prosić. Cokolwiek ze mną się stanie, jeśli nie otrzymasz pewnej o mnie wiadomości, czekaj na mnie rok, miesiąc i dzień jeden, licząc od dnia naszego pożegnania, i do tego czasu nie wchodź w nowe związki małżeńskie.

Żona, zalewając się łzami, odrzekła:

— Zaiste, panie, nie wiem, jak zniosę boleść, w którą mnie rozłąka z tobą pogrąży. Jeżeli jednak życie moje silniejsze od cierpienia się okaże, a tobie przydarzyłoby się co złego, to żyj i umieraj z tym przeświadczeniem, że jako małżonka twoja, wierna twojej pamięci będę do śmierci.

— Żono — odparł na to pan Torello — najmocniej przekonany jestem, że o ile to od ciebie zależeć będzie, dotrzymasz danej mi obietnicy. Jednakoż jesteś przecie młodą, piękną i z wysokiego idącą rodu białogłową, a do tego masz wiele chwalebnych powszędy znanych przymiotów. Nie wątpię tedy, że wielu znacznych i dostojnych panów wówczas, gdy słuch już o mnie zaginie, starać się pocznie o zdobycie ręki twojej i wraz pomocy braci twoich i krewniaków wzywać. Otóż, choćbyś się wzbraniała, namowom twej rodziny oprzeć się na pewno nie zdołasz i zmuszona będziesz uczynić to, co oni zechcą. Z tej więc oto przyczyny powyższy, a nie odleglejszy termin ci naznaczam.

— Zrobię wszystko, co będzie leżało w mej mocy, aby ci do mej śmierci wierną pozostać — odparła żona. — Jeżeli jednak zmuszą mnie do tego, abym od postanowienia mego odstąpiła, to w każdym razie uczynię to nie prędzej, aż upłynie termin wyznaczony mi przez ciebie. Tuszę jednakże, że modły moje wszelką złą przygodę od nas obojga odwrócą.

Rzekłszy to, z głośnym płaczem rzuciła się na szyję pana Torella, po czym zdjęła pierścień z palca i wręczyła mu go, mówiąc:

— Jeślibym umarła, nim się znów ujrzymy, niechaj ten pierścień, ilekroć nań spojrzysz, przypomina ci o mnie.

Pan Torello przyjął pierścień, wsiadł na rumaka i pożegnawszy raz jeszcze wszystkich domowników swoich, w drogę wyruszył. Przybywszy z całym swym orszakiem do Genui, wsiadł natychmiast na galerę, wypłynął na pełne morze i w krótkim czasie dobił do Acri, gdzie połączył się z resztą chrześcijańskiego wojska.

Wkrótce wśród rycerstwa zaczęła się szerzyć okrutna zaraza, tak iż straszliwa śmiertelność zapanowała.

Saladyn, korzystając z tego, dzięki chytrości swojej i szczęściu, które mu sprzyjało, prawie bez dobycia miecza pochwycił do niewoli resztę oszczędzonych przez chorobę chrześcijan. Rozdzielił ich i w różnych więzieniach pozamykał. Jednym z takich więźniów był i pan Torello. Zawiedziono go do więzienia w Aleksandrii.

Nikt go tam nie znał, on zasię z swojej strony bał się wymienić swojego nazwiska. Przymuszony nędzą, zabrał się do układania sokołów, w której to sztuce był mistrzem znamienitym. Wieść o jego biegłości doszła wreszcie do uszu Saladyna. Sułtan uwolnić go kazał i jako sokolnika na swój dwór go przyjął. Pan Torello, którego nie inaczej jak tylko Chrześcijaninem Saladyna nazywano, nie poznał sułtana ani ten jego. Służył tedy rycerz sułtanowi, duszą jednak w Pawii przebywał. Próbował się kilkakrotnie ucieczką salwować, aliści nigdy mu się to nie udawało. Wreszcie zdarzyło się, iż na dwór sułtana przybyło kilku posłów genueńskich w zamiarze wykupienia z niewoli rodaków swoich. Pan Torello wiedząc, że wkrótce odjechać mają, postanowił z tej okazji skorzystać i napisać przez nich list do żony. Doniósł w nim, że żyje i że będzie się starał jak najprędzej do niej powrócić, aby więc na niego czekała. Oddał pismo do rąk jednego z posłów, prosząc go gorąco, aby je doręczył opatowi z San Pietro in Ciel d'Oro, wujowi jego, który już je do żony odeśle.

Pewnego dnia zdarzyło się, iż w czasie rozmowy z sułtanem o sokołach, pan Torello uśmiechnął się z lekka, przy czym skrzywił usta w sposób jemu właściwy, który Saladyn w czasie pobytu u niego w Pawii wybornie zauważył. Począł mu się tedy bacznie przyglądać. Wydało mu się, że go poznaje. Chcąc jednak jeszcze lepiej się upewnić, zmienił materię rozmowy i rzekł:

— Powiedz mi, chrześcijaninie, z jakiej krainy Zachodu pochodzisz?

— Mój władco — odparł pan Torello — jestem Lombardczykiem, rodem z miasta zwanego Pawią, a do tego człekiem ubogim i z niskiego rodu idącym.

Saladyn, usłyszawszy to, niemal pewien już, z kim ma do czynienia, pomyślał z radością:

— Bóg nadarza mi sposobność okazania temu mężowi, jak dobrze jego gościnność pamiętam.

Po czym, nie mówiąc już ani słowa, polecił znieść mnóstwo szat swoich do jednej komnaty. Wprowadził do niej pana Torella i rzekł:

— Zobacz, chrześcijaninie, czy nie masz między tymi sukniami takiej, której byś już gdzieś nie widział?

Pan Torello jął przeglądać i spostrzegł te, które żona jego kiedyś Saladynowi ofiarowała. Nie wierząc jednak, aby to te same być mogły, odparł:

— Wszystkie te suknie są mi nieznane. Tylko dwie podobne są do szat, w które niegdyś odziany byłem wraz z trzema kupcami, goszczącymi wówczas w moim domu.

Usłyszawszy te słowa, Saladyn nie zdołał się już dłużej powstrzymać, jeno rzucił mu się w objęcia, wołając:

— Jesteś tedy panem Torello di Stra. Czyli nie widzisz we mnie jednego z trzech kupców, których żona twoja szatami tymi obdarowała? Teraz nadszedł czas, abyś uwierzył w towary moje. Obiecywałem ci to przy rozstaniu i na Boga, obecnie obietnicy dotrzymać pragnę.

Usłyszawszy te słowa, pan Torello uradował się niezmiernie, a równocześnie i zawstydził się nieco. Uradował się, że miał zaszczyt tak potężnego gościa przyjmować, a zawstydził zważywszy, jak ubogim było to przyjęcie w stosunku do godności sułtana.

Aliści Saladyn, przerywając bieg jego myśli, rzekł:

— Ponieważ Bóg mi was zesłał, panie Torello, wiedzcie tedy, iż nie ja, ale wy tutaj panem jesteście.

Rzekłszy te słowa, wśród objawów radości najwyższej kazał go w królewskie szaty przybrać, dał mu przodek przed wszystkimi wasalami swymi, obsypał go w przytomności innych gorącymi pochwałami i oznajmił, iż każdy pod grozą utraty łaski sułtańskiej ma czcić pana Torella nie mniej niż jego osobę.

Wszyscy byli temu rozkazowi posłuszni. Najgorliwiej jednak czcili pana Torella owi dwaj panowie, których niegdyś rycerz lombardzki wraz z Saladynem w domu swoim gościł.

Świetność nagłego powodzenia oderwała nieco na pewien czas myśli pana Torella od Lombardii, tym bardziej iż szlachcic był prawie upewniony, że listy jego do celu dojść miały. Tymczasem zaszła wielce niespodziewana okoliczność. W obozie, a raczej w wojsku chrześcijańskim, znajdował się pewien małoznaczny rycerz prowansalski, imieniem Torello de Dignes, który umarł i pogrzebiony został właśnie w dniu, gdy Saladyn krzyżowców otoczył. Podobieństwo nazwiska wszystkich w błąd wprowadziło, tak iż ktokolwiek usłyszał słowa: »umarł pan Torello«, przekonany był święcie, że idzie o pana Torella di Stra, jako że ten daleko więcej był znany niźli pan Torello de Dignes. Dostanie się znakomitego rycerza do niewoli uniemożliwiło rozproszenie pomyłki.

Wielu Włochów z wieścią tą do kraju powróciło. Niektórzy śmieli twierdzić nawet, że widzieli jego ciało i na pogrzebie byli.

Wieść ta dotarła do żony pana Torella i jego krewniaków, i wszystkich, ktokolwiek go znał, niewymowną boleścią przejęła.

Zbyt długo szerzyć by się tu nad tym wypadło, jak wielką była boleść, żałoba i rozpacz żony jego. Przez kilka miesięcy żyła ona, nieustannie jęcząc i gorzkie łzy przelewając. Gdy po pewnym czasie nieco się uspokoiła, wielu dostojnych i znacznych z Lombardii ludzi ruszyło w zaloty do niej, a krewniacy i bracia poczęli ją nakłaniać k'temu, aby w powtórne związki małżeńskie wstąpiła.

Na próżno, zalewając się łzami, po wiele razy opór stawiała, daremnie uciekała się do próśb i wybiegów, musiała wreszcie ustąpić, co też uczyniła pod tą jednakoż kondycją, że ją ostawią w wdowieńskim stanie aż do upływu oznaczonego przez pana Torella terminu.

Tymczasem gdy w Pawii tak sprawy stały i gdy już tylko osiem dni brakowało do chwili, w której pod władzę nowego małżonka przejść miała, zdarzyło się, iż pan Torello spotkał w Aleksandrii człowieka, którego widział niegdyś, gdy wsiadał z posłami na pokład okrętu dążącego do Genui. Rozkazał go tedy przysłać i spytał, jaką mieli podróż i kiedy do Genui powrócili?

— Panie — odrzekł mu na to ów człowiek — nieszczęsną wielce podróż ta galera miała. Dowiedziałem się o tym na Krecie, gdziem się zatrzymał. W pobliżu Sycylii zaskoczyła ją burza, rozbijając ją o brzegi berberyjskie, tak że żywa dusza z niej nie uszła. Między innymi zginęli także moi dwaj bracia.

Pan Torello uwierzył jego słowom, które zresztą całkiem prawdziwe były. Wspomniawszy, iż termin wyznaczony małżonce za kilka dni upływa, za rzecz pewną to uznał, iż o losach jego nic w Pawii nie wiadomo, a żona jego albo już komuś innemu przyrzeczona została, albo też z zamysłem powtórnego małżeństwa się nosi. Myśl ta tak głębokim smutkiem go przejęła, iż stracił sen i apetyt, aż wreszcie zachorzał i umrzeć postanowił.

Saladyn, niezmiernie go miłujący, na wieść o tym przybył pośpiesznie do niego i po wielu próbach i naleganiach dowiedziawszy się od pana Torella o przyczynie jego choroby zganił go naprzód, że wcześniej mu o tym wszystkim nie powiedział, po czym zaklął go, aby się uspokoić raczył i zaręczył, że jeśli to uczyni, to on, sułtan, na oznaczony termin do Pawii go dostawi. Za czym wyjawił mu, jak to sprawi.

Pan Torello zaufał słowom Saladyna. Wiedząc, że podobne czarodziejskie sztuczki już nieraz się zdarzały, pokrzepił się na duchu i jął nalegać na sułtana, aby mu co rychlej słowa dotrzymał. Saladyn rozkazał jednemu ze swych czarowników, którego sztukę już

nieraz wypróbował, znaleźć środek przeniesienia pana Torella na łożu do Pawii w ciągu jednej nocy.

Czarownik odparł, że chętnie to uczyni, ale że przedtem musi uśpić pana Torella dla jego własnego dobra.

Saladyn, takie przyrzeczenie otrzymawszy, powrócił do pana Torella i znalazł go gotowym na wszystko, rycerz nasz bowiem postanowił albo do Pawii przed upływem oznaczonego czasu przybyć, albo też zejść z tego świata.

Saladyn, uspokoiwszy go nieco, rzekł w te słowa:

— Widzę, panie Torello, że miłujecie czule żonę swoją i obawiacie się, aby jej ktoś w stadło nie pojął. Bóg widzi, że nie mogę was ganić za to, ze wszystkich bowiem kobiet, jakie kiedykolwiek widziałem, ona wydaje mi się największej pochwały godna ze względu na przyrodzenie swoje i obyczaje, że już nie wspomnę o piękności, która nietrwałym jest kwiatem.

Wierę, o wiele milej by mi było, gdybyście, skoro was los tu już przywiódł, czas, jaki wam i mnie jeszcze do życia pozostaje, w moim państwie, wspólnie ze mną i w stanie równym memu stanowi przeżyli. Skoro mi jednak Bóg tej łaski dozwolić nie chciał i skoro postanowiliście umrzeć albo też w oznaczonym terminie w Pawii stanąć, to pragnąłbym był przynajmniej wcześniej uznać o tym. Byłbym wówczas w możności odesłania was do ojczyzny z czcią osobie waszej przyzwoitą. Aliści dzisiaj nie ma już po temu sposobu ani czasu, skoro wy pragniecie znaleźć się tam jak najprędzej, odeślę was zatem tak, jak na to okoliczności pozwalają.

— Mój władco — odparł na to pan Torello — słowa wasze są tutaj całkiem zbyteczne, bowiem czyny wasze dowiodły mi już dostatecznie waszej dla mnie życzliwości, na którą przecie w tak wielkiej mierze nie zasłużyłem.

Choćbyście mnie tedy o łasce waszej nie zapewniali, będę o niej wiedział i pamiętał aż do kresu ziemskich dni moich. Teraz zasię, skoro już tak postanowiłem, gorąco was proszę i błagam, abyście raczyli pośpieszyć się z odesłaniem mnie do Pawii, jutro bowiem przypada ostatni dzień oznaczonego przeze mnie żonie mej terminu.

Saladyn upewnił go, że najmniejsza zwłoka nie zajdzie.

Następnego dnia, jako poprzedzającego noc odjazdu, rozkazał sułtan ustawić w swej obszernej komnacie wspaniałe łoże, na które rzucono materace wedle tamtejszego obyczaju aksamitem i złotą lamą pokryte. Na łoże rzucono przykrycie wyhaftowane w misterne skręty najdroższymi kamieniami i wielkimi jak groch perłami. Za skarb niebywałej ceny uznano je później w naszym kraju. Dwie cudnej roboty poduszki na

wezgłowiu umieszczono. Po czym sułtan polecił ubrać pana Torello, który tymczasem prawie całkiem do sił przyszedł, w saraceńską szatę, tak bogatą i piękną, iż drugiej takiej chyba na całym świecie nie masz, a na głowę, wschodnim zwyczajem, włożyć mu jeden z najświetniejszych zawojów swoich.

Tymczasem noc nastała. Wówczas Saladyn z wieloma dostojnymi panami wszedł do komnaty pana Torella, usiadł przy nim i ze łzami niemal w te słowa przemówił:

— Panie Torello! Oto zbliża się godzina rozłąki naszej. Ponieważ ze względu na sposób podróży waszej nie mogę wam ani sam towarzyszyć, ani nikogo do kompanii wam przydać, muszę tedy na tym miejscu z wami się pożegnać. Po to tu właśnie teraz przyszedłem.

Zanim jednak Bogu was polecę, zaklinam was na miłość i przyjaźń, jaka nas łączy, abyście o mnie pamiętali i abyście po ukończeniu różnych spraw w Lombardii, jeśli to możliwe, przed śmiercią moją jeszcze choćby raz przybyć tu raczyli. Dacie mi możność nie tylko ujrzenia was znowu, co mnie najżywszą napełni radością, ale co więcej, naprawienia winy, w którą z powodu tak wielkiego pośpiechu waszego obecnie popaść muszę. Nim się to jednak stanie, zechciejcie jak najczęściej obdarzać mnie listami i żądać ode mnie, czego tylko chcecie, zaprawdę bowiem nikomu na świecie równie użytecznym być nie pragnę jak wam.

Pan Torello na te słowa nie mógł się od płaczu powstrzymać i dlatego też odpowiedział krótko głosem od łez przerywanym. Rzekł, iż niemożliwą to jest rzeczą, aby kiedykolwiek o dobrodziejstwach Saladyna i wielkoduszności jego zapomniał i że do wszystkich jego życzeń się zastosuje, jeśli mu Bóg tylko jeszcze życia udzieli.

Saladyn uściskał go tkliwie, ucałował i rzekł:

— A więc Bogu cię polecam!

Po czym pożegnał go raz jeszcze. Po chwili wszyscy udali się do komnaty, w której stało łoże dla pana Torella przygotowane.

Tymczasem noc posunęła się bardzo. Zjawił się niecierpliwy czarodziej, a z nim lekarz, niosąc w ręku czarę z napojem. Zapewniwszy pana Torella, że jest to trunek wzmacniający, podał mu tę czarę z prośbą, aby ją wychylił. Pan Torello uczynił to i niezwłocznie zapadł w sen głęboki. Na rozkaz Saladyna przeniesiono śpiącego rycerza na przygotowane łoże, na którym sam sułtan położył diadem wielkiej ceny i taki znak na nim umieścił, że nie było później wątpliwości, iż dar ten przesyła Saladyn małżonce pana Torella. Następnie włożył sułtan panu Torello na palec pierścień z tak lśniącym karbunkułem, iż do płonącej pochodni był podobny. Prócz tego kazał mu przypasać do

boku ozdobny miecz, którego wartość trudno było oznaczyć. Pas zapięto na klamrę wysadzoną perłami, które na całym świecie nie miały sobie równych, oraz mnóstwem innych klejnotów. Na rozkaz sułtana postawiono u boku śpiącego dwie wielkie misy złote, pełne dukatów, a u nóg jego moc pereł, pierścieni, pasów i innych kosztownych rzeczy, które by tutaj za długo wyliczać było.

Gdy już tego wszystkiego dokonano, ucałował Saladyn raz jeszcze pana Torella, po czym, na polecenie sułtana, dzięki sztuce czarnoksiężnika, łoże z rycerzem, śpiącym na nim, podniosło się ku górze, znikając po chwili. Sułtan pozostał długo jeszcze na tym miejscu, rozmawiając ze swymi wasalami o panu Torello.

Tymczasem uśpiony pan Torello wraz ze wszystkimi kosztownościami i ozdobami złożony został w kościele San-Pietro in Ciel d'Oro w Pawii, tak jak tego był pragnął.

Spał jeszcze, gdy dzwon uderzył na jutrznię i zakrystian ze światłem w ręku wszedł do kościoła. Ujrzawszy niespodzianie tak bogate łoże, naprzód osłupiał z podziwu, a potem, gwałtowną trwogą zdjęty, rzucił się do ucieczki. Opat i mnisi zapytali go zdumieni, co się stało. Zakrystian opowiedział, co widział.

— Zaprawdę — zawołał opat, wysłuchawszy go — coś niecnotliwego w tym się kryć musi. Nie jeden raz zakrystian ten już w tym kościele bywał i dzieckiem nie jest, lada czym tedy by się nie wystraszył. Pójdźmy przeto i obaczmy, co go tak zatrwożyło.

Opat kazał zapalić pochodnie, po czym wszedł z wszystkimi mnichami do kościoła. Ujrzawszy wspaniałe łoże i uśpionego na nim rycerza, stanęli na miejscu i na świetne klejnoty spoglądali, nie śmiąc się zbliżyć. Tymczasem napój, panu Torello zadany, moc swoją utracił i rycerz nasz zbudził się ze snu z głębokim westchnieniem. Mnisi, przerażeni tym widokiem, rzucili się do ucieczki z krzykiem: »Boże, ratuj!«.

Pan Torello na ten okrzyk otworzył oczy, obejrzał się i poznał od razu, że znajduje się tam, gdzie być pragnął. Wielce rad temu, podniósł się z łoża i patrzyć począł na skarby rozsiane wokół siebie. Chociaż wspaniałomyślność Saladyna znał już dobrze przedtem, jednakoż teraz dopiero cały jej ogrom pojął. Widząc uciekających mnichów, odgadł przyczynę ich trwogi i jął wołać po imieniu na opata, aby się nie bał, ma bowiem swego siostrzeńca, Torella, przed sobą.

Opat jeszcze bardziej tymi słowy się przeraził, uważał bowiem Torella już od wielu miesięcy za umarłego. Opamiętawszy się jednakoż, na dźwięk swego imienia, uczynił znak krzyża świętego i przybliżył się do rycerza.

— O mój ojcze! — rzekł pan Torello — czegóż się tak lękacie? Ja to jestem, żywy i zdrowy. Dzięki łasce boskiej zza morza szczęśliwie wróciłem.

Jakkolwiek pan Torello miał długą brodę, a na sobie strój arabski, opat poznał go, wpatrzywszy się weń baczniej nieco. Po czym, uspokojony, wziął go za rękę i rzekł:

— Witaj mi z całego serca, mój synu!

Potem dodał:

— Nie masz się co trwodze naszej dziwować, nie znajdziesz bowiem w całym mieście człowieka, który by cię za umarłego nie poczytywał. Powiem nawet więcej jeszcze. Oto madonna Adalieta, małżonka twoja, uległszy groźbom i namowom krewniaków twoich, wbrew woli swojej, ma wejść w nowe związki. Dzisiaj rano ma się udać do domu małżonka swego, gdzie wszystko już przygotowano, by odprawić wesele.

Pan Torello na te słowa podniósł się żywo z łoża i pozdrowiwszy serdecznie mnichów, poprosił zarówno ich, jak opata, aby nikomu o jego powrocie nie wspominali, dopóki on pewnej ważnej sprawy nie załatwi. Po czym, rozkazawszy przenieść przywiezione skarby w bezpieczne miejsce, opowiedział opatowi o wszystkich swoich dotychczasowych przygodach. Opat, uszczęśliwiony pomyślnym jego losów obrotem, złożył wraz z nim gorące dzięki Bogu, po czym pan Torello zapytał, kto ma się stać mężem jego żony.

Opat wymienił imię oblubieńca, a wówczas pan Torello rzekł:

— Nim o powrocie moim się dowiedzą, chcę obaczyć, jak na tym weselu żona moja się zachowa. Dlatego też proszę was — jakkolwiek nie jest we zwyczaju, aby duchowni w takich biesiadach udział brali — abyście udali się tam ze mną.

Opat odrzekł, iż chętnie to uczyni. Gdy rozedniało, posłał tedy do oblubieńca z oznajmieniem, że wraz z towarzyszem swoim na wesele przybyć pragnie. Oblubieniec z chęcią przystał na to. Skoro tedy pora stosowna nastała, pan Torello w stroju, w którym do Pawii przybył, udał się wraz z opatem do domu narzeczonego. Wszyscy spoglądali na niego ze zdumieniem, nikt go jednak nie poznał.

Tym, którzy się pytali, opat opowiadał, że jest to Saracen, wysłany w poselstwie przez sułtana do króla Francji. Posadzono tedy pana Torella przy stole naprzeciwko małżonki. Rycerz nasz przyglądał się z rozkoszą licom damy, na których ciężkie strapienie czytać się zdawał.

I ona także spojrzała na niego kilkakroć, nie poznając go jednak, bowiem długa broda, strój obcy całkiem jego pozór zmieniły, a do tego przekonana była przecież o jego śmierci.

Pan Torello pomyślał, że nastał czas poddania żony próbie, czy zachowała go w pamięci. Zdjął tedy pierścień, dany mu przez nią przy pożegnaniu, przywołał usługującego jej pazia i rzekł:

— Oświadcz oblubienicy ode mnie, iż w ojczyźnie mojej leży to w obyczaju, że gdy jakiś cudzoziemiec w ślubnej uczcie udział bierze, jako ja tutaj, narzeczona na dowód, że przytomność jego jest jej miła, przysyła mu swój puchar pełny wina. Cudzoziemiec wypija nieco wina, nakrywa puchar i odsyła go narzeczonej, która resztę wychyla.

Paź powtórzył te słowa oblubienicy, ta zaś, jako niewiasta roztropna i dobrze ułożona, nie wątpiąc, że ma przed sobą osobę znakomitą, chcąc okazać, jak miłą jest jej obecność gościa, kazała obmyć wielki złocony puchar, który stał przed nią, i wypełniwszy go winem, podać szlachetnemu przybyszowi. Tak też zrobiono.

Wówczas pan Torello, wziąwszy pierścień swej żony do ust, niepostrzeżenie, w trakcie picia wina, wpuścił go do pucharu, który potem, nakrywszy, znów damie odesłał.

Dama, chcąc cudzoziemskiemu obyczajowi zadość uczynić, odkryła puchar, podniosła go do ust i wówczas na dnie pierścień ujrzała. Nie mówiąc ni słowa, przyglądać mu się poczęła. Wreszcie poznała, iż jest to pierścień mężowi przy pożegnaniu dany. Chwyciła go tedy w rękę, spojrzała bystro na rzekomego cudzoziemca i poznawszy go nagle, porwała się z miejsca, jakby obłędem rażona, przewróciła stół stojący przed nią i krzyknęła:

— To on, to mój mąż, na Boga, to pan Torello!

Po czym rzuciła się ku niemu, nie bacząc na nic ani na nikogo. Padła mu w ramiona i tak silnie chwyciła go w objęcia, że ani słowami, ani siłą oderwać jej od niego nie można było, dopóki sam pan Torello nie począł błagać, aby się nieco pomiarkowała, gdyż na uściski czasu im jeszcze nie zbraknie.

Wesele było już zamącone całkowicie, ale po części bardziej radosne, niż oczekiwano, z powodu odzyskania tak znamienitego rycerza. Pan Torello poprosił przytomnych, aby się uciszyli. Uczyniono tej prośbie zadość. Wówczas nasz rycerz opowiedział obecnym o wszystkim, co mu się od dnia odjazdu przytrafiło, i zakończył prośbą, zwróconą do oblubieńca, aby mu tego nie wziął za złe, iż damę, którą on chciał za żonę pojąć, biorąc go za umarłego, teraz jako żonę swoją odbierze. Oblubieniec, jakkolwiek trochę skonfundowany, przemógł się i odrzekł przyjaźnie, że pan Torello ma do własności swojej całkowite prawo.

Dama zwróciła pierścień i diadem otrzymany od oblubieńca, a włożyła na palec pierścień wydobyty z pucharu i diadem przesłany jej przez sułtana. Po czym małżonkowie opuścili dom, w którym się znajdowali, i wraz z całym orszakiem weselnym do swego domu pociągnęli. Zbiegli się tam wkrótce krewniacy, przyjaciele i obywatele miasta, niepocieszeni po rzekomej śmierci pana Torella, i patrząc na niego jak na cudem zmartwychwstałego, weselili się długo i hucznie.

Pan Torello podarował część swoich klejnotów narzeczonemu, chcąc go za koszty wesela wynagrodzić, a takoż obdarzył opata i goszczących w domu jego.

Wkrótce przez niejedno posłanie dał znać Saladynowi o szczęśliwym przybyciu swoim. Uważając się zawsze za przyjaciela i sługę sułtana, żył długie lata wespół z cnotliwą małżonką.

Taki był koniec przygód pana Torella, taki kres cierpień jego umiłowanej małżonki i taka nagroda ich serdecznej, nieociągającej się gościnności. Podobną gościnność wiele osób naśladować się stara, a chociaż mają po temu warunki, czynią to jednakowoż tak źle, że każą płacić za nią o wiele więcej, niż jest warta, i to zanim jeszcze dadzą jej dowody. Jeśli tedy takich ludzi żadna nagroda nie spotyka, ani oni sami, ani nikt inny dziwić się temu nie powinien".

Opowieść dziesiąta. Gryzelda

Margrabia z Saluzzo, czyniąc zadość prośbom swoich podwładnych, postanawia żonę sobie wybrać. By jednak uczynić to na swój sposób, poślubia córkę prostego kmiecia, która mu dwoje dzieci na świat wydaje. Margrabia udaje, że je zabić kazał, a potem okazuje żonie, że już jej dłużej ścierpieć nie może i że w powtórne związki wstąpił. Pewnego dnia sprowadza do domu z powrotem własną córkę i za żonę ją podaje, wypędziwszy Gryzeldę w jednej tylko koszuli. Widząc, że Gryzelda wszystkie udręki cierpliwie znosi, przywołuje ją z powrotem do domu swego, większą niż kiedykolwiek miłością ją otaczając, pokazuje jej duże już dzieci i wszystkim każe złożyć jej hołd jako margrabinie.

Długa opowieść króla przez całe towarzystwo z jawną przychylnością przyjęta została. Dioneo, śmiejąc się, rzekł w te słowa:

— Ów poczciwy oblubieniec, któremu sądzone było nader smutnie ślubną noc przepędzić, nie dałby, jak mi się zdawa, złamanego szeląga za te wszystkie pochwały, których panu Torello nie szczędzicie.

Po czym, wiedząc, że na niego, jako ostatniego kolej opowiadania przypada, w te słowa mówić począł:

— Najmilsze damy! Dzień dzisiejszy, jak widzę, samym królom, sułtanom i innym równie dostojnym ludziom poświęcony został. Aby od moich poprzedników zbytnio się nie różnić, opowiem wam o pewnym margrabim. Nie o wspaniałomyślnym czynie będę jednak mówił, lecz o okrucieństwie szaleńczym, chociaż w końcu na dobre się obróciło. Nikomu nie radzę, aby przykład ten naśladował, zaprawdę bowiem żałować należy, że ów człek nie został za postępek swój tak ukarany, jak na to zasłużył.

„Wiele już lat zbiegło od tej pory, gdy przodek w rodzinie margrabiów z Saluzzo dzierżył młody człek, imieniem Gualtieri. Nie mając żony ani dzieci, trawił cały czas na zaprawianiu do łowów swoich sokołów. Nie myślał wcale o ożenku i potomstwie, co zresztą dobrze o mądrości jego świadczyło.

Podwładni jego, wielce z tego nieukontentowani, prosili go nieraz, aby sobie żonę wybrał i postarał się o dziedzica dla swego imienia i majętności, a dla nich o przyszłego pana. Ofiarowali się nawet sami, że znajdą mu stosowną dziewicę, z szlachetnego rodu idącą i tak pięknymi przymiotami obdarzoną, że w niej szczęście swoje znajdzie.

Gualtieri odrzekł im na ten kształt:

— Zmuszacie mnie, przyjaciele moi, abym uczynił to, czegom nigdy zrobić nie chciał. Wiedziałem zawsze, że trudno jest znaleźć żonę, której natura i obyczaje do natury i obyczajów męża podobne by były. Wielu ludziom natomiast źle dobrane żony prawdziwie smutne życie zgotowały. Powiadacie, że znajdziecie mi stosowną małżonkę w ten sposób, że przy jej wyborze będziecie baczyli na naturę i skłonności jej rodziców. Wszystko to jest prawdziwą niedorzecznością. Jakże dowiecie się wszystkiego, czego trza, o ojcach, jak przenikniecie tajemnice matek? Poza tym zaliż nie wiemy, że córki są częstokroć do rodziców swych niepodobne. Ponieważ jednak koniecznie chcecie mnie w te łańcuchy zakuć, niechaj się więc według waszej woli stanie. Abym się jednak na samego siebie mógł tylko skarżyć, w przypadku gdy jakoweś zło z tego się urodzi, tedy sam sobie chcę żony poszukać. Wam zasię oświadczam, że jeśli tej, którą wybiorę, nie będziecie czcili jako pani waszej, bez względu na jej stan poprzedni, to wkrótce na własnej skórze przekonacie się, jak wdzięczny jestem wam za to, żeście mnie wbrew woli mojej ożenili.

Poczciwi poddani odrzekli, że zgadzają się na wszystko, byleby on na swój ożenek przystał.

Gualtieri już dawno zwrócił uwagę na obyczaje pewnej ubogiej dzieweczki, pochodzącej z wioski, która w pobliżu zamku leżała. A że i wielce urodziwą mu się wydała, więc sądził, że przy niej będzie mógł pędzić życie bez troski. Nie namyślając się tedy dłużej, za żonę pojąć ją postanowił. Pewnego dnia kazał przywołać ojca jej, człeka podłego wielce stanu, i rzekł, że córkę jego w stadło chce pojąć. Po czym, zgromadziwszy wszystkich przyjaciół swoich z okolicy, tak rzekł do nich:

— Pragniecie, moi przyjaciele, abym się ożenił! Zgodziłem się na to, raczej aby waszej prośbie zadość uczynić niźli sobie przyjemność sprawić. Obiecaliście mi, że tej, którą pojmę za żonę, kimkolwiek by ona była, okazywać będziecie cześć należną pani waszej. Teraz nadszedł czas, aby obopólne przyrzeczenia wypełnione zostały. Znalazłem w pobliżu dziewicę, która mi do serca przypadła i którą mam zamiar za kilka dni do domu mego jako żonę wprowadzić. Zajmijcie się tedy przygotowaniem świetnej uczty weselnej i przyjmijcie godnie moją narzeczoną, abym mógł być z was ukontentowany, tak jak wy ze mnie już być dzisiaj możecie.

Wszyscy przytomni odparli, że wiadomość ta ucieszyła ich niezmiernie i że ktokolwiek by to był, będą wybraną przez niego dziewicę czcili i za swoją panią uważali.

Po czym zarówno Gualtieri, jak i wszyscy inni jęli przygotowywać wspaniałą i świetną ucztę weselną, na którą margrabia sprosił krewniaków swoich, przyjaciół i okolicznych sąsiadów. Po czym kazał uszyć mnóstwo bogatych i ozdobnych szat na miarę pewnej dziewczyny, której wzrost wydał mu się podobny do wzrostu przyszłej jego żony. Postarał się takoż o przepaski, pierścienie i o piękny, bogaty wieniec dla oblubienicy, jako też o wszystko, czego potrzebować mogła.

Gdy zbliżył się dzień na wesele oznaczony, Gualtieri wsiadł z rana na rumaka, wydał wszystkie niezbędne zarządzenia i wyruszył z zamku w towarzystwie wszystkich gości swoich, rzekłszy do nich uprzednio:

— Nastał czas, abyśmy narzeczoną moją tu sprowadzili.

Wszyscy ruszyli za nim drogą ku owej wiosce i wnet stanęli przed domem ojca owej dziewicy, którą spotkali, jak wracała właśnie co tchu z wodą od studni, by następnie pospołu z innymi białogłowami obaczyć narzeczoną pana Gualtieriego.

Gualtieri, ujrzawszy ją, zawołał na nią po imieniu (dzieweczka zwała się Gryzeldą) i spytał, gdzie się jej ojciec znajduje.

— Jest w domu, dostojny panie — odrzekła dzieweczka, srodze zawstydzona.

Wówczas Gualtieri zsiadł z rumaka, polecił wszystkim, aby czekali na niego, a sam wszedł do nędznej lepianki. Zastawszy ojca dzieweczki, zwanego Giannucolo, rzekł doń:

— Przybyłem, żeby zaślubić Gryzeldę. Pierwej jednak muszę ją o coś w przytomności waszej zapytać.

I tutaj zapytał ją, czy gdy ją pojmie za żonę, będzie się starała zawsze wedle jego upodobań postępować, nie obruszać się nań ani nie gniewać, cokolwiek by czynił lub mówił, czy posłuszeństwa mu dochowa, a takoż wiele innych podobnych zapytań jej zadał, na które Gryzelda odpowiedziała twierdząco. Gualtieri wziął ją wówczas za rękę, wywiódł z domu i kazał ją w przytomności całej świty swojej oraz wszystkich obecnych rozebrać do naga, aby ją potem szybko obuć i odziać w szaty dla niej przygotowane i na włosy jej, w wielkim nieładzie będące, wieniec włożyć.

Potem, obracając się do zadziwionych srodze świadków, rzekł w te słowa:

— Panowie, oto dziewica, którą pojmę za żonę, jeżeli tylko wyjść za mnie zechce.

I obróciwszy się do niej, stojącej w pomieszaniu i zawstydzeniu, zapytał:

— Gryzeldo, chcesz mnie wziąć za męża?

— Tak, panie! — odparła.

— Ja zasię — rzekł Gualtieri — chcę cię pojąć za żonę.

Wyrzekłszy te słowa, poślubił ją w przytomności całego zgromadzenia, po czym wsadził ją na rumaka i w otoczeniu dworzan powiódł do swego domu. Nazajutrz odbyło się wesele tak okazałe, jakby z córką króla francuskiego się żenił. Co do narzeczonej, to mogło się zdawać, że wraz z sukniami swoją naturę i obyczaje przemieniła.

Była ona, jak już o tym wspominaliśmy, piękną z kształtów i rysów dzieweczką, teraz zasię stała się także miłą, uprzejmą i obyczajną nad wyraz, tak iż wkrótce nikt by już nie uwierzył, że to córka Giannucola i że kiedyś pasterką owiec była.

Owszem, dzieckiem szlachetnych rodziców być się zdawała, i to do tego stopnia, że zdziwieniem przejmowała każdego, kto ją był znał uprzednio.

A przy tym wszystkim okazywała mężowi swemu takie posłuszeństwo i tak usłużną mu była, iż poczytywał się on za najszczęśliwszego na świecie człowieka. Do poddanych swego małżonka Gryzelda z taką uprzejmością i dobrotliwością się obracała, iż nie było między nimi ani jednego, kto by jej więcej niż samego siebie nie kochał i najgłębszej czci jej nie okazywał. Wszyscy modlili się za jej zdrowie i szczęście, ci zasię, którzy wkrótce po weselu twierdzili, że Gualtieri nierozważnie postąpił, za żonę ją biorąc, teraz zapewniali, że jest to najprzenikliwszy i najroztropniejszy na świecie człowiek, nikt

bowiem, krom niego, nie mógłby odgadnąć tak wielkiej cnoty, ukrytej pod nędznymi łachmanami i wieśniaczym przyodziewkiem. Wkrótce młoda margrabina zasłynęła dzięki swym przymiotom i dobrym uczynkom nie tylko w całej okolicy, ale wszędzie, tak iż wszyscy zmienili przekonanie o lekkomyślnym wyborze Gualtieriego.

W niedługi czas po ślubie Gryzelda zaszła w ciążę i gdy nadeszła pora, wydała na świat córkę, czym Gualtieri nad wyraz się uradował.

Niebawem przyszła mu do głowy osobliwa myśl, aby długim doświadczeniem i okrutnymi cierpieniami żonę swoją wypróbować. Naprzód tedy jął ją dręczyć słowami, udając wielce strapionego i napomykając, że podwładni jego niezadowoleni są z jej nikczemnego stanu, a zwłaszcza z tego, że nie syna, lecz córkę na świat wydała, tak że szemrają nieustannie.

Gryzelda, wysłuchawszy tych słów, nie pokazała po sobie najmniejszego gniewu i rzekła łagodnym głosem:

— Uczyń ze mną, panie mój, co ci się zdaje właściwym dla honoru i spokoju twego. Zgadzam się na wszystko, wiem bowiem, że znaczę mniej od nich i niegodną jestem zaszczytów, którymi dobroć twoja mnie obsypała.

Respons ten wielkie ukontentowanie panu Gualtieriemu sprawił, okazało się bowiem jawnie, że wszystkie honory i zaszczyty najmniejszej pychy w Gryzeldzie nie rozbudziły.

Mimo to wkrótce potem, oświadczywszy jej raz jeszcze, że podwładni córki z niej zrodzonej ścierpieć nie mogą, wysłał do niej jednego z zaufanych sług swoich, który stanąwszy przed nią rzekł z bolesnym wyrazem twarzy:

— Madonno, pod grozą śmierci wykonać muszę rozkaz mego pana. Kazał mi zabrać córeczkę waszą, abym ją…

Nie dodał nic więcej.

Niewiasta, usłyszawszy te słowa i spojrzawszy na jego twarz, przypomniała sobie, co jej małżonek przed kilkoma dniami mówił, i pojęła, iż sługa ma rozkaz zabicia dziecięcia.

Wyjęła tedy szybko córeczkę swoją z kołyski, ucałowała ją, pobłogosławiła i mimo bezmiaru boleści, jaką w sercu czuła, nie drgnąwszy na twarzy, oddała dziecię w ręce sługi z tymi słowy:

— Weź dziecko i spełnij dokładnie, co twój i mój pan ci rozkazał. Proszę cię jeno, abyś nie rzucał dziecka na rozszarpanie drapieżnym zwierzętom lub ptakom, jeśli to się woli mego męża nie sprzeciwi.

Sługa wziął dziecię i powrócił do pana Gualtieriego, który, usłyszawszy o zachowaniu się małżonki swojej, oniemiał z podziwu nad siłą jej duszy. Niemniej jednak wysłał sługę z dziecięciem do Bolonii, do jednej ze swych krewniaczek, prosząc ją, aby dziecku staranne wychowanie dała, nie odkrywając, czyją jest córką. W niejaki czas potem Gryzelda urodziła syna, którego pan Gualtieri tak gorąco pragnął. Ponieważ jednak dotychczasowe próby nie wydały mu się jeszcze dostatecznymi, odezwał się do żony pewnego dnia z pełnym niepokoju wyrazem twarzy, aby ją jeszcze głębszą boleścią przejąć:

— Żono, od czasu, jak urodziłaś tego chłopca, nie mogę żadną miarą z podwładnymi mymi trafić do ładu, tak szemrzą na to, iż wnuk Giannucola ma po mnie nad nimi panować. Obawiam się tedy, że mnie wypędzą, jeśli z tym dzieckiem nie postąpię jak z tamtym i jeśli na koniec nie porzucę cię i innej żony nie pojmę.

Niewiasta wysłuchała tych słów cierpliwie i odrzekła tylko:

— Panie mój, dbaj jeno o to, abyś był spokojnym i szczęśliwym, a o mnie nie troszcz się bynajmniej. Nie ma dla mnie nic na świecie krom tego, co ci jest miłe.

Po kilku dniach Gualtieri postąpił z synem w ten sposób, jak pierwej z córką, ostawiając Gryzeldę w przekonaniu, że dziecię zabite zostało. I tym razem dama ani jednym słowem nie zdradziła ciężkiej boleści swojej, co Gualtieriego w najwyższy wprowadziło podziw. W głębi duszy przyznawał, iż żadna inna kobieta niezdolna by była czegoś podobnego dokonać. Gdyby nie był twardo przekonany o wrodzonej miłości, jaką do swych dzieci żywiła, o ile tylko on nie był temu przeciwny, byłby sądził, że postępuje tak z obojętności w stosunku do nich, gdy tymczasem poznał, że kieruje nią tylko rozwaga. Podwładni jego, mniemając, że istotnie swoje dzieci pozabijać kazał, groźnie szemrać poczęli. Im okrutniejszym człowiekiem im się zdawał, tym żywszym współczuciem dla biednej Gryzeldy się przejmowali. Ona jednakoż innym niewiastom na wszystkie słowa pociechy odpowiadała jeno, że godzi się z wszystkim, co postanowił ten, kto je do życia powołał.

Gdy niemało lat od urodzenia córki upłynęło, panu Gualtieriemu wydało się, iż przyszła pora, aby cierpliwość swojej małżonki na ostatnią i najcięższą wystawić próbę. Oświadczył tedy w przytomności wielu osób, że żony swojej żadną miarą dłużej już ścierpieć nie może i że teraz dopiero widzi, jak źle i nieopatrznie postąpił, do swego domu ją wprowadzając. Dlatego też postanowił zwrócić się do papieża z prośbą o rozwiązanie małżeństwa swego, tak aby mógł po raz wtóry się ożenić.

Wielu uczciwych ludzi ostro mu ten zamiar zganiło, Gualtieri odparł jednak, że tak być musi.

Gryzelda, usłyszawszy o tym postanowieniu, wiedziała, że będzie musiała powrócić do ojcowskiej chaty, może owce pasać, jak dawniej, a takoż znosić to, że inna białogłowa będzie posiadała jej męża, ukochanego nad wszystko. Cierpiąc najsroższe męczarnie, zbierała siły, aby z pogodą przyjąć ten nowy dopust losu, tak jak i poprzednie.

Po kilku dniach pan Gualtieri wręczyć sobie kazał zmyślone listy, niby to z Rzymu nadesłane, i wmówił w swoich poddanych, iż papież udziela mu dyspensy na powtórne ożenienie się i porzucenie Gryzeldy. Gualtieri wezwał Gryzeldę i w przytomności podwładnych rzekł do niej w te słowa:

— Żono, na mocy pozwolenia papieskiego mam prawo pojąć inną małżonkę, a ciebie opuścić.

Przodkowie moi byli wielce szlachetnego rodu i władcami tego kraju, twoi zasię szli z chłopskiego stanu, dlatego też nie chcę cię już za żonę i rozkazuję ci, abyś do swego ojca powróciła wraz z wianem, któreś mi wniosła, ja zasię wprowadzę tu inną, którą uznałem za stosowną dla siebie.

Niewiasta wysłuchała tych słów, przezwyciężając swoją mdłą, białogłowską naturę i powstrzymawszy łzy, rzekła:

— Panie mój, nie zapomniałam o tym nigdy, że mój nikczemny stan twemu dostojnemu rodowi nie odpowiada. To, że twoją żoną się stałam, uważałam zawsze za dar twojej i bożej łaski. Nigdy nie sądziłam, że ten zaszczyt z prawa i na zawsze mi się należy: za pożyczony go tylko poczytywałam. Obecnie, ponieważ podoba ci się żądać zwrotu darów twoich, muszę ci je oddać. Oto twój pierścień, którym się ze mną zaręczyłeś, przyjm go z powrotem. Rozkazujesz mi, abym zabrała wniesione ci wiano. Nie potrzebuję na to skrzyń ani jucznego bydlęcia, nie zapomniałam bowiem, iż nagą mnie wziąłeś. I jeśli godziwą ci się wyda rzeczą, aby to łono, które dzieci twoje nosiło, na pośmiewisko tłumu wystawione zostało — odejdę stąd naga. Proszę cię jednak, abym w zamian za moje dziewictwo, które ci przyniosłam, a którego z sobą na powrót zabrać nie mogę, odeszła stąd choćby w jednej koszuli.

Gualtieri, bliski płaczu, zachował niewzruszony, surowy wyraz oblicza i rzekł:

— Dobrze, weź jedną koszulę.

Wszyscy przytomni prosili go, aby jej przynajmniej jedną sukienkę podarował, jakżeby bowiem znieść to mógł, aby kobieta, która przez kilkanaście lat jego żoną była, tak haniebnie i nędznie, w jednej koszuli tylko z jego domu wyjść miała. Wszystkie

prośby na nic się jednak nie zdały i Gryzelda boso, w koszuli i z odkrytą głową, gorąco wszystkich Bogu poleciwszy, opuściła dom małżonka swego, wracając do ojca wśród rzewnego płaczu wszystkich przytomnych. Giannucolo, który nigdy nie mógł uwierzyć, że jego córka naprawdę żoną Gualtieriego się stanie i który z dnia na dzień czekał na to, do czego teraz przyszło, zachował stare jej suknie, które zdjęła z siebie owego poranku, gdy Gualtieri przybył po nią. Stary wieśniak wydobył teraz szatki te, a Gryzelda, odziawszy się w nie, zajęła się powszednią domową pracą, którą ongiś wykonywała, znosząc z niezłomnym duchem okrutny cios wrogiej doli.

Gualtieri tymczasem udał przed swymi ludźmi, że wybrał sobie za żonę córkę hrabiego Panago i zarządziwszy okazałe przygotowania do wesela, po Gryzeldę posłał. Gdy się zjawiła, rzekł do niej w te słowa:

— Mam zamiar sprowadzić białogłowę, którą niedawno sobie wybrałem. Chciałbym ją na powitanie godnie przyjąć. Nie ma w domu moim niewiast, które by umiały przysposobić komnaty i przygotować wszystko, czego taka uroczysta okazja wymaga. Nikt zaś lepiej od ciebie na tych rzeczach się nie zna. Urządź więc wszystko jak należy, sproś damy wedle swego wyboru i przyjmij je, jakbyś panią tego domu była. Po weselu będziesz mogła znów do ojca powrócić.

Jakkolwiek każde z tych słów było ciosem sztyletu dla serca Gryzeldy, która miłości do Gualtieriego razem z pomyślnością wyrzec się nie mogła, odrzekła jednak spokojnie:

— Jestem gotowa uczynić, mój panie, wszystko, co tylko każesz.

I powróciwszy w grubych szatach z sukna romańskiego do tego samego domu, który niedawno w koszuli opuściła, jęła komnaty czyścić i porządkować, tkaniny po izbach rozwieszać, kuchnią się zajmować, słowem, jak prosta służebna do wszystkiego rękę przykładać. Spoczęła nie pierwej, aż wszystko urządziła tak jak należało. Wówczas, zaprosiwszy jeszcze w imieniu Gualtieriego wszystkie damy z okolicy, czekała dnia uroczystości. Gdy dzień zaślubin nadszedł, Gryzelda, w nędzne szaty odziana, z godnością, układnością i wesołym obliczem przyjęła damy, na wesele przybyłe.

Gualtieri oddał dzieci swoje na staranne wychowanie do pewnej krewniaczki, zamężnej za grabią Panago. Córka jego, tak urodziwa, że piękniejszej trudno by było na całym świecie znaleźć, liczyła dwanaście lat, syn zasię był sześcioletnim chłopcem. Gualtieri wyprawił poselstwo do krewniaka w Bolonii z prośbą, aby przybył do Saluzzo wraz z dziećmi, w otoczeniu dobranego orszaku i aby po drodze mówił wszystkim, iż panu Gualtieriemu narzeczoną wiezie, nie zdradzając nikomu, kim ona jest naprawdę.

Krewniak spełnił wolę markiza i wyruszywszy w drogę, po kilku dniach przybył w porze obiadu do Saluzzo wraz z młodą dzieweczką, bratem jej i świetnym orszakiem. Znalazł tam już wielu obywateli miasta, a takoż mieszkańców okolic, oczekujących nowej małżonki Gualtieriego. Młodą narzeczoną powitały wszystkie damy, wprowadzając ją do sali, w której stoły nakryto. Tutaj Gryzelda wyszła jej naprzeciw tak jak stała i rzekła radośnie, zwracając się do dziewicy:

— Witaj, pani moja!

Damy daremnie błagały Gualtieriego, aby Gryzeldę w jej komnacie w spokoju zostawił albo też przyodział ją w jakieś jej dawne szaty, tak aby przed obcymi w tak nędznym stroju nie była zmuszona się pokazywać, jednakoż wszystkie te prośby na niczym spełzły. Wkrótce goście zasiedli do stołu i uczta się rozpoczęła. Oczy wszystkich zwrócone były na dziewicę; powszechnie się zgadzano, że Gualtieri dobrą zamianę uczynił. Gryzelda najbardziej się dzieweczką i braciszkiem jej zachwycała.

Gualtieri, któremu wreszcie się wydało, że dość ma już dowodów cierpliwości żony swojej, i widząc, że niestatek losu w niczym jej nie zmienił (wiedział przy tym, że nie płynie to wcale z tępego przyrodzenia, poznał bowiem wielką jej mądrość), osądził, że nadszedł czas, aby uwolnić ją od gorzkich doświadczeń i położyć kres jej męce, którą skrywała pod spokojnym oblicza pozorem.

W przytomności całego zgromadzenia przywołał ją przeto do siebie i rzekł z uśmiechem:

— No, jakże ci się podoba moja nowa małżonka?

— Panie mój — odparła Gryzelda — siła dobrego o niej powiedzieć bym mogła. Jeżeli, jak mniemam, ma tyle rozsądku, ile piękności, to nie wątpię bynajmniej, że najszczęśliwszym na świecie człowiekiem was uczyni. Zaklinam was jeno i błagam, abyście oszczędzali sercu jej tych doświadczeń, których inna białogłowa, niegdyś do was należąca, tak wiele znosić musiała. Ledwie bowiem uwierzyć mogę, aby ta dziewica, tak młoda i w takich dostatkach wzrosła, mogła przenieść to, co ścierpiała tamta, przywykła od dziecka do ciągłych trudów.

Gualtieri, widząc, że Gryzelda, najmocniej przekonana, iż dziewica ta ma jego żoną zostać, jednak jak najlepiej o niej mówi, wezwał ją, aby obok niego usiadła i rzekł:

— Gryzeldo, nadszedł czas, abyś wreszcie zakosztowała owoców twojej długiej cierpliwości i aby ci, którzy mnie za okrutnika, tyrana i szaleńca poczytywali, przekonali się, że wszystko, co czyniłem, do jednego, z góry przewidzianego celu zmierzało. Poddanych moich chciałem nauczyć, jak im żony wybierać i zachować należy, ciebie

dobrą żoną uczynić, a samemu sobie zapewnić spokój na cały czas pożycia z tobą. Żeniąc się, obawiałem się, że nieszczęście sobie gotuję, dlatego też postanowiłem doświadczać cię i ranić na różne sposoby. Ponieważ jednak przez cały ten czas słowem ani czynem woli mojej się nie sprzeciwiłaś, pojąłem, że znalazłem w tobie to szczęście, jakiegom pragnął. Teraz zasię chcę ci od razu powrócić wszystko, com ci częściowo zabierał, i najżywszą radością zagoić rany serca, jakie ci zadałem. Przyjmij z wesołym obliczem tę, którą za narzeczoną moją poczytywałaś i jej brata; są to twoje i moje dzieci, które wszyscy od dawna poczytywali już za okrutnie przeze mnie pomordowane. Ja sam jestem małżonkiem twoim miłującym cię nad wszystko i to przekonanie żywiącym, że na całym świecie nie masz drugiego męża, który by z żoną swoją podobnie był szczęśliwy.

Po tych słowach uścisnął ją, ucałował i wstawszy od stołu wraz z Gryzeldą, zalaną z radości łzami, skierował się ku córce swojej, niepojmującej niczego z tego, co zaszło. Rodzice uścisnęli czule dzieci swoje i wszystkich przytomnych z błędu wywiedli.

Damy uradowane podniosły się z miejsc swoich i udały się pospołu z Gryzeldą do jednej z komnat, gdzie wśród życzeń najlepszych zdjęły z niej lichy przyodziewek i w jedną z jej godnych szat ją przybrały, po czym wprowadziły ją znów do sali jako panią, którą i w swoich łachmanach zdawać się nie przestała. Tam dziećmi cieszyli się wszyscy nad podziw i radość zapanowała powszechna. Zaczęła się uczta, która przez kilka dni trwała. Gualtieriego poczęto uważać od tej chwili powszechnie za wielce mądrego człeka, chocia próby, którym poddał swoją żonę, wszystkim zbyt dotkliwymi i okrutnymi się zdawały. Osobnymi pochwałami mądrość Gryzeldy wysławiano.

Grabia da Panago po kilku dniach do Bolonii powrócił. Gualtieri teścia swego Giannucola od ciężkiej pracy oswobodził, dostatek mu zapewnił i w szczęściu i spokoju na starość żyć mu pozwolił. Później margrabia wydał swą córkę za mąż za wysoce szlachetnego młodzieńca, sam zasię żył długo i szczęśliwie z Gryzeldą, w osobnym zachowaniu i czci ją mając.

Cóż możecie powiedzieć o tej materii? Chyba jeno to, że i do chat ubogich duch boży z niebios zstępuje, a w pysznych pałacach można znaleźć takich, którzy winni raczej trzody pasać niż ludami rządzić. Któż krom Gryzeldy zdolny byłby znieść z spokojnym, a nawet wesołym obliczem twarde i niebywałe próby, jakim ją Gualtieri poddał? Jego zasię należna spotkałaby odpłata, gdyby trafił na niewiastę, która, wygnana z domu w jednej koszuli, pozwoliłaby innemu przetrząść swe futro, tak żeby godziwe okrycie zyskała".

Gdy Dioneo opowiadanie swoje zakończył, damy ożywioną rozmowę zaczęły, różne przeciwne sądy wypowiadając, chwaląc i ganiąc na przemian niejedno w materii opowieści. Rozprawiano o tym długo. Wreszcie król, spojrzawszy na niebo i obaczywszy, że słońce już się ku zachodowi chyli, nie powstając z miejsca, rzekł w te słowa:

— Piękne damy, jak wiecie, trud rozumu śmiertelników nie tylko na tym się zasadza, aby w pamięci przeszłość zachowywać i znać teraźniejszość, ale dzięki jednej i drugiej przewidywać przyszłość. Najroztropniejsi ludzie za szczyt mądrości to poczytują. Jak wam wiadomo, jutro upływa czternaście dni od czasu, gdyśmy Florencję opuścili, aby swoje życie i zdrowie ochronić, a takoż rozproszyć owe troski i smutki, jakie nas w mieście rodzinnym ustawnie dręczyły, odkąd morowa zaraza w nim wybuchła.

Wydaje mi się, że wszystko, cośmy zamierzyli, godziwie spełnione zostało. Bawiliśmy się wprawdzie opowieściami wesołymi i budzącymi może pożądliwość, jedliśmy i pili do syta, grali i śpiewali, co wszystko do rzeczy nie zawsze przystojnych pobudzać zwykło słabe umysły. A jednak w czasie pobytu tutaj żadne słowo ani uczynek żaden tak z waszej, jak i naszej strony na naganę nie zasłużył. Panowały wśród nas niezmiernie dobre obyczaje, zgoda i rodzinna zażyłość. Oto, o czym się przekonałem, jeśli tylko dobrze patrzyć umiałem. Niewątpliwie ze względu na waszą i moją cześć, a także wspólny nasz pożytek, przekonanie takie miłe wam być musi. Aby jednak przez długie obcowanie z sobą nie doprowadzić do niczego, co by przykrości za sobą pociągnąć mogło, i przez pozostawanie tu nazbyt się przewlekające nie dać powodu do dotkliwych dla naszej czci pogłosek, uważam, że — jeśli wasza taka wola — powinniśmy powrócić tam, skąd przybyliśmy, zwłaszcza że każdy już miał swój dzień, miał udział w zaszczycie królowania, który teraz ja piastuję. Dodam do tego jeszcze tę okoliczność, że o naszym pobycie tutaj wieści się szeroko rozniosły, tak iż inni uchodźcy mogliby się do nas dołączyć, co by zapewne wiele uroku dniom naszym, tutaj spędzanym, odebrało. Jeżeli tedy rada moja wam się podoba, to zatrzymam powierzoną mi koronę aż do chwili naszego powrotu, który jak mniemam, jutro rano nastąpić powinien. Jeśli jednak inną uchwałę poweźmiecie, to mam już na myśli kogoś, którego na dzień jutrzejszy ukoronujemy.

Młode damy i kawalerowie długo naradzali się między sobą, wreszcie jednak radę króla za dobrą i słuszną uznali i postanowili do niej się zastosować. Król tedy kazał przywołać marszałka, omówił z nim wszystko, co nazajutrz uczynić należało, a potem powstał, dając towarzystwu swobodę aż do wieczora. Wszyscy, jak to w zwyczaju leżało,

różnym rozrywkom się oddali. Potem, gdy pora wieczerzy nastała, zasiedli z najwyższą przyjemnością do stołu. Po wieczerzy rozpoczęły się śpiewy z muzyką i tańce, którym Lauretta przewodziła. Fiammetta na rozkaz króla taką piosenkę wdzięcznie zanuciła:

Gdyby się zazdrość zbytnio nie łączyła
Z miłości kwiatem,
Szczęśliwszą któraż by ode mnie była?
W kochanku moim młodości uroki
Wiosny świeżością błyszczą i nadzieją,
Cześć oraz godność wiedzie jego kroki,
W uczynkach dzielność i dobroć jaśnieją;
Z mądrością łączy wymowy słodycze,
Kształty posągu z ruchy szlachetnymi,
Któraż dziewica na szerokiej ziemi
Piękniejsze kiedy kochanka oblicze,
  Piękniejszą duszę wyśniła?
Lecz właśnie wszystkich tych przymiotów całość
O niego lękać się i drżeć mi każe:
I inne widzą jego doskonałość
I z nim by siebie chciały ujrzeć w parze!
Kto wie, z jakimi myślami się noszą,
Jakie zasadzki, jakie stawią sieci!
Więc wdzięki jego są dla mnie rozkoszą,
Która zarazem wieczną troskę nieci,
Drżę, że rywalki mój sen szczęścia spłoszą,
  Że mi go porwie ich siła!
Och, gdybym mogła mieć tyle ufności,
Ile miłości mam dla niego w duszy,
Byłabym wolna od srogich katuszy,
Które sprowadza zazdrość z sobą w gości.
Lecz mężczyzn plemię, w kochaniu niestałe,
Za każdą nową idzie kusicielką,
Więc nie bez racji życie moje całe
Jest ciągle trwogą i męczarnią wielką.

Umieram w chwili, gdy oko zuchwałe
Któraś na niego zwróciła!
I błagam Boga, by od sióstr mej duszy
Oddalał wiecznie zdrady myśl złośliwą,
Skarbu mojego żadna z was nie ruszy,
Lecz gdyby która miną pieszczotliwą,
Pochlebnym słowem lub choćby skinieniem
Ku sobie kiedy przywabić go chciała,
Przed gniewem moim niechaj drży, zuchwała!
Stanę się zemsty trawiącym płomieniem.
Nie będzie ciszy ni spoczynku miała,
Aż zginie ta, co zdradziła.

Gdy Fiammetta pieśń swoją skończyła, Dioneo, stojący obok niej, rzekł z uśmiechem:

— Madonno, dobrze uczynicie, mówiąc wszystkim, kim jest wasz kochanek, tak aby żadna z dam przez nieświadomość nim nie owładnęła, skoro tak srogim mielibyście zapłonąć wówczas gniewem.

Potem wiele jeszcze pieśni odśpiewano, a gdy niemal połowa nocy upłynęła, wszyscy, wolę króla wypełniając, na spoczynek się udali.

O świcie podnieśli się i pod światłym przewodnictwem króla powrócili do Florencji, dokąd marszałek wszystkie ich rzeczy już był odesłał. Przybywszy do miasta, pożegnali się trzej młodzieńcy z siedmioma damami w kościele Santa Maria Novella, skąd z nimi niegdyś wyruszyli, po czym oddali się innym przyjemnościom. One zaś odeszły niebawem do domów swoich.

Posłowie

Szlachetne dzieweczki! Chcąc wam uciechę zgotować, poświęciłem się tej długiej pracy. Raczej modlitwy wasze i pomoc boża, jak sądzę, niż zasługi moje to sprawiły, że w zupełności dokonałem tego, com na wstępie mojego dzieła dokonać obiecał. Korny dank naprzód Bogu, a następnie wam złożywszy, mogę teraz dać spocząć pióru i utrudzonej ręce. Nim jednak to uczynię, zamierzam wpierw odpowiedzieć pokrótce na pewne zarzuty, jakie któraś z was albo i kłoś inny postawić by mi mógł. Nie czynię tego

bez racji, wydaje mi się bowiem rzeczą pewną, że praca ta — w porównaniu z innymi — nie zaznaje szczególnych względów, a nawet jest ich całkiem pozbawiona. Pomnę, że wykazałem to we wstępie do czwartego dnia opowieści. Obecnie chcę dać respons na pytania, jakby w myśli zadane.

Niektóre z was powiedzą ani chybi, że pisząc te opowieści na zbytnią swobodę sobie pozwoliłem niekiedy, wkładając damom w usta słowa plugawe lub każąc im często słuchać rzeczy, których uczciwym niewiastom ani mówić, ani słuchać się nie godzi. Jednakoż przeczę temu, gdyż nie masz tak nieprzystojnej rzeczy, co by — przystojnymi wyrażona słowami — bez ujmy czci słuchać się nie dała. Zdaje mi się, żem tego sposobu wypowiadania się z powodzeniem tutaj używał. Załóżmy jednak, że macie rację — nie będę z wami o to sporu toczył, wiem bowiem, że mnie zwyciężycie. Zapewniam was jednak, że chcąc odrzec, dlaczego tak postąpiłem, bez trudu znajdę uzasadnień w bród. Jeśli w tej czy innej opowieści coś niecnotliwego się trafiło, widać istota jej tego wymagała. Każdy człek rozsądny i rzeczy świadom uzna, że inaczej nie mogłem opowieści prowadzić, o ile właściwej swej formy nie miała postradać. Z drugiej strony, jeśli w nowelach moich tu i ówdzie znajdzie się jakiś szczegół lub jakieś słówko bardziej swobodne, a świętoszkom w spódnicy nieprzypadające do smaku, dlatego że więcej zwykły baczyć na słowa niźli na czyny i jeno pozór cnót wszelkich brać na się, to twierdzę, że przez napisanie tych słów nie popełniłem nic bardziej nieprzystojnego od mnóstwa białogłów i mężczyzn, mówiących co chwila o moździerzu i tłuczku lub o szczelinach i klinie. Nadto pióro moje powinno przynajmniej tyle mieć wolności, co pędzel malarza, który żadnej, a przynajmniej słusznej, nagany na siebie nie ściągając, świętego Michała mieczem i kopiją godzącego w węża, a świętego Jerzego na smoku wyobraża, Adama w męskiej, a Ewę w żeńskiej przedstawia postaci i nawet Temu, który dla zbawienia ludzkości śmierć męczeńską na krzyżu ponieść raczył, nogi to jednym, to dwoma gwoździami przebija.

Wziąć także i to pod uwagę należy, że o wszystkich tych rzeczach opowiada się nie w kościele, o którego sprawach jeno z czcią najwyższą i słowami nieskalanymi mówić wolno (chociaż w historii świętej znalazłoby się pod dostatkiem kart, z którymi ani równać się moim!) — nie toczy się tu dysput w szkole filozofów, gdzie przystojność w nie mniejszej mierze jest wskazana, ani w kole mędrców i uczonych, ale w ogrodach, w miejscu wytchnienia rozmawia grono osób wprawdzie młodych, lecz dojrzałych i nieulegających zbyt łatwo pokusom, a dzieje się to w czasie, gdy najbardziej stateczni brali nogi za pas, aby jeno życie ocalić.

Jakiekolwiek zaś są opowieści moje — jak wszystko inne — mogą szkodliwymi lub pożytecznymi się okazać, zależnie od natury słuchacza. Któż nie wie, że wino — jak opój pospołu z pijanicą obok wielu innych zaręczają — jest rzeczą dla zdrowych zbawienną, szkodliwą zasię dla ludzi gorączką trawionych? Mamyż więc dlatego, że gorączkującemu szkodzi, powiedzieć, iż jest zabójcze? Komuż nie wiadomo także, iż ogień jest niezbędny dla śmiertelników? Zali widząc, jak domy i miasta pożera, szkodliwym go nazwać możemy? Broń służy równie dla ochrony ludzi spokojnych jak i dla popełniania wielu morderstw: wina spada wówczas na tych, którzy jej na złe użyli. Umysł spaczony żadnego słowa w jego prawdziwym nie weźmie znaczeniu. Najszlachetniejsze słowa pożytku mu nie przyniosą, równie jak mniej przystojne nie zdołają znów splamić duszy czystej, kurz bowiem nie ima się promieni słonecznych, a brud ziemski czystości niebios. Jakież to słowa i jakie księgi świętsze, czcigodniejsze i wznioślejsze są od Pisma świętego? A jednak wielu ludzi, fałszywie je tłumacząc, sobie i innym zgubę zgotowało. Każda rzecz sama w sobie na coś przydatną być może, źle natomiast użyta, znaczne wyrządza szkody. To samo mówię o mych opowieściach. Kto zechce z nich złej rady i podniety do złego czynu zaczerpnąć, temu nie odmówią ich, jeśli je może w sobie mieszczą albo — odpowiednio naciągnięte — w sobie odnaleźć pozwolą. Kto jednak korzyści i nauki będzie pragnął, ten się na nich nie zawiedzie. Jeśli księgi te będą czytane w stosownych okolicznościach, a przy tym przez osoby, dla których je napisano — pożytecznymi i przyzwoitymi się okażą. Kto przekłada nad nie trzepanie ojczenaszków albo gniecenie kiszek czy placków dla spowiednika, ten niechaj ich nie rusza. Nie uganiają one za nikim, nie proszą, aby je czytano. Czego zaś nie mówią i nie robią dziś pobożnisie!

Niektóre z was powiedzą zapewne, że tę czy inną opowieść opuścić mi należało. Zgadzam się i na to, aliści powiem, że mogłem i winienem był spisać tylko te, które opowiedziane zostały. Tym, co je wygłaszali, zważać należało, by były piękne, a wówczas pięknymi wyszłyby również i spod mego pióra. Gdyby ktoś jednak przypuścił, że sam jestem zarówno ich wynalazcą, jak i pisarzem — czym w istocie nie jestem — to powiem, że nie wstydziłbym się, jeśliby nie wszystkie okazały się piękne. Prócz Boga bowiem nie masz mistrza, który by zawsze coś dobrego i doskonałego stwarzał. Nawet Karol Wielki, pierwszy twórca rycerzy-paladynów, nie mógł ich tylu do życia powołać, by z nich całe wojsko powstało. W zbiorze rzeczy mnogich trafiać się muszą różnej jakości przedmioty. Nie było pola tak dobrze uprawionego, aby na nim oset, kąkol lub inne zielsko między najlepsze zboże się nie wmieszały. Zresztą do czynienia mając z

prostodusznymi dzieweczkami, jakimi po największej części jesteście, moje czytelniczki, głupotą byłoby silić się na wyszukiwanie materyj nader osobliwych i troskać się szczególnie o wielki umiar w słowach. W każdym razie, kto opowieści te do rąk weźmie, niechaj opuści te, co go razić będą, a czyta inne, w których znajdzie przyjemność. Aby zaś nikogo w błąd nie wprowadzać, przed każdą opowieścią wymieniłem, co chowa się w jej łonie.

Niektóre z was powiedzą zapewne, że ta czy inna opowieść jest zbyt długa. Takim odrzekę, że głupio czyni ów, co inne mając zatrudnienie, zabiera się do czytania gadek, choćby były jak najkrótsze. Jakkolwiek bowiem wiele czasu upłynęło od dnia, gdym począł pisać tę książkę, do chwili gdy staję u końca mego trudu, to przecież nie zapomniałem, że pracę tę ofiarowałem niewiastom zażywającym wczasów, a nie innym. Dla tego, co chce czas zabić, nie ma opowieści zbyt długich, byleby tylko cel swój spełniały. Krótkie opowieści stosowniejsze są dla ludzi nauce oddanych, którzy dokładają sił, by czas pożytecznie wyzyskać, a nie tylko spędzić go mile, gdy wy, niewiasty, niezbyt dobrze wiecie, co robić z czasem pozostającym wam od uciech miłości. Prócz tego ani jedna z was nie udaje się na studia do Aten, Bolonii czy Paryża, dlatego też godzi się do was mówić obszerniej niż do ludzi, których umysł nauka wyostrzyła.

Nie wątpię, że znajdą się i takie, co powiedzą, że opowieści moje roją się od żartów i krotochwil i że nie przystoi człekowi statecznemu, mężowi pewnej wagi, pisać rzeczy podobne. Winienem im wdzięczność i dziękuję gorąco, że chlubną gorliwością powodowane, o moją sławę tak się troszczą. Na ich zarzuty to jedno odpowiem: godzę się, że jestem człekiem pewnej wagi i że mnie nieraz w życiu moim ważono, dlatego też ci, którzy mnie na wagę nie kładli, wiedzieć winni, że ważę niewiele, przeciwnie, jestem tak lekki, że na powierzchni wody unosić się mogę. Z drugiej strony mniemam, że skoro kazania mnichów, karcących ludzkie wady i grzechy, pełne są dziś różnych fraszek, figlików i konceptów, to podobne krotochwile nie przyniosą ujmy moim opowieściom, pisanym, by odpędzić od niewiast melancholię. Gdyby jednak zbytnio się nimi rozweseliły, to przecie lamenty Jeremiasza, rozmyślania pasyjne i żale świętej Magdaleny łatwo złu zaradzą.

Kto zaręczy, czy niektóre nie naganią mnie także za złośliwość i jadowitość języka, dlatego że tu i ówdzie prawdę o mnichach powiedziałem? Tym, co tak rzeką, przebaczyć należy, gdyż nie godzi się sądzić, by inna tu działała podnieta, jak tylko słuszność sprawy. Mnisi są bowiem ludźmi zacnymi, unikającymi kłopotów i trosk gwoli służenia

Bogu, a przy tym mielą zawzięcie, nie rozgłaszając tego przed światem. I gdyby wszyscy nie śmierdzieli po trosze kozłem, za jeszcze milszych kompanów poczytać by ich było można.

Tym niemniej wyznaję, że rzeczy tego świata żadnej nie mają stałości, ale zawsze podległe są zmianom — i to samo językowi memu przydarzyć się mogło. Chociaż, nie ufając własnemu zdaniu, którym staram się nie kierować, ilekroć o mnie idzie, stwierdzić muszę, że niedawno jedna z moich sąsiadek orzekła, że od mego języka nie ma nic na świecie słodszego i smakowitszego. Kiedy się zaś to przytrafiło, niewiele już z tych opowieści do napisania mi pozostawało.

I choćby najzawzięciej dowodziły moje przeciwniczki, niech to, co powiedziałem, za odpowiedź im starczy. Pozwalając już każdej z nich mówić i myśleć, co zechce, sądzę, że czas zawrzeć moją mowę. Dziękuję pokornie Temu, który po tylu trudach pomocą swą do upragnionego celu mnie doprowadził. Wy zasię, miłe damy, ostawajcie z łaską bożą w pokoju, wspominając mnie, gdy którejś z was w opowieściach moich to lub owo może do gustu przypadnie.

Tu zamyka się dziesiąty i ostatni dzień książki, zwanej Dekameron.

Przeczytaj także:

Dekameron – Streszczenie szczegółowe

Dekameron – Charakterystyka bohaterów

Dekameron – Czas i miejsce akcji

Dekameron – Geneza i gatunek utworu

Dekameron – Problematyka utworu

Dekameron – Biografia autora

Utwór znajduje się w domenie publicznej. Masz prawo do jego wykorzystywania, publikowania i rozpowszechniania.

Tekst opracowany na podstawie: Giovanni Boccaccio, Dekameron, tłum. Edward Boyé, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa.